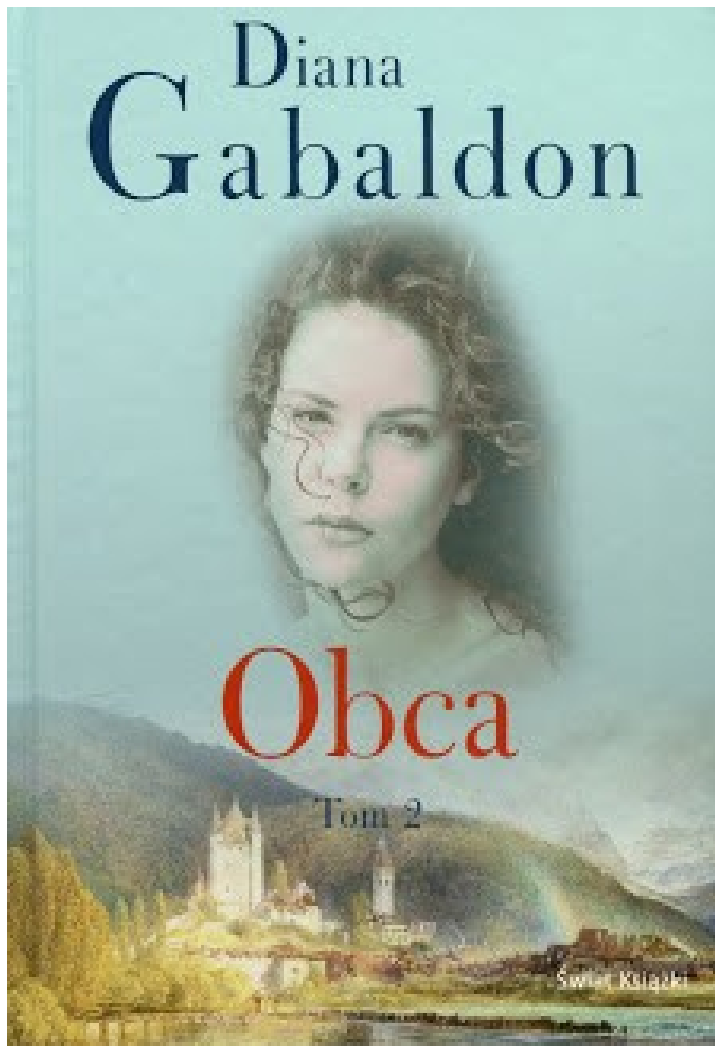


Diana  
Gabaldon

Obca

Tom 2

Świat Książki



# Diana Gabaldon

## *OBCA*

(Outlander)

Tłumaczyła Zofia Zaubert

Nie było to miejsce, w którym można by zaginać. Przynajmniej na pierwszy rzut oka.

Domek pani Baird nie różnił się niczym od tysięcy innych szkockich domostw z tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego roku: spokojny i czysty, ze splewiałą tapetą w kwiatki, lśniącymi parkietami i bojlerem na monety w łazience. Sama pani Baird, przysadzista i dobroduszna, nie miała nic przeciw temu, żeby Frank zagrabił jej maleńki salonik w gałązki różyczek stertami ksiązek i papierzyśk, z którymi zawsze podróżował.

Spotkałam panią Baird w korytarzu przy drzwiach. Położyła mi na ramieniu pulchną dłoń i dotknęła moich włosów.

– Oj, pani i pan Randall, nie może pani tak wyjść! Zaraz, zaraz, tu trzeba poprawić.

No! Teraz lepiej. Wie pani co? Kuzynka mi mówiła, że znalazła nowy płyn do trwałej ondulacji. Trzyma jak marzenie. Może powinna pani go kupić?

Nie miałam serca powiedzieć, że moje loki jasnobrązowe i dziko rozwichrzone, to przekleństwo natury, a nie resztki schodzącej ondulacji. Włosy pani Baird, ułożone w sztywne fale, nie znały takich szaleństw.

– Tak właśnie zrobię – skłamałam. – Schodzę do

wioski, żeby spotkać się z Frankiem.

Wrócimy na podwieczorek. – I wymknęłam się z domu, zanim gospodyni zdołała odkryć jeszcze jakieś niedoskonałości mojego zbyt swobodnego wyglądu. Po czterech latach, które spędziłam w armii jako pielęgniarka, cieszyłam się każdą chwilą życia z dala od mundurów, kitli, służbowych przydziałów. Codziennie ubierałam się w kolorowe bawełniane sukienki, choć zupełnie się nie nadawały do forsownych marszów przez wrzosowiska.

Właściwie nie zamierzałam spędzać czasu na wędrówkach po okolicach. Bardziej zależało mi na wysypianiu się do późna i długich, leniwych popołudniach w łóżku z Frankiem.

Jednakże trudno było utrzymać romantyczny nastrój, kiedy za drzwiami niez mordowanie wył odkurzacz pani Baird.

– To chyba najbrudniejszy chodnik w całej Szkocji – zauważył Frank tego ranka, kiedy leżeliśmy w łóżku, przysłuchując się piekielnemu rykowi w korytarzu.

– Prawie tak brudny, jak myśli naszej gospodyni – zgodziłam się. – Może jednak powinniśmy byli pojechać do Brighton?

Tego lata, zanim Frank objął katedrę profesora historii w Oksfordzie, zdecydowaliśmy spędzić wakacje w szkockich górach. Szkocja poniosła podczas wojny mniej strat niż reszta Wielkiej Brytanii, a poza tym chcieliśmy uniknąć radosnego zgiełku, jakim tętniły tuż po wojnie bardziej popularne kurorty.

Sądzę, że podświadomie uznaliśmy to miejsce za

symboliczne dla odnowienia naszego małżeństwa; osiem lat temu, przed wybuchem wojny, pobraliśmy się i spędziliśmy w tych górach dwudniowy miesiąc miodowy. Myśleliśmy, że będzie to spokojny zakątek, w którym ponownie odkryjemy się nawzajem, nie zdawaliśmy sobie jednak sprawy, że w Szkocji obok golfa i wędkarstwa najpopularniejszym sportem są plotki. Zwłaszcza gdy pada i nie można się zająć łowieniem czy golfem.

– Dokąd idziesz? – spytałam, kiedy Frank usiadł na łóżku.

– Nie chciałem zawieść naszej kochanej starowiny – oznajmił. Zaczął lekko podskakiwać na wiekowym łożu, które skrzypiało pod nim rytmicznie. Ryk odkurzacza zamilkł w ułamku sekundy. Po paru minutach podskakiwania Frank wydał głośny, teatralny jęk i upadł na plecy. Chichotałem bezradnie w poduszkę; za drzwiami trwało napięte milczenie.

Frank zmarszczył brwi.

– Miałeś wydawać ekstatyczne jęki, a nie chichotać – napomniał mnie szeptem. – Jeszcze pomyśli, że nie jestem dobrym kochankiem.

– Trzeba było dłużej podskakiwać, skoro spodziewałeś się ekstatycznych jęków. Dwie minuty zasługują wyłącznie na chichot.

– Mała samolubna jędza. Przyjechałem tu odpocząć, nie pamiętasz?

– Leniuch. Nigdy się nie doczekasz nowej gałęzi swojego drzewa genealogicznego, jeśli nie zabierzesz się do sprawy z większym przekonaniem.

Kolejnym powodem, dla którego wybraliśmy Szkocję, było zamiłowanie Franka do genealogii. Z jednego z niechlujnych świstków, z którymi się nie rozstawał, wynikało, że jakiś jego starożytny przodek miał coś wspólnego z tym czy innym regionem Szkocji w połowie osiemnastego – a może siedemnastego wieku.

– Jeśli stanę się bezdzietnym sękiem na moim drzewie genealogicznym, to tylko przez naszą niezmordowaną gospodynię. Poza tym jesteśmy małżeństwem od ośmiu lat.

Mały Frank Junior będzie dzieckiem z prawego łóża, nawet jeśli poczniemy go bez świadka.

– Zakładając, że w ogóle go poczniemy – dodałam pesymistycznie. Przed wyjazdem do Szkocji przeżyliśmy kolejne rozczarowanie.

– Przy takich ilościach świeżego powietrza i zdrowego jedzenia? Nie mamy wyboru.

Wczoraj na kolację był smażony śledź. Na obiad marynowany. A zalatujący z korytarza przenikliwy odór zwiastował, że na śniadanie dostaniemy śledzia wędzonego.

– Pora się ubrać, chyba że zamierzasz uszczęśliwić panią Baird kolejnym budującym występem. Czy nie umówiłeś się na dziesiątą z proboszczem?

Wielebny Reginald Wakefield, pastor w miejscowym probostwie, miał przedstawić Frankowi jakieś wstrząsające księgi chrztu, nie wspominając już o upojnej perspektywie wygrzebania z zapleśniałych piwnic depesz wojskowych lub innych śladów istnienia wspomnianego przodka.

– Jak miał na imię twój prapraprapradziadek? – spytałam. – Ten, który utknął tu podczas któregoś powstania. Nie przypominam sobie. Willy czy Walter?

– Prawdę mówiąc, Jonathan. – Frank przyjmował z rezygnacją moją zupełną obojętność w kwestiach rodzinnej historii, choć zawsze czujnie reagował na najsłabszą oznakę zainteresowania, gotów powiadomić mnie o wszystkich znanych mu faktach, od dnia dzisiejszego aż do pierwszych Randallów. Także teraz w jego oczach pojawił się błysk fanatycznego zaangażowania. – Jonathan Wolverton Randall... Wolverton po wuju matki, niezamożnym rycerzu z Sussex, choć znano go pod dość buńczucznym przezwiskiem „Czarnego Jacka”, jakie zyskał sobie w wojsku, prawdopodobnie wtedy, kiedy tu stacjonował. – Padłam na łóżko i wydałam z siebie przeciągłe chrapnięcie. Frank mówił dalej, niezrażony i pełen zapału niczym naukowiec podczas wykładu. – Kupił patent oficerski w latach trzydziestych... osiemnastego wieku, ma się rozumieć... i służył jako kapitan dragonów. Z tych starych listów, które przysłała mi kuzynka May, wynika, że radził sobie całkiem nieźle. Dobre zajęcie dla drugiego syna w rodzinie; jego młodszy brat także podporządkował się tradycji i został wikarym, ale o nim nie dowiedziałem się jeszcze zbyt wiele. W każdym razie, diuk Sandringham bardzo cenił Jacka Randalla za jego czyny w czasie powstania jakobitów w czterdziestym piątym... to było drugie powstanie, oczywiście – dodał, niewątpliwie myśląc o najbardziej tępym słuchaczu na widowni, mianowicie o mnie. – No wiesz, księżę Charlie i tak dalej.

– Nie jestem całkiem przekonana, czy Szkoci zdają sobie sprawę, że przegrali– wtrąciłam, siadając i przystępując do uporządkowania fryzury. – Wyraźnie słyszałam, jak barman w pubie nazwał nas Sassenachami.

– Dlaczego miałyby tego nie robić? – powiedział Frank ugodowo. – W końcu to słowo oznacza tylko Anglika lub w najgorszym przypadku cudzoziemca.

– Wiem, co znaczy to słowo. Nie podobał mi się ton, jakim zostało wypowiedziane.

Frank szukał w szufladzie paska.

– Był zły, bo powiedziałem, że piwo jest słabe. Wyjaśniłem mu, że aby otrzymać prawdziwe szkockie piwo, powinno się wrzucić do kadzi stary but, a produkt końcowy precedzić przez znoszoną bieliznę.

– Ha! Teraz rozumiem, dlaczego rachunek był tak wysoki.

– Może wyraziłem się nieco bardziej dyplomatycznie, ale tylko dlatego, że w szkockim dialekcie nie istnieje słowo oznaczające gacie.

Zaintrygowana sięgnęłam po wspomniany szczegół garderoby.

– Dlaczego? Czy w dawnej Szkocji nie nosiło się bielizny?

Frank zarechotał.

– Nigdy nie słyszałaś tej starej piosenki, mówiącej, co Szkoci noszą pod kiltami?

– Zakładam, że nie są to ciepłe kalesonki – mruknęłam. – Może wybiorę się dziś na poszukiwanie jakiegoś faceta w kilcie, a ty tymczasem zdybiesz

proboszcza i odpytasz go w tej kwestii.

– Tylko nie daj się aresztować, Claire. Dziekan college’u St. Giles nie byłby zachwycony.

Jednak, jak się okazało, nie znalazłam żadnego faceta w kilcie – ani na rynku, ani w otaczających go sklepach. Spotkałam za to masę innych osób, przeważnie gospodyń w typie pani Baird, zajętych codziennymi zakupami. Gadały i plotkowały jedna przez drugą, a ich przysadziste, odziane w perkal sylwetki promieniowały przytulnym ciepłem; mur obronny chroniący przed zimną poranną mgłą.

Nie miałam jeszcze własnego domu, nie musiałam więc kupować zbyt wiele, ale bawiło mnie myszkowanie pomiędzy znowu pełnymi półkami – z czystejradości spoglądania na dostatek. Przeżyłam długie lata racjonowania produktów i obywania się bez tak podstawowych rzeczy, jak mydło i jajka – oraz jeszcze dłuższy okres braku małych przyjemności w rodzaju perfum „L’Heure Bleu”.

Moje spojrzenie zatrzymało się dłużej na wystawie pełnej artykułów gospodarstwa domowego. Haftowane ściereczki i kapturki na imbryki, dzbanki i szklanki, sterta swojskich foremek do ciasta, komplet trzech wazonów...

Jeszcze nigdy nie miałam własnego wazonu. W czasie wojny mieszkłam w kwaterach pielęgniarek, najpierw w szpitalu Pembroke, potem w szpitalu polowym we Francji. Ale nawet przed wojną nie zatrzymywaliśmy się nigdzie na tyle długo, by móc kupić taki przedmiot. Gdybyśmy go mieli, wujek Lamb nasypałby do niego



skorup, zanim zdążyłabym się zbliżyć z bukiecikiem stokrotek.

Quentin Lambert Beauchamp. „Q” dla studentów archeologii i przyjaciół, „doktor Beauchamp” dla naukowców, wśród których stale się obracał. Dla mnie pozostawał zawsze wujkiem Lambem.

Jedyny brat mojego ojca i mój jedyny żyjący krewny. Musiał się mną zaopiekować, kiedy miałam pięć lat, a moi rodzice zginęli w wypadku samochodowym. Wybierał się na Bliski Wschód, ale odłożył tę podróż na jakiś czas, żeby zorganizować pogrzeb, pozbyć się posiadłości moich rodziców i odesłać mnie do przyzwoitej szkoły z internatem. Do której nie zgodziłam się pójść.

Wujek Lamb nie cierpiał konfliktów. Postawiony wobec konieczności oderwania moich pulchnych paluszków od klamki samochodu i zaciągnięcia mnie do szkoły za włosy, westchnął z irytacją, wzruszył ramionami i wyrzucił za okno swoje pierwotne postanowienie razem z moim nowym słomkowym kapeluszem.

– Paskudztwo – mruknął, obserwując wesoło podskakujący kształt we wstecznym lusterku. – Nigdy nie lubiłem damskich kapeluszy. – Zerknął na mnie groźnie. – Zapamiętaj sobie – powiedział strasznym głosem. – Pod żadnym pozorem nie wolno ci się bawić moimi perskimi figurkami grobowymi. Wszystkim innym, tylko nie tym, zrozumiano?

Skinęłam głową z zadowoleniem. I pojechałam razem z nim na Bliski Wschód, do Południowej Ameryki, w dziesiątki miejsc na całym świecie. Nauczyłam się czytać

i pisać na brudnopisach gazetowych artykułów. Umiałam wykopywać doły pod latryny i gotować wodę, a także wiele innych rzeczy niestosownych dla młodej damy – aż wreszcie poznałam przystojnego, ciemnowłosego historyka, który zjawił się, by zasięgnąć rady wujka Lamba w kwestii francuskiej filozofii i jej odniesień do egipskich praktyk religijnych.

Nawet po ślubie Frank i ja prowadziliśmy wędrownie życie pomiędzy konferencjami na kontynencie i wynajmowanymi mieszkaniami, aż wreszcie wojna rzuciła go do centrum kształcenia kadry oficerskiej i pracowników wywiadu w MI-6, a mnie na kursy dla pielęgniarek. Choć nasz związek trwał już osiem lat, nowe lokum w Oksfordzie miało się stać naszym pierwszym prawdziwym domem.

Wsadziłam torebkę pod pachę, wmaszerowałam do sklepu i kupiłam wazony.

Spotkałam się z Frankiem na skrzyżowaniu High Street i Gereside Road. Uniósł brwi na widok mojej zdobyczy.

– Wazony? – uśmiechnął się. – Wspaniale. Może wreszcie przestaniesz wkładać mi kwiaty między strony książek.

– Nie kwiaty, tylko okazy. I to ty zaproponowałaś, żebym się zajęła botaniką. Dla zabicia czasu, skoro nie jestem już pielęgniarką – przypomniałam.

– Rzeczywiście – skinął głową dobrodusznie. – Ale nie przewidziałem, że za każdym razem, kiedy otworzę słownik, na kolana będzie mi wypadać zielenina. Co to za

suche świństwo wsadziłaś w Tuscuma i Banksa?

– Krwawnik. Dobry na hemoroidy.

– Przygotowujesz się na nadejście mojej nieuniknionej starości? Jesteś bardzo przewidująca.

Weszliśmy przez furtkę, śmiejąc się. Frank przystanął na chwilę, żebym pierwsza mogła wejść po wąskich schodkach do drzwi frontowych.

Nagle złapał mnie za ramię.

– Uważaj! O mało co nie wdepnęłaś.

Zastygłam ze stopą nad dużą, ciemnoczerwoną plamą na górnym stopniu.

– Bardzo dziwne – powiedziałam. – Pani Baird szoruje te schody każdego ranka, sama widziałam. Co to może być?

Frank pochylił się i pociągnął lekko nosem.

– Mógłbym zaryzykować przypuszczenie, że krew.

– Krew? – Cofnęłam się o krok. – Czyja? Myślisz, że pani Baird miała wypadek? Nie wyobrażałam sobie, żeby nasza nieskazitelnie porządna gospodyni mogła dopuścić do tego, aby na schodach widniały plamy – chyba żeby wydarzyła się katastrofa.

Przez chwilę zastanawiałam się, czy w salonie nie czai się morderca z siekierą, który za chwilę wypadnie na nas z wrzaskiem mrożącym krew w żyłach.

Frank pokręcił głową. Stał na palcach i zajrzał ponadżywoplotem do sąsiedniego ogródka.

– Nie sądzę. Na schodkach Collinsów jest taka sama plama.

– Naprawdę? – Przysunęłam się do niego bliżej,

żeby poczuć się bezpieczniej i mieć lepszy widok na ogródek sąsiadów. Góry Szkocji nie wydawały mi się szczególnie odpowiednim polem działalności dla seryjnego mordercy. No, ale ktoś takiraczej nie kieruje się rozsądkiem przy doborze miejsca... – To niezbyt przyjemne – zauważyłam niepewnie. Sąsiedni dom wydawał się wymarły. – Jak sądzisz, co się stało?

Frank zmarszczył brwi z namysłem, po czym klepnął się nagle po nodze.

– Chyba wiem! Poczekaj chwilę. – Popędził ku furtce i oddalił się truchtem, zostawiając mnie przed schodkami.

Po chwili wrócił. Promieniał zadowoleniem.

– Tak, już wiem. To miało miejsce w każdym domu.

– Co? Wizyta mordercy? – warknęłam, wytrącona z równowagi. Parę chwil spędziłam przecież sama w towarzystwie dużej kałuży krwi.

Frank parsknął śmiechem.

– Nie, rytualna ofiara. Fascynujące! – Ukląkł i zaczął z zainteresowaniem badać plamę.

Składanie krwawych ofiar nie wydało mi się dużo lepsze od wizyty maniakalnego mordercy. Przykucnęłam obok Franka, marszcząc nos wobec przenikliwego fetoru.

Muchy jeszcze się nie zleciały, ale nad kałużą krążyło już parę dużych, powolnych komarów.

– Jaka rytualna ofiara? – spytałam. – Pani Baird jest chrześcijanką, tak jak wszyscy sąsiedzi. Tu nie ma druidów.

Wstał, otrzepując spodnie z trawy.

– Tak ci się wydaje, moja mała. Nie istnieje na tym padole miejsce, w którym stare przesady i magiczne rytuały splatają się z codziennym życiem bardziej niż w górach Szkocji. Kościół to jedna sprawa, a druga to fakt, że pani Baird wierzy w Stary Lud, podobnie jak wszyscy sąsiedzi.

– Wskazał plamę czubkiem porządnie wypastowanego buta. – Krew czarnego koguta – wyjaśnił z zadowoleniem.

– Te domy są nowe, jak widzisz. Z prefabrykatów.

Obrzuciłam go chłodnym spojrzeniem.

– Jeśli ci się wydaje, że to wszystko wyjaśnia, jesteś w dużym błędzie. Co za różnica, ile lat mają te domy? I gdzie, na miłość boską, podzieli się wszyscy?

– Sądzę, że są w pubie. Chodźmy tam i sprawdźmy.

– Wziął mnie pod rękę i wyprowadził przez furtkę na Gereside Road. – W dawnych czasach – ciągnął – a właściwie do nie dawna, istniał tu zwyczaj zakopywania w fundamentach domu jakiegoś zabitego stworzenia dla przebłagania miejscowych duchów ziemi. No wiesz:

„Niech fundamenty położy na swym pierworodnym, a na najmłodszym synu niech zbuduje bramy”. Obyczaj stary jak te góry.

Wzdrygnęłam się.

– W takim razie uważam, że okazali się całkiem przyzwoitymi i cywilizowanymi ludźmi, skoro zużytkowali do tego celu kuraki. Chcesz powiedzieć, że skoro te domy są zupełnie nowe, nic nie zostało pod nimi zakopane i teraz ludzie naprawiają to niedopatrzenie?

– Właśnie. – Frank wydawał się rozczulony moimi postępaniami. Poklepał mnie po plecach. – Zdaniem wikarego

wielu tutejszych sądzi, iż wojna została częściowo spowodowana przez to, że ludzie zapominają o swoich korzeniach i nie podejmują pewnych środków ostrożności, na przykład nie zakopują ofiar pod fundamentami albo nie palą rybich ości w kominku... z wyjątkiem łupaczy, oczywiście – dodał, radośnie odpływając na falach ulubionego tematu. – Nie wolno palić ości łupacza... wiedziałaś o tym? W przeciwnym razie nigdy się już żadnego nie złowi. Ości łupacza należy zakopywać.

– Zapamiętam na całe życie – obiecałam. – Powiedz mi jeszcze, co trzeba zrobić, żeby nigdy więcej nie zobaczył na oczy śledzia, a wykonam to niezwłocznie.

Pokręcił głową, zatopiony w myślach. Zdarzały mu się takie krótkie okresy zapomnienia, kiedy tracił łączność z rzeczywistością, pochłonięty wyczarowaniem jakiejś informacji z pokładów zalegających mózg.

– O śledziach nic mi nie wiadomo – odparł z roztargnieniem. – Na myszy wiesz się pęki ziół. A co do trupów pod fundamentami... właśnie stąd wzięły się te podania o duchach. Widziałaś Mountgerald, ten duży dom u wylotu High Street? Mają tam ducha murarza, którego złożono w ofierze. Zdarzyło się to w osiemnastym wieku, czyli sprawa jest niemal aktualna – dodał z namysłem. – Legenda głosi, że z rozkazu właściciela domu najpierw wzniesiono jedną ścianę, a z jej szczytu zrzucano na murarza kamienny blok...

podejrzewam, że wybrano najmniej sympatycznego gościa. Pochowano go w piwnicy i na nim wzniesiono resztę domu. Jego duch codziennie nawiedza miejsce, w

którym został zabity, z wyjątkiem rocznicy jego śmierci i czterech Dawnych Dni.

– Czego?

– To stare święta – wyjaśnił, wciąż zatopiony w odgrzebywanych wiadomościach. – Hogmanay, czyli Nowy Rok, dzień przesilenia letniego, Bekane i Zaduszki. Druidzi, lud kultury pucharów dzwonołatych, pierwsi Piktowie i w ogóle wszyscy przestrzegali świąt słońca i ognia, przynajmniej o ile nam wiadomo. W każdym razie duchy mają wolne podczas świątecznych dni i mogą sobie fruwać, gdzie się im podoba, by czynić dobro lub zło, zgodnie z upodobaniami. – Potarł brodę z namysłem. – Zbliża się Bekane... to w czasie wiosennego zrównania dnia z nocą. Lepiej uważaj, kiedy będziesz przechodzić koło cmentarza. – Oczy zamigotały mu wesoło i zrozumiałam, że trans dobiegł końca.

Parsknęłam śmiechem.

– A zatem mamy tu kolekcję słynnych miejscowych duchów?

Wzruszył ramionami.

– Nie wiem. Przy najbliższej okazji spytamy pastora.

Okazja nadarzyła się wkrótce potem. Wraz z większością mieszkańców wioski pastor znajdował się w pubie, gdzie oblewał piwkiem poświęcenie domów.

Był nieco zawstydzony, że przyłapaliśmy go na tak pogańskich praktykach, lecz usiłował bagatelizować ten fakt, twierdząc, że to tylko miejscowy zwyczaj z historyczną tradycją, podobnie jak celebrowanie dnia

świętego Patryka w Irlandii.

– Doprawdy fascynujące – wyznał głosem naukowca, równie charakterystyczny, jak „terr-t!” drozda. Frank, reagując na zew bratniej duszy, natychmiast rozpoczął taniec godowy akademików i po chwili obaj tkwili już po uszy w archetypach i paralelach pomiędzy starymi przesądami i nowoczesnymi religiami. Wzruszyłam ramionami, utorowałam sobie drogę do baru i wróciłam, dzierżąc w obu rękach po dużej brandy.

Wiedząc z doświadczenia, jak trudno jest odwrócić uwagę Franka od takich dyskusji, bez ceregieli ujęłam jego rękę, zacisnęłam mu palce wokół nóżki kieliszka i zostawiłam samemu sobie.

Odnalazłam panią Baird na ławeczce pod oknem, gdzie popijała sobie piwko ze starszym mężczyzną, którego przedstawiła mi jako pana Crooka.

– To właśnie ten człowiek, o którym pani Randall mówiłam – oznajmiła z oczami błyszczącymi od alkoholu i ożywienia. – Zna się na wszelakich roślinach. Pani Randall lubuje się w rozmaitych ziołach – wyjaśniła swojemu towarzyszowi, który skłonił ku niej głowę, na poły z grzeczności, na poły z powodu głuchoty. – Wkłada w książki i suszy.

– Tak? – Pan Crook uniósł jedną rozwichrzoną białą brew. – A ja mam prasy do roślin... takie prawdziwe, rozumie. Dostałem od siostrzeńca, kiedy przyjechał do mnie na wakacje. Nie miałem serca mu powiedzieć, że nie potrzebuję czegoś takiego. Zioła wieszam na oknie, a potem trzymam w sakwie albo słoju. Nie wiem, po co bym



miał je rozpląszczać na placki.

– Może po to, żeby na nie popatrzeć – wtrąciła uprzejmie pani Baird. – Pani Randall zrobiła parę cudnych obrazków z malw i fiołków, mówię wam, że tylko oprawić w ramki i powiesić na ścianie.

– Hmm... – Na pomarszczonej twarzy pana Crooka pojawił się wyraz zdradzający, iż taka sugestia wydaje mu się do pewnego stopnia dopuszczalna. – No, skoro pani się to przyda, może pani sobie zabrać te prasy, a ja będę zadowolony. Wyrzucać żal, a do niczego mi się nie przydadzą.

Zapewniłam go, że będę zachwycona, mogąc używać jego pras, a jeszcze bardziej mnie ucieszy, jeśli mi pokaże, gdzie mogę znaleźć jakieś niezbyt pospolite okazy roślin.

Przez chwilę mierzył mnie ostrym spojrzeniem, przekrzywiwszy głowę niczym stare ptaszysko, ale wreszcie chyba uznał, że moje zainteresowanie nie jest udawane.

Zdecydował, że możemy spotkać się rano i wyruszyć na obchód miejscowych zarośli.

Pamiętałam, że Frank zamierzał pojechać na jeden dzień do Invemess, by przejrzeć akta tamtejszego ratusza, a ja z największą radością skorzystałam z wymówki, by mu nie towarzyszyć. Wszystkie te stare księgi wyglądały jednakowo, przynajmniej dla mnie.

Wkrótce potem Frank oderwał się od pastora i wróciliśmy do domu w towarzystwie pani Baird. Osobiście nie miałam ochoty wspominać o plamie krwi na schodkach,

ale Frank nie przeżywał takich rozterek i rozpoczął energiczne śledztwo w kwestii korzeni tego zwyczaju.

– Sądzę, że jest bardzo stary – zagaił, siekąc witką chwasty w przydrożnych rowach.

Kwitły już srebrniki, a pączki żarnowca zaczęły nabrzmiewać; jeszcze tydzień i wybuchną kwiatami. – Pani Baird dreptała energicznie obok nas, nie dając się zostawić w tyle. – Starszy, niż ktokolwiek pamięta. Jeszcze sprzed czasów olbrzymów.

– Olbrzymów? – powtórzyłam.

– No. Fionna i Feinna.

– Podanie ludowe – zauważył Frank z przejęciem. – Herosi. Prawdopodobnie wpływ skandynawski. Dość często spotykany na tych terenach. Niektóre tutejsze nazwy wywodzą się z języka skandynawskiego, nie celtyckiego.

Przewróciłam oczami, spodziewając się kolejnego wykładu, ale pani Baird uśmiechnęła się zyczliwie i zachęciła Franka do kontynuowania tematu, twierdząc, że to prawda. Sama była na północy i widziała kamień Dwóch Braci, który jest przecież skandynawski.

– Norwegowie przybijali do tego brzegu setki razy pomiędzy rokiem pańskim pięćsetnym i tysiąc trzechsetnym – oświadczył Frank, spoglądając z rozmarzeniem na horyzont. Pewnie widział już drakkary, wynurzające się z kłębow mgły. – Wikingowie przywieźli ze sobą mnóstwo własnych mitów. To dobry kraj dla legend. Zapuszczają tu korzenie.

W to mogłam uwierzyć. Zbliżał się zmrok, a wraz z nim burza. W niesamowitym, przesiewającym się przez

chmury świetle nawet całkowicie nowoczesne budynki wydawały się równie starożytne i groźne jak zmurszały piktyjski kamień, stojący o trzysta metrów stąd, na rozstajach, które oznaczał od tysięcy lat. W taką noc dobrze jest się znaleźć w domu ze szczelnie zamkniętymi okiennicami.

Zamiast jednak spędzić miły wieczór w przytulnym saloniku pani Baird i dla rozrywki oglądać w magicznej latarni szkockie widoki. Frank postanowił skorzystać z zaproszenia pana Bainbridgea, handlarza nieruchomości i znawcy miejscowych dziejów. Pamięć o moim wcześniejszym spotkaniu z panem Bainbridgeem jeszcze nie zbladła, w związku z czym postanowiłam zostać w domu z latarnią magiczną.

– Postaraj się wrócić przed burzą – powiedziałam, całując Franka. – pozdrów ode mnie pana Bainbridgea.

– Hmm. Tak, oczywiście – mruknął, starannie unikając mojego wzroku. Włożył płaszcz i wyszedł, zabrawszy parasol ze stojaka przy drzwiach.

Zamknęłam za nim, ale tylko na klamkę, żeby mógł wejść bez przeszkód. Wróciłam do salonu, myśląc po drodze, że Frank będzie pewnie udawał, że jest kawalerem, a pan Bainbridge z radością włączy się do tej mistyfikacji. Właściwie nie miałam mu tego za złe.

Podczas naszej pierwszej wizyty u pana Bainbridgea z początku wszystko szło świetnie. Byłam stonowana, delikatna, inteligentna, lecz nie narzucająca się, starannie uczesana i dyskretnie elegancka – Idealna Żona Pana Profesora. Aż do chwili, kiedy podano herbatę.

Spojrzałam na prawą rękę, na wielki pęcherz, ciągnący się u nasady palców. W końcu to nie moja wina, że pan Bainbridge, wdowiec, zadowalał się tanim blaszanym imbrykiem zamiast przyzwoitym naczyniem. I nic nie mogłam poradzić na to, że – pragnąc okazać się grzeczny – poprosił mnie o nalanie herbaty. Nie wiedziałam również, że osłona na rączce imbryka jest pęknięta i rozpalony do czerwoności metal wejdzie w bezpośredni kontakt z moją dłonią. Nie – pomyślałam. Upuszczenie imbryka było całkowicie usprawiedliwioną reakcją, a upuszczenie go na kolana pana Bainbridgea to czysty przypadek; w końcu musiał gdzieś upaść. To mój górujący nad jękiem pana Bainbridgea okrzyk „O zesz kurwa mać!”, spowodował, że Frank rzucił mi śmiercionośne spojrzenie nad sucharkami.

Pan Bainbridge, oprzytomniawszy po wstrząsie, zachował się bardzo elegancko.

Zajął się moją dłonią i zignorował wysiłki Franka, który usprawiedliwiał mój język faktem, że niemal przez dwa lata pracowałam w szpitalu polowym.

– Obawiam się, że moja żona przejęła kilka... hmm... barwnych wypowiedzi od jankesów i im podobnych – wykrztusił z nerwowym uśmiechem.

– Fakt – przyświadczyłam przez zaciśnięte zęby, okręcając sobie dokładnie dłoń mokrą chustką. – Mężczyźni na ogół zachowują się bardzo „barwnie”, kiedy wyciąga się z nich szrapnela.

Pan Bainbridge taktownie skierował konwersację na neutralny grunt historyczny.

Oznajmił, że zawsze interesowały go historyczne odmiany tego, co określił jako bluźnierstwa. Na przykład, powiedział, „Gorblimey” to przekształcona wersja przekleństwa „God blind me” – bodajby Bóg mnie oślepił.

– Tak, oczywiście – potwierdził Frank, z wdzięcznością przyjmując ratunek. – Bez cukru, Claire, dziękuję. A co z ”Gadzooks”? „Gad” to oczywiście God – Bóg, ale „zooks”?

– Cóż, czasami wydaje mi się, że to zmienione szkockie słowo „yeuk”. Oznacza wysypkę. To chyba całkiem prawdopodobne, prawda?

Frank skinął głową; jeden niesforny kosmyk, zupełnie nie pasujący do wizerunku po ważnego naukowca, opadł mu na czoło. Odgarnął go automatycznie.

– Interesujące... ta ewolucja wulgaryzmów.

– Nadal trwa – wtrąciłam, ostrożnie biorąc szczypcami kostkę cukru.

– Tak? – zainteresował się grzecznie pan Bainbridge. – Czy spotkała się pani z jakimiś ciekawymi odmianami podczas swojej... hm, wojennej kariery?

– Owszem: Mój ulubiony przykład przejęłam od pewnego jankesa. Nazywał się Williamson i pochodził, o ile mi wiadomo, z Nowego Jorku. Powtarzał to za każdym razem, kiedy zmieniałam mu opatrunek.

– I cóż to było?

– „O Jezusie, w mordę, Chryste” – powiedziałam i zgrabnie upuściłam kostkę cukru wprost do filiżanki Franka.

Po spokojnym i niezbyt przykrym posiedzeniu z

panią Baird ruszyłam na górę, by przy gotować się na przyjscie Franka. Wiedziałam, że jego możliwości kończą się na dwóch szklaneczkach sherry, więc spodziewałam się go w każdej chwili.

Wiatr przybrał na sile, a powietrze w sypialni było tak naelektryzowane, że aż strzelało. Przeciagnałam szczotką po włosach, które również trzaskały sucho i zwijały się w dzikie kędzioły. Zdecydowałam, że dziś obejdę się bez stu pociągnięć szczotką. Przy takiej pogodzie powinno mi wystarczyć mycie zębów. Pasma włosów przykleiły się do policzków i nie chciały wrócić na swoje miejsce, kiedy uśiłowalam je odgarnąć.

W dzbanku nie było wody; Frank wykorzystał ją, przygotowując się na spotkanie z panem Bainbridgeem, a mnie nie chciało się przynieść nowej. Wzięłam butelkę „L’Heure Bleu” i nalałam sporą porcję w zagłębienie dłoni. Szybko potarłam ręce, zanim zapach zdążył się ulotnić, i przesunęłam nimi po włosach. Zmoczyłam szczotkę perfumami i przeczesałam pasma włosów za uszami.

No. Teraz już lepiej – uznałam, przeglądając się w piegowatym lustrze. Wilgoć podziałała antyelektrostatycznie na włosy, które obecnie spływały ciężkimi, lśniącymi falami po obu stronach mojej twarzy. Ulatniający się alkohol pozostawiał bardzo przyjemny zapach. Frankowi to się spodoba, pomyślałam. Zawsze lubił „L’Heure Bleu”.

Za oknem błysnął piorun. Natychmiast potem rozległ się grzmot. Światło zgasło.

Zaczęłam grzebać w szufladach, klnąc pod nosem.

Gdzieś widziałam świece i zapalki; problemy z elektrycznością były w Szkocji tak powszechne, że świece stały się niezbędnym elementem wyposażenia wszystkich tutejszych gospod i zajazdów. Mieli je nawet w najbardziej eleganckich hotelach – aromatyzowane zapachem wiciokrzewu, tkwiły w świecznikach z mrożonego szkła, ozdobionych wiszącymi łezkami.

Świece pani Baird wyglądały znacznie bardziej pospolicie, ale za to było ich mnóstwo.

Znalazłam także trzy pudełka zapalek. W takiej chwili nie zamierzałam grymasić.

Przy świetle następnej błyskawicy włożyłam świecę do błękitnego ceramicznego świecznika na toaletce, po czym obeszłam cały pokój, zapalając inne, aż wreszcie całe pomieszczenie wypełniło się łagodnym, migotliwym blaskiem. Bardzo romantyczne, pomyślałam i przytomnie wyłączyłam światło, żeby nagły rozbłysk nie zniszczył nastroju w niestosownym momencie.

Świece zdążyły się wypalić może o pięć centymetrów, kiedy nagle drzwi się otworzyły i Frank wpadł do środka na skrzydłach wiatru. Dosłownie, ponieważ pęd powietrza, jaki ze sobą wniósł, zdmuchnął płomień z trzech najbliższych knotów.

Drzwi zatrzasnęły się z hukiem, po którym zgasły trzy następne świece. Frank stanął nieruchomo, wpatrując się w nagle pomroczeniałe wnętrze. Przeczesał dłonią rozczochrane włosy. Wstałam i na nowo zapaliłam świece, mówiąc coś łagodnie o dziwnych manierach. Dopiero kiedy skończyłam i zwróciłam się ku niemu, pytając, czy ma

ochotę na drinka, zauważyłam, że jest blady jak kreda i najwyraźniej wstrząśnięty.

– Co się stało? – zdziwiłam się. – Zobaczyłeś ducha?

– Właściwie – powiedział powoli – nie dałbym głowy, czy tak nie było. – Sięgnął nieprzytomnie po moją szczotkę i uniósł ją, chcąc się uczesać. Nagły powiew „L’Heure Bleu” podrażnił jego nozdrza. Zmarszczył nos, odłożył szczotkę i wyciągnął z kieszeni grzebień.

Wyjrzałam przez okno; wiązy gięły się gwałtownie pod uderzeniami wiatru. Nie domknięta okiennica uderzała gdzieś rytmicznie o ścianę. Zaświtało mi, że i my powinniśmy je zamknąć, choć widowisko na zewnątrz wyglądało nad wyraz interesująco.

– Trochę zbyt wietrznie jak na ducha – zauważyłam. – Wydawało mi się, że bardziej lubią ciche, mgliste cmentarze.

Frank roześmiał się z zakłopotaniem.

– Coś mi się zdaje, że to wszystko przez opowieści Bainbridgea i przez sherry, której wypilem ciut więcej, niż powinienem. Właściwie chyba nic się nie stało.

Teraz byłam już zaciekawiona.

– Więc co właściwie zobaczyłeś? – spytałam, sadowiąc się przed toaletką. Ruchem głowy wskazałam butelkę whisky, a Frank natychmiast podszedł, by nalać nam drinka.

– Tylko jakiegoś człowieka – zaczął, odmierzając jedną miarkę dla siebie i dwie dla mnie. – Stał na środku drogi.



– Przed naszym domem? – Roześmiałam się. –  
Więc to na pewno duch. Nie wyobrażam sobie, żeby  
ktokolwiek żywy zechciał wyjść w taką noc.

Frank przechylił dzbanek nad swoją szklanką.  
Rzucił mi oskarżycielskie spojrzenie, kiedy nie doczekał się  
nawet kropli wody.

– Nie patrz tak – powiedziałam. – To ty wszystko  
zużyłeś. Zresztą mogę pić tak, jak jest. – Pociągnęłam łyk,  
żeby to zademonstrować.

Frank najwyraźniej miał ochotę pobiec do  
umywalni po wodę, ale zrezygnował i zaczął opowiadać,  
popijając alkohol niezwykle ostrożnie, jakby spodziewał się  
poczuć kwas pruski zamiast najlepszej słodowej whisky  
Glenfiddich.

– Stał tuż przy płocie ogródka. Wydawało mi się... –  
zawahał się ze wzrokiem wbitym w kieliszek – że spoglądał  
w twoje okno.

– W moje okno? To niezwykle. – Nie zdołałam  
pohamować lekkiego dreszczu.

Ruszyłam do okiennic, by je pozamykać, choć na to  
wydawało się już nieco za późno.

Frank szedł za mną, nie przestając opowiadać.

– Tak, i ja też cię widziałem. Cesałaś włosy i  
klełaś, bo ci stawały dęba.

– W takim razie ten facet miał pewnie niezłą  
zabawę – rzuciłam cierpko.

Frank pokręcił głową, choć uśmiechnął się i  
pogładził mnie po głowie.

– Nie, nie śmiał się. Prawdę mówiąc, wydawał się

strasznie nieszczęśliwy. Nie widziałem zbyt dobrze jego twarzy, ale było coś dziwnego w sposobie, w jaki stał...

Podszedłem do niego od tyłu, a kiedy się nie odwrócił, spytałem grzecznie, czy mogę mu w czymś pomóc. Z początku zachowywał się tak, jakby mnie nie słyszał, i właściwie chyba mógł nie słyszeć przez ten wiatr, więc spytałem raz jeszcze i chciałem dotknąć jego ramienia... żeby mnie zauważył, rozumiesz? Ale zanim zdołałem to zrobić, odwrócił się i odszedł.

– Niezbyt grzeczny, ale nie zachowywał się jak duch – zauważyłam, osuszając szklaneczkę. – Jak wyglądał?

– Wielki chłop – oznajmił Frank, marszcząc brwi z namysłem. – Szkot, w kompletnym stroju, włącznie ze sporraniem i najpiękniejszą na świecie broszą z pędzącym jeleniem. Chciałem go spytać, skąd ją wziął, ale zniknął, zanim zdążyłem otworzyć usta.

Podeszłam do biurka i nalałam kolejnego drinka.

– Cóż, wygląd całkiem na miejscu jak na tę okolicę, prawda? Od czasu do czasu w wioskach widuje się tak ubranych ludzi.

– Nie... – Frank nie wydawał się przekonany. – To nie jego ubranie było dziwne.

Przechodził obok mnie niezwykle blisko, powinniśmy otrzeć się o siebie przynajmniej rękami... a tak się nie stało. Zaintrygowany, odwróciłem się i odprowadziłem go wzrokiem. Szedł przez Gereside Road, ale zanim dotarł do zakrętu... zniknął. Dopiero wtedy zrobiło mi się trochę niewyraźnie.

– Może na chwilę straciłeś go z oczu, może wszedł w cień – zasugerowałam. – Koło tego zakrętu rośnie dużo drzew.

– Mógłbym przysiąc, że nie odwróciłem od niego wzroku ani na moment – mruknął Frank. Nagle podniósł na mnie oczy. – Wiem! Przypomniałem sobie, dlaczego wydał mi się taki dziwny, choć wtedy nie zdawałem sobie z tego sprawy.

– No? – Ten duch zaczynał mnie trochę męczyć. Chciałam przejść do bardziej interesujących kwestii... takich jak łóżko.

– Wiatr wiał wściekle, ale fałdy ubrania tego mężczyzny... kiltu i szala... w ogóle się nie poruszały. Dopiero wtedy, kiedy zaczął iść. Przez chwilę patrzyliśmy na siebie.

– Taak – odezwałam się w końcu. – To trochę niesamowite.

Frank wzruszył ramionami i uśmiechnął się nagle.

– Przynajmniej będę miał co opowiedzieć pastorowi, kiedy się z nim spotkam. Może to jakiś słynny miejscowy duch, a on wyjawi mi jego krwawą historię. – Zerknął na zegarek. – Ale teraz pora do łóżka.

– Otóż to – mruknęłam.

Przyglądałam się w lustrze, jak zdejmuję koszulę. Nagle przerwał rozpinanie guzików.

– Spotykałaś jakichś Szkotów? – spytał niespodziewanie. – W szpitalu polowym albo w Pembroke?

– Naturalnie – odpowiedziałam, nieco zdumiona. – W szpitalu polowym w Amiens było paru Seaforthów i

Cameronów, a później, po Caen, mieliśmy partię Gordonów. Dość mili... przeważnie. Bardzo filozoficznie podchodzili do życia, ale na widok zastrzyków zaczęli panikować. – Uśmiechnęłam się na wspomnienie jednego ze swoich pacjentów.

– Mieliśmy takiego... stary wyga, kobziarz z Third Seaforths... nie pozwalał sobie zrobić zastrzyku, zwłaszcza w pośladek. Całymi godzinami znosił najbardziej dokuczliwy ból, zanim się zgodził, aby ktoś podszedł ze strzykawką, a nawet wtedy usiłował nas skłonić, żebyśmy zrobili mu zastrzyk w ramię, choć miał być domięśniowy. – Parsknęłam śmiechem, przypomniawszy sobie kaprała Chisholma. – Powiedział: „Jeśli mam leżeć na brzuchu z gołym tyłkiem, to chcę, żeby dziewczyna była pode mną, nie za mną, w dodatku ze szpilką do kapeluszy!”.

Frank uśmiechnął się z odrobiną skrepowania, jak zwykle przy moich wojennych opowieściach.

– Nie przejmuj się – pocieszyłam go. – Nie opowiem tego na herbatce w pokoju profesorskim.

Uśmiech stał się pogodniejszy; Frank stanął przy toaletce i pocałował mnie w czubek głowy.

– Nie martw się – powiedział. – Ciało pedagogiczne będzie tobą zachwycone, bez względu na opowieści, jakimi ich uraczysz. Mmm... Ślicznie pachną ci włosy.

– Naprawdę?

W odpowiedzi jego dłonie ześliznęły się mi po ramionach i zamknęły się na moich piersiach, przykrytych tylko cienką nocną koszulą. Widziałam w lustrze jego głowę, opartą podbródkiem na czubku mojej.

– Cała jesteś śliczna – szepnął ochryple. – W świetle świec wyglądasz jeszcze piękniej. Masz oczy jak sherry w kryształach, a twoja skóra lśni niczym kość słoniowa.

Czarownica płomieni świec, to ty. Może na stałe odłączymy prąd?

– Będzie trudno czytać w łóżku – zauważyłam.

Serce zaczęło mi bić szybciej.

– Znam ciekawsze rzeczy, które można robić w łóżku – wymamrotał.

– Na przykład? – Wstałam i zarzuciłam mu ręce na szyję.

Później, kiedy leżeliśmy przytuleni do siebie za zaryglowanymi okiennicami, uniosłam głowę z jego ramienia i spytałam:

– Dlaczego nie spytałeś mnie wcześniej? O to, czy miałam do czynienia ze Szkotami.

Musiałeś wiedzieć, że tak. Przez szpitale połowe przewijają się najróżniejsi ludzie.

Poruszył się i delikatnie przesunął dłonią po moich plecach.

– Mmm... Wiesz, kiedy zobaczyłem tego gościa na zewnątrz, przyszło mi do głowy, że to może być... – zawahał się i przytulił mnie odrobinę mocniej. – No, wiesz, że to może jakiś twój pacjent. Dowiedział się, że tu będziesz, i przyszedł cię odwiedzić... No, takie tam rzeczy.

– Dlaczego więc nie wszedł do domu i nie poprosił o spotkanie? – spytałam rzeczowo.

– Może – rzucił Frank niedbale – nie chciał natknąć

się na mnie.

Podniosłam się na łokciu i spojrzałam na niego. Zostawiliśmy zapaloną jedną świecę, więc widziałam go dość dobrze. Odwrócił głowę i przyglądał się z nadzwyczaj obojętną miną oleodrukowi księcia Charliego, którym pani Baird uznała za stosowne udekorować nasz pokój.

Chwyliłam Franka za brodę i odwróciłam jego głowę ku sobie. Spojrzał na mnie z udanym zdziwieniem.

– Sugerujesz, że z tym mężczyzną na zewnątrz łączył mnie jakiś... jakiś... – zawahałam się, szukając odpowiedniego słowa.

– Romans? – podsunął uczynnie.

– Romantyczny związek? – dokończyłam.

– Nie, absolutnie nie – zapewnił bez przekonania. Uwolnił twarz z mojego uchwytu i chciał mnie pocałować, ale teraz to ja odwróciłam głowę. Przyciągnął mnie ku sobie i zmusił, żebym położyła się obok niego. – Ja tylko... Widzisz, Claire, przecież minęło sześć lat. Spotkaliśmy się tylko trzy razy, ostatnim razem zaledwie na jeden dzień. Nie byłoby niczym dziwnym, gdybyś... chcę powiedzieć, że wszyscy wiedzą, iż lekarze i pielęgniarki żyją w ciągłym stresie i... no, po prostu... ja tylko... no, zrozumiałbym, gdyby coś, hm, spontanicznego...

Przerwałam mu to mamrotanie, wyszarpując się z jego objęć, i wyskoczyłam z łóżka.

– Uważasz, że cię zdradziłam? – rzuciłam. – Jeśli tak, możesz w tej chwili opuścić ten pokój. I w ogóle ten dom! Jak śmiesz zarzucać mi coś podobnego?

Pieniłam się z wściekłości. Frank usiadł i wyciągnął

rękę, chcąc mnie uspokoić.

– Nie dotykaj mnie! – warknęłam. – Powiedz tylko, naprawdę uznałeś, że miałam płomienny romans z jakimś pacjentem, ponieważ obcy mężczyzna przypadkiem spojrział w moje okno?

Frank wstał i wziął mnie w ramiona. Nadal byłam sztywna niczym żona Lota, ale nie rezygnowałam. Gładził moje włosy i ramiona, tak jak lubiłam.

– Nie, wcale tak nie myślę – zaprzeczył gorliwie. Przyciągnął mnie bliżej, a ja nieco się rozluźniłam, choć nie na tyle, by go objąć. Po długiej chwili wyszeptał mi we włosy: – Nie... wiem, że nigdy byś nie zrobiła czegoś takiego. Chciałem tylko powiedzieć, że nawet gdyby... Claire, to dla mnie bez różnicy. Kocham cię ponad wszystko. I nigdy nie przestanę cię kochać. – Ujął moją twarz w dłonie; był wyższy ode mnie zaledwie o parę centymetrów, dzięki czemu mógł bez trudu patrzeć mi prosto w oczy. – Wybaczysz mi? – szepnął. Jego oddech, niosący słaby zapach whisky, musnął ciepłem moją twarz, a wargi, pełne i kuszące, znalazły się niebezpiecznie blisko.

Kolejny błysk z zewnątrz obwieścił nagły wybuch burzy, a deszcz zabębnił głośno o dachówki.

Powoli objęłam Franka w pasie.

– Niezmierzone jest miłosierdzie – zacytowałam. – Spada jako łagodna rosa z niebios...

Frank roześmiał się i uniósł wzrok; na suficie powstały ciemne zacieki, nie obiecujące nam spokojnej nocy.

– Jeśli to ma być próbka twojego miłosierdzia, to

nie chciałbym być świadkiem zemsty. – Jakby w odpowiedzi na jego słowa rozległ się huk grzmotu, potężny niczym wystrzał z moździerza. Oboje parsknęliśmy śmiechem, znowu uspokojeni.

Dopiero potem, wsłuchując się w jego miarowy, głęboki oddech, zaczęłam się zastanawiać. Jak powiedziałam, nie istniał żaden dowód niewierności. Mojej. Ale Frank miał rację: sześć lat to bardzo długo.

Zgodnie z umową, pan Crook zgłosił się dokładnie o siódmej następnego ranka.

– Cóż, pojedziemy zbierać rosę z kaczeńców, gołąbeczko? – spytał ze staroświecką galanterią. Przyprowadził motocykl, tak stary jak on sam. Po obu stronach tej ogromnej maszyny znajdowały się zgrabnie przymocowane prasy do roślin.

Nasza wyprawa okazała się leniwym spacerkiem po cichych łąkach, jeszcze bardziej spokojnych przez kontrast z grzmiącym rykiem motocykla pana Crooka. Starszy pan rzeczywiście doskonale znał się na okolicznej roślinności. Nie tylko wiedział, gdzie można znaleźć poszczególne okazy, ale wyjaśniał mi również, jakie przypadłości leczą i jak można przygotować preparaty. Żałowałam, że nie przyniosłam notesu, żeby zapisywać każde słowo, ale słuchałam z nateżeniem jego starczego, skrzypiącego głosu i starałam się utrwać wszystkie informacje w pamięci, układając rośliny w masywnych prasach.

Zatrzymaliśmy się na drugie śniadanie u podnóża dziwaczного wzgórza z płasko ściętym szczytem. Było zielone jak wszystkie inne, miało takie same turnie i skalne



występy, a jednak wyróżniało się jednym szczegółem: na zboczu wiła się wydeptanaścieżka, znikająca niespodziewanie w granitowej pieczarze.

– Co jest tam w górze? – spytałam, machnąwszy kanapką z szynką w kierunku owego miejsca. – Trochę za wysoko na pikniki.

– Aa... – Pan Crook zerknął ku szczytowi. – To Craigh na Dun, gołąbko. Miałem ci to pokazać, jak zjemy.

– Tak? Jest tam coś ciekawego?

– A jakże – potwierdził, lecz powstrzymał się przed bardziej szczegółowymi opisami.

Oznajmił, że zrozumie, kiedy zobaczę.

Miałam wątpliwości, czy starszy pan zdoła wdrapać się po tak stromym zboczu, ale wszystkie obawy wywietrzały mi z głowy, kiedy okazało się, że z trudem za nim nadążam, zapiąć i sapiąć. Wreszcie podał mi powykręcaną dłoń i wciągnął na szczyt wzgórza.

– Jesteśmy na miejscu – machnął ręką z gospodarską dumą.

– Ależ to Stonehenge! – zawołałam z zachwytem. – Miniaturowe Stonehenge!

Ze względu na wojnę przez parę lat nie odwiedzaliśmy doliny Salisbury, ale razem z Frankiem widzieliśmy Stonehenge tuż po ślubie. Podobnie jak inni turyści, błakaliśmy się, przejęci podziwem, pomiędzy ogromnymi głazami, gapiliśmy się na Kamienny Ołtarz („gdzie dawni druidowie składali ofiary z ludzi”, według określenia przewodnika, oprowadzającego włoską wycieczkę, której uczestnicy posłusznie fotografowali dość

zwyczajnie wyglądającą stertę gruzu).

Ta sama skrupulatność, która zmuszała Franka go do wieszania krawatów na wieszaku w taki sposób, by ich końce znajdowały się na równym poziomie, sprawiła, że kazał nam Obejść okrag i odmierzyć krokami odległość między dziurami Z i Y oraz policzyć progi w Kręgu Sarsen, leżącym na obrzeżu monstualnych głązów.

Po trzech godzinach znaleźmy już liczbę dziur Y i Z (pięćdziesiąt dziewięć, jeśli to kogoś interesuje; mnie nie), ale w dalszym ciągu wiedzieliśmy o przeznaczeniu tej konstrukcji równie mało, jak wszyscy archeolodzy, amatorzy i zawodowcy, którzy od pięciuset lat pełnią pomiędzy owymi kamieniami.

Teorii oczywiście nie brakuje. Życie pomiędzy akademikami nauczyło mnie, że dobrze sformułowana teoria jest zazwyczaj lepsza niż źle sformułowany fakt.

Świątynia. Stos ofiarny. Obserwatorium astronomiczne. Miejsce egzekucji (stąd błędnie nazwany „Kamień Ofiarny”, przewrócony na bok i na wpół zagrzebany). Targ na świeżym powietrzu. To ostatnie podobało mi się najbardziej. Już widziałam megalityczne gosposie, jak przechadzają się z koszykami, krytycznie przyglądają się nowemu transportowi dzbanków z czerwonej gliny i sceptycznie wysłuchują nawoływań piekarzy i sprzedawców bursztynowych paciorków oraz łopat z jeleniej kości.

Jedyny dowód stojący w sprzeczności z tą hipotezą stanowiły ciała znalezione pod Kamiennym Ołtarzem oraz spalone szczątki w dziurach Z. Grzebanie zwłok na targu

wydawało mi się nieco niehigieniczne – chyba że były to ciała kupców oskarżonych o oszukiwanie na wadze.

W miniaturowym Stonehenge na szczycie wzgórza nie zauważyłam żadnych śladów pochówków. Mówiąc „miniaturowy”, mam na myśli jedynie to, iż kamienie w kręgu wyglądały na mniejsze od tych z prawdziwego Stonehenge. Każdy z nich był dwukrotnie większy ode mnie i odpowiednio szeroki.

Podśledzałam, jak jakiś przewodnik ze Stonehenge wyjaśnił, iż kamienne kręgi są rozsiane po całej Wielkiej Brytanii i Europie. Jedne są w lepszym stanie, inne w gorszym, nie które różnią się nieco położeniem lub kształtem, ale nikt nie potrafi odgadnąć przeznaczenia i pochodzenia żadnej z tych tajemniczych budowli.

Pan Crook stał, dobrotliwie uśmiechnięty, kiedy myszkowałam pomiędzy kamieniami, od czasu do czasu zatrzymując się, by delikatnie dotknąć tego lub owego, całkiem jakby mogło to zrobić wrażenie na monumentalnych głazach.

Niektóre z nich były poznaczone cętkami lub paskami w rozmytych kolorach. Inne lśniły płatkami miki, które odbijały radosny blask porannego słońca. Wszystkie zdecydowanie odróżniały się od skalnego podłoża. Ten, kto zbudował ów krąg – bez względu na jego przeznaczenie – najwyraźniej uważał swoje dzieło za tak istotne, iż zadał sobie trud sprowadzenia budulca z kamieniołomów, odpowiedniego ukształtowania materiału i przeniesienia na określone miejsce. Ukształtowania – ale w jaki sposób?

Przeniesienia – jak i z jakiej niewyobrażalnej

odległości?

– Mój mąż byłby zauroczony – powiedziałam, dziękując panu Crookowi za wycieczkę.

– Później go tu przyprowadzę.

Zgarbiony staruszek podał mi rycersko ramię, które z wdzięcznością przyjąłem, rzuciwszy okiem na stromo schodzącą w dół ścieżkę. Uznałem, że mimo podeszłego wieku z pewnością poradzi sobie lepiej ode mnie.

Po południu popędziłem ku wiosce, żeby odebrać Franka z plebani. Radośnie wciągałem w płuca upajającą woń wrzosu, szałwi i janowca, zaprawioną dymem z kominów i zapachem smażonego śledzia. Wioska przycupnęła w małej kotłince u stóp jednej z niebosiężnych gór, wyrastających stromo z wrzosowiska. Rozsiane wzdłuż drogi chatki wyglądały bardzo ładnie. Powojenny dobrobyt objawił się głównie pod postacią świeżej warstwy farby na ścianach. Nawet plebania, licząca sobie co najmniej sto lat, pyszniła się jaskrawożółtymi ozdobami wokół spaczonych okiennych framug.

Drzwi otworzyła mi gospodyni pastora – wysoka, żylasta kobieta z potrójnym sznurkiem sztucznych pereł na szyi. Usłyszawszy moje nazwisko, zaprosiła mnie do środka i poprowadziła długim, wąskim i ciemnym korytarzem, na którego ścianach wisiały rzędy żółtych rycin przedstawiających słynne osobistości lub ukochanych krewnych obecnego pastora. Choć równie dobrze mogły to być wizerunki członków rodziny królewskiej. Tak niewiele dawało się dostrzec w mroku.

Jakby prawem kontrastu w gabinecie pastora

oślepiało światło, lejące się do środka przez ogromne okna, sięgające od podłogi do sufitu. Stojące przy kominku sztalugi z nie dokończonym obrazem, przedstawiającym czarne klify na tle wieczornego nieba, tłumaczyły powód istnienia okien, które najwyraźniej zostały przebite na długo po wybudowaniu domu.

Frank i niski, zażywny mężczyzna w koloratce grzebali radośnie w stercie pogniecionych papierzysk na biurku po drugiej stronie pokoju. Frank ledwie na mnie spojrzał, ale pastor grzecznie pospieszył ku mnie z twarzą rozjaśnioną uprzejmym uśmiechem.

– Witam panią! – zakrzyknął, energicznie potrząsając moją dłoń. – Cieszę się, że znów się spotykamy. Przyszła pani w samą porę, by usłyszeć nowiny!

– Jakie nowiny? – Oszacowałam rodzaj papieru i czcionki leżących na biurku dokumentów i doszłam do wniosku, że wspomniane nowiny dotyczą pewnie wydarzeń z roku mniej więcej tysiąc siedemset pięćdziesiątego. Nie ma co liczyć, żeby ogłosili je w radiu.

– Śledziliśmy losy przodka pani męża, Jacka Randalla, na podstawie wojskowych depech z tego okresu. – Pastor pochylił się ku mnie i wymamrotał kątem ust, całkiem jak gangsterzy w amerykańskim filmie: – Pozwoliłem sobie... hm... pożyczyć oryginały depech z miejscowego archiwum Towarzystwa Historycznego. Proszę nikomu nie mówić!

Przyrzekłam z pewnym rozbawieniem, że nie zdradzę tego strasznego sekretu, i rozejrzałam się za

jakimś krzesłem, na którym mogłabym wysłuchać najnowszych rewelacji z osiemnastego wieku. Fotel pod oknem wyglądał zachęcająco, ale kiedy obróciłam go w stronę biurka, okazało się, że jest już zajęty. Mały chłopczyk ze strzechą lśniących czarnych włosów leżał na nim zwinięty w kłębuszek i spał snem sprawiedliwego.

– Roger! – Pastor był równie zaskoczony jak ja. Chłopczyk usiadł i otworzył oczy koloru mchu. – Co ty tu robisz, łobuzie? – spytał czule pastor. – A, znowu zasnąłeś nad komiksem? – Zebrał kolorowe stroniczki i podał je dzieciakowi. – Uciekaj stąd, mam coś do załatwienia z państwem. A, poczekaj, zapomniałem cię przedstawić. Pani Randall, to mój syn Roger.

To mnie nieco zaskoczyło. Gdybym miała opisać zaprzysięgłego starego kawalera, był by nim wielebny Wakefield. Jednak grzecznie ujęłam wyciągniętą łapkę i uścisnęłam ją ciepło, opierając się pokusie, by zaraz potem wytrzeć lepką rękę o spódnice.

Czcigodny Wakefield spojrzął z uczuciem za chłopcem, który powędrował w kierunku kuchni.

– Tak naprawdę jest to syn mojej siostrzenicy – wyznał. – Ojciec został zestrzelony nad kanałem La Manche, matka zginęła podczas nalotu, więc się nim zaopiekowałem.

– To szlachetnie z pana strony – mruknęłam, myśląc o wujku Lambie.

On także zginął podczas nalotu, w audytorium British Museum, gdzie wygłaszał wykład. O ile go znałam, z pewnością jego najsilniejszym doznaniem była ulga, iż

skrzydło z perskimi zabytkami zostało oszczędzone.

– Nic podobnego. – Pastor machnął dłonią z zażenowaniem. – po prostu miło mieć w domu jakieś młode stworzenie. No, proszę usiąść.

Frank zaczął mówić, zanim jeszcze zdążyłam odstawić torebkę.

– Najbardziej niespodziewany uśmiech losu! – zakrzyknął z entuzjazmem, grzebiąc w wyświechtanych kartkach. – Pastor odnalazł cały szereg wojskowych depesz, dotyczących Jonathana Randalla.

– Większość z nich wydaje się dziełem samego kapitana Randalla – zauważył pastor, przejmując od Franka część dokumentów. – Przez jakieś cztery lata dowodził garnizonem w Fort William, ale wygląda na to, że sporo czasu poświęcał napadaniu na szkockie tereny wzdłuż granicy... oczywiście w imieniu królestwa. Tutaj – wskazał z ożywieniem na stosik papierów – są skargi na kapitana wystosowane przez rozmaite rodziny i różnych właścicieli ziemskich, zarzucających mu wszystko, od bałamucenia służących, a nawet żołnierzy z garnizonu, po kradzież koni, nie wspominając już całej kolekcji skarg na nieokreślone „obelgi”.

Poczułam się rozbawiona.

– Więc masz w rodzinie taką czarną owcę?

Frank wzruszył beztrąsko ramionami.

– Był, kim był, i nic na to nie poradzę. Chcę tylko dowiedzieć się o nim naprawdę wszystkiego. Takie skargi nie są niczym nadzwyczajnym jak na ten okres historyczny.

Anglicy w ogóle, a zwłaszcza żołnierze, nie cieszyli

się w Szkocji specjalną sympatią. Tak naprawdę dziwne jest to, że najwyraźniej wszystkie skargi, nawet najpoważniejsze, nie odniosły żadnego skutku.

Pastor, który nie mógł usiedzieć spokojnie ani chwili dłużej, wpadł mu w słowo.

– Właśnie! Oczywiście oficerowie zachowywali się zgodnie z ówczesnymi obyczajami; mieli dużą swobodę w pomniejszych sprawach. Ale mimo wszystko to dziwne. Nikt nie badał tych spraw, choćby tylko po to, żeby je następnie oddalić. Po prostu nikt więcej o nich nie wspominał. Wie pan, co podejrzewam? Pański przodek miał protektora.

Kogoś, kto bronił go przed zwierzchnikami.

Frank podrapał się po głowie, spoglądając spode łba na depesze.

– Może i racja. Ale to musiał być ktoś naprawdę wpływowy. Może jakiś dowódca na wysokim szczeblu wojskowym albo dostojnik...

– Tak, albo... – Kolejną teorię pastora przerwało wejście gospodyni, pani Graham.

– Przyniosłam coś na ząb – oznajmiła, zdecydowanym ruchem stawiając tacę na środku biurka. Pastor w ostatniej chwili zdążył uratować swoje cenne depesze.

Gospodyni zmierzyła mnie baczным spojrzeniem. – Przyniosłam tylko dwie filiżanki, bo myślałam, że może pani Randall zechce odwiedzić mnie w kuchni. Mam trochę... – Nie czekając na dalsze wyjaśnienia, czym prędzej zerwałam się z miejsca. Ledwie zdążyliśmy się



zbliżyć do wahadłowych drzwi kuchni, za naszymi plecami już szemrał dalszy ciąg dyskusji.

Herbata była zielona, gorąca i wonna, z wirującymi listkami.

– Mmm – westchnęłam, odstawiając filiżankę. – Tak dawno nie piłam ulungu...

Pani Graham skinęła głową, błyszczącym okiem napawając się moim zachwytem.

Najwyraźniej zadała sobie sporo trudu, żeby mnie godnie przyjąć. Filiżanki z cieniutkiej kremowej porcelany stały na serwetkach z ręcznie robionej koronki, a wafle były podane z gęstą śmietanką.

– Tak. Nie sposób było jej dostać przez wojnę. A jest najlepsza do czytania. Z tym Earl Grey'em to miałam coś okropnego, mówię pani. Listki rozpadają się tak szybko, że nie da się z nich nic zrozumieć.

– O, pani wróży z fusów? – spytałam z lekkim rozbawieniem. Nic bardziej odbiegającego od popularnego wyobrażenia cygańskiej wróżki niż pani Graham o siwych włosach skreconych silną ondulacją i z potrójnym naszymi ze sztucznych pereł. Łyk herbaty wyraźnie przesunął się wewnątrz długiej, żylastej szyi i zniknął pod lśniącymi paciorkami.

– Owszem, moja droga. Tak samo jak moja babka i jej babka. Wypij do końca, a zobaczę, co tam masz.

Przez długą chwilę siedziała w milczeniu, od czasu do czasu przechylając filiżankę do światła lub powoli obracając ją w chudych dłoniach.

Wreszcie odstawiła naczynie tak ostrożnie, jakby

mogło jej wybuchnąć w twarz.

Bruzdy z jednej strony ust pogłębiły się, a brwi zbiegły się w grymasie, mogącym wyrażać zaskoczenie.

– No, no – powiedziała wreszcie. – To jeden z dziwniejszych układów.

– Tak? – Nadal byłam rozbawiona, ale zaczynało mnie to ciekawić. – Poznam bruneta wieczorową porą czy pojedę za ocean?

– Może. – Pani Graham podchwyciła żartobliwy ton. – A może i nie. To ci dopiero!

Jedno zaprzecza drugiemu. Ten zakrzywiony listek zwiastuje podróż, ale przekreśla go inny, złamany; ten znów oznacza życie osiadłe. No i są obcy mężczyźni, nawet kilku.

Jeden z nich to twój mąż, jeśli dobrze odczytałam wróżbę.

Moje rozbawienie nagle się ulotniło. Po sześciu latach rozłąki i sześciu miesiącach wspólnego życia mój mąż rzeczywiście był mi obcy. Choć nie potrafiłam sobie wytłumaczyć, jak to możliwe, że fusy o tym wiedzą.

Pani Graham ciągle patrzyła na mnie ze zmarszczonymi brwiami.

– Pokaż mi rękę, dziecko – rozkazała.

Jej dłoń była koścista, lecz zaskakująco ciepła. Z przedziałka pochylonej, szpakowatej głowy emanował zapach lawendy. Gospodyni przyglądała się mojej ręce z namysłem, czasami wodząc po liniach palcem, jakby usiłowała odczytać mapę, na której wszystkie drogi giną w piaszczystych łąkach i pustkowiach.

– Co tam pani widzi? – spytałam, starając się zachować lekki ton. – A może mój los jest zbyt straszliwy, żeby o nim mówić?

– Ależ skąd, kochana. Los nie jest zapisany w liniach dłoni. To tylko jego ziarenko. – Ptasia głowa gospodyni przekrzywiła się na bok. – Te linie się zmieniają, pojmujesz?

W różnych momentach twego życia mogą wyglądać całkiem inaczej.

– Nie wiedziałam. Myślałam, że wyglądają tak samo od chwili urodzenia. – Walczyłam z pokusą, by wyszarpnąć rękę z jej uścisku. – Więc jaki jest sens w czytaniu z ręki? – Nie chciałam być niegrzeczna, ale to badanie nieco wytrąciło mnie z równowagi, zwłaszcza że nastąpiło tuż po wrózeniu z fusów.

Pani Graham uśmiechnęła się niespodziewanie i zacisnęła moje palce w pięść.

– Linie twojej dłoni pokazują, kim jesteś, kochana. To dlatego się zmieniają...

przynajmniej powinny. U niektórych ludzi są ciągle takie same. Ci biedacy nie umieją się zmienić, ale tacy nieczęsto się zdarzają. – Lekko uścisnęła i poklepała moje zwinięte palce. – Ty nie jesteś taka. Twoja dłoń świadczy, że już teraz zaszło w tobie sporo zmian jak na kogoś tak młodego. To pewnie przez wojnę – dodała jakby do siebie.

Znowu mnie zaciekawiła. Otworzyłam rękę.

– A więc kim jestem według tych linii?

Pani Graham zmarszczyła brwi, ale nie podjęła badania.

– Trudno powiedzieć. To dziwne, bo dłonie przeważnie są do siebie podobne. Nie identyczne, ale są pewne wzory, pojmujesz? ... – Uśmiechnęła się dziwnie ujmująco, ukazując bardzo białe i ostentacyjnie sztuczne zęby. – Tak właśnie pracuje wróżka. Co roku robię to na kościelnym festynie... a w każdym razie robiłam przed wojną. Teraz pewnie zacznę na nowo. Dziewczyna wchodzi do mojego namiotu, a tam ja... wystrojona w turban z pawim piórem, pożyczony od pana Donaldsona, i "szaty kapiące orientalnymi bogactwami" – czyli szlafrok pastora, cały w pawie i żółty jak słońce... Tak, dziewczyna wchodzi, a ja się jej przyglądam, choć udaję, że patrzę tylko na rękę. I widzę: bluzkę ma wydekoltowaną aż do pępka, czuć ją tanimi perfumami, a w uszach zawiesiła kolczyki długie do ramion. Nie trzeba kryształowej kuli, żeby przewidzieć, że do następnego festynu urodzi dziecko. – W szarych oczach pani Graham błysnęło łobuzerskie światelko.

– Choć jeśli nie nosi pierścionka, grzeczniej będzie powiedzieć, że najpierw wyjdzie za mąż.

Parsknęłam śmiechem, a ona mi zawtórowała.

– Więc wcale nie patrzy pani na ich ręce? Tylko zerka, żeby sprawdzić, czy nie mają obrączki?

Spojrzała na mnie z zaskoczeniem.

– No jakże, patrzę! Tylko wiem z góry, co tam zobaczę. Przeważnie. – Skinęła ku mojej otwartej dłoni. – Ale takiego wzoru jeszcze nie widziałam. Taki duży kciuk... – Pochyliła się jednak i lekko dotknęła mojego palca. – Pewnie się nie zmienił. To oznacza, żeś roztropna i niełatwo sprzeciwić się twej woli. – Mrugnęła do mnie. –

Przypominam sobie, że twój mąż tak powiedział. Podobnie jest z tym. – Wskazała na mięsiste wzniesienie u podstawy kciuka.

– Co to?

– Nazywamy to wzgórzem Wenus. – Zacisnęła surowo usta, choć ich kąciaki uniosły się uparcie ku górze. – U chłopca można by wnioskować, że lubi dziewczyny. Z kobietami jest inaczej. Żeby ująć to grzecznie, powiedziałabym, że twój mąż nie będzie cię zostawiać samej w łóżku. – Zachichotała, zaskakująco gardłowo i rubasznie, a ja zarumieniłam się lekko.

Gospodyni znowu zadumała się nad moją dłonią. Dziobnęła spiczastym palcem w parę miejsc, by podkreślić swoje słowa.

– A tutaj dobrze zaznaczona linia życia; jesteś zdrowa i zapewne tak już zostanie.

Linia życia jest przerwana, co znaczy, że twoje życie bardzo się zmieniło... no, to można powiedzieć o każdym z nas, nie? Ale twoja jest bardziej porwana niż u innych.

Rozszarpana na strzępy. A teraz linia małżeństwa...– znowu pokręciła głową. – Rozdzielona, ale to nic szczególnego. Oznacza dwa małżeństwa...

Moja reakcja była słaba i natychmiast ukryta, ale pani Graham ją zauważyła i rzuciła mi szybkie spojrzenie. Uznałam, że prawdopodobnie jest bardzo dobrą wróżką.

Potrząsnęła siwą głową.

– Nie, dziewczyno, nie. Twojemu mężowi nic się nie stanie. Ale gdyby... – Położyła nacisk na ostatnim

słowie, ściskając lekko moją dłoń. – Nie zwiędnieś w samotności i smutku. Należysz do tych kobiet, które potrafią znowu pokochać, jeśli stracą pierwszą miłość. – Zmrużyła krótkowzroczne oczy i przeciągnęła krótkim stwardniałym paznokciem po głębokiej linii małżeństwa. – Ale większość takich linii jest przerwana...

a twoja się rozwidła. – Zerknęła na mnie z łobuzerskim uśmiechem. – A nie jesteś czasem bigamistką? Parsknęłam śmiechem.

– Nie. Kiedy miałabym na to czas? – Potem odwróciłam dłoń, pokazując zewnętrzną krawędź. – Słyszałam, że te małe znaki wskazują, ile dzieci będzie się miało.

Staralam się mówić niedbałym tonem. Ta część mojej dłoni była niepokojąco gładka.

Pani Graham wyśmiała jednak moje obawy.

– Jak już będziesz miała dzieciaka, albo lepiej dwoje, może i pokażą ci się linie. Ale prędzej doczekasz się siwych włosów. To niczego nie dowodzi.

– Naprawdę? – Poczulałam idiotyczną ulgę.

Chciałam jeszcze zapytać, czy wyraźne linie na nadgarstku mają jakieś znaczenie (potencjalna samobójczyni?), ale przerwało nam pojawienie się wielebnego Wakefielda, który wkroczył do kuchni z tacą. Postawił ją na suszarce i zaczął hałaśliwie i niezgrabnie szukać czegoś w kredensie, najwyraźniej pragnąc sprowokować reakcję gospodyni.

Pani Graham zerwała się na równe nogi, by bronić nietykalności swojego królestwa.

Bezceremonialnie odepchnęła wielebnego i zaczęła ustawiać na tacy akcesoria do herbaty. Pastor odciągnął mnie na bok, na bezpieczną odległość.

– Może przyjdzie pani do pokoju i wypije z nami jeszcze jedną filiżankę herbaty?

Dokonałiśmy wspaniałego odkrycia.

Widziałam, że mimo pozornego opanowania aż pęka z radości. Wyglądał jak chłopczyk z ropuchą w kieszeni. Niestety, wyglądało na to, że nie wykręcę się od odczytania rachunku z pralni, od szewca czy innego równie fascynującego dokumentu.

Frank był tak pochłonięty treścią postrzępionych kartek, że ledwie podniósł na mnie wzrok. Niechętnie oddał swoje skarby w pulchne dłonie wielebnego, stanął za jego plecami i zaczął czytać mu przez ramię, jakby nie mógł ścierpieć bodaj najkrótszego rozstania z nimi.

– Tak? – rzuciłam grzecznie, przeglądając brudne świstki. – Hmm, bardzo interesujące.

Rozpełzające się na wszystkie strony litery były tak spłowiałe i ozdobne, że niemal nie mogłam ich odcyfrować. Jedna karta, zachowana lepiej od innych, miała w nagłówku jakiś herb.

– Książę... Sandringham, prawda? – spytałam, spoglądając na herb z leżącym lampartem i nieco wyraźniejszy tekst zamieszczony poniżej.

– W rzeczy samej – potwierdził rozpromieniony pastor. – Ten ród już wygasł, jak pani wiadomo.

Nie miałam o tym zielonego pojęcia, ale skinęłam głową z mądrą miną. Przebywanie wśród oszalałych

historyków było dla mnie chlebem powszednim. Najwyraźniej wyczytali w tych śmieciach, że przodek Franka, niepoprawny Czarny Jack Randall, nie był jedynie dzielnym wojakiem w służbie królestwa, lecz zaufanym i tajnym agentem księcia Sandringhama.

– Prawie prowokator! Prawda, doktorze Randall? – Pastor odbił wdzięcznie piłeczkę do mojego męża.

– Rzeczywiście. Język jest bardzo powściągliwy... – Frank delikatnie odwrócił stronę.

– O, doprawdy? – wtrąciłam.

– Z dokumentów wynika, że Jonathan Randall miał za zadanie budzić sympatię dla jakobitów w znamienitych szkockich rodzinach w tych okolicach. Chodziło o to, by wykurzyć stąd wszystkich baronetów i przywódców klanowych, którzy mogliby żywić skryte sympatie w tym kierunku. Ale to dość dziwne. Czy sam Sandringham nie był uważany za jakobitę? – Frank zwrócił się do pastora z pytającym wyrazem twarzy. Pastor zrewanżował mu się identyczną miną.

– Tak, ma pan rację. Ale zaraz, sprawdźmy to w Cameronie... – Ruszył ku półce, wypełnionej tomami oprawnymi w cielecą skórę. – On na pewno wspomina Sandringhama...

– Jakie to wszystko pasjonujące – mruknęłam. Moja uwaga skierowała się ku ogromnej korkowej tablicy, zajmującej jedną ścianę od podłogi do sufitu.

Zapełniały ją najróżniejsze rzeczy; przeważnie rozmaite dokumenty, stare rachunki za gaz, korespondencja, zawiadomienia z rady diecezjalnej, luźne



kartki z książek, notatki nakreślone ręką pastora, lecz również małe przedmioty – klucze, kapsle od butelek i coś, co wydało mi się drobnymi częściami samochodowymi, połączonymi pluskiewkami i żyłką.

Leniwie przyglądałam się tym różnościom, puszczając mimo uszu toczącą się obok mnie dyskusję. (Zdecydowali, że księżę Sandringham prawdopodobnie był jakobitą).

Moją uwagę zwróciło drzewo genealogiczne, z najwyższą troskliwością przytwierdzone w rogu tablicy za pomocą czterech pinezek. Na jego szczycie widniały nazwiska z datami z początku siedemnastego stulecia. Ale to nie one, lecz nazwisko u dołu mnie szczególnie zaintrygowało:

„Roger W. (MacKenzie) Wakefield”.

– Przepraszam – odezwałam się, przerywając finał namiętej dysputy, czy lampart w książęcym herbie trzyma w łapie lilię, czy też krokus. – Czy to drzewo genealogiczne pańskiego syna?

– Co? A, tak, tak, oczywiście. – Pastor podbiegł, jeszcze bardziej rozpromieniony.

Czule odpiął kartę i położył ją na stole przede mną. – Nie chciałem, żeby zapomniał o własnej rodzinie, rozumie pani. To bardzo stary ród. Sięga początków siedemnastego wieku. – Jego pulchne palce pogładziły papier niemal z szacunkiem. – Dałem mu moje nazwisko, ponieważ to wydawało mi się bardziej na miejscu, ale pragnąłem, aby pamiętał o swoich przodkach. – Na twarzy wielbego pojawił się usprawiedliwiający grymas. –

Obawiam się, że moja rodzina nie ma się czym chwalić... przynajmniej genealogicznie.

Pastorzy i wikariusze, a od czasu do czasu księgarz dla urozmaicenia. Pierwsze ślady dopiero koło tysięcy siedemset siedemdziesiątego drugiego roku. Raczej kiepsko zachowane dokumenty – wyjaśnił, kiwając głową z ubolewaniem wobec niedbałości swoich antenatów.

Kiedy opuściliśmy plebanię, zrobiło się już całkiem późno. Pastor obiecał, że jutro z samego rana zabierze listy do miasta, by je skopiować. Frank paplał radośnie o szpiegach i jakobitach przez całą drogę do pani Baird. Wreszcie zauważył moje milczenie.

– Co się stało, skarbie? – spytał, obejmując mnie opiekuńczo. – Źle się czujesz? – W jego głosie zabrzmiała nuta troski i nadziei.

– Nie, czuję się doskonale. Zastanawiałam się tylko... – zawahałam się, ponieważ rozmawialiśmy już na ten temat. – Myślałam o Rogerze.

– O kim?

Westchnęłam zniecierpliwiona.

– Frank, doprawdy! Potrafisz być taki... zapominalski! Roger to syn wielbnego Wakefielda.

– A... Rzeczywiście – mruknął z roztargnieniem. – Uroczy dzieciak. I co?

– Hm... jest wiele takich dzieci jak on. Sierot.

Rzucił mi ostre spojrzenie i pokręcił głową.

– Nie, Claire. Naprawdę, chciałbym, ale mówiłem ci już, co sądzę o adopcji. Zrozum...

Nie czułbym się związany z dzieckiem, w którego

żyłach... no, nie płynie moja krew. To oczywiście idiotyczne i samolubne, ale tak właśnie jest. Może z czasem zmienię zdanie, ale teraz...

Przez chwilę szliśmy we wrogim milczeniu. Nagle Frank zatrzymał się i chwycił mnie za rękę.

– Claire – odezwał się gorącym szeptem. – Chcę, żebyśmy mieli własnego potomka.

Jesteś dla mnie najważniejsza na świecie. Pragnę nade wszystko twojego szczęścia, ale chcę też... no, chcę cię mieć dla siebie. Boję się, że dziecko, z którym nie będziemy naprawdę związani, wyda nam się intruzem, a tego bym nie zniósł. Ale dać ci dziecko, które w tobie urośnie, zobaczyć, jak przychodzi na świat... to coś więcej... jakby kontynuacja ciebie. I mnie. Prawdziwa część nas obojga. – Spojrzał na mnie błagalnie.

– Rozumiem.

Nie zamierzałam kontynuować tematu. Na razie. Odwróciłam się, ale Frank chwycił mnie w ramiona i zatrzymał.

– Claire, kocham cię. – W głosie Franka brzmiała czułość całego świata.

Oparłam głowę na jego piersi, poczułam ogarniające mnie ciepło męskich ramion.

– Ja też cię kocham.

Przez chwilę staliśmy, spleceni ze sobą, kołysząc się lekko na wietrze. Nagle Frank cofnął się nieco i uśmiechnął do mnie.

– Poza tym, – szepnął, odgarniając mi z twarzy wzburzone wiatrem włosy – jeszcze się nie poddaliśmy,

prawda?

Zrewanżowałam się takim samym uśmiechem.

– Oczywiście.

Wziął moją dłoń, włożył ją sobie pod ramię i ruszyliśmy ku naszym kwaterom.

– Gotowa do następnej próby?

– Tak. Czemu nie?

Szliśmy, ręka w rękę, ku Gereside Road. Dopiero widok Baragh Mhor, piktyjskiego kamienia na rozstajach, przypomniał mi o czymś.

– Prawda! – zawołałam. – Muszę ci pokazać coś fascynującego.

Frank spojrział na mnie i przytulił do siebie. Uścisnął mi dłoń.

– Ja też – powiedział z uśmiechem. – Ty pokażesz mi jutro.

Ale następnego dnia czekały nas inne zajęcia. Zapomniałam, że zaplanowaliśmy wycieczkę do Wielkiej Doliny nad Loch Ness.

Wstaliśmy wcześniej, jeszcze przed wschodem słońca. Przebiegliśmy galopem w lodowatym powietrzu poranka do czekającego samochodu, w którym umościliśmy się pod ciepłym przykryciem. Poczułam, że krew w dłoniach i stopach znowu zaczyna mi krążyć. Wraz z tym doznaniem ogarnęła mnie słodka senność i zapadłam w drzemkę, oparta o ramię Franka. Ostatnim obrazem, jaki zapamiętałam, była głowa kierowcy na tle rozjaśniającego się nieba.

Na miejsce dojechaliśmy po dziewiątej, a na brzegu

jeziora oczekiwał nas zamówiony przewodnik z małym skiffem.

– Jeśli to państwu odpowiada, pomyślałem, żeby się wybrać na małą wycieczkę do zamku Urquhart. Może tam coś przegryziemy, zanim ruszymy dalej. – Przewodnik, niski, surowy człowieczek w spłowiałej od słońca i deszczu bawełnianej koszuli i samodziałowych spodniach, zgrabnie schował piknikowy kosz pod siedzenie i podał mi stwardniałą dłoń, pomagając wejść na pokład.

Dzień był piękny; kipiąca zieleń brzegów odbijała się w gładkim lustrze jeziora. Nasz towarzysz mimo surowego wyglądu okazał się rozmowny, a ponadto dysponował sporą wiedzą. Pokazywał nam wysepki, zamki i ruiny wokół długiego, wąskiego jeziora.

– Tam dalej jest zamek Urquhart. – Skinął ku gładkiej skalnej ścianie, prawie zupełnie ukrytej za drzewami. – A raczej to, co z niego zostało. Odkąd przekłęty go wiedźmy z Doliny, spadały na niego same nieszczęścia.

Opowiedział nam historię Mary Grant, córki pana na zamku Urquhart, oraz jej kochanka Donalda Donna, poety i syna MacDonalda z Bohuntin. Ojciec dziewczyny zabronił im się spotykać ze względu na podejrzenia, iż MacDonald „zwija” każdą sztukę bydła, na którą się natknie (stara i szacowna szkocka profesja, jak zapewnił nas przewodnik), ale młodzi i tak się widywali. Ojciec dziewczyny zorientował się, co się święci. Donald został zwabiony na spotkanie i pojmany. Skazano na śmierć; błagał, by ścięto go jak dżentelmena, a nie wieszano jak

przestępcę. Prośbę uwzględniono i nieszczęsny złożył głowę na katowskim pniu, powtarzając: „Diabeł porwie pana Granta, a Donald Donn nie będzie wisieć”. I nie zawisł, a legenda głosi, że kiedy jego głowa potoczyła się po ziemi, przemówiła w te słowa: „Mary, podnieś mnie”.

Wzdrygnęłam się, a Frank objął mnie ramieniem.

– Została po nim jedna strofa – powiedział cicho. – Wiersz Donalda Donna. Brzmi tak:

*Jutro stanę na wzgórzu, pozbawiony głowy.*

*Czy któryś z was zapłacze nad mą smutną panną,*

*Łagodnooką Mary o kędziorach płowych?*

Wzięłam go za rękę i uściśnęłam lekko.

W miarę jak rozwijały się przede mną kolejne historie zdrady, morderstwa i gwałtu, stało się jasne, że jezioro zyskało sobie sławę budzącą grozę w całej okolicy.

– A potwór? – spytałam i wyjrzałam przez burtę w mroczne głębiny. W takiej okolicy przerażające monstrum wydawało się całkiem na miejscu.

Nasz przewodnik wzruszył ramionami i splunął w wodę.

– Bajdy, nic innego. Tak, ludzie opowiadając czymś starym i złym, co niegdyś siedziało w tych głębiniach. Składano mu ofiary: bydlatka, a czasem nawet małe dzieci, puszczane na wodę w łożynowych koszykach. – Znowu splunął. – mówią, że to jezioro nie ma dna, tylko dziurę na samym środku, głębszą niż wszystko inne w całej Szkocji.

Chociaż, z drugiej strony – zmarszczki wokół jego oczu pogłębiły się jeszcze bardziej – parę lat temu była tu rodzina z Lancashire. Wpadli z krzykiem na posterunek

policii w Invermoriston: widzieli, jak potwór wyłazi z wody i kryje się w paprociach. Podobno był straszny, porośnięty rudą szczecina, miał okropne rogi i żarł coś, a z pyska kapiała mu krew. – Uniósł dłoń, by powstrzymać mój okrzyk przerażenia. – Konstabl, którego tam wysłali, wrócił i powiedział: wszystko się zgadza oprócz tej krwi. Bardzo dokładny opis – zrobił pauzę dla lepszego efektu – ładnej krowki, pasącej się w krzakach!

Dotarliśmy do połowy jeziora, przybiliśmy do brzegu i zabraliśmy się do późnego obiadu.

Na łądzie czekał na nas samochód, którym wróciliśmy do Doliny. Nie zauważyliśmy niczego niezwykłego, jeśli nie liczyć lisa na drodze. Zwierze podniosło na nas zdumione oczy; z pyska zwisało mu jakieś bezwładne ciało. Rudzielec zręcznie zeskoczył na pobocze i pomknął w mrok, lekki jak cień.

Zrobiło się bardzo późno, kiedy wreszcie dotarliśmy do domu pani Baird. Stanęliśmy na schodkach – Frank szukał klucza – i zaśmiewaliśmy się, wspominając wydarzenia dnia.

Dopiero kiedy przebieraliśmy się do snu, przypomniałam sobie o miniaturowym kręgu kamieni na Craigh na Dun. Frank natychmiast otrząsnął się ze zmęczenia.

– Naprawdę? I trafisz tam? Fantastycznie! – Rozpromienił się i zaczął grzebać w walizce.

– Czego szukasz?

– Budzika.

– Po co? – spytałam ze zdumieniem.

– Chcę wstać na czas, żeby je zobaczyć.

– Kogo?

– Czarownice.

– Czarownice? Kto ci naopowiadał takich rzeczy?

– Pastor – oznajmił Frank, najwyraźniej rozkoszując się absurdem sytuacji. – Jego gospodyni jest jedną z wieźm.

Pomyślałam o dystyngowanej pani Graham i parsknęłam pogardliwie.

– Nie bądź śmieszny!

– No, może niezupełnie czarownice. W Szkocji żyły sobie spokojnie od wieków.

Zaczęto je palić na stosach dopiero w osiemnastym wieku, ale tak naprawdę można je nazwać spadkobierczyniami druidów. Nie chcę powiedzieć, że to prawdziwy sabat... no wiesz, że oddają cześć szatanowi. Ale pastor powiedział, że istnieje tu grupa, która nadal odprawia pradawne rytuały podczas starych świąt słońca. On sam nie może sobie pozwolić na zbyt otwarte zainteresowanie, ale jest zanadto ciekawy świata, żeby zupełnie zignorować takie wydarzenie. Nie wiedział, gdzie są odprawiane te ceremoniały, ale skoro w pobliżu znajduje się kamienny krąg, to właśnie tam muszą się odbywać spotkania – zatarł radośnie ręce. – Co za szczęście!

Pobudka przed świtem, by wyruszyć na spotkanie przygody, to niezła zabawa. Taka sama pobudka dwa razy z rzędu trąci już masochizmem.

Tym razem nie czekał na nas żaden wygodny samochód z kocami i termosami.



Dreptałam niemrawo za Frankiem, potykając się o wykroty i objając sobie na kamieniach palce.

Zimno i mgliście; chowałam zgrabiałe dłonie, jak mogłam najgłębiej, w kieszeniach.

Ostatni wysiłek i oto kamienny krąg stanął przed nami, niemal niewidzialny w ponurym półmroku przedświt. Frank stanął jak wryty, zastygły w podziw. Ja doczołgałam się do najbliższego kamienia i usiadłam ciężko, ledwie dysząc.

– Piękne – mruknął mój mąż. Podszedł bezszelestnie do zewnętrznego okręgu. Jego czarna sylwetka zniknęła w cieniach rzucanych przez głązy. Rzeczywiście były piękne, a poza tym cholernie przerażające. Zadrzałam – niezupełnie z zimna. Jeśli ich twórcy zamierzali kogoś nastraszyć, z pewnością im się udało.

Frank wrócił.

– Na razie nie ma tu nikogo – szepnęłam, cichutko podchodząc do mnie od tyłu.

Podskoczyłam jak oparzona. – Chodź, znalazłem dobry punkt obserwacyjny.

Niebo na wschodzie zaczynało się już rozjaśniać; nad horyzontem pojawił się pasek szarości, ale jeszcze nie zrobiło się tak jasno, żebym nie potykała się co chwila, kiedy Frank wprowadził mnie do olszynowego zagajnika tuż przy ścieżce. W środku znajdowała się maluteńka polanka, mogąca pomieścić dwie stojące ramie w ramie osoby. Rozciągał się z niej znakomity widok na ścieżkę i wnętrze kamiennego kręgu, oddalonego od nas o jakieś

sześć metrów. Po raz kolejny zaczęłam się zastanawiać, jakiego rodzaju zadania powierzano Frankowi podczas wojny. Z pewnością bardzo dobrze znał się na manewrach w ciemnościach.

Nieprzytomna z niewyspania, życzyłam sobie jedynie zwinąć się w kłębuszek pod jakimś przytulnym krzakiem i znowu zapaść w sen. Ale na to nie było tu miejsca, więc musiałam stać, wpatrując się w stromo biegnącą ścieżkę, którą w każdej chwili mogły nadejść druidessy. Czułam łupanie w krzyżu, bolały mnie nogi, ale w końcu nasze oczekiwanie nie powinno trwać długo; szara smużka na niebie nabrała bladoróżowego koloru, więc uznałam, że do świtu mamy nie więcej niż pół godziny.

Pierwsza szła niemal tak bezszelestnie jak Frank. Zdradził ją cichy grzechot kamyka, strąconego z grzbietu wzgórze. Zaraz potem w polu mojego widzenia pojawiła się gładko uczesana siwa głowa. Pani Graham. A więc to prawda. Gospodyni pastora była ubrana w praktyczną tweedową spódnicę i wełniany płaszcz, a pod pachą niosła jakieś białe zawiniątko. Zniknęła za jednym ze stojących kamieni, cicha jak duch.

Reszta zjawiała się zaraz potem, pojedynczo, dwójkami i trójkami, ze stłumionymi śmiechami i szeptami, które umilkły, gdy kobiety weszły w kamienny krąg.

Kilka z nich już znałam z widzenia. Pani Buchanan, miejscowa listonoszka, o jasnych włosach z nową ondulacją, roztaczająca silną woń perfum. Zdławiłam chichot. Więc tak wyglądają nowoczesne kapłanki druidów!

Było ich piętnaście, wyłącznie kobiety, od równolatek pani Graham po dwudziestoletnią dziewczynę, którą widziałam przed dwoma dniami w sklepie, pchającą wózek z dzieckiem. Wszystkie miały ubrania stosowne na długie piesze wycieczki; wszystkie nosły zawiniątka. Niemal bez słowa znikały za kamieniami lub krzakami, po czym wyłaniały się z pustymi rękami, odziane w białe szaty bez rękawów. Kiedy jedna z nich przeszła niedaleko nas, doleciał mnie zapach szarego mydła; szaty zostały sporządzone z prześcieradeł, owiniętych wokół postaci i związanych na ramieniu.

Zebrały się na zewnątrz kamiennego kręgu, od najstarszej do najmłodszej, i czekały w milczeniu. Niebo na wschodzie rozjaśniło się jeszcze bardziej.

Kiedy nad horyzontem pojawił się skrawek słonecznej tarczy, rząd kobiet zaczął się poruszać. Przechodziły powoli pomiędzy dwoma kamieniami; przywódczyni prowadziła je na środek kręgu, gdzie kroczyły w kółko, niezmiennie powolnym krokiem, dostojne niczym łabędzie.

Kobieta na przedzie zatrzymała się nagle, uniosła ręce i wystąpiła na środek kręgu.

Zwróciła twarz ku dwóm głazom wysuniętym najbardziej na wschód i cienkim głosem wydała okrzyk. Niezbyt głośno, lecz na tyle donośnie, by słyhać ją było w całym kręgu.

Nieruchoma mgła dławiała i zniekształcała słowa kobiety. Wydawało się, że to kamienie przemawiają własnym głosem.

Pozostałe tancerki – bo teraz uczestniczki spotkania stały się już tancerkami– podchwyciły sygnał przywódczyni. Nie dotykając się, lecz wyciągając ku sobie ramiona, podrygiwały i skłaniały się, nieustannie chodząc w koło. Nagle krąg się rozdzielił; siedem tancerek ruszyło zgodnie z ruchem wskazówek zegara, pozostałe krążyły w przeciwnym kierunku. Dwa półkola zachodziły na siebie z rosnącą prędkością, czasami tworząc pełny okrąg, czasem zaś podwójną linię. A w środku stała nieruchoma przywódczyni, ciągle zawodząca cienkim głosem w dawno zapomnianym języku.

Powinny wyglądać idiotycznie i pewnie tak było. Zbieranina kobiet, znacznej części otyłych i dalekich od sprawności, w prześcieradłach, paradująca w kółko na szczycie wzgórza. A jednak dźwięk ich zawodzenia sprawiał, że włosy jeżyły mi się na głowie.

Zatrzymały się jednocześnie i zwróciły twarzą ku wschodzącemu słońcu, uszeregowane w dwóch półkolach, pomiędzy którymi przebiegała wyraźnie wytyczona ścieżka. Słońce wydzwignęło się nad horyzont; jego promienie padły pomiędzy głązy skierowane na wschód, przebiegły wśród połówek kręgu i dosięgły wielkiego rozszczepionego kamienia po przeciwległej stronie.

Tancerki stały przez chwilę – znieruchomiałe cienie po obu stronach słonecznych promieni. Potem pani Graham odezwała się w tym samym dziwnym języku, ale już normalnym tonem. Obróciła się i przeszła po słonecznej ścieżce wyprostowana, z siwymi włosami lśniącymi w świetle. Tancerki poszły w milczeniu za jej przykładem.

Przeszły jedna za drugą przez szczelinę w głównym głazie i zniknęły.

Kryliśmy się w olszynie, dopóki kobiety, które teraz śmiały się głośno i rozmawiały, nie włożyły zwykłych ubrań i nie zeszyły razem po zboczach wzgórz, zmierzając na kawę do plebani.

– Jejuniu – jęknęłam, rozcierając zdrętwiałe plecy i nogi. – Ale scena, co?

– Wspaniała! – wykrzyknął uniesiony entuzjazmem Frank. – Nie przepuściłbym jej za skarby świata. – Wyśliznął się z zarośli jak wąż, nie czekając, aż wypłaczę się z nich o własnych siłach, i rzucił się ku kamiennemu kręgowi z nosem przy ziemi niczym posokowiec.

– Czego szukasz? – rzuciłam.

Z pewnym ociąganiem weszłam do kręgu, ale dzień zaczął się już na dobre, a kamienie, choć nadal robiły wspaniałe wrażenie, straciły upiorny wygląd.

– Znaków – odpowiedział, opadając na czworaki. – Skąd wiedziały, gdzie się zatrzymywać i od którego miejsca zacząć?

– Dobre pytanie. Niczego nie widzę. – Ale kiedy zerknęłam na trawę, zauważyłam interesującą roślinę u podstawy jednego z wysokich kamieni. Niezapominajka? Nie, chyba nie; miała pomarańczowy środek otoczony ciemnoniebieskimi płatkami. Ruszyłam ku niej, zaintrygowana. Frank miał słuch ostrzejszy niż ja; zerwał się na równe nogi, chwycił mnie za ramię i wywłókł z kręgu na chwilę przed pojawieniem się jednej z porannych tancerek.

Była to panna Grant, mała, przysadzista kobietka prowadząca – z dużym powodzeniem, sądząc po jej figurze – sklep z ciastkami i słodyczami na High Street.

Rozejrzała się wokół, mrużąc krótkowzroczne oczy, po czym pogrzebała w kieszeni w poszukiwaniu okularów. Wcisnęła je sobie na nos i zaczęła chodzić po kręgu. Wreszcie znalazła zgubioną spinkę do włosów. Wsunęła ją w gęste, lśniące loki. Najwyraźniej się nie spieszyła, usiadła sobie na głazie, przyjacielsko oparła się o jednego z kamiennych olbrzymów i leniwie zapaliła papierosa.

Frank westchnął z rozpaczą.

– Cóż – powiedział, zrezygnowany. – Lepiej już chodźmy. Wygląda na to, że ona może tu przesiedzieć cały ranek. Zresztą i tak nie widziałem żadnych wyraźnych oznaczeń.

– Może wrócimy tu później – podsunęłam, nadal zaciekawiona błękitną rośliną.

– Dobrze – zgodził się Frank. Stracił już zainteresowanie samym kręgiem, zaabsorbowany szczegółami ceremonii. Po drodze odpytywał mnie surowo, nalegając, żebym przypomniała sobie słowa okrzyków i figury tańca.

– Nordycki – oznajmił, wreszcie usatysfakcjonowany. – Te słowa mają nordyckie korzenie. Jestem tego niemal pewien. Ale taniec? – Potrząsnął głową w zamyśleniu. – Nie, taniec jest o wiele starszy. Oczywiście wikingowie także znali tańce w kręgach – dodał, unosząc groźnie brwi, jakby spodziewał się sprzeciwów. – Ale ten zmienny wzór z podwójnymi

szeregami.. hmm, to wygląda... cóż, niektóre tańce ludu kultury pucharów dzwonowatych, zachowane na ceramice, ukazują dość podobne układy, ale znowu... hmm...

Ponownie zapadł w naukowy trans. Od czasu do czasu mamrotał coś niewyraźnie, a ocknął się dopiero wtedy, gdy potknął się o jakąś przeszkodę u stóp wzgórza. Machnął rękami z okrzykiem zaskoczenia, pośliznął się i parę metrów przebył koziółkując.

Zatrzymał się w kępie końskiego szczawiu. Rzuciłam się na ratunek, ale kiedy dobiegłam do męża, już usiadł pomiędzy drżącymi zielonymi łądygami.

– Nic ci nie jest? – spytałam, choć sama widziałam, że jest w formie.

– Chyba nie... – Przesunął drżącą dłonią po czole, odgarnął z niego ciemne włosy. – O co się potknąłem?

– O to. – Uniosłam puszkę po sardynkach, porzuconą przez innego wycieczkowicza.

– Przekleństwo cywilizacji.

– Ach. – Odebrał mi ją, zajrzał do środka i rzucił za siebie. – Szkoda, że jest pusta. Po tej wyprawie jestem głodny jak wilk. Sprawdźmy, co pani Baird przewidziała na późne śniadanie?

– Możemy – zgodziłam się, wygładzając mu pasma włosów. – A możemy także zrobić z tego wczesny obiad. – Spojrzałam mu w oczy.

– Ach... – powtórzył zupełnie innym tonem. Powoli przesunął mi dłonią po ramieniu i szyi. Delikatnie musnął kciukiem płatek mojego ucha. – To także możliwe.

– Jeśli nie jesteś zanadto głodny – dodałam.

Druga ręka zaczęła pieścić moje plecy. Przyciągnął mnie ku sobie; czułam jego dotyk coraz niżej. Lekko rozchylił wargi, jego ciepły oddech połaskotał mi piersi.

Ostrożnie położyliśmy się w trawie; w tle falowały pierzaste łądygi. Frank pochylił się i pocałował mnie lekko. Rozpiął mi sukienkę, guzik za guzikiem, pieszcząc i drażniąc obrzmiałe czubki moich piersi. Wreszcie sukienka została rozpięta aż do talii.

– Ach... – powiedział jeszcze raz, znowu innym tonem. – Jak biały aksamit. – Głos mu ochryplł, a włosy znowu opadły na czoło, ale teraz już ich nie odgarniał.

Rozpiął mi stanik jednym wprawnym ruchem kciuka i zajął się oddawaniem hołdu moim piersiom. Potem wyprostował się, objął je obiema dłońmi, powoli przesunął ręce tak, że spotkały się pomiędzy sterczącymi wzgórzami, a potem płynnie obwiodł palcami moją klatkę piersiową aż do pleców. I znowu w górę, w dół... aż jęknęłam i odwróciłam się twarzą do niego. Nasze usta przywarły do siebie, a biodra ściśle się dopasowały.

Ukąsił mnie delikatnie w ucho.

Ręka wędrująca po moich plecach opadła niżej i zatrzymała się nagle. Poruszyła się znowu; Frank podniósł głowę i spojrzał na mnie z uśmiechem.

– Co to wszystko ma znaczyć? – spytał tonem wioskowego policjanta. – A raczej, co ma znaczyć brak tego wszystkiego?

– Jestem przewidująca – oznajmiłam z godnością. – Pielęgniarki muszą być przygotowane na wszystkie możliwości.



– Och, Claire – szepnęła, przesuwając dłonią pod moją spódnicą, wzdłuż uda aż do delikatnego, nie osłoniętego ciepła pomiędzy nogami. – Jesteś najprzerażliwiej praktyczną osobą, jaką znam.

Tego wieczoru usiadłam w salonie z wielką księgą na kolanach. Frank przystanął za mną.

– Co robisz? – spytał. Delikatnie złożył ręce na moich ramionach.

– Szukam pewnej rośliny – wyjaśniłam, założywszy palcem kartkę. – Tej, którą zauważyłam w kamiennym kręgu. Widzisz... – Otworzyłam książkę. – To może być coś z rodziny dzwonkowatych, wielosiłowatych lub ogórecznikowatych... do nich należą właśnie niezapominajki. Ale równie dobrze może to być nawet odmiana *Anemone patens*. – Wskazałam kolorową podobiznę sasanki. – Nie wyglądała mi na goryczkę; płatki nie były tak zaokrąglone, lecz...

– Wróć więc i zerwij tę roślinę? – zaproponował. – Pan Crook pożycz ci swojego gruchota albo... nie, mam lepszy pomysł. Pożycz samochód od pani Baird, jest bezpieczniejszy. Góra leży niedaleko od drogi.

– A potem już tylko sto metrów pionowo w górę – dokończyłam.

– Dlaczego ta roślina cię tak interesuje? – Odwróciłam się, żeby spojrzeć na Franka.

Lampa otoczyła jego głowę złotym konturem, jak aureolą ze średniowiecznych obrazów.

– Właściwie nie chodzi mi o jakieś zielsko. Skoro tam jedziesz, chciałbym, żebyś zerknęła na zewnętrzną

stronę kręgu.

– Dobrze – zgodziłam się posłusznie. – Po co?

– Ślady ognia. We wszystkich dostępnych materiałach o Beltane ogień jest częścią rytuału, ale te kobiety niczego nie paliły. Zastanawiam się, czy nie rozpały ogniska poprzedniego wieczoru. Choć historyczne źródła podają, że ogień powinien rozniecić pastuch. Wewnątrz kręgu nie było śladów ognia – dodał. – Ale odeszliśmy, zanim zdołałem sprawdzić teren na zewnątrz.

– Dobrze – powtórzyłam i ziewnęłam. Dwie pobudki z rzędu zaczynały dawać o sobie znać. Zamknęłam książkę i wstałam. – Pod warunkiem, że nie będę musiała wstać przed dziewiątą.

Prawdę mówiąc, do kamiennego kręgu dotarłam dopiero przed jedenastą. Mżyło i byłam cała przemoczona, ponieważ zapomniałam zabrać płaszcz przeciwdeszczowy.

Dokonałam pobieżnego badania gruntu na zewnątrz kręgu, ale jeśli nawet ktoś palił tam ognisko, zadał sobie wiele trudu, żeby usunąć ślady.

Łatwiej przyszło mi znaleźć roślinę. Była tam, gdzie zapamiętałam, u stóp najwyższego kamienia. Wzięłam parę próbek pędu i owinęłam je w chusteczkę, zamierzając zająć się nimi w samochodzie, gdzie miałam ciężkie prasy do roślin.

Najwyższy głaz w kręgu był rozszczepiony; pionowe pęknięcie dzieliło go na dwa po tężne odłamki. Dziwne – ta szczelina została zrobiona umyślnie. Widać było, że obie części pasują do siebie, a jednak rozsunięto je mniej więcej na metr.

Usłyszałam niski pomruk, dobiegający z jakiegoś niewidocznego źródła. Doszłam do wniosku, że w pęknięciu jednej ze skał może znajdować się rój leśnych pszczoł.

Chwyciłam się głazu, by prześliznąć się przez szparę.

Kamień krzyknął.

Odkoczyłam jak oparzona, potknęłam się i z rozmachem klapnęłam na ziemię.

Wytrzeszczyłam oczy na głaz, w jednej chwili zlane zimnym potem.

Nigdy w życiu nie słyszałam, żeby żywe stworzenie wydało podobny głos. Nie ma słów, by go opisać. Taki krzyk mógłby wydać tylko kamień. Straszliwy.

Pozostałe kamienie również zaczęły krzyczeć. Usłyszałam zgiełk bitwy, jęki umierających i rzenie rannych koni.

Potrząsnęłam gwałtownie głową, lecz głosy nie ucichły. Podniosłam się chwiejnie i pobiegłam, potykając się, ku skrajowi kręgu. Dźwięki otaczały mnie ze wszystkich stron; zęby zaczęły mnie boleć, czułam zawroty głowy. Przed oczami latały mi czarne płatki.

Nie wiem, czy poszłam ku szczelinie w głównym kamieniu, czy też to, co nastąpiło, było przypadkiem, ślepym trafem we mgle hałasu. Obudziłam się kiedyś na tylnym siedzeniu w samochodzie, ukołysana ruchem, ogarnięta błogim odrętwieniem. Kierowca zbyt ostro skręcił na most i stracił panowanie nad pojazdem, a ja ocknęłam się z błogostanu w jaskrawym świetle reflektorów i z

mdlącą świadomością, że spadamy w niezwykle szybkim tempie. Nastąpiło nagle wyszarpnięcie z jednego stanu i przeniesienie w drugi. Teraz doświadczałam podobnego uczucia, ale w znacznie większym stopniu.

Mogłabym powiedzieć, że moje pole widzenia skurczyło się do jednego czarnego punktu i zniknęło, pozostawiając po sobie nie ciemności, lecz świetlistą próżnię.

Mogłabym po wiedzieć, że wydawało mi się, iż wiruję wokół własnej osi albo że coś mnie wywraca na lewą stronę. Wszystko to prawda, lecz nic nie oddaje uczucia zupełnego rozpadu, potężnego uderzenia czymś, czego tam nie było.

Prawdą jest, że nic się nie poruszyło, nic się nie zmieniło, wydawało się, że nic się nie dzieje, a jednak poczułam pierwotne przerażenie, tak wielkie, że straciłam wszelką świadomość, kim, czym i gdzie jestem. Znajdowałam się w samym środku chaosu, którego nie można było opanować żadną siłą ciała czy umysłu.

Nie potrafię powiedzieć, czy straciłam przytomność, ale z pewnością przez jakiś czas nie miałam świadomości samej siebie. Obudziłam się, jeśli to właściwe określenie, kiedy się potknęłam o kamień u stóp wzgórza. Resztę drogi przebyłam poślizgiem i zatrzymałam się na kępie gęstej, rozwichrzonej trawy.

Czułam mdłości i kręciło mi się w głowie. Powlokłam się ku grupie młodych dębów i oparłam o jeden z nich, by się opanować. Z oddali dobiegał jakiś zgiełk, przypominający dźwięki, które usłyszałam i poczułam w

kamiennym kręgu. Jednak nie miał w sobie tamtego nieludzkiego gniewu. Odwróciłam się w stronę źródła hałasu. Mężczyźni znajdowali się dość daleko, kiedy ich spostrzegłam. Dwaj lub trzej, ubrani w kilty, śmignęli przez niewielką polankę. Z oddali dobiegł mnie hałas, który rozpoznałam jako strzały.

Upewniłam się do reszty, że nadal mam halucynacje, kiedy na ścieżce pojawiło się pięć czy sześć uzbrojonych w muszkiety postaci w czerwonych płaszczach i bryczesach.

Zamrugałam powiekami. Machnęłam sobie ręką przed nosem i uniosłam dwa palce.

Zobaczyłam także dwa palce, wyraźnie i bez żadnych wątpliwości. Brak zaburzeń widzenia. Nieufnie pociągnęłam nosem. Oszalającym zapach wiosennych drzew i lekka smużka woni koniczyny, rosnącej w kępie u moich stóp. Brak omamów węchowych.

Pomacałam się po głowie. Żadnej bolesności. Wstrząśnienie mózgu wykluczone. Puls nieco przyspieszony, ale stabilny.

Odległe hałasy nagle uległy zmianie. Zastąpił je tętent końskich kopyt. W moim kierunku pędziło kilka koni, na których siedzieli Szkoci w kiltach. Wrzeszczeli po celtycku. Uskoczyłam im z drogi ze zręcznością świadczącą o tym, że jednak nie doznałam fizycznych obrażeń, bez względu na stan psychiczny.

Rozwiązanie przyszło mi do głowy, kiedy jeden z żołnierzy, przewrócony przez uciekającego Szkota, wstał i teatralnie pogroził za nim pięścią. Oczywiście. Film!

Pokręciłam głową nad własną tępotą. Kręcą jakiś film kostiumowy i tyle. Pewnie coś o szkockich powstaniach.

Dobrze. Bez względu na wartość artystyczną scenariusza, ekipa z pewnością nie podziękowałaby mi za wprowadzenie do niego współczesnej nuty. Weszłam do lasu.

Zamierzałam obejść polanę szerokim łukiem i wyjść na drogę w miejscu, gdzie zostawiłam samochód. Jednak szło mi się gorzej, niż przewidywałam. Las był młody, a zwarte krzaki szarpały mnie za ubranie. Musiałam ostrożnie prześlizgiwać się przez zarośla i odczepiać sukienkę od jeżyn.

Gdyby był węzem, pewnie bym na niego nastąpiła. Pojawił się między drzewkami zupełnie niespodziewanie, a ja nie dostrzegłam go, dopóki spomiędzy zarośli nie wystrzeliła ręka, która złapała mnie za ramię.

Jego towarzysz zakrył mi usta. Zostałam wciągnięta w młodą dąbrowę. Wrywałam się im dziko, przerażona. Ten, który mnie schwytał, był mniej więcej mojego wzrostu, lecz miał zdecydowanie bardziej umięśnione ramiona. Poczułam słaby kwiatowy zapach, jakby wodę lawendową, a także coś bardziej przenikliwego, zmieszanego z ostrym smrodem męskiego potu. Sprężyste gałęzie zasłaniały drogę, którą mnie wlekli, a ja zauważyłam, że dłoń zaciśnięta wokół mojego przegubu wygląda jakby znajomo.

Potrząsnęłam głową, by uwolnić się od łapy zasłaniającej mi usta.

– Frank! – wybuchnęłam. – Co ty wyprawiasz, na miłość boską?

Nie wiedziałam, czy bardziej czułam ulgę, czy irytację. Wydarzenie w kamiennym kręgu wstrząsnęło moimi nerwami. Nie miałam ochoty na takie zabawy.

Ręka puściła mnie, ale kiedy się odwróciłam, zrozumiałam, że coś tu się nie zgadza.

Nie chodziło tylko o brak znajomego zapachu wody kolońskiej, lecz o coś bardziej subtelniejszego.

Stałam nieruchomo, a włosy zjeżyły mi się ze strachu.

– Nie jesteś Frankiem – wyszeptałam.

– Nie jestem – zgodził się, patrząc na mnie z wielkim zainteresowaniem. – Choć mam kuzyna o takim imieniu. Jednak wątpię, byś mogła nas pomylić, pani. Nie jesteśmy do siebie podobni.

Nie wiedziałam, jak wyglądał jego kuzyn, lecz on sam mógł uchodzić za brata Franka.

Niemal identyczna, giętka sylwetka i delikatne kości, te same rzeźbione rysy twarzy, proste brwi i szeroko rozstawione orzechowe oczy. Te same ciemne kędziory, gładko podwinięte na czole.

Ale włosy tego mężczyzny były długie, związane z tyłu rzemykiem. A śniada skóra stanowiła świadectwo miesięcy... nie, lat spędzonych na słońcu i wietrze. W niczym nie przypominała jasnozłotej opalenizny, którą Frank zyskał podczas naszych szkockich wakacji.

– Kim jesteś? – spytałam, czując się idiotycznie.

Frank miał licznych krewnych, lecz wydawało mi

się, że znam całą jego zamieszkałą w Anglii rodzinę. Z pewnością nie było pomiędzy nimi kogoś, kto wyglądałby tak jak ten człowiek. A Frank przecież by wspomniał o bliskim krewnym, który mieszka w Szkocji?

Nie tylko by wspomniał, lecz i zaproponował, żebyśmy odwiedzili kuzyna, w nadziei wydobycia z niego jakichś strzępów historii słynnego Czarnego Jacka Randalla.

Obcy uniósł jedną brew.

– Kim jestem? Mógłbym ci zadać to samo pytanie, pani, i mam do tego znacznie więcej praw. – Powolnym spojrzeniem zmierzył mnie od stóp do głów. Przyjrzał się mojej cienkiej sukience w piwonie z bezczelną aprobatą i z dziwnym rozbawieniem zatrzymał wzrok na moich nogach. Nie rozumiałam, o co mu chodzi, ale zaczęłam się denerwować.

Cofnęłam się o parę kroków, aż dotknęłam plecami drzewa.

Mężczyzna wreszcie odwrócił spojrzenie. Odetchnęłam z ulgą, całkiem jakby wypuścił mnie z dokuczliwego uścisku. Dopiero teraz poczułam, że wstrzymywałam oddech.

Sięgnął po surdut, przerzucony przez najniższą gałąź młodego dębczaka. Otrzepał odzienie z liści i zaczął wkładać.

Chyba krzyknęłam cicho, bo znowu na mnie spojrzał. Surdut miał barwę intensywnego szkarłatu, z długimi połami z tyłu, pozbawiony klap, zapinany na kołki.

Wywinęte mankiety mierzyły dobre piętnaście



centymetrów, a z jednego epoletu zwisała złota plecionka. Był to mundur dragona, oficera dragonów. Zrozumiałam. Oczywiście, to aktor z ekipy, na którą się natknęłam po drugiej stronie lasu. Ale krótka szpada u jego boku wyglądała zbyt realistycznie jak na rekwizyt.

Oparłam się o twarde pień drzewa, kojąco solidny. Splotłam ramiona w obronnym odruchu.

– Kim jesteś, do stu diabłów? – spytałam znowu.

Tym razem mój głos zabrzmiał nie zwykle słabo. Nawet ja usłyszałam w nim przerażenie.

Zignorował mnie, bez pośpiechu zapinając surdut. Dopiero potem znowu przeniósł na mnie wzrok. Skłonił się kpiąco z ręką na sercu.

– Jestem Jonathan Randall, kapitan dragonów Jego Królewskiej Mości. Do usług, pani.

Poderwałam się i rzuciłam do ucieczki. Przedzierałam się przez zbity gąszcz dębów i olch, nie czując jeżyn, pokrzyw, kamieni, zwalonych pni, wszelkich przeszkód. Za moimi plecami rozległ się jakiś okrzyk, ale byłam za bardzo przerażona, by dokładnie określić, skąd dochodzi.

Pędziłam na oślep przed siebie. Gałęzie drapały mnie po twarzy i ramionach, wpadałam w dziury, wykręcając sobie nogi, i potykałam się na kamieniach. W moim umyśle nie było miejsca na choćby jedną racjonalną myśl. Chciałam tylko uciec.

Coś ciężkiego uderzyło mnie w krzyż; upadłam jak długa z takim impetem, że straciłam dech. Twarde ręce przewróciły mnie na plecy; kapitan Jonathan Randall

podniósł się na kolana. Oddychał ciężko; podczas pościgu zgubił szpadę. Był potargany, brudny i bardzo rozgniewany.

Pochylił się i chwycił mnie za ręce. Ciągłe zdyszana, starałam się wyrwać, ale udało mi się tylko pociągnąć Randalla na siebie.

Stracił równowagę i padł na mnie jak długi. Dziwne, ale to wprowało go w doskonały humor.

– A, więc to lubisz, tak? – odezwał się i zachichotał.  
– Chętnie bym ci dogodził, kochaneczko, ale wybrałaś nieodpowiednią chwilę. – Jego ciężar wgniótł moje biodra w ziemię; coś wbijało mi się boleśnie w krzyż. Szarpnęłam się. Przycisnął moje ramiona, przygwoździł mnie do ziemi. Otworzyłam usta w oburzeniu.

– Co ro... – zaczęłam, ale on pochylił się i pocałował mnie, ucinając moje okrzyki.

Jego język wdarł mi się do ust, badając, biorąc w posiadanie, cofając się i znowu napierając. Potem, równie nagle, oderwał się ode mnie.

Poklepał mnie po policzku.

– Bardzo mi miło, kochaneczko. Może później, kiedy będę miał czas zająć się tobą jak należy.

Do tego czasu zdążyłam odzyskać dech. Wrzasnęłam draniowi prosto w ucho; odskoczył, jakbym wsadziła mu w małżowinę rozpalony drut. Wykorzystałam tę chwilę przewagi i wbiłam mu kolano w odsłonięty bok. Upadł na ściółkę.

Podniosłam się chwiejnie. Przetoczył się sprawnie i wstał tuż obok mnie.

Rozglądałam się dziko, szukając drogi ucieczki, ale znajdowaliśmy się u stóp jednej z tych niebosiężnych granitowych skalnych ścian, niespodziewanie wyrastających z gleby szkockich gór. Kapitan złapał mnie w miejscu, w którym skalne urwisko załamywało się do wewnątrz, tworząc płytką rozpadlinę. Stał na drodze do niej, rozłożywszy ramiona pomiędzy kamiennymi ścianami. Na urodziwej śniadej twarzy miał wyraz gniewu pomieszanego z ciekawością.

– Z kim jesteś? – spytał. – Z Frankiem? W mojej kompanii nie ma nikogo o takim imieniu. A może to jakiś tutejszy? – Uśmiechnął się pogardliwie. – Nie cuchniesz łajnem, więc nie byłeś z wieśniakiem. Zresztą wyglądasz na taką, na którą nie stać miejscowych.

Zacisnęłam pięści i uniosłam brodę. Nie zamierzałam na to pozwalać ani chwili dłużej.

– Nie mam najmniejszego pojęcia, o czym mówisz, i byłabym bardzo zobowiązana, gdybyś mnie puścił! – oznajmiłam, przywołując na pomoc najbardziej udaną wersję głosu siostry przełożonej. Na ogół miało to dobry wpływ na krnąbrnych dyżurnych i młodych lekarzy, ale kapitan Randall tylko się uśmiechnął. Staralam się stłumić strach i poczucie zagubienia, które trzepotały mi w piersi niczym stado przerażonych kur.

Powoli pokręcił głową, przyglądając mi się z większą uwagą.

– Jeszcze nie, kochaneczko. Ciekaw jestem – ciągnął tonem konwersacji – jaka dziwka biegałaby w koszuli, ale przy tym w butach? I to bardzo pięknych –

dodał, rzucając okiem na moje zwykłe brązowe mokasyny.

– Co...? – krzyknęłam.

Zignorował mnie zupełnie. Wrócił spojrzeniem do mojej twarzy, niespodziewanie przybliżył się i chwycił mój podbródek. Złapałam impertymenta za przegub i szarpnęłam.

– Skóra damy, daję słowo – mruknął do siebie. Pochylił się i pociągnął nosem. – francuskie pachniało we włosach.

Puścił mnie, a ja cofnęłam się, z oburzeniem pocierając brodę, jakbym chciała wymazać pamięć o jego dotyku.

– Resztę mogą załatwić pieniądze twego opiekuna – ciągnął w zamyśleniu – ale mówisz także jak dama.

– Wielkie dzięki! – warknęłam. – Zejdź mi z drogi. Mój mąż na mnie czeka; jeśli nie wrócę za dziesięć minut, zacznie poszukiwania.

– Ach, twój mąż? – Spojrzenie pełne pogardliwego uznania nieco przygasło, ale nie znikło zupełnie. – I jakże się on nazywa? Gdzie się podziewa? I dlaczego pozwala żonie wędrować przez lasy bez odzienia?

Ze wszystkich sił dławiłam wysiłki umysłu, który uporczywie starał się cokolwiek zrozumieć. Teraz udało mu się przebić przez wszystkie zapory, by podsunąć mi myśl, iż podawanie temu mężczyźnie nazwiska Franka, identycznego z jego własnym, mogło jedynie ściągnąć na mnie dalsze kłopoty. Nie odpowiedziałam i spróbowałam wyminąć napastnika. Zagroził mi drogę muskularnym ramieniem, a drugą rękę wyciągnął ku mnie.

Nad naszymi głowami rozległ się świst, coś mignęło mi przed oczami. Usłyszałam głucho sieknięcie. Kapitan Randall leżał u moich stóp pod stertą czegoś, co wyglądało jak stare wystrzępione tartany. Spomiędzy nich wyłoniła się brązowa, twarda jak kamień pięść, która opadła z potężną siłą na czyjaś kość, sądząc po suchym trzasku. Wierzgające nogi kapitana, obute w lśniące oficerki, nagle znieruchomiały.

Przenikliwe czarne oczy spojrzały na mnie. Żyłasta ręka, która na pewien czas uwolniła mnie od niepożądanych awansów kapitana, wpiła się w moje ramię niczym pijawka.

– A tyś co za jeden? – spytałam w oszołomieniu. Mój wybawca, jeśli można go tak nazwać, był ode mnie niższy o parę centymetrów i miał dość szczupłą posturę, lecz nagie ramiona widoczne spod strzępów koszuli były niezwykle mocno umięśnione, a cała postać nasuwała na myśl jakiś elastyczny materiał, na przykład sprężyny łóżka.

Nieznajomy nie grzeszył urodą: skóra poznaczona dziobami po ospie, niskie czoło i cofnięta szczęka.

– Tędy. – Szarpnął mnie za ramię, a ja, zupełnie ogłupiała, posłusznie poszłam za nim. Mój nowy towarzysz przedzierał się energicznie przez olszynę. Przy wielkim kamieniu gwałtownie zawrócił i niespodziewanie znaleźliśmy się na ścieżce. Była porośnięta janowcem i wrzosem, biegła dzikimi zygzakami, lecz była to niewątpliwie droga wijąca się stromym zboczem ku szczytowi wzgórza.

Dopiero kiedy zaczęliśmy ostrożnie z niego schodzić, oprzytomniałam na tyle, by spytać, dokąd

idziemy. Nie otrzymawszy odpowiedzi, powtórzyłam głośniej:

– Dokąd idziemy, na miłość boską?

Obcy gwałtownie odwrócił się w moją stronę, wykrzywił twarz i zepchnął mnie ze ścieżki. Otworzyłam usta, żeby zaprotestować. Zasłonił mi je dłonią i zwałił się na mnie.

Co, znowu? – pomyślałam i rozpaczliwie zaczęłam się szarpać, kiedy nagle usłyszałam to samo co on i znieruchomiałam. Z różnych kierunków rozlegały się nawoływania, przemieszane z odgłosem kroków i chłupotem wody. Jacyś ludzie rozmawiali po angielsku. Zaszamotałam się gwałtownie, by uwolnić usta. Zatopiłam zęby w kneblującej mnie dłoni i zdążyłam tylko poczuć smak wędzonego śledzia, kiedy zostałam uderzona w potylicę i zrobiło się ciemno.

Kamienna chatka wyloniła się niespodziewanie z kłębow nocnej mgły. Przez szczelnie zamknięte okiennice przedostawała się zaledwie smużka światła. Nie miałam pojęcia, ile czasu pozostawałam nieprzytomna, więc nie potrafiłam określić, jak daleko znaleźliśmy się od wzgórza Craigh na Dun lub miasta Invemess. Jechaliśmy konno – ja przed porywaczem, z rękami przywiązanymi do łęku – ale nie było widać żadnej drogi, więc poruszaliśmy się dość powoli.

Doszłam do wniosku, że nie mogłam być nieprzytomna zbyt długo; nie rozpoznałam żadnych symptomów wstrząśnienia mózgu czy innych efektów uderzenia, z wyjątkiem bólu u podstawy czaszki. Mój

towarzysz, człowiek małomówny, na wszystkie moje pytania, błagania i kwaśne uwagi odpowiadał uniwersalnym szkockim słowem, najlepiej dającym się opisać jako „mmmhm”. Gdybym miała jakiegokolwiek wątpliwości co do jego pochodzenia, ta jedna odżywka rozwiązałaby je zupełnie.

Moje oczy stopniowo przystosowały się do mroku. Koń brnął z wysiłkiem przez kamienie i krzaki janowca; przejście z ciemności do pełnego blasku wnętrza domu odczułam boleśnie. Kiedy znowu zaczęłam widzieć, okazało się, że pomieszczenie jest oświetlone ogniem na kominku, kilkoma świecami i przerażająco staroświecką lampą naftową.

– Co tam masz, Murtagh?

Mężczyzna złapał mnie za ramię i pociągnął ku kominkowi.

– Kobięto, Dougal. Z Sassenahów. To można poznać po jej mowie.

W izbie znajdowało się kilku mężczyzn; wszyscy wytrzeszczali na mnie oczy, niektórzy ze zdumieniem, inni – z nie ukrywaną pożądlivością. Podczas dotychczasowych „rozrywek” moja sukienka rozdarła się w kilku miejscach. Pospiesznie spróbowałam naprawić szkody. Przez jedno rozdarcie wyglądał czubek piersi. Byłam pewna, że wszyscy to zauważyli. Postanowiłam nie ratować tego, czego uratować się nie da; przybrałam obojętny wyraz twarzy i spojrzałam śmiało na nieznajomych. Miałam nadzieję, że ich onieśmielę.

– E, chuda – zauważył opasły mężczyzna przy

kominku.

Trzymał kawał chleba, którego nie pofatygował się odłożyć, kiedy wstał i podszedł do mnie. Podniósł moją opuszczoną głowę i odgarnął mi z twarzy włosy. Kilka okruszków wpadło mi za dekolt. Pozostali zebrali się wokół nas, żywy mur z tartanów i najeżonych wąsów, cuchnący potem i alkoholem. Dopiero teraz zauważyłam, że wszyscy noszą kilty.

Dość dziwne, nawet jak na tę część Szkocji. Czy przypadkiem wtargnęłam na zebranie jakiegoś klanu? A może to zjazd towarzyszy broni?

– Chodź tu, dziewczyno. – Wielki mężczyzna z ciemną brodą nie wstał od stołu przy oknie. Sądząc po jego postawie, miałam przed sobą przywódcę tej bandy. Pozostali rozstąpili się niechętnie, a Murtagh pociągnął mnie ku olbrzymowi, najwyraźniej egzekwując prawa zdobywcy.

Ciemnowłosey mężczyzna obejrzał mnie uważnie, nie zmieniając wyrazu twarzy.

Uznałam, że jest przystojny i chyba nie ma złych zamiarów. Ale marszczył groźnie brwi i nie był to ktoś, z kim chciałoby się nawiązać bliższe kontakty.

– Jak się nazywasz? – spytał głosem dość wysokim jak na kogoś jego postury.

Osoba o tak potężnej piersi powinna mówić najgłębszym basem.

– Claire... Claire Beauchamp – wykrztusiłam, w ułamku chwili decydując się używać panieńskiego nazwiska. Jeśli chcieli dostać za mnie okup, nie



zamierzałam ich naprowadzić na ślad Franka. I z pewnością nie życzyłam sobie, żeby ci brutalnie poznali moją tożsamość, zanim się dowiem, z kim mam wątpliwą przyjemność. – Ale co to w ogóle...

Olbrzym zignorował mnie. To stawało się męczące.

– Beauchamp? – Gęste brwi uniosły się, a reszta towarzystwa poruszyła się z zaskoczeniem. – To francuskie nazwisko, prawda?

Wymówił je tak, jak zrobiłby to Francuz, choć podałam popularną angielską wymowę – „Biczem”.

– Tak, zgadza się – przyświadczyłam z pewnym zaskoczeniem.

– Gdzież ją znalazł? – spytał Dougal Murtagha, który pokręcał się napojem ze skórzanej flaszki.

Niski śniady mężczyzna wzruszył ramionami.

– Pod Craigh na Dun. Sprzeczała się z jednym kapitanem dragonów, z którym już się poznałem. – Uniósł znacząco brew. – Nie mogli dojść z tą damą do porozumienia, czy jest ladaczną, czy też nie.

Dougal przyjrzał mi się jeszcze bardziej wnikliwie. Miałam wrażenie, że dostrzegł każdy szczegół mojej bawelnianej sukienki i butów.

– A, pojmuję. I jakież było stanowisko tej damy? – spytał, kładąc sarkastyczny nacisk na słowo „dama”. Zauważyłam, że mówił ze słabszym szkockim akcentem niż Murtagh.

Murtagh uśmiechnął się kpiąco, a przynajmniej uniósł do góry jeden kącik wąskich ust.

– Mówiła, że nie jest. A kapitan wyglądał, jakby nie

był tego pewny i miał ochotę sprawdzić.

– My też byśmy mogli tak zrobić. – Tłuścioch z czarną brodą zrobił parę kroków, manipulując przy klamrze pasa. Cofnęłam się najszybciej, jak mogłam, lecz nie dość szybko, zważywszy rozmiary izby.

– Dość, Rupert. – Dougal nadal przyglądał mi się bez zachwyty, lecz w jego głosie zabrzmiała nuta rozkazu i Rupert dał za wygraną, skrzywiwszy się w komicznym grymasie rozczarowania.– Nie ścierpię tu gwałtu. Zresztą nie czas na to.

Ta deklaracja spotkała się z moim najwyższym uznaniem, niezależnie od jej wątpliwych moralnie pobudek. Mimo to nadal czułam się dość niepewnie wobec tylu otwarcie pożądlivych spojrzeń. Idiotyczne uczucie – jakbym wyszła na ulicę w samej bieliźnie. Ciągłe nie potrafiłam się zorientować w zamiarach tych szkockich bandytów.

Wydawali się cholernie niebezpieczni. Ugryzłam się w język, by nie palnąć jakiejś niewczesnej uwagi, których dziesiątki pchały mi się na usta.

– Co powiesz? – zwrócił się Dougal do mojego porywacza. – Rupert jej się nie spodobał.

– To jeszcze żaden dowód – zaoponował niski, łysiejący mężczyzna. – Nic jej nie dał.

Która kobieta przyjmie kogoś takiego jak Rupert, jeśli nie zapłaci jej sownie, i to z góry?

– dodał, budząc ogólną wesołość. Dougal uciszył kompanów gwałtownym gestem i skinął głową ku drzwiom. Łysiejący, nadal roześmiany, posłusznie

wymknął się w ciemności.

Murtagh nie podzielił ogólnej wesołości. Przyglądał mi się ze zmarszczonymi brwiami. Pokręcił głową, aż zatrzęsała mu się rzadka grzywka.

– Nie – oznajmił wreszcie. – Nie mam pojęcia, czym... albo kim ona jest, lecz założę się o najlepszą koszulę, że to nie ladacznica.

– Jasne, Murtagh, już ty się na tym znasz jak nikt – zakpił Rupert, lecz Dougal uciszył go brutalnie.

– Będziemy zgadywać potem – powiedział szorstko. – Przed nami długa droga, a najpierw trzeba zrobić coś z Jamiem. Tak nie pojedzie.

Wycofałam się w cień przy kominku, licząc, iż wreszcie o mnie zapomną. Murtagh rozwiązał mi ręce. Może zdołałabym wyśliznąć się z chaty, wykorzystując ogólne zamieszanie. Zebrani zajęli się młodym mężczyzną przycupniętym na stołku w kącie izby.

Nawet na mnie nie spojrział; siedział z pochyloną głową, trzymając się za ramię i kołysząc lekko z bólu.

Dougal delikatnie odsunął jego zaciśniętą dłoń. Inny mężczyzna zdjął mu szal, spod którego wyłoniła się brudna, zakrwawiona lniana koszula. Niski człowieczek z sumiastym wąsem stanął za chłopakiem i, przytrzymując jego koszulę przy kołnierzu, odciął nożem rękaw.

Wydałam cichy okrzyk, podobnie jak kilku obecnych. Młodzieniec był poważnie ranny. W jego ramieniu widniała głęboka, poszarpana wyrwa, a krew ściekała strużkami po piersi. Ale jeszcze bardziej wstrząsający widok stanowił staw barkowy. Na jego

miejscu wznosiła się ohydna gula, a ramię zwisało pod nieprawdopodobnym kątem.

Dougal sapnął.

– Hmm. Wyskoczyła biedakowi ze stawu.

Młodzieniec po raz pierwszy podniósł głowę. Jego twarz, choć ściągnięta z bólu i zarośnięta rudą szczecina, wydawała się otwarta i dobroniuszna.

– Dostałem z muszkietu i upadłem na wyciągniętą rękę, całym ciężarem. Chrup! I tak się zrobiło.

– Właśnie, „chrup”. – Wąsaty mężczyzna, sądząc po akcencie wykształcony Szkot, po ruszył ramieniem chłopaka, który skrzywił się z bólu. – Reszta to drobnostka. Kula przeszła na wylot, a rana jest czysta, bo krew płynie swobodnie. – Wziął ze stołu kłęb szmat i przyłożył je do obrażenia. – Ale nie wiem, co zrobić z tym zwichnięciem. Trzeba by cyrulika, żeby to nastawił. Możesz chyba dosiąść konia. Jamie?

Kula z muszkietu? – pomyślałam w oszołomieniu. – Cyrulik?

Młodzieniec pokręcił głową, blady jak płótno.

– Boli nawet jak siedzę. Nie dam radyjechać konno. – Zacisnął powieki i zagryzł mocno wargę.

– Ale chyba go nie zostawimy? – rzucił niecierpliwie Murtagh. – Królewscy nie wazą się jeździć w nocy, ale chałupę znajdą wcześniej czy później, choćbyśmy nie wiem jak zasłonili okna. A Jamie z tą wielką dziurą w ręce nie wygląda na wieśniaka.

– Nie martwcie się – powiedział Dougal. – Nie zostawię go tutaj.

Wąsaty westchnął.

– Nie ma rady. Spróbujemy sami nastawić staw. Niech Murtagh i Rupert go trzymają, a ja spróbuję.

Przyglądałam się współczująco młodemu człowiekowi; chwycili nieszczęśnika za przegub i łokieć i zaczęli napierać na rękę. Ustawili ją pod całkowicie błędnym kątem.

Musieli mu sprawiać potworny ból. Po twarzy młodzieńca spływały strużki potu, ale nie wydał z siebie jęku. Nagle pochylił się bezwładnie do przodu. Nie upadł na podłogę tylko dlatego, że tkwił w uścisku obu mężczyzn.

Ktoś odkorkował skórzaną flaszkę i przytknął ją młodzieńcowi do ust. Smród samogonu doleciał aż do miejsca, w którym stałam. Chłopak odkaszlnął i zakrzuszył się, ale przełknął odrobinę płynu. Reszta pociekła na strzępy koszuli.

– Gotów do następnej próby? – spytał łysy. – Albo niech teraz spróbuje Rupert.

Czarnobrody zbir, zachęcony w ten sposób, zatarł łapska i chwycił nadgarstek chłopaka, najwyraźniej zamierzając przemocą wcisnąć rękę na miejsce. Nie miałam wątpliwości, że przy tym zabiegu ramię rannego trzaśnie jak sucha gałązka.

– Nie waż się tego robić! – Wszelka myśl o ucieczce zginęła w wybuchu profesjonalnego oburzenia. Podbiegłam do nich, nie zważając na osłupiałe spojrzenia obecnych.

– O co chodzi? – warknął łysy, najwyraźniej zirytowany.

– Chodzi o to, że złamiecie mu rękę – odpowiedziałam podobnym tonem. – Proszę zejść mi z drogi. – Odsunęłam Ruperta łokciem i sama ujęłam przegub pacjenta.

Podniósł na mnie oczy, równie zdumiony, jak wszyscy inni, ale nie stawiał oporu. Skórę miał bardzo ciepłą, ale nie rozgorączkowaną.

– Trzeba ustawić kość ramienia pod właściwym kątem, zanim wciśnie się ją w staw – oznajmiłam. Podniosłam nadgarstek do góry, a łokieć skierowałam do wewnątrz.

Młodzieniec był wysoki i muskularny; roztrzaskane ramię wydało mi się ciężkie jak ołów.

– Teraz będzie najgorzej – ostrzegłam. Objęłam jego łokieć, przygotowując się do gwałtownego szarpnięcia do góry i do wewnątrz. Usta chłopaka zadrgały.

– Nie może boleć bardziej niż teraz. Zaczynaj.

Po twarzy spływały mi krople potu. Nawet w sprzyjających okolicznościach nastawienie stawu wymaga dużego wysiłku. Jeśli zaś robi się to po paru godzinach od zwknięcia, kiedy spuchnięte mięśnie napierają na staw, trzeba wyteńczyć wszystkie siły.

Kominek znajdował się niebezpiecznie blisko; miałam nadzieję, że nie wpadniemy do niego, jeśli ręka wskoczy na miejsce z szarpnięciem.

Nagle ramię trzasnęło cicho i staw znalazł się na swoim miejscu. Pacjent przyjrzał się barkowi zdumiony. Podniósł rękę, żeby się upewnić.

– Już nie boli! – Na twarzy rozlał się mu szeroki

uśmiech pełen ulgi, a mężczyźni za krzyknęli z podziwem.

– Na razie. – Byłam spocona, lecz bardzo dumna. – Ale jeszcze da się we znaki. Nie wolno ci rozciągać stawu przez dwa lub trzy dni. Kiedy zaczniesz się znowu posługiwać ręką, musisz to robić bardzo ostrożnie. Jeśli poczujesz ból, natychmiast przestań nią ruszać i codziennie przykładaj ciepłe kompresy.

W trakcie tej porady zdałam sobie sprawę, że choć mój pacjent słucha z szacunkiem, inni przyglądają mi się z najróżniejszymi minami: od zdumienia po jawną podejrzliwość.

– Jestem pielęgniarką – wyjaśniłam usprawiedliwiająco. Dougal i Rupert spojrzeli na mnie nie rozumiejącym wzrokiem. Potem zerknęli na siebie. Dougal wzruszył ramionami.

– Niech będzie. Widać, że znasz się na leczeniu. Potrafisz mu zatamować krew, żeby mógł dosiąść konia?

– Umiem opatrzyć ranę – przyznałam ze zrozumiałą dumą. – Jeśli będę miała czym.

Tylko skąd ta pewność, że wam pomogę?

Zostałam zignorowana. Dougal odwrócił się i przemówił w dialekcie, chyba celtyckim, do kulającej się w kącie kobiety. Do tej pory jej nie zauważyłam. Była dziwnie ubrana w postrzępioną spódnicę sięgającą kostek, bluzkę z długimi rękawami i coś przypominającego gorset lub kaftan. Odzienie dawno nie miało kontaktu z wodą, podobnie jak jej twarz. Rozejrzałam się i stwierdziłam, że chata jest nie tylko nie zelektryfikowana, ale także nie ma kanalizacji. Może więc nie powinnam się

dziwić lekkiemu zapuszczeniu.

Kobieta dygnęła i, przemknąwszy obok Ruperta i Murtagha, zaczęła grzebać w malowanej drewnianej skrzyni przy palenisku. Wyciągnęła z niej kłęb poszarpanych szmat.

– Nie, to nie wystarczy – zaprotestowałam, przyjrzawszy się łachmanom. – Ranę trzeba najpierw zdezynfekować, a potem obandażować czystym płótnem, jeśli nie ma sterylnych bandaży.

Ogólne zdziwienie.

– Zdezynfekować? – powtórzył łysy z niejakim trudem.

– Właśnie – potwierdziłam twardo. Co za prostak, mimo poprawnej wymowy. – Trzeba usunąć brud z rany i przemyć ją płynem zabijającym zarazki i przyspieszającym gojenie.

– Na przykład?

– Na przykład jodyną. – Nie doczekałam się odzewu. – Albo roztworem karbolowym.

A może po prostu alkoholem? – Wyraz ulgi. Wreszcie znalazłam słowo, które rozumieli.

Murtagh włożył mi w rękę skórzaną fłaszę. Westchnęłam niecierpliwie. Wiedziałam, że Szkoci żyją prymitywnie, ale to już nie mieściło się w głowie.

– Słuchajcie – powiedziałam, opanowując się. – Może po prostu zabierzemy go do miasta? Tam na pewno jest jakiś doktor.

Kobieta wytrzeszczyła na mnie oczy.

– Do jakiego miasta?



Potęźny mężczyzna, którego nazywali Dougalem, nie zwracał uwagi na tę wymianę zdań. Wyglądał ostrożnie na zewnątrz przez szparę w okiennicach. Po chwili podszedł cicho do drzwi i zniknął w mroku. W chacie zapadła cisza.

Zaraz potem wrócił, prowadząc ze sobą łysego. Wraz z nimi do izby wdarł się ostry, zimny zapach sosen. Dougal pokręcił głową, odpowiadając na nieme pytanie pozostałych.

– Nie, nie ma nikogo w pobliżu. Jedziemy, póki bezpiecznie.

Zerknął na mnie i zatrzymał się zamyślony. Nagle skinął głową. Decyzja została podjęta.

– Zabieramy ją – zarządził. Zaczął grzebać w kupie szmat na stole i wyciągnął z niej jakiś łachman, który niegdyś mógł być chustką.

Wąsaty nie wydawał się zachwycony perspektywą mojego towarzystwa.

– Czemu jej nie zostawić?

Dougal rzucił mu niecierpliwe spojrzenie. Murtagh wziął na siebie trud wyjaśnienia.

– Królewscy będą tu przed świtem, czyli całkiem niedługo. Jeśli ta kobieta jest angielskim szpiegiem, nie możemy jej zostawić, bo wskazałaby, dokąd uciekliśmy. A jeśli nie ma z nimi konszachtów – zmierzył mnie powątpiewającym wzrokiem – nie powinniśmy zostawiać jej w samej koszuli. – Rozpogodził się nieco i pomacał tkaninę mojej sukienki. – Może da się za nią dostać okup. Ma na sobie niewiele, ale z wysmienitej materii.

– Poza tym – dodał Dougal – posiada przydatne umiejętności. Widać, że zna się na leczeniu. Ale na to nie mamy teraz czasu. Będziesz musiał jechać nie „zdezynfekowany”, Jamie. – Klepnął młodzieńca w plecy.  
– Utrzymasz wodze jedną ręką?

– Tak.

– Dobry chłopak. Masz – rzucił mi zatłuszczoną szmatę. – Owiń ranę, ale już.

Wyruszamy natychmiast. A wy sprowadźcie konie – rozkazał Rupertowi i jeszcze innemu, z twarzą podobną do pyszczka łasicy.

Obejrzałam gałgan z obrzydzeniem.

– Nie mogę tego użyć – oznajmiłam. – To brudne.

Nawet nie zauważyłam, kiedy się poruszył. Poczulałam na ramieniu uścisk wielkiej łapy, ciemne oczy spojrzały na mnie z bliska.

– Ale już – powtórzył.

Odepchnął mnie, podszedł dużymi krokami do drzwi i zniknął w ślad za dwoma swoimi giermkami. Nieco oszołomiona, zabrałam się do opatrywania rany najlepiej, jak potrafiłam. Myśl o wykorzystaniu zapuszczonego skrawka materiału wydała mi się niegodna mojego wykształcenia. Zaczęłam grzebać w stercie szmat, starając się ukryć zmieszanie i przerażenie; wreszcie zdecydowałam się odpruć kawałek podszewki od mojej sukienki. Nie była sterylna, ale zdecydowanie przedstawiała się najlepiej ze wszystkiego.

Koszula mojego pacjenta, stara i znoszona, okazała się zadziwiająco solidna.

Oderwałam z pewnym wysiłkiem resztę rękawa i zrobiłam z niego prowizoryczny temblak. Odstąpiłam o krok, by ocenić efekt improwizacji, i wpadłam na Dougala, który po cichu zbliżył się, by nas obserwować.

Przyjrzał się z aprobatą mojemu dziełu.

– Dobrze się spisałaś, dziewczyno. Chodźcie, jesteśmy gotowi.

Dał kobiecie monetę i ponaglił mnie do wyjścia. Jamie podążył za mną powoli, nadal nieco błądliwy. Kiedy wstał, okazał się wyższy o kilka centymetrów od Dougala, który był przecież całkiem wysoki.

Czarnobrody Rupert i Murtagh trzymali sześć koni, szepcząc im pieszczotliwe celtyckie słowa. Noc była bezksiężycowa, ale światło gwiazd migotało w metalowych częściach uprząży, które lśniły niczym żywe srebro. Podniosłam wzrok i niemal krzyknęłam ze zdumienia; niebo iskrzyło się bogactwem gwiazd, jakiego jeszcze nigdy nie widziałam. Zerknęłam w stronę otaczającego nas lasu. No tak – skoro w pobliżu nie było światła miasta, gwiazdy mogły przejąć niepodzielne panowanie nad nocą.

W tej samej chwili skamieniałam. Ogarnęło mnie zimno, jakby nagle powiało arktycznym wichrem. Nie ma światła miasta. „Jakie miasto?“, przypomniałam sobie pytanie kobiety. W czasie wojny przyzwyczaiłam się do zaciemnień i nalotów, więc z początku brak oświetlenia nie wydał mi się dziwny. Ale wojna już się skończyła, a światła Invemess były widoczne w promieniu wielu kilometrów.

Jeźdźcy stanowili w mroku bezkształtną masę. Zaczęłam się zastanawiać nad umknięciem pomiędzy

drzewa, ale Dougal, najwyraźniej odczytując moje myśli, chwycił mnie za łokieć i pociągnął ku koniom.

– Jamie, wstawaj – rozkazał. – Dziewczyna pojedzie z tobą. – Ścisnął mój łokieć. – Możesz trzymać wodze, jeśli Jamie nie poradzi sobie jedną ręką, ale uważaj! Masz jechać blisko nas. Spróbuj nie posłuchać, a poderżnę ci gardło. Zrozumiano?

Skinęłam głową. W ustach wyszło mi tak, że nie mogłam odpowiedzieć. Dougal nie starał się mówić groźnie, lecz wierzyłam w każde jego słowo. Bardzo łatwo przyszło mi zrezygnować z planów ucieczki, zwłaszcza że nie miałam pojęcia, co zrobiłabym potem.

Nie wiedziałam, gdzie się znajdowaliśmy, kim byli moi towarzysze, dlaczego wyruszyliśmy w takim pośpiechu ani dokąd zmierzaliśmy, i nie widziałam żadnego rozsądnego wyjścia z tej sytuacji. Martwiłam się o Franka, który pewnie już dawno zaczął mnie szukać, ale uznałam, że teraz nie pora o nim wspominać.

Dougal pewnie wyczuł, że przytaknęłam, ponieważ puścił moje ramię i nagle się pochylił. Stałam jak idiotka i gapiłam się na niego, aż wreszcie syknął:

– Daj nogę, dziewczyno! Lewą – dodał z niesmakiem.

Pospiesznie wyjęłam mu z dłoni prawą stopę i wsunęłam na lewą. Uniósł mnie z lekkim sieknięciem, prosto na siodło przed Jamiego, który przygarnął mnie do siebie zdrową ręką.

Mimo niezręcznej sytuacji byłam wdzięczna za ciepło, jakim zostałam obdarowana przez młodego Szkota.

Pachniał mocno dymem z ogniska, krwią i samcem, ale chłodne powietrze przenikało mnie na wylot i z radością skorzystałam z bliskości młodzieńca.

Ruszyliśmy niemal bezszelestnie, jeśli nie liczyć cichego pobrząkiwania uprzęży.

Mężczyźni nie rozmawiali ze sobą; zachowywali czujne milczenie. Wierzchowce ruszyły kłusem, kiedy tylko znaleźliśmy się na drodze. Zaczęło mną rzucać tak, że i ja nie miałam ochoty się odzywać, nawet jeśli ktokolwiek wykazałby chęć słuchania.

Mój towarzysz podróży radził sobie bardzo dobrze, choć nie używał prawej ręki.

Czułam jego uda za sobą, poruszające się i naciskające na grzbiet konia. Ja też jeździłam konno, ale nie mogłam się z nim równać.

Po jakimś czasie dotarliśmy do rozstajów, gdzie zatrzymaliśmy się na chwilę, podczas gdy łysy i przywódca konferowali ze sobą przyciszonymi głosami. Jamie popuścił cugli i koń podszedł ku kępie trawy; poczułam, że mój towarzysz kręci się i odwraca za moimi plecami.

– Uważaj! – oburzyłam się. – Nie wierć się tak, bo zgubisz opatrunek! Co robisz?

– Zdejmuję szal, żeby cię okryć. Drzysz. Nie dam rady jedną ręką. Możesz dosięgnąć broszy?

Po paru minutach wysiłków zdołaliśmy rozwiązać supeł. Jamie obrócił szal z zadziwiającą zręcznością i zarzucił go sobie na ramiona jak chustę. Potem przełożył jego końce przez moje ramiona i upchnął je zgrabnie pod siodłem, tak że oboje byliśmy ciepło owinięci.

– No! – rzucił z zadowoleniem. – Zamarzłabyś, zanim dojechalibyśmy.

– Dziękuję – powiedziałam z prawdziwą wdzięcznością. – A dokąd właściwie jedziemy?

Nie widziałam jego twarzy, ale zamilkł na chwilę. Potem parsknął krótkim śmiechem.

– Powiem ci prawdę, dziewczyno. Nie wiem. Pewnie oboje się dowiemy, kiedy przybędziemy na miejsce.

Okolica, przez którą przejeżdżaliśmy, wydawała mi się jakby znajoma. Gdzieś już widziałam tę wielką skałę, przypominającą koguci ogon.

– Cocknammon Rock! – zawołałam.

– No. Poznaje – potwierdził, niewzruszony moim odkryciem.

– Czy Anglicy nie robili na niej zasadzek? – spytałam, usiłując przypomnieć sobie każdy szczegół lokalnej historii, którą Frank z takim poświęceniem relacjonował mi przez ostatni tydzień. – Jeśli w sąsiedztwie jest jakiś angielski patrol... – Zawahałam się. Gdyby był, pewnie nie powinnam o nim mówić. A jednak w przypadku zasadzki potraktowaliby mnie tak samo jak przeciwników... Przypomniałam sobie kapitana Jonathana Randalla i wzdrygnęłam się mimowolnie. Od chwili, gdy przeszłam przez otwór w skale, wszystko prowadziło mnie do kompletnie irracjonalnego przekonania, iż człowiek, którego spotkałam w lesie, jest przodkiem Franka. Uporczywie starałam się odsuwać od siebie tę myśl, ale nie potrafiłam znaleźć innej interpretacji faktów. Początkowo

wydawało mi się, że śnię sen bardziej realistyczny niż inne. Ale pocałunek Randalla, brutalnie znajomy i fizyczny, kazał mi zapomnieć o tych nadziejach. Nie łudziłam się także, że mam halucynacje po uderzeniu w głowę, która bolała mnie równie dotkliwie, jak otarte uda.

Coś takiego rzadko bywa elementem majaków. Poza tym krew; tak, byłam obeznana z krwią na tyle, że stała się już tematem moich snów. Jednak jeszcze nigdy nie śniłam o jej zapachu, ciepłym i metalicznym, który dolatywał mnie od strony mężczyzny siedzącego z tyłu.

Jamie cmoknął na konia i zbliżył się do przywódcy. Rozpoczęli cichą rozmowę w celtyckim dialekcie. Konie wlokły się stępa.

Na sygnał Jamie, Murtagh i niski łysy mężczyzna zostali w tyle, a pozostali dwaj wysforowali się naprzód i popędzili galopem ku skale wznoszącej się o jakieś pół kilometra w prawo. Na niebie pojawił się sierp księżycy; światło było na tyle jasne, że rozróżniałam kształty liści na poboczu drogi, lecz rozpadliny skały tonęły w cieniu tak gęstym, że mogły ukrywać w sobie wszystko.

Kiedy rozpedzone kształty minęły skałę, z jednej ze szczelin huknął strzał z muszkietu. Tuż za mną rozległ się krzyk mrozący krew w żyłach i koń skoczył naprzód, jakby dźgnięty ostrzem. Nagle okazało się, że galopujemy przez wrzosowisko ku skale – Murtagh i inni obok nas, z przeraźliwymi wrzaskami i rykami rozdzierającymi nocną ciszę.

Przywarłam do łęku ze wszystkich sił, ratując kochane życie. Nagle, kiedy przemknęliśmy koło dużego

krzaka janowca. Jamie chwycił mnie w pasie i bezceremonialnie rzucił prosto w krzak. Koń stanął dęba i znowu skoczył przed siebie.

Widziałam, że jeździec kuli się nisko nad siodłem. Potem zniknął w cieniu skały. Kiedy wierzchowiec wyłonił się z mroku, nadal galopem, siodło było puste.

Powierzchnię masywu znaczyły kraterzy czerni; słyszałam wrzaski i nieczęste strzały z muszkietu, lecz nie potrafiłam rozstrzygnąć, czy ciemne kształty, które widziałam, należą do ludzi, czy też młodych dębów, wyrastających z rozpadlin.

Z pewnym trudem wyplątałam się z krzaka i powyjmowałam sobie ciernie z sukienki i włosów. Polizałam zadrapanie na rękę. Nie miałam pojęcia, co teraz ze sobą począć.

Mogłam poczekać, aż bitwa pod skałą się rozstrzygnie. Jeśli Szkoci wygrają, a przynajmniej wyjdą z potyczki z życiem, pewnie wrócą tu po mnie. Jeśli nie, pewnie natknę się na Anglików, którzy uznają, że sprzymierzyłam się ze Szkotami, skoro z nimi podróżowałam. Nie widziałam, do czego mogłoby prowadzić to przymierze, ale zachowanie mężczyzn wskazywało niezbiecie, że planowali coś, co Anglikom raczej by się nie spodobało.

Może lepiej będzie, jeśli postaram się zejść z oczu obu stronom konfliktu, uznałam.

Skoro już się orientowałam, gdzie jestem, miałam szansę powrócić do miasta lub znanej mi wioski, choćby nawet przyszło mi wędrować przez całą noc. Ruszyłam



zdecydowanym krokiem ku drodze, potykając się o niezliczone granitowe głazy, bękarty Cocknammon Rock.

Przy świetle księżyca nie maszerowało się dobrze; choć widziałam każdy szczegół, nie miałam poczucia odległości. Płaskie rośliny i wystające kamienie wydawały się tej samej wysokości, przez co musiałam podnosić nogi idiotycznie wysoko nad nie istniejącymi przeszkodami, a i tak obijałam sobie palce. Szłam najszybciej, jak mogłam, nasłuchując odgłosów bójki.

Zanim dotarłam do drogi, ucichły. Zdawałam sobie sprawę, że jestem doskonale widoczna, ale musiałam iść, jeśli chciałam trafić do miasta. W ciemnościach straciłam orientację w terenie, a nigdy nie zdołałam się nauczyć od Franka kierowania się według gwiazd. Na myśl o moim mężu chciało mi się płakać, więc spróbowałam odwrócić uwagę rozmyślaniami o wydarzeniach tego dnia.

Trudno uwierzyć, ale wszystko wskazywało na to, że znalazłam się w miejscu, w którym nadal hołdowano obyczajom i zachowaniu z osiemnastego wieku. Uznałabym, że to jakaś dziwna maskarada, gdyby nie fakt, że obrażenia Jamiego były prawdziwe.

Taka rana rzeczywiście mogłaby powstać w wyniku uderzenia kuli z muszkietu.

Zachowanie mężczyzn w chacie nie mogło być żadną inscenizacją. Wszystko robili poważnie, a ich miecze i sztylety wydawały się jak najbardziej prawdziwe.

Może to jakaś odosobniona enklawa, której mieszkańcy odgrywają wydarzenia ze swojej historii? Słyszałam o takich praktykach w Niemczech, ale nie w

Szkocji. Gdzieś ty widziała aktorów strzelających do siebie ostrymi nabojami? – zakpiła przygnębiająco racjonalna część mojego umysłu.

Obejrzałam się na skałę, by ustalić swoją pozycję. Podniosłam głowę i poczułam, że krew ścina mi się lodem. Na horyzoncie nie widziałam niczego prócz pierzastych wierzchołków sosen, nieprzenikliwie czarnych na tle iskier gwiazd. Gdzie się podziałyświatła Inverness? Jeśli za plecami mam Cocknammon Rock, a tego byłam pewna, Inverness musi się znajdować niespełna półtora kilometra na północny zachód.

Z tego miejsca powinnam widzieć łunę na niebie. Gdyby miasto tam było.

Potrząsnęłam głową z irytacją i skuliłam się z zimna. Przyjmując na chwilę kompletnie niedorzeczny pomysł, że znalazłam się w czasach innych niż moje, musiałam założyć, że Inverness leży w tych okolicach od sześciuset lat. Było tam. Najwyraźniej jednak nie paliło się w nim żadne światło. W tych okolicznościach należało przyjąć, że nie istnieje tu oświetlenie elektryczne. Kolejny dowód, jeśli mi na tym zależy. Ale dowód na co?

Mroczna sylwetka wystąpiła z ciemności tak niespodziewanie, że niemal na nią wpadłam. Zdławiłam krzyk i rzuciłam się do ucieczki w przeciwnym kierunku, ale na ramię opadła mi potężna dłoń.

– Nie lękaj się, dziewczyno. To ja.

– Tego się właśnie obawiałam – warknęłam z rozdrażnieniem, ale w gruncie rzeczy ucieszyłam się na widok Jamiego. Nie bałam się go tak jak innych, choć

wyglądał równie groźnie. Jednak był młody, młodszy nawet ode mnie. I trudno mi było odczuwać strach przed kimś, kogo niedawno leczyłam.

– Mam nadzieję, że nie nadwreżyłeś ręki – odezwałam się tonem siostry przełożonej. Gdybym zdołała zdobyć sobie odrobinę poważania, może udałoby mi się przekonać młodzieńca, żeby mnie wypuścił.

– Nie wyszło mi to na dobre – przyznał, masując obolałe ramię.

Jednocześnie wkroczył w smugę księżycowego światła. Na przedzie koszuli miał wielką plamę krwi. Krwotok z tętnicy, pomyślałam natychmiast. Ale dlaczego jeszcze nie stracił przytomności?

– Jesteś ranny! – krzyknęłam. – Otworzyła ci się rana, czy to nowa? Usiądź, zobaczę!

– Popchnęłam go ku stercie głazów, gorączkowo przypominając sobie zasady pierwszej pomocy na polu bitwy. Nie miałam pod ręką żadnych materiałów opatrunkowych.

Sięgnęłam po szczątki halki, zamierzając wykorzystać ją do zatamowania krwi, kiedy usłyszałam jego śmiech.

– Nie przejmuj się, to nie moja krew. Prawie – dodał i odciągnął od ciała przemoczony materiał.

Przełknęłam ślinę z pewnym trudem.

– Aha – powiedziałam słabo.

– Dougal czeka przy drodze. Chodźmy. – Wziął mnie za rękę, nie z galanterii, raczej po to, by nie pozwolić mi uciec. Postanowiłam zaryzykować i zapałam się w

miejscu.

– Nie! nie pójdę!

Zatrzymał się i spojrział na mnie zdumiony.

– Owszem, pójdiesz.

Nie wydawał się rozgniewany. Prawdę mówiąc, mój sprzeciw wobec kolejnego porwania chyba go lekko rozbawił.

– A jeśli nie, to co? Poderzniesz mi gardło? – odważyłam się spytać.

– Nie. Chyba nie jesteś ciężka. Jeśli nie zechcesz pójść, zaniosę cię na rękach. Chcesz tego?

Zrobił krok w moją stronę, a ja wycofałam się pospiesznie. Nie miałam wątpliwości, że to zrobi, bez względu na ranę.

– Nie! Nie wolno ci, znowu uszkodzisz sobie ramię.

Nie widziałam wyraźnie jego twarzy, ale światło księżycy błysnęło mu na odsłoniętych w uśmiechu zębach.

– Skoro nie chcesz, żebym się zranił, pewnie mogę się spodziewać, że ze mną pójdiesz?

Zacząłam pospiesznie szukać odpowiedzi, ale jakoś nic nie przyszło mi do głowy.

Jamie znowu wziął mnie mocno pod rękę i ruszyliśmy ku ścieżce.

Nie rozluźniał silnego uścisku przez całą drogę. Prawie włókł mnie za sobą, potykającą się o kamienie i chaszcze. Sam poruszał się tak, jakby nie szedł przez pełne wykrotów wrzosowisko, lecz po chodniku w pełnym świetle dnia. Pewnie miał w rodzinie jakiegoś kota, pomyślałam smętnie. To dlatego udało mu się mnie podejść

w ciemnościach.

Inni czekali na nas z końmi całkiem blisko. Najwyraźniej nie ponieśli żadnych strat, ponieważ nikogo nie brakowało. Zostałam rzucona na siodło jak worek ziemniaków; nie chcący uderzyłam głową w chore ramię Jamiego. Wciągnął powietrze z głośnym sykiem.

Usiłowałam zamaskować wściekłość i wstyd głośnym gadaniem.

– Dobrze ci tak, skoro włóczysz się po krzakach i wertepach. Mówiłam, żebyś nie nadwierał tego stawu. Pewnie masz naruszone mięśnie.

Moja reprimenda tylko go rozbawiła.

– Nie miałem wyboru. Gdybym nie poruszył ramieniem, pewnie w ogóle już bym się nigdy nie poruszył. Potrafię rozprawić się z królewskim jedną ręką; pokonałbym nawet dwóch – oznajmił z nutą przechwałki – no, ale nie trzech. Poza tym – dodał i przyciągnął mnie do piersi pokrytej strupami zaschniętej krwi – możesz mnie znowu opatrzeć, kiedy dojedziemy na miejsce.

– Tak ci się tylko wydaje – warknęłam, odsuwając się od lepkiej koszuli.

Jamie cmoknął na konia i ruszyliśmy. Po walce wszyscy nabrali jakiegoś drapieżnego humoru; zartowali i wybuchali śmiechem. Pomoc, jaką okazałam w odkryciu zasadzki, została godziwie doceniona i wypito za moje zdrowie z flaszek, które kilku z nich miało przy sobie.

Mnie także zaofiarowano kolejkę, lecz początkowo odmówiłam. Utrzymywanie się na koniu nawet na trzeźwo wydawało mi się trudnym zadaniem. Z rozmowy moich

towarzyszy wynikało, że był to niewielki angielski patrol, składający się z dziesięciu żołnierzy uzbrojonych w muszkiety i szable.

Ktoś podał flaszkę Jamiemu; doleciał mnie palący, dymny zapach alkoholu. Nie byłam spragniona, ale słaba woń miodu przypomniła mi, że umieram z głodu – i to od dłuższego czasu. Mój żołądek zaprotestował głośnym burczeniem.

– Hej, Jamie! Jesteś głodny? A może masz tam kobzę? – wrzasnął Rupert.

– Tak dawno nie miałem nic w ustach, że mógłbym zjeść i kobzę! – odkrzyknął młodzieniec.

Po chwili zobaczyłam przed sobą flaszkę.

– Łyknij odrobinę – szepnął Jamie. – Nie wypełni to brzucha, ale zapomnisz o głodzie.

Miałam nadzieję, że zapomnę o wielu innych rzeczach. Przechyliłam flaszkę i pociągnęłam dobry łyk.

Mój towarzysz miał rację; whisky ogrzała mnie i złagodziła ssanie w żołądku.

Przejechaliśmy bez problemów parę kilometrów, na zmianę podając sobie wodze i flaszkę.

Ale w pobliżu jakiejś zrujnowanej chaty Jamie zaczął dziwnie dyszeć. Parę razy zakółsał się w siodle...Nie miałam pojęcia, co o tym sądzić. Skoro ja nie byłam pijana, czy to możliwe, żeby on się upił?

– Stać! Pomocy! – wrzasnęłam. – On spada!

Dobrze pamiętałam niespodziewane lądowanie w krzakach i nie zamierzałam przeżyć tego ponownie. Ciemne kształty obróciły się i otoczyły nas; rozległy się

pomruki niedowierzania. Jamie spadł z siodła jak wór kamieni, na szczęście prosto w czyjeś ramiona. Reszta mężczyzn zeskoczyła z koni i położyła rannego kompana na ziemi.

Zaczęłam niezgrabnie zsiadać.

– Oddycha – powiedział ktoś.

– Bardzo dziękuję za informację – warknęłam, gorączkowo szukając pulsu Jamiego.

Wreszcie wyczułam tętno – przyspieszone, lecz mocne. Przyłożyłam ucho do piersi nieszczęśnika. Poruszała się miarowo; nie słyszałam już tego dziwnego dyszenia.

Wyprostowałam się.

– Chyba zemdłał – oznajmiłam. – Podłóżcie mi sakwę pod nogi, a jeśli mamy wodę, dajcie mi trochę.

Z zaskoczeniem przekonałam się, że moje polecenia natychmiast znalazły posłuch.

Najwyraźniej młodzieniec był im potrzebny. Jęknął i otworzył oczy; w świetle gwiazd wyglądały jak czarne dziury. Cała jego twarz przypominała czaszkę – biała skóra naciągnięta na wystających kościach.

– Już dobrze – powiedział, starając się usiąść. – Tylko trochę zesłabłem.

Przycisnęłam ręką jego pierś.

– Leż – rozkazałam.

Zbadałam go szybko, uklękłam i zwróciłam się do wielkiego kształtu, który musiał być Dougalem.

– Rana po postrzale znowu krwawi, a ten dureń dodatkowo dostał cios nożem. Chyba niezbyt poważny, ale

nieźle się wykrwawił. Koszulę ma przesiąkniętą na wylot, nie wiem, ile w tym jego krwi. Trzeba mu odpoczynku i spokoju. Powinniśmy gdzieś się zatrzymać do rana.

Mroczna postać zrobiła przeczący gest.

– Nie. Tutaj wojska już się nie zapuszczą, ale musimy uważać na patrole. Musimy jeszcze przejechać z dziesięć kilometrów. – Nieforemny czarny masyw przechylił się, oceniając położenie gwiazd. – Pięć godzin, a najpewniej siedem. Możemy stanąć tylko na tyle, żebyś zdołała zatamować krew i znowu go opatrzyć.

Zabrałam się do pracy, mamrocząc niezycieliwie pod nosem. Dougal rzucił parę cichych słów; jeden z cieni stanął na warcie przy drodze. Inni mężczyźni usiedli spokojnie, popijając z flasz i gawędząc przyciszonymi głosami. Murtagh, mężczyzna o twarzy łasicy, pomógł mi – podarł płótno na pasy i przyniósł wodę, a także podniósł pacjenta do opatrunku. Stanowczo zabroniłam, żeby Jamie się ruszał, choć burczał, że czuje się całkiem dobrze.

– Nie czujesz się dobrze i wcale się nie dziwię – warknęłam, dając upust strachowi i irytacji. – Co z ciebie za idiota, żeby nawet nie zająć się raną! Nie mogłeś powiedzieć, że krwawisz? Masz szczęście, że jeszcze żyjesz! Kto to widział, pętać się przez całą noc po okolicy, wdawać w bójkę, spadać z konia... nie ruszaj się, ty cholerny głupcze. – Ciemności utrudniały mi pracę; kawałki płótna wymykały się z palców. Mimo chłodu nocy po karku spływały mi strużki potu. Wreszcie zdołałam chwycić jeden koniec bandaża i sięgnęłam po drugi, który nie chciał się ułożyć na plecach Jamiego. – Chodź no tutaj,



ty... przeklęty sukinsynu!

Jamie poruszył się i związany bandaż znowu się rozluźnił.

Wokół nas zapanowało milczenie.

– Chryste – odezwał się grubas Rupert. – Nigdy nie słyszałem, żeby kobieta tak gadała.

– Widać nie rozmawiałeś z moją cioteczka Grisel – odparł ktoś.

Wszyscy parsknęli śmiechem.

– Mąż powinien cię obić, kobieto – odezwał się jakiś surowy głos z cienia pod drzewem. – Święty Paweł mówi: „Niech kobieta milczy, a...”.

– Pilnuj własnego nosa – rzuciłam spocona jak mysz. – Razem ze świętym Pawłem. – Otarłam czoło rękawem. – Odwróćcie go na lewy bok. Jeśli ruszysz choćby palcem, kiedy będę cię bandażować – zagroziłam Jamiemu – uduszę cię.

– Dobrze – zgodził się potulnie.

Przy ostatnim bandażu pociągnęłam za mocno i cały opatrunek się rozwiązał.

– Niech to piekło pochłonie! – ryknęłam i grzmotnęłam pięścią w ziemię.

Po chwili ciszy rozpoczęły się komentarze.

– Może trzeba ją posłać do Świętej Anny – rzuciła jedna z anonimowych postaci przy drodze. – Jamie nie zaklął ni razu, odkąd opuściliśmy wybrzeże, a miał gębę niewyparzoną jak marynarz. Cztery miesiące w klasztorze nie poszły na marne. Nawet nie używasz już imienia bożego nadaremno, co, chłopcze?

– Ty byś też nie używał, jakbyś za karę miał leżeć przez trzy godziny w nocy na kamiennej podłodze kaplicy, i to w lutym, za jedyne odzienie mając koszulę – odpowiedział Jamie.

Wszyscy parsknęli śmiechem.

– Kara trwała tylko dwie godziny, ale przez trzecią wstawałem. Myślałem, że mi przymarzł... hm, że przymarzłem do posadzki, ale okazało się, że tylko zeszywniał.

Najwyraźniej czuł się już lepiej. Uśmiechnęłam się mimo woli, ale przemówiłam z całą surowością.

– Cicho bądź, bo zrobię ci krzywdę.

Chciał dotknąć opatrunku; dałam mu po łapie.

– Co, grozisz mi? – rzucił zuchwale. – A przecież podzieliłem się z tobą napitkiem.

Mężczyźni przekazywali sobie flaszę. Dougal ukląkł obok mnie i ostrożnie podał na czynie z trunkiem pacjentowi. Ostry, palący smród bardzo mocnej whisky uderzył mnie w nozdrza. Położyłam rękę na flaszy.

– Koniec z alkoholem – oznajmiłam. – Trzeba mu herbaty albo przynajmniej wody.

Nie whisky.

Dougal obojętnie odsunął moją dłoń i wlał spory łyk gryzącego płynu w gardło młodzieńca. Jamie zaniósł się kaszlem. Przywódca odczekał do końca paroksyzmu i znowu na chylił butelkę do jego ust.

– Przestań! Chcesz go tak upić, żeby nie mógł się utrzymać na nogach?

Zostałam brutalnie odtrącona.

– Mała wiedźma, co? – zauważył mój pacjent z rozbawieniem.

– Pilnuj własnych spraw, kobieto – rozkazał Dougal. – Długa droga przed nami, a on musi się pokrzepić.

W chwili, kiedy opatrunek został założony. Jamie chciał usiąść. Popchnęłam narwańca na ziemię i przyklekłam mu na piersi, żeby go unieruchomić.

– Nie będziesz się ruszać – rzuciłam wściekle. Szarpnęłam Dougala za brzeg kiltu, zmuszając olbrzyma do przykucnięcia.

– Patrz – rozkazałam moim najbardziej udanym tonem siostry przełożonej i włożyłam mu do ręki ociekającą krwią koszulę Jamiego. Upuścił ją z cichym pomnikiem obrzydzenia. Wzięłam jego dłoń i położyłam na ramieniu pacjenta. – tutaj. Ma ranę ciętą mięśnia kapturowego.

– Od bagnetu – podsunął uczynnie Jamie.

– Bagnet! – krzyknęłam. – dlaczego mi nie powiedziałeś?

Wzruszył ramionami i znieruchomiał, dławiąc jęk bólu.

– Poczułem, że wchodzi, ale nie wiedziałem, czy głęboko. Nie bolało aż tak.

– A teraz?

– Boli – przyznał zwięźle.

– Dobrze – syknęłam, sprowokowana. – Zasłużyłeś sobie. Może to cię nauczy, że nie wolno się uganiać po nocy, porywać kobiety i za...zabijać ludzi, i... – Urwałam, czując się idiotycznie bliska łez.

Dougal zniecierpliwiał się naszą pogawędką.

– No, usiedzisz na koniu?

– On nigdzie się stąd nie ruszy! – zaprotestowałam z urazą. – Trzeba go zawieźć do szpitala! I na pewno nie...

Moje słowa jak zwykle zostały zignorowane.

– Wsiądziesz na konia? – powtórzył Dougal.

– No. Jak tylko zdejmiecie ze mnie dziewczynę i dacie mi czystą koszulę.

Dalsza część podróży przebiegła bez przeszkód, jeśli za brak komplikacji można uznać przejechanie dwudziestu kilometrów na końskim grzbiecie razem z rannym, po nierównym terenie i w nocy, często po bezdrożach, w towarzystwie mężczyzn w kiltach, za to uzbrojonych po zęby. Ale przynajmniej nie spotkaliśmy rozbójników ani dzikich zwierząt i nie padało. W kategoriach, do których zaczynałam przywykać, oznaczało to właściwie nudę.

Niebo na wschodzie, ponad zamglonymi wrzosowiskami, zaczęło się rozjaśniać. Cel podróży wznosił się przed nami – ogromna masa ciemnego kamienia, obrysowana szarym światem świtu.

Okolica nie była już cicha i opuszczona. W stronę zamku zmierzał sznur ludzi w prymitywnym odzieniu. Szli po jednej stronie wąskiej dróżki, by przepuścić nasze konie, i przyglądali się z otwartymi gębami mojej sukience, którą najwyraźniej uważali za cudzoziemski strój.

Mgła była gęsta – co mnie wcale nie dziwiło – ale udało mi się rozpoznać kamienny most nad niewielkim strumieniem, przepływającym przed zamkiem i znikającym

w ciemnym jeziorze nie opadał.

Sam zamek wyglądał okazale i solidnie. Żadnych fantastycznych wieżyczek czy zębatych blanków. Wydawał się raczej ogromnym ufortyfikowanym domem o grubych kamiennych ścianach i wysokich szczelinach okien. Kilka kominów wystawało ponad gładkimi dachówkami. Sączył się z nich dym równie szary, jak wszystko inne.

W bramie prowadzącej do zamku zmieściłyby się dwa jadące obok siebie wozy.

Mówię to z całym przekonaniem, ponieważ coś takiego wydarzyło się na moich oczach, kiedy przemierzaliśmy most. Jeden zaprzęgnięty w wołu wóz był wyładowany baryłkami, drugi sianem. Nasz mały pochód zatrzymał się na moście, czekając niecierpliwie, aż oba pojazdy zakończą skomplikowane manewry.

Kiedy znaleźliśmy się na mokrych i śliskich kamieniach dziedzińca, odważyłam się zadać pytanie. Nie odezwałam się do mojego pacjenta od chwili, kiedy zmieniałam mu po spiesznym opatrunek na poboczu drogi. On także zachowywał milczenie, jeśli nie liczyć cichych jęknięć przy szarpnięciach.

– Gdzie jesteśmy? – wychrypiałam.

Z zimna i zmęczenia mój głos przypominał skrzeczenie.

– Twierdza Leoch – odpowiedział krótko.

Zamek Leoch. No dobrze, przynajmniej coś wiedziałam. Co prawda, kiedy widziałam go ostatnim razem, stanowił ruiny położone o czterdzieści kilometrów na północ od Bargrennan. Teraz wyglądał zdecydowanie

bardziej malowniczo, zwłaszcza ze względu na świnie ryjące pod ścianami i wszechobecny kwaśny smród ścieków. Zaczynałam dopuszczać do siebie obłądnie nieprawdopodobne przekonanie, że znalazłam się w osiemnastym wieku.

Byłam pewna, że taki brud i chaos nie może istnieć w Szkocji z roku tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego, bez względu na wszystkie bombardowania świata.

A znajdowaliśmy się bezsprzecznie w Szkocji; akcent ludzi na dziedzińcu nie pozostawiał co do tego żadnych wątpliwości.

– Hej, Dougal! – wrzasnął obszarpany stajenny, który podbiegł do konia przywódcy.

– Wcześniej się zjawileś! Myśleliśmy, że co przyjdzie nam cię zobaczyć dopiero koło Zgromadzenia!

Herszt zeskoczył na ziemię, zostawiając konia pod opieką niechlujnego młodzika.

– Cóż, różnie nam się wiodło, dobrze i źle. Przyjechałem zobaczyć się z bratem.

Zawołaj no panią Fitz, niech nakarmi chłopaków. Muszą się najeść i wyspać.

Skinął na Murtagha i Ruperta, którzy posłusznie za nim podążyli. Zniknęli w drzwiach ze szpiczastym łukiem sklepienia.

Reszta naszej grupy czekała na mokrym dziedzińcu, dopóki pani Fitz, kimkolwiek była, nie zdecyduje się nam objawić. Wokół nas zebrała się gromadka dzieci, które chyba zastanawiały się nad moim pochodzeniem i znaczeniem. Co śmielsze zaczynały szarpać mnie za

sukienkę, kiedy potężna, krzepka kobieta w ciemnobrązowym ubraniu z płótna i samodziału wypadła z impetem na dziedziniec i przepędziła dzieciarnię jak stado wróbli.

– Willy! – zakrzyknęła. – Co za radość! I Neddie! – Obdarzyła małego łysego soczystym całusem, który omal nie zwałił go z nóg. – Głodni, co? W kuchni znajdziecie mnóstwo jadła, idźcie i posilcie się, a żywo. – Odwróciła się ku mnie i Jamiemu; na nasz widok drgnęła. Spojrzała na mnie z otwartymi ustami, po czym zwróciła się do mojego towarzysza z niemym pytaniem.

– To jest Claire – odpowiedział. – Pani FitzGibbons – dodał, przechyliwszy głowę w drugą stronę. – Murtagh znalazł ją wczoraj, a Dougal rzekł, że musi z nami przyjechać.

– Zabrzmiało to tak, jakby chciał obciążyć kogoś innego odpowiedzialnością za moją obecność.

Pani FitzGibbons zamknęła usta i bystrym spojrzeniem zmierzyła mnie od stóp do głów. Najwyraźniej uznała, że wyglądam nieszkodliwie mimo dziwnego i skandalicznego wyglądu, ponieważ uśmiechnęła się miło, ukazując braki w uzębieniu, po czym wzięła mnie za rękę.

– Witaj, Claire. Pójdź ze mną, znajdziemy ci coś bardziej... hmm – zerknęła na moją krótką sukienkę oraz nieodpowiednie buty i pokręciła głową.

Zdecydowanie pociągnęła mnie za sobą; w ostatniej chwili przypominałam sobie o moim pacjencie.

– Och, proszę poczekać! Zapomniałam o Jamiem!  
Pani FitzGibbons była zdziwiona.

– Jamie sam o siebie zadba. Wie, gdzie znaleźć strawę, a ktoś znajdzie mu wolne łóżko.

– Ale on jest ranny! Wczoraj dostał postrzał, a w nocy został dźgnięty bagnietem.

Zrobiłam mu opatrunek, ale nie miałam czasu oczyścić rany. Muszę teraz się tym zająć, zanim dojdzie do infekcji.

– Do czego?

– No, do zapalenia... z ropą, opuchlizną i gorączką.

– Ach, pojmuję. Znaczy, że znasz się na tym? Jesteś znachorką? Mądra?

– Mniej więcej. – Nie wiedziałam, co miała na myśli, i nie zamierzałam udowodniać swoich kwalifikacji oraz inteligencji w lodowatej mżawce, która zaczęła siąpić. Pani FitzGibbons najwyraźniej zgodziła się z moją opinią, ponieważ zawołała Jamiego, który zmierzał w przeciwnym kierunku i, również ująwszy go za ramię, zaprowadziła nas ku zamkowi.

Po długiej wędrówce zimnymi wąskimi korytarzami, których mrok rozpraszało jedynie słabe światło wpadające przez szczeliny okien, dotarliśmy do przestronnego pomieszczenia, wyposażonego w łóżko, parę stołków i, co najważniejsze, kominek.

Podbiegłam do ognia, zapomniawszy na chwilę o pacjencie, i zajęłam się rozmrażaniem zdrętwiałych dłoni. Pani FitzGibbons była chyba odporna na zimno.

Posadziła Jamiego na stołku przy ogniu i delikatnie rozebrała go z resztek podartej koszuli. Otułiła młodzieńca ciepłą kołdrą. Spojrzała na ramię, posiniaczone i



opuchnięte, cmoknęła z niepokojem, po czym dotknęła nieporządnie założonego opatrunku.

Odwróciłam się od kominka.

– Sądzę, że trzeba oczyścić ranę i przemyć ją roztworem... który zapobiegnie gorączce.

Pani FitzGibbons okazała się wymarzoną pielęgniarką.

– Czego ci potrzeba? – spytała zwięźle.

Zastanowiłam się pospiesznie. Czego, na litość boską, używano przed wynalezieniem antybiotyków? I co może być dostępne w prymitywnym szkockim zamczysku o tej porze dnia?

– Czosnek! – wykrzyknęłam wreszcie tryumfalnie.

– Czosnek, a jeśli można, to i oczar. I czyste opatrunki, i czajnik wrzącej wody.

– W porządku. Może jeszcze ździebko żywokostu? No i herbatka z sadzca albo rumianku. Chłopak wygląda jak z krzyża zdjęty.

Młodzieniec naprawdę ślaniał się z wyczerpania, zbyt zmęczony, by zaprotestować przeciwko traktowaniu go jak przedmiot.

Pani FitzGibbons wróciła po chwili z fartuchem pełnym główek czosnku, woreczków pełnych suszonych ziół i pasów starego płótna. Z jednego jędrnego ramienia zwiślał jej czarny żelazny czajniczek, w drugiej ręce niosła gąsior z wodą tak swobodnie, jakby był lżejszy od piórka.

– Co mam teraz zrobić, moja droga? – spytała wesoło.

Poprosiłam, żeby zagotowała wodę i obrała

czosnek, a sama zajęłam się przeglądaniem woreczków z ziołami. Znalazłam tam liście oczaru wirgińskiego, o który prosiłam, sadziec i żywokost na herbatkę, i coś, co z pewnym wahaniem uznałam za korę wiśni.

– Środek przeciwbólowy – mruknęłam z zadowoleniem, przypomniawszy sobie nauki pana Crooka.  
– Dobrze, tego było nam trzeba.

Wrzuciłam do wrzącej wody parę ząbków czosnku i liście oczaru, po czym zanurzyłam w wywarze paski materiału. Sadziec, żywokost i kora wiśni zaparzały się w małym naczyniu z gorącą wodą przy ogniu. Przygotowania przywróciły mi nieco równowagi. Jeśli nawet nie wiedziałam na pewno, gdzie się znalazłam i dlaczego mnie to spotkało, przynajmniej nie miałam wątpliwości, co powinnam zrobić przez najbliższy kwadrans.

– Dziękuję... pani FitzGibbons – powiedziałam z szacunkiem. – Teraz dam już sobie radę, jeśli musi się pani zająć czymś innym.

Wielka kobieta wybuchnęła grzmiącym śmiechem.

– A jakże, dziewczyno! W rzeczy samej, mam moc roboty! Przyślę wam bulion.

Zawołaj, jak będzie ci potrzebne coś jeszcze.

Zdejmowałam bandażę najdelikatniej, jak tylko mogłam. Materiał przylgnął do ciała i oderwał się z suchym chrupnięciem strupa. Kropelki świeżej krwi wystąpiły na powierzchnię rany. Przeprosiłam Jamiego za to, że sprawiłam mu ból, choć on nie jęknął.

Uśmiechnął się lekko, z sympatią, a nawet z jeszcze cieplejszym uczuciem.

– Nie martw się, dziewczyno. Cierpiałem już większy ból, i to z rąk ludzi nie tak ładnych jak ty.

Pochylił się, żebym mogła przemyć ranę wywarem z czosnku; kołdra ześliznęła mu się z pleców.

W tej samej chwili pojęłam, że komplement zawierał w sobie samą prawdę: Jamie zaliczył w przeszłości znacznie poważniejsze obrażenia. Całe jego plecy były pokryte krzyżującymi się białymi szramami. Został okrutnie wychłostany, i to nie raz. Tam, gdzie ślady się przecinały, zauważyłam srebrzyste blizny, a także nieregularności – najwyraźniej po kilku ciosach w to samo miejsce, które zerwały skórę i naruszyły mięśnie.

Podczas pracy w szpitalu polowym widywałam już najróżniejsze rany i obrażenia, ale te ślady były świadectwem wstrząsająco brutalnego traktowania. Pewnie wydałam cichy okrzyk, ponieważ odwrócił głowę i zauważył moje spojrzenie. Wzruszył zdrowym ramieniem.

– Królewscy. Wychłostali mnie dwa razy w ciągu jednego tygodnia. Pewnie zrobiliby to dwa razy w ciągu tego samego dnia, gdyby się nie bali mnie zabić. Smaganie batem trupa to żadna zabawa.

Z dużym wysiłkiem przybrałam opanowany ton. Zaczęłam przemywać ranę.

– Nie wierze, żeby można było zrobić coś takiego dla zabawy.

– Nie? Powinnaś go zobaczyć.

– Kogo?

– Angielskiego kapitana, który mnie wychłostał. Jeśli nawet nie był rozbawiony, to na pewno bardzo

zadowolony z siebie. Bardziej niż ja – dodał z krzywym uśmiechem. – Zwią go Randall.

– Randall! – Nie mogłam powstrzymać okrzyku.

Zimne niebieskie oczy spojrzały na mnie.

– Znasz tego człowieka? – w jego głosie pojawiła się nagle podejrzliwość.

– Nie, nie! Niegdyś znałam rodzinę o tym nazwisku, dawno... dawno temu. – Ze zdenerwowania upuściłam szmatkę. – Szlag, znowu to trzeba wygotować. – Podniosłam gałganek z podłogi i podbiegłam do kominka, by w ferworze przygotowań ukryć zaniepokojenie.

Czy to możliwe, by ten kapitan Randall naprawdę był przodkiem Franka, żołnierzem o nieposzlakowanej reputacji i znakomitych dokonaniach, rycerskim na polu bitwy, za którego ręczyli hrabiowie? A jeśli tak, to czy ktoś spokrewniony z moim miłym, łagodnym Frankiem mógł być zdolny do zadania temu chłopcu takiego bólu?

Zajęłam się pracą przy kominku. Dorzuciłam do wody jeszcze parę garści oczaru i czosnku i przygotowałam więcej szmatek. Kiedy uznałam, że zdołam zapanować nad głosem i mimiką, wróciłam do Jamiego.

– Dlaczego cię wychłostali? – spytałam wprost.

Nie było to taktowne pytanie, ale musiałam się dowiedzieć, a zmęczenie zbyt mocno dawało mi się we znaki, bym ujęła rzecz bardziej ogólnie.

Westchnął i poruszył się niespokojnie pod moimi dłońmi. On także padał ze zmęczenia, a ja niewątpliwie sprawiałam mu ból, choć starałam się być delikatna.

– Pierwszy raz za ucieczkę, drugi raz za kradzież...

przynajmniej tak stało w oskarżeniu.

– Od czego uciekałeś?

– Od Anglików. – Ironicznie unióś brwi. – Z Fort William.

– Domyśliłam się, że od nich – oznajmiłam tonem równie suchym jak jego głos. – Coś ty robił w Fort William?

Potał czoło wolną ręką.

– Stawiałem opór.

– Stawianie oporu, ucieczka i kradzież. Niebezpieczny z ciebie typ – skomentowałam żartobliwie, w nadziei, że odwróć uwagę chłopaka od zabiegu.

Wydawało się, że do pewnego stopnia odniosłam sukces; jeden kącik jego pełnych ust unióś się lekko, a ciemne oko błysnęło ku mnie ponad ramieniem.

– O, tak. Dziwne, że się nie boisz być w jednej izbie ze mną... ty. Angielka.

– No, na razie wyglądasz nieszkodliwie. – Było to stuprocentowe kłamstwo: na wpół nagi, pokiereszowany i umazany krwią, z zarośniętymi policzkami i oczami zaczerwienionymi po długiej nocnej jeździe, wyglądał w najwyższym stopniu podejrzanie. Ale zmęczony czy nie, wydawał się najzupełniej zdolny do dalszych rozbojów, gdyby tylko zaistniała taka potrzeba.

Parsknął zadziwiająco niskim śmiechem.

– Bezbronny jak gołąbka – przyznał. – Jestem tak głodny, że mogę być niebezpieczny tylko dla śniadania. Jeśli zobaczę jakiś bezpieczny bochen chleba, nie odpowiadam za siebie. Aaa!

– Paskudna rana. Przepraszam – mruknęłam.

– Nie szkodzi – odparł hardo, ale pod miedzianą szczecinę jego skóra nabrała niezdrowej bledkości.

– Co to znaczy „stawianie oporu”? – spytałam lekko. – Muszę przyznać, że nie wydaje się to wielkim przestępstwem.

Odetchnął głęboko i wbił spojrzenie w rzeźbione wezglowie łoża, gdyż sięgnęłam w głąb rany.

– Ach... W moim przypadku oznaczało, że wystąpiłem w obronie własnej rodziny i majątku i prawie przypłaciłem to życiem. – Zaciśnął usta, jakby nie zamierzał powiedzieć nic więcej, ale po chwili odezwał się znowu. Może chciał odwrócić swoją uwagę od tego, co działo się z jego ramieniem. – To było chyba ze cztery lata temu. Na posiadłości w pobliżu Fort William nałożono podatki: należało dawać żywność dla garnizonu, konie i tak dalej. Nikomu się to nie podobało, ale większość z nas postanowiła ścierpieć. Małe oddziały wędrowały z oficerem i wozem, zbierając wszelkie dobra. Aż pewnego razu w październiku ów kapitan Randall zjawił się w L... – urwał i rzucił mi spojrzenie – w naszym domostwie.

Skinęłam głowę, nie odrywając spojrzenia od jego ramienia.

– Kto mógł wiedzieć, że zapuszczą się aż tak daleko? Nasz dom stał szmat drogi od fortu i niełatwo się było do niego dostać. Ale przyszli. – Na chwilę zamknął oczy. – Ojciec akurat pojechał na pogrzeb w sąsiednim gospodarstwie. Ja pracowałem w polu z większością chłopów, bo zbliżały się żniwa, a roboty było huk. W domu

została tylko siostra z kilkoma służącymi, a kiedy zjawili się królewscy, wszystkie uciekły na piętro.

Myślały, że to wysłannicy diabła. I nie powiem, żeby się myliły.

Odłożyłam szmatkę. Najgorszą część miałam już za sobą. Teraz należało jeszcze położyć jakiś okład – wobec braku jodyny i penicyliny tylko tak mogłam zaradzić infekcji – i dobrze zabandażować ranę. Młodzieniec, siedzący nadal z zamkniętymi oczami, jakby niczego nie zauważał.

– Wróciłem do domu z pola, bo chciałem przynieść ze stajni uprząż. Wtem usłyszałem krzyk siostry.

– Tak? – Bardzo chciałam się czegoś dowiedzieć o kapitanie Randallu. Na razie nie zmieniałam zdania, jakie sobie o nim wyrobiłam.

– Wpadłem do domu przez kuchnię i znalazłem dwóch królewskich, jak grzebali w spizarce. Wypychali sakwy mąką i boczkiem. Grzmotnąłem jednego w łeb, a drugiego wyrzuciłem przez okno razem z sakwą. Potem wpadłem do salonu, gdzie dwaj inni szarpali się z moją siostrą Jenny. Miała rozdartą sukienkę, a jeden z nich był podrapany na gębie.

Otworzył oczy i uśmiechnął się ponuro.

– Nie pytałem, o co idzie. Zaczęła się bójka i radziłem sobie niekiepsko, choć było ich dwóch, ale potem pojawił się Randall.

Randall położył kres bójce, przystawiając siostrze Jamiego pistolet do głowy.

Zmuszony do kapitulacji Jamie został schwytyany i

związany. Randall uśmiechnął się czarująco do swojego więźnia i powiedział:

– Proszę, proszę. Dwa ogniste koty, co? Mam nadzieję, że ciężka praca ugasi wasz temperament, a jeśli nie, to i my mamy kota... i to o dziewięciu ogonach. Ale znajdują się jeszcze inne lekarstwa, czy nie, słodka kureczko?

Jamie zamilkł na chwilę i zacisnął zęby.

– Wykręcał ramię Jenny, ale potem ją puścił i schwycił za piersi. – Uśmiechnął się niespodziewanie. – Więc Jenny nastąpiła mu z całej siły na stopę i grzmotnęła łokciem w brzuch. A kiedy się zgiął wpół, obróciła się i wbiła mu kolano w przyrodzenie. – Parsknął krótko z rozbawieniem. – Randal upuścił pistolet. Rzuciła się ku broni, ale dragon okazał się szybszy..

Skończyłam bandażować ranę i stanęłam cicho za jego plecami, trzymając mu dłoń na zdrowym ramieniu. Uważałam, że powinien powiedzieć wszystko, ale bałam się, że zamilknie, jeśli zda sobie sprawę z mojej obecności.

– Kiedy tylko Randall odzyskał dech, kazał nas wywlec przed dom. Zdarli mi koszulę, przywiązali do dyszla, a Randall wychłostał mnie płazem szabli. Pienił się z wściekłości, ale był zbyt słaby, rozumiesz? Trochę dał mi się we znaki, lecz nie trwało to długo.

Przelotne rozbawienie zniknęło, a ramię, na którym trzymałam rękę, stężało.

– Przestał i odwrócił się do Jenny... trzymał ją jeden dragon... i spytał, czy chce zobaczyć więcej, czy też raczej pójdzie z nim do domu i zapewni mu lepszą rozrywkę.

Ramię drgnęło nerwowo.



– Nie mogłem się ruszać, ale krzyknąłem do niej, że nic mi nie zrobili i by nie szła z tym drabem, nawet gdyby poderżnął mi gardło na jej oczach. Trzymali Jenny za mną, więc nic nie widziałem, ale usłyszałem coś takiego, jakby splunęła mu w twarz. Chyba to właśnie zrobiła, bo zaraz potem złapał mnie za włosy, przechylił moją głowę i przystawił mi nóż do gardła. „Skorzystam z twojej sugestii”, powiedział przez zęby i przeciągnął ostrzem po skórze, płytko, tylko tyle, by pojawiła się krew. Widziałem sztylet tuż przed sobą i plamy mojej krwi na ziemi pod wozem. – Jamie mówił sennym, monotonnym głosem. Zdałam sobie sprawę, że ze zmęczenia i bólu wpadł w rodzaj hipnotycznego transu. Może nawet nie pamiętał, że przy nim byłam. – Chciałem zawołać do siostry, powiedzieć jej, że wolę umrzeć, niż wiedzieć, że zhańbiła się z takim łajdakiem. Ale Randall odjął sztylet od mego gardła i wsadził mi go między zęby, więc nie mogłem się odezwać. – Potarł wargi, jakby nadal czuł smak stali. Zamilkł i zastygł nieruchomo, wpatrzony w pustkę.

– Co dalej? – Nie powinnam nalegać, ale musiałam wiedzieć.

Otrząsnął się, jak wytrącony ze snu, i potarł dużą dłonią kark.

– Poszła z nim – rzucił gwałtownie. – Myślała, że Randall mnie zabije, i pewnie miała rację. Nie wiem, co się stało potem. Dragon uderzył mnie w głowę kolbą muszkietu.

Kiedy się ocknąłem, leżałem wśród kurczaków na wozie jadącym do Fort William.

– Ach, tak – szepnęłam. – To musiało być straszne.

Uśmiechnął się niespodziewanie; mgła zmęczenia znikła.

– Kurczaki to kiepscy towarzysze podróży, zwłaszcza gdy droga się dłuży.

Zorientował się, że założyłam już opatrunek i eksperymentalnie poruszył ramieniem.

Skrzywił się boleśnie.

– Nie rób tego! – zawołałam zaniepokojona. – Nie wolno ci ruszać tą ręką. Prawdę mówiąc – sprawdziłam, czy na blacie stołu są jeszcze kawałki suchego materiału – zamierzam ci ją unieruchomić. Siedź spokojnie.

Nie odezwał się już, ale poczułam, że rozluźnia napięte mięśnie, zrozumiawszy, że zabieg nie będzie bolesny. Doznałam jakiegoś dziwnego uczucia bliskości z tym młodym, nieznajomym Szkotem – być może ze względu na historię, którą mi opowiedział, lub też na podróż spędzoną wspólnie w ospałym milczeniu. Nie spałam z wieloma mężczyznami, ale zauważyłam już, że zaśnięcie z kimś tworzy niezwykłą więź, jakby dzieliło się ze sobą sny, obdarzające obie osoby podświadomą wiedzą o sobie nawzajem. Może to atawizm, pomyślałam. W dawnych, bardziej prymitywnych czasach (takich jak te? – odezwało się coś w mojej głowie) zaśnięcie w towarzystwie innej osoby było aktem zaufania większym niż połączenie ciał.

Kiedy skończyłam, pomogłam młodemu Szkotowi ubrać się w koszulę z grubego lnu.

Wstał i jedną ręką włożył ją za pasek kiltu.

Uśmiechnął się do mnie.

– Dzięki, Claire. Masz dobrą rękę. – Wyciągnął dłoń, jakby chciał dotknąć mojej twarzy, ale nagle się rozmyślił. Ramię zawisło w powietrzu i opadło. Najwyraźniej on także poczuł tę dziwną bliskość. Odwróciłam wzrok i wykonałam gest mający oznaczać, że nie zrobiłam nic szczególnego.

Powiodłam wzrokiem po pokoju. Przyjrzałam się osmalonemu kominkowi, wąskiemu oknom bez szyb i meblom z litej dębiny. Żadnych elektrycznych urządzeń. Brak dywanów. Ani jednej mosiężnej gałki przy łóżku.

Rzeczywiście, prawdziwy osiemnastowieczny zamek. Ale co z Frankiem? Mężczyzna, którego wczoraj spotkałam w lesie, przypominał go w niepokojący sposób, lecz to, co Jamie powiedział o kapitanie Randallu, zupełnie nie pasowało do mojego łagodnego, miłującego pokój męża. A jeśli to prawda – a ja zaczęłam przyznawać przed samą sobą, że być może właśnie tak jest – ten człowiek mógł być niemal wszystkim. Ktoś, kogo znałam jedynie jako punkt drzewa genealogicznego, nie musiał koniecznie przypominać charakterem swojego potomka.

Ale w tej chwili niepokoiłam się głównie o Franka. Jeśli naprawdę znalazłam się w osiemnastym wieku, to gdzie podziewał się mój mąż? Co zrobił, kiedy nie wróciłam do domu pani Baird? Czy go jeszcze zobaczę? Wspomnienie o Franku przepeliło czarę.

Odkąd przesłam przez rozpadlinę w głazie i zwyczajne życie przestało istnieć, byłam napadana, zastraszana, porywana i poszturchiwana. Nie jadłam i nie

spalałam od przeszło dwudziestu czterech godzin. Zrobiłam wysiłek, żeby się opanować, ale wargi mi zadrżały, a oczy wypełniły się łzami.

Odwrociłam się do kominka, żeby ukryć twarz, ale było już za późno. Jamie ujął mnie za rękę i spytał łagodnie, co się stało. Blask ognia zamigotał na mojej obrączce i dopiero teraz rozczuliłam się na dobre.

– Och, ja... nic mi nie jest, naprawdę, to tylko... tylko... mój mąż... nie wiem...

– Ach, więc jesteś wdową? – W głosie młodzieńca brzmiała tak wielka troska i współczucie, że kompletnie straciłam panowanie nad sobą.

– Nie... tak... to znaczy, nie... tak, chyba jestem!

Padłam mu w ramiona, złamana wyczerpaniem oraz nadmiarem trosk, i wybuchnęłam histerycznym łkaniem.

Ten chłopak miał naprawdę dobre serce. Zamiast wezwać pomoc albo wycofać się z zakłopotaniem, przygarnął mnie zdrową ręką na kolana i zaczął łagodnie kołysać, mruczając do ucha ciche celtyckie słowa i głaszcząc po włosach. Szlochałam gorzko, w jednej chwili ogarnięta rozpaczą i bólem, ale powoli się uspokoiłam. Jamie gładził mnie po plecach i tulił do szerokiej, ciepłej piersi. Moje łkania ustały; opanowałam się, leżąc zdrętwiała ze zmęczenia w jego ramionach. Nic dziwnego, że ma taką rękę do koni, pomyślałam nieprzytomnie, czując jego delikatne palce głaszczące mnie po głowie, słuchając kojącego, niezrozumiałego głosu. Gdybym była koniem, pozwoliłabym się zaprowadzić wszędzie, gdzie tylko by zechciał.

Ta absurdalna myśl zbiegła się z narastającą świadomością, iż młodzieniec wcale nie znajdował się u kresu sił. Właściwie fakt ten stał się krępująco oczywisty dla nas obojga.

Odkaszlnęłam, otarłam oczy rękawem i wstałam z jego kolan.

– Przepraszam... to jest, dziękuję za... ale... – wybelkotałam, cofając się z płonąca twarzą. On także trochę się zarumienił, ale nie stracił rezonu. Wziął mnie za rękę i przyciągnął do siebie. Delikatnie wziął mnie pod brodę i zmusił do spojrzenia na siebie.

– Nie musisz się mnie lękać – powiedział miękko. – Ani nikogo tutaj, dopóki jestem z tobą.

Puścił mnie i odwrócił się do ognia.

– Zjedz coś gorącego, dziewczyno – stwierdził rzeczowo. – Pełny brzuch pokrzepi cię bardziej niż cokolwiek innego.

Parsknęłam jeszcze łzawym śmiechem na widok jego niezgrabnych manewrów, kiedy starał się nalać bulion jedną ręką. Pospieszyłam mu na pomoc. Miał rację; jedzenie naprawdę mi pomogło. Pożywialiśmy się bulionem i chlebem w przyjaznym milczeniu, rozkoszując się narastającym uczuciem ciepła i sytości.

Wreszcie Jamie wstał i podniósł z podłogi kołdrę. Odłożył ją na łóżko i skinął w jej kierunku.

– Zaśnij, Claire. Jesteś bardzo zmęczona, a niezadługo ktoś pewnie zechce z tobą porozmawiać.

Jego uwaga znowu uświadomiła mi moją niepewną sytuację, ale byłam zbyt wyczerpana, żeby się tym przejąć.

Zdobyłam się jedynie na kurtuazyjny protest; nigdy w życiu nic nie wydawało mi się równie kuszące, jak to łoże. Jamie zapewnił mnie, że znajdzie sobie posłanie gdzieś indziej. Padłam niczym kłoda na stertę kołder i zasnęłam, zanim zdążył dojść do drzwi.

Obudziłam się z uczuciem kompletnego zagubienia. Gdzieś na obrzeżach mojej świadomości majaczyło wrażenie, że coś tu się bardzo nie zgadza, ale nie potrafiłam go określić bliżej. Spałam tak mocno, że przez chwilę nie mogłam sobie zdać spraw, kim jestem, a tym bardziej gdzie się znajduję. Było mi ciepło, a w pokoju panował przenikliwy ziąb. Usiłowałam znowu zakopać się w kołdrach, ale krzyk, który mnie obudził, nie cichł.

– Wstawajże, dziewczyno! No już, przebudź się! – Głos był niski i rozkazujący.

W jakiś sposób skojarzył mi się ze szczekaniem pasterskiego psa. Otworzyłam niechętnie jedno oko, tylko na tyle, by ujrzeć górę brązowych samodziaków.

Pani FitzGibbons! Jej widok otrzeźwił mnie niczym kubek zimnej wody. Natychmiast odzyskałam pamięć. A więc to nie był sen.

Owinęłam się kocem dla ochrony przed kąsającym zimnem i powlokłam do ognia.

Pani FitzGibbons przygotowała dla mnie czarękę gorącego bulionu. Wypiłam go czym prędzej. Czułam się jak jedyna ocalona ofiara wielkiego bombardowania. Tymczasem pani Fitz Gibbons rzuciła na łóżko górę ubrań. Zauważyłam pomiędzy nimi długą, żółtawą, koszulę obszytą szeroką koronką, spódnicę z delikatnej wełny, dwie

wierzchnie spódnice w różnych odcieniach brązu i bladocytrynowy stanik. Całość uzupełniały wełniane pończochy w brązowe prążki i żółte pantofle.

Okazała dama pomogła mi wyplątać się z nieodpowiedniego przyodziewku, nie zwracając uwagi na moje słabe protesty, i własnoręcznie mnie ubrała. Odstąpiła o krok i przyjrzała się z satysfakcją swojemu dziełu.

– Tak właśnie myślałam, że w żółtym będzie ci do twarzy. Pasuje do tych brązowych włosów, a z oczu wydobywa złote błyski. Ale czekaj, trzeba ci jeszcze kawałek wstążki. – Wywróciła wielką niczym worek kieszeń i wydobyła z niej kłęb barwnych tasiemek i biżuterii.

Zbyt oszołomiona, by móc się sprzeciwić, pozwoliłam jej ułożyć sobie fryzurę. Loki po obu stronach twarzy związała bladożółtą wstążką, cmokając z niezadowoleniem na widok niekobieco krótkich włosów, sięgających zaledwie ramion.

– Jezusie, dlaczego obcięłaś włosy? Musiałaś się przebrać za chłopca? Słyszałam, że kiedyś dziewczyny tak robiły, żeby ukryć płeć i obronić się przed tymi przebrzydłymi królewskimi. Do czego też doszło, patrzenie no tylko, że kobiety nie mogą bezpiecznie opuścić domu. – Obejrzała mnie uważnie, tu i tam dokonując poprawek: to przyglądając niesforny kędzior, to układając fałd sukni. Wreszcie mój wygląd zyskał sobie jej akceptację.

– No, teraz już dobrze. Zdasz jeszcze coś przegryźć, a potem mam cię zaprowadzić do niego.

– Do niego? – powtórzyłam. Nie dałam się zwięść

temu niepozornemu sformułowaniu. Kimkolwiek byłby ów On, z pewnością zamierzał mi zadać parę trudnych pytań.

– No, do pana MacKenziego, a niby do kogo?

Rzeczywiście, do kogo innego?

Zamek Leoch, co wydobyłam z pamięci z pewnym wysiłkiem, stał na samym środku ziem MacKenziech. Najwyraźniej przywódca klanu nadal nosił to nazwisko. Teraz dopiero zrozumiałam, dlaczego nasza grupka jechała przez całą noc, żeby dotrzeć do zamku; dla angielskich żołnierzy stanowił on niezdobytą twierdzę. Żaden oficer dysponujący choć odrobiną rozumu nie zapuściłby się tak daleko w pościgu za ludźmi klanu. Przy pierwszej kępie drzew niechybnie wpadłby w zasadzkę, a jedynie armia mogłaby dotrzeć do bram zamku. Usiłowałam sobie przypomnieć, czy angielscy żołnierze rzeczywiście dotarli do tego miejsca, ale nagle doszłam do wniosku, że mój los jest na razie znacznie ważniejszy od losu zamku.

Nie miałam ochoty na podpłomyki i owsiankę, którą przygotowała dla mnie pani FitzGibbons, ale udałam, że coś jem, żeby zyskać trochę czasu na zastanowienie. Kiedy pani Fitz wróciła, żeby zaprowadzić mnie do MacKenziego, miałam już opracowane zarysy planu.

Pan zamku przyjął mnie w komnacie na wieży u szczytu kamiennych schodów, okrągłej i bogato zdobionej malowidłami i kobiercami. Inne pomieszczenia zamku były dostatecznie wygodne, choć nieco puste; tutaj ze wszystkich stron cieszyły oko luksusowe meble, złocenia i blask ognia na kominku oraz płomyki świec, rozpraszające szare mżenie za oknem. Zewnętrzne ściany zamku miały



jedynie wąskie otwory strzelnicze, pełniące jednocześnie funkcje okien, tutaj wewnętrzna ściana została niedawno przebita.

W powstały otwór wstawiono okno o wielu panelach, wpuszczające do środka światło dnia.

Już od progu moją uwagę przykuła ogromna metalowa klatka, sprytnie dopasowana do półkolistej ściany i sięgająca od podłogi do sufitu. Fruwały w niej dziesiątki małych ptaszków: zięby, trznadle, sikorki i parę gatunków gajówek.

Podeszłam bliżej, nie spuszczać wzroku z gładkich, pulchnych ciałek i błyszczących paciorków oczek, osadzonych niczym klejnoty na tle aksamitnej zieleni. Skrzydlate skowronki śmigały pomiędzy liśćmi dębu, wiązu i orzecha – starannie utrzymanych drzew w donicach, ustawionych na podłodze klatki. Radosny szczebiot gawędzących ze sobą ptaków przeplatał się z trzepotem skrzydeł i szelestem liści.

– Ruchliwe maleństwa, prawda? – odezwał się tuż obok mnie głęboki, przyjemny głos.

Odwrociłam się z uśmiechem, który zamarł mi na ustach.

Colum MacKenzie miał takie same szerokie policzki i wysokie czoło jak jego brat Dougal, choć siły witalne, które nadały temu ostatniemu wygląd onieśmielający otoczenie, w przypadku Columa złagodniały i obdarzyły go bardziej zachęcającą, choć nie mniej uderzającą powierzchownością. Bardziej śniady, o oczach szarych, a nie brązowych, wydawał się równie

przytłaczający, jak jego brat. On także miał zwyczaj stawania nieco zbyt blisko, by można się poczuć całkiem bezpiecznie. Ale w owej chwili mój niepokój wynikał z faktu, iż pięknie ukształtowana głowa i długi korpus wspierały się na szokująco krzywych i krępych nogach. Mężczyzna, który powinien mierzyć dobrze ponad metr osiemdziesiąt, sięgał mi zaledwie do ramienia.

Spoglądał na ptaki, taktownie dając mi czas na opanowanie wyrazu twarzy.

Naturalnie musiał już przywyknąć do reakcji ludzi, którzy spotykali go po raz pierwszy.

Rzuciwszy okiem na pokój, zaczęłam się zastanawiać, jak często zjawiali się tu goście. Ta komnata wyglądała niczym sanktuarium, świat zbudowany rękami człowieka, dla którego świat zewnętrzny był niezycżliwy... lub nieosiągalny.

– Witam cię, pani – rzekł z lekkim ukłonem. – Nazywam się Colum ban Campbell MacKenzie i jestem panem tego zamku. Mój brat powiedział mi, iż, hm... spotkał cię dość daleko stąd.

– Zostałam porwana, jeśli chcesz wiedzieć – rzuciłam. Wolałabym utrzymać przyjazny ton, ale jeszcze bardziej pragnęłam wyrwać się z tego zamku i wrócić na wzgórze z kamiennym kręgiem. Cokolwiek się ze mną stało, tylko tam mogłam znaleźć rozwiązanie moich problemów... jeśli w ogóle było to możliwe.

Gęste brwi pana zamku uniosły się delikatnie, a pięknie wykrojone usta wygięły się w uśmiechu.

– Cóż, może – przyznał. – Dougal bywa czasem

nieco... impulsywny.

– Owszem. – Skinęłam dłonią w dystyngowanym goście. – Przyznaję, iż mogło tu zaistnieć nieporozumienie. Byłabym jednak niezmiernie wdzięczna, gdyby odwieziono mnie do... miejsca, skąd zostałam zabrana.

– Hmm... – Colum wskazał mi krzesło, nie zmieniając wyrazu twarzy. Usiadłam nie chętnie, a on dał znak służącemu, który natychmiast zniknął za drzwiami. – Posłałam po poczęstunek. Pani... Beauchamp, prawda? ... Rozumiem, iż brat mój i jego towarzysze znaleźli cię w... niezwykłym stanie. – Wydawało mi się, że ukrył uśmiech, i zaczęłam się zastanawiać, jak też opisano mu mój rzekomy negliz.

Wzięłam głęboki wdech. Nadeszła pora na wyjaśnienia, które obmyśliłam przy śniadaniu. Zastanawiając się nad nimi, przypomniałam sobie, co Frank mówił o lekcji zachowania podczas przesłuchań, którą odbył podczas oficerskiego szkolenia.

Podstawową zasadą – na ile zdołałam zapamiętać – było maksymalnie ściśle trzymanie się prawdy i zmienianie tylko tych szczegółów, które musiały pozostać tajemnicą.

Instruktor twierdził, że w ten sposób istnieje mniejsza szansa wpadki. Właśnie miałam okazję się przekonać, czy miał rację.

– Tak. Zostałam napadnięta.

Skinął głową z twarzą rozjaśnioną ciekawością.

– Czyżby? I przez kogóż to?

Mówić prawdę.

– Przez angielskich żołnierzy. A konkretnie przez

niejakiego Randalla.

Oblicze dziedzica zmieniło się gwałtownie. Nadal starał się zachować wyraz grzecznego zainteresowania, ale wokół ust pojawiła się głęboka zmarszczka.

Najwyraźniej sława tego nazwiska dotarła aż tutaj, MacKenzie usiadł wygodnie i splótł palce. Przyjrzał się mi uważnie.

– Tak? Opowiedz mi o tym, pani.

A więc – Boże, pomóż mi – zrelacjonowałam wszystko. Nie poskapiłam żadnego szczegółu starcia pomiędzy Szkotami i ludźmi Randalla, ponieważ Colum z łatwością mógł to sprawdzić w rozmowie z Dougalem. Przekazałam podstawowe dotyczące konwersacji z Randallem, gdyż nie miałam pojęcia, ile zdążył z niej podsłuchać Murtagh.

Colum kiwał głową z wielkim zainteresowaniem.

– Tak – skwitował moje wynurzenia. – Lecz jak znalazłaś się w tym miejscu? Daleko z niego do Invemess... mniemam, że chciałaś wsiąść tam na statek.

Skinęłam głową i nabrałam powietrza w płuca. Teraz właśnie nadeszła pora na popisanie się wyobraźnią. Gorzko żałowałam, że nie słuchałam uważniej opowieści Franka o rozbójnikach, ale dałam z siebie wszystko. Byłam owdowiałą kobietą z Oxfordshire i podróżowałam (co przecież odpowiadało prawdzie) ze służącym do dalekich krewnych we Francji (wydawało mi się, że dopiero ten kraj jest wystarczająco odległy). Napadnięto nas, a mój lokaj albo został zabity, albo zbiegł. Sama umknęłam na koniu w las, lecz schwymano mnie w pewnej odległości od drogi.

Udało mi się uciec bandytom, lecz musiałam zostawić wierzchowca i cały dobytek. A kiedy błąkałam się po lesie, wpadłam w ręce kapitana Randalla i jego ludzi.

Odprężyłam się nieco, zadowolona. Prosto, czysto, prawdziwie we wszystkich możliwych do sprawdzenia szczegółach. Colum nie zdradzał niczego prócz grzecznego zainteresowania. Właśnie otwierał usta, by zadać mi pytanie, kiedy od strony drzwi dobiegł nas cichy szelest. Jakiś mężczyzna, jeden z tych, których zauważyłam na dziedzińcu w chwili naszego przybycia, stał na progu ze skórzaną szkatułką w dłoni.

Przywódca klanu MacKenziech przeprosił mnie uprzejmie i pozostawił przy podziwianiu ptaków, zapewniwszy, iż wkrótce powróci, by kontynuować tę niezmiernie ciekawą rozmowę.

Ledwie drzwi się za nim zamknęły, jednym skokiem dopadłam półki z książkami.

Przesunęłam dłonią po skórzanych grzbietach. Na półce stały jakieś dwa tuziny książek; pod przeciwległą ścianą było ich znacznie więcej. Pospiesznie otworzyłam parę tomów na pierwszej stronie. Niektóre nie miały wpisanego roku wydania; inne nosiły daty od tysiąc siedemset dwudziestego do tysiąc siedemset czterdziestego drugiego roku. Colum MacKenzie lubił luksus, ale nic nie wskazywało na to, żeby zajmował się antykami.

Zresztą książki były nowe, bez śladu pęknięć na okładkach czy pożółkłego papieru.

Porzuciwszy zwykłe skrupuły, bezwstydnie zabrałam się do przeszukiwania biurka z drzewa oliwnego,

nasłuchując zbliżających się kroków.

To, czego szukałam, znajdowało się w centralnej szufladzie. Niedokończony list, napisany falującym, mało czytelnym i z całkowitym pominięciem interpunkcji, charakterem pisma. Papier był świeży i czysty, a atrament intensywnie czarny. Bez względu na ekscentryczny wygląd liter, data nagryzmołona na górze strony stanęła mi w oczach niczym ogniste znaki: dwudziestego kwietnia tysiąc siedemset czterdziestego trzeciego roku.

Colum wrócił po paru chwilach; zastał swojego gościa siedzącego przy oknie, z rękami ładnie złożonymi na podołku. Usiadłam, ponieważ nogi ugięły się pode mną, a ręce musiałam spleść, by ukryć ich drżenie, tak silne, że miałam problemy z włożeniem listu na miejsce.

Gospodarz przyniósł tacę z poczęstunkiem: kubki z piwem i świeże owsiane ciasteczka posmarowane miodem. Zaczęłam bez przekonania skubać jedno z nich; żołądek ścisnął mi się tak, że w ogóle nie czułam głodu.

Colum przeprosił mnie zdawkowo za pozostawienie bez towarzystwa, po czym wyraził współczucie wobec mojego smutnego losu. Potem usiadł, przyjrzał mi się bacznie i dodał:

– Ale jak to się stało, że ludzie mojego brata znaleźli cię, pani, błakającą się w samej koszuli? Rozbójnicy z pewnością nie zechcieliby uwłaczyć twej czci, raczej zatrzymaliby cię dla okupu. A nadto, choć wiele się słyszy o kapitanie Randallu, z zaskoczeniem dowiaduję się, że oficer angielskiej armii ma zwyczaj gwałcić zabłąkane podróżniczki.

– Tak? – warknęłam. – Cóż, zapewniam, że jest zdolny do wszelkich występków. – Układając własną wersję historii, przeoczyłam kwestię swego stroju; zastanawiałam się też, w którym momencie mojej rozmowy z kapitanem pojawił się Murtagh.

– No tak – przyznał Colum. – Całkiem to możliwe, ośmielę się rzec. Ten człowiek nie zaprzeczalnie ma złą reputację.

– Możliwe? – powtórzyłam. – Jak to? Nie uwierzyłeś mi?

Przywódca MacKenziech patrzył na mnie ze słabym, lecz wyraźnym sceptycyzmem.

– Nie powiedziałem, że ci nie wierzę, pani – odparł wyważonym tonem. – Lecz nie dzierżyłbym przywództwa dużego klanu przez dwadzieścia z górą lat, gdybym nie nauczył się wątpić we wszystko, co mi mówią.

– Skoro nie wierzysz, że jestem tą, za którą się podaje, za kogo mnie uważasz, do stu diabłów?

Drgnął, nieprzyjemnie zaskoczony moim językiem. Potem ostro rzeźbione rysy wygładziły się znowu.

– To pozostaje do wyjaśnienia – oznajmił. – A do tego czasu będziesz, pani, mile widzianym gościem na zamku Leoch. – Uniósł dłoń we wdzięcznym geście. Audiencja dobiegła końca; czujny służący ukazał się w drzwiach, najwyraźniej po to, by odprowadzić mnie do przydzielonej mi izby.

Colum powstrzymał się od dalszych uwag, ale nie wypowiedziane zdanie zawisło w powietrzu między nami. Odchodząc, słyszałam słowa równie wyraźnie, jakby rzucił

mi je prosto w twarz: – Dopóki nie dowiem się, kim naprawdę jesteś...

Chłopiec, którego pani FitzGibbons nazwała małym Alekiem, przyszedł z zaproszeniem na obiad. Posiłek miał miejsce w długim, wąskim pomieszczeniu ze stołami wzdłuż każdej ściany. Nieustający strumień służących donosił kolejne tace, dzbany i deski z mięsiwem. Promienie nisko stojącego letniego słońca wpadały przez wysokie i smukłe okna. Na ścianach znajdowały się uchwyty z pochodniami, służącymi do oświetlenia komnaty po zapadnięciu zmroku.

Na ścianach pomiędzy oknami wisiały sztandary, tartany, pledy i herby mieniające się tęczą kolorów. Jakby dla kontrastu, większość zebranych przy stołach była przyodziana w praktyczne szarości i brązy lub zgaszone brązowe i zielone myśliwskie kilty, barwą dostosowane do krycia się na wrzosowiskach.

Czułam na sobie zaciekawione spojrzenia, lecz większość biesiadników grzecznie omijała mnie wzrokiem. Za to przy stole, wydawało się, nie obowiązywały żadne maniery; Ludzie jedli, jak im było wygodnie, biorąc strawę z półmisek lub podążając z drewnianymi miskami w garści ku ogromnemu kominkowi, na którym dwaj chłopcy obracali kadłub barato. W komnacie zebrało się około czterdziestu osób, obsługiwanych przez dziesięciu służących. Rozmawiano głośno, przeważnie po celtycku.

Colum siedział u szczytu stołu, kryjąc krzywe nogi pod rzeźbionym krzesłem. Skinął mi uprzejmie głową i gestem zaprosił do zajęcia miejsca po swej lewicy, obok



pulchnej i ładnej rudowłosej kobiety, którą przedstawił mi jako swoją żonę Letycję.

– A to mój syn Hamish – dodał, kładąc dłoń na ramieniu przystojnego rudowłosego młodzieńca w wieku siedmiu lub ośmiu lat, który oderwał oczy od talerza tylko na chwilę, by kiwnąć mi głową.

Przyjrzałam się mu z zainteresowaniem. Był podobny do wszystkich znanych mi mężczyzn z rodu MacKenziech – szerokie, płaskie kości policzkowe i głęboko osadzone oczy. Gdyby nie inna karnacja, mógłby uchodzić za miniaturkę swego wuja Dougala, siedzącego u jego boku. Dwie kilkunastoletnie dziewczyny, które chichotały i tręcały się łokciami, kiedy mi je przedstawiano, okazały się córkami Dougala, Margaret i Eleanor.

Dougal rzucił mi przelotny, lecz przyjazny uśmiech, wyrwał półmisek spod łyżki jednej ze swych córek i podał go mnie.

– Gdzie twoje maniery, droga panno? – zganiał nastolatkę. – Gość ma pierwszeństwo!

Z pewnym ociąganiem ujęłam podawaną mi dużą rogową łyżkę. Nie wiedziałam, jaką potrawę będę musiała nią spożywać i z ogromną ulgą ujrzałam na półmisku rząd doskonale mi znanych wędzonych śledzi.

Jeszcze nigdy nie próbowałam jeść śledzia łyżką, ale na stole nie dostrzegłam nic, co by przypominało widelec, i z niejakim wysiłkiem przypominałam sobie, że minie jeszcze sporo czasu, zanim ludzie na tym terenie zaczną z nich korzystać. Sądząc po zachowaniu ludzi przy innych stołach, gdy łyżka stawała się bezużyteczna

używano sztyletów, którymi krajano mięso i usuwano ości. Skoro nie miałam sztyletu postanowiłam po prostu bardzo ostrożnie żuć. Pochyliłam się, by nabrać na łyżkę kawałek śledzia i napotkałam oskarżycielskie spojrzenie głębokich błękitnych oczu małego Hamisha.

– Jeszcze nie zmówiłaś modlitwy – powiedział surowo. Najwyraźniej uznał mnie za poganę, jeśli nie za kogoś zdeprawowanego do szpiku kości.

– A... może będziesz tak uprzejmy i zmówisz ją za mnie? – zaryzykowałam.

Bławatkowe oczy rozszerzyły się ze zdziwienia, ale po chwili zastanowienia chłopczyk skinął głową i złożył dłonie. Powiódł po siedzących przy stole rozkazującym wzrokiem, upewniając się, że wszyscy przybrali stosowną postawę. Dopiero potem, usatysfakcjonowany, skłonił głowę i zaintonował: *Jedni mięsiwo mają.*

*Lecz go nie spożywają,*

*A inni, nie mając, jego wyglądają.*

*My mięsiwo mamy i spożyć je możemy,*

*Za co Bogu dziękujemy.*

*Amen.*

Podniosłam głowę znad złożonych dłoni i pochwyciłam spojrzenie Columa.

Uśmiechnęłam się do gospodarza, wyrażając tym podziw dla zimnej krwi jego syna.

Powściągnął drzenie kącików ust i skinął poważnie głową.

– Dobrze powiedziane, synu. A teraz podaj chleb.

Konwersacja przy stole ograniczyła się do próśb o

dalej stojące dania. Wszyscy zabrali się na poważnie do jedzenia. Ja jakoś nie miałam apetytu, może ze względu na wciąż trwające oszołomienie, a może dlatego, że naprawdę już mdliło mnie na widok śledzi. Ale baranina była całkiem smaczna, a chleb przepyszny, pachnący i chrupiący, z wielkimi porcjami świeżego, nie solonego masła.

– Mam nadzieję, że pan MacTavish czuje się lepiej – odezwałam się, wykorzystującą krótką pauzę dla nabrania oddechu. – Nie zauważyłam go w sali.

– MacTavish? – Delikatne brwi Letycji uniosły się nad okrągłymi błękitnymi oczami.

Bardziej poczułam, niż zobaczyłam, że Dougal podnosi głowę znad posiłku.

– Młody Jamie – rzucił zwięźle, po czym znów zajął się baranią kością.

– Jamie? Jak to, czy coś mu się stało? – Pełne policzki niewiasty skrzywiły się w grymasie strachu.

– Ledwie draśnięcie, moja droga – zapewnił ją Colum. Zerknął na brata. – Ale gdzie on?

Może mi się tylko wydawało, ale w ciemnych oczach błysnęła podejrzliwość.

Dougal wzruszył ramionami, nie odrywając spojrzenia od kości.

– Wysłałem go do stajni, żeby pomógł staremu Alecowi przy koniach. W tych okolicznościach to dla niego najlepsze miejsce. – Spojrzał bratu w oczy. – A może miałeś inny pomysł?

Colum przyjrzał mu się z powątpiewaniem.

– Stajnie? Hm... aż tak mu ufasz?

Dougal otarł usta dłonią i sięgnął po bochen chleba.

– Sam podejmij decyzję, jeśli nie zgadzasz się z moją.

Colum zacisnął lekko usta, ale powiedział tylko:

– Nie, sądzę, że będzie mu tam dobrze.

Wrócił do posiłku.

Miałam co do tego własne zdanie, ponieważ stajnia nie wydawała mi się właściwym miejscem dla człowieka z raną postrzałową, ale nie spieszyłam się ze zgłaszaniem wolnych wniosków. Postanowiłam odszukać rano młodzieńca, żeby przekonać się, czy zadbano o niego, jak należy.

Podziękowałam za pudding i wymknęłam się od stołu, tłumacząc się zmęczeniem.

Wcale nie udawałam. Byłam tak wyczerpana, że prawie nie usłyszałam ostatnich słów Columa:

– A zatem dobranoc, pani Beauchamp. Przyślę jutro kogoś, kto przywiedzie cię na Salę.

Jakaś służąca, widząc, jak błąkam się w ciemnym korytarzu, uprzejmie odprowadziła mnie ze światłem aż do drzwi mojego pokoju. Zapaliłaświecę na stole; łagodny płomyk zamigotał na kamiennych ścianach. Przez chwilę poczułam się jak w grobowcu. Ale kiedy dziewczyna wyszła, ściągnęłam z okna haftowaną zasłonę i wciągnęłam w płuca powiew świeżego powietrza. Usiłowałam zastanowić się nad wszystkim, co mnie spotkało, lecz umysł odmówił zajęcia się czymkolwiek prócz snu. Wśliznęłam się pod kołdry, zdmuchnęłam świecę i powoli zapadałam w sen, obserwując powolne wznoszenie się

księżycyca.

Potężna pani FitzGibbons obudziła mnie następnego ranka. Przyniosła ze sobą pełen komplet przyborów toaletowych potrzebnych szlachetnie urodzonej szkockiej damie.

Ołowiane grzebyki do przyciemniania brwi i rzęs, puzderka ze sproszkowanym kłęczem kosaćca i ryżowym pudrem, a nawet laseczkę czegoś, co było chyba proszkiem antymonowym do czernienia oczu – tak sędzę, choć nigdy wcześniej nie widziałam takiego kosmetyku. Po nadto znalazłam pojemniczek z delikatnej porcelany z pokrywką, ozdobiony rzędem złożonych łabędzi. Wewnątrz znajdował się francuski róż.

Pani FitzGibbons dostarczyła mi również zieloną spódnicę w paski i jedwabny stanik oraz żółte fildekosowe pończochy. Wejście do Sali, czymkolwiek była, najwyraźniej wymagało uroczystego wyglądu. Miałam ochotę uprzeć się przy założeniu własnego ubrania, ale przypomniałam sobie spojrzenie tłustego Ruperta i nagle przestało mi się to wydawać takim wspaniałym pomysłem.

Poza tym zaczęłam czuć do Columa pewną sympatię, mimo że najwyraźniej zamierzał trzymać mnie tutaj aż do wyjaśnienia sytuacji. No, to się jeszcze zobaczy, pomyślałam, różując policzki. Dougal powiedział, że mój pacjent znajduje się w stajni, tak?

A w stajniach powinny być konie, na których można uciec. Postanowiłam poszukać Jamiego MacTavisha natychmiast, kiedy pobyt w Sali dobiegnie końca.

Sala okazała się po prostu jadalnią, w której wczoraj

spożyłam posiłek. Ale teraz wyglądała inaczej. Stoły, ławy i stołki zostały odsunięte pod ściany, główny stół zniknął, a na jego miejscu pojawiło się solidne rzeźbione krzesło z czarnego drewna, przykryte tartanem, który musiał należeć do klanu MacKenziech, ciemnozielonym i czarnym, w cienką czerwono-białą kratkę. Na ścianach wisiały gałązki ostrokrzewu, a kamienną posadzkę zaścieniały nowe maty z sitowia.

Za krzesłem tkwił młody chłopak z kobzą, z której wydobywał rozliczne westchnienia i sapnięcia. Tuż obok niego znajdowali się ludzie stanowiący chyba sztab najbardziej zaufanych służących Columa: mężczyzna o wąskiej twarzy, w spodniach w szkocką kratę i bufiastej koszuli, najwyraźniej skryba, gdyż siedział przy niewielkim stoliku, zaopatrzony w kałamarz, pióra i papier; dwóch osiłków w kiltach, pewnie straż przyboczna; a z boku jeden z największych mężczyzn, jakich widziałam w życiu.

Przyjrzałam się olbrzymowi z pełnym szacunku podziwem. Kudłate czarne włosy zarastały mu prawie całe czoło, niemal zbiegając się z brwiami. Jego gigantyczne ramiona, widoczne spod podwiniętych rękawów, pokrywał równie gęsty zarost.

W przeciwieństwie do większości obecnych na sali mężczyzn, olbrzym nie był uzbrojony, nie licząc małego nożyka za pończochą; jego rękojeść niemal ginęła w gąszczu czarnego włosa, porastającego nogi ponad krawędzią kolorowego materiału. Szeroki skórzany pas ścisnął wielkoluda w talii – której obwód wynosił pewnie metr – lecz nie zwisał z niego miecz ani szpada. Mimo

potwornych rozmiarów, mężczyzna wyglądał całkiem pocziwie i chyba żartował ze skrybą, który przy nim robił wrażenie zabawki.

Kobziarz nagle rozpoczął koncert, poprzedziwszy go dziwnym beknięciem, po którym nastąpił rozdzierający skrzek i zgrzyt, stopniowo coraz bardziej zbliżony do melodii.

W pomieszczeniu zebrało się około czterdziestu osób, ubranych nieco przyzwoiciej niż przy kolacji. Wszystkie głowy odwróciły się ku drzwiom, w których – po paru potęgujących napięcie chwilach – pojawił się Colum; tuż za nim podążał Dougal.

Obaj przebrali się do tej ceremonii w ciemnozielone kilty i zgrabnie skrojone surduty – Colum nosił jasną zieleń, Dougal kolor rdzawy – a także szale, przerzucone przez pierś i spięte na jednym ramieniu dużą broszą wysadzaną drogimi kamieniami. Czarne włosy Columa były rozpuszczone, starannie natłuszczone i zwinięte w pukle na ramionach.

Dougal związał swoje w kucyk niemal tego samego koloru, co kasztanowaty atłas jego surduta.

Colum powoli przeszedł przez całą salę, kłaniając się i uśmiechając do znajomych twarzy po obu stronach. W pobliżu jego krzesła zauważyłam jeszcze jedne drzwi. Colum mógł wejść przez nie do sali. A zatem ten długi, niezgrabny przemarsz i wysilone dreptanie krzywych nóg to zamierzony efekt. Równie przemyślany był także kontrast z wysokim, dorodnym młodszym bratem, który nie rozglądał się, lecz szedł tuż za gospodarzem aż do krzesła.

Colum usiadł i odczekał chwilę, po czym uniósł rękę. Zawodzenie kobzy umilkło, jak nożem uciął. Rozpoczęło się posiedzenie w Sali.

Szybko doszłam do wniosku, że jest to stały element życia na zamku. Pan Leoch wymierzał tu sprawiedliwość swoim służącym i domownikom, wysłuchiwał próśb i rozstrzygał spory. Istniał nawet porządek dnia; łysiejący skryba odczytywał nazwiska i kolejne osoby podchodziły ze swymi sprawami.

Niektóre z nich były omawiane po angielsku, lecz większość rozstrzygano w języku celtyckim. Zauważyłam już, że komunikowanie się w tym dialekcie obejmuje przewracanie oczami i tupanie nogami dla podkreślenia wagi słów, co niezwykle utrudniało mi ocenę sytuacji.

Właśnie kiedy uznałam, że jeden z petentów, niezbyt dostojny osobnik z ogromnym sporranem z całego borsuka, oskarża swego sąsiada o morderstwo, podpalenie i uprowadzenie żony, Colum podniósł brwi i powiedział coś szybko, co sprowokowało tak stronę pozywającą, jak i pozwaną do złapania się za brzuchy ze śmiechu. Wreszcie skarżący otarł oczy, skinął głową i podał rękę przeciwnikowi. Skryba pisał pospiesznie; jego pióro chrobotało jak mysz za kredensem.

Ja stanowiłam punkt piąty porządku dnia. Było to miejsce starannie wybrane, by zasugerować zebrany moją rangę i pozycję w tutejszej społeczności.

Na moją cześć podczas prezentacji mówiono po angielsku.

– Claire Beauchamp, zechciej pani wystąpić –



zawołał skryba.

Pani FitzGibbons popchnęła mnie – niepotrzebnie – ku środkowi sali. Wyskoczyłam przed zebrany tłum jak wystrzelona z procy i spróbowałam dygnąć w sposób podpatrzony u tutejszych kobiet. Buty, które mi dano, tak samo dobrze pasowały na lewą, jak i na prawą nogę, co dodatkowo utrudniało mi manewry. Tłum zafalował, poruszony, ponieważ Colum okazał mi wyjątkową uprzejmość, wstając na mój widok z krzesła. Podał mi rękę, którą chwyciłam kurczowo, by nie stracić równowagi.

Podniosłam się z dygnięcia, klnąc w duchu cholerne buty, i spojrzałam prosto na pierś Dougala. Najwyraźniej to właśnie jemu, mojemu wybawcy, przypadł zaszczyt przedstawienia mnie jako gościa lub zakładnika. Sama byłam ciekawa, w jaki sposób zostaną potraktowana.

– Panie – zaczął Dougal, zwracając się oficjalnie do Columa. – Upraszamy twej łaski.

Pani Claire Beauchamp, angielska dama z Oksfordu, padła ofiarą rozbójników, którzy podstępnie zabili jej sługę. Ona, zdoławszy uciec, została znaleziona i uratowana przeze mnie i moich ludzi. Prosimy, by zamek Leoch zechciał ofiarować tej kobiecie schronienie do czasu – zrobił pauzę, a na ustach zaigrał mu cyniczny uśmiezek – gdy jej angielska rodzina dowie się o miejscu pobytu swojego członka i dostarczy środki na bezpieczną podróż powrotną.

Zauważyłam nacisk, jaki położył na słowie „angielska”. Nie miałam wątpliwości, że nie umknęło to uwadze nikogo z obecnych. A zatem postanowiono mnie

tolerować, lecz z pewną dozą podejrzliwości. Gdyby powiedział, że jestem Francuzką, pewnie traktowano by mnie przyjaźnie, a przynajmniej neutralnie. Ucieczka z zamku nie zapowiadała się tak łatwo, jak się spodziewałam.

Colum skłonił mi się z gracją i zaproponował nieograniczoną gościnę swego skromnego domostwa. Znowu dygnęłam, tym razem z lepszym rezultatem, i wróciłam na swoje miejsce, odprowadzana zaciekawionymi, lecz mniej lub bardziej życzliwymi spojrzeniami.

Aż do tej chwili sprawy wydawały się dotyczyć jedynie zainteresowanych stron.

Widzowie gawędzili ze sobą cicho w oczekiwaniu na swoją kolej. Moja prezentacja wywołała pomniki zainteresowania i, jak mi się zdaje, akceptacji.

Ale teraz przez salę przeleciał szum. Na środek wystąpił krzepki mężczyzna, ciągnący za rękę dziewczynę. Mogła liczyć sobie najwyżej szesnaście lat. Miała ładną, nadaśaną buzię i długie jasne włosy, związane błękitną wstążką. Wypadła na środek pomieszczenia, po tykając się, a mężczyzna stanął za nią i rozpoczął przemowę po celtycku. Machał rękami i od czasu do czasu oskarżycielsko wskazywał ją palcem. Zebrani reagowali cichymi pomrukami.

Pani FitzGibbons, rozparta wygodnie na solidnym stołku, chłoneła całą scenę z zapartym tchem. Pochyliłam się i szepnęłam jej na ucho:

– Co ona zrobiła?

Kobieta odpowiedziała, niemal nie poruszając

wargami i nie odrywając oczu od głównych aktorów przedstawienia.

– Ojciec oskarża córkę o nieprzystojne zachowanie. Wbrew jego rozkazom zadaje się z młodymi mężczyznami – wymamrotała. – Ojciec chce, żeby MacKenzie ukarał panienkę za nieposłuszeństwo.

– Ukaral? Jak?

– Ćśśś...

Uwaga wszystkich skupiła się na Columie, który rozważał sprawę dziewczyny i jej ojca. Przyjrzał się im kolejno i zaczął mówić. Zmarszczył brwi i zabębnił głośno palcami o oparcie siedziska; przez tłum przeszedł dreszcz.

– Postanowił – szepnęła pani FitzGibbons. Całkiem niepotrzebnie. Wiedziałam nawet, jaką karę znalazł. Olbrzym u jego boku poruszył się po raz pierwszy od rozpoczęcia obrad i powoli zdjął skórzany pas. Dwaj strażnicy chwycili przerażoną dziewczynę za ręce i odwrócili ją tyłem do ojca i Columa. Zaczęła płakać, lecz nie wzruszyła niczyjego serca. Tłum przyglądał się nieszczęsnej z takim samym drapieżnym zaciekawieniem, jakie okazuje się wobec publicznych egzekucji i wypadków drogowych.

Nagle w głębi sali odezwał się jakiś głos.

Wszystkie głowy odwróciły się w jego kierunku. Pani FitzGibbons wyciągnęła szyję, a nawet stanęła na palcach, żeby widzieć lepiej. Wydawało mi się, że rozpoznaję ten głos, choć przemówił po celtycku: głęboki, lecz miękki, nieco zniekształcający samogłoski.

Ludzie rozstąpili się i na środek sali wystąpił Jamie

MacTavish. Skłonił z szacunkiem głowę przed MacKenziem i powiedział coś, na co inni zareagowali dużym wzburzeniem.

Colum, Dougal, mały skryba i ojciec dziewczyny zaczęli gorąco dyskutować.

– O co chodzi? – szepnęłam.

Mój pacjent wyglądał znacznie lepiej niż ostatnio, choć nadal był dość blady. Znalazł gdzieś czystą koszulę; pusty prawy rękaw włożył za pasek kiltu. Pani Fitz śledziła rozwój wypadków z najwyższym zainteresowaniem.

– Powiedział, że weźmie na siebie karę dziewczyny – rzuciła z roztargnieniem, wyglądając zza pleców stojącego przed nami widza.

– Ależ on jest ranny! Przecież nie pozwolą mu na coś takiego – szepnęłam najciszej, jak mogłam.

Pani Fitz pokręciła głową.

– Nie wiem, dziewczyno. Właśnie to rozważają. Widzisz, mężczyzna z jej klanu mógł by to zrobić, ale on nie należy do rodu MacKenzie.

– Nie? – Byłam zdumiona.

Naiwnie sądziłam, że wszyscy mężczyźni, którzy mnie schwyтали, pochodzą z zamku Leoch.

– Pewnie, że nie – potwierdziła niecierpliwie. – Nie widzisz, jaki ma tartan?

Teraz, kiedy zwróciła mi na to uwagę, rzeczywiście zauważyłam różnicę. Jamie także był ubrany w myśliwskie odzienie w odcieniach brązu i zieleni, lecz kolory te różniły się od barwy kiltów zgromadzonych tu Szkotów. Brąz na jego stroju był ciemniejszy, z cienkim niebieskim paskiem.

Najwyraźniej to, co powiedział Dougal, zaważyło na decyzji jego brata. Grono doradcze rozstało się, a tłum zafalował z podnieceniem. Strażnicy puścili dziewczynę, Jamie zaś zajął jej miejsce. Przyglądałam się z niemą zgrozą, jak chcą chwycić młodzieńca za chore ramię; powiedział coś do olbrzyma z pasem i obaj strażnicy odstąpili od skazańca, Bardzo dziwne, ale na twarzy chłopaka pojawił się przelotny, szeroki uśmiech. Co jeszcze dziwniejsze, taki sam uśmiech rozjaśnił oblicze wielkoluda.

– Co powiedział? – syknęłam.

– Wybrał pięści. Mężczyzna może wybierać, kobieta nie.

– Pięści? – Ale nie zdążyłam już spytać o nic więcej.

Kat wziął zamach i z całej siły rąbnął w brzuch Jamiego, który zgiął się w pół z głuchym jękiem. Mężczyzna odczekał, aż Jamie się wyprostuje, po czym przystąpił do przeciwnika i zaczął okładać go gradem szybkich, ostrych ciosów po żebrach i ramionach.

Jamie nie usiłował się bronić. Jedynie starał się nie upaść.

Następny cios trafił go w twarz. Skrzywiłam się i mimo woli zamknęłam oczy. Kat wymierzał uderzenia niespiesznie, uważając, by nie pozbawić ofiary przytomności i nie trafić dwa razy w to samo miejsce. Było to dzieło sztuki, tak skalkulowane, by zadać ból, lecz nie okaleczyć. Jedno oko Jamiego było już opuchnięte i przymknięte, a on sam dyszał ciężko, lecz poza tym nie wydawał się bardzo poważnie poturbowany.

Czekałam z zapartym tchem, czy któryś cios na nowo wybije ramię ze stawu.

Opatrunek nadal znajdował się na miejscu, ale nie został zaprojektowany z myślą o takim traktowaniu. Jak długo to jeszcze potrwa? W sali panowała cisza jak makiem zasiał.

Słysząc było tylko głucho uderzenia i ciche sieknięcia.

– Mały Angus bije do pierwszej krwi – wyjaśniła pani Fitz, w odpowiedzi na moje nieme pytanie. – Zwykle do złamanego nosa.

– Barbarzyństwo – syknęłam wściekle. Parę osób przyjrzało mi się krytycznie.

Kat wreszcie uznał, że kara dobiegła końca. Odstąpił i wymierzył ostatni potężny cios; Jamie zatoczył się i upadł na kolana. Dwaj strażnicy podbiegli i podnieśli go z ziemi, a kiedy uniósł głowę, ujrzałam krew sączącą się z rozbitych ust. Tłum westchnął z ulgą, a kat wycofał się, pełen satysfakcji po dobrze spełnionym obowiązku.

Jeden ze strażników przytrzymał Jamiego, który potrząsał głową, nie mogąc oprzytomnieć. Dziewczyna gdzieś zniknęła. Jamie wyprostował się i spojrzał prosto w twarz górującego nad nim oprawcy. Zdziwiałające – znowu się uśmiechnął, oczywiście na ile pozwalały mu pokaleczone usta. Poruszył krwawiącymi wargami.

– Dziękuję – powiedział z pewnym trudem i skłonił się oficjalnie przed wielkim mężczyzną. Odwrócił się i odszedł. Uwaga tłumu skupiła się na MacKenziem i następnej sprawie.

Jamie wyszedł przez drzwi w przeciwną stronę. Przeprosiłam panią FitzGibbons i przepchnęłam się przez tłum w ślad za ofiarnym młodzieńcem.

Znalazłam go na małym dziedzińcu. Opierał się o cembrowinę studni i wycierał usta połą koszuli.

– Masz – podałam mu chusteczkę.

– Uhu. – Zrozumiałam, że to podziękowanie.

Białe słońce wyłoniło się już ponad horyzont, więc przy jasnych promieniach mogłam przeprowadzić oględziny. Obrażenia ograniczyły się do rozciętej wargi i solidnie opuchniętego oka, choć widziałam także ślady na szczęce, które wkrótce powinny stać się wielkimi siniakami.

– Usta masz rozcięte także w środku?

– Yhy. – Kucnął, a ja odchyliłam jego dolną wargę, by zbadać ją od wewnątrz.

W lśniącej śluzówce policzka widniała wielka wyrwa oraz parę małych ranek na dolnej wardze. Krew zmieszała się ze śliną i wypływała na zewnątrz.

– Wody – powiedział z trudem, wycierając krwawy strumyczek, który pociekł mu po podbródku.

– Racja. – Na szczęście przy studni znajdowało się wiadro i czerpak. Jamie wypłukał usta i splunął parę razy. Resztą wody ochlapał twarz.

– Po co to było? – spytałam z zaciekawieniem.

– Co? – Wytarł twarz rękawem. Delikatnie dotknął rozciętej wargi i skrzywił się lekko.

– Po co wzięłaś karę za tę dziewczynę? Znasz ją? – Czulałam się nieco niezręcznie, ale musiałam zaspokoić rozpierającą mnie ciekawość.

– Wiem, kim jest. Ale nigdy z nią nie rozmawiałem.

– Więc dlaczego to zrobiłeś?

Wzruszył ramionami, co także go zabolalo.

– Byłaby zhańbiona. Mnie jest łatwiej.

– Łatwiej? – powtórzyłam z niedowierzaniem.

Przyjrzałam się jego pokiereszowanej twarzy. Wolną ręką dotknął na próbę żeber, ale spojrzął na mnie i uśmiechnął się jednym kącikiem ust.

– No. Jest bardzo młoda. Byłaby zhańbiona i wiele czasu by minęło, nim ludzie zapomnieliby o tym. Jestem obolały, ale to nic. Za parę dni się zagoi.

– Ale dlaczego ty?

Spojrzał na mnie, jakbym zadała mu bardzo dziwaczne pytanie.

– A dlaczego nie ja?

No bo nie, miałam ochotę powiedzieć. Ponieważ jej nie znasz i nic dla ciebie nie znaczy. Ponieważ już odniosłeś parę ran. Ponieważ trzeba dość dziwnego rodzaju odwagi, żeby pozwolić się okładać pięściami na oczach tłumu, bez względu na powody.

– No, rana w mięśniu kapturowym mogłaby być całkiem dobrym wytłumaczeniem.

Zerknął na mnie z rozbawieniem i dotknął wspomnianego obrażenia.

– Kapturowy, tak? Nie wiedziałem.

– O, tu jesteś, chłopcze! Widzę, że już znalazłeś pomoc; może już nie potrzebujesz mojego wsparcia? – Pani FitzGibbons zbliżyła się ku nam z pewnym trudem, gdyż wąskie wyjście na dziedziniec z trudem mieściło jej



rozłożystą sylwetkę. Niosła tacę z kilkoma słojami, dużą miskę i czysty lniany ręcznik.

– Ja tylko dałam mu wody – powiedziałam. – Chyba nie odniósł poważnych obrażeń, ale nie wiem, co jeszcze można zrobić.

– O, zawsze znajdzie się jakaś rada – oznajmiła spokojnie. – No, popatrzmy na to oko. Jamie usiadł posłusznie na cembrowinie i odwrócił się do pani Fitz. Pulchne palce delikatnie nacisnęły fioletowe obrzmienie i cofnęły się, zostawiając białe wklęsnięcia, które szybko zniknęły. – Ciągłe krwawi pod skórą. A zatem przydadzą się pijawki.

Podniosła przykrywkę z miski wypełnionej paskudnym płynem, w którym pływało parę małych ciemnych kształtów długości od dwóch do pięciu centymetrów. Wzięła dwie pijawki i jedną przycisnęła Jamieu do ciała tuż pod łukiem brwiowym, a drugą pod okiem.

– Widzisz – wyjaśniła mi – gdy siniak już się ustalił, pijawki na nic się nie zdadzą. Ale kiedy się spuchnięcie wciąż nabrzmiewa, to znaczy, że krew płynie pod skórą, a pijawka może ją wyciągnąć.

Przyglądałam się zafascynowana i pełna odrazy.

– Czy to nie boli? – spytałam Jamiego.

Pokręcił głową; pijawki zatrzęsły się obrzydliwie.

– Nie. Robi się trochę zimno i tyle. – Pani Fitz była zajęta słóikami i buteleczkami.

– Ludzie nie mają pojęcia, do czego służą pijawki – pouczyła mnie. – Czasem są bardzo przyteczne, ale trzeba

wiedzieć, co z nimi robić. Jeśli się je przystawi do starego siniaka, zabiorą zdrową krew i nic nie pomogą. Trzeba też pamiętać, że nie wolno przystawiać zbyt wielu na raz do człowieka bardzo chorego albo takiego co już stracił sporo krwi, tylko osłabiają.

Słuchałam z szacunkiem, chłonąc wszystkie informacje, choć miałam szczerą nadzieję, że nigdy nie będę musiała zrobić z nich użytku.

– No, a teraz wypłucz tym usta. To oczyści skaleczenia i złagodzi ból. Herbatka z kory wierzby – wyjaśniła – z odrobiną kosaćca.

Przypomniałam sobie lekcje botaniki, na których mówiono nam, że kora wierzby zawiera kwas salicylowy, czynny składnik aspiryny.

– Ale czy to nie zwiększy krwawienia? – spytałam.

Pani Fitz skinęła głową z aprobatą.

– Czasami tak bywa. Dlatego zaraz potem trzeba dodać dobrą garść ziele świętojańskiego moczonego w occie. Powstrzyma krwawienie, jeśli ziele zostało zebrane podczas pełni i dobrze przechowane.

Jamie posłusznie nabrał do ust płynu; od zapachu aromatycznego octu do oczu napłynęły mu łzy.

Pijawki zdążyły czterokrotnie powiększyć swoje rozmiary. Ich ciemna, pomarszczona skóra stała się napięta i lśniąca. Wyglądały jak okrągłe, wypolerowane klejnoty. Jedna odpaliła nagle i potoczyła mi się do stóp. Pani Fitz pochyliła się zgrabnie, pomimo znacznej tuszy, podniosła ją i odłożyła do miski. Drugą chwyciła delikatnie tuż za szczękami i ostrożnie pociągnęła. Zauważyłam, że głowa

pijawki rozciąga się, jakby była z gumy.

– Nie należy ciągnąć za mocno – wyjaśniła pani Fitz. – Czasami pękają. – Wzdrygnęłam się mimowolnie. – Ale jeśli są pełne, odchodzą łatwo. Jeśli nie, zostaw je, a same odpadną.

Pijawka dała się odjąć bez kłopotu. Z miejsca, w którym tkwiła, pocięła cienka strużka krwi. Wytarłam małą ranę różkiem chusteczki zamoczonej w octowym roztworze. Ku memu zdumieniu okazało się, że pijawki pomogły; obrzmienie znacznie się zmniejszyło, a oko Jamiego było teraz częściowo otwarte, choć powieka pozostała spuchnięta. Pani Fitz przyjrzała się jej krytycznie i uznała, że nie należy przystawiać trzeciej pijawki.

– Jutro będziesz wyglądał jak nieboskie stworzenie, nie ma co – oznajmiła, kręcąc głową. – Ale przynajmniej otworzysz oko. Trzeba ci teraz przyłożyć na nie płat surowego mięsa. Musisz wypić bulionu z odrobiną piwa, żeby się wzmocnić. Przyjdź do kuchni, a znajdę coś dla ciebie. – Wzięła tacę i zatrzymała się na chwilę. – Masz dobre serce, chłopcze. Laoghair to moja wnuczka. Podziękuję ci w jej imieniu. Choć ona sama zrobiłaby to lepiej, gdyby choć trochę znała się na dobrych manierach. – Poglaskała Jamiego po policzku i podreptała ciężko w swoją stronę.

Zbadałam chłopaka starannie; te średniowieczne metody posłużyły mi w zadziwiającym stopniu. Oko nadal było opuchnięte, lecz tylko trochę podsiniąte, a rozcięcie na wardze stało się czystą, bladą linią, jedynie odrobinę ciemniejszą od otaczającej ją tkanki.

– Jak się czujesz? – spytałam.

– Dobrze. – Pewnie spozrzałam na niego spode łba, bo uśmiechnął się ostrożnie, żeby nie urazić warg. – To tylko siniaki. Zdaje się, że znowu muszę ci podziękować. W ciągu trzech dni leczyłaś mnie trzy razy. Pewnie myślisz, że ze mnie niezdara.

Dotknęłam fioletowego placka na jego szczęce.

– Niezdara nie. Ale trudno cię upilnować. – W wejściu coś mignęło żółto i niebiesko.

Laoghaire cofnęła się nieśmiało na mój widok. – Zdaje się, że ktoś chce z tobą porozmawiać na osobności – dodałam. – Zostawij was. Jutro można już zdjąć bandażę.

Wtedy cię znajdę.

– Dobrze. Jeszcze raz dziękuję. – Uścisnął mi lekko dłoń.

Odwróciłam się i ruszyłam do wyjścia; po drodze przyjrzałam się ciekawie dziewczynie. Z bliska była jeszcze ładniejsza – łagodne błękitne oczy i cera jak płatekróży.

Patrzyła na Jamiego jak w obraz. Wyszłam zastanawiając się, czy jego rycerski gest był naprawdę taki altruistyczny, jak mi się początkowo wydawało.

Następnego ranka obudził mnie świergot ptaków i gwar ludzkich głosów na zewnątrz.

Ubrałam się i poszłam krętymi korytarzami do sali jadalnej, która odzyskała już codzienny wygląd. Roznoszono w niej kotły z owsianką i podplomyki, pieczone na palenisku i posmarowane melasą. Zapach gorącego jedzenia był tak mocny, że prawie namacalny. Przez chwilę czułam się nieco wytrącona z równowagi i

zagubiona, ale gorący posiłek postawił mnie na nogi.

Odnalazłam panią FitzGibbons, tkwiącą aż po pulchne łokcie w surowym cieście.

Oznajmiłam, że chcę odnaleźć Jamiego, żeby zdjąć mu bandażę i sprawdzić, jak goi się rana po postrzale. Władczym machnięciem umączonej ręki przywołała jednego ze swoich pomocników.

– Alec! Biegnij po Jamiego, tego nowego ujeżdżacza. Powiedz mu, żeby przyszedł z tobą, byśmy mogły sprawdzić mu ramię. Czekamy w ogrodzie z ziołami. – Ostre pstryknięciepalców i malec pogalopował przed siebie na poszukiwanie mojego pacjenta.

Pani Fitz przekazała ciasto pokojówce, opłukała ręce i zwróciła się do mnie:

– Trzeba będzie na nich trochę zaczekać. Zechcesz pójść ze mną do ogrodu z ziołami?

Widać, że się na nich znasz, a jeśli to ci odpowiada, mogłabyś przy nich pomóc w wolnych chwilach.

Ogród, cenne źródło ziół leczniczych i aromatyzujących, znajdował się na wewnętrznym dziedzińcu – po słonecznej stronie, lecz osłonięty przed wiosennymi wiatrami. Był zaopatrzony we własną studnię. W zachodniej części rósł rozmaryn, w południowej rumianek, a północną granicę wyznaczał rząd amarantów. Ściana zamku, zamykająca dziedziniec od wschodu, stanowiła jednocześnie ochronę przed wiatrem.

Rozpoznałam zielone pędy późnych krokusów i miękkie liście francuskiego szczawiu, kielkujące z czarnej żyznej ziemi. Pani Fitz wskazała mi naparstnicę, portulakę i

bukwicę, a także kilka innych ziół, których nie znałam.

Późna wiosna była okresem sadzenia. Pani Fitz niosła na ramieniu koszyk z główkami czosnku. Wręczyła mi go razem z patykiem do robienia dziur w ziemi. Najwyraźniej zbyt długo leniuchowałam; na szczęście gospodyni zawsze miała zajęcie dla bezczynnych rąk.

– Proszę, moja droga. Posadź je wzdłuż południowej strony, pomiędzy tymiankiem i naparstnicą. – Pokazała mi, jak rozdzielać główki na ząbki, nie uszkodzając osłonki, a także jak je sadzić. Wydawało mi się to dość proste; wsadzić każdy ząbek w ziemię tępym końcem do dołu i zakopać na jakieś dwa centymetry pod powierzchnią. Wstała i otrzepała obszerne spódnice.

– Zostaw parę główek – poradziła. – Potem je podziel i posadź po jednym ząbku, to tu, to tam, po całym ogrodzie. Czosnek odstrasza szkodniki. Tak samo cebula i krwawnik.

I pozrywaj suche nagietki, ale ich nie wyrzucaj, są pożyteczne.

Cały ogród mienił się licznymi złotymi główkami nagietków. Ledwie pani Fitz zamilkła, pojawił się zziąjany chłopczyk, który zaraportował, że Jamie odmówił oderwania się od pracy.

– Powiada – wydyszał – że nie boli go tak, by potrzebował leczenia, ale pięknie dziękuje za troskę.

Pani Fitz wzruszyła ramionami.

– Skoro nie chce przyjść, to nie. Ale jeśli masz ochotę, dziewczyno, możesz w południe udać się na padok. Pewnie nie chce przerwać roboty dla leczenia, ale strawa to

co innego, o ile znam się na młodzikach. Ten oto młody Alec zaprowadzi cię na miejsce. – zostawiła mnie z czekającym na posadzenie czosnkiem. Odplynęła dumnie niczym galeon, z małym Alekiem podskakującym u jej boku.

Pracowałam w dobrym humorze przez cały poranek. Sadziłam czosnek, odrywałam uschłe główki nagietków, wykopywałam chwasty i wiodłam nigdy nie kończącą się walkę ze ślimakami i innymi szkodnikami. Tutaj prowadziło się ją gołymi rękami, bez pomocy pestycydów. Byłam tak zajęta, że nie zauważyłam nadejścia młodego Aleca. Odkasznęła, żeby zwrócić na siebie moją uwagę, zaczekał w milczeniu, aż się podniosę i otrzępię spódnice, po czym zniknął w bramie dziedzińca.

Padok, na który mnie zawiódł, znajdował się w sporym oddaleniu od stajen, na trawiastej dolinie. Trzy młode konie biegały wesoło, gniada kłaczka, pięknie wyszczotkowana, stała przywiązana do ogrodzenia, z cienką derką na grzbiecie.

Jamie zbliżał się ostrożnie do klaczy, która przyglądała mu się podejrzliwie. Lekko dotknął jej grzbietu, przemawiając do niej czule, w każdej chwili gotów się wycofać, gdyby zareagowała nieprzychylnie. Klacz błysnęła białkami oczu i prychnęła, ale się nie poruszyła. Bardzo powoli sięgnął na drugą stronę grzbietu i oparł się o niego. Zwierzę drgnęło nie spokojnie, ale młody Szkot nie ustąpił. Odrobinę podniósł głos.

Wtedy kłaczka odwróciła się i ujrzała mnie oraz chłopca. Stała dęba, zarżała przeraźliwie i obróciła się

jak fryga. Odepchnięty Jamie zatoczył się na płot. Klaczy prychnęła i wierzgnęła, usiłując zerwać się z uwięzi. Jamie przetoczył się pod ogrodzeniem poza zasięg młócących kopyt i podniósł się z trudem, miotając celtyckie przekleństwa. Odwrócił się wściekle.

Kiedy nas zobaczył, jego nie wróżąca nic dobrego mina złagodniała, choć raczej nie życzył sobie naszych odwiedzin. Koszyk z obiadem, w który tak przewidująco wyposażyła nas pani Fitz, w znacznym stopniu przyczynił się do poprawy stosunków między nami.

– Uspokójże się, szkapo utrapiona – rzucił klaczy, ciągle prychnącej i wierzgającej.

Odprawił Aleca, szturchnąwszy go przyjaźnie, podniósł derkę, która spadła podczas dzikich wyczynów zwierzęcia, otrzepał i rozścielił przede mną na ziemi.

Taktownie ominęłam kwestię nieudanych zabiegów wokół klaczy i zajęłam się nalewaniem piwa.

Jamie jadł z zapamiętaniem, które przypomniało mi o jego dwukrotnej nieobecności przy stole.

– Przespałem – wyjaśnił, kiedy go o to spytałam. – Zasnąłem zaraz potem, jak cię zostawiłem w zamku, i obudziłem się dopiero wczoraj. A wczoraj po obradach w Sali trochę pracowałem i usiadłem na wiązce siana, by odpocząć przed wieczerzą. – Parsknął śmiechem. – Obudziłem się dopiero rano, kiedy koń skubnął mnie za ucho.

Pomyślałam, że wypoczynek dobrze mu zrobił; wczorajsze siniaki były prawie czarne, ale skóra wokół nich miała zdrowy kolor, a on sam okazywał wilczy apetyt.



Zjadł wszystko, a rozsypane na koszuli okruszki wybierał mokrym palcem i wsadził je sobie do ust.

– Apetyt ci dopisuje – zauważyłam ze śmiechem. – Pewnie jadłbyś trawę, gdybyś nie znalazł niczego innego.

– Jadłem – potwierdził z całą powagą. – Nie smakujeźle, ale trudno się nią najeść.

Doszłam do wniosku, że sobie ze mnie żartuje.

– Kiedy? – spytałam.

– Zaprzeszłej zimy. Mieszkałem w lasach z... z innymi. Razem najeżdżaliśmy granicę.

Przez tydzień albo więcej szczęście nam nie dopisywało i nie zostało wiele jedzenia. Od czasu do czasu ludzie ze wsi dawali owsiankę, ale byli tacy biedni, że często gęsto sami nie mieli co do gęby włożyć. Zawsze znajdą coś dla podróżnego, ale dwudziestu chłopca to trochę za wiele, nawet jak na gościnność górali.

Niespodziewanie wyszczerzył zęby.

– Może słyszałaś... nie, nie mogłaś słyszeć. Chciałem cię spytać o modlitwę, którą na wsiach odmawiają przed posiłkiem.

– Jaka to modlitwa?

Odgarnął włosy z oczu i zacytował:

*Szybko siadać mi do stołu,*

*Kto jest głodny, niech zje wołu,*

*Kto jest głodny, niech nie gada,*

*Tylko niech do stołu siada,*

*Amen.*

Zerwał trawę o długiej łodydze i wyciągnął ją z zewnętrznej otoczki. Powoli roztarł roślinę dłońmi;

nasionka oderwały się i zostały mu w ręce.

– Zima szła już ku końcowi i, dzięki Bogu, nie była surowa, inaczej byśmy jej nie przeżyli. Polowaliśmy na króliki... czasami zjadaliśmy je na surowo, bo nie śmieliśmy rozpaścić ognia... a raz na jakiś czas trafiała się dziczyzna, ale wtedy od dawna niczego nie zdołaliśmy złować.

Duże białe zęby zaczęły miażdżyć źdźbło. Zerwałam taką samą trawę i spróbowałam.

Miała słodko-kwaśny smak, a poza tym jedynie parę centymetrów nadawało się do jedzenia. Niezbyt pożywne.

Jamie odrzucił niedojedzoną trawę, zerwał następną i ciągnął:

– Przez parę dni nie było śniegu; tylko zaspę pod drzewami, a wszędzie indziej błoto.

Szukałem Mwgay, pojmujesz, tych dużych pomarańczowych, co czasami wyrastają nisko na drzewach... Wstąpiłem na splechetek trawy rosnącej na otwartej przestrzeni między drzewami. Pewnie czasami padało tam słońce. Zwykle taką trawę znajdują jelenie; odgarniają kopytami śnieg i wyjadają ziele aż do korzeni. Ale tego miejsca jeszcze nie znalazły. Pomyślałem, że skoro one mogą w ten sposób przetrwać zimę, to dlaczego nie ja? Głodny byłem. Dawno już bym ugotował i spałaszował własne buty, gdybym nie musiał w nich chodzić. Więc zjadłem trawę aż do korzeni, tak jak jelenie.

– Jak długo nie jadłeś? – spytałam, zasłuchana i przejęta.

– Trzy dni byłem bez niczego, tydzień o garstce

owsa z łykiem mleka. Cóż –

powiedział, oglądając w zadumie źdźbło trawy – zimowa trawa jest twarda i kwaśna, nie tak jak ta, ale na to nie zważałem.

Nagle uśmiechnął się do mnie.

– Jelenie jednak mają cztery żołądki, a ja tylko jeden. Dostałem straszliwych boleści, a przez wiele dni nękały mnie wiatry. Jeden ze starszych powiedział potem, że trawę trzeba gotować, ale wtedy tego nie wiedziałem. Zresztą i tak by się to na nic nie zdało.

Byłem niemiłosiernie głodny, nie mogłem czekać.

Wstał i wyciągnął ku mnie rękę.

– Pora wracać do roboty. Dziękuję za posiłek. – Wręczył mi koszyk i ruszył ku szopom. Włosy lśniły mu w słońcu niczym złote i miedziane monety.

Powoli wróciłam do zamku, rozmyślając o ludziach, którzy bytowali na zimnie i w błocie i żywili się trawą. Dopiero, kiedy znalazłam się na dziedzińcu, przypomniałam sobie, że zapomniałam zbadać ramię Jamiego.

Z pewnym zdziwieniem przekonałam się, że u bramy zamku czeka na mnie jeden ze strażników Columa. Powiedział, że pan byłby bardzo wdzięczny, gdybym zechciała na niego zaczekać w komnatach.

W prywatnym sanktuarium gospodarza okna były otwarte, a do środka pomieszczenia wpadał wiatr, poruszający gałęziami doniczkowych drzew. Ich szelest dawał złudzenie, że jest się na zewnątrz.

Dziedzic pisał coś przy biurku, ale na mój widok przerwał i wstał, żeby mnie powitać.

Po paru pytaniach o zdrowie i ogólne samopoczucie, zaprowadził mnie ku klatkom pełnym ćwierkających i skaczących między liśćmi ptaków.

– Dougal i pani Fitz twierdzą, że masz, pani, pewne doświadczenie w leczeniu – zauważył lekko. Włożył palec pomiędzy pręty klatki. Mały szary trznadel, najwyraźniej przyzwyczajony do takiego zachowania, przyfrunął i zgrabnie wylądował, trzepocząc skrzydełkami dla utrzymania równowagi. Colum pogłaskał go delikatnie stwardniałym palcem drugiej ręki. Przyjrzałam się pokrytym odciskami dłoniom. Nie umiałabym wyobrazić sobie tego mężczyzny przy innym zajęciu niż praca umysłowa.

Wzruszyłam ramionami.

– Nietrudno opatrzeć ranę.

Uśmiechnął się.

– Może, lecz trzeba nieco wprawy, by zrobić to w nieprzeniknionych ciemnościach, na poboczu drogi. A pani Fitz mówi, iż złożyłaś jednemu z chłopców złamany palec, a także opatrzyłaś oparzoną rękę dziewczce kuchennej.

– To także niezbyt skomplikowane – stwierdziłam, zastanawiając się, dokąd zmierza.

Skinął na służącego, który pospiesznie wyjął z szuflady biurka miseczkę i podał. Colum zdjął przykrywkę i zaczął sypać ziarno na podłogę klatki. Ptaszki spadły z gałęzi niczym grad miękkich kulek, a trznadel furknął jak strzała pomiędzy swych kompanów.

– Nic cię nie łączy z klanem Beatonów?

– Nie. Co ma wspólnego klan Beatonów z

leczeniem?

Colum spojrział na mnie wyraźnie zaskoczony.

– Nie słyszałaś o nich? Klan Beatonów jest słynny na całą Szkocję. Większość z nich to wędrowni uzdrowiciele. Kiedyś mieliśmy tu jednego.

– Co się z nim stało?

– Umarł – wyjaśnił rzeczowo Colum. – Złapał gorączkę, która zabrała go w ciągu tygodnia. Od tego czasu nie mieliśmy medyka, wyjąwszy panią Fitz.

– Wydaje się bardzo kompetentna – zauważyłam, przypominając sobie, jak leczyła rany Jamiego. Wspomnienie obrażeń przywołało myśl o tym, kto je wyrządził. Poczulałam nagłą niechęć do Columa. Niechęć i nieufność. Ten człowiek, pomyślałam, stanowi tutaj prawo, sąd i najwyższy wymiar sprawiedliwości. Najwyraźniej bardzo się przyzwyczaił do takiego stanu rzeczy.

Skinał głową, bez reszty pochłonięty obserwacją ptaków. Rozsypał resztę ziarna, ostatnią garścią obdarzając spóźnioną szarobłękitną gajówkę.

– To prawda. Jest bardzo pomocna, lecz i tak ma sporo na głowie... cały zamek i mnie – powiedział z niespodziewanie czarującym uśmiechem. – Ciekaw jestem... – dodał, wykorzystując fakt, iż mimowolnie uśmiechnęłam się do niego w odpowiedzi – jako że nie masz obecnie, pani, zbyt wiele zajęć... czy nie zechciałybyś zerknąć na rzeczy, które zostawił po sobie Davie Beaton. Może znasz zastosowanie niektórych mikstur.

– Cóż... Dlaczego nie? – Szczerze mówiąc, krążenie pomiędzy ogródkiem, pokojem a kuchnią zaczynało mnie

już nudzić. Chciałam się dowiedzieć, co świętej pamięci pan Beaton przechowywał w swojej apteczce.

– Angus lub ja chętnie panią zaprowadzimy – wtrącił z szacunkiem służący.

– Nie kłopotz się, John – odparł Colum, gestem ręki odprowadzając go grzecznie.– Sam wskażę drogę pani Beauchamp.

Po schodach szedł powoli i z widocznym wysiłkiem. Jednak najwyraźniej nie życzył sobie pomocy, więc nie wysuwałam żadnych niewczesnych propozycji.

Gabinet zmarłego Beatona znajdował się w odległym kącie zamku, z dala od ludzkich spojrzeń. Blisko było z niego tylko na cmentarz, na którym spoczywał ostatni lokator tego pomieszczenia. Wąską, ponurą komnatę oświetlały jedynie promienie słońca; wpadały przez malutkie okienka umieszczone tak wysoko, że podłoga ginęła już w nieprzeniknionych ciemnościach.

W mrocznym wnętrzu rozróżniłam zarysy wysokiej szafy, wypełnionej dziesiątkami maleńkich szufladek z etykietkami. Słoje, puzderka, fiołki wszelkich kształtów i rozmiarów stały w zgrabnych rzędach na stole, na którym Beaton zwykł chyba sporządzać mikstury. Można to było wywnioskować z ciemnych plam tajemniczego pochodzenia oraz obecności obrośniętego brudem móździerza.

Colum wkroczył pierwszy. W promieniach słońca unosiły się wirujące pyłki, wzniecone jego wejściem na zakurzone deski podłogi. Stał przez chwilę i przyzwyczajał się do mroku. Następnie ruszył powoli rozglądając się na

obie strony. Pomyślałam, że pewnie znalazł się w tej komnacie po raz pierwszy w życiu.

Chwilę obserwowałam, z jakim trudem kuśtyka po pomieszczeniu. Potem powiedziałam:

– Masaż dobrze by zrobił. To znaczy, zmniejszyłby ból. – Szare oczy błysnęły tak, że przeklełam własną gadatliwość. Jednak błysk zgasł niemal natychmiast, a na twarzy Columa pojawił się zwykły wyraz uprzejmego zainteresowania. – Trzeba wymasować bardzo mocno – dodałam. – Zwłaszcza u podstawy kręgosłupa.

– Wiem – odparł. – Angus Mhor robi to każdego wieczora. – Dotknął w milczeniu paru fiolek. – A zatem jednak znasz się na uzdrawianiu.

– Trochę.

Odpowiadałam ostrożnie; miałam nadzieję, że nie zechce sprawdzać mojej wiedzy, wypytyując mnie na wrywki o zastosowanie leków Daviego Beatona. Na fiolce, którą trzymał, widniał napis PURLES OVIS. Niech ktoś zgadnie, co to takiego. Na szczęście odstawił ją i pociągnął palcem po zakurzonej wielkiej skrzyni pod ścianą.

– Minęło trochę czasu, odkąd ktoś tu zajrzał – wyjaśnił. – Poproszę panią Fitz, żeby przysłała sprzątaczkę.

Otworzyłam drzwi szafki i zakrztusiłam się chmurą kurzu, która z nich wypłynęła.

– Dobry pomysł – przyznałam.

Na najniższej półce leżał opasły tom oprawny w błękitną skórę. Pod nim odkryłam mniejszą książkę w okładkach z taniego czarnego materiału, o wiele bardziej

zniszczonego na brzegach.

Książeczka okazała się dziennikiem Beatona, w którym medyk sumiennie spisywał nazwiska pacjentów, ich choroby oraz szczegóły kuracji, jaką im zaordynował. Bardzo metodyczny gość, pomyślałam z uznaniem. Na jednej kartce przeczytałam: „Drugiego lutego, A.D. tysiąc siedemset czterdziestego pierwszego. Sarah Graham MacKenzie, zraniona w kciuk podczas przedzenia na kołowrotku. Leczenie: wywar z mięty polnej oraz kataplazm – po jednej części krwawnika pospolitego, ziela świętojańskiego, wijów i mysiego ucha, z czystą gliną zmieszane”. Wije? Mysie ucho? Pewnie to nazwy ziół.

– Czy kciuk Sarah MacKenzie się zagoił? – spytałam, zamykając książkę.

– Sarah...? – powtórzył Colum z namysłem. – Nie, chyba nie.

– Naprawdę? Ciekawe, co się stało. Może później powinnam ją zbadać.

Pokręcił głową. Wydawało mi się, że jego pełne usta skrzywiły się w ponurym uśmiechu.

– Dlaczego? – spytałam. – Opuściła zamek?

– Można tak powiedzieć. – Teraz rozbawienie gospodarza było już wyraźnie widoczne. – Umarła.

Wytrzeszczyłam na niego oczy. Ruszył do wyjścia.

– Mam nadzieję, że będziesz, pani, lepiej sobie radzić, niż świętej pamięci Davie Beaton – rzucił. Odwrócił się i zatrzymał w drzwiach, sardonicznie uśmiechnięty. Snop słońca oświetlał go niczym reflektor. – Bo trudno radzić sobie gorzej – dodał i zniknął w ciemnościach.



Krażyłam po wąskiej klitce, oglądając wszystko, co się w niej znajdowało.

W większości były to śmiecie, ale nie traciłam nadziei, że znajdę również rzeczy użyteczne. Wyciągnęłam jedną z maleńkich szufladek w kredensie aptecznym. W nozdrza uderzył mnie zapach kamfory. No, to się przyda. Wsunęłam szufladę na miejsce i otrzepałam zakurzone palce. Może poczekam, aż przyjdą tu dziarskie dziewczęta pani Fitz.

Wyjrzałam na korytarz. Pusto. I cicho. Ale nie byłam na tyle naiwna, by wierzyć, że zostałam sama. Zachowywali dużą dyskrecję, czy to z rozkazu Columa, czy też przez delikatność – lecz wiedziałam, że śledzą mnie przez cały dzień. Kiedy szłam do ogrodu, ktoś szedł za mną. Kiedy wspinałam się po schodach, zawsze ktoś zerkał, by sprawdzić, w którą stronę poszłam. A gdy przybyliśmy do zamku, zauważyłam uzbrojonych strażników, kryjących się przed deszczem pod okapem dachu. Nie, na pewno nie uda mi się stąd po prostu wyjść.

Westchnęłam. Przynajmniej na chwilę zostałam bez towarzystwa. A bardzo potrzebowałam samotności.

Bezustannie starałam się zrozumieć, co się ze mną stało, ale każdy dzień był tak pełen wydarzeń, że nie mogłam znaleźć chwili dla siebie.

Najwyraźniej wreszcie mi się to udało. Odciągnęłam od ściany zakurzoną skrzynię i usiadłam na wieku. Myślałam o kamiennym kręgu, usiłowałam sobie przypomnieć każdy najdrobniejszy szczegół tego, co się wydarzyło.

Tak naprawdę ostatnią rzeczą, którą zapamiętałam, był krzyk kamieni. A nawet co do tego miałam wątpliwości. Ten hałas trwał nawet później. Możliwe, że pochodził nie z wnętrza kamieni, lecz... no... z tego, w co wstąpiłam. Czy owe głazy stanowiły jakieś drzwi? I do czego prowadziły? Na sprecyzowanie tego zjawiska po prostu zabrakło mi słów. Może to szczelina w czasie, ponieważ najwyraźniej istniałam wtedy, a jestem teraz, kamienie zaś stanowiły jedyny element łączący oba te czasy.

No i dźwięki. Były ogłuszające, ale kiedy obecnie o tym myślałam, doszłam do wniosku, że bardzo przypominały odgłosy bitwy. Szpital polowy, w którym stacjonowałam, został trzy razy ostrzelany. Wiedzieliśmy, że prowizoryczne ścianki nie dadzą nam żadnej osłony, a jednak wszyscy – lekarze, pielęgniarki i sanitariusze – wbiegli do środka i zebrali się razem, dodając sobie odwagi. Odwaga bardzo szybko się wyczerpuje, kiedy nad głowami latają pociski z moździerzy, a o parę kroków wybuchają bomby. Dzikie przerażenie, które mną wtedy oładnęło, było najbliższe uczuciu, jakiego doznałam w kamiennym kręgu.

Dopiero w tej chwili zdałam sobie sprawę, że jednak pamiętam niektóre szczegóły przejścia przez szczelinę w kamieniu. Bardzo drobne, nieistotne. Wróciło do mnie wrażenie fizycznego oporu, jakbym weszła w środek jakiegoś nurtu. Tak, świadomie stawiałam mu opór. Ten nurt niósł ze sobą obrazy. Właściwie nie obrazy, raczej urywki myśli. Niektóre przerażające i te odpychałam od

siebie. Czy dążyłam w jakimś kierunku?

Miałam wrażenie, że wypływam ku powierzchni... Może celowo przybyłam w te czasy, ponieważ mogły mi dać schronienie przed szalejącym wirem? Pokręciłam głową. Nie znajdę odpowiedzi. Nic nie wydawało się jasne z wyjątkiem faktu, że powinnam wrócić do kamiennego kręgu.

– Pani...? – Cichy głosik wyrwał mnie z zamyślenia. Dwie dziewczyny, może siedemnastoletnie, zaglądały płochliwie przez drzwi. Były ubogo odziane:– w chodaki i samodziały. Ta, która się odezwała, trzymała kilka szmat i miotłę, jej towarzyszka zaś niosła parujące wiadro. Niewątpliwie podwładne pani Fitz.

– Nie będziemy ci przeszkadzać, pani? – spytała nieśmiało jedna z panienek.

– Nie, nie – zapewniłam. – i tak miałam już wyjść.

– Nie było cię na obiedzie, pani – poinformowała mnie druga. – Pani Fitz kazała powiedzieć, że w kuchni czeka stawa.

Wyjrzałam przez okno na końcu korytarza. Rzeczywiście, słońce minęło już zenit, a ja dopiero teraz poczułam głód. Uśmiechnęłam się do dziewcząt.

– Skorzystam z zaproszenia. Dziękuję.

Znowu zaniósłam obiad Jamiemu. Obawiałam się, że nie zje niczego aż do kolacji.

Przeglądałam się, jak przeżuwa kolejne kęsy siedząc na trawie, i spytałam, dlaczego mieszkał z jakąś bandą. I czemu kradł za granicą? Znałam już na tyle przychodzących do zamku ludzi z wiosek, a także jego

mieszkańców, by wiedzieć, że Jamie jest szlachetnie urodzony i o wiele lepiej wykształcony niż większość Szkotów. Wydawało mi się prawdopodobne, że pochodził z jakiejś bogatej rodziny. Dlaczego znalazł się tak daleko od domu?

– Jestem wyjęty spod prawa – wyjaśnił, jakby zdziwiony, że nie wiedziałam. – Anglicy dają dziesięć funtów szterlingów za moją głowę. Nie tak dużo jak za rozbójnika – dodał z żalem – ale trochę więcej niż za kieszonkowca.

– Skazali cię za stawianie oporu? – spytałam z niedowierzaniem. Dziesięć funtów szterlingów stanowiło połowę rocznych dochodów małego gospodarstwa; nie potrafiłam sobie wyobrazić zbiegłego więźnia, który aż tyle byłby wart dla angielskiego rządu.

– A nie. Za morderstwo.

Zakrzusiłam się kawałkiem chleba z piklami. Jamie klepał mnie po plecach, dopóki nie złapałam tchu.

– Ko-ko-kogo zabi-biłeś? – spytałam, ocierając załzawione oczy.

Wzruszył ramionami.

– Hm, to trochę dziwne. Właściwie nie zabiłem tego, za którego mnie wyjęli spod prawa. Ale po drodze pozbawiłem życia paru innych królewskich, więc sądzę, że to nawet sprawiedliwe.

Zamilkł i poruszył ramionami, jakby ocierał się o niewidzialnąścianę. Już wcześniej zauważyłam, że to robi – kiedy zobaczyłam blizny na jego plecach.

– Było to w Fort William. Przez parę dni nie

mogłem się ruszać... kiedy mnie wychłostali po raz drugi. Gdy znowu zdołałem wstać, moi... przyjaciele pomogli mi się wydostać, w sposób, którego bym nie chciał teraz wspominać. W każdym razie podczas naszego odejścia zrobiło się trochę zamieszania, a angielski starszy sierżant został przypadkiem postrzelony... tak się złożyło, że to on wychłostał mnie po raz pierwszy. Nie żywiłem do niego urazy, więc nie zamierzałem wyrządzić mu krzywdy, poza tym byłem za słaby. Mogłem tylko trzymać się konia, chociaż – zacisnął usta – gdybyśmy wpadli na kapitana Randalla, pewnie bym się bardziej postarał. – Rozluźnił napięte barki i wzruszył ramionami. – i tyle. To jeden powód, dla którego nie oddalę się samotnie z tego zamku.

Angielskie patrole rzadko zapuszczają się tak daleko w góry, ale często podchodzą pod granicę. No i są szpiedzy, choć Colum nie potrzebuje ich usług, skoro ma pod ręką własnych ludzi – roześmiał się i przeciągnął palcami przez krótko ostrzyżone włosy, które najeżyły się niczym kolce jeżozwierz. Wątpię, by w samym zamku znaleźli się szpiedzy, lecz mogą się kręcić po okolicy chętni zarobić parę groszy; donieśliby na mnie Anglikom, gdyby tylko wiedzieli, że jestem poszukiwany. – Uśmiechnął się do mnie. – Pewnie już poznałaś, że nie nazywam się MacTavish?

– Czy pan tego zamku wie?

– Że wyznaczono za moją głowę nagrodę? Tak. Słyszeli o tym pewnie wszyscy w tej części Szkocji. To, co się stało w Fort William, swego czasu narobiło sporo szumu, a tutaj wieści szybko się rozchodzą. Ludzie nie

wiedzą tylko, że tym poszukiwanym jest Jamie MacTavish; oczywiście jeśli nie zobaczył mnie nikt, kto zna moje prawdziwe nazwisko. – Włosy nadal jeżyły mu się idiotycznie. Zwalczyłam impuls, który kazał mi je wygładzić.

– Dlaczego nosisz krótkie włosy? – spytałam impulsywnie i zarumieniłam się.– Przepraszam, to nie moja sprawa. Mężczyźni jednak na ogół ich nie obcinają...

Z zakłopotaniem przyklepał sterczące kosmyki.

– Ja też miałem długie. Mnisi ogolili mi głowę z tyłu i zapuszczam je dopiero od paru miesięcy. – Pochylił się, by pokazać potylicę. – Widzisz?

Najpierw wyczułam ją pod palcami, potem zobaczyłam, rozgarnąwszy gęste kędziory.

Długa, świeża blizna, nadal różowa i lekko wypukła. Delikatnie przycisnęłam błyszczącą skórę. Czysto zagojona i ładnie zszyta. Taka rana pewnie musiała bardzo krwawić.

– Miewasz bóle głowy? – spytałam odruchowo.

Usiadł prosto i wygładził włosy. Potaknął.

– Czasami, choć nie takie jak dawniej. Przez jakiś miesiąc byłem ślepy, a głowa bolała mnie jak szalona. Potem, gdy wzrok mi wrócił, ból powoli minął. – Mrugnął parę razy, jakby sprawdzał, czy nadal widzi. – Czasami oczy zachodzą mi mgłą – wyjaśnił – jeśli jestem bardzo zmęczony.

– Dziwię się, że jeszcze żyjesz. Pewnie masz grubą czaszkę.

– To prawda. Jest tak gruba, że brakuje w niej

miejsca na rozum, jak twierdzi moja siostra.

Oboje roześmieliśmy się zgodnie.

– Jak do tego doszło?

Zmarszczył brwi, a na jego twarzy odmalował się wyraz niepewności.

– Ha, to dopiero pytanie – powiedział powoli. – Nic nie pamiętam. Byłem w okolicach przełęczy Carryarick z paroma chłopakami z Loch Laggan. Przedzierałem się przez zarośla; skaleczyłem rękę o ostrokrzew i pomyślałem, że kropelki krwi wyglądają jak jagody. A potem ocknąłem się we Francji, w opactwie Sainte Anne de Beaupre; głowa bolała mnie tak, jakby ktoś w nią walił młotem; jakaś postać, której nie widziałem, połała mnie czymś zimnym.

Potaął potylicę, jakby znowu poczuł ból.

– Czasami zdaje mi się, że coś pamiętam... lampa nad głową, kołysząca się niczym wahadło, ludzie mówiący coś do mnie, słodki oleisty smak na wargach... ale nie wiem, czy mi się to nie przyśniło. Mnisi podawali mi opium, a przez większość czasu majaczyłem. – Przycisnął palce do zamkniętych oczu. – Pamiętam jeden sen, który ciągle powracał.

Z głowy wyrastały mi trzy korzenie, wielkie i powykręcane. Rosły i puchły, wbijały mi się w oczy i rozpychały gardło. Wreszcie rozrastały się tak, że rozsadzały czaszkę. Budziłem się, słysząc jeszcze trzask łamanych kości – skrzywił się. – Taki ostry, mlaskający dźwięk.

– Faj!

Padł na nas jakiś cień, a solidny buciór trącił

Jamiego w żebra.

– Młody leń! – rzucił przybysz bez gniewu. – Obżerasz się, a konie biegają, jak chcą, kiedy to ujeździsz tę klaczkę, he?

– Na pewno nie będę pracować szybciej, jeśli się zagłodzę – odparł Jamie. – A właśnie, poczęstuj się, mamy tego mnóstwo. – Wziął kawałek sera i włożył go w powykręcaną reumatyzmem dłoń. Palce, już na stałe zastygłe w przykurczu, zamknęły się powoli, a ich właściciel usiadł na trawie.

Jamie przedstawił nas nawzajem, okazując niespodziewanie dworskie manieri: oto przede mną zasiadł sam Alec McMahon MacKenzie, koniuszy na zamku Leoch.

Krępy mężczyzna w skórzanych bryczesach i samodziałowej koszuli roztaczał wokół siebie aurę takiej władzy, że zmusiłby do posłuszeństwa nawet najbardziej dzikiego ogiera. Pamięć podsunęła mi cytaty: „Marsowe oko, co straszy i rozkazuje”. Istotnie, było to jedno oko; drugie zasłaniała czarna klapka. Jakby na powetowanie straty, brwi koniuszego rozprzestrzeniały się bujnie, najeżone siwymi włosami, poruszającymi się jak czułki owadów.

Stary Alec (tak nazywał go Jamie, bez wątpienia dla odróżnienia od młodego Aleca, mojego przewodnika) skinął mi głową, po czym przestał zwracać na mnie uwagę. Dzielił ją pomiędzy pożywienie i trzy młode konie, biegające z podniesionymi ogonami po łące.

Dyskusja na temat rodziców innych, bez wątpienia



interesujących koni, których jednakże nie było w pobliżu, zaczęła mnie solidnie nudzić, podobnie jak rozważanie kwestii pochodzenia całej stajni oraz budowy ciała, pęcín, kłębów i łopatek oraz pozostałych szczegółów anatomii nie znanych mi bliżej rumaków. Ponieważ jedynymi częściami końskiego ciała, które rozróżniałam, był nos, ogon i uszy, te subtelności nie znalazły u mnie zrozumienia.

Oparłam się na łokciach i zaczęłam się pławić w ciepłych promieniach słońca. Dzień był szczególnie spokojny, jakby wszystko toczyło się właściwym torem, poza ludzkimi troskami i burzliwymi wydarzeniami. Może taki spokój zawsze zyskuje się na łonie natury, z dala od budynków i ludzkiego jazgotu; może miała na to wpływ praca w ogrodzie, cicha przyjemność płynąca z dotykania żywych organizmów, satysfakcja wynikająca z faktu, że pomagamy im przetrwać. A może po prostu doznałam ulgi, ponieważ wreszcie znalazłam sobie zajęcie i nie chodziłam już beczynn timer po zamku, rzucając się innym w oczy jak kleks na pergaminie.

Mimo iż nie zabierałam głosu w rozmowie, nie czułam się skrepowana. Dziwne, bo stary Alec traktował mnie jak część krajobrazu, a Jamie, choć od czasu do czasu rzucał w moim kierunku spojrzenie, również mnie ignorował. Stopniowo przeszli na język celtycki, co w przypadku Szkotów jest nieomylnym znakiem, iż temat ich pasjonuje.

Skoro przestałam cokolwiek rozumieć, ich głosy zaczęły mi się wydawać czymś równie odległym, jak brzęczenie pszczoł we wrzosach. Odsunęłam od siebie –

dziwnie zadowolona i senna – wszelką myśl o podejrzliwości Columa, moim smutnym położeniu i innych niepokojących szczegółach. Wystarczy jak na jeden dzień, pomyślałam sennie.

Obudziłam się parę chwil później – może przez cień przepływającej chmury, może słysząc zmianę tonu głosów mężczyzn. Znowu porozumiewali się po angielsku i mówili po ważnie, porzuciwszy końską problematykę.

– Do zgromadzenia już tylko tydzień – powiedział Alec. – Już postanowiłeś?

Jamie westchnął przeciągle.

– Nie, jeszcze nie. Czasami chcę zrobić to, czasem tamto. Pewnie, tu mi się podoba.

Dobrze mi z tobą i końmi. – W jego głosie usłyszałam cień uśmiechu, który zaraz się ulotnił. – A Colum obiecał mi... no, wiesz. Ale pocałować stał, zmienić nazwisko i zapomnieć o tym, z którym się urodziłem? Nie, jeszcze się nie zdecydowałem.

– Jesteś uparty jak ojciec, nie ma co – mruknął Alec tonem niechętniej pochwały. – czasem go przypominasz, choć jesteś wysoki i jasny jak ród twej matki.

– Znałeś go, prawda? – spytał z zainteresowaniem Jamie.

– Trochę. Więcej o nim wiem z opowieści. Mieszkalem w Leoch jeszcze przed ślubem twych rodziców. Kiedy się słyszy, jak Dougal i Colum wspominają Czarnego Briana, można by pomyśleć, że był diabłem wcielonym, jeśli nie czym gorszym. A twoja matka samą Dziewicą Maryją, porwaną przez niego do

piekielnych czeluści.

Jamie parsknął śmiechem.

– A ja jestem jak on?

– Jako żywo. I wiem, czemu nie uśmiecha ci się być człowiekiem Columa. Ale i oni mają swe obawy, prawda? Niech no tylko zaczyna się walka o Stuartów, a Dougal dojdzie do głosu... Stań wtedy po właściwej stronie, a dostaniesz z powrotem swoje ziemie, cokolwiek by Colum mówił.

Jamie odpowiedział „szkockim dźwiękiem”, jak już zaczęłam nazywać specyficzny sposób mówienia – nieokreślony odgłos, który można było zinterpretować na wszystkie możliwe sposoby. W tym przypadku oznaczał powątpiewanie wobec tak pożądanego rozwiązania.

– Tak... Ale jeśli Dougal nie dojdzie do głosu, co wtedy? Albo jeśli walka będzie przeciwko domowi Stuartów?

Alec także wydał szkocki dźwięk.

– Wtedy zostaniesz tutaj. Przejmiesz po mnie pozycję koniuszego. Nie pożyczę już długa, a nikt tu nie ma lepszej ręki do koni.

Jamie mruknął skromnie i z wdzięcznością.

– MacKenzie też są twoją rodziną. Nie wyrzekniesz się własnej krwi. Jest jeszcze coś – w głosie Aleca pojawiła się weselsza nutka. – Na przykład panna Laoghaire.

W odpowiedzi usłyszał kolejny dźwięk, tym razem oznaczający zakłopotanie i zaprzeczenie.

– Jakże, chłopcze! Jeszcze nie widziałem, żeby młodzik dał się obić za pannę, o którą nie dba. A wiesz, że

ojciec nie pozwoli jej wyjść za kogoś spoza klanu.

– Jest taka młoda... Żal mi się jej zrobiło – mruknął usprawiedliwiająco Jamie. – To wszystko.

Tym razem Alec wydał szkocki dźwięk, sygnalizujący niedowierzanie.

– Powiedz to tej stodole, akurat ona ma tyle rozumu, żeby ci uwierzyć. No, jeśli to nie Laoghaire... a mógłbyś trafić gorzej, zapewniam cię... byłbyś lepszą partią, jeśli miałbyś pieniądze i przyszłość przed sobą. A tak by się stało, gdybyś został następnym koniuszym. Przebierałbyś w dziewczynach... jeśli któraś nie wybierze cię pierwsza! – Alec parsknął zdławionym śmieszkim człowieka, który rzadko się rozwesela. – Będą ciągnąć do ciebie bardziej niż muchy do miodu! Teraz nie masz grosza przy duszy ani nazwiska, a panny i tak za tobą wzdychają. Już ja dobrze wiem! – Kolejne parsknięcie. – Nawet ta Angielka nie może oczu od ciebie oderwać, a przecież ledwie owdowiała!

Musiałam zapobiec temu, co zapowiadało się na serię niesmacznie osobistych uwag.

Postanowiłam, że czas na oficjalne przebudzenie. Usiadłam, przeciągając się i ziewając.

Potałam oczy, żeby nie patrzeć na żadnego z mężczyzn.

– Mmm... Zdaje się, że zasnęłam – powiadomiłam ich, wdzięcznie trzepocząc rzęsami. Jamie – którego uszy płonęły jaskrawą czerwienią – rzucił się gwałtownie do pakowania kosza. Stary Alec wbił we mnie spojrzenie, najwyraźniej po raz pierwszy zwracając uwagę na moją

obecność.

– Konie cię ciekawią, dziewczyno? – spytał.

W tych okolicznościach nie mogłam zaprzeczyć. Zostałam zatem uraczona szczegółowym wykładem na temat kłaczki na padoku, teraz sennej i nieruchomej, od czasu do czasu strzepującej ogonem dla odpędzenia natrętnej muchy.

– Jeśli zechcesz na nie popatrzeć, będziesz tu mile widziana – zakończył Alec. – Ale nie wolno płoszyć koni. Trzeba nad nimi popracować, pojmujesz?

Była to oczywista odprawa, lecz ja, pamiętając powód, dla którego tu przyszłam, nie dałam za wygraną.

– Tak, następnym razem będę uważać – obiecałam. – Ale zanim wrócę do zamku, chciałabym zbadać ramię Jamiego i zdjąć mu opatrunek.

Alec skinął powoli głową, lecz ku memu zdumieniu. Jamie zaprotestował.

– To... to może poczekać – oznajmił, patrząc w inną stronę. – Dziś trzeba jeszcze wiele zrobić; zajmiesz się tym później, po kolacji, dobrze?

Reakcja chłopaka wydała mi się bardzo dziwna; wcześniej nie spieszyło mu się tak z powrotem do pracy. Ale nie mogłam go zmusić do poddania się leczniczym zabiegom, skoro tego nie chciał. Wzruszyłam ramionami, zgodziłam się spotkać z nim wieczorem i po wędrowałam drogą pod górę do zamku.

Wspinając się po wzgórzu, zastanawiałam się nad kształtem blizny na głowie Jamiego. Nie stanowiła linii prostej, jaka zostałyby po uderzeniu angielskiego pałasza,

lecz łuk, jak po wyraźnie zakrzywionym ostrzu. Takim, jak topór Lochaber? Ale o ile mi wiadomo, podobne topory były – nie, poprawiłam się w myślach, są – własnością jedynie członków klanu.

Dopiero wtedy uświadomiłam sobie to, czego dotąd nie zauważałam. Jak na człowieka, który wiecznie ucieka, otoczony nieznanymi wrogami. Jamie okazał mi wyjątkową ufnosć.

Zostawiłam kosz w kuchni i poszłam do gabinetu, niezwykle czystutkiemu po wizycie energicznych asystentek pani Fitz. Nawet dziesiątki szklanych fiolek w kredensie aż lśniły w słabych promieniach słońca.

Postanowiłam zacząć pracę od poznania zawartości kredensu. Poprzedniego dnia, zanim zasnęłam, przez parę minut przeglądałam księgę w błękitnej skórce, zabraną z komnaty Beatona. Był to „Poradnik lekarza domowego”, spis kuracji rozmaitych chorób oraz składniki, które teraz znajdowały się w zasięgu mojej ręki.

Księga zawierała kilka rozdziałów: „Centurie, Vomitoria i Electuarie”, „Pastylki i mikstury”, „Wybrane kataplazmy i ich cnoty”, „Wywary i odtrutki” oraz dość obszerny ustęp, zatytułowany jednym złowrogim słowem „Lewatywy”.

W miarę odczytywania zawartych w księdze zaleceń powoli zaczęłam rozumieć niepowodzenia Daviego Beatona. „Na ból głowy” – dowiedziałam się – „wziąć kulę nawozu końskiego, tę dobrze wysuszyć, utłuc w moździerz i z gorącym piwem wymieszawszy, wypić”. „Na konwulsje u dzieci pijawek pięć przystawić za każdym

uchem". A za parę stron: „Wywar z korzeni glistnika, kurkumy i wijów dwustu nieoceniony jest w przypadku żółtaczk”. Zamknęłam książkę i z pewnym zdziwieniem pomyślałam o całkiem sporej liczbie pacjentów, którzy wyzdrowieli po wstrząsających kuracjach medyka.

W kredensie znalazłam wielki słój z dziwnymi brązowymi kulami. Po lekturze poradnika miałam już co do nich pewne podejrzenia. Odwróciłam naczynie i odczytałam napis na etykiecie: „Koński nawóz”. Doszłam do wniosku, że ta substancja raczej nie zyskała na wartości po długim okresie przechowywania i odstawiłam ją na bok, nie otwierając.

Dalsze poszukiwania pozwoliły mi się przekonać, że „Purles ovis” to łacińska nazwa podobnego specyfiku, tym razem pochodzącego od owiec. „Mysie ucho”, jak sama nazwa wskazywała, miało więcej wspólnego ze światem zwierząt niż roślin. Odstawiłam pojemnik pełen różowawych wysuszonych uszek i wzdrygnęłam się.

Zastanawiało mnie słowo „wije” występujące też jako „wiye”, „wijje” i ”viye”. Składnik ten znajdował się w wielu receptach, toteż z dużą ulgą odnalazłam czystą, zatkaną koreczkiem fiołkę, oznaczoną tym właśnie wyrazem. Była do połowy wypełniona szarymi piguleczkami, malutkimi i idealnie okrągłymi; zaczęłam myśleć z podziwem o aptekarskich zdolnościach Beatona. Podniosłam fiołkę do oczu, dziwiąc się, że jest taka lekka. Dopiero wtedy ujrzałam delikatne prążkowanie i mikroskopijne, podkurczone nóżki... Pospiesznie odstawiłam fiołkę i otarłam rękę o fartuch, dodając kolejny

element do listy, którą zaczynałam tworzyć w pamięci.

W słojach Beatona znajdowały się także dość nieszkodliwe substancje, zawierające suszone zioła lub ekstrakty, mogące rzeczywiście mieć działanie lecznicze. Znalazłam nieco sproszkowanego korzenia kosańca oraz aromatyczny ocet, który pani Fitz stosowała na obrażenia Jamiego. A także arcydzięgiel, piołun, rozmaryn i coś oznaczone jako „Cuchnący arag”. Tę butelkę otworzyłam bardzo ostrożnie, ale nie zawierała nic poza delikatnymi czubkami gałęzi jodły, z których uniósł się przyjemnie balsamiczny zapach.

Zostawiłam ją otwartą, by nasączyć aromatem powietrze w komnacie.

Bez namysłu odstawiłam słoje z suszonymi ślimakami; „Olej z dżdżownic” – niestety, napis należało traktować dosłownie; „Vinum millepedatum” – czyli stonogi pokruszone i zalane winem; „Proszek z mumii egipskiej” – dziwny pył, pochodzący raczej z brzegu rzeki niż z grobowca faraonów; krew gołębia, mrówcze jaja, sporą liczbę suszonych ropuch, starannie opakowanych w mech oraz „Czaszka ludzka sproszkowana”. Ciekawe czyja.

Przez sporą część popołudnia zajmowałam się inwentaryzacją zawartości kredensu i wieloszufladkowej szafki. Kiedy skończyłam, miałam przed sobą stertę słoí, buteleczek i flaszek do wyrzucenia oraz znacznie skromniejszą kolekcję ewentualnie przydatnych produktów.

Przez jakiś czas zastanawiałam się nad dużą paczką pajęczyn. Zarówno księga Beatona, jak i moje mętne wspomnienia o medycynie ludowej dowodziły, że



pajęczyny są przydatne przy opatrywaniu ran. Osobiście uważałam to za wyjątkowo niehigieniczne, ale doświadczenie z bandażami na poboczu drogi dowodziło, iż zawsze należy mieć przy sobie coś, co ma zarazem właściwości przylepne i chłonne. Wreszcie odstawiłam pajęczyny na miejsce. Może uda mi się znaleźć jakiś sposób, by je wysterylizować? Nie przez gotowanie, pomyślałam. Może para oczyści je, nie pozbawiając lepkości?

W zamyśleniu wytarłam dłonie o fartuch. Zdążyłam już przejrzeć cały dobytek z wyjątkiem skrzyni pod ścianą. Energicznie podniosłam wieko i cofnęłam się, uderzona falą smrodu. Kufer zawierał dowody chirurgicznej działalności Beaton. Znajdowały się wśród nich przerażające piły, noże, dłuta i inne narzędzia, przydatne bardziej przy pracach stolarskich niż do ingerencji w delikatne ludzkie tkanki. Paskudny odór brał się zapewne stąd, że Beaton nie widział potrzeby czyszczenia swoich instrumentów po operacjach. Skrzywiłam się na widok ciemnych plam na ostrzach noży i zatrzasnęłam wieko.

Wywlokłam skrzynię na korytarz. Zamierzałam powiedzieć pani Fitz, że te narzędzia, po wygotowaniu należy przekazać zamkowemu stolarzowi, jeśli taki istnieje.

Hałas za plecami poinformował mnie o zbliżaniu się jakiejś osoby. Odwróciłam się i ujrzałam dwóch młodzików; jeden prowadził drugiego, który skakał na zdrowej stopie.

Chora noga była niedbale owinięta szmatami, poplamionymi świeżą krwią.

Rozejrzałam się i z braku innego siedliska wskazałam im skrzynię.

– Siadaj – zarządziłam.

Najwyraźniej nowy lekarz zamku Leoch rozpoczął praktykę.

Wieczorem leżałam na łóżku zupełnie pozbawiona sił. Może to dziwne, ale myszkowanie wśród medykamentów Beatona oraz leczenie moich nielicznych pacjentów za pomocą skąpych środków sprawiło mi przyjemność. Znowu poczułam się odpowiedzialna za czyjś los i użyteczna. Dotykałam ciał, mierzyłam puls, sprawdzałam języki i gałki oczne... znajome gesty, kojące panikę towarzyszącą mi od chwili przejścia przez skałę. Bez względu na dziwaczne okoliczności, obcowanie z prawdziwymi ludźmi napełniało mnie spokojem. Ludzie o ciepłych ciałach i miękkich włosach, o bijących sercach i oddychających płucach... Niektórzyśmierdzieli, byli zawszeni i brudni, ale to także nie wydawało mi się nowością. Nie lepsze warunki panowały przecież w szpitalu polowym, a rany wyglądały całkiem nie szkodliwie. Cóż za nieopisana ulga znowu łagodzić ból, nastawiać zwichnięte kończyny, usuwać przypadłości... Biorąc odpowiedzialność za zdrowie innych, czułam się mniej poszkodowana przez dziwaczny kaprys losu, który mnie tu rzucił. Byłam wdzięczna Columowi, że mi zaproponował to zajęcie.

Colum MacKenzie. Dziwna postać. Człowiek pełen ogłady, uprzejmy do szaleństwa, rozumny i kryjący za powściągliwością stalowy charakter. Ten charakter bardziej rzucał się w oczy w przypadku jego brata. Dougal był

urodzonym wojownikiem. A jednak kiedy stali razem, nie miałam wątpliwości, który z nich jest silniejszy. To Colum dzierżył władzę mimo ułomności.

Zespół Toulouse-Lautreca. Jeszcze nigdy nie widziałam nikogo dotkniętego tą przypadłością, ale słyszałam opis. Nazwana na cześć jej najslawniejszej ofiary (która jeszcze się nie urodziła, dodałam w myślach), jest chorobą zwyrodnieniową kości i tkanki łącznej. Osoby nią zaatakowane zwykle wyglądają normalnie aż do okresu dorastania, kiedy kości długie nóg, niezdolne utrzymać ciężaru ciała, zaczynają się kruszyć i zapadać.

Błąda cera i przedwczesne zmarszczki to inne zewnętrzne objawy złego krążenia, charakterystycznego dla choroby. Podobnie jak suchość skóry i rogowacenie palców u rąk i nóg, które już zauważyłam. Kiedy nogi wyginają się w łuk, kręgosłup zwykle także nie wytrzymuje nacisku i zaczyna się deformować, sprawiając choremu poważny ból.

Wyrecytowałam w myślach symptomy z podręcznika, w zadumie wygładzając sobie włosy. Niska liczba białych krwinek, zwiększona podatność na infekcje, wczesny artretyzm. Ze względu na złe krążenie krwi i degenerację tkanki łącznej osoby z zespołem Toulouse-Lautreca są nieodmiennie bezpłodne i często również stają się impotentami.

Pomyślałam o Hamishu. Mój syn, powiedział Colum z dumą. Hmm. Może zatem nie jest impotentem. A może jest. Letycja ma szczęście, że mężczyźni z rodu MacKenziech są do siebie tak bardzo podobni.

Moje rozmyślania przerwało głośne pukanie do

drzwi. Na progu stanął jeden z wszech obecnych chłopców na posyłki. Przyniósł mi zaproszenie na posiedzenie w Sali od samego Columa. Spotkanie urozmaicą śpiewy, powiedział, a pan MacKenzie będzie zaszczycony, jeśli zechcę się stawić.

Wobec mego ostatniego odkrycia widok Columa wydał mi się nad wyraz pociągający.

A zatem, rzuciwszy przelotne spojrzenie w lustro i podjąwszy nieudaną próbę ujarznienia rozwichrzonych loków, zamknęłam za sobą drzwi i poszłam za małym przewodnikiem przez zimny i pełen przeciągów korytarz.

W nocy Sala wyglądała całkiem inaczej; na ścianach płonęły pochodnie z sosnowych gałęzi, od czasu do czasu strzelające błękitnym, żywicznym płomieniem. Palenisko, pełne kotłów i garnków, nie buzowało już tak jak podczas kolacji. Teraz paliły się w nim powoli wielkie polana.

Stoły i ławy odsunięto, by utworzyć otwartą przestrzeń koło paleniska. Najwyraźniej tam właśnie miało się odbyć przedstawienie, gdyż naprzeciw znajdowało się wielkie krzesło Columa. On sam siedział wygodnie z przykrytymi nogami, a w zasięgu jego ręki znajdował się stolik z karafką i kielichami.

Zauważył mnie, gdy stanęłam w drzwiach, Skinął przyjaźnie, abym podeszła.

Usiadłam na ławie nie opodal.

– Miło mi cię widzieć, pani Claire – powiedział serdecznie. – Gwyllyn ucieszy się z nowej słuchaczki, choć wszyscy zawsze chętnie dajemy posłuch jego pieśniom.

Zauważyłam, że robi wrażenie zmęczonego; szerokie ramiona nieco się przygarbiły, a bruzdy przedwczesnych zmarszczek wydawały się głębsze niż zwykle.

Wymruczałam coś niezrozumiale i powiodłam wzrokiem po Sali. Ludzie wchodzili, za trzymywali się w małych grupkach, by pogawędzić, po czym siadali na ławach.

– Słucham? – odwróciłam się do Columa; w narastającym gwarze nie dosłyszałam, co powiedział.

Wyciągał ku mnie karafkę, śliczny przedmiot z bladozielonego kryształu. Znajdujący się w niej płyn wydawał się ciemnozielony niczym morskie głębiny, lecz gdy przelałam trunek do kielicha okazał się precudnie różowy, o najdelikatniejszym bukiecie. Smak spełniał obietnicę zapachu; zamknęłam błogo oczy i przytrzymałam łyk napoju w ustach, rozkoszując się aromatem, który przyjemnie drażnił podniebienie. Dopiero później pozwoiliłam, by cienka strużka nektaru spłynęła mi do gardła.

– Dobre, prawda? – W głębokim głosie brzmiała nutka rozbawienia.

Otworzyłam oczy i ujrzałam aprobujący uśmiech Columa. Już chciałam odpowiedzieć, lecz przekonałam się, że łagodny smak wina był zwodniczy. Struny głosowe odmówiły mi posłuszeństwa.

– Cu... cudowne – wykrztusiłam.

Colum skinął głową.

– To wino reńskie. Piłaś je kiedyś?

Pokręciłam głową. Pochylił karafkę nad moim kielichem i wypełnił go gładzią płynnego rózu. Sam trzymał kielich za nóżkę i obracał go, podziwiając w świetle ognia cynobrowe refleksy.

– Ale znasz się na dobrym winie – zauważył, rozkoszując się bogatym, owocowym smakiem napoju. – To naturalne, skoro jesteś Francuzką. Albo pół-Francuzką – poprawił się z przelotnym uśmiechem. – Z której części Francji pochodzi twoja rodzina?

Zawahałam się, po czym powiedziałam sobie: trzymać się prawdy najbardziej, jak można.

– Dalecy krewni mieszkają w okolicach Compiegne. – Wcale nie kłamałam. Paru kuzynów nadal żyło w pobliżu tej miejscowości.

– Ach... Ale nigdy tam nie byłaś, prawda?

Przechyliłam kielich i pokręciłam głową. Wciągnęłam w płuca wspaniałą woń wina.

– Nie – powiedziałam. – I nigdy nie spotkałam żadnego z moich francuskich krewnych. – Zerknęłam na niego i uchwyciłam wbite we mnie przenikliwe spojrzenie. – Już to mówiłam.

Przytaknął, niezrażony.

– Rzeczywiście.

Miał piękne szare oczy w oprawie gęstych czarnych rzęs. Bardzo atrakcyjny mężczyzna z tego Columa MacKenziego, przynajmniej od pasa w górę. Moje spojrzenie powędrowało do grupy przy kominku, gdzie Letycja w otoczeniu paru innych dam rozmawiała z ożywieniem z Dougalem. Także niezwykle pociągający

mężczyzna.

Odwrociłam się do Columa, który w zamyśleniu przyglądał się ozdobom na ścianach.

– Wspomniałam także – dodałam, wytrącając gospodarza z zadumy – że chciałabym wyruszyć do Francji najszybciej, jak to tylko możliwe.

– Oczywiście – przyznał z sympatycznym uśmiechem i uniósł karafkę. Wyciągnęłam ku niemu kielich, wskazując jednocześnie, że chcę już tylko odrobinę. Mimo to nalał mi wina niemal do samych brzegów.

– Ja zaś mówiłem – oznajmił ze wzrokiem wbitym w kielich – że przez jakiś czas musisz się, pani, zadowolić naszą gościna... dopóki nie zorganizujemy ci podróży. Zresztą nie ma pośpiechu. Dopiero wiosna; wiele miesięcy dzieli nas od jesieni, kiedy sztormy utrudniają przebycie kanału. – Jednocześnie uniósł brwi i karafkę, rzucając mi przebiegłe spojrzenie. – Ale gdybyś zechciała podać mi nazwiska swych krewnych we Francji, mógłbym posłać im wiadomość... by przygotowali się na twój przyjazd.

Nie miałam wyboru. Wymamrotałam coś niewyraźnie i pospiesznie się wycofałam, sygnalizując konieczność odwiedzin w wiadomym przybytku. Punkt dla Columa, ale mecz jeszcze się nie skończył.

Pretekst, jaki znalazłam, nie był całkowicie nieprawdziwy; zanim zlokalizowałam potrzebne mi miejsce, długo błąkałam się po ciemnych korytarzach zamku. W drodze powrotnej skręciłam nie tam, gdzie powinnam, i weszłam do Sali drzwiami po przeciwnej

stronie, z dala od Columa, co w zaistniałych okolicznościach bardzo mi odpowiadało.

Z wysiłkiem zaczęłam się przeciskać w stronę stojących pod ścianą ław.

Obok paleniska stał smukły mężczyzna z małą lirą – z pewnością był to bard Gwyllyn.

Sługa przyniósł mu zydell, on zaś zaczął stroić instrument, cicho szarpiąc struny. Colum nalał kolejny kielich wina i posłał go bardowi przez służącego.

Pod wielkim kobiercem, przedstawiającym myśliwego z sześcioma chudymi i zezowatymi psami, ścigającymi jednego biednego królika, siedziała Laoghaire.

– Ciut przesadzone, nie sądzisz? – rzuciłam wesoło, machnąwszy ręką ku kobiercowi.

Usadowiłam się na ławie obok dziewczyny.

– No – bąknęła nieśmiało i lekko odsunęła się ode mnie.

Usiłowałam nawiązać z nią przyjacielską rozmowę, ale odpowiadała monosylabami, a za każdym razem, kiedy się do niej odzywałam, wzdrygała się oblewała rumieńcem.

W końcu dałam za wygraną i skupiłam się na czekającym nas występie.

Gwyllyn nastroił wreszcie lirę jak należy, wyjął spod opończy trzy drewniane flety różnej długości i odłożył je na stolik w pobliżu.

Nagle zauważyłam, że Laoghaire patrzy w innym kierunku. Lekko zeszywniała i zerknęła raz po raz ku wejściu, co chwila usuwając się w cień, by nie zostać



zauważona.

Powiodłam za jej spojrzeniem i zauważyłam wysoką, rudowłosą postać. Jamie MacTavish wszedł właśnie do Sali.

– Ach! Dzielny bohater! Marzysz o nim, prawda? – spytałam.

Dziewczyna potrząsnęła gwałtownie głową, ale oblała się gorącym rumieńcem.

– A zatem zobaczymy, co da się zrobić – dodałam wspaniałomyślnie. Wstałam i radośnie pomachałam ręką, by zwrócić na siebie uwagę młodzieńca.

Chłopak odpowiedział na sygnał i ruszył ku mnie z uśmiechem. Nie wiedziałam, co zaszło między nim i dziewczyną na dziedzińcu, ale powitał ją ciepło, choć oficjalnie.

Uklon skierowany do mnie był nieco bardziej swobodny; po wymuszonej bliskości, jaką zaczęła się nasza znajomość, młody Szkot nie mógł traktować mnie jak obcej.

Kilka nut od strony paleniska zasygnalizowało początek występu. Pospiesznie zajęliśmy miejsca; Jamie usiadł pomiędzy Laoghaire i mną.

Gwylynn był niepozornym człowieczkiem, o drobnej posturze i myszowatych włosach, ale kiedy zaczął śpiewać, jego wygląd poszedł w niepamięć. Stał się jedynie punktem, na którym mogły spocząć oczy, podczas gdy uszy rozkoszowały się muzyką. Zaczął prostą celtycką piosenką, akompaniując sobie zaledwie muśnięciami strun, które jakby odpowiadały echem na tekst. Głos śpiewaka także

brzmiał zwodniczo zwyczajnie. Można by w pierwszej chwili pomyśleć, że niczym się nie wyróżnia – przyjemny, lecz słaby.

A potem nagle okazywało się, że dźwięk przenika słuchacza na wylot, a każda sylaba jest czysta niczym kryształ, czy się ją rozumie, czy nie, i dźwięczy w głowie jeszcze długo po tym, jak minie.

Pieśń została ciepło przyjęta, po chwili pieśniarz znowu zaczął śpiewać, tym razem chyba po walijsku. Dla mnie język ten brzmiał niczym melodyjne gulgotanie, lecz ludzie wokół towarzyszyli bardowi bez trudu. Zdaje się, że już słyszeli tę pieśń.

Wykorzystałam krótką pauzę na ponowne strojenie i spytałam szeptem Jamiego:

– Czy Gwyllyn długo mieszkał w zamku? – Potem jednak sprostowałam pytanie: – Och, ty przecież nie możesz wiedzieć. Zapomniałam, że sam jesteś nowy.

– Już tu byłem – odparł. – Spędziłem w Leoch rok, kiedy miałem jakieś szesnaście lat, a Gwyllyn także wtedy przebywał w zamku. Colum lubi go słuchać. Płaci mu dobrze, żeby został. Musi płacić; przed tym Walijszczykiem stoją otworem bramy wszystkich zamków.

– Pamiętam twój pierwszy pobyt – wtrąciła Laoghaire, zarumieniona po czubki uszu, lecz zdecydowana włączyć się do rozmowy. Jamie odwrócił się do dziewczyny.

– Naprawdę? Nie mogłaś mieć więcej niż osiem lat. Ja sam byłem wtedy dzieciakiem niewartym uwagi. – Odwrócił się do mnie i spytał grzecznie: – Mówisz po

walijsku?

– A jednak cię pamiętam – oznajmiła Laoghaire, nie dając się zbić z tropu. – Byłeś wtedy... to znaczy... nie przypominasz mnie sobie?

Mięta nerwowo skraj spódnicy. Zauważyłam, że wbiła sobie paznokcie w dłoń. Jamie zerknął na rozmawiającą po celtycku grupę po przeciwnej stronie sali.

– Tak? – rzucił z roztargnieniem. – Nie, nie sędzę. Ale – dodał z uśmiechem, nagle obdarzając ją większą uwagą – to nic dziwnego. Gagatek w wieku szesnastu lat jest zwykle zbyt zajęty swą ważną osobą, by zwrócić uwagę na postacie, które wydają się mu smarkatą dzieciarnią.

Zdaje się, że chciał w ten sposób ośmieszyć siebie, ale uzyskał nieco odmienny efekt.

Doszłam do wniosku, że trzeba pozwolić Laoghaire odzyskać przytomność umysłu i wtrąciłam pospiesznie:

– Nie mówię w tym języku. Może wiesz, o czym on śpiewa?

– A jakże. – Jamie przystąpił do bezpośredniego tłumaczenia pieśni.

Była to chyba jakaś stara ballada o młodzieńcu zakochanym w dziewczynie (oczywiście). Czuł jednak, że nie jest jej wart, ponieważ nie miał grosza przy duszy, więc wyruszył na morze, aby zbić fortunę. Jego statek się rozbił, a młodzieniec napotkał morskie węże, które z nim walczyły, i syreny, które rzuciły na niego czar; przeżył wiele przygód, znalazł skarb i wrócił do domu, gdzie przekonał się, że ukochana wyszła za jego najlepszego

przyjaciela. Tamten – choć jeszcze biedniejszy od niego – najwyraźniej miał więcej zdrowego rozsądku.

– A co ty byś zrobił? – spytałam z odrobiną przekory. – Czy tak jak ten młodzieniec nie pojąłbyś żony, nie mając pieniędzy, czy też ożeniłbyś się z dziewczyną, nie zważając na brak pieniędzy?

Ta kwestia zainteresowała także Laoghaire, która przechyliła głowę, z napięciem czekając na odpowiedź, choć udawała, że niezwykle pochłania ją słuchanie arii, granej przez Gwyllyna na flecie.

– Ja? – Jamie zastanowił się, rozbawiony. – Cóż, skoro nie mam pieniędzy ani szansy, by je zdobyć, pewnie liczyłbym na to, iż znajdę dziewczynę, która poślubi mnie bez grosza i przy duszy. – Pokręcił głową z uśmiechem. – Nie dla mnie morskie węże.

Otworzył usta, by powiedzieć coś jeszcze, ale Laoghaire uciszyła go, kładąc mu rękę na ramieniu i cofając ją gwałtownie, jakby się sparzyła.

– Cśśś... – szepnęła. – On... będzie opowiadał. Nie chcecie posłuchać?

Jamie wyprostował się, zaciekawiony, potem zdał sobie sprawę, że zasłania mi widok i uparł się, żebym usiadła po jego drugiej stronie, odsuwając Laoghaire dalej.

Zauważyłam, że dziewczyna nie jest specjalnie zadowolona, i usiłowałam protestować, ale nie pozwolił się przekonać.

– Nie, stąd będziesz słyszeć i widzieć lepiej. A jeśli zaczniesz mówić po celtycku, wyszepczę ci do ucha, co mówisz.

Każdą część występu barda nagradzano gromkimi brawami, choć kiedy grał, wszyscy prowadzili przyciszone rozmowy, nieco zagłuszające słodkie dźwięki harfy. Jednak teraz ludzie przycichli w oczekiwaniu. Gwyllyn mówił równie wyraźnie jak śpiewał. Każde jego słowo bez trudu niosło się aż do najdalszego krańca wysokiej sali.

– Było to dwieście lat temu... – powiedział po angielsku, a ja doznałam nagłego wrażenia deja vu. Dokładnie w ten sam sposób zaczął nasz przewodnik z Loch Ness, kiedy opowiadał nam legendę Wielkiej Doliny.

Ale Gwyllyn nie chciał mówić o duchach czy bohaterach, lecz o Małym Ludku. – Niedaleko Dundreggan mieszkał klan Małego Ludku. Wzgórze to zostało nazwane na pamiątkę mieszkającego w nim smoka, którego Fionn zabił i pogrzebał w miejscu, gdzie upadło jego wielkie cielsko. A kiedy Fionn i Feinn odeszli. Mały Ludek przybył, by zamieszkać we wzgórzu. Skrzaty szukały ludzkich matek, by zajęły się ich dziećmi, gdyż człowiek ma coś, czego one nie mają, a Mały Ludek sądził, że można to przekazać przez mleko matki.

Ewan MacDonald z Dundreggan wyszedł w noc, by doglądać swej trzody, jego żona zaś rodziła pierworodnego syna. Tuż obok Ewana przemknął powiew nocnego wiatru, a w jego szumie usłyszał pasterz westchnienie swej żony. Wzdychała i wzdychała, a on, słysząc ją, odwrócił się i rzucił nóż w wiatr, wymawiając imię Trójcy Świętej. Wtedy żona Ewana upadła, cała i zdrowa, na ziemię obok niego.

Historia ta została skwitowana zbiorowym „ach!”

po czym Gwyllyn szybko przeszedł do opowieści o sprycie i nieszczerości Małego Ludku oraz o różnych kontaktach ze światem ludzi. Niektóre legendy przedstawiał po celtycku, inne po angielsku, zapewne zależnie od tego, który język lepiej oddawał melodię słów, gdyż wszystkie były piękne, niezależnie od treści. Zgodnie z obietnicą. Jamie półgłosem tłumaczył celtyckie opowieści tak szybko i płynnie, że doszłam do wniosku, iż pewnie słyszał je już wiele razy.

Jedna z nich szczególnie utkwiała mi w pamięci.

Była to historia mężczyzny, który późną nocą wyszedł na górę skrzatów i usłyszał dobiegający od strony skał głos kobiety, zawodzący „smutną i żalosalną” pieśń. Nastawił ucha i wychwycił te oto słowa: Ja jestem pana na Balnain żoną przez Mały Ludek podle uwięzioną.

Mężczyzna pobiegł do zamku Balnain i dowiedział się, że właściciel wyjechał, a jego żona i syn zaginęli. A zatem popędził po duchownego i zaprowadził go na wzgórze.

Kapłan pobłogosławił kamienie i pokropił je święconą wodą. Nagle noc stała się jeszcze ciemniejsza i nie wiadomo skąd rozległ się głośny grzmot. Potem zza chmury wyłonił się księżyc i oświetlił nieprzytomną kobietę, żonę pana na Balnain, leżącą na trawie z dzieckiem w ramionach. Niewiasta była bardzo zmęczona, jakby przybyła z daleka, lecz nie potrafiła po wiedzieć, gdzie przebywała ani jak się znalazła na murawie.

Zebrani w sali także znali interesujące opowieści, więc Gwyllyn spoczął na zydlu i słuchał, popijając wino, podczas gdy inni stawali przed paleniskiem i snuli mrozące

krw w żyłach historii.

Niektórych prawie nie słyszałam. Trwałam w oszołomieniu, a moje myśli układały się w skomplikowane wzory pod wpływem działania wina, legend i muzyki.

– Było to dwieście lat temu...

W szkockich bajkach wszystko zawsze dzieje się przed dwustu laty, odezwał się w mojej głowie głos wielbego Wakefielda. Tak jak u nas „dawno, dawno temu”.

Kobieta uwięziona w skałach, która odbyła długą podróż i przybyła wyczerpana, nie wiedziała, gdzie była i jak wróciła do domu...

Czułam, że włosy jeżą mi się na głowie. Dwieście lat. Z roku tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego do tysiąc siedemset czterdziestego trzeciego; tak, to by się zgadzało. Kobiety przenikały przez kamienie. Czy to zawsze musi być kobieta? – pomyślałam nieprzytomnie.

Nagle zaświtała mi pewna myśl. Te kobiety wróciły. Dzięki święconej wodzie, za pomocą zaklęć lub noża, ale wracały. Więc może, może... może jest nadzieja? Muszę wrócić do kamiennego kręgu na Craigh na Dun. Poczułam narastające ożywienie, od którego zrobiło mi się odrobinę niedobrze. Sięgnęłam po kielich, by się uspokoić.

– Ostrożnie! – Czubki moich palców dotknęły krawędzi niemal pełnego kryształowego kielicha, który odstawiłam nieuważnie na ławę. Jamie wyciągnął ramię i w ostatniej chwili uratował puchar przed zniszczeniem. Podniósł naczynie, trzymając delikatnie za nóżkę w dwóch potężnych palcach i przesunął je sobie delikatnie pod

nosem. Podał mi kielich z uniesionymi brwiami.

– Wino reńskie – odpowiedziałam uczynnie.

– Wiem – zgodził się, nadal lekko zdziwiony. –

Columa, prawda?

– Owszem. Chciałbyś spróbować? Jest bardzo dobre.

Wyciągnęłam ku niemu kielich, nieco chwiejnym gestem. Przyjął go po chwili wahania i pociągnął mały łyżek.

– No, dobre – przyznał i oddał mi puchar. – podwójnie mocne. Colum pije ten trunek na noc, żeby zagłuszyć ból nóg. Ile już wysączyłaś? – spytał, spoglądając na mnie z ukosa.

– Dwa... nie, trzy kielichy – oznajmiłam z godnością. – Chcesz powiedzieć, że jestem nietrzeźwa?

– Nie. – Nadal przyglądał mi się z uniesionymi brwiami. – Dziwne, że tak dobrze się trzymasz. Ci, którzy piją razem z Columem, przeważnie po drugim kielichu łądają pod stołem. – Znowu odebrał mi puchar. – Ale – dodał z mocą – uważam, że nie powinnaś już pić, gdyż nie zdołasz wejść po schodach.

Przechylił kielich i opróżnił go aż do dna, po czym oddał pusty kryształ Laoghaire, nawet na nią nie spojrzawszy.

– Zabierz go, dziewczyno – rzucił nieuważnie. – Zrobiło się późno; odprowadzę panią Beauchamp do jej komnaty.

Wziął mnie pod rękę i pokierował do wyjścia. Panienska przeszła nas spojrzeniem, od którego



powinniśmy paść trupem na miejscu.

Jamie zaprowadził mnie aż do samej sypialni i, ku memu zdziwieniu, wszedł za mną.

Przestałam się dziwić, kiedy zamknął drzwi i natychmiast przystąpił do rozpinania koszuli. Całkiem zapomniałam o opatrunku, który od dwóch dni próbowałam mu zdjąć.

– Z radością się tego pozbędę – wyznał, dotykając zwojów jedwabiu i płótna. – Okrutnie mnie ociera.

– Dlaczego sam tego nie zdjąłeś? – spytałam, zabierając się za węzły.

– Bałam się, tak na mnie nakrzyczałaś – wyznał, uśmiechając się łobuzersko. – Sądziłem, że stłuczysz mi zadek, jeśli dotknę opatrunku.

– Zrobię to teraz, jeśli nie siądziesz spokojnie – zagroziłam z udaną surowością.

Położyłam mu obie dłonie na zdrowym ramieniu i nieco chwiejnie popchnęłam go ku niskiemu stołkowi. Zdjęłam wszystkie paski materiału i starannie zbadałam staw. Nadal był lekko opuchnięty i posiniaczony, ale na szczęście nie zauważyłam nic, co by wskazywało na rozerwane mięśnie.

– Jeśli tak ci się spieszyło, żeby się pozbyć tej uprząży, dlaczego nie pozwoliłeś mi tego zrobić wczoraj? – Nadal mnie to dziwiło, zwłaszcza że bandaże otarły mu skórę niemal do żywego mięsa. Uniosłam je z pewną obawą, ale pod spodem wszystko wyglądało dobrze.

Zerknął na mnie z ukosa, po czym spuścił wzrok z zakłopotaniem.

– No, bo... nie chciałem zdejmować koszuli w obecności Aleca.

– Skromny jesteś, co? – rzuciłam sucho, unosząc jego ramię dla zbadania rozciągliwości stawu. Skrzywił się trochę, ale po mojej uwadze usta lekko mu zadrgały.

– Gdybym był, nie siedziałbym na wpół nagi w twojej komnacie. Nie, chodzi o te blizny. – Uniosłam pytająco brwi. – Alec wie, kim jestem... znaczy, słyszał, że zostałem wychłostany, ale nie widział moich pleców. A wiedzieć, to nie to samo, co zobaczyć na własne oczy. – Dotknął delikatnie chorego ramienia, unikając mojego spojrzenia.

Zmarszczył czoło. – Może nie pojmujesz, o czym mówię. Ale kiedy się wie, że ktoś ucierpiał, jest to jedyne, co chce się o nim wiedzieć. Alec wie, że byłem wychłostany, tak jak wie, że jestem rudy i nie traktuje mnie przez to inaczej. – Teraz podniósł oczy, szukając oznak zrozumienia. – Ale kiedy widzi się to na własne oczy, to... – zawahał się, szukając odpowiednich słów. – To trochę... intymne, tak mi się wydaje. Gdyby... gdyby zobaczył blizny, nie mógłby już o mnie pomyśleć, nie wspomniawszy o nich wcześniej.

A ja bym to widział i nie mógłbym zapomnieć... – urwał, wzruszając ramionami. – Kiepsko to wytłumaczyłem, prawda? Zdaje się, że jestem nieco drażliwy na tym punkcie.

Zresztą sam nie mogę ich zobaczyć; może nie wyglądają tak źle, jak mi się zdaje.

Niegdyś widziałam ludzi, kuśtykających o kulach

po ulicy i przechodniów, mijających ich z odwróconymi głowami. Pomyślałam, że właściwie Jamie wyjaśnił mi to zjawisko całkiem dobrze.

– Nie przeszkadza ci, że ja widzę twoje plecy?

– Nie. – W jego głosie zabrzmiała nuta zdziwienia. Zamilkł, jakby się nad tym zastanawiał. – Chyba... chyba dlatego, że mi współczułaś, lecz się nade mną nie litowałaś.

Siedział cierpliwie i bez ruchu, a ja krążyłam za nim, badając jego plecy. Nie wiem, jak sobie wyobrażał widok blizn, ale mnie wydawały się dość paskudne. Nawet widząc je w słabym świetle świec i nie po raz pierwszy, czułam dreszcz zgrozy. Zresztą wcześniej oglądałam tylko jedno ramię. Teraz przekonałam się, że blizny pokrywają cały jego grzbiet aż do pasa. Wiele z nich zbladło i stało się zaledwie cienkimi białymi kreskami, lecz najgorsze z nich przybrały postać srebrnych wybrzuszeń, wcinających się głęboko w mięśnie. Pomyślałam z pewnym żalem, że niegdyś musiały to być bardzo piękne plecy.

Miał jasną i świeżą skórę, a linie kości i mięśni były zarazem twarde i kształtne, ramiona rozłożyste i proste, a talia smukła.

Jamie miał rację. Patrząc na te obrażenia, nie mogłam zapomnieć, w jaki sposób powstały. Usiłowałam nie wyobrażać sobie jego rozkrzyżowanych ramion, sznurów wrzynających się mu w nadgarstki, rudej głowy mocno przyciśniętej do słupa, lecz obrazy same stawały mi przed oczami. Czy krzyczał? Pospiesznie odsunęłam od siebie tę myśl.

Słyszałam opowieści, które docierały do nas z

powojennych Niemiec; opisywały akty bestialstwa o wiele straszliwsze niż ten, ale mimo wszystko Jamie słusznie zauważył – wiedzieć to nie to samo, co zobaczyć.

Mimowolnie dotknęłam pleców chłopaka, jakbym mogła go uleczyć samymi dłońmi.

Westchnął głęboko, ale nie drgnął, kiedy wiodłam palcami wzdłuż głębokich blizn, których nie mógł zobaczyć. Wreszcie położyłam lekko ręce na umięśnionych barkach, nie znajdując właściwych słów.

Przykrył moje ręce swoimi dłońmi i ścisnął je lekko, ze zrozumieniem.

– Innym zdarzają się gorsze rzeczy – powiedział cicho. Potem puścił mnie i czar prysł – Zdaje się, że wracam do zdrowia – dodał, usiłując zerknąć na ranę na ramieniu. – Już nie boli tak bardzo.

– To dobrze – przyświadczyłam z pewnym trudem przez zaciśnięte gardło. – Rzeczywiście, dobrze się goi. Już pokryła się ładnym strupem i wcale nie ropyje.

Utrzymuj ją w czystości i nie nadwężaj tego ramienia jeszcze przez jakieś dwa lub trzy dni. – Poklepałam go po zdrowym barku, sygnalizując koniec badania. Włożył koszulę o własnych siłach i wcisnął jej długie poły w kilt.

Nastąpił moment niezręcznej ciszy. Jamie zatrzymał się w progu, szukając odpowiednich słów na pożegnanie. Wreszcie zaprosił mnie do stajni na oględziny nowo narodzonego źrebaczka. Obiecałam, że przyjdę, i jednocześnie powiedzieliśmy sobie dobranoc. Roześmieliśmy się i kiwnęliśmy idiotycznie głowami.

Wreszcie wróciłam do łóżka i zasnęłam oszołomiona winem. Miałam niepokojące sny, których rano nie potrafiłam sobie przypomnieć.

Następnego dnia, po długim poranku wypełnionym leczeniem nowych pacjentów, szukaniem ziół, którymi mogłabym uzupełnić zapasy, oraz uroczystym zapisywaniem szczegółów kuracji w czarnej księdze Daviego Beatona, opuściłam moją klitkę aby trochę rozprostować kości.

Nie zauważyłam, żeby ktoś za mną szedł. Skorzystałam z okazji i ruszyłam na obchód górnego piętra zamku. Zaglądałam do pustych komnat i pełnych przeciągów korytarzy, kodując w pamięci rozkład pomieszczeń. Muszę przyznać, że był wyjątkowo skomplikowany. Zdaje się, że przez lata dodawano tu bez ładu i składu najróżniejsze odnogi i przybudówek aż wreszcie trudno było się domyślić, jak mógł wyglądać pierwotny plan zamku. Na przykład w korytarzu znalazłam wbudowaną w ścianę przy schodach alkowę, wciśniętą tu dla wypełnienia pustej przestrzeni, zbyt skąpej, by umieścić w niej komnatę.

Alkowę zasłaniał lniany pasiasty materiał. Minęłabym ją, gdyby mojej uwagi nie przykuł niespodziewany błysk bieli. Zatrzymałam się i zerknęłam do środka przez szparę w słonie. Najpierw ujrzałam rękaw koszuli Jamiego. Chłopak obejmował w pół jakąś dziewczynę i przyciągał ją ku sobie. Siedziała mu na kolanach, a w słońcu jej włosy lśniły złotem.

Zamarłam, nie wiedząc, co mam zrobić. Nie miałam

ochoty ich podglądać, ale bałam się, że usłyszą moje kroki. Kiedy tak stałam. Jamie podniósł głowę i zauważył mnie.

Nasze oczy się spotkały; jego twarz drgnęła w grymasie niepokoju. Uniósł brwi i lekko wzruszył ramionami, po czym znów pochylił się nad dziewczyną. Ja też wzruszyłam ramionami i odeszłam na paluszkach. Nie moja sprawa. Nie wątpiłam jednak, że zarówno Colum, jak ojciec dziewczyny uznaliby to zachowanie za wysoce nieprzystojne.

Następne lanie będzie nieuniknione, jeśli Jamie nie zacznie lepiej wybierać miejsc schadzek.

Wieczorem spotkałam się z nim i Alekiem przy kolacji. Jamie przywitał mnie dość miło lecz nieufnie. Stary Alec jak zwykle powiedział „mmm”. Kobiety, wyjaśnił mi nie mają wrodzonego zrozumienia dla koni, dlatego trudno się z płcią przeciwną rozmawia.

– Jak idzie ujeżdżanie? – spytałam, by przerwać wytężone przeżuwanie po drugiej stronie stołu.

– Dobrze – powiedział ostrożnie Jamie. Zerknęłam na niego znad talerza gotowanej rzepy.

– Masz opuchnięte usta. Koń cię kopnął? – zagadnęłam złośliwie.

– No – mruknął, mrużąc oczy. – Podrzucił łbem, kiedy nie patrzyłem.– Mówił smutnie, lecz nagle poczułam, że jakaś duża stopa opada na moją. Na razie spoczęła lekko groźba była całkiem czytelna.

– Niedobrze. Klacze potrafią być niebezpieczne – zauważyłam niewinnie. Jego obcas wbił mi się boleśnie w śródstopie.

– Klacze? – włączył się Alec. – Chyba nie ujeżdżasz już klaczy, co?

Usiłowałam podważyć nogę młodzieńca drugą stopą, a kiedy mi się to nie udało, kopnęłam go mocno w kostkę. Jamie drgnął gwałtownie.

– Co ci się stało? – spytał Alec.

– Ugryzłem się w język – wymamrotał Jamie, rzucając mi straszne spojrzenie nad dłonią, którą zasłonił sobie usta.

– Niezdara. Zresztą czego się spodziewać po bęcwale, który nie uważa na konia i daje się... – Alec ciągnął przemowę przez parę dobrych minut, oskarżając swego asystenta o niedołęstwo, lenistwo, głupotę i ogólny brak zalet. Jamie, najmniej niedołączny człowiek, jakiego udało mi się spotkać, słuchał ze spuszczoną głową, ale widziałam, że policzki płoną mi purpurą. Do końca posiłku zajmowałam się wyłącznie własnym talerzem.

Jamie podziękował za dokładkę gulaszu i wstał gwałtownie od stołu, przerywając tyradę Aleca. Przez parę minut stary koniuszy i ja pożywialiśmy się w milczeniu.

Wreszcie Alec wytarł talerz kawałkiem chleba, włożył sobie ostatni kęs do ust i rozparł się na krześle, przyglądając mi się sardonicznie błękitnym okiem.

– Nie powinnaś go judzić – zauważył lekko. – Jeśli jej ojciec albo Colum się o tym dowiedzą, młody Jamie dostanie coś więcej niż parę kulaków.

– Na przykład żonę? – spytałam, patrząc na niego.

Powoli pokiwał głową.

– Może. A nie takiej żony mu potrzeba.

– Nie? – Takie stwierdzenie nieco mnie zaskoczyło, zwłaszcza po tym, co stary mówili na padoku.

– Nie. Jemu trzeba kobiety, nie dziewczyny. A Laoghaire będzie dziewczyną nawet wtedy, gdy stuknie jej pięćdziesiątka. – Ponure cienkie usta wygięły się w grymasie, który mógł oznaczać uśmiech. – Może ci się wydaje, że całe życie spędziłem w stajni, ale kiedyś pojąłem za żonę kobietę i bardzo dobrze znam tę różnicę. – Błękitne oko błysnęło. – Ty też – dodał, wstając.

Wyciągnęłam dłoń, by go zatrzymać.

– Skąd wiecie... – zaczęłam.

Stary Alec parsknął pogardliwie.

– Owszem, mam jedno oko, ale całkiem jeszcze nie oślepiłem. – Pokuśtykał przed siebie, mrużąc pod nosem.

Odnalazłam schody i powędrowałam do swego pokoju, zastanawiając się, co koniuszy chciał mi przekazać tą ostatnią uwagą.

Moje życie powoli nabierało sensu, a przynajmniej się unormowało. Wstawałam o świcie wraz z resztą domowników, jadłam śniadanie w Wielkiej Sali, po czym, jeśli pani Fitz nie wysłała żadnych pacjentów, szłam do pracy w ogromnych zamkowych ogrodach.

Kilka innych kobiet pracowało tam regularnie, a zbieranina najróżniejszych chłopców pomagała przy noszeniu różnych narzędzi, nawozu i usuwaniu śmieci. Zazwyczaj pracowałam przez cały dzień, czasem tylko przychodząc do kuchni, by pomóc przy przygotowaniu świeżo zerwanych warzyw, chyba że nagle wezwanie zmuszało mnie do powrotu do Krypty, jak nazwałam



upiorną komnatę świętej pamięci Beatona.

Niekiedy przyjmowałam zaproszenie Aleca i odwiedzałam stajnie lub padok, gdzie przyglądałam się koniom, zrzucającym kłęby zimowej sierści i z dnia na dzień rosnących pięknie na wiosennej trawie.

Od razu po kolacji szłam do siebie, wyczerpana całodzienną pracą. Czasami, jeśli udawało mi się nie zasnąć, wstępowałam do Wielkiej Sali, by posłuchać opowieści, pieśni lub melodii granych na lirze albo kobzie. Mogłam godzinami słuchać walijskiego barda Gwyllyna, mimo iż przeważnie nie rozumiałam ani słowa.

Mieszkańcy zamku powoli przyzwyczaili się do mnie, a ja do nich. Niektóre kobiety zaczęły nieśmiało czynić pierwsze kroki do nawiązania przyjaźni. Były bardzo ciekawe moich losów, lecz ja odpowiadałam na wszystkie ostrożne pytania różnymi wersjami opowieści, jaką zaserwowałam Columowi. Po pewnym czasie pogodziły się z faktem, że nie usłyszą ode mnie nic więcej. Zorientowawszy się jednak, że jestem specjalistką w dziedzinie medycyny, okazywały mi coraz więcej zainteresowania. Przychodziły zapytać, jak mają leczyć choroby swoich dzieci, mężów i trzody, w tych dwóch ostatnich przypadkach nie robiąc specjalnej różnicy w hierarchii ważności.

Oprócz przekazywania zwykłych informacji i ploteczek wspominały także całkiem często o zbliżającym się zgromadzeniu, o którym słyszałam już od Aleca. Doszłam do wniosku, iż jest to wyjątkowa okazja, o czym dodatkowo przekonały mnie zakrojone na szeroką skalę

przygotowania. Do kuchni napływał nieustanny strumień żywności, w rzeźni wisiało ponad dwadzieścia oprawionych tusz, odymianych dla odstraszenia much. Kolejne wozy dostarczały beczułki piwa, które składano w zamkowych piwnicach; z wioskowego młyna przynoszono wory mąki na wypieki; z sadów zaś poza murami zamku – kosze czereśni i moreli.

Zaproszono mnie na jedną z wypraw po owoce, a ja zgodziłam się z radością, gotowa na wszystko, byle tylko wyrwać się z cienia kamiennych murów.

Sad był piękny; z najwyższą przyjemnością wędrowałam w chłodnej porannej mgle, od suwając mokre liście w poszukiwaniu lśniących czereśni i gładkich, jędrnych moreli, których dojrzałość sprawdzałam lekkim uciśnięciem. Zbierałyśmy najpiękniejsze i zjadałyśmy, ile tylko się dało. Sterty soczystych owoców wędrowały następnie do zamku, gdzie miały być wykorzystane jako składnik przepysznych placków i tart. Półki ogromnej spiżarni ugiwały się już pod ciężarem słodczy, napitków, szynki i innych delikatesów.

– Jak wiele osób przybywa zwykle na zgromadzenie? – spytałam Magdaleny, jednej z dziewcząt, z którymi się zaprzyjaźniłam.

Zmarszczyła w zamyśleniu zadarty piegowaty nosek.

– Nie wiem na pewno... Ostatnie wielkie zgromadzenie w Leoch było przed dwudziestoma laty, a wtedy zjechało się... o, ze dwustu chłopów... kiedy umarł stary Jakub, a Colum został panem zamku. Teraz może

przybyć więcej osób; to był urodzajny rok i ludzie bardziej się wzbogacili, więc zapewne przywiozą żony i dzieciaki.

Goście już zaczęli napływać do zamku, choć słyszałam, że oficjalna część Zgromadzenia – przysięga, tynchal i zabawa – odbędą się dopiero za parę dni. Bardziej szacowni domownicy i służący Columa zachowali przyzwoite komnaty, lecz biedniejsi strażnicy i ludzie z wioski koczowali na polu przy strumieniu, który zasilał jezioro wokół zamku. Wędrowni druciarze, Cyganie i handlarze założyli przy moście coś z rodzaju zaimprovizowanego targowiska. Mieszkańcy zamku i pobliskiej wioski zaczęli je odwiedzać wieczorami po pracy, by kupić potrzebne narzędzia oraz naczynia, przyrządy się żonglerom i wysłuchać nowinek.

Przyglądałam się uważnie rozwojowi wypadków i często odwiedzałam stajnie oraz padok. Teraz stało tam mnóstwo koni, głównie należących do gości. Doszłam do wniosku, że zamieszanie i panujący obecnie w zamku chaos stwarzają mi idealne warunki do ucieczki.

Geilis Duncan poznałam podczas kolejnej wycieczki do sadu. Zauważyłam pod korzeniami olchy niewielką kępę tacam i zaczęłam się rozglądać za innymi. Szkarłatne kapelusze rosły w małych grupkach, zaledwie po cztery lub pięć sztuk, ale w długiej trawie w ich części sadu widziałam ich kilka. Głosy zbieraczek oddaliły się stopniowo, a ja zbliżałam się do krańca sadu, od czasu do czasu schylając się lub padając na kolana, by zebrać grzyby, nie uszkodziwszy kruchych nóżek.

– Są trujące – odezwał się jakiś głos za moimi

plecami. Wyprostowałam się gwałtownie i grzmotnęłam głową o niską gałąź sosny.

Kiedy gwiazdy zniknęły mi sprzed oczu, usłyszałam kaskady dźwięcznego śmiechu. Zobaczyłam wysoką młodą kobietę, starszą ode mnie o parę lat. Miała jasne włosy i skórę, a poza tym najpiękniejsze zielone oczy, jakie zdarzyło mi się widzieć.

– Przepraszam, że się śmieję – powiedziała. W policzkach zrobiły się jej dołeczki. – Nie mogłam się powstrzymać.

– Pewnie wyglądałam śmiesznie – mruknęłam dość nieżyczliwie, pocierając bolące miejsce na czubku głowy. – Dziękuję za ostrzeżenie, ale wiem, że te grzyby są trujące.

– Tak? I kogo zamierzasz nimi otruć? Może męża? Zdradź, czy trucizna działa, to wypróbuję na swoim. – Jej śmiech był zaraźliwy. Poczulałam, że usta same mi się rozciągają.

Wyjaśniłam, że surowe kapelusze grzybów rzeczywiście są trujące, ale można je ususzyć i przygotować z nich proszek powstrzymujący krwawienie ran. Przynajmniej tak twierdziła pani Fitz; bardziej wierzyłam jej niż rewelacjom Daviego Beatona.

– Coś podobnego! – wykrzyknęła kobieta, nadal uśmiechnięta. – A czy wiesz, że to – schyliła się i zerwała garść maleńkich błękitnych kwiatków o sercowatych liściach – może wywołać krwawienie?

– Nie – przyznałam zdziwiona. – Po co robić coś takiego?

Spojrzała na mnie z wyrazem cierpliwości

wystawionej na ciężką próbę.

– Żeby pozbyć się dziecka, którego nie chcesz. Przywołuje miesięczne krwawienie, ale trzeba go użyć w porę. Jeśli będzie za późno, można zabić i dziecko, i siebie.

– Dużo o tym wiesz – zauważyłam z przekąsem.

– Trochę. Dziewczęta z wioski przychodzą do mnie w takich sprawach, a czasami także mężatki. Mówią, że jestem czarownicą – dodała, otwierając olśniewające oczy z wyrazem fałszywego zdumienia. Potem się uśmiechnęła. – Ale mój mąż piastuje stanowisko prokuratora okręgu, więc nie mówią tego zbyt głośno. Ten młodzieniec, którego ze sobą przywiodłaś... – ciągnęła, kiwając głową z aprobatą. – Jedna panna kupiła z jego powodu całkiem sporo napojów miłosnych. Jest twój?

– Mój? Kto? A... Jamie?

Młoda kobieta spojrzała na mnie z rozbawieniem. Usiadła na zwałonym pniu i zaczęła leniwie nawijać pasmo włosów na palec.

– No. Wiele dziewczyn zadurzyłoby się w młodzieńcu z takimi oczami i włosami, choćby nie wiem jak wielka była cena za jego głowę i choćby nie miał grosza przy duszy.

Ale ich ojcowie są innego zdania. Ja dla odmiany – kontynuowała ze wzrokiem utkwionym w oddali – jestem bardzo praktyczna. Poślubiłam mężczyznę z pięknym domem i ładnymi oszczędnościami. Nie zauważyłam, jakie ma oczy, ale nigdy nie sprawił mi kłopotu. – Pokazała koszyk, który niosła ze sobą. Na jego dnie leżały cztery obrznięte korzenie.

– Korzeń ślazu – wyjaśniła. – Mój mąż cierpi od czasu do czasu na katar żołądka.

Pierdzi jak stary wół.

Postanowiłam skierować rozmowę na inne tory, zanim kompletnie wymknie mi się spod kontroli.

– Jeszcze się nie przedstawiłam – powiedziałam z pośpiechem. – Nazywam się Claire, Claire Beauchamp.

Wyciągnęła do mnie smukłą dłoń o długich i delikatnych białych palcach, choć zauważyłam, że ich czubki były zaplamione, prawdopodobnie sokiem ziół i jagód, leżących obok korzeni ślazu.

– Wiem, coś ty za jedna – oznajmiła. – Cała wioska aż się trzęsie od plotek o tobie. Ja jestem Geilis, Geilis Duncan.

– Zajrzała mi do koszyka.

– Jeśli szukasz balgan-buachrach, mogę ci pokazać, gdzie rosną najpiękniejsze.

Przyjęłam ofertę i razem powędrowałyśmy przez dolinki przy sadzie, zaglądając pod przegniłe kłody i chodząc na czworakach wzdłuż brzegów migoczących jezierek, gdzie rosły sobie spokojnie kępy malutkich muchomorków. Geilis dużo wiedziała o roślinach i ich zastosowaniu w medycynie, choć dała mi parę rad, które wydały się – delikatnie mówiąc – wątpliwe. Na przykład nie wierzyłam, żeby szczaw wywoływał brodawki na nosie rywalki i bardzo wątpiłam, żeby bukwica przemieniała ropuchy w gołębie. Geilis zdradzała mi te rewelacje z przebiegłym błyskiem oczu, jakby sprawdzała moją wiedzę lub może wiarę w czary.

Mimo iż czasami delikatnie się ze mnie naśmiewała, jej towarzystwo wydało mi się bardzo miłe. Była dowcipna i wesoła, a także nieco cyniczna. Wiedziała chyba wszystko o wszystkich w wiosce, okolicy i zamku, a nasze poszukiwania urozmaicała narzekaniem na problemy żołądkowe swego męża oraz śmiesznymi, choć złośliwymi plotkami.

– Powiadają, że mały Hamish nie jest synem swego ojca – wyznała za którymś postojem.

Ta plotka nie zaskoczyła mnie szczególnie, ponieważ ja także wyrobiłam sobie na ten temat własne zdanie. Dziwiłam się jedynie, że Letycja dorobiła się w ten sposób tylko jednego dziecka. Może miała szczęście, a może w porę znalazła kogoś takiego jak Geilie.

Nierozważnie powiedziałam to na głos.

Geilie odrzuciła do tyłu długie, jasne włosy i parsknęła śmiechem.

– Nie, to nie moja sprawka. Piękna Letycja nie potrzebuje w tej kwestii niczyjej pomocy, wierz mi. Jeśli ludzie szukają czarownicy, prędzej znajdą ją w zamku niż w wiosce.

Znowu musiałam pospiesznie zmienić śliski temat. Rzuciłam się na pierwszą myśl, która przyszła mi do głowy.

– Jeśli Hamish nie jest synem Columa, to czym? – spytałam, wdrapując się na stertę kamieni.

– No jakże, naszego urodziwego młodzieńca, ma się rozumieć. – Geilie odwróciła się do mnie. Jej drobne usteczka drgały w kpiącym uśmiechku, a zielone oczy lśniły łobuzersko. – Jamiego.

Wróciłam samotnie do sadu i zastałam tam Magdalenę. Potargane włosy wysunęły się jej spod chustki, a w oczach malowało się strapienie.

– A, jesteś – westchnęła z ulgą. – Już miałyśmy wracać do zamku, kiedy spostrzegłam, że zniknęłaś.

– To bardzo uprzejme, że po mnie wróciłaś – powiedziałam, podnosząc koszyk czereśni, który zostawiłam na trawie. – Ale znam drogę.

Pokręciła głową.

– Powinnaś uważać, kochanie. Nie można chodzić samotnie po lasach. Na zgromadzenie przyjechali najróżniejsi ludzie. Colum rozkazał... – urwała raptownie i zasłoniła usta ręką.

– Żeby mnie pilnować? – podesunęłam łagodnie.

Skinęła głową z obawą, jakby sądziła, że się obrażę.

Wzruszyłam ramionami i uśmiechnęłam się do niej pocieszająco.

– No, to naturalne w tych okolicznościach. W końcu tak naprawdę nie wie, kim jestem ani jak się tu znalazłam. – W tym momencie moja ciekawość pokonała rozsądek.

– Za kogo mnie uważa? – spytałam, lecz dziewczyna tylko pokręciła głową.

– Jesteś Angielką – rzekła po prostu.

Następnego dnia nie wróciłam do sadu. Nie dlatego, że rozkazano mi pozostać w murach zamku, ale z powodu nagłego zbiorowego zatrucia pokarmowego jego mieszkańców. Zrobiwszy dla chorych wszystko, co mogłam, powędrowałam na poszukiwanie źródła kłopotów.

Przyczyną problemów okazała się wołowina z



rzeźni. Następnego dnia w trakcie wykładu na temat metod przechowywania mięsa usłyszałam za plecami otwierające się drzwi. Gęsty kłęb dymu napłynął w moją stronę.

Odwrociłam się z załzawionymi oczami i ujrzałam wysoką sylwetę Dougala MacKenziego, zbliżającego ku mnie przez dławiący dym z dębiny.

– Zajmujesz się też rzeźnictwem, pani? – spytał kpiąco. – Wkrótce owiniesz sobie cały zamek wokół małego palca, a pani Fitz będzie szukać nowego zajęcia.

– Nie życzę sobie mieć nic wspólnego z tobą i twoim paskudnym zamkiem – warknęłam, ocierając oczy. Na chusteczce powstały smugi węglowego pyłu. – Chcę się tylko stąd wydostać najszybciej, jak można.

Sklonił się dwornie, nadal uśmiechnięty.

– A zatem nadarza się okazja, by spełnić twe życzenie... przynajmniej do pewnego stopnia.

Upuściłam chusteczkę i wbiłam w niego wściekle spojrzenie.

– Co to ma znaczyć?

Odkasznął i zamachał dłonią, by odpędzić kłęby dymu, które teraz zaczęły walić w jego kierunku. Wyprowadził mnie przed rzeźnię i zwrócił się ku stajniom.

– Mówiłaś wczoraj Columowi, że potrzebujesz bukwicy i innych ziół?

– Tak, na leki dla ludzi, którzy cierpią na zatrucie. Bo co? – spytałam niegrzecznie i podejrzliwie.

Wzruszył dobrodusznie ramionami.

– To, że jadę do kowala w wiosce, żeby podkuł trzy konie. Żona prokuratora jest zielarką i ma mnóstwo

zapasów. Bez wątpienia znajdzie to, czego ci trzeba. A jeśli zechcesz, możesz pojechać ze mną do wioski.

– Żona prokuratora? Pani Duncan? – Natychmiast poczułam się znacznie lepiej.

Perspektywa opuszczenia zamku choćby na krótko, miała dla mnie nieodparty urok.

Pospiesznie wytarłam twarz i zatknęłam za pasek czarną jak święta ziemia chusteczkę. – Jedziemy! – zawołałam.

Krótką jazda z boczem wzgórza ku wiosce Cranesmuir wydała mi się cudowna, choć dzień był chmurny i wietrzny. Dougalowi także dopisywał świetny humor. Żartował ze mną i gawędził przez całą drogę.

Zatrzymaliśmy się najpierw u kowala, gdzie zostawiliśmy trzy konie. Usiadłam za Dougalem i razem ruszyliśmy do domu Duncanów, jak się okazało, imponującej czteropiętrowej posiadłości. Okna na dwóch niższych piętrach były wyposażone w eleganckie witraże, składające się z sześciobocznych szybek, bladoczerwonych i zielonych.

Geilie przywitała nas z najwyższą radością jako miłe towarzystwo w brzydki dzień.

– Cudownie! – zawołała. – Tylko czekałam na jakąś wymówkę, żeby usiąść i spokojnie pogawędzić. Anne!

Niska służąca w średnim wieku, z twarzą jak pomarszczone jabłko, wyskoczyła z drzwi, których nie zauważyłam. Może dlatego, że znajdowały się za załomem kominka.

– Zaprowadź panią Claire do spizarni – rozkazała

Geilie. – A potem przynieś nam wiadro wody. Tylko ze źródła, nie ze studni na rynku! – Odwróciła się do Dougala.– Mam lek, o który prosił mnie twój brat. Zechcesz pójść ze mną na chwilę do kuchni?

Podreptałam za przysadzistą służącą po wąskich drewnianych schodach.

Niespodziewanie znalazłam się na długim, przestronnym strychu. W przeciwieństwie do reszty domu, pomieszczenie to miało okna o dużych, przejrzystych szybach. Teraz były zamknięte ze względu na wilgoć na dworze, lecz i tak wpadało przez nie o wiele więcej światła niż przez modne okna w salonie na dole.

Dopiero tutaj zrozumiałam, że Geilie rzeczywiście zna się na swojej profesji.

W pomieszczeniu znajdowały się długie ramy do suszenia ziół, z gazą rozciągniętą między deskami, haki nad małym kominkiem do suszenia nad ogniem oraz otwarte półki wzdłuż ścian, z ażurowymi deskami dla zapewnienia wentylacji. Powietrze było przesycone rozkosznym i mocnym zapachem bazylii, rozmarynu i lawendy. Pod jedną ścianą stał zaskakująco nowoczesny blat z kolekcją moździerzy, tłuczków, miseczek i łyżek, nieskazitelnie czystych.

Geilie pojawiła się w jakiś czas później, zarumieniona po wspinaczce po schodach, lecz rozpromieniona w oczekiwaniu miłego popołudnia, pełnego pracy przy ziołach i ploteczek.

Zaczął padać drobny deszczyk – krople bębniły o długie szyby okien, lecz na kominku palił się niewielki

ogień i na poddaszu zrobiło się bardzo przytulnie. Towarzystwo Geilie sprawiało mi niezwykłą przyjemność; miała ironiczne, trzeźwe spojrzenie na życie, a to stanowiło orzeźwiający kontrast wobec słodkich, cichych kobiet z zamku. Była także dobrze wykształcona jak na kobietę z wioski.

Wiedziała również o każdym skandalu w okolicy lub na zamku w ciągu ostatnich dziesięciu lat i okazała się niewyczerpanym źródłem zabawnych historii. Dziwne, ale zadała zaledwie parę pytań na mój temat. Uznałam, że pewnie taka już jest. Wszystko, co będzie chciała o mnie wiedzieć, usłyszy od innych ludzi.

Przez pewien czas miałam świadomość hałasów dobiegających z zewnątrz, lecz uznałam, że to pewnie głosy ludzi wracających z niedzielnej mszy. Kościół znajdował się na końcu drogi, tuż przy studni, a sam główny trakt – High Street – biegł aż do rynku, gdzie rozdzielał się na wachlarz małych ścieżek.

Po drodze do kowala zabawiałam się wyobrażaniem sobie widoku wioski z lotu ptaka; przypominał kości przedramienia i ręki. High Street była kością promieniową, wzdłuż której leżały sklepy, urzędy i rezydencje co bogatszych mieszkańców. Aleja Świętej Małgorzaty – węższa uliczka równoległa do High Street – to kość łokciowa.

Zamieszkiwali ją kowale, garbarze i inni rzemieślnicy oraz sklepikarze. Rynek stanowił kości nadgarstka i śródreżca, kilka zaś innych uliczek można było uznać za stawy palców.

Dom Duncanów stał na rynku, jak przystało na domostwo prokuratora. Centralne położenie posiadłości było kwestią wygody i wyrazem statusu; na rynku rozstrzygano sprawy sądowe, które przepełniały skromny gabinet Artura Duncana. Poza tym, jak wyjaśnił Dougal, na rynku znajdowało się praktyczne drewniane urządzenie na kamiennym cokole, używane jako miejski pręgierz, maszt do wieszania flagi oraz słup do przywiązywania koni – zgodnie z potrzebą chwili.

Hałas na zewnątrz wybuchł ze wzmożoną mocą. Jakoś nie wydawało mi się, żeby mogli go powodować ludzie dostojnie wracający z nabożeństwa. Zniecierpliwiona Geilie odstawiła słój i gwałtownie otworzyła okno, by przekonać się, co spowodowało takie zamieszanie.

Stałam obok niej i ujrzałam odświętnie ubrany tłum. Na czele gawiedzi kroczył przysadzisty ojciec Bain, kapłan tutejszej społeczności. Prowadził jakiegoś chłopca, może dwunastoletniego, którego postrzępione spodnie i cuchnąca koszula identyfikowały jako syna garbarza. Ksiądz trzymał go za kark, co nie było łatwe, zważywszy że chłopak nieco przewyższał wzrostem swego prześladowcę. Tłum podążał za nimi w pewnym oddaleniu, mrużąc złowrogo niczym burzowa chmura.

Ojciec Bain i chłopiec zniknęli w drzwiach domu Duncanów. Reszta pochodu pozostała na zewnątrz, niespokojna i groźna. Parę odważniejszych jednostek zaczęło zaglądać do okien.

Geilie zatrzasnęła głośno okno; pomruk na dole

ustał na parę chwil.

– Pewnie kradł – oznajmiła lakonicznie i wróciła do stołu z ziołami. – Tak to zwykle bywa z chłopakami garbarza.

– Co się z nim stanie? – spytałam.

Wzruszyła ramionami, krusząc w palcach rozmaryn i wsypując go do moździerza. – Zależy, czy Artur cierpi dziś na niestrawność. Jeśli zjadł obfite śniadanie, może się skończyć na batach. Ale jeśli przypadkiem dostał obstrukcji lub wzdęcia – skrzywiła się z niesmakiem – dzieciak straci ucho albo raczej dłoń.

Słuchałam jej z przerażeniem, choć jednocześnie wiedziałam, że nie powinnam się mieszać do tego. Byłam osobą obcą, mało tego – Angielką, i choć mieszkańcy zamku okazywali mi uprzejmość, ludzie w wiosce robili na mój widok znak krzyża. Interwencja ze strony kogoś takiego mogłaby jeszcze bardziej zaszkodzić chłopcu.

– Nie możesz czegoś zrobić? – zwróciłam się do Geilie. – Porozmawiaj z mężem, poproś go o... wyrozumiałość.

Geilie podniosła na mnie zdumione oczy. Najwyraźniej myśl o wtrącaniu się w sprawy męża nigdy nie przysła jej do głowy.

– Co cię on obchodzi? – spytała ciekawie, bez wrogości.

– Obchodzi! – zawołałam. – To tylko dziecko. Cokolwiek zrobiło, nie zasłużyło, żeby zostać kaleką na całe życie!

Uniosła jasne brwi; zdaje się, że mój argument nie

wydał się jej przekonujący. Mimo to wzruszyła ramionami i oddała mi moździerz i tłuczek.

– Czego się nie robi dla przyjaciół – mruknęła i zatoczyła oczami. Przejrzała półki i wzięła buteleczkę z zielonym płynem. Na etykietce widniał napis piękną kursywą:

„Wyciąg z mięty pieprzowej”. – Zaordynuję to Arturowi, a przy okazji zobaczę, co się da zrobić. Lecz może być już za późno – zastrzegła się. – A jeśli ten parszywy ksiądz się do tego wmiesza, na pewno zażąda najsurowszej kary. Ale spróbuję. Ty zajmij się rozmarynem, strasznie długo się go rozdrabnia.

Ujęłam tłuczek i mechanicznie zabrałam się do rozcierania ziół, niemal nie patrząc, co robię. Zamknięte okno odgradzało mnie od złowrogiego szeptu deszczu i rozgniewanej gawiedzi. Czytałam Dickensa jak każde dziecko w szkole. I wcześniejszych pisarzy, opisujących bezlitosną sprawiedliwość owych czasów, wymierzaną wszystkim złoczyńcom, bez względu na wiek czy okoliczności przestępstwa. Ale co innego czytać o wieszaniu i okaleczaniu dzieci przed dwustu laty, a co innego siedzieć o parę metrów od takiego zajścia.

Czy mogłabym zaprotestować, gdyby skazano chłopca? Podeszłam do okna z moździerzem i wyjrzałam. Zbiorowisko zgęstniało, jakby wszyscy chcieli się przekonać, co się dzieje. Nowo przybyli dowiadywali się szczegółów wydarzenia, po czym wchodzili w tłum i wyczekująco spoglądali na drzwi domu.

Przyglądając się mieszkańcom wsi, stojącym

cierpliwie na deszczu w oczekiwaniu werdyktu, nagle zrozumiałam coś z całą wyrazistością. Słyszałam o tym, co działo się w Niemczech; docierały do mnie historie o deportacjach i masowych morderstwach, obozach koncentracyjnych i komorach gazowych. I jak wiele innych osób, także ja zadawałam sobie pytanie: jak ludzie mogli do tego dopuścić? Przecież musieli wiedzieć, musieli widzieć wjeżdżające i wyjeżdżające ciężarówki, drut kolczasty i dym. Jak mogli przyglądać się temu beczynnienie?

Teraz już znałam odpowiedź.

W tym przypadku nie ryzykowałam życia. Opieka Columa pewnie ochroniłaby mnie przed atakiem. Ale na myśl o tym, że miałabym wystąpić przed ten tłum, samotna i bezradna, spociałam się jak mysz. Czy sprzeciwiłabym się tym zwartym szeregom cnotliwych obywateli, czekających na karę i krew, które wniosą ożywienie w ich nudną egzystencję?

Ludzie żyją w grupie z konieczności. Od czasów pierwszych jaskiniowców – bezwłosych, słabych, pozbawionych wszelkich środków obrony z wyjątkiem sprytu – udawało się im przeżyć tylko wtedy, gdy się łączyli. Ta świadomość, która zdążyła się już chyba zapisać w genach, leży u podstaw praw rządzących tłumem. Wystąpienie z grupy, samotna walka przeciw niej od tysięcy lat oznacza śmierć dla śmiałka. Sprzeciwienie się stadu wymaga czegoś więcej niż zwykłej odwagi – wymaga przełamania instynktu. Bałam się, że nie zdołam tego zrobić, a moje wątpliwości upokarzały mnie jeszcze bardziej.



Wydawało mi się, że minęło parę godzin, zanim drzwi się otworzyły i Geilie weszła do pomieszczenia, spokojna i niewzruszona jak zwykle. W rękę trzymała niewielki kawałek węgla.

– Po przygotowaniu należy przefiltrować wywar – wyjaśniła, jakbyśmy wcale nie przerywały rozmowy. – Przepuścimy to przez zawinięty w muślin węgiel, tak będzie najlepiej.

– Geilie, nie przeciągaj struny – rzuciłam niecierpliwie. – Co z chłopakiem garbarza?

– A, prawda. – Machnęła lekceważąco ręką, ale w oczach zalśniły jej diabelskie ogniki. Potem przestała udawać i wybuchnęła dźwięcznym śmiechem. – Szkoda, że mnie nie widziałas – wykrztusiła wśród chichotów. – Byłam świetna, muszę to przyznać. Ideał wiernej żony i dobrej kobiety, że nie wspomnę o trosce macierzyńskiej. O, Arturze! – zakrzyknęła dramatycznie. – Gdybyż Bóg pobłogosławił nasze stadło... Co jest raczej niemożliwe, o ile mam tu coś do powiedzenia – dodała normalnym głosem, wskazując głową półki z ziołami. – Co byś czuł, mój ukochany, gdyby to naszego syna pojmano i przyprowadzono pod sąd? Nie wątpię, że tylko głód popchnął to biedne dziecko do złego! O, Arturze, czyż nie znajdziesz w sercu miłosierdzia? Wiem, że jesteś wzorem sprawiedliwości. – Padła na stołek, zanosząc się śmiechem i lekko uderzyła się pięścią w kolano. – Co za szkoda, że nie ma tu teatru!

Pomruk tłumu na zewnątrz zmienił się. Skoczyłam do okna, nie słuchając dalszych przechwałek Geilie.

Ludzie się rozstąpili; z domu wyłonił się chłopak garbarza, idący powoli między kapłanem i sędzią. Artur Duncan kroczył nadęty łaskawością, kłaniając się co bardziej szacownym obywatelom. Z kolei ojciec Bain, z opuchniętą ciemną twarzą wykrzywioną złością, przypominał naburmuszony ziemniak.

Niewielka procesja przeszła na środek placu, gdzie powitał ją wioskowy poborca, niejaki John MacRae, ubrany stosownie do swego urzędu w surowo eleganckie ciemne spodnie i płaszcz oraz szary aksamitny kapelusz (chwilowo zdjęty i czule chroniony przed deszczem pod połą płaszcza). Dostojnik ten nie był, jak początkowo sądziłam, miejscowym poborcą podatkowym, choć w razie potrzeby pełnił czasami także i tę funkcję. Wykonywał obowiązki konstabla, dozorca więziennego i od czasu do czasu także kata. Nazwa jego urzędu wzięła się stąd, iż mógł pobierać procent od każdego worka ziarna sprzedawanego podczas czwartkowego targu.

Dowiedziałam się tego od niego samego. Zjawił się w zamku zaledwie parę dni temu, prosząc o wyleczenie uporczywego zastrzału na kciuku. Przebiłam ropień sterylną igłą i po smarowałam chory palec maścią z pączków topoli. MacRae wydał mi się nieśmiałym i cichym człowiekiem o miłym uśmiechu.

Teraz się nie uśmiechał. Całkiem słusznie, pomyślałam; nikt by nie chciał widzieć kata, który śmieje się jak głupi do sera.

Skazaniec został zaprowadzony pod pręgierz. Chłopak, choć blady i przerażony, nawet nie drgnął, kiedy

Artur Duncan, prokurator parafii Cranesmuir, wywindował swoje krągłe kształty na odpowiednio widoczne miejsce i odczytał wyrok.

– Ta łajza się przyznała, zanim przyszłam – usłyszałam za sobą. Geilie stała tuż za mną, z zainteresowaniem patrząc mi przez ramię. – Nie mogłam wyjednać dla niego całkowitego uniewinnienia. Ale dostał najmniejszą możliwą karę: zaledwie godzina przy pręgierzu i tylko jedno ucho.

– Co jedno ucho?

– Przybite do pręgierza, ma się rozumieć. – Zerknęła na mnie z zaciekawieniem, ale po chwili wróciła wzrokiem do egzekucji.

Cizba falująca wokół pręgierza była tak gęsta, że całkiem zasłaniała drobnego winowajcę. Jednak ludzie cofnęli się nieco, by dać poborcy swobodę ruchów przy przybijaniu ucha skazańca, który, śmiertelnie blady i drżący, stał z mocno zaciśniętymi powiekami. Kiedy gwóźdź przebił miękkie ciało, chłopak wydał przeciągły cienki pisk, słyszalny nawet przez zamknięte okno. Wzdrygnęłam się lekko. Wróciłyśmy do pracy, podobnie jak inni widzowie, ale od czasu do czasu mimo woli rzucałam spojrzenie w okno. Paru próżniaków zatrzymało się przy pręgierzu, żeby się pośmiać z nieszczęśnika. Rzucali w niego błotem. Czasami widziałam jakiegoś szacownego obywatela, który poświęcał nieco swego cennego czasu dla napomnienia delikwenta paroma dobrze dobranymi słowami.

Została jeszcze godzina do zachodu słońca;

zeszłyśmy do salonu i popijałyśmy właśnie herbatę, kiedy głośne pukanie do drzwi obwieściło nadejście gościa. Niebo zasnuwały deszczowe chmury, więc trudno było ustalić dokładne położenie słońca.

Jednak domostwo Duncanów mogło się poszczycić zegarem, wspaniałym mechanizmem ze skrzynią z orzechowego drewna, mosiężnymi wahadłami i płaskorzeźbą śpiewającego cherubina na tarczy. Ta właśnie maszyna wskazywała wpół do siódmej.

Drzwi otworzyła służąca, która bezceremonialnie zaprosiła gościa słowami: „Niech wejdzie”. Jamie MacTavish schylił odruchowo głowę, przechodząc przez próg. Jego mokre od deszczu rude włosy przybrały barwę starego brązu. Miał na sobie jakiś stary i obszarpany płaszcz chroniący przed wilgocią, a pod pachą niósł opończę z grubego, ciemnozielonego aksamitu.

Wstałam i przedstawiłam go Geilie. Skinął głową.

– Pani Duncan, pani Beauchamp... – Machnął ręką w stronę okna. – Widzę, że pochyciliście złoczyńcę.

– Ciągle tam jest? – spytałam, wyglądając. Przez grube szklane płytki chłopiec wyglądał jak czarny niewyraźny kształt. – Pewnie nie została na nim sucha nitka.

– No. – Jamie rozłożył opończę i wyciągnął ją ku mnie. – Colum rzekł, że ty również przemokniesz, więc posłał mnie z płaszczem. Masz wrócić ze mną.

– To bardzo uprzejmie z jego strony – mruknęłam z roztargnieniem. – Jak długo ma tam stać? – zwróciłam się do Geilie. – Ten chłopak przy pręgierzu – dodałam

niecierpliwie, widząc jej nie rozumiejące spojrzenie.

– A, ten – zmarszczyła brwi wobec tak nieistotnego tematu. – Godzinę, już mówiłam.

Poborca dawno powinien go odwiązać.

– Zrobił to – zapewnił ją Jamie. – Widziałem na własne oczy, kiedy przechodziłem przez błonia. Chłopak jeszcze nie zebrał się na odwagę, żeby się oderwać.

Otwarłam usta.

– To znaczy, że nie wyjął mu gwoźdź z ucha? On sam ma się uwolnić?

– Jasne – rzekł pogodnie Jamie. – Ciągle jeszcze się boi, ale wkrótce przestanie. Jest mokro i robi się ciemno. My też musimy ruszać. W przeciwnym razie z kolacji zostaną dla nas tylko resztki.

Skłonił się Geilie i odwrócił się do drzwi.

– Chwileczkę – powiedziała do mnie Geilie. – Skoro masz ze sobą takiego silnego młodzieńca, dam wam skrzynię suszonej błotnej kapusty i innych ziół, które obiecałam pani FitzGibbons. Może pan MacTavish zechce wyświadczyć mi tę łaskę?

Uzyskawszy zgodę Jamiego, posłała służącego do swojej pracowni, wręczając mu ogromny żelazny klucz. Usiadła na chwilę przy biurczku w rogu salonu. Kiedy skrzynia – solidna, drewniana, z mosiężnymi okuciami – znalazła się na dole, gospodyni miała już gotowy liścik. Szybko posypała go piaskiem, złożyła i zapieczętowała woskiem ze świecy.

Wcisnęła mi kartkę w dłoń.

– Proszę – powiedziała. – rachunek. Zechcesz oddać

go Dougalowi? To on zajmuje się płatnościami. Nie dawaj tego nikomu innemu, bo nie zobaczę mej zapłaty aż do zimy.

Uścisnęła mnie serdecznie i odprowadziła do drzwi, napominając, byśmy na siebie uważali.

Stałam pod okapem, a Jamie przywiązywał skrzynię do siodła. Deszcz rozpadał się na dobre; z dachu spływały kaskady wody.

Przyjrzałam się szerokim barkom i muskularnym ramionom Jamiego. Młody Szkot podniósł ciężką skrzynię, jakby to było piórko. Potem zerknęłam ku przegierzowi, gdzie stał chłopak garbarza, nieruchomy jak głaz mimo zachęcających okrzyków tłumu, który na nowo zebrał się wokół miejsca tortur. Zapewniam, że to nie wspomnienie oślicznej dziewczynie o włosach jasnych niczym światło księżycy, lecz pamięć o wystąpieniu Jamiego podczas zgromadzenia w Sali nasunęła mi myśl, iż los chłopca mógłby obudzić w młodzieńcu współczucie.

– Hm... panie MacTavish... – zaczęłam z wahaniem. Nie otrzymałam odpowiedzi.

Urodziwa twarz nie zmieniła wyrazu; szerokie usta ani drgnęły, błękitne oczy wpatrywały się w paski, które dopinał. – Jamie? – spróbowałam znowu. Tym razem od razu na mnie spojrział.

A więc rzeczywiście MacTavish nie było jego prawdziwym nazwiskiem. Ciekawe, jak się naprawdę nazywał.

– Hm?

– Jesteś... wysoki, prawda?

Skinał głową, uśmiechnięty. Chyba zastanawiał się, o co mi chodzi.

– Wystarczająco – odparł.

To mnie zachęciło. Przysunęłam się niedbale bliżej, by nie podsłuchali nas ludzie na rynku.

– Masz całkiem silne palce, czy nie?

Zacisnął dłoń w kułak i uśmiechnął się szerzej.

– Ano pewnie. Chcesz, żebym ci zgniótł w nich orzechy?

Zerknęłam na pręgierz otoczony tłumem widzów.

– Wolę, żebyś wyciągnął nimi z ognia jeden kartofelek. – Spojrzałam mu prosto w błękitne, pytające oczy. – Mógłbyś?

Przez chwilę przyglądał mi się, ciągle z uśmiechem. Potem wzruszył ramionami.

– Jeśli zdołam chwycić... Musisz tylko odwrócić uwagę tłumy. Nie ucieszą się, jeśli ktoś pomoże chłopakowi, zwłaszcza obcy.

Nie przyszło mi do głowy, że mogę narazić Jamiego na niebezpieczeństwo.

Zawahałam się, ale on wydawał się gotów do próby bez względu na wszystko.

– Gdybyśmy podeszli razem, żeby przyjrzeć mu się z bliska, a ja bym zemdląła na jego widok... Co sądzisz?

– Bo krew cię przeraża? – Uniósł jedną brew i uśmiechnął się sardonicznie. – To dobre. Ale lepiej, żebyś spadła zokołu.

Właściwie wcale nie miałam ochoty przyglądać się okaleczonemu chłopcu, ale okazało się, że nie jest tak źle,

jak się obawiałam. Ucho było przekłute u góry, blisko brzegu, a ponad nim sterczało jakieś pięć centymetrów gwoźdźcia. Prawie nie widziałam krwi, a wyraz twarzy chłopca, aczkolwiek przerażony i spłoszony, nie zdradzał wielkiego cierpienia. Zaczynałam sądzić, że Geilie mogła jednak mieć rację i kara faktycznie była dość łagodna, choć nie przestałam uważać wyroku za barbarzyństwo.

Jamie przepchnął się przez tłum widzów. Pokręcił głową z naganą.

– Ho, ho, patrzcie no tylko – powiedział i klasnął językiem. – A toś wpał w kabałę, co? – Położył dłoń na drewnianym krańcu pręgierza, udając, że chce przyjrzeć się bliżej uchu skazańca. – Też mi coś – dodał lekceważąco. – o co robić tyle szumu? Starczy raz szarpnąć i po krzyku. O tak, pomóc ci? – Wyciągnął rękę, jakby chciał szarpnąć chłopca za włosy. Mały wrzasnął ze strachu.

Uznałam, że pora na moje wejście i cofnęłam się, z rozmysłem deptając po nogach jakiejś kobiety. Pisnęła z oburzeniem.

– Prze... przepraszam – wymamrotałam. – Sła... słabo mi! Proszę... – Odwróciłam się od pręgierza i zrobiłam dwa lub trzy kroki, potykając się efektownie i chwytając ludzi za rękawy. Krawędź cokołu znajdowała się zaledwie o dziesięć centymetrów ode mnie; chwyciłam w miążdzący uścisk jakieś wątle dziewczątko, które upatrzyłam sobie wcześniej, i runęłam jak kłoda, pociągając ją za sobą. Gruchnęłyśmy na trawę w płataninie spódnic. Wreszcie puściłam jej bluzkę i znieruchomiałam w dramatycznej pozie z rozrzuconymi rękami. Deszcz bębnił



mi po odwróconej ku niebu twarzy.

Upadek nie wyszedł mi na zdrowie. Dziewczyna wylądowała na mnie i przez chwilę myślałam, że się uduszę. Zaczęłam bardzo naturalnie zapać i konwulsyjnie łapać powietrze. Nade mną rozlegały się liczne zatroskane głosy. Domysły, sugestie, okrzyki łąły się gęściej niż deszcz. Po chwili znajome ramiona pomogły mi wstać z ziemi i znajome błękitne, bardzo zmartwione oczy spojrzwały na mnie z bliska. Drgnięcie jednej powieki powiadomiło mnie, że misja została wykonana. Rzeczywiście, zauważyłam kątem oka, że chłopak garbarza zmyka, przyciskając chustkę do ucha, nie zauważony przez tłum, zaintrygowany nową sensacją.

Mieszkańcy wioski, ci sami, którzy przed chwilą czekali na widok krwi chłopca, potraktowali mnie z najwyższą życzliwością. Zostałam troskliwie zaprowadzona do domu Duncanów, gdzie napojono mnie brandy oraz herbatą i otulono kocami. Pozwolono nam odejść dopiero kiedy Jamie oświadczył zdecydowanie, że nie możemy zostać ani chwili dłużej, po czym wziął mnie na ręce i ruszył ku drzwiom, nie zwracając uwagi na protesty gospodarzy.

Znowu siedziałam przed nim – mój koń szedł z tym, prowadzony za cugle. Zaczęłam dziękować Jamiemu za pomoc.

– Nic takiego – powiedział lekko.

– Ale zaryzykowałeś – uparłam się. – Nie wiedziałam, że cię narażam, kiedy ci to zaproponowałam.

– Eee tam – usłyszałam w odpowiedzi. Po chwili

dodał z odcieniem rozbawienia. – Chyba nie myślałaś, że okażę mniej odwagi niż mała Angielka, co?

Popędził konie; cienie wokół nas pogłębiały się coraz bardziej. Resztę drogi przebyliśmy w milczeniu. A kiedy dotarliśmy do zamku. Jamie zсадził mnie na ziemię i powiedział przekornie:

– Dobranoc, pani cudzoziemko.

Tylko tyle. Ale coś mi mówiło, że tego dnia nawiązała się między nami nić przyjaźni.

Następne dwa dni upłynęły wśród wielkiego zamieszania i najróżniejszych przygotowań. Moja praktyka gwałtownie podupadła; chorzy na zatrucie pokarmowe czuli się już dobrze, a reszta była zbyt zajęta, by chorować. Oprócz nagłej epidemii przypadków drzazg wbitych w palce chłopców, którzy nosili drwa do kominków, oraz równie częstych oparzeń u dziewczek kuchennych nie odnotowałam żadnych schorzeń.

Ja także byłam ożywiona. Mój wielki wieczór miał nastąpić już dziś. Pani Fitz powiedziała, że wszyscy wojownicy z rodu MacKenziech zgromadzą się w Sali, gdzie złożą Columowi przysięgę wierności. Wobec tak ważnego wydarzenia na pewno nikt nie będzie zaprzętał sobie głowy stajniami.

W trakcie prac w kuchni i sadzie udało mi się zgromadzić dość zapasów, by przetrwać przez kilka dni. Nie miałam flaszki na wodę, ale zabrałam jeden ze słoików Daviego Beatona.

Miałam mocne buty i ciepły płaszcz, prezent od Columa. Powinnam zdobyć porządnego konia; podczas

popołudniowej wizyty w stajni zaznaczyłam sobie upatrzonego. Nie miałam pieniędzy, ale pacjenci dawali mi błyskotki, wstążki, małe rzeźby i biżuterię.

W razie konieczności mogłam je sprzedać.

Nie czułam się zbyt dobrze ze świadomością, że obrażę Columa i mieszkańców zamku, uciekając bez słowa pożegnania, ale co właściwie miałam im powiedzieć?

Zastanawiałam się nad tym przez jakiś czas, po czym postanowiłam jechać i nie robić problemów. Przede wszystkim nigdzie nie znalazłam papieru do pisania i nie zamierzałam ryzykować, prosząc o niego Columa.

Odczekałam godzinę po zapadnięciu zmroku i ostrożnie zakradłam się do stajni, nasłuchując każdego szelestu. Wyglądało na to, że wszyscy są już w Sali i przygotowują się do ceremonii. Drzwi na skórzanych zawiasach otworzyły się bezszelestnie.

Powietrze w stajni było ciepłe; konie prychały i stukały kopytami. W środku panowała ciemność jak wiadomo gdzie – według określenia wujka Lamba. Niewielkie okienka wyglądały raczej jak szpary wentylacyjne i były za wąskie, by wpuścić do środka światło księżyca. Ruszyłam powoli, z wyciągniętymi przed siebie rękami. Pod stopami szeleściła mi słoma.

Usiłowałam dotknąć krawędzi drewnianych boksów, ale moje dłonie ciągle trafiały w pustkę. Niespodziewanie potknęłam się o jakąś przeszkodę na podłodze i runęłam głową na przód z wrzaskiem, który wzbił się aż po dach starego kamiennego budynku.

Przeszkoda przetoczyła się, zakłęła pod nosem i

chwyciła mnie mocno za ramiona.

Czyjś oddech połaskotał mi ucho.

– Kto to? – jęknęłam, odskakując. – co tu robisz?

Na dźwięk mojego głosu nieznajomy rozluźnił chwyt.

– Mógłbym zadać ci to samo pytanie, cudzoziemko – odezwał się głęboki, miękki głos Jamiego MacTavisha. Rozluźniłam napięte mięśnie. Usłyszałam szelest słomy; Jamie usiadł. – Choć wydaje mi się, że znam odpowiedź – dodał spokojnie. – Jak sądzisz, daleko ujedziesz? W nocy, na obcym koniu, z połową klanu MacKenziech za sobą? To mnie nieco zaniepokoiło.

– Nie będą mnie ścigać. Są w Sali, a poza tym nie sądzę, aby wytrzeźwieli na tyle, żeby rano ustać na nogach, nie wspominając już o konnej jeździe.

Jamie parsknął śmiechem i wstał, po czym podał mi rękę i pomógł pozbierać się z ziemi. Otrzepał mi plecy ze słomy nieco mocniej, niż było to konieczne.

– Ha, bardzo to rozsądne, cudzoziemko – przyznał z lekkim zdziwieniem, jakby nie spodziewał się po mnie rozsądku. – A raczej byłoby – dodał – gdyby Colum nie rozstawił straży wokół zamku i w okolicznych lasach. Nigdy nie zostawia zamku bez ochrony, zwłaszcza kiedy w środku znajdują się wojownicy z jego klanu. Skoro kamień nie pali się tak dobrze jak drewno...

Odgadłam, że mówi o niesławnej masakrze w Glencoe, kiedy niejaki John Campbell zebrał trzydziestu ośmiu członków klanu MacDonaldów i podpalił dom, w którym się znaleźli. Zastanowiłam się pospiesznie. Było to

zaledwie przed pięćdziesięciu laty; historia dość świeża, by nie dziwić się Columowi i jego środkiem ostrożności.

– W każdym razie nie mogłaś wybrać gorszej chwili na ucieczkę – ciągnął MacTavish.

Fakt, iż w ogóle chciałam uciec, jakoś nie poruszył Jamiego. Ciekawiły go jedynie powody, dla których mój plan nie mógł się powieść, co wydało mi się nieco osobliwe. – Oprócz strażników, każdy tu umie dosiąść konia, a na drodze do zamku spotkałabyś ludzi ze wszystkich stron ściągających na tynchal i zabawy.

– Co to jest tynchal?

– Polowanie. Zwykle na jelenie, może tym razem na dzika. Jeden stajenny chłopak powiedział staremu Alecowi, że na wschodzie widziano wielkiego samca. – Położył mi dużą dłoń na plecach i popchnął ku majaczącym w ciemnościach drzwiom.

– Chodź – powiedział. – Zaprowadzę cię do zamku. Odskokczyłam.

– Bez łaski – warknęłam. – Sama trafię.

Wziął mnie mocno za łokieć.

– Nie wątpię. Ale pewnie nie chciałabyś spotkać się sam na sam ze strażnikiem.

– Niby dlaczego? Nie robię nic złego. Chyba wolno chodzić koło zamku, co?

– Wolno i pewnie nie skrzywdziliby cię – powiedział, spoglądając w zamyśleniu w mrok nocy. – Ale zwyczajna to rzecz, że mężczyzna zabiera ze sobą flaszkę, by dotrzymała mu towarzystwa przez noc. A choć gorzałka to wesoły kompan, nie jest dobrym doradcą, kiedy z

ciemności wyłania się takie małe, słodkie i samotne dziewczę.

– Ciebie też spotkałam w ciemnościach i bez świadków – wypomniałam mu odważnie. – I wcale nie jestem taka mała. Ani słodka, przynajmniej w tej chwili.

– To prawda, lecz ja nie jestem pijany – odparł natychmiast. – Nie chcę się wdawać w ocenę twego temperamentu, lecz wielkością na pewno nie dorównujesz żadnemu ze strażników Columa.

Porzuciłam tę jałową dyskusję i spróbowałam z innej beczki.

– A dlaczego właściwie spałeś w stajni? Nie masz łóżka? – Znaleźliśmy się w okolicach kuchennych ogrodów i w słabym świetle widziałam już jego twarz. Oglądał w skupieniu kruźganki, lecz po moim pytaniu gwałtownie odwrócił oczy.

– Ha – mruknął i zamilkł. Przez parę minut szedł w milczeniu, trzymając mnie mocno pod rękę, lecz po chwili odezwał się znowu: – Uznałem, że lepiej zejść im z oczu.

– Bo nie chcesz przysięgać wierności Columowi? – zgadłam. – wolisz unikać awantury?

Zerknął na mnie z ukosa.

– Mniej więcej.

Jedna z bocznych furtek była zachęcająco uchylona, a latarnia stojąca na kamiennym filarze rzuciła na ścieżkę plamę żółtego światła. Prawie już dotarliśmy do jasnego kręgu, kiedy jakaś dłoń opadła na moje usta. Poczułam szarpnięcie i straciłam równowagę.

Zaczęłam się szamotać i gryźć, ale napastnik nosił

grube rękawice i, jak słusznie zauważył Jamie, był ode mnie o wiele większy.

Sądząc po odgłosach, MacTawish także spotkał się z niewielkimi problemami.

Stękanie i stłumione przekleństwa urwały się gwałtownie po głuchym łupnięciu i jędrnym celtyckim wykrzykniku.

Szamotanina w ciemnościach ustała i rozległ się jakiś śmiech.

– Dobry Boże, toż to siostrzeniec Columa! Późno przyszedłeś na przysięgę. A kogo to prowadzisz?

– Dziewczyne – odpowiedział ten, który mnie trzymał. – Słodką i mięciutką! – Kneblująca mnie dłoń osunęła się niżej i szczyptała mnie sążnięcie. Pisnęłam z urazą, sięgnęłam ponad ramieniem, trafiłam na nos i pociągnęłam. Mężczyzna odskoczył z przekleństwem. Wycofałam się spoza zasięgu oparów whisky, nagle wdzięczna za obecność Jamiego. Być może jednak miał rację, kiedy uparł się mnie odprowadzić.

On chyba był innego zdania na ten temat. Szarpnął się bezsilnie w chwycie obu strażników, którzy przenieśli całą uwagę na niego. Nie wydawali się wrogo nastawieni, ale nie zamierzali go puścić. Ruszyli równym krokiem w stronę bramy, ciągnąc za sobą swego jeńca.

– Nie, dajcie mi się przebrać – zaprotestował. – Nie przystoi pojawić się na przysiędze w takim odzieniu.

Ta przemyślna próba ucieczki spełzła na niczym, gdyż nagle, nie wiadomo skąd, pojawił się Rupert, zwalisty niczym niedźwiedź, wystrojony w białą koszulę z

falbankami i obszyty złotą koronką płaszcz. Furtka wydawała się dla niego nieco za wąska.

– Tym się nie kłopot – zagrzmiął, mierząc Jamiego lśniącym wzrokiem. – Już my ci znajdziemy odzienie... w zamku. – Skinął głową ku bramie i Jamie zniknął w niej bez dalszych sprzeciwów. Wielka łapa chwyciła mnie za ramię, więc, chcąc nie chcąc, dałam się zaprowadzić na miejsce.

Rupertowi dopisywał wyśmienity humor, podobnie jak wszystkim innym mężczyznom w zamku. Było ich pewnie sześćdziesięciu lub siedemdziesięciu – wszyscy obwieszani sztyletami, mieczami, pistoletami i sporranami. Czekali na dziedzińcu najbliższym Wielkiej Sali. Rupert skinął ku drzwiom w murze; inni wprowadzili Jamiego do małego, jasno oświetlonego pomieszczenia – chyba jakiegoś składziku; na stołach i półkach poniewierały się najróżniejsze drobiazgi i cudeńka.

Rupert przyjrzał się badawczo Jamiemu, zauważył żdźbła słomy w jego włosach, zerknął na moje rozczochrane loki, w których także zaplątały się słomki, i uśmiechnął się cynicznie.

– Nie dziwota, żeś się spóźnił – powiedział, dając Jamiemu kuksańca. – Wcale cię za to nie winię. Willie! – wrzasnął przez drzwi. – Potrzebujemy ubrań. Przynieś coś, co przystoi siostrzeńcowi dziedzica! Ruszaj się, człowieku!

Jamie rozejrzał się z zaciśniętymi ustami. Otaczało go sześciu mężczyzn, szalejących z niecierpliwości i pełnych ogromnej dumy MacKenziech. Ich znakomite humory z całą pewnością miały wiele wspólnego z wielką



kadzią piwa na dziedzińcu. Ponure spojrzenie Jamiego spoczęło na mnie. „To przez ciebie”, odczytałam przesłanie.

Oczywiście mógł ogłosić, że nie zamierza przysiąc posłuszeństwa Columowi, i wrócić do ciepłej stajni. Jeśli miał ochotę solidnie oberwać lub nawet ryzykować poderżnięcie gardła. Uniósł brew, nie odwracając ode mnie wzroku, wzruszył ramionami i oddał się w ręce Williego, który już spieszył ku niemu ze śnieżnobiałą koszulą i szczotką do włosów. Na stercie ubrań zauważyłam płaski beret z niebieskiego aksamitu, ozdobiony metalową broszą i gałązką ostrokrzewu. Wzięłam go, żeby przyjrzeć się mu z bliska, podczas gdy Jamie wbijał się w czystą koszulę i z tłumioną wściekłością czesał włosy.

Brosza była okrągła i ozdobiona zaskakująco wyrafinowanym wzorem. Przedstawiała pięć wulkanów, bluzgających bardzo realistycznymi płomieniami. Na obrzeżu widniały słowa: Luceo non uro.

– Świecę, nie płonę – przetłumaczyłam głośno.

– Tak, dziewczyno. To motto MacKenziech – powiedział Willie, kiwając głową z aprobatą. Odebrał mi beret i wcisnął go w dłonie Jamiego, po czym oddalił się biegiem w poszukiwaniu reszty garderoby.

– Przepraszam... – szepnęłam, przysuwając się do Jamiego. – Nie chciałam...

Jamie, który niechętnie przyglądał się broszy na berecie, zerknął na mnie. Napięta zmarszczka koło ust zniknęła.

– Ach, nie przejmuj się mną, cudzoziemko.

Wcześniej czy później musiało do tego dojść.

Odpiął broszę i uśmiechnął się kwaśno, ważąc ją w dłoni.

– Znasz moje motto? – spytał. – To znaczy motto mojego klanu?

– Nie – odparłam ze zdziwieniem. – Jak brzmi?

Rzucił broszę w powietrze, złapał ją i upuścił zgrabnie do sporranu. Spojrzał bez emocji ku otwartym drzwiom, gdzie zbierały się tłumy MacKenziech.

– Je suis prest – powiedział zaskakująco poprawną francuszczyzną. Obejrzałam się i ujrzałam Ruperta oraz innego wielkiego MacKenziego, którego nie znałam. Zbliżali się do nas z twarzami zaczerwienionymi od alkoholu. Rupert trzymał wielki kawał tartanu MacKenziech.

Drugi mężczyzna bez ceremonii sięgnął ku sprzączce paska Jamiego.

– Lepiej idź stąd, cudzoziemko – rzucił szybko Jamie. – To nie miejsce dla kobiety.

– Widzę – mruknęłam sucho i otrzymałam w odpowiedzi wymuszony uśmiech.

Mężczyźni owinęli biodra Jamiego nowym kiltem, a stary sprawnie zdjął. Potem wzięli MacTavisha mocno pod ramiona i wyprowadzili.

Czym prędzej wróciłam po schodach na galerię minstreli, skrupulatnie unikając spojrzenia wszystkich mijanych mężczyzn. Za rogiem stanęłam i przyczaiłam się, usiłując nie zwracać na siebie uwagi. Odczekałam do chwili, gdy w korytarzu nie było nikogo, wśliznęłam się w

drzwi na galerii i zamknęłam je szybko za sobą, zanim ktokolwiek zdołał się zainteresować, dokąd poszłam. Na schody padało słabe światło z góry; nie miałam kłopotów ze zlokalizowaniem wychodzonych kamiennych stopni. Zbliżałam się ku głosom i światłu, rozmyślając o tym, co powiedział mi Jamie.

Je suis prest. Jestem gotów.

Oby istotnie tak było.

Galerię oświetlały pochodnie z sosnowych gałęzi, dające jasny płomień, idący prosto ku górze. Ściany za nimi były pokryte grubą warstwą kopcia. Kilka twarzy odwróciło się ku mnie, kiedy wyłoniłam się spoza draperii. Wyglądało na to, że na galerii zebrały się wszystkie kobiety z zamku. Zauważyłam Laoghaire, Magdalenę i parę innych, które spotykałam w kuchni – a także, ma się rozumieć, okazałą postać pani FitzGibbons na honorowym miejscu tuż za balustradą.

Skinęła ku mnie przyjaźnie, a kobiety rozstąpiły się, robiąc mi przejście. Kiedy stanęłam u boku pani Fitz, u moich stóp rozpostarł się widok całej Sali.

Ściany ogromnej komnaty zostały udekorowane gałązkami mirtu, cisu i ostrokrzewu; ich zapach dochodził aż do galerii, zmieszany z dymem i ostrym męskim odorem. Na dole kłębiły się dziesiątki mężczyzn: przychodzili, wychodzili, stali, rozmawiali, a wszyscy nosili symbole przynależności do klanu – nawet jeśli był to tylko tartanowy beret, założony do zwykłej roboczej koszuli i postrzępionych spodni. Wzory różniły się drastycznie, ale kolory były te same – ciemna zieleń i biel.

Jednak większość uczestników uroczystości miała na sobie kompletny strój – kilt, szalka beret i przeważnie broszę. Zauważyłam Jamiego, stojącego pod ścianą. Ciągłe spoglądał ponuro i spode łba. Rupert zniknął gdzieś w tłumie, ale po obu stronach młodego Szkota stali dwaj potężnie umięśnieni strażnicy.

Chaos w sali powoli się organizował. Mieszkańcy zamku prowadzili nowo przybyłych na przynależne im miejsca.

Musiałam przyznać, że ta uroczystość miała wyjątkowy charakter; chłopak, który zwykle grał na kobzie, otrzymał do pomocy dwóch innych muzyków, przy czym jeden z nich trzymał kobzę z piszczałkami z kości słoniowej, znamionującą wirtuoza.

Mistrz skinął głową dwóm pozostałym i w sali rozbrzmiały wrzaskliwe dźwięki kobzy.

Instrumenty te były o wiele mniejsze od używanych podczas bitew wielkich kobz z Północy, lecz wydawały z siebie równie przenikliwy głos.

Poczułam, że jeszcze chwila i oszaleję od tej muzyki. Kobiety obok mnie poruszały się niespokojnie. Przypomniałam sobie zwrotkę z "Maggie Lauder":

*Zacny Robbie zowią mnie,  
A dziewczuchy głowę tracą,  
Kiedy Robbie w kobzę dmie.*

Kobiety może nie straciły głowy, ale wyrażały niezmierny podziw; przewieszane przez balustradę, wskazywały sobie mężczyzn, przechadzających się po sali w pełnym rynsztunku. Jedna z dziewcząt zauważyła

Jamiego i, wydawszy stłumiony okrzyk, pokazała go przyjaciółkom. Oceniały przystojnego młodzieńca, szeptem wymieniając uwagi.

Przeważnie podziwiała urodę MacTavisha, choć zastanawiała się także, co oznacza jego obecność na uroczystości. Zauważyłam, że zwłaszcza Laoghaire rozpromieniła się na widok Jamiego i przypomniałam sobie, co powiedział Alec: „Wiesz, że ojciec nie pozwoli jej wyjść za kogoś spoza klanu”. A Jamie, jak się okazało, był siostrzeńcem Columa.

Niezła partia, Gdyby nie jeden drobiazg – wyjęcie spod prawa.

Kobzy wzniosły przenikliwą fanfarę i zamilkły. W martwym milczeniu, jakie zapadło w sali, pojawił się Colum MacKenzie. Stał w głównym wejściu i wspiął się na niewielki podest, wzniesiony specjalnie na tę uroczystość. Nie usiłował ukrywać swego kalectwa, wyglądał imponująco w lazurowej opończy, gęsto obszytej złotą koronką, zapinanej na srebrne guziki i ozdobionej mankietami z różowego jedwabiu, sięgającymi niemal do łokci. Tartanowy kilt z delikatnej wełny zasłaniał mu kolana. Beret gospodarza miał barwę błękitu, lecz za srebrną broszą zamiast gałązki ostrokrzewu tkwiły wspaniałe pióra. Na widok gospodarza wszyscy obecni wstrzymali oddech. Pozbyłam się ostatnich wątpliwości: Colum MacKenzie miał znakomite wyczucie sceny.

Odwrócił się ku zebranych, podniósł ramiona i powitał ich grzmiącym okrzykiem.

– Tulach Ard!

– Tulach Ard! – ryknęli w odpowiedzi.

Kobiety na galerii zadrzały. Nastąpiło krótkie przemówienie po celtycku, nagrodzone wrzaskiem zachwytu, po czym rozpoczęło się właściwe składanie przysięgi.

Dougal MacKenzie jako pierwszy zbliżył się do podwyższenia. Ta niewielka mównica obdarzyła Columa dodatkowymi centymetrami wzrostu, dzięki czemu bracia mogli spojrzeć sobie w oczy na równym poziomie. Dougal przywdział bogaty strój, lecz jego orzechowe aksamity nie miały złotych ozdób, jakby specjalnie po to, żeby nie odwracać uwagi od wspaniałości Columa.

Dougal wyciągnął sztylet, skłonił się i ukląkł na jedno kolano. Wzniósł sztylet, trzymając go za ostrze. Mówił głosem mniej doniosłym niż brat, lecz każde słowo docierało do najdalszego zakątka sali.

– Przysięgam na krzyż Pana naszego Jezusa Chrystusa i na poświęcony oręż, który trzymam, że wierność mą oddam tylko tobie i pozostanę lojalny wobec klanu MacKenziech. Gdybym wznosił kiedy rękę przeciw tobie, niech to święte żelazo przeszyje me serce.

Opuścił sztylet, pocałował go w miejscu złączenia klingi i rękojeści po czym włożył z powrotem do pochwy. Nie wstając, uniósł złączone ręce ku Columowi, który ujął je obiema dłońmi i podniósł do ust na znak przyjęcia przysięgi. Potem podniósł Dougala z klęczek. Odwrócił się i wziął masywny srebrny puchar, stojący za jego plecami na nakrytym tartanem stole. Podniósł go obiema rękami, upił łyk i podał Dougalowi, który pociągnął zdrowo i oddał

kielich bratu. Następnie, skłoniwszy się, odstąpił miejsca następnemu w kolejności.

Ten proces powtarzał się monotonnie, od przysięgi do pucharu. Rzuciłam okiem na długi szereg mężczyzn i po raz kolejny pomyślałam z podziwem o mocnej głowie Columa.

Usiłowałam obliczyć, ile litrów alkoholu wypije do końca uroczystości, ale zapomniałam o wszystkim, ujrawszy Jamiego na czele kolejki.

Dougal, który zajął miejsce za plecami brata, pierwszy spostrzegł Jamiego. Na jego twarzy odmalowało się zaskoczenie. Zbliżył się do brata i szepnął mu coś na ucho. Colum nie odwrócił oczu od mężczyzny, który właśnie składał przysięgę, lecz zauważyłam lekkie zeszywnienie jego ciała. On także się zdziwił i raczej nie był zadowolony.

W trakcie uroczystości wszyscy jej uczestnicy stopniowo nabierali coraz większego animuszu. Gdyby Jamie nie zgodził się złożyć przysięgi, pewnie rozdarliby go na strzępy bez chwili namysłu. Wytarłam o spódnicę nagle spocone dłonie. Nie mogłam się pozbyć poczucia winy za postawienie go w tak paskudnej sytuacji.

Ale MacTavish wydawał się całkiem spokojny. W sali panował wściekły zaduch, lecz on się nie pocił. Czekał spokojnie w kolejce, nie zdradzając, że czuje się nieswojo w towarzystwie setki uzbrojonych po zęby mężczyzn, gotowych pomścić choćby cień obelgi wobec klanu MacKenziech. Je suis prest, rzeczywiście. A może jednak zdecydował się pójść za radą Aleca?

Kiedy nadeszła jego kolej, wbiłam mocno paznokcie w dłoń.

Jamie ukląkł na jedno kolano i skłonił się głęboko Columowi. Jednak zamiast wyciągnąć sztylet, wstał i spojrzał przywódcy klanu prosto w twarz. Wyprostowany jak struna, przerastał większość mężczyzn o głowę. Górował także nad stojącym na podwyższeniu Columem. Zerknęłam na Laoghaire. Pobladła. Ona także zacisnęła pięści.

Jamie musiał wiedzieć, że wszyscy patrzą tylko na niego, lecz zwrócił się wyłącznie do Columa. Głos młodzieńca brzmiał równie głęboko i donośnie.

– Columie MacKenzie, przybyłem do ciebie jako członek klanu i sprzymierzeniec. Nie złożę ci przysięgi, gdyż składałem ją imieniu, które noszę. – Tłum wydał cichy, złowróźbny pomruk, lecz Jamie ciągnął dalej, jakby nic się nie stało. – Lecz daję ci z własnej woli wszystko, co posiadam: moją pomoc i dobrą wolę, gdybyś kiedyś ich potrzebował. Ofiarowuję ci moje posłuszeństwo i oddaję się pod rozkazy tak długo, jak długo przebywać będę na ziemiach klanu MacKenzie.

Zamilkł i znieruchomiał. Teraz kolej na Columa, pomyślałam. Jedno jego słowo, jeden sygnał, a rano będziemy zeskrobywać Jamiego ze ścian.

Colum stał przez chwilę bez ruchu. Potem uśmiechnął się i wyciągnął obie ręce.

Jamie zawahał się na ułamek sekundy, po czym lekko złożył dłonie na oczekujących rękach przywódcy.

– Jesteśmy zaszczytzeni twą przyjaźnią i dobrą wolą



– przemówił wyraźnie Colum. – Przyjmujemy two posłuszeństwo i obietnicę sprzyjania klanowi MacKenziech.

Atmosfera w sali nieco zelżała, a z galerii dobiegło westchnienie ulgi. Colum uniósł puchar do ust, po czym wręczył go Jamiemu. Młodzieniec przyjął naczynie z uśmiechem, jednak zamiast pociągnąć symboliczny łyk, ostrożnie ujął niemal pełny kielich, przechylił go i zaczął pić. Pił i pił, aż na sali zaczęły się odzywać pomruki niechętnego podziwu i rozbawienia. Potężne mięśnie szyi poruszały się niezmordowanie; zaraz będzie przecież musiał odetchnąć, pomyślałam, ale nie: osuszył masywny puchar do ostatniej kropli, opuścił go i dopiero wtedy gwałtownie zaczerpnął powietrza. Oddał naczynie Columowi.

– To ja jestem zaszczycony – powiedział nieco ochryple – mogąc zostać sprzymierzeńcem klanu, który tak zna się na whisky.

W sali eksplodował ryk entuzjazmu; Jamie ruszył przez tłum, klepany po plecach ze wszystkich stron. Najwyraźniej nie tylko Colum MacKenzie miał wycucie sceny.

Na galerii panował dławiący upał. Głowa rozboleła mnie od dymu z pochodni; na szczęście uroczystość dobiegła końca. Fakt ten ogłosił Colum, w którego donośnym głosie zupełnie nie było słyhać sześciu spełnionych pucharów. Przynajmniej dziś nogi nie będą mu dokuczać, pomyślałam.

Z dołu buchnął wrzask dziesiątek gardeł, zmieszany

z jazgotem kobzy i poważna uroczystość zmieniała się w dziką popijawę. Jeszcze głośniejszy ryk powitał pojawienie się beczulek piwa i whisky, które spoczęły na kozłach pomiędzy półmiskami pełnymi parujących owsianych ciastek, baggisu i mięs. Pani Fitz, niewątpliwie główna organizatorka uczyty, przechyliła się przez balustradę, śledząc sokolim okiem zachowanie służących, w większości chłopców zbyt młodych, by składać przysięgę.

– A gdzie się podziały bażanty? – mruzczała pod nosem, wodząc czujnym spojrzeniem po wnoszonych misach. – A nadziewane węgorze? Niech diabli porwą Mungo Granta, obedzę go ze skóry, jeśli przypalił węgorze!

Nie wytrzymała i zaczęła się przeciskać przez tłum na galerii, zdecydowana nie pozostawiać tak istotnych spraw w rękach Mungo Granta.

Wyczułam nadarżającą się sposobność i ruszyłam za nią, korzystając z przejścia, jakie uTORowała sobie jej okazała postać. Parę innych kobiet, chyba zadowolonych z okazji, dołączyło do mnie.

Pani Fitz na dole odwróciła się, spojrzała na grupkę niewiast, które pozostały na galerii i zmarszczyła groźnie brwi.

– Uciekajcie stąd, szybko – rozkazała. – Wracajcie do komnat. I żadnego łażenia po korytarzach, żadnego podglądania zza rogu. Nie ma tu już ani jednego trzeźwego chłopca, a za godzinę wszyscy zaczną szaleć. To nie miejsce dla płci pięknej.

Uchyliła drzwi i ostrożnie wyjrzała na korytarz. Teren był chyba pusty, bo zaczęła wypuszczać kobiety,

ponaglając je do szybkiego biegu ku komnatom sypialnym na piętrze.

– Czy mogę jakoś pomóc? – spytałam.

– W kuchni?

Pokręciła głową, ale uśmiechnęła się życzliwie.

– Nie, nie potrzebuję pomocy. Idź razem z nimi, ty też nie jesteś bezpieczna.

Dała mi życzliwego szturchańca i wypchnęła do ciemnego korytarza.

Po spotkaniu ze strażnikami nie zamierzałam kwestionować jej polecenia. Mężczyźni w Sali ryczeli, tańczyli i pili, dzicy i nieokiełznani. Rzeczywiście, nie było to miejsce dla kobiety.

Ale odnalezienie komnaty stanowiło zupełnie odrębny problem. Nie znałam tej części zamku i choć wiedziałam, że na górnym piętrze znajduje się pasaż prowadzący do mojego pokoju, jakoś nie mogłam zlokalizować niczego, co by przypominało schody.

Wyszłam zza rogu i wpadłam na grupkę mężczyzn. Nie znałam ich – widać pochodzili z odległych klanów – ale z całą pewnością nie mieli dobrych manier. Doszłam do tego wniosku na widok osobnika, który zrezygnował z poszukiwania latryny i ulżył sobie w kącie korytarza akurat wtedy, kiedy się pojawiłam.

Zawróciłam, natychmiast rezygnując z poszukiwania schodów, ale kilka rąk chwyciło mnie i przytrzymało. Nie wiadomo kiedy znalazłam się przyparta do ściany, otoczona brodatymi Szkotami, pijanymi i rozochoconymi.

Jeden z nich chwycił mnie w pasie, a drugą łapę wsadził mi za dekolt, zdecydowany nie tracić czasu na formalności. Potarł zarośniętym policzkiem o moje ucho.

– A może buzi dla dzielnych chłopców z klanu MacKenziech? Tulach Ard!

– Idź w cholerę – warknęłam i odepchnęłam go z całej siły. Zatoczył się, oszołomiony whisky, i wpadł na swojego kompana. Uskoczyłam i pędem ruszyłam przed siebie, zrzucając niewygodne buty.

Na drodze pojawił się kolejny cień. Zawahałam się, ale za mną biegło dziesięciu prześladowców. Zaczynali mnie już doganiać, mimo szumiącej im we łbach gorzałki. Cień przede mną gwałtownie zastąpił mi drogę; zatrzymałam się tak nagle, że musiałam oprzeć się o jego pierś. Podniosłam głowę i zobaczyłam Dougala MacKenzie.

– Co, u diabła... – zaczął i dostrzegł galopujący pościg. Zasłonił mnie własnym ciałem i warknął coś po celtycku. Moi prześladowcy zaprotestowali w tym samym języku. Po krótkiej wymianie zdań, która w moich uszach brzmiała jak warczenie sfory wilków, grupa mężczyzn poddała się i ruszyła na poszukiwanie lepszej rozrywki.

– Dziękuję – wyjąkałam, nieco oszołomiona. – Dziękuję. Ja... muszę iść. Nie powinnam tu być.

Dougal popatrzył mi prosto w oczy, wziął mnie za ramię i przyciągnął ku sobie. Był potargany i z pewnością nietrzeźwy.

– Owszem, dziewczyno – przyznał. – Nie powinnaś. Ale skoro jesteś, ha... musisz po nieść za to karę –

wymamrotał.

Oczy lśniły mu w półmroku. Przycisnął mnie do siebie i pocałował tak mocno, że aż zabolalo. Przemocą rozchylił mi usta; poczułam muśnięcie jego języka i ostry smród whisky. Objął moje pośladki i jeszcze mocniej przywarł do mnie. Przez warstwy halek i spódnic poczułam napierający twardy kształt.

Puścił mnie równie niespodziewanie. Skinął głową i machnął w głąb korytarza nieco zdyszany. Pasma rudych włosów opadło mu na czoło. Odgarnął je jedną ręką.

– Uciekaj, dziewczyno – sapnął. – Nim zapłacisz większą cenę.

Uciekłam bosa.

Pamiętając o wydarzeniach ostatniej nocy, spodziewałam się, że większość biesiadników będzie leżeć aż do późnego ranka i zejdzie chwiejnym krokiem dopiero koło południa, szukając leczniczego kufla piwa – zakładając, że znajdą na to dość sił.

Ale Szkoci z klanu MacKenziech byli widać zrobieni ze znacznie bardziej odpornego materiału, gdyż na długi przed świtem w zamku wrzało jak w ulu.

Korytarze trzęsły się od wrzasków, a szczęk broni i łomot – buciorów świadczył, iż wszyscy mężczyźni przygotowywali się do wyprawy na zwierza. Było zimno i mgliście, ale Rupert, którego spotkałam na dziedzińcu, zapewnił mnie, że to najlepsza pogoda na dziki.

– Mają taką grubą szczecinę, że zimno nie ma do nich dojścia– wyjaśnił, z zapalem ostrząc oszczep na kamiennym kole, wprawianym w ruch za pomocą pedału.–

A mgła jest gęsta, więc nie zobaczą, jak do nich podchodzimy.

Chciałam zauważyć, iż w takim razie oni także nie zobaczą dzików, ale ugryzłam się w język.

Kiedy pierwsze promienie słońca zabarwiły mgłę krwawozłotymi strugami, myśliwi ze brali się na frontowym dziedzińcu. Z przyjemnością dowiedziałam się, że obecność kobiet nie jest obowiązkowa. Przyszli bohaterzy zadowolili się zabraniami podpłomyków i beczulek piwa. Odprowadziłam wzrokiem oddalające się szeregi osiłków uzbrojonych po zęby w oszczepy, topory, łuki, kołczany i kordy. Z pewnym współczuciem pomyślałam o losie nieszczęsnego dzika.

Zmieniłam zdanie mniej więcej godzinę później, kiedy zostałam gorączkowo wezwana na skraj lasu, by opatrzyć rany myśliwego, który – zgodnie z moimi przewidywaniami – niespodziewanie natknął się we mgle na swoją niedoszłą ofiarę.

– Chryste Panie – mruknęłam, badając rozwartą ranę o poszarpanych brzegach, ciągnącą się od kolana po kostkę. – Zwierzę zrobiło coś takiego? Chyba miało zęby z nierdzewnej stali!

– He? – ranny był zielony na twarzy ze strachu i zbyt wstrząśnięty, żeby mi odpowiedzieć, ale jeden z mężczyzn, którzy przy nim zostali, rzucił mi dziwne spojrzenie.

– Nieważne – powiedziałam i mocno zacisnęłam bandaż wokół łydki. – Zabierzcie go do zamku, niech pani Fitz da mu bulionu i ciepły koc. To trzeba zszyć, a ja nie

mam odpowiednich instrumentów.

Od strony zamglonego zbocza dobiegały rytmiczne okrzyki łowców. Nagle rozległ się przerażający wrzask; spłoszony bażant zerwał się ze swojej kryjówki z gwałtownym trzepotem skrzydeł.

– Dobry Boże, co znowu? – Chwyciłam naręczę bandaży, zostawiłam pacjenta pod opieką towarzyszy i rzuciłam się na oślep w las.

Między drzewami mgła była jeszcze gęstsza; widziałam teren zaledwie na parę kroków przed sobą. Kierowałam się w stronę przeraźliwych krzyków itrzasku łamanych gałęzi.

Dzik wybiegł zza moich pleców. Skupiona na hałasach, nie usłyszałam i nie dostrzegłam zwierza, dopóki mnie nie minął, czarny kształt mknący z niewiarygodną szybkością absurdalnie małe racice poruszały się na mokrej ściółce niemal bezszelestnie.

Byłam tak oszołomiona nagłym spotkaniem, że w pierwszej chwili nawet się nie przestraszyłam. Stałam i gapiłam się w mgłę, w której zginęła czarna szczeciniasta sylwetka. Potem podniosłam rękę, by odgarnąć z twarzy pierścionki mokrych loków, i spostrzegłam na niej smugę krwi. Spojrzawszy w dół odkryłam podobne krwawe pasmo na sukni. A zatem zwierzę było ranne. Czy to ono wydało ten przejmujący wrzask?

Nie, niemożliwe. Słyszałam już krzyki śmiertelnie rannych ludzi, a dzik biegł zbyt szybko jak na ciężko zranione stworzenie. Nabrałam powietrza w płuca i ruszyłam w ścianę mgły, szukając człowieka, który wydał z

siebie ten koszmarny odgłos.

Znalazłam nieszczęśnika u podnóża niewielkiej skarpy, otoczonego innymi mężczyznami. Otulili go własnymi szalami, ale na materiale chroniącym nogi zauważyłam szeroko rozlane złowróżbne ciemne plamy. Drogę upadku rannego znaczyła długa bruzda w czarnym błocie, a miejsce, w którym spotkał dzika – skopana ziemia i poruszona ściółka. Ukłękłam przy półprzytomnym łowcy, podniosłam szale i zabrałam się do pracy.

Ledwie zaczęłam, kiedy za moimi plecami znowu rozległy się krzyki. Odwróciłam się i ujrzałam powracający koszmar. Dzik nadszedł bezszelestnie.

Tym razem zauważyłam, że z boku wystaje mu rękojeść sztyletu – być może stanowiącego własność człowieka, który leżał przede mną na ziemi. Potem zobaczyłam śmiertelnie groźne, poznaczone krwią kły i małe oszalałe oczka.

Mężczyźni stojący wokół, równie zdezorientowani jak ja, zaczęli szukać broni. Jeden z nich, szybszy od innych, odebrał zmartwialemu ze strachu sąsiadowi oszczep i wystąpił na polankę.

Był to Dougal MacKenzie. Szedł niemal beztrzesko; oszczep niósł nisko w obu dłoniach niczym łopatę. Nie odrywał wzroku od zwierza, mówił coś do niego po celtysku, jakby chciał go wywabić spomiędzy drzew.

Pierwszy atak nastąpił niespodziewanie jak wybuch bomby. Dzik ruszył pędem i minął Dougala tak blisko, że brązowy tartan myśliwego załopotał na wietrze. Zwierzę zawróciło i ruszyło z powrotem niczym czarna wściekła



strzała. Dougal odskoczył i dziabnął dzika oszczepem. I jeszcze raz, i jeszcze, i znowu. Przypominało to trochę taniec, w którym obaj tancerze dysponują ogromną siłą, ale zdają się unosić nad ziemią.

Wszystko trwało może minutę, choć wydawało się, że znacznie dłużej. W finale Dougal uskoczył zgrabnie przed groźnymi ciosami, uniósł krótki, masywny oszczep i wbił go dokładnie pomiędzy wystające łopatki dzika. Przenikliwy kwik, który uderzył pod niebiosa, zjeżył mi włosy na głowie. Małe świńskie oczka zatoczyły oszalałym spojrzeniem w poszukiwaniu sprawcy śmiertelnego ciosu, racice wryły się w błoto, ciężkie ciało potknęło się i zakołysało. Kwik trwał, wznosząc się na wyżyny niedostępne ludzkiemu głosowi. Dzik zwałił się na bok i całym ciężarem opadł na rękojeść tkwiącego w jego ciele sztyletu. Delikatne kopytka wierzgnęły spazmatycznie; bryznęły pecyny błota i mokrej ziemi.

Agonalne odgłosy urwały się niespodziewanie. Po chwili ciszy nastąpiło jeszcze prawdziwie świńskie chrząknięcie i wielkie ciało znieruchomiało.

Dougal nie czekał, by przekonać się, czy jego trofeum już wyzionęło ducha. Okrążył zwierzę i podszedł do rannego mężczyzny. Ukląkł, podłożył mu ramię pod plecy i zastąpił człowieka, który do tej pory podtrzymywał nieszczęśnika. Na kościach policzkowych i włosach na skroni ofiary zastygły delikatne kropelki krwi.

– Już dobrze, Geordie – odezwał się z zaskakującą łagodnością Dougal. – Już dobrze, chłopie, zabiłem go. Już dobrze.

– Dougal? To ty? – Ranny zwrócił głowę w jego kierunku i z wielkim trudem spróbował unieść opadające powieki.

Ze zdziwieniem przysłuchiwałam się tej rozmowie, szybko badając puls mojego pacjenta. Dougal Straszliwy, Dougal Groźny przemawiał do towarzysza łagodnie i czule, powtarzając słowa pociechy, tuląc go do siebie i głaszcząc po rozczochranych włosach.

Przykucnęłam i sięgnęłam ku stercie leżących na ziemi szmat. Rana była głęboka, sięgała w głąb uda przynajmniej na piętnaście centymetrów, a krew bluzgała obfitym strumieniem. Ale nie tryskała rytmicznie; tętnica udowa nie została naruszona, co oznaczało, że miałam szansę zatamować krwotok.

Natomiast nic nie mogło powstrzymać upływ krwi z brzucha mężczyzny; dzik rozorał mu kłami skórę, mięśnie i jelita. Nie uszkodził głównych naczyń krwionośnych, ale po szarpał wnętrzności; widziałam je dokładnie w głębi ziejącej rany. Taki rodzaj obrażeń często kończy się śmiercią, nawet na sali operacyjnej, przy dostępnych antybiotykach i możliwości założenia szwów. Zawartość rozerwanych jelit rozpląnęła się po jamie brzusznej, zakażając ją i zwiększając możliwość infekcji. A ja nie miałam nic poza czosnkiem i zielem krwawnika...

Dougal także spoglądał w odrażającą, głęboką ranę; nasze oczy spotkały się na chwilę.

Bezgłośnie poruszył ustami; odczytałam pytanie: będzie żyć?

Pokręciłam głową. Zawahał się na chwilę, przytulił

Geordiego i zdecydowanym ruchem rozwiązał opaskę uciskową, którą założyłam rannemu na udzie. Spojrzał na mnie wyzywająco, ale ja nie zaprotestowałam. Skinęłam nieznacznie głową. Mogłam powstrzymać krwotok, mogliśmy przenieść Geordiego do zamku. Tam jeszcze przez kilka dni męczyłby się jak potępieniec, dopóki jego organizm nie poddałby się w końcu zakażeniu. Dougal dawał mu lepszą śmierć – pod czystym niebem, na ściółce, na której jego krew mieszała się z krwią dzika. Popęzłam po wilgotnych liściach i podparłam ciało Geordiego z drugiej strony.

– Wkrótce będzie lepiej – powiedziałam spokojnie, tak jak zawsze, tak jak mnie uczono. – Wkrótce już nie będzie boleć.

– Jasne... Już nie boli. Nie czuję... nóg... ani rąk... Dougal... jesteś? Jesteś tu? – Zdrętwiałe ręce zamachały na oślep. Dougal chwycił je mocno i pochylił się, mrużąc kompanowi coś do ucha.

Geordie wyprężył się raptownie i wparł nogi w błotnistą ziemię; jego ciało gwałtownie protestowało przeciwko temu, z czym umysł już się pogodził. Zaczepnął gwałtownie powietrza jak tonący, który walczy o każdy łyk tlenu.

W lesie panowała ogromna cisza. Żaden ptak nie śpiewał w gęstej mgle, a mężczyźni, cierpliwie siedzący pod drzewami, trwali w grobowym milczeniu. Dougal i ja pochyłaliśmy się nad wstrząsanym agonią ciałem, wspólnie pełniąc ten rozdzierający serce obowiązek, jakim jest towarzyszenie człowiekowi w chwili śmierci.

Do zamku także wróciliśmy bez słowa. Szłam obok ciała niesionego na prowizorycznych noszach z sosnowych gałęzi. W taki sam sposób transportowano ubitego dzika. Dougal szedł sam, na czele pochodu.

W pobliżu bramy głównego dziedzińca zauważyłam pękatą figurkę ojca Baina, wioskowego kapłana. Spieszył ze spóźnioną pomocą wiernemu ze swojej parafii.

Dougal zatrzymał się i chwycił mnie za ramię, gdy byłam już na schodach prowadzących do mojej komnatki. Przykryte tartanem ciało Geordiego zostało zaniesione do zamkowej kaplicy. Zostaliśmy sami na opustoszałym korytarzu. Dougal trzymał mnie za nadgarstek i przyglądał mi się przenikliwie.

– Widziałaś już śmierć – powiedział głosem bez wyrazu. – Gwałtowną śmierć.

Nie było to pytanie, lecz niemal oskarżenie.

– Wiele razy – odparłam takim samym tonem. Wyszarpnęłam rękę i odeszłam, zostawiając go samego. Musiałam zająć się moim żywym pacjentem.

Śmierć Geordiego, choć straszna, tylko na chwilę zakłóciła przebiegświęta. Tego popołudnia odprawiono wystawną mszę żałobną, a następnego ranka rozpoczęły się zabawy.

Nie oglądałam ich z bliska, zajęta leczeniem uczestników. Mogę powiedzieć z całą pewnością tylko tyle, że nikt się z nich nie oszczędzał. Opatrywałam jednego niezdare, który po tańcu między mieczami przypominał befsztyk tatarski, składałam złamaną nogę niedorajdy, który stanął pod spadającym młotem, i poiłam rycyną oraz

syropem z nasturcji niezliczone dzieciaki, które przeholowały ze słodyczami.

Wspięłam się na stół zabiegowy i wyjrzałam przez maleńkie okienko, żeby zaczerpnąć powietrza. Krzyki, śmiech i muzyka dobiegające z pola, gdzie odbywały się zabawy, ucichły. Dobrze. Nie będzie pacjentów, przynajmniej do jutra. Co to miało się odbyć w następnej kolejności? Zawody w strzelaniu z łuku? Hmm. Sprawdziłam, czy mam dość bandażu, po czym zamknęłam za sobą drzwi gabinetu. Byłam bardzo zmęczona.

Wyszłam z zamku i powlokłam się ku stajniom. Życzyłam sobie towarzystwa istoty, która nie jest człowiekiem, nie gada i nie trzeba jej opatrywać. Liczyłam także, że uda mi się znaleźć Jamiego i jeszcze raz go przeprosić za to, że w dniu przysięgi postawiłam go w nie zręcznej sytuacji. Wybrnął z niej całkiem zgrabnie, ale z pewnością miał ochotę w ogóle tego uniknąć. Wolałam nie myśleć o plotkach na temat naszych rzekomych figli w sianie. Rupert ochoczo roztrąbił swoje domysły po całym zamku.

Nie chciało mi się myśleć także o własnej kiepskiej sytuacji, lecz wiedziałam, że wcześniej czy później będę musiała stawić jej czoło. Wobec tak spektakularnej klęski przy ucieczce na początku zgromadzenia wątpiłam, żeby lepiej powiodło mi się pod koniec.

Oczywiście, większość koni opuści stajnie wraz z jeźdźcami. Przy odrobinie szczęścia może zniknięcie jeszcze jednego zostanie uznane za zwykłą kradzież; na placu targowym i pod czas zabaw widziało się sporo

podejrzanych typów. W zamieszaniu przy odjeździe gości moja nieobecność nie powinna rzucić się od razu w oczy.

Wlokłam się wzdłuż ogrodzenia padoku, rozważając ewentualną trasę ucieczki.

Problem polegał na tym, że nie miałam najmniejszego pojęcia, gdzie dokładnie jestem, jak również w którą stronę muszę się udać. A ponieważ teraz dzięki pomocy lekarskiej, jaką świadczyłam podczas zgromadzenia, byłam już znana każdemu MacKenziemiu pomiędzy zamkiem Leoch i granicą, nie mogłam nikogo spytać o drogę.

Nagle się zaniepokoiłam. Czy Jamie powiedział Columowi lub Dougalowi o mojej nieudanej ucieczce? Żaden nie wspomniał o tym ani słowem, więc może jednak nie wiedzieli o niczym.

Na padoku nie było ani jednego konia. Otworzyłam drzwi stajni i drgnęłam. Ujrzałam bowiem Jamiego i Dougala, siedzących razem na kupce siana. Na mój widok zdziwili się prawie tak jak ja, ale wstali grzecznie i poprosili, żebym usiadła.

– Dziękuję – powiedziałam i zaczęłam wycofywać się ku drzwiom. – Nie chciałabym się narzucać.

– To, o czym rozmawiam z Jamiem, dotyczy także ciebie – odezwał się Dougal.

Rzuciłam szybkie spojrzenie chłopakowi, który niemal niezauważalnie pokręcił głową. A zatem Dougal o niczym nie wiedział.

Usiadłam, ciągle nieco nieufna. Dobrze pamiętałam spotkanie na korytarzu, choć Dougal nie zrobił później

žadnej aluzji.

– Za dwa dni wyjeżdżam – oznajmił niespodziewanie. – zabieram was ze sobą.

– Dokąd? – spytałam. Serce zaczęło mi bić szybciej.

– W objazd ziem MacKenziech. Colum nie rusza się poza zamek, więc mnie przypada odwiedzenie tych, którzy nie mogli przybyć na zgromadzenie. I muszę zająć się pewnymi sprawami... – Machnął lekceważąco ręką wobec tak przyziemnych obowiązków.

– Ale dlaczego ja? To znaczy, dlaczego my? – nie ustąpiłam.

Zastanawiał się przez chwilę.

– No, Jamie przyda się przy koniach. A co do ciebie, Colum uznał, że dobrze będzie zabrać cię aż do Fort William. Dowódca może... odnaleźć twą rodzinę we Francji.

Lub dowiedzieć się, kim naprawdę jestem, dokończyłam w myślach. Ciekawe, czego jeszcze mi nie mówisz?

Dougal patrzył na mnie uważnie, czekając na moją reakcję.

– Dobrze – zgodziłam się spokojnie. – To chyba niezły pomysł.

W duchu skakałam z radości. Co za szczęście! Nie muszę obmyślać ucieczki z zamku.

Dougal osobiście odwiezie mnie niemal na miejsce. A z Fort William bez trudu trafię tam, gdzie muszę wrócić. Do Craigh na Dun. Do kamiennego kręgu. A przy odrobinie szczęścia – do domu.

Dwa dni później tuż przed świtem opuściliśmy zamek Leoch. Konie przechodziły przez kamienny most parami, trójkami i czwórkami, przy wtórze wykrzykiwanych pożegnań dochodzącego znad jeziora gęgania dzikich gęsi. Od czasu do czasu zerkałam za siebie na majaczącą w mroku bryłę zamku, która wreszcie zniknęła za zasłoną migotliwej srebrzystej mgły. Dziwne, ale na myśl, że nigdy więcej nie zobaczę tej ponurej sterty kamieni ani jej mieszkańców, poczułam cień smutku.

Mgła tłumiała stukanie kopyt naszych wierzchowców. Wilgoć w powietrzu stworzyła szczególnie warunki akustyczne: dźwięki z jednego końca długiego pochodu były znakomicie słyszalne na drugim, natomiast rozmowy toczone nieopodal wydawały się odległym po mrukiem. Sunęliśmy wśród oparu jakby zaludnionego przez duchy. Głosy szybowały w powietrzu, odzywały się to daleko, to tuż obok.

Mnie przypadło miejsce w samym środku grupy. Po jednej stronie miałam uzbrojonego mężczyznę, po drugiej Neda Gowana, małego skrybę, którego zobaczyłam po raz pierwszy podczas spotkania w Sali. Kiedy zaczęliśmy rozmawiać, okazało się, że jego obowiązki nie ograniczają się tylko do prowadzenia ksiąg i rejestrów.

Ned Gowan był prawnym doradcą. Urodzony, wychowany i wykształcony w Edynburgu, znał miasto od podszewki. Ten drobny, starzejący się mężczyzna, schludny i precyzyjny w ruchach, miał na sobie płaszcz z przedniego sukna, pończochy z cienkiej wełny, lnianą koszulę, oszczędnie ozdobioną cieniutką koronką, i spodnie z



materiału odpowiadającego wymogom podróży i statusowi właściciela. Wizerunku radcy dopełniały binokle w złotych oprawkach i rogaty kapelusze, spod którego wystawały włosy związane aksamitką. Z wyglądu był tak dalece uosobieniem przedstawiciela prawa, że nie mogłam patrzeć na niego bez uśmiechu.

Jechał obok mnie na łagodnej klaczy, objuczony dwiema ogromnymi torbami ze zniszczonej skóry. Ned wyjaśnił mi, że w jednej z nich znajdują się jego narzędzia pracy: kałamarz, pióra i papier.

– A w drugiej? – spytałam zaintrygowana.

Wydawała się pusta.

– O, to na podatki – odparł, klepiąc ją czule.

– Znosi się, że zbierzesz całkiem sporo – zauważyłam.

Pan Gowan wzruszył dobrodusznie ramionami.

– Niezupełnie, moja droga. Ale będą wypłacane drobną monetą, a ta niestety zajmuje więcej miejsca niż bardziej okazałe nominały. – Uśmiechnął się przelotnie, wyginając w łuk wąskie, suche wargi. – A jednak o wiele łatwiej przewieźć tę górę miedziaków niż resztę dóbr należnych naszemu dziedzicowi. – Spojrzał przez ramię na dwa wielkie wozy zaprzęgnięte w muły. – Worki z ziarnem i rzepą mają przynajmniej tę zaletę, że są z natury mało ruchliwe. Nie mam nic przeciwko domowemu ptactwu, jeśli znajduje się w klatkach. Nie sprzeciwiam się obecności kóz, aczkolwiek ich brzydki nawyk pożerania wszystkiego nie raz już stał się dla nas utrapieniem. W zeszłym roku jedna zjadła mi chusteczkę, choć przyznaję,

że wina leżała po mojej stronie, gdyż przez karygodne niedopatrzenie rozek materiału wystawał mi z kieszeni. – Wąskie usta zacisnęły się z determinacją. – Ale w tym roku wydałem kategorię zakaz. Nie będziemy przyjmować świń!

Konieczność chronienia juków pana Gowana oraz dwóch wozów tłumaczyła, jak sądziłam, obecność w orszaku co najmniej dwudziestu zbrojnych. Podczas ostatnich pożegnań pani Fitz przestrzegła, że warunki podróży będą nad wyraz prymitywne.

Nie mogłam opanować ciekawości; korciło mnie, żeby spytać, co skłoniło tak wykształconego człowieka do zamieszkania w dzikich szkockich górach, z dala od dobrodziejstw oferowanych przez miasto, do których musiał być przyzwyczajony.

– Jako młodzieniec – zaczął, kiedy wyjawiałam mu moje wątpliwości – prowadziłem niewielką kancelarię w Edynburgu. Miałem koronkowe firanki w oknach i lśniącą mosiężną tabliczkę z nazwiskiem na drzwiach. Ale sporządzanie testamentów i zapisów zmęczyło mnie, podobnie jak widywanie na ulicy wciąż tych samych twarzy. Wobec tego wyjechałem.

I tak młody pan Gowan nabył konia, nieco zapasów i ruszył w drogę. Nie miał pojęcia, dokąd podąży ani co zrobi, kiedy znajdzie się u celu swojej podróży.

– Muszę wyznać – oznajmił, ocierając pot z nosa starannie złożoną chusteczką z wyhaftowanym monogramem – że dręczy mnie zamiłowanie do przygód. Jednakże ani moja pozycja, ani też pochodzenie nie

ułatwiały mi pójścia w ślady rozbójników czy korsarzy, gdyż właśnie te profesje wydawały mi się w owym czasie najbardziej pociągające i awanturnicze. Postanowiłem zatem, że udam się w góry Szkocji. Wydawało mi się, że może skłonię jakiegoś przywódcę klanu, by pozwolił mi... cóż, służyć mu w jakiś sposób. I rzeczywiście podczas swej podróży poznał takiego przywódcę. – Jacob MacKenzie... – Twarz radcy rozjaśnił ciepły uśmiech. – Stary rudy łobuz... Jego wnuk bardzo go przypomina. – Skinął głową ku czołu pochodu, gdzie wśród mgieł płonąła ruda czupryna Jamiego MacTavisha. – Podczas pierwszego spotkania Jacob wziął mnie na muszkę i zrabował cały mój majątek. Oddałem mu konia i juki bez sprzeciwu, gdyż nie miałem innego wyboru, lecz mniemam, że nieco go zirytowałem. Otóż uparłem się podróżować razem z nim, w razie potrzeby nawet pieszo.

– Jacob MacKenzie... To pewnie ojciec Columa i Dougala?

– Zgadza się. Oczywiście nie stał jeszcze na czele klanu. Został przywódcą parę lat później... przy mojej skromnej pomocy – wyjął, spuszczać oczy. – W owych czasach obyczaje były mniej... cywilizowane – dodał z nostalgią.

– O, doprawdy? – wtrąciłam grzecznie. – A Colum... dostał ciebie w spadku, by tak rzec?

– Istotnie. Po śmierci Jacoba zapanowało zamieszanie. Colum był dziedzicem Leoch, to pewne, lecz... – Radca urwał i obejrzał się sprawdzając, czy nikt nie podsłuchuje.

Strażnicy wysforowali się naprzód, a od woźnicy dzieliło nas dobre parę metrów. – W osiemnastej wiośnie życia Colum był prawdziwym mężczyzną i wydawał się znakomitym przyszłym władcą. Pojął za żonę Letycję, by utrwalić przymierze z Cameronami. Sam sporządziłem intercyzę – dorzucił mimochodem. – Ale wkrótce potem spadł z konia i złamał kość uda, która źle się zrosła.

Skinęłam głową. Ten fakt zgadzał się z moją diagnozą.

– A potem – ciągnął pan Gowan z westchnieniem – zbyt wcześnie wstał z łóża i spadł ze schodów, łamiąc sobie drugą nogę. Leżał ponad rok, aż wreszcie wszyscy pojęli, że nie wyzdrowieje. I wtedy, na nieszczęście, umarł Jacob.

Zamilkł, wzruszony. Znowu zerknął przez ramię, jakby kogoś szukał.

– Wówczas rozpoczęła się awantura z ożenkiem jego siostry. A Dougal... Cóż, Dougal nie spisał się w owych czasach. Mógł zostać przywódcą, lecz wszyscy widzieli, że jeszcze do tego nie dorósł. – Pokręcił głową. – Wielkie nieba, co się działo! Przyjechali wszyscy wujowie i kuzyni i zaczęli radzić na wielkim zgromadzeniu.

– Ale jednak wybrali Columa? – spytałam.

Znowu zdumiała mnie siła osobowości przywódcy klanu. A patrząc na niewielkiego, steranego życiem mężczyznę u mojego boku doszłam do wniosku, że miał dobrą rękę do sprzymierzeńców.

– Tak, ale tylko dlatego, że bracia mocno się trzymają razem. Nikt nie wątpi w jego odwagę, a tym bardziej umysł, ale ciało... Wszyscy wiedzieli, że Colum

nigdy już nie poprowadzi ludzi do boju. Ale był też Dougal, cały i zdrowy, choć porywczy i nieco okrutny. Dougal stanął za krzesłem brata i przysiągł być posłuszny i stać się jego zbrojnym ramieniem na polu walki. Zasugerowano więc, by Colum został przywódcą klanu, a Dougal jego pełnomocnikiem na czas wojny, jako ten, który poprowadzi MacKenziech do boju. Była to sytuacja bez precedensu – dodał z prawniczą pedanterią.

Skromność, z jaką napomknął, że „zasugerowano” takie rozwiązanie, wskazywała wyraźnie, komu przypada zaszczytne miano pomysłodawcy.

– Czyim jesteś człowiekiem? – spytałam. – Columa czy Dougala?

– Mój interes wiąże się z dobrem całego klanu – oznajmił przezornie. – Lecz formalnie przysięgłem posłuszeństwo Columowi.

Formalnie! Akurat, pomyślałam. Widziałam przysięgę, choć nie przypominałam sobie, żebym widziała na niej małego pana Gowana. Żaden świadek uroczystości nie mógł pozostać niewzruszony, nawet gdyby był urodzonym prawnikiem. A ten człowieczek na gniadej klaczy, choć wydawał się wysuszony na wiór i po czubki uszu zanurzony w kodeksach i księgach rachunkowych, miał duszę romantyka. Lub przynajmniej tak twierdził.

– Na pewno byłeś dla niego wielką pomocą – powiedziałam dyplomatycznie.

– Zdarzało się – przyznał skromnie. – Od czasu do czasu, na niedużą skalę. Moja skromna osoba przydaje się także innym. Gdybyś znalazła się w potrzebie, droga panno,

i chciała porady prawnika, nie wahaj się mnie wezwać. Możesz polegać na mojej dyskrekcji, zapewniam. – Skłonił się dwornie.

– Czy twoja dyskrekcja jest tak wielka, że moje sprawy pozostaną nieznane Columowi MacKenziem? – spytałam, unosząc brwi.

Małe brązowe oczka spojrzały na mnie śmiało, pełne humoru i inteligencji.

– No cóż – powiedział bez skruchy. – Warto spróbować.

– Być może – odparłam, bardziej rozbawiona niż zła. – Ale ja także pragnę cię o czymś zapewnić. Twoja dyskrekcja, cecha niezaprzeczalnie chwalebna, jest dla mnie całkiem zbyteczna, przynajmniej w obecnej chwili. – To się udziela, pomyślałam.

Zaczęłam mówić tak, jak on. – Jestem Angielką i nikiem więcej. Colum marnuje swój czas... i twój... na wydobywanie ze mnie sekretów, które nie istnieją. – Albo istnieją, lecz są niewiarygodne, dodałam w myślach. Być może dyskrekcja pana Gowana nie zna granic, ale jego łatwowierność jest wręcz niewyobrażalna. – Chyba nie wysłał cię tylko po to, byś wydarł ze mnie jakieś straszliwe wyznania?

– O, nie! – Pan Gowan roześmiał się wobec tak nieprawdopodobnego pomysłu. – Skądże, moja droga. Powierzono mi odpowiedzialne zadanie: prowadzenie ksiąg finansowych dla Dougala i spraw sądowych dla członków klanu, którzy zamieszkują bardziej odległe tereny. I lękam się, że mimo podeszłego wieku nie wyzbyłem się tej

utrapionej a przemożnej żądzy przygody. Obecne czasy nie są już tak szalone jak niegdyś – dodał z westchnieniem żalu – ale zawsze istnieje możliwość rabunku na gościńcu czy w pobliżu granic. – Poklepał torbę przy siodle. – Mam tutaj coś na taką okazję. – Odchylił klapę na tyle, bym mogła spojrzeć na dwa lśniące pistolety gotowe do użycia.

Przyjrzał mi się bacznie, szacując mój wygląd i ubiór. – Doprawdy, nie powinnaś podróżować bez broni – oświadczył tonem lekkiej dezaprobaty. – Choć Dougal zapewne znalazł ważne argumenty przeciwko takiemu stanowi rzeczy. Mimo to porozmawiam z nim na ten temat.

Reszta dnia minęła nam na przyjemnej pogawędce o starych dobrych czasach, kiedy mężczyźni byli mężczyznami, a podstępny chwast cywilizacji nie rozprzestrzenił się jeszcze w pięknej i dzikiej Szkocji.

O zmroku rozbiliśmy obóz na polance w pobliżu gościńca. Wiozłam ze sobą koc, zrolowany i przywiązany do siodła. On właśnie miał mi być posłaniem podczas tej pierwszej nocy wolności poza zamkiem. Ale kiedy odeszłam od ogniska i zagłębiłam się w mrok drzew, czułam na plecach spojrzenia uważnych oczu. Nawet wśród tych dzikich ostępów moja swoboda miała granice.

Do pierwszego miejsca postoju dotarliśmy w południe następnego dnia. Okazała się nim położona w małej dolinie osada złożona z trzech czy czterech chat. Przed jedną z nich wystawiono zydel dla Dougala, a dwa inne posłużyły za oparcie dla deski, przemyślnie zabranej na nasz wóz. Miała ona pełnić zaszczytną funkcję stołu pana Gowana.

Radca wyciągnął z kieszeni ogromną płachtę wykrochmalonego płótna i rozłożył ją starannie na pniu do rąbania drzewa, chwilowo awansowanym na krzesło. Usadowił się wygodnie i przystąpił do precyzyjnego rozmieszczenia kałamarza, rejestrów i pokwitowań; Zachowywał się z tak niewzruszoną godnością, jakby nadal znajdował się w Edynburgu, w kancelarii za koronkowymi firaneczkami.

Wieśniacy podchodzili kolejno, by załatwić coroczne sprawy z reprezentantem przywódcy klanu. Cały proceder przebiegał dość swobodnie, bez zadęcia, jakie charakteryzowało zgrupowanie na Sali w zamku Leoch. Interesanci przychodzili prosto z pola lub obory i siadali naprzeciwko Dougala, nie okazując żadnej uniżoności.

Wyjaśniali, skarżyli się albo po prostu gawędzili z nim na obojętne tematy.

Niektórzy zjawiali się w towarzystwie krzepkich parobków, niosących worki ziarna lub wełny. W rezultacie każdej rozmowy Ned Gowan z niespożytą energią wypisywał po kwitowanie za zapłacenie podatku, odnotowywał ten fakt w księdze rachunkowej i przywoływał jednego z woźniców, który posłusznie dźwigał daninę na wóz. Rzadziej zdarzało się, że w skórzanym juku zniknęła garstka monet. W tym czasie uzbrojeni strażnicy wypoczywali w cieniu drzew lub znikali na porośniętym lasem zboczu – żeby zapolować, jak się domyśliłam.

Ta sama scena powtarzała się z niewielkimi odmianami przez parę następnych dni.



Od czasu do czasu zapraszano mnie do chaty na szklankę jabłeczника lub mleka, a wszystkie kobiety ze wsi zbierały się w izbie, żeby ze mną pomówić. Niekiedy między obskurnymi chatami trafiała się nawet karczma lub wręcz gospoda, w której zatrzymywaliśmy się na noc.

Czasami podatek spłacano koniem, owcą lub innym domowym zwierzęciem.

Przeważnie sprzedawano je na miejscu komuś ze wsi. Jeśli Jamie ocenił konia jako spełniającego wymogi, przyłączano go do pochodu.

Obecność Jamiego w naszej grupie wydała mi się niewytłumaczalnym zjawiskiem.

Najwyraźniej dobrze znał się na koniach, ale taką samą umiejętnością mogli się pochwalić prawie wszyscy mężczyźni, włącznie z Dougalem. Zważywszy, że wieśniacy rzadko płacili końmi, i to przeważnie niezbyt szlachetnej krwi, zastanawiałam się nad przyczyną wysłania go w podróż. Dopiero po tygodniu od chwili wyruszenia w drogę, w wiosce o niemożliwej do wymówienia nazwie dowiedziałam się, dlaczego Dougalowi zależało na obecności Jamiego.

Wioska, aczkolwiek niewielka, mogła się pochwalić karczmą z dwoma czy trzema stołami i paroma rozchybotanymi zydlami. Tam właśnie Dougal przyjmował podatników i zbierał należność. Po raczej niestrawnym obiedzie, złożonym z solonej wołowiny i rzepy, Dougal postawił piwo wszystkim wieśniakom, którzy nie oddalili się od razu po spłaceniu daniny i zostali, żeby pogapić się na przybyłych i wysłuchać nowin.

Siedziałam cicho w kącie, popijając kwaśne piwo i odpoczywając po długiej konnej jeździe. Nie przysłuchiwałam się szczególnie uważnie gadaniu Dougala, który na zmianę mówił po celtycku i angielsku, przeplatając plotki i gospodarskie rozważania sprośnymi żartami.

Leniwie zastanawiałam się, jak długo zajmie nam dotarcie do Fort William. A kiedy się tam znajdę, jak zdołam rozstać się ze Szkotami, nie narażając się na towarzystwo angielskich żołnierzy? Zatopiona w myślach nie zauważyłam, że od pewnego czasu w karczmie rozbrzmiewa wyłącznie głos Dougala. Zebrani siedzieli w skupionym milczeniu, od czasu do czasu kwitując przemówienie krótkimi okrzykami. Powoli oprzytomniałam i zdałam sobie sprawę, że Dougal rozpoczął fachową agitację. Ale w jakiej sprawie?

Rozejrzałam się. Gruby Rupert i mały prawnik Ned Gowan słuchali Dougala z takim napięciem, że zapomnieli o kufiach z piwem. Jamie siedział przy stole ze wzrokiem wbitym we własny kufel. Najwyraźniej nie interesowała go treść tyrady.

Nagle, bez ostrzeżenia, Dougal wstał, chwycił MacTavisha za kołnierz i pociągnął.

Stara, przetarta koszula trzasnęła w szwach. Jamie zamarł, zaskoczony. Zmrużył oczy, zacisnął szczęki, ale nie poruszył się, kiedy Dougal rozchylił strzepy materiału, prezentując jego plecy widzom. Na widok blizn wszyscy wydali okrzyk zgrozy i zaczęli szeptać z oburzeniem między sobą. Otworzyłam usta, wychwyciłam słowo „Anglicy”, wypowiedziane bez życzliwości, i

postanowiłam trzymać język za zębami.

Jamie wstał z kamienną twarzą po czym wycofał się z tłumu. Starannie zdjął resztki koszuli i zwinął je w kłęb. Jakaś drobna staruszka, która sięgała mu do łokcia, kręciła głową i klepała go po plecach, mówiąc chyba jakieś słowa pokrzepienia. Najwyraźniej jednak nie odniosła zamierzonego efektu.

Jamie odpowiedział szorstko na parę pytań obecnych mężczyzn. Dziewczyny, które przy niosły piwo, zbiły się w stadko pod ścianą i zaczęły szeptać z ożywieniem, przyglądając się przystojnemu Szkotowi szeroko otwartymi oczami.

Jamie rzucił Dougalowi złowrogie spojrzenie, cisnął kłęb gałganów do paleniska i wielkimi krokami wyszedł z izby. Nie zważał na pełne współczucia pomruki tłumu.

Pozbawieni widowiska ludzie zwrócili się znowu do Dougala. Nie rozumiałam, o czym mówili, choć niektóre ich wypowiedzi prawdopodobnie zawierały zdecydowanie antyangielskie treści. Siedziałam rozdarta pomiędzy pragnieniem, by pójść za Jamiem, i niechęcią do zwracania na siebie uwagi. Raczej jednak nie wydawało mi się, żeby młodzieniec tęsknił w tej chwili za moim towarzystwem... Skuliłam się w kącie, spuściłam głowę i zajęłam się oglądaniem swojego zmętniałego odbicia w metalowym kuflu.

Brzęk metalu wytracił mnie z odretwienia. Jakiś krzepki wieśniak w skórzanych spodniach położył na stół przed Dougalem parę monet i zaczął wygłaszać przemówienie.

Stał z dumnie zadartą głową, jakby rzucał tłumowi jakieś wyzwanie. Po chwili niezdecydowanego milczenia dwaj inni śmiałkowie poszli w jego ślady, a potem jeszcze paru. Na stole wylądowały miedziaki wygrzebane z portmonetek i sporranów. Dougal dziękował z całego serca i gestem ręki przywołał karczmarza z następną kolejką piwa.

Zauważyłam, że Ned Gowan skrzętnie chowa nowe datki w oddzielnej sakiewce, której zawartość miała zasilić później osobistą szkatułę Columa. Domyśliłam się, czego dotyczyła agitacja. Powstania – jak wszystkie inne przedsięwzięcia – wymagają kapitału.

Na zorganizowanie i zaopatrzenie wojska potrzeba złota, podobnie jak na utrzymanie przywódców. A ze strzępków mojej wiedzy na temat księcia Charliego, młodego pretendenta do tronu, wynikało, że część wsparcia otrzymał z Francji, lecz reszta finansów na nieudane powstanie pochodziła z chudych sakiewek ludu, którym chciał rządzić. A więc Colum lub Dougal – a może obaj – byli jakobitami, zwolennikami młodego pretendenta i przeciwnikami prawowitego dziedzica tronu Anglii, Jerzego II.

Wreszcie wieśniacy opuścili karczmę, a Dougal wstał i przeciwną się z zadowoleniem. Wyglądał jak kot, który zeżarł kanarka swojej pani. Zważył na dłoni mniejszą sakiewkę i rzucił ją Nedowi Gowanowi.

– No, całkiem nieźle – zauważył. – Nie można się wiele spodziewać po takiej dziurze.

Ale jeśli z każdej tyle dostaniemy, zbierze się zacna

sumka.

– „Zacna” jest tu słowem nie na miejscu – odezwałam się wstając.

Dougal spojrział na mnie z takim zdziwieniem, jakby zobaczył mnie po raz pierwszy.

– Nie? – rzucił z rozbawieniem. – A to dlaczego? Masz coś przeciwko lojalnym poddanym oddającym datki dla suwerena?

– Nie – odparłam, patrząc mu prosto w oczy. – Bez względu na to, kim jest suweren.

Nie podobają mi się tylko twoje metody.

Dougal przyjrzał mi się tak uważnie, jakby spodziewał się wyczytać prawdę z moich oczu.

– Ach, tak? – mruknął. – Myślałem, że nie znasz celtyckiego.

– I nie znam. Ale nie jestem głupia, a słuch mi dopisuje. Nie wiem, jak brzmi po celtycku „niech żyje król Jerzy”, ale z pewnością nie „Bragh Stuart”.

Odrzucił głowę do tyłu i wybuchnął śmiechem.

– Rzeczywiście – zgodził się. – Powiedziałbym, jak należy nazywać po celtycku twój król, ale nie jest to słowo stosowne dla uszu damy, Angielki, czy nie, Pochylił się, podniósł z paleniska podartą koszulę i otrząsnął ją z popiołu.

– Skoro nie podobają ci się moje metody, może zechcesz im przeciwdziałać. – Wcisnął mi w rękę brudny kłęb łachmanów. – Poproś gospodynię o igłę i zaceruj dziury.

– Sam zaceruj! – Odepchnęłam jego rękę i

odwróciłam się, gotowa odejść.

– Jak wolisz – usłyszałam za plecami miły głos Dougala. – Jamie sam naprawi swoją koszulę, jeśli nie zamierzasz się zniżyć, żeby mu pomóc.

Zatrzymałam się i odwróciłam niechętnie.

– Dobrze... – zaczęłam, ale w tej samej chwili pod moim ramieniem prześliznęła się jakaś duża dłoń, która wyszarpnęła koszulę z rąk Dougala.

Jamie obrzucił nas nieprzeniknionym spojrzeniem, wsadził szczytki swojego odzienia pod pachę i wyszedł równie cicho, jak się pojawił.

Dostaliśmy nocleg w chłopskiej chacie. Właściwie powinnam powiedzieć, że to ja do stałam. Mężczyźni spali na dworze, w stogach siana, na wozach i stodółach. Mnie, ze względu na płeć lub status quasi-więźnia, przysługiwała prycza przy kominku. I choć w porównaniu z łóżem, na którym spała cała sześćosobowa rodzina, wydawała się wręcz luksusowym Poślanem, z całego serca zazdrościłam mężczyznom możliwości spędzenia nocy na świeżym powietrzu. Ogień na palenisku nie wygasł, został jedynie przytłumiony, więc w chacie Panował nieznośny zaduch, a jej mieszkańcy bez przerwy przewracali się, szeleścili słomą w sienniku, wzdychali, stękali, chrapali i puszczały wiatry.

Po jakimś czasie przestałam usiłować zasnąć. Wstałam i wykradłam się na zewnątrz, niosąc ze sobą koc. W porównaniu z zabójczą atmosferą chaty powietrze wydało mi się cudownie świeże. Oparłam się o kamienną ścianę i zaczęłam sycić rozkosznie chłodnym wiatrem, pod

drzewem koło ścieżki siedział strażnik, ale nie zaszczycił mnie uwagą; najwyraźniej uznał, że nie ucieknę daleko w samej koszuli. Odwrócił się ode mnie i znów zajął struganiem jakiegoś przedmiotu. Księżyc świecił jasno, a ostrze malutkiego sgiandhu połyskiwało raz po raz w plamie cienia.

Obeszłam chatę i wspięłam się na usytuowane za nią wzgórze. Pomiedzy dwoma wielkimi głazami znalazłam przyjemne zaciszne miejsce, gdzie umościłam się na stercie skoszonej trawy i przykryłam kocem. Wyciągnęłam się wygodnie i zaczęłam śledzić powolną podróż księżycą przez niebo.

Tak niedawno patrzyłam na wschód księżycą z okien zamku Leoch... Była to pierwsza noc niechcianej wizyty u Columa. Od chwili mojego katastrofalnego przejścia przez kamienny krąg minął miesiąc. Chyba już wiedziałam, po co umieszczono tam owe głazy.

Same w sobie nie miały szczególnego znaczenia. To były znaki. Podobnie jak te ostrzegające przed lawinami, miały informować, że miejsce jest niebezpieczne. Miejsce, w którym... co? Skorupa czasu była zbyt cienka? Uchylono jakąś bramę? Nie wiem, czy twórcy kręgu wiedzieli, czym jest ten rejon, przed którym przestrzegali. Dla nich oznaczał pewnie straszną tajemnicę i potężną magię. Miejsce, w którym ludzie znikali bez ostrzeżenia. Albo pojawiali się znikąd.

Co by się stało – pomyślałam – gdyby ktoś był obecny na Craigh na Dun w chwili mojego niespodziewanego przybycia? Zależy od czasów. W

osiemnastym wieku niewątpliwie zostałabym uznana za wiedźmę lub rusałkę. Raczej rusałkę, żyjącą sobie na tym wzgórzu o złej reputacji.

Być może właśnie stąd wzięły się tutejsze przesady. Jeśli ludzie znikali w tych okolicach regularnie, nic dziwnego, że zaczęto mówić o czarach.

Wystawiłam stopę spod koca i poruszyłam swoimi długimi palcami. To nie jest noga rusałki – pomyślałam krytycznie. Byłam wysoką kobietą jak na te czasy; dorównywałam wzrostem większości mężczyzn. Nikt by mnie nie uznał za przedstawicielkę Małego Ludku. A zatem pozostawała mi reputacja wiedźmy lub innego złego ducha. Nie byłam pewna, jakie metody postępowania są przyjęte w odniesieniu do tego rodzaju istot, ale poczułam szczerą wdzięczność dla losu, że nikt nie zobaczył mojego nadejścia.

Zaczęłam się zastanawiać, czy to zjawisko działało także w drugą stronę. A jeśli ktoś od czasu do czasu znika stąd i wyskakuje w dwudziestym wieku? W końcu to właśnie zamierzałam zrobić. Jak zareagowałaby pani Buchanan, urzędniczka z poczty, na widok kogoś w rodzaju – powiedzmy – Murtagha, gdyby wyskoczył przed nią jak diabeł z pudełka?

Najprawdopodobniej by uciekła, wezwała policję... a może nie zrobiłaby nic.

Najwyżej opowiedziałaby o niezwykłym wydarzeniu znajomym i sąsiadom.

A gość z innych czasów? Przy odrobinie szczęścia chyba zdołałby się przystosować do nowego środowiska



bez wzbudzania nadmiernej sensacji. W końcu ja także uchodziłam za kobietę z osiemnastego wieku, choć mój język i wygląd wzbudzały sporo podejrzeń.

A jeśli osoba wyrwana ze swojej rzeczywistości była jednak zbyt odmienna lub zbyt głośno wykrzykiwała, co się z nią stało? Gdyby trafiła do jakiejś prymitywnej epoki, pewnie po prostu zostałaby zabita. A w czasach większego oświecenia uznano by ją za szaloną i skierowano do stosownej instytucji na leczenie. Takie rzeczy mogą się zdarzać od początku świata... Nawet gdyby byli świadkowie zniknięcia, nie mieliby pojęcia, co się stało. A ci, którzy zniknęli, z pewnością zachowywali „po tamtej stronie” grobowe milczenie.

Zatopiona w myślach nie zwróciłam uwagi na zbliżające się głosy i szelest kroków w trawie. Omal nie podskoczyłam, kiedy ktoś odezwał się głośno o parę metrów ode mnie.

– Niech cię diabli, Dougalu MacKenzie – usłyszałam. – Tego to już nie muszę. – Niski głos był zduszony gniewem.

– Czyżby? – odparł drugi z pewnym rozbawieniem. – Zdaje się, że pamiętam jeszcze pewną przysięgę, kiedy obiecywałeś posłuszeństwo. „Jak długo przebywać będę na ziemiach klanu MacKenziech”, tak to chyba brzmiało. – Coś tupnęło głucho. – A to ziemia MacKenziech, chłopcze.

– Przynależałem Columowi, nie tobie. – A zatem był to Jamie MacTavish. Mogłam zgadywać do trzech razy, o co się tak wściekał.

– Stanowimy jedność i dobrze o tym wiesz. –

Usłyszałam ciche klepięcie, jakby ręki o policzek. – Jestem głową i ramionami Columa, tak samo jak jego nogami.

– Jeszcze nigdy nie widziałem, żeby prawica aż tak nie wiedziała, co czyni lewica – brzmiała szybka riposta. Mimo goryczy w głosie Jamiego brzmiało również ponure rozbawienie. – Jak sądzisz, co powie prawica, kiedy się dowie, że lewica zbiera złoto dla Stuartów?

Nastąpiła chwila ciszy.

– MacKenzie, MacBeolainowie i MacVinichowie to wolni ludzie. Nikt ich na siłę do niczego nie nagnie i przed niczym nie powstrzyma. A kto wie? Może się zdarzy, że Colum da więcej dla księcia Charlesa Edwarda niż wszyscy oni razem wzięci.

– Może – zgodził się niższy głos. – może jutro deszcz zacznie padać z dołu do góry.

Ale to nie znaczy, że od razu stanę i będę czekał z wiadrem odwróconym do góry nogami.

– Nie? Więcej zyskasz, jeśli Stuart wstąpi na tron, niż ja. Ominie cię stryczek. Jeśli dbasz o własną skórę...

– Moja skóra to moja sprawa – przerwał wściekle Jamie. – Podobnie jak moje plecy.

– Nie, dopóki ze mną podróżujesz, kochasiu – powiedział drwiąco jego wuj. – Jeśli chcesz usłyszeć, co Horrocks ma ci do powiedzenia, zrobisz, co ci każe. I to tak, bym był zadowolony. Pamiętaj.

W ciemnościach rozległ się szelest. Ciemny kształt podniósł się z kamienia i zniknął.

Tylko jeden cień – pomyślałam. Usiadłam najciszej,

jak mogłam, i wyjrzałam ostrożnie zza wielkich gładów, które mnie kryły. Jamie nadal siedział na kamieniu o parę kroków ode mnie, z brodą opartą na splecionych dłoniach. Był odwrócony plecami. Zaczęłam się powoli wycofywać. Nie chciałam być intruzem w jego samotności, ale on niespodziewanie przemówił:

– Wiem, że tam jesteś. Chodź tu, jeśli chcesz.

Sądząc po tonie, moja obecność była mu zupełnie obojętna. Wstałam i już zamierzałam wyjść, kiedy zdałam sobie sprawę, że jestem w samej koszuli. Taktownie owinęłam się kocem. Jamie miał i tak dość zmartwień, nie musiał się za mnie wstydzić.

Usiadłam obok niego i oparłam się o skałę. Skinał mi przelotnie głową i zatopił się we własnych niewesołych myślach. Niespokojnie tupał stopą w ziemię i wykręcał dłonie tak, że trzeszczały mu kostki.

Właśnie to suche trzaskanie przypomniało mi kapitana Mansona. Był intendentem w szpitalu polowym, w którym pracowałam, i zmagał się z brakiem dostaw, pomyłkami w do starczaniu przesyłek i nieskończonym debilizmem wojskowych biurokratów, a także z własnymi niepowodzeniami. Zwykle łagodny i opanowany, w chwilach zbyt wielkiej frustracji miał zwyczaj zamykać się w gabinecie i walić pięścią w ścianę. Goście w poczekalni obok patrzyli ze zdumieniem na drżące przepierzenie. Po chwili kapitan Manson ukazywał się z powrotem, z posiniaczoną ręką, ale w znacznie lepszym nastroju, gotów rozwiązać aktualny problem. Kiedy go przeniesiono do innego szpitala, ściana gabinetu była podziurawiona w

kilkunastu miejscach.

– Musisz w coś uderzyć – odezwałam się.

– He? – Spojrzał na mnie z zaskoczeniem. Najwyraźniej zapomniał o mojej obecności.

– Walnij w coś pięścią – poradziłam. – Lepiej się poczujesz.

Usta mu się poruszyły, jakby zamierzał coś powiedzieć, ale wstał z kamienia, podszedł zdecydowanym krokiem do okazałej wiśni i zaaplikował jej solidny cios. Chyba odczuł kojące działanie tego zabiegu, ponieważ uderzył jeszcze parę razy. Z kwitnącej korony osypał się deszcz rozkosznych blad różowych płatków.

Po chwili Jamie wrócił, ssąc zranione kostki palców.

– Dziękuję – powiedział z krzywym uśmiechem. – Może jednak dziś zasnę.

– Skaleczyłeś się? – Wstałam, żeby przyjrzeć się jego dłoni, ale on pokręcił głową i zaczął rozcierać palce drugą ręką.

– Nie, nic mi nie jest.

Przez moment staliśmy w niezręcznym milczeniu. Nie chciałam nawiązywać do podsłuchanej sceny ani do wypadków tego dnia. W końcu rzekłam:

– Nie wiedziałam, że jesteś mańkutom.

– Tak, od dziecka. Nauczyciel przywiązywał mi rękę za plecami, żebym pisał prawą.

– I nauczyłeś się pisać prawą ręką?

Skinął i znowu podniósł do ust zranioną dłoń.

– Ale głowa mnie od tego boli.

– Czy podczas walki trzymasz miecz także w lewej dłoni? – spytałam, żeby odwrócić jego uwagę od bólu. – Jamie był nie uzbrojony, jeśli nie liczyć sztyletu i sgiandhu, ale w dzień przeważnie nosił miecz i pistolety, jak większość uczestników wyprawy.

– Nie, całkiem dobrze radzę sobie prawą. Leworęczny szermierz jest wystawiony na większe niebezpieczeństwo, gdyż odwraca się lewym bokiem do przeciwnika, a po tej stronie jest serce.

Zbyt zdenerwowany, by usiedzieć spokojnie, zaczął krążyć po polance i demonstrować ciosy mieczem.

– Z większym mieczem to nie czyni różnicy – dodał. Wyprostował oba ramiona, złączył dłonie i zakreślił ładny, czysty łuk w powietrzu. – Zwykle trzyma się go obiema rękami – wyjaśnił. – A jeśli jesteś tak blisko, że możesz używać jednej ręki, mniejsza o to, którą wybierasz, bo uderzasz z góry i sieczesz wroga przez ramię. Nie w głowę – dodał pouczająco. – Ostrze może się wtedy łatwo ześliznąć. Ale jeśli trafisz go tutaj – dotknął krawędzią dłoni w punkt u spojenia szyi i barku – już się nie podniesie. Nawet jeśli cios nie był czysty, to i tak twój przeciwnik nie zdoła już walczyć tego dnia... jeśli w ogóle.

Jego lewa dłoń opadła do pasa i wyjęła sztylet.

– A jeśli posługujesz się mieczem i sztyletem jednocześnie i nie masz tarczy, wtedy chronisz prawą stronę krótkim mieczem, a sztyletem uderzasz z dołu. Lecz kiedy ręka ze sztyletem jest dobrze osłonięta, możesz podejść z lewej strony, wykręcić się – uskoczył i obrócił się, ilustrując prezentowane manewry – by odtrącić klingę

wroga i walczyć sztyletem, jeśli stracisz miecz lub rękę z mieczem masz raną.

Pochylił się i zatoczył sztyletem płynny, śmiertcionośny łuk, zatrzymując ostrze tuż przed moją pierśią. Mimo woli cofnęłam się o krok. Wyprostował się i schował sztylet z przeproszającym uśmiechem.

– Wybacz, popisywałem się. Nie chciałem cię przestraszyć.

– Jesteś bardzo dobry – powiedziałam szczerze. – Kto cię nauczył tak walczyć? Chyba także musiał być leworęczny.

– Zgadza się, walczy lewą ręką. Najlepszy szermierz, jakiego znam. – Uśmiechnął się niewesoło. – Dougal MacKenzie.

Tylko parę bladoróżowych płatków zostało mu na ramionach. Wyciągnęłam rękę, by je strzepnąć. Rozdarcie na ramieniu zostało zaszyte starannie, choć bez artyzmu.

– Czy on to zrobi znowu? – spytałam niespodziewanie dla samej siebie. Nie mogłam się powstrzymać.

Jamie milczał przez chwilę, ale nie usiłował udawać, że nie rozumie.

– O, tak – przyświadczył. – Dzięki temu dostaje, czego chce.

– A ty mu na to pozwolisz? Tak się wykorzystać?

Spojrzał gdzieś daleko poza mnie, ku wzgórzom za karczmą, w której nadal paliło się małe światełko. Jego twarz była czysta i nieprzenikniona.

– Na razie.

Jechaliśmy powoli dalej, nie więcej niż po parę kilometrów dziennie. Często robiliśmy postoje, żeby Dougal mógł załatwić swoje sprawy, zwykle na rozstajnych drogach lub w chacie, gdzie gromadzili się wieśniacy z workami ziarna i starannie odliczonymi pieniędzmi. Wszystkie datki odnotowywano w księgach rachunkowych i wypisywano pokwitowania.

Kiedy docieraliśmy do wioski na tyle dużej, że znajdowała się w niej karczma lub gospoda, Dougal rozpoczynał przedstawienie. Stawiał piwo, opowiadał historyjki, wygłaszał ogniste przemowy i wreszcie, jeśli widownia rokowała nadzieje, zmuszał Jamiego, by wstawał i pokazywał blizny. Po czym parę monet łądowało w drugiej torbie – przeznaczonej dla Francji i dworu pretendenta.

Usiłowałam ingerować w te sceny przed punktem kulminacyjnym – publiczne demonstracje nigdy nie wydawały mi się pociągające. Pierwszą reakcją na widok pleców Jamiego była pełna zgrozy litość oraz eksplozja przekleństw pod adresem angielskich wojsk i króla Jerzego, często jednak pojawiała się nieznaczną nuta pogardy, zauważalna nawet dla mnie. Usłyszałam kiedyś cichą uwagę jakiegoś mężczyzny, który zwrócił się po angielsku do swojego towarzysza:

– Ohydny widok, nie? Chryste, prędzej bym umarł, niż pozwolił Anglikom na to.

Zły i upokorzony Jamie z każdym dniem stawał się coraz bardziej drażliwy. Wkładał koszulę natychmiast, kiedy Dougal mu na to pozwalał, unikał pytań, nie

przyjmował wyrazów współczucia i korzystał z każdej okazji, żeby się wycofać. Zniknął i nie pokazywał się aż do wyjazdu. Sytuacja osiągnęła punkt krytyczny po paru dniach w małej wiosce Tunnaig. Dougal nadal perorował, trzymając rękę na ramieniu Jamiego, kiedy jakiś wyrostek o długich, tłustych włosach powiedział coś półgłosem. Nie jestem pewna, jak brzmiała ta uwaga, ale wywołała piorunujący efekt. Jamie wydarł się z chwytu Dougala i uderzył chłopaka w żołądek.

Moja znajomość celtyckiego rosła z każdym dniem, choć oczywiście nadal wielu słów nie rozumiałam. Natomiast często potrafiłam określić temat rozmowy na podstawie zachowania mówiących. „Wstawaj i powiedz to jeszcze raz”, tej groźbie towarzyszą podobne gesty na wszystkich podwórkach, ulicach i zaułkach świata. Podobnie jak okrzykowi „Biją naszych!” lub „Brać go, chłopaki!”.

Jamie zniknął pod lawiną brudnych łachmanów; zaimprovizowane stoły przewróciły się z trzaskiem pod ciężarem długowłosego i jego dwóch kolegów. Niezaangażowani widzowie wycofali się pod ściany i zaczęli z zainteresowaniem obserwować widowisko. Ja przysunęłam się do Neda i Murtagha. Niespokojnie przyglądałam się kłębowi wirujących kończyn. Od czasu do czasu w tej dzikiej płataninie błyskał płomień rudych włosów.

– Nie powinniście mu pomóc? – szepnęłam półgębkiem do Murtagha.

Spojrzał na mnie ze zdziwieniem.



– Nie, dlaczego?

– Zawołałby o pomoc, gdyby jej potrzebował – dodał Ned Gowan.

– Skoro tak mówicie... – mruknęłam z powątpiewaniem.

Wcale nie byłam pewna, czy Jamie zdołałby wydać z siebie głos, nawet gdyby śmierć stanęła mu przed oczami; w tej właśnie chwili dusił go jakiś przysadzisty młokos w zielonym stroju. Według mnie zanosilo się, że Dougal wkrótce straci swój najlepszy rekwizyt agitacyjny, choć sam MacKenzie nie wydawał się zaniepokojony. W gruncie rzeczy nikt się specjalnie nie przejmował. Słyszałam, że robiono półgłosem zakłady.

Większość przyglądała się bójce ze spokojnym zadowoleniem ludzi, którzy po dniu ciężkiej pracy otrzymują zasłużoną porcję rozrywki.

Muszę przyznać, że z serca spadł mi całkiem spory kamień, gdy Rupert niedbale zbliżył się do paru wieśniaków, rozważających możliwość włączenia się do bijatyki.

Wpadł na nich z pozornym roztargnieniem, ale dłoń trzymał na rękojeści sztyletu.

Mężczyźni natychmiast się cofnęli.

Okazało się, że układ „trzech na jednego” był dość rozsądnym rozwiązaniem.

Należało oczywiście wziąć pod uwagę fakt, że ów „Jeden” był barczystym i doświadczonego wojownikiem, w dodatku ogarniętym niekłamana żądzą mordy.

Rozrywka straciła sporo dynamizmu po wycofaniu

się zielonego zawodnika, któremu mocno krwawił nos po ciosie łokciem. Po paru minutach zbliżający się koniec starcia stał się oczywisty dla wszystkich – drugi uczestnik potoczył się z jękiem pod stół, trzymając się kurczowo za łądzwie. Jamie i jego pierwotny antagonistą nadal okładali się pięściami na środku podłogi, ale ci, którzy stawiali na drużynę gości, już teraz zbierali wygraną.

Mocne przyduszenie przeciwnika uzupełnione solidnym uderzeniem w nerki ostatecznie przeważyło szalę zwycięstwa na stronę Jamiego.

Dodałam odpowiednik „Dość, poddaję się” do mojego rosnącego zasobu celtyckich słów.

Jamie podniósł się powoli wśród wiewatów tłumu. Powłókł się w stronę najbliższej ławy, cudem ocalałej z zamętu, i opadł na nią, ociekając potem oraz krwią. Ktoś podał mu kufel z piwem, MacTavish osuszył naczynie jednym łykiem. Pochylił się, opierając łokcie na kolanach i eksponując blizny na plecach.

Przynajmniej raz nie spieszył się z włożeniem koszuli; mimo chłodu pozostał obnażony do pasa. Wyszedł odprowadzony pełnymi szacunku pożegnaniem. Wydawał się wyjątkowo spokojny, mimo zadrapań, ran i rozmaitych obrażeń.

– Jedna skaleczona goleń, jedna rozcięta warga, jeden rozbity nos, sześć otartych kłykci, jeden zwichnięty kciuk i dwa chwiejące się zęby. Plus tyle siniaków, że nie chce mi się ich liczyć. – Z westchnieniem zakończyłam oględziny. – Jak się czujesz?

Byliśmy sami w niewielkiej szopie za karczmą,

gdzie zabrałam Jamiego, aby udzielić mu pierwszej pomocy.

– Wyśmienicie – odparł z krzywym uśmiechem. Zamierzał się podnieść, ale zamarł w pół ruchu. – No, może żebra mnie trochę bołą.

– Pewnie, że bołą. Znowu ledwo żyjesz. Dlaczego ciągle walczysz? Wydaje ci się, że jesteś z żelaza?

Uśmiechnął się z zakłopotaniem i dotknął spuchniętego nosa.

– Nie. A szkoda...

Znowu westchnęłam i delikatnie zbadalam jego brzuch.

– Żebra chyba nie są pęknięte, tylko posiniaczone. Ale na wszelki wypadek je zabandażuję. Stój prosto, podwiń koszulę i podnieś ramiona. – Zaczęłam drzeć stary szal, który do stałam od żony karczmarza. Założyłam zaimprovizowany opatrunek. Z tęsknotą myślałam o samoprzylepnym plastrze i innych błogosławieństwach cywilizowanego życia. Zapięłam go broszką Jamiego.

– Nie mogę oddychać – pożałił się.

– Jeśli spróbujesz głębiej odetchnąć, będzie bolało. Nie ruszaj się. Kto cię nauczył tak walczyć? Także Dougal?

– Nie. – Skrzywił się, kiedy zaczęłam przemywać mu ranę octem. – Mój ojciec.

– Naprawdę? A co, był miejscowym mistrzem boksu?

– Co to jest boks? Nie, prowadził gospodarstwo. I hodował konie. – Jamie syknął z bólu, gdy zabrałam się do opatrywania jego otartej goleni. – Kiedy miałem dziewięć

czy dziesięć lat, stwierdził, że z pewnością będę taki duży jak wszyscy z rodziny mojej matki, więc muszę się nauczyć walczyć. – Teraz oddychał już bardziej spokojnie. Wyciągnął pokaleczoną rękę, na którą nałożyłam maść z nagietka. – Powiedział tak: Jeśli wyrośniesz na potężnego chłopca, połowa mężczyzn, których spotkasz, będzie się chciała z tobą zmierzyć. Powalisz jednego, a reszta zostawi cię w spokoju. Ale musisz to zrobić szybko i czysto, bo inaczej przyjdzie ci walczyć przez całe życie. Więc zabrał mnie do stodoły i tak długo się ze mną bił, aż się nauczyłem. Au! To piecze!

– Rany zadane paznokciami trudno się goją, zwłaszcza jeśli przeciwnik nie myje rąk.

A wątpię, żeby ten długowłosy smarkacz kapał się choćby raz do roku. Szybko i czysto...

No, tej walki nie określiłabym w taki sposób, ale sprawiłeś się bardzo dobrze. Ojciec byłby z ciebie dumny.

Powiedziałam to z pewnym sarkazmem. Przez twarz Jamiego przemknął cień smutku.

– Mój ojciec nie żyje.

– Przepraszam. – Zakończyłam przemywanie ran i dodałam cicho: – Mówiłam poważnie. Twój ojciec naprawdę mógłby być z ciebie dumny.

Nie odpowiedział, ale uśmiechnął się nieznacznie. Nagle wydał mi się bardzo młody.

Właściwie ile miał lat? Miałam go o to zapytać, kiedy w drzwiach rozległ się chrapliwy kaszel.

Na progu szopy stał mały żylasty człowieczek, Murtagh. Przyjrzał się z pewnym rozbawieniem

zabandażowanym żebrem Jamiego i rzucił mu niewielki skórzany worek.

Jamie bez trudu złapał sakiewkę. Usłyszałam ciche brzęknięcie.

– A to co? – spytał Jamie.

Murtagh uniósł jedną brew.

– Twoja płaca.

Jamie pokręcił głową i uniósł rękę, żeby odrzucić woreczek.

– Do nikogo się nie najmowałem.

Murtagh powstrzymał go gestem.

– Wykonałeś swoją robotę. Jesteś teraz słynny, przynajmniej wśród tych, co na ciebie postawili.

– Ale Dougal tak chyba nie myśli – wtrąciłam.

Murtagh należał do tych mężczyzn, którzy zawsze wydawali się nieco zbici z tropu, kiedy okazywało się, że potrafię mówić. Mimo to zdobył się na względnie grzeczne skinienie głowy.

– Tak, to prawda. A jednak nie powinieneś się tym przejmować – dodał, zwracając się do Jamiego.

– Nie?

Obaj wymienili dziwne spojrzenia. Najwyraźniej przekazali sobie bez słów jakąś wiadomość, której nie zrozumiałam. Jamie odetchnął i powoli pokiwał głową.

– Kiedy? – spytał.

– Za tydzień. Może za dziesięć dni. W pobliżu miejsca zwanego Lag Cruime. Znasz?

Jamie przytaknął. Już dawno nie widziałam, żeby wyglądał na tak zadowolonego.

– Znam.

Powiodłam wzrokiem od jednego do drugiego. A zatem Murtagh coś wiedział. Może miało to jakiś związek z tajemniczym Horrocksem? Wzruszyłam ramionami. Bez względu na wszystko wydawało się, że dzisiejsze występy Jamiego dobiegły końca.

– Dougal mógłby jeszcze stepować – mruknęłam.

– Co? – Obaj wytrzeszczyli na mnie oczy.

– Mniejsza o to. Dobranoc. – Zabrałam skrzynkę z medycznymi akcesoriami i wyszłam, by znaleźć godziwy spoczynek.

Zbliżaliśmy się coraz bardziej do Fort William. Zaczęłam się poważnie zastanawiać, co powinnam zrobić, kiedy się już tam znajdziemy. Doszłam do wniosku, że to zależy od dowódcy garnizonu. Jeśli uwierzy, że jestem szlachetnie urodzoną damą w tarapatkach, niewykluczone że zostanę odstawiona na wybrzeże w towarzystwie eskorty. Równie dobrze jednak może zacząć mnie podejrzewać, ponieważ będę w towarzystwie MacKenziech. Mimo to rzucalo się w oczy, że nie jestem Szkotką. A jeśli uzna mnie za szpiega.

Ciekawe, co też według nich miałabym szpiegować. Prawdopodobnie ludzi nieposłusznych prawowitemu władcy. A tacy ludzie z pewnością mogliby zbierać datki na rzecz księcia Karola Edwarda Stuarta, pretendenta do tronu.

W takim razie, dlaczego Dougal pozwolił mi być świadkiem tej działalności?

Z łatwością mógł się mnie pozbyć na czas zbierania pieniędzy. No, ale w końcu prowadził zbiórkę w obcym mi

języku. Może właśnie o to chodziło. Pamiętałam dziwny błysk w jego oczach, kiedy powiedział: „Myślałem, że nie znasz celtyckiego”. Pewnie chciał sprawdzić, czy naprawdę nie rozumiem tej mowy. Angielski szpieg chyba nie odważyłby się zapaść w szkockie góry, gdyby nie znał języka, którym posługuje się tu połowa mieszkańców.

Ale nie, z rozmowy Dougala i Jamiego wynikało, że ten pierwszy jest jakobitą, choć Colum najwyraźniej nim nie został... na razie.

W głowie zaczęło mi szumieć od tych wszystkich domysłów. Z zadowoleniem przyjąłem wiadomość, iż zbliżamy się do całkiem sporej wioski. Najprawdopodobniej oznaczało to wygodną gospodę i przyzwoitą kolację.

Gospoda istotnie okazała się przytulna w ramach standardu, do którego przywykłam.

Co prawda łóżko zostało zaprojektowane z myślą o karle – i to lubiącym pchły – ale przynajmniej miałam pokój wyłącznie dla siebie. W innych, mniejszych karczmach sypiałam w głównej izbie, wśród przykrytych tartanami chrapiących osobników. Zwykle zapadałam w sen natychmiast bez względu na warunki, zmęczona do nieprzytomności po całym dniu w siodle i przedstawieniu politycznym w wykonaniu Dougala. Ale pierwszego wieczoru w karczmie leżałam bezsennie przez dobre pół godziny, zafascynowana różnorodnością odgłosów, jakie potrafi wydać męski układ oddechowy. Na próżno by oczekiwać podobnego zjawiska nawet w całym dormitorium pełnym uczennic pielęgniarstwa.

Uświadomiłam sobie, że mężczyźni w szpitalu polowym rzadko chrapali. Owszem, ciężko oddychali. Jęczeli, chwyтали powietrze, czasami płakali przez sen... Nic jednak nie równało się z tym zdrowym hałasem. Pewnie chory człowiek nie może się na tyle rozluźnić, żeby wydobyć z siebie takie dźwięki.

Jeśli dobrze zaobserwowałam, to moi towarzysze podróży cieszyli się doskonałym zdrowiem. Leżeli z rozrzuconymi kończynami i rozdziawionymi ustami, rozciągnięci na twardych deskach podłogi, których nie czuli. Rzucali się w sen z równym apetytem, jak na pożywienie. Dziwnie uspokojona tą kakofonią naciągałam płaszcz na ramiona i także zasypiałam.

Teraz, w tym maleńkim, cuchnącym pokoiku na poddaszu poczułam się dość samotnie. Zdjęłam prześcieradła i solidnie wytrzepałam materac, żeby zniechęcić ewentualnych współlokatorów, ale miałam trudności z zaśnięciem, tak milczące i ciche wydało mi się pomieszczenie po zdmuchnięciu świecy.

Z dołu dobiegały mnie stłumione odgłosy i przelotne hałasy, ale przez to czułam się jeszcze bardziej osamotniona. Po raz pierwszy od chwili przybycia do zamku zostałam sama i wcale nie byłam pewna, czy mi się to podoba.

Właśnie zaczęłam zapadać w odrętwienie, kiedy dobiegło mnie złowróżbne trzeszczenie desek podłogi w korytarzu na zewnątrz. Ktoś się zbliżał, powoli i niepewnie, jakby starał się nie robić hałasu. Usiadłam, wyprostowana jak struna. Gorączkowo macałam w ciemnościach w



poszukiwaniu świeczki. Niechcący potrąciłam krzesiwo, które upadło na podłogę z cichym stuknięciem. Zamarłam, podobnie jak tajemniczy osobnik za drzwiami.

Usłyszałam ciche skrobanie do drzwi. Ktoś szukał klamki. Przypomniałam sobie, że drzwi nie są zamknięte... Chwyciłam lichtarz, wyrwałam z niego ogarek i wysliznęłam się z łóżka.

Lekko skrzypnęły zawiasy. Jedyne okno w izdebce było szczelnie zasłonięte, ale w ciemnościach widziałam zarys drzwi. Słaba poświata poszerzyła się, po czym, ku mojemu zaskoczeniu, zniknęła, a drzwi znowu się zamknęły. Zapadła cisza. Wydawało mi się, że stoję tak co najmniej godzinę, wstrzymując oddech i nasłuchując. Wreszcie odważyłam się zbliżyć ku wyjściu, ciągle trzymając się blisko ściany, ponieważ wydawało mi się, że w tym miejscu deski skrzypią najmniej. Ostrożnie stawiałam kroki, powoli przenosząc ciężar ciała z nogi na nogę. Palcami bosych stóp wymacywałam miejsce spojenia desek.

Wreszcie znieruchomiałam z uchem przy cienkiej płaszczyźnie drzwi. Obiema dłońmi przytrzymałam się framugi na wypadek, gdybym straciła równowagę i wypadła na korytarz. Wydawało mi się, że słyszę jakieś ciche odgłosy, ale nie byłam pewna. Czy to tylko hałasy z dołu, czy też stłumiony oddech kogoś po drugiej stronie?

Od nagłego uderzenia adrenaliny zrobiło mi się trochę niedobrze. Wreszcie znudził mnie ten nieznośny stan niepewności. Chwyciłam mocno lichtarz, gwałtownie otworzyłam drzwi i wyskoczyłam na korytarz.

Właściwie niezupełnie wyskoczyłam. Po pierwszych dwóch krokach potknęłam się o coś miękkiego i runęłam szczupakiem przed siebie. Z impetem walnęłam głową w jakiś twardy przedmiot.

Usiadłam i złapałam się obiema rękami za skronie. Wokół mnie wirowały fantastyczne galaktyki gwiazd. Wyraźnie czułam, że mam pękniętą czaszkę. Fakt, że mogę się stać ofiarą napadu, nagle wydał mi się mało istotny.

Osoba, o którą się potknęłam, kleła pod nosem. Przez mgłę bólu dotarło do mnie, że nieproszony gość (mężczyzna, sądząc po rozmiarach sylwetki i woni potu) podniósł się i otwiera okiennice.

Nagły powiew świeżego powietrza zmusił mnie do zamknięcia oczu. Kiedy je otworzyłam, wewnątrz było na tyle jasno, że mogłam zobaczyć twarz intruza.

– A ty co tu robisz? – spytałam oskarżycielsko.

W tej samej chwili Jamie zapytał dokładnie takim samym tonem:

– Ile ważysz?

– Sześćdziesiąt parę kilo – powiedziałam odruchowo. – Bo co?

– Prawie zmiażdżyłaś mi wątrobę – mruknął, ostrożnie badając obolałe miejsce. – przestraszyłaś mnie jak diabli. – Pomóż mi się podnieść. – Nic ci się nie stało?

– Stało się – wyznałam ponuro. – Stłukłam sobie głowę. – Rozejrzałam się nieco nie przytomnie. – W co walnęłam?

– W moją głowę – oznajmił raczej kwaśno.

– Dobrze ci tak. Dlaczego podsłuchiwałeś pod

drzwiami?

Obrzucił mnie dość niezyczliwym spojrzeniem.

– Nie podsłuchiwałem, na litość. Spałem... a przynajmniej próbowałem. – Potarł spuchniętą skroń.

– Spałeś? Tutaj? – Rozejrzałam się po zimnym, brudnym pomieszczeniu. – Doprawdy, wynajdujesz sobie najdziwniejsze posłania. Najpierw stajnie, teraz korytarz.

– Jeśli cię to interesuje, na dole hulają angielscy dragoni – poinformował mnie lodowato. – Figlują z dwiema kobietami z miasta. Ponieważ są tylko dwie, a ich pięciu, niektórzy wpadli na pomysł, że ruszą na piętro, żeby znaleźć sobie... hm, towarzyski zabawy. Nie sądziłem, żeby ucieszyły cię takie zaloty. – Zrzucił tartanowy szal na ramiona i zawrócił do wyjścia. – Jeśli się myliłem, proszę o wybaczenie. Nie chciałem ci zakłócać wypoczynku. Dobranoc.

– Poczekaj! – Zatrzymał się, ale nie odwrócił. Musiałam go obejść, żeby spojrzeć mu w oczy. Patrzył na mnie grzeczny, lecz odległy.

– Dziękuję – powiedziałam. – Zachowałeś się bardzo uprzejmie. Przykro mi, że na ciebie wpadłam.

Uśmiechnął się, a obojętność znikła, zastąpiona zwykłą dobroduszną miną.

– Nic się nie stało. Angielko – powiedział. – Kiedy tylko minie mi ból głowy i żeber, będę jak nowo narodzony.

Zawrócił i pchnął drzwi pokoju, które zatrzasnęły się po moim gwałtownym wyjściu.

Wszystko w tym budynku było krzywe, nic nie

trzymało pionu. Drzwi zamykały się same jak w nawiedzonym domu.

– Wracaj do łóżka – powiedział. – Ja będę tutaj.

Spojrzałam na podłogę korytarza. Dębowe deski, zimne i bardzo twarde, były poznaczone plamami płwocin, wilgoci i płynów, których pochodzenia nie śmiałam dociekać. Na belce nad drzwiami została wyryta data powstania tego budynku – tysiąc siedemset trzydziesty drugi – i wszystko wskazywało na to, że od tego czasu nikt niczego nie mył w środku.

– Nie możesz tu spać – zaprotestowałam. – Wejdz, podłoga w pokoju nie jest aż tak brudna.

Jamie znieruchomiał z ręką na framudze.

– Spać w jednym pokoju z tobą? Nigdy! Byłabyś zhańbiona!

Mówił jak najbardziej poważnie. Zaczęłam się śmiać, ale opamiętałam się i zatuszowałam swój nietakt napadem kaszlu. Biorą pod uwagę bliskość, w jakiej znalazłam się z konieczności z moimi towarzyszami podróży – zatłoczone gospody i zupełny brak urządzeń sanitarnych – taka pruderia wydała mi się piekielnie zabawna.

– Przecież już spaliśmy w jednym pokoju – zauważyłam, kiedy zdołałam się opanować. – Ty, ja i dwudziestu innych mężczyzn.

– To nie to samo! Wtedy byliśmy we wspólnej izbie, a... – Urwał i spojrzał na mnie ze zgrozą. – Chyba nie myślałaś, że źle zrozumiałem twoją propozycję? – spytał niespokojnie. – Zapewniam cię, że...

– Nie, ależ nie – uspokoiliam go pospiesznie.

Przyjelaam do wiadomosci, iz jego decyzja jest nieodwoalana, wobec czego zaczelaam go naklaniaac, zeby chociaaz wziat koce z mojego lozka. Zgodzil sie z oporami, tylko dlatego, iz nieustannie zapewnialam, ze i tak bym z nich nie skorzystala, bo zamierzalam spaac pod grubym podroznym plaszczem.

Sprobowaalam jeszcze raz mu podziekowac, ale machnal raka.

– Nie myslalam tylko o tobie – wyjasnil. – Sam tez chcialem zejsc im z oczu.

Zupelnie zapomnialam, ze i on mial powody, zeby trzymac sie z daleka od angielskich zoldakow. Mimo to rozumialam, ze ten sam cel mogl osiagnac, gdyby udal sie na spoczynek do cieplej i przewiewnej stodoay. Wcale nie musial sie klast na podlodze przed moimi drzwiami.

– A jezeli ktos przyjdzie? – zaprotestowalam. – Wtedy cie zobacza.

Zamknal okiennice. W korytarzu zapadly nieprzeniknione ciemnosci, a on stal sie bez ksztaltna plama mroku.

– Nie rozpoznaja mojej twarzy – uslyszalam jego gllos. – A pijani nazwiska nie skojarza, nawet gdybym podal im prawdziwe, czego nie zamierzam zrobic.

– Rzeczywiscie – mruknelam z powatpiwaniem. – Ale czy nie beda sie dziwic, co robisz w tych ciemnosciach?

Zachichotal cicho.

– Nie beda. Pomysla, ze czekam na swoja kolejke.

Roześmiałam się i weszłam do pokoju. Zwinęłam się w kłębek na łóżku. Powoli zapadłam w sen. Dziwiłam się rubasznym żartom Jamiego, który wzdrygał się na samą myśl o spędzeniu ze mną nocy w jednym pokoju.

Kiedy się obudziłam, nie znalazłam go pod drzwiami. Schodząc na śniadanie, spotkałam u podnóża schodów Dougala. Czekał na mnie.

– Jedz szybko – rozkazał. – Pojedziemy do Brockton.

Nie chciał mi powiedzieć nic więcej, ale wydawał się zaniepokojony. Po chwili ruszyliśmy stępą w porannej mgle. Ptaki szczebiotały w zaroślach, a ciepłe powietrze zapowiadało piękny dzień.

– Z kim się mamy spotkać? – spytałam. – Możesz śmiało powiedzieć. Wystarczy mi inteligencji, żeby udać zdziwienie, jeśli to konieczne.

Dougal zerknął na mnie z ukosa, ale zdecydował, że mój argument ma sens.

– Z dowódcą garnizonu w Fort William.

Doznałam wstrząsu. Na to nie byłam jeszcze gotowa. Sądziłam, że do fortu zostały nam trzy dni drogi.

– Ale przecież nie jesteśmy w pobliżu! – krzyknęłam.

– Mmmhm.

Najwyraźniej ten dowódca był bardzo energicznym człowiekiem. Nie wystarczało mu siedzenie na miejscu i dogłębne oglądanie garnizonu. Pewnie wyprawił się z oddziałem dragonów na patrol. Żołnierze, którzy znaleźli się tej nocy w gospodzie, służyli pod jego rozkazami i powiedzieli

Dougalowi, że dowódca przebywa w karczmie w Brockton.

To stwarzało pewien problem. Przez resztę drogi zachowywałam milczenie, zajęta rozważaniami. Wcześniej liczyłam na to, że zdołam się uwolnić od kompanii Dougala w chwili, gdy dojedziemy do Fort William, który – zgodnie z moimi wiadomościami – powinien znajdować się o dzień drogi od Craigh na Dun. Wydawało mi się, że nawet pozbawiona żywności i możliwości rozbicia obozu zdołam przejechać tę trasę samotnie i odnaleźć kamienny krąg. A co się stanie później... ha, tego mogłam się dowiedzieć dopiero na miejscu. Teraz moje piękne plany napotkały niespodziewaną przeszkodę.

Gdybym postanowiła się pożegnać z Dougalem tutaj, do kamiennego kręgu zostałyby mi cztery dni jazdy. Nie miałam takiego zaufania do własnych sił i zmysłu orientacji, by założyć, że przejdę pieszo przez dzikie wzgórza i wrzosowiska. Ostatnie tygodnie trudnej podróży sprawiły, że poczułam niechętny szacunek do tych ostrych skał i niebezpiecznych osypisk, nie wspominając już o ewentualnych dzikich zwierzętach. Nie marzyłam o spotkaniu, powiedzmy, z dzikiem w jakiejś opuszczonej dolinie.

Do Brockton dotarliśmy późnym porankiem. Mgła już opadła, a dzień okazał się na tyle słoneczny, że spojrzałam na świat nieco bardziej optymistycznie. Może jednak uda mi się przekonać dowódcę garnizonu, by wyprawił mnie w drogę z niewielką eskortą.

Teraz już rozumiałam, dlaczego dowódca wybrał akurat Brockton na miejsce postoju.

Wioska była na tyle duża, że mieściła dwie karczmy. Jedna nawet okazała się imponującym dwupiętrowym budynkiem ze stajnią. Tu właśnie się zatrzymaliśmy i powierzyliśmy konie opiece stajennego, który ruszał się tak powoli, jakby był z drewna.

Do chwili, kiedy weszliśmy do karczmy, zdołał przemieścić się w pobliże stajennych drzwi.

Zostałam na parterze. W zadumie spoglądałam na talerz dość starożytnych z wyglądu makaroników, a Dougal poszedł na piętro do sanktuarium komendanta. Trochę dziwnie było mi zostać samej. W izbie znajdowało się trzech czy czterech angielskich żołnierzy; rozmawiali przyciszonymi głosami. Po miesiącu spędzonym w klanie MacKenziech obecność angielskich dragonów budziła we mnie zdenerwowanie. Powtarzałam sobie, że zachowuję się niemądrze. W końcu to moi rodacy bez względu na czasy, z jakich pochodzą.

A jednak brakowało mi miłego towarzystwa pana Gowana i Jamiego o nieznanym nazwisku. Żałowałam, że nie dano mi szansy, żeby się z nimi pożegnać. Właśnie zaczęłam się rozczulać, kiedy ze szczytu schodów dobiegł mnie głos Dougala. Wołał, żebym przyszła na piętro.

Dougal wydawał się jeszcze bardziej ponury niż zazwyczaj. Odsunął się bez słowa i wskazał mi komnatę. Komendant garnizonu stał przy otwartym oknie. Jego smukła, strzelista sylwetka rysowała się czernią na tle oświetlonego prostokąta. Odwrócił się i roześmiał krótko na mój widok.

– Tak myślałem. Wiedziałem, że to o ciebie chodzi.



Drzwi się gwałtownie zamknęły i znalazłam się twarzą w twarz z kapitanem Jonathanem Randallem.

Tym razem miał na sobie czysty czerwono-orzechowy mundur z kołnierzem obszytym koronką oraz upudrowaną perukę. Ale twarz była ta sama – twarz Franka.

Serce podeszło mi do gardła. Wokół ust mojego prześladowcy dostrzegłam drobne zmarszczki okrucieństwa, a w postawie pewną arogancję. Kapitan uśmiechnął się do mnie miło i poprosił, żebym usiadła.

Pokój był umeblowany ze spartańską prostotą – biurko, krzesło, długi stół i parę stołków. Kapitan Randall skinął na młodego kaprała, który stał na baczność przy drzwiach. Po chwili otrzymałam kubek piwa.

Dowódca odprawił chłopaka i sam nalał sobie piwa, po czym usiadł z gracją na stołku naprzeciw mnie.

– No dobrze – powiedział z ujmująco miłym wyrazem twarzy. – Powiedz mi, pani, kim jesteś i jak się tu znalazłaś?

Nie miałam wyboru. Opowiedziałam mu tę samą bajeczkę, jaką uraczyłam Columa.

Ominięłam jedynie aluzje do jego zachowania. Nie miałam pojęcia, jak wiele powiedział mu Dougal i nie chciałam ryzykować wpadki.

Kapitan zachowywał grzeczne, lecz sceptyczne milczenie. W przeciwieństwie do Columa nie zadał sobie najmniejszego trudu, żeby ukryć powątpiewanie. Zakołysał się w zamyśleniu na zydłu.

– Oxfordshire? Tam nie ma żadnych Beauchampów, o ile mi wiadomo.

– Skąd może ci być wiadomo, kapitanie? – warknęłam. – Jesteś z Sussex.

Otworzył szeroko oczy. W duchu zwymyślałam się od ostatnich kretynek.

– Czy wolno spytać, skąd o tym wiesz?

– Po... poznałam po twoim głosie. Tak, po akcencie – rzuciłam pospiesznie. – To najwyraźniej Sussex.

Wdzięczne łuki brwi dotknęły krawędzi peruki.

– Ani mój guwerner, ani rodzice nie byliby zachwyceni gdyby wiedzieli, iż moja wymowa tak wyraźnie zdradza miejsce urodzenia – powiedział sucho kapitan. – Zadali sobie znaczny trud i ponieśli wiele wydatków, by temu zaradzić. Lecz skoro okazujesz się tak wytrawnym znawcą lokalnych akcentów – odwrócił się do żołnierza pod ścianą – z pewnością zdołasz rozpoznać pochodzenie tego oto kaprała. Hawkins, zechcesz coś wyrecytować? Obojętne, co – dodał na widok zmieszania swego podwładnego. – Może jakąś popularną śpiewkę?

Kapral – młodzieniec o bezmyślnej, nalanej twarzy i szerokich barach – rozejrzał się w popłochu, szukając dla siebie natchnienia. Wreszcie zdecydował się i zaczął śpiewać: *Hoża praczka Małgorzatka*

*Ściągnęła mi portki z zadka.*

*Alem ją raz zdybał w życie*

*I nagrodził należycie.*

– Hm, to wystarczy, kapralu, dziękuję. – Randall machnął ręką.

Hawkins wycofał się pod ścianę, zlany rześistym potem.

– I? – zwrócił się do mnie dowódca.

– Chyba... Cheshire – zgadłam.

– Blisko. Lancashire. – Przyjrzał mi się zwężonymi oczami. Splótł dłonie na plecach, podszedł do okna i wyjrzał na zewnątrz. Sprawdza, czy Dougal nie przyprowadził posiłków? – pomyślałam.

Znienacka obrócił się do mnie.

– Parlez wu sfrancais?

– Tres bien – odpowiedziałam. – Bo co?

Przechylił głowę i znowu przyjrzał mi się wnikliwie.

– Niech mnie diabli, jeśli jesteś Francuzką – mruknął, jakby do siebie. – Mogłabyś być, ale jeszcze nie spotkałem Francuzki, która by odróżniła londyńczyka od człowieka z Comish.

Wymanikiurowane palce zabębniły o blat stołu.

– Jak brzmi twoje nazwisko panieńskie, droga pani?

– Kapitanie – zaczęłam z najbardziej czarującym uśmiechem, na jaki mogłam się zdobyć w tych okolicznościach. – Rozmowa z tobą sprawia mi ogromną przyjemność, ale powinnam niezwłocznie ruszyć w dalszą drogę. Już i tak zwlekałam zbyt długo.

– Nie pomożesz swej sprawie tym frywolnym tonem, pani – przerwał, przyglądając mi się mocno przymrużonymi oczami. Frank też tak robił, kiedy był z czegoś niezadowolony. Poczułam, że kolana mi miękły. Zacisnęłam dłonie, żeby się opanować.

– Nie istnieje żadna „sprawa”, w której mogłabym sobie pomóc lub zaszkodzić – oświadczyłam śmiało. – Nie

żądać niczego od ciebie, kapitanie, twojego garnizonu czy też od MacKenziech. Chcę tylko, by pozwolono mi spokojnie ruszyć w dalszą drogę. I nie widzę powodów, dla których miałbyś się temu sprzeciwiać.

Zacisnął usta z irytacją.

– Czyżby? Zastanów się przez chwilę nad moją pozycją, a może zrozumiesz, co mógłbym mieć przeciwko twojej podróży. Miesiąc temu wraz z dragonami ścigałem bandę nie zidentyfikowanych szkockich bandytów, którzy uprowadzili stado bydła z przygranicznej posiadłości, gdy...

– Ach, więc tym się zajmują! – zakrzyknęłam. – Nie wiedziałam.

Kapitan wziął głęboki oddech. Najwyraźniej zrezygnował z tego, co zamierzał wyrzucić z siebie w odpowiedzi, i kontynuował swoją opowieść.

– W trakcie tego pościgu – ciągnął opanowanym głosem – spotkałem na wpół nagą Angielkę... w miejscu, w którym żadna szanująca się kobieta z mojego narodu nie powinna przebywać, nawet z odpowiednią eskortą... Angielka ta nie odpowiada na moje pytania, napada na mnie...

– Ty napadłeś na mnie pierwszy! – zaprotestowałam gorąco.

– A jej pomocnik pozbawia mnie przytomności podstępny atakiem. Kobieta ucieka, najwyraźniej korzystając z czyjejś pomocy. Moi ludzie przeszukali starannie tę okolice i zapewniam cię, pani, nie znaleźli ani śladu po twoim zamordowanym słudze, za grabionym bagażu, poszarpanej sukni. Nie istnieje najmniejsze ziarno

prawdy w twojej opowieści!

– Tak? – powiedziałam dość słabo, muszę przyznać.

– Tak. Co więcej, przez ostatnie cztery miesiące szkoccy bandyci nie nękali owej okolicy. Teraz zaś pojawiaasz się, pani, w towarzystwie przywódcy klanu MacKenziech, który twierdzi, że jego brat uważa cię za szpiega, najprawdopodobniej mojego!

– Ale to nieprawda, czyż nie? – zauważyłam rozsądnie. – To przynajmniej wiemy na pewno.

– Rzeczywiście – przyświadczył z przesadną cierpliwością. – Natomiast nadal nie wiem, z kim mam do czynienia, do diaska! Ale dowiem się tego, nie lękaj się, pani.

Jestem dowódcą tego garnizonu. Zostałem więc upoważniony do podejmowania pewnych kroków w celu zapewnienia bezpieczeństwa tej okolicy. Muszę bronić powierzonego mi terenu przed zdrajcami, szpiegami i innymi osobnikami, których zachowanie wyda mi się podejrzane. I jestem przygotowany, by podjąć te kroki w stosunku do ciebie, pani.

– I cóż to za kroki? – spytałam.

Naprawdę chciałam wiedzieć, choć przypuszczałam, że mój rozmówca usiłuje mnie tylko zastraszyć. Kapitan wstał, przyjrzał mi się z namysłem, obszedł stół, wyciągnął rękę i podniósł mnie ze stołka.

– Kapralu – rzucił, nie odwracając wzroku. – Zechciejcie mi pomóc.

Młodzieniec wydawał się bardzo zaniepokojony, ale przyczłapał do nas.

– Stańcie za tą damą – rozkazał Randall raczej znudzonym tonem. – chwyćcie ją mocno za łokcie.

Zrobił zamach i uderzył mnie w spłot słoneczny.

Nie wydałam żadnego dźwięku, ponieważ nie mogłam złapać oddechu. Zgięłam się w pół i osunęłam na podłogę, walcząc o łyk powietrza. Byłam wstrząśnięta tak, że w pierwszej chwili prawie nie czułam bólu. Powoli zaczynał jednak narastać wraz z falą nudności. Wiodłam barwne życie, ale jeszcze nikt mnie nie uderzył po to, żebym po prostu cierpiała.

Kapitan kucnął przede mną. Peruczka lekko się mu przekrzywiła, ale poza tym – jeśli nie liczyć dziwnego błysku w oczach – wydawał się całkowicie niewzruszony. Nie stracił zwykłej powściągliwej elegancji.

– Ufam, że nie jesteś brzemienna, pani – powiedział lekko. – W przeciwnym razie wkrótce pożegnasz się ze stanem błogosławnym.

Wydawałam z siebie charczący dźwięk, gdyż pierwsze strużki tlenu znalazły wreszcie drogę do płuc. Stałam na czworakach i przytrzymałam się krawędzi stołu. Kapral zerknął nerwowo na kapitana, po czym pomógł mi się podnieść.

Przez pokój przepływały fale czerni. Osunęłam się na stół i zamknęłam oczy.

– Spójrz na mnie. – Głos był spokojny, jakbyśmy rozmawiali o pogodzie.

Uniosłam powieki i przekonałam się, że kapitan ginie w gęstej mgle. Opierał ręce o biodra w idealnie skrojonych spodniach.

– Czy teraz chcesz mi coś powiedzieć, pani?

– Przekrzywiła ci się peruka – wymamrotałam i znowu zamknęłam oczy.

Siedziałam przy stole na parterze karczmy, zaglądałam do kubka mleka i walczyłam z mdłościami.

Dougal tylko rzucił okiem na moją twarz, kiedy zesłam, podtrzymywana przez młodego kaprała. Minął mnie zdecydowanym krokiem i popędził na górę. Podłogi i ściany w gospodzie były solidne, lecz mimo to słyszałam podniesione głosy na piętrze.

Uniosłam kubek, ale ręce trzęsły mi się tak, że nie mogłam go utrzymać przy ustach.

Stopniowo dochodziłam do siebie, chociaż nie mogłam się otrząsnąć z szoku.

Wiedziałam, że ten mężczyzna nie jest Frankiem, ale podobieństwo było tak nieodparte, a moje nawyki tak zakorzenione, iż byłam skłonna mu zaufać, tak jak zaufałam mojemu mężowi. Spodziewałam się po nim uprzejmości, jeśli nie sympatii. Wstrząs, którego doznałam, okazał się trudny do przezwyciężenia. Czułam się chora do szpiku kości.

Chora i przerażona. Widziałam jego oczy, kiedy kucnął przy mnie. Coś się w nich poruszyło przez ułamek sekundy. Po chwili zniknęło, ale nie chciałam tego nigdy więcej oglądać.

Skrzypnięcie drzwi wytrąciło mnie z zadumy. Po schodach zbiegał Dougal, za którym podążał kapitan Randall tak szybko, jakby ruszył w pościg za potężnym Szkotem. Dougal stanął niespodziewanie u stóp schodów.

Rzucił Anglikowi straszne spojrzenie. Wielkimi krokami podszedł do miejsca, gdzie siedziałam, rzucił monetę na stół, bez słowa podniósł mnie jednym szarpnięciem i popchnął ku drzwiom. Miałam jedynie czas, by zarejestrować niezwykle wyraz zadowolenia na twarzy kapitana.

Dosiedliśmy koni i ruszyliśmy, zanim zdołałam ułożyć obszerne fałdy spódnicy; materiał wzdął się wokół mnie jak czasza spadochronu. Dougal milczał, ale konie wyczuły atmosferę niepokoju, bo kiedy dotarliśmy do gościńca, ruszyły galopem.

W pobliżu rozstajów z piktyjskim krzyżem Dougal raptownie zatrzymał wierzchowca.

Zeskoczył na ziemię, chwycił wodze obu koni i przywiązał je luźno do małego drzewka. Pomógł mi zsiąść i zanurzył się w krzakach. Ręką dał znać, abym za nim poszła.

Ruszyłam po zboczach wzgórza. Z trudem uchyliłam się przed śmigającymi gałęziami, które wypuszczał z ręki Dougal. Łagodny skłon był porośnięty dębczakami i sośniną.

Słyszałam ćwierkanie sikorek w zagajniku po lewej stronie, a dalej nawołujące się stadko sójek. Trawa miała soczystą zieleń wczesnego lata, kępy szorstkich chwastów sterczały pomiędzy kamieniami i porastały ziemię pod dębami. Pod sosnami naturalnie nie rosło nic; ziemię pokrywała parocentymetrowa warstwa igliwia, stanowiąca schronienie dla małych pełzających stworzeń, szukających ucieczki przed słońcem i drapieżnikami.



Od mocnych zapachów zabolalo mnie gardlo. Bylam tu juz przedtem i czulam te same wiosenne wonie. Ale wtedy aromat sosen i trawy skazaly wyziewy spalin, a glosy ludzi mieszaly sie ze szczebiotem ptakow. Kiedy ostatnio szlam ta sciezka, byla zaslana nie kwieciami malw i fiolekow, lecz niedopałkami papierosow i papierami po kanapkach.

Uwazalam, ze smieci na sciezce to rozsadna cena za cywilizacje znajaca antybiotyki i telefony, ale przez te jedna chwile przestalam za nia tesknic. Bardzo potrzebowalam spokoju, a tutaj go znalazlam.

Dougal zatrzymal sie gwałtownie tuż przed szczytem wzgórza i zniknal w gęstych żarnowcach. Podazyłam za nim z niejakiem trudem. Kiedy wreszcie wylonilam sie z klujacych chaszczy, stal na płaskim kamieniu nad niewielkim jeziorkiem. Za jego plecami widnial wysmagany wiatrami i deszczem glaz z postacią czlowieka, wyrzeźbioną paroma niezdarnymi krechami w spękaney powierzchni. Doszlam do wniosku, ze to pewnie swiete jeziorko. W calych szkockich gorach spotykalo sie male ołtarzyki tego czy innego swietego, czesto ukryte w niedostepnych miejscach. Na wiszacych nad woda galęziach jarzębiny trzepotaly skrawki materialu – ofiary pozostawione przez tych, ktorzy o cos blagali swietego. Moze o zdrowie lub bezpieczna podróz.

Dougal skinal glowa na mój widok. Przezegnal sie, pochylil glowe i zaczerpnal wody w zlozone dlonie. Miała dziwnie ciemny kolor i jeszcze bardziej podejrzaný zapach.

Prawdopodobnie źródło siarkowe, pomyslam. Ale

byłam spragniona, więc poszłam za przykładem Dougala. Woda miała nieco gorzkawy smak, ale dało się ją pić. Zaspokoiliam pragnienie i obmyłam zakurzoną twarz.

Wyprostowałam się z ociekającą twarzą i spojrzałam na Dougala, który przyglądał mi się z ciekawością i wyczekiwaniem.

– Trochę wysoko ten wodopój – rzuciłam lekko. Przy koniach zostawiliśmy butelki z wodą. Wątpiłam też, żeby Dougal przyszedł tu prosić świętego o bezpieczny powrót do karczmy. Coś mi mówiło, że pokłada wiarę w bardziej świeckich środkach bezpieczeństwa.

– Jak długo znasz kapitana? – spytał niespodziewanie.

– Krócej niż ty – warknęłam. – Oprócz dzisiejszego dnia spotkałam go tylko raz, i to przypadkiem. Nie polubiliśmy się.

Ku mojemu zaskoczeniu srogie oblicze rozpogodziło się odrobinę.

– Ha – odezwał się Dougal. – Nie mogę powiedzieć, żebym i ja go miłował. – Zabębnił palcami w cembrowinę. – Ale niektórzy dobrze o nim myślą – dodał, mierząc mnie baczny spojrzeniem. – Dzielny żołnierz, jak słyszałam.

Uniosłam brwi.

– Nie jestem angielskim generałem, nie robi to na mnie wrażenia.

Dougal parsknął śmiechem, ukazując zaskakująco białe zęby. Dźwięk spłoszył trzy gawrony w koronie drzewa, które zerwały się z żalonym wrzaskiem.

– Szpiegujesz dla Anglików czy Francuzów? –

rzucił znowu.

Od tych nagłych zawirowań rozmowy zaczęło mi się kręcić w głowie.

– W ogóle nie szpieguję – powiedziałam z rozdrażnieniem. – Jestem zwyczajną Claire Beauchamp, nikim więcej. – Zamoczyłam chusteczkę i przyłożyłam do karku. Po plecach pociekły mi chłodne strużki wody. W podobny sposób ochłodziłam sobie dekolt.

Dougal milczał przez parę minut, przyglądając mi się z napięciem.

– Widziałaś plecy Jamiego – zagadnął nagle.

– Trudno było nie zobaczyć – odparłam chłodno. Nie potrafiłam pojąć, do czego mają prowadzić te wrywkowe pytania. Prawdopodobnie dowiem się, kiedy Dougal tak zdecyduje.

– Chcesz spytać, czy wiem, że to dzieło Randalla? A ty też to wiesz?

– Owszem – przyznał spokojnie. – Ale dziwi mnie, że tobie jest znana historia tych bliźn.

Wzruszyłam ramionami.

– Byłem tam – dodał niedbale.

– Gdzie?

– W Fort William. Miałem sprawy w garnizonie. Urzędnik wiedział, że Jamie jest moim powinowatym, i powiadomił mnie, że aresztowano chłopaka. Więc przybyłem, by sprawdzić, co mogę zrobić.

– Najwyraźniej ci się nie powiodło – zauważyłam kąśliwie.

Znów wzruszył ramionami.

– Widać nie. Gdybym zastał starszego sierżanta, który tam zwykle dowodził strażą, pewnie bym oszczędził Jamiemu przynajmniej drugiej kolejki. Ale trafiłem na Randalla.

Najpierw myślałem, że chce ukarać Jamiego dla przykładu, by pokazać wszystkim, jaki jest groźny. – Popukał palcami w przypasany do boku krótki miecz. – Rozsądnie, kiedy się rządzi mężczyznami. Zdobyć szacunek, nim zaczną się burzyć. A jeśli to niemożliwe, podbić ich strachem.

Przypomniałam sobie zachowanie kaprała i doszłam do wniosku, że wiem, który sposób wybrał kapitan Randall.

Głęboko osadzone oczy Dougala nie odrywały się od mojej twarzy.

– Jamie ci powiedział, że to dzieło Randalla?

– Wspomniał co nieco – oznajmiłam ostrożnie.

– Pewnie dobrze o tobie myśli. Zwykle nie mówi o tym nikomu.

– Ciekawe, dlaczego – palnęłam sprowokowana. Przy każdej karczmie i gospodzie wstrzymywałam oddech, dopóki nie zostało ustalone, czy tu także odbędziemy wiec agitacyjny, czy też normalnie spędzimy wieczór przy ogniu i piwie. Dougal uśmiechnął się sardonicznie. Dobrze wiedział, co mam na myśli. – No, nie musiał nic gadać, bo już o tym wiedziałem. – Leniwie przesunął dłonią przez ciemną wodę. – Nie orientuję się, jak to jest w Oxfordshire – powiedział z sarkastycznym naciskiem, który mnie nieco zaniepokoił – ale tutaj damy nie bywają narażone na takie widoki jak chłosta. Może widziałaś biczowanie?

– Nie i nie chcę – odparłam ostro. – Potrafię sobie wyobrazić, po jakich obrażeniach powstają takie blizny.

Dougal pokręcił głową i prysnął wodą na ciekawską sójkę, która przyskakwała w nasze okolice.

– Wybacz, ale się mylisz. Wyobraźnia to piękna rzecz, ale nie równa się z widokiem spływającego krwią grzbietu. Paskudna sprawa. Ma złamać ducha... i przeważnie spełnia to zadanie.

– Jamiego nie złamała – rzuciłam z większym rozdrażnieniem, niż zamierzałam.

Jamie był moim pacjentem, a do pewnego stopnia także przyjacielem. Nie miałam ochoty dyskutować na temat jego przeżyć, choć musiałam przyznać, że dręczyła mnie ciekawość. Jeszcze nigdy nie spotkałam kogoś tak otwartego, a jednocześnie tajemniczego jak ten młody MacTavish.

Dougal parsknął krótkim śmiechem i przeczesał włosy mokrą ręką, przyglądając pasma, które rozwichrzyły się podczas ucieczki– bo tak myślałam o naszej podróży z karczmy.

– Ha, Jamie jest uparty jak każdy w jego rodzinie. Wszyscy są nieustępliwi niczym te kamienie, a on najbardziej. – W głosie Dougala brzmiał ton niechętnego szacunku. – Powiedział ci, że został wychłostany za ucieczkę?

– Tak.

– Przeszedł przez mur po zmroku tego samego dnia, w którym go przywieźli. To się często zdarza. Więzienie nie jest taką twierdzą, jak by chcieli Anglicy, więc co noc

pod murami stoją strażę. Urzędnik z garnizonu gadał, że sądząc po wyglądzie Jamiego, chłopak stoczył zacieklą walkę, ale był sam przeciwko sześciu, więc zmagania nie trwały długo. Zakuli go w łańcuchy, a z samego rana zaprowadzili pod pręgierz. – Zrobił pauzę, czekając na moją reakcję. Może się bał, że zemdleję. – Chłosty odbywają się od razu po apelu, żeby wszyscy byli przez resztę dnia w odpowiednim nastroju. Wtedy mieli trzech skazanych, a Jamie był ostatni.

– Naprawdę to widziałeś?

– Tak. I mówię ci, dziewczyno, niemiły widok. Miałem szczęście, że nigdy tego nie doznałem, lecz spodziewam się, że to nic przyjemnego. A najgorsze jest chyba czekanie na swoją kolej, kiedy się widzi chłostanych.

– Nie wątpię – mruknęłam.

– Jamie był ponury, ale nawet nie drgnął, słuchając krzyków i innych odgłosów. Czy wiesz, że rozdierane ciało także wydaje dźwięk?

– Fúj!

– Ano właśnie. – Dougal skrzywił się na samo wspomnienie. – Ledwie ścierpiałem ten widok, choć nie jestem płochliwy. Kiedy nadeszła kolej Jamiego, podszedł do pręgierza. Niektórych trzeba tam ciągnąć, ale on na to nie pozwolił. Wyciągnął ręce do kaprała. Dragon zdjął mu kajdany, złapał Jamiego za ramię, jakby chciał go zaprowadzić, lecz chłopak odtrącił żołnierza i cofnął się o krok. Już myślałem, że zacznie uciekać, ale on ściągnął koszulę. Była rozdarta tu i tam i brudna jak szmata, ale on złożył ją starannie, jakby to było jego najlepsze, odświeżone

ubranie, i położył na ziemi. Potem podszedł do pręgiarza wyprostowany jak struna i wyciągnął ręce, żeby go przywiązali.

Dougal pokręcił głową z podziwem. Promienie słońca przesiewające się przez liście jarzębiny rzucały na niego wzorzysty cień, jakby stał za koronkową firanką.

Uśmiechnęłam się na ten widok, a on skinął głową z aprobatą. Najwyraźniej uznał to za reakcję na opowiadanie.

– Taka odwaga nie zdarza się często. I wiesz, że to nie była nieświadomość. Przecież całkiem niedawno widział dwóch chłostanych mężczyzn i wiedział, że to samo czeka i jego. Ale widać zrozumiał, że nie ma wyjścia. Odwaga w walce nie jest wśród Szkotów niczym dziwnym, lecz z zimną krwią stawić czoło strachowi... o, to wyjątkowa rzecz.

A liczył sobie ledwie dziewiętnaście lat – dodał po chwili.

– Pewnie widok był dość nieprzyjemny – powiedziałam ironicznie. – Dziwię się, że nie zwymiotowałaś.

Dougal wyczuł ironię, ale nie zareagował.

– Niewiele brakowało – przyznał, unosząc ciemne brwi. – Po pierwszym smgnięciu trysnęła krew. Nie minęła minuta, a plecy chłopaka były całe czerwone i sine. Ale nie krzyczał, nie błagał o litość, nie starał się unikać bata. Oparł mocno głowę o słup i stał.

Oczywiście wzdrygał się przy każdym ciosie, ale na tym koniec. Powiadam ci, nie wiem, czy bym tak potrafił. W połowie wymierzania kary zemdłał. Przynieśli wody,

ocucili go i dokończyli robotę.

– Rzeczywiście okropne. Dlaczego mi o tym mówisz?

– Jeszcze nie skończyłem. – Dougal wyjął sztylet i zaczął czyścić paznokcie czubkiem ostrza. Dbał o zachowanie higieny, mimo trudności, jakie napotyka się w podróży.

– Jamie zwisał na sznurach, a krew spływała mu na kilt. Chyba nie zemdleł po raz drugi, ale nie miał sił, żeby się utrzymać na nogach o własnych siłach. Właśnie wtedy na podwórku pojawił się kapitan Randall. Nie wiem, dlaczego dotąd go nie było, może musiał załatwić jakieś ważne sprawy. Jamie dostrzegł dowódcę dragonów i miał na tyle przytomności umysłu, że zamknął oczy i opuścił głowę, jakby omdlał. – Dougal zmarszczył brwi i ze skupieniem przyjrzał się zaognionemu zastrzałowi. – Kapitan wściekł się, kiedy zobaczył, że Jamie jest już wychłostany. Zdaje się, że tę przyjemność chciał zostawić sobie. Ale nie mógł nic na to poradzić. Postanowił więc się wywiedzieć, w jaki sposób Jamie zdołał zbiec. – Przyjrzał się bacznie sztyletowi i zaczął go ostrzyć o kamień, na którym siedział. – Zanim skończył, paru żołnierzy było już sinych ze strachu. Nie przebiera w słowach ten Randall, trzeba mu to przyznać.

– Rzeczywiście – przyświadczyłam sucho.

Sztylet zgrzytał rytmicznie o kamień. Co parę chwil spod metalu tryskała iskra.

– W trakcie śledztwa wyszło na jaw, że Jamie miał ze sobą kawałek chleba i sera, kiedy go złapali. Kapitan



pomyślał przez chwilę i uśmiechnął się bardzo brzydtko.

Oznajmił, że kradzież jest poważnym przestępstwem, które należy ukarać, i zaraz skazał Jamiego na kolejne sto batów.

Wzdrygnęłam się mimowolnie.

– Mogli go zabić!

Dougal przytaknął.

– Tak właśnie rzekł garnizonowy lekarz. Powiedział, że sumienie nie pozwala mu do tego dopuścić. Więzień musi dochodzić do siebie przez tydzień, nim się go podda drugiej chłóście.

– Jaki dobry – warknęłam. – Sumienie, rzeczywiście! A co na to kapitan Randall?

– Z początku nie był zbyt zadowolony, lecz wkrótce się pocieszył. Starszy sierżant rozwiązał Jamiego. Chłopak się śłaniał, ale nie upadł, a paru mężczyzn zaczęło wznosić okrzyki na cześć dzielnego Szkota, co nie spodobało się kapitanowi. I nie był zbyt zadowolony, kiedy sierżant podniósł z ziemi koszulę Jamiego i podał ją chłopakowi, choć inni przyjęli to ciepło. – Dougal obejrzał ostrze ze wszystkich stron. Potem położył sztylet na kolanie i spojrzał mi prosto w oczy. – Widzisz, łatwo być dzielnym, kiedy się siedzi w ciepłej karczmie nad kuflem piwa. Trudniej, gdy się kryjesz na polu, kule świszczą ci nad głową, a wrzosa kłują w tyłek. Ale najtrudniej, gdy stoisz twarzą w twarz ze swoim wrogiem, a krew spływa ci po nogach.

– Nie domyśliłabym się – mruknęłam. Było mi trochę słabo, choć starałam się nie przyznawać. Zanurzyłam

w wodzie obie dłonie, aby ochłodzić rozpalone przeguby.

– W tym samym tygodniu pojechałem do Randalla – powiedział Dougal dość niepewnie, jakby uważał, że musi się usprawiedliwić. – Rozmawialiśmy i zaproponowałem mu rekompensatę.

– Podziwiam – burknęłam. Rzucił mi gniewne spojrzenie. – Naprawdę. To było bardzo odważne z twojej strony. Zakładam, że Randall odmówił, prawda?

– Tak. I jeszcze nie pojmowałem, dlaczego. Dobrze znałem angielskich oficerów i wiedziałem, jacy są praworządni, gdy chodzi o ich sakiewki, a odzienie kapitana nie wyglądało na takie, które można kupić za skromny żołd.

– Może kapitan ma... inne źródła dochodu – podesunęłam.

– Ma – przyświadczył Dougal i przyjrzał mi się przenikliwie. – Ale... – zawahał się, po czym podjął opowiadanie, choć nieco wolniej. – Wróciłem więc, żeby być przy Jamiem, kiedy przyszła na niego pora, choć nie na wiele się mu przydałem.

Tym razem tylko Jamie miał zostać wychłostany. Strażnicy kazali mu zdjąć koszulę przed wyjściem na podwórze. Był zimny październikowy świt. – Widziałem, że chłopak jest piekielnie wystraszony – ciągnął Dougal. – Choć szedł o własnych siłach i nie pozwalał się strażnikom dotykać. Trząśł się nie tylko z zimna, a na ramionach i piersi wystąpiła mu gęsia skórka, choć po twarzy spływał pot.

Po paru chwilach pojawił się Randall z biczem pod

pachą. Ołowiane ciężarki na końcu każdego rzemienia dźwięczały cicho przy każdym kroku. Przyjrzał się zimno Jamiemu, po czym kazał go odwrócić żeby ocenić stan jego pleców.

Dougal skrzywił się z niesmakiem.

– Serce się ścisnęło, wierz mi. Rany jeszcze nie zagojone, wielkie sińce. Wzdrygnąłem się na samą myśl, że na te obolałe plecy spadnie bat. Inni także.

Randall odwrócił się do starszego sierżanta i powiedział: „Dobra robota, Wilkes.

Muszę sprawdzić, czy też tak potrafię”. Następnie wezwał lekarza i kazał mu oficjalnie potwierdzić, że Jamie jest na tyle zdrowy, że można go wychłostać.

– Widziałas kiedyś, jak kot bawi się z myszą? – spytał Dougal. – Tak to wyglądało.

Randall chodził wokół chłopaka, robiąc jedną uwagę po drugiej, a żadnej nie nazwałabyś miłą. Jamie zaś stał niczym dąb, nie odzywał się i patrzył prosto na słup pręgierza. Ani razu nie spojrzął na Randalla. Splótł ramiona, żeby powstrzymać się od drżenia. Kapitan to zauważył. „Zdaje się – powiedział – że nie dalej jak tydzień temu ten oto młodzieniec wykrzykiwał, iż nie boi się umrzeć. Z pewnością ktoś, komu śmierć jest niestraszna, nie obawia się paru batów?” I szturchnął Jamiego w brzuch rączką bicia.

Chłopak spojrzął mu prosto w oczy i odparł: „Nie, ale boję się, że zamarznię na kość, zanim przestaniesz gadać”. – Dougal westchnął. – Śmiałe słowa, lecz piekielnie nierozważne. Chłosta nigdy nie jest przyjemna,

lecz są sposoby, by zmienić ją w piekło.

Uderzenia z boku, głęboko tnące, albo z rozmachu w nerki. – Pokręcił głową. – Bardzo bolesne. Randall był... skupiony, można by rzec, pogodny, jakby patrzył na piękną pannę, jeśli pojmujesz. Odniosłem wrażenie, że chce zrobić Jamieemu coś znacznie gorszego, niż obedrzyć go żywcem ze skóry. Po piętnastym uderzeniu po nogach chłopaka ciekła już krew, a po twarzy płynął mu pot zmieszany ze łzami.

Zachwiałam się i przytrzymałam kamienia.

– No, nie powiem nic więcej. – Dougal zerknął na moją twarz. – Przeżył i tyle. Kiedy kapral rozwiązał mu ręce, prawie upadł, ale żołnierze podtrzymali go i pomogli ustać.

Trząśł się z wyczerpania i zimna, ale głowę trzymał wysoko, a oczy mu płonęły.

Widziałem to, choć stałem daleko. Żołnierze pomogli nieszczęśnikowi zejść z podestu; szedł zostawiając krwawe ślady stóp i patrzył na Randalla, jakby tylko on trzymał go przy życiu. Kapitan pobladł prawie tak jak Jamie i również patrzył na chłopaka.

Wokół panowała zupełna cisza, jeśli nie liczyć słabego szemrania wiatru w liściach jarzębiny. Zamknęłam oczy i przez chwilę słuchałam dalekiego szelestu.

– Dlaczego? – odezwałam się w końcu, nie unosząc powiek. – Dlaczego mi o tym opowiedziałeś?

Gdy otworzyłam oczy, napotkałam przenikliwe spojrzenie. Znowu zanurzyłam rękę w wodzie i zwilżyłam skronie.

– Pomyślałem, że dzięki temu lepiej zrozumiesz jego charakter.

– Randalla? – Roześmiałam się ponuro. – Nie trzeba mi żadnych dowodów na to, kim jest. Piękne dzięki.

– Randalla – zgodził się. – Jamiego.

Spojrzałam na rozmówcę, nagle zaniepokojona.

– Widzisz, dostałem rozkazy. – Ostatnie słowo wymówił z sarkastycznym naciskiem.

– Od naszego dobrego kapitana.

– Jakie rozkazy?

– By doprowadzić angielską poddaną, niejaką Claire Beauchamp, do Fort William w poniedziałek osiemnastego lipca. Na przesłuchanie.

Chyba wyglądałam nieszczęśliwie, bo zerwał się ze swego miejsca i przypadł do mnie.

– Pochyl się, głowa między kolana – zarządził, naciskając mój kark. – Słabość zaraz minie.

– Wiem, co robić – rzuciłam ze słabą irytacją.

Zamknęłam oczy i poczułam, że krew znowu napływa mi do głowy. Zimno z twarzy i uszu zaczęło ustępować, choć ręce nadal były lodowate. Skupiłam się na regularnych oddechach. Wdech: raz, dwa, trzy, cztery, wydech: raz, dwa, trzy, cztery...

Wreszcie wyprostowałam się, gdy już zdołałam nieco opanować doznania. Dougal znów siedział na kamieniu i czekał czujnie, pilnując, żebym nie wpadła do źródła.

– Ale jest wyjście – powiedział niespodziewanie. – Jedyne, jakie widzę.

– Zgadzam się – wykrztusiłam, czyniąc nieudaną próbę uśmiechu.

– Bardzo dobrze. – Pochylił się ku mnie. – Randall ma prawo wezwać cię na przesłuchanie, ponieważ jesteś poddaną Korony angielskiej. A zatem musimy to zmienić.

Spojrzałam na niego tępo.

– Jak to? Ty też jesteś poddanym Korony! Jak można zmienić ten fakt?

– Szkockie i angielskie prawo jest podobne, ale nie takie samo. Angielski oficer nie może do niczego przymuszać Szkota, jeśli nie ma niezbitych dowodów popełnionej zbrodni lub podstaw do poważnych podejrzeń. A nawet wtedy nie zdoła go odwołać z terytoriów klanu bez zezwolenia przywódcy rodu.

– Rozmawiałeś z Nedom Gowanem – powiedziałam.

Znowu zaczęło mi się kręcić w głowie.

Przytaknął.

– Owszem. Chociaż wcześniej sam też myślałem o takim rozwiązaniu. Możemy legalnie sprzeciwić się Randallowi tylko w jeden sposób: jeśli zmienimy cię w Szkotkę.

– Co? – wymamrotałam słabo.

Nabrałam strasznych podejrzeń. Następne słowa Dougala potwierdziły je w całej rozciągłości.

– Cóż, musisz wyjść za Szkota. Za Jamiego.

– Niemożliwe!

– Hm. Mogłabyś wziąć Ruperta. To wdowiec. Ma w dzierżawie małe gospodarstwo.

Jest sporo starszy i...

– Ruperta też nie chcę! Co za absurd...! – Odebrało mi mowę. Skoczyłam na równe nogi i zaczęłam krążyć nerwowo po polanie.

– Jamie to dobry chłopak – zaprotestował Dougal, nie unosząc się z kamienia. – Prawda, niezbyt majątny, ale o złotym sercu. Nie będzie dla ciebie okrutny. I dobrze walczy, a także ma powód, żeby nienawidzić Randalla. No, poślubisz go, a on będzie cię bronił do ostatniego tchu.

– Ale... ja nie mogę za nikogo wyjść! – wyrzuciłam z siebie.

Dougal spojrzał na mnie ostro.

– Dlaczego? Masz męża?

– Nie. Tylko... To idiotyczne! Tak się nie robi!

Dougal już mnie nie słuchał. Spojrzał na słońce i szybko podniósł się z kamienia.

– Pora ruszać w drogę. Musimy załatwić wiele spraw. Trzeba zdobyć specjalną dispensę – mówił bardziej do siebie niż do mnie. – Ale tym się już zajmie Ned.

Wziął mnie za ramię; wyszarpnęłam się z jego chwytu.

– Za nikogo nie wyjdę! – powtórzyłam twardo.

Jakoś się nie przejął.

– Chcesz, żebyśmy zaprowadził cię do Randalla?

– Nie! – Nagle coś mi zaświtało. – Wreszcie uwierzyłeś, że nie jestem angielskim szpiegiem?

– Teraz tak.

– Dlaczego akurat teraz?

Wskazał głową na źródło i wytartą rzeźbę w skale.

Miała pewnie setki lat. Na pewno była o wiele starsza od gigantycznej jarzębiny, która ocieniała źródło i rzucała białe kwiaty na jego ciemne wody.

– Źródło świętego Niniana. Wypiłaś z niego, zanim zacząłem cię wypytywać.

Tym razem zdołał mnie zaskoczyć.

– I co z tego?

Teraz on się zdziwił. Potem na jego ustach pojawił się krzywy uśmiezek.

– To nie wiedziałaś? Nazywają je źródłem kłamców. Cuchnie piekielną siarką. Każdy, kto się z niego napije i skłamie, zginie w wielkich mękach, gdyż woda przepali mu brzuch na wylot.

– Rozumiem – wycodziłam przez zęby. – Moje wnętrzności są w jak najlepszym porządku. Możesz mi uwierzyć, że nie jestem szpiegiem, angielskim ani francuskim.

I uwierz mi w coś jeszcze. Nie zamierzam nikogo poślubić!

Takie pogrożki nie zrobiły na nim żadnego wrażenia. Zaczął się przedzierać przez gęste krzaki. Po chwili zniknął mi z oczu. Ruszyłam w ślad za nim, zgrzytając zębami.

Protestowałam przez całą drogę powrotną do karczmy. Dougal poprosił mnie wreszcie, żebym zachowała siły na dalszą podróż. Od tego momentu jechaliśmy w milczeniu.

Kiedy dotarliśmy do karczmy, rzuciłam wodze na ziemię i popędziłam po schodach jak furia. Pomysł Dougala



był nie tylko oburzający, ale wręcz nie do pomyślenia.

Zaczęłam krążyć po ciasnym pokoiku. Czułam się jak schwytane zwierzę. Dlaczego, do cholery, nie odważyłam się uciec Szkotom wcześniej, bez względu na ryzyko?

Usiadłam na łóżku i spróbowałam się spokojnie zastanowić. Z punktu widzenia Dougala pomysł był całkiem sensowny. Gdyby ośmielił się po prostu sprzeciwić rozkazom Randalla, nie podając żadnej wymówki, kapitan mógłby z łatwością odbić mnie siłą. A Dougal chyba nie chciał wdawać się w zbrojną potyczkę z angielskimi dragonami tylko ze względu na moją osobę.

Właściwie ożenek byłby korzystny także dla mnie. Gdybym została żoną Szkota, nikt by mnie nie pilnował. Łatwiej zdołałabym uciec w odpowiednim czasie. A co do Jamiego... hm, najwyraźniej mnie lubił. I znał góry jak własną kieszeń. Mógłby mnie zabrać do Craigh na Dun, albo przynajmniej w okolice. Małżeństwo wydawało się zatem najlepszym sposobem na osiągnięcie celu.

Tak podpowiadał mi rozum. Ale w tej chwili racjonalne dywagacje w ogóle nie miały dla mnie znaczenia. Krążyłam po pokoju, pieniać się ze złości i szukając drogi ucieczki.

Obojętnie jakiej. Po godzinie takich manewrów byłam niemal nieprzytomna. Policzki mnie paliły, skronie pulsowały bólem. Otworzyłam okiennice i wychyliłam się, by poczuć chłodny wietrzyk.

Usłyszałam pukanie do drzwi. Nie zdążyłam powiedzieć słowa, gdy do izby wtargnął Dougal. W obu

rękach jak tacę niósł arkusz sztywnego papieru. Za MacKenziem kroczył skromny, lecz godny orszak, składający się z Ruperta i nieskazitelnie odzianego Neda Gowana.

– Proszę wejść – odezwałam się z jadowitą uprzejmością.

Dougal zignorował mnie jak zwykle. Z szacunkiem rozpostarł arkusz na szorstkiej dębowej powierzchni.

– Gotowe – oświadczył z dumą kogoś, kto dokonał rzeczy niemożliwej. – Ned przygotował dokumenty. Nie ma to jak dobry radca, zwłaszcza jeśli jest po naszej stronie.

Wszyscy się roześmieli. Najwyraźniej humory im dopisywały.

– Nic trudnego – zastrzegł się skromnie Ned. – Zwykły kontrakt. – Przekartkował dokument i nagle zastygł, jakby uderzony jakąś myślą. – Nie masz posiadłości we Francji, prawda? – spytał, mierząc mnie zatroskanym spojrzeniem.

Pokręciłam głową, a on się rozpromienił, uporządkował kartki i złożył ręce.

– A zatem załatwione. Trzeba tylko podpisać na dole, a Dougal i Rupert będą świadkami.

– A co to ma być? – wyjąkałam.

Moje pytanie miało naturę czysto retoryczną, gdyż na pierwszej stronie dokumentu widniał napis „Kontrakt małżeński”, pięknie wykaligrafowany wielkimi literami.

Dougal stłumił westchnienie wobec mojego uporu.

– Doskonale wiesz. A jeśli nie masz innego pomysłu, żeby wyrwać się z rąk Randalla, podpisz i

skończmy z tym wreszcie. Szkoda czasu.

Pomyśły chwilowo mi się skończyły, mimo iż przez całą godzinę drobiazgowo analizowałam problem. Zaczęłam wierzyć, że ten nieprawdopodobny pomysł był najlepszym wyjściem z sytuacji.

– Ale ja nie chcę wychodzić za męża! – oznajmiłam stanowczo. Zresztą miałam wrażenie, że nie tylko ja muszę wyrazić zgodę. Przypomniałam sobie dziewczynę o jasnych włosach, która całowała się z Jamiem w alkowie na zamku. – A może Jamie nie chce mnie poślubić? – dodałam z nadzieją. – Co ty na to?

Dougal machnął lekceważąco ręką.

– Jamie jest żołnierzem, zrobi, co mu każe. Ty też – dodał z naciskiem. – Chyba że wolisz angielskie więzienie.

Spiorunowałam go nienawistnym spojrzeniem. Od chwili opuszczenia gabinetu Randalla nie mogłam się uspokoić, a napięcie wzrastało z każdą godziną.

– Chcę z nim porozmawiać – oznajmiłam stanowczo.

Dougal uniósł brwi.

– Z Jamiem? Dlaczego?

– Dlaczego? Ponieważ zmuszasz mnie do wyjścia za niego, a o ile mi wiadomo, nawet go o tym nie powiadomiłeś!

Z miny Dougala wywnioskowałam, że to nieistotna formalność. Ostatecznie zezwolił jednak na spełnienie tej fanaberii. Oddalił się wraz ze swą gwardią przyboczną, by sprowadzić Jamiego z szynku.

Wkrótce sam zainteresowany pojawił się w

drzwiach. Wydawał się nieco oszołomiony, co uznałam za całkowicie zrozumiałe.

– Wiesz, że Dougal chce nas ze sobą ożenić? – palnęłam prosto z mostu.

Jamie wyraźnie się rozpogodził.

– Tak, wiem.

– Ale przecież... – zaczęłam z jękiem. – Taki młody człowiek... to znaczy, czy nie ma kogoś innego, kto... kto by cię interesował?

Spojrzał na mnie wzrokiem bez wyrazu. Po chwili na jego twarzy odmalowało się zrozumienie.

– A, czy jestem z kimś po słowie? Nie, kiepski byłby ze mnie mąż – wyznał szczerze, ale zaraz dodał szybko: – Nie mam żadnego majątku, a żyję z żołdu. Potarł brodę, przyglądając mi się z powątpiewaniem. – Istnieje też niewielki problem... wyznaczono cenę za moją głowę. Żaden człowiek nie odda swojej córki komuś, kto w każdej chwili może zostać aresztowany i powieszony. Pomyślałaś o tym?

Machnęłam ręką, lekceważąc kwestię wyjęcia spod prawa. W porównaniu z potwornością całej sytuacji wydawała się doprawdy nieistotna. Podjęłam ostatnią próbę.

– Nie przeszkadza ci, że nie jestem dziewczyną?

Zawahał się przez chwilę.

– Nie – powiedział powoli – jeśli tobie nie przeszkadza, że ja jestem prawnikiem. – Wyszczrzył zęby na widok mojego osłupienia i zaczął się wycofywać w stronę drzwi. – Sądzę, że przynajmniej jedno z nas musi

wiedzieć, co robić.

Drzwi zamknęły się za nim cicho. Okres narzeczeństwa mieliśmy za sobą.

Podpisałam dokumenty i ruszyłam ostrożnie po schodach do szynku.

– Whisky – rzuciłam do starego pomarszczonego potwora za kontuarem. Zawahał się, lecz spełnił moją prośbę, kiedy Dougal skinął potwierdzająco głową. Szklanka, którą dostałam, była gruba, zielonkawa, trochę lepka i wyszczerbiona, ale nie przeciekała, a w tej chwili tylko to się liczyło.

Kiedy się otrząsnęłam z piorunującego wrażenia, jakie zrobiło na mnie pierwsze ze tknięcie ze żrącym płynem, po moim ciele rozeszły się fale ciepła. Poczułam, że obojętnieję na wszystko, a jednocześnie szczegóły otoczenia zaczęły mi się bardzo wyraźnie rysować przed oczami. Mały witraż nad barem, rzucający kolorowe cienie na grubiańskiego szynkarza i naczynia, krzywizna rączki miedzianej warząchwi na ścianie obok mnie, zielona mucha, gmerająca w kleistej kałuży na kontuarze. Świadoma podobieństwa naszej sytuacji, uratowałam ją z niebezpieczeństwa, odsuwając na bok szklanę.

Powoli zaczęły docierać do mnie podniesione głosy zza zamkniętych drzwi po przeciwległej stronie izby. Dougal zniknął w nich po załatwieniu sprawy ze mną.

Zapewne usiłował przekonać drugiego uczestnika imprezy. Z dużym zadowoleniem usłyszałam, że mój przyszły oblubieniec ostro się stawia, choć wobec mnie nie miał żadnych obiekcji. Może nie chciał, abym poczuła się

urazona.

– Tak trzymaj, chłopcze – mruknęłam i pociągnęłam następny łyk. Po jakimś czasie odniosłam mętne wrażenie, że ktoś siłą odgina moje palce, żeby wyjąć z nich zieloną szklanę. Inna ręka pomagała mi zachować równowagę.

– Chryste, upiła się – powiedział jakiś mężczyzna tak szorstko, jakby się najadł papieru ściernego. Zachichotałam, rozbawiona tą myślą.

– Uspokój się, kobieto! – zawołał nieprzyjemny głos. – Pijana jak bela i skrzeczy jak papuga – dodał, zwracając się do kogoś.

– A czego się spodziewałeś... – wtrącił kompan, ale nie dosłyszałam wszystkiego; słowa były niewyraźne i dochodziły z wielkiej odległości. Jednak ich dźwięk mi się podobał – głęboki i napawający otuchą. Głos się zbliżył. Udało mi się rozróżnić parę słów.

Spróbowałam się skupić, ale moja uwaga odpłynęła w innym kierunku.

Mucha wróciła do kałuży; ugrzęzła na samym jej środku. Blask przesianych przez witraż słonecznych promieni migotał na jej zielonym brzuszku. Wbiłam otepiały wzrok w zieloną iskierkę, która pulsowała jaskrawym światłem w rytmie konwulsyjnych podskoków muchy.

– Nie masz szansy, bracie... – wymamrotałam. Iskierka zgasła.

Przebudziłam się i spojrzałam na niski, belkowany sufit. Byłam przykryta aż po brodę grubą kołdrą.

Odniosłam mętne wrażenie, że mam na sobie tylko koszulę. Już zaczęłam wstawać, żeby sprawdzić stan rzeczy, kiedy poczułam, że lepiej tego nie robić. Bardzo powoli położyłam się z powrotem, zamknęłam oczy i przytrzymałam sobie głowę, żeby nie stoczyła się z poduszki na podłogę.

Nieco później obudziłam się ponownie, słysząc skrzypnięcie drzwi. Ostrożnie otworzyłam jedno oko. Rozmazany kształt przybrał postać przyglądającego mi się z dezaprobatą Murtagha. Zamknęłam oko. Usłyszałam mruknięcie po szkocku, prawdopodobnie sygnalizujące pełne zgromy obrzydzenie, ale kiedy znowu spojrzałam, mój gość zniknął.

Właśnie zaczęłam się błogo pograżać w sen, kiedy drzwi znowu się otworzyły. Tym razem w progu stanęła kobieta w średnim wieku. Uznałam, że mam przed sobą żonę właściciela gospody. Niosła dzban i miednicę. Wesoło wdarła się do mojej izdebki i otworzyła okiennice z trzaskiem, który rozległ się mi w głowie niczym wystrzał z działa przeciwlotniczego. Pomaszerowała w stronę łóżka, wyszarpnęła mi kołdrę ze słabych palców i odsłoniła moje dygoczące, obolałe ciało.

– Chodź, gołąbeczko! – zakrzyknęła energicznie. – Trzeba cię przygotować!

Wyciągnęła masywne ramiona i podniosła mnie jak szmacianą lalkę. Jedną ręką chwyciłam się za głowę, drugą za żołądek.

– Przygotować? – wybełkotałam, z trudem poruszając zdrewniałym językiem.

Gospodyni zaczęła obmywać mi twarz.

– Właśnie tak – przyświadczyła. – Chyba nie chcesz stracić własnego ślubu, co?

– Chcę – oznajmiłam z mocą, ale zostałam zignorowana.

Kobieta bezceremonialnie zdarła ze mnie koszulę i postawiła mnie na środku pokoju, by poddać bardziej intymnym zabiegom.

Po jakimś czasie usiadłam na łóżku, kompletnie ubrana, oszołomiona i oziębiała, lecz – dzięki szklaneczce portwajnu, zaaplikowanego przez dobrą karczmarzową – przynajmniej zdolna do funkcjonowania. Popijałam właśnie drugą szklaneczkę, a karczmarzowa rozczesywała mi włosy, kiedy drzwi znowu się otworzyły. Podskoczyłam, rozlewając portwajn. A niech ich cholera weźmie, zakląłam w duchu wściekle. Wizyt im się zachciało. Tym razem odwiedziło mnie dwóch gości, Murtagh i Ned Gowan, obaj jednakowo pełni dezaprobaty. Murtagh obejrzał mnie ze wszystkich stron, mrucząc pod nosem. Wrócił do Neda i powiedział coś tak cicho, że nie dosłyszałam. Rzucili mi ostatnie zbolale spojrzenie i wyszli.

Wreszcie moje włosy zostały uczesane zgodnie z gustem karczmarzowej – ściągnięte w kok na czubku głowy, z pojedynczymi loczkami wypuszczonymi przy uszach i na karku.

Skórę na twarzy miałam napiętą do granic możliwości, ale muszę przyznać, że fryzjerskie zabiegi sprawiły mi przyjemność. Zaczęłam się czuć prawie jak człowiek i zdobyłam się nawet na podziękowanie kobiecie



za jej wysiłki. Zostawiła mi lustro i wyszła. Na pożegnanie rzuciła uwagę, że mam szczęście, biorąc ślub w lecie, bo jest mnóstwo kwiatów do przy strojenia włosów.

– Idący na śmierć pozdrawiają cię – powiedziałam do mego odbicia w zwierciadle i za salutowałam. Padłam jak długa na łóżko, przycisnęłam do twarzy jakąś mokłą szmatę i znowu zasnęłam.

Śniło mi się coś nawet przyjemnego, kwiatki i zielone doliny. Nagle zdałam sobie sprawę, że to, co brałam za wiaterek, trzepoczący moimi rękawami, jest dłonią, w dodatku nie zbyt delikatną. Poderwałam się z łóżka, dziko młócąc wokół siebie rękami.

Otworzyłam oczy i przekonałam się, że mała izdebka jest zatłoczona jak stacja metra.

Ned Gowan, Murtagh, karczmarz, jego żona i młody chudzielec – przedstawiony mi jako syn karczmarza – z naręczem różnorodnych kwiatów, odpowiedzialnych za zapachy w moim śnie. Zobaczyłam także dziewczynę z okrągłym wiklinowym koszykiem.

Uśmiechała się do mnie przyjaźnie, prezentując brak kilku przednich zębów.

Okazało się, że szczerbata panna jest miejscową szwaczką, zaangażowaną do zaradzenia niedostatkom mojej garderoby. Miała dopasować suknię, o którą wystarał się karczmarz. Zdobytą kreację trzymał Ned. Zwisiała mu z ręki jak martwe zwierzę. Gdy rozpostarł ją na łóżku, okazała się dziełem sztuki z mięsistego kremowego atlasu, z oddzielnym stanikiem, zapinanym na dziesiątki guziczków z materiału, a każdy był ozdobiony

wyhaftowaną złotą lilią. Wokół dekoltu i obfitych rękawów pieniły się koronki, dekorujące również wierzchnią spódnicę z czekoladowego aksamitu. Karczmarz ginął pod powodzią falbaniastych cieniutkich halek, spod których wyglądały tylko jego krzaczaste wąsy.

Spojrzałam na plamę portwajnu na sukience z szarej serży i poczułam, że próżność zwycięża. Jeśli rzeczywiście miałam wziąć ślub, nie powinnam wyglądać jak wioskowe popychadło.

Po chwili gorączkowego zamieszania – kiedy tkwiłam sztywno jak manekin, a wszyscy inni miotali się wokół, podając różne elementy garderoby, krytykując i wpadając na siebie nawzajem – efekt końcowy został osiągnięty. Stałam ubrana, z wpiętymi we włosy białymi astrami i herbacianymi różami oraz z dziko bijącym sercem pod koronkowym gorse. Strój nie był doskonale dopasowany i mocno pachniał poprzednią właścicielką, ale atlas wydawał się przyjemnie mięsisty i fascynująco szeleścił przy każdym kroku. Poczułam się jak królowa, i to całkiem piękna, muszę przyznać.

– Nie możesz mnie do tego zmusić – syknęłam do pleców Murtagha, schodząc razem z nim na parter.

Oboje jednak wiedzieliśmy, że to czcze pogroźki. Jeśli kiedyś miałam dość siły charakteru, by sprzeciwić się Dougalowi i zaryzykować oddanie się w ręce Anglików, whisky odebrała mi ją bezpowrotnie.

Dougal, Ned i reszta czekali w szynku. Pili i wymieniali uprzejmości z kilkoma wieśniakami, którzy najwyraźniej nie mieli w tym dniu nic lepszego do roboty.

Dougal zauważył mnie schodzącą powoli po schodach i zamilkł raptownie. Inni również przestali rozmawiać, a ja spłynęłam na dół, otoczona bardzo przyjemnym obłokiem podziwu.

Dougal przyjrzał mi się wnikliwie i uklonił się z prawdziwym upodobaniem.

Minęło już sporo czasu, odkąd mężczyzna patrzył na mnie w taki sposób. Skinęłam wdzięcznie głową.

Po chwili milczenia wszyscy zaczęli wykrzykiwać wyrazy zachwytu i nawet Murtagh, zadowolony z efektów swoich wysiłków, pozwolił sobie na powściągliwy uśmiech. A kto cię prosił, żebyś odgrywał dyktatora mody? – pomyślałam z niechęcią. Mimo to musiałam przyznać, że właśnie dzięki niemu nie wychodzę za mąż w szarej serży. Za mąż.

O Boże! Mile ukołysana działaniem portwajnu i kremowej koronki, zdołałam zapomnieć o celu uroczystości. Rzeczywistość uderzyła mnie jak obuchem; musiałam się przytrzymać balustrady, żeby nie upaść.

Spojrzałam na salę i zauważyłam jedno rażące przeoczenie. Nigdzie nie widziałam mojego oblubieńca. Może jednak udało mu się uciec przez okno, pomyślałam i nieco podniesiona na duchu przyjąłam kubek wina. Wypiłam trunek i wyszłam w ślad za Dougalem.

Ned i Rupert poszli po konie. Murtagh gdzieś zniknął – może ruszył w pościg za Jamiem. Dougal wzięił moje ramię w stalowym chwycie. Pozornie po to, żeby mnie podtrzymać, gdybym się pośliznęła w atlasowych pantofelkach, a naprawdę dlatego, aby powstrzymać mnie

przed próbą ucieczki w ostatniej chwili.

Według szkockich standardów mieliśmy ciepły dzień, co oznaczało, że mgła nie jest na tyle gęsta, by można ją było uznać za mżawkę, choć niewiele brakowało do tego stanu.

Drzwi karczmy otworzyły się gwałtownie i ukazało się w nich słońce – w postaci Jamiego.

Jeśli ja byłam promienną panną młodą, on stanowił moją godną oprawę. Otworzyłam usta ze zdumienia.

Szkocki góral w pełnym rynsztunku zawsze wygląda imponująco, nawet jeśli jest stary, brzydki lub niezgrabny. Młody, wysoki i całkiem niebrzydki Szkot to zjawisko zapierające dech w piersiach.

Gęste, złotorudawe włosy Jamiego zostały wyszczotkowane tak, że zmieniły się w gładką i lśniącą falę, spływającą na kołnierz pięknej batystowej koszuli o szerokich rękawach obszytych koronką, taką samą jak w wykrochmalonym żabocie, udekorowanym rubinową broszą.

Jego tartan miał barwę intensywnego szkarłatu i czerni. Pomiędzy bardziej skromnymi zieleniami i bielami MacKenziech kolory jarzyły się żywym ogniem.

Z prawego ramienia spadała mu gustowna draperia, przypięta srebrną broszą i wsunięta za pas nabijany srebrnymi ćwiekami, skąd spływała ku czarnym butom ze srebrnymi kłamrami. Stroju dopełniał sztylet, miecz i sporran ze skóry borsuka.

Ten nowy Jamie w niczym nie przypominał zaniedbanego chłopaka stajennego, do którego przywykłam

– i dobrze o tym wiedział. Skłonił się przede mną z nieskazitelną gracją i z oczami pełnymi kpiących ogników wymruczał:

– Do usług, pani.

– O – westchnęłam słabo.

Nigdy przedtem nie widziałam, żeby srogi Dougal stracił mowę. Zmarszczył krzaczaste brwi.

– Czyś ty oszalał? – spytał wreszcie. – A jeśli ktoś cię zobaczy?

Jamie uniósł ironicznie brew.

– A cóż to, wuju, obelgi? W dniu mojego ślubu? Chyba nie chcesz, bym zawstydził mą żonę? Poza tym – dodał ze złośliwym błyskiem w oku – nie sędzę, by ślub był legalny, gdybym nie przystąpił do niego pod prawdziwym nazwiskiem. A chyba chcesz, żeby wszystko po szło jak należy, prawda?

Dougal opanował się z wyraźnym trudem.

– Jeśli skończyłeś, zabierajmy się do rzeczy.

Ale wyglądało na to, że Jamie jeszcze nie skończył. Sięgnął do sporranu, ignorując gniewne sapanie Dougala, i wyjął krótki sznurek białych paciorków. Podszedł do mnie i zapiął mi go na szyi. Zerknęłam w dół i ujrzałam rząd małych nieregularnych pereł, przedzielonych złotymi paciorkami, z których zwisały mniejsze perełki.

– To tylko szkockie perły – powiedział usprawiedliwiającym tonem Jamie. – Ale ładnie wyglądają na tobie.

Jego palce zatrzymały się na chwilę na mojej szyi.

– To perły twojej matki! – rzucił Dougal, patrząc

spode łba na naszyjnik.

– Zgadza się – przyświadczył spokojnie Jamie. – A teraz należą do mojej żony.

Jedźmy.

Jako orszak ślubny stanowiliśmy dość ponurą grupę. Państwo młodzi jechali otoczeni przez towarzyszy jak para skazańców w drodze do więzienia. Jamie wymruczał tylko przeprosiny za spóźnienie. Wyjaśnił, że miał pewne problemy ze znalezieniem czystej koszuli i płaszcza.

– To należy chyba do syna pierwszego gospodarza we wsi – powiedział, trącając palcem koronkowy żabot. – Elegant z niego, jak widać.

Zsiedliśmy z koni u stóp małego wzgórza. Wąska ścieżka wiała się przez wrzosowisko.

– Załatwiłeś? – usłyszałam szept Dougala.

Rupert błysnął białymi zębami w gęstwinie czarnej brody.

– Tak. Trochę trudno było nakłonić ojczulka, lecz pokazaliśmy mu specjalną licencję.

– Poklepał sporran, który zabrzączał melodyjnie.

Wyrobiłam sobie pewne pojęcie na temat natury wspomnianej licencji. Przez zasłonę mżawki i mgły ujrzałam kaplicę, samotną pośród wrzosowisk. Na widok okrągłego dachu i okienek z wieloma szybkami przetarłam oczy. Widziałam już ten budynek – pewnego słonecznego poranka, kiedy brałam ślub z Frankiem Randallem.

– Nie! – krzyknęłam. – Nie tutaj! Nie mogę!

– Spokojnie, spokojnie. Już dobrze. – Dougal poklepał mnie jak spłoszonego konia. – Taki niepokój to

nic dziwnego – poinformował wszystkich, po czym popchnął mnie na ścieżkę. Moje atlasowe pantofelki zapadły się w warstwie przegniłych liści.

Jamie i Dougal szli po obu moich stronach, by zapobiec ewentualnej próbie ucieczki.

Poczułam narastającą histerię. Za dwieście lat wezmę ślub w tej samej kaplicy, oczarowana jej staroświeckim urokiem. Dziś lśniła nowością, o staroświeckim uroku jeszcze nikomu się nie śniło, a ja miałam wyjść za dwudziestotrzylatka, Szkota, katolika, który nie miał jeszcze żadnej kobiety, a za jego głowę wyznaczono nagrodę i...

Odwróciłam się w panice do Jamiego.

– Nie mogę za ciebie wyjść! Nawet nie znam twojego nazwiska!

Spojrzał na mnie i unióśł rudą brew.

– O... Fraser. James Aleksander Malcolm MacKenzie Fraser – przedstawił się powoli.

– Claire Elizabeth Beauchamp – powiedziałam kompletnie ogłupiała i, wiedzona idiotycznym odruchem, podałam mu rękę. Najwyraźniej uznał to za prośbę o pomoc w dalszej drodze, bo włożył ją sobie pod łokieć i pociągnął mnie za sobą. Nie miałam innego wyjścia. Ruszyłam ku miejscu kaźni.

Rupert i Murtagh już czekali na nas w kaplicy, pilnując zdybanego księdza, młodzieńca z czerwonym nosem i przerażoną miną, która mnie wcale nie dziwiła. Rupert leniwie ociosywał wielkim majchrem gałązkę wierzby, a na cembrowinie chrzcielnicy położył w zasięgu

ręki dwa pistolety. Inni mężczyźni także pozbyli się broni. Cały oręż zwalili na imponującą stertę na ławie w głębi kościoła. Tylko Jamie zachował sztylet i miecz, prawdopodobnie jako element odświętnego stroju.

Ukłoniliśmy przed drewnianym ołtarzem, Murtagh i Dougal zajęli miejsca świadków.

Ceremonia się rozpoczęła.

Obrządek katolickiego ślubu nie zmienił się przez te dwieście lat, a przysięga małżeńska brzmiała bardzo podobnie jak ta, która połączyła mnie z Frankiem. Czułam się niczym pusta skorupa. Zająkliwe słowa młodego księdza odbijały się echem w moim żołądku.

Kiedy nadeszła pora ślubowania, wstałam i ujrzałam z pewnego rodzaju oszołomioną fascynacją, że moje zlodowaciałe palce znikają w mocnej i dużej dłoni oblubieńca. Palce miał równie zimne jak ja. Zdałam sobie sprawę, że mimo pozornego spokoju może być zdenerwowany nie mniej ode mnie.

Do tej pory starałam się na niego nie patrzeć, ale teraz podniosłam wzrok i napotkałam jego spojrzenie. Twarz miał bladą i znieruchomiałą; wyglądał tak jak wtedy, gdy opatrywałam mu ramię. Spróbowałam się uśmiechnąć, ale usta zadrżały mi jak do płaczu. Mocniej uściśnił moją dłoń. Miałam wrażenie, że nawzajem się podtrzymujemy na duchu. Gdyby któreś z nas odwróciło wzrok lub cofnęło rękę, pewnie oboje byśmy upadli. To dziwne, ale poczułam się nieco pewniej. Cokolwiek nas czeka, przynajmniej jesteśmy razem.

– Biorę cię, Claire, za żonę... – Głos mu nie drżał,



ale dłoń owszem. Nasze zeszywniałe palce splotły się mocno – ...kochać, szanować i chronić... w zdrowiu i chorobie... – Słowa dochodziły jakby z oddali.

Krew odpłynęła mi z głowy. Stanik z fiszbinami uwierał jak wszyscy diabli i choć trzęsłam się z zimna, po plecach spływały mi strużki potu. Miałam nadzieję, że przynajmniej nie zemdleję.

W bocznej ścianie sanktuarium znajdował się mały witraż z prymitywnym wyobrażeniem Jana Chrzciciela.

Na rękaw mojej sukni padały niebieskie i zielone cienie, które przypomniały mi o szynku w gospodzie. Rozpaczliwie zapragnęłam szklaneczki czegoś mocniejszego.

Moja kolej. Lekko się zająknęłam, co doprowadziło mnie do białej gorączki.

– Bio... biorę cię, Jamesie... – Wyprostowałam się. Jamie zdołał przez to przebrnąć, więc i ja mogę. –...i że cię nie opuszczę... – mówiłam coraz pewniejszym głosem –...póki śmierć nas nie rozłączy.

Słowa rozbrzmiały w ciszy kościółka ze złowrogim naciskiem. Wszyscy milczeli, jakby nie śmieli nawet odetchnąć. Ksiądz wyciągnął rękę po obrączkę.

Obok mnie zapanowało lekkie poruszenie. Kątem oka zauważyłam twarz Murtagha.

Był wstrząśnięty. Ledwie miałam czas zrozumieć, że ktoś zapomniał o tym ważnym rekwizycie, kiedy Jamie puścił moją rękę i zsunął pierścień z własnego palca.

Na lewej dłoni nadal miałam obrączkę Franka. W bladym błękitnawym świetle moja prawa ręka wydawała

się sina, sztywna i jakby zamrożona. Duże metalowe kółko wśliznęło się na serdeczny palec. Pierścień był tak luźny, że pewnie by się zsunął, gdyby Jamie nie zamknął mojej dłoni w swojej.

Książd wymamrotał coś, a Jamie pochylił się, żeby mnie pocałować. Nasze wargi spotkały się na ułamek sekundy, ale męzowski dotyk był ciepły i miękki, więc instynktownie pochyliłam się ku zaślubionemu Szkotowi. Prawie nie zwracałam uwagi na otoczenie. Widzowie zareagowali wrzaskami entuzjazmu, lecz ja nie zauważałam niczego prócz tego ciepła i siły. Obiecywały bezpieczeństwo.

Odsunęliśmy się od siebie i wymieniliśmy nerwowe uśmiechy. Zauważyłam, że Dougal wyjął sztylet Jamiego. Zastanowiłam się niemrawo, co to ma znaczyć.

Jamieuniósł prawą rękę, nie odwracając ode mnie spojrzenia. Wydałam cichy okrzyk, gdy ostrze sztyletu przesunęło się po jego nadgarstku. Na skórze pojawiła się gruba krecha ciemnej krwi. Nie zdążyłam nawet pomyśleć, żeby cofnąć rękę. Dougal złapał ją i po chwili poczułam palący dotyk ostrza. Dougal połączył nasze przeguby i owinął je paskiem białego płótna.

Chyba się zachwiałam, bo Jamie podtrzymał mnie za łokieć wolną ręką.

– Wytrzymaj – powiedział cicho. – Już niedługo. Powtarzaj za mną. – Był to krótki celtycki tekst, dwa lub trzy zdania. Nic dla mnie nie znaczyły, ale posłusznie je wypowiedziałam, potykając się na trudnych głoskach. Płótno zostało rozwiązane, rany osuszone, a małżeństwo

uznane za zawarte.

W drodze powrotnej atmosfera wyraźnie zelżała. Tym razem przypominaliśmy prawdziwy weselny orszak, jeśli nie liczyć ciągle ponurej panny młodej.

Prawie dotarliśmy do stóp wzgórza, kiedy dały znać o sobie głód, kac i ogólne napięcie. Ocknęłam się, leżąc na mokrych liściach, z głową na kolanach mego nowego męża. Jamie otarł mi twarz mokrą szmatką.

– Aż tak źle? – Uśmiechnął się do mnie, ale w jego oczach zobaczyłam niepewność, która mnie rozczuliła. Posłałam mu słaby uśmiech.

– To nie przez ciebie – zapewniłam. – Tylko... Chyba nic nie jadłam od wczorajszego śniadania... i za dużo wypiałam.

Jego usta zadrgały.

– Tak też słyszałem. No, znam na to lekarstwo. Jak powiedziałem, nie mam zbyt wiele do ofiarowania mojej żonie, ale obiecuję, że nie będę cię głodził. – Uśmiechnął się i nieśmiało odgarnął mi palcem lok z twarzy.

Spróbowałam wstać. Skrzywiłam się, czując palący ból nadgarstka. Zapomniałam o tym ostatnim elemencie ceremonii. Rana się otwarła, niewątpliwie wtedy, gdy upadłam zemdlona na ziemię. Odebrałam szmatkę Jamiemu i niezdarnie owinęłam nią przegub.

– Myślałem, iż właśnie dlatego omdlałaś – odezwał się Jamie. – Powiniennem cię ostrzec. Nie pojmowałem, że nie znałaś tego obrządku, póki nie ujrzałem twojej twarzy.

– Co to właściwie za zwyczaj? – spytałam, usiłując wsunąć końce szmatki pod zwoje opatrunku.

– Żdziebko pogański, ale tradycja nakazuje złożyć przysięgę krwi wraz ze zwykłą przysięgą małżeńską. Niektórzy duchowni na to nie pozwalają, ale ten książyk chyba nie chciał się niczemu sprzeciwić. Był prawie tak przerażony jak ja – dodał z uśmiechem.

– Przysięga krwi? Co oznaczały te słowa?

Jamie ujął moją prawą rękę i delikatnie schował ostatni rożek prowizorycznego bandaża.

– Po celtycku to się rymuje. Brzmi tak:

*Tyś krwią z krwi mojej, kością z mojej kości.*

*Oddaje ci me ciało, byśmy byli jednym.*

*Oddaję ci mą duszę aż po kres dni naszych.*

Wzruszył ramionami.

– Tak samo jak w kościelnej przysiędze, tylko bardziej... prymitywnie.

Zerknęłam na obwiązany nadgarstek.

– Aha, można tak powiedzieć.

Rozejrzałam się; byliśmy sami. Nad nami chwiały się gałęzie osiki. Okrągłe opadłe liście zaścielały ziemię, lśniąc jak mokre zardzewiałe monety. Ciszę mąciło tylko kapanie pojedynczych kropel deszczu.

– Gdzie są inni? Wrócili do karczmy?

Jamie skrzywił się niechętnie.

– Nie. Kazałem im odejść, bym mógł się tobą zająć, ale czekają na nas. Nie ufają ani tobie ani mnie. Muszą mieć pewność, że wszystko zostanie załatwione oficjalnie.

– Chyba już zostało? Wzięliśmy ślub.

Jamie odwrócił się, jakby zażenowany. Starannie strzepnął z kiltu suche liście.

– Mmmhm. Wzięliśmy, a pewnie. Ale małżeństwo nie jest prawomocne, dopóki nie zostanie skonsumowane. – Ognisście purpurowy rumieniec ukazał się zza krawędzi żabotu popelzył wyżej.

– Ach tak – odparłam ze zrozumieniem. – Chodźmy poszukać czegoś do jedzenia.

W karczmie czekało już na nas skromne weselne przyjęcie. Serwowano wino, świeży chleb i pieczoną wołowinę. Dougal chwycił mnie za łokieć i zatrzymał na schodach, gdy zamierzałam wejść na górę, by odświeżyć się przed ucztą.

– To małżeństwo ma być skonsumowane – poinstruował mnie cicho, lecz z naciskiem. – Nie może być wątpliwości, nie wolno zostawić żadnej furtki, by je anulować. Inaczej wszyscy ryzykujemy głową.

– Wydaje mi się, że i tak już to robimy – zauważyłam kąśliwie. – Zwłaszcza ja.

Dougal poklepał mnie mocno po siedzeniu.

– Tym się nie martw. Rób, co do ciebie należy. – Przyjrzał mi się krytycznie, jakby powątpiewał w moje możliwości. – Znałem ojca Jamiego. Jeśli chłopak się w niego wdał, nie będziesz miała z tym kłopotów. A, tuś mi! – Popędził do mojego świeżo zaślubionego małżonka, który właśnie wrócił ze stajni. Sądząc po minie Jamiego, on także otrzymał instrukcje.

Jak ja się w to wpakowałam? – pomyślałam z rozpaczą. Jeszcze sześć tygodni temu zbierałam sobie spokojnie zioła, a w domu czekał na mnie mąż. Teraz tkwiłam w pułapce wiejskiej gospody i czekałam na

zupełnie innego męża, którego prawie nie znałam, lecz musiałam z nim dopełnić obowiązków małżeńskich pod groźbą utraty wolności lub nawet życia.

Usiadłam na łóżku, sztywna i przerażona, nadal w pożyczonej sukni. Usłyszałam, że masywne drzwi sypialni uchylają się i zamykają z cichym skrzypnięciem zawiasów.

Jamie stał w progu i patrzył na mnie. Napięcie jeszcze bardziej wzrosło. Wreszcie to on przerwał milczenie.

– Nie bój się – powiedział cicho. – Nie zamierzałem na ciebie wskoczyć.

Mimo woli parsknęłam stłumionym śmiechem.

– Nie sądziłam, że to zrobisz. – Prawdę mówiąc, spodziewałam się, że mnie nie dotknie, dopóki go do tego nie zachęcę. Pozostawało faktem, że muszę mu pozwolić na znacznie więcej.

Spojrzałam na niego z wahaniem. Pewnie byłoby mi dużo trudniej, gdyby nie był tak pociągający. A jednak... przez osiem lat sypiałam tylko z Frankiem. Co więcej, ten młodzieniec nie miał żadnego doświadczenia. Jeszcze nigdy nikogo nie pozbawiłam dziewictwa. Trzeba jednak zapomnieć o całym absurdzie sytuacji i rozważyć kwestię z najbardziej praktycznego punktu widzenia. Ale jak, do stu diabłów, zacząć? Jeśli dalej będziemy działać w tym tempie, za trzy dni nadal będziemy tak stać i patrzeć na siebie.

Odchrząknęłam i poklepałam łóżko obok siebie.

– Zechcesz... usiąść?

– Jasne. – Przeszedł przez pokój. Ruszał się jak

wielki kot. Ale zamiast zająć miejsce obok mnie, przyciągnął zydela i ustawił go naprzeciw. Z pewnym wahaniem sięgnął po moją rękę i ujął ją w obie dłonie – duże, o szerokich palcach. Jego dotyk obudził we mnie lekki dreszcz i nie wiadomo dlaczego przypomniałam sobie słowa ze Starego Testamentu:

„gdyż skóra Jakuba była gładka, jego brat zaś Ezaw był owłosiony”. Frank miał długie i smukłe dłonie, prawie pozbawione owłosienia, arystokratyczne. Uwielbiałam na nie patrzeć, kiedy prowadził wykłady.

– Opowiedz mi o swoim mężu – odezwał się Jamie, jakby czytał w moich myślach.

Omiał nie wyszarpnęłam rąk.

– Co?

– Posłuchaj. Mamy dla siebie trzy lub cztery dni. Nie będę udawać, że wiem wszystko, co trzeba, ale długo mieszkałam w gospodarstwie i choć ludzie różnią się od zwierząt, można się domyślić, co się powinno robić. Mamy trochę czasu na rozmowę, żebyśmy przestali się siebie bać. – Ta szczerza ocena sytuacji nieco mnie rozluźniła.

– Boisz się? – Nie robił takiego wrażenia, choć może i był zdenerwowany. Nie przypominał płochliwego szesnastolatka, ale przecież to jego pierwszy raz. Spojrzał mi prosto w oczy i uśmiechnął się nieśmiało.

– Tak. Bardziej niż ty, jak sądzę. Dlatego trzymam cię za ręce; żeby dłonie przestały mi się trząść. – Nie uwierzyłam, ale podziękowałam mocnym uściskiem.

– To dobry pomysł. Łatwiej jest rozmawiać, kiedy się dotykamy. Ale dlaczego spytałeś o mojego męża? –

Przestraszyłam się, że chce się dowiedzieć o moim życiu erotycznym z Frankiem.

– Wiem, że o nim myślisz. Nic dziwnego. Nie chcę, byś sądziła, że nie możesz ze mną o nim pomówić. Choć teraz to ja jestem twoim mężem... bardzo osobliwe uczucie... nie chcę, żebyś o nim zapomniała albo chociaż starała się to uczynić. Jeśli go kochałaś, pewnie był dobrym człowiekiem.

– Tak... był. – Głos mi zadrżał.

Jamie pogładził kciukami wierzch moich dłoni.

– Więc oddam mu cześć, służąc jego żonie. – Uniósł moje ręce i pocałował je uroczyście.

Odchrząknęłam.

– To bardzo piękne słowa.

Niespodziewanie wyszczerzył zęby.

– Wymyśliłem je, kiedy Dougal wznosił toasty.

Zaczerpnęłam haust powietrza.

– Muszę cię o coś spytać.

Spojrzał, kryjąc uśmiech.

– Spodziewałem się tego. Co chcesz wiedzieć? – W oczach błysnęło mu łobuzerskie światełko. – Dlaczego jeszcze nie byłem z kobietą?

– Hm... to chyba twoja sprawa – mruknęłam.

Nagle zrobiło mi się dość ciepło. Uwolniłam jedną rękę i zaczęłam szukać chusteczki.

W kieszeni namacałam coś twardego.

– Och, zapomniałam! Ciągle mam twój pierścień. – Oddałam mu klejnot, złoty i masywny, z rubinem o kaboszonowym szlifie.



Jamie nie wsunął go na palec, lecz schował do sporranu.

– To ślubny pierścień mojego ojca – wyjaśnił. – Zwykle go nie noszę, lecz... hm, chciałem wyglądać dziś najlepiej, jak mogłem... żeby cię uhonorować. – Zarumienił się lekko i zaczął starannie zapinać sporran.

– Wyświadczyłeś mi wielki zaszczyt – powiedziała z mimowolnym uśmiechem.

Przy wspaniałym stroju rubin ginął nie zauważony, ale wzruszyła mnie troskliwość Jamiego.

– Znajdę pierścień, który będzie pasować na twój palec, najszybciej, jak zdołam – obiecał.

– Nieważne – rzuciłam z zażenowaniem. Przecież wkrótce zamierzałam się z nim rozstać. – Ale mam jedno poważne pytanie – dodałam, wracając do porządku obrad. – Jeśli zgodzisz się na nie odpowiedzieć. Dlaczego mnie poślubiłeś?

– Ach... – Puścił moje dłonie i nieco się cofnął. Przez chwilę milczał i wyglądał wełnianą spódniczkę. Pod fałdą grubej materii widziałam zarysy twardych mięśni. – Na przykład dlatego, że brakowałoby mi rozmów z tobą.

– Nie, poważnie – powtórzyłam z uporem. – Dlaczego?

Z jego twarzy znikł uśmiech.

– Zanim ci powiem, chciałbym cię o coś poprosić – powiedział powoli.

– O co?

– O szczerłość.

Chyba się wzdrygnęłam, bo pochylił się ku mnie z

napięciem.

– Wiem, że są rzeczy, o których nie chcesz lub nie możesz mi mówić. – Nawet nie zdajesz sobie sprawy, jak blisko jesteś prawdy – pomyślałam. – Nie będę nigdy nalegał ani dopytywał się o to, co uważasz za swoją tajemnicę – ciągnął poważnie. – Są też rzeczy, o których ja także nie chcę ci powiedzieć, przynajmniej nie teraz. I nie poproszę cię o nic, czego nie możesz mi dać. Ale błagam o jedno: mów mi prawdę. Obiecuję, że zrobię to samo. Nie możemy sobie niczego podarować z wyjątkiem... chyba szacunku.

I sądzę, że szacunek dopuszcza tajemnice, ale nie kłamstwa. Zgadzasz się?

Rozpostarł dłonie, wyciągnął je ku mnie. Na jego przegubie rysowała się ciemna linia po przysiędze krwi. Położyłam ręce na jego dłoniach.

– Zgadzam się. Będę wobec ciebie szczerą. – Jego palce zamknęły się lekko na moich.

– A ja wobec ciebie. – Wziął głęboki oddech. – Pytałaś, dlaczego cię poślubiłem.

– Jestem odrobinę ciekawa – przyznałam.

Uśmiechnął się; w oczach zabłysły mu wesołe iskierki.

– Nie mogę cię za to winić. Miałem parę powodów. I o jednym z nich... może o dwóch... jeszcze nie mogę ci powiedzieć. Ale głównym powodem jest ten, dla którego ty wyszłaś za mnie. Ucieczka przed Jackiem Randallem.

Wzdrygnęłam się na wspomnienie kapitana. Jamie uścisnął mocniej moje dłonie.

– Jesteś bezpieczna – powiedział z siłą. – Masz moje nazwisko i rodzinę, mój klan.

A jeśli okaże się to konieczne, ochronię cię własnym ciałem. Dopóki żyję, nie wpadniesz w ręce dowódcy angielskich dragonów.

– Dziękuję – powiedziałam.

Spojrzałam w jego młodą, zdecydowaną twarz o szerokich kościach policzkowych i mocnej szczęce. Po raz pierwszy poczułam, że pomysł Dougala mógł mieć jakiś sens.

„Ochronię cię własnym ciałem”. Przypomniałam sobie jego zaciekle popisy, kiedy wyjaśniał mi zasady walki. Choć był taki młody, wiedział, co mówi, a blizny na jego ciele świadczyły o tym dobitnie. Nie liczył sobie więcej lat niż piloci, którymi się opiekowałam w szpitalu, i równie dobrze jak oni zdawał sobie sprawę z ceny zobowiązań. Nie składał mi romantycznych obietnic. Zamierzał zapewnić mi ochronę nawet kosztem własnego życia. Miałam nadzieję, że zdołam się mu czymś odwdzińczyć.

– To nadzwyczaj szlachetna obietnica – powiedziałam szczerze. – Ale czy z tego powodu warto było... się zenić?

– Warto – przyświadczył, kiwając głową. Znowu się uśmiechnął, tym razem dość ponuro. – Wiesz, że dobrze poznałem tego człowieka. Nie oddałbym mu nawet psa, a co dopiero bezbronnej kobiety.

– Piękne dzięki – mruknęłam, a on parsknął śmiechem.

Wstał i podszedł do stolika przy oknie. Ktoś, może karczmarzowa, postawił na nim bukiet polnych kwiatów w szklance do whisky. Za nim znajdowały się dwa kieliszki i butelka wina. Jamie napełnił je i wrócił na miejsce.

– Nie tak zacne, jak trunki z piwniczki Columa – powiedział z uśmiechem. – Ale i nie takie złe. – Uniósł kieliszek. – Za panią Fraser – wyszeptał, a ja znowu poczułam narastającą panikę. Zdławiłam ją i uniosłam kieliszek.

– Za szczerłość.

Oboje spełniliśmy toast.

– No, to jeden powód – odezwałam się po chwili. – A inne, o których możesz mi powiedzieć?

Przyjrzał się uważnie swojemu kieliszкови.

– Może po prostu chciałem cię posiąść. – Podniósł gwałtownie głowę. – Pomyślałaś o tym?

Jeśli chciał mnie zbić z tropu, osiągnął pełny sukces. Mimo to postanowiłam się nie poddawać.

– A ty? – spytałam śmiało.

– Jeśli mam być szczerzy... tak. – Błękitne oczy patrzyły na mnie nieruchomo nad krawędzią kieliszka.

– Nie musiałeś się ze mną żenić, żeby to zrobić – zauważyłam.

Wydawał się oburzony.

– Chyba nie sądzisz, że wziąłbym cię bez małżeństwa!

– Wielu mężczyzn by tak uczyniło – mruknęłam z rozbawieniem.

Spojrzał na mnie z niekłamaną zgrozą i

najwyraźniej w świecie odjęło mu mowę.

Kiedy zdołał się już opanować, oznajmił z oficjalną godnością:

– Może zbyt szybko sobie pochlebiam, lecz chciałbym wierzyć, że jestem inny niż „wielu mężczyzn”, moje obyczaje zaś nie są tak nikczemne.

Zapewniłam go z przejęciem, że jego zachowanie było zarazem rycerskie i godne.

Przeprosiłam za to, iż niechcący mogłam rzucić cień podejrzenia na motywy jego postępowania.

Po tym dyplomatycznym stwierdzeniu zamilkliśmy i zajęliśmy się winem.

Przez jakiś czas bez słowa popijaliśmy trunek, nieco onieśmieleni szczerością ostatnich zdań. A zatem rzeczywiście istniało coś, co mogłam mu ofiarować. Szczerze mówiąc, nie mogłabym uczciwie stwierdzić, że ta myśl nigdy nie zaświtała mi w głowie, nawet jeszcze przed zaistnieniem tej absurdalnej sytuacji, w jaką tak niespodziewanie rzucił nas los. Jamie był bardzo pociągającym młodym mężczyzną. A tuż przed przybyciem do zamku trzymał mnie przez chwilę na kolanach i...

Przechyliłam kieliszek i osuszyłam go do dna. Znowu poklepałam łóżko obok siebie.

– Usiądź bliżej – poprosiłam. Zastanowiłam się nad jakimś neutralnym tematem, który pozwoliłby nam zapomnieć o skrępowaniu. – I... opowiedz mi o swojej rodzinie.

Gdzie mieszkałeś jako dziecko?

Materac zapadł się znacznie pod jego ciężarem, a ja

napięłam wszystkie mięśnie, żeby nie wpaść na Jamiego. Znajdowaliśmy się tak blisko siebie, że jego rękaw muskał moje ramię. Położyłam dłoń na swoim udzie, a on ujął ją, całkowicie naturalnym gestem.

Oparliśmy się o ścianę. Nie patrzyliśmy na siebie, ale mieliśmy świadomość, iż nasze ciała się dotykają.

– Hm... od czego mam zacząć? – Oparł duże stopy o zydeł i skrzyżował je w kostkach.

Z pewnym rozbawieniem rozpoznałam gest Szkota, przygotowującego się do długiej i zawilej gawędy o wszelkich możliwych koligacjach klanowych. Opowiadanie rodzinnej historii od wieków stanowiło nieodmierne tło wszystkich istotnych wydarzeń w tym kraju. Pewnego wieczoru spędziliśmy razem z Frankiem sporo czasu w wiejskim pubie, zauroczeni rozmową dwóch starych pierników. Mężczyźni doszukiwali się winnego zburzenia wiekowej stodoły poprzez odtwarzanie zawikłanych losów okolicznych mieszkańców, prowadzących ze sobą wojnę – o ile zdołałam się zorientować – od roku tysiąc siedemset dziewięćdziesiątego. Przeżyłam kolejny szok (już się zaczęłam powoli do tego przyzwyczajać), kiedy sobie uświadomiłam, że ta wojna, której początki ginęły w mroku dziejów, jeszcze się nie rozpoczęła... Opanowałam wewnętrzny zamęt i zmusiłam się do uważnego słuchania opowieści Jamiego.

– Moim ojcem był Fraser, ma się rozumieć, młodszy przyrodni brat obecnego pana Lovata. Ale matka pochodziła z MacKenziech. Wiesz, że Dougal i Colum są moimi wujami? – Skinęłam głową. Rodzinne podobieństwo

wyraźnie rzucało się w oczy, mimo różnicy w karnacji. Szerokie kości policzkowe i długi prosty nos dobitnie świadczyły o związkach z klanem MacKenziech.– Moja matka była ich siostrą, oprócz niej mieli jeszcze dwie. Ciotka Janet nie żyje tak jak moja matka, ale ciocia Jokasta poślubiła kuzyna Ruperta i mieszka nad jeziorem Eilean. Ciocia Janet miała sześcioro dzieci, czterech chłopców i dwie dziewczynki. Ciotka Jokasta trzy dziewczynki. Dougal ma cztery córki, Colum tylko małego Hamisha, a moi rodzice mieli mnie i moją siostrę, którą nazwali na cześć ciotki Janet, ale zawsze wołaliśmy na nią Jenny.

– Rupert też jest MacKenziem? – spytałam, usiłując zapamiętać tę litanię.

– Tak... – Jamie zastanowił się przez chwilę. – Jest ciotecznym bratem Dougala, Columa i Jokasty. Jego ojciec i mój dziadek Jacob byli braćmi, a także...

– Chwileczkę. Nie wdawaj się w szczegóły, bo utknijemy na amen. Jeszcze nawet nie doszliśmy do Fraserów, a już się pogubiłam w twoich kuzynach.

Potał brodę z namysłem.

– Hmm... Po stronie Fraserów wszystko jest trochę bardziej skomplikowane, jako że mój dziadek Simonzenił się trzy razy, więc ojciec miał przyrodnie rodzeństwo z trzech różnych matek. Na razie powiem tylko, że ze strony Fraserów mam trzech wujów i trzy ciotki. Nie wdawajmy się w wyliczanie wszystkich kuzynów.

– Właśnie – powiedziałam z pewną wdzięcznością i napełniłam kieliszki. Okazało się, że ziemie MacKenziech i Fraserów przylegały do siebie i bieły równolegle od

wybrzeża po koniec Loch Ness. Wspólna granica, jak to bywa w takich przypadkach, nie została zaznaczona na żadnej mapie i stanowiła kwestię umowną. Zmieniała położenie zależnie od czasów, zwyczajów i przymierzy. Na południowym krańcu terytorium klanu Fraserów znajdowała się niewielka posiadłość Broch Tuarach, własność Briana Frasera, ojca Jamiego.

– Ziemia jest tam żyzna, stawy zarybione, a lasy pełne łownej zwierzyny. Znajduje się na niej może sześćdziesiąt zagród i mała wioska, Broch Mordha. Stoi także dwór, ma się rozumieć, bardzo nowoczesny – dodał z dumą. – A także stary budynek, w którym przechowujemy teraz ziarno i mamy pomieszczenia dla zwierząt. Dougal i Colum nie byli zadowoleni, kiedy ich siostra wyszła za Frasera. Nalegali, by nie mieszkała na terenach Fraserów, lecz miała własną ziemię. Dlatego oddano mojemu ojcu Lallybroch... tak nazywają tę posiadłość tamtejsi mieszkańcy... lecz w dokumentach znalazła się klauzula przyznająca te ziemie mojej matce. Gdyby umarła bezdzietnie, po śmierci mojego ojca ziemie wróciłyby do lorda Lovata niezależnie od tego, czy ojciec miałby dzieci z inną kobietą. Ale on nie ożenił się powtórnie, a ja jestem synem pani z domu MacKenziech.

Więc Lallybroch należy do mnie.

– Wczoraj powiedziałeś, że nie masz majątku. – Pociągnęłam kolejny łyk wina i uznałam, że jest dość dobre. Prawdę mówiąc, z każdym kieliszkiem wydawało się coraz lepsze. Pomyślałam, że powinnam przestać, zanim będzie za późno.



Jamie pokręcił głową.

– Cóż, należy do mnie, to prawda. Ale teraz na nic mi ta ziemia, a ja nie mogę się tam pokazać. – Spojrzał przepraszająco. – Pojmujesz? Za moją głowę wyznaczono cenę.

Po ucieczce z Fort William Jamie trafił do domu Dougala, Beannachd (co znaczy „błogosławiony”, wyjaśnił), gdzie wyleczył się z ran i gorączki. Stamtąd pojechał do Francji. Spędził tam dwa lata, walcząc w armii francuskiej wzdłuż granicy z Hiszpanią.

Jamie zerknął na mnie z ukosa i uśmiechnął się ukradkiem.

– Gdybyś ujrzała nierządnicę, które usługiwały żołnierzom, dziwiłabyś się, że mam jeszcze odwagę dotknąć jakiejś kobiety.

Zakrztusiłam się winem i kaszlałam tak długo, aż Jamie poczuł się zmuszony uderzyć mnie w plecy. Purpurowa i zdyszana poprosiłam, by opowiadał dalej.

Wrócił do Szkocji mniej więcej rok temu i przez sześć miesięcy włóczył się z gangiem „samotnych” – mężczyzn bez klanów. Żywił się tym, co mógł zdobyć w lesie, lub kradł bydło wzdłuż granicy.

– A potem ktoś uderzył mnie w głowę toporem czy czymś takim – dodał, wzruszając ramionami. – Muszę wierzyć słowu Dougala w kwestii tego, co się zdarzyło przez następne dwa miesiące, gdyż do mnie niewiele docierało.

W chwili ataku Dougal znajdował się w pobliskim dworze. Wezwany przez przyjaciół Jamiego zdołał jakoś

przetransportować siostrzeńca do Francji.

– Dlaczego akurat tam? – spytałam. – Z pewnością przewiezienie cię tak daleko wiązało się z wielkim ryzykiem.

– Bardziej ryzykownie byłoby zostawić mnie na miejscu. Angielskie patrole nieustannie przeczesywały okolicę... pojmujesz, nie dawaliśmy im chwili spokoju, ja i moi kompani. Sądzę, że Dougal nie chciał, by mnie znaleźli leżącego bez ducha w chacie jakiegoś wieśniaka.

– Albo w jego domu? – dodałam cynicznie.

– Pewnie by mnie do siebie zabrał, gdyby nie dwie rzeczy – odparł Jamie. – Po pierwsze, miał angielskiego gościa. Po drugie, wyglądałem tak, że uznał, iż niebawem umrę. Wysłał mnie więc do opactwa. Opactwo Świętej Anny de Beaupre na wybrzeżu Francji stało się schronieniem tego, który niegdyś nosił miano Aleksandra Frasera, a obecnie pełnił funkcję opata owego sanktuarium modlitwy i wiedzy. Był to jeden z sześciu Fraserów, wujów Jamiego. – Nie zgadzał się z Dougalem – wyjaśnił Jamie – ale wiedział, że w Szkocji nie można dla mnie nic zrobić. Jeśli ktokolwiek mógł mi pomóc, to tylko on. I tak się stało. Dzięki umiejętnościom mnichów oraz silnemu organizmowi Jamie przeżył i stopniowo zaczął dochodzić do siebie pod opieką świątobliwych dominikanów.

– Gdy wydobrzałem, wróciłem tutaj. Dougal i jego ludzie czekali na mnie na wybrzeżu. Ruszyliśmy na zamek. Wtedy właśnie... hm, spotkaliśmy ciebie.

– Kapitan Randall powiedział, że kradliście bydło – przypomniałam.

Uśmiechnął się bezwstydnie.

– Cóż, Dougal nie jest człowiekiem, który by nie skorzystał, jeśli nadarza się okazja.

Wpadliśmy na stado ładnych krówek, całkiem bez dozoru. Więc... – Wzruszył ramionami w fatalistycznej zgodzie na to, co nieuniknione.

Najwyraźniej trafiłam na koniec konfrontacji ludzi Dougala z dragonami Randalla.

Dougal zauważył nacierających Anglików i wysłał połowę swojej grupy w zarośla razem z krowami, podczas gdy reszta Szkotów ukryła się w zagajniku, gotowa zaskoczyć żołnierzy.

– Przedni plan – ocenił Jamie, kiwając głową z aprobatą. – Wskoczyliśmy na nich i przedarliśmy się przez ich grupę, wrzeszcząc jak stado szatanów. Oczywiście ruszyli za nami, a my kluczyliśmy pomiędzy wzgórzami i skałami. Przez ten czas reszta pędziła bydło przez granicę. Potem zgubiliśmy królewskich i przyczailiśmy się w wiosce, czekając na zapadnięcie zmroku.

– Rozumiem. Ale dlaczego wróciłeś do Szkocji? We Francji byłeś przecież znacznie bezpieczniejszy.

Otworzył usta, żeby odpowiedzieć, lecz zamknął je bez słowa. Pociągnął tyk wina.

Najwyraźniej dotarłam do granic tego, co mógł mi wyznać.

– To długa historia. Angielko – powiedział wymijająco. – Opowiem ci później. A ty?

Powiesz mi o swojej rodzinie? Jeśli oczywiście masz na to ochotę – dodał pośpiesznie.

Zastanowiłam się, ale uznałam, że mogę mu opowiedzieć o rodzicach i wujku Lambim. Ten ostatni uprawiał nawet zawód, który i w osiemnastym wieku miał rację bytu.

A zatem przedstawiłam mu wszystko. Pominęłam milczeniem tylko takie detale, jak samochody i samoloty, a także wojnę. Słuchał mnie uważnie, od czasu do czasu zadając pytania. Wyraził smutek i współczucie na wieść o śmierci moich rodziców. Wyraźnie zainteresował się wujkiem Lambim i jego odkryciami.

– A potem spotkałam Franka – zakończyłam. Zawahałam się, nie wiedząc – jak wiele mogę wyznać, nie wchodząc na niebezpieczny teren. Na szczęście Jamie wybawił mnie z kłopotu.

– I na razie nie chcesz o nim mówić – rzekł ze zrozumieniem.

Skinęłam głową, czując napływające do oczu łzy. Jamie puścił moją rękę i objął mnie ramieniem. Delikatnie przytulił do piersi moją głowę.

– Już dobrze – szepnął, głaszcząc mnie po włosach. – Jesteś zmęczona? Mam cię zostawić?

Przez chwilę odczuwałam pokusę, żeby się zgodzić, ale doszłam do wniosku, że taka decyzja byłaby niesprawiedliwa i tchórzliwa. Odchrząknęłam i odsunęłam się od niego.

– Nie – powiedziałam. Odetchnęłam głęboko. Jamie pachniał lekko mydłem i winem.

– Nic mi nie jest. Opowiedz... w co się bawiłeś, kiedy byłeś mały.

W pokoju znajdowała się gruba świeca z paskami ciemnego wosku, oznaczającymi kolejne godziny. Rozmawialiśmy przez trzy paski, puszczać swoje dłonie tylko po to, by nalać wina lub skorzystać z prewetu, stojącego za zasłoną w rogu. Po jednej z takich wycieczek Jamie przeciągnął się i ziewnął.

– Zrobiło się strasznie późno – stwierdziłam, także wstając. – Chyba powinniśmy pójść do łóżka.

– Dobrze – zgodził się, pocierając kark. – Do łóżka? Żeby zasnąć czy... – Uniósł brew, a kąciki ust zadrgały mu w uśmiechu.

Muszę wyznać, że czułam się przy nim tak bezpieczna, iż prawie zapomniałam, po co znaleźliśmy się w tym pokoju. Teraz żołądek mocno cisnął mi się ze strachu.

– Cóż... – zaczęłam słabo.

– Tak czy inaczej, nie zamierzasz chyba spać w sukni? – spytał, jak zwykle rozsądny.

– Chyba nie – zgodziłam się.

W gorące dni nawet nie pomyślałam o nocnej koszuli. Zresztą i tak jej nie posiadałam. Do tej pory sypiałam w halce lub nago, zależnie od pogody.

Jamie także nie miał żadnych ubrań oprócz tych, w które był przyodziany.

Prawdopodobnie zamierzał spać w koszuli albo nago. Taka perspektywa nasuwała mi wiele interesujących skojarzeń.

– Pozwól, pomogę ci rozwiązać te sznurówki.

Ręce drżały mu lekko, kiedy mnie rozbierał. Walka

z dziesiątkami małych haftek przy staniku nieco wytrąciła go z równowagi.

– Ha! – wykrzyknął tryumfalnie po ostatniej.

Oboje parsknęliśmy śmiechem.

– Teraz ja – oznajmiłam.

Zdecydowałam, że nie ma co dłużej zwlekać. Rozpięłam mu koszulę i przesunęłam dłońmi po jego ramionach. Powoli dotknęłam jego piersi. Poczułam pod palcami sprężyste kędziory i delikatne wklęśnięcia wokół sutek. Stał nieruchomo, niemal nie oddychając. Uklękłam, by rozpiąć nabijany ćwiekami pas.

Skoro musi do tego dojść, to niech się już stanie, pomyślałam i przesunęłam dłońmi po jego udach, twardych i szczupłych. Choć teraz wiedziałam już, co Szkoci noszą pod kiltem – nic – poczułam lekkie zaskoczenie, kiedy moje palce dotknęły nagiej skóry.

Jamie podniósł mnie i przywarliśmy do siebie ustami. Pocałunek trwał długo; poczułam, że Jamie rozpina mi halkę. Kłęby wykrochmalonych falban upadły na podłogę. Zostałam w samej koszuli.

– Gdzie się nauczyłeś tak całować? – spytałam bez tchu.

Uśmiechnął się i ponownie przyciągnął mnie do siebie.

– Nie spałem z żadną kobietą, ale nie ślubowałem czystości – powiedział i znowu mnie pocałował. – Jeśli uznam, że potrzebuję pomocy, na pewno o nią poproszę.

Przycisnął mnie mocno do siebie; poczułam, że jest jak najbardziej gotowy do spełnienia małżeńskiego

obowiązku. Z pewnym zaskoczeniem przekonałam się, że ja także jestem gotowa. Nie wiem, czy to pod wpływem wina, późnej pory, jego uroku czy też mojego zepsucia, ale bardzo pragnęłam Jamiego.

Przesunęłam obiema dłońmi po jego plecach, okrążyłam kciukami sutki. Stwardniały w ułamku chwili. Jamie przycisnął mnie gwałtownie do piersi.

– Au! – Odsunęłam się, walcząc o łyk powietrza. Puścił mnie i przeprosił. – Nie, nie przejmuj się, pocałuj mnie raz jeszcze.

Zrobił to, tym razem zsuwając mi ramiączka koszuli. Lekko się odsunął, ujął moje piersi i potarł sutki, naśladując gesty, jakie ja wykonałam wcześniej. Zaczęłam się zmagać ze sprzączką, przytrzymującą jego kilt; pokierował moją ręką i zapięcie puściło.

Nagle wziął mnie w ramiona i usiadł na łóżku, sadzając mnie sobie na kolanach.

– Powiedz mi, jeśli jestem zbyt brutalny – odezwał się ochryłym głosem. – Albo żebym przestał. Dopóki się nie złączymy, bo wtedy chyba nie będę mógł przestać.

W odpowiedzi przyciągnęłam go do siebie i pokierowałam do śliskiej szczeliny pomiędzy nogami.

– Jezu Chryste – jęknął James Fraser, który nigdy nie używał imienia boskiego nadaremnie.

– I teraz nie przestawaj – wyszeptałam.

Kiedy potem legliśmy, naturalnym gestem przytulił do piersi moją głowę.

Pasowaliśmy do siebie, a pierwsze skrępowanie zniknęło we wspólnym podnieceniu i doznawaniu siebie

nawzajem.

– Tego się spodziewałeś? – spytałam z ciekawiona.

Jego śmiech zabrzmiał w moim uchu niczym niski pomruk.

– Prawie. Myślałem... nie, nieważne.

– Powiedz. O czym myślałeś?

– Nie, będziesz się śmiać.

– Obiecuję, że nawet nie pisnę. Powiedz.

Pogładził mnie po włosach, odgarnął kędziory łaskoczące mnie w ucho.

– Hm, dobrze. Nie wiedziałem, że trzeba leżeć twarzą w twarz. Sądziłem, że to się robi od tyłu, jak konie.

Dotrzymanie obietnicy sprawiło mi niejaką trudność.

– Wiem, że to brzmi śmiesznie – dodał obronnym tonem. – Tylko... rozumiesz, czasami człowiek coś sobie ubzdura i potem trudno mu myśleć inaczej.

– Nigdy nie widziałeś, jak się kochają ludzie? – Spytałam nieco zdziwiona.

Widziałam przecież warunki mieszkalne w chatach, kiedy wszyscy domownicy zajmowali jedną izbę. Przyjęłam, że Jamie nie pochodził z chłopskiej rodziny, ale chyba mało które szkockie dzieci nie przyłapało starszych na spółkowaniu.

– Widziałem, oczywiście, ale zawsze pod kołdrą. Tak naprawdę niczego się nie odwiedziałem z wyjątkiem tego, że mężczyzna jest na górze. I tyle.

– Mhm. Zauważyłam.

– Przygniotłem cię? – spytał z niepokojem.



– Nie bardzo. Poważnie tak myślałeś? – Nie roześmiałam się, ale nie mogłam powstrzymać szerokiego uśmiechu.

Jamie zaróżowił się aż po uszy.

– Tak. Raz widziałem, jak mężczyzna wziął kobietę przy wszystkich, ale... no, to był gwałt, a on posiadał ją od tyłu. To zrobiło na mnie wrażenie i, jak powiedziałem, wbił sobie do głowy coś, czego się potem nie mogłem pozbyć. Niewypuszczał mnie z objęć. Głaskał kojąco, całkiem jak spłoszonego konia, choć te pieszczoty stopniowo stały się bardziej śmiałe.

– Chcę cię o coś spytać – odezwał się, wodząc dłonią po moich plecach.

– Słucham.

– Podobało ci się? – spytał nieśmiało.

– Tak – wyznałam zupełnie szczerze.

– To dobrze, bo Murtagh powiedział, że kobiety nie czują, więc powinienem skończyć najszybciej, jak mogę.

– A co on może o tym wiedzieć? – parsknęłam z urazą. – Im dłużej, tym lepiej, przynajmniej z punktu widzenia kobiety.

Jamie znowu się roześmiał.

– Tak myślałem, że znasz się na tym bardziej niż Murtagh. Wczoraj on, Rupert i Ned wtajemniczyli mnie w ten temat. Niektóre ich rady wydawały mi się całkiem nieprawdopodobne, więc stwierdziłem, że sam sprawdzę.

– Na razie radzisz sobie dobrze – zapewniłam go, nawijając na palec włoski na jego piersi. – Jakież to światło

porady dali ci trzej mędracy? – W świetle świecy jego skóra miała kolor złota.

Ku memu rozbawieniu Jamie oblał się rumieńcem zażenowania.

– Większości nie mógłbym nawet powtórzyć. Poza tym, to pewnie i tak nieprawda.

Widziałem wiele zwierząt, gdy ze sobą spółkowały i najwyraźniej nie potrzebowały żadnych rad. Uznałem, że z ludźmi jest tak samo.

Ubawiło mnie, że ktoś mógłby uczyć się miłosnych technik od mieszkańców kurników i stajni, ale zachowałam swoje przemyślenia dla siebie.

– Jakie zwierzęta obserwowałaś?

– Najróżniejsze. Nasze gospodarstwo stało blisko lasu i często do niego chodziłem, na polowanie albo żeby odszukać krowę, która uciekła z obory. Widziałem konie, krowy, świnię, kury, gołębie, psy, koty, jelenie, wiewiórki, króliki, dziki, a raz nawet węże.

– Węże!

– Tak. Wiedziałaś, że ich samce mają dwa przyrodzenia?

– Nie, nie wiedziałam. Jesteś pewien?

– Jasne, i oba rozdwojone, o tak. – Rozstawił dwa palce.

– To chyba okropnie niewygodne dla pani węzowej – zauważyłam i zachichotałam.

– Wydawała się całkiem zadowolona. Choć oczywiście nie można być pewnym; trudno zauważyć emocje na pysku węża.

Parsknęłam śmiechem i ukryłam twarz w jego piersi. Przyjemnie piżmowy zapach ciała mieszał się z ostrą wonią płótna.

– Zdejmij koszulę – rozkazałam, siadając na łóżku.

– Dlaczego? – spytał, ale usłuchał.

Ukłękałam przed nim, podziwiając jego nagi tors.

– Ponieważ chcę na ciebie popatrzeć – wyjaśniłam.

Był pięknie zbudowany; miał długie, kształtne kości i płaskie mięśnie, które drgały na krzywiznach piersi i ramion.

Uniósł brwi.

– Skoro tak, sprawiedliwość musi być. Ty też się rozbierz. – Pomógł mi się uwolnić z pomiętej koszuli. Objął mnie w tali i przyjrzał mi się z zainteresowaniem. Ta szczegółowa kontrola niemal mnie zawstydziła.

– Nie widziałeś nagiej kobiety? – spytałam.

– Widziałem, ale nigdy z tak bliska. – Uśmiechnął się szeroko. – nigdy takiej, która by była moja. – Poglądził moje biodra. – Masz dobre, szerokie łono. Urodzisz dużo dzieci.

– Co? – Chciałam się cofnąć, ale przyciągnął mnie do siebie i upadł wraz ze mną na łóżko. Trzymał mocno, dopóki nie przestałam się szarpać i pocałował mnie raz jeszcze.

– Wiem, że jedno zbliżenie wystarczy, żeby małżeństwo uznano za legalne, ale... – zamilkł onieśmielony.

– Chcesz to zrobić znowu?

– Byłoby ci bardzo przykro?

Tym razem także się nie roześmiałam, choć miałam na to okropną ochotę.

– Nie – oznajmiłam ze śmiertelną powagą. – Wcale mi nie będzie przykro.

– Jesteś głodny? – spytałam po pewnym czasie.

– Konam z głodu. – Lekko ukąsił mnie w pierś i podniósł głowę z uśmiechem.

Przetoczył się na skrajłoza. – W kuchni jest zimna wołowina i chleb. I pewnie także wino.

Przyniosę jakąś przekąskę.

– Nie, nie wstawaj, ja pójdę. – Zeskoczyłam z łóżka i podbiegłam do drzwi, okręcając się po drodze szalem, by nie zmarznąć w lodowatym korytarzu.

– Claire, poczekaj! – zawołał za mną. – Lepiej, żebym... – Ale ja już otwierałam drzwi.

Powitał mnie grzmiący ryk co najmniej piętnastu mężczyzn zebranych przed kominkiem w głównej izbie na parterze. Jedli, pili i grali w kości. Zatrzymałam się na chwilę na balkoniku, a piętnaście twarzy roześmiało się oblesnie.

– Hej, dziewczyno! – wrzasnął Rupert. – Jakże to, nadal możesz się utrzymać na nogach? Więc Jamie ci nie dogodził?

Uwaga ta została nagrodzona chóralnym rechotem, po którym usłyszałam jeszcze parę innych sprośnych komentarzy na temat umiejętności Jamiego.

– Jeśli go już zmęczyłaś, chętnie zajmę jego miejsce! – zawołał krótkowłosy młodzik.

– Nie, nie, on ci się nie przyda, weź mnie! –

dołączył następny.

– Żaden jej nie będzie miły! – ryknął Murtagh, pijany do nieprzytomności.– Po Jamiem będzie potrzebowała czegoś takiego, by się zadowolić! – Pomachał nad głową wielką baranią kością, doprowadzając szacowne towarzystwo do paroksyzmów śmiechu.

Odwróciłam się na pięcie, wpadłam do pokoju jak furia, zatrzasnęłam drzwi i oparłam się o nie, miotając wściekłe spojrzenia. Jamie leżał nagi na łóżku i krztusił się ze śmiechu.

– Chciałem cię ostrzec – wybełkotał. – Szkoda, że nie widzisz swojej miny!

– Co ci ludzie tam robią? – wysyczałam.

Jamie podniósł się zrećcznie z naszego małżeńskiego łóża i zaczął zbierać na kolanach rozrzucone po podłodze ubranie.

– Świadkują – rzucił zwięźle. – Dougal dopilnował, by nie było żadnych podstaw do anulowania naszego małżeństwa. – Strzepnął kilt i owinął nim biodra, uśmiechając się do mnie. – Niestety, Angielko, twoja reputacja bezpowrotnie legła w gruzach. – Ruszył ku drzwiom, nagi do pasa.

– Nie wychodź! – zawołałam, nagle zdjęta paniką.

Odwrócił się do mnie z krzepiącym uśmiechem.

– Nie martw się, skoro już tu są, przynajmniej mieli na co patrzeć. Poza tym nie zamierzam siedzieć w pokoju głodny przez trzy dni tylko dlatego, że boję się prześmiewek.

Wyszedł, witany zgiełkliwym aplauzem. Drzwi

zostawił uchylone. Słyszałam, jak zbliża się do kuchni, odprowadzany gratulacjami, sprośnymi pytaniami i poradami.

– I jak twój pierwszy raz? Krwawiłeś? – wrzasnął Rupert.

– Nie, ale ciebie to czeka, ty stary zbereźniku, jeśli nie zamkniesz jadaczki – brzmiała kąśliwa odpowiedź Jamiego.

Wycie i pohukiwanie trwało, dopóki Jamie nie wrócił do pokoju.

Uchyliłam drzwi, a on, czerwony jak burak, wszedł taszcząc w rękach górę napojów i jedzenia. Jego zniknięcie zostało zaakcentowane kolejnym wybuchem wesołości z dołu.

Uciełam wrzawę zdecydowanym trzaśnięciem drzwi, po czym zasunęłam zasuwę.

– Przyniosłem tego tyle, że długo nie będziemy musieli wychodzić po nowe zapasy – powiedział Jamie, kładąc talerze na stole. Starannie unikał mojego spojrzenia.  
– Chcesz trochę?

Wyciągnęłam rękę pod jego ramieniem i chwyciłam butelkę wina.

– Na razie muszę się napić.

Jego potężne pragnienie mimo oczywistej niezdarności budziło we mnie silną reakcję, nie chciałam robić mu wykładów ani podkreślać własnego doświadczenia; pozwoliłam mu robić to, co chciał, od czasu do czasu rzucając mimochodem sugestię – na przykład, że mógłby opierać ciężar ciała na łokciach, a nie mojej klatce

piersiowej.

Zbyt wygłodniały i niezdarny, by znaleźć czas na czułość, kochał mnie z tak radosnym zapamiętaniem, że musiałam uznać, iż męska niewinność jest zdecydowanie niedocenianą właściwością. Okazywał troskę o moje bezpieczeństwo, co wydawało mi się zarazem rozczulające i irytujące.

Podczas naszego trzeciego zbliżenia wygięłam się nagle w łuk i krzyknęłam. Cofnął się natychmiast, wstrząśnięty i przerażony.

– Przepraszam – powiedział. – Nie chciałem cię skrzywdzić.

– Nie skrzywdziłeś. – Przeciągnęłam się rozkosznie, cudownie rozmarzona.

– Na pewno? – spytał, przyglądając mi się uważnie w poszukiwaniu obrażeń.

Zdałam sobie sprawę, że Rupert i Murtagh pominęli pewne istotne informacje.

– Czy tak jest za każdym razem? – spytał zafascynowany, kiedy już go oświeciłam.

Nigdy nie przyszłoby mi do głowy, że stanę się instruktorką w sztuce miłości, ale musiałam przyznać, że ta rola miała pewne przyjemne aspekty.

– Nie, nie za każdym – zaprzeczyłam z rozbawieniem. – Tylko wtedy, kiedy mężczyzna jest dobrym kochankiem.

– Och... – Jego uszy poróżwiały. Z lekkim niepokojem zauważyłam, że w oczach Jamiego pojawił się wyraz rosnącej determinacji. – Powiesz mi, co powinienem

zrobić następnym razem? – spytał.

– Nie musisz robić nic szczególnego – zapewniłam.

– Tylko się nie spiesz i uważaj.

Zresztą nie musimy czekać. Ciągle jesteś gotowy.

Zdaje się, że go zaskoczyłam.

– Naprawdę? Ja nie mogę od razu po...

– Kobiety są inne.

– Tak, zauważyłem – mruknął.

Otoczył mój przegub kciukiem i palcem wskazującym.

– Tylko... jesteś taka mała. Boję się, że cię zranię.

– Nic mi nie będzie – rzuciłam niecierpliwie. – A nawet gdybyś sprawił mi ból, to nie szkodzi. – Widząc, że nie rozumie, postanowiłam mu to zaprezentować na przykładzie.

– Co robisz? – spytał, wstrząśnięty.

– To, co widzisz. Nie ruszaj się. – Po paru chwilach pomogłam sobie zębami.

Stopniowo pieszczota stała się coraz bardziej brutalna. Jamie wciągnął gwałtownie powietrze. Zatrzymałam się. – Boli? – spytałam.

– Tak. Trochę. – Miał dziwnie zdławiony głos.

– Mam przestać?

– Nie!

Przystąpiłam do dalszych działań, umyślnie starając się sprawiać mu ból. Wreszcie skrzył się w konwulsyjnym skurczu, z takim jękiem, jakbym wyrwała mu serce z piersi.

Legł na plecach, dygocząc i łapiąc powietrze jak ryba wyrzucona z wody. Mruknął coś po celtycku, nie



otwierając oczu.

– Słucham?

– Myślałem – powiedział, powoli unosząc powieki  
– że serce mi pękło.

Uśmiechnęłam się, bardzo zadowolona z siebie.

– Czy Murtagh i reszta powiedzieli ci o takich sposobach?

– Powiedzieli. Właśnie w to nie mogłem uwierzyć.

Parsknęłam śmiechem.

– W takim razie nie chcę wiedzieć, co jeszcze ci mówili. Już rozumiesz, dlaczego nie będę miała nic przeciwko temu, żebyś był trochę brutalny?

– Tak. – Powoli zaczerpnął powietrza i wypuścił je ze świstem. – Jeśli zrobię coś podobnego tobie, czy będziesz czuć to samo?

– Hm... Nie wiem – wyznałam.

Ze wszystkich sił starałam się nie dopuszczać do siebie myśli o Franku.

W małżeńskim łóżu jest miejsce tylko dla dwojga ludzi, bez względu na okoliczności.

Jamie bardzo się różnił od Franka, fizycznie i duchowo, ale pozostaje faktem, że istnieje ograniczona liczba sposobów na połączenie dwóch ciał, a my nie ustaliliśmy jeszcze terytorium intymności, na którym akt miłosny przyjmuje nieskończoną różnorodność postaci. Reakcje ciała były nieuniknione, lecz zostało nam jeszcze parę nie odkrytych miejsc.

Jamie uniósł brwi w wyrazie kpiącej groźby.

– Ach, więc i ty czegoś nie wiesz? No, sprawdzimy

to razem... jak tylko odzyskam siły.

– Znowu zamknął oczy. – Może w przyszłym tygodniu.

Obudziłam się na parę godzin przed świtem, drżąc i zeszywniała ze zgrozy. Nie przypominałam sobie snu, który mnie tak przeraził, ale nagłe przeniesienie do rzeczywistości było równie straszne. Na jakiś czas mogłam zapomnieć o mojej sytuacji, uniesiona nowo odkrytymi rozkoszami. Teraz byłam sama, obok śpiącego obcego człowieka, z którym pozwoliłam się związać i unieść w miejsce pełne niebywałego zagrożenia.

Musiałam chyba jęknąć, bo obcy w moim łóżku zerwał się niespodziewanie niczym bażant ulatujący spod stóp i przyczał się tuż przy drzwiach, ledwie widoczny w szarym świetle przedświt. Nastawił ucha ku drzwiom i ruszył w błyskawiczny i bezszelestny obchód izdebki, od drzwi do okna, od okna do łóżka.

Kąt, pod którym trzymał rękę, zdradzał, że ma w niej jakąś broń, której nie widziałam w ciemnościach. Usiadł przy mnie zadowolony z efektów obchodu i wsunął nóż pod wezłowie.

– Nic ci nie jest? – szepnął.

Jego palce musnęły mnie po mokrym policzku.

– Nie. Przepraszam, że cię obudziłam. Miałam koszmar. Dlaczego... – zaczęłam.

Chciałam spytać, dlaczego tak gwałtownie poderwał się z łóżka.

Wielka, ciepła dłoń przesunęła się po moim nagim ramieniu, przerywając mi w pół słowa.

– Nic dziwnego, jesteś lodowata. – Wciągnął mnie pod stertę kołder, na opuszczone ciepłe miejsce. – Moja wina – mruknął. – Zabrałem ci całe przykrycie. Nie jestem przyzwyczajony, by dzielić z kimś łożę. – Owinął nas ciasno puchowym kokonem i położył się obok mnie. Po chwili znowu dotknął mojej twarzy.

– Czy to przeze mnie? – spytał cicho. – Nie możesz mnie znieść?

Wybuchłam cichym, drżącym ni to śmiechem, ni to płaczem.

– Nie, nie przez ciebie. – Sięgnęłam w ciemność; moje palce napotkały płataninę kołder i jakiś fragment ciała, ale wreszcie znalazłam dłoń, której szukałam. Leżeliśmy przy sobie, patrząc w niski, belkowany sufit.

– A gdybym oświadczyła, że nie mogę cię znieść? – spytałam raptem. – Co byś zrobił?

Wzruszył ramionami. Łóżko cicho skrzypnęło.

– Powiedziałbym Dougalowi, żeby anulował nasze małżeństwo, ponieważ nie zostało skonsumowane.

Tym razem naprawdę się roześmiałam.

– Coś takiego! Mimo tych wszystkich świadków?

W izbie zrobiło się na tyle jasno, że zobaczyłam uśmiech na zwróconej ku mnie twarzy.

– Tylko my wiemy, jak było naprawdę. A ja wolę ściągnąć na siebie wstyd, niż żyć z kimś, kto mnie nienawidzi.

Spojrzałam na niego poważnie.

– Ja cię nie nienawidzę.

– Ani ja ciebie. A wiele dobrych małżeństw zaczęło

gorzej niż my. – Delikatnie odwrócił mnie od siebie i przytulił się do moich pleców. Objął dłonią moją pierś gestem pozbawionym podtekstów, tylko dlatego, że to wydawało się całkiem naturalne.

– Nie lękaj się – szepnął w moje włosy – Teraz jesteśmy razem.

Ogarnęło mnie kojące ciepło. Po raz pierwszy od wielu dni poczułam, że nic mi nie grozi. Ale gdy zaczęłam powoli odpływać w sen, przypomniałam sobie o nożu pod wezglowiem. Dlaczego Jamie nie rozstał się z bronią nawet podczas nocy poślubnej?

Czego się obawiał?

Ciężko wypracowana intymność zeszłej nocy zniknęła razem z poranną rosą. Po przebudzeniu oboje odnosiliśmy się do siebie z wyraźnym zażenowaniem.

Śniadanie zjedliśmy niemal w zupełnym milczeniu, a potem ruszyliśmy na przechadzkę po niewielkim wzgórzu położonym za karczmą. Po drodze wymienialiśmy zdawkowe uprzejmości.

Na szczycie przysiadłam na zwałonym pniu. Jamie stanął oparty o młodą sosenkę o parę kroków ode mnie.

W zaroślach za moimi plecami ćwierkał jakiś ptak – zdaje się czyżyk, a może drozd.

Słuchałam jego głosu, obserwowałam małe pierzaste chmurki na niebie i zastanawiałam się, co robić.

Milczenie zaczęło się stawać zbyt niewygodne. Wreszcie Jamie odezwał się niespodziewanie:

– Mam nadzieję...

Zarumienił się i zamilkł. Odniosłam wrażenie, że to

ja powinnam się rumienić.

Przynajmniej dobrze, że jedno z nas było do tego zdolne.

– Tak? – spytałam, najbardziej zachęcającym tonem, na jaki mogłam się zdobyć.

Pokręcił głową, nadal zaróżowiony.

– Nieważne.

– Nie, mów. – Wyciągnęłam nogę i trąciłam go palcem. – Obiecaliśmy sobie szczerłość, pamiętasz?

Może byłam niesprawiedliwa, ale nie mogłam już znieść nerwowego odchrząkiwania i uciekających spojrzeń.

Zacisnął mocniej dłonie i poruszył się niespokojnie, ale spojrzał mi śmiało w oczy.

– Chciałem powiedzieć – zaczął cicho – że mam nadzieję, iż mężczyzna, który miał honor być twoim mężem, okazał ci równą wspaniałomyślność, jak ty mnie. – Uśmiechnął się nieśmiało. – Ale potem stwierdzałem, że nie brzmi to tak, jak powinno. Chciałem...

Hm, chciałem ci bardzo podziękować.

– Wspaniałomyślność nie ma z tym nic wspólnego – warknęłam i zaczęłam energicznie otrząpywać sukienkę z nie istniejących paprochów. Wielki but trącił mnie w kostkę.

– Szczerłość, czy tak? – spytał Jamie.

Podniosłam powoli głowę i spojrzałam w uśmiechniętą twarz o uniesionych brwiach.

– No... – zaczęłam obronnym tonem. – Na pewno nie po pierwszym razie.

Głośno się roześmiał, a ja ze zgrozą poczułam, że

jednak potrafię się rumienić.

Chłodny cień padł na moją rozgrzaną twarz, a duże dłonie mocno ujęły moje ręce i podniosły mnie z ziemi. Jamie zajął moje miejsce na kłodzie i zachęcająco poklepał się po kolanie.

– Usiądź – powiedział.

Trochę się ociągałam, ale w końcu usłuchałam. Odwróciłam od niego twarz. Oparł mnie wygodnie o swoją pierś i otoczył ramionami moją talię. Poczułam równomierne bicie jego serca.

– Skoro nie możemy rozmawiać spokojnie, podotykajmy się trochę. Powiedz, kiedy do mnie przywykniesz. – Odchylił się tak, że znaleźliśmy się w chłodnym cieniu dębu.

Siedzieliśmy w milczeniu. Czułam falowanie jego piersi i łaskotanie oddechu.

– W porządku – odezwałam się po chwili.

– Dobrze. – Puścił mnie i odwrócił twarzą do siebie.

Z bliska zobaczyłam jego zarośnięte policzki i brodę. Przeciągnęłam palcami po szczecinie; w dotyku przypominała plusz na starych sofach, sztywny i zarazem miękki.

– Przepraszam – powiedział Jamie. – Nie mogłem się dziś ogolić. Dougal dał mi brzytwę wczoraj przed ślubem, ale zaraz ją zabrał. Pewnie bał się, że po nocy poślubnej poderżnę sobie gardło. – Uśmiechnął się do mnie, a ja odpowiedziałam tym samym.

Uwaga o Dougalu przypomniła mi o naszej wczorajszej rozmowie.

– Myślałam... Wczoraj mówiłeś, że Dougal wyszedł ci na powitanie, kiedy wróciłeś z Francji. Dlaczego przyjechałeś razem z nim, zamiast jechać do domu, na ziemię Fraserów? Dougal traktuje cię tak, że... – urwałam, niepewna czy mówić dalej.

– Och. – Poruszył się, sadzając mnie bardziej wygodnie. Niemal słyszałam, jak się zastanawia. Wreszcie podjął decyzję. – Chyba musisz o tym wiedzieć. – Zmarszczył brwi.

– Powiedziałem ci, dlaczego jestem poszukiwany. A potem... po forcie... niewiele mnie obchodziło, co się dzieje... z innymi. Mój ojciec umarł, a siostra... – Znowu zamilkł.

Wyczułam, że toczy ze sobą jakąś walkę. Odwróciłam się, żeby na niego spojrzeć. Zwykle pogodna twarz była ściągnięta napięciem. – Dougal mi powiedział... Dougal mi powiedział, że moja siostra jest brzemienna. Że nosi dziecko Randalla.

– O rety.

Zerknął na mnie z ukosa i odwrócił oczy. Lśniły niczym szafiry. Zamrugął powiekami.

– Nie... nie potrafiłem się zmusić do powrotu – wyznał, zniżając głos. – By znowu ją zobaczyć po tym, co się stało. Westchnął i zacisnął usta. – Kiedy dziecko się urodziło, ona... oczywiście to nie jej wina, była sama... do stu czartów, to ja ją zostawiłem! Zeszła się z innym angielskim żołnierzem, kimś z garnizonu. Przełknął z wysiłkiem ślinę. – Wysłałem jej wszystkie pieniądze, jakie miałem, ale... nie mogłem się zmusić, by do niej napisać.

Co miałbym jej powiedzieć? – Wzruszył bezradnie ramionami. – W końcu znużyła mnie wojaczka we Francji. Wuj Alecs dał mi znać, że dostał wiadomość od pewnego angielskiego dezertera, niejakiego Horrocksa. Opuścił on armię i zaczął służyć z Francisem MacLeanem z Dunweary. Pewnego dnia, gdy miał już dobrze w czubie, wyznał, że nigdy stacjonował w garnizonie w Fort William, właśnie wtedy, gdy uciekłem. I widział człowieka, który zastrzelił starszego sierżanta.

– Więc może potwierdzić twoją niewinność! – Wydawało mi się, że to dobre wieści.

Jamie pokiwał głową.

– Tak, choć słowo dezertera niewielką ma wartość. Ale to już coś. Przynajmniej poznam nazwisko winnego. A choć... hm, choć nie wiem, czy mogę wrócić do Lallybroch, dobrze by było wędrować po Szkocji bez obawy, że mnie powieszają.

– Tak, to całkiem miła perspektywa – przyznałam sucho. – Ale co wspólnego ma z tym wszystkim klan MacKenziech?

Usłyszałam kolejną zawiłą analizę stosunków wewnątrzrodzinnych i przymierzy pomiędzy klanami. W końcu wyjaśniło się, że Francis MacLeana łączy jakieś wspólne sprawy z klanem MacKenziech, więc wysłał do Columa wiadomość o Horrocksie, a ten posłał Dougala na spotkanie z Jamiem.

– Właśnie dlatego Dougal znalazł się w pobliżu, gdy zostałem ranny – skończył Jamie. Zerknął na mnie spod oka. – Potem zastanawiałem się, czy to nie jego sprawka.



– Twojego wuja? Dlaczego, na miłość boską?

Zmarszczył brwi; najwyraźniej zastanawiał się, jak wiele może mi powiedzieć.

Wzruszył ramionami.

– Nie wiem, co ci wiadomo o klanie MacKenziech, choć domyślam się, że stary Ned Gowan zamęczał cię bajaniem o dawnych czasach. Nie potrafi trzymać języka za zębami.

Pokiwał głową na widok mojego uśmiechu.

– Widziałaś Columa na własne oczy. Każdy wie, że nie dożyje starości. A mały Hamish ma dopiero osiem lat; dopiero za dziesięć mógłby poprowadzić klan. Więc co się stanie, gdy Colum umrze, zanim Hamish będzie gotów? – Spojrzał na mnie wyczekująco.

– Dougal przejmie władzę – powiedziałam powoli.

– Przynajmniej dopóki Hamish nie dorośnie.

– Otóż to. Lecz Dougal nie jest taki jak Colum i są w klanie ludzie, którzy nie zechcą pójść za nim... jeśli będą mieli innego kandydata.

– Rozumiem. Tym kandydatem jesteś ty.

Spojrzałam na niego uważnie i musiałam przyznać, że Jamie rokuje nadzieje. Był wnukiem starego Jacoba MacKenziem z urodzenia, choć zaledwie po kądzieli. Duży, przystojny, silny chłopak, inteligentny i z talentem do zjednywania sobie ludzi. Walczył we Francji i dowiódł, że potrafi prowadzić żołnierzy do walki, co stanowiło ważny argument na jego korzyść. Nawet fakt, iż za jego głowę wyznaczono nagrodę, mógł się okazać pomniejszą przeszkodą... gdyby Jamie został przywódcą klanu.

Anglicy mieli dość kłopotów ze Szkotami, nieustannymi drobnymi rebeliami, najazdami na granicę, walczącymi ze sobą klanami. Z pewnością nie zaryzykowałiby wielkiego powstania, oskarżając przywódcę klanu o morderstwo. Zresztą w oczach jego ludzi taki czyn byłby raczej powodem do chwały.

Powiesić jakiegoś tam Frasera to jedno, a napaść na zamek Leoch i wywlec z niego przywódcę klanu MacKenziech to coś zupełnie innego.

– Chcesz zostać przywódcą, jeśli Colum umrze? – Doszłam do wniosku, że byłby to niezły sposób wydostania się z kłopotów, choć najeżony rozlicznymi przeszkodami.

Jamie uśmiechnął się przelotnie.

– Nie. Nawet gdybym sądził, że mam do tego prawo... którego nie mam... to by po dzieliło klan. Ludzie Dougala przeciwko tym, którzy by poszli za mną. Nie pociąga mnie władza, jeśli mam do niej dojść po trupach. Ale Dougal i Colum tego nie wiedzą. Uznali więc, że bezpieczniej będzie mnie zabić.

Zmarszczyłam brwi z głębokim namysłem.

– Ale mógłbyś chyba im powiedzieć, że nie zamierzasz... aha. – Spojrzałam na Jamiego z podziwem. – Przecież właśnie to zrobiłeś. Podczas przysięgi.

Dopiero teraz zrozumiałam, jak dobrze poradził sobie z tą sytuacją i jak bardzo była ona niebezpieczna. Członkowie klanu chcieli, by złożył przysięgę, Colum zaś z pewnością sobie tego nie życzył. Oddanie hołdu równałoby się przyznaniu przynależności do klanu, a przez to sygnalizowałoby chęć ubiegania się o miejsce przywódcy.

Jamie zaryzykował własne życie, nie ślubując wierności Columowi. Gdyby postąpił inaczej, skazałby się na pewną śmierć. Dostrzegając to niebezpieczeństwo i wybrał jedyne rozsądne wyjście – zamierzał nie pojawić się na ceremonii. A kiedy niechcący pokrzyżowałałam jego plany, wybrnął w piękny i śmiały sposób z bardzo niebezpiecznej sytuacji i stanął na twardym gruncie. Je suis prest, w rzeczy samej.

Pokiwał głową na znak, że dobrze rozumię.

– Tak, gdybym wtedy złożył przysięgę, pewnie bym nie doczekał świtu.

Serce zabiło mi mocniej, zwłaszcza gdy sobie uświadomiłam, że to ja naraziłam go na to niebezpieczeństwo. Nagle nóż pod poduszką wydał mi się jedynym rozsądnym środkiem ostrożności. Zastanowiłam się, ile nocy Jamie spędził w Leoch z bronią w zasięgu ręki, oczekując nadejścia śmierci.

– Zawszę śpię uzbrojony, Angielko – powiedział, choć nie zdradziłam głośno moich przemyśleń. – Jeśli nie liczyć pobytu w opactwie, wczoraj po raz pierwszy od wielu miesięcy nie spędziłem nocy z nożem w ręce. – Uśmiechnął się, najwyraźniej na wspomnienie tego, co znajdowało się w jego dłoni zamiast noża.

– Skąd, do ciężkiej cholery, wiedziałeś, o czym myślę? – spytałam gniewnie, nie zwracając uwagi na uśmiech.

Pokręcił dobrodusznie głową.

– Kiepski byłby z ciebie szpieg, Angielko. Wszystkie myśli odbijają ci się na twarzy jasno i wyraźnie jak w zwierciadle. Spojrzałaś na mój sztylet, a potem się

zarumieniałaś. – Przyjrzał mi się z namysłem i przechylił głowę. – Wczoraj prosiłem cię o szczerość, ale widzę, że to nie było konieczne. Po prostu nie umiesz kłamać.

– No i dobrze – odburknęłam. – Czy mam rozumieć, że przynajmniej ty nie uważasz mnie za szpiega?

Nie odpowiedział. Spoglądał w stronę karczmy, nagle napięty jak struna. Dopiero po chwili dotarły do mnie dźwięki, które przykuły jego uwagę: tętent kopyt i pobrzękiwanie uprząży. Drogą wiodącą do gospody zbliżała się spora grupa mężczyzn.

Jamie przycupnął za zasłoną krzewów, w miejscu, z którego rozciągał się dobry widok na cały trakt. Podkasałam spódnicę i podkrađłam się do niego najciszej, jak mogłam.

Za kamienistym osypiskiem droga zakręcała ostro, po czym zmierzała łagodnym łukiem ku kotlinie, gdzie leżała karczma. Poranny wietrzyk niósł w naszym kierunku głosy zbliżających się ludzi, ale dopiero po paru minutach zobaczyliśmy pierwszego konia.

Grupa składała się z dwudziestu lub trzydziestu jeźdźców, przeważnie w skórzanych spodniach i tartanach najróżniejszych kolorów i wzorów. Wszyscy byli uzbrojeni po zęby.

Przy każdym siodle zauważyłam co najmniej jeden muszkiet plus mnóstwo pistoletów, sztyletów i mieczy. Cztery juczne konie dźwigające na grzbietach bagaże. Sześciu mężczyzn prowadziło za sobą luzaki, bez tobołków i siodeł.

Mimo groźnego wyglądu byli chyba w dobrych

nastrojach; śmiali się i żartowali między sobą, choć od czasu do czasu omiatali okolicę bystrym wzrokiem. Jeden z nich spojrzał dokładnie w miejsce, gdzie leżeliśmy; zwalczyłam odruch, który nakazywał mi schować głowę. Wydawało mi się, że rude włosy Jamiego lśnią w słońcu jak latarnia morska.

Zerknęłam na jego czuprynę i zauważyłam, że i jemu przyszło to na myśl; naciągnął na głowę i ramiona skrawek zielonego tartanu, zlewającego się barwą z krzakami i trawą.

Kiedy ostatni jeździec zniknął na drodze do karczmy. Jamie odsłonił głowę i wskazał ścieżkę biegnącą po zboczu wzgórza.

– Wiesz, co to za jedni? – wydyszałam, biegnąc za nim przez wrzosowisko.

– Tak. – Jamie wspinał się po stromej ścieżce jak kozica. Obejrzał się, zauważył moje wysiłki i zwolnił. Wyciągnął rękę, żeby mi pomóc. – To Straż. Jesteśmy bezpieczni, ale po myślałam, że lepiej zejść im z drogi.

Słyszałam o słynnej Czarnej Straży, nieoficjalnych oddziałach policji, utrzymujących porządek w Szkocji. Słyszałam także, że były inne Straże. Każda patrolowała swój teren, zbierając „datki” od gospodarzy za pilnowanie bydła i ich majątków. Ci, którzy zalegali z opłatami, mogli się obudzić pewnego dnia i stwierdzić, że stada zniknęły bez śladu i nikt nie ma pojęcia, gdzie ich szukać – a już na pewno nie wiedzą o zaginionym bydle członkowie Straży. Nagle zdjął mnie irracjonalny strach.

– Oni cię nie szukają, prawda?

Obejrzał się gwałtownie, jakby spodziewał się zobaczyć za nami pogoń. Spojrzał na mnie z uśmiechem pełnym ulgi i objął mnie w pasie, by pomóc mi iść.

– Nie, nie sądzę. Dziesięć funtów szterlingów to za mało, by ścigała mnie taka banda.

A jeśli wiedzieliby, że jestem w gospodzie, na pewno nie zjawiliby się wszyscy razem. – pokręcił głową stanowczo. – Nie, gdyby na kogoś polowali, najpierw paru obstawiłoby tylne wyjście i okna, potem reszta podjechałaby do drzwi frontowych. Pewnie przyjechali się pokrzepić.

Nadal wspinaliśmy się stromą ścieżką aż do punktu, gdzie znikala w kępach jałowców wrzosów. Znaleźliśmy się między dwoma wzgórzami i granitowymi skałami, które wznosiły się powyżej głowy Jamiego. Widok okolicy przywiódł mi na myśl Craig na Dun. Niemile wspomnienie.

Wyszliśmy na szczyt małego wzgórza; wokół nas rozciągały się zapierające dech w piersiach kaskady kamiennych zboczy porośniętych zielenią. W Szkocji bardzo często odnosiłam wrażenie, że duszę się wśród drzew, skał lub gór. Tutaj jednak nic nie hamowało świeżych powiewów wiatru i promieni słońca, które wyłoniło się zza chmur jakby specjalnie po to, by ucziścić nasze niekonwencjonalne małżeństwo.

Poczucie wolności uderzyło mi do głowy. Choć na chwilę udało mi się wyrwać spod wpływu Dougala i kompanii złożonej z samych mężczyzn. Kusilo mnie, by namówić Jamiego na wspólną ucieczkę, ale zwyciężył

rozsądek.

Nie mieliśmy pieniędzy ani jedzenia, jeśli nie liczyć prowiantów na obiad, które Jamie niósł w sporraniu. Gdybyśmy nie wrócili do gospody przed zachodem słońca, Dougal pewnie posłałby za nami pościg. A choć Jamie potrafił chodzić po skalistych zboczach jak po gładkiej posadzce, ja nie miałam tak niebywałych umiejętności.

Jamie spojrzął na moją purpurową twarz i posadził mnie na skale. Usiadł obok i z zadowoleniem przyglądał się górcom. Z pewnością byliśmy tu bezpieczni.

Pomyślałam o Straży i impulsywnie położyłam rękę na ramieniu Jamiego.

– Bardzo się cieszę, że nie jesteś wiele wart – oznajmiłam.

Przyglądał mi się przez jakiś czas, pocierając nos, który zaczął czerwienić.

– Hm... Mógłbym zrozumieć tę uwagę na kilka sposobów, ale w tych okolicznościach... dziękuję.

– To ja powinnam ci podziękować. Za to, że mnie poślubiłeś. Muszę przyznać, że wolę być z tobą niż w Fort William.

– Piękne dzięki za komplement, pani – odparł i uklonił się lekko. – Ja mogę powiedzieć to samo. A skoro już sobie dziękujemy, powinienem także ci podziękować, że wyszłaś za mnie za mąż.

– E... hm... – Znowu oblałam się rumieńcem.

– I nie tylko za to – dodał z łobuzerskim uśmiechem. – Zdaje się, że i ty uratowałaś mi życie. Teraz nic mi nie grozi, przynajmniej ze strony MacKenziech.

– Jak to?

– Być MacKenziem po kądzieli to jedno. Być MacKenziem po kądzieli z żoną Angielką to całkiem co innego. Nie ma mowy, by Angielka została panią na Leoch, cokolwiek ludzie z klanu by o mnie myśleli. Dlatego Dougal wybrał mnie na twojego męża.

Uniósł brew, złotorudą w blasku porannego słońca.

– Mam nadzieję, że nie brałaś pod uwagę Ruperta?

– Nie, nie brałam – zapewniłam z naciskiem.

Roześmiał się i wstał, otrzepując sosnowe igły z kiltu.

– Matka powiedziała mi kiedyś, że pewnego pięknego dnia jakaś dziewczyna mnie wybierze. – Wyciągnął rękę i pomógł mi się podnieść. – Ja wtedy odpowiedziałem, że to mężczyzna wybiera sobie kobietę.

– A ona?

– Przewróciła oczami i rzekła: sam się przekonasz, mój mały koguciku, sam się przekonasz. – Roześmiał się. – Miała rację.

Spojrzał w górę na promienie słoneczne przesiewające się cytrynowymi pasmami przez sosnowe igły.

– A dzień rzeczywiście jest piękny. Chodź, Angielko. Będziemy łowić ryby.

Zagłębiliśmy się w lasy. Tym razem Jamie skręcił na północ, pomiędzy skałami.

Wąskie przesmyki doprowadziły nas do małej kotlinki, otoczonej kamiennymiścianami i pełnej roślinności. Wokół szemrały dziesiątki małych



wodospadów. Zanurzyliśmy stopy w wodzie. Przesuwaliśmy się z cienia na słońce i z powrotem do cienia, kiedy zrobiło nam się zbyt gorąco. Gawędziliśmy to o tym, to o tamtym, oboje boleśnie wyczuleni na każdy swój ruch.

Mimo to nie staraliśmy się zmienić zaistniałej sytuacji. Woleliśmy poczekać na chwilę, kiedy nasze spojrzenia same zaczną się szukać, a dotyk przyniesie obietnicę czegoś więcej.

Nad jednym ciemnym stawem o cętkowanym dnie Jamie pokazał mi, jak się łowi pstrągi. Przykucnął pod nisko wiszącymi gałęziami i wszedł zgarbiony pod skalny nawis, z rękami rozłożonymi dla zachowania równowagi. W połowie drogi odwrócił się ostrożnie i wyciągnął do mnie dłoń.

Podkasałam spódnicę i halkę, po czym przebyłam tę samą drogę. Wyciągnęliśmy się płasko na chłodnym gładzie i spojrzeliśmy w wodę. Gałęzie wierzby ocierały się nam o plecy.

– Trzeba tylko – odezwał się Jamie – wybrać dobre miejsce i poczekać.

Zanurzył dłoń w wodzie, cicho, bez plusku i położył ją na piaszczystym dnie, tuż za linią cienia rzucanego przez kamienny nawis. Podkurczył lekko palce. Ruch wody stworzył złudzenie, że delikatnie falują, jak liście wodnej rośliny. Wydawało się, że ramię ponad wodą jest wykręcone pod nienaturalnym kątem, tak jak miesiąc temu... mój Boże, dopiero miesiąc?

Poznaliśmy się przed czterema tygodniami,

pobraliśmy się wczoraj. Połączyły nas słowa przysięgi i krew. I przyjaźń. Miałam nadzieję, że moje odejście nie zrani go zbyt mocno. Byłam zadowolona, że na razie nie muszę o tym myśleć. Znajdowaliśmy się zbyt daleko od Craigh na Dun, a nie miałam najmniejszej szansy, by uciec Dougalowi.

– Jest – powiedział cichym, prawie niedosłyszalnym głosem; podobno pstrągi mają czuły słuch.

Z miejsca, w którym leżałam, pstrąg przypominał unoszący się w wodzie obłoczek cętkowanego piasku. W głębokim cieniu skały łuski nie odbijały blasku słońca. Cętki przesunęły się po cętkach, napędzane przezroczystymi płetwami, widocznymi dopiero podczas ruchu. Kielbie, które zebrały się wokół dłoni Jamiego i skubały ją ciekawie, pierzchły jak na komendę.

Jeden palec zaczął się powoli zginać. Wiedziałam, że się porusza, tylko dzięki temu, że zmieniał pozycję względem innych palców. Potem drgnął drugi. A po dłuższej, bardzo dłuższej pauzie także trzeci.

Prawie przestałam odдыchać, a bicie mojego serca miało rytm szybszy niż falowanie skrzeli ryby. Palce niepostrzeżenie się rozwarły, po czym hipnotyczny ruch powtórzył się od nowa, po jednym palcu.

Pstrąg zbliżył się, jakby zwabiony tym powolnym falowaniem. Pysk i skrzela ryby otwierały się i zamykały, ukazując różową tkanę. Jest, nie ma, jest, nie ma... Już prawie całe cętkowane ciało wyłoniło się spod skały, zawieszona w wodzie, nadal w cieniu.

Widziałam jedno oko, puste i martwe, jakby

wpatrzone w nicość.

Wystarczyłyby jeszcze centymetr, by wachlujące skrzela znalazły się w zasięgu zdradzieckich palców. Obserwowałam to widowisko, przyciskając policzek do granitu, jakbym chciała się wtopić w skałę.

Nagle wszystko zaczęło się dziać tak gwałtownie, że nie mogłam się zorientować, co widzę. Bryznęła woda, a Jamie przetoczył się obok mnie włopocie tartanów i wpadł z głośnym pluskiem do jeziora. Ryba poszybowała w powietrzu i uderzyła z plaśnięciem o usłany liśćmi brzeg.

Jamie ruszył po swój łup, zanim oszołomiony pstrąg zdołał wskoczyć z powrotem do wody. Chwycił rybę za ogon, uderzył nią o kamień, kładąc trupem na miejscu, i pokazał mi zdobycz.

– Duży – ogłosił z dumą. – Przyda się na śniadanie.– Wyszczерzył zęby, mokry niemal do pasa. Włosy spadały mu na twarz, koszula była upstrzona mokrymi plamami i zgniłymi liśćmi. – Obiecałem, że nie będę cię głodził?

Owinął pstrąga warstwą liści i błota. Oplukał ręce w wodzie, wdrapał się na skałę i podał mi zgrabnie zawiniętą paczuszkę.

– Może to i dziwny prezent ślubny – oznajmił – ale, jak by powiedział Ned Gowan, nie jest to rzecz bez precedensu.

– Czy ktoś już dał swojej młodej żonie rybę w prezencie? – spytałam ubawiona.

Jamie zdjął pończochy i rozłożył je do wyschnięcia. Poruszył długimi palcami u stóp.

- Tak głosi stara pieśń miłosna. Chcesz posłuchać?
- Oczywiście. Ale po angielsku, jeśli można.
- Dobrze. Kiepski ze mnie minstrel, lecz mogę wyrecytować słowa. – Odgarnął włosy z oczu i zaczął:

*Tobie, córo królewska z bogatych pałaców,*

*W noc naszego wesela pięknego,*

*Jeśli żyw jeszcze w Duntulm pozostanę,*

*Ślubuję przynieść moc obfitych darów.*

*Sto borsuków, co mieszkają w lasach,*

*Sto brązowych wyder, mieszkańek strumieni,*

*Sto srebrnych pstrągów, prosto z rwących  
prądów...*

Dalej pieśń wymieniała wszystkich przedstawicieli flory i fauny Wysp Brytyjskich.

Podczas cierpliwego słuchania tekstu nie przestawałam się zastanawiać nad osobliwością zaistniałej sytuacji: siedziałam na kamieniu na brzegu szkockiego jeziora, trzymałam na kolanach wielką rybę, a prawie obcy facet deklamował mi celtycką pieśń miłosną. A co więcej, ta scena całkiem mi się podobała.

Kiedy skończył, zaczęłam klaskać, jednocześnie ściskając pstrąga kolanami, by nie upuścić go do wody.

– Piękna pieśń! Szczególnie w miejscu, gdzie mowa o ”mocy obfitych darów”. Co za entuzjastyczny kochanek!

Jamie roześmiał się, nie otwierając oczu.

– Ja także mogę dodać jeden wers: „Dla ciebie skoczę w zimną wodę”.

Teraz i ja się roześmiałam. Przez jakiś czas siedzieliśmy w milczeniu, pławiąc się w ciepłych

promieniach słońca. Słysząc było tylko szmer wody pod nami. Oddech Jamiego stopniowo się uspokoił. Podświadomie czułam każde drgnienie piersi chłopaka, powolne uderzenia pulsu. Tuż u podstawy szyi młodzieńca widniała mała trójkątna blizna.

Między nas znowu wkradły się nieśmiałość i skrepowanie. Ujęłam silną rękę i uściśniłam ją w nadziei, że tak jak poprzednio rozluźnimy się pod wpływem fizycznej bliskości. Przyciągnął mnie; poczułam twarde mięśnie pod jego cienką koszulą.

Odsunęłam się pod pretekstem zerwania paru małych kwiatków iglicy pospolitej, rosnącej w kępie koło skały.

– Dobrze na ból głowy – wyjaśniłam, chowając ziele za pazuchą.

– Nie daje ci spokoju – zauważył. Przyglądał mi się z przechyloną głową. – Nie ból, Frank. Ciągłe o nim myślisz. Martwisz się, gdy cię dotykam, bo nie możesz nas pomieścić w głowie obu na raz. Czy tak?

– Jesteś bardzo spostrzegawczy – przyznałam zaskoczona.

Uśmiechnął się, ale nie próbował mnie znowu dotknąć.

– Nietrudno to odgadnąć. Angielko. Wiedziałem, że będziesz go często wspominała, choćbyś nawet nie chciała.

Miał rację, mimo iż w tej chwili zupełnie zapomniałam o Franku.

– Przypominam twój pierwszy mąż? – spytał niespodziewanie.

– Nie.

Trudno wyobrazić sobie dwie bardziej różniące się od siebie osoby. Frank był smukły, gibki i ciemnowłosy; Jamie potężny, silny i rudy jak zachodzące słońce. Obaj poruszali się z wdziękiem sportowców, ale Frank miał posturę tenisisty, a Jamie ciało wojownika, ukształtowane – i pokieroszowane – w walce.

Frank przerastał mnie o osiem centymetrów. Gdy stałam naprzeciwko Jamiego, mój nos sięgał środka jego piersi, a on mógł z łatwością oprzeć brodę na mojej głowie.

Obaj różnili się nie tylko fizycznie. Dzieliło ich prawie piętnaście lat, co z pewnością tłumaczyło rozważną rezerwę Franka i otwartość Jamiego. Jako kochanek Frank był wyrafinowany, troskliwy, uważny i uczony. Jamie rekompensował swój brak doświadczenia całkowitym oddaniem, a intensywność mojej reakcji na niego zupełnie wytrącała mnie z równowagi.

Jamie przyglądał mi się uważnie i nie bez współczucia.

– Zdaje się, że mam dwa wyjścia – zawyrokował. – Mogę ci pozwolić, byś nad tym dumiała lub...

Pochylił się i delikatnie mnie pocałował. Całowałam się z wieloma mężczyznami, zwłaszcza podczas wojny, gdy flirty i krótkie romanse szły w parze ze śmiercią i niepewnością. Ale Jamie był wyjątkowy. Jego niezwykła delikatność nie miała w sobie płochliwości, lecz raczej stanowiła zapowiedź kontrolowanej siły, wyzwania i prowokacji, tym bardziej niespotykanej, że nie stawiającej wymagań. Ten pocałunek mówił; jestem twój. A jeśli mnie

przyjmiesz...

Przyjęłam go, otworzyłam usta i z całego serca zaakceptowałam zarówno obietnicę, jak i wyzwanie. Po długiej chwili Jamie wyprostował się i uśmiechnął do mnie.

– ...lub mogę spróbować odwrócić twoją uwagę – dokończył.

Przytulił moją głowę, pogładził mnie po włosach i uporządkował wicherki przy uszach.

– Nie wiem, czy to pomoże – dodał cicho – ale powiem ci jedno: wielkim darem jest dla mnie zachwycająca świadomość, że potrafię dać ci rozkosz... że twoje ciało mnie przyjmuje. Nigdy o czymś takim nie myślałem.

Głęboko wciągnęłam powietrze.

– Tak – przyznałam. – Pomogło. Chyba.

Znowu milczeliśmy przez parę minut, które ciągnęły się jak wieki. Wreszcie Jamie od sunął się lekko i spojrzał na mnie z uśmiechem.

– Powiedziałem ci, że nie mam majątku, prawda? – Przytaknęłam, zastanawiając się, do czego zmierza. – Powiniennem cię ostrzec, że pewnie będziemy sypiać w stogach siana i żywić się korzonkami.

– To mi nie przeszkadza.

Wskazał głową kępę drzew nie opodal.

– Nie mogę ci zaoferować teraz stogu siana, lecz widziałem tam piękne świeże paprocie. Może chcesz popробować, tak dla ciekawości?

Nieco później pogładziłam jego plecy, mokre od potu i soku ze zgniecionych roślin.

– Jeśli jeszcze raz mi podziękujesz, dam ci po głowie.

Zamiast podziękowań usłyszałam ciche chrapanie. Gałązka paproci łaskotała go w policzek, a jakaś ciekawska mrówka badała teren na jego dłoni. Chyba ją czuł, bo ruszał palcami przez sen.

Strzepnęłam natarczywego owada i oparłam się na łokciu. Jamie miał długie i gęste rzęsy, ale zauważyłam to dopiero teraz, kiedy zamknął oczy. Włoski miały osobliwy kolor: rudy bliżej powiek, płowy na końcach.

Mocna linia jego ust rozluźniła się w czasie snu. Ciągłe miały pogodny wyraz, lecz dolna warga stała się pełniejsza, zarazem zmysłowa i niewinna.

– Cholera – powiedziałam cicho do siebie.

Walczyłam z tym już od pewnego czasu. Jeszcze przed zawarciem małżeństwa miałam świadomość atrakcyjności Jamiego. Nie przydarzyło mi się nic wyjątkowego, z pewnością każdy kiedyś musi przeżyć coś podobnego. Nagłą wrażliwość na obecność i wygląd konkretnej osoby, mężczyzny lub kobiety. Miałam nieustanną ochotę, by śledzić go wzrokiem, przypadkiem się z nim spotykać, przyglądać się jemu, pochłoniętemu jakąś pracą. Dręczyło mnie nadmierne wyczulenie na szczegóły ciała młodego Szkota – zarys łopatek pod koszulą, grube kości ramion, miękki podbródek, na którym szybko pojawiał się zarost.

Zauroczenie. Częste zjawisko między pielęgniarkami, lekarzami i pacjentami, jak zwykle w grupie, która przebywa ze sobą dość długo, by do tego



doszło.

Niektórzy się mu poddawali. Bywałam świadkiem wielu krótkich ognistych romansów. Jeśli obie strony miały szczęście, uczucia kończyły się po paru miesiącach i nic z nich nie wynikało. Jeśli nie... cóż. Cięża, rozwód, od czasu do czasu przypadek choroby wenerycznej. Niebezpieczna rzecz to zauroczenie.

Ja też odczułam je parę razy, ale miałam tyle zdrowego rozsądku, by nie pozwolić sobie na nic więcej. Stopniowo uczucie zaczynało blednąć, mężczyzna tracił promienistą aurę i zajmował zwykle miejsce w moim życiu, nie czyniąc krzywdy mnie, sobie ani Frankowi.

A teraz zostałam zmuszona, by poddać się cholernemu zauroczeniu. I Bóg jeden wie, co złego może z tego wyniknąć. Ale nie było już odwrotu.

Jamie leżał bezwładnie na brzuchu. Słońce lśniło w jego rudej czuprynie i iskrzyło się w drobnych włoskach na plecach i złotym puszkę porastającym pośladki i uda, który gęstniał i zmieniał się w miękkie kasztanowe kędziory pomiędzy nogami. Usiadłam, podziwiając mocne uda, mięśnie ciągnące się od kolan po biodra, kształtne linie łydek, długie wdzięczne stopy. Podeszwy miał różowe i gładkie, choć nieco zeszpecone odciskami od chodzenia boso.

Ręce same mi się wyciągały, by dotknąć jego małego, zgrabnego ucha i brutalnie wyglądającej szczęki. Hm, pomyślałam, po tym wszystkim, co się stało, i tak mi już nic nie pomoże. Nie pora silić się na wstrzemięźliwość. Delikatnie dotknęłam szyi oblubieńca.

Jamie miał bardzo czujny sen. Zerwał się z gwałtownością, która omal nie przyprawiła mnie o zawał serca. Na mój widok rozluźnił się i usiadł z uśmiechem.

– Pani, podeszłaś mnie w chwili słabości.

Uklonił się z wielką godnością jak na kogoś przyodzianego wyłącznie w gałązki roślin.

Roześmiałam się. On także się uśmiechnął, ale kiedy zaczął mi się przypatrywać, nagiej pomiędzy paprociami, wyraz jego oczu zmienił się raptownie.

– Prawdę mówiąc, masz mnie na swej łasce, pani.

– Czyżby? – spytałam cicho.

Nie poruszył się. Wyciągnęłam rękę i przesunęłam powoli dłonią po jego policzku, szyi, lśniącym wybrzuszeniu ramienia i niżej... Zamknął oczy.

– Dobry Boże – szepnął.

Gwałtownie wciągnął powietrze.

– Nie martw się – powiedziałam. – To nie musi boleć.

– Dzięki Ci, Panie, za małe błogosławieństwa.

– Nie ruszaj się.

Wbił palce w ziemię, ale usłuchał.

– Proszę... – odezwał się po pewnym czasie.

Podniosłam głowę i przekonałam się, że otworzył oczy.

– Nie – oznajmiłam, bardzo zadowolona.

Znowu przymknął powieki.

– Zapłacisz za to – rzucił po chwili. Na nosie lśniła mu warstewka potu.

– Naprawdę? I co mi zrobisz?

Mięśnie jego naprężonych ramion rysowały się wyraźnie pod skórą.

– Nie wiem – wykrztusił przez zaciśnięte zęby – ale... Jezu... chyba... zrób coś! Boże!

Proszę!

– W porządku – zgodziłam się dobrodusznie.

I wydałam cichy okrzyk, gdyż spadł na mnie i przygwoździł do posłania z paproci.

– Kolej na ciebie – zapowiedział z wyraźną satysfakcją.

Wróciliśmy do gospody o zachodzie słońca. U szczytu wzgórza zatrzymaliśmy się, by sprawdzić, czy konie Straży nie stoją w stajniach.

Gospoda wyglądała przytulnie; w małych okienkach już teraz płonęło światło. Jasna smuga prześwitywała także przez szpary w ścianach. Zachodzące słońce znajdowało się za naszymi plecami; zerwał się chłodny wiaterek, który poderwał z ziemi opadłe liście.

Ich cienie znaczyły na trawie zmienne wzory. Z łatwością mogłam sobie wyobrazić, że na tym wzgórzu żyły duszki. Tańczyły z tymi cieniami i kryły się pomiędzy smukłymi pniami drzew, w mroku gęstego lasu.

– Dougal jeszcze nie wrócił – zauważyłam, kiedy schodziliśmy po zboczu.

Wielki czarny ogier Dougala zniknął z małego padoku. Brakowało także paru innych koni, na przykład wierzchowca Neda Gowana.

– On nie wróci co najmniej do jutra. – Jamie podał mi ramię.

Schodziłam bardzo ostrożnie, pamiętając o licznych ukrytych w trawie kamieniach.

– I dokąd też pojechał? – Zupełnie zapomniałam, że nie powinnam pytać o jego nie obecność. Jamie pomógł mi przejść przez niski płot na tyłach gospody.

– Załatwić sprawy w sąsiednich wsiach. Rozumiesz, za jakieś dwa dni miał cię odstawić do fortu. – Uścisnął moje ramię. – Kapitan Randall nie będzie szczęśliwy, gdy Dougal mu powie, by obszedł się smakiem. Potem musimy się szybko zbierać z tej okolicy.

– Bardzo rozsądnie – pochwaliłam. – To miłe, że zechciał nas tu zostawić, abyśmy...

hm, lepiej się poznali.

Jamie parsknął pogardliwie.

– To nie życzliwość, lecz jeden z moich warunków. Obiecałem, że cię poślubię, skoro trzeba, ale niech mnie diabli, jeśli skonsumuję małżeństwo pod jakimś krzakiem, by dwudziestu chłopów mogło się przyglądać i dawać mi porady.

Zatrzymałam się gwałtownie. A więc o tym tak zawzięcie rozmawiali w gospodzie.

– Jeden z warunków? – powtórzyłam. – A jakie były inne?

W zapadającym mroku nie widziałam zbyt wyraźnie jego twarzy, ale wydawało mi się, że jest zażenowany.

– Były tylko dwa – wydusił z siebie wreszcie.

– A mianowicie?

– Więc... – Kopnął mały kamyk, poświęcając tej czynności maksymalną uwagę. – Powiedziałem, że ślub ma

być jak należy, w kościele, przed księdzem; że nie wystarczy intercyza. Drugim warunkiem była przyzwoita suknia. – Odwrócił twarz, unikając mojego spojrzenia. Kiedy się znowu odezwał, prawie go nie usłyszałam. – Wiedziałem...

że nie chcesz za mnie wyjść. Chciałem, byś się czuła jak najlepiej... Sądziłem, że to trochę... no, chciałem, żebyś miała przyzwoitą suknię i tyle.

Otworzyłam usta, aby skomentować te rewelacje, ale nie zdążyłam bo szybko ruszył ku gospodarzowi.

– Chodź, Angielko – rzucił przez ramię. – Jestem głodny.

Ceną za możliwość spożycia posiłku było towarzystwo, co stało się dla nas oczywiste od chwili przekroczenia progu szynku. Powitał nas grzmiący ryk entuzjazmu. Czym prędzej precyzyjnie się do stołu, gdzie raczono się solidną kolacją.

Tym razem byłam przygotowana na sprośne uwagi i żarciki. Z zadowoleniem oddałam sprawę w ręce Jamiego, który znakomicie radził sobie z krępującymi pytaniami.

– Spałem – oznajmił z niewzruszonym spokojem. – W nocy nawet nie zmrużyłem oka. – Przeczekał salwę śmiechu i dodał: – Ta kobieta strasznie chrapie.

Dałam mu szczątko w ucho, a on przygarpnął mnie i pocałował ku ogólnemu zachwytowi.

Po kolacji rozpoczęły się tańce. Uczestnikom zabawy przygrywał na skrzypcach karczmarz. Nigdy nie potrafiłam tańczyć, gdyż w chwilach napięcia miałam zwyczaj potykania się o własne nogi. Tym razem także nie

spodziewałam się cudów, zwłaszcza że miałam na sobie długą spódnicę i niewygodne buty. Ale kiedy je zrzuciłam, ku swemu zaskoczeniu przekonałam się, że wiruję bez trudu i z wielkim upodobaniem.

Brakowało kobiet, więc ja i żona karczmarza musiałyśmy podkasać spódnicę i tańczyć bez ustanku. Wreszcie padłam na sofę, purpurowa i zdyszana.

Mężczyźni byli absolutnie nie do zdarcia. Podrygiwali dalej, sami lub w parach.

W końcu stanęli pod ścianami, wiwatując i klaszcząc, a Jamie wziął mnie za rękę i ruszył w jakiś szybki i zawrotny taniec zwany „Kogutem Północy”.

Zatrzymaliśmy się – nie przez przypadek – tuż przy schodach. Jamie zawirował wraz ze mną po raz ostatni i stanął. Objął mnie w tali, po czym wygłosił krótką mowę po celtycku i angielsku. Przemówienie zostało przyjęte z aplauzem, zwłaszcza gdy sięgnął do sporranu rzucił karczmarzowi sakiewkę z wytartej skóry, polecając podawać whisky tak długo, dopóki wystarczy pieniędzy. Była to sakiewka, którą otrzymał po walce w Tunnaig.

Najprawdopodobniej zawierała cały majątek młodzieńca. Pomyślałam, że nie mógłby go lepiej spożytkować.

Ruszyliśmy po schodach, odprowadzani grubiańskimi radami. Ponad wrzask wybił się jeden głos, silniejszy od innych. Odwróciłam się i ujrzałam szeroką twarz Ruperta, bardziej czerwoną niż zazwyczaj. W gęstwinie czarnej brody błyskały białe zęby.

– Nic z tego! – zawołał Jamie. – Ona jest moja.

– Marnuje się przy tobie! – odkrzyknął Rupert, wycierając twarz rękawem. – Za godzinę będziesz leżeć bez ducha. Ci młodzi całkiem nie mają sił – dodał w moim kierunku. – jeśli zapragniesz mężczyzny, który nie marnuje czasu na sen, daj mi znać, dziewczyno. A na razie... – Rzucił coś w górę. Do stóp upadła mała pękata sakiewka.

– Prezent ślubny – wyjaśnił Rupert. – Od Straży Shimi Bogil.

– He? – Jamie schylił się, żeby podnieść skórzany woreczek.

– Niektórzy z nas nie tracą czasu na włóczęgę po lasach – pouczył go Rupert, mierząc mnie obleśnym spojrzeniem. – Te pieniądze są zarobione ciężką pracą.

– Ach, tak? – Jamie wyszczerzył zęby. – W kości czy karty?

– To i to. Orznęliśmy ich bez litości. Mówię ci, bez litości!

Jamie otworzył usta, ale Rupert powstrzymał go gestem szerokiej, poznaczonej odciskami łapy.

– Nie, nie dziękuj, tylko ucałuj żonkę ode mnie.

Posłałam mu całusa. Chwycił się za policzek, zatoczył jak pijany i zygzakiem powędrował do wyjścia.

Po wrzasku i wesołości szynku nasza izdebka wydawała się bardzo cicha. Jamie rzucił się na łóżko, nadal chichocząc. Rozsznurowałam stanik, który mnie niesamowicie uwierał, i usiadłam, by uczesać rozczochraną w tańcu fryzurę.

– Masz prześliczne włosy – odezwał się z łóżka Jamie.

– Co? To? – Mimo woli uniosłam dłoń ku lokom, które życzliwi określali uprzejmym mianem „wroniego gniazda”.

Jamie parsknął śmiechem.

– Tamte gdzie indziej też mi się podobają – oznajmił z niewinną miną – ale owszem, chodziło mi o te na głowie.

– Ale one są takie... kędzierzawe – powiedziałam zarumieniona.

– No właśnie. – Zerknął na mnie ze zdziwieniem. – Słyszałem, jak córka Dougala powiedziała swej przyjaciółce w zamku, że gdyby chciała zrobić sobie taką fryzurę, musiałaby przez trzy godziny męczyć się z żelazkami. Mówiła, że chętnie wydrapałaby ci oczy za to, że nawet nie ruszyłaś palcem, by tak wyglądać. – Usiadł i pociągnął za jeden kędzior, który rozprostowany sięgał mi prawie do piersi. – Moja siostra także ma faliste włosy, ale nie aż tak.

– Czy jest ruda jak ty? – spytałam z zaciekawieniem, usiłując wyobrazić sobie tajemniczą Jenny. Wyglądało na to, że Jamie często o niej myśli.

Pokręcił głową i zaczął nawijać sobie moją włosy na palec.

– Nie, włosy Jenny są czarne jak noc. Ja jestem ruda po matce, Jenny odziedziczyła włosy po ojcu. Nazywali go Brian Dhu, „Czarny Brian”, ze względu na kolor jego włosów.

– Podobno kapitan Randall nosi przydomek „Czarny Jack” – zaryzykowałam.



Jamie uśmiechnął się ponuro.

– Tak, lecz to się odnosi do barwy jego duszy. – Spojrzał na mnie przenikliwie. – Nie boisz się chyba? Nie powinnaś. – Puścił moje włosy i pogłaskał mnie władczo po ramieniu. – Dotrzymam przysięgi. Będę cię bronić przed nim i wszystkimi innymi. Do ostatniej kropli krwi, mo duirmel.

– Mo duirmel – powtórzyłam, nieco stropiona powagą jego tonu. Nie chciałam być odpowiedzialna za żaden rozlew krwi.

– To znaczy: „moja brązowa”. – Uniósł lok moich włosów do ust i uśmiechnął się.

Wyraz jego oczu sprawił, że krew zaczęła mi szybciej krążyć w żyłach. – Mo duirmel – powtórzył cicho. – Tak pragnęłam ci to powiedzieć...

– Brązowy to raczej nudny kolor. Tak mi się zawsze wydawało – zauważyłam kwaśno, usiłując nieco odwlec bieg spraw. Miałam wrażenie, że wszystko dzieje się znacznie szybciej, niż powinno.

Jamie pokręcił głową z uśmiechem.

– Ja tak nie sędzę. Angielko. To nie jest nudny kolor. – Zagarnął moje włosy w obie ręce i rozpostarł je niczym wachlarz. – Są jak woda w potoku z kamienistym dnem.

Ciemne w załamaniach, lecz z odrobiną srebra na powierzchni, gdy słońce budzi w nich błyski.

Zdenerwowana i bez tchu odsunęłam się, by podnieść grzebień, który wypadł mi z ręki. Wyprostowałam się i napotkałam nieruchome spojrzenie Jamiego.

– Powiedziałem, że nie poproszę cię o zdradzenie swoich tajemnic, i nie zrobię tego, lecz rozmyślałem i doszedłem do własnych wniosków. Colum uważał, że jesteś angielskim szpiegiem, choć nie rozumiał, czemu nie umiesz mówić po celtycku. Dougal sądził, że jesteś szpiegiem Francji i przybyłaś po to, by szukać wsparcia dla króla Jakuba.

Ale zastanawiał się, dlaczego w takim razie jesteś tu sama.

– A ty? – spytałam, rozczesując dziko splątaną czuprynę. – Jak sądzisz, kim jestem?

Przechylił głowę i przyjrzał mi się wnikliwie.

– Z wyglądu przypominasz Francuzkę. Masz subtelne rysy twarzy, właściwe niektórym damom z Andegawenii. Ale Francuzki są przeważnie śniade, a ty masz skórę niczym opal. – Przesunął powoli palcem wzdłuż mojego obojczyka. Jego dotyk pozostawił po sobie palącą linię. Palec musnął moją twarz, przesunął się od skroni po policzek, wygładził włosy za uchem. Siedziałam jak skamieniała, usiłując się nie ruszać.

Wielka dłoń spoczęła mi na karku, kciuk pogładził płatek ucha. – Złociste oczy. Już takie widziałem... u lamparta. – Pokręcił głową. – Nie, mogłabyś być Francuzką, ale nią nie jesteś.

– Skąd wiesz?

– Rozmawiałem z tobą i słuchałem cię. Dougal uważa, że pochodzisz z Francji, bo dobrze władasz językiem tego kraju. Nawet bardzo dobrze.

– Dziękuję – mruknęłam sarkastycznie. – A ty

sądziysz, że moja znajomość francuskiego świadczy, iż nie jestem Francuzką?

Uśmiechnął się i mocniej zacisnął palce na mojej szyi.

– Vous parlez tres bien, ale nie aż tak dobrze jak ja.  
– Puścił mnie nagle. – Przez rok mieszkałem we Francji, a potem jeszcze przez dwa lata służyłem tam w wojsku. Poznam prawdziwego Francuza, gdy się do mnie odezwie. A ty nie mówiłaś tym językiem od urodzenia. – Powoli pokręcił głową. – Hiszpanka? Może, ale dlaczego tu się zjawiałaś?

Hiszpania nie interesuje się Szkocją. Niemka? O, nie. – Wzruszył ramionami. – Kimkolwiek jesteś, Anglicy chcieliby się tego dowiedzieć. Nie mogą sobie pozwolić, by gościć obcych, skoro klany i tak nie dają im spokoju, a księżę Karol lada chwila wróci z Francji. A jeśli chcą się czegoś dowiedzieć, bywają nieprzyjemni.

– A skąd pewność, że nie przysłali mnie właśnie oni? Dougal tak uważa.

– To możliwe, choć i po angielsku mówisz nieco osobliwie. Ale gdybyś była angielskim szpiegiem, dlaczego miałabyś za mnie wyjść, zamiast wrócić do swoich? To kolejny powód, dla którego Dougal kazał ci mnie poślubić. Chciał sprawdzić, czy uciekniesz tej ostatniej nocy, gdy przyjdzie do rzeczy.

– I nie uciekłam. Czego to dowodzi?

Roześmiał się i położył na łóżku, osłaniając oczy przed rażącym światłem.

– Niech mnie diabli, jeśli wiem. Nie potrafię

znaleźć żadnego wytłumaczenia. Równie dobrze mogłabyś pochodzić z Małego Ludku. – Zerknął na mnie spod palców. – Ale nie, chyba nie. Jesteś za duża.

– Skoro nie wiesz, kim jestem, nie boisz się, że zabiję cię w nocy, podczas snu?

Nie odpowiedział. Odsunął rękę i uśmiechnął się szerzej. Pomyślałam, że oczy odziedziczył po rodzinie Fraserów. Nie były tak głęboko osadzone jak oczy Dougala.

Rozstawione pod dziwnym kątem, przy wysokich kościach policzkowych wydawały się niemal skośne. Rozchylił koszulę na piersi, nie zadając sobie nawet tyle trudu, by podnieść głowę. Wyciągnął sztylet z pochwy i rzucił go w moją stronę. Broń upadła mi z brzękiem do stóp.

– Uderzaj pod mostek – poradził. – Szybka i czysta robota, choć wymaga nieco siły. – Oślonił oczy i odchylił głowę, ukazując miejsce, w którym ciemna szczecina zarostu urywała się nagle tuż pod zuchwą. – Łatwiej poderżnąć gardło, ale wtedy jest za dużo krwi.

Schyliłam się po sztylet.

– Zasłużyłbyś na to – oznajmiłam. – Zarozumialec.

Jego uśmiech stał się jeszcze szerszy.

– Angielko...?

Zatrzymałam się ze sztyletem w dłoni.

– Co?

– Umrę jako człowiek szczęśliwy.

Tego ranka spaliśmy do późna. Kiedy opuściliśmy gospodę, słońce stało wysoko na niebie. Tym razem

skierowaliśmy się na południe. Większość koni zniknęła z padoku i nigdzie nie widziałam naszych ludzi. Spytałam Jamiego, dokąd pojechali.

Uśmiechnął się.

– Nie wiem tego na pewno, lecz mogę zgadnąć. Straż wyruszyła tam. – Wskazał na zachód. – Sądzę więc, że Rupert i inni podążyli w przeciwnym kierunku. – Machnął ręką na wschód. Ciągle nie rozumiałam.

– Bydło – dodał Jamie po chwili. – Gospodarze płacą Straży za bezpieczeństwo stad, ale jeśli strażnicy udali się na zachód ku Lag Cruime, wszystkie bydłatka na wschód są bezbronne... przynajmniej chwilowo. W tamtą stronę ciągną się ziemie Grantów, a Rupert kradnie bydło jak nikt na świecie. Zwierzęta idą za nim jak za matką i ani się sprzeciwią. A ponieważ tutaj mu się nudzi, pewnie zaczął się niepokoić.

Jamie także wyglądał na zaniepokojonego. Ruszył przed siebie żwawym krokiem. Na szczęście przez wrzosowisko prowadziła wydeptana ścieżka, więc udało mi się nie pozostać zbyt daleko w tyle. Po chwili dotarliśmy do torfowiska. Tam już szliśmy ramię w ramię.

– A co z Horrocksem? – spytałam niespodziewanie. Jamie wspomniał o Lag Cruime, co przypomniało mi o angielskim dezercerze i ewentualnych wieściach, jakie mógł posiadać. – Miałeś się z nim spotkać w okolicy?

Skinął głową.

– Tak, lecz nie pojedę do miasta, skoro tą drogą podąża Randall i Straż. To zbyt niebezpieczne.

– Czy ktoś nie może cię zastąpić? Nikomu nie

ufasz?

Zerknął na mnie z uśmiechem.

– Hm... Wczoraj jednak mnie nie zabiłaś, myślę więc, że mogę ci zaufać. Ale obawiam się puścić cię samą do Lag Cruime. Nie, jeśli to będzie konieczne, pojedzie Murtagh. Ale może zdołam wymyślić inne rozwiązanie. Zobaczymy.

– Ufasz Murtaghowi? – spytałam.

Nie darzyłam tego małego, złośliwego człowieka ciepłymi uczuciami, bo to on odpowiadał za moją obecną sytuację. A jednak najwyraźniej Jamie i Murtagh czuli do siebie sympatię.

– Tak. – Zerknął na mnie z zaskoczeniem. – Zna mnie od urodzenia. To cioteczny brat mojego ojca... chyba. Jego ojciec był moim...

– Chcesz powiedzieć, że pochodzi z rodziny Fraserów – przerwałam mu pospiesznie.

– Myślałam, że jest jednym z MacKenziech. Był z Dougalem, kiedy cię spotkałam.

Jamie przytaknął.

– Kiedy zdecydowałem, że wrócę, wysłałem do niego list, w którym prosiłem, by przybył na wybrzeże. – Uśmiechnął się krzywo. – Rozumiesz, nie wiedziałem, czy to nie Dougal próbował mnie zabić. I na wszelki wypadek nie chciałem znaleźć się sam w kompanii MacKenziech. Wolałem nie pójść na dno morza.

– Więc nie tylko Dougal lubi mieć świadków?

Pokiwał głową.

– Świadkowie są bardzo przydatni.

Po drugiej stronie wrzosowiska znajdował się usiany kamieniami spłachetek ziemi, pełen rozpadlin i polodowcowych dziur. W głębszych zebrała się deszczówka, a brzegi tych niewielkich stawików były porośnięte gęstymi kępami ostu, tawuły i wrotyczu.

Barwne kwiaty odbijały się w nieruchomej wodzie.

Czyste, pozbawione flory i fauny stawki tworzyły pułapki na nieświadomych niczego podróżnych, którzy w ciemnościach mogliby w nie wpaść i stracić przytomność.

Usiedliśmy na brzegu jednego z tych zbiorników i zabraliśmy się do śniadania, złożonego z chleba i sera.

Jałowa woda wabiła ptaki; jaskółki zniżały lot, żeby się napić, a kuliki i siewki kręciły się na błotnistych brzegach w poszukiwaniu robaków. Rzuciłam kawałki chleba. Jeden kulik przyjrzał się im podejrzliwie, ale zanim się zdecydował, szybka jak piorun jaskółka śmignęła mu przed nosem i uciekła z łupem. Kulik nastroszył piórka i wrócił do poszukiwań.

Jamie wskazał siewkę, wydającą z siebie żalosne nawoływania. Ciągnęła skrzydło po ziemi, najwyraźniej złamane.

– Ma tu gdzieś gniazdo – powiedziałam.

– Tam.

Dopiero po dłuższej chwili odnalazłam je wzrokiem. Było to płytkie wgłębienie, zupełnie nie ukryte, ale razem z nakrapianymi jajkami tak podobne w kolorycie do usłanego liśćmi brzegu, że kiedy tylko mrugnęłam, znowu mi zniknęło.

Jamie wziął patyk i delikatnie poruszył gniazdem.

Jedno jajko poturlało się o parę centymetrów dalej. Pani siewka, zdjeta przerażeniem, prawie się rzuciła na wroga. Jamie przysiadł bez ruchu i odczekał chwilę. Ptak miotał się wokół gniazda, piszcząc przeraźliwie. Potem nastąpił ruch szybki jak błyskawica i okazało się, że Jamie trzyma siewkę w ręce.

Przemówił do niej po celtycku, cichymi i syczącymi dźwiękami, głaszcząc jednym palcem zmierzwione piórka. Ptak leżał bez ruchu. Nawet czarne paciorki oczu trwały wpatrzony w jeden punkt jak złodowaciałe.

Jamie posadził siewkę na ziemi, ale ptak nawet nie drgnął. Dopiero gdy mój towarzysz powiedział jeszcze parę słów i machnął lekko dłonią. Wtedy małe ciało zerwało się gwałtownie i śmignęło w krzaki. Jamie spojrzął za siewką i przeżegnał się zupełnie odruchowo.

– Dlaczego to zrobiłeś? – spytałam z zaciekawieniem.

– Co? – Lekko drgnął.

Zdawało mi się, że zapomniał o moim istnieniu.

– Przeżegnałeś się, kiedy ptak odleciał.

Wzruszył ramionami z pewnym zażenowaniem.

– A, to. Pewna stara baśń opowiada, dlaczego siewki tak krzyczą i biegają wokół swych gniazd. – Wskazał na drugi brzeg, gdzie inna siewka demonstrowała opisane za chowanie. Przez parę chwil przyglądał się jej w zamyśleniu. – W siewkach żyją dusze młodych matek zmarłych przy porodzie. – Zerknął na mnie nieśmiało. – Legenda mówi, że krzyczą i biegają wokół gniazd, ponieważ nie mogą uwierzyć, że pisklęta wykluły się



zdrowe. Zawsze oplakują to, które straciły... albo szukają porzuconego dziecka. – Kucnął przy gnieździe i tracił patykiem podłużne jajko. Obrócił je tak, by węższym końcem zwróciło się do środka gniazda jak pozostałe. Przez chwilę trwał w tej pozycji, patrząc na nieruchomą wodę stawu.

– To chyba przyzwyczajenie – dodał. – Po raz pierwszy rozmawiałem z siewką, gdy byłem bardzo młody i usłyszałem tę historię. Co prawda nie wierzę, że mają dusze, ale rozumiesz, należy się im szacunek... – Spojrzał na mnie i uśmiechnął się niespodziewanie. – W Szkocji mamy sporo siewek. – Wstał i odrzucił patyk. – Chodźmy już. Chcę ci pokazać pewne miejsce w pobliżu szczytu wzgórza. – Wziął mnie pod rękę i razem ruszyliśmy po zboczu.

Wiedziałam, co powiedział do siewki, którą trzymał w dłoni. Zapamiętałam stare pozdrowienie, popularne wśród Szkotów. „Bóg z tobą, matko”.

Młoda matka zmarła w położu. I porzucone dziecko. Dotknęłam jego ramienia.

– Ile miałeś lat? – spytałam.

Uśmiechnął się kątem ust.

– Osiem. Byłem jeszcze dzieckiem.

Nie odezwał się aż do chwili, kiedy znaleźliśmy się na szczycie. Teren zmienił się gwałtownie; wokół nas pojawiły się sterczące wprost z ziemi wielkie złomy granitu, obrośnięte jaworami i modrzewiami. Żalony płacz siewek został daleko w tyle.

Słońce zaczęło przygrzewać, a po godzinie

przedzierania się przez gęste chaszczę – choć to Jamie torował drogę – poczułam, że pora na odpoczynek.

U stóp jednej z granitowych skał znaleźliśmy cienisty zakątek. Przypomniał mi miejsce, w którym spotkałam się z Murtaghiem... oraz rozstałam z kapitanem Randallem. Mimo to uznałam, że jest dość przyjemne. Jamie powiedział, że jesteśmy sami, ponieważ ze wszystkich stron słychać śpiew ptaków. Gdyby ktoś się zbliżał, ptaki by umilkły, a sójki i kawki zaczęłyby wrzeszczeć na alarm.

– Zawsze szukaj schronienia w lesie – pouczył mnie. – Jeśli nie będziesz się zanadto ruszać, ptaki w porę ostrzegą cię o nadejściu intruza.

Oderwał wzrok od krzyczącej sójki, którą mi pokazywał, i spojrzał mi w oczy.

Usiedliśmy jak zakłęci, nie dotykając się, ledwie oddychając. Po jakimś czasie sójka znudziła się nami i odleciała. Jamie pierwszy odwrócił głowę i zadrżał, jakby przeszedł go zimny dreszcz.

Kapelusze starych grzybów białeły na tle mchu pod paprociami. Jamie poruszył nóżką jednego z nich i powiódł w zamyśleniu palcem wzdłuż rozsypanych zarodników.

Kiedy się odezwał, jego słowa prawie nie nosiły śladów szkockiego akcentu.

– Nie chciałbym... to znaczy... nie chcę twierdzić...  
– Podniósł na mnie oczy i uśmiechnął się bezradnie. – Nie chcę cię obrazić twierdząc, że masz wielkie doświadczenie z mężczyznami. Ale nie mogę udawać, że wiem o tym więcej, niż ty.

Powiedz, czy to... zawsze tak jest? To, co się dzieje między nami, kiedy cię dotykam, kiedy... jesteśmy ze sobą? Czy bliski związek między kobietą i mężczyzną właśnie tak wygląda?

Doskonale rozumiałam, o co mu chodzi. Spoglądał na mnie z napięciem, jakby bardzo pragnął usłyszeć odpowiedź. Za wszelką cenę chciałam odwrócić wzrok, ale nie potrafiłam się do tego zmusić.

– Często tak bywa – Odparłam i głośno odchrząknęłam. – Ale nie zawsze. Nie mam najmniejszego pojęcia dlaczego, ale nie. To jest coś... innego.

Trochę się uspokoił, jakbym potwierdziła jego przypuszczenia.

– Tak też myślałem. Jeszcze nigdy nie kładłem się z kobietą, lecz... hm, dotykałem paru. – Uśmiechnął się nieśmiało i pokręcił głową. – To nie było to samo. Już trzymałem kobietę w ramionach i całowałem ją i... cóż... – Machnął ręką, jakby chciał skasować to ostatnie „i”. – W rzeczy samej, było to bardzo przyjemne. Serce biło szybciej, brakowało mi tchu. Ale nie miałem pojęcia, że mogę czuć się tak jak teraz, gdy biorę cię w ramiona i całuję. – Jego oczy, pomyślałam, miały przejrzysty kolor jeziora i nieba.

Jamie dotknął mojej dolnej wargi, bardzo lekko.

– Zaczyna się tak samo, ale potem, po chwili – dodał cicho – nagle jest tak, jakbym miał w ramionach żywy ogień. – Jego dotyk stawał się stopniowo coraz mocniejszy. – Chcę się rzucić w płomień i w nich zginąć.

Zamierzałam powiedzieć, że to on roznieca ten

ogień, który już teraz wypełniał moje żyły, ale czułam, że jest za późno. Zamknęłam oczy; łagodne palce wędrowały po moim policzku, skroni, uchu i szyi. Potem Jamie chwycił mnie w pól i przyciągnął do siebie.

Wyglądało na to, że Jamie wie, dokąd zmierzamy. Zatrzymał się u stóp wielkiej skały, pełnej rozpadlin i poszarpanych szczelin, w których rozpleniły się dzikie róże i wrotycze.

Wziął mnie za rękę i skinął głową w stronę skały.

– Widzisz te schody? Jak sądzisz, wejdiesz po nich?

Rzeczywiście, w kamiennej ścianie znajdowały się lekko zaznaczone występy, niektóre całkiem wyraźne, inne nadające się wyłącznie jako oparcie dla porostów. Bez względu na to, czy były dziełem natury, czy ludzkich rąk, można się było po nich wspiąć, nawet w spódnicy do ziemi i ciasnym gorsecie.

Parę razy potknęłam się i pośliznęłam. W razie potrzeby Jamie podpierał mnie od tyłu. Wreszcie udało mi się dotrzeć na szczyt. Rozejrzałam się. Widok był efektowny. Na wschodzie wznosiły się ciemne masywy gór, daleko zaś na południu wzgórze przechodziły płynnie w rozległe wrzosowiska. Na szczycie skały znajdowało się wklęsnięcie terenu. Na samym środku płytkiej niecki widniało osmalone kółko z paroma zwęglonymi patykami. A zatem nie jako pierwsi odwiedziliśmy to miejsce.

– Byłeś tu?

Jamie stał obok mnie, z przyjemnością przyglądając się mojemu zachwytowi.

Wzruszył lekceważąco ramionami.

– Znam tę część gór jak własną kieszeń. Chodź, można tu usiąść i zobaczyć panoramę okolicy.

Widziałam karcznię, która ze szczytu wyglądała jak domek dla lalek. Pod drzewami przy drodze stało kilka koni, małych brązowych i czarnych plamek.

Słońce prażyło mnie mocno w plecy. Usiedliśmy obok siebie. Spuściliśmy nogi nad przepaścią i zaczęliśmy się raczyć jedną z butelek piwa, które Jamie rozważnie zabrał ze sobą z wewnętrznego dziedzińca gospody.

Na szczycie nie było drzew, ale za to nie brakowało mniejszych roślin, które zdołały się utrzymać na tym nieprzyjaznym gruncie, a teraz dzielnie znosiły upalne słońce.

W wąwozie zauważyłam małą kępkę stokrotek. Wyciągnęłam rękę, by zerwać jeden kwiatusek.

Coś świsnęło, główka stokrotki zeskoczyła z łodygi i wylądowała mi na kolanie.

Zagapiłam się na nią tępo. Nie pojmowałam tego dziwnego zjawiska. Jamie, obdarzony znacz nie szybszą orientacją, rzucił się płasko na ziemię.

– Padnij! – rozkazał.

Duża ręka chwyciła mnie za łokieć i pociągnęła. Runęłam na sprężysty mech i ujrzałam strzałę, drżącą w rozpadlinie tuż przed moim nosem.

Zamarłam. Bałam się nawet poruszyć okiem. Przywarłam płasko do ziemi. Jamie trwał bez ruchu, jakby zmienił się w kamień. Ptaki i owady zamilkły, wiatr ustał. Cała przyroda wstrzymała oddech.

Nagle Jamie zaczął się śmiać.

Usiadł, chwycił strzałę i ostrożnie ją wyciągnął. Była zakończona rozciętymi piórami dzięcioła i owinięta błękitną nicią. Odłożył ją, otoczył usta dłońmi i wydał z siebie głos, całkiem udatnie naśladujący zew zielonego dzięcioła. Opuścił dłonie i zastygł w oczekiwaniu. Po chwili podobne wołanie rozległo się z zarośli poniżej. Jamie uśmiechnął się szeroko.

– Twój przyjaciel? – odgadłam.

Skinął głową, przyglądając się wąskiej ścieżce przed skałą.

– Hugh Munro. Chyba że ktoś inny zaczął robić strzały na jego modłę.

Odczekaliśmy jeszcze chwilę, ale na ścieżce pod nami nikt się nie pojawił.

– Ach – mruknął Jamie i odwrócił się w samą porę. Jakaś głowa powoli wyłoniła się zza krawędzi skały za naszymi plecami.

Nieznajomy zaprezentował szczerbaty, zadowolony uśmiech. Miał czaszkę kształtu dyni, a to wrażenie potęgował pomarańczowo-brązowy kolor skóry, nie tylko na twarzy, ale i na łysinie. Żadna dynia jednak nie mogłaby się pochwalić tak wspaniałym zarostem i błękitnymi oczami. Szerokie, łopатовate dłonie o brudnych paznokciach pojawiły się na krawędzi skały i wywindowały resztę ciała na szczyt.

Okazało się, że dyniowata głowa jest osadzona na ciele goblina. Ramiona były bardzo szerokie, lecz zgarbione i krzywe, jedno położone znacznie wyżej od

drugiego.

Najwyraźniej różna długość nóg sprawiała, że dyniowaty chodził dziwnym, podskakującym krokiem.

Munro, jeśli rzeczywiście był to przyjaciel Jamiego, miał na sobie kilka warstw spłowiałych szmat. Przez dziury w bezkształtnym odzieniu, które niegdyś mogło być kobiecym gieźlem, wycierały fragmenty płótna barwionego jagodami. Munro nie miał przy pasie sporranu. Właściwie nie posiadał także pasa, lecz wystrzępiony sznur, z którego zwisały dwa futrzane ciałka. U paska zebraczej torby dyndały małe metalowe drobiazgi: medaliki, wojskowe odznaczenia, stare guziki od mundurów, wytarte monety, przewiercone i przyszyte, a także trzy czy cztery prostokątne kawałki metalu, ciemnoszare i poznaczone tajemniczymi znakami.

Jamie wstał i objął ciepło przybysza. Obaj zaczęli się mocno klepać po plecach w typowo męskim powitaniu.

– I jak się mają sprawy w domu, Munro? – zagadnął Jamie, odsuwając się od starego druha i przyglądając się mu uważnie.

Munro przechylił głowę i wydał z siebie dziwny bełkotliwy odgłos. Potem uniósł brwi i spojrzał na mnie, po czym zrobił kilka wdzięcznych gestów krzepkimi dłońmi.

– Moja żona – oznajmił Jamie, rumieniąc się nieśmiało i zarazem dumnie. – Wzięliśmy ślub dwa dni temu.

Munro uśmiechnął się jeszcze szerzej, wykonał niezwykle skomplikowany i pełen gracji ukłon, przy którym dotknął czoła, serca i warg, a na koniec prawie padł

przede mną plackiem. Po tym wstrząsającym manewrze zerwał się na równe nogi z gracją akrobaty i znowu łupnął Jamiego w plecy, tym razem w ramach gratulacji.

Następnie rozpoczął zadziwiający balet rąk. Wskazał siebie, potem las, mnie i jeszcze raz siebie, z takim bogactwem ruchów, że prawie nie nadażalam za nimi wzrokiem. Już widywałam głuchoniemych, posługujących się językiem migowym, ale żaden z nich nie robił tego równie szybko i wdzięcznie.

– Ach, tak! – wykrzyknął Jamie. Teraz to on obsypał przyjaciela gratulacjami. Nic dziwnego, że mężczyźni są odporni na ból. To ciągle okładanie się kułakami musiało do tego doprowadzić.

– On też się ożenił – wyjaśnił mi Jamie. – Sześć miesięcy temu, z wdową... no dobrze, z tłustą wdową – dodał po dobitnym geście Munro – z sześciorgiem dzieci. Mieszka w wiosce Dubhlaim.

– Cudownie – przyznałam grzecznie. – Zdaje się, że jedzenia im nie zabraknie. – Wskazałam na wiszące mu u pasa króliki.

Munro natychmiast odwiązał jednego i podał mi go z tak promiennym uśmiechem, że musiałam przyjąć podarek. Modliłam się tylko, by nie był zapchlony.

– Prezent ślubny – powiedział Jamie. – Jesteśmy niezmiernie wdzięczni. Imusisz nam pozwolić się zrewanżować. – Po tych słowach wyjął z mchu jedną z zabranych butelek i podał ją przyjacielowi.

Przez jakiś czas prowadziliśmy uprzejmą rozmowę przy piwie. Jamie i Munro przekazywali sobie najnowsze



wiadomości i plotki. Obaj byli równie gadatliwi, choć tylko jeden posługiwał się głosem. Nie brałam czynnego udziału w rozmowie, gdyż nie potrafiłam od czytać znaków Munro. Jamie starał się tłumaczyć, jak mógł najlepiej.

W pewnej chwili wskazał kciukiem prostokątne kawałki ołowiu przy pasie torby Munro.

– Działasz oficjalnie? – spytał. – A może to tylko na czas, gdy zwierzyna nie dopisuje?

Munro pokiwał energicznie głową.

– Co to jest? – zaciekałam się.

– Gaberlunzie.

– A, rzeczywiście – warknęłam. – Przepraszam, że spytałam.

– Gaberlunzie to pozwolenie na zebranie – wyjaśnił.

– Obowiązuje w granicach parafii i tylko w określonym dniu. Każda wydaje własne pozwolenie, by obcy żebracy nie nadużywali dobrego serca wiernych.

– Jak widzę, zdarzają się także wyjątki od tej zasady – zauważyłam, wskazując kilka innych ołowianych płytek.

– Ach, Munro to przypadek specjalny. Turcy pojмали go na morzu. Przez wiele lat wiosłował na galerach, a potem jeszcze był niewolnikiem w Algierze. To tam ucięli mu język.

– U... cięli? – Poczulałam, że robi mi się trochę słabo.

Jamie nie wydawał się wstrząśnięty. Oczywiście, znał już ową historię od pewnego czasu.

– Tak. I złamali mu nogę. Krzyż też, Munro? Nie – poprawił się po szeregu znaków przyjaciela. – To się wydarzyło, kiedy skakał z muru w Aleksandrii. Ale stopy to

już na pewno robota Turków.

Naprawdę, nie miałam najmniejszej ochoty usłyszeć, co też się stało ze stopami Munro, ale widziałam, że obaj aż podskakują z niecierpliwości, by mnie wprowadzić w temat.

– Dobrze – powiedziałam z rezygnacją. – Więc jak to było?

Munro z dumą zdjął drewniak i pończochę. Ukazała się szeroka, brudna stopa z białymi, lśniącoymi płatami skóry, przemieszanymi z czerwonymi plamami.

– Wrzący olej – wyjaśnił Jamie. – Tak zmuszają pojmanych chrześcijan, by się wyrzekli wiary i przeszli na islam.

– Zdaje się, że to całkiem skuteczna metoda perswazji – przyznałam. – Więc dlatego pozwolono mu zebrać w kilku parafiach? Żeby wynagrodzić mu męki w obronie chrześcijaństwa?

– Właśnie. – Jamie z zadowoleniem przyjął ten dowód mego bystrego umysłu.

Munro także wyraził podziw. Dodał jeszcze bardzo wyrazistą, choć niezbyt subtelną sekwencję gestów opiewających moje przymioty zewnętrzne.

– Dzięki. Ja też sądzę, że będę z niej dumny. – Jamie zerknął na moje uniesione brwi i taktownie odwrócił Munro plecami do mnie. – No, a teraz powiedz mi, co się dzieje we wsiach?

Rozmowa nabrała tempa i intensywności. Jamie reagował głównie pomrukami i okrzykami, więc nie mogłam się zorientować w jej treści. Wobec tego zajęłam

się oględzinami małych dziwnych roślin skalnych, jakimi była usiana kamienna powierzchnia.

Zanim skończyli, zebrałam już całą kieszeń świetlika i dyptamu. Tymczasem Hugh Munro raz jeszcze walnął Jamiego w plecy, ukłonił mi się, poczłapał do skalnej krawędzi i zniknął równie szybko jak jeden z królików, na które polował.

– Masz bardzo interesujących przyjaciół – powiedziałam.

– Tak. Miły z niego człowiek. W zeszłym roku polowałam razem z nim i innymi.

Teraz, skoro ma oficjalne pozwolenie na zebranie, jakoś sobie radzi, ale musi kursować między parafiami. Doskonale się orientuje, co słyhać wzdłuż granic Ardagh i Chesthill.

– Może także wiedzieć o Horrocksie? – dodałam domyślnie.

Jamie przytaknął.

– Owszem. I zanieś mu wiadomość ode mnie. Zmienimy jeszcze miejsce spotkania.

– Co pięknie pokrzyżuje plany Dougala – zauważyłam. – Jeśli zamierzał zażądać od ciebie zapłaty za Horroksa.

Skinął głową, a kąciki ust zadrgały mu wesoło.

– Tak, właśnie o to chodzi.

W karczmie zjawiliśmy się w porze kolacji. Ale tym razem na podwórzu stały konie Dougala i jego pięciu towarzyszy. Sam Dougal siedział w gospodzie i odświeżał zaschnięte po podróży gardło. Skinął do mnie i odwrócił

się, by powitać siostrzeńca. Ale zamiast coś powiedzieć, zamarł z przekrzywioną głową.

– A, właśnie – rzekł wreszcie z zadowoleniem, tonem człowieka, który rozwiązał dręczącą go zagadkę. – Wiem już, co mi przypominasz, chłopcze.

Odwrócił się do mnie.

– Widziałaś kiedyś jelenia pod koniec rui? – spytał poufnie. – Biedak przez kilka tygodni nie śpi i nie je, ponieważ nie ma na to czasu. Bez przerwy walczy z innymi samcami albo dogadza samicom. Pod koniec okresu godowego zostaje z niego skóra i kości, oczy się zapadają, a jedyna część ciała, która mu się nie trzęsie z wycieńczenia to...

Ostatnie słowo utonęło w chóralnym rechocie. Jamie pociągnął mnie za sobą na schody. Nie zeszliśmy na kolację.

Dużo później, prawie przez sen, poczułam na swojej talii ramię Jamiego, a na szyi gorący oddech.

– Czy to się kiedyś skończy? To pragnienie? – Zaczął pieścić moje piersi. – Ledwie z ciebie wyjdę, a już pragnę cię tak bardzo, że nie mogę złapać tchu. Ręce same mi się do ciebie wyciągają.

Objął moją twarz w ciemnościach i gładził kciukami łuki brwi.

– Kiedy cię trzymam i czuję, że drżysz, czekasz, aż cię wezmę... Boże, chcę ci sprawić taką rozkosz, żebyś zaczęła krzyczeć i otworzyła się dla mnie. A kiedy i ja doznam rozkoszy, czuję się tak, jakbym oddał ci duszę, nie tylko członek.

Przetoczył się na mnie; rozchyliłam nogi i lekko się skrzywiłam, kiedy we mnie wszedł. Roześmiał się cicho.

– Tak, ja też jestem otarty. Chcesz, żebym przestał?

W odpowiedzi objęłam go nogami i przyciągnęłam bliżej.

– A przestaniesz?

– Nie. Nie mogę.

Roześmieliśmy się razem i zaczęliśmy się powoli kołysać, poszukując się w ciemnościach palcami i ustami.

– Wiem już, dlaczego Kościół twierdzi, że to sakrament – odezwał się Jamie z rozmarzeniem.

– To? Dlaczego? – spytałam zaskoczona.

– A przynajmniej rzecz święta. Kiedy jestem w tobie, czuję się jak sam Bóg.

Zacząłam się tak śmiać, że prawie się rozłączyliśmy. Przytrzymał mnie za ramiona.

– Co cię tak rozbawiło?

– Trudno mi sobie wyobrazić, że Bóg to robi.

Jamie podjął przerwane ruchy.

– Skoro Bóg stworzył człowieka na swoje podobieństwo, sądzę, że ma i członek. – Tym razem Jamie zaczął się śmiać. – Choć ty nie przypominasz Dziewicy Maryi.

Śmialiśmy się tak długo, aż straciliśmy kontakt i legliśmy obok siebie. Jamie spoważniał i klepnął moje biodro.

– Na czworaki. Angielko.

– Dlaczego?

– Skoro nie chcesz, żebym zachowywał się

wznieście, będziesz musiała się zapoznać ze zwierzęcą stroną mojej natury. Stanę się zwierzęciem. – Ugryzł mnie w szyję. – Mam się wcielić w konia, niedźwiedzia, czy psa?

– W jeża.

– Jeża? A niby jak się kocha jeż?

Nie, pomyślałam. Nie zrobię tego. Na pewno nie. A jednak się zламаłam.

– Niezwykle ostrożnie – powiedziałam, chichocząc bezradnie. Teraz już wiadomo, jak bardzo stary jest ten kawał.

Jamie ryknął gromkim śmiechem. Wreszcie ukląkł na podłodze i zaczął szukać krzesiwa. W ciemnościach lśnił niczym czerwony bursztyn.

Stanął w stopach łóżka i spojrzał na mnie, trzęsącą się w niekontrolowanych paroksyzmach śmiechu. Potarł twarz i przybrał surową minę.

– Dobrze, kobieto. Widzę, że nadeszła pora, abym skorzystał z praw męża.

– Ach, tak?

– Tak. – Złapał moje uda i rozłożył je szeroko.

Pisnęłam i szarpnęłam się w jego chwycie.

– Nie, nie rób tego!

– Dlaczego? – Legł jak długi między moimi nogami, trzymając je w mocnym uścisku.

– Powiedz, dlaczego nie chcesz? – Potarł drapiącą brodą o wewnętrzną stronę jednego uda. – Szczerze. Dlaczego? – Potarł drugą nogę.

Szarpnęłam się i wierzgnęłam dziko, ale nie osiągnęłam żadnego skutku.

Ukryłam twarz w poduszce, chłodząc o nią rozpalony policzek.

– Skoro musisz wiedzieć... – wymamrotałam – obawiam się... sądzę, że nie..., To znaczy, że ten zapach... – mój słaby głos rozplątał się w pełnej napięcia ciszy.

Potem poczułam nagły ruch pomiędzy nogami. Jamie podniósł się, objął moje biodra, położył policzek na udzie i zaczął się tak śmiać, że łzy popłynęły mu z oczu.

– Dobry Boże – powiedział wreszcie, krztusząc się śmiechem. – Nie wiesz, co trzeba zrobić, kiedy zapoznajesz się z nowym koniem?

– Nie – przyznałam, kompletnie zbita z tropu.

Uniósł ramię, ukazując miękką kępkę włosów w kolorze cynamonu.

– Wtulasz jego chrapy pod pachę, by poznał twój zapach i przyzwyczał się do ciebie.

Wtedy nie będzie się płoszył. – Oparł się na łokciach i popatrzył na mnie ponad krzywizną mojego brzucha i piersi. – To samo powinnaś zrobić ze mną. Potrzeć moją twarzą pomiędzy swymi nogami. Wtedy nie byłbym płochliwy.

– Płochliwy!

Pochylił się i zrobił to, o czym mówił, prychając i parszkając jak koń. Wiłam się i kopałam go w zębra. Wreszcie znowu rozłożył moje nogi i podniósł głowę.

– A teraz – odezwał się tonem nie znoszącym sprzeciwu – leż spokojnie.

Czułam się bezbronna, otwarta, zaatakowana... i bliska szaleństwa. Oddech Jamiego wydawał mi się na

zmianę chłodny i gorący.

– Proszę... – wykrztusiłam, choć sama już nie wiedziałam, czy ma to być „proszę, nie”, czy „proszę, tak”. Zresztą to nie miało znaczenia, bo Jamie nie zamierzał przestać.

Moja świadomość rozpadła się na dziesiątki odrębnych doznań: szorstkość lnianej poduszki, haftowanej w kwiatki; oleisty smród lampy, zmieszany ze słabym zapachem pieczeni i jeszcze słabszym wędnących kwiatów; chłodne belki ściany pod moją lewą stopą, mocne dłonie na biodrach. Doznania wirowały i wybuchały pod moimi zamkniętymi powiekami. Tworzyły jarzące się słońce, które coraz bardziej nabrzmiewało i puchło i wreszcie eksplodowało z bezgłośnym hukiem, a ja zostałam w ciepłej i pulsującej ciemności.

Usłyszałam jakieś odgłosy. Dochodzące jakby z wielkiej odległości. Jamie usiadł.

– No, tak już lepiej – powiedział, z trudem łapiąc oddech. – Trzeba trochę czasu, żeby cię nauczyć uległości. – Łóżko zatrzeszczało pod jego ciężarem. Poczułam kolano rozsuwające nogi. – Mam nadzieję, że nie umarłaś? Bo tak wyglądasz – odezwał się znowu głos, już bliżej.

Wygięłam się w łuk i wydałam nieartykułowany dźwięk, gdy niezwykle delikatne tkaniki rozchyliły się pod brutalnym naporem.

– O Boże – wysapałam.

Nad moim uchem rozległ się cichy śmiech.

– Anielko, ja tylko powiedziałem, że czuję się jak Bóg, a nie, że nim jestem...



A później, kiedy blask wschodzącego słońca przyćmił światło lampy, przez sen dobiegł mnie szept Jamiego:

– Czy to się kiedyś skończy, Claire? To pragnienie? Oparłam mu głowę na ramieniu.

– Nie wiem. Jamie. Naprawdę nie wiem.

– Co powiedział kapitan Randall? – spytałam. Jechałam pomiędzy Jamiem i Dougalem. Wąska dróżka z trudem mieściła trzy idące obok siebie konie. Od czasu do czasu jeden z moich towarzyszy musiał się cofać lub przyspieszać, by się nie zaplątać w przydrożnych zaroślach.

Dougal zerknął na mnie, wrócił spojrzeniem do drogi i wyminął duży kamień. Na twarzy MacKenziego powoli rozlał się złośliwy uśmiech.

– Nie cieszył się za bardzo, choć nie mogę ci dokładnie powtórzyć jego słów. Nawet twoja obojętność na bluźnierstwa ma swoje granice, pani Fraser.

Przemilczałam zaczepkę. Kątem oka widziałam, że Jamie zeszywniał.

– Ale nie zamierza podjąć żadnych kroków? – Mimo zapewnień Jamiego przed oczami stały mi zastępy dragonów.

Królewscy żołnierze wyskakiwali z krzaków i mordowali moich towarzyszy, by zawlec mnie do Randalla na przesłuchanie. Miałam nieprzyjemne wrażenie, że kapitan zna bardzo pomysłowe metody wydobywania z ludzi informacji.

– E, chyba nie – rzucił Dougal niedbale. – Nie ma teraz czasu, by się martwić jedną Angielką, choćby nie

wiem jak ładną. – Uniósł brew i skłonił mi się lekko, jakby ten komplement miał stosować przeprosiny. – nie jest na tyle głupi, by drażnić Columa, porywając jego siostrzenicę – dodał bardziej rzeczowo. – Siostrzenica.

Po plecach przeszedł mi dreszcz, choć dzień był ciepły. Siostrzenica przywódcy klanu MacKenziech... nie wspominając już o jego pełnomocniku na czas wojny, tak nonszalancko jadącym u mego boku. A po drugiej stronie miałam osobę łączącą mnie z lordem Lovatem, przywódcą klanu Fraserów, wraz z opatem możnego francuskiego zakonu i Bóg wie, kim jeszcze. Nie, Jonathan Randall dobrze się zastanowi, zanim zacznie mnie ścigać. I to właśnie było najmocniejszym atutem tego absurdalnego małżeństwa.

Zerknęłam na Jamiego, który wysforował się naprzód. Jechał wyprostowany jak strzała, a jego włosy lśniły w blasku słońca niczym miedziany hełm.

Dougal poszedł za moim spojrzeniem.

– Mogło być gorzej, nieprawda? – spytał, ironicznie podnosząc brew.

Dwa dni później rozbiliśmy obóz na wrzosowisku w pobliżu jednej z dziwnych polodowcowych grup granitowych głazów. Mieliśmy za sobą długi dzień w siodle, więc wszyscy byli jednakowo zadowoleni z perspektywy postoju i gotowanej kolacji. Wcześniej usiłowałam zaoferować pomoc przy gotowaniu, ale srogi mężczyzna, który najwyraźniej zajmował się tym z urzędu, niezbyt uprzejmie odrzucił moją propozycję.

Tego ranka upolowano jelenia. Świeże mięso

ugotowane z rzepą, cebulą i innymi do datkami, stanowiło znakomity posiłek. Po kolacji usiedliśmy wokół ogniska, najedzeni i zadowoleni. Zaczęliśmy słuchać opowieści oraz pieśni. Ku mojemu zaskoczeniu okazało się, że mały Murtagh, który rzadko otwierał usta, dysponuje pięknym, czystym tenorem.

Długo namawialiśmy go, żeby zgodził się zaśpiewać, ale nasze wysiłki zostały w końcu nagrodzone.

Przytuliłam się do Jamiego. Było mi bardzo niewygodnie siedzieć na twardym granicie. Rozbiliśmy obóz na granicy kamiennej płaszczyzny, gdzie czerwony granit stanowił naturalne palenisko, a wznoszące się góry zapewniały znakomitą kryjówkę dla koni. Kiedy spytałam, dlaczego nie możemy spędzić tej nocy na bardziej wygodnym posłaniu z trawy czy mchu, Ned Gowan wytłumaczył mi, że znajdujemy się na południowej granicy ziem klanu MacKenziech. A zatem blisko terytorium Grantów i Chisholmów.

– Zwiadowcy Dougala twierdzą, że w pobliżu nie ma nikogo – dodał, siadając na wielkim głazie i spoglądając na zachód słońca – ale nigdy nie wiadomo. Lepiej uważać niż żałować.

Kiedy Murtagh odmówił dalszych występów, Rupert zaczął opowiadać rozmaite historie. Nie dorównywał eleganckiej manierze Gwyllyna, lecz wydawało się, że ma niewyczerpany zasób legend o elfach, duchach, tannag i upiorach, a także innych mieszkańcach szkockich gór, na przykład wodnych koniach. Te istoty, jak mnie pouczono, zamieszkują niemal wszystkie zbiorniki

wodne, a zwłaszcza brody rzek i inne miejsca przepraw, choć wiele z nich żyje także w głębokich jeziorach.

– Jest takie miejsce na wschodnim krańcu Loch Garve – dodał i zawiesił głos, by sprawdzić, czy wszyscy słuchamy z odpowiednim przejęciem – co nigdy nie zamarza.

Woda jest tam prawie czarna, nawet gdy resztę jeziora pokrywa lód, gdyż to właśnie jest komin konia wodnego.

Wodny koń z Loch Garve, jak to zwykle bywa w takich przypadkach, porwał młode dziewczę, które przyszło, by zaczerpnąć wody z jeziora. Uniósł pannę w głąb wód i uczynił swą żoną. Biada dziewczycy, która spotyka wodnego konia i postanawia na nim pojeździć, bo już nigdy więcej z niego nie zsiądzie, a koń rzuci w fale, zmieni w rybę i popłynie do domu z nieszczęsną.

– Wodny koń ma w wodzie rybie zęby – mówił Rupert, poruszając dłonią na wzór falującej ryby. – Żywi się ślimakami, wodorostami i wszystkim co zimne i mokre. W jego żyłach płynie zimna krew, a on nie potrzebuje ognia ani ciepłego powietrza, tylko kobiety, która by go ogrzała. – Mrugnął do mnie i mlasnął lubieżnie ku rozbawieniu słuchaczy. – Dlatego żona wodnego konia była smutna i głodna w nowym zimnym domu pod falami. Nie chciała jeść ślimaków i wodorostów. Wodny koń miał dobre serce. Udał się na brzeg jeziora w pobliżu domu człowieka, który był budowniczym. A kiedy mężczyzna przyszedł nad rzekę i ujrzał cudownego złocistego konia w lśniącej srebrnej uprzęży, nie mógł się oprzeć pokusie. Dosiadł pięknego

rumaka. Oczywiście koń poniósł go prosto w wodną głębinę, do swego zimnego, ponurego domu. I powiedział budowniczemu, że go uwolni, jeśli zbuduje mu wspaniałe palenisko i komin, by dziewczyna mogła grzać się przy ogniu i smażyć dla siebie ryby.

Położyłam głowę na ramieniu Jamiego. Czułam miłe odrętwienie i z przyjemnością myślałam o odpoczynku, nawet jeśli miałam spędzić noc na kocu rozpostartym na granitowej skale. Nagle poczułam, że ciało Jamiego tężeje. Rozejrzałam się, ale nie zauważyłam nic podejrzanego. Wychwyciłam natomiast dziwne napięcie przeskakujące od jednego do drugiego mężczyzny, jakby przenosiło się w powietrzu niewidzialnymi kanałami. Spojrzałam na Ruperta; zerknął na Dougala i skinął głową ledwie dostrzegalnym ruchem. Kontynuował opowieść głosem, w którym nie było słyhać żadnej zmiany.

– Więc budowniczy, rad nie rad, zrobił to, co musiał. A wodny koń dotrzymał słowa i odstawił go na brzeg w pobliżu domu. Żona wodnego konia już nie marzła i zawsze miała smażone ryby na kolację. Bardzo ją to cieszyło. Dlatego w jednym miejscu na jeziorze Garve woda nigdy nie zamarza, ponieważ ciepło z komina rozpuszcza lód.

Rupert siedział na skale, odwrócony do mnie prawym bokiem. Nie przestając mówić schylił się niedbale, jakby po to, by się podrapać w nogę. W niemal niedostrzegalny sposób podniósł nóż z ziemi, przeniósł go na kolana i ukrył w fałdach kiltu.

Przyciągnęłam ku sobie głowę Jamiego, jakbym

nagle doznała przyływu uczuć.

– Co się dzieje? – szepnęłam mu do ucha.

Chwytał zębami moje ucho i mruknął:

– Konie się niepokoją. Ktoś jest w pobliżu.

Jeden z naszych towarzyszy podniósł się i wyszedł z kręgu światła, by sobie ulżyć.

Kiedy wrócił, zajął inne miejsce niż poprzednio, blisko poganiaczy. Następny mężczyzna wstał i zajrzał do garnka. Wziął kawał dziczyzny. Wszyscy niepostrzeżenie się przemieszczali, a Rupert ciągle opowiadał.

Przyglądałam się temu uważnie, mocno objęta ramieniem Jamiego. Doszłam do wniosku, że mężczyźni przesuwają się w pobliże swojej broni. Wszyscy sypiali ze sztyletami, ale miecze, pistolety i okrągłe skórzane tarcze leżały na niewielkich, zgrabnych stertach w pobliżu ogniska. Dwa pistolety Jamiego spoczywały na ziemi wraz z mieczem, o parę kroków od niego.

Widziałam odblask ognia na ostrzu z damasceńskiej stali. Pistolety nie przedstawiały sobą nic szczególnego, lecz miecze (jeden krótki, drugi obosieczny) były wyjątkowe.

Jamie pokazał mi je niegdyś, obracając w dłoniach lśniące ostrze z miłosną troską.

Miecz obosieczny był owinięty w koc. Z mojego miejsca dostrzegałam ogromną rękojeść w kształcie litery T, wyszorowaną piaskiem, by podczas potyczki nie ślizgała się w dłoni. Kiedyś go uniosłam i prawie się przewróciłam. Ważyła około ośmiu kilo, jak powiedział mi Jamie.

Obustronnie zaostzony miecz był ponury i

złowrogi, ale miecz krótki, lżejszy o jedną trzecią, wyglądał pięknie. Lśniący, śmiertcionośna broń o ostrzu w arabeski, biegnące po błękitnej stali aż po plecioną osłonę na rękę, wykładaną niebieską i czerwoną emalią.

Widziałam, jak Jamie fechtuje się nim dla rozrywki, najpierw prawą ręką z jednym z towarzyszy podróży, potem lewą z Dougalem. Był to wspaniały widok. Gracja, z jaką Jamie się poruszał, robiła wielkie wrażenie, zwłaszcza przy jego potężnym wzroście.

Mimo to po czułam dreszcz niepokoju, gdy pomyślałam, że teraz użyje tego miecza w walce na śmierć i życie.

Jamie pochylił się i pocałował mnie czule w policzek tuż przy ustach, po czym lekko mnie obrócił, tak że znalazłam się twarzą do sterty kamieni.

– Do zobaczenia wkrótce – szepnęła. – Widzisz tę szczelinę w kamieniach?– Ujrzałam mały otwór, najwyżej metr wysokości, uformowany przez dwa wielkie złomy kamienia.

Jamie ujął moją twarz w obie dłonie. Poczułam miłosne muśnięcie na ustach. – Kiedy dam sygnał, wejdź tam i nie wychodź. Masz sztylet?

Tamtej nocy, kiedy rzucił mi nóż, nalegał, żebym go zatrzymała, mimo iż zapewniałam, że nie posiadam ani umiejętności, ani skłonności do posługiwania się białą bronią. I musiałam przyznać, że Dougal miał rację, gdy twierdził, iż Jamie jest uparty.

Dlatego sztylet znajdował się dziś w głębokiej kieszeni mojej sukni. W końcu przyzwyczaiłam się do

irytującego ciężaru, ocierającego mi udo. Jamie pieszczotliwie przesunął dłonią po mojej nodze. Na wszelki wypadek sprawdził, czy rzeczywiście sztylet znajduje się na swoim miejscu.

Uniósł głowę jak dzikie zwierzę, wietrzące nową woń. Zauważyłam, że zerknął na Murtagha, a potem na mnie. Mały Murtagh nie zareagował żadnym wyraźnym znakiem, ale wstał i przeciągnął się, aż mu chrupnęło w kościach. Po chwili usiadł tuż obok mnie.

Za naszymi plecami rozległo się nerwowe rżenie konia. I jakby na sygnał zza skał wyskoczyli wrzeszczący napastnicy. Nie Anglicy, wbrew moim obawom, nie bandyci.

Szkoccy górale. Darli się jak stado małąp. Grantowie, pomyślałam. Albo Campbellowie.

Popędziłam na czworakach ku skałom. Walnęłam się mocno w głowę i podrapałam sobie kolana, ale udało mi się wcisnąć w wąską rozpadlinę. Drżącymi rękami wyplątałam z kieszeni sztylet; przy okazji omal nie obciąłam sobie paru palców. Nie miałam pojęcia, co też mogłabym zrobić z tym rzeźnickim nożem, ale w pewnym sensie dodawał mi otuchy. W jego rękojeści tkwił kamień księżycowy, bardzo przydatny w ciemnościach.

Przynajmniej wiedziałam, czy trzymam sztylet za właściwy koniec.

Przede mną przewalały się splecione ciała, a cała polanka trzęsła się od ryku. Na szczęście schronienie znajdowało się na uboczu i na razie nie groziło mi bezpośrednie niebezpieczeństwo. Rozejrzałam się i tuż przy



moim kamieniu zobaczyłam nie wielką, przykucniętą figurkę. Chwyciłam mocniej sztylet, ale w chwilę później poznałam Murtagha.

A zatem to zasygnalizował mu Jamie. Murtagh miał mnie strzec. Samego Jamiego natomiast nigdzie nie widziałam. Walka rozgrywała się głównie wśród skał i w cieniach koło wozów.

Oczywiście, one właśnie razem z końmi musiały być powodem napadu. Napastnicy stanowili zorganizowaną grupę, dobrze uzbrojoną i odżywioną, sądząc na podstawie tego, co udało mi się dojrzeć w blasku przygasającego ogniska. Jeśli to Grantowie, z pewnością wabiła ich perspektywa zdobycia łupu lub też żądza zemsty za uprowadzenie przez Ruperta była przed paroma dniami.

Dougal, powiadomiony o tym występku podwładnego, okazał lekkie rozdrażnienie – nie samą kradzieżą, lecz faktem, iż było będzie opóźniać tempo. Zresztą pozbył się stada niemal natychmiast na małym targu w jednej z wiosek.

Wkrótce okazało się, że przeciwnicy nie dybią na życie uczestników naszej wyprawy, lecz zamierzają zdobyć konie i wozy. Do pewnego stopnia ich zamiar się powiódł. Jeden z napastników wskoczył na grzbiet naszego konia, przesadził na nim ognisko i zniknął w ciemnościach na wrzosowisku, trzymając się grzywy wierzchowca.

Dwaj lub trzej inni zaczęli uciekać pieszo, uginając się pod ciężarem worków z ziarnem. Wściekli MacKenzie gonili z najstraszliwszymi celtyckimi przekleństwami na ustach. Sądząc z odgłosów, napaść straciła rozmach. Potem

w kręgu światła pojawiła się duża grupa mężczyzn i wszystko zaczęło się od nowa.

Wyglądało na to, że rozgorzała poważna walka. Ostrza błyskały złowieszczo, a uczestnicy starcia przestali wrzeszczeć i tylko postękiwali z wysiłku. Po jakimś czasie udało mi się zorientować, co się dzieje. Jamie i Dougal znajdowali się w środku. Walczyli odwrócen do siebie plecami. Obaj trzymali miecze w lewej ręce, a sztylet w prawej i obaj się nie oszczędzali.

Otoczyło ich czterech mężczyzn... a może pięciu, w ciemnościach straciłam rachubę.

Wszyscy byli uzbrojeni w krótkie miecze; poza tym jeden miał u pasa pałasz, a dwaj pistolety.

Chodziło im pewnie o pojmanie Jamiego albo Dougala. A może obu. Żywych, jeśli to możliwe. Pewnie dla okupu. Dlatego używali krótkich mieczy, które mogły jedynie ranić, a nie zabijać, jak pałasze lub pistolety.

Dougal i Jamie nie mieli podobnych skrupułów i przykładali się do swojego zajęcia z ponurą systematycznością. Oparci o siebie plecami, stworzyli prawdziwą maszynę do zabijania, niemal doskonałą, bo nawzajem osłaniali swoje słabe strony. Choć właściwie na widok wymachującego sztyletem Dougala uznałam, że określenie „słaba strona” chyba nie do końca odpowiada prawdzie.

Falująca, kotłująca się, klnąca masa nieuchronnie zmierzała w moim kierunku.

Wcisnęłam się w rozpadlinę najgłębiej, jak mogłam, ale była za płytka. Kątem oka wychyciłam jakiś ruch.

Murtagh postanowił wziąć czynny udział w wydarzeniu.

Niemal nie mogłam oderwać od Jamiego przerażonego spojrzenia, ale mimo to udało mi się dostrzec, że jego nieduży przyjaciel wyciągnął pistolet niespieszным, leniwym ruchem. Starannie sprawdził kurek, oczyścił go rękawem, oparł na przedramieniu i zaczął czekać. Czekał i czekał. Dygotałam ze strachu o Jamiego, który zrezygnował z finezji i młócił mieczem jak cepem. Walczył z dwoma przeciwnikami o twarzach wyrażających żądzę mordu. Dlaczego ten idiota nie strzela? – pomyślałam z furią. Po chwili znałam już odpowiedź. Jamie i Dougal znajdowali się na linii ognia.

Przypomniałam sobie, że pistolety z zamkiem skałkowym miały pewne niedostatki, jeśli chodzi o precyzyjne strzelanie do celu.

W następnej chwili przestałam myśleć o czymkolwiek, ponieważ jeden z przeciwników uczynił niespodziewany wypad do przodu i zadał Dougalowi cios w nadgarstek. Ostrze przeorało całe ramię; Dougal osunął się na kolano. Jamie poczuł, że jego wuj pada i cofnął się o dwa kroki. Oparł się plecami o kamienną ścianę, a Dougal przykucnął obok, chroniony przez siostrzeńca. Napastnicy zbliżyli się do mojej kryjówki, w zasięg rażenia pistoletu Murtagha.

Strzał zabrzmiał dziwnie głośno. Zaskoczył wszystkich, zwłaszcza tego, który dostał.

Trafiony mężczyzna przez chwilę stał nieruchomo. Potem pokręcił głową jakby w oszołomieniu, bardzo powoli usiadł, po czym bezwładnie upadł na wznak prosto

w dogasające ognisko.

Jamie wykorzystał tę chwilę zaskoczenia i wytrącił miecz z dłoni drugiego napastnika. Dougal wstał; Jamie odsunął się nieco, by dać mu miejsce do manewrów mieczem. Jeden z walczących opuścił szeregi i ruszył na pomoc rannemu towarzyszowi.

Mimo to pozostało jeszcze trzech, a Dougal był ranny. Zauważyłam ciemne krople na skale w miejscu, gdzie się osunął.

Zbliżyli się na tyle, że widziałam już wyraz twarzy Jamiego, spokojny i skupiony, pochłonięty walką. Nagle Dougal coś krzyknął. Jamie oderwał wzrok od przeciwnika i zerknął w dół. Obejrzał się w porę, by uniknąć dźgnięcia, uskoczył na bok i rzucił miecz!

Jego przeciwnik spojrzał z zaskoczeniem na broń wystającą mu z nogi. Dotknął z wahaniem klingi, pociągnął i wyrwał ostrze bez większego wysiłku. A zatem rana nie była zbyt głęboka. Mimo to mężczyzna nadal wyglądał na oszołomionego. Podniósł wzrok, jakby chciał spytać, co ma oznaczać tak dziwne zachowanie. Spojrzał i krzyknął.

Rzucił miecz i zaczął uciekać, mocno utykając. Dwaj inni tak że się odwrócili, popatrzyli i rzucili się do ucieczki, ścigani przez Jamiego, który mknął za nimi jak wiatr. Udało mu się wyszarpnąć z koca swój ogromny obosieczny miecz i teraz kręcił nim mordercze młynki. W ślad za Jamiem pędził Murtagh. Wykrzykiwał coś bardzo obraźliwego po celtycku i wymachiwał zarówno mieczem, jak i naładowanym pistoletem.

Potem walka ucichła i nie minął kwadrans, a cała

kompania MacKenziech zebrała się, aby oszacować straty.

Były niewielkie: dwa konie i trzy worki z ziarnem. Woźnice śpiący na załadowanych wozach zapobiegli dalszej grabieży, podczas gdy zbrojni woje skutecznie zniechęcili niedoszłych koniokradów. Natomiast okazało się, że brakuje jednego z ludzi.

Z początku sądzono, że został ranny lub zabity, ale poszukiwania zakończyły się fiaskiem.

– Porwali go – oznajmił ponuro Dougal. – Niech to diabli, okup będzie kosztował tyle, ile miesięczny przychód.

– Mogło być gorzej – odezwał się Jamie, wycierając twarz rękawem. – Pomyśl, co by powiedział Colum, gdyby ciebie porwali!

– Jeśli ty zostałbyś uprowadzony, zostawiłbym cię i mógłbyś się przemianować na Granta – warknął Dougal, ale nastrój wyraźnie zmienił się na bardziej pogodny.

Wydobyłam niewielką skrzynkę z medykamentami, którą woziałam ze sobą w jukach, i ustawiłam rannych w kolejce, od najmniej do najbardziej poszkodowanych. Z ulgą stwierdziłam, że nikt nie doznał poważnych obrażeń. Rana Dougala była chyba najgorsza.

Ned Gowan miał oczy lśniące jak gwiazdy i kipiał energią. Gorączka walki tak go opanowała, że prawie nie zauważył straty zęba, wybitego niecelnym ciosem sztyletu.

Przynajmniej zachował przytomność umysłu na tyle, aby przechować ząb pod językiem.

– Na wszelki wypadek – wyjaśnił i wypluł go na rękę. Korzeń nie był złamany, a zębodół nadal lekko

krwawił, więc – również na wszelki wypadek – wsadziłam ząb mocno na miejsce. Mały Ned Gowan pobladł śmiertelnie, ale nie wydał żadnego dźwięku.

Z wdzięcznością zdezynfekował usta whisky, którą następnie połknął, żeby się oczywiście nie zmarnowała.

Najpierw nałożyłam Dougalowi opaskę uciskową i z zadowoleniem ujrzałam, że krwawienie prawie ustało. Rana była czysta, ale głęboka. Spod brzegu wyzierał żółty skrawek tkanki tłuszczowej i mięsień. Żadne większe naczynie krwionośne nie zostało uszkodzone, ale trzeba było szyć.

Jedynym dostępnym narzędziem do tego zabiegu okazała się igła do naprawy uprząży, bardziej przypominająca cienkie szydło. Przyjrzałam się jej z powątpiewaniem.

Dougal wyciągnął rękę i odwrócił wzrok.

– Nie przeszkadza mi widok krwi – wyjaśnił. – Z wyjątkiem własnej. – Usiadł na kamieniu i zacisnął zęby tak mocno, że widziałam drżenie mięśni zuchwy. Mimo chłodu nocy. Na czole perlił mu się rześisty pot. W pewnej chwili poprosił grzecznie o chwilę przerwy w miarę dyskretnie zwymiotował za kamieniem. Po chwili znów usiadł prosto i przytrzymał rękę na kolanie.

Na szczęście karczmarz spłacił swój doroczny podatek małą baryłką whisky, która teraz bardzo się nam przydała. Zdezynfekowałam alkoholem otwarte rany i zostawiłam pacjentów ich własnej rozwadze. Przyjęłam nawet kubeczek mocnego trunku jako zapłatę za pomoc medyczną. Wypiłam go z przyjemnością i osunęłam się na

koc. Księżyc zbliżał się ku zachodowi, a ja drżałam, trochę z szoku, a trochę z zimna. Z zachwytem powitałam Jamiego, który położył się obok i otoczył mnie ciepłym uściskiem.

– Jak sądzisz, wróca? – spytałam.

Pokręcił głową.

– Nie, to był Malcolm Grant wraz ze swoimi dwoma synami. Starszego zraniłem w nogę. Teraz leżą już w domu, w łózkach. – Pogłaskał mnie po włosach i dodał ciszej. – Dzielnie się spisałaś. Jestem z ciebie dumny.

Odwróciłam się i objęłam go za szyję.

– Nie tak, jak ja z ciebie. Byłeś wspianały. Jeszcze nigdy nie widziałam czegoś podobnego.

Skrzywił się lekceważąco, ale komplement najwyraźniej sprawił mu przyjemność.

– To tylko mały napad. Brałem udział w niejednej bójce, odkąd skończyłem piętnaście lat. To taka rozrywka. Co innego, kiedy się staje przeciw komuś, kto naprawdę chce cię zabić.

– Rozrywka – powtórzyłam dość słabo. – Rozumiem.

Jego uścisk stał się mocniejszy, a pieszczoty zaczęły przemieszczać się w dół.

Poczułam, że Jamie podnosi mi spódnicę. Najwyraźniej gorączka walki zmieniła się w inny rodzaj podniecenia.

– Jamie! Nie tutaj! – syknęłam.

Uwolniłam się z objęć i obciągnęłam spódnicę.

– Jesteś zmęczona? – spytał z troską. – Nie martw

się, nie zajmę ci dużo czasu.

Teraz obie ręce zabrały się do podnoszenia ciężkiej, fałdzistej tkaniny z przodu.

– Nie! – powtórzyłam. – Nie jestem zmęczona, tylko... – Jęknęłam, gdyż jedna jego ręka wsunęła się pomiędzy moje nogi.

– Jezu – mruknął cicho Jamie. – Śliska jak wodorost.

– Jamie! Tuż obok śpi dwudziestu mężczyzn! – krzyknęłam szeptem.

– I zaraz się obudzą, jeśli będziesz dalej gadać. – Przetoczył się na mnie i przygwoździł ciężarem ciała do kamiennego podłoża. Jego kolano znalazło się pomiędzy moimi udami, po czym zaczęło się łagodnie kołysać. Poczułam, że mimo woli rozchyłam nogi. Dwadzieścia siedem lat świadomości tego, co jest przyzwoite, nie miało szans przy paruset tysiącach lat instynktu. Mój umysł protestował przeciwko aktowi seksualnemu na nagiej skale, obok kilku śpiących żołnierzy, ale ciało najwyraźniej uznało się za pokonane i dążyło do kapitulacji. Jamie pocałował mnie przeciągle i namiętnie; jego język poruszał się słodko i niestrudzenie.

– Jamie... – wydyszałam.

Odsunął zawadzający kilt i przycisnął do siebie moją rękę.

– Jezu Chryste – mruknęłam mimo woli.

Moje poczucie przyzwoitości znacznie osłabło.

– Po walce zawsze jestem w wielkiej potrzebie. Chcesz mnie, prawda? – spytał, odsuwając się nieco, by na



mnie spojrzeć.

Nie mogłam zaprzeczyć wobec tak namacalnych dowodów. Jamie był twardy niczym metalowy pręt.

– Hm... tak... ale...

Wziął mnie mocno za ramiona.

– Bądź cicho. Angielko – rozkazał. – To nie potrwa długo.

Rzeczywiście nie potrwało długo.

Już pierwsze potężne pchnięcie wyzwoliło we mnie długie, szarpiące spazmy. Wbiłam Jamiemu palce w plecy i tak zostałam. Gryzłam jego koszulę, by stłumić wszelkie dźwięki.

Po niespełna dziesięciu ruchach poczułam, że jego jądra się kurczą, a mnie zalewa ciepła fala. Jamie powoli opadł na ziemię. Leżał dygocząc.

Krew nadal pulsowała mi w uszach. Ręka Jamiego, bezwładna i ciężka, spoczywała na mojej piersi. Odwróciłam głowę i ujrzałam ciemną sylwetkę strażnika. Stał przy ogniu oparty o skałę. Odwrócił się od nas taktownie. Ze zdumieniem zdałam sobie sprawę, że nie jestem zażenowana. Zastanowiłam się półprzytomnie, czy rano też tak będzie, a potem przestałam myśleć.

Następnego dnia wszyscy zachowywali się jak zwykle, choć byli nieco zeszytniali po walce i nocy spędzonej na kamieniach. Humor dopisywał nawet tym, którzy odnieśli po mniejsze rany.

Ogólny nastrój stał się jeszcze lepszy, gdy Dougal oznajmił, że dzisiaj dojedziemy tylko do kępy drzew, które widzieliśmy z naszej kamiennej platformy. Tam napoimy i

nakarmimy konie i odrobinę wypoczniemy. Zastanowiłam się, czy zmiana planów wpłynie niekorzystnie na spotkanie z Horrocksem, lecz Jamie nie wydawał się zmartwiony.

Dzień był chmurny, ale ciepły i niedeszczowy. Kiedy rozbiliśmy nowy obóz, konie zostały oporządzone, a opatrunki zmienione, wszyscy rozeszli się w swoją stronę, by przespać się w trawie, polować, łowić ryby czy po prostu rozprostować nogi po paru dniach spędzonych w siodle.

Siedziałam pod drzewem i rozmawiałam z Jamiem oraz Nedom Gowanem, gdy jeden ze strażników podszedł do nas i rzucił coś na kolana Jamiego. Był to sztylet z księżycowym kamieniem.

– Twój, chłopcze? – spytał strażnik. – Znalazłem dziś rano.

– Pewnie go upuściłam w tym zamieszaniu – wyjaśniłam. – Dobrze, nie mam pojęcia, co z nim zrobić. Pewnie prędzej wyrzuciłabym krzywdę sobie niż komuś innemu.

Ned spojrział na Jamiego ponad szklami okularów.

– Dałeś jej nóż i nie nauczyłeś się z nim obchodzić?

– Nie było czasu – usprawiedliwił się Jamie. – Ale Ned ma rację. Angielko. Powinnaś się nauczyć posługiwać bronią. Różne rzeczy mogą się wydarzyć w podróży, jak sama widziałaś.

A zatem zostałam odprowadzona na środek polany i zaczęła się lekcja. Na widok poruszenia kilku MacKenziech zbliżyło się ciekawie i pozostało, by wesprzeć mnie radą.

Po chwili miałam pół tuzina instruktorów,

kłócących się o najbardziej skuteczną technikę. Po długiej przyjaznej dyskusji ustalono, że najlepszym znawcą walki na sztylety jest Rupert. On też zajął się moim wykształceniem.

Znalazł względnie płaski teren, wolny od kamieni oraz sosnowych szyszek, i przystąpił do demonstracji zasad sztuki walki.

– Patrz – rozkazał. Balansował sztyletem na środkowym palcu, o parę centymetrów poniżej rękojeści. – Punkt ciężkości. Tutaj musisz go trzymać, żeby dobrze pasował do ręki. – Spróbowałam zrobić to samo z własnym sztyletem. Kiedy wreszcie udało mi się go ująć w odpowiednim miejscu, Rupert pokazał mi, czym się różni uderzenie z góry od pchnięcia z dołu. – Na ogół trzeba uderzać z dołu. Z góry zadawaj cios tylko wtedy, gdy spadasz na kogoś z dużym impetem. – Przyjrzał mi się krytycznie i pokręcił głową. – Nie, jesteś wysoka jak na kobietę, ale nie znajdziesz w sobie tyle siły, chyba że napastnik będzie siedział. Lepiej uderzaj z dołu. – Podciągnął koszulę, odsłaniając wydatny i włochaty brzuch, już teraz lśniący potem. – Tutaj – wskazał palcem punkt tuż pod mostkiem – masz uderzać, jeśli staniesz z przeciwnikiem twarzą w twarz. Celuj głęboko i do góry, najmocniej, jak zdołasz. Ostrze dojdzie do serca i zabije w minutę. Musisz tylko ominąć mostek; sięga niżej, niż sądzisz, jeśli nóż ci ugrzęźnie w tym miękkim miejscu, nie zrobisz wrogowi żadnej krzywdy i stracisz sztylet. Murtagh! Jesteś chudy. Chodź tutaj, pokażemy dziewczynie, gdzie ma uderzać od tyłu.

Rupert odwrócił niezbyt zachwyconego Murtagha, podniósł mu koszulę i ukazał gruzłowaty kręgosłup i wystające żebra. Popukał grubym paluchem w najniższe żebro po prawej stronie. Murtagh aż pisnął.

– To jest to miejsce... po obu stronach. Widzisz, kości jest tu tyle, że bardzo trudno coś uszkodzić. Gdyby ci się udało wbić sztylet między żebra... ha, to co innego, lecz to trudniejsze, niż się zdaje. Ale tutaj, pod ostatnim żebrem, możesz napastnikowi przebić nerkę. Uderzaj tutaj, a padnie jak rażony gromem.

Następnie kazał mi próbować ciosów z różnych pozycji. Kiedy się zasapał, wszyscy inni kolejno odgrywali rolę ofiar, najwyraźniej uważając moje wysiłki za niezwykle komiczne. Posłusznie kładli się na trawie albo odwracali, bym mogła na nich spaść z zaskoczenia. Skakali od tyłu lub udawali, że chcą mnie udusić, żebym spróbowała im zadać cios w brzuch.

Widownia zagrzewała mnie do walki okrzykami, a Rupert powtarzał z naciskiem, że bym się nie cofała w ostatniej chwili.

– Uderzaj tak, jakbyś chciała zabić – powiedział. – Kiedy ktoś cię naprawdę napadnie, nie będziesz mogła się cofnąć. A jeśli jakiś maruder nie zejdzie ci w porę z drogi, dostanie, na co zasłużył.

Z początku moje ruchy były nieśmiałe i wyjątkowo niezdarne, ale Rupert okazał się dobrym, cierpliwym nauczycielem. Wszystko wyjaśniał bardzo spokojnie i przystępnie.

Kiedy chwycił mnie w pól, mlasnął z udaną

pożądliwością, ale jego dotyk był zupełnie pozbawiony erotycznych podtekstów, gdy ujął moją rękę w nadgarstku i zademonstrował cięcie po oczach.

Dougal siedział pod drzewem, trzymając się za ramię, i rzucał sardoniczne uwagi.

Jednak to właśnie on zaproponował, żeby zrobić kukłę, na której mogłabym ćwiczyć.

– Dajcie jej coś, w czym zatopi sztylet – powiedział, kiedy moje ruchy zaczęły się stawać nieco bardziej wprawne. – Za pierwszym razem trzeba się przemóc.

– To prawda – zgodził się Jamie. – Odpocznij trochę, a ja coś znajdę.

Oddalił się w stronę wozów w towarzystwie dwóch strażników. Zauważyłam, że naradzają się gestykując, pochyleni ku sobie. Po chwili coś wyciągnęli z jednego wozu.

Upadłam zdyszana obok Dougala.

Skinął głową i uśmiechnął się lekko. Jak większość moich towarzyszy, nie zadawał sobie trudu, by golić się podczas podróży. Na tle ciemnobrązowej brody jego pełna dolna warga wydawała się jeszcze bardziej mięsista.

– I jak? – spytał.

Wiedziałam, że nie chodzi mu o moje postępy w walce na sztylety.

– Dobrze – odparłam nieufnie.

Dougal zerknął ku Jamiemu, który z zapamiętaniem buszował między wozami.

– Małżeństwo służy chłopakowi – zauważył.

– Tak, wyszło mu na zdrowie... w tych

okolicznościach – zgodziłam się dość ozięble.

Dougal uśmiechnął się szerzej.

– Tobie też, dziewczyno. Najwyraźniej ten układ jest dobry dla wszystkich.

– Szczególnie dla ciebie i twojego brata. A właśnie, co powie Colum, kiedy się dowie o naszym ożenku?

Szeroki uśmiech stał się jeszcze szerszy.

– Colum? Ha, mniemam, że będzie zachwycony, mając taką siostrzenicę.

Kukła została ukończona, a ja wróciłam do ćwiczeń.

Moim przeciwnikiem był wypełniony wełną worek wielkości męskiego torsu, owinięty wołową skórą, przewiązaną sznurem. Na nim właśnie miałam doskonalić sztukę walki. Najpierw przywiązano worek do drzewa na wysokości męskiej piersi, potem obiecano, że będą go rzucać w moją stronę.

Jamie nie wspomniał tylko o jednym – że pomiędzy wełnę a skórę włożył parę płaskich deseczek symulujących kości.

Pierwszych parę ciosów nie przyniosło oszałamiających efektów. Skóra była twardsza, niż się spodziewałam. Podobnie jak brzuch mężczyzny, usłyszałam. Wreszcie spróbowałam ciosu z góry i trafiłam w jedną z deseczek.

Przez chwilę byłam pewna, że odpadło mi ramię. Czułam potężny wstrząs w całym ciele. Sztylet wypadł mi ze zdrewniałych palców. Straciłam czucie w całym ramieniu aż do łokcia.

– O Jezu... w mordę... Chryste – wykrztusiłam.

Stałam nieruchomo, ściskając się za łokieć i słuchając wybuchów ogólnej wesołości.

Wreszcie Jamie wziął mnie za ramię, przycisnął mięsień z tyłu łokcia i kciukiem masował w przegubie.

– Już dobrze – rzuciłam przez zęby i zgięłam rozdygotaną prawą rękę. – A co ty robisz, kiedy trafisz w kość i stracisz sztylet? Czy istnieje jakaś standardowa procedura w razie takiego wypadku?

– Pewnie – oznajmił Rupert. – Trzeba wyciągnąć pistolet lewą ręką i zastrzelić bydlaka.

Ta uwaga wywołała dalsze wybuchy radości, które zignorowałam.

– Świetnie – powiedziałam, do pewnego stopnia spokojnie. Wskazałam na długi pistolet Jamiego. – Nauczysz mnie z tego strzelać?

– Nie – oznajmił stanowczo Jamie.

Najeżyłam się.

– A to dlaczego?

– Bo jesteś kobietą.

Poczułam, że na policzki wypływa mi pałący rumieniec.

– Ach tak? – wycedziłam. – Uważasz, że kobiety są na tyle głupie, że nie pojmą, jak działa pistolet?

Jamie spojrział na mnie spokojnie. Usta lekko mu drgały, jakby przygotowywał się do kolejnych odpowiedzi.

– Miałem ochotę ci pozwolić, żebyś sama się przekonała – odezwał się wreszcie. – Dostałbyś za swoje.

Rupert cmoknął karcąco.

– Nie szalej. Jamie. A ty, dziewczyno, wiedz –

dodał, odwracając się do mnie – że to nie dlatego, iż kobiety są głupie, choć z pewnością niektóre są; chodzi o to, że są małe.

– He? – Spojrzałam na niego tępo.

Jamie głośno parsknął i wyciągnął pistolet. Z bliska wydawał się gigantyczny – pół metra, licząc od wlotu do wylotu lufy.

– Patrz. – Podsunął mi broń pod nos. – Trzymasz tutaj, opierasz o ramię i spoglądasz tutaj. A gdy naciskasz spust, kopie jak muł. Jestem od ciebie wyższy o głowę i cięższy o dwadzieścia kilo, a czasami mam po nim paskudne siniaki. Gdybyś ty strzeliła, nakryłabyś się nogami.

Obrócił pistolet na palcu i wsunął go w olstra.

– Powinienem pozwolić, żebyś sama się o tym przekonała, ale bardziej podobasz mi się z zębami. Masz miły uśmiech. Angielko, choć straszna z ciebie piekielnica.

Lekko upokorzona zgodziłam się bez dalszych oporów, że nawet mniejszy miecz jest dla mnie za ciężki, abym mogła się nim sprawnie posługiwać. Maleńki sgian dhu, sztylet noszony za pończochą, okazał się najbardziej odpowiedni. Zostałam zaopatrzona w ten groźnie wyglądający nóż z ciemną, ostrą jak brzytwa klingą i krótką rękojeścią.

Przećwiczyłam wyjmowanie go z miejsca, w którym miał być noszony. Wreszcie przyglądający mi się krytycznie mężczyźni uznali, że jestem gotowa. Umiałam już zgarnąć spódnicę, chwycić sztylet i jednym płynnym ruchem unieść ostrze wysoko, gotowa do poderżnięcia



gardła przeciwnikowi.

I tak zostałam nowicjuską w sztuce władania białą bronią. Usiadłam do posiłku wśród ogólnych gratulacji. Był tylko jeden wyjątek. Murtagh pokręcił głową z powątpiewaniem.

– Nadal twierdzę, że jedyną bronią dla kobiety jest trucizna.

– Być może – odparł Dougal – lecz niełatwo jej użyć w bezpośrednim starciu.

Następny popas wypadł na brzegach Loch Ness. Ponowny widok tego miejsca nappełnił mnie dziwnym uczuciem – tak niewiele się tu zmieniło... Albo raczej tak niewiele się zmieni. Olchy i modrzewie przybrały głębszy odcień zieleni, ponieważ mieliśmy środek lata, a nie późną wiosnę. Nie spotykało się już majowych różów i bieli, za to pojawiły się soczyste żółcienie janowców i żarnowców. Niebo było bardziej błękitne, ale powierzchnia jeziora wyglądała tak samo – bez fal, czarnoniebieska, odbijała brzeg, nadając mu ciemniejsze, przygaszone barwy.

Daleko od nas poruszało się parę łodzi z żaglami, prawie takich samych jak wtedy, gdy byłam tu z Frankiem. Jednak kiedy jedna z nich zbliżyła się do nas, przekonałam się, że jest zrobiona z wyprawionej skóry, rozpiętej na drewnianym szkielecie.

Czułam także identyczny intensywny zapach, który unosił się nad wszystkimi szkockimi zbiornikami wodnymi: przenikliwa mieszanina woni zieleni i zgniłych liści, świeżej wody, zdechłych rybi stęchłego błota. A ponad wszystkim wisiała ta sama co przedtem dziwna atmosfera

tego miejsca. Była odczuwana zarówno przez ludzi, jak i przez konie. Wszyscy zamilkli.

Znalazłam wygodne miejsce na posłanie dla mnie i Jamiego, po czym zesłam na brzeg jeziora, by umyć ręce i twarz przed kolacją.

Brzeg biegł ostro w dół i ginał w rozsypisku głazów, tworzącym rodzaj falochronu.

Było to bardzo spokojne miejsce, z dala od obozu i jego odgłosów. Przysiadłam na chwilę pod drzewem, porozkoszować się tą chwilą samotności. Od dnia zawarcia małżeństwa z Jamiem nikt mnie nie śledził. Przynajmniej tyle.

Leniwie obrywałam grona skrzydlatych nasion z nisko wiszących gałęzi i rzucałam je do jeziora. Nagle moją uwagę przykuły zmarszczki na powierzchni wody, stopniowo coraz wyraźniejsze, jakby zerwał się wiatr.

Z jeziora wyłoniła się wielka płaska głowa. Widziałam lśniące strużki spływające z łuskowatego grzebienia ciągnącego się wzdłuż giętkiej szyi. W oddali woda się poruszyła; uchwyciłam mignięcie ciemnego i potężnego ciała pod powierzchnią, choć sama głowa pozostawała względnie spokojna.

Ja także znieruchomiałam. Dziwne, ale tak naprawdę nie czułam strachu, a jedynie pewną wspólnotę z tą istotą, jeszcze bardziej niż ja wyrwaną ze swoich czasów.

Płaskie oczy, stare jak eocenske morza, zmętniałe w ponurych głębiach ciasnej kryjówki, gładka skóra, ciemnoniebieska, połyskująca zielenią, perłowa pod dolną szczęką i dziwne, pozbawione źrenic oczy niczym

przejrzysty, płonący bursztyn. Piękne monstrum...

I takie odmienne od swojej mniejszej repliki w kolorze błota, która dekoruje dioramę na piątym piętrze British Museum. Mimo to kształt był taki sam. Kolory żywych istot bledną wraz z ostatnim oddechem stworzenia, a miękka, sprężysta skóra gnije po paru tygodniach. – sucha, bez kształtu, Pozostają, by nieść ostatnie, słabe świadectwo niegdysiejszego życia. Jego nozdrza otworzyły się nagle z zaskakującym sykiem wdechu; wielka głowa znowu zniknęła pośród kipieli.

Wstałam, kiedy stworzenie się pojawiło, i chyba nieświadomie zbliżyłam się do niego by mu się przyjrzeć, bo ocknęłam się na jednym z wystających z wody głazów, ze wzrokiem utkwionym w powoli uspokajającej się wodzie.

Tkwiałam nieruchomo jeszcze przez chwilę, patrząc na gładką powierzchnię jeziora.

– Żegnaj – powiedziałam wreszcie.

Otrząsnęłam się i ruszyłam z powrotem. Na szczycie stał jakiś mężczyzna.

Zaskoczona rozpoznałam jednego z woźniców – Petera. Wiadro, które trzymał, wymownie tłumaczyło jego obecność nad jeziorem. Chciałam spytać, czy także widział tajemnicze stworzenie, ale wyraz jego twarzy, bledszej niż rosnące dookoła stokrotki, zastępował wszystkie wyjaśnienia. Peter toczył dziko oczami jak przerażony koń, a ręce trzęsły mu się tak, że wiadro bez przerwy obijało się o jego nogę.

– Już dobrze – odezwałam się, podchodząc bliżej.–

Nie ma go.

Ale moje słowa jeszcze bardziej przeraziły woźnicę. Rzucił wiadro, runął przede mną na kolana i przeżegnał się.

– Miej li... litość, pani – wyjąkał.

Ku memu najwyższemu zażenowaniu, padł na twarz i chwycił za rąbek mojej sukni.

– Nie wygłupiaj się – powiedziałam dość surowo. – Wstawaj.

Delikatnie cuciałam go czubkiem buta, ale on tylko zadygotał i przywarł do ziemi jak rozplaszczony grzyb.

– Wstawaj – powtórzyłam. – Ty idioto, to tylko... – zawahałam się. Łacińska nazwa z pewnością go nie uspokoi. – To tylko taki mały potwór – dodałam, chwyciłam mężczyznę za rękę i podniosłam. Musiałam sama napełnić wiadro, ponieważ Peter za żadne skarby świata nie chciał się zbliżyć do brzegu. Wcale się mu nie dziwiłam. Poszedł za mną do obozu. Cały czas trzymał się w bezpiecznej odległości. Gdy już zbliżyliśmy się do miejsca postoju, natychmiast uciekł do swoich mułów. Biegając co sił w nogach, raz po raz rzucał nieufne spojrzenia.

Ponieważ wydawało się, że nie zamierza powiadomić innych o dziwnym spotkaniu postanowiłam również zachować milczenie. Dougal, Jamie i Ned mieli solidne wykształcenie, lecz resztę naszej grupy stanowili prości górale z zabitych dechami wiossek. By prawda odważni w walce, lecz równie przesądni jak plemiona z Afryki czy Bliskiego Wschodu.

A zatem zjadłam kolację w milczeniu i poszłam

spać. Nieustannie czułam na sobie baczny wzrok woźnicy Petera.

Po kolejnych dwóch dniach skręciliśmy znowu na północ. Zbliżaliśmy się do miejsca spotkania z Horrocksem; Jamie czasami popadał w zamyślenie. Może zastanawiał się, jakie znaczenie mogą mieć dla niego informacje angielskiego dezertera.

Nie spotkałam znowu Hugh'a Munro, ale poprzedniej nocy obudziłam się i stwierdziłam, że posłanie Jamiego jest puste. Usiłowałam doczekać chwili jego powrotu, ale niespodziewanie zapadłam w głęboki sen. Rano Jamie leżał obok mnie, jakby w ogóle się nie oddał, a na moim kocu znajdowała się mała paczuszka, owinięta arkuszem cienkiego i spięta piórkiem dzięcioła.

Rozwinęłam ją ostrożnie i znalazłam w środku wielki kawałek nie oszlifowanego bursztynu. Chociaż nie, jedna jego strona została wygładzona i wypolerowana, a przez to nie wielkie okienko widać było malutką ważkę, znieruchomiałą w wiecznym locie.

Wyglądziłam papier. Na pobrudzonej białej powierzchni widniała wiadomość, wykaligrafowana drobnymi i zaskakująco wytwornymi literami.

– Co tu jest napisane? – spytałam Jamiego. – To chyba po celtycku.

Uniósł się na łokciu i spojrział na papier.

– Nie, po łacinie. Munro był nauczycielem, zanim porwali go Turcy. To fragment z Katullusa. Da mi basia wille, diende centum, dein mille altera, din secunda centum...

Przetłumaczył, lekko zaróżowiony: I niech miłosny pocałunek ust naszych nigdy nie opuszcza. Niech będzie tysiąc po sto razy i sto tysięcy jeszcze więcej.

– No, to coś lepszego niż nieśmiertelna wróżba w ciasteczku – zauważyłam z rozbawieniem.

– Co? – Jamie podniósł na mnie zdziwione oczy.

– Nic, nic – powiedziałam. – Czy Munro odnalazł Horrocksa?

– Tak, wszystko umówione. Spotkamy się w górach koło Lag Cruime. Za cztery dni, jeśli nic się nie wydarzy.

Samo wspomnienie, że coś mogłoby się wydarzyć, przyprawiało mnie o gęsią skórkę.

– Myślisz, że to bezpieczne? Czy ufasz Horrocksowi?

Usiadł i potarł zaspane oczy.

– Angielskiemu dezenterowi? Nie, na Boga! Sprzedałby mnie Randallowi w mgnieniu oka, tylko sam nie jest szczególnie dobrze widziany u Anglików. Oni wieszają dezenterów.

Nie, nie ufam Horrocksowi. Dlatego pojechałem wraz z Dougalem, zamiast wybrać się samotnie. Jeśli Horrocks zrobi jakieś głupstwo, nie będę sam.

– Mhm. – Nie byłam pewna, czy obecność Dougala rzeczywiście jest taką znakomitą gwarancją bezpieczeństwa. – Skoro tak uważasz... Przynajmniej nie wydaje mi się, żeby Dougal chciał cię zastrzelić.

– Już próbował – oznajmił pogodnie Jamie, zapinając koszulę. – Powinnaś wiedzieć, sama mnie opatrywałaś.

Upuściłam grzebień.

– Dougal? Myślałam, że to Anglicy!

– Anglicy do mnie strzelali – skorygował. – I właściwie nie powinienem rzec, że to Dougal mnie postrzelił. Zdaje się, że zrobił to Rupert, on trafia najcelniej spośród ludzi mojego wuja. Kiedyśmy uciekali Anglikom, zdałem sobie sprawę, że znajdujemy się w pobliżu ziem Fraserów. Chciałem wykorzystać okazję. A więc spałem konia ostrogami i zacząłem uciekać na lewo, okrążając Dougala i resztę. Wokół trwała strzelanina, ale kula uderzyła mnie od tyłu. A za moimi plecami byli wówczas Dougal, Rupert i Murtagh.

Anglicy stali z przodu... kiedy spadłem z konia, stoczyłem się po zboczu prawie do ich stóp. – Pochylił się nad wiadrem z wodą, które przyniosłam, i ochlapał twarz zimną wodą. Otrząsnął się i spojrzał na mnie; krople zawisły mu na koniuszkach gęstych rzęs i brwi.

– Skoro już o tym mowa, Dougal stoczył zażartą walkę, by mnie odzyskać. Leżałem na ziemi, bo nie mogłem się zdobyć na więcej, a on stał nade mną, ciągnął mnie jedną ręką za pas, a w drugiej trzymał miecz i walczył z dragonem, który chciał mnie wyleczyć ze wszystkich słabości. Wuj zabił Anglika i wsadził mnie na własnego wierzchowca. – Pokręcił głową. – Wszystko zdawało mi się wówczas niewyraźne. Myślałem tylko o tym, że koń musi się ogromnie męczyć, biegnąc pod górkę z balastem dwustu kilogramów.

Usiadłam nieco ogłuszona.

– Ale... Dougal mógłby cię wtedy zabić, gdyby

chciał.

Jamie pokręcił głową i wyjął brzytwę pożyczoną od Dougala. Lekko przechylił wiadro, by ujrzeć swoje odbicie. Wykrzywił się w męczeńskim grymasie, który mężczyźni zawsze robią podczas golenia, i zaczął oskrobywać policzki.

– Nie, nie przy wszystkich. Poza tym Dougal i Colum nie chcieli koniecznie, żebym umarł... zwłaszcza Dougal.

– Ale... – Znowu dostałam zawrotu głowy, jak zwykle, gdy zagłębiałam się w zawiłości szkockiego życia rodzinnego.

Jamie mówił teraz nieco zdławionym głosem, bo wysunął żuchwę jak najdalej i przechylił głowę, by dobrać się do zarostu na podgardlu.

– Chodzi o Lallybroch – wyjaśnił, badając dotykem skórę w poszukiwaniu pominiętych włosów. – Ziemię są tam żyzne, a posiadłość znajduje się na szczycie górskiej przełęczy. To jedyna dobra przełęcz w górach w promieniu dwudziestu kilometrów. Jeśli dojdzie do następnego powstania, to będzie znakomity punkt.

A gdybym umarł przed ślubem, ziemię wróciłyby do Fraserów. – Wyszczrzył zęby i pogłaskał się po karku. – O tak, bracia MacKenzie mają ze mną same kłopoty. Z jednej strony, jeśli zagrażam małemu Hamishowi, powinienem umrzeć. Z drugiej, jeśli nie zagrażam, powinienem razem z moimi ziemiami znaleźć się po ich stronie na wypadek wojny. Dlatego chcą mi pomóc z Horrocksem, rozumiesz. Nie mogę wiele zdziałać z



Lallybroch, dopóki jestem poszukiwany, choć ziemia nadal należy do mnie.

Zwinęłam koce i pokręciłam głową nad skomplikowaną i niebezpieczną sytuacją, o której Jamie opowiadał z taką nonszalancją. Nagle dotarło do mnie, że nie tylko Jamie jest w nią zamieszany. Spojrzałam na niego.

– Powiedziałeś, że gdybyś umarł w stanie bezzennym, ziemię wróciłyby do Fraserów.

Ale teraz jesteś żonaty. Więc kto...

– Właśnie – przerwał i pokiwał głową z krzywym uśmiechem. Poranne słońce zapalało w jego włosach złote i miedziane błyski. – Jeśli teraz zginę. Angielko, Lallybroch będzie twoje.

Kiedy mgła opadła, dzień okazał się całkiem przyjemny i słoneczny. Ptaki ćwierkały na wrzosowisku, a droga dla odmiany stała się szeroka i lekko pylista.

Jamie jechał tuż za mną. Na szczycie niewielkiego wzgórza skinął głową w prawo.

– Widzisz tę małą polankę na dole?

– Tak. – Pod nami rozciągał się wzorzysty zagajnik sosen, dębów i osik, położony w pewnej odległości od gościńca.

– Jest tam źródło i jezioro, a także miękka trawa.

Przyjrzałam się mu badawczo.

– Trochę wcześniej jak na obiad, nie sądzisz?

– Właściwie nie o to mi chodziło. – Przypadkiem odkryłam, że Jamie nie zdołał opanować sztuki puszczenia perskiego oka. Mrugnął powoli i poważnie jak sowa.

– A o co? – spytałam.

Moje podejrzliwe spojrzenie napotkało błękitne, dziecinnie niewinne oczy.

– Właśnie się zastanawiam, jak byś wyglądała... na trawie... pod drzewami... blisko źródła... z zadartą spódnicą.

– Hm...

– Powiem Dougalowi, że przyniesiemy wody. – Spiał konia ostrogami i popędził naprzód. Po chwili wrócił z butelkami wszystkich towarzyszy podróży. Usłyszałam jeszcze, że Rupert krzyknął coś po celtycku, ale nie rozumiałam.

Pierwsza dotarłam na polanę. Ześliznęłam się z konia, z ulgą spoczęłam na trawie i zamknęłam oczy. Jamie pojawił się w chwilę później. Klepnął swojego konia i zostawił go obok mojego, po czym ukląkł przy mnie. Przyciągnęłam go do siebie.

Dzień był ciepły, pełen zapachów trawy i kwiatów. Sam Jamie pachniał świeżą trawą, ostro i słodko.

– Musimy się spieszyć – powiedziałam. – Będą się dziwić, dlaczego nas tak długo nie ma.

– Nie będą – odparł i zaczął rozsznurowywać mi stanik ze swobodą człowieka doświadczonego. – Wiedzą.

– Jak to?

– Nie słyszałaś, co krzyknął Rupert?

– Słyszałam, ale nie rozumiałam. – Znałam już ten język na tyle, by rozpoznać najprostsze słowa, ale konwersacja nadal leżała poza moimi możliwościami.

– To bardzo dobrze. – Odsłonił moje piersi i ukrył w nich twarz.

Zaczął je pieścić, ssać i lekko kąsać, aż nie mogłam

znieść tego ani chwili dłużej.

Wśliznęłam się pod niego i zadarłam spódnicę.

Po naszym ognistym i prymitywnym akcie na kamieniach nie chciałam się kochać w pobliżu obozu, lasy zaś były zbyt gęste, byśmy mogli się w nie bezpiecznie zapuszczać.

Oboje czuliśmy słabe i przyjemne napięcie wynikające z abstynencji, a teraz, z dala od ciekawskich oczu i uszu, rzuciliśmy się na siebie z takim zapamiętaniem, że krew zaczęła mi pulsować nawet w wargach i koniuszkach palców.

Oboje zbliżaliśmy się do finału, kiedy Jamie raptownie znieruchomiał. Otworzyłam oczy i zobaczyłam ciemną plamę jego twarzy na tle słońca. Do głowy mojego ognistego kochanka dotykało coś czarnego. Kiedy wzrok przyzwyczał mi się do światła, przekonałam się, że patrzę na lufę muszkietu.

– Wstawaj, ty rozparzony bydlaku. – Lufa poruszyła się i dźgnęła Jamiego w skroń.

Podniósł się bardzo powoli. Po policzku spłynęła mu strużka krwi, niemal czarna na tle poblądłej twarzy.

Było ich dwóch – dezertery z angielskiej armii, sądząc po łachmanach. Obaj uzbrojeni w muszkiety i pistolety, bardzo rozbawieni tym, co zesłał im los. Jamie stanął z podniesionymi rękami i twarzą pozbawioną jakiegokolwiek wyrazu.

– Powinieneś mu pozwolić skończyć, Harry – powiedział jeden z napastników.

Uśmiechał się szeroko, ukazując piękną kolekcję

gnijących zębów. – To bardzo niezdrowe tak się zatrzymać w środku.

Jego kompan szturchnął lufą pierś Jamiego.

– Jego zdrowie mnie nie interesuje. A i on nie musi się o nie już martwić. Mam ochotę skosztować tego – skinął głową w moim kierunku – i nie chcę brać jej po kimś, a już na pewno nie po tym szkockim sukinsynu.

Mężczyzna z popsutymi zębami zarechotał.

– Ja tam nie jestem taki wybredny. No to go zabijmy i bierzmy się do roboty.

Harry, niski i przysadzisty chłop z zezującym okiem, zastanawiał się przez chwilę, przyglądając mi się uważnie. Siedziałam nieruchomo na ziemi z podkulonymi nogami i kostkami omotanymi spódnicą. Usiłowałam zakryć piersi, ale niecałkiem mi się to udało. Wreszcie Harry parsknął śmiechem i skinął na kompana.

– Nie, niech sobie popatrzy. Chodź tutaj, Arnold, trzymaj go na muszce.

Arnold usłuchał nadal uśmiechnięty. Harry odstawił muszkiet i rozpiął pas z pistoletem. Obciągając spódnicę, poczułam pod palcami twardy przedmiot w prawej kieszeni. Sztylet od Jamiego. Czy zdobędę się na to, żeby go użyć? Tak, zdecydowałam, patrząc na obsypaną krostami, wyszczerzoną w obleśnym uśmiechu gębę Harry'ego.

Ale powinnam odczekać aż do ostatniej możliwej chwili i obawiałam się, że Jamie nie zdoła tego wytrzymać. Na jego twarzy malowała się żądza mordy. Wizja strasznych konsekwencji nie wystarczy, żeby go

powstrzymać.

Nie odważyłam się zdradzić niczego wyrazem twarzy, więc tylko zwęziłam oczy i przeszyłam Jamiego spojrzeniem. Żyły na szyi nabrzmiały mu mocno, a twarz pociemniała, ale zauważyłam ledwie dostrzegalne przytaknięcie.

Hary przewrócił mnie na ziemię i szarpnął spódnicę. Zaczęłam z nim walczyć, głównie po to, by położyć rękę na sztylcie. Uderzył mnie mocno w twarz i wrzasnął, żebym się nie ruszała. Policzek mnie palił, a do oczu napłynęły łzy, ale sztylet znalazł się w mojej ręce, ukryty pod fałdami spódnicy.

Znieruchomiałam, dysząc. Teraz skupiłam się wyłącznie na celu. Muszę uderzyć w plecy, pomyślałam. Znajdowałam się zbyt blisko napastnika, żeby celować w gardło.

Brudne łapy ścisnęły moje uda, usiłując je rozchylić. Oczyma wyobraźni zobaczyłam grubego palec Ruperta, stukający w żebra Murtagha. Usłyszałam głos swojego nauczyciela:

„Tutaj, pod najniższym żebrem, blisko krzyża. Uderz mocno, celuj w nerkę, a padnie jak rażony gromem”.

Odpowiednia chwila już prawie nadeszła; oddech Harry’ego owiewał mi twarz.

Napastnik ciągle zmagał się z moimi obnażonymi nogami.

– Przyjrzyj się, mały, jak to się robi – wydyszał. – Twoja dziwka zaraz będzie mnie błagać o więcej, zanim...

Chwyciłam go lewą ręką za kark i przyciągnęłam

blisko siebie, a prawe ramię wzniosłam wysoko i opuściłam z maksymalną siłą. Wstrząs uderzenia niemal wykręcił mi dłoń i prawie wytrącił sztylet. Harry zaskowyczał i szarpnął się w moim uścisku.

Wycelowałam zbyt wysoko, nóż ześliznął się po żebrze.

Teraz nie było już odwrotu. Na szczęście uwolniłam nogi z krepujących spódnic.

Chwytiłam spocone biodra Harry'ego w kleszczowy uścisk i przytrzymałam drania na tych parę cennych sekund, jakich potrzebowałam, by spróbować ponownie. Uderzyłam znowu z rozpaczliwą siłą i tym razem wybrałam odpowiedni punkt.

Rupert miał rację. Harry rzucił się w potwornej parodii miłosnego aktu, zapadł się w sobie i przytłoczył mnie swoim ciężarem. Z rany na plecach trysnął strumień krwi, stopniowo coraz mniej obfity.

Arnold zerknął na widowisko u jego stóp i ten ułamek chwili okazał się aż nadto wystarczający dla oszalałego Szkota, którego trzymał na muszce. Zanim oprzytomniałam na tyle, by uwolnić się od przygniatającego mnie Harryego, Arnold również przeniósł się na tamten świat z gardłem poderżniętym od ucha do ucha szgian dhu, który Jamie nosił za pończochą.

Jamie ukląkł obok mnie i pomógł mi się wydostać spod trupa. Oboje trzęśliśmy się ze zdenerwowania. Przywarliśmy do siebie bez słów. Po długiej chwili, wciąż w milczeniu, Jamie podniósł mnie i zaniósł na polankę za zasłoną olch, z dala od zakrwawionych ciał.

Posadził mnie i osunął się obok, jakby nagle nogi się pod nim ugięły. Poczułam lodowatą samotność, zimny wicher przenikający do szpiku kości. Wyciągnęłam do niego rękę.

Podniósł opuszczoną głowę – twarz mu się zapadła, rysy wyostrzyły – i spojrzał tak, jakby widział mnie po raz pierwszy w życiu. Położyłam dłoń na potężnym ramieniu.

Jamie przygarnął mnie mocno do piersi z jękiem, który brzmiał prawie jak szloch.

Kochaliśmy się w milczeniu, dzikim zapamiętaniu, gwałtownie, powodowani impulsem, którego nie rozumieliśmy, lecz musieliśmy usłuchać, jeśli nie chcieliśmy się stracić na zawsze. Nie był to akt miłosny, lecz konieczność. Zrozumieliśmy, że żadne z nas by nie przeżyło, gdyby zostało samo. Nasza siła leżała w połączeniu i tej fali zmysłów, która zatopiła wspomnieniaśmiertelnego niebezpieczeństwa i niedosłego gwałtu.

Przywarliśmy do siebie na trawie, potargani, zakrwawieni, drżący. Jamie wymruczał coś tak cicho, że usłyszałam tylko „przepraszam”.

– To nie twoja wina – szepnęłam i pogładziłam go po włosach. – Nic nam nie grozi, jesteście już bezpieczni.

Ogarnęła mnie dziwna senność, jakby wszystko stało się nierealne. Zdałam sobie sprawę, że organizm tak zareagował na szok.

– Nie o to chodzi – powiedział Jamie. – Nie o to. To była moja wina... Przychodząc tu, zachowałem się głupio i nieostrożnie. I naraziłem cię na... ale nie o to mi chodziło.

Przepraszam, że cię wykorzystałem, wziąłem tuż po... jak jakieś zwierzę. Przepraszam, Claire. Boże, jesteś taka lodowata, mo dumne, masz takie zimne ręce. Chodź, rozgrzeję cię.

To także szok, dotarło do mnie poprzez ośpienie. Zabawne, że niektórzy ludzie pod wpływem silnego wstrząsu czasami nie mogą przestać mówić. A inni tylko trzęsą się w milczeniu, tak jak ja. Przycisnęłam jego głowę do swojego ramienia, żeby go uciszyć.

– Już dobrze – powtarzałam nieustannie. – Już dobrze.

Nagle padł na nas cień; oboje poderwaliśmy się z miejsca. Dougal stał nad nami z założonymi rękami i mierzył nas groźnym spojrzeniem. Grzecznie odwrócił głowę, kiedy pospiesznie zaczęłam sznurować stanik i zwrócił się do Jamiego.

– Słuchaj, chłopcze, nie ma nic złego w tym, że zaznajasz przyjemności z żoną, ale nie możesz nas zostawiać na godzinę, a w dodatku na tyle tracić głowę, by nie słyszeć mojego nadejścia. Takie zachowanie wpędzi cię w kłopoty. Przecież ktoś stanąłby za tobą i przyłożył ci pistolet do głowy, zanim byś się spostrzegł...

Zamilkł w środku tyrady i spojrzał na mnie z osłupieniem, bo zaczęłam chichotać, bliska hysterii. Jamie, czerwony jak burak, poprowadził Dougala za zasłonę olch, po drodze mówiąc do niego półgłosem. Ja nadal się śmiałam i nie mogłam przestać, aż wreszcie wsadziłam sobie w usta chusteczkę, by przynajmniej stłumić te dzikie chichoty.



Nagły upust emocji oraz słowa Dougala przypomniały mi twarz Jamiego, który zmarł w trakcie stosunku. To wydało mi się tak nieodparcie komiczne, że się śmiałam i jęczałam, aż rozboleł mnie brzuch. Wreszcie usiadłam, otarłam oczy chusteczką i ujrzałam Dougala wraz z Jamiem. Stali nade mną i przyglądali mi się z identyczną dezaprobatą. Ruszyliśmy w kierunku miejsca postoju. Po drodze od czasu do czasu nadal parskałam nieopanowanym śmiechem.

Oprócz tendencji do wybuchania histerycznym chichotem bez powodu nie zaobserwowałam u siebie żadnej innej reakcji po spotkaniu z dezerterami, choć nabrałam niechęci do opuszczania obozowiska. Dougal uspokajał mnie, że na szkockich drogach spotyka się niewielu bandytów, ponieważ nie ma tu podróźnych, których można by z czegoś obrabować. Mimo tych zapewnień podskakiwałam nerwowo na każdy głośniejszy odgłos z lasu. Usiłowałam jak najszybciej uporać się ze zbieraniem chrustu na opał i przynoszeniem wody, by znaleźć się w polu widzenia ludzi Dougala. Ich chrapanie w nocy napełniało mnie poczuciem bezpieczeństwa i straciłam wszelkie opory względem dyskretnych działań pod kocem.

Ciągle bałam się zostawać sama, kiedy nadeszła pora spotkania z Horrocksem.

– Mam zostać? – spytałam z niedowierzaniem. – Nie! Jadę z tobą.

– Nie możesz – powtórzył cierpliwie Jamie. – Większość naszych pojedzie z Nedom do Lag Cruime, żeby

zebrać podatki. Dougal i paru innych będą mi towarzyszyć na wypadek, gdyby Horrocks zdradził. Nie wolno ci się pokazywać w okolicach Lag Cruime.

Kręcą się tam ludzie Randalla. A co do spotkania z Horrocksem, nie wiem, co się może wydarzyć. Niedaleko stąd jest mały zagajnik, gęsty i porośnięty trawą, blisko wody.

Będiesz tam bezpieczna, dopóki po ciebie nie wrócę.

– Nie – uparłam się. – Jadę z tobą.

Duma nie pozwalała mi wyznać, że boję się zostać sama, ale bardzo chętnie powiadomiłam Jamiego, że boję się o niego.

– Sam powiedziałaś, że nie wiadomo, co się stanie. Nie chcę czekać i przez cały czas zastanawiać się, co się z tobą dzieje. Pozwól mi z sobą pojechać. Obiecuję, że nie będę się nikomu pokazywać. Nie zamierzam beczynnie siedzieć i martwić się przez cały dzień.

Westchnął niecierpliwie, ale przestał się ze mną kłócić. A kiedy dotarliśmy do miejsca, chwycił wodze mojego konia i zmusił mnie do zjechania, z drogi na trawę.

Zeskoczył na ziemię i przywiązał oba wierzchowce do krzaków. Nie zwracając uwagi na moje protesty, wszedł pomiędzy drzewa. Ja uparcie tkwiłam na końskim grzbiecie. Nie mnie zmusić, pomyślałam.

Wreszcie pojawił się z powrotem. Reszta jeźdźców zniknęła już wcześniej, ale pamiętny poprzedniego doświadczenia z innej pustej polanki, nie zamierzał odjechać przed dokładnym przeszukaniem terenu. Posunął

się nawet do sprawdzenia kijem wysokiej Wrócił, odwiązał konie i wskoczył na siodło.

– W porządku – oznajmił. – Wjedź w gęstwinę, Claire, i ukryj się dobrze. Wrócę po ciebie, jak tylko zakończę sprawy. Nie wiem, jak długo mnie nie będzie z pewnością pojawię się przed zmrokiem.

– Nie! Jadę z tobą. – Nie mogłam znieść myśli o bezczynnym tkwieniu w zaroślach. Wolałam się znaleźć w bezpośrednim zagrożeniu, niż spędzić wiele niespokojnych godzin czekając i gubiąc się w domysłach. Samotnie.

Cierpliwość Jamiego miała swoje granice. Chwytał mnie mocno za ramię.

– Obiecałaś, że będziesz mi posłuszna? – spytał, potrząsając mną.

– Tak, ale... – Ale tylko dlatego, że musiałam, zamierzałam powiedzieć, ale odwracał mojego konia ku zagajnikowi.

– Nie zamierzam cię narażać na tak duże niebezpieczeństwo, Claire. Będę zajęty, przyjdzie co do czego, nie zdołam jednocześnie walczyć i bronić ciebie. – Widząc nieustępliwe spojrzenie, otworzył juki i zaczął w nich grzebać.

– Czego szukasz?

– Sznura. Jeśli nie chcesz mnie posłuchać, przywiążę cię do drzewa.

– Nie zrobisz tego!

– A właśnie że zrobię!

Zrozumiałam, że mówi jak najbardziej poważnie. Poddałam się i niechętnie zgodziłam. Jamie pochylił się, by

pocałować mnie w policzek.

– Uważaj na siebie. Masz sztylet? Dobrze. Wróć najszybciej, jak zdołam. A, i jeszcze jedno.

– Co? – burknęłam.

– Jeśli wyjdiesz z zagajnika przed moim powrotem, dostaniesz w tyłek pasem.

I będzie ci się kiepsko szło aż do Bargrennan. Pamiętaj. – Uszczypnął mnie lekko w policzek. – Nie rzucam słów na wiatr.

Powoli ruszyłam ku zaroślom; Jamie popędził przed siebie galopem, schylony nad końską szyją, w furkocie tartanów.

Pod drzewami panował przyjemny chłód. Ja i koń z ulgą wciągnęliśmy powietrze to jeden z tych rzadkich w Szkocji gorących dni, kiedy rozpalone słońce praży ziemię chmurnego nieba, a poranna mgiełka znika już o ósmej rano.

Ornitologia zawsze była moją pasją. Skoro miałam tu czekać, aż ten mój piel despotyczny mąż skończy ryzykować swoją głupią głowę, mogłam wykorzystać te badania.

Spętałam ogiera i zostawiłam go, by paść się w bujnej trawie. Widziałam, że nie odejdzie daleko. Trawa kończyła się gwałtownie o parę kroków od drzew, zdławiona przez wszech obecne wrzosy.

W zagajniku rosły młode dębczaki i drzewa iglaste – wymarzone warunki do obserwacji ptaków. Weszłam pomiędzy drzewa, nadal wściekła na Jamiego, choć stopniowo ogarniał mnie spokój tego miejsca. Słyszałam

wyraźne wołanie muchołówki i ostry głos drozda. Polanka skończyła się gwałtownie na krawędzi małej przepaści.

Stałam u ujścia stromego kamienistego kanionu, po którego skalnych ścianach spływały wodospady, rozpryskujące się w brązowo-srebrnych jeziorkach. Usiadłam na brzegu, spuściłam nogi nad wodą rozkoszowałam się ciepłem słonecznych promieni.

Nad moją głową przeleciała wrona, ścigana przez dwie pliszki. Duże czarne ciało sunęło zygzakami, usiłując uciec dwóm malutkim bombowcom. Uśmiechnęłam się na widok małych wściekłych rodziców, przeganiających większego ptaka, zaczęłam się zastanawiać, czy wrony naprawdę potrafią fruwać w linii prostej, jeśli nikt im nie przeszkadza. Ta tutaj, gdyby leciała prosto, trafiłaby na...

Zamarłam. Kłótnia z Jamiem tak mnie pochłonęła, że aż do tej chwili nie zdawałam sobie sprawy, iż osiągnęłam to, do czego bezskutecznie dążyłam od dwóch miesięcy.

Zostałam sama. I wiedziałam, gdzie jestem.

Spojrzałam na drugą stronę rzeki. Poranne promienie słońca, przefiltrowane przez liście czerwonych jesionów, raziły mnie w oczy. A zatem przede mną znajdował się wschód. Serce zaczęło mi bić szybciej. Skoro z przodu mam wschód, to Lag Cmime jest dokładnie za moimi plecami. Lag Cruime leżało sześć kilometrów na północ od Fort William. A Fort William było pięć kilometrów na zachód od wzgórz Craigh na Dun.

A zatem, po raz pierwszy od spotkania z Murtaghiem, wiedziałam, gdzie jestem – nie więcej niż

jedenaste kilometry od przeklętego kamiennego kręgu. Jedenaste kilometrów do domu... i Franka.

Ruszyłam ku zagajnikowi, ale zmieniłam zdanie. Nie odważyłabym się jechać gościńcem. Byłam zbyt blisko Fort William. Konno nie przeprawiłabym się przez rzekę, do której należało zejść stromym zboczem. Właściwie nie byłam pewna, czy uda mi się przejść przez nią na własnych nogach.

Miejscami skłon stawał się niemal pionowy, a ściany przepaści tkwiły bezpośrednio w spienionej wodzie, w której nie zauważyłam żadnego solidnego oparcia dla stóp z wyjątkiem z rzadka rozrzuconych kamieni, wystających ponad kipiela.

Ale to właśnie była najprostsza droga w interesującym mnie kierunku. Nie odważyła bym się wybrać bardziej okrężnej trasy. Mogłabym z łatwością zgubić się w zaroślach lub wpaść na powracającego Dougala i Jamiego.

Na myśl o Jamie poczułam ukłucie niepokoju. Dobry Boże, jak miałam zostawić go bez słowa wyjaśnienia? Zniknąć bez śladu po tym, co dla mnie zrobił?

Wreszcie postanowiłam zostawić konia. Dzięki temu Jamie zrozumie, że nie opuściłam go z własnej woli. Może uzna, że zabiły mnie jakieś dzikie zwierzęta – dotknęłam sztyletu w kieszeni – lub zostałam porwana przez bandytów. Po pewnym czasie bezowocnych poszukiwań w końcu o mnie zapomni i znowu się ożeni. Może z tą śliczną Laoghaire z zamku Leoch...

Myśl o Jamie w łóżku Laoghaire zdenerwowała

mnie tak samo, jak perspektywa opuszczenia przyjaciela i męża zarazem. Zwymyślałam się za głupotę, ale wyobraźnia usłużnie podsunęła mi obraz słodkiej okrągłej twarzy młodej dziewczyny, oblanej rumieńcem pożądania, wielkich dłoni Jamiego w jej srebrzystych włosach...

Rozluźniłam spięte mięśnie i otarłam łzy. Nie mogłam marnować czasu ani energii.

Musiałam iść, i to szybko, dopóki istniała taka okazja. Podobna szansa może się już nie powtórzyć. Miałam nadzieję, że Jamie o mnie zapomni. Wiedziałam, że ja nigdy nie zdołam wymazać go z pamięci. Na razie jednak musiałam skupić się tylko na moim zadaniu, i tak dość trudnym.

Ostrożnie zaczęłam schodzić po stromym zboczu. Szum rwącego strumienia zagłuszył głosy ptaków. Droga była trudna, ale przynajmniej prowadziła ku brzegowi rzeki. Sam brzeg okazał się błotnisty i usiany kamieniami, ale do pokonania. Nieco niżej przekonałam się, że będę musiała najpierw wejść do wody, a potem przeskakiwać z kamienia na kamień, balansując nad nurtem, dopóki brzeg nie stanie się na tyle szeroki, by nim swobodnie iść.

Ruszyłam przed siebie, obliczając, ile mam czasu. Jamie powiedział tylko, że wróci przed zachodem słońca. Do Lag Cruime było osiem kilometrów, ale nie znałam stanu okolicznych dróg ani nie wiedziałam, jak długo potrwa spotkanie z Horrocksem. Jeśli dezertier w ogóle się zjawi. Ale powinien, powiedziałam do siebie. Hugh Munro tak twierdził, a Jamie uważał go za wiarygodne źródło informacji.

Stopa pośliznęła mi się na mokrym kamieniu, straciłam równowagę i wpadłam po kolana do lodowatej wody. Doczłapałam do brzegu, wyżełam i podkasałam spódnicę, po czym zdjęłam buty oraz pończochy. Włożyłam je w fałdę podwiniętego materiału i znowu stanęłam na kamieniu.

Odkryłam, że jeśli będę przytrzymywać się palcami stóp, uda mi się uniknąć poślizgnięcia na kamieniach. Niestety, obszerna spódnica zasłaniała mi widok i nie potrafiłam dokładnie określić, gdzie mam stąpać. Tak więc jeszcze nieraz znalazłam się w wodzie. Nogi zdrętwiały mi z zimna, a palce straciły czucie.

Na szczęście wkrótce brzeg stał się szerszy. Z ulgą wyszłam na stały grunt, w ciepłe kleiste błoto. Długi marsz, na zmianę przez grząskie bagno i po chwiejnych kamieniach, odwrócił moje myśli od Jamiego.

Po jakimś czasie opracowałam metodę. Krok, złapanie równowagi, pauza, następny krok. Chyba stałam się zbyt pewna siebie, a może tylko zmęczona, ponieważ stopniowo zaniechałam środków ostrożności i nie trafiłam w odpowiednie miejsce. Moja stopa ześliznęła się po pokrytym śluzem kamieniu. Zamachałam dziko ramionami. Usiłowałam złapać równowagę, ale było już za późno. Runęłam do wody w trzepocie halek. I nie poczułam dna. Strumień, choć w znacznej części dość płytki, miał też głębiny, wyżłobione w skale. Kamień, z którego spadłam, znajdował się na skraju takiej właśnie topieli.

Wstrząs spowodowany kontaktem z lodowatą wodą był tak silny, że nawet nie krzyknęłam. Widziałam srebrne



bąble powietrza, unoszące się ze stanika sukni.

Bawełniana tkanina przemokła niemal natychmiast, a mroźna woda sparaliżowała mnie jak środek obezwładniający.

Oprzytomniałam i zaczęłam walczyć, ale ciężar ubrania ciągnął mnie na dno.

Szarpnęłam gorączkowo za sznurówki stanika, ale nie było nadziei, że zdołam się uwolnić, zanim będzie za późno. Przez głowę przebiegło mi kilka dzikich i niezyczliwych uwag na temat krawców, kobiecej mody i głupich długich spódnic, których fałdy usiłowałam odkleić od nóg.

Woda była kryształowo przejrzysta. Musnęłam palcami kamienną ścianę, śliską od wodorostów i rzęsy. Śliska jak wodorost, powiedział niegdyś Jamie...

Wspomnienie Jamiego wyzwoliło mnie z paniki. Nagle zdałam sobie sprawę, że nie powinnam tracić sił na wydostanie się na powierzchnię. Muszę się rozluźnić, opaść na dno, odbić się i skoczyć w górę. Przy odrobinie szczęścia uda mi się wystawić głowę na tyle, by zaczerpnąć powietrza. A nawet jeśli znowu się osunę, mogę powtarzać ten manewr tak długo, aż zdołam się przytrzymać kamienia.

Wydawało mi się, że opadam potwornie wolno. Spódnice rozpostarły się wokół mnie jak czasza spadochronu, przywarły mi do twarzy. Odgarnęłam liczne warstwy materiału.

Czułam palenie w płucach, a przed oczami zaczęły mi fruwać ciemne plamki, kiedy wreszcie moje stopy dotknęły gładkiego dna. Przysiadłam lekko, obciągnęłam

spódnicę i odbiłam się z całej siły.

Udało się... do pewnego stopnia. Wychyliłam twarz ponad powierzchnię tylko na ułamek sekundy. To jednak wystarczyło, aby wziąć najkrótszy w świecie oddech. Potem woda znowu się nade mną zamknęła. Nie szkodzi, powtórzę manewr raz jeszcze.

Przycisnęłam ręce do boków, by spadać szybciej. No, Beauchamp. Przysiad, odbicie, skok! Wyprysnęłam w górę z ramionami wyprostowanymi nad głową. Poprzednim razem, kiedy wyłoniłam się z wody, uchwyciłam błysk czegoś czerwonego.

Prawdopodobnie jarzębiny. Może uda mi się chwycić jej gałąź.

Przebiłam się przez powierzchnię; moja wyciągnięta rękana potkała coś miękkiego, ciepłego i solidnego. Czyjaś dłoń.

Kaszląc i plując sięgnęłam przed siebie wolną ręką, zbyt szczęśliwa, że ocaliłam życie, by żałować przerwania próby ucieczki. A przynajmniej byłam szczęśliwa, dopóki nie spojrzałam w nalaną, niespokojną twarz młodego kaprala Hawkinsa.

Ostrożnie zdjęłam z rękawa jeszcze mokry kawałek wodorostu i umieściłam go na środku bibularza. Potem, gdy zauważyłam kałamarz, ujęłam wodorost i zanurzyłam go w atramencie. Zaczęłam kreślić interesujące wzory na bibule. To mnie zainspirowało do dalszych czynów. Zakończyłam arcydzieło wulgarnym słowem, ostrożnie posypałam całość piaskiem i osuszyłam, by wreszcie oprzeć papier o szufladkę biurka.

Odstąpiłam o krok, by podziwiać swoje dzieło. Po chwili rozejrzałam się i przystąpiłam do kolejnych działań, które miały odwrócić moją uwagę od nieuniknionego spotkania z kapitanem Randallem.

Całkiem przyzwoity gabinet jak na lokum żołnierza – pomyślałam. Na ścianach wisiały obrazy, biurko zdobiły srebrne okucia, a na podłodze leżał dywan. Weszłam na niego, by lepiej obcieknąć. Podczas jazdy do Fort William osuszyłam zewnętrzne odzienie, ale spodnie warstwy garderoby były nadal mokre i lodowate.

Otworzyłam małą szafkę zabhiridemi odkryłam w niej zapasową perukę kapitana, schludnie spoczywającą na stojaku z kutego żelaza, a także srebrny komplet przyborów toaletowych, i szczotki do munduru oraz szylkretowy grzebień, wszystko w równiutkich rzędach. Przeniosłam perukę na biurko, delikatnie oprószyłam ją resztką piasku i odstawiłam na miejsce.

Gdy Randall wszedł do gabinetu, siedziałam za biurkiem z grzebieniem w dłoni.

Kapitan rzucił jedno spojrzenie, które zarejestrowało mój niedbały strój, otworzoną szafkę i pobrudzoną bibułę. Nawet nie mrugnął okiem. Usiadł na wprost mnie i niedbale oparł stopę o kolano. W pięknej arystokratycznej dłoni trzymał pejcz. Przyjrzałam się plecionemu czerwono-czarnemu rzemieniowi.

– Tak, ten pomysł ma swój powab – odezwał się kapitan. – Ale chyba stać mnie na coś lepszego.

– Rzeczywiście – przyznałam, odgarniając z oczu pasmo włosów. – Choć zdaje mi się, że nie wolno chłostać

kobiet, prawda?

– Tylko w pewnych okolicznościach – wyjaśnił grzecznie. – A ta sytuacja nie spełnia wymogów regulaminu... na razie. Zresztą, po cóż zaczynać od formalności. Sądziłem, że najpierw moglibyśmy się lepiej poznać. – Sięgnął po karafkę.

Przez chwilę popijaliśmy w milczeniu czerwone wino.

– Zapomniałem złożyć ci gratulacje z okazji zamążpójścia, pani – odezwał się nagle kapitan. – Proszę, wybacz mi ten brak manier.

– Ale cóż znowu – odparłam. – Jestem pewna, że rodzina mego męża będzie ci wdzięczna, kapitanie, za ofiarowanie mi gościny.

– Raczej wątpię – powiedział z ujmującym uśmiechem. – Chyba nie powiadomię ich o twojej wizycie.

– Dlaczego sądzisz, że o tym nie wiedzą? – Poczulałam się dość podle mimo wszystkich wysiłków, jakie podjęłam, aby poprawić sobie nastrój.

Rzuciłam szybkie spojrzenie na okno, ale znajdowałam się w takiej części budynku, że nie widziałam słońca. Jednak światło wydawało się złote. Może to wczesne popołudnie? Jak długo potrwa, zanim Jamie znajdzie mojego konia? I kiedy trafi na mój trop przy strumieniu... i po prostu go zgubi? Zaginięcie bez śladu ma swoje niekorzystne strony. Dopóki Randall nie powiadomi Dougala o mojej obecności w forcie, nikt nie ma szans się dowiedzieć, gdzie zniknęłam.

– Gdyby wiedzieli – wyjaśnił kapitan, unosząc

piękną brew – prawdopodobnie już teraz by się do mnie zwrócili. Z epitetów, jakimi obrzucił mnie Dougal MacKenzie przy ostatnim spotkaniu, wnoszę, że nie jestem odpowiednim opiekunem dla kobiety z jego klanu. A MacKenzie tak cię cenią, że woleli, abyś stała się jedną z nich, niż wpadła w moje ręce. Nie sądzę, żeby pozwolili ci tu przebywać.

Przyjrzał mi się z dezaprobatą. Miałam wrażenie, że widzi każdy szczegół mojego przemoczonego stroju, rozczochranej fryzury i ogólnie zaniedbanego wyglądu.

– Niech mnie diabli, jeśli rozumiem, czego od ciebie chcą – zauważył. – A jeśli jesteś dla nich tak cenna, dlaczego, u czarta, pozwalają ci włóczyć się samej. Sądziłem, że nawet barbarzyńcy bardziej dbają o swoje kobiety. – Nagle jego oczy błysnęły. – A może zdecydowałaś się z nimi rozstać? – Spojrzał na mnie, zaintrygowany nową perspektywą.

– Noc poślubna była większym wyzwaniem, niż się spodziewałaś? Muszę przyznać, że się nieco zdenerwowałem, gdy mnie powiadomiono, iż wolałaś dzielić łóżko z jednym z tych półnagich włóchatych dzikusów, niż poświęcić się dalszym rozmowom ze mną. To dowodzi wielkiego szacunku dla obowiązku, pani. Gratuluję temu, kto cię zatrudnił.

Niestety – oparł się na krzesło i postawił na kolanie kieliszek z winem – będę nalegać, byś zdradziła mi nazwisko swego pracodawcy. Jeśli rzeczywiście rozstałaś się z klanem MacKenziech, najprawdopodobniej jesteś agentką Francji. Lecz konkretnie czyją?

Popatrzył na mnie z napięciem jak wąż hipnotyzujący ptaka. Wino dodało mi otuchy, więc spojrzałam na niego śmiało.

– O – zaczęłam z najwyższą uprzejmością. – Więc ja także biorę udział w rozmowie?

Doskonale sobie radzisz, kapitanie. Proszę, kontynuuj.

Wdzięczna linia ust nieco stwardniała, a zmarszczka w ich kąciku stała się wyraźniejsza, ale nie powiedział ani słowa. Odstawił kieliszek, zdjął perukę, podszedł do szafki i ułożył ją na pustym stojaku. Przez chwilę stał w milczeniu i kontemplował nowy wygląd drugiej peruki, ale wyraz jego twarzy nie zmienił się w dostrzegalny sposób.

Prawdziwe włosy Randalla były ciemne, gęste, zdrowe i lśniące. Wyglądały denerwująco znajomo, choć sięgały aż do ramion i były związane błękitną jedwabną wstążką. Kapitan rozpuścił je, wziął grzebień i przeczesał, a potem związał starannie na nowo. Przytrzymałam przed nim lustro, by mógł osądzić efekt końcowy. Odebrał mi je i odłożył na miejsce, po czym mocno zatrzasnął drzwiczki szafki.

Nie wiedziałam, czy ta zwłoka ma mnie wyprowadzić z równowagi – jeśli tak, to się udało – czy też dzięki niej kapitan zyskuje chwilę do namysłu.

Wejście ordynansa z herbatą nieco rozładowało napięcie. Randall nalał mi filiżankę, nadał w milczeniu. Przez jakiś czas popijaliśmy gorący napój.

– Nie podpowiadaj mi, kapitanie – odezwałam się. – Pozwól zgadnąć. To nowa forma perswazji, twój

wynalazek: tortura pęcherza. Będiesz mnie dopóty poił różnymi płynami, aż wreszcie powiem ci wszystko w zamian za pięć minut na nocniku.

Zaskoczyłam go tak, że szczerze się roześmiał. Jego twarz zmieniła się w ułamku sekundy i wreszcie zrozumiałam, dlaczego szuflady biurka kryły tak wiele pachnących kopert adresowanych kobiecą ręką. Kapitan nie przestał się śmiać, mimo iż czuł, że jego maska pękła. Wreszcie zamilkł i znowu na mnie spojrzął, jeszcze z rozbawieniem w oczach.

– Muszę wyznać, że kimkolwiek jesteś, pani, z pewnością stanowisz rozrywkę. – Pociągnął za uchwyt dzwonka przy drzwiach, a kiedy pojawił się ordynans, rozkazał mu od prowadzić mnie do stosownego przybytku.

– Ale nie zgub jej po drodze, Thompson – dodał, otwierając przede mną drzwi z sardonicznym uśmiechem.

Oparłam się ciężko o drzwi wygodki.

Chwila samotności sprawiła mi ulgę, ale powaga sytuacji nie pozwalała o sobie zapomnieć. Miałam już dostatecznie wiele okazji, by osądzić prawdziwy charakter Randalla, zarówno z opowieści, jak i własnego doświadczenia. Ale przez tę błyskotliwą, okrutną powłokę przeświecały czasami mgnienia osobowości Franka. Pomyślałam, że nie powinnam kapitana rozśmieszać. To był błąd.

Usiadłam, ignorując paskudną atmosferę mojego miejsca wytchnienia, i skupiłam się na bieżących problemach. Gabinet Randalla znajdował się w budynku położonym blisko środka placu. Fort otoczony był jedynie

kamiennym murem. Ogrodzenie miało jednak trzy metry wysokości, a podwójnych bram pilnowali strażnicy.

Zastanowiłam się nad symulacją rozstroju żołądka i pozostaniem w moim schronieniu, lecz zrezygnowałam z tego pomysłu, i to nie tylko ze względu na nieprzyjemne otoczenie. Prawda wyglądała tak, że gra na zwłokę nie miała sensu, chyba że mogłabym liczyć na odsiecz. A nie mogłam. Nikt nie wiedział, gdzie mnie szukać, a Randall nie zamierzał nikogo o tym poinformować. Stałam się jego własnością na tak długo, jak długo zechce ze mną igrzać. Znowu pożałowałam, że go rozbawiłam. Sadysta z poczuciem humoru to wyjątkowo niebezpieczny gatunek.

Gdy gorączkowo zastanawiałam się nad informacjami o dowódcy dragonów, przyszło mi do głowy jedno nazwisko. Nawet nie wiedziałam, czyje prawidłowo zapamiętałam.

Miałam nadzieję, że tak. Była to żałośnie słaba karta, ale tylko nią dysponowałam.

Wzięłam głęboki wdech, czym prędzej zrobiłam wydech i wyszłam.

W gabinecie posłodziłam herbatę i starannie ją zamieszałam. Potem dodałam śmietanki. Przeciągałam tę ceremonię możliwie długo i co chwila spoglądałam na Randalla. Siedział w swojej ulubionej pozie, z filiżanką elegancko trzymaną w powietrzu.

– I? – spytałam. – Nie musisz się martwić, że zepsujesz mi apetyt, kapitanie, ponieważ go nie odczuwam. Co zamierzasz ze mną zrobić?

Uśmiechnął się i ostrożnie pociągnął łyk gorącej



herbaty.

– Nic.

– Naprawdę? – Uniosłam brew. – Pomysłowość cię zawiodła?

– Nie powiedziałbym tego – odparł uprzejmy jak zawsze. Jego spojrzenie znowu przesunęło się po mnie w sposób mało przyjemny. – Nie – powtórzył, przyglądając się mojemu stanikowi w miejscu, gdzie chusteczka tworzyła wyraźne wybrzuszenie. – Choć ogromnie pragnąłbym ci dać lekcję dobrych manier, obawiam się, że ta przyjemność mnie ominie. Wyślę cię do Edynburga wraz z pierwszymi rozkazami. I nie chciałbym, byś nosiła jakies wyraźne obrażenia. Moi zwierzchnicy uznaliby to za niedopatrzenie.

– Edynburg? – mruknęłam z zaskoczeniem.

– Tak. Sądzę, że słyszałaś o Tolbooth?

Było to jedno z najcięższych więzień w osiemnastym wieku, znane z brudu, zbrodni, chorób i ciemności. Wielu więźniów zmarło w nim jeszcze przed procesem. Przełknęłam ślinę z pewnym trudem.

Randall popijał herbatę, bardzo zadowolony.

– Powinnaś się tam poczuć jak w domu. Przecież już dowiodłaś, że takie otoczenie odpowiada ci najbardziej.

– Rzucił potępiające spojrzenie na brudny rąbek halki wyzierającej spod spódnicy. – Po pobycie w zamku Leoch nawet nie poczujesz różnicy.

Wątpiłam, żeby dania serwowane w Tolbooth dorównywały tym, które jadano u Columa. Ponadto, pomijając już kwestię wygód, nie mogłam pod żadnym

pozorem pozwolić się odesłać do Edynburga. Gdybym ugrzęzła w więzieniu, nigdy nie zdołałabym wrócić do kamiennego kręgu.

Nadeszła pora, by użyć mojej karty przetargowej. Teraz albo nigdy. Uniostałam filiżankę.

– Jak wolisz, kapitanie – powiedziałam spokojnie. – Ciekawe, co powiedziałyby na to diuk Sandringham?

Randall upuścił filiżankę z gorącą herbatą na nogi w skórzanych spodniach i wydał z siebie parę bardzo podnoszących na duchu dźwięków.

Emoknęłam z dezaprobatą. Kapitan podniósł na mnie płonące spojrzenie. Filiżanka upadła na podłogę; płyn wsiąkał powoli w bladezielony dywan, ale Randall nie zadzwonił na ordynansa. Na szyi zaczął mu drgać mały mięsień.

Odnalazłam stosik wykrochmalonych chusteczek w górnej lewej szufladzie biurka, wraz z emaliowaną tabakierką. Wyjęłam jedną chusteczkę i podałam kapitanowi.

– Mam nadzieję, że plamy dadzą się usunąć – powiedziałam słodko.

– Nie – warknął. – To niemożliwe.

– Dlaczego? – spytałam nonszalancko, zastanawiając się, co jest niemożliwe.

– Zostałbym powiadomiony. A gdybyś pracowała dla Sandringhama, to po co miałabyś się zachowywać w tak idiotyczny sposób?

– Może diuk wypróbować twoją lojalność – rzuciłam na chybił trafił, gotowa do poderwania się z

miejsca, jeśli to będzie konieczne. Kapitan zaciskał pięści, a pejcz porzucony na biurku znajdował się w zasięgu ręki, zbyt blisko jak na mój gust.

Randall parsknął pogardliwie.

– A może to ty wystawiasz na próbę moją naiwność. Albo cierpliwość. Obie cechy posiadam w bardzo nikłym stopniu. – Jego oczy się zwięzły, a ja spięłam się, gotowa do szybkiej ucieczki.

Ruszył ku mnie; odskoczyłam na bok. Chwyciłam imbryk i rzuciłam w niego. Kapitan uniknął pocisku, który rozbił się o drzwi z nad wyraz satysfakcjonującym trzaskiem.

Ordynans, który pewnie czekał w korytarzu, zajrzał do środka.

Zdyszany kapitan skinął na niego niecierpliwie.

– Przytrzymaj ją – rozkazał szorstko i podszedł do biurka.

Zacząłam głęboko oddychać, zarówno po to, by się uspokoić, jak też w oczekiwaniu najgorszego.

Ale Randall, zamiast mnie uderzyć, sięgnął tylko do najniższej szuflady, do której nie zdążyłam zajrzeć, i wyciągnął zwój cienkiej liny.

– Co za człowiek trzyma linę w biurku? – spytałam z rozdrażnieniem.

– Przewrotny, pani – mruknął Randall i związał mi ręce za plecami. – Odejdź – rzucił niecierpliwie ordynansowi. – nie wracaj, cokolwiek byś usłyszał.

To już zabrzmiało zdecydowanie złowroźnie, a moje złe przeczucia okazały się zupełnie usprawiedliwione,

kiedy Randall znowu sięgnął do szuflady.

– Noże mają w sobie coś bardzo denerwującego. Mężczyźni nieustraszeni w walce cofają się przed nagim ostrzem.

Ja też się cofałam, dopóki nie wpadłam na białoną ścianę. Lśniące ostrze wparło się w punkt pomiędzy moimi piersiami.

– A teraz – powiedział Randall miłym głosem – powiesz mi wszystko, co wiesz o diuku Sandringhamie. – Ostry metal nacisnął nieco bardziej. – Nie spiesz się, moja droga. I tak nie mam dziś nic do roboty. – Usłyszałam cichy trzask rozdieranego materiału. Poczułam i zimny koniuszek noża dokładnie na sercu.

Randall powoli zatoczył nożem półkole. Materiał rozdarł się i pękł, odsłaniając strzęp białej koszuli oraz moją nagą pierś. Kapitan chyba wstrzymywał oddech, bo teraz go powoli wypuścił, wpatrzony w moje oczy. Odsunęłam się nieco, ale nie zostało mi wiele przestrzeni do manewrów. Wreszcie zatrzymałam się, przycięnięta do biurka.

Związanymi rękami dotykałam do blatu. Jeśli Randall podejdzie wystarczająco blisko, pomyślałam, oprę się na dłoniach i kopnę tak, by wytrącić mu nóż. Nie sądziłam, żeby chciał mnie zabić, z pewnością nie teraz, dopóki nie zna moich po wiązań z diukiem. Nie wiem dlaczego, ale ta myśl jakoś mnie nie pocieszyła.

Randall uśmiechnął się w sposób irytująco podobny do Franka. Był to ten sam piękny uśmiech, którym mój mąż czarował studentki i zjednywał sobie najbardziej

skamieniałe serca administratorów. Pewnie w innych okolicznościach także uznałabym kapitana za czarującego mężczyznę, ale teraz... raczej nie.

Przyskoczył do mnie, wbił kolano pomiędzy moje uda i popchnął mnie do tyłu.

Straciłam równowagę. Padłam ciężko na biurko. Krzyknęłam, przeszyta bólem zgniecionych nadgarstków. Randall wcisnął mi się między nogi. Jedną ręką usiłował podnieść spódnicę, drugą gniótł i szczypał moją obnażoną pierś. Zaczęłam gorączkowo wierzgać, ale spódnica krępowała mi ruchy. Randall chwycił mnie za stopę i powiodł dłonią po mojej nodze. Odgarnął mokrą halkę, spódnicę i koszulę. Zaczął gmerać przy spodniach.

Sytuacja się powtarza, pomyślałam z furją. Co się dzieje w tej angielskiej armii, na miłość boską? Chwalebne tradycje... Kogo oni chcą nabrać?

Pomyślałam, że wrzask w samym środku garnizonu nie zwróci niczyjej uwagi, ale zaczerpnęłam powietrza i wrzasnęłam przeraźliwie, choć bez przekonania, tak po prostu na wszelki wypadek. Oczekiwałam ciosu, ale Randall nagle się rozpromienił.

– Dalej, słoneczko, krzycz dalej – mruknął, szarpiąc się z rozporkiem. – Będzie mi się bardziej podobać.

Spojrzałam mu prosto w oczy.

– Wypchaj się – warknęłam z doskonałą dykcją i absolutnie bez sensu.

Lok ciemnych włosów wysunął się mu spod wstążki i opadł na czoło. W tej chwili kapitan Randall tak nieprawdopodobnie przypominał swojego praprawnuka, że

poczułam ohydny impuls, by rozchylić nogi i przyjąć go do siebie. Zgniótł boleśnie moje piersi i impuls zniknął bez śladu.

Byłam rozwścieczona do szaleństwa, przejęta obrzydzeniem i upokorzona, ale – co dziwne – niezbyt przestraszona. Poczułam ciężkie, bezwładne uderzenie o moje udo.

Kapitan Randall nie mógł odczuwać przyjemności, dopóki nie krzyknęłam...

i prawdopodobnie wówczas także nie.

– Ach, więc to tak? – powiedziałam i zostałam natychmiast nagrodzona mocnym po liczkim. Zacisnęłam usta i odwróciłam głowę, by powstrzymać się przed czynieniem innych uwag. Zdałam sobie sprawę, że – pomijając kwestię gwałtu – nieokiełznany charakter kapitana stanowi dla mnie poważne zagrożenie. Gdy odwróciłam od Randalla oczy, uchwyciłam jakieś mignięcie w oknie.

– Będę ci wdzięczny – odezwał się chłodny, wyważony głos – jeśli zabierzesz łapy od mojej żony.

Randall zamarł. Jamie, przykucnięty na parapecie, mierzył do okrutnika z wielkiego pistoletu.

Kapitan zamarł, jakby nie wierzył własnym uszom. Powoli odwrócił głowę ku oknu, a jego prawa ręka, niewidoczna dla Jamiego, ześliznęła się z mojej piersi i popęzła ku leżącemu na biurku nożowi.

– Słucham? – odezwał się z niedowierzaniem. Zacisnął palce na rękojeści noża i odwrócił się na tyle, by spojrzeć prosto na nowego uczestnika tej sceny. Znowu

znieruchomiał, a potem wybuchnął śmiechem.

– Dobry Boże, przecież to ten szkocki dzikus! Sądziłem, że skończyłem z tobą raz na zawsze! Więc jednak się wylizałeś! A to, powiadasz, jest twoja żona? Całkiem smakowita, tak jak twoja siostra.

Dłoń z nożem wymierzyła w moje gardło. Ponad ramieniem Randalla widziałam Jamiego, skulonego w oknie jak drapieżnik gotowy do skoku. Nawet nie drgnął, nie zmienił wyrazu twarzy. Jedyłą oznaką emocji był ciemny rumieniec rozlewający mu się po policzkach. Mała szrama na szyi płonęła purpurą.

Randall powoli, niemal niedbale, uniósł nóż tak, by Jamie go zobaczył.

– Lepiej będzie, jeśli rzucisz pistolet... chyba że znużyło cię życie człowieka żonatego.

Oczywiście jeśli wolisz stać się wdowcem...

Ich oczy spotkały się na długą chwilę. Wreszcie Jamie rozluźnił mięśnie. Wypuścił powietrze z płuc i rzucił pistolet do pokoju. Broń upadła do stóp Randalla.

Kapitan schylił się i podniósł pistolet w ułamku chwili. Kiedy tylko poczułam, że napór ostrza zniknął z mojego gardła, spróbowałam usiąść, ale Randall przytrzymał mnie jedną ręką. Drugą mierzył w Jamiego. Porzucony nóż leżał chyba gdzieś na podłodze, w pobliżu moich nóg. Gdybym tylko mogła chwycić go palcami stóp... Mój własny sztylet był dla mnie równie nieosiągalny, jak podróż na Marsa.

Od chwili pojawienia się Jamiego Randall promieniał. Teraz uśmiechnął się jeszcze bardziej, ukazując

ostre kły.

– No, tak już nieco lepiej. – Przestał mnie przyciskać do stołu i zaczął się szarpać z rozporkiem. – Byłem zajęty, drogi chłopcze. Wybacz, ale najpierw skończę, co zacząłem, za nim przejdę do ciebie.

Jamie pobladł, ale stał bez ruchu, wpatrzony w wymierzoną w niego broń. Randall zakończył manewry; w tej samej chwili Jamie zbliżył się tak, że dotknął lufy pistoletu.

Chciałam krzyknąć, powstrzymać go, ale gardło wyszło mi ze strachu. Widziałam pobielające kostki palców Randalla, kiedy naciskał spust.

Rozległ się suchy trzask iglicy, trafiającej w pustą komorę. Jamie uderzył pięścią w brzuch Randalla. Usłyszałam chrupnięcie, gdy druga pięść zmiażdżyła nos kapitana.

Krew bluznęła mi na spódnicę. Randall padł na podłogę jak głaz.

Jamie był już za moimi plecami. Przecinał krepujący mnie sznur.

– Wszedłeś tu z nie nabitą bronią? – wychrypiałam bliska hysterii.

– Gdyby była naładowana, zastrzeliłbym go bez gadania – syknął.

Od strony korytarza rozległy się kroki, zmierzające ku gabinetowi. Sznur opadł, Jamie szarpnął mnie w stronę okna. Znajdowało się na wysokości co najmniej dwóch i pół metra, ale nie miałam czasu na wahanie. Kroki słychać było też pod drzwiami.



Skoczyliśmy. Wylądowałam na ziemi i przewróciłam się w płataninie spódnic i halek.

Jamie podniósł mnie i przycisnął do ściany budynku; zza rogu wyłoniło się sześciu żołnierzy, ale żaden nie spojrzał w naszą stronę.

Kiedy tylko zniknęli nam z oczu. Jamie wziął mnie za rękę i pociągnął za sobą.

Poszliśmy ostrożnie wzdłuż ściany i zatrzymaliśmy się przed rogiem gmachu. Już widziałam, gdzie jesteśmy. O jakieś sześć metrów od nas znajdowała się drabina, prowadząca na wąską kładkę na murze fortu. Jamie wskazał na nią głową. To był nasz cel.

– Kiedy usłyszysz wybuch, pędź tam, jakby cię diabeł gonił, i wejdź po drabinie. Będę tuż za tobą. – szepnęła.

Skinęłam głową. Serce biło mi jak oszalałe; zerknęłam w dół i uświadomiłam sobie, że nadal mam obnażoną pierś, ale w tej chwili i tak nie mogłam temu zaradzić. Podkasałam spódnice, gotowa do biegu.

Zza budynku dobiegł ogłuszający huk jak wybuch z moździerza. Jamie popchnął mnie lekko. Ruszyłam najszybciej, jak potrafiłam. Wskoczyłam na drabinę i zaczęłam się po niej wspinać. Nagle szczeble zatrzęły się gwałtownie; to Jamie ruszył w ślad za mną.

Z góry miałam doskonały widok na to, co działo się w forcie. Czarny dym walił kłębami z małego budynku w pobliżu muru po przeciwnej stronie, a ze wszystkich stron nadbiegali ludzie.

Jamie stanął obok mnie.

– Tam!

Pobiegł, przygięty do ziemi. Podążyłam za nim. Zatrzymaliśmy się przy słupie z flagą, łopoczącą głośno nad naszymi głowami. Jamie wyjrzał zza muru i przez chwilę szukał czegoś wzrokiem. Obejrzałam się za siebie; żołnierze tłoczyli się przed małym budynkiem. Biegali bezładnie i krzyczeli. Po jednej stronie zauważyłam mały drewniany podest, do którego prowadziły schodki. Na jego środku stał słup z poprzecznym ramieniem; z każdego końca belki zwisały pętle.

Nagle Jamie gwizdnął. Wyjrzałam zza muru i zobaczyłam Ruperta na koniu, prowadzącego za sobą ogiera Jamiego. Spojrzał w górę i przyprowadził wierzchowce w miejsce tuż pod nami.

Jamie zaczął szybko odcinać linę przytrzymującą flagę. Ciężkie czerwono-błękitne fałdy opadły w dół i ze świstem wylądowały u moich stóp. Jamie zamocował jeden koniec liny na belce podtrzymującej mur i cisnął resztę zwoju naziemię po drugiej stronie ogrodzenia.

– Schodź! – rozkazał. – Trzymaj się mocno obiema rękami, opieraj się nogami o mur! Już!

Zacząłam się zsuwać; cienka lina ocierała mi boleśnie dłonie. Zeskoczyłam tuż przy koniu i od razu zaczęłam wsiaść. Jamie znalazł się w siodle tuż po mnie. Ruszyliśmy galopem.

Zwolniliśmy jakiś kilometr za fortem, kiedy stało się jasne, że nikt nas nie goni. Po krótkiej naradzie Dougal zdecydował, że powinniśmy się udać w kierunku granic ziem Mackintoshów, gdyż te tereny wydawały mu się

najbezpieczniejsze.

– Jeszcze dziś dojedziemy do Doonesbury, a tam chyba nic nam nie grozi. Jutro zaczną nas ścigać, ale przekroczymy granicę, zanim wieści dotrą aż tutaj.

Było późne popołudnie; ruszyliśmy miarowym krokiem. Nasz wierzchowiec, z podwójnym ciężarem, nieco zostawał w tyle. Mój koń pewnie nadal pożywiał się spokojnie trawą w zagajniku i czekał na nowego właściciela.

– Jak mnie znalazłeś? – spytałam.

Zaczęłam dygotać w reakcji na szok. Splotłam ręce na piersi, żeby się uspokoić.

Ubranie zdążyło już wyschnąć, ale nadal czułam się zlodowaciała do szpiku kości.

– Pomyślałem, że nie powinienem cię zostawiać samej, i wysłałem człowieka, by ci towarzyszył. Nie widział, jak odchodziłaś, ale ujrzał angielskich żołnierzy przepływających się przez bród, a ciebie razem z nimi. – Jamie patrzył na mnie zimno.

Nawet nie mogłam mieć do niego pretensji. Zęby zaczęły mi dzwonić.

– Dzi... dziwię się, że nie uznałeś mnie w końcu za angielskiego szpiega i nie zostawiłeś w forcie.

– Dougal tak proponował. Ale ten, kto cię widział z żołnierzami, mówił, że z nimi walczyłaś. Chciałem przynajmniej to sprawdzić. Masz szczęście. Angielko, że zobaczyłem to, co zobaczyłem. Dougal musi wreszcie uznać, że nie trzymasz z Anglikami.

– Dougal, tak? A ty? Co ty sądzisz?

Nie odpowiedział. Parsknął z irytacją. Wreszcie ulitował się nade mną i zarzucił mi swój szal na ramiona. Ale nie objął mnie. Jechał w ponurym milczeniu, kierując konia gwałtownymi szarpnięciami, tak innymi od zwykłej płynnej gracji.

Zdenerwowana i wytracona z równowagi, nie miałam ochoty znosić jego humorów.

– No, co się stało? O co ci chodzi? – spytałam niecierpliwie. Nie wściekaj się, na litość boską! – Zabrzmiało to nieco ostrzej, niż zamierzałam.

Poczułam, że Jamie sztywnieje. Nagle zatrzymał konia na środku drogi. Zanim się zorientowałam, co się dzieje, zeskoczył i ściągnął mnie z siodła. Wylądowałam niezgrabnie na ziemi; omal nie straciłam równowagi.

Dougal i inni przystanęli na chwilę. Jamie skinął na nich nerwowo. Dougal pokiwał głową.

– Tylko nie zostawaj zbyt długo! – zawołał i wszyscy ruszyli.

Jamie odczekał, aż się oddalą na dość bezpieczną odległość. Potem odwrócił mnie ku sobie gwałtownie. Kipiał ze złości, najwyraźniej bliski wybuchu. Na ten widok wszystko we mnie zawrzało. Jak śmie mi grozić?

– Ja się wściekam? – wrzasnął. – Ja się wściekam? Ze wszystkich sił staram się nad sobą panować, by cię nie roznieść na strzępy, a ty mi mówisz, że się wściekam?

– Co się z tobą dzieje? – rzuciłam gniewnie.

Spróbowałam się wyszarpnąć z jego chwytu, ale mocne palce wbiły mi się w ramię jak kleszcze.

– Co się ze mną dzieje? Powiem ci, skoro chcesz

wiedzieć! – wycedził przez zaciśnięte zęby. – Zmęczyło mnie ciągle tłumaczenie wszystkim, że nie jesteś angielskim szpiegiem.

Zmęczyło mnie ciągle pilnowanie, żebyś nie dopuściła się kolejnego szaleństwa. I bardzo mnie zmęczyło, że ludzie każą mi się przyglądać, jak cię gwałcą! Wcale mnie to nie bawi!

– A mnie bawi? – ryknęłam. – Chcesz powiedzieć, że to przeze mnie?

Potrząsnął mną lekko.

– Tak, przez ciebie! Gdybyś została tam, gdzie ci kazałem, to wszystko by się nie wydarzyło! Ale nie, ty mnie przecież nie posłuchasz, jestem tylko twoim mężem, dlaczego miała byś na mnie zwracać uwagę? Robisz, co ci się żywnie podoba, i dlatego musiałem cię dziś zobaczyć z zadartą spódnicą, a na tobie najgorszego łajdaka na świecie!

Staliśmy prawie nos w nos, wrzeszcząc na siebie. Jamie był czerwony jak burak, ja także czułam, że krew napływa mi do twarzy.

– To twoja wina! Ignorujesz mnie i przez cały czas masz jakieś podejrzenia!

Powiedziałam ci, kim jestem, i nie skłamałam! Powtarzałam wiele razy, że nie grozi ci żadne niebezpieczeństwo z mojej strony, ale czy uwierzyłeś? Nie! Jestem tylko kobietą, dlaczego miał byś zwracać na mnie uwagę? Kobiety mają robić to, co się im każe, wypełniać rozkazy i spokojnie czekać, aż ich mężowie wrócą i wydadzą następne polecenia!

Znowu mną potrząsnął, wściekły do

nieprzytomności.

– I gdybyś to zrobiła, nie musielibyśmy teraz uciekać, a Anglicy by nas nie ścigali! Na Boga, kobieto, nie wiem, czy cię udusić, czy stłuc do nieprzytomności, ale, Jezu! muszę ci coś zrobić!

Wobec tego spróbowałam kopnąć go w krocze. Uskoczył i wcisnął mi kolano między nogi. W ten sposób skutecznie zablokował wszystkie moje ruchy.

– Spróbuj zrobić to jeszcze raz, a tak cię zdzieję, że zobaczysz wszystkie gwiazdy – zagroził.

– Jesteś brutalnym głupcem – wydyszałam, szarpiąc się z nim. – Myślisz, że umyślnie dałam się złapać?

– Tak, żeby zemścić się na mnie za to, co się stało na polance!

Otworzyłam usta.

– Na polance? Tam, z angielskimi dezertkami?

– Właśnie! Sądzisz, że powinienem cię wtedy obronić. I masz rację! Ale nie mogłem, sama musiałaś to zrobić, a teraz chcesz mi odpłacić, oddając siebie, moją żonę, w ręce człowieka, który rozlał moją krew!

– Twoją żonę! Twoją żonę! Wcale cię nie obchodzę, jestem tylko twoją własnością!

Chodzi ci tylko o to, że należą do ciebie i nie możesz znieść, że ktoś cię okradnie!

– Należysz do mnie! – ryknął i zmiądzzył mnie w uścisku. – Jesteś moją żoną, czy ci się to podoba, czy nie!

– Nie podoba mi się! Wcale mi się nie podoba! Ale przecież ciebie to nie interesuje!

Nie obchodzi cię, co się ze mną dzieje, bylebym

tylko była w twoim łóżku! Tylko do tego służy ci żona... żebyś miał w co wsadzić, kiedy ci przyjdzie ochota!

Twarz pobladła mu jak płótno. Przestraszyłam się, że jednak powiedziałam zbyt wiele i doprowadziłam go do prawdziwej furii. Potrząsnął mną tak, że zęby mi zaszczękały i ugryzłam się w język.

– Puszczaj – wrzasnęłam. – Puszczaj... – umyślnie użyłam słów dezertera Harry’ego, by bardziej go zranić – ty rozparzony bydlaku!

– Suko! Nie będziesz do mnie tak mówić!

– Będę mówić, jak mi się spodoba! Nie możesz mi rozkazywać!

– Rzeczywiście, nie mogę! I tak zrobisz, co ci się spodoba, choćby ktoś miał przez to ucierpieć! Ty samolubna, uparta...

– Zraniłam twoją cholerną dumę! – wrzasnęłam. – To ja nas uratowałam z rąk dezertarów, a tego nie możesz znieść, prawda? Ty tylko stałeś! Gdybym nie użyła noża, oboje byśmy już nie żyli!

Dopiero kiedy te słowa padły z moich ust, zdałam sobie sprawę, że jestem na niego wściekła za to, że mnie zawiódł. Gdybym nie była tak wytracona z równowagi, ta myśl pewnie nawet nie przyszlaby mi do głowy. Powiedziałabym, że to nie jego wina. Skłamała bym, że dźgnęłam wyłącznie przez przypadek. Mniejsza o sprawiedliwość, mniejsza o rozsądek, teraz uważałam, że Jamie powinien mnie bronić i że mnie zawiódł. Może dlatego, że i on tak sądził.

Stał z płonącymi oczami, dysząc ciężko. Kiedy

znowu przemówił, jego głos był zdławiony napięciem.

– Widziałaś ten słup na podwórzu?

Skinęłam głową.

– Tam właśnie mnie przywiązali jak zwierzę i wychłostali aż do krwi! Będę nosił pamiątkę po tamtym dniu aż do śmierci! Gdybym nie miał wtedy piekielnego szczęścia, pewnie by mnie powiesili zaraz po biciu. – Przelknął ślinę. – Pamiętałem o tym, a jednak nie zawahałem się ani przez chwilę, by wejść do garnizonu za tobą, choć sądziłem, że Dougal może mieć rację! Wiesz, jak zdobyłem broń? – Pokręciłam głową z odepniem; gniew po woli mnie opuszczał. – Zabiłem strażnika. Strzelił do mnie, to dlatego pistolet nie był nabity. Strażnik nie trafił, a ja go zarznąłem. Zostawiłem sztylet w jego ciele, bo usłyszałem twój krzyk. Zabiłbym tuzin żołnierzy, żeby się do ciebie dostać. – Głos mu się załamał. – poszedłem, uzbrojony w nie nabity pistolet. – Mówił już nieco spokojniej, ale jego oczy nadal lśniły gniewem i bólem.

Milczałam. Wstrząśnięta po potwornym spotkaniu z Randallem nie doceniłam należycie tej desperackiej odwagi, na jaką musiał się zdobyć, by przyjść mi na ratunek.

Nagle odwrócił się ode mnie. Ramiona mu opadły.

– Masz rację – powiedział cicho. – Tak, masz zupełną rację. – Wściekłość zniknęła z jego głosu, a na jej miejsce pojawił się ton, którego jeszcze nigdy nie słyszałam, nawet gdy Jamie cierpiał fizycznie. – Moja duma została zraniona. A tylko ona mi pozostała.

Oparł się o sosnę i spuścił głowę wyczerpany.



Mówił tak cicho, że prawie go nie słyszałam.

– Zabijasz mnie, Claire.

Nieśmiało podeszłam do niego i stanęłam z tyłu. Nie poruszył się, nawet kiedy objęłam go w pól. Oparłam policzek o jego zgarbione plecy. Miał mokrą koszulę, przeпоconą w gorączce uniesienia. Drżał.

– Przepraszam – powiedziałam po prostu. – Proszę, wybac mi.

Odwrócił się i chwycił mnie mocno w ramiona. Poczułam, że się uspokaja.

– Przebaczam – wymruczał w moje włosy. Puścił mnie i spojrzał mi w oczy poważnie i oficjalnie. – Ja także przepraszam. Proszę cię o wybaczenie za to, co powiedziałem; byłem wzburzony i wymknęło mi się więcej, niż chciałem. Czy ty także mi wybacysz?

Nie wydawało mi się, żebym miała mu coś do wybaczenia, ale przytaknęłam i uściśnięłam jego dłonie.

– Wybaczam.

Wsiadliśmy na konia. Droga biegła prosto jak strzełił, a daleko przed nami widziałam chmurę pyłu, która pewnie kryła ludzi Dougala.

Jamie znowu do mnie wrócił. Obejmował mnie jedną ręką. Poczułam się nieco bezpieczniej. Ale napięcie między nami zelżało trochę; czuliśmy się skrępowani, a w powietrzu nadal wisiała uraza. Wybaczyliśmy sobie nawzajem, ale nie zapomnieliśmy słów rzuconych w gniewie.

Do Doonesbury, obszernego zajazdu z gospodą, dotarliśmy dobrze po zachodzie słońca. Dougal zamknął

cierpiętniczo oczy, kiedy przyszło do zapłaty właścicielowi musiał wyrwać z siebie dodatkową sztukę srebra, by zjednać sobie jego milczenie.

Na szczęście srebro zapewniło nam także solidny posiłek z dużą ilością piwa. Kolacja upłynęła w ponurym milczeniu. Najwyraźniej znalazłam się w niełasce. Wszyscy zachowywali się tak, jakby mnie nie było. Nawet Jamie ograniczał się tylko do podsuwania mi chleba i mięsa. Z ulgą poszłam do naszej komnatki, ciasnej i zagraconej.

Usiadłam z westchnieniem na łóżku, obojętna wobec stanu pościeli.

– Jestem wykończona. To był długi dzień.

– Tak, to prawda. – Jamie zdjął kołnierz mankiety i pas, ale na tym poprzestał. Złożył pas na pół i w zamyśleniu zaczął go wyginać.

– Chodź, Jamie. Na co czekasz?

Stał przy łóżku i powoli zakotyssał pasem.

– Niestety, mamy jeszcze do załatwienia jedną sprawę.

Poczułam nagły skurcz wywołany strachem.

– Jaką sprawę?

Nie odpowiedział od razu. Nie usiadł obok mnie, lecz przysunął sobie stółek i zajął miejsce naprzeciwko.

– Czy ty wiesz – powiedział spokojnie – że dziś omal nie straciliśmy życia?

Spuściłam głowę.

– Wiem. Przepraszam. To moja wina.

– I ja tak sądzę. Czy zdajesz sobie sprawę, że gdyby któryś z nas zrobił coś podobnego, gdyby naraził resztę na

niebezpieczeństwo, prawdopodobnie obcięto by mu uszy, wychłostano go albo po prostu zabito?

Pobladłam.

– Nie, pierwsze słyszę.

– Tak, nie znasz naszych obyczajów i jest to pewne wytłumaczenie. Ale kazałem ci się ukryć i gdybyś mnie posłuchała, nic by się nie wydarzyło. Teraz Anglicy ruszą za nami w pościg. Będziemy musieli się ukrywać w dzień i podróżować w nocy. – Zamilkł na chwilę. – A co do kapitana Randalla... to jeszcze inna kwestia.

– Teraz zaczniesz cię szukać z wyjątkową dokładnością, bo wie, że tu jesteś?

Jamie skinął głową z roztargnieniem.

– Tak. To... osobista sprawa między nami, rozumiesz?

– Bardzo przepraszam. Jamie – szepnęłam.

Machnął lekceważąco ręką.

– Gdybym tylko ja na tym ucierpiał, nie odezwałbym się już ani słowem. Rzucił mi ostre spojrzenie. – Powiem ci tylko, że omal nie umarłem widząc, co ten bydlak z tobą robi. – Odwrócił się ku kominkowi, jakby znowu przeżywał wydarzenia mijającego dnia.

Zamierzałam mu powiedzieć o... problemach Randalla, ale bałam się, że to tylko pogorszy sytuację. Rozpaczliwie chciałam przytulić Jamiego i błagać o wybaczenie, ale nie śmiałam go dotknąć. Po długiej chwili milczenia westchnął wstał i uderzył pasem o udo.

– Dobrze, skończmy z tym. Spowodowałaś wiele złego, bo nie posłuchałaś mojego rozkazu. Muszę cię za to

ukarać. Pamiętasz, co ci mówiłem na pożegnanie?

Doskonale pamiętałam. Pospiesznie rzuciłam się na łóżko tak, że plecami dotknęłam ściany.

– O co ci chodzi?

– Dobrze wiesz – powiedział twardo. – Klęknij przy łóżku i podnieś spódnice, dziewczyno.

– Nigdy! – Chwyciłam się obiema rękami deski wezgłowia i schowałam się jeszcze głębiej w rogu.

Jamie przyglądał mi się zwięzonymi oczami, jakby się zastanawiał, co ma ze mną zrobić. Nagle zrozumiałam, że nie mogę go powstrzymać; był ode mnie o wiele wyższy i cięższy co najmniej o dwadzieścia kilogramów. Wreszcie zdecydował się na perswazję.

Starannie odłożył pas, po czym usiadł na łóżku obok mnie.

– Posłuchaj, Claire... – zaczął.

– Przecież cię przeprosiłam! – wybuchnęłam. – Jest mi przykro! Już nigdy tego nie zrobię!

– Właśnie o to chodzi. Boję się, że znowu coś wymyślisz. A to dlatego, że nie traktujesz niczego tak poważnie, jak powinnaś. Zdaje się, że pochodzisz z kraju, gdzie życie płynie spokojnie. Tam, gdzie się wychowałam, posłuszeństwo nie jest sprawą życia lub śmierci. W najgorszym razie mogłabyś komuś odrobinę dokuczyć, ale nie spowodowałaś jego śmierci. – Zamilkł i przez chwilę zaplatał w zamyśleniu nitki wystające z jego szala. – Wiem, że nigdy nikogo nie narazisz celowo na niebezpieczeństwo. Przywykłaś, że sama o sobie decydujesz i wiem – zerknął na mnie z ukosa – że nie pozwalasz mężczyźnie sobą

rządzić. Ale musisz się tego nauczyć, dla dobra nas wszystkich.

– Dobrze – powiedziałam powoli. – Rozumiem. Oczywiście masz rację. Obiecuję posłuszeństwo, nawet wtedy, kiedy się nie będę z tobą zgadzać.

– W porządku. – Wstał i wziął pas. – A teraz zejdz z łóżka i zakończmy tę sprawę.

Otworzyłam usta ze zgrozą.

– Co? Przecież powiedziałam, że będę posłuszna!

Westchnął z desperacją i znowu usiadł obok mnie.

– Posłuchaj. Mówisz, że mnie rozumiesz, i ja ci wierzę. Ale zrozumienie to coś zupełnie innego niż prawdziwa, głęboka świadomość.

Skinęłam powoli głową.

– Dobrze. Muszę cię ukarać z dwóch powodów. Po pierwsze, żebyś zapamiętała tę lekcję. – Uśmiechnął się niespodziewanie. – Wiem z własnego doświadczenia, że dobre lanie sprawia, iż traktujesz wszystko w bardziej poważny sposób.

Mocniej zacisnęłam palce na łóżku.

– Drugim powodem są nasi ludzie. Zauważyłaś, jacy dziś byli?

– Rzeczywiście, Czułam się tak niezręcznie, że z ulgą uciekłam do izdebki.

– Istnieje coś takiego, Claire, jak sprawiedliwość. Skrzywdziłaś ich wszystkich i musisz ponieść za to karę. – Wziął głęboki oddech. – Jestem twoim mężem. To ja muszę tego dopilnować.

Miałam solidne zastrzeżenia wobec tej perspektywy

z kilku powodów. Bez względu na sprawiedliwość – a trzeba przyznać, że racja leżała po stronie Jamiego – moja duma protestowała przeciwko myśli, że mogę zostać zbита przez kogokolwiek i z jakiegokolwiek powodu.

Poczułam się głęboko zdradzona przez człowieka, którego uważałam za przyjaciela, opiekuna i kochanka. A moja niezależność nie potrafiła znieść, że byłabym zdana na łaskę i niełaskę kogoś, kto unosił ośmiokilogramowy miecz z taką łatwością, jak szklaneczkę whisky.

– Nie pozwolę na to – oznajmiłam zdecydowanie, mocno trzymając się łóżka.

– Ach, tak? – Uniósł płowe brwi. – Cóż, niewielki masz wybór w tym względzie.

Jesteś moją żoną, czy chcesz, czy nie. Mogę ci połamać ręce albo trzymać o chlebie i wodzie, albo zamknąć na wiele dni... i niech ci się nie zdaje, że nie mam na to ochoty...

Mógłbym zrobić to wszystko, a nie tylko przetrzepać ci tyłek.

– Będę krzyczeć!

– Na pewno. Jeśli nie przedtem, z pewnością w trakcie. Spodziewam się, że usłyszysz cię w okolicznych chałupach; masz dobre płuca.

Uśmiechnął się wstrętnie i podszedł do mnie. Oderwał moje ręce od łóżka z pewnym wysiłkiem i zwłókł mnie na podłogę. Kopałam go po łydkach, ale bosy nie mogłam mu zrobić krzywdy. Odwrócił mnie ze sieknięciem, rzucił na łóżko i przygwoździł do niego.

– Zrobię to, Claire! Jeśli będziesz posłuszna,

skończy się na dwunastu razach.

– A jeśli nie? – skrzeknęłam.

Wziął pas i uderzył nim lekko o nogę.

– Wtedy klęknię ci na plecach i będę bić, aż się zmęczę, a ostrzegam cię: wytrzymasz znacznie krócej niż ja.

Zeskoczyłam z łóżka i odwróciłam się do niego z zacisniętymi pięściami.

– Ty barbarzyńco! Ty... sadysto! – syknęłam z furią.

– Robisz to dla własnej przyjemności! Nigdy ci tego nie wybaczę!

Jamie zatrzymał się i skrócił pas w dłoniach.

– Nie wiem, co znaczy „sadysta” – powiedział spokojnie. – A jeśli ja ci wybaczyłem to, co się dziś stało, ty też mi wybaczysz, jak tylko będziesz mogła usiąść. A co do mojej przyjemności ... – Usta mu zadrgały. – Powiedziałem, że muszę cię ukarać, a nie że sprawi mi to przyjemność. – Pokiwał na mnie palcem. – Chodź tutaj.

Następnego ranka niechętnie myślałam o opuszczeniu pokoju. Zwlekałam z wyjściem, jak mogłam. Bez końca poprawiałam sznurówki i czesałam włosy. Nie odezwałam się do Jamiego od wczorajszego wieczoru, ale on zauważył moje wahanie i nalegał, żebym zeszła razem z nim na śniadanie.

– Nie musisz się ich obawiać. Pożartują sobie trochę, ale nie będzie aż tak źle. Głowa do góry. – Połaskotał mnie pod brodą, a ja go ugryzłam boleśnie, choć niezbyt głęboko. – Au! – Cofnął gwałtownie rękę. – Uważaj! Nie wiesz, czego te palce dotykały. – Wyszedł,

śmiejąc się cicho.

Jest w doskonałym humorze, pomyślałam gorzko. Jeśli wczoraj chciał się zemścić, osiągnął swój cel. Ta noc była w najwyższym stopniu nieprzyjemna. Moja wymuszona uległość trwała dokładnie do chwili, kiedy pas po raz pierwszy dotknął mojej skóry.

W chwilę potem rozgorzała krótką, wściekła walka, z której Jamie wyszedł z rozbitym nosem, trzema pięknymi zadrapaniami na policzku i głęboką raną po ukąszeniu na przegubie. Zgodnie z zapowiedzią przygniół mnie kolaniem do zatłuszczonej kołdry i omal nie wybił ze mnie duszy.

Okazało się, że ten cholerny uparty Szkot miał rację. Reszta kompanii powitała mnie z umiarkowanym entuzjazmem, lecz dość przyjaźnie. Wrogość i pogarda, które były od nich wczoraj, zniknęły bez śladu.

Kiedy nakładałam jajka na talerz, Dougal podszedł i objął mnie po ojcowski ramieniem. Jego broda połaskotała mnie w ucho, gdy przemówił konfidencjonalnym, grzmącym szeptem.

– Mam nadzieję, że Jamie nie był zbyt niemilosierny. Myśleliśmy, że co najmniej obdarł cię ze skóry.

Splonęłam gorącym rumieńcem i odwróciłam się gwałtownie. Wczorajszej nocy, po kilku przykrych uwagach Jamiego, postanowiłam zachować kamienne milczenie przez całą tę ciężką próbę. Mimo to, kiedy przyszedł czas wymierzania kary, nawet sfinks by nie wytrzymał, gdyby miał do czynienia z Jamesem Fraserem, uzbrojonym w rzemienny pas.



Dougal odwrócił się do Jamiego, siedzącego przy stole nad chlebem i serem.

– Hej, Jamie, nie musiałeś jej okaleczać. Wystarczyłoby delikatne napomnienie. – Poklepał mnie mocno po siedzeniu; skrzywiłam się z bólu i obrzuciłam go złym spojrzeniem.

– Posiniaczony tyłek to jeszcze nie okaleczenie – odezwał się Murtagh z ustami pełnymi chleba.

– Rzeczywiście – przyświadczył z uśmiechem Ned.  
– Usiądź, dziewczyno.

– Dziękuję, postoję – powiedziałam z godnością, wywołując tym wybuch hucznego śmiechu. Jamie unikał mojego spojrzenia i przyglądał się wnikliwie kawałkowi sera.

Przez cały dzień musiałam znosić dobroduszne żarty, a każdy z moich towarzyszy podróży usiłował mnie poklepać po siedzeniu. Mimo wszystko musiałam przyznać, że było to do zniesienia, zgodnie z przewidywaniami Jamiego, którego nadal miałam ochotę udusić.

Ponieważ siadanie było absolutnie wykluczone, chętnie zajmowałam się drobnymi obowiązkami, na przykład obrębianiem spódnicy i przyszywaniem guzików. Dzięki temu mogłam stać blisko okna. Po obiedzie, który zjadłam także na stojąco, udaliśmy się do swoich kwater na spoczynek. Dougal zdecydował, że z wyjazdem do Bargrennan, naszego następnego postoju, poczekamy do zapadnięcia nocy. Jamie poszedł za mną do pokoju, ale zatrzasnęłam mu drzwi przed nosem. Znowu musiał spać na podłodze.

W nocy okazał wiele taktu. Schował pas i wyszedł w milczeniu z pokoju natychmiast, kiedy ze mną skończył. Wrócił dopiero po godzinie, kiedy już zgasiałam światło i poszłam do łóżka. Spojrzał w ciemności, gdzie leżałam bez ruchu, westchnął głęboko, owinął się szalem i ułożył się do snu na podłodze pod drzwiami.

Zbyt jeszcze rozgniewana, wytracona z równowagi i obolała, by zasnąć, przeleżałam bezsennie większą część nocy, na zmianę roztrząsając to, co Jamie mi powiedział, i walcząc z chęcią, by wstać i kopnąć go w jakieś czułe miejsce.

W przyływie obiektywizmu, na który nie miałam obecnie ochoty, musiałam przyznać, że rzeczywiście nie biorę spraw tak poważnie, jak powinnam. Ale Jamie nie miał racji, gdy powiedział, że w moim kraju życie płynie spokojnie. Tak naprawdę chodziło o coś zupełnie odwrotnego.

Osiemnastowieczna Szkocja nadal wydawała mi się nierealna. Czułam się jak na balu kostiumowym. W porównaniu z działaniami wojennymi te malutkie potyczki – paru mężczyzn z muszkietami i mieczami – były dla mnie bardziej malowniczą rozrywką niż prawdziwym niebezpieczeństwem. Najwięcej kłopotów sprawiała mi skala problemów.

Mężczyzna zabity kulą z muszkietu jest tak samo martwy, jak ktoś zabity pociskiem z moździerza. Tyle tylko, że moździerz zabija automatycznie i bezosobowo, niszcząc dziesiątki ludzkich istnień, a ten, kto strzela z muszkietu, widzi oczy swojej ofiary.

Dlatego wszystkie dawne walki miały więcej wspólnego z morderstwem niż wojną. Ilu trzeba przeciwników, żeby uznać potyczkę za wojnę? Może tylu, żeby nie widzieli się dokładnie? A jednak najwyraźniej wokół mnie toczyła się wojna... a przynajmniej poważne walki. Dougal, Jamie, Rupert i Ned... Nawet ten podobny do szczura Murtagh miał powody, by walczyć, choć przemoc nie leżała chyba w jego charakterze.

Więc co to za powody? Czy chodzi o króla, który jest lepszy od innego? O Hanoverów i Stuartów? Dla mnie to tylko nazwiska ze szkolnych podręczników. Kimże byli w porównaniu z niewyobrażalnym złem hitlerowskiej Rzeszy? Prawdopodobnie ci, którzy żyli pod rządami owych władców, potrafili ich rozróżnić, ale mnie wydawało się to trywialne. Z drugiej strony, czyżycie według własnego upodobania nie jest trywialne? Czy łatwo uznać swój los za mniej ważny niż walka przeciwko złu? Poruszyłam się z irytacją i potarłam obolałe siedzenie. Zerknęłam na Jamiego, zwiniętego w kłębek przy drzwiach.

Oddychał równo i spokojnie, ale lekko. Może też nie spał. Miałam nadzieję, że nie śpi.

Początkowo wszystko, co działo się wokół, uważałam za rodzaj przedstawienia. Takie rzeczy nie zdarzają się w prawdziwym życiu. Odkąd przeszłam przez szczelinę w skale, spotkało mnie wiele przykrych doświadczeń, ale najgorsze wydarzyło się tego popołudnia.

Jack Randall, tak przerażająco podobny do Franka... Jego dotyk w ułamku sekundy stał się pomostem między moim dawnym życiem i tym, które tu wiodłam. Złączył je

w spójną całość. Był też Jamie: jego twarz, ściągnięta strachem w oknie gabinetu Randalla, wykrzywiona wściekłością na drodze, pełna bólu po moich obelgach.

Jamie. Jamie był prawdziwy, o tak, prawdziwszy niż wszystko inne, nawet bardziej niż Frank i moje życie w roku tysiąc dziewięćset czterdziestym piątym. Jamie, czuły kochanek i perfidny oprawca.

Być może w tym właśnie tkwiło sedno problemu. Jamie wypełnił moje zmysły tak bez granicznie, że otoczenie wydawało się niemal nieważne. Ale nie mogłam dłużej ignorować rzeczywistości. Moja beztroska niemal ściągnęła na nich śmierć, a na samą myśl, że straciła bym Jamiego, żołądek ścisnął mi się boleśnie. Poderwałam się raptownie. Miałam ochotę obudzić Jamiego i powiedzieć, żeby do mnie przyszedł, ale kiedy usiadłam na obolałych pośladkach, zmieniłam zdanie i gniewnie odwróciłam się na brzuch.

Noc, spędzona na przemian na atakach szału i filozoficznych rozważaniach, całkiem mnie wykończyła. Przespałam całe popołudnie. Zeszłam chwiejnym krokiem na lekką kolację, dopiero gdy Rupert obudził mnie tuż przed zmrokiem.

Dougal sprowadził dla mnie następnego konia. Bez wątpienia zgrzytał zębami wobec nowego wydatku. Moja nowa wierzchówka, aczkolwiek niezgrabna, miała miłe spojrzenie i krótką, najeżoną grzywę. Natychmiast nazwałam ją Szczotką.

Nie wiedziałam, jak zniosę długotrwałą konną jazdę z tak posiniaczoną pupą.

Spojrzałam powątpiewająco na twarde siodło. Dopiero teraz zdałam sobie sprawę, co mnie czeka. Usłyszałam ciche klapnięcie i na koński grzbiet opadł gruby płaszcz.

Murtagh mrugnął do mnie konspiracyjnie czarnym, szczurzym okiem. Postanowiłam, że przynajmniej będę cierpieć w godnym milczeniu, zacisnęłam ponuro zęby i wsiadłam.

Wszyscy mężczyźni zachowywali się z dyskretną galanterią. Bardzoczęsto zatrzymywali naszą kawalkadę, by sobie ulżyć, i pozwalali mi zsiąść na parę minut. Od czasu do czasu któryś proponował, żeby się napić, co usprawiedliwiało także mój postój, ponieważ butelki z wodą były przytroczone do siodła Szczotki.

Jechaliśmy w ten sposób przez parę godzin, ale ból stawał się stopniowo coraz gorszy. Wreszcie zdecydowałam: do cholery z godnym cierpieniem, muszę natychmiast zsiąść. Zatrzymałam wierzchówkę i zeskoczyłam na ziemię. Udałam, że z niepokojem przyglądam się jej przedniemu kopytu. Inne konie zbliżyły się i zatrzymały wokół.

– Niestety, wpadł jej kamień pod podkowę – skłamałam. – Wyciągnęłam go, ale lepiej przejdę się z nią przez chwilę. Nie chcę, żeby okulała.

– W porządku – powiedział Dougal. – Ktoś jednak musi ci towarzyszyć. Droga jest spokojna, lecz nie możesz iść sama.

Jamie natychmiast zsiadł z konia.

– Ja z nią pójdę – odezwał się cicho.

– Dobrze. Tylko się nie ociągajcie, musimy dojechać do Bargrennan przed świtem.

Karczma Pod Czerwonym Dzikim; właściciel nam sprzyja.

Machnął ręką na innych i ruszył przed siebie. Zostaliśmy w kłębach kurzu.

Parę godzin tortury siodła nie złagodziło mojej wściekłości. Szłam razem ze swoim oprawcą, ale poprzysięgam nie odezwać się do niego ani słowem.

W świetle wschodzącego księżyca nie wyglądał na sadystę, ale zacisnęłam zęby i szłam patrząc przed siebie. Moje sponiewierane mięśnie początkowo protestowały, ale po dłuższej chwili zaczęłam się poruszać z większą łatwością.

– Jutro poczujesz się znacznie lepiej – odezwał się mimochodem Jamie; – Choć dopiero pojutrze będziesz mogła swobodnie siadać.

– Skąd ta znajomość rzeczy? – warknęłam. – Tak często bijesz ludzi?

– Nie – odparł, nie zrażony. – Spróbowałem po raz pierwszy. Ale mam znaczne doświadczenie, bo często dostawałem w tyłek.

– Ty? – Wytrzeszczyłam oczy. Absolutnie nie mogłam uwierzyć, żeby ktoś sprawił lanie Jamiemu.

Roześmiał się na widok mojej miny.

– Kiedy byłem nieco mniejszy. Zanim skończyłem trzynaście lat, tak często mnie bito, że nie potrafię zliczyć. Dopiero potem stałem się wyższy od ojca i było mu niewygodnie przekładać mnie przez ogrodzenie.

– Twój ojciec cię bił?

– Tak, przeważnie. Nauczyciel też, ma się rozumieć, i od czasu do czasu Dougal oraz inni wujowie, zależnie od tego, gdzie byłem i co robiłem.

Wbrew samej sobie słuchałam go z rosnącym zainteresowaniem.

– A co robiłeś?

Znowu się roześmiał, cicho lecz zaraźliwie.

– No, nie pamiętam każdego swojego występku. Na ogół zasługiwałem na wszystko, co mnie spotkało. Ojciec nigdy nie uderzył mnie niesprawiedliwie. – Zastanowił się przez chwilę. – Hmm. Raz rzucałem kamieniami w kurczęta, raz jeździłem na krowach i tak je zdenerwowałem, że nie dały się wydoić, a raz zlizalem cały dżem z ciastek, a same ciastka zostawiłem. A, i wypuściłem konie ze stajni, podpaliłem gołębnik... ale to nieumyślnie... i zgubiłem szkolne książki... to umyślnie... i... – Przerwał i wzruszył ramionami, a ja się roześmiałam, zanim zdołałam się opanować. – Zwyczajnie. Ale najczęściej za to, że nie potrafiłem utrzymać języka za zębami.

Niespodziewanie parsknął śmiechem.

– Raz moja siostra zbiła dzbanek; rozzłościłem ją docinkami, straciła głowę i rzuciła we mnie tym, co akurat miała pod ręką. Wtedy pojawił się tato i spytał, kto to zrobił.

Jenny była przerażona. Nie mogła nawet się odezwać. Spojrzała na mnie wielkimi, przestraszonymi oczami... ma niebieskie oczy jak ja, tylko ładniejsze, z długimi czarnymi rzęsami. Znowu wzruszył ramionami.

No, więc powiedziałem, że to ja zbiłem ten dzbanek.

– Jaka szlachetność – mruknęłam sarkastycznie. – Siostra musiała być ci bardzo wdzięczna.

– Tak, pewnie by była, gdyby ojciec nie stał przez cały czas po drugiej stronie drzwi i nie zobaczył, co się naprawdę wydarzyło. Więc ona dostała lanie, bo wpadła we wściekłość i stłukła dzbanek, a ja oberwałem dwa razy: za kłamstwo i za to, że ją rozżaliliśmy.

– To niesprawiedliwe – rzuciłam z rozdrażnieniem.

– Ojciec nie był zbyt łagodny, ale zwykle postępował sprawiedliwie. Powiedział, że prawda jest prawdą i trzeba umieć wziąć odpowiedzialność za swoje czyny. I miał rację. – Rzucił mi spojrzenie z ukosa. – Ale stwierdził też, że okazałem dobre serce, więc mogłem wybrać, jaką chcę karę: bicie czy pójście do łóżka bez kolacji. – Roześmiał się ponuro i pokręcił głową. – Znał mnie doskonale. Bez wahania wybrałem bicie.

– Jesteś wcielonym apetytem. Jamie – zauważyłam kąśliwie.

– Tak – zgodził się bez urazy. – Zawsze tak było. Podobnie jak ty, żarłoku – dodał do swojego wierzchowca. – Poczekaj, aż staniemy na popas. – Ściągnął wodze, gdyż koń opuścił pysk do kuszącej kępy trawy przy drodze. – Tak, ojciec był sprawiedliwy – ciągnął – i rozważny, choć w tamtym czasie nie doceniałem tego tak, jak powinienem.

Nigdy nie kazał mi czekać na karę. Jeśli coś przeskrobałem, obrywałem natychmiast...

albo gdy tylko ojciec się o tym dowiedział. Zawsze mi mówił, za co mnie karze, a jeśli chciałem się bronić,



mogłem to zrobić.

– I udało ci się go kiedyś przekonać?

– Nie. Zwykle były to proste sprawy, w których oskarżony słyszał wyrok prosto z jego ust.– Potarł nos. – Kiedyś mu powiedziałem, że bicie własnego syna to barbarzyński sposób dochodzenia swoich racji. Odparł, że mam dokładnie tyle rozumu, ile ten słup, przy którym stałem, a być może słup jest mądrzejszy. Oświadczył, że szacunek dla starszych to jedna z pierwszych zasad cywilizowanego zachowania i dopóki się tego nie nauczę, muszę przywyknąć, że barbarzyńca będzie mi łoł tyłek.

Tym razem roześmiałam się razem z Jamiem. Na drodze panowała zupełna cisza, jaką się słyszy w miejscach zupełnie oddalonych od ludzkich osad. Cisza tak rzadko spotykana w moich czasach, kiedy dzięki maszynom jeden człowiek mógł w pojedynkę narobić tyle hałasu, ile cały tłum. Teraz mąciły ją tylko szelesty, krzyki nocnych ptaków i odgłos stąpania naszych koni.

Ruch sprawiał mi już mniej kłopotów niż pół godziny wcześniej. Zdrętwiałe mięśnie rozciągały się bardziej swobodnie, a ja nieco się rozluźniłam podczas słuchania opowieści Jamiego, pełnych humoru i przedstawiających go w krzywym zwierciadle.

– Oczywiście nie podobało mi się, że ojciec mnie bije, ale gdybym miał wybór, wolał bym jego niż nauczyciela. Bił nas głównie rzemieniem w rękę. Ojciec mówił, że gdyby bił mnie po rękach, nie byłbym zdolny do żadnej roboty, a tak przynajmniej nie mam ochoty siadać i próżnować. Co roku mieliśmy innego nauczyciela. Żaden z

nich nie został u nas długo. Stawali się gospodarzami lub przenosili się w bogatsze okolice. Dostawali małą pensję, więc wszyscy byli chudzi jak patyki. Kiedy raz przyszedł do nas tłusty, nie wierzyłem, że to prawdziwy nauczyciel. Wyglądał jak proboszcz w przebraniu. – Przypomniałam sobie małego, pulchnego ojca Baina i uśmiechnęłam się ze zrozumieniem. – Jednego z nich zapamiętałem szczególnie dobrze, bo kazał mi stawać z wyciągniętą ręką przed całą klasą i najpierw wyczytywał wszystkie moje winy, i nie przestawał mówić także między razami. Tkwiłem z wyciągniętą ręką, cierpiałem i modliłem się, by przestał gadać i skończył ze mną, zanim stracę całą odwagę i zacznę płakać.

– Zdaje się, że o to mu chodziło – powiedziałam z odrobiną współczucia.

– Tak, to prawda – przyświadczył rzeczowo Jamie. – Ale trochę potrwało, nim to zrozumiałem. A kiedy już wiedziałem w czym rzecz, jak zwykle nie potrafiłem utrzymać języka za zębami. – Westchnął.

– Co się stało? – spytałam.

Całkiem zapomniałam, że jestem na niego wściekła.

– Jednego dnia kazał mi wstać... często to robił, bo nie potrafiłem dobrze pisać prawą ręką. Uderzył mnie trzy razy. Wymierzanie kary zajęło bydlakowi prawie pięć minut.

Nieustannie nazywał mnie głupim, leniwym gamoniem. Ręka mnie paliła jak wszyscy diabli, bo to było drugi raz tego dnia. Bałem się, bo wiedziałem, że strasznie oberwę po powrocie do domu. Taka była zasada: jeśli

dostałem chłostę w szkole, natychmiast obrywałem drugą w domu, ponieważ ojciec uważał naukę za rzecz istotną. I... straciłem głowę. – Jego lewa dłoń mimowolnie zwinęła się w pięść, jakby osłaniała wrażliwe wnętrze. Jamie zerknął na mnie z ukosa. – Rzadko tracę głowę, a kiedy do tego dochodzi, zwykle potem żałuję. – Zrozumiałam, że ma to być coś w rodzaju przeprosin.

– A wtedy żałowałaś?

– Zacisnąłem pięści, spojrzałem na nauczyciela... był wysoki, chudy i miał może dwadzieścia lat... i wypaliłem; nie boję się ciebie i nie zmusisz mnie do płaczu, choćbyś się nade mną pastwił cały dzień! – Zrobił głęboki wdech i powoli wypuścił powietrze. – Nie powinienem tego mówić komuś, kto trzyma rzemień.

– Niech zgadnę – wtrąciłam się. – Chciał ci udowodnić, że się mylisz?

– Próbował. – Jamie skinął głową; jego ciemna sylwetka poruszyła się na tle rozgwieżdżonego nieba. Słowo „próbował” zabrzmiało z pewną ponurą satysfakcją.

– A zatem mu się nie udało?

Rozczochrana głowa zakołysała się.

– Nie. Przynajmniej nie zmusił mnie do płaczu. Ale żałowałem, że nie trzymałem języka za zębami.

Zamilkł na chwilę i uniósł twarz ku niebu. Chmury rozstały się przelotnie i światło księżyca obrysowało mocną szczękę i policzek, nadając Jamiemu wygląd jednego z archaniołów Donatella. – Czy kiedy Dougal opisywał ci mój charakter, wspomniał może, że czasami bywam uparty? – Skośne oczy błysnęły w sposób bardziej

przypominający Lucyfera niż archanioła Michała.

Roześmiałam się.

– Delikatnie mówiąc. O ile sobie przypominam, powiedział, że wszyscy Fraserowie to uparciuchy, a ty jesteś najgorszy z nich wszystkich. Sama też to zauważyłam – dodałam sucho.

Uśmiechnął się do mnie i obszedł głęboką kałużę na drodze, prowadząc swojego i mojego wierzchowca.

– Hm, pewnie się nie mylił – mruknął. – Ale jeśli jestem uparty, mówię to otwarcie.

Mój ojciec też nie ustępował i często z tego powodu wszczynaliśmy kłótnie, które nie mogły się skończyć inaczej niż użyciem siły, na ogół przeciw mnie.

Nagle wyciągnął rękę i chwycił wodze mojego konia, który stanął dęba i parsknął.

– Cicho! Spokojnie!

Także jego wierzchowiec podrzucił nerwowo głową.

– Co się stało? – Otaczały nas nieprzeniknione ciemności, jeśli nie liczyć plam księżycowego światła na drodze. Przed nami rysowały się kontury sosnowego zagajnika; konie najwyraźniej nie chciały się do niego zbliżać.

– Nie wiem. Zostań tutaj i bądź cicho. Wsiądź na konia i trzymaj mojego. Jeśli zawołam, rzuć wodze mojego wierzchowca i pędź przed siebie. – Głos Jamiego brzmiał spokojnie i niedbale, uspokajająco. – Sguir! – rzucił cicho do ogiera, klepnął go w szyję, zmuszając do zbliżenia się do mnie, i zniknął na wrzosowisku.

Wyteżyłam wzrok i słuch. Usiłowałam się zorientować, co mogło tak zaniepokoić zwierzęta; poruszały się nerwowo, strzygły uszami i strzepywały ogonami. Potargane chmury płynęły gnane nocnym wiatrem, pozostawiając smugi na jasnym obliczu księżyca. Mimo jego blasku nie widziałam niczego ani na gościńcu, ani w okolicach złowrogiego zagajnika.

Wydawało mi się, że pora i sama droga są raczej mało popularne wśród rozbójników, i tak rzadko spotykanych w szkockich górach. W tych okolicach nie trafiało się zbyt wielu podróżnych, których warto by ograbić.

Zagajnik był ciemny, ale nie cichy. Sosny z lekka szumiały do siebie, tysiące igieł chrobotwały na wietrze. Wiekowe drzewa wydawały się niesamowite w tych ciemnościach.

Rodzące szyszki, rozrzucające skrzydlate nasiona, były starsze i bardziej surowe od dębów i osik o miękkich liściach i giętkich gałęziach. Doskonałe schronienie dla duchów i złych stworzeń, o których opowiadał Rupert.

Tylko ty, pomyślałam jadownicie, potrafisz się tak ogłupić, żeby się bać drzew. Ale gdzie Jamie?

Poczułam czyjaś rękę na udzie i pisnęłam jak spłoszony nietoperz. To naturalne, kiedy ma się serce w gardle. Wściekła na siebie jak diabli rzuciłam się na Jamiego i kopnęłam go mocno.

– Nigdy się tak do mnie nie skradaj!

– Ćśśś – usłyszałam. – Chodź ze mną.

Ściągnął mnie bezceremonialnie z siodła i

pospiesznie przywiązał konie, które zarżały za nami zaniepokojone. Weszliśmy w wysoką trawę.

– O co chodzi? – syknęłam. Ciągłe potykałam się o niewidoczne w ciemnościach kamienie i korzenie.

– Cicho. Nic nie mów. Patrz na moje stopy. Stąpaj tam, gdzie ja, i zatrzymaj się, kiedy cię dotknę.

Powoli i prawie bezszelestnie dotarliśmy do sosnowego lasu. Pomiedzy drzewami panowały egipskie ciemności. Od czasu do czasu przez iglaste gałęzie przedzierał się promyk księżycowego światła, lecz nawet Jamie nie potrafił iść cicho w takich warunkach. Na szczęście szelest ściółki prawie zginął w szumie wiatru.

W pewnym miejscu ściółka zniknęła, zastąpiona złodem granitu. Jamie postawił mnie przed sobą i pomógł mi się wspiąć po pochyłej ścianie skały. Na szczycie znaleźliśmy tyle miejsca, by położyć się obok siebie. Jamie przysunął usta do mojego ucha.

– Dwanaście metrów na prawo – wyszeptał. – Na polance. Widzisz?

Po chwili nie tylko zobaczyłam, ale i usłyszałam. Wilki, stado liczące osiem lub dziesięć zwierząt. Nie wyły. Ich ofiara leżała w cieniu, czarny kształt ze sterzącą nogą, sztywną, chudą i drżącą od szarpnięć kłów. Od czasu do czasu rozlegało się ciche warknięcie i skowyt, gdy stary wilk odganiał szczenię od swojego kawałka mięsa.

Słyszałam też zadowolone pomlaskiwania, chrupanie i trzask kości.

Powoli moje oczy przywykły do mroku. Zauważyłam kilka innych kudłatych kształtów pod

drzewami, spokojnych i najedzonych. Tu i tam dostrzegałam błyski szarego futra, gdy ostatnie wilki szukały kawałków mięsa, przeoczonych przez inne.

Nagle w plamie światła pojawiła się głowa o żółtych oczach i nastawionych uszach.

Usłyszałam cichy, natarczywy odgłos, coś pomiędzy skowytem i warknięciem. Pod drzewami zapadła cisza.

Szafranowe ślepia spojrzały mi prosto w oczy. Zwierzę nie zdradzało strachu ani ciekawości. Ręka Jamiego, spoczywająca na moich plecach, przypominała mi, żebym nie uciekała, choć ja nie miałam takiego zamiaru. Mogłabym tak trwać przez wiele godzin, wpatrzona w oczy wilczycy – nie wiem dlaczego, ale wiedziałam, że to samica – lecz ona poruszyła uszami jakby lekceważąco i wróciła do posiłku.

Przyglądaliśmy się sforze jeszcze przez parę minut. Wreszcie Jamie dał znak do odejścia.

Po drodze przytrzymał mnie za ramię. Po raz pierwszy od chwili ucieczki z Fort William pozwoliłam mu się dotknąć. Nie odzywaliśmy się do siebie, wciąż oczarowani widokiem wilków, lecz znowu zaczęliśmy się czuć swobodnie w swoim towarzystwie.

Przypominałam sobie zwierzchnia Jamiego i czułam dla niego podziw. Bez jednego słowa wyjaśnienia czy przeprosin przekazał mi wiadomość. Brzmiała ona: „wymierzyłem ci sprawiedliwość, tak jak mnie tego nauczono. Nie mogłem ci oszczędzić bólu ani upokorzenia, ale byś mogła łatwiej je znieść, dałem ci własny ból i

upokorzenie”.

– Czy bardzo to przeżywałeś? – spytałam nagle. – To, że cię bito? Czy przechodziłeś nad tym do porządku?

Lekko uściśnął mi rękę.

– Przeważnie zapomniałem o wszystkim zaraz potem. Z wyjątkiem ostatniego razu, który dłużej zapamiętałem.

– Dlaczego?

– Hm... Miałem szesnaście lat i byłem dorosły... jak mi się zdawało. Poza tym strasznie bolało.

– Nie musisz mi mówić, jeśli nie chcesz – powiedziałam pospiesznie, bo wyczułam jego wahanie. – Czy to przykra historia?

– Nie tak przykra, jak samo bicie – odparł i roześmiał się. – Mogę ci ją opowiedzieć, ale jest długa.

– Do Bargrennan jeszcze daleko.

– Rzeczywiście. A zatem pamiętasz, że spędziłem rok w zamku Leoch, gdy miałem szesnaście lat? Była to umowa między Columem i moim ojcem, bym mógł poznać klan mojej matki. Mieszkałem z Dougalem przez dwa lata i na rok pojechałem do zamku, by nauczyć się manier, łaciny i jeszcze innych rzeczy.

– Właśnie się zastanawiałam, jak tam trafiłeś.

– Właśnie tak to wyglądało. Byłem duży jak na swój wiek, a przynajmniej wysoki.

Dobrze władałem mieczem i prawie wszystkich przewyższałem w konnej jeździe.

– I byłeś bardzo skromny – dodałam.

– Nie bardzo. Zadziorny jak wszyscy diabli i jeszcze



bardziej gadatliwy niż teraz.

– Strach pomyśleć – odezwałam się z rozbawieniem.

– Tak, Angielko. Zauważyłem, że moje żarty bawią ludzi, i zacząłem je powtarzać, nie dbając o to, o kim mówię i do kogo. Czasami byłem okrutny, choć tego nie chciałem. Nie mogłem się powstrzymać, jeśli miałem coś do powiedzenia.

Spojrzał w niebo, by zorientować się, która godzina. Księżyc zniknął i zrobiło się jeszcze ciemniej. Rozpoznałam Oriona. Unosił się tuż nad horyzontem. Poczulałam się dziwnie uspokojona.

– Otóż, pewnego dnia pozwoliłem sobie na zbyt wiele. Szedłem wraz z dwoma chłopakami, gdy ujrzałem na korytarzu panią FitzGibbons. Niosła wielki kosz, prawie tak duży jak ona, i kiwała się na boki. Wiesz, jak wygląda; w tamtych czasach nie była mniejsza. – Jamie potarł nos, zażenowany. – Hm... Uczyniłem wiele nieuprzejmych uwag na temat jej wyglądu. Dowcipnych, lecz nieuprzejmych. Nie zdawałem sobie sprawy, że mnie usłyszała. Przypomniałam sobie potężną panią z zamku Leoch. Zawsze była w dobrym humorze, ale nie sprawiała wrażenia kogoś, kogo można bezkarnie obrażać.

– I co zrobiła?

– Nic... wtedy Nie wiedziałem, że do jej uszu dotarły moje słowa, póki następnego dnia nie wstała podczas zgromadzenia w Sali, by opowiedzieć Columowi o moim wybryku.

– Ojej. – Colum wysoce sobie cenił panią Fitz. Z

pewnością nie puścił by płazem żadnej wymierzonej w nią obelgi. – I co się stało?

– To samo, co przydarzyło się Laoghaire... albo prawie się przydarzyło. – Roześmiał się cicho. – Ale usiłowałem udawać bardzo dzielnego. Wstałem i wybrałem bicie pięścią.

Chciałem wyglądać spokojnie i dorośle, choć serce waliło mi jak kowalskim młotem i ogarniały mnie lekkie mdłości, gdy patrzyłem na wielkie pięści Angusa. Wyglądały jak kamienie, i to duże. Parę osób się roześmiało; nie byłem tak wysoki jak teraz i ważyłem dużo mniej niż połowę tego, co teraz. Mały Angus urwałby mi głowę pierwszym ciosem, Colum i Dougal spojrzeli na mnie ze zmarszczonymi brwiami, choć chyba byli dość zadowoleni, że miałem odwagę prosić o tę formę kary. Colum rzekł: nie, skoro zachowujesz się jak dziecko, będziesz ukarany jak dziecko. Skinął głową i zanim się zorientowałem, Angus przełożył mnie sobie przez kolano, podniósł mój kilt i złożył mi zadek pasem przy wszystkich zebranych.

– Och, Jamie!

– Hmm. Zauważyłaś, jaki wprawny jest Angus w tym, co robi? Wymierzył mi piętnaście sążnistych klapsów i po dziś dzień wiem dokładnie, gdzie trafiło każde uderzenie. – Wzdrygnął się. – Miałem siniaki przez tydzień.

Zerwał gałązkę z najbliższego drzewa i rozpostarł ją jak wachlarz. Woń terpentyny stała się silniejsza.

– Ale nie pozwolili mi spokojnie odejść. Kiedy Angus ze mną skończył, Dougal wziął mnie za kołnierz i

pociągnął aż na drugi koniec sali. Miałem wrócić na klęczkach, po tych nagich kamieniach, zatrzymać się przed Columem i błagać zgromadzonych o wybaczenie, najpierw panią Fitz, potem Columa, następnie przeprosić wszystkich za grubiaństwo i wreszcie podziękować Angusowi za egzekucję. To ostatnie omal mnie nie zabiło, lecz olbrzym potraktował mnie bardzo uprzejmie; wyciągnął rękę i pomógł mi się podnieść.

Potem kazali mi usiąść na zydlu obok Columa i siedzieć, dopóki nie skończą się obrady. – Splótł ręce na piersi, jakby zrobiło mu się zimno. – To była najgorsza godzina, jaką do tej pory przeżyłem. Twarz mi płonęła, tyłek jeszcze bardziej, kolana krwawiły i nie śmiałem podnieść wzroku na nikogo, ale najgorsze, że strasznie chciało mi się sikać. Myślałem, że umrę. Wolałbym pęknąć, niż na dodatek zmoczyć się przy wszystkich. Pot ściekał mi po twarzy.

Stłumiłam śmiech.

– Nie mogłeś wyjaśnić Columowi, o co chodzi?

– On doskonale wiedział, podobnie jak inni. Można to było poznać po sposobie, w jaki wierciłem się na zydlu. Słyszałem, że zaczynają się zakładać, czy wytrzymam. – Wzruszył ramionami. – Colum pozwoliłby mi wyjść, gdybym go poprosił. Ale... hm, ale się uparłem. – Uśmiechnął się trochę głupkowato. Białe zęby błysnęły na tle opalonej twarzy. – Choć wołałem umrzeć, niż poprosić, omal się nie ugiąłem. Kiedy Colum wreszcie pozwolił mi opuścić salę, ruszyłem pędem. Dotarłem jednak tylko do najbliższych drzwi. Ukryłem się za ścianą i ulżyłem sobie

obficie. Myślałem, że nigdy nie przestanę. Tak – dodał z niesmakiem i odrzucił gałązkę. – Teraz już wiesz o najgorszej rzeczy, jaka mi się przydarzyła.

Nie mogłam wytrzymać; zaczęłam się śmiać tak, że musiałam usiąść na poboczu drogi. Jamie czekał cierpliwie przez chwilę, po czym przykląkł obok.

– Z czego się śmiesz? – spytał. – To wcale nie było zabawne.

Ale i on się uśmiechał. Pokręciłam głową, chichocząc bez opamiętania.

– Nie, nie było. Okropna historia. Tylko... widzę, jak tam siedzisz, uparty niczym koziół, z zaciśniętymi zębami i parą buchającą ci z uszu.

Jamie prychnął pogardliwie, ale także się roześmiał.

– Tak. Niełatwo mieć szesnaście lat.

– Więc pomogłeś Laoghaire dlatego, że było ci jej żal – odezwałam się, gdy już odzyskałam równowagę. – Wiedziałaś, co ją czeka.

Spojrzał na mnie z zaskoczeniem.

– Oczywiście. O wiele łatwiej znieść bicie w twarz, mając dwadzieścia trzy lata, niż zostać obitym rzemieniem w wieku lat szesnastu. Posiniaczona duma trudno się goi, a w tym czasie łatwo ją zranić.

– Byłam ciekawa. Jeszcze nigdy nie widziałam, żeby ktoś, kto niebawem dostanie w szczękę, uśmiechał się beztrąsko.

– Później nie mógłbym tego zrobić, prawda?

– Mhm. Myślałam... – urwałam nagle zawstydzona.

– O czym? Ach, o mnie i Laoghaire – odgadł

bezbłędnie. – Nie tylko ty, także Alec i wszyscy inni, włącznie z Laoghaire. Gdyby była brzydka, zrobiłbym to samo. – Dał mi kuksańca w żebra. – Choć nie oczekuję, że w to uwierzysz.

– Nakryłam was w alkwie. No i musiałeś się od kogoś nauczyć całowania.

Jamie zaczął grzebać stopą w piasku. Nieśmiało pochylił głowę.

– No, widzisz. Angielko, nie jestem lepszy niż większość mężczyzn. Czasem się staram, ale nie zawsze mi wychodzi. Znasz ten wyjątek ze świętego Pawła, gdzie jest powiedziane: „lepiej jest bowiem żyć w małżeństwie, niż płonąć”? Więc ja w tamtym czasie bardzo płonąłem.

Znowu się roześmiałam. Czułam się beztrojska jak szesnastolatka.

– To dlatego mnie poślubiłeś? Żeby uniknąć grzechu?

– Tak. Chyba po to jest małżeństwo; czyni sakrament z rzeczy, z których inaczej trzeba by się spowiadać.

Znowu osunęłam się na ziemię.

– Och, Jamie, kocham cię!

Tym razem to on wybuchnął śmiechem. Zgiął się w pół, a potem usiadł na drodze.

Cały czas prychał i krztusił się wesołością. Powoli padł na wznak w wysokiej trawie, z której jeszcze przez jakiś czas dochodziły mnie chichoty.

– Co się z tobą dzieje? – spytałam.

Po bardzo długiej chwili usiadł i otarł łzy płynące

mu strumieniami z oczu. Pokręcił głową.

– Murtagh miał rację. Ryzykowałem dla ciebie życie, Anielko, dopuściłem się kradzieży, podpalenia, napadu i morderstwa. W zamian za to obrzuciłaś mnie obelgami, znieważyłaś moją męską cześć, kopnęłaś mnie w słabiznę i podrapałaś po twarzy. Kiedy omal cię nie zatłukłem i opowiedziałem ci o najbardziej upokarzających przeżyciach, mówisz, że mnie kochasz. – Oparł głowę na kolanach i znowu zaczął rechotać.

Wreszcie wstał i wyciągnął do mnie rękę. Drugą otarł załzawione oczy.

– Nie jesteś zbyt rozsądna, ale bardzo cię lubię. Anielko. A teraz już czas w drogę.

Robiło się późno – albo wcześnie, zależnie od punktu widzenia. Musieliśmy dosiąść koni, jeśli zamierzaliśmy dotrzeć do Bargrennan jeszcze przed świtem. Wydobrałam już na tyle, by znieść konną podróż, choć nadal ją odczuwałam.

Przez jakiś czas jechaliśmy w przyjaznym milczeniu. Rozważałam spokojnie, co się stanie, jeśli nigdy nie dotrę do kamiennego kręgu. Wzięłam ślub z konieczności i byłam zależna od Jamiego, ale nagle zdałam sobie sprawę, że bardzo się do niego przywiązałam.

Być może chodziło mi o jego uczucia do mnie. Początkowo złączony ze mną okolicznościami, potem przyjaźnią, a wreszcie zaskakująco intensywnym pożądaniem, nigdy nie wspomniał o swoim przywiązaniu nawet w najbardziej niedbały sposób.

A jednak...

Rzykował dla mnie życie. Może zrobił to ze względu na przysięgę małżeńską. Miał mnie bronić do ostatniej kropli krwi i wierzyłam, że traktował to ze śmiertelną powagą.

Wydarzenia ostatnich dwudziestu czterech godzin wydały mi się jeszcze bardziej wstrząsające, kiedy Jamie niespodziewanie przyznał się do własnych uczuć i opowiedział mi o swoim życiu bez upiększeń. Jeśli czuł do mnie to, czego się domyślałam, co by się z nim stało, gdybym nagle zniknęła? Wspomnienie ostatnich nieprzyjemnych doznań rozplynęło się wobec tych myśli.

Znajdowaliśmy się niespełna półtora kilometra od Bargrennan, kiedy Jamie nagle przerwał milczenie.

– Jeszcze ci nie powiedziałem, jak umarł mój ojciec.

– Dougal mówił, że miał udar... to znaczy, że zabiła go apopleksja – odparłam zdziwiona.

Rozumiałam, że w wyniku naszej rozmowy Jamie pozostał myślami przy ojcu, ale nie potrafiłam sobie wyobrazić, dlaczego poruszył akurat ten temat.

– Właśnie. Ale... on... – Jamie zamilkł, z trudem dobierając słowa. Wreszcie wzruszył ramionami z desperacją i wyrzucił z siebie: – Powinnaś o tym wiedzieć. To ma coś wspólnego z... z tym wszystkim. – Droga stała się na tyle szeroka, że mogliśmy jechać obok siebie. – To było w forcie. Tym samym, w którym byliśmy wczoraj. Kiedy zostałem zabrany z Lallybroch przez Randalla i jego ludzi. Kiedy już wymieniono mi karę chłosty.

Dwa dni później Randall rozkazał, abym stawiał się przed nim. Przyszło dwóch żołnierzy, którzy zabrali mnie

do tego samego pokoju, gdzie cię znalazłem. Stąd wiedziałem, dokąd iść. Na podwórzu ujrzałem mojego ojca. Dowiedział się, gdzie przebywam, i przyszedł sprawdzić, czy zdoła mnie wydostać, a przynajmniej zobaczyć, co ze mną się dzieje.

Jamie delikatnie popędził konia. Jeszcze nie świtało, ale kolor nieba się zmienił.

Zapewne za godzinę miało się rozwidniać.

– Dopóki go nie zobaczyłem, nie zdawałem sobie sprawy, jak bardzo jestem samotny i jak się boję. Żołnierze nie pozwolili nam porozmawiać na osobności, lecz przynajmniej mogłem się z nim przywitać. – Przelknąłem ślinę. – Zacząłem go przeproszać... za Jenny i całe to żałosne zajście. Ale on powiedział, żebym się nie martwił i przytulił mnie mocno.

Spytał, czy odniosłem poważne rany... bo wiedział o chłóście... ale go zapewniłem, że nic mi nie jest. Żołnierze oznajmili, że musimy już iść, więc ojciec mnie uściskał raz jeszcze i przypomniał mi o modlitwie. Obiecał, że mnie nie opuści, choćby się stało najgorsze, a ja muszę tylko trzymać głowę wysoko i niczym się nie przejmować. Pocałował mnie w policzek. Zostałem zabrany przez żołnierzy. Wtedy widziałem go po raz ostatni.

Głos mu trochę ochrypl. Ja także czułam ściskanie w gardle. Pewnie bym dotknęła Jamiego, ale droga stała się węższa i przez chwilę musiałam jechać za nim. Kiedy znalazłam się u jego boku, odzyskał już panowanie nad sobą.

– Więc – odezwał się znowu i westchnął – żołnierze



zaprowadzili mnie do kapitana Randalla. Kazał im odejść i zostaliśmy sami. Pozwolił mi usiąść. Oświadczył, że ojciec chce mnie wykupić, ale zostałem oskarżony o poważne przestępstwo i nie można mnie wykupić bez pisemnego pozwolenia diuka Argylla, który zajmował się kaucjami za więźniów. Domyśliłem się, że to właśnie tam zmierzał mój ojciec. Na spotkanie z diukiem Argyllem. Ale nie zapominajmy, ciągnął Randall, o drugiej chłóście. – Jamie zamilkł z dziwnym wyrazem twarzy. – Zachowywał się... osobliwie, jak mi się zdało. Bardzo serdecznie, lecz było w tym coś, czego nie rozumiałem. Ciągłe mi się przyglądał, jakby sądził, że coś powiem, choć ja tylko siedziałem i słuchałem. Prawie mnie przeprosił.

Powiedział, że mu przykro, iż nasza znajomość zaczęła się tak nieprzyjemnie. Nie miałem pojęcia, o co mu chodzi. Przecież nie dalej jak dwa dni temu omal mnie nie zabił. Ale wreszcie dotarł do sedna i dał mi to do zrozumienia w bardzo bezpośredni sposób.

– Więc czego chciał? – spytałam.

Jamie zerknął na mnie i odwrócił wzrok. Ciemność kryła jego twarz, ale wydało mi się, że widzę rumieniec.

– Mnie – odparł śmiało.

Wzdrygnęłam się tak gwałtownie, że koń rzucił głową i parsknął. Jamie wzruszył ramionami.

– Wyraził się całkiem jasno. Gdybym mógł... hm, ulżyć mu, zrezygnowałby z drugiej chłosty. Jeśli tego nie zrobię, pożałuję, że się urodziłem. Tak powiedział.

Zrobiło mi się niedobrze.

– Już wtedy zacząłem żałować – dodał z cieniem

uśmiechu Jamie. – Gdybym nie siedział, nogi by się podę mną ugięły.

– Ale co... – musiałam odchrząknąć, by wydobyć z siebie głos. – Ale co zrobiłeś?

Westchnął.

– Nie mogę cię okłamać. Zastanawiałem się, czy nie spełnić jego prośby. Grzbiet tak mnie bolał, że nie mogłem włożyć koszuli, i kręciło mi się w głowie, gdy wstawałem.

Sama myśl, że znowu mnie to czeka... że ponownie będę związany i bezbronny, czekając na ciosy bata... – Wzdrygnął się mimowolnie. – Nie wiedziałem, jak to jest, ale sądziłem, że taki występki będzie przynajmniej mniej bolesny. Zdarzało się, że ludzie umierali pod batem, a sądząc po minie kapitana, i mnie mógł czekać podobny koniec.

Znowu westchnął.

– Ale... ciągle czułem na policzku pocałunek mojego ojca i myślałem o tym, co mi powiedział i... nie, nie mogłem tego zrobić. Nie pomyślałem nawet, jak zareagowałby ojciec, gdyby się dowiedział o mojej śmierci. – Parsknął, jakby nagle coś go rozśmieszyło.

– Potem stwierdziłem, że ten człowiek już zgwałcił moją siostrę, więc niech mnie diabli, jeśli dostanie także Jamiego Frasera.

Nie wydawało mi się to śmieszne. Znowu zobaczyłam Jacka Randalla w nowym świetle. Wstrząsający obraz.

Jamie potarł kark i oparł rękę na łęku siodła.

– Więc zebrałem tę odrobinę odwagi, jaka mi

została, i odmówiłem. Powiedziałem to głośno, a na dodatek obrzuciłem go najgorszymi wyzwiskami. Wrzeszczałem na całe gardło. – Skrzywił się. – Lękałem się, że zmienię zdanie, gdy się zastanowię. Chciałem nie mieć wyjścia. Choć nie wiem – dodał z namysłem – czy istnieje jakiś grzeczny sposób, by odmówić komuś takiemu.

– Nie – zgodziłam się sucho. – Nie sądzę, żeby był zadowolony, choćbyś to wyraził nie wiem jak delikatnie.

– I nie był. Uderzył mnie w twarz, żebym zamilkł. Upadłem; nadal byłem trochę słaby, a on stanął nade mną i tylko patrzył. Miałem dość rozumu, by nie próbować wstać, więc leżałem, aż przyszli żołnierze i zabrali mnie do celi. Kapitan wcale nie zmienił wyrazu twarzy. Dopiero kiedy wychodziłem, powiedział: do zobaczenia w piątek.

Jakbyśmy się umawiali na zabawę.

Żołnierze nie odprowadzili Jamiego do celi, którą zajmował z trzema innymi więźniami, lecz umieścili go oddzielnie. Miał oczekiwać piątku w samotności, jeśli nie liczyć codziennych wizyt garnizonowego lekarza, który przychodził zmienić mu opatrunek.

– Kiepski był z niego medyk, ale miał dobre serce. Drugiego dnia prócz gęsiego sadła węgla przyniósł mi małą Biblię, własność więźnia, który umarł w forcie. Powiedział, że sądzi, iż jestem papistą, a choć nie wie, czy znajde pociechę W Bożym słowie, przynajmniej będę mógł porównać swoje kłopoty z losem Hioba. – Roześmiał się. – To dziwne, ale rzeczywiście znalazłem pociechę. Jezus także został wychłostany.

Zrozumiałem, że przynajmniej potem mnie nie

ukrzyżują. Choć z drugiej strony – dodał sprawiedliwie – Poncjusz Piłat nie robił Jezusowi nieprzyzwoitych propozycji.

Okazało się, że Jamie nadal ma ten egzemplarz Biblii. Sięgnął do juków przy siodle i podał mi zniszczony, oprawny w skórę tomik mieszczący się na dłoni, z kartkami tak cienkimi, że prześwitywał przez nie druk z sąsiednich stron. Na wewnętrznej stronie okładki widniał napis: Aleksander William Roderick MacGregor, tysiąc siedemset trzydzieści trzy. Atrament spłówał i nieco się rozmazał, a okładki były pofałdowane, jakby nieraz miały kontakt z wodą.

Obejrzałam ciekawie książeczkę. Jamie musiał zadać sobie sporo trudu, by wozić ją wszędzie ze sobą przez ostatnie cztery lata.

– Nigdy nie widziałam, żebyś czytał. – Oddałam mu Biblię.

– Nie, to nie dlatego zachowałem ten tomik – odparł. Zanim schował swój skarb, pogładził kciukiem zniszczony grzbiet. Poklepał torbę z roztargnieniem. – Mam dług wobec Aleksa MacGregora i zamierzam go wyrównać. A zatem – podjął opowiadanie – piątek wreszcie nadszedł i nie wiedziałem, czy jestem bardziej zadowolony, czy też przerażony. Czekanie i strach były niemal gorsze niż sam ból, jak mi się zdawało. Ale kiedy przyszło do chłosty... – Zrobił charakterystyczny dla siebie, dziwny ruch ramieniem, jakby chciał odsunąć koszulę od pleców. – Widziałas bliźny. Wiesz, jak to było.

– Tylko dlatego, że Dougal mi powiedział. Podobno

tam był.

– Zgadza się. I mój ojciec także widział egzekucję, choć wtedy o tym nie wiedziałem.

Mysłałem wówczas tylko o sobie.

– O – powiedziałam z ociąganiem. – A twój ojciec...

– Mhm. Właśnie wtedy się to stało. Później ludzie mówili, że wyglądałem, jakbym umarł, i sądzę, że ojciec również tak pomyślał. – Zamilkł na chwilę. Kiedy znowu się odezwał, jego głos brzmiał głucho. – Kiedy upadłem, ojciec wydał z siebie dziwny głos i podniósł rękę do głowy. Potem zwałił się jak rażony gromem. I już się nie podniósł. Tak relacjonował Dougal.

Ptaki zaczynały się już nawoływać pomiędzy ciemnymi liśćmi drzew. Jamie jechał z opuszczoną głową. Nie widziałam jego twarzy.

– Nie wiedziałem, że nie żyje – odezwał się cicho. – Powiedzieli mi dopiero po miesiącu, kiedy sądzili, że wydobrzałem na tyle, by znieść tę straszną wiadomość. A więc nie pochowałem go, jak na syna przystało. I nigdy nie widziałem jego grobu, ponieważ boję się wrócić do domu.

– Jamie... – szepnęłam. – Och, Jamie, kochany. – Wydawało mi się, że minęło bardzo wiele czasu, zanim znowu ośmieliłam się odezwać. – Ale chyba nie... nie czujesz się za to odpowiedzialny? Nie mogłeś nic zrobić, nie mogłeś postąpić inaczej.

– Może nie. Choć nieraz się zastanawiałem, czy wszystko to by się wydarzyło, gdybym wybrał inne wyjście. Wiem, że takie rozważania mi nie pomogą, nie zmienią tego, co czuję... a czuję się tak, jakbym zabił ojca

własnymi rękami.

– Jamie... – zaczęłam i urwałam bezradnie.

Przez jakiś czas jechaliśmy w milczeniu. Wreszcie Jamie wyprostował się i podniósł głowę.

– Nikomu o tym nie mówiłem – rzucił gwałtownie.

– Ale sądziłem, że powinnaś poznać prawdę... o Randallu. Masz prawo wiedzieć, co jest pomiędzy nim a mną.

„Co jest pomiędzy nim a mną”. Życie dobrego człowieka, honor dziewczyny, nieprzyzwoite pożądanie, które znalazło ujście w rozlewie krwi. Poza tym ze strachem zdałam sobie sprawę, że na szali legł jeszcze jeden argument. Ja. Po raz pierwszy zaczęło do mnie docierać, co czuł Jamie, kiedy znalazł się w oknie gabinetu Randalla, uzbrojony w nie nabity pistolet. I prawie mu wybaczyłam to, co mi zrobił.

Odezwał się niemal natychmiast, jakby czytał w moich myślach.

– Czy teraz wiesz... to jest, czy rozumiesz, dlaczego musiałem cię zabić?

Odczekałam chwilę. Rozumiałam, owszem, ale nie byłam taka pewna, że chodziło tylko o to.

– Oczywiście – oznajmiłam powoli. – na razie ci wybaczam. Ale nie mogę darować – mój głos przybrał na sile – że ci to sprawiło przyjemność!

Pochylił się w siodle, przytrzymał się mocno lęku i wybuchnął głośnym śmiechem.

Wreszcie odwrócił się do mnie. Niebo rozjaśniło się znacznie i widziałam już twarz Jamiego, ściągniętą zmęczeniem, napięciem i tłumaczonym teraz śmiechem.

Zadrapania na śniadym policzku wydawały się czarne w świetle przedświt.

– Przyjemność! – wykrztusił, z trudem łapiąc powietrze. – Na Boga, nie wiesz nawet, jaką! Byłaś taka... Wyglądałaś ślicznie. Gotowałem się z wściekłości, a ty ze mną dziko walczyłaś. Wzdragałem się przed zrobieniem ci krzywdy, a jednocześnie tego pragnąłem.

Jezu... – Wytarł nos. – Tak. Tak, to mi sprawiło przyjemność. A skoro o tym mówimy, mogłabyś docenić moją wstrzeźliwość.

Gniew znowu się we mnie obudził. Czułam, że policzki oblewa mi gorący rumieniec.

– Wstrzeźliwość? Odniosłam zupełnie inne wrażenie! Omal mnie nie okaleczyłaś, ty brutalu!

– Gdybym cię chciał okaleczyć, wiedziałabyś o tym – odparł sucho. – A nie pamiętasz, że potem spałem na podłodze?

Zmierzyłam go spojrzeniem zwięzonych oczu.

– Ach, więc to tak?

– Nie sądziłem, bym miał prawo cię wychędożyć w tym stanie, jakkolwiek byłem w potrzebie. Naprawdę w wielkiej potrzebie – zapewnił ze śmiechem. – Okropne pogwałcenie moich naturalnych instynktów.

– Wychędożyć? – powtórzyłam, zdekoncentrowana.

– W zaistniałych okolicznościach nie nazwałbym tego kochaniem.

– Jakkolwiek to nazywasz – oznajmiłam spokojnie i dobitnie – bardzo dobrze, że nie próbowałaś niczego zrobić, bo teraz brakowałoby ci paru cennych fragmentów ciała.

– Tak też myślałem.

– A jeśli sądzisz, że zasługujesz na podziw, bo powstrzymałeś się od gwałtu po tym akcie bestialstwa... – Zdławiłam wściekłość i zamilkłam.

Przejechaliśmy w ciszy jakieś pół kilometra. Wreszcie Jamie westchnął ciężko.

– Widzę, że nie powinienem zaczynać tej rozmowy. Chciałem tylko spytać, czy pozwolisz mi dzielić ze sobą łożo, kiedy znajdziemy się w Bargrennan. – Zrobił pauzę. – Na podłodze jest dość zimno.

Zanim się odezwałam, jechałam w milczeniu przez co najmniej pięć minut. Kiedy wreszcie zdecydowałam, co powinnam powiedzieć, zatrzymałam konia w poprzek drogi.

Bargrennan znajdowało się już w zasięgu wzroku. Dachy rysowały się na tle rozjaśniającego się nieba.

– Czy wyświadczysz mi honor dzielenia mego łoża, o panie i władco? – spytałam uniżenie.

Jamie zastanawiał się przez chwilę, najwyraźniej wietrząc podstęp. Potem skinął głową z równą uprzejmością.

– Tak, dziękuję. – Zamierzał unieść wodze, ale powstrzymałam go gestem ręki.

– A zatem została tylko jedna rzecz, panie – dodałam, ciągle grzecznie.

– Mhm?

Sięgnęłam do ukrytej kieszeni i w ułamku sekundy blade światło zalśniło na klindze sztyletu, wpartej w jego pierś.



– Jeśli – wycodziłam przez zęby – kiedykolwiek podniesiesz na mnie rękę, wytnę ci serce i usmażę je na śniadanie!

Nastąpiła długa chwila milczenia, maconego jedynie dźwięczeniem uprzęży i prychaniem koni. Wreszcie Jamie wyciągnął ku mnie dłoń.

– Daj mi to. – Kiedy nie zareagowałam, niecierpliwie dodał: – Nie zamierzam użyć noża przeciwko tobie. Dawaj!

Chwycił sztylet za klingę i uniósł go tak wysoko, że promienie wschodzącego słońca rozświetliły księżycowy kamień w rękojeści. Zaczął recytować celtyckie słowa przysięgi, które zapamiętałam z uroczystości w sali Columa. Po chwili przetłumaczył je na angielski.

– Przysięgam na krzyż Pana naszego Jezusa Chrystusa i na to święte żelazo, które trzymam, że będę ci wierny i pozostanę wobec ciebie lojalny. Jeśli kiedyś wzniosę przeciwko tobie rękę, w gniewie lub złości, niech to święte żelazo przeszyje me serce. – Ucałował sztylet w miejscu, gdzie ostrze łączyło się z rękojeścią, i oddał mi broń. – Nie rzucam słów na wiatr – dodał, unosząc brew. – Czy teraz możemy iść do łóżka?

Dougal czekał na nas pod znakiem „Czerwonego Dzika”, niespokojnie chodząc tam i z powrotem.

– Udało się? – spytał, przyglądając się z aprobatą, jak zsiadłam bez niczyjej pomocy.

Tylko odrobinę się zachwiałam. – Dzielne dziewczę. Taki szmat drogi w siodle i nawet nie jęknęła. Idź do łóżka, zasłużyłaś na odpoczynek. Ja i Jamie

zaprowadzimy konie do stajni. – Poklepał mnie po siedzeniu, bardzo delikatnie.

Z największą radością usłuchałam jego sugestii i zasnęłam, zanim dotknęłam głową poduszki. Nie poruszyłam się, gdy Jamie zajął miejsce obok mnie, ale późnym popołudniem obudziłam się gwałtownie, przekonana, że zapomniałam o czymś ważnym.

– Horrocks! – krzyknęłam i usiadłam.

– He? – Jamie otworzył oczy, zeskoczył na ziemię i przykucnął na podłodze. W rękę trzymał sztylet, który zostawił na stercie ubrań. – Co? – wybełkotał, wodząc po izbie dzikim spojrzeniem. – Co się stało?

Pohamowałam chichot rozbawienia na widok nagiego Jamiego z włosami sterczącymi na wszystkie strony jak zjeżone igły.

– Przypominasz przestraszonego jeżozwierza – powiedziałam.

Rzucił mi paskudne spojrzenie i wstał. Odłożył sztylet na miejsce.

– Musiałaś mi to mówić teraz? Nie mogłaś poczekać, aż się obudzę? I dlaczego honor?

– Nie „honor”, tylko Horrocks. Wcześniej zapomniałam cię o niego zapytać.

Znalazłeś tego człowieka?

Usiadł na krawędzi łóżka i potarł twarz dłońmi, jakby chciał pobudzić krążenie krwi.

– Mhm – mruknął. – Znalazłem.

Ton jego głosu wskazywał, że informacje dezertera nie przydadzą mu się do niczego.

– Więc jednak nie chciał ci powiedzieć? – spytałam ze współczuciem.

Zawsze istniała taka możliwość, choć Jamie zamierzał się rozstać nie tylko ze swoimi oszczędnościami ale także z pieniędzmi, które dali mu Dougal i Colum, a w razie potrzeby z pierścieniem ojca.

– Nie. – Upadł na wznak obok mnie i spojrzał w sufit. – Nie. Wyśpiewał wszystko. Za rozsądną cenę.

Oparłam się na łokciu i spojrzałam na niego.

– Więc? Kto zastrzelił starszego sierżanta?

Uśmiechnął się ponuro.

– Randall – rzucił i zamknął oczy.

– Randall? Ale dlaczego?

– Nie wiem. Mogę się domyślać, ale czy jest sens? Nie mam szans, by to udowodnić.

Musiałam przyznać mu rację. Położyłam się i spojrzałam na szerniałe dębowe belki sufitu.

– I to zrobisz? – spytałam. – Pojedziesz do Francji? A może... – dodałam z ożywieniem – do Ameryki? Spodobałoby ci się w Nowym Świecie.

– Za oceanem? – Wzdrygnął się. – Nie, nie mógłbym.

– A zatem co dalej? – Odwróciłam głowę i spojrzałam na Jamiego. Otworzył jedno oko i rzucił mi jadowne spojrzenie.

– Myślałam, że na początek będę mógł się wyspać – wycedził – ale najwyraźniej to niemożliwe. – Podniósł się zrezygnowany i oparł o ścianę. Byłam zbyt zmęczona, żeby rozścielić łóżko przed udaniem się na spoczynek. Teraz

zauważyłam, że koło kolana Jamiego znajduje się podejrzana czarna plamka. Zaczęłam się jej czujnie przyglądać.

– Masz rację – odezwał się Jamie. – Moglibyśmy pojechać do Francji. – Drgnęłam zaskoczona. Zapomniałam, że wszystkie decyzje męża obejmują także mnie. – Ale nie ma tam dla mnie zbyt wiele – dodał, drapiąc się leniwie po udzie. – Mógłbym być tylko żołnierzem, a to nie jest życie dla ciebie. Albo pojechalibyśmy do Rzymu, na dwór króla Jakuba. Mam kuzynów ze strony Fraserów, którzy by mi pomogli. Nie interesuje mnie polityka, a jeszcze mniej dbam o możnych panów, ale to prawda, można tak zrobić. Choć najpierw wolałbym oczyścić swoje imię. Jeśli mi się to uda, w najgorszym razie zostanę gospodarzem na ziemiach Fraserów. W najlepszym wrócę do Lallybroch. – Spochmurniał. Wiedziałałam, że myśli o siostrze. – Gdybym był sam – dodał cicho – odjechałbym, ale teraz nie wolno mi myśleć tylko o sobie.

Spojrzał na mnie z uśmiechem i pogładził moje włosy.

– Czasami zapominam, że jesteś ze mną. Angielko.

Zrobiło mi się niezwykle przykro. Prawdę mówiąc, poczułam się jak zdrajczynie. Jamie snuje poważnie plany na przyszłość, biorąc pod uwagę moje dobro i bezpieczeństwo, a ja robię wszystko, żeby od niego uciec na zawsze, i w dodatku narażam go na znaczne ryzyko.

Nawet teraz uważałam, że powinnam go odwieść od wyjazdu do Francji, bo wtedy znajdę się daleko od mojego

celu: kamiennego kręgu.

– Ale czy możesz zostać w Szkocji? – spytałam i odwróciłam wzrok. Wydawało mi się, że czarna plamka na kołdrze zmieniła położenie, ale nie byłam tego pewna. Znowu zaczęłam ją obserwować.

Jamie wsunął palce pod moje włosy i zaczął mnie leniwie gładzić po karku.

– Tak, to możliwe – przyznał z namysłem. – Dougal tu czekał, ponieważ miał dla mnie wieści.

– Naprawdę? Jakie? – Odwróciłam ku niemu głowę; moje ucho znalazło się w zasięgu jego palców; delikatnie je musnął. Miałam ochotę wygiąć szyję i zamruczeć jak kot.

– Przybył posłaniec od Columa. Nie sądził, że nas znajdzie w tym rejonie, lecz wpadł na Dougala na drodze. Dougal ma wrócić natychmiast do Leoch, a Ned Gowan dokończy poboru podatków. Dougal chce, byśmy z nim pojechali.

– Do Leoch? – Nie była to Francja, ale i tak mnie to nie ucieszyło. – Dlaczego?

– W każdej chwili spodziewają się wizyty angielskiego szlachcica, który już wcześniej załatwiał jakieś sprawy z Columem. To można pan i może da się nakłonić do zrobienia czegoś dla mnie. Nie miałem procesu i nie zostałem skazany za morderstwo. Liczymy, że zdoła unieważnić moje oskarżenie albo wyjednać dla mnie amnestię. – Uśmiechnął się kpiąco. – Dziwne, amnestia za coś, czego nie uczyniłem, ale zawsze to lepsze niż szafot.

– Dużo lepsze. – Oczy mnie nie myliły, plamka się ruszała. Wyteżyłam wzrok. – Co to za angielski szlachcic?

– Diuk Sandringham.

Poderwałam się z okrzykiem.

– Co się stało? – zawołał Jamie z niepokojem.

Wyciągnęłam drżący palec ku czarnej plamce. Powoli, lecz zdecydowanie maszerowała ku jego nodze.

– Co to jest? – jęknęłam.

Jamie zerknął na ciemną kropkę i niedbale strzepnął ją jednym palcem.

– To? Tylko pluskwa. Nie ma się...

Na słowo „pluskwa” wykonałam wspaniały skok i stanęłam pod ścianą, jak najdalej od plugawej wylegarni robactwa, którą dotąd niesłusznie uważałam za łóżko. Jamie spojrzął na mnie w zamyśleniu.

– Przestraszony jeżozwierz? – spytał. Przechylił głowę i zmierzył mnie baczny spojrzeniem. – Hmmm – mruknął i przyglądał włosy. – No, powiedzmy, przestraszona istota. Jesteś bardzo strachliwym maleństwem, kiedy się budzisz. – Przechylił się ku mnie i wyciągnął rękę. – Chodź do mnie, mój mały mazgaju. Nie wyjdziemy stąd przed zachodem słońca. Skoro nie będziemy spać...

W rezultacie jednak zasnęliśmy jeszcze na parę godzin, spleceni ze sobą na podłodze, na twardym, lecz wolnym od robactwa pościeli z mojego płaszcza i kiltu Jamiego.

Dobrze, że spaliśmy, dopóki mieliśmy ku temu okazję. Dougal, który zamierzał za wszelką cenę dotrzeć do zamku Leoch przed diukiem Sandringhamem, nie pozwalał na odpoczynek. Jadąc bez wozów, osiągnęliśmy znacznie

lepsze tempo, mimo złego stanu dróg. Dougal nie zwalniał ani na chwilę. Zatrzymywaliśmy się tylko wtedy, gdy było to niezbędne.

Kiedy znowu przejechaliśmy przez bramy zamku Leoch, byłam w niemal równie opłakanym stanie jak wtedy, gdy znalazłam się tu po raz pierwszy. A na pewno tak samo wykończona.

Ześliznęłam się z konia i musiałam się przytrzymać strzemienia, żeby nie upaść.

Jamie chwycił mnie za łokieć, a zaraz potem wziął na rękę. Najwyraźniej zauważył, że nie mogę się utrzymać na nogach o własnych siłach. Pozostawił konie stajennym i zaniósł mnie do zamku.

– Jesteś głodna? – spytał.

Zatrzymał się w korytarzu. Kuchnia znajdowała się po jednej stronie, schody do komnat sypialnych po drugiej. Jęknęłam i spróbowałam otworzyć oczy. Kiszki grały mi marsza, ale wiedziałam, że jeśli zaraz nie znajdę się w łóżku, zasnę z twarzą w talerzu.

Usłyszałam jakiś szelest i rozkleiłam opuchnięte powieki na tyle, by ujrzeć pokaźną postać pani FitzGibbons.

– A cóż to się stało z tym biednym dzieckiem! – wykrzyknęła. – Miała wypadek?

– Nie, tylko mnie poślubiła – odparł Jamie – choć można to uznać za wypadek. – Zaczął się przeciskać przez gęstniejący tłum pomywaczek, chłopców stajennych, kucharzy, ogrodników, strażników i innych mieszkańców zamku, zwabionych głośnym pytaniem pani Fitz. Wreszcie

podjął decyzję i ruszył na prawo, ku schodom. Po drodze rzucił zdawkowe odpowiedzi na pytania, jakimi go zasypywano. Ja, mrugając oczami jak sowa, miałam tylko tyle siły, by odpowiadać skinieniem głowy na powitania. Większość osób zdradzała tyle życzliwości, ile zaciekawienia.

Za rogiem korytarza zauważyłam twarz o wiele bardziej przyjazną niż pozostałe.

Laoghaire, rozpromieniona jak słońce na dźwięk głosu Jamiego. Na nasz widok otworzyła szeroko oczy i różane usteczka. Nie miała czasu, by zadać jakiegokolwiek pytanie, bo zamieszanie wokół nas zamarło jak nożem uciał. Podniosłam głowę i ujrzałam Columa. Wstrząśnięte oblicze pana zamku znajdowało się teraz na równym poziomie ze mną.

– Co... – zaczął.

– Wzięli ślub! – zawołała z zachwytem pani Fitz. – Cudownie! Możesz ich pobłogosławić, panie, a ja przygotuję komnatę. – Odwróciła się i popędziła po schodach.

Tęga kobieta zostawiła po sobie sporą pustą przestrzeń w tłumie, przez którą zobaczyłam bladą twarz Laoghaire.

Colum i Jamie rozmawiali ze sobą, wpadając sobie wzajemnie w słowo. Zaczęłam odzyskiwać przytomność, choć byłoby przesadą stwierdzić, że znowu stałam się sobą.

– Cóż – usłyszałam głos Columa, raczej średnio zadowolony. – Jeśli już jesteś żonaty, to jesteś. Muszę porozmawiać z Dougalem i Nedom Gowanem. Trzeba



załatwić formalności. Po zawarciu małżeństwa masz prawo do paru rzeczy, zgodnie z kontraktem ślubnym twojej matki.

Poczułam, że Jamie lekko się prostuje.

– Skoro o tym mówisz – rzucił niedbale – sędzę, że tak właśnie jest. A jedną z tych rzeczy stanowi udział w kwartalnych podatkach z ziem MacKenziech. Dougal przywiózł to, co zebrał do tej pory. Zechciej mu powiedzieć, by odłożył część dla mnie, gdy skończy obrachunki. A teraz wybacz, wuju, moja żona jest zmęczona.

Chwytał mnie mocniej i ruszył po schodach.

Z trudem powlokłam się ku wspianemu łożu z baldachimem, do którego uprawniał nas chyba status nowożeńców, i runęłam w miękką pościel, zachęcającą i – dzięki wiecznie czujnej pani Fitz – czystą. Zaczęłam rozważać, czy warto wstać i umyć twarz przed zapadnięciem w sen.

Właśnie doszłam do wniosku, że podnieść może mnie wyłącznie trąba archanioła Gabriela, kiedy ujrzałam Jamiego. Nie tylko umył twarz i ręce, ale w dodatku się uczesał.

Zmierzał ku drzwiom.

– Nie będziesz spać? – zawołałam za nim.

Wydawało mi się, że on także jest trochę zmęczony, jeśli nie obolały pojeździe w siodle.

– Za chwilę. Na razie muszę dopełnić pewnego obowiązku. – wyszedł, zostawiając mnie z bardzo nieprzyjemnym uczuciem.

Pamiętałam ten radosny, wyczekujący wyraz twarzy Laoghaire, kiedy dziewczyna wybiegła na dźwięk głosu Jamiego, a także gniewny wstrząs, który ściągnął jej rysy na widok mnie, leżącej w jego ramionach. Cholernie żałowałam, że nie mogłam ujrzeć jego twarzy. Pomyślałam, że pewnie poszedł do Laoghaire, zmęczony, lecz umyty i uczesany, by przekazać jej wiadomość o naszym małżeństwie. Gdybym widziała wtedy jego twarz, przynajmniej mogłabym się zorientować, co zamierzał powiedzieć.

Pochłonięta wypadkami ostatniego miesiąca, zupełnie zapomniałam o istnieniu tej dziewczyny. Oczywiście pomyślałam o niej w chwili, gdy po raz pierwszy pojawiła się kwestia naszego niespodziewanego ożenku, ale Jamie nie dał mi podstaw do podejrzeń, że Laoghaire stanowi jakąkolwiek przeszkodę.

Choć, oczywiście, gdyby ojciec zabronił jej poślubić człowieka ściganego przez prawo, a Jamie potrzebował żony, by otrzymać swoją część podatków MacKenziech... hm, wtedy nie robiłoby mu różnicy, z kim by się miał ożenić, i bez wątpienia wziąłby pierwszą lepszą pannę. Wydawało mi się, że znam go na tyle, by uznać, że we wszystkim kieruje się rozsądkiem. Zresztą jest to całkiem zrozumiałe w przypadku człowieka, który przez kilka ostatnich lat musiał się ukrywać. Nie sądziłam również, by się zachwiał w swej decyzji z powodu różanych policzków i włosów jak płynne złoto. Ale to jeszcze nie znaczyło, że nie mógł się oddać uczuciu.

Nie zapomniałam o scenie w alkowie, której byłam

świadkiem. Jamie trzymał tę dziewczynę na kolanach i całował ją zachłannie „trzymałem już kobiety w ramionach, serce biło szybciej i brakowało mi tchu”, usłyszałam jego głos. Zorientowałam się, że zaciskam pięści i mnę w nich zielono-żółtą kołdrę. Puściłam okrycie i wytarłam dłonie o spódnicę. Dopiero wtedy zdałam sobie sprawę, że są okropnie brudne po dwóch dniach nie przerwanej jazdy.

Wstałam i podeszłam do miednicy, zapominając o zmęczeniu. Ku swemu zdziwieniu przekonałam się, że myśl o Jamie całującym Laoghaire jest mi w najwyższym stopniu nie miła. Pamiętałam także, co powiedział na ten temat: „Lepiej jest żyć w małżeństwie, niż płonąć, a ja w tamtym czasie bardzo płonąłem”. Ja też spłonęłam rumieńcem na wspomnienie gorących pocałunków Jamiego.

Ochlapałam twarz wodą, usiłując się opanować. Nie mam prawa do uczuć Jamiego, upomniałam się surowo. Poślubiłam go z konieczności. A on także miał swoje powody, aby wziąć mnie za żonę. Choćby ten, do którego się tak szczerze przyznał: pragnął stracić dziewictwo.

Kolejnym powodem do zawarcia naszego związku prawdopodobnie był fakt, iż Jamie potrzebował żony, by otrzymywać część zysków, a nie mógł skłonić do małżeństwa dziewczyny, która mu się naprawdę podobała. Przyczyna jeszcze mniej dla mnie pochlebna niż pierwsza, choć bardziej wzniosła.

Zupełnie rozbudzona, powoli przebrałam się z poplamionego stroju podróżnego w świeżą koszulę, dostarczoną – podobnie jak dzbanek i miednica – przez

podwładne pani Fitz. Nie pojmowałam, jak jej się udało przysposobić komnatę dla nowożeńców w czasie rozmowy Jamiego z Columem. Z pewnością znakomicie by sobie poradziła jako kierownik hotelu „Waldorf-Astoria” lub londyńskiego „Ritza”.

Wspomnienie tych dwóch nazw sprawiło, że nagle poczułam okropną tęsknotę za moim światem. Co ja tu robię? – pomyślałam po raz tysięczny. W tym dziwnym miejscu, z dala od wszystkiego, co znam, wyrwana z własnego domu, rozdzielona z mężem i przyjaciółmi, samotna pomiędzy dzikusami? W czasie ostatnich tygodni z Jamie zaczęłam się czuć szczęśliwa i bezpieczna. Teraz zdałam sobie sprawę, że szczęście było iluzją, choć z bezpieczeństwem sprawa wyglądała inaczej. Nie miałam wątpliwości, że Jamie dopełni swoich obowiązków i będzie mnie bronił przed wszystkimi niebezpieczeństwami. Ale teraz, gdy skończyła się bajeczna podróż po dzikich wzgórzach i pylistych drogach, brudnych karczmach i wonnych stogach siana, z pewnością poczuł zew dawnych uczuć, tak jak i ja. Przez miesiąc naszego małżeństwa staliśmy się sobie bardzo bliscy, ale to szczęście zaczynało pękać pod wpływem ostatnich dni, a teraz pewnie zupełnie się rozpadnie, przygniecione praktyczną rzeczywistością życia w zamku Leoch.

Oparłam głowę o kamienne obramowanie okna i wyjrzałam na podwórze. Alec McMahon i dwaj chłopcy stajenni czyścili konie, na których przyjechaliśmy. Nasze wierzchowce, nakarmione i napojone do syta po raz pierwszy od kilku dni, z zadowoleniem poddawały się

zabiegom polegającym na gładzeniu wiechciami trawy ich lśniących boków i pęcín. Jeden z chłopców odprowadził moją małą tłustą Szczotkę.

Zwierzę radośnie kłusowało na odpoczynek w stajni.

Wraz ze Szczotką odchodziły nadzieje na szybką ucieczkę i powrót do mojego świata.

Ach, Frank... Zamknęłam oczy; jedna łza wymknęła mi się spod powieki i pociekła po policzku. Otworzyłam raptownie oczy i zamrugałam parę razy. Usiłowałam przypomnieć sobie jego rysy. Przez chwilę ujrzałam jakąś twarz, ale nie należała do mojego ukochanego, lecz do jego przodka, Jacka Randalla, z ustami wykrzywionymi drapieżnym uśmiechem. Wzdrygnęłam się, a pamięć usłużnie podsunęła mi wizję Jamiego o twarzy ściągniętej strachem i gniewem – tak, jak go zobaczyłam w oknie gabinetu Randalla.

Mimo dalszych wysiłków nie potrafiłam przywołać wspomnienia Franka.

Złodowaciałam ze strachu. Co będzie, jeśli uda mi się dotrzeć do kamiennego kręgu?

Co wtedy? Miałam nadzieję, że Jamie wkrótce znajdzie pocieszenie... pewnie w ramionach Laoghaire. Martwiłam się, co zrobi, kiedy się dowie o moim zniknięciu. Ale tak naprawdę powinnam się zastanowić nad własnymi uczuciami. Jak zniosę rozłąkę z Jamieem?

Zaczęłam się bawić wstążką u kołnierza koszuli. Bezmyślnie rozwiązywałam ją i za wiązywałam. Jeśli zamierzałam odejść – a zamierzałam – to nie powinnam

dopuścić, żeby nasz związek jeszcze się zacieśnił. Jamie nie może się we mnie zakochać.

Jeśli w ogóle mu to grozi, pomyślałam kwaśno. Ponownie przypominałam sobie Laoghaire i rozmowę z Columem. Być może Jamie poślubił mnie z rozsądku i nie muszę się obawiać o jego złamane serce. Zmęczona, głodna, rozczarowana i niepewna, doprowadziłam się do takiego stanu, że nie mogłam zasnąć ani usiąść spokojnie.

Krażyłam po pokoju, podnosząc rozmaite przedmioty na chybił trafił i odkładając je byle gdzie.

Zajmowałam się właśnie balansowaniem grzebieniem na dłoni, kiedy słaby przeciąg zakłócił jego równowagę i oznajmił nadejście Jamiego, lekko zaróżowionego i dziwnie podnieconego.

– O, nie śpisz – powiedział, najwyraźniej zaskoczony i zbity z tropu.

– Tak – mruknęłam nieżyczliwie. – Miałaś nadzieję, że śpię i będziesz mógł do niej wrócić?

Zmarszczył brwi.

– Do niej? Mówisz o Laoghaire?

Wymówił jej imię z charakterystycznym szkockim zaśpiewem – Lhiir – co zirytowało mnie jeszcze bardziej.

– A więc jednak z nią byłeś! – warknęłam.

Jamie przyjrzał mi się z zaskoczeniem i lekkim rozdrażnieniem.

– Tak, spotkałem ją przy schodach, gdy wychodziłem. Złe się czujesz. Angielko?

Niezbyt dobrze wyglądasz.

Chwyliłam lusterko i przekonałam się, że włosy

otaczają moją twarz rozwichrzoną aureolą, a pod oczami malują się sine kręgi. Odłożyłam lustro z głośnym lupnięciem.

– Nie, czuję się wyśmienicie – oznajmiłam, z trudem zachowując spokój. – cóż tam u Laoghaire?

– O, świetnie się jej wiedzie – odparł. Stał w drzwiach, splótł ręce na piersi i zmierzył mnie baczny spojrzeniem. – Wieści o naszym małżeństwie trochę ją zaskoczyły, jak mi się zdaje.

– Świetnie? – powtórzyłam i odetchnęłam głęboko. Podniosłam głowę i napotkałam jego uśmiech.

– Chyba się nie przejmujesz tą dziewczyną? – spytał przebiegle. – Ona nic dla ciebie nie znaczy... ani dla mnie.

– Nie? Nie mogła albo nie chciała za ciebie wyjść. Musiałeś poślubić kogoś innego, więc skorzystałeś z pierwszej szansy. Nie winię cię za to, ale...

Dwoma krokami przemierzył pokój i chwycił mnie za rękę. Podniósł moją brodę jednym palcem i zmusił mnie, bym na niego spojrzała.

– Claire – powiedział spokojnie. – Może kiedyś ci powiem, dlaczego cię poślubiłem...

a może nie. Prosiłem cię o szczerość i daję ci to samo. Teraz także. Ta dziewczyna nie ma żadnego prawa żądać ode mnie czegokolwiek poza uprzejmością. – Lekko uścisnął moją brodę. – Tylko o to może mnie prosić i to jej daję. – Puścił mnie i połaskotał lekko w podbródek. – Słyszysz, Angielko?

– O, słyszę! – wyszarpnęłam się i z urazą potarłam brodę. – I na pewno będziesz dla niej bardzo uprzejmy. Ale

następnym razem zaciągnij zasłony alkowy, bo nie chcę tego widzieć!

Miedziane brwi uniosły się, a policzki lekko poczerwieniały.

– Sugerujesz, że cię zwodzę? – upewnił się z niedowierzaniem. – Wróciliśmy przed niespełną godziną, jestem spocony i zakurzony po dwóch dniach w siodle, a jednak sądzisz, że to mi nie przeszkadza uwieść szesnastoletnią dziewczę, ledwie przekroczę próg zamku? – pokręcił głową. – Nie rozumiem, czy chcesz pochwalić moją wytrzymałość, czy też obrazić prawość charakteru, lecz to mnie nie obchodzi. Murtagh powiedział, że kobiety bywają nierozumne, ale na Boga...! – Przesunął ręką po włosach, które natychmiast najeżyły się jak u jeżozwierzka.

– Wcale nie twierdzę, że chciałeś ją uwieść – zaprotestowałam, siłąc się na spokój. – chodzi o to...

Przyszło mi do głowy, że Frank potrafił załatwić tę sprawę znacznie zręczniejsze ode mnie, i tak mnie wtedy rozżłościł. Zdaje się, że nie można zasugerować czegoś takiego, nie narażając się na gniew współmałżonka. – Chodzi tylko o to, że... że wiem, iż miałaś swoje powody, by mnie poślubić... i wcale o nie nie pytam – dodałam pospiesznie. – Nie mam do ciebie żadnego prawa. Możesz postępować tak, jak ci się podoba. Jeśli... jeśli poczujesz, że... ktoś inny... to znaczy... nie będę stać ci na drodze – skończyłam z trudem.

Krew napłynęła mi do twarzy.

Podniosłam głowę i ujrzałam uszy Jamiego, czerwone jak maki. Podobny kolor miała także jego szyja i



twarz. Nawet oczy, przekrwione ze zmęczenia, jakby poczerwieniały.

– Nie masz prawa? – wykrzyknął. – A jak ci się zdaje, po co jest przysięga małżeńska? Sądzisz, że to tylko puste słowa? – Grzmotnął pięścią w kufer z taką siłą, że porcelanowy dzbanek omal nie spadł na podłogę. – Żadnego prawa – mruknął do siebie.

– mogę postępować, jak mi się podoba. I nie będziesz stać mi na drodze.

Zdjął buty i rzucił nimi kolejno o ścianę. Skrzywiłam się. Zerwał z siebie szal i cisnął go na podłogę. Potem ruszył ku mnie z płonącym spojrzeniem.

– Nie masz do mnie prawa. Anielko? Mogę szukać przyjemności, gdzie zechcę, czy tak? Tak? – powtórzył.

– Hm... tak – przyznałam i mimo woli cofnęłam się o krok. – To właśnie miałam na myśli.

Chwycił mnie za ramiona. Poczułam, że ręce także mu płoną. Jego stwardniałe palce prawie parzyły. Wzdrygnęłam się.

– Twierdzisz, że nie masz do mnie prawa – ciągnął – lecz ja mam prawo do ciebie!

Chodź tutaj. – Wziął moją twarz w obie dłonie i zmiażdżył ustami moje wargi.

W tym pocałunku nie było nic delikatnego ani czułego. Zaczęłam się szarpać. Jamie pochylił się i wziął mnie na ręce. Nie zwracał najmniejszej uwagi na moje wysiłki, by się wydostać z jego chwytu. Nie zdawałam sobie sprawy, jak cholernie jest silny.

– Puszczaj! – wrzasnęłam. – Co ty wyprawiasz?

– Wydaje mi się, że to całkiem jasne – syknął. Spojrzał mi prosto w oczy; jego wzrok przesywał mnie na wylot. – Jeśli chcesz, bym to powiedział, dobrze. Zabieram cię dołóżka. Teraz. I będę cię w nim trzymał tak długo, aż się dowiesz, jakie mam do ciebie prawo. – I znowu mnie pocałował z zamierzoną brutalnością.

– Nie chcę z tobą spać! – rzuciłam, kiedy tylko uwolnił moje usta.

– Nie zamierzałem spać – odparł dobitnie. – W każdym razie jeszcze nie teraz.

Posadził mnie na kołdrze w róże. – Cholernie dobrze wiesz, o co mi chodzi! – Usiłowałam zeskoczyć z łóżka po drugiej stronie, ale zatrzymał mnie i odwrócił gwałtownie ku sobie.

– Nie chcę się z tobą kochać!

Przejrzyste błękitne oczy spojrzały na mnie z bliska. Poczułam, że brakuje mi tchu.

– Nie pytałem, czego chcesz. Angielko. – Głos Jamiego brzmiał złowieszczo spokojnie. – Jesteś moją żoną, co powtarzałem ci dość często. Mogłaś za mnie nie wychodzić, a jednak zdecydowałaś inaczej. A jeśli przypadkiem nie zauważyłaś, w twojej przysiędze znajdowało się słowo „posłuszeństwo”. Jesteś moją żoną i jeśli cię zechcę, kobieto, mogę cię wziąć, do stu diabłów! – Stopniowo podnosił głos, aż prawie zaczął krzyknąć.

Uklękłam, zacisnęłam dłonie w pięści i także zaczęłam krzyknąć. Napięcie ostatniej godziny osiągnęło szczytowy punkt.

– Tak, do stu diabłów, jeśli na to pozwolę, ty

brutalu! Wydaje ci się, że możesz mnie zmusić? Wykorzystać jak ladacznice, ponieważ tak ci się podoba? Nie możesz, ty pieprzony bydlaku! Zrób to, a nie będziesz lepszy niż twój kochany kapitan Randall!

Mierzył mnie przez chwilę płonącym spojrzeniem. Potem wstał.

– Więc odejdz – rzucił. – Skoro tak o mnie myślisz, odejdz! Nie będę cię powstrzymywać.

Zawahałam się. Jamie zaciskał szczęki i stał nade mną, potężny jak Kolos Rodyjski.

Tym razem trzymał nerwy na wodzy, ale był równie rozgniewany jak wtedy, gdy zatrzymaliśmy się na drodze do Doonesbury. Mówił jak najbardziej poważnie. Gdybym zechciała, pozwoliłby mi odejść.

Uniosłam dumnie głowę i zacisnęłam pięści.

– Nie – oznajmiłam. – Nie, ja nie uciekam od trudności. I nie boję się ciebie.

Spojrzał na moje gardło, gdzie puls bił z szaloną prędkością.

– Właśnie widzę – mruknął.

Przyjrzał mi się, a na jego twarzy z wolna pojawił się wyraz niechętej zgody. Osunął się na łóżko, z dala ode mnie. Ja także przysiadłam nieufnie na posłaniu. Odetchnął głęboko parę razy, zanim przemówił. Rumieniec powoli odpłynął z jego twarzy, która odzyskała zwykły śniady kolor.

– Ja także nie uciekam – powiedział szorstko. – No, dobrze. Co znaczy: „pieprzony”?

– Zdaje się, że zaskoczenie odmalowało się na

mojej twarzy bardzo wyraźnie, ponieważ dodał z irytacją: – Skoro musisz mnie lżyć, trudno. Ale nie chcę, żebyś obrzucała mnie obelgami, na które nie mogę odpowiedzieć. Sądząc po twojej minie, to sprośne słowo, ale co oznacza?

Roześmiałam się trochę histerycznie, wytrącona z równowagi.

– O... oznacza... to, co chciałeś mi zrobić.

Uniósł brew i spojrzął na mnie z niechętnym rozbawieniem.

– Ach, chędożenie? Więc miałem rację, to diabelnie plugawe słowo. A sadysta?

Wczoraj mnie tak nazwałaś.

Zdławiłam chichot.

– To taki ktoś, kto... hm, czerpie przyjemność z zadawania komuś bólu. – Twarz mi poczerwieniała, ale kąciki ust zaczęły drgać.

Jamie parsknął.

– Nie mogę powiedzieć, byś mi pochlebiała, ale i nie mogę cię winić. – Odetchnął i rozprostował zaciśnięte dłonie. Położył je płasko na kolanach i spojrzął mi prosto w oczy.

– Więc o co chodzi? Dlaczego to robisz? Przez tę dziewczynę? Wyznałem ci szczerą prawdę. W podobnych sprawach nie trzeba dowodu. Ważne jest, czy mi wierzysz.

Wierzysz mi?

– Tak, wierzę – przyznałam niechętnie. – Ale nie o to chodzi. Albo nie tylko o to – dodałam w przypływie szczerości. – Zrozumiałam... że poślubiłeś mnie dla pieniędzy. – Spuściłam oczy i zaczęłam obrysowywać

palcem wzór na kołdrze. – Wiem, że nie mam prawa się skarżyć... ja także wzięłam z tobą ślub z egoistycznych pobudek, ale... – Zagryzłam wargę i przełknęłam ślinę, by uspokoić głos. – Ale i ja mam odrobinę dumy, wiesz?

Zerknęłam na niego i zobaczyłam, że wytrzeszcza na mnie oczy w zupełnym oszołomieniu.

– Dla pieniędzy? – powtórzył tępo.

– Tak! – rzuciłam rozjątrzona tą obłudą. – Kiedy wróciłeś, od samego progu powiedziałaś Columowi, że się ożeniłeś i liczysz na zyski z podatków!

Otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć. Powoli zaczął kręcić głową. Wreszcie przestał i ryknął histerycznym śmiechem, tak gwałtownym, że przewrócił się na wznak.

Cofnęłam się z irytacją. Ach, więc to takie zabawne?

Wstał, ciągle wstrząsany wybuchami nie kontrolowanego śmiechu. Oparł ręce na klamrze paska. Mimo woli wzdrygnęłam się, a on to zauważył. Spojrzał na mnie z najwyższym rozdrażnieniem, zaczerwieniony.

– Nie zamierzałem cię zbić. Dałem słowo, że nigdy tego nie zrobię... choć nie sądziłem, że tak szybko tego pożałuję. – Odłożył pas i zaczął grzebać w przymocowanym do niego sporrannie. – Moja część podatków wynosi dwadzieścia funtów na kwartał.

Angielko – wyjaśnił. – Szkockich, nie szterlingów. Można za to kupić pół krowy.

– I... to wszystko? – spytałam głupio. – Ale...

– Wszystko – potwierdził. – Od MacKenziech nie

dostanę nic więcej. Chyba już zauważyłaś, że Dougal jest skąpy, a Colum jeszcze bardziej. Ale nawet królewska suma dwudziestu funtów na kwartał to za mało, żeby się dla niej żenić – dodał sarkastycznie. – Nie poprosiłbym o te pieniądze tak bez ogródek – dodał i wyciągnął niewielką paczuszkę owiniętą w papier – ale chciałem za nie coś kupić. To właśnie musiałem załatwić.

Laoghaire spotkałem przypadkiem.

– I cóż to za pilny sprawunek? – spytałam kąśliwie.

Westchnął i zawahał się, po czym rzucił mi paczuszkę na kolana.

– Pierścień ślubny. Kupiłem od snycerza Ewena; w wolnym czasie wyrabia takie rzeczy.

– O – powiedziałaś martwo.

– Otwórz – odezwał się po chwili Jamie. – Jest twój.

Zarysy paczuszki rozmyły mi się przed oczami. Zamrugałam i pociągnęłam nosem, ale nie zrobiłam żadnego ruchu, żeby ją otworzyć.

– Przepraszam...

– I słusznie – rzucił, ale w jego głosie nie było już gniewu.

Wziął zawiniątko z moich kolan i rozdarł papier, spod którego wyłoniła się szeroka srebrna obrączka z charakterystycznej szkockiej plecionki, z malutkim, delikatnym jakobickim kwiatem ostu wyrzeźbionym w samym środku każdego ogniwka.

Tyle zdążyłam zobaczyć, zanim oczy znowu mi się zaszkliły.

Poczułam, że Jamie wpycha mi w rękę chusteczkę.

– Jakie to... piękne – wyjąkałam.

Usiłowałam osuszyć strumienie łez, które popłynęły mi po policzkach.

– Czy będziesz go nosić, Claire? – spytał łagodnie. Zwrócił się do mnie imieniem zarezerwowanym na okazje uroczystych wydarzeń lub czułości, co omal znowu nie doprowadziło mnie do łez. – Nie musisz – dodał poważnie. – Nasze małżeństwo jest legalne. Zapewnię ci całkowitą ochronę. Nic ci nie grozi, chyba że Anglicy zaczną cię ścigać nakazem sądu. A nawet wtedy jesteś nietykalna, dopóki mieszkasz w Leoch.

Możemy żyć osobno... jeśli to chciałaś osiągnąć tymi bredniami o Laoghaire. Nie będziemy mieli ze sobą nic do czynienia, skoro tego tak bardzo nie chcesz... – Siedział nieruchomo, wyczekująco i trzymał małą pierścienkę na otwartej dłoni, tuż przy sercu.

A zatem postanowił dać mi wybór – taki sam jak ja jemu. Narzucony mi wbrew własnej woli, nie chciał ze mną żyć, jeśli go odrzucałam. I dawał mi także drugie wyjście: przyjąć obrączkę i wszystko, co się z nią wiązało.

Słońce chyliło się ku zachodowi. Ostatnie promienie przesiewały się przez błękitne ścianki pękatej flaszki na stole, zmieniając ją w bryłę czystego i świetlistego lazurytu.

Czułam się równie krucha i rozjarzona jak to szkło, jakbym miała się rozpaść od byle dotyku na tysiące okruchów. Jeśli zamierzałam zaoszczędzić nadmiaru uczuć sobie albo Jamiemu, musiałam przyznać, że bardzo się spóźniłam.

Nie mogłam wydobyć z siebie głosu, ale

wyciągnęłam do Jamiego prawą rękę, drżącą jak w gorączce. Chłodna, jasna obrączka wśliznęła się mi na palec i zatrzymała, doskonale dopasowana. Jamie przez chwilę trzymał moją dłoń i przyglądał się jej w zamyśleniu. Potem nagle uniósł ją do ust i ucałował. Spojrzał na mnie; na moment mignęła mi jego napięta, ściągnięta pożądaniem twarz, a potem przyciągnął mnie do siebie.

Chwycił mnie mocno w ramiona, nie odzywając się ani słowem. Czułam przyspieszone bicie jego pulsu.

Jamie przesunął dłońmi po moich nagich ramionach i odsunął mnie lekko, tak że znowu spojrzałam mu w twarz. Jego ręce były bardzo duże i ciepłe. Poczulałam lekki zawrót głowy.

– Pragnę cię, Claire – szepnął zdławionym głosem. Zamilkł, jakby nie wiedział, co ma jeszcze powiedzieć. – Pragnę cię tak bardzo, że... ledwie mogę oddychać. Czy... – przełknął ślinę i odchrząknął. – Czy mnie przyjmiesz?

Teraz i ja odzyskałam głos. Brzmiał ochryple i drżąco, ale mogłam mówić.

– Tak – wykrztusiłam. – Tak.

– Chyba... – zaczął i urwał. Rozpiął sprzączkę kiltu, ale po chwili spojrzał na mnie, przyciskając ręce do boków. Przemówił z wyraźnym trudem. Staralam się opanować coś tak potężnego, że dłonie trzęsły się mu z wysiłku. – Nie mogę... nie będę... Claire, nie mogę być delikatny.

Miałam czas tylko na to, by skinąć głową, w oszołomieniu lub przyzwalająco, gdyż zwałił się na mnie, przygniatając swym ciężarem.

Nie tracił czasu na dalsze rozbieranie się. Czułam



zapach kurzu na jego koszuli, smak słońca i potu po podróży. Rozkrzyżował mi ramiona i przygwoździł je do posłania. Jedna moja dłoń ocierała się o ścianę; słyszałam cichutkie skrobanie obrączki o tynk. Na każdej dłoni inna obrączka, na jednej srebrna, na drugiej złota. Cienki metal nagle wydał mi się masywny jak okowy małżeństwa, jakby oba pierścionki stały się kajdanami, który przykuwał mnie do łóża. Czułam się uwięziona niczym Prometeusz, rozdzierana dwiema miłościami nie mniej okrutnie niż ciosami sępa.

Jamie wbił kolano między moje uda i wszedł we mnie jednym mocnym pchnięciem, od którego zabrakło mi tchu. Jęknął niemal boleśnie i chwycił mnie mocniej.

– Należysz do mnie, mo dumne – szepnął i wcisnął się jeszcze głębiej. – Moja, tylko moja, zawsze i na wieki. Czy tego chcesz, czy nie. – Poruszyłam się niespokojnie w jego chwycie i wciągnęłam gwałtownie powietrze z cichym westchnięciem, gdyż naparł jeszcze gwałtowniej. – Tak, chcę cię wziąć mocno – syknął mi w ucho. – Pragnę cię wziąć, posiadać całą, ciało i duszę. – Szarpnęłam się. Przygniótł mnie do łóżka i zaczął się poruszać gwałtownie, brutalnie, za każdym razem dosięgając głębin mojego łona. – Chcę, byś mnie nazywała swoim panem. – Jego cichy głos zapowiadał zemstę za udręki ostatnich minut. – Chcę, żebyś wiedziała, że należysz do mnie.

Jęknęłam i zadrzałam, rozszarpywana tymi dzikimi, bolesnymi pchnięciami. Moje ciało reagowało szaleńczymi spazmami, ale uderzenia trwały nadal, nieustannie, z jednakową siłą, budząc we mnie doznanie zawieszzone

między rozkoszą i bólem.

Wydawało mi się, że się rozpadłam, jakbym istniała tylko tam, gdzie czułam ciągle twarde uderzenia, zmuszona do absolutnej uległości.

– Nie! – wykrztusiłam. – Przestań, proszę, to boli!

Po jego twarzy spływały strużki potu. Duże krople skapywały na poduszkę i moje piersi. Nasze ciała spotkały się raz jeszcze, z impetem, który szybko zbliżał się do granic bólu. Czułam, że na udach robią mi się siniaki, a nadgarstki omdlewały, ale Jamie nie zamierzał mnie puścić.

– Tak, błagam o litość. Ale jej nie dostaniesz, jeszcze nie teraz. – Jego oddech przyspieszył, lecz Jamie nie zdradzał żadnych oznak zmęczenia. Całe moje ciało wilo się w konwulsjach, a nogi same się uniosły, by objąć jego biodra i przedłużyć moje doznania.

Każde pchnięcie czułam głęboko w brzuchu. Drżałam z bólu, ale moje biodra unosiły się zdradziecko. Brutalne uderzenia były pytaniem, powtarzającym bez końca i domagającym się odpowiedzi. Jamie rozepchnął moje nogi szerzej, przygwoździł je do łóżka i pociągnął mnie za sobą, przez ból, ku czystej rozkoszy, poza granice uległości.

– Tak! – krzyknęłam. – O Boże, Jamie, tak!

Chwycił mnie za włosy i odgiął mi głowę w tył, abym spojrzała mu w oczy, płonące wściekłym tryumfem.

– Świetnie, Angielko – mruknął w odpowiedzi na moją reakcję. – Już ja cię ujeżdżę!

– Jego dłonie osunęły się ku moim piersiom, pogłaskały je, ścisnęły, a potem powędrowały niżej.

Przysunął mnie ku sobie i uniósł, by jeszcze głębiej we mnie wejść.

Krzyknęłam, a on opadł ustami na moje wargi. Nie był to pocałunek, lecz kolejny atak, brutalne rozwarście ust, miażdżący nacisk, kłująca szczecina jego zarostu. Pchnięcia stały się mocniejsze i szybsze, jakby chciał zmusić do posłuszeństwa moją duszę tak, jak zmuszał ciało. Ale nagle stało się coś dziwnego. Gdzieś głęboko zapłonęła we mnie iskra, a zaraz potem buchnęła wściekła namiętność. Wygięłam się w łuk i odpowiedziałam tym samym, wet za wet, uderzenie za uderzenie. Ugryzłam go w wargę i poczułam smak krwi.

Ukąsił mnie w szyję; wbiłam mu paznokcie w plecy. Pożerałam je od karku aż po pośladki. Wreszcie on także krzyknął. Pastwiliśmy się nad sobą w rozpaczliwym pożądaniu, kąsając się i szarpiąc paznokciami aż do krwi. Usiłowaliśmy się nawzajem pochłonać, zniszczyć w pragnieniu, by stać się jednym ciałem. Nasze krzyki połączyły się i wreszcie zatraciliśmy się w tej ostatniej chwili unicestwienia i zjednoczenia.

Powoli wracałam do siebie rzucona na pierś Jamiego. Nasze spocone ciała nadal były ze sobą sklezione, udo przy udzie. Jamie oddychał ciężko z zamkniętymi oczami.

Słyszałam uderzenia jego serca dziwnie wolne i silne, jak zwykle po takim uniesieniu.

Poczuł, że się ocknęłam, i przyciągnął mnie do siebie, jakby chciał przedłużyć jeszcze odrobinę to uczucie jedności, jakiego doznaliśmy pod koniec naszego

gwałtownego zespolenia. Oplotłam go nogami i rękami.

Otworzył oczy i westchnął. Kiedy napotkał moje spojrzenie, kąciki jego szerokich ust lekko się wygięły ku górze. Uniosłam brew w milczącym pytaniu.

– Och tak – odparł dość niechętnie. – Jestem twoim panem... a ty moją panią. Chyba nie mogę osiąść twej duszy, nie tracąc własnej.

Odrzucił mnie na bok i mocno się przytulił. Wieczorny wietrzyk wpadał przez okno i powoli chłodził nasz pokój. Jamie naciągnął na nas kołdrę. Jesteś zbyt pojętny, chłopcze, pomyślałam sennie. Frank nigdy do tego nie doszedł. Zasnęłam w ciepłe jego mocnych ramion, czując gorący oddech, łaskoczący mnie w ucho.

Nazajutrz, kiedy poczłapałam do prewetu, czułam każdy mięsień z osobna.

Wnętrznosci paliły mnie, jakby były ubite na masło. Miałam wrażenie, że ktoś obił mnie kijem, po czym zdałam sobie sprawę, że odczucie to całkiem wiernie oddaje stan rzeczy.

Narzędzie przemocy leżało odsłonięte, o czym przekonałam się po powrocie do łóżka.

Teraz jednak wydawało mi się względnie nieszkodliwe. Jego właściciel obudził się, kiedy usiadłam, i przyjrzał mi się z bardzo wyraźnym samczym zadowoleniem.

– Wyglądasz, jakbyś miała za sobą długą jazdę – zauważył, muskając siniak na wewnętrznej stronie mojego uda. – Siodło cię otarło?

Zmrużyłam oczy i powiodłam palcem po głębokim

śladzie zębów na jego ramieniu.

– Sam też wydajesz się nieco poturbowany, mój chłopcze.

– Ach, cóż... Skoro ma się w łóżku lisicę, trzeba się spodziewać paru ukąszeń. – Chwytał mnie za kark i przyciągnął ku sobie. – Chodź, lisico. Ugryź mnie znowu.

– O, nie, nic z tego – zaprotestowałam, cofając się. – Nie mogę, jestem zbyt obolała.

James Fraser nie należał do ludzi, którym się odmawia.

– Będę bardzo delikatny – szepnął nagle i nieubłaganie wciągnął mnie pod kołdrę.

I rzeczywiście, był delikatny, jak tylko może być tak duży mężczyzna. Obchodził się ze mną jak z jajkiem, obdarzał pokorną cierpliwością, którą uznałam za przeprosiny, oraz łagodnie napierał, co z pewnością stanowiło kontynuację wczorajszej, brutalnie zaczętej lekcji. Tak, mógł być delikatny, ale nie znosił odmowy.

Wreszcie zadrżał w moich ramionach. Starał się nie poruszyć, nie urazić mego obolałego ciała, bezwzględny wobec siebie tak, jak wczoraj był wobec mnie.

Potem, nadal ze mną złączony, powiódł palcem po blednących siniakach, które zostawił na moich ramionach przed dwoma dniami, na drodze.

– Przepraszam cię za to, mo dumne – powiedział i pocałował delikatnie każde fioletowo-szare miejsce. – Byłem wtedy wzburzony, ale to mnie nie tłumaczy. Nie wolno krzywdzić kobiety, w gniewie czy też inaczej. Nigdy więcej tego nie zrobię.

Roześmiałam się z odrobiną ironii.

– Przepraszasz za to? A reszta? Jestem jednym wielkim siniakiem od stóp do głów.

– Hm? – Zmierzył mnie uważnym spojrzeniem. – Za to już cię przeprosiłem– Dotknął mojego ramienia. – Na te rany – poklepał mnie lekko po siedzeniu – zasłużyłaś i nie będę cię za nie przepraszać, bo nie czuję się winny. A co do tego... – pogładził moje udo. – Za to również cię nie przeproszę. Już mi odpłaciłaś, i to szczerze. – Potarł ramię i skrzywił się boleśnie. – Zraniłaś mnie aż do krwi co najmniej w dwóch miejscach, a grzbiet mnie pali jak sto tysięcy diabłów.

– Skoro sypiasz z lisicą... – zauważyłam z uśmiechem. – Nie usłyszysz ani jednego łaskawego słowa.

Roześmiał się i pociągnął mnie na siebie.

– Nie domagałem się przeprosin? Jeśli pamięć mnie nie myli, powiedziałem jedynie:

ugryź mnie raz jeszcze.

Poruszenie spowodowane naszym niespodziewanym przyjazdem i wieścią o ślubie niemal natychmiast zostało przygaszone wydarzeniem jeszcze większej wagi.

Następnego dnia podczas kolacji w Sali bezustannie odbieraliśmy życzenia szczęścia.

– Buidheachas, mo caraid. – Jamie skłonił się wytwornie ostatniemu ze wznoszących toasty i usiadł przy wtórce cichnących oklasków. Drewniana ława zatrzęsała się pod jego ciężarem. Jamie przymknął oczy.

– Masz już dość? – szepnęłam.

Jamie wziął na siebie spełnienie wszystkich kurtuazyjnych toastów, mogłam się więc ograniczyć do wypicia paru symbolicznych łyków i posyłania promiennych uśmiechów w odpowiedzi na niezrozumiałe celtyckie okrzyki.

Otworzył oczy i spojrzał na mnie, uśmiechnięty.

– Chcesz wiedzieć, czy jestem pijany? Nie, mógłbym tak pić przez całą noc.

– Piłeś – mruknęłam, spoglądając na szereg opróżnionych butelek po winie i kamiennych dzbanów po piwie. – Robi się późno.

Świece na stole Columa wypaliły się prawie do końca; drżące płomyki rzucały dziwne refleksy na obu braci, konferujących ze sobą z nisko pochylonymi głowami. Mogliby z łatwością zająć miejsce w galerii rzeźbionych gnomów, których podobizny zdobiły ogromne palenisko w Sali. Zaczęłam się zastanawiać, ilu poprzednich panów na zamku pozowało rzeźbiarzowi obdarzonemu poczuciem humoru... lub bardzo przywiązanemu do rodziny.

Jamie przeciągnął się nieznacznie i skrzywił.

– Chyba mi za chwilę pęknie pęcherz – powiedział.  
– Zaraz wracam.

Oparł się obiema dłońmi o ławę i przeskoczył przez oparcie. Znikł w korytarzu.

Odwrociłam się do sąsiadki z drugiej strony. Geilis Duncan z przesadną powagą sączyła piwo ze srebrnego kubka. Artur, jej mąż, siedział przy stole Columa. Zaszczytne miejsce należało mu się z racji urzędu, lecz Geilis uparła się, żeby usiąść obok mnie. Twierdziła, że nie

ma ochoty przez cały wieczór przysłuchiwać się męskim rozmowom.

Zapadnięte oczy Artura były na wpół przymknięte, opuchnięte ze zmęczenia i opilstwa. Oparł się na łokciach i zastygł w otępieniu. W ogóle nie zwracał uwagi na rozmowę braci MacKenziech. Światło świec, które sprawiało, że oblicze pana zamku przypominało płasko rzeźbę, Arturowi Duncanowi nadawało wygląd otyłego, chorego człowieka.

– Twój mąż nie wygląda najlepiej – zauważyłam. – Żołądek dokucza mu bardziej?

Symptomy choroby wydawały mi się dość nietypowe. To nie wrzód, pomyślałam, ani rak – nie przy takiej nadwadze. Być może Duncan rzeczywiście cierpi na chroniczny nieżytyżołądka.

Geilis rzuciła przelotne spojrzenie na małżonka i wzruszyła ramionami.

– Nic mu nie jest. Przynajmniej nie zauważyłam żadnej zmiany na gorsze. A twój mąż?

– Co mój mąż? – spytałam ostrożnie.

Pani Duncan dała mi dość mocnego szturchańca. Dopiero teraz zauważyłam, że przy niej także stoi pokaźny oddziałek pustych butelek.

– No, jak ci się podoba? Czy bez ubrania wygląda równie pięknie?

– Hm... – Zaczęłam szukać jakiejś odpowiedzi.

Geilis spojrzała w stronę drzwi.

– Reagujesz na niego dość obojętnie! Bardzo rozumnie. Połowa dziewcząt z zamku ma ochotę ci wyrwać



wszystkie włosy. Na twoim miejscu uważałabym, co jem.

– Co jem? – powtórzyłam głupio i spojrzałam na swoją drewnianą miskę z resztką tłuszczu i jedną zapomnianą cebulką.

– Trucizna – syknęła dramatycznie Geilis prosto w moje ucho.

Owiały mnie silne opary alkoholu.

– Nonsens – powiedziałam chłodno i odsunęłam się od mojej rozmówczynie. – Nikt nie będzie mnie truć tylko dlatego, że... że... – Język odmawiał mi posłuszeństwa. Być może i ja wypiałam odrobinę za wiele. – Daj spokój, Geilis. To małżeństwo... wcale go nie planowałam. Nawet nie chciałam! To tylko... taki układ zawarty z konieczności.

– Ha – mruknęła cynicznie Geilis. – Wiem dobrze, jak wygląda dziewczyna, której mąż dogadza. – Znowu zerknęła w kierunku drzwi, gdzie zniknął Jamie. – Niech mnie diabli, jeśli to komary tak go pokąsały w szyję. – Uniosła brew. – Jeżeli wasze małżeństwo jest tylko kontraktem, to mówię ci, dobrze na nim wyszłaś.

Znowu przysunęła się do mnie.

– Czy to prawda? – szepnęła. – Wiesz, o kciukach?

– Co? Geilis, co ty wygadujesz?

Spojrzała na mnie, marszcząc brwi. Jej śliczne oczy były lekko zamglone. Przez chwilę miałam wrażenie, że straci przytomność.

– Na pewno wiesz, wszyscy wiedzą. Kciuki mężczyzny świadczą o rozmiarach jego członka. Paluchy u stóp także – dodała dla porządku – ale te trudno na co dzień zobaczyć. Twój lisek – skinęła głową w stronę drzwi, w

których stanął Jamie – mógłby zmieścić w swoich dłoniach sporą dynię. Albo spory zadek – dorzuciła i znów trąciła mnie łokciem.

– Geilis Duncan... milcz... na Boga! – syknęłam, zaczerwieniona po białka oczu. – Jeszcze ktoś cię usłyszy!

– Nikt, kto... – urwała i zastygła.

Jamie minął nas, jakbyśmy stały się niewidzialne. Był błądy i zaciskał usta z miną kogoś, kogo czeka nieprzyjemne zadanie.

– Co mu się stało? – mruknęła Geilis. – Wygląda jak Artur po zjedzeniu surowej rzepy.

– Nie wiem. – Powoli wstałam z ławy.

Jamie szedł prosto do stołu Columa. Czy powinnam do niego dołączyć? Najwyraźniej coś się wydarzyło.

Geilis pociągnęła mnie nagle za rękaw i wskazała w kierunku, skąd przyszedł Jamie.

W drzwiach stał jakiś mężczyzna. Miał zabłocone ubranie. Pewnie przez długi czas był w podróży. Posłaniec. Wiadomość przekazał Jamiemu, który właśnie szepnął coś do ucha Columowi.

Nie, nie Columowi. Dougalowi. Ruda głowa pochyliła się nisko pomiędzy dwoma ciemnymi. Gasnący blask słońca wydobywał podobieństwo rysów trzech twarzy. Zdałam sobie jednak sprawę, że podobny wygląd nie wynika z układu kości i mięśni, lecz wspólnego wyrazu wstrząsu i smutku.

Geilis wbiła mi palce w ramię.

– Złe wieści – poinformowała, choć to nie było już konieczne.

– Dwadzieścia cztery lata – odezwałam się cicho. – To wiele jak na małżeństwo.

– Tak – zgodził się Jamie. Ciepły wiatr poruszył gałęziami drzewa nad naszymi głowami i uniósł mi włosy, które połaskotały mnie w policzki. – Dłużej niż całe moje życie.

Opierał się o płot padoku – szczupły, pełen wdzięku i siły. Czasami zapominałam, jaki jest młody – Wydawał się taki pewny siebie i odpowiedzialny.

– Choć wątpię – dodał – by Dougal spędził z nią więcej niż trzy lata. Najczęściej bywał tutaj, w zamku... lub objeżdżał ziemie Columa w jego imieniu.

Maura, żona Dougala, zmarła w posiadłości Beannachd. Nagły atak gorączki. Dougal wyjechał o świcie, w towarzystwie Neda Gowana i posłańca. Miał zorganizować pogrzeb i zająć się majątkiem żony.

– Więc nie byli sobie zbyt bliscy? – spytałam, zaciekawiona.

Jamie wzruszył ramionami.

– Nie mniej niż inni. Zajmowała się dziećmi i domem. Chyba nie tęskniła zbyt za Dougalem, choć wydawała się zadowolona, kiedy przyjeżdżał.

– Mieszkałeś z nimi przez jakiś czas, prawda? – Zamyśliłam się.

Czy Jamie tak właśnie wyobrażał sobie nasze małżeństwo? Życie z dala od siebie, łączenie się tylko po to, aby spłodzić dzieci? A jednak z jego nieczęstych wzmianek o rodzicach wynikało, że matka i ojciec byli sobie bliscy, darzyli się miłością.

Znowu odgadł, o czym myślałam.

– Moi rodzice byli inni – powiedział. – Małżeństwo Dougala zostało zaaranżowane, tak jak i Columa. Bardziej chodziło o ziemię i majątki niż o miłość. Lecz moi rodzice...

tak, oni się kochali i pobrali wbrew woli obu rodów, dlatego też... no, może nie zostali wyklęci, ale pozostawiono ich samym sobie. Nie jeździli z wizytami do krewnych i nie opuszczali Lallybroch, więc zbliżyli się do siebie bardziej, niż to zwykle bywa w przypadku małżonków.

Położył mi dłoń na plecach i lekko przyciągnął ku sobie. Musnął wargami moje ucho.

– Nasze małżeństwo też było zaaranżowane – powiedział cicho. – Mam jednak nadzieję, że kiedyś... może... – urwał z zawstydzonym uśmiechem i machnął ręką.

Nie chciałam go zachęcać do dalszych wyznań. Uśmiechnęłam się chłodno i ruszyłam w stronę padoku. Czułam, że Jamie idzie tuż za mną, prawie mnie dotykając, przesuwając dużą dłońią po żerdzi ogrodzenia. Ja też się jej chwyciłam, żeby nie szukać jego ręki. Ze wszystkich sił pragnęłam się odwrócić i zapewnić go słowem i czynem, że nasze wzajemne relacje wykraczają poza zwykły układ. Ale właśnie świadomość wspólnej bliskości tak bardzo mnie powstrzymywała.

– To, co jest pomiędzy nami, – powiedział, – kiedy przy tobie leżę, kiedy mnie dotykasz...

Nie, to nie było nic zwyczajnego. Nie chodziło też o

zauroczenie. Mieliśmy do czynienia z czymś znacznie bardziej skomplikowanym. Musiałam przyznać, że zostałam przykuta do tego mężczyzny przysięgą wobec Boga i ludzi. Przykuta więzami miłości.

Pod żadnym pozorem nie mogłam powiedzieć Jamieemu, co do niego czuję. Gdybym to zrobiła, a potem odeszła, zadałabym mu cios najbardziej okrutny z okrutnych; Nie wolno mi było go także okłamać.

– Claire.

Jamie odwrócił się, poczułam na sobie jego wzrok. Nie odezwałam się, ale podniosłam głowę, a on mnie pocałował. Ogarnęła mnie nieklamana namiętność.

W końcu, pomyślałam, przyrzekłam mu szczerość.

Głośne odchrząknięcie wyrwało nas z transu. Jamie drgnął i zwrócił się gwałtownie w stronę, skąd dochodził dźwięk. Instynktownie zasłonił mnie własnym ciałem. Potem rozluźnił napięte mięśnie i uśmiechnął się. Stary Alec MacMahon stał za ogrodzeniem, mierząc nas sardonicznym spojrzeniem jedyne jasnoniebieskiego oka. Uniósł wielkie nożyce do kastrowania i pokiwał nimi.

– Chciałem z nimi odwiedzić Mahometa, ale widzę, że można z nich zrobić lepszy użytek! – Otworzył i zamknął ze szczękiem grube ostrza. – Więcej myślałbyś o robocie, a mniej o igraszkach.

– Nie mów tak nawet żartem – odparł uśmiechnięty Jamie. – Wzywałeś mnie, czy tak?

Alec poruszył grubymi brwiami, przypominającymi włochate gąsienice.

– Nie, dlaczego tak pomyślałeś? Chciałem całkiem

sam wykastrować krzepkiego dwulatka, ot... dla zabawy. – Parsknął krótkim śmiechem z własnego dowcipu. Machnął nożycami w stronę zamku. – Z Bogiem, dziewczyno. Odzyskasz ukochanego wieczorem...

jeśli jeszcze ci się na coś przyda.

Jamie zgrabnie odebrał Alecowi nożyce. Najwyraźniej nie ufał staremu.

– Będę spokojniejszy, mając je pod ręką – wyjaśnił.

– Uciekaj, Angielko. Zrobię to, co należy do Aleca, i sam cię znajdę.

Pochylił się, żeby pocałować mnie w policzek i szepnął:

– Stajnie... Kiedy słońce znajdzie się w zenicie.

Zamkowe stajnie były lepiej zbudowane niż wiele chat, które widywałam podczas podróży z Dougalem. Miały kamienne podłogi i ściany. Jedyne wyjście na świat stanowiły walcie okienka po jednej stronie, drzwi po drugiej i szczeliny pod grubą strzechą dachu, pozostawione chyba specjalnie dla sów, polujących na myszy w sianie. Wszystkie te otwory zapewniały również dobrą wentylację i wpuszczały tyle światła, że stajnie nie wydawały się ponure, lecz pogrążone w przyjemnym półmroku.

Tuż pod dachem, w przegrodzie na siano, było jeszcze więcej światła. Słońce wpadało do środka strumieniami złotych promieni, w których wirujące drobiny kurzu wyglądały jak złoty pył. Ciepły wiatr przynosił ze sobą woń lewkonii, goździków i czosnku z warzywnika, i z dołu dochodził miły zapach koni.

Jamie poruszył się i usiadł. Słońce zapaliło w jego

włosach ogniste lśnienie.

– Co się stało? – spytałam sennie i odwróciłam głowę w kierunku, w którym spoglądał.

– Mały Hamish – odparł cicho. – Chyba przyszedł po kucyka.

Niezgrabnie odwróciłam się na brzuch i skromnie naciągnęłam na siebie fałdy koszuli; idiotyczne wysiłki, ponieważ z dołu widać było najwyżej czubek mojej głowy.

Hamish, syn Columa, szedł powoli pomiędzy końskimi boksami. Przy niektórych zatrzymywał się na chwilę, choć nie reagował na parskanie zaciekawionego bułanka i gniadosza. Wyraźnie wypatrywał konkretnego konia, choć nie swojego tłustego kucyka, spokojnie skubiącego sianko w boksie przy drzwiach.

– Dobry Boże, on idzie do Donasa! – Jamie chwycił kilt i pospiesznie owinał nim biodra. Nie tracił czasu na schodzenie po drabinie; mocno uchwycił się rękoma krawędzi zagrody na siano i błyskawicznie zeskoczył na podłogę. Na przysypanych sianem kamieniach wylądował zgrabnie, lecz na tyle głośno, że mały Hamish odwrócił się gwałtownie, przestraszony.

Na widok Jamiego piegowata buzia chłopca trochę się rozjaśniła, ale błękitne oczy pozostały czujne.

– Pomóc ci, kuzynku? – zagadnął serdecznie Jamie.

Oparł się o ścianę boksów, stając chłopcu na drodze. Hamish zawahał się, ale po chwili odzyskał odwagę i uniósł wysoko małą brodę.

– Idę do Donasa – oznajmił tonem, który zapewne miał dźwięczeć zdecydowaniem, ale zabrzmiał dość

niepewnie.

Donas – słowo to oznaczało demona i żadną miarą nie można go było odczytać jako pochlebstwo – znajdował się w pojedynczym boksie w najdalszym krańcu stajen, od grodzony od najbliższych koni pustą przestrzenią. Potężny, narowisty gniady ogier nie dawał się nikomu dosiadać i tylko stary Alec i Jamie mieli dość odwagi, by się do niego zbliżyć.

Z boksu rozległo się wściekłe rżenie. Nagle nad przepierzeniem ukazała się ogromna rdzawa głowa. Wielkie żółte zęby kłapały w stronę nagiego ramienia, tak kusząco opartego.

Jamie nawet nie drgnął; wiedział, że ogier go nie dosięgnie. Hamish pisnął cienko i odskoczył, wstrząśnięty widokiem potwornego łba o przekrwionych oczach i rozdętych chrapach.

– Chyba jednak nie – zauważył łagodnie Jamie. Ujął kuzyna za rękę i odprowadził od boks, którego ściany drżały od uderzeń śmiertelnie groźnych kopyt. Hamish wdrygał się przy każdym ciosie.

Jamie odwrócił chłopaka do siebie, wziął się pod boki i spojrzał na niego surowo.

– Dobrze, więc o co chodzi? Co chciałeś zrobić z Donasem?

Hamish zacisnął zęby, ale Jamie, zarazem łagodny i natarczywy, nie dał się zbyć.

Lekko trącił chłopca w ramię. Mały odpowiedział mu uśmiechem.

– No, dalej, duine – szepnął. – Wiesz, że nikomu nie



powiem. Może coś przeskrobałeś?

Na białych policzkach Hamisha pojawił się rumieniec.

– Nie. A właściwie... nie. No, trochę.

Po chwili dalszych zachęt historia popłynęła z początku opornie, potem – gdy tamy puściły – wezbraną falą.

Poprzedniego dnia Hamish wybrał się na kucyku na przejażdżkę w towarzystwie innych chłopców. Kilku starszych zaczęło ze sobą konkurować w skokach przez coraz wyższe przeszkody. Hamish, który się im zazdrośnie przyglądał, zapomniał o rozwadze i usiłował zmusić swego małego tłusciutkiego kuczka do skoku przez kamienny murek.

Konik, którego tak zdolności, jak i waleczny duch pozostawiały wiele do życzenia, zatrzymał się jak wryty tuż przed ogrodzeniem. Hamish wypadł z siodła prosto w kępę pokrzyw. Chłopiec, obolały po twardym lądowaniu i kpinach kolegów, postanowił znaleźć sobie „przyzwoitego wierzchowca”, jak to określił.

– Nie drwiliby ze mnie, gdybym dosiadł Donasa – zakończył, uśmiechając się tęsknie na samą myśl o popisie jazdy na ogierze.

– Masz rację – przyświadczył Jamie. – Byliby zbyt zajęci zbieraniem szczątków.

Spojrzał na chłopca i powoli pokręcił głową.

– Trzeba odwagi i rozwagi, by zostać dobrym jeźdźcem. Odwagi ci nie brakuje, lecz rozwagi owszem – Poklepał Hamisha po ramieniu i pociągnął go w głąb stajen.

– Chodź, chłopie. Pomóż mi przerzucić siano, a przy okazji poznasz się z Cobharem. Istotnie, potrzebujesz lepszego konia, skoro już jesteś do tego gotów, ale nie musisz się koniecznie zabić, by to udowodnić.

Przechodząc, rzucił mi spojrzenie, uniósł brew i wzruszył bezradnie ramionami.

Uśmiechnęłam się i machnęłam ręką na znak, żeby nie zwracał na mnie uwagi.

Jamie wybrał jabłko ze stojącego przy drzwiach koszyka spadów. Wziął widły i zaprowadził Hamisha do jednego z boksów na środku stajni.

– Masz, kuzynie – powiedział. Gwizdnął cicho przez zęby; ponad przepierzeniem ukazała się głowa gniadego konia, który parsknął na powitanie. Miał duże, przyjazne oczy, a lekko pochylone do przodu uszy nadawały mu wyraz wesołego zaciekawienia.

– No, Cobhar, ciamar a tha thu? – Jamie mocno poklepał gładką szyję zwierzęcia i podrapał je za uszami. – Stań tutaj, koło mnie – zwrócił się do chłopca. – Tak blisko, żeby złapał twój zapach. Konie lubią czuć zapach człowieka.

– Wiem – burknął z urazą Hamish. Z trudem dosięgnął końskich chrap, lecz zdołał je pogłaskać. Wierzchowiec parsknął z zainteresowaniem, ale chłopiec się nie cofnął i nie drgnął nawet wtedy, gdy duża głowa pochylili się ku niemu, a chrapy zanurzyły w jego włosy.

– Daj mu jabłko – rozkazał Jamie.

Aksamitne wargi delikatnie wyjęły owoc z dłoni chłopca i po chwili rozległo się soczyste chrupanie. Jamie

przyglądał się temu z aprobatą.

– Dobrze ci poszło. Zaprzyjajnij się z nim, a ja nakarmię pozostałe. Potem możesz go zabrać na przejażdżkę.

– Sam? – spytał z nadzieją Hamish.

Cobhar, którego imię oznaczało pianę, był łagodnym z natury, lecz silnym i rosnym wałachem, zupełnie różnym od kasztanowatego kucyka.

– Dwa okrążenia na padoku pod moim okiem. Jeśli nie spadniesz ani nie będziesz szarpał wędzidłem, możesz na nim jeździć sam. Ale żadnych skoków, dopóki nie pozwolę.

– Jamie chwycił na widły kolejną wiązkę siana i zaniósł ją do następnego boksu; jego plecy lśniły w ciepłym mroku stajni. Wyprostował się i uśmiechnął do małego kuzyna.

– Daj jedno.

Odstawił widły i ugryzł podane mu jabłko. Przez chwilę obaj jedli w milczeniu, wsparci obok siebie o ścianę. Stojący za przepierzeniem bułanek ciągle trącał Jamiego pyskiem. W końcu Jamie dał mu ogryzek i znowu sięgnął po widły. Hamish poszedł za kuzynem, powoli żując jabłko.

– Mówią, że mój ojciec był dobrym jeźdźcem – zaczął z wahaniem chłopak – dopóki... póki jeszcze mógł dosiadać konia.

Jamie zerknął na niego z ukosa, ale nie odezwał się, zanim skończył przerzucać siana.

– Nigdy nie widziałem Columa na koniu, lecz

powiem ci jedno, chłopcze, pewnie w życiu nie zdobędę się na tyle odwagi, ile wykazał twój ojciec.

Hamish spojrział na pokiereszowane plecy Jamiego, ale nie skomentował tego widoku. Po drugim jabłku jego myśli odpłynęły chyba w innym kierunku.

– Słyszałem od Ruperta, że musiałeś się ożenić – wybełkotał z pełnymi ustami.

– Chciałem się ożenić – oznajmił z naciskiem Jamie, odstawiając widły pod ścianę.

– Ach, tak... to dobrze – powiedział niepewnie chłopiec, jakby zbity z tropu tak niespodziewaną interpretacją. – Ciekawi mnie tylko... czy byłeś temu przeciwny?

– Przeciwny czemu? – Jamie usiadł na stercie siana. Najwyraźniej doszedł do wniosku, że ta rozmowa może potrwać dłużej.

Gdyby Hamish dosięgał nogami podłogi, pewnie zacząłby nimi nerwowo przebierać.

Z braku innych możliwości zabębnił piętami o twarde snopek.

– Czy byłeś przeciwny małżeństwu – wyjaśnił, patrząc z napięciem na kuzyna. – Temu, że musisz się codziennie kłaść do łóżka z kobietą.

– Nie. Szczerze mówiąc, to bardzo przyjemne.

Hamish nie wydawał się przekonany.

– Mnie to chyba się nie będzie podobać. Wszystkie dziewczyny w zamku są chude jak patyki i zalatuje od nich owsianką. No, pani Claire... twoja żona – dodał pospiesznie, jakby chciał uniknąć nieporozumienia –

wygląda... hm, jakby było z nią przyjemnie sypiać. Jest miękka.

Jamie skinął głową.

– To prawda. I ładnie pachnie. – Mimo mroku dostrzegłam drganie kącika ust Jamiego.

Wiedziałam, że nie zaryzykuje spojrzenia w górę. Nastąpiła długa chwila ciszy.

– Skąd wiedziałeś? – spytał Hamish.

– Co?

– Że właśnie z nią masz się ożenić – dorzucił niecierpliwie chłopiec.

– A... – Jamie oparł się o kamienną ścianę i założył ręce pod głowę. – Kiedyś identyczne pytanie zadałem swojemu ojcu. Odpowiedział, że to się po prostu wie. A jeśli się nie wie, nie jest to właściwa dziewczyna.

– Mhmmm. – Sądząc po wyrazie piegowanej buzi, odpowiedź nie wydała się Hamishowi zadowolająca.

Chłopiec oparł się o ścianę, najwyraźniej naśladowując Jamiego. Stopy młodego Mackenziego, obleczone w pończochy, wystawały nieco za snopek siana. Niska, lecz krzepka figurka kryła w sobie zapowiedź potężnej postury. Ułożenie kwadratowych ramion i kształt mocnej, ładnie uformowanej czaszki były niemal identyczne jak jego starszego kuzyna.

– A gdzie podziałeś buty? – spytał surowo Jamie – Chyba ich nie zostawiłeś na pastwisku? Matka wytarga cię za uszy, jeśli znowu zgubiłeś trzewiki.

Hamish wzruszył lekceważąco ramionami, pochłonięty znacznie ważniejszym problemem.

– John... – zaczął, marszcząc z namysłem płowe brwi. – John powiedział...

– John stajenny, John kuchcik czy John Cameron? – sprecyzował Jamie.

– Stajenny. – Chłopiec machnął ręką ze zniecierpliwieniem. – Powiedział coś o małżeństwie...

– Hmmm? – mruknął zachęcająco Jamie i taktownie odwrócił twarz.

Zerknął w górę, napotkał moje spojrzenie, a ja uśmiechnęłam się do niego promiennie. Musiał zagryźć wargę, żeby także się nie uśmiechnąć.

Hamish zaczerpnął głęboki haust powietrza i wyrzucił z siebie z szybkością karabinu maszynowego:

– Powiedział-że-trzeba-dogodzić-swojej-pani-tak-jak-ogier-klaczy-i-wcale-mu-nie-wierzę-ale-czy-to-prawda?

Mocno ugryzłam się w palec, żeby nie wybuchnąć głośnym śmiechem. Jamie, znajdujący się w mniej dogodnym położeniu, wbił paznokcie w nogę i poczerwieniał równie mocno jak Hamish. Obaj przypominali dwa pomidory, wyłożone na pokaz na snopku siana.

– Hm... więc... można tak powiedzieć... – wykrztusił zduszonym głosem. Potem zdołał się opanować. – Tak – oznajmił z mocą. – Tak, tak trzeba.

Hamish rzucił trwożne spojrzenie w stronę gniadego wałacha, którego instrument reprodukcyjny mierzył dobre czterdzieści centymetrów. Potem popatrzył smętnie na swój podołek, a ja wtoczyłam sobie do ust garść materiału.

– Ale nie całkiem tak to wygląda – dodał Jamie. Intensywny rumieniec powoli zniknął z jego policzków, choć usta nadal drżały mu niebezpiecznie. – Przede wszystkim należy się zachowywać... bardziej delikatnie.

– Więc nie trzeba jej gryźć w szyję, by stała spokojnie? – Poważny, skupiony wyraz twarzy Hamisha zdradzał, że mały zapisuje w pamięci każde słowo Jamiego.

– Hm... nie. Przynajmniej na ogół. – Jamie mężnie stawiał czoło trudom uświadamiania, czym udowodnił niezwykłą siłę ducha. – Jest jeszcze jedna różnica – dodał, starannie unikając spoglądania w górę. – Można to robić twarzą w twarz, a nie od tyłu. Jeśli kobieta sobie tak zażyczy.

– Kobieta? – powtórzył z powątpiewaniem Hamish. – Ja bym wolał to robić od tyłu.

Nie chciałbym, by ktoś na mnie patrzył w takim momencie. Czy bardzo trudno się nie śmiać?

Położyłam się do łóżka, ciągle myśląc o Jamie i Hamishu. Naciągnęłam na siebie grubą kołdrę i uśmiechnęłam się. Od okna wiało chłodem, a ja nie mogłam się już doczekać, żeby ogrzać się ciepłem Jamiego. On nigdy nie czuł chłodu, całkiem jakby miał w środku rozpalony do czerwoności piecyk. Jego skóra była nieustannie ciepła, a czasem wręcz gorąca, jeszcze bardziej rozgrzewana moim chłodnym dotykiem.

Nadal byłam obcą i cudzoziemką, ale nikt już nie traktował mnie jak gościa. Mężatki odnosiły się do mnie nieco życzliwiej, ponieważ stałam się jedną z nich, ale młodsze dziewczęta nie mogły mi darować, że ukradłam im

bardzo pożądaną partię. Sądząc po ilości zimnych spojrzeń i zjadliwych uwag, niejedna odwiedziła alkowę w towarzystwie Jamiego MacTavisha podczas jego krótkiego pobytu w zamku.

Oczywiście teraz nikt go już tak nie nazywał. Większość mieszkańców znała jego prawdziwe nazwisko, a ja – darzona zaufaniem czy nie – z konieczności także je poznałam. A zatem Jamie oficjalnie stał się Fraserem, ja zaś, oczywiście, panią Fraser.

Jako ona pana Fräsera wchodziłam do komnaty nad kuchnią, gdzie mężatki szyły i kołysały do snu dzieci. Podczas tych zajęć wymieniały dobre rady i z całą otwartością przyglądały się mojemu brzuchowi.

Ze względu na problemy z zajściem w ciążę nie brałam pod uwagę możliwości poczęcia dziecka z Jamiem, choć na każdą miesiączkę czekałam z napięciem, a jej pojawienie się witałam z ulgą, nie – jak wcześniej – ze smutkiem. W tej chwili moje życie było zbyt skomplikowane. Cięża stanowiłaby dodatkowy kłopot. Wydawało mi się, że Jamie jest odrobinę zawiedziony, ale on także odczuwał ulgę. W jego położeniu dziecko byłoby luksusem, na który nie mógł sobie pozwolić.

Drzwi otworzyły się i Jamie wszedł do komnatki, wycierając głowę lnianym ręcznikiem. Krople wody, spadające z jego włosów, znaczyły mu koszulę ciemnymi plamami.

– Gdzie ty się podziewałeś? – spytałam z zaskoczeniem.

Chociaż zamek Leoch w porównaniu z chatami ze



wsi mógł się wydawać luksusową rezydencją, z pewnością nie posiadał żadnych sanitarnych udogodnień. Colum moczył obolałe nogi w miednicy, a kobiety kąpały się w kadzi, do której same nosiły wodę. Poza tym większość myła się albo w miednicach, albo nad jeziorem lub w małym pomieszczeniu z kamienną podłogą, znajdującym się na tyłach ogrodu. Tam młode kobiety stawały nagie, a inne oblewały je wodą z wiadra.

– Byłem nad jeziorem – odparł Jamie, skrupulatnie wieszając mokry ręcznik na parapecie. – Ktoś zostawił otwarty boks i uchylone drzwi do stajni – dodał z ponurym naciskiem. – Cobhar nabrał chętki, by popływać przy księżycu.

– A, to dlatego nie przyszedłeś na kolację. Ale konie chyba nie lubią wody?

Jamie pokręcił głową i przeczesał włosy palcami.

– Zgadza się, nie lubią. Ale każdy jest inny, całkiem jak ludzie. Cobhar zasmakował w młodych wodnych roślinkach. Skubał je sobie nad brzegiem, gdy nagle wypadła sfora wioskowych psów i wpędziła go w głąb jeziora. Musiałem przepędzić psiska i wyprowadzić Cobhara. Niech no tylko złapię Hamisha – warknął złowrogo. – Już ja go nauczę zamykać drzwi.

– Powiesz Columowi? – spytałam, czując przyływ współczucia dla małego łobuza.

Jamie pokręcił głową i zaczął grzebać w sporraniu. Wyciągnął z niego bułkę i kawał sera, prawdopodobnie zwędzony z kuchni.

– Nie, Colum jest dla niego surowy. Gdyby się

dowiedział, że Hamish był tak nierozważny, zabroniłby mu przez miesiąc wsiadać na konia. Zresztą dzieciak nie mógłby nawet usiąść po laniu, jakie by dostał. Boże, umieram z głodu. – Ugryzł wielki kawałek bułki. Na podłogę posypały się okruszki.

– Tylko nie wchodź z jedzeniem do łóżka – rzuciłam ostrzegawczo. – Więc co zamierzasz zrobić z Hamishem?

Jamie przełknął resztę bułki i posłał mi szeroki uśmiech.

– Nie martw się. Jutro tuż przed kolacją zagonię go nad jezioro i wrzucę do wody. Za nim wypłynie na brzeg i się wysuszy, będzie już po kolacji. – Trzema kłapnięciami zębów pochłonął ser i bezwstydnie oblizał palce. – Niech Hamish też idzie do łóżka mokry i głodny. Zobaczymy, jak mu się to spodoba.

Zajrzał z nadzieją do szuflady biurka, gdzie czasami przechowywałam jabłka lub inne drobne zapasy jedzenia. Niestety, dziś była pusta. Jamie zamknął ją z westchnieniem.

– Może dożyję do śniadania – powiedział filozoficznie.

Zdjął szybko ubranie i położył się obok mnie. Cały drżał.

Choć ręce i nogi miał lodowate po pływaniu w zimnym jeziorze, jego ciało było rozkosznie ciepłe.

– Mmm, miło się tak do ciebie przytulać – mruknął i natychmiast przysunął się jeszcze bliżej. – Pachniesz inaczej niż zwykle. Pracowałaś w ogrodzie?

– Nie – zdziwiłam się. – Myślałam, że to ty...

Zapach był silny, ziołowy, nie drażniący, lecz nieznajomy.

– Ja pachnę rybą – oznajmił Jamie, wachając wierzch swojej dłoni. – mokrym koniem. – Pochylił się nad łóżkiem i wciągnął powietrze. – To nie ty. Ale gdzieś blisko.

Ześliznął się z łóżka i odchylił kołdrę. Źródło zapachu znajdowało się pod moją poduszką.

– A to co znowu... ? – Ujęłam mały wiecheć i natychmiast go puściłam. – Au! Kłuje!

Rośliny, związane kawałkiem czarnej nitki, były już zwędłe, ale z wiotkich liści unosił się odurzający zapach. W tym dziwnym bukiecie znajdował się jeden zgnieciony kwiat, o którego kolczastą łodygę skaleczyłam sobie kciuk.

Wysłałam rankę, a drugą ręką ostrożnie odwróciłam wiązkę. Jamie stał nieruchomo i przez chwilę przyglądał się roślinom. Potem raptownie podniósł je i wyrzucił przez otwarte okno. Wrócił do łóżka, energicznie zgarnął z posłania drobiny ziemi i cisnął w ślad za ziołami. Zamknął okno z trzaskiem i otrzepał dłonie.

– Po wszystkim – wyjaśnił niepotrzebnie. Wrócił do łóżka. – Chodź do mnie.

Angielko.

– Co to było? – spytałam, kładąc się obok niego.

– Żart, jak sądzę. Złośliwy, lecz jedynie żart. – Podniósł się na łokciu i zdmuchnął świecę. – Ogrzej mnie, mo dumne, zmarzłem.

Mimo denerwującego incydentu spałam dobrze,

pewna podwójnego zabezpieczenia w postaci ramion Jamiego i zaryglowanych drzwi. Tuż przed świtem przyśniła mi się zielona dolina pełna motyli. Żółte, brązowe, białe i pomarańczowe, wirowały wokół mnie jak jesienne liście, siadały mi na głowie i ramionach, osuwały się wzdłuż mojego ciała jak deszcz, łapkami łaskotały mi skórę, a aksamitne skrzydełka trzepotały w rytm uderzeń serca.

Powoli wynurzyłam się na powierzchnię rzeczywistości. Zrozumiałam, że łaskoczące mnie w brzuch owadzie nóżki to miękkie rude włosy Jamiego. Motyl uwięziony pomiędzy moimi udami okazał się natomiast językiem kochanka.

– Mmm – odezwałam się po jakimś czasie. – Wszystko pięknie, jeśli o mnie chodzi, ale co z tobą?

– Starczą trzy sekundy, jeśli będziesz tak robić dalej – powiedział i odsunął moją rękę. – Lecz wolę się nie spieszyć, bo z natury jestem człowiekiem powolnym i statecznym. Czy mogę cię prosić, pani, byś mi towarzyszyła?

– Możesz. – Splotłam ręce za głową i wbiłam w niego wyzywające spojrzenie spod półprzymkniętych powiek. – Jeśli chcesz powiedzieć, że tak zgrzybiałeś, iż stać cię już tylko na jeden miłosny akt dziennie.

Rzucił mi spojrzenie spode łba; potem dostrzegłam tylko biały błysk i nagle zostałam przygwożdżona do materaca.

– Skoro tak... – wymamrotał w plątanicę moich włosów. – Nie mów potem, że cię nie ostrzegałem.

Dwie i pół minuty później jęknął i otworzył oczy. Energicznie potarł twarz obiema rękami, przesunął nimi po włosach, które natychmiast się zjeżyły. Ze stłumionym celtyskim przekleństwem wygrzebał się spod przykrycia i zaczął ubierać. Drżał w chłodzie poranka.

– A może powiedziałbyś Alecowi, że zachorowałaś i musisz wracać do łóżka? – odezwałam się z nadzieją.

Jamie parsknął śmiechem, pocałował mnie i zanurkował pod łóżko w poszukiwaniu pończoch.

– Z przyjemnością bym to zrobił. Angielko. Ale wątpię, żebym zdołał się wykręcić czymś mniej groźnym niż ospa, zaraza lub poważna rana. Gdyby się wydało, że nie krwawię, stary Alec przybyłby tu natychmiast. Zwlóklby mnie nawet z łoża śmierci.

Przyjrzałam się zgrabnym, długim łydkom Jamiego; wprawnie wciągnął pończochy i zwinął je u góry.

– Poważna rana? Mogłabym się o to postarać – zapowiedziałam złowrogo.

– Uważaj, gdzie mierzysz. Angielko. – Spróbował mrugnąć znacząco, ale udało mu się tylko niemiłosiernie skrzywić. – Ciut za wysoko i na nic ci się nie przydam.

Uniosłam brew i schowałam się pod kołdrę.

– Bez obaw. Nawet cię nie dotknę powyżej kolana, obiecuję.

Poklepał mnie po rysującej się pod okryciem wypukłości i wyszedł, śpiewając głośno „tam na wrzosowisku”. Z korytarza doleciał mnie refren:

*Z milutką dziewczeczką siedziałem nad ranem,  
Gdy mnie nagle bąk użądlił, sporo nad kolanem,*

*Tam na wrzosowisku, zupełnie nad raneeem!*

Nie mylił się, rzeczywiście kompletnie nie miał słuchu.

Zapadłam w krótkotrwały stan przyjemnego odrętwienia, ale po chwili ocknąłam się, ubrałam i zeszłam na śniadanie. Większość mieszkańców zamku już wyszła do pracy; ci, którzy pozostali, przywitali mnie dość życzliwie. Nie zauważyłam nieprzyjaznych spojrzeń, wrogości lub prób zbadania, jakie wrażenie wywarł paskudny figiel splątany mi wczorajszej nocy.

Poranek spędziłam samotnie w ogrodzie i na polu, zaopatrzona w koszyk i szpadelek.

Skończyły mi się już najbardziej popularne zioła. Zwykle wieśniacy zwracali się o pomoc do Geilis Duncan, ale ostatnio do mnie zgłosiło się paru pacjentów ze wsi. Kuracja ziołami cieszyła się niesłabnącym zainteresowaniem, a Geilis prawdopodobnie była zbyt zajęta chorym mężem, by dbać o zdrowie innych osób.

Resztę popołudnia spędziłam w gabinecie. Tego dnia ruch był niewielki. Musiałam się uporać tylko z przypadkiem uporczywej egzemy, wybitym kciukiem i oparzeniem gorącym bulionem. Zaaplikowałam masę z żółticy i biedrzeńca, po czym nastawiłam i opatrzyłam kciuk. Na końcu zabrałam się do ubijania kłacza pięciornika w jednym z mniejszych mózdzierzy świętej pamięci Beatona. Monotonne zajęcie dobrze pasowało do ospałego popołudnia. Pogoda była piękna, a gdy stanęłam na stole, żeby wyrzeć na zewnątrz, zauważyłam, że pod wiązami na zachodzie kładą się błękitne cienie.

W gabinecie na półkach stały równiutkie rzędy lśniących szklanych butli, a w szafkach piętrzyły się schludne stosiki bandaży i kompresów. Aptekarski kredens, dokładnie wymyty zdezynfekowany, mieścił zapasy suchych liści, korzeni i grzybów, porządnie zapakowanych w bawełniane woreczki. Moje sanktuarium wypełniał intensywny aromat. Głęboko wciągnęłam powietrze przesycone pięknym zapachem i wypuściłam je z westchnieniem zadowolenia.

Nagle odłożyłam tłuczek moździerza i znieruchomiałam. Jestem zadowolona, pomyślałam z zaskoczeniem. Mimo licznych trudności, a także nieufności, jaką tu budziłam, mimo nieustępliwej tęsknoty za Frankiem – nie byłam nieszczęśliwa. Wprost przeciwnie.

Natychmiast poczułam zawstydzenie. Jak mogę pławić się w zadowoleniu, skoro Frank na pewno odchodzi od zmysłów? Zakładając, że moje czasy potoczyły się dalej – a nie widziałam powodu, dla którego miałyby być inaczej – nie było mnie już od czterech miesięcy. Wyobraziłam sobie Franka, jak przeszukuje okoliczne tereny, dzwoni na policję, czeka na jakikolwiek znak życia, jakąś wiadomość ode mnie. Teraz pewnie stracił już nadzieję i jest przygotowany na najgorsze.

Odstawiłam moździerz. Zaczęłam krążyć po wąskiej komnatce, mnąc fartuch w przyptywie smutku i wstydu. Powinnam stąd uciec. Powinnam próbować wrócić. Ale, właśnie próbowałam, przypomniałam sobie. I proszę, co z tego wynikło.

Zostałam żoną szkockiego wyrzutka. Obojga nas

poszukiwał sadystyczny kapitana dragonów. Ponadto mieszkaliśmy wśród barbarzyńców, którzy zabiliby Jamiego bez wahania, gdyby uznali, że stanowi zagrożenie dla spadkobiercy przywódcy klanu. A ja czułam się szczęśliwa! I to było najgorsze.

Usiadłam i wbiłam wzrok w rzędy butli oraz słojów. Czułam się bezradna. Od czasu przyjazdu do zamku żyłam z dnia na dzień, z premedytacją tłumiąc wspomnienia o poprzednim życiu. W głębi serca wiedziałam, że wkrótce muszę podjąć jakąś decyzję, ale zwlekałam, pochłonięta radościami płynącymi z towarzystwa Jamiego.

W korytarzu rozległ się nagły hałas, a zaraz potem posypały się przekleństwa.

Poderwałam się i podbiegłam do drzwi. W tej samej chwili w progu pojawił się Jamie, wsparty na przygarbionym starym Alecu MacMahonie i gorliwym, lecz niezgrabnym chłopcu stajennym. Osunął się na zydeł, wyciągnął lewą nogę i skrzywił się ponuro.

Wyglądało na to, że jest bardziej rozdrażniony, niż obolały, więc uklękłam przy nim i zbadalam kończynę bez specjalnej troski.

– Lekkie zwichnięcie – oznajmiłam po chwili. – Co się stało?

– Spadłem – oznajmił zwięźle Jamie.

– Z płotu? – spytałam słodko.

Spiorunowali mnie wzrokiem.

– Nie. Z Donasa.

– Dosiadłeś tego potwora? – zdumiałam się. – W takim razie masz szczęście, że skończyło się na wykręconej



kostce.

Wyjęłam rolkę bandaża i zaczęłam opatrywać staw.

– No, nie było aż tak źle – odezwał się stary Alec. – Prawdę mówiąc, całkiem dobrze sobie z nim radziłeś.

– Wiem – warknął Jamie i zacisnął zęby, ponieważ właśnie dociągnęłam bandaż. – Pszczoła go użądliła.

Krzaczaste brwi uniosły się wysoko.

– Tak? A ja myślałem, że konisko dostało w zad strzałą – skomentował Alec. – Donas skoczył w powietrze na wszystkich czterech nogach, a potem stanął jak wryty. Toczył wokół takim spojrzeniem, jakby całkiem oszalał, a potem dalej wokół zagrody, w kółko i w kółko. Twój mążnek trzymał się dzielnie – dodał, kiwając głową w stronę Jamiego, który zrobił kolejną wściekłą minę – aż do chwili, gdy ten wielki żółty diabeł skoczył przez płot.

– Przez płot? I gdzie jest teraz? – spytałam.

Wstałam i otrzępałam dłonie.

– Pewnie w połowie drogi do piekła – mruknął Jamie. Spróbował oprzeć ciężar ciała na obandażowanej nodze. – oby z niego nie wyjrzał. – Usiadł, boleśnie skrzywiony.

– Na co szatanowi taki nie ujeżdżony ogier, skoro sam może zmienić się w konia – zaprotestował Alec.

– Może właśnie przybrał postać Donasa – podsunęłam z rozbawieniem.

– Wcale bym się nie zdziwił – parsknął Jamie. Powoli zaczął odzyskiwać dobry humor. – Choć szatan przeważnie staje się czarnym rumakiem.

– A jakże – zgodził się Alec. – Wielkim czarnym

ogierem, który pędzi tak szybko, jak myśl między mężczyzną i dziewczyną. – Uśmiechnął się złośliwie i wstał. – A skoro już o tym mowa... – Mrugnął do mnie. – Jutro nie będę na ciebie, chłopcze, czekać w stajniach. Zostań w łóżku i... hm, wypocznij trochę.

– Co się dzieje? – spytałam, odprowadzając starego wzrokiem – Dlaczego wszyscy uważają, że myślimy tylko o jednym?

Jamie chwycił się stołu i znów spróbował stanąć.

– Po pierwsze, wzięliśmy ślub ledwie przed miesiącem. A po drugie... – Spojrzał na mnie i wyszczerzył zęby. – Już ci mówiłem, Angielko. Wszystko, o czym myślisz, maluje ci się jasno i wyraźnie na twarzy.

– Jasna cholera – jęknęłam.

Tylko na chwilę wyskoczyłam do gabinetu, aby sprawdzić, czy nie czekają na mnie pacjenci. Resztę czasu poświęciłam zaspokajaniu dość wygórowanych żądań mojego podopiecznego. – Miałeś odpoczywać – powiedziałam w końcu z dezaprobatą.

– Odpoczywam. A przynajmniej robi to moja kostka. Widzisz?

Długa łydka uniosła się w powietrze, a koścista stopa pokiwała energicznie.

W połowie ruchu zatrzymała się raptownie, a jej właściciel wydał zduszony jęk.

Pomasował nadal opuchnięty staw.

– Dobrze ci tak – mruknęłam i wygrzebałam się spod koców. – No, dość tego.

Wylegiwałeś się w łóżku już wystarczająco długo.

Potrzebujesz świeżego powietrza.

Jamie usiadł; włosy opadły mu na twarz.

– Zdawało mi się, że miałem odpoczywać?

– Owszem, ale przeniesiesz się na dwór. Wstawaj, pościelę łóżko.

Jamie ubrał się powoli, narzekając na moją nieczułość i brak współczucia dla ciężko rannego mężczyzny. Potem usiadł, abym mogła nałożyć mu nowy opatrunek na kostkę.

– Trochę siąpi – zauważył, rzucając spojrzenie w okno. Drobna mżawka właśnie przybrała na sile i przeszła w solidną ulewę. – Chodźmy na dach.

– Na dach? Ach tak, zapomniałam. Rzeczywiście, nie ma nic lepszego dla skrzywionej kostki niż wspinaczka po schodach.

– Wezmę laskę. – Jamie wyjął zza drzwi starożytny głogowy kostur i zaprezentował go tryumfalnie.

– Skąd to masz? – zaciekałam się.

Z bliska laska okazała się jeszcze bardziej wiekowa, niż sądziłam. Półtorametrowy kij aż stwardniał na kamień ze starości.

– Alec mi pożyczył. Bije nim muły, żeby były posłuszne.

– Brzmi przekonująco – mruknęłam, oglądając porysowane drewno. – Muszę kiedyś wypróbować tę metodę. Na tobie.

Miejsce, do którego zmierzaliśmy, znajdowało się tuż pod nawisem dachu. Krawędź poddasza chronił niski murek.

– Jak tu ślicznie! – Mimo potoków deszczu widok był wspaniały; widzieliśmy srebrną płaszczyznę jeziora i piętrzące się dalej skały, wymierzone w ołowianą szarość nieba niczym czarne kostropate pięści.

Jamie oparł się na murku, by ulżyć skreconej kostce.

– Dokładnie tak, jak myślałam. Niekiedy tu przychodziłem... podczas poprzedniego pobytu w zamku.

Wskazał w kierunku jeziora, siezonego strugami deszczu.

– Widzisz tę rozpadlinę między dwoma skałami?

– W górach? Tak.

– To droga do Lallybroch. Kiedy tęskniłem za domem, czasami tu wpadałem i spoglądałem w tamtą stronę. Wyobrażałem sobie, że szybuje niczym kruk ponad skałami i ląduję po ich drugiej stronie, w posiadłości na końcu doliny.

Delikatnie dotknęłam jego ramienia.

– Chcesz wrócić do Lallybroch?

Odwrócił się z uśmiechem.

– Hm, nieraz o tym myślałem. Nie wiem, czy chcę, lecz chyba muszę. Trudno powiedzieć, co tam znajdziemy. Angielko, lecz... Cóż, teraz mam żonę. A ty jesteś panią Broch Tuarach. Wyjęty spod prawa czy też nie, muszę wrócić, choćby tylko po to, by wszystko doprowadzić do porządku.

Na myśl o opuszczeniu zamku i wyswobodzeniu się od panujących tu intryg poczułam dreszcz ulgi i nadziei.

– Kiedy wyjeżdżamy?

Zmarszczył brwi i zabębnił palcami o murek. Kamień był ciemny i lśniący od deszczu.

– Hm, sądzę, że musimy poczekać, na przyjazd diuka. Możliwe, że zechce się przysłużyć Columowi, zajmując się moją sprawą. Jeśli nie zdoła mnie oczyścić z zarzutów, to istnieje nadzieja, że przynajmniej wyjedna amnestię. Podróż do Lallybroch byłaby wówczas bardziej bezpieczna.

– Tak, ale... – zaczęłam niepewnym głosem.

Jamie zerknął na mnie z uwagą.

– O co chodzi. Angielko?

Odetchnęłam głęboko.

– Jamie... jeśli coś ci powiem, czy przysięgniesz, że nie spytasz, skąd to wiem?

Wziął mnie za ramiona i spojrzał mi prosto w twarz. Deszcz osiadł mu na włosach małymi kropelkami, spływał po policzkach.

– Dałem ci już słowo, że nie spytam o nic, czego nie zechcesz mi wyznać. Ale dobrze, raz jeszcze obiecuję.

– Usiądźmy. Nie powinienes forsować stopy.

Podeszliśmy do miejsca, w którym pod nawisem dachu została niewielka sucha łatka podłogi, i rozsiedliśmy się wygodnie, oparci plecami o ścianę.

– Dobrze, więc o co chodzi? – spytał Jamie.

– O diuka Sandringhama. – Zagryzłam wargę. – Nie ufaj mu, Jamie. W zasadzie go nie znam, ale jestem pewna... że coś ukrywa.

– Wiesz o tym? – Spojrzał na mnie ze zdziwieniem.

Tym razem ja otworzyłam szeroko oczy.

– Jak to, więc ty też...? Spotkałeś go już kiedyś? – Z serca spadł mi ciężar.

Być może tajemnicze powiązania Sandringhama z jakobitami były bardziej znane, niż spodziewał się Frank.

– Tak. Był tu z wizytą, gdy miałem szesnaście lat. Właśnie wyjeżdżałem z Leoch.

– Dlaczego? – spytałam ciekawie.

Przypomniałam sobie dziwną plotkę, jaką usłyszałam od Geilis Duncan podczas naszego pierwszego spotkania. Otóż ludzie szeptali, że Jamie jest ojcem małego Hamisha. Wiedziałam, że to niemożliwe, ale byłam chyba jedyną osobą w zamku, która miała tę pewność. Takie podejrzenie z łatwością mogło skłonić Dougala do zamachu na życie siostrzeńca... jeśli tego właśnie nie dopuścił się w Carryarick.

– Czy to z powodu... lady Letycji? – dodałam z wahaniem.

– Letycji? – powtórzył z niekłamanym zdziwieniem.

Napięcie, z którego aż do tej chwili nie zdawałam sobie sprawy, ustąpiło. Naprawdę sądziłam, że w plotce nie ma ani żdźbła prawdy, ale...

– Dlaczego, na Boga, wspomniałaś o Letycji? – spytał zaintrygowany Jamie. – Mieszkałam tu przez rok i o ile sobie przypominam, rozmawiałem z nią jeden jedyny raz.

Wezwała mnie do swojej komnaty i zrugła za to, że grałem w piłkę w jej różanym ogrodzie.

Opowiedziałam o plotkach krążących po zamku. Jamie parsknął śmiechem.

W zimnym wilgotnym powietrzu jego oddech zmienił się w kłęby pary.

– Boże! Jakbym mógł się odważyć!

– Colum chyba nie podejrzewał cię o zdradę?

Jamie pokręcił głową z przekonaniem.

– Nie, na pewno nie. Gdyby ta myśl choćby raz przeszła mu przez głowę, nie dożyłbym siedemnastej wiosny, nie mówiąc już o dojrzałym wieku lat dwudziestu trzech.

To potwierdzało moje własne przemyślenia na temat Columa, ale i tak muszę przyznać, że mi ulżyło. Jamie zamyślił się, a jego błękitne oczy utkwily w jakimś odległym punkcie.

– Nie wiem jednak, czy Colum zdaje sobie sprawę, czemu tak szybko opuściłem zamek. A jeśli Geilis Duncan będzie dalej rozsiewać plotki... ta kobieta jest niebezpieczna, plotkarka i sekutnica, jeśli nie wiedzma, jak twierdzą miejscowi... hm, lepiej sam zadbam o to, by Colum dowiedział się prawdy.

Spojrzał na strumienie wody, lejące się z okapu niczym wodospad.

– Chodźmy już. Angielko. Robi się nieco za mokro.

Zeszliśmy inną drogą, przez dach na zewnętrzne schody prowadzące do kuchennych ogrodów, gdzie chciałam zerwać garść ogórecznika, jeśli deszcz nie okaże się zbyt dokuczliwy. Szliśmy blisko ściany zamku. Wystające parapety okienne tamowały strumienie deszczu.

– Co robisz z ogórecznikiem? – spytał z zainteresowaniem Jamie, przyglądając się splątany

pędem i łodygom, przygiętym do ziemi przez ulewę.

– Nic, kiedy jest zielony. Najpierw należy go ususzyć, a potem...

Przerwało mi potwornie hałaśliwe szczekanie, któremu towarzyszyły krzyki, dochodzące zza muru. Popędziłam w stronę tych odgłosów, a Jamie pokuśtykał w moje ślady.

Ojciec Bain, wioskowy duchowny, galopował ścieżką, rozbryzgując kałuże, a za nim pędziła rozszczekana horda psów. Ksiądz zaplątał się w fałdy obszernej sutanny i upadł prosto w wodę i błoto. Po chwili psy go dopadły i rzuciły się na niego.

Kątem oka ujrzałam szybki ruch i w ułamku sekundy Jamie znalazł się na miejscu wypadku. Wywijał kosturem i wrzeszczał coś po celtycku, co jeszcze bardziej powiększało ogólne zamieszanie. Groźne krzyki nie wywarły na psach wielkiego wrażenia; użycie kija natomiast poskutkowało błyskawicznie. Usłyszałam parę przenikliwych pisków i po chwili sfera zawróciła ku wiosce.

Zdyszany Jamie odgarnął włosy z oczu.

– Wściekle jak wilki – powiedział. – Mówiłem już o nich Columowi. Dwa dni temu wpędziły Cobhara do jeziora. Powinien je zastrzelić, zanim kogoś zagryzą.

Uklękałam przy leżącym na ziemi księdzu i szybko go zbadałam. Krople deszczu kapwały mi z włosów. Czułam, że mój szal powoli nasiąka wodą.

– Tym razem nie zagryzły – oznajmiłam. – Parę ukąszeń, a poza tym w porządku.



Sutanna ojca Baina była na boku rozdarta; przez dziurę wycierało bezwłose udo, białe i rozlane, z jedną brzydką dużą raną i kilkoma małymi, z których już zaczynała się sączyć krew. Duchowny, ze strachu błady jak śmierć, podniósł się z ziemi.

– Jeśli zechcesz pójść ze mną do gabinetu, ojcze, obmyję rany – zaproponowałam.

Z trudem powściągałam uśmiech na widok tłusciutkiego księdza w łopoczącej sutannie i skarpetkach w kolorową kratkę.

Nawet w miłych okolicznościach oblicze ojca Baina przypominało zaciśniętą pięść.

W tej chwili to podobieństwo stało się jeszcze bardziej uderzające, bo na obwisłe policzki duchownego wystąpiły czerwone plamy, a zmarszczki wokół ust pogłębiły się.

Przewielebny spiorunował mnie tak wściekłym spojrzeniem, jakbym go namawiała do publicznego dopuszczenia się grzechu.

I najwyraźniej w ten sposób odebrał moją propozycję, ponieważ jego pierwsze słowa brzmiały:

– Co? Sługa Boży ma obnażyć swe wstydlive części przed kobietą? Nie wiem, pani, jakie swawole są praktykowane w kręgach, z których się wywodzisz, lecz musisz zrozumieć, że tutaj się tego nie toleruje! I nie będzie się tolerować, dopóki jestem pasterzem dusz moich parafian!

Po tej przemowie odwrócił się i odszedł, mocno kulejąc i czyniąc daremne wysiłki, by przytrzymać rozdartą

sutanę.

– Jak ksiądz woli! – zawołałam. – Ale jeśli nie obmyję ran, zaczną ropieć!

Nie doczekałam się odpowiedzi. Bain zgarbił się i zaczął wchodzić po schodkach w ogrodzie, robiąc przerwy po każdym stopniu. Wyglądał jak pingwin skaczący z kry na krę.

– Chyba nie przepada zbytnio za kobietami? – rzuciłam.

– Trudno się spodziewać innego nastawienia ze strony księdza – odparł Jamie. – Wracajmy, pora jeść.

Po obiedzie odesłałam swojego pacjenta do łóżka – tym razem samego, mimo protestów – i zesłam do gabinetu. Ulewa źle wpłynęła na moje interesy; ludzie pozostali w bezpiecznym wnętrzu domów, więc nie kaleczyli sobie stóp pługami i nie spadali z dachów.

Wobec tego spędziłam przyjemnie czas, aktualizując księgę Daviego Beatona. Kiedy skończyłam, w drzwiach pojawił się niespodziewany gość.

Pękata postać wypełniła prawie całe wejście. Wyteżyłam wzrok w półmroku i rozpoznałam Aleca MacMahona, okutanego niezwykłą ilością peleryn, szali i nawet końskich derek.

Podszedł do stołu z trudem, co przypomniało mi pierwszą wizytę Columa w moim sanktuarium i naprowadziło na właściwy trop.

– Reumatyzm, tak? – spytałam ze współczuciem.

Alec usiadł sztywno na krześle, tłumiąc jęk.

– Zgadza się. Przez tę wilgoć diabelnie łamię mnie

w kościach. Da się coś z tym zrobić? – Położył wielkie, powykręcane dłonie na stole i rozluźnił palce. Rozchyliły się powoli jak kwiaty, ukazując pełne odcisków wnętrze.

Ujęłam jeden z węzłowatych palców i poruszyłam nim delikatnie. Potem przystąpiłam do naciągania reszty palców i masażu dłoni. Stary Alec krzywił się, lecz po pierwszych skurczach bólu na pobrużdżonej twarzy zawitał spokój.

– Twarde niczym kamień – powiedziałam. – Łyk whisky i mocny masaż to najlepsze leczenie, jakie mogę zalecić. Choć napar z wrotycza też będzie dobry.

Alec roześmiał się gwałtownie, aż szale osunęły mu się z ramion.

– Whisky? Ha! Miałem wątpliwości, lecz widzę, że będzie z ciebie wyborny medyk, dziewczyno!

Sięgnęłam do szafki i wyjęłam niepozorną brązową butelkę, zawierającą mój przydział alkoholu. Postawiłam ją przed Alekiem i przyniosłam jeszcze rogowy kubek.

– Wypij – rozkazałam. – A potem rozbierz się na tyle, na ile ci pozwala skromność, i połóż się na stole. Rozpalę ogień, więc będzie dość ciepło.

Błękitne oko zmierzyło butelkę spojrzeniem pełnym aprobaty, a powykrzywiana ręka powoli wyciągnęła się w jej stronę.

– Ty sobie łyknij, dziewczyno. Czeka cię ciężka praca.

Naparłam mocno na olbrzymi lewy bark, żeby go rozluźnić, a potem uniosłam ramię Aleca i zatoczyłam nim koło.

– Żona masowała mi grzbiet – odezwał się koniuszy. – Ale ty robisz to lepiej. Masz dobre, mocne ręce. Byłby z ciebie porządny chłopak stajenny.

– Przyjmuję, że to komplement – mruknęłam, nałapałam na dłoń podgrzaną miksturę z oleju i łożu, po czym rozsmarowałam ją na szerokich białych plecach. W miejscu, gdzie kończyły się rękawy koszuli, zaczynała się zniszczona, poznaczona plamami ogorzała skóra, kontrastująca z mleczną karnacją pleców i barków.

– Kiedyś byłeś pięknym chłopcem – zauważyłam. – Skórę masz równie jasną, jak ja.

Poczułam pod dłońmi, że Alec trzęsie się ze śmiechu.

– Nikt by się nie spodziewał, co? Ellen MacKenzie zobaczyła mnie raz prawie bez ubrania, gdy pomagałam przy porodzie klaczy, i powiedziała, że dobry Bóg dał mojemu ciału nie tę głowę, co trzeba. Zamiast gęby z ołtarza powinien mi osadzić na ramionach mleczny pudding.

Domyśliłam się, że ma na myśli ołtarz kaplicy, przedstawiający wyjątkowo szpetne demony, torturujące grzeszników.

– Zdaje się, że Ellen MacKenzie dość swobodnie wypowiadała swoje opinie – zauważyłam. Matka Jamiego budziła we mnie prawdziwą ciekawość. Z drobiazgów, które czasami słyszałam, zdołałam sobie stworzyć obraz pana Frasera, ale Jamie nigdy nie wspominał o matce. Nie wiedziałam o niej nic poza tym, że umarła w połogu.

– O, miała ostry język, a także bystry umysł. –

Rozwiązałam Alecowi podwiązki, podkasałam nogawki spodni i zaczęłam masować umięśnione łydki. – Była jednak tak słodka, że nikt nie brał jej za złe częstych uwag... Z wyjątkiem braci. Ale ona wcale się nimi nie przejmowała.

– Mhm. Tak słyszałam. Zbiegła z ukochanym, prawda? – Wbiłam kciuki w ścięgna pod kolanem; Alec wydał dźwięk, który w przypadku osoby mniej godnej można by nazwać piskiem.

– Tak. Ellen była najstarsza z sześciorga dzieci MacKenziech... o rok lub dwa lata starszą od Columa. Jacob kochał ją ponad życie. To dlatego tak długo nie wydawali jej za męż. Nie chciała wyjść za Johna Camerona ani Malcolma Granta, ani wszystkich innych, którzy się o nią starali, a ojciec nie chciał przymuszać ukochanej córki.

Jednak kiedy stary Jacob umarł, Colum nie zamierzał znosić kaprysów siostry.

Rozpaczliwie walcząc o status głowy klanu, musiał zawiązać przymierze z Grantami z południa lub Cameronami z północy. Oba klany miały młodych przywódców, którzy mogliby się stać przydatnymi szwagrami. Młoda Jocasta, licząca sobie zaledwie piętnaście lat, posłusznie przyjęła Johna Camerona i wyjechała na północ. Ellen, w wieku dwudziestu dwóch lat poważnie zagrożona staropanieństwem, okazała się niezwykle uparta.

– Rozumiem, że Malcolm Grant został zdecydowanie odrzucony. Widziałam jego zachowanie przed dwoma tygodniami– skomentowałam.

Stary Alec parsknął śmiechem, który zmienił się w pełen satysfakcji jęk, gdy mocniej nacisnęłam mięsień.

– Zgadza się. Nie wiem, co właściwie mu powiedziała, lecz słowa Ellen z pewnością bardzo go zabolaly. Spotkali się podczas wielkiego zgromadzenia. Wieczorem poszli do różanego ogrodu. Wiedzieliśmy, że tam przyjmie jego oświadczyzny lub je odrzuci.

Zapadał zmierzch, a wszyscy czekali. Zrobiło się całkiem ciemno, zapalono latarnie, zaczęły się śpiewy, i po Ellen i Malcolmie Grantie zaginął wszelki ślad.

– Mój Boże, to dopiero musiała być rozmowa. – Wylałam jeszcze sporą kroplę maści pomiędzy jego łopatki. Alec mruknął z rozkoszą.

– Tak się wydawało. Lecz kiedy czas mijał, a oni nie wracali, Colum zaczął się obawiać, że Grant porwał Ellen wbrew jej woli. I tak to wyglądało, bo różany ogród był pusty. A kiedy Colum przysłał po mnie, powiedziałem, że ludzie Granta przyszli po konie i odjechali galopem, jakby ich diabeł gonił. Nawet się nie pożegnali.

Osiemnastoletni Dougal, nieprzytomny z wściekłości, wskoczył na wierzchowca i ruszył szybko w pogoń za Malcolmem Grantem. Nawet nie poprosił Columa o radę ani o pomoc.

– Kiedy Colum usłyszał, że Dougal pojechał za Grantem, wysłał mnie i paru innych za bratem. Dobrze znał jego temperament i nie chciał, żeby nowy szwagier legł martwy gdzieś w rowie przed wschodem słońca. Sądził, że Malcolm Grant pragnie zmusić Ellen do małżeństwa. – Alec zamilkł w zadumie. – Dougal oczywiście widział w

takim postępku tylko zniewagę. Lecz nie sędzę, by Colum przejmował się tego rodzaju obelgą.

Zamażpójście siostry rozwiązałoby jego problem, a Grant chętnie wzięłby Ellen bez posagu i jeszcze zapłaciłby za nią Columowi. – Parsknął cynicznie. – Colum nie przepuści żadnej nadarzającej się okazji. Jest szybki i okrutny. – Oko barwy błękitnego lodu zerknęło na mnie nad zgarbionym ramieniem. – Lepiej to sobie zapamiętaj, dziewczyno.

– Na pewno nie zapomnę – zapewniłam ponuro. Przypomniałam sobie, jak Jamie został ukarany z rozkazu Columa. Zastanowiło mnie, czy przypadkiem nie była to kara za bunt matki.

Ostatecznie Colum nie zdołał wydać siostry za przywódcę klanu Grantów. Przed świtem Dougal znalazł Malcolma Granta, który rozbił obóz przy drodze i spał pod krzakiem żarnowca w otoczeniu towarzyszy.

W jakiś czas później Alec z resztą kompanii dopadli ich galopem. Dougal Mackenzie i Malcolm Grant. Byli nadzy do pasa i nosili ślady długiej walki. Słaniali się i potykali, ale kiedy tylko mogli, jeszcze starali się zadać cios przeciwnikowi. Towarzysze Granta siedzieli wzdłuż drogi niczym rząd puszczyków. Spoglądali to na jednego, to na drugiego walczącego mężczyznę.

– Obaj sapali jak zgonione konie, a w zimnym powietrzu z ich ciał unosiła się para.

Spuchnięty nos Granta przypominał banię, a Dougal prawie nie widział na oczy. Jeden i drugi był zalany krwią, która zasychała im na piersiach i ramionach.

Kiedy ludzie Columa pojawili się na drodze, drużyna Granta zerwała się na równe nogi i sięgnęła po miecze. Spotkanie zmieniłoby się pewnie w rzeź, gdyby jakiś bystry chłopak ze strony MacKenziech nie zauważył dość istotnego faktu, iż nigdzie w okolicy nie widać Ellen MacKenzie.

– Ha! Kiedy oblali wodą Malcolma Granta i doprowadzili go do przytomności, zdołał im wyjaśnić to, czego Dougal nie chciał słuchać: że Ellen spędziła z nim nie więcej niż kwadrans. Nie chciał wyjawic, co mu powiedziała, ale cokolwiek to było, tak się rozgniewał, że zostawił pannę w różanym ogrodzie i już nie chciał jej więcej widzieć.

Oznajmił, że odtąd nie życzy sobie, by ktoś wymieniał w jego obecności imię Ellen MacKenzie, po czym wsiadł na konia – dość niepewnie, muszę przyznać – i odjechał. Od tamtej pory między nim a klanem MacKenziech nie ma przyjaźni.

Słuchałam zafascynowana.

– A gdzie wtedy była Ellen?

– Daleko. Przez jakiś czas nie mogli jej znaleźć. Wróciliśmy czym prędzej do zamku, lecz tam się okazało, że Ellen się nie znalazła. Colum stał na dziedzińcu błąd jak ściana, wspierając się na Angusie Mhor.

Zamieszanie trwało nadal. Zamek był wypełniony gośćmi, którzy zajmowali nawet strychy, spiżarki i kuchnie. Colum wezwał całą służbę i zaczął sprawdzać listę zaproszonych. Pytał, kogo widziano poprzedniego wieczora, gdzie i kiedy. Wreszcie dotarł do dziewczki



kuchennej, która przypominała sobie, iż tuż przed kolacją widziała w bocznym korytarzu jakiegoś mężczyznę. Zauważyła go tylko dlatego, że wydał się jej taki przystojny – miał lśniąco, czarne niczym u sillede włosy i kocie oczy. Przyglądała się mu z podziwem, jak szedł korytarzem. Przy drzwiach spotkał się z kobietą odzianą w czerń od stóp do głów. Twarz zakrywał jej wielki kaptur.

– Co to jest silkie? – spytałam.

Alec spojrzał na mnie z ukosa; w kąciuku oka pojawiły się mu zmarszczki.

– Wy nazywacie je fokami. Potem, nawet wtedy, gdy już się wszystko wyjaśniło, ludzie we wsi opowiadali sobie, że Ellen MacKenzie zamieszkała w morzu pomiędzy fokami. Wiesz, że kiedy foki wychodzą na ląd, zdejmują skórę i przybierają ludzką postać? A jeśli się znajdzie jej... lub jego skórę, taka foka nie może już wrócić pomiędzy swoich, lecz musi pozostać na lądzie. Podobno dobrze jest pojąć za żonę byłą fokę, bo każda z nich wybornie gotuje i jest oddaną matką. Mimo to Colum nie uwierzył, że jego siostra uciekła z foką płci męskiej. Zwołał więc wszystkich gości, co do jednego, i spytał, czy któryś zna człowieka odpowiadającego opisowi podanemu przez dziewczkę kuchenną.

Po długich korowodach okazało się, że był w Leoch taki jeden, na imię miał Brian, lecz nikt nie znał jego nazwiska ani klanu. Widziano go podczas zabaw.

Poszukiwania szły bardzo niemrawo, bo tropiciele nie mieli pojęcia, w którym kierunku się udać. Wiadomo jednak, że nawet najlepsi myśliwi muszą od czasu do czasu

zatrzymać się na popas i wstąpić do przyjaznej chaty, by poprosić o garść soli lub kubek mleka. I wreszcie wiadomości o parze zbiegów dotarły do zamku Leoch, ponieważ Ellen MacKenzie była dziewczyną niepośledniej urody.

– Włosy jak ogień – powiedział sennie Alec, ukojony ciepłem maści. – oczy takie, jak ma Colum... szare, w oprawie czarnych rzęs... bardzo ładne, lecz przeszywające człowieka na wylot. Wysoka panna, wyższa nawet od ciebie. I trzeba przyznać, że aż oślepiła urodą. Później dowiedziałem się, że na zgromadzeniu tylko spojrzeli na siebie i zaraz wiedzieli, że należą do siebie. Więc zmówili się i uciekli tuż pod nosem Columa MacKenziego i trzystu gości. – Roześmiał się niespodziewanie. – Dougal znalazł ich wreszcie. Mieszkali w chłopskiej chacie na granicy ziem Fraserów. Uznali, że najlepiej będzie się ukrywać, póki Ellen nie zostanie brzemienna, a nawet jeszcze dłużej, by nikt nie miał wątpliwości, kto jest ojcem dziecka. Wtedy Colum musiałby dać im błogosławieństwo, czy by mu się to podobało, czy nie. A wcale mu się nie podobało. – Alec wyszczerzył zęby. – Czy podczas podróży dostrzegłaś bliźnę na piersi Dougala?

Owszem, widziałam cienką białą linię, biegnącą nad sercem, od ramion po żebra.

– Czy to dzieło Briana? – spytałam.

– Nie. Ellen. – Stary uśmiechnął się na widok mojej miny. – Zaatakowała brata, by przeszkodzić mu w poderżnięciu Brianowi gardła. Na twoim miejscu nie

wspominałbym o tym przy Dougalu.

– Chyba tego nie zrobię.

Na szczęście wszystko potoczyło się zgodnie z planem zakochanych uciekinierów.

W chwili, gdy Dougal odkrył zbiegów, Ellen była już w piątym miesiącu ciąży.

– Powstała straszna wrzawa, a pomiędzy zamkiem Leoch i Beaully wymieniono wiele przykrych listów. W końcu jednak sprawy się ułożyły, a Ellen i Brian objęli Lallybroch na dzień przed przyjściem dziecka na świat. Wzięli ślub na dziedzińcu, by Brian mógł przenieść oblubienicę przez próg. Opowiadał, że podnosząc pannę młodą, omal nie dostał przepukliny.

– Mówisz tak, jakbyś go dobrze znał – zauważyłam.

Zakończyłam zabieg i wytarłam ręce, usmarowane śliską mazią.

– Tak, odrobinę – wymamrotał Alec, na wpół uśpiony. Powieka opadła mu na oko, a twarz traciła wyraz bólu, który zwykle nadawał staremu koniuszemu tak groźny wygląd.

– Oczywiście znałem dobrze Ellen. Briana spotkałem wiele lat później, gdy przywiózł chłopaka... dogadaliśmy się. Dobry jeździec. – Głos mu zamarł. Alec usnął przy ogniu, okryłam swojego pacjenta kocem i cicho wyszłam.

Wróciłam do komnaty. Jamie też spał sobie smacznie, więc w taki pochmurny, deszczowy dzień nie pozostawało mi nic innego, jak wzięcie się za czytanie lub szycie.

Biorąc pod uwagę dość nikłe umiejętności krawieckie, postanowiłam wypożyczyć książkę z biblioteki Columa.

Ogólna zasada architektoniczna, według której wzniesiono zamek Leoch, zakładała unikanie linii prostych, dlatego schody prowadzące do komnaty Columa miały dwa biegi skręcające w prawą stronę, a każdy z nich był zakończony małym podestem. Zwykle na drugim półpiętrze stał służący, gotowy na najmniejsze skinienie swego pana. Dziś jednak nie zastałam dyżurnego na posterunku. Z góry dobiegł mnie szmer rozmowy; być może służący został wezwany do komnaty. Zatrzymałam się przed drzwiami, niepewna, czy mogę wejść.

– Zawsze cię uważałem za głupca, lecz do głowy by mi nie przyszło, że możesz być aż takim imbecylem. – Colum, wychowany wśród ludzi wykształconych, z dala od wojowników i wieśniaków, zwykle nie mówił ze szkockim akcentem, tak wyraźnym w wymowie Dougala. Teraz jednak oba głosy brzmiały niemal identycznie, uniesione gniewem. – Nie dziwiłbym się, gdybyś był dwudziestoletnim młodzikiem, ale na miłość boską, masz pięćdziesiąt cztery lata!

– Nie jest to jednak dziedzina, w której byś miał zbyt wiele do powiedzenia – usłyszałam drwiący głos Dougala.

– Rzeczywiście – wycodził Colum. – choć rzadko znajduję powody, by dziękować Bogu, być może jednak zgotował mi los lepszy, niż dotąd sądziłem. Dość często słyszałem, że mózg mężczyzny zasypia, kiedy budzi się

członek, i teraz jestem skłonny w to wierzyć. – w komnacie rozległ się głośny zgrzyt nóg fotela, gwałtownie przesuniętego po kamiennej posadzce. – Jeśli bracia MacKenzie mają do spółki jeden mózg i jeden członek, cieszę się z tego, co mi przypadło!

Uznałam, że trzeci uczestnik rozmowy nie zostanie mile powitany, więc cicho wycofałam się spod drzwi i zaczęłam schodzić po schodach.

Szelest spódnic wydał mi się tak głośny, że zatrzymałam się w pół kroku. Nie chciałam, aby mnie przyłapano na podsłuchiwanie pod drzwiami komnaty pana zamku.

Na szerokim podeście jedną ścianę zakrywał arras sięgający od sufitu aż do ziemi.

Wiedziałam, że zza jego fałd będzie widać moje stopy, ale cóż mogłam poradzić.

Ukryta za materiałem, usłyszałam zbliżające się kroki, które powoli zatrzymały się po przeciwnej stronie podestu. Najwyraźniej nowo przybyły osobnik także zorientował się w charakterze rozmowy braci.

– Nie – dobiegł mnie głos Columa, już znacznie spokojniejszy. – Nie, oczywiście. Ta kobieta jest wiedźmą lub kimś bardzo do niej podobnym.

– Tak, lecz... – zaczął Dougal, ale brat przerwał mu niecierpliwie.

– Obiecałem, że tego dopilnuję. Nie martw się, braciszku. Zadbam, by dobrze się z nią sprawili. – W głosie Columa pojawił się ton sympatii. – Aha jeszcze jedno: zaprosiłem diuka na polowanie na ziemiach za Erlick.

Wiadomo, że kiedyś udało mu się tam zastrzelić parę jeleni. Zamierzam posłać z nim Jamiego. Może nadal ma nieco słabości do chłopaka...

Dougal wtrącił coś po celtycku – prawdopodobnie jakąś sprośną uwagę, ponieważ Colum roześmiał się i powiedział:

– Nie, Jamie umie już o sobie zadbać. Ale jeśli diuk zechce wstawić się za nim do Jego Królewskiej Mości, chłopak może mieć szansę na amnestię. Możesz towarzyszyć Jamiemu, a przy tym usuniesz się z drogi, gdy ja będę to załatwiał sprawy.

Usłyszałam jakieś głucho stuknięcie. Zaryzykowałam i zerknęłam zza arrasu. Na podeście stała Laoghaire, blada jak opłatek. Z tacy, którą trzymała, stoczył się cynowy kubek.

Naczynie upadło na wyłożoną dywanem podłogę.

– Co to? – rzucił ostro Colum.

Laoghaire pospiesznie postawiła tacę na stoliku przy drzwiach, w popłochu omal nie przewracając dzbanka, i uciekła.

Usłyszałam kroki Dougala. Błyskawicznie zrozumiałam, że nie uda mi się w porę zbiec po schodach. Ledwie zdążyłam wyplątać się z kryjówki i podnieść upuszczony kubek, kiedy drzwi się otworzyły.

– A, to ty – mruknął z lekkim zaskoczeniem Dougal. – Pani Fitz przysłała lekarstwo dla Columa na chrypkę?

– Tak – skłamałam gładko. – Ma nadzieję, że szacowny gospodarz poczuje się lepiej.

– Z pewnością. – Colum stanął w otwartych drzwiach i uśmiechnął się do mnie.

– Po dziękuj ode mnie pani Fitz. A ja dziękuję tobie, moja droga. Zechcesz ze mną posiedzieć, zanim to wypiję?

Dopiero teraz przypomniałam sobie przyczynę mojej obecności pod komnatą.

Całkiem zapomniałam, że szłam po książkę. Dougal przeprosił nas i odszedł, a ja podążyłam w ślad za Columem do biblioteki. Rzędy półek stanęły przede mną otworem.

Policzki Columa nadał płonęły mocnym rumieńcem po kłótni, lecz moja prośba została przyjęta ze zwykłą uprzejmością. Jedyne lśnienie oczu i pewne napięcie w postawie zdradzało prawdziwy nastrój pana na zamku.

Znalazłam dwa zielniki. Wyglądały interesująco, ale je odłożyłam i zaczęłam przeglądać inne pozycje. Colum podszedł do ptasiej klatki. Niewątpliwie szukał ukojenia w widoku pięknych, pochłoniętych sobą stworzeń, trzepoczących między gałęziami.

Na zewnątrz rozległy się głośnie okrzyki; spojrzalam w kierunku źródła odgłosów.

Z miejsca, w którym stałam, widziałam pola za zamkiem aż do jeziora. W potokach deszczu, na brzegu pojawiła się grupka jeźdźców. Kiedy zbliżyli się bardziej, okazało się, że to chłopcy, przeważnie nastoletni, choć do strzegłam także młodszych. Malcy jechali na kucykach i ze wszystkich sił starali się nie zostawać w tyle. Zaciekawiałam się, czy Hamish jest z nimi, i niemal natychmiast wyłowiłam błysk płomiennych włosów ponad głową

Cobhara w samym środku grupy.

Towarzystwo podążało do zamku. Kierowali się w stronę jednego z niezliczonych kamiennychmurków, oddzielających od siebie pola. Raz, dwa, trzy, cztery... starsi chłopcy spinali konie do skoku z niedbałą wprawą. Wydawało mi się, że Cobhar zatrzymał się na ułamek sekundy. Jednak w chwilę potem ujrzałam wierzchowca chętnie zmierzającego ku przeszkodzie. Rozpędził się, mocno odbił kopytami od ziemi i dał susa.

Skok wyglądał podobnie jak poprzednie, a jednak czegoś zabrakło. Być może przyczyną było wahanie jeźdźca, zbyt mocne ściągnięcie wodzy lub nie dość pewne trzymanie się w siodle – w każdym razie przednie kopyta konia dotknęły muru i zarówno Cobhar, jak i jeździec zwalili się na ziemię po wykonaniu najbardziej efektownego salta śmierci, jakie kiedykolwiek widziałam.

Krzyknęłam. Colum, wytracony z zamyślenia, spojrział w okno akurat wtedy, gdy Cobhar legł ciężko na boku, przygważdżając do ziemi drobne ciało Hamisha. Okazało się, że okaleczony przywódca klanu potrafi się ruszać szybko. W ułamku chwili, jeszcze zanim koń zdołał uczynić jakiś wysiłek, by się podnieść, Colum znalazł się u mego boku i wychylił się z okna. Deszcz zacinał mocno, siekąc aksamit jego płaszcza. Gromadka chłopców stłoczyła się nad Hamishem. Odniosłam wrażenie, że minęło bardzo wiele czasu, zanim tłum się rozstał i ukazał małą, krzepką postać, już uwolnioną i trzymającą się za brzuch. Hamish odtrącił wyciągnięte ku niemu pomocne dłonie, oddalił się taktownie, pochylił się przy murku, po



czym obficie zwymiotował. Osunął się wzdłuż kamiennej ściany, siadł na mokrej trawie, wyciągnął nogi i wystawił twarz na ulewny deszcz. Dostrzegłam, że wysuwa język, żeby chwycić spadające krople. Położyłam dłoń na ramieniu Columa.

– Nic mu się nie stało – powiedziałam. – Tylko stracił dech.

Colum zamknął oczy i odetchnął głośno. Całe jego ciało nagle zwiotczało, jakby uszło z niego napięcie. Spojrzałam na gospodarza ze współczuciem.

– Kochasz Hamisha, jakby był twoim synem, prawda?

Szare oczy rozbłysły ostrym blaskiem, w jednej chwili przepelnione wyjątkową czujnością. Przez moment w komnacie panowała zupełna cisza, maćona jedynie tykaniem szklanego zegara na półce. Potem po nosie Columa potoczyła się kropla deszczu i zawisła, lśniąca, na samym czubku. Machinalnie osuszyłam ją chusteczką i ujrzałam, że twarz Columa traci wyraz nieufności.

– Tak – odparł z prostotą.

Powiedziałam Jamiemu tylko to, że Colum zamierza posłać go na polowanie z diukiem. Teraz byłam już pewna, że jego uczucia do Laoghaire nie wyszły poza przyjaźń. Nie miałam jednak pojęcia, co by zrobił, gdyby się dowiedział, że jego wuj uwiódł dziewczynę i zrobił jej dziecko. Wydawało mi się, że Colum nie zamierza skorzystać z usług Geilis Duncan. Nie wiedziałam, czy przywódca klanu wyda Laoghaire za Dougala, czy też znajdzie jej innego męża, zanim ciąża zacznie być zbyt widoczna.

W każdym razie, skoro Jamie i Dougal mieli mknąć na wiele dni, nie chciałam, żeby towarzyszył im cień Laoghaire.

– Hm – mruknął z namysłem Jamie. – Można spróbować. Na polowaniu łatwiej zacieśnić przyjaźń. Przez cały dzień wspólnie tropi się zwierza, a wieczorami popija whisky przy ogniu. – Zapiął mi suknię na plecach i pocałował mnie w ramię. – Nie chcę cię zostawiać, angielko, lecz to może mi wyjść na dobre.

– Nie martw się o mnie – powiedziałam. Do tej pory nie zdawałam sobie sprawy, że po wyjeździe Jamiego zostanę w zamku zupełnie sama, a taka perspektywa obudziła we mnie spory niepokój. Mimo wszystko postanowiłam trzymać się dzielnie.

– Jesteś gotów do kolacji? – spytałam.

Poczułam jego dłonie na talii i odwróciłam się.

– Mmm – odezwał się po chwili. – Może jednak jestem głodny.

– A ja nie. Będziesz musiał poczekać.

Uniosłam głowę znad stołu i spojrzałam w głąb sali. Zdążyłam już poznać większość twarzy, niektóre z nich dość blisko. Stanowiły fascynującą galerię typów. Frank byłby zachwycony, pomyślałam.

Wspominanie Franka przypominało dotykanie bolącego zęba. Starłam się tego unikać za wszelką cenę. Powoli jednak zbliżał się czas, kiedy nie mogłam już zwlekać.

Zmusiłam pamięć do wysiłku i odmalowałam w niej długie, gładkie łuki brwi, po których niegdyś tak często

wodziłam palcami. Teraz tęskniłam za dotykiem innych, bardziej krzaczastych, stanowiących oprawę głębokich niebieskich oczu. Pospiesznie spojrzałam na najbliższą twarz, by oderwać się od niebezpiecznych rozważań. Przypadkiem mój wzrok spoczął na obliczu Murtagha. Ha, przynajmniej nie przypominał żadnego z mężczyzn, których wspomnienie nie dawało mi spokoju. Niski, drobny, lecz umięśniony jak gibbon, o długich ramionach, jeszcze bardziej upodabniającego go do małpy, miał niskie czoło i szczękę charakterystyczną dla ludzi jaskiniowych. Ale nie Neandertalczyków. Piktów. Tak, właśnie. W tym małym człowieczku było coś bardzo twardego, co przypominało mi zwietrzałe kamienie, nawet teraz bardzo stare, nieustępliwie strzegące rozdroży i cmentarzy.

Rozbawiona tą myślą, zaczęłam się przyglądać innym, doszukując się w nich typów etnicznych. Na przykład mężczyzna siedzący najbliżej paleniska, John Cameron, wyglądał jak Norman (choć, oczywiście, nigdy nie widziałam żadnego Normana): wysokie kości po liczkowe, wąskie wysokie czoło, długie wargi i ciemna karnacja.

Od czasu do czasu trafiał się idealny typ saksoński... a, choćby Laoghaire. Błada, błękitnooka, odrobineczkę pulchna... skarciłam się za tę niezyczliwą uwagę. Dziewczyna starannie unikała spoglądania na mnie lub Jamiego. Z ożywieniem rozmawiała z przyjaciółkami przy jednym z dalej stojących stołów.

Popatrzyłam w przeciwnym kierunku – ku ławie, przy której zasiadł Dougal, choć raz z dała od Columa.

Dougal jest oczywiście rasowym wikingiem. Potężny wzrost, szerokie, płaskie kości policzkowe... bez trudu mogłam go sobie wyobrazić na okręcie ze smoczą głową, pożądliwie wypatrującego jakiejś przybrzeżnej, tonącej we mgle wioski.

Wielka dłoń, porośnięta rdzawym włosem, sięgnęła obok mnie po mały bochenek owsianego chleba. Kolejny Norweg, Jamie. Przypominał mi postać z legendy usłyszanej od pani Baird – o rasie gigantów, którzy niegdyś żyli w Szkocji i złożyli swe potężne kości w ziemiach Północy.

Rozmowa przy stole dotyczyła ogólnych tematów. Nagle ktoś siedzący nie opodal wymienił znajome nazwisko. Sandringham. Rozpoznałam głos Murtagha; odwróciłam się i spojrzałam na małego człowieka. Siedział obok Neda Gowana, pracowicie żując pożywienie.

– Sandringham? A, Willie, ten stary amator chłopców – powiedział z namysłem Ned.

– Co? – zakrzyknął jeden z młodszych strażników i aż zakrztusił się piwem.

– Nasz szacowny diuk hołduje miłości greckiej, a przynajmniej tak słyszałem – wyjaśnił Ned.

– Mhm – odezwał się z pełnymi ustami Rupert. Przelknął i dodał: – A kiedy tu ostatnio był, miał nawet chrapkę na naszego Jamiego, jeśli dobrze pamiętam. Kiedy to było, Dougal? W trzydziestym ósmym? Dziewiątym?

– W trzydziestym siódmym – odezwał się od innego stołu Dougal. Przyjrzał się siostrzeńcowi przymrużonymi oczami. – W wieku szesnastu wiosen byłeś ładnym

chłopcem.

– A jakże! – przyświadczył Jamie. – I szybkim.

Kiedy śmiech ucichł, Dougal odezwał się znowu.

– Nie wiedziałem, że byłeś jego faworytem. Jamie.

– Znałem wielu, którzy zgodzili się na obolały zadek w zamian za ziemię i zaszczyty. – Ale zauważyłeś, że nie mam żadnej z tych rzeczy? – odparł z uśmiechem Jamie, co wywołało kolejne salwy sprośnego rechotu.

– Co? Nie zdołałeś się do niego dostać? – parsknął

Rupert.

– Zbliżyłem się bardziej, niż bym pragnął.

– A jak blisko byś pragnął? – krzyknął wysoki mężczyzna z ciemną brodą.

Rozległy się dalsze śmiechy i niewybredne uwagi. Jamie uśmiechnął się z niewzruszonym spokojem i sięgnął po następny chlebek.

– Więc dlatego tak szybko opuściłeś zamek? – spytał Rupert.

– Tak.

– Dlaczego mi nie powiedziałaś, że masz z Sandringhamem kłopoty? – zapytał z kpiącym współczuciem Dougal.

Jamie wydał z siebie gardłowy szkocki odgłos.

– Bo gdybym ci o tym choć pisała, ty stary nicponiu, napiłbyś mnie wywarem z maku i złożył w sypialni Diuka jako mały podarek.

Wszyscy ryknęli śmiechem, a Jamie uchylił się przed cebulą, którą rzucił w niego Dougal.

– Zdaje mi się, chłopcze, że cię widziałem w drodze

do komnat diuka późnym wieczorem. Czy na pewno nie przed nami nie ukrywasz? – Jamie również złapał cebulę i cisnął nią w Ruperta.

Nie trafił; pocisk potoczył się po macie z sitowia.

– Nie – powiedział ze śmiechem. – Nadal jestem nie tknięty... przynajmniej przez Diuka. Ale skoro nie zaśniesz, póki się nie dowiesz wszystkiego, chętnie opowiem ci całą historię.

Powoli nalał sobie kubek piwa, nie zwracając uwagi na gromkie okrzyki zachęty, po czym przybrał klasyczną postawę gawędziarza. Zauważyłam, że Colum także nastawia ucha, równie zaciekawiony, jak wszyscy stajenni i zbrojni.

– Ned Gowan mówi czystą prawdę – zaczął. – Diuk rzeczywiście darzył mnie wyjątkową sympatią, choć w wieku szesnastu lat byłem jeszcze zupełnie niewinny. – Po kilku cynicznych uwagach podniósł głos i ciągnął dalej. – Tak, wówczas nie pojmowałem, do czego zmierza diuk, choć wydawało mi się nieco dziwne, iż zawsze chce mnie głaskać, nieustannie sprawdzać, co chowam w sporraniu (albo pod nim! – krzyknął jakiś pijany głos.)

– Jeszcze bardziej się zdziwiłem, kiedy Sandringham zastał mnie podczas kąpieli w rzece i zapragnął umyć mi plecy, A gdy już to zrobił i chciał przejść do pucowania reszty mojego ciała, zacząłem się nieco bać, zwłaszcza że sięgnął mi pod kilt. Dopiero wtedy się zorientowałem, w czym rzecz. Może i byłem niewinny, lecz nie głupi.

Zanurkowałem i wyszedłem na drugi brzeg. W ten

sposób wybrnąłem z opresji. Jego Miłość nie zdecydował się zniszczyć swych kosztownych strojów w błocie i wodzie. Potem już bardzo uważałem, by się z nim nie spotykać sam na sam. Kilkakrotnie dopadł mnie w ogrodzie lub na dziedzińcu, lecz zawsze miałem dokąd uciekać i nie doznałem uszczerbku gorszego niż pocałunek w ucho. Tylko raz znalazłem się w prawdziwych opałach. Było to w stajni.

– W mojej stajni? – przerwał stary Alec, zdjęty zgrozą. Podniósł się i zawołał w stronę równego stołu. – Columie, dopilnuj, by ten człowiek nie zbliżał się do mojej stajni, diuk czy nie diuk! Nie chcę, by mi płoszył konie! I niepokoił chłopców – dodał, uderzony nową myślą.

Jamie kontynuował, nie zwracając uwagi na komentarze. Dwie nastoletnie córki Dougala słuchały go z otwartymi ustami.

– Byłem wówczas w boksie, a tam nie ma zbyt wiele miejsca do manewrów. Stałem, pochylony nad... (kolejne sprośne uwagi) pochylony nad żłobem i wymiatałem z niego plewy. Nagle usłyszałem za sobą jakiś dźwięk i zanim zdołałem się wyprostować, ktoś podniósł mi kilt i naparł na mnie od tyłu.

Machnął ręką, by nie dopuścić do wybuchnięcia wrzawy.

– Nie cieszyło mnie, że diuk zacznie ze mną swawolić w boksie, ale i nie widziałem żadnej drogi ucieczki. Zacisnąłem tylko zęby w nadziei, że nie będzie zbyt bolesne. Lecz raptem koń... wielki czarny wałach, którego Ned kupił w Brocklebury, a potem Colum sprzedał

do Breadalbin... otóż ten właśnie ogier rozdrażnił się hałasami, jakie robił Diuk.

Wiadomo, konie lubią, gdy się do nich mówi, i ten nie stanowił wyjątku, lecz miał szczególny wstręt do wysokich dźwięków. Nie mogłem go wyprowadzić ze stajni, kiedy na dziedzińcu były małe dzieci. Słyszał ich piski i od razu dostawał furii. Jego Miłość zaś, jeśli sobie przypominacie, ma raczej wysoki głos. A stał się on wówczas jeszcze wyższy ze względu na ogarniające Sandringhama podniecenie. Koń więc nie był zachwycony... tak jak i ja, muszę dodać... zaczął parskać, grzebać kopytem, aż wreszcie obrócił się gwałtownie i przycisnął Jego Miłość do ściany boksu. Gdy tylko poczułem, że diuk mnie wypuścił, wskoczyłem do żłobu i wydostałem się po drugiej stronie konia, zostawiając Jego Miłość na pastwę losu.

Jamie zamilkł i pociągnął łyk piwa. Teraz słuchała już cała sala. Wszystkie zwrócone w stronę gawędziarza twarze lśniły w świetle kaganków. Tu i tam dostrzegałam zmarszczenie brwi wobec tak niegodnego zachowania jednego z najmożniejszych angielskich szlachciców, lecz przeważała nieskrepowana uciecha. Zorientowałam się, że diuk Sandringham nie cieszy się w zamku Leoch zbyt dużym poważaniem.

– Skoro się tak ze sobą zbliżyliśmy, Jego Miłość postanowił mnie dostać bez względu na wszystko. Następnego dnia oświadczył, że jego sługa zachorował, i poprosił, bym asystował mu przy toalecie. – Ku rozbawieniu wszystkich, Colum zakrył twarz z udaną



rozpaczą. Jamie skinął ku Rupertowi. – Dlatego też mnie widziałeś przy komnacie Sandringhama. Szedłem tam z rozkazu.

– Powinieneś mi wyjaśnić całą sytuację, nie posłałbym cię do niego – odezwał się karcąco Colum.

Jamie wzruszył ramionami z uśmiechem.

– Nie pozwalała mi na to moja wrodzona skromność, wuju. Poza tym wiedziałem, że załatwiasz z nim ważne sprawy. Ucierpiałoby znacznie, gdybyś powiedział Jego Miłości, by trzymał się z dala od zadka twojego siostrzeńca.

– Bardzo rozważnie postąpiłeś – rzucił sucho Colum. – Poświęciłeś się zatem dla mojego dobra?

Jamie uniósł kubek w kpiącym toaście.

– Twoje dobro jest dla mnie zawsze najważniejsze, wuju. – W żartobliwym tonie usłyszałam jednak głębszą, poważną nutę. Colum także ją wychwycił. – Ale nie – dodał Jamie, ocierając usta. – W tym przypadku nie sądziłem, by dobro rodu wymagało ode mnie takiej ofiary. Poszedłem do komnat diuka, ponieważ tak mi rozkazałeś, lecz na tym się skończyło.

– Wyszedeś nie tknięty? – zawołał z niedowierzaniem Rupert.

Jamie wyszczerzył zęby.

– Oczywiście. Kiedy tylko usłyszałem rozkaz, pobiegłem do pani Fitz i wyblagałem porcję syropu figowego. Kiedy mi go dała, podejrzałem, gdzie chowa butelkę. Po chwili wróciłem cichcem i wytrąbiłem wszystko aż do dna.

Cała komnata zatrzęsa się w posadach od śmiechu. Pani Fitz poczerwieniała tak, że zaczęłam się obawiać, czy nie dostanie ataku apopleksji. Wstała, podeszła ocieźżale do Jamiego i dała mu dobrotliwego kuksańca.

– Więc to ty mi ukradłeś miksturę na przeczyszczenie, hultaju! – Wzięła się pod boki i potrząsnęła głową, aż zielone zausznice zamigotały niczym skrzydła ważki. – Najlepszą, jaką kiedykolwiek udało mi się sporządzić!

– O, była bardzo skuteczna – zapewnił Jamie i zaniósł się śmiechem. – Tak też mi się zdaje! Kiedy pomyśle o skutkach wypicia tej mikstury...!

– Mam nadzieję, że osiągnąłeś cel! Pewnie jeszcze przez kilka dni byłeś niezdolny do życia.

Jamie pokiwał głową, nadal chichocząc.

– Tak, ale byłem też niezdolny do tego, o czym marzył Diuk. Myślę, że chętnie pozwolił mi odejść. Lecz wiedziałem, że taka sztuczka nie uda się po raz drugi, więc kiedy tylko najgorsze skurcze minęły, wziąłem konia i uciekłem na złamanie karku. Minęło wiele czasu, nim dotarłem do domu, bo co kwadrans musiałem robić przystanek, lecz następnego dnia zdążyłem na kolację.

Dougal rozkazał przynieść nowy dzban piwa, który posłał Jamiemu.

– Tak, twój ojciec przysłał potem list. Pisał, że już zasmakowałeś dworskiego życia – powiedział z krzywym uśmiechem. – Nie rozumiałem wówczas powodów twojego nagłego wyjazdu.

– Mam nadzieję, że pani Fitz nastawiła nowy syrop

– odezwał się Rupert, trącając postawną kobietę w żebra. – Sandringham przybędzie tu za parę dni. A może liczysz, że żona cię obroni. Jamie? Z tego, co wiem, to ty będziesz musiał jej strzec. Słyszałem, że sługa diuka nie podziela upodobań swego pana, choć ma równie wielki apetyt.

Jamie wstał i podał mi rękę. Objął mnie, uśmiechając się do Ruperta.

– Skoro tak, musimy już iść. Wspólnie przygotowujemy się do walki. Ramię w ramię.

Rupert spojrział na niego ze zgrozą.

– Ramię w ramię? Wiedziałem, że zapomnieliśmy ci powiedzieć o czymś ważnym przed ślubem! Nic dziwnego, że jeszcze jej nie zrobiłeś brzucha!

Jamie zacisnął palce na moim ramieniu i popchnął mnie ku drzwiom. Wyszliśmy wśród śmiechów i dosadnych porad.

W ciemnym korytarzu Jamie oparł się o ścianę i zgiął się w pół. Ja przykucnęłam i zaczęłam chichotać bezradnie.

– Nie powiedziałaś mu, prawda? – wykrztusił wreszcie Jamie.

Pokręciłam głową.

– Nie, skąd.

Wyciągnęłam ku niemu rękę, wstałam i oparłam się o jego pierś. Nadal nie mogłam się opanować.

– Pozwól, przekonam się, czy to dobrze pojąłem. – Ujął moją twarz w dłonie i pochylił się nade mną tak, że stykaliśmy się ze sobą czołami. Czułam na podbródku jego ciepły oddech.

– Twarzami do siebie, tak?

Powoli rozbawienie zaczęło przygasać, wypierane przez uczucie równie obezwładniające. Musnęłam językiem wargi Jamiego, a moje dłonie powędrowały w dół.

– Twarze nie są tu najważniejsze. Ale robisz postępy.

Następnego dnia siedziałam w swoim gabinecie, cierpliwie słuchając wynurzeń staruszek ze wsi, jakiejś krewnej zamkowej kucharki. Kobieta opowiadała mi ze szczegółami o ataku potwornej chrypki jakiej dostała jej synowa. Według pacjentki miało to związek z ropiem migdałków, dręczącym ją samą, choć ja nie potrafiłam powiązać ze sobą tych dwóch dolegliwości. W połowie wyliczanki symptomów w drzwiach pojawił się nowy gość.

Podniosłam głowę i z zaskoczeniem ujrzałam Jamiego, za którym spiesznie dreptał stary Alec. Obaj wydawali się wyraźnie zmartwieni i rozgorączkowani. Jamie bezceremonialnie wyjął mi z ręki prowizoryczną szpatułkę, ujął moje dłonie i podniósł mnie ze stołka.

– Co... – zaczęłam, ale przerwał mi Alec.

Przez chwilę przyglądał się moim rękoma.

– Tak, bardzo dobrze, lecz ramiona? Czy ma dość sił?

– Patrz. – Jamie chwycił moją rękę i rozprostował ją, po czym dla porównania przyłożył do niej własne ramię.

– Nooo... – mruknął z powątpiewaniem Alec. – Może się przyda. Tak, to możliwe.

– Czy wyjaśnicie mi łaskawie, co się tu dzieje? – wysyczałam, lecz zanim zdołałam dokończyć, znalazłam

się na schodach, uwięziona pomiędzy mężczyznami. Moja pacjentka została sama w gabinecie. Spoglądała za mną z otwartymi ustami.

Po paru chwilach stałam już w stajni i niepewnie przyglądałam się wielkiemu zadowi, znajdującemu się o dziesięć centymetrów od mojej twarzy. W problem zostałam wprowadzona po drodze. Jamie mówił, a stary Alec wtrącał uwagi.

Losgann, która zwykle żrebiła się bez problemów i była ozdobą stajni Columa, tym razem miała kłopoty. Tego mogłam się domyślić sama; klacz leżała na boku, a jej lśniące boki od czasu do czasu unosiły się gwałtownie, całym ciałem zaś wstrząsał dreszcz.

Uklękałam przy niej i przekonałam się, że pochwa rozwiera się lekko przy każdym skurczu, lecz nie dzieje się nic więcej. Nie widziałam ani śladu małego kopytka czy delikatnych wilgotnych chrapek. Żrebię najwyraźniej ułożyło się bokiem lub tyłem. Alec był zwolennikiem pierwszej teorii. Jamie drugiej.

Przez chwilę spierali się o to, aż wreszcie niecierpliwie przywołałam ich do porządku i spytałam, czego właśnie ode mnie oczekują.

Jamie spojrzał zdumionym wzrokiem.

– Masz odwrócić żrebię, a cóż by innego? Trzeba przemieścić przednie nogi tak, by mogło wyjść.

– Ach, tylko tyle? – Spojrzałam na klacz.

Losgann, po celtycku „Żaba”, miała delikatną budowę, ale i tak była cholernie wielka.

– Czyli... mam włożyć rękę do środka? – Zerknęłam

ukradkiem na swoją dłoń. Chyba by weszła, otwór był dostatecznie duży, ale co dalej?

Obaj mężczyźni mieli zdecydowanie zbyt duże ręce, aby wykonać operację.

A Roderick, chłopak stajenny, który zwykle służył pomocą w tak delikatnych sytuacjach, akurat przed dwoma dniami złamał sobie prawą rękę. Sama zakładałam mu łupki i opatrunki. Willi, drugi chłopak stajenny, pobiegł po niego, by poprosić choć o radę i psychiczne wsparcie. Roderick przybył jednocześnie z nami, odziany jedynie w sfatygowane portki. Jego szczupła pierś lśniła bielą w półmroku stajni.

– To ciężka praca – oznajmił, powiadomiony zarówno o sytuacji, jak i pomyśle zastąpienia go moją osobą. – Trzeba mieć do tego żyłkę, lecz także i siłę.

– Bez obaw – powiedział z wielką pewnością Jamie. – Claire jest o wiele od ciebie silniejsza, biedaczyno. Tylko jej powiedz, co ma robić, a uwinie się w mgnieniu oka.

Doceniłam fakt, że pokładano we mnie tak dużą wiarę, lecz sama miałam znacznie mniej optymizmu. Ukryłam się w boksie, gdzie założyłam robocze spodnie i gruby fartuch. Nasmarowałam rękę aż do ramienia tłustym mydłem z dodatkiem łożu. Przez cały czas powtarzałam sobie, że z pewnością nie będzie to nic gorszego niż asystowanie przy operacji jamy brzusznej.

– No, to do roboty – mruknęłam i wsunęłam dłoń.

Miałam bardzo niewiele przestrzeni do manewrów i początkowo nie mogłam określić, czego właściwie dotykam. Zamknęłam oczy, żeby się bardziej

skoncentrować i ostrożnie przystąpiłam do dzieła. Pod palcami czułam jakieś płaskie powierzchnie i drobne wyrostki. Gładkie miejsca mogły być ciałem żrebaka, wyrostki natomiast jego nogami lub głową. Ale ja szukałam nóg – a dokładnie przedniej pary. Stopniowo przywykłam do odnoszonych wrażeń i konieczności zachowania bezruchu podczas skurczów; zaskakująco silne mięśnie macicy zaciskały się na moim ramieniu jak kleszcze i zgniatały je boleśnie. Potem spazm mijał, a ja podejmowałam poszukiwania.

Wreszcie moje błędzące palce napotkały coś, co rozpoznałam bezbłędnie.

– Chwyciłam go za nos! – krzyknęłam z tryumfem.  
– Znalazłam głowę!

– Dobrze, dziewczyno, dobrze! Nie puszczaj! – Alec przykucał obok mnie, pełen niepokoju.

Głaskał klacz, gdy jej ciałem wstrząsał dreszcz. Zacisnęłam zęby, oparłam głowę o lśniący zad i czekałam. Potwornie silny skurcz miazdżył mi nadgarstek. Ale po pewnym czasie mięsień się rozluźnił, a ja zdołałam utrzymać rękę na dawnym miejscu.

Przesunęłam ją ostrożnie do przodu, znalazłam wybrzuszenie oka i czoła, a także niewielką fałdkę zwiniętego uszka. Przeczekałam kolejny skurcz i przesunęłam dłonią wzdłuż szyi żrebięcia ku jego barkowi.

– Ma głowę odwróconą i opartą na barku – zaraportowałam. – Przynajmniej jest skierowana we właściwą stronę.

– Dobrze. – Jamie, stojący przy głowie klaczy, czule

pogładził spocony orzechowy kark. – Nogi z pewnością będą zwinięte pod piersią. Spróbuj wsunąć rękę głębiej i znaleźć kolano.

Macałam na oślep, z ręką zanurzoną w końskim wnętrzu, wytrzymując potworne skurcze i z ulgą witając ich ustąpienie. Czułam się tak, jakbym ja sama rodziła, i to z cholernym wysiłkiem.

Wreszcie moje palce natrafiły na kopytko. Poczułam zaokrągloną powierzchnię i krawędzie, które jeszcze nigdy nie dotknęły ziemi. Moi mentorzy z niepokojem wydawali mi polecenia, czasami ze sobą sprzeczne, a ja na zmianę ciągnęłam, potem pchałam, by obrócić odporne ciało i skierować jedną nogę do przodu, drugą pod spód.

Pociłam się i jęczałam nie mniej niż klacz.

Nagle wszystko zaczęło się dziać jak należy. Skurcz minął i raptem źrebię gładko wśliznęło się na właściwe miejsce. Czekałam bez ruchu na następny skurcz. Gdy nadszedł, mokre chrapki wychyliły się na świat, wypychając moją dłoń. Malutkie nozdrza otworzyły się, jakby zainteresowane nowymi doznaniem, a potem wszystko zniknęło.

– Następnym razem będzie! – Alec niemal podrygiwał w uniesieniu. Najwyraźniej zapomniał nawet o reumatyzmie. – Dalejże, Losgann, dalej, moja śliczna żabko!

Jakby w odpowiedzi klacz skrzyła się w konwulsyjnym skurczu. Jej zad drgnął ostro i źrebię gładko wśliznęło się na czyste sianko.



Usiadłam na ziemi i zaczęłam idiotycznie szczyrzyć zęby. Byłam usmarowana od stóp do głów mydłem, śluzem i krwią, wszystko mnie bolało, nie miałam siły ruszyć palcem i cuchnęłam jak diabli. Wpadłam w stan euforii.

Przyglądałam się, jak Willy i jednoręki Roderick zajmują się noworodkiem.

Garściami słomy wycierali stworzonko składające się głównie z chudych nóg i wielkich uszu. Razem ze wszystkimi wydałam radosny okrzyk, gdy Loggann odwróciła się i polizała swoje dziecko, a potem nosem podniosła je z ziemi, aż stanęło chwiejnie na patyczkowatych, drżących nogach.

– Piekielnie dobra robota, dziewczyno! Piekielnie dobra! – Alec niemal odchodził od zmysłów ze szczęścia.

Chwytał mnie za czystą dłoń i potrząsał nią serdecznie. Nagle zauważył, że chwieję się ze zmęczenia i wyglądam raczej nie najlepiej; odwrócił się i rozkazał jednemu z chłopców przynieść mi wody. Potem stanął za mną, położył na moich ramionach stwardniałe dłonie i zaczął mnie masować, zaskakująco sprawnie i delikatnie. Poczułam, że bolesne węzły skurczonych mięśni w karku powoli się rozluźniają.

– No, dziewczyno – odezwał się w końcu. – Ciężko było, nie? – Uśmiechnął się do mnie, a zaraz potem przeniósł pełen uwielbienia wzrok na żrebaczkę.

– Moje śliczności – zagruchał słodko. – Kto jest najśliczniejszy, kto?

Jamie pomógł mi się podnieść i przebrać. Palce miałam tak zeszywniałe, że nie mogłam zapiąć stanika.

Wiedziałam, że rano całą rękę będę miała posiniaczoną, lecz czułam błogość i zadowolenie.

Deszcz padał tak długo, że kiedy wreszcie wstał piękny, promienny ranek, musiałam zmrużyć powieki jak kret, gdy spojrzałam w okno.

– Masz niezwykle jasną skórę. Aż widać, jak krew pod nią płynie – odezwał się Jamie, wodząc palcem w ślad za promieniem drżącym na moim nagim brzuchu. I widzę żyły biegnące od dłoni aż po serce. – Delikatnie przesunął ręką po moim nadgarstku, zgięciu łokcia, wewnętrznej stronie ramienia i poniżej obojczyka.

– To żyła podobojczykowa – powiedziałam, śledząc ruchy jego palca.

– Ach, tak? Jasne, przecież znajduje się pod obojczykiem. Powiedz mi coś jeszcze. – Palec wolno zsunął się w dół. – Lubię słuchać naukowych terminów. Nie wiedziałem, że tak miło kochać się z medykiem.

– To – oznajmiłam surowo – jest brodawka i wiesz o tym, ponieważ mówiłam ci w zeszłym tygodniu.

– Istotnie. A tu druga, coś takiego... – Ruda głowa pochylila się nad wskazanym miejscem, język dotknął mojej skóry i ześliznął się niżej.

– Pępek – wykrztusiłam przez zaciśnięte gardło.

– Mmm. – Poczulałam, że się uśmiecha z ustami przyciśniętymi do mojego ciała. – A to?

– Ty mi powiedz – rzuciłam i chwyciłam go mocno za głowę, ale nie usłyszałam już ani słowa.

Jakiś czas później usiadłam w gabinecie, rozmarzona wspomnieniami skapanego w słońcu poranka i

łóżka ze spletanymi białymi prześcieradłami, które wyglądały jak piaszczysta plaża. Leniwie dotykałam brodawki. Czułam, jak twardejże pod moją dłońią i rysuje się pod cienkim materiałem stanika.

– Dobrze się bawisz?

Sarkastyczny głos od strony drzwi sprawił, iż poderwałam się tak gwałtownie, że aż uderzyłam głową w półkę wiszącą nade mną.

– O Geilis – powiedziałam kwaśno.

– Naturalnie.

– Co tu robisz?

Pani Duncan weszła do gabinetu. A raczej wjechała, ponieważ jej poruszanie się przypominało jazdę na kółkach. Wiedziałam, że ma stopy. Nie potrafiłam sobie tylko wyobrazić, gdzie je chowa, kiedy się przemieszcza.

– Przyniosłam hiszpański szafran dla pani Fitz. Chciała go mieć przed przyjazdem diuka.

– Jeszcze więcej przypraw? – spytałam, znowu w dobrym humorze. – Jeśli ten człowiek zje choć połowę przygotowanych potraw, trzeba go będzie potoczyć do domu.

– Można to zrobić już teraz. Słyszałam, że Sandrinham jest korpulentnym, małym jegomościem.

Gdy Geilis zakończyła temat diuka, spytała, czy nie miałabym ochoty towarzyszyć jej podczas wyprawy w podgórskie tereny.

– Zabrakło mi mchu – wyjaśniła. Wdzięcznie poruszyła długimi, delikatnymi rękami.

– Można z niego zrobić znakomity balsam do dłoni,

gdy się go ugotuje w mleku z owczą wełną.

Zerknęłam w wąskie okienko. Pyłki kurzu wirowały szaleńczo w złotym świetle. Wiatr przynosił ze sobą zapach dojrzałych owoców i świeżego siana.

– Czemu nie?

Zaczęłam szykować kosze oraz butelki.

Geilis przechadzała się po gabinecie. Brała na chybił trafił rozmaite przedmioty, po czym odkładała je byle gdzie. Zatrzymała się przy stoliku i przyjrzała się czemuś ze zmarszczonymi brwiami.

– Co to?

Obejrzałam się; trzymała małą wiązkę suchych roślin, związanych trzema splątanymi nitkami: czarną, białą, czerwoną.

– Jamie mówi, że to urok.

– Ma rację. Skąd się wziął ten wiecheć?

Opowiedziałam o odkryciu tego dziwnego podarku pod poduszką.

– Następnego dnia znalazłam to pod oknem. Zamierzałam przynieść do ciebie i spytać, czy coś o tym wiesz, ale całkiem zapomniałam.

Geilis w zamyśleniu pukała paznokciem o zęby. Pokręciła głową.

– Nie, nic nie wiem. Ale może jest sposób, by się dowiedzieć, kto ci zostawił taki prezent.

– Naprawdę?

– Tak. Jutro rano przyjdź do mojego domu, wtedy ci powiem.

Nie zgodziła się wyjawić nic więcej. Odwróciła się

na pięcie i zniknęła w szumie zielonego płaszcza.

Dotarliśmy aż do stóp gór, niemal galopując, gdy droga była dobra, idąc powoli, gdy znikwała. Po godzinie zatrzymałyśmy się przy małym, obrosniętym wierzbami potoku.

Przebrnęłyśmy przez niego wplaw i znalazłyśmy się na miejscu. Zbierałyśmy letnie rośliny, które tutaj jeszcze się zachowały, a także dojrzewające wczesnojesienne jagody i grube żółte grzyby, porastające pnie drzew w cienistych dolinkach. Geilis zniknęła w zaroślach, a ja zatrzymałam się na chwilę, by zeskrobać trochę osikowej kory. Perelki zaschniętej żywicy wyglądały jak krople krwi – głęboki szkarłat, lśniący w promieniach słońca.

Z zamyślenia wyrwał mnie jakiś hałas. Spojrzałam w stronę gór, w kierunku, z którego dochodził. Po chwili rozległ się znowu; wysoki, miauczający płacz. Dobiegał z wysoka, ze skalistej rozpadliny na grzbiecie wzgórza. Postawiłam koszyk na ziemi i zaczęłam się wspinać.

– Geilis! – krzyknęłam. – Chodź tutaj!

Ktoś zgubił dziecko! Pojawieniu się przyjaciółki towarzyszyły trzaski łamanych gałązek i mrużane złorzeczenie. Jasna twarz pani Duncan była zarumieniona i skrzywiona złością.

– Co znowu, do... – zaczęła i nagle rzuciła się ku mnie jak strzała. – Jezu Chryste!

Odłóż je! – Wyszarpnęła mi dziecko i położyła tam, gdzie je znalazłam, w małym wgłębieniu skały.

Wygladzona, kulista niecka miała niespełna metr szerokości. Po jednej stronie znajdowała się płytka

drewniana miska, do połowy wypełniona świeżym mlekiem, a u stóp dziecka leżał bukietik polnych kwiatów, związanych czerwonym sznureczkiem.

– Ale ono jest chore! – zaprotestowałam i znowu się pochylałam, by podnieść niemowlę. – Kto mógłby zostawić chore dziecko w lesie?

Maluch był wyraźnie w bardzo złym stanie; jego skrzywiona twarzyczka miała zielonkawy odcień, pod oczami malowały się ciemne podkowy, a małe piąstki poruszały się słabo pod kocykiem. Drobne ciało leżało bezwładnie w moich objęciach. Zdziwiłam się, że dziecko w ogóle miało siłę płakać.

– Jego rodzice – wyjaśniła zwięźle Geilis i położyła mi rękę na ramieniu. – Zostaw je.

Uciekajmy.

– Rodzice? – powtórzyłam dotknięta do żywego. – Ale...

– To odmieniec – rzuciła niecierpliwie. – Połóż go i chodź. Już!

Pociągnęła mnie za sobą w zarośla. Szłam za nią, protestując przez całą drogę w dół.

Wreszcie, zdyszane i czerwone, znalazłyśmy się u stóp wzgórza. Tam zmusiłam Geilis do zatrzymania się.

– Co to ma znaczyć? – spytałam. – Nie można zostawiać chorego dziecka zupełnie samego w lesie! Jaki odmieniec?

– No, odmieniec – powtórzyła zniecierpliwiona Geilis. – Nie rozumiesz? Kiedy gnomy porywają ludzkie dziecko, podkładają na jego miejsce swoje. Łatwo poznać,

że jest obce, ponieważ nieustannie krzyczy i nie rośnie.

– Wiem, co znaczy odmieniec – parsknęłam. – Ale chyba nie wierzysz w te bzdury?

Rzuciła mi dziwne spojrzenie, nieufne i wrogie. Potem na jej twarz powrócił zwykły wyraz rozbawionego cynizmu.

– Nie, nie wierzę – przyznała. – Ale tutejsi wierzą. – Zerknęła nerwowo na zbocze, ale ze skalistej rozpadliny nie dobiegały już żadne dźwięki. – Jego rodzice są tu gdzieś blisko. Idziemy!

Niechętnie dałam się pociągnąć w stronę wioski.

– Dlaczego je tam zostawili? – spytałam.

Usiadłam na kamieniu, by zdjąć pończochy przed wejściem do strumienia.

– Mają nadzieję, że Mały Ludek znajdzie i wyleczy niemowlę? – Nadal nie mogłam zapomnieć o dziecku. Wyglądało na bardzo chore. Nie wiedziałam, co mu dolegało, ale postarałabym się je wyleczyć.

Może powinnam odprowadzić Geilis do wioski, a potem wrócić po dziecko? W takim razie trzeba się spieszyć. Szare deszczowe chmury na wschodzie szybko nabierały ciemnofioletowego koloru. Na zachodzie dogasał różowy blask. Światło dzienne pozostanie jeszcze najwyżej przez pół godziny.

Geilis zawiesiła sobie kosz na szyi, podkasała spódnicę i weszła do wody, drżąc z zimna.

– Nie. A raczej tak – powiedziała. – To nawiedzone wzgórze i niebezpiecznie jest tam spać. Jeśli zostawi się odmienca w takim miejscu, Ludek przyjdzie i je zabierze, a

w zamian zostawi skradzione ludzkie dziecko.

– Ale przecież tak się nie stanie, bo to nie jest żaden odmieniec... – wycodziłam, wchodząc z zaciśniętymi zębami do lodowatej wody – ...tylko chore dziecko. Może nie przeżyć tej nocy!

– Owszem. Do rana umrze. I modłę się, żeby nikt nas nie zobaczył w jego pobliżu.

Zatrzymałam się z jednym butem w rękę.

– Umrze! Geilis, wracam do niego. Nie mogę tak zostawić bezbronnej istoty. – Ruszyłam wpływ przez strumień.

Geilis złapała mnie za spódnicę i popchnęła prosto w wodę. Trzepotałam rękami i ślizgałam się na kamienistym dnie, ale w końcu zdołałam się podnieść na czworaki.

Geilis stała po łydki w wodzie, z przemoczoną spódnicą. Wbijała we mnie płonący wzrok.

– Ty przekłeta, zakuta angielska pało! – wrzasnęła.  
– Nie możesz nic zrobić!

Słyszysz? Nic! To dziecko już jest martwe! Nie pozwolę ci ryzykować swoje i moje życie tylko dlatego, że tak ci się spodobało! – Obiema dłońmi chwyciła mnie pod rękę i pomogła stanąć na nogi. – Claire – powiedziała z naciskiem i potrząsnęła mną mocno.

– Posłuchaj. Jeśli tam pójdziesz, a dziecko umrze... bo umrze, wierz mi, już to widziałam... jego rodzice zrzucą winę na ciebie. Nie dostrzegasz niebezpieczeństwa? Nie wiesz, co o tobie mówią w wiosce?

Stałam drżąca na chłodnym wieczornym wietrze,



przejęta zarówno przerażeniem Geilis, jak i myślą o bezbronnym dziecku, powoli umierającym w samotności, z bukietem polnych kwiatów u stóp.

– Nie – wyszeptalam wreszcie, odgarniając z twarzy mokre włosy. – Nie, ja tak nie mogę. Obiecuję, że będę uważać, ale muszę iść. – Oswobodziłam się z jej uścisku i ruszyłam z powrotem.

Co krok potykałam się na nierównym dnie.

Za sobą usłyszałam stłumiony okrzyk desperacji, a potem wściekle chlupotanie, oddalające się w przeciwną stronę.

Dobrze, przynajmniej nie będzie mi już przeszkadzać.

Zmrok zapadał szybko. Przedzierałam się przez krzaki i chwasty najszybciej, jak mogłam. Nie wiedziałam nawet, czy zdołam odnaleźć właściwe wzgórze; w pobliżu było ich kilka, wszystkie tej samej wysokości. Perspektywa samotnej wędrowki w ciemnościach nie pociągała mnie zbyt, nie wspominając już o spotkaniu z tajemniczymi siłami. Rozważania o powrocie do zamku z chorym dzieckiem zostawiłam sobie na później.

Wzgórze rozpoznałam po kępie młodych modrzewi, które – jak zapamiętałam – rosły u jego podstawy. Zanim na nie trafiłam, zrobiło się już zupełnie ciemno. Często potykałam się o niewidoczne przeszkody i traciłam równowagę. Modrzewie stały razem, rozmawiając ze sobą cichymi trzaskami i szeleszczącymi westchnieniami.

To przekłete miejsce naprawdę jest nawiedzone, pomyślałam, nasłuchując skrzypiącej pogawędki drzew.

Nie zdziwiłabym się, gdybym za jakimś pnem zobaczyła ducha.

A jednak się zdziwiłam. Prawdę mówiąc, omal nie umarłam ze strachu, kiedy nagle z ciemności wychynęła czarna postać i chwyciła mnie mocno w mocne objęcia.

Wrzasnęłam przeraźliwie i uderzyłam na oślep.

– Jezu Chryste – wykrztusiłam zaraz potem. – Co ty tu robisz? – Przywarłam na chwilę do piersi Jamiego.

Na jego widok z serca spadł mi kamień. Natychmiast zapomniałam, jak mnie przeraził.

Jamie wziął mnie za ramię i popchnął ku krańcowi lasu.

– Szedłem po ciebie, ponieważ zaczęło się zmierzchać – wyszeptał. – Przy strumieniu świętego Jana spotkałem Geilis Duncan. Powiedziała, dokąd poszłaś.

– Ale dziecko... – zaczęłam, robiąc krok w stronę wzgórza.

– Nie żyje – rzucił krótko i pociągnął mnie za sobą. – Najpierw zajrzałem do niego.

Podążyłam za Jamiem bez sprzeciwu, przygnębiona, choć przyznaję, że ulżyło mi na myśl, iż nie muszę się wspinać nocą na nawiedzone wzgórze. Otoczona przez ciemność i szepty drzew nie odzywałam się, dopóki znowu nie przeszliśmy przez strumień. Nadal byłam mokra, więc nie traciłam czasu na zdejmowanie ciuchów, ponieważ przeskoczył z brzegu na kamień na środku strumienia, a z niego na drugi brzeg.

– Wiesz, jak niebezpiecznie jest w nocy? – spytał.  
Nie był zły, tylko zadowolony.

– Nie... To znaczy, tak. Przepraszam, jeśli się martwiłeś, ale nie mogłam zostawić tego dziecka. Po prostu sumienie mi nie pozwalało.

– Tak, rozumiem. – Przytulił mnie lekko. – Masz za dobre serce, Angielko, lecz nie wiesz, w co się chciałaś wmieszać.

– Chodzi o Mały Ludek? – Byłam zmęczona i znękana, lecz pokryłam to brawurą. – Nie wierzę w przesady. A ty? – dodałam, zaniepokojona nagłą myślą. – Wierzysz w duszki, odmieńce i strachy?

Zawahał się przez chwilę.

– Nie, nie wierzę, choć niech mnie piorun, jeśli się zgodzę spędzić całą noc na tym wzgórzu. Jestem wykształcony. Angielko. W domu Dougala miałem niemieckiego guwernera, człowieka uczonego. Umiem posługiwać się łaciną, greką. Poznałem też inne dziedziny wiedzy. Kiedy wyjechałem do Francji... studiowałem historię i filozofię.

Zrozumiałem, że świat nie składa się z samych wrzosowisk, a w jeziorach nie mieszkają wodne konie. Ale tutejsi... – Machnął ręką ku ciemnościom za naszymi plecami. – Nigdy nie oddalili się od miejsca urodzenia bardziej, niż o dzień drogi. No, może nie licząc podróży na tak wielkie uroczystości jak zgromadzenie. Ale w podobnych wydarzeniach biorą udział nie więcej niż dwa razy podczas całego życia. Mieszkają pomiędzy jeziorami i wrzosowiskami, o świecie zaś wiedzą tyle, ile w niedzielę opowie im ojciec Bain w kościele. Oczywiście są jeszcze podania.

Przytrzymał gałąź olchy; przeszłam pod rozłożystym konarem. Znaleźliśmy się na ścieżynce, którą przemierzałam razem z Geilis. Poczułam się pokrzepiona tym nowym dowodem, iż Jamie potrafi znaleźć drogę nawet w ciemnościach. Kiedy oddaliliśmy się od wzgórza, zaczął mówić normalnym głosem. Przerywał tylko wtedy, gdy odgarniał ze ścieżki splątane zarośla.

– Opowieści Gwyllyna są jedynie bajkami, zwłaszcza gdy słuchasz ich przy ogniu, pijąc reńskie wino. – Szedł przede mną, a jego głos płynął ku mnie, miękki i wyraźny w chłodnym nocnym powietrzu. – Lecz tu, a nawet w wiosce... o, to coś zupełnie innego.

Ludzie nimi żyją. Może jest w nich i ziarno prawdy.

Dotarliśmy do koni; nie minęła godzina, a w gęstym mroku ujrzeliśmy zapraszające światła zamku Leoch. Nigdy nie przypuszczałam, że ten czarny gmach wyda mi się bastionem zaawansowanej cywilizacji. Teraz jego oświetlone okna wyglądały w moich oczach jak kaganki oświaty.

Gdy zbliżyliśmy się bardziej, zdałam sobie sprawę, że wrażenie rześkiej iluminacji jest spotęgowane przez latarnie, stojące po obu stronach mostu.

– Coś się stało – odezwałam się, spoglądając na Jamiego.

Dopiero w tej chwili zobaczyłam go naprawdę. Nie miał na sobie codziennej, znoszonej koszuli i zwyczajnego kiltu. W blasku latarni ujrzałam śnieżnobiałe płócienko pod najlepszym – oraz jedynym – aksamitnym płaszczem.

– Tak – usłyszałam. – To dlatego po ciebie

pojechałem. Diuk wreszcie raczył przybyć.

Diuk sprawił mi sporą niespodziankę. Nie wiem, czego się spodziewałam, lecz z pewnością nie widoku zażywnego, dobrze zbudowanego mężczyzny o czerwonych policzkach, którego spotkałam w sali. Miał przyjemną, ogorzałą twarz i jasnoniebieskie oczy, zawsze lekko zmrużone, jakby spoglądał w słońce, śledząc lot bażanta.

Przez chwilę się zastanawiałam, czy wieści o upodobaniach diuka nie były nieco przesadzone. Ale kiedy rozejrzałam się po komnacie, przekonałam się, że wszyscy chłopcy poniżej osiemnastu lat mają dziwnie wrogie miny i nie spuszczają oczu z Sandringhama, gawędzącego przyjaźnie z Columem i Dougalem. A zatem zwykłe błazeństwa nie wchodziły w grę. Młodzieńcy zostali ostrzeżeni.

Zachowanie powagi podczas przedstawiania mnie diukowi przyszło mi z najwyższym trudem. Dostojnik wysoki, silny i krzepki, należał do tej grupy mężczyzn, którzy tak często przesiadują w pubach i głośno dowodzą swoich racji, a każdy objaw sprzeciwu tłumią krzykiem. Oczywiście dzięki opowieści Jamiego wiedziałam już o nim to i owo, lecz jego wygląd był niezwykle zaskakujący. Kiedy diuk pochylił się nad moją dłońią i głosem przerośniętej myszy powiedział: „Jak miło spotkać w tym zakątku rodaczkę”, musiałam ugryźć się w język, żeby nie wybuchnąć nieopanowanym śmiechem.

Zmęczony po podróży diuk wcześniej udał się do łóżka. Ale nazajutrz po kolacji czekał nas wieczór pełen

muzyki i rozmów. Wraz z Jamiem dołączyłam do Columa, Dougala i Sandringhama. Ten ostatni po paru kielichach reńskiego wina odzyskał animusz i zaczął szczegółowo opisywać nam potworności podróży w szkockich górach oraz słać piękno krajobrazu. Słuchaliśmy go grzecznie, a ja starannie unikałam spoglądania na Jamiego.

– Za Stirling złamała nam się oś i przez trzy dni nie mogliśmy ruszyć... nie zapominajcie, że lał ulewny deszcz... w końcu mój służący znalazł kowala, który naprawił to przekłete paskudztwo. Nie minęło pół dnia, a wpadliśmy w najgorszy wykrot na świecie i ta sakramencka oś znowu pękła! Następnie jeden z koni zgubił podkowę i musieliśmy iść piechotą po błocie! Potem... – Z każdą nową katastrofą miałam coraz większą ochotę zachichotać. Staralam się ukryć tę reakcję, popijając wino.

Prawdopodobnie nie był to najlepszy pomysł. – Ale zwierzyna, MacKenzie, zwierzyna! – wykrzyknął wreszcie diuk, przewracając oczami w ekstazie. – Nie wierzyłem własnym oczom. Nic dziwnego, że tak się stołujesz. – Delikatnie poklepał się po zaokrąglonym brzuszku. – Przysięgam, dałbym sobie rękę odciąć za tego jelenia, którego widzieliśmy przed dwoma dniami. Wspaniałe zwierzę, doskonałe. Wyskoczył z zarośli prosto przed nasz powóz – wyjaśnił mi uprzejmie. – Przeraził konie i bardzo niewiele brakowało, żebyśmy się znowu wywrócili!

Colum wziął karafkę i uniósł pytająco brew.

– Może zdołamy zaaranżować polowanie dla Waszej Miłości – powiedział, nalewając wina do wyciągniętych w jego stronę kieliszków. – Mój siostrzeniec

jest wybornym myśliwym. – Spojrzał ostro na Jamiego; ten odpowiedział ledwie widocznym skinieniem głowy. Colum wyprostował się, odstawił karafkę i rzucił niedbale: – A zatem postanowione. Zorganizujemy wyprawę w przyszłym tygodniu. Jest zbyt wcześnie na bażanty, lecz można zasadzić się na jelenia. – Odwrócił się do Dougala, wygodnie usadowionego w fotelu. – Mój brat także pojedzie. Jeśli Wasza Miłość zechce skierować się na północ, Dougal pokaże ziemie, o których rozmawialiśmy wcześniej.

– Kapitalnie, wyśmienicie! – Zachwycony diuk poklepał po nodze Jamiego, który zeszytywniał, ale nie zmienił wyrazu twarzy.

Diuk zostawił dłoń na jego udzie odrobinę dłużej, niż należało. Podchwycił moje spojrzenie i uśmiechnął się jowialnie, jakby mówił: „Zawsze można spróbować, co?”.

Mimo woli odpowiedziałam uśmiechem. Z zaskoczeniem poczułam, że Sandringham budzi moją sympatię.

W zamieszaniu spowodowanym przybyciem diuka zapomniałam, że Geilis miała mi pomóc znaleźć osobę, która zostawiła dziwny bukiet pod moją poduszką. Po nieprzyjemnym zajściu na nawiedzonym wzgórzu nie zamierzałam zwracać się do niej w jakiegokolwiek sprawie. Mimo to ciekawość zwyciężyła. Kiedy Colum kazał Jamiemu przywieźć Duncanów na ucztę w zamku, pojechałam razem ze swoim ukochanym.

I tak w czwartek znalazłam się wraz z Jamieem w salonie Duncanów. Prokurator rozmawiał z nami z

nieśmiałą sympatią, podczas gdy jego żona ubierała się na górze.

Artur, choć zdążył już wydobrzeć po ostatnim ataku przypadłości gastrycznych, nadal nie wyglądał zupełnie zdrowo. Jak to bywa w przypadku otyłych osób, które schudły zbyt gwałtownie, zmiana dała się zauważyć głównie na twarzy. Skóra na policzkach zwisała mu smętnie, natomiast zielony jedwab kamizelki trzeszczał pod naporem wydatnego brzucha.

– Może pójdę na górę i pomogę Geilis ułożyć włosy? – odezwał się. – Przyniosłam jej nową wstążkę. – Przewidziałam konieczność użycia jakiegoś pretekstu do rozmowy w cztery oczy, więc wzięłam ze sobą z zamku małą paczuszkę.

Pokazałam ją obu mężczyznom i wybiegłam, zanim Artur zdążył zaprotestować.

Geilis już czekała.

– Wejź – powiedziała. – Pójdziemy do mojej alkowy. Musimy się spieszyć, ale nie potrwa to długo.

Poszłam za nią wąskimi, kręconymi schodami. Stopnie miały nieregularną wysokość; niektóre były tak wysokie, że musiałam unosić spódnice, żeby się w nie nie zaplątać w fałdy materiału. Najwyraźniej siedemnastowieczni cieśle mieli dość zawodne metody pomiarów... lub duże poczucie humoru.

Prywatny pokój Geilis znajdował się na najwyższym piętrze, ponad izdebkami służby.

Jego drzwi były zaopatrzone w solidny zamek, do którego pasował prawdziwie sążnisty klucz. Miał pewnie z



piętnaście centymetrów długości, a jego główkę zdobiły rzeźbione girlandy. Ważył prawie pół kilo; w razie potrzeby stanowiłby dobrą broń. Zamek i zawiasy zostały dobrze naoliwione, więc drzwi otworzyły się bezgłośnie.

Pokój był malutki i miał mansardowe okna, znajdujące się na froncie budynku. Każdy centymetr przestrzeni pod ścianami zajmowały półki, na których tłoczyły się słoiczki, butelki, flaszki, fiołki i dzbanki. Wiązki suszonych ziół, starannie obwiązane różnokolorowymi sznurkami, zwisały z belek w równych rzędkach, prósząc wonnym pyłem. A jednak pomieszczenie w niczym nie przypominało czystego, oficjalnego pokoju z ziołami na dole. Było ciasne, niemal klaustrofobiczne i ciemne pomimo okien.

Na jednej półce stały książki, przeważnie stare i zatechłe, bez tytułów na grzbietach.

Przesunęłam palcem po skórzanej oprawie kilku tomów. Większość książek miała okładki z cielejącej skóry. Były miękkie, lecz nieprzyjemnie tłuste w dotyku. A jedna książka najwyraźniej została oprawiona w rybią skórę. Wyjęłam i otworzyłam tomik. Ujrzałam pisany ręcznie tekst, częściowo starodawną francuszczyzną, częściowo jeszcze mniej zrozumiałą łaciną. Zdołałam odczytać tylko tytuł. „L'Grimoire dle Comte St. Germain”.

Zamknęłam książkę i odstawiłam na miejsce, nieco wstrząśnięta. „Grimoire” – księga magiczna. Poczułam na sobie wzrok Geilis. Gdy się odwróciłam, ujrzałam spojrzenie pełne złośliwości i nieufnego namysłu. Co zrobić, skoro już wiem?

– A zatem to nie plotka, prawda? – spytałam z uśmiechem. – Naprawdę odprawiasz czary. – Chciałam się jeszcze dowiedzieć, jak bardzo Geilis jest zaawansowana w swoich praktykach i na ile w nie wierzy. A może to tylko wyrafinowana zabawa, mająca nieco rozwiać nudę pożycia z Arturem? Zastanawiało mnie też, jakiego rodzaju magię uprawiała... lub udawała, że uprawia.

– Białą – powiedziała z uśmiechem. – Zdecydowanie białą magię.

Pomyślałam ponuro, że Jamie miał rację, iż moja twarz odzwierciedla uczucia.

Najwyraźniej wszyscy bez wyjątku potrafili je odczytać.

– A, to dobrze – mruknęłam. – Nie mam zbyt wielkiej ochoty na tańce wokół ognisk i latanie na miotłach, a już zwłaszcza na całowanie diabła w zadek.

Geilis odchyliła głowę i parsknęła cichym śmiechem.

– Zdaje się, że nikogo nie całujesz w tyłek, jeśli się nie mylę. Ani ja. Choć gdybym miała w łóżku takiego słodkiego diablaka, jak twój Jamie, kto wie, kto wie...

– To mi przypomina... – zaczęłam ale ona już była zajęta czymś innym.

W pierwszej kolejności sprawdziła, czy drzwi są zamknięte na klucz. Następnie podeszła do skrzyni pod oknem i zaczęła w niej grzebać. Wyjęła wielką, płytką miskę i wysoką białą świecę w porcelanowym świeczniku. Potem wyciągnęła jeszcze zniszczoną koldrę, którą rozłożyła na podłodze.

– Co chcesz zrobić? – spytałam, nieufnie przyglądając się przygotowaniom.

Nie widziałam żadnego złowieszczego zastosowania dla miski, świecy i kołdry, ale też nie byłam szczególnie doświadczoną czarownicą.

– Będę wywoływać – mruknęła Geilis, układając kołdrę równo wzdłuż desek podłogi.

– Kogo? – Albo „co”, dodałam w myślach.

Geilis wyprostowała się i odgarnęła włosy, śliskie jak jedwab i delikatne, wymykające się więzom. Wyszarpnęła niecierpliwie szpilki i rozpuściła na ramiona lśniącą falę koloru śmietanki.

– Duchy, upiory, wizje... Wszystko, czego będzie nam potrzeba – wyjaśniła. – Zawsze zaczyna się tak samo, ale zioła i słowa są różne dla każdego przypadku. Chcemy, żeby pojawiła się wizja, by ujrzeć, kto ci źle życzy. Potem zwrócimy urok przeciwko niemu.

– Hm, właściwie... – Nie czułam żądzy zemsty, ale byłam strasznie ciekawa, jak wygląda przywoływanie i kto zamierzał rzucić na mnie urok.

Geilis postawiła miskę na środku kołdry i nalała do niej wody z dzbanka.

– Można posłużyć się każdym naczyniem. Musi jednak być tak duże, by zapewniało dobre odbicie, choć księga radzi, by używać srebrnej bassin. Dobra jest nawet sadzawka lub kałuża, byle w miejscu odosobnionym, ponieważ do przywoływania trzeba spokoju i ciszy.

Szybko przebiegła od okna do okna, zaciągając grube czarne zasłony, aż wreszcie w pokoju zapanowały

nieprzeniknione ciemności. Smukła sylwetka Geilis zniknęła niemal zupełnie. Ujrzałam ją dopiero wtedy, gdy zapłonęła świeca. Blask rzucał ostre cienie na twarz, wydatny nos i ostro rzeźbiony podbródek gospodyni.

Geilis postawiła świecę obok miski, z dała ode mnie. Bardzo ostrożnie dołała do naczynia wody tak, żeby jej powierzchnia sięgała nieco ponad brzeg. Pochyliłam się i stwierdziłam, że powstałe w ten sposób lustro daje o wiele lepsze odbicie niż zamkowe zwierciadła. Przyjaciółka, znowu czytając mi w myślach, wyjaśniła, iż – oprócz magicznego zastosowania – miska doskonale nadaje się do układania włosów.

– Nie wpadnij w nią, bo się przemoczysz – poradziła.

Rzeczowy ton uwagi, tak prozaiczny w trakcie magicznych zabiegów, wydał mi się dziwnie znajomy. Szczupła, blada postać, pochylona wdzięcznie nad hubką i krzesiwem, z początku nie kojarzyła mi się z nikim, ale potem... Oczywiście! Geilis w niczym nie przypominała zaniedbanej kobiety w domu wielebnego Wakefielda, lecz ton jej głosu był identyczny z brzmieniem wypowiedzi pani Graham.

Być może chodziło też o podobne nastawienie, pragmatyzm, traktowanie magii jak zbioru zjawisk równie zwyczajnych jak pogoda. Oczywiście, godnych szacunku – takiego samego, z jakim obchodzimy się z ostrym kuchennym nożem – lecz z pewnością nie zawierających w sobie nic nadzwyczajnego czy niesamowitego.

A może to zapach wody lawendowej przywołał

wspomnienie pani Graham? Luźna, fałdzista suknia Geilis zawsze pachniała esencjami, które destylowała jej właścicielka: rumiankową, miętową, nagietkową, majerankową, spikanardową... Dzisiaj z materii białej sukni unosił się zapach lawendy. Ten sam, którym przesiąknięta była praktyczna błękitna bluzka pani Graham, kryjąca kościstą pierś.

Ale dekolt Geilis, w znacznym stopniu odsłonięty, nie nosił ani śladu wystających kości. Po raz pierwszy ujrzałam czcigodną panią Duncan w dezabilu; zwykle nosiła surowe, sute suknie, zapięte wysoko pod szyją – jak przystało żonie prokuratora. Teraz z zaskoczeniem zobaczyłam bujne okrągłości, kremowe ciało niemal tego samego koloru, co kryjąca je sukienka, i wreszcie zrozumiałam, dlaczego Artur Duncan poślubił biedną jak mysz kościelna sierotę. Mimo woli zerknęłam na szeregładnie oznaczonych słoiki na półce, szukając saletry potasowej.

Tymczasem Geilis wybrała trzy słoiki i wysypała z każdego odrobinę ziół do maleńkiej metalowej kadzielnicy. Podpałiła pod nią węgle i zaczęła łagodnie rozdmuchiwać ogień.

Po chwili poczułam wonny dym. Powietrze w alkowie było tak nieruchome, że szara smużka uniosła się prostym strumieniem, podobnie jak dym z białej świecy. Geilis usiadła pomiędzy dwoma kolumnami niczym kapłanka w świątyni, z wdzięcznie podwiniętymi pod siebie nogami.

– Tak, to chyba wystarczy. – Otrzepała energicznie

dłonie z okrucichów rozmarynu i przyjrzała się otoczeniu z zadowoleniem. Czarne zasłony, malowane w mistyczne symbole, odcinały dopływ promieni słońca, a świeca stała się jedynym źródłem światła.

Jej płomień odbijał się, rozproszony, na powierzchni wody. Wydawało się, że krystaliczna ciecz jarzy się własnym blaskiem.

– Co teraz? – spytałam.

Wielkie szare oczy lśniły nie słabiej niż woda, pełne radosnego oczekiwania.

Gospodyni przesunęła dłońmi nad miską, a potem splotła je między nogami.

– Przez chwilę siedź cicho – rozkazała. – Wsłuchaj się w bicie swojego serca.

Słyszysz? Oddychaj powoli, głęboko. – W przeciwieństwie do ożywionego wyrazu twarzy, jej głos tchnął spokojem. Poczulałam, że serce zwalnia uderzenia, a oddech staje się miarowy i rytmiczny. Rozpoznałam woń palonych ziół: rozmaryn, ale co do dwóch innych nie miałam pewności. Czyżby naparstnica? A może srebrnik? Wydawało mi się, że fioletowe kwiatki to wilcza jagoda, ale natychmiast wyśmiałam swoje podejrzenia.

Jakkolwiek nazywały się zioła, mój powolny oddech nie mógł być wynikiem jedynie sugestii Geilis. Miałam wrażenie, że jakiś ciężar uciska mi pierś i każe oddychać wolniej wbrew mojej woli.

Przyjaciółka siedziała w bezruchu i przyglądała mi się szeroko otwartymi oczami.

Potem skinęła głową, a ja posłusznie spojrzałam na

powierzchnię wody.

Usłyszałam głos Geilis, spokojny i pozbawiony emocji. Znowu przyszła mi na myśl pani Graham, wzywająca słońce w kamiennym kręgu. Zdania wypowiedziane przez Geilis nie przypominały języka angielskiego, a mimo wszystko nie różniły się od niego. Była to dziwna mowa, lecz taka, którą powinnam znać. Zdawało mi się, jakby słowa rozbrzmiewały tuż poza zasięgiem mojego słuchu.

Czułam, że palce zaczynają mi drętwieć; chciałam nimi poruszyć, ale to okazało się niemożliwe. Geilis mówiła nieustannie, miękko i przekonująco. Teraz już wiedziałam, że rozumiem treść, choć nadal nie potrafiłam wydobyć słów na powierzchnię umysłu.

Zdałam sobie sprawę, że albo zostałam zahipnotyzowana, albo poddana działaniu jakiegoś narkotyku, i wreszcie zdołałam się uchwycić tej trzeźwej myśli, która dała mi ochronę przed wpływem słodkiego dymu. Widziałam swoje odbicie na powierzchni wody: źrenice małe jak łebki od szpilek, oczy wielkie niczym u sowy. Przez otaczający chaos dotarło do mnie słowo „opium”.

– Kim jesteś? – Nie wiedziałam, kto zadał to pytanie, ale poczułam ruch swoich ust, gdy odpowiedziałam:

– Claire.

– Kto cię przysłał?

– Ja.

– W jakim celu przysłaś?

– Nie mogę powiedzieć.

– Dlaczego?

– Bo nikt mi nie uwierzy.

Głos w mojej głowie stał się jeszcze bardziej kojący, przyjazny, perswadujący.

– Ja ci wierzę. Kim jesteś?

– Claire.

Nagły hałas wytrącił mnie z odrętwienia. Geilis drgnęła i potrąciła kolanem miskę.

Odbicie rozpadło się na dziesiątki zmarszczek.

– Geilis, moja droga... – odezwał się głos za drzwiami, łagodny lecz rozkazujący. – Musimy ruszać, kochanie. Konie już czekają, a ty nie jesteś jeszcze gotowa.

Geilis mruknęła coś niezyczliwego, wstała i jednym szarpnięciem otworzyła okno.

Powiew świeżego powietrza obmył mi twarz i rozwiął mgłę w mojej głowie. Pani Ducan popatrzyła na mnie bacznie, po czym pomogła mi wstać.

– No dobrze. Czujesz się trochę dziwnie? Czasami tak bywa. Lepiej się połóż, a ja się ubiorę.

Wyciągnęłam się na pościelonym łóżu w sypialni gospodyni, zamknęłam oczy.

Z sąsiedniej komnatki dobiegały mnie ciche szelesty; to Geilis wkładała suknie.

Zastanawiałam się, co to wszystko miało znaczyć. Z pewnością nie chodziło o odnalezienie osoby, która mi źle życzy. Geilis chciała się dowiedzieć, kim jestem.

W miarę, jak wracała mi zdolność myślenia, zaczęłam rozważać, czy Geilis jest szpiegiem Columa.



Dzięki swojej pozycji miała wiadomości o nowinach i tajemnicach z całej okolicy. A kto, jeśli nie Colum, był zainteresowany moim pochodzeniem?

Ale na razie nie mogłam jej o to spytać. Drzwi sypialni otworzyły się gwałtownie i do środka wszedł Artur Duncan. Zapukał raz do drzwi komnatki i zdecydowanym krokiem przestąpił próg.

Usłyszałam krzyk, a potem martwą ciszę.

Artur Duncan znów pojawił się w drzwiach sypialni; miał błędny wzrok i twarz tak bladą, jakby doznał jakiegoś ataku. Zerwałam się na równe nogi. Prokurator oparł się ciężko o framugę.

Zanim zdołałam do niego dobiec, ruszył z miejsca i wyszedł, zataczając się lekko.

Minął mnie bez słowa; poruszał się jak ślepiec. Zapukałam do drzwi komnatki.

– Geilis? Wszystko dobrze?

Cisza trwała jeszcze przez chwilę, a potem idealnie opanowany głos powiedział:

– Tak, oczywiście. Zaraz wyjdę.

Kiedy wreszcie zeszliśmy do salonu, Artur popijał brandy w towarzystwie Jamiego.

Wydawał się nieco roztargniony, jakby nad czymś rozmyślał, lecz powitał żonę komplementem.

Przyjechaliśmy do zamku nieco po rozpoczęciu uczyty. Prokurator i jego żona zajęli honorowe miejsca przy najlepszym stole. Jamie i ja, nieco niżsi rangą, usiedliśmy razem z Rupertem i Nedom Gowanem. Pojawiła się także pani Fitz, witana okrzykami i komplementami za ogromną

ilość przygotowanych dań i napojów.

Istotnie, potrawy były przepyszne. Jeszcze nigdy nie jadłam pieczonego bażanta nadziewanego kasztanami w miodzie. Kiedy nałożyłam sobie trzeci kawałek, Ned Gowan, obserwujący mnie z pewnym rozbawieniem, spytał, czy już próbowałam prosiaka. Moja odpowiedź zginęła w ogólnym szumie, powstałym w odległej części sali. Colum podniósł się ze swego miejsca i w towarzystwie starego Aleca MacMahona podszedł do mnie.

– Widzę, że twoje talenty, pani, są niezliczone – powiedział z lekkim ukłonem.

Uśmiechnął się ujmująco. – Od opatrywania ran i leczenia chorych po wydobywanie na świat żrebaka. Wkrótce będziemy cię wzywać, gdy przyjdzie do wskrzeszania zmarłych.

Wszyscy parsknęli śmiechem, choć parę osób nerwowo zerknęło w stronę ojca Baina, który metodycznie napychał się pieczoną baraniną.

– A zatem – ciągnął Colum, sięgając do kieszeni surduta – przyjmij, proszę, drobny prezent będący wyrazem mojej wdzięczności. – Podał mi małe drewniane puzderko.

Na wieczku widniał symbol klanu MacKenziech. Do tej pory nie zdawałam sobie sprawy, jak cenną klaczą była Losgann i w duchu podziękowałam wszystkim dobrym duchom, które dopilnowały, by mi się udało.

– Cóż znowu – zaprotestowałam. – Nie zrobiłam nic nadzwyczajnego. Przypadek sprawił, że mam małe dłonie.

– Nie, musisz to przyjąć – oznajmił uparcie Colum.  
– Jeśli wolisz, uznaj tę rzecz za niewielki ślubny podarek.

Chcę, byś to miała.

Widząc, iż Jamie skinął głową, z wahaniem przyjął i otworzył puzderko.

W środku znajdował się przepiękny różaniec z gagatów, z precyzyjnie rzeźbionymi ziarnami i posrebrzonym krzyżem.

– Zachwycający – powiedziałam szczerze.

Nie miałam jednak zielonego pojęcia, co powinnam zrobić z prezentem. Choć w zasadzie byłam katoliczką, to jednak zostałam wychowana przez wujka Lamba, najbardziej zagorzałego agnostyka. Z trudem uświadamiałam sobie, do czego służy różaniec. Mimo to ciepło podziękowałam Columowi i oddałam podarek Jamiemu, by go przechował w sporraniu.

Dygnęłam przed Columem, zadowolona, iż coraz lepiej mi wychodzi ten manewr.

Przywódca klanu MacKenziech otworzył usta, by się pożegnać, lecz nie zdążył nic powiedzieć. Za moimi plecami rozległ się nagle hałas. Odwróciłam się; ujrzałam jedynie zbity tłum. Ludzie zrywali się z ław i gromadzili w miejscu zamieszania. Colum z trudem ruszył przed siebie. Rozpędzał ciekawskich niecierpliwymi machnięciami dłoni. Kiedy gapie z szacunkiem rozstąpili się przed panem zamku, moim oczom ukazał się Artur Duncan, wstrząsany konwulsyjnymi drgawkami, odtrącający pomocne dłonie. Geilis przedarła się przez szemrzącą tuszę ludzi i uklękła obok męża. Prokurator wygiął się w łuk i wydał dziwny, gardłowy dźwięk.

Geilis niespokojnie powiodła spojrzeniem po

tłumie. Najwyraźniej kogoś szukała.

Uznałam, że chodzi jej o mnie, więc na czworakach pod stołem ruszyłam w jej stronę.

Gdy dotarłam do celu, ujęłam w obie ręce głowę Artura i spróbowałam otworzyć mu usta.

Z wydawanych przez niego dźwięków mogłam wnosić, że zadławił się kawałkiem mięsa.

Ale Artur Duncan miał szczęki zaciśnięte z potworną siłą, a na sine usta wyprysnęły mu białe krople spienionej śliny, która nie powinna wystąpić przy zadławieniu.

Najwyraźniej jednak się krztusił; tłusta pierś poruszała się z wysiłkiem, walcząc o łyk powietrza.

– Szybko, odwróćmy go na bok – rozkazałam.

Kilka dłoni wyciągnęło się od razu i ciężkie ciało zwróciło się do mnie szerokimi plecami obleczonymi w czarną serze. Mocno wbiłam mu dłoń pomiędzy łopatki, aż usłyszałam głuchoe łupnięcie. Masywne plecy drgnęły pod ciosem, ale nie nastąpił gwałtowny skurcz, znamionujący wyskoczenie przeszkody z przełyku.

Chwyciłam za mięsiste ramię i znowu obróciłam Artura na plecy. Geilis pochyliła się nisko nad twarzą z szeroko otwartymi oczami, powtarzała imię męża i masowała jego ściśnięte gardło. Nagle oczy prokuratora wyróciły się białkami, a dłonie, zeszywniałe jak szpony, śmignęły w powietrzu i uderzyły nisko pochyłonych ludzi.

Odgłosy dławienia powoli ustały, a przysadziste ciało zwiotczało. Artur legł bezwładnie jak worek ziarna. Gorączkowo chwyciłam go za przegub, aby zbadać puls;

kątem oka do strzegłam, że Geilis robi to samo – podniosła okrągły, wygolony podbródek i mocno wparła palce w szyję, poszukując tętnicy.

Niestety, serce Artura Duncana, zmęczone wieloletnim pompowaniem krwi w potężne ciało, dało za wygraną.

Wykorzystałam znane mi techniki reanimacyjne, choć zdawałam sobie sprawę, że są już bezużyteczne. Sztuczne oddychanie, masaż klatki piersiowej, nawet obrzydliwe oddychanie usta – usta, wszystko na nic. Rezultat był dokładnie taki, jakiego się spodziewałam. Artur Duncan leżał martwy jak kawał drewna.

Wyprostowałam się ze znużeniem i cofnęłam o parę kroków. Ojciec Bain rzucił mi nienawistne spojrzenie, po czym ukląkł przy prokuratorze i pospiesznie dał mu ostatnie namaszczenie. Bolały mnie plecy i ręce, a twarz dziwnie mi stężała. Szum głosów wydawał się odległy, jakbym znalazła się za zasłoną. Zamknęłam oczy i potarłam zdrewniałe usta, usiłując zetrzeć z nich smakśmierci.

Mimo zgonu prokuratora i koniecznych formalności związanych z pochówkiem, polowanie na jelenia zostało odłożone zaledwie o tydzień.

Bardzo przygnębiła mnie świadomość nieuniknionego odjazdu Jamiego. Nagle zdałam sobie sprawę, jak mocno tęsknię do spotkania z nim przy kolacji po dniu pracy i jak polegam na jego towarzystwie oraz opiece, jedynej pewnej rzeczy pośród zawilości zamkowego życia. A także, już zupełnie szczerze, jak bardzo lubię to ciepłe, gładkie ciało obok mnie i po godne

pocałunki na dzień dobry. Perspektywa jego nieobecności kładła mi się na sercu kamieniem.

Jamie oparł brodę na czubku mojej głowy i przytulił mnie czule.

– Będzie mi ciebie brakowało – wyznałam cicho.

Przytulił mnie mocniej i roześmiał się niewesoło.

– A mi ciebie. Angielko. Prawdę mówiąc, rozstanie z tobą jest bolesne, choć się tego nie spodziewałem. – Delikatnie pogłaskał mnie po plecach, przesunął palcami po guzkach kręgow.

– Jamie... będziesz uważał?

W jego głosie odezwała się nuta rozbawienia.

– Na diuka czy konia?

Ku memu przerażeniu, zamierzał pojechać na Donasie. Już widziałam, jak to wielkie złośliwe bydlę rzuca się w przepaść z czystej przekory albo roznosi Jamiego na strzepy potwornymi kopytami.

– Na Sandringhama, i na Donasa – mruknęłam. – Jeśli koń cię zrzuci, a ty złamiesz nogę, znajdziesz się na łasce diuka.

– Tak, to prawda. Ale jedzie z nami Dougal.

Parsknęłam szyderczo.

– Złamię ci drugą nogę.

Jamie roześmiał się, a potem mnie pocałował.

– Będę ostrożny, mo dumne. Czy obiecasz mi to samo?

– Tak – powiedziała poważnie. – Wiesz, kto chce rzucić na mnie urok?

Chwilowe rozbawienie minęło bez śladu.

– Być może. Nie sądzę jednak, aby groziło ci niebezpieczeństwo. Gdyby istniało jakiegokolwiek zagrożenie, nie zostawiłbym cię samej. Ale mimo to... aha, trzymaj się z daleka od Geilis Duncan.

– Dlaczego? – Cofnęłam się, żeby spojrzeć na Jamiego.

Było tak ciemno, że nie widziałam jego twarzy, ale głos miał bardzo poważny.

– Ludzie mówią, że to czarownica... hm, a od śmierci jej męża gadają jeszcze gorzej.

Nie zbliżaj się do niej. Anielko.

– Naprawdę uważasz, że jest czarownicą? – spytałam.

Duże dłonie Jamiego objęły moje pośladki i przysunęły mnie bliżej. Zarzuciłam mu ręce na szyję, rozkoszując się dotykiem gładkiej, twardej piersi.

– Nie – powiedział po chwili milczenia. – Ale to nie ja mogę ci zaszkodzić.

Obiecujesz?

– Tak. – Prawdę mówiąc, nie musiałam zbyt wiele walczyć z pokusą odwiedzenia wdowy po prokuratorze.

Od czasu incydentu z odmieńcem i seansu hipnozy straciłam ochotę na spotkania z Geilis. Pochyliłam się i musnęłam językiem sutek Jamiego. Usłyszałam cichy gardłowy jęk.

– Rozłóż nogi – szepnął. – Chcę, żebyś mnie dobrze zapamiętała.

Obudziłam się zziębnięta. Zaczęłam na oślep szukać kołdry, lecz nigdzie nie mogłam jej znaleźć. Nagle sama na

mnie opadła. Zaskoczona, uniosłam się na łokciu.

– Przepraszam – powiedział Jamie. – Nie chciałem cię obudzić.

– Co robisz? Dlaczego nie śpisz? – W komnacie panowała zupełna ciemność, ale i tak zdołałam ujrzeć jego zakłopotaną minę.

Był zupełnie przytomny; siedział na krześle przy łóżku, otulony tartanem:

– Ja tylko... śniło mi się, że się zgubiłaś i nie mogłem cię znaleźć. To mnie obudziło i... chciałem na ciebie popatrzeć, nic więcej. Zapisać twój widok w pamięci, żebym mógł sobie go odtworzyć, kiedy będę daleko.

Odchyliłem kołdrę.

– Przepraszam, że przeze mnie zmarzałaś.

Położył się obok mnie i przytulił się do moich pleców. Jego dłonie gładziły mnie od szyi o ramiona, od talii po biodra, śledząc linie ciała.

– Mo dumne – szepnął. – Teraz właściwie powinienem powiedzieć: mo airgeadach.

Moja irebma. Masz włosy jak srebrny kruszec, a skórę jak biały aksamit. Calman geal.

Biała gołębica.

Wtuliłam się w niego biodrami; westchnęłam, czując go w sobie. Przytulił mnie i wszedł głęboko. Wydałam cichy okrzyk, a on nieco zwolnił uścisk.

– Przepraszam – wymamrotał. – Nie zamierzałem cię skrzywdzić. Ale pragnę być w tobie głęboko, jak najgłębiej. Chcę cię tak trzymać i zostać w twoim ciepłym



wnętrzu aż do świtu, i odejść, gdy będziesz spała.

Przytuliłam się do niego.

– Nie skrzywdzisz mnie.

Po odjeździe Jamiego snułam się po zamku bez celu. Przyjmowałam pacjentów, pracowałam w ogrodach i szukałam wytchnienia w bibliotece Columa, lecz czas włókł się niemiłosiernie powoli. Mniej więcej dwa tygodnie później w korytarzu za kuchnią spotkałam Laoghaire. Od czasu do czasu przyglądałam się jej ukradkiem – od chwili, gdy zobaczyłam ją na podeście przed gabinetem Columa. Wyglądała kwitnąco, lecz wyczuwałam w niej pewne napięcie. Była roztargniona i kapryśna – nic dziwnego, pomyślałam ze współczuciem.

Dziś jednak wydawała się wyraźnie ożywiona.

– Pani Fraser! – zawołała na mój widok. – Mam dla pani wiadomość.

Okazało się, że wdowa Duncan jest chora i wzywa mnie do siebie.

Zawahałam się, pomna wskazówek Jamiego, lecz w końcu połączone siły litości i nudy wypchnęły mnie na drogę prowadzącą do wsi, ze skrzynką z lekarstwami przytroczoną do siodła.

Dom Duncanów wyglądał na zaniedbany i opuszczony. Nikt nie odpowiedział na pukanie, więc sama otworzyłam drzwi. Ujrzałam pusty korytarz i salon, pełen porzrzuconych książek, nie umytych szklanic, poprzekrzywianych chodników oraz mebli pokrytych grubą warstwą kurzu. Na moje nawoływania nie zjawiała się żadna służąca. Ruszyłam do kuchni, To pomieszczenie okazało

się równie brudne i zagracone, jak reszta domu.

Poszłam na górę, coraz bardziej zaniepokojona. W sypialni także nie znalazłam żywego ducha, lecz z pokoju na końcu korytarza dobiegły mnie stłumione odgłosy.

Otworzyłam drzwi i zobaczyłam Geilis, usadowioną wygodnie w fotelu, z nogami opartymi na stole. Obok niej stał kieliszek, nieco dalej znajdowała się karafka, a w pokoju unosił się mocny zapach brandy.

Wdowa popatrzyła na mnie ze zdziwieniem, lecz wstała z uśmiechem, choć chwiejnie.

Miała nieco zamglone spojrzenie, ale z pewnością nic poważnego jej nie dolegało.

– Co się stało? – spytałam. – Nie jesteś chora?

Otworzyła szeroko oczy.

– Chora? Nie. Służba odeszła i nie ma już jedzenia, ale zostało mnóstwo brandy.

Masz ochotę? – Zawróciła ku karafce.

Chwyciłam Geilis za rękaw.

– Nie posłałaś po mnie?

– Nie. – Wbiła we mnie szklisty wzrok.

– Więc dlaczego... – urwałam.

Narastający hałas coraz bardziej zbliżał się w naszą stronę. Słyszałam już tę charakterystyczną wrzawę, i to w tym samym pokoju. Na myśl o spotkaniu z oszalałym tłumem poczułam, że pocą mi się dłonie. Otarłam je o suknię. Krzyki narastały z każdą chwilą. Zrezygnowałam z dalszych pytań.

Ktoś stojący do mnie tyłem, ubrany w samodział, ustąpił mi drogi. Roztoczyła się przede mną ciemność.

Uderzyłam mocno łokciem w drewno, aż usłyszałam głośne łupnięcie w kości; zostałam wepchnięta za jakiś próg i runęłam twarzą w czarną maź, rojącą się od niewidocznych form życia. Wrzasnęłam. Rzuciłam się gwałtownie, aby uwolnić się od setek maleńkich nóżek, po czym wpadłam na coś większego, co kwiknęło i wymierzyło mi mocny cios w udo.

Zdołałam odsunąć się nieco dalej, pod glinianą ścianę. Uderzyłam w nią z rozpędu; na głowę posypała mi się kaskada suchej ziemi. Skuliłam się i z wysiłkiem opanowałam spazmatyczny oddech, by usłyszeć, kto lub co znajduje się wraz ze mną w tej śmierdzącej dziurze. Cokolwiek to było, oddychało głośno i chrapliwie, ale nie warczało. Może świnia?

– Kto tam? – Z nieprzeniknionych ciemności dobiegł mnie czyjś głos, przerażony, lecz donośny.

– Claire, to ty?

– Geilis! – jęknęłam i ruszyłam po omacku w jej stronę. Napotkałam wyciągnięte ręce. Chwyciłyśmy się mocno. – Czy jest tu coś oprócz nas? – spytałam, rozglądając się lękliwie.

Nawet teraz, gdy oczy przyzwyczyły mi się do mroku, nie widziałam zbyt wiele.

Gdzieś w górze rozpraszały się słabe promienie światła, ale poniżej zalegały głębokie cienie. Z trudem rozróżniałam zarysy twarzy Geilis, oddalonej zaledwie o kilka centymetrów.

– Tylko parę myszy i robactwo – powiedziała i zaśmiała się histerycznie.– smród, od którego zemdlałby

nawet knur.

– Zauważyłam. Gdzie jesteście, na Boga?

– W lochu złoczyńców. Cofnij się!

Nad naszymi głowami rozległ się zgrzyt i do środka wpadł snop ostrego światła.

Przytuliłam się do ściany w samą porę, by uniknąć powodzi błota i pomyj. Cuchnąca maź wpadła przez mały otwór w dachu naszego więzienia. Potem chlupnęło w nią coś miękkiego. Geilis schyliła się i podniosła to z podłogi. Otwór pozostał otwarty; w bladym świetle ujrzałam w jej dłoniach mały bochenek chleba, spleśniały i umazany błotem.

Geilis oczyściła go gorliwie rąbkiem spódnicy.

– Obiad – wyjaśniła. – Jesteś głodna?

W dziurę przechodnie okazjonalnie wrzucali różnego rodzaju pociski. Wpadał przez nią deszcz i wlatywały podmuchy zimnego wiatru. Byłam zmarznięta, przemoczona i zrozpaczona. Tak właśnie powinni się czuć złoczyńcy, pomyślałam. Złodzieje, włóczędzy, bluźniercy, cudzołóżnicy... i czarownice.

Siedziałam przytulona do Geilis, nie odzywając się ani słowem. Nie miałam nic do powiedzenia i nie mogłyśmy wiele dla siebie zrobić. Pozostało nam tylko cierpliwie czekać.

Stopniowo otwór nad naszymi głowami ciemniał, aż wreszcie wokół zapanował głęboki mrok.

– Jak myślisz, długo będą nas tu trzymać?

Geilis poruszyła się i wyciągnęła nogi; podłużny promień porannego światła padł na jej pasiastą spódnicę,

niegdyś różowo-białą, teraz szaro-czarną.

– Niezbyt długo. Czekają na komisję kościelną.

Artur dostał list, w którym się zapowiadali na drugi tydzień października. Powinni przybyć lada chwila.

Roztarła dłonie i położyła je na kolanach, w niewielkiej plamie słońca.

– Opowiedz mi o tej komisji – poprosiłam. – Co ma się wydarzyć?

– Właściwie sama dokładnie nie wiem. Jeszcze nigdy nie widziałam sądu nad czarownicami, choć oczywiście o niejednym słyszałam. – Zamilkła na chwilę. – Nie spodziewają się procesu. Przyjadą w sprawie ziem. Przynajmniej nie będą mieć szydła.

– Czego?

– Czarownice nie czują bólu. I nie krwawią po ukłuciu.

Szydło, będące w rzeczywistości zestawem szpilek, lancetów i innych ostrych narzędzi, miało służyć do sprawdzania oskarżonych. Przypomniałam sobie, że czytałam o czymś podobnym w jednej z książek Franka, ale wydawało mi się, że takie praktyki były popularne w siedemnastym wieku, nie teraz. Oczywiście, pomyślałam ponuro, Cranesmuir nie znajduje się w awangardzie cywilizacji.

– W takim razie szkoda, że nie przybędą zaopatrzeni w szydło – mruknęłam, choć na myśl o wielokrotnym kaleczeniu ostrymi przedmiotami poczułam dreszcz strachu. – Zdały byśmy ten sprawdzian bez żadnych problemów. Przynajmniej ja – dodałam jadownicę. – Bo w

twoich żyłach płynie chyba zimna woda.

– Nie byłabym tego taka pewna – powiedziała w zamyśleniu Geilis, nie zwracając uwagi na obelgę. – Słyszałam, że szydła mają specjalnie skonstruowane ostrza, które się chowają przy dotknięciu skóry. Wygląda to tak, jakby zagłębiały się w ciało bez śladu.

– Ale dlaczego? Czemu ktoś miałby fałszywie oskarżać o czary?

Słońce powoli zniżało się ku horyzontowi, ale w lochu jeszcze nie zapadły zupełne ciemności. Na pięknej owalnej twarzy Geilis odmalowało się współczucie wobec mojej nieświadomości.

– Ciągle nic nie rozumiesz. Oni chcą nas zabić. I nieważne, o co zostaniemy oskarżone ani jakie znajdą dowody. I tak spłonimy na stosie.

Wczoraj byłam zbyt wstrząśnięta atakiem tłumu i ohydnyimi warunkami, w jakich się znalazłyśmy, że starczyło mi sił tylko na to, by przytulić się do swojej towarzyszki niedoli i czekać na świt. Ale teraz mój animusz wyczerpał się całkowicie.

– Dlaczego? – spytałam bez tchu. – Wiesz?

Powietrze w lochu było gęste od odoru zgnilizny, brudu i mokrej ziemi. Miałam wrażenie, że ściany więzienia lada chwila się zawałą i pogrzebią nas pod sobą.

Raczej poczułam, niż zobaczyłam, że Geilis wzrusza ramionami. Promienie słońca przesuwały się ku zachodowi; padały na ścianę, pozostawiając nas w zimnym cieniu.

– Jeśli to cię pocieszy – oznajmiła sucho – nie

sądzę, żeby chodziło im o ciebie. To sprawa pomiędzy mną i Columem. Ty miałaś nieszczęście znaleźć się ze mną w momencie, gdy pojawili się ludzie. Gdybyś została z Columem, pewnie byłabyś bezpieczna, choć jesteś Angielką.

To słowo, wypowiedziane jako obelga, obudziło we mnie rozpaczliwą tęsknotę za mężczyzną, który nazywał mnie tak w chwilach czułości. Mocno splotłam ramiona, by opanować narastającą panikę.

– Dlaczego przyszedł do mojego domu? – spytała z zaciekawieniem Geilis.

– Myślałam, że mnie wzywasz. Pewna dziewczyna przyniosła mi taką wiadomość od ciebie.

– A – mruknęła domyślnie Geilis. – Laoghaire, tak?

Oparłam się o śmierdzącą, oślizgłą ścianę, mimo obrzydzenia, które we mnie budziła.

Pani Duncan poczuła mój ruch i przysunęła się bliżej. Przyjaciółki czy nie, byłyśmy dla siebie jedynym źródłem ciepła w lochu.

– Skąd wiedziałas, że właśnie o nią chodzi? – spytałam, drżąc.

– To ona zamierzała rzucić na ciebie urok – wyjaśniła Geilis. – Od początku ci mówiłam, że w Leoch są takie, które chciałyby ci odebrać tego słodkiego rudzielca.

Pewnie zdawało się dziewczynie, że jeśli znikniesz, znowu będzie miała szansę.

Siedziałam jak odrętwiała. Przez chwilę nie mogłam wydobyć głosu.

– Ale to niemożliwe! – wykrzyknęłam w końcu.

Śmiech Geilis, choć nieco ochrypliły z zimna i pragnienia, nadal dźwięczał srebrem.

– Tak by pomyślał każdy, kto widział, jak ten chłopak na ciebie patrzy. Sądzę jednak, że biedna Laoghaire nie zna świata na tyle, by wychwytywać podobne niuanse. Zrozumie, gdy legnie parę razy z mężczyzną, ale nie teraz.

– Nie oto mi chodziło! – wybuchnęłam. – Jej nie zależy na Jamiem, przecież zaszła w ciążę z Dougalem MacKenziem!

– Co? – W głosie wdowy usłyszałam szczere zdumienie; ścisnęła mocno moje ramię.

– Dlaczego tak myślisz?

Opowiedziałam o zachowaniu Laoghaire na podeście przed gabinetem Columa. Geilis parsknęła. Usłyszała, że Colum i Dougal rozmawiają o mnie. Dlatego pobladła. Sądziła, że Colum się dowiedział, iż była u mnie po urok. Kazałby ją za to wychłostać aż do krwi; nie pozwala na takie praktyki.

– To ty jej dałaś bukiet suszonych ziół? – spytałam z niedowierzaniem.

Geilis cofnęła się gwałtownie.

– Nie dałam, sprzedałam!

Otworzyłam szeroko oczy, próbując przebić wzrokiem ciemności.

– Nie widzę większej różnicy?

– A szkoda – rzuciła niecierpliwie. – Ja po prostu dokonałam zwykłej transakcji handlowej. Nic więcej. Nie zdradzam tajemnic zawodowych. Poza tym nie mówiła, dla



kogo przeznaczają ten podarek. I pamiętaj, że cię ostrzegałam.

– Wielkie dzięki – powiedziałam sarkastycznie. – Ale... – Mój umysł pracował gorączkowo, przetwarzając wszystkie informacje pod kątem tej nowej wiadomości. – Skoro Laoghaire chciała rzucić na mnie urok, chodziło jej zatem o Jamiego. To by wyjaśniało, dla czego mnie do ciebie posłała. Ale co z Dougalem?

Geilis zawahała się przez chwilę. Potem podjęła jakąś decyzję.

– Ta dziewczyna nie nosi dziecka Dougala MacKenziego.

– Skąd wiesz?

Chwyliła moją dłoń i położyła ją na twardym wybrzuszeniu pod suknią.

– Ponieważ ja noszę jego potomka – oświadczyła z prostotą.

– Ach, tak – wymamrotałam nieprzytomnie. – Ty.

– Ja. – Mówiła spokojnie, bez zwykłego ożywienia. – Jak to powiedział Colum? „By dobrze się z nią sprawili?” Ha, chyba tak właśnie zamierza się pozbyć tego problemu.

Zamilkłam na długo. W myślach szczegółowo rozważałam wszystko, co usłyszałam.

– Geilis... Czy te kłopoty żołądkowe, na które się skarżał twój mąż...?

Westchnęła.

– Biały arszenik. Sądziłam, że go wykończy, nim ciąża zacznie być widoczna, lecz opierał się dłużej, niż się spodziewałam.

Przypomniałam sobie wykrzywioną zgrozą twarz Artura Duncana, kiedy wypadł z alkowy żony ostatniego dnia swojego życia.

– Rozumiem – szepnęłam – Nie wiedział, że jesteś brzemienna... A kiedy cię zobaczył... Pewnie miał podstawy, by przypuszczać, że to nie jego dziecko?

W ciemności dobiegł mnie cichy śmiech.

– Saletra jest droga, ale warta każdej ceny.

Wzdrygnęłam się lekko.

– To dlatego zaryzykowałeś i zabiłeś go na uczcie, przy wszystkich zgromadzonych.

Mógł cię oskarżyć o cudzołóstwo... i trucicielstwo. Spodziewał, się że faszerowałaś go arsenikiem?

– O, na pewno o tym wiedział. Nie przyznałby się nawet przed samym sobą, ale wiedział. Siedzieliśmy naprzeciw siebie, pytałam: „Masz ochotę na dokładkę, kochanie?”

A może jeszcze kufelek piwa? „A on wytrzeszczał na mnie te rybie oczy i mówił, że już nie ma apetytu. Potem zaś widziałam, jak w sekrecie wyjada potrawy wprost z garnka.

Sądził, że jest bezpieczny, ponieważ nie zjadł niczego, co mu dawałam.

W jej jasnym, dźwięcznym głosie brzmiało rozbawienie, całkiem jakby relacjonowała mi jakąś smakowitą ploteczkę. Znowu się wzdrygnęłam i odsunęłam od stworzenia, które siedziało wraz ze mną w ciemnościach.

– Nie domyślał się, że trucizna jest w miksturze,

którą brał. Nie przyjmował żadnego przyrządzonego przeze mnie naparu. Zamówił w Londynie lekarstwo, kosztowało majątek – dodała z dezaprobatą. – i tak zawierało arsenik. Nie zauważył żadnej różnicy, gdy dodałam odrobinę więcej trucizny.

Podobno chępliwość jest słabą stroną każdego mordercy. Teraz przekonałam się, że to prawda. Geilis mówiła dalej, niepomna wszystkiego, byle tylko pochwalić się własnym sprytem.

– Zabicie go przy wszystkich było ryzykowne, lecz musiałam szybko coś wymyślić.

Nie użyła arsenu. Zażycie tej trucizny wywołuje inne objawy. Przypomniałam sobie twarde sine wargi prokuratora i odrętwienie w ustach, które poczułam. Musiała mu podać coś, co działa szybciej.

A ja myślałam, że Dougal przyznał się do romansu z Laoghaire. Colum mógłby odnieść się do tego z dezaprobatą, lecz nikt nie zabroniłby Dougalowi poślubienia dziewczyny. Był wdowcem, człowiekiem wolnym.

Ale cudzołóstwo z żoną prokuratora? To zupełnie coś innego. Wydawało mi się, że za taki występki karano bardzo surowo. Colum nie zdołałby zatuszować sprawy, lecz jakoś nie mogłam sobie wyobrazić, by skazał brata na publiczną chłostę lub banicję. A Geilis wołała popełnić morderstwo niż mieć na twarzy piętno wypalone gorącym żelazem i spędzić parę lat w więzieniu, gdzie przez dwanaście godzin dziennie musiałaby międląc konopie. Dlatego wzięła sprawę we własne ręce... podobnie jak

Colum. Ja natomiast znalazłam się pomiędzy młotem a kowadłem.

– Ale dziecko? – odezwałam się z powątpiewaniem.  
– Z pewnością...

W ciemnościach rozległ się niewesoły śmiech.

– Wpadki się zdarzają, moja droga. Nawet najlepszym. A kiedy już się zdarzy... – Bardziej poczułam, niż zobaczyłam wzruszenie ramion. – Chciałam się go pozbyć, lecz potem pomyślałam, że może w ten sposób zdołam zmusić Dougala do małżeństwa, kiedy nie będzie już Artura.

Przyszło mi do głowy okropne podejrzenie.

– Ale wtedy żona Dougala jeszcze żyła. Geilis, czy ty...?

Pokręciła głową: usłyszałam szelest jej sukienki i zobaczyłam słaby błysk jasnych włosów.

– Chciałam, lecz Bóg oszczędził mi fatygi. Uważałam, że to jakiś znak. I wszystko by się pięknie ułożyło, gdyby nie Colum MacKenzie.

Skuliłam się z zimna. Rozmawiałam tylko po to, by się czymś zająć.

– Pragnęłaś Dougala, czy tylko jego pozycji i majątku?

– O, mam mnóstwo pieniędzy – oznajmiła z satysfakcją. – Wiedziałam, gdzie Artur trzymał klucz do biurka z dokumentami i notatkami. I muszę przyznać, że miaładny charakter... pisma. Bez trudu podrobiłam jego podpis. Przez ostatnie dwa lata zdołałam odłożyć blisko dziesięć tysięcy funtów.

– Ale po co? – spytałam z zaskoczeniem.

– Dla Szkocji.

– Co? – Przez chwilę sądziłam, że się przesłyszałam.

Potem, biorąc pod uwagę zaistniałe fakty, doszłam do wniosku, że Geilis pomieszało się w głowie. – Jak to „dla Szkocji” – zagadnęłam ostrożnie i odsunęłam się odrobine.

Nie miałam pewności, do jakiego stopnia straciła nad sobą panowanie. Być może ciąża wpłynęła na trzeźwość jej myślenia.

– Nie martw się, nie oszalałam. – Nutka cynicznego rozbawienia sprawiła, że oblałam się rumieńcem. Dobrze, że wokół panowały ciemności.

– Ach, doprawdy? – uniosłam się, ugodzona do żywego. – Sama przyznałaś, że popełniłaś oszustwo, kradzież i morderstwo. Uznanie cię za szaloną byłoby aktem miłosierdzia, bo jeśli umysł ci nie szwankuje...

– Nie jestem szalona ani zdeprawowana – przerwała mi zdecydowanie. – Jestem patriotką.

Wreszcie zrozumiałam. Wypuściłam powietrze, które wstrzymywałam w oczekiwaniu ataku.

– Jakobitka – mruknęłam. – Dobry Boże, jesteś jakobitką, do ciężkiej cholery!

I tak było. To wyjaśniało niektóre fakty. Dlaczego Dougal, zwykle popierający opinie brata, okazał tyle inicjatywy w zbieraniu pieniędzy dla domu Stuartów. I dlaczego Geilis Duncan, wyposażona w świetne narzędzia do doprowadzenia mężczyzny do ołtarza, wybrała dwa tak

różne typy mężczyzn jak Artur Duncan i Dougal MacKenzie. Jeden miał pieniądze i pozycję społeczną, drugi umiejętność wpływania na opinię publiczną.

– Colum byłby lepszy – ciągnęła. – Szkoda. To jego powinnam dostać. Jedyne człowiek, który mi dorównuje. Razem zrobilibyśmy... Pragnę tylko Columa... i właśnie jego nie mogę zdobyć.

– Więc w zamian zadowoliliś się Dougalem.

– Tak – mruknęła, pogrążona w myślach. – Jest silny i ma nieco wpływów. Niewielki majątek. Posłuch u ludzi. Ale tak naprawdę to tylko nogi... i członek – dodała z cichym śmiechem – Columa MacKenziego. Jedyne Colum ma moc. Niemal taką jak ja.

Chępliwy ton Geilis wyprowadził mnie z równowagi.

– Colum ma jeszcze coś, czego tobie brakuje, o ile mi wiadomo. Na przykład zdolność do współczucia.

– Na wiele mu się nie przyda. Stoi nad grobem i wszyscy o tym wiedzą. Umrze najwyżej dwa lata po Hogmanay.

– A ty, jak długo będziesz żyć?

Srebrzysty głos zachował spokój.

– Nieco krócej niż on. Zresztą nieważne. Udało mi się do tej pory sporo osiągnąć.

Zdobyłam dziesięć tysięcy funtów dla Francji i przeciągnęłam rzesze ludzi na stronę księcia Karola. Kiedy przyjdzie do powstania, będę wiedziała, że pomogłam. Jeśli dożyję.

Stała blisko otworu w dachu. Oczy zdołały mi już

przywyknąć do ciemności, w których wydawała się błądzić niczym duch. Gwałtownie odwróciła się do mnie.

– Cokolwiek się stanie, niczego nie żałuję. Szkoda tylko, że mam zaledwie jednożycie, by je oddać mojemu krajowi? – podsunęłam ironicznie. – Ładnie powiedziane.

– To wszystko?

Zamilkłyśmy. Czerń dławiała mnie z prawie wyczuwalną siłą, kładła się – zimna i ciężka – na mojej piersi, wypełniała mi płuca ciężkim odorem śmierci. W końcu skuliłam się w kłębek, położyłam głowę na kolanach i zapadłam w niespokojną drzemkę.

– Więc go kochasz? – spytała niespodziewanie Geilis.

Podniosłam głowę ze zdziwieniem. Nie miałam pojęcia, jak wiele czasu upłynęło. Nad nami świeciła jedna gwiazda, ale jej blask nie docierał do lochu.

– Kogo? Jamiego?

– A niby kogo innego? To jego imię wypowiadałaś przez sen.

– Nie wiedziałam.

– Więc kochasz? – Jej nagły głos wytrącił mnie z odrętwienia spowodowanego przez zimno.

Objęłam kolana i zakolysałam się lekko. Było już za późno na wykryty. Choć nie miałam w sobie tyle siły, żeby to otwarcie przyznać, znalazłam się w śmiertelnym zagrożeniu. Zaczęłam rozumieć instynkt, który zmusza skazańców do spowiedzi w przeddzień egzekucji.

– Chodzi mi o to, czy naprawdę kochasz Jamiego – nalegała Geilis. – Nie tylko, czy go pragniesz, bo wiem, że

tak. On także ciebie pożąda. Wszyscy są tacy. Ale czy go kochasz?

Czy Kocham? Ponad potrzeby ciała? Loch był ciemny jak prawdziwy konfesjonał, a człowiek na krawędzi śmierci nie ma czasu na kłamstwa.

– Tak – powiedziałam i znowu położyłam głowę na kolanach.

Przez jakiś czas w lochu panowała cisza. Znowu zaczęłam odpływać w letarg, gdy usłyszałam głos Geilis. Mówiła w zamyśleniu, jakby do siebie.

– A więc to możliwe.

Komisja przybyła następnego dnia. W ciemnościach naszej celi słyszałyśmy zamieszanie, okrzyki wieśniaków i stukot końskich kopyt na bruku High Street. Hałas powoli ucichł, gdy procesja oddaliła się ku odległemu rynkowi.

– Przyjechali – odezwała się Geilis, nasłuchując odgłosów poruszenia nad nami.

Chwyciłyśmy się mocno za ręce, sprzymierzone w obliczu zagrożenia.

– Chyba lepiej spłonąć, niż zamarznąć na śmierć – powiedziałam z wymuszoną brawurą.

Na razie dalej cierpiłyśmy z powodu przenikliwego zimna.

Dopiero koło południa następnego dnia właz lochu został gwałtownie otworzony i wyciągnięto nas na powierzchnię ziemi.

Proces – bez wątpienia po to, by przyciągnąć tłum – odbywał się na rynku przed domem hmcanów. Geilis zerknęła przelotnie w okna swego salonu, po czym



odwróciła się z twarzą nie wyrażającą żadnych emocji.

Sądu nad nami mieli dokonać dwaj mężczyźni, usadowieni na wyściełanych stołkach.

Jeden sędzia był nieprawdopodobnie wysoki i szczupły, drugi niski i korpulentny.

W nieunikniony sposób przypominali postaci z amerykańskiego komiksu, który niegdyś czytywałam. Tyczkowatego nazwałam w duchu Muttem, a przysadzistego Jeffem.

Na rynek zeszli się niemal wszyscy mieszkańcy wioski. Pośród gawiedzi zauważyłam sporo moich dawnych pacjentów. Ale z zamku nie pojawił się nikt.

Oskarżenie przeciwko Geilis Duncan i Claire Fraser, powołanych przed sąd kościelny pod zarzutem uprawiania czarów, odczytał John MacRae, poborca z wioski Cranesmuir.

– W obliczu zebranych dowodów stwierdzamy, iż za pomocą czarów spowodowałyśmierć Artura Duncana – mówił MacRae równym, mocnym głosem. – A także są winne śmierci nienarodzonego dziecka Janet Robinson, utonięcia łodzi Thomasa MacKenziego, sprowadzenia na wioskę Cranesmuir plagi rozstroju żołądka...

Tekst ciągnął się jeszcze przez parę minut. Colum dobrze się przygotował.

Po odczytaniu oskarżenia wezwano świadków. W większości byli to mieszkańcy wioski, których nigdy nie widziałam na oczy. Nie rozpoznałam pomiędzy nimi swoich pacjentów, co przyjąłam z wdzięcznością.

Większość zeznań była wyssana z palca, a

niektórym świadkom najwyraźniej zapłacono za wystąpienie, niektóre świadectwa nosiły jednak znamiona prawdy. Na przykład Janet Robinson, przywleczona przed sąd przez ojca, blada i drżąca, z fioletowym siniakiem na policzku, zeznała, iż poczęła dziecko ze związku z żonatym mężczyzną, więc pozbyła się kłopotu dzięki usługom Geilis Duncan.

– Dała mi napój i zakłęcie, które miałam powtórzyć trzy razy o wschodzie księżycy – mamrotała, rzucając lękliwe spojrzenia na Geilis i ojca, jakby niepewna, które z nich budzi w niej większy strach. – Gadała, że to przywróci mi miesięczne krwawienia.

– Przywróciło? – spytał z zainteresowaniem Jeff.

– Nie od razu. Lecz kiedy znowu wypiliśmy wywar przy ubywającym księżycu, nareszcie się zaczęło.

– Dobrze sobie! Dziewczyna mało co mi się nie wykrwawiła! – wtrąciła starsza kobieta, najwyraźniej matka. – Wszyscy myśleliśmy, że umiera, i tylko dlatego wyjawiała, co się z nią stało!

Pani Robinson, wyrывая się do przedstawienia reszty krwawych szczegółów, została z pewnym trudem powstrzymana i ustąpiła miejsca kolejnym świadkom.

Mnie nikt nie miał nic szczególnego do zarzucenia. Padło tylko jedno oskarżenie, iż byłam obecna przy agonii Artura Duncana i dotykałam prokuratora, zanim umarł, więc prawdopodobnie miałam z jego śmiercią coś wspólnego. Zaczęłam sądzić, że Geilis się nie myliła. Nie ja stanowiłam cel Columa. A zatem być może istniał dla mnie jakiś ratunek. Przynajmniej tak się łudziłam, dopóki nie

wystąpiła kobieta ze wzgórza.

Kiedy stanęła przed sędziami – chuda, zgarbiona kobiecina w żółtym szalu – wyczułam, że znalazłam się w poważnych kłopotach. Nie była to mieszkanka wioski, nigdy jej nie widziałam. Przyszła boso, a jej stopy pokrywał pył drogi.

– Czy chcesz oskarżyć obecne tutaj kobiety? – spytał wysoki, chudy sędzia.

Kobiecina, zdjeta strachem, nie śmiała nawet podnieść oczu na dostojników. Skinęła lekko głową. Tłum natychmiast się uciszył.

Mówiła ledwie słyszalnym głosem, więc Mutt parę razy prosił, by powtórzyła.

Okazało się, że urodziła dziecko, z początku zdrowe, lecz z czasem coraz słabsze.

Wreszcie zdecydowała wraz z mężem, że jest to odmieniec. Zanieśli niemowlę na Siedlisko Duszków na Croich Gorm i czekali w pobliżu, aż Mały Ludek zwróci im prawdziwe dziecko. Wtedy właśnie ujrzeli dwie kobiety, które wzięły maleństwo i wymówiły nad nim dziwne zaklęcia. – Kobieta wykręcała chude ręce pod fartuchem. – Pilnowaliśmy przez całą noc, dostojni panowie. A kiedy zaczęło się zmierzchać, nadciągnął wielki demon. Ogromny czarny cień zjawił się bez jednego szelestu i pochylił nad miejscem, gdzie zostawiliśmy odmienca.

Przez tłum przeszedł złowrogi pomruk. Poczułam, że jeżą mi się włosy. Dobrze wiedziałam, że tym demonem był Jamie. Sprawdzał, czy niemowlę jeszcze żyje.

Przygotowałam się na najgorsze. Wiedziałam, co

zaraz nastąpi.

– A kiedy słońce weszło, poszliśmy do dziecka. Lecz znaleźliśmy tylko odmieńca, całkiem już martwego. Nigdzie nie było ani śladu naszego dzieciątka. – Po tych słowach głos jej się załamał. Ukryła twarz w fartuchu i zaczęła szlochać.

Tłum rozstąpił się – całkiem jakby na dany znak. W powstałym prześwicie ukazał się woźnica Peter. Na jego widok jęknęłam w duchu. Czułam, że podczas opowiadania kobiety zgromadzeni wieśniacy zwrócili się przeciwko mnie. Teraz jeszcze tylko brakowało, żeby ten głupiec opowiedział o wodnym koniu.

Woźnica wypiął pierś, najwyraźniej zachwycony chwilą popularności, i dramatycznie wskazał na mnie palcem.

– Macie rację, nazywając ją czarownicą, moi panowie! Na własne oczy widziałem, jak ta oto kobieta wywołała morskiego konia z fal Złego Jeziora. Wielką, straszną bestię, potężną niczym drzewo, z szyją jak u niebieskiego węża, ślepiami podobnymi do jabłka i takim spojrzeniem, że mógłby nim skraść duszę!

Sędziowie poruszyli się niespokojnie wobec usłyszanego oskarżenia i przez parę minut szeptali pomiędzy sobą. Peter rzucił mi wyzywające spojrzenie, mówiące: „Masz za swoje!”.

W końcu gruby mężczyzna zakończył naradę i skinął władczo na Johna MacRaea, który czekał czujnie na stronie. Dostojnik wskazał mu woźnicę.

– Odprowadzić tego człowieka i przywiązać go do

pręgierza za pijaństwo. To poważny sąd, nie mamy czasu na fałszywe oskarżenia wypowiedziane przez kogoś, kto widzi wodne konie pod wpływem whisky!

Peter był tak zdumiony, że nawet nie stawiał oporu, gdy poborca odprowadził go ku pręgierzowi. Nie mogłam się oprzeć pokusie i nieznacznie pomachałam durniowi na pożegnanie.

Ale po tym rozładowaniu napięcia sytuacja gwałtownie obróciła się na gorsze. Przed sędziami przedefilował szereg kobiet i dziewcząt, które przysięgały, że Geilis Duncan sprzedawała im zaklęcia i mikstury do celów takich, jak: sprowadzenie choroby, pozbycie się niechcianego dziecka lub rzucenie miłosnych czarów na mężczyznę. Wszystkie bez wyjątku twierdziły, że czary były skuteczne. Takich rezultatów mógłby pozazdrościć każdy wioskowy lekarz, pomyślałam cynicznie. Choć nikt nie zarzucał mi nic poważnego, kilka osób stwierdziło zresztą zgodnie z prawdą że często widywano mnie w komnacie pani Duncan, gdzie mieszałam mikstury i tłukłam w moździerz ziola.

Mimo to ciągle jeszcze nie widziałam wielkiego zagrożenia. Równie wiele osób za świadczyło, że je wyleczyłam za pomocą zwykłych lekarstw, a nie czarów, zaklęć i uroków. Biorąc pod uwagę nacisk opinii publicznej, zeznający pacjenci musieli się zdobyć na sporo odwagi, by zaświadczyć na moją korzyść. Byłam im głęboko wdzięczna.

Nogi bolały mnie od długiego stania. Sędziowie spoczywali na względnie wygodnych stołkach, lecz dla

więźniów nie przewidziano takich udogodnień. Mimo to na widok następnego świadka zapomniałam o wszystkich dolegliwościach.

Ojciec Bain – obdarzony, podobnie jako Colum, umiejętnością wywołania dramaturgicznych efektów – otworzył szeroko drzwi kościoła i wyszedł na rynek. Kroczył ciężko wspierając się na dębowej lasce. Skinął głową sędziom, odwrócił się i obrzucił tłum stalowym spojrzeniem. Wszelkie hałasy zmieniły się w niespokojny szmer.

Przewielebny przemówił głosem brzmiącym jak świst bata.

– To sąd nad tobą, ludu Cranesmuir! Pozwoliliście się zwieść ze ścieżki prawości! Po sialiście wiatr i teraz zbieracie burzę!

Wytrzeszczyłam oczy, nieco zbita z tropu tym nieoczekiwanym wybuchem retoryki.

Być może ojciec Bain był zdolny do takich występów tylko w chwilach kryzysu. Ciągnął dalej grzmiącym głosem:

– Zaraza was nawiedzi i zginiecie przez grzechy wasze, jeśli się nie oczyścicie!

Zaprosiliście do siebie nierządnicę babilońską! – Czyli mnie, wnioskując z rzuconego mi morderczego spojrzenia. – Zaprzedaliście dusze wrogom waszym, tulicie do piersi angielską żmiję, a teraz poznacie pomstę Pana naszego. Boga Wszechmogącego. Zabijcie za grzechy, ludzie, póki jeszcze czas! Na kolana, powiadam! Błagajcie o przebaczenie!

Wypędźcie angielską ladacznicę i zaprzestańcie spraw waszych z diabelskim pomiotem!

– Wyrwał zza pasa różaniec i wyciągnął w moim kierunku wielki krzyż.

Mutt, chociaż obserwował zajście z niekłamanym zainteresowaniem, zachowywał wyraźny dystans. Być może dręczyła go zawodowa zazdrość.

– Ojcie, do rzeczy – odezwał się, składając lekki ukłon księdzu. – Czy masz dowód na diabelską działalność którejś z tych kobiet?

– Tak. – Mały duchowny, wyczerpany żarliwą mową, odzyskał spokój.

Wyciągnął oskarżycielsko palec w moim kierunku, a ja musiałam zmobilizować wszystkie siły, żeby nie cofnąć się o krok.

– W południe we wtorek, dwie niedziele temu, spotkałem tę kobietę w ogrodach zamku Leoch. W nadnaturalny sposób wezwała zgraję złych psów. Groziło mi z ich strony śmiertelne niebezpieczeństwo. Zraniony ciężko w nogę, chciałem się oddalić. Ta kobieta próbowała mnie skłonić do grzechu, kusiała, bym udał się z nią w miejsce odosobnienia.

Oparłem się jednak namowom, a wtedy rzuciła na mnie klątwę.

– Co za bzdury – odezwałam się z urazą. – W życiu nie słyszałam takich bredni.

Ojciec Bain wbił we mnie rozognione gorączką spojrzenie.

– Czy zaprzeczysz, kobieto, że wypowiedziałas

słowa: „Pójdź ze mną, ojczy, bo twoja rana zacznie ropieć”?

– No, może nie powiedziałam tak ostro, ale o to mi chodziło – przyznałam.

Ksiądz zacisnął tryumfalnie usta i gwałtownie podkasał sutannę. Jego udo było opasane bandażem zaplamionym krwią i mokrym od ropy. Białe ciało nabrzmiało boleśnie, a spod opatrunku wyzierały złowróźbne czerwone smugi.

– Jezu Chryste! – zawołałam, wstrząśnięta. – Masz zakażenie krwi, człowieku! To trzeba wyleczyć, bo umrzesz!

Tłum zareagował pomrukiem zgrozy. Nawet Mutt i Jeff wydawali się do pewnego stopnia pod wrażeniem.

Ojciec Bain powoli pokręcił głową.

– Słyszycie? Bezwstyd tej niewiasty nie zna granic. Przeklina mnie, słuę bożego, przed obliczem sędziów Kościoła!

Pomruk przybrał na sile. Ojciec Bain przemówił znowu. Podniósł głos, by przekrzyczeć tłum.

– Pozostawiam wam, panowie, osąd tej kobiety. Kierujcie się własnym rozsądkiem i słowami Pana naszego. Śmierć czarownicy!

Wystąpienie ojca Baina położyło kres dalszym zeznaniom. Prawdopodobnie nikt nie miał złudzeń, że zdoła zrobić większe wrażenie. Dostojnicy ogłosili krótką przerwę, pod czas której przyniesiono im poczęstunek z karczmy. Dla oskarżonych nikt nie przewidział posiłku.

Eksperymentalnie szarpnęłam za więzy. Skóra



skrzypnęła cicho, ale nie puściła. To jest właśnie ten moment – pomyślałam cynicznie, by stłumić panikę – kiedy powinien pojawić się rycerz na białym koniu, który rozpedziłby tłum i porwał mnie na siodło.

Ale mój bohater błąkał się gdzieś po lasach w towarzystwie szlachetnie urodzonego, podstarzałego pederasty i zasadzał się na niewinnego jelenia. Wątpię, pomyślałam zgrzytając zębami, żeby zdążył wrócić w porę, by zapewnić moim prochom przyzwoity pochówek, zanim wiatr je rozwieje na cztery strony świata.

Zatopiona w niewesołych myślach, nie od razu usłyszałam tętent końskich kopyt.

Dopiero ciche pomruki i poruszenie zwróciły moją uwagę na rytmiczny stukot na bruku High Street.

Odgłosy wyrażające zaskoczenie stały się głośniejsze; tłum się rozstał niechętnie, aby przepuścić jeźdźca, nadal pozostającego poza polem mojego widzenia. Mimo niedawnej rozpaczki, wbrew logice doznałam nagłego przyływu nadziei. A jeśli Jamie wrócił wcześniej? Może zaloty diuka stały się zbyt natarczywe, a jelenie nie chciały się pokazać? Stałam na palcach, by ujrzeć twarz zbliżającego się jeźdźca.

Silny gniadosz roztrącił pyskiem ramiona ludzi w pierwszym rzędzie. Zaskoczonym oczom wszystkich zgromadzonych – nie wyłączając mnie – ukazała się chuda postać Neda Gowana, który zeskoczył z konia i rześkim krokiem podszedł do ławy sędziowskiej.

Jeff przyjrzał się przybyszowi z pewnym zaskoczeniem.

– Kim jesteś, panie? – Ton niechętnego szacunku bez wątpienia został wywołany widokiem srebrnych klamer u butów i aksamitnego płaszcza Neda. Najwyraźniej służba u przywódcy klanu MacKenziech była zajęciem lukratywnym.

– Nazywam się Edward Gowan, wasza lordowska mość – wyjaśnił precyzyjnie Ned. – Jestem radcą prawnym.

Mutt przygarbił plecy i niespokojnie poprawił się na stołku, pozbawionym oparcia, a przez to niezbyt niewygodnym. Wbiłam w tyczkowatego dostojnika ponure spojrzenie i ze wszystkich sił zażyczyłam mu wypadnięcia dysku. Skoro miałam splanąć na stosie za rzucanie uroków, dlaczego miałam sobie żałować?

– Radca? – burknął Mutt. – co cię tu przywiodło, panie?

– Przybyłem, by ofiarować moje skromne usługi pani Fraser, najszlachetniejszej z dam, której dobroć i biegłość w sztuce leczenia dorównują umiejętnościom w jej stosowaniu.

Bardzo ładnie, pomyślałam z uznaniem. Od razu zaatakować. Usta Geilis drgnęły w uśmiechu, w którym podziw mieszał się z cynizmem. Choć Ned Gowan nie przypominał wymarzonego rycerza, w tych okolicznościach nie zamierzałam wybrzydzać.

Zgadzałam się na każdego wybawiciela, jaki tylko się pojawi.

Pan Gowan skłonił się sędziom, a potem, z nie mniejszym szacunkiem, mnie. Wypiął pierś, zatknął kciuki za pasek spodni i z całego podstarzałego, lecz

romantycznego serca przystąpił do walki za pomocą wypróbowanej broni – obezwładniającej nudy.

I rzeczywiście, orężem tym władał doskonale. Ze śmiertelną precyzją automatycznego ostrza poćwiartował każdy punkt oskarżenia statutami i precedensami. Było to piękne wystąpienie. Ned gadał. Gadał. Gadał. I gadał. Od czasu do czasu robił pełne respektu pauzy, jakby czekał na uwagi sędziów, choć w rzeczywistości nabierał jedynie tchu przed kolejną mową.

Wydawałoby się, że w obliczu śmiertelnego zagrożenia powinnam przyjmować każde jego słowo z zapartym tchem. Tymczasem nagle zaczęłam straszliwie ziewać, co było widoczne, bo nie mogłam zakryć ust. Przeszłowałam z nogi na nogę i myślałam, że wolę już od razu spłonąć na stosie, zamiast znosić te tortury. Widzowie podzielali chyba moje odczucia; gorączkowe podniecenie powoli wygasło. Cichy, przyjemny głosik pana Gowana rozbrzmiewał bez końca. Ludzie zaczęli się rozchodzić. Raptownie przypomnieli sobie o nie wydojonych krowach i nie zamiecionych podłogach, pewni, iż na razie nie wydarzy się nic interesującego.

Z zapadnięciem zmierzchu Ned Gowan zakończył wstępną mowę. Przysadzisty mężczyzna, którego nazwałam Jeffem, oznajmił, iż sąd zbierze się ponownie następnego dnia. Po krótkiej naradzie pomiędzy Nędem Gowanem, Jeffem i Johnem MacRaeem, dwóch osiłek odprowadziło mnie do karczmy. Obejrzałam się przez ramię i ujrzałam dumnie wyprostowaną Geilis, prowadzoną w przeciwnym kierunku. Nie pozwalała się popędząć i zachowywała się

tak, jakby nie dostrzegała otoczenia.

W ciemnej komórcie na zapleczu karczmy zdjęto mi więzy i zapalono świeczkę. Potem pojawił się Ned Gowan, zaopatrzony w butelkę piwa oraz talerz z mięsem i chlebem.

– Wywalczyłem jedynie parę minut do widzenia, moja droga, więc słuchaj uważnie. – Przysunął się bliżej. Oczy lśniły mu mocno.

Nie licząc lekko potarganej peruki, jego wygląd nie zdradzał żadnych objawów zmęczenia.

– Bardzo się cieszę, że cię widzę, panie Gowan – powiedziała z głębi serca.

– Tak, tak. Nie ma czasu na uprzejmości. – Poklepał mnie po ręce życzliwie, lecz nie uważnie. – Zdołałem ich przekonać, by rozpatrywali twoją sprawę oddzielnie od sprawy pani Duncan. Tak będzie lepiej. Zdaje się, iż początkowo nikt nie miał zamiaru cię aresztować. Zostałaś zabrana ze względu na twoje związki z cza... hm, z panią Duncan.

Mimo to – ciągnął z ożywieniem – nie ukrywam, że nadal znajdujesz się w niebezpieczeństwie. Mieszkańcy wioski są niezbyt przyjaźnie do ciebie nastawieni. Co ci przyszło do głowy – dodał z niezwykłą zapalczywością – żeby dotykać tego dziecka?

Otworzyłam usta, ale on machnął niecierpliwie dłonią.

– Zresztą nieistotne. Musimy wykorzystać fakt, iż jesteś Angielką... co podkreśla twoją nieświadomość czynów, a nie wskazuje na złe zamiary... i przeciągać

sprawę najdłużej, jak zdołamy. Czas gra na naszą korzyść. Najgorsze procesy zawsze odbywają się w atmosferze hysterii. Rozsądne dowody mogą być odrzucane, byle tylko zaspokoić żądę krwi.

Żądza krwi. Dokładnie to uczucie malowało się na twarzach ludzi, którzy przyglądali się procesowi. Od czasu do czasu napotykałam współczujące spojrzenie, lecz trzeba wielkiej odwagi, by sprzeciwić się tłumowi, a w Cranesmuir brakowało bohaterów.

Nieprawda, poprawiłam się. Znalazł się jeden – mały prawnik z Edynburga, twardy jak kawałek rzemienia. – Im dłużej przeciągniemy rozprawę – wyjaśnił rzeczowo – tym mniej chęci pozostanie im do podejmowania pochopnych decyzji i gwałtownych czynów.

Dlatego po tobie spodziewam się jedynie milczenia. Ja będę mówić. W Bogu nadzieja, iż da to jakieś efekty.

– Dość rozsądny plan – odezwałam się, usiłując przywołać na twarz uśmiech.

Zerknęłam ku drzwiom, za którymi rozbrzmiewały podniesione głosy. Pan Gowan podchwycił moje spojrzenie i skinął głową.

– Tak, zaraz będę musiał cię opuścić. Uzgodniłem, że spędzisz noc tutaj. – Rozejrzał się bez zachwyty.

Mała, przylegająca do karczmy szopa służyła zwykle jako składzik. Była zimna i ciemna, lecz w porównaniu z lochem złoczyńców wyglądała niczym pałac.

Drzwi otworzyły się i w progu stanął karczmarz, oświetlony drżącym płomykiem świecy. Pan Gowan wstał, lecz zdążyłam go chwycić za rękaw. Musiałam się

dowiedzieć jeszcze jednej rzeczy.

– Czy Colum... przysłał cię na pomoc?

Zawahał się, lecz uczciwość nie pozwoliła mu skłamać.

– Nie – powiedział twardo. Na jego ogorzałej twarzy pojawił się wyraz bliski zawstydenia. – Przybyłem... z własnej woli.

Załóżył kapelusz i ruszył do wyjścia, rzucając mi przez ramię pożegnanie. Zniknął w gwaronym wnętrzu karczmy.

Nikt nie zatroszczył się o szczególne udogodnienia dla mnie, lecz na beczce postawiono mały dzbanek z winem oraz bochenek chleba, tym razem czysty. Na ziemi leżał stary koc. Otuliłam się nim i usiadłam na jakiejś skrzynce, by zjeść skromny posiłek.

A zatem Colum nie miał nic wspólnego z przyjazdem pana Gowana. Ale czy wiedział o przybyciu radcy? Prawdopodobnie zabronił wszystkim mieszkańcom zamku wycieczek do wsi w obawie, iż zamieszają się w polowanie na czarownice. Fale strachu i hysterii kipiące w wiosce były niemal namacalne. Czułam, jak uderzają w cienkie ściany mojego schronienia.

Wybuch hałasu w sąsiadującej ze składnikiem karczynie wyrwał mnie z zamyślenia.

Może wyrok śmierci został jedynie odroczone, ale w tej chwili dziękowałam losowi za każdą dodatkową godzinę życia. Naciągnęłam koc na głowę, by nie słyszeć wrzasków, i postanowiłam nie dopuścić do siebie żadnego uczucia z wyjątkiem wdzięczności.

Po niemal bezsennej nocy wyprowadzono mnie z szopy tuż po świtaniu i zagoniono na rynek, choć sędziowie zjawili się dopiero po godzinie. Przybyli wypoczęci i najedzeni, by od razu zabrać się do roboty. Jeff zwrócił się do Johna MacRaea, który zajął stanowisko za oskarżonymi.

– Nie możemy uznać tych kobiet winnymi jedynie na podstawie przedstawionych dowodów.

Tłum wybuchł wrzaskami wściekłości, lecz Mutt uciszył gawieź jednym stalowym spojrzeniem. Młodzi wieśniacy zamilkli niczym psy oblane zimną wodą. Mutt zwrócił pociągłą twarz ku poborcy.

– Zechciejcie zaprowadzić oskarżone nad jezioro. – Zgromadzeni zaczęli szemrać z ożywieniem, co wzbudziło we mnie najgorsze podejrzenia.

John MacRae wziął mnie za ramię, a Geilis za drugie i poprowadził nas, wspomagany przez licznych ochotników. Dziesiątki dłoni szarpały mnie za suknię, szczypały i popychały. Jakiś idiota przyniósł bęben, w który walił bez umiaru. Tłum zaczął zawodzić coś rytmicznie. Nie rozróżniałam słów, ale miałam wrażenie, że wcale nie chcę ich zrozumieć.

Procesja dotarła do doliny na skraju jeziora, gdzie mała drewniana przystań sięgała w głąb tafli wody. Zostałyśmy zawleczone na koniec pomostu. Sędziowie stanęli po przeciwległych stronach przystani. Jeff zwrócił się do ludzi znajdujących się na brzegu.

– Przynieść sznury!

Po chwili bezruchu ktoś nadbiegł z cienką linką. MacRae przyjął zwój i zbliżył się do mnie niepewnie.

Dopiero ukradkowe spojrzenie na sędziów pomogło mu umocnić się w po stanowieniu.

– Zechciej zdjąć buty, pani.

– A po co, do dia... hm, po co? – spytałam, zakładając ręce na piersi.

MacRae wytrzeszczył na mnie oczy. Najwyraźniej nie spodziewał się oporu. Sędzia ubiegł go z odpowiedzią.

– To stosowna procedura w próbie wody. Oskarżona o czary zostaje skrepowana w następujący sposób: prawy kciuk przywiązuje się konopnym sznurem do wielkiego palca lewej stopy, lewy kciuk zaś do wielkiego palca prawej stopy. A potem... – Rzucił wymowne spojrzenie na jezioro. Dwaj rybacy, z podwiniętymi nogawki spodni, stali boso w błocie przy brzegu. Jeden z nich rzucił mi obelżywy uśmiech i cisnął w głąb jeziora kamieniem, który raz odbił się od gładkiej tafli i zatonął.

– Rzucona na wodę czarownica będzie się unosić na jej powierzchni, bo woda nie zechce przyjąć jej nieprawości. Kobieta niewinna pójdzie na dno.

– Więc mam być uznana za czarownicę albo utonąć? – warknęłam. – Piękne dzięki! – Mocniej splotłam dłonie, by uspokoić drżenie, do którego zaczęłam już się powoli przyzwyczajać.

Krepy sędzia nadął się jak ropucha.

– Nie wolno ci się odzywać bez pozwolenia, kobieto! Masz czelność sprzeciwiać się nakazanemu przez prawo badaniu?

– Czy ośmielam się bronić przed utopieniem?



Pewnie, że tak! – Poniewczasie ujrzałam, że Geilis kręci głową tak gwałtownie, że pasma jasnych włosów fruują jej wokół twarzy.

Sędzia zwrócił się do poborcy.

– Obnażyć ją i wychłostać – rzucił bez emocji.

Przez szum w uszach dobiegło mnie zbiorowe westchnienie, być może pełne zgrozy...

choć, prawdę mówiąc, słyszałam w nim raczej zadowolenie. Dopiero w tej chwili zrozumiałam, czym jest nienawiść. Nie ich. Moja.

Postanowili już nie prowadzić mnie z powrotem na rynek. Nie miałam nic do stracenia, więc nie zamierzałam im niczego ułatwiać. Brutalne ręce szarpnęły moje rękawy i stanik.

– Puszczaj, ty parszywcu! – ryknęłam i kopnęłam jednego z oprawców w najbardziej czułe miejsce. Zgiął się w pół, ale natychmiast pojawili się inni, wściekli, ogarnięci nienawiścią. Kilka rąk chwyciło mnie za ramiona i zawlokło przez tłum, po ciałach tych, którzy stracili równowagę i upadli.

Dostałam mocny cios w brzuch i straciłam dech. W tym czasie mój stanik został porwany na strzępy, więc zdarcie ze mnie jego resztek nie stanowiło wielkiej trudności.

Nigdy nie należałam do przesadnie wstydliwych osób, ale paradowanie z nagimi piersiami przed wieśniakami ogarniętymi żądzą krwi wzbudziło we mnie taką nienawiść i upokorzenie, jakiego jeszcze nigdy w życiu nie zaznałam.

John MacRae związał mi ręce z przodu; miał tyle przyzwoitości, że wyglądał na zawstydzonego, ale nie podniósł oczu. Zrozumiałam, że nie mogę się spodziewać po nim pomocy ani miłosierdzia. On także był na łasce i niełasce tłumu.

Geilis bez wątpienia została potraktowana w podobny sposób. Kątem oka uchwyciłam błysk jej trzepoczących na wietrze platynowych włosów. Koniec liny, krępującej mi ręce, zarzucono na gałąź dębu i podciągnięto tak, że prawie stanęłam na palcach. Zacisnęłam zęby i wymiotłam ze świadomości wszystko prócz furii; tylko dzięki temu mogłam stawić czoło lękowi. Zgromadzeni zastygli w pełnym napięcia oczekiwaniu.

Ciszę przerywały jedynie pojedyncze niecierpliwe okrzyki.

– No, zaczynaj! – wrzasnął ktoś. – Pokaż jej!

John MacRae, świadomy efektu, jakiego się spodziewano, stał przez chwilę nieruchomo, trzymając bat w obu rękach. Mierzył tłum spokojnym wzrokiem. Podszedł do mnie i delikatnie poprawił moją pozycję. Znalazłam się twarzą do pnia drzewa, niemal wtulona w szorstką korę. Potem poborca cofnął się o dwa kroki, uniósł bat i smagnął nim moje plecy.

Shok był znacznie gorszy niż ból. Prawdę mówiąc, dopiero po kilku uderzeniach zdałam sobie sprawę, iż wykonawca egzekucji stara się mnie oszczędzić. Mimo to parę smagnień przecięło mi skórę. Czułam ostre mrowienie w miejscach, gdzie trafiły.

Zacisnęłam mocno powieki, przywarłam do pnia i

ze wszystkich sił próbowałam odpląnąć w nieświadomość. Nagle czyjeś wołanie wytrąciło mnie z transu.

– Claire!

Lina krepująca moje nadgarstki poluzowała się wystarczająco, bym zdołała uskoczyć i odwrócić się twarzą do tłumu. Niespodziewany unik zdezorientował poborcę.

Mężczyzna uderzył pustą przestrzeń, stracił równowagę i walnął głową w drzewo.

Wieśniacy zareagowali błyskawicznie. Obrzucili nieudacznika obelgami i urągliwymi rykami.

Włosy zasłaniały mi oczy, przywierały do twarzy, mokre od potu i łez, lepkie od brudu. Potrząsnęłam głową, żeby się uwolnić od nieznośnych kosmyków. Widok, jaki ujrzałam potwierdził moje najśmielsze przypuszczenia.

Jamie torował sobie drogę przez tłuszcę, z twarzą ściągniętą strasznym gniewem.

Bez litośnie rozpychał tych, którzy stali mu na drodze.

Poczułam się jak generał MacAuliffe pod Bastogne na widok nadciągającej Trzeciej Armii Pattona. Mimo śmiertelnego niebezpieczeństwa wiszącego nade mną, Geilis, a teraz także nad Jamiem, ucieszyłam się jak jeszcze nigdy w życiu.

– Chłop czarownicy! Jej mąż! Śmierzący Fraser! Angielski sługus!

Te i jeszcze gorsze epitety dały się słyszeć pomiędzy bardziej ogólnymi wyzwiskami, skierowanymi przeciwko Geilis oraz mnie.

– Wziąć i jęgo! Na stos z nimi! Spalić wszystkich!

Zbiorowa histeria, chwilowo rozładowana wypadkiem poborcy, znowu zaczęła wzbierać.

Jamie, wlokący za sobą powstrzymujących go pomocników poborcy, zatrzymał się gwałtownie. Pokonał opór mężczyzn i sięgnął do pasa. Jeden z drabów uderzył Jamiego w brzuch. Sądził, że intruz chce chwycić nóż.

Jamie zgiął się lekko w pół i gwałtownie się wyprostował; cios łokciem trafił prosto w nos napastnika. Nieustraszony Fraser zignorował gorączkowe uderzenia mężczyzny z drugiej strony. Oswobodzoną ręką sięgnął do sporranu, uniósł ramię i zamachnął się.

Jego krzyk dobiegł mnie w chwili, gdy wyrzucony przedmiot szybował już w powietrzu.

– Claire! Nie ruszaj się!

A niby jak mam się ruszać, pomyślałam tępo. Coś mignęło mi przed oczami; chciałam zrobić unik, lecz w ostatnim momencie pohamowałam odruch. Pocisk uderzył mnie boleśnie w twarz i ze szczękiem czarnych koralików opadł mi na ramiona. Różaniec z gagatów owinął mi się wokół szyi. No, prawie, bo z jednej strony zawisł na uchu.

Potrząsnęłam głową. Różaniec spoczął gładko na szyi, a krzyż zakołysał się wesoło pomiędzy moimi nagimi piersiami.

Na twarzach w pierwszym rzędzie odmalowało się zarówno przerażenie, jak i rozbawienie. Wokół zapanowała martwa cisza.

Głos Jamiego, zwykle cichy, nawet w gniewie, zadźwięczał niczym dzwon.

– Odciać ją!

Ludzie ustępowali mu z drogi. Poborca patrzył z szeroko otwartymi ustami na śmiałka, jakby niezdolny do ruchu.

– Powiedziałem: odciąć ją! Już!

MacRae, wytracony z transu przez apokaliptyczną wizję zbliżającej się do niego rudowłosej śmierci, ocknął się i pospiesznie sięgnął po sztylet. Przecięta lina puściła z nagłym trzaskiem, a moje ręce opadły bezwładnie. Całe ramiona pulsowały mi bólem.

Zachwiałam się i pewnie bym upadła, gdyby mocna, znana dłoń nie chwyciła mnie za łokieć. Potem nagle znalazłam się w objęciach Jamiego i nic się już nie liczyło.

Zdaje się, że na parę chwil straciłam przytomność, a może tylko ogarnęła mnie ulga tak wielka, że straciłam kontakt z rzeczywistością. Kiedy się ocknęłam Jamie obejmował mnie w pasie, podtrzymując. Na ramiona zarzucił mi swój szal. Wokół rozbrzmiewały podniesione głosy, ale nie były to już oszalałe, żądne krwi wrzaski. Ponad zamieszanie wybił się głos Mutta – a może Jeffa?

– Ktoś ty? Jak śmiesz przerywać przesłuchanie?

Bardziej poczułam, niż zobaczyłam, że tłum zbliża się w naszym kierunku. Jamie był duży i uzbrojony, ale nie mógłby stawić oporu wobec tak przeważającej siły. Przywarłam do niego, ukryta pod fałdami tartanowego szala. Przytrzymał mnie mocniej, ale lewą ręką sięgnął ku mieczowi na biodrze. Srebrzystobłękitne ostrze wyłoniło się do połowy ze złowrogim sykiem, a ci, którzy szli pierwsi, zatrzymali się gwałtownie.

Sędziowie jednak zachowali zimną krew.

Wyrzłałam z mojego schronienia i zobaczyłam gniewne spojrzenie Jeffa. Mutt wydawał się bardziej rozbawiony niż zirytowany.

– Masz czelność wyciągać broń przeciwko bożej sprawiedliwości?

Jamie wyjął miecz z pochwy i wbił go w ziemię. Rękojeść zakołysała się lekko po impecie uderzenia.

– Dobyłem miecza w obronie tej kobiety... oraz prawdy – oznajmił. – Jeśli ktoś występuje przeciwko nim, odpowie przede mną i Bogiem, w tej właśnie kolejności.

Sędzia wytrzeszczył oczy, jakby nie potrafił pojąć takiego zachowania. Potem znowu rzucił się do ataku.

– Nie masz prawa wstępu na ten proces, mój panie! Żądam, byś natychmiast wydał nam oskarżoną. Poniesiesz karę za swój występki!

Jamie zmierzył dostojnika chłodnym spojrzeniem. Czulałam, że serce bije mu jak młotem, ale dłonie miał nieruchome niczym skała – jedną położył na rękojeści miecza, drugą na sztylcie u pasa.

– Przysiągłem przed obliczem Pana naszego bronić tej kobiety. Jeśli sądzicie, że macie większą władzę niż Wszechmogący, muszę powiedzieć, iż jestem innego zdania.

W milczeniu, które zapadło po tych słowach, dał się słyszeć nerwowy śmiech. Choć sympatia nie znalazła się po naszej stronie, ruch wiodący w nieunikniony sposób do katastrofy został zatrzymany.

Jamie odwrócił mnie ku tłumowi. Nie mogłam znieść spojrzenia na te twarze.

Uniosłam dumnie głowę i wbiłam wzrok w małą łódkę na środku jeziora. Patrzyłam na nią z takim natężeniem, aż do oczu napłynęły mi łzy.

Jamie odchylił szal. Nie obnażył mnie zupełnie, lecz ukazał moją szyję i ramiona.

Dotknął czarnego różańca.

– Gagat przepaliłby skórę czarownicy, prawda? – rzucił w stronę sędziów. – A tym bardziej uczyniłby to krzyż. Lecz patrzcie! – Wsunął palec pod sznurek i uniosł czarne paciorki. Moja skóra była zdrowa i biała, nie licząc smugi brudu po noclegu w lochu.

Rozległ się cichy pomruk.

Odwaga, lodowata przytomność umysłu i umiejętność panowania nad tłumem.

Colum Mackenzie miał rację, obawiając się ambicji Jamiego. A jeśli dodać do tego lęk, iż mogę ujawnić prawdę o tym, kto jest ojcem Hamisha, postępek przywódcy klanu stawał się całkiem zrozumiały. Ale nie do wybaczenia.

Nastroje panujące wśród wieśniaków wahały się; żądza krwi powoli gasła, ale jeszcze mogła gwałtownie wezbrać i ponownie nam zagrozić. Mutt i Jeff spoglądali na siebie nie pewnie; zbici z tropu ostatnim dowodem, stracili panowanie nad sytuacją.

Geilis Duncan zrobiła krok w stronę sędziów. Nie wiem, czy wtedy istniała jeszcze dla niej jakaś nadzieja. W każdym razie wyzywająco przerzuciła na ramię snop jasnych włosów i jednym gestem zrezygnowała z życia.

– Ta kobieta nie jest czarownicą – powiedziała po

prostu. – Ponieważ ja nią jestem.

Występ Jamiego, choć bardzo dobry, nie mógł się równać z popisem pani Duncan.

Ryk, który wzbił się pod niebiosa, całkowicie pochłonął głosy sędziów.

Znowu, jak zawsze, nie mogłam się zorientować, co Geilis naprawdę czuje lub myśli.

Jej wysokie białe czoło pozostało gładkie, wielkie zielone oczy lśniły i wydawały się rozbawione.

Stała wyprostowana, w podartej sukni, umazana brudem i mierzyła sędziów chłodnym wzrokiem. Kiedy tumult nieco się uspokoił, zaczęła mówić spokojnym głosem, tak cichym, że wszyscy musieli zamilknąć, by ją usłyszeć.

– Ja, Geilis Duncan, wyznaję, iż jestem czarownicą i kochanką szatana. – Po tych słowach rozległ się następny okrzyk. Przeczekwała wrzawę z doskonałą cierpliwością. – Posłuszna swojemu panu wyznaję, że zabiłam mojego męża, Artura Duncana, mocami diabelskiej magii. – Zerknęła na mnie i uśmiechnęła się lekko. Potem jej oczy spoczęły na wieśniaczce w żółtym szalu, ale nie złagodniały. – Powodowana nikczemnością, rzuciłam urok na odmieńca, by umarł, a ludzkie dziecko pozostało z Małym Ludkiem. – Odwróciła się i wskazała na mnie. – Wykorzystałam nieświadomość Claire Fraser. Posłużyłam się tą kobietą do własnych celów. Nie pomagała mi jednak w niczym, nie wiedziała o moich postępkach. Nie służy też mojemu panu.

Tłum znowu zaczął mruzczeć. Ludzie rozpychali się,



żeby mieć lepszy widok. Geilis wyciągnęła obie ręce, odwrócone wnętrzem dłoni w stronę zgromadzonych.

– Cofnijcie się!

Jasny głos świsnął jak bat. Rezultat był natychmiastowy. Geilis zadarła głowę ku niebu i znieruchomiła, jakby czegoś nasłuchiwała.

– Słyszycie? To wicher jego nadejścia! Strzeż się, ludu Cranesmuir, ponieważ pan mój przybywa na skrzydłach wiatru! – Spuściła głowę i wydała przeraźliwy wrzask tryumfu.

Jej wielkie zielone oczy były rozszerzone i nieruchome. Geilis wyglądała, jakby wpadła w trans.

Podmuchy rzeczywiście przybierały na sile; po drugiej stronie jeziora kłębiły się już ciemne burzowe chmury. Ludzie zaczęli się niespokojnie rozglądać. Parę osób chyłkiem wycofało się z tłumu.

Geilis zawirowała wokół własnej osi; wiatr zatrzepotał jej włosami, ręka wzniesiona nad głowę gięła się wdzięcznie jak podczas tańca. Przyglądałam się temu w oszołomieniu.

Geilis odwróciła się z twarzą ukrytą za włosami. Przy ostatnim obrocie przerzuciła jednak jasną grzywę na jedno ramię. Ujrzałam wyraźnie jej twarz i trzeźwo patrzące na mnie oczy. Blade usta wymówiły bezgłośnie jedno słowo. Potem Geilis znowu odwróciła się do tłumu i wrzasnęła dziko.

Zrozumiałam, że powiedziała do mnie: „uciekaj!”

Nagle zatrzymała się, z wyrazem ekstatycznego uniesienia chwyciła obiema rękami poszarpany stanik i

rozdarła go tak, iż wszyscy ujrzeni to, o czym się dowiedziałam w zimnym szlamie lochu złoczyńców. Poznali sekret, który Artur Duncan na swoją zgubę odkrył w godzinie śmierci. Resztki luźnej sukni upadły. Oczom gapiów ukazał się napęczniały brzuch kobiety w szóstym miesiącu ciąży.

Nadal stałam nieruchomo jak skamieniała. Za to Jamie nie wahał się ani chwili.

Chwycił mnie jedną ręką, drugą wyszarpnął z ziemi miecz i runął w tłum. Odtrącał ludzi łokciami, kolanami i głownią miecza. Gwizdnął przeraźliwie przez zęby.

Wieśniacy, pochłonięci występem Geilis, nie od razu zdali sobie sprawę z tego, co się dzieje. Kiedy co bardziej przytomne osoby zaczęły krzyczeć i wskazywać na nas, na ubitej ziemi nad wybrzeżem rozległ się głośny tętent kopyt.

Donas nadal nie żywił zbyt ciepłych uczuć dla rodzaju ludzkiego i aż nazbyt chętnie to okazywał. Ugryzł pierwszą rękę, wyciągającą się ku wodzom; ofiara ataku rozjuszonego ogiera upadła, brocząc krwią. Koń stanął dęba. Rżał przeraźliwie, młóćąc przednimi kopytami powietrze. Śmiałkowie, którzy zamierzali schwytać czarną bestię, raptownie stracili animusz.

Jamie cisnął mnie na siodło jak worek kartofli i wskoczył na wierzchowca jednym płynnym ruchem. Zawrócił Donasa prosto w tłum i ruszył. Drogę torował sobie potężnymi cięciami miecza. Ludzie cofali się przed rozwścieczoną nawałą ostrych kopyt, zębów i ostrza, a my stopniowo osiągnaliśmy coraz większą prędkość. Jezioro,

wioska i zamek Leoch zostały za nami. Powoli odzyskałam dech po upadku na siodło i zdobyłam się na wysiłek, by krzyknąć do Jamiego. To nie cięża Geilis odebrała mi zdolność ruchu tam, nad jeziorem. Sprawilo to coś, co zmroziło mnie do szpiku kości. Gdy Geilis odwróciła się z wysoko wyciągniętymi ramionami, ujrzałam to, co ona zobaczyła na moim ciele, gdy zdarto ze mnie ubranie. Znamię na ramieniu, takie samo jak moje. Tutaj, w tych czasach, piętno szatana, znak magów. Mała, znajoma blizna po szczepionce przeciwko ospie.

Krople deszczu bębniły gęsto, kołły moją obrzmiałą twarz i otarcia po sznurze na nadgarstkach. Zaczerpnęłam w dłoń wody ze strumienia i wypłam ją powoli. Zimna strużka przyniosła mi błogosławioną ochłodę.

Jamie zniknął na parę minut. Wrócił z garścią zielonych podłużnych liści, przeżuując coś zawzięcie. Wypłuł na dłoń zmacerowaną maź, wepchnął do ust kolejny kłęb zielska i odwrócił mnie do siebie plecami. Delikatnie rozsmarował mi na skórze przeżute liście. Ból zelżał w znacznym stopniu.

– Co to? – spytałam, z wysiłkiem opanowując emocje.

Ciągle się trzęsłam i pociągałam nosem, ale łzy powoli przestawały płynąć.

– Rukiew – wymamrotał z pełnymi ustami. Wypłuł kolejną porcję roślin i nałożył ją na moje plecy. – Nie tylko ty znasz się na ziołach – dodał nieco wyraźniej.

– Jak... jak to smakuje? – Zdławiałam szloch.

– Paskudnie – odpowiedział lakonicznie.

Skończył nakładanie opatrunku i delikatnie otulił mnie szalem.

– Nie będziesz... – zaczął i zawahał się. – Rany nie są głębokie. Chyba... chyba nie będziesz... oszpecona.

Mówił szorstkim głosem, ale dotykał mnie tak czule, że znów wybuchnęłam łkaniem.

– Przepraszam – jęknęłam i wytarłam nos rogiem szala. – Nie wiem... nie rozumiem, co się ze mną dzieje. Nie mogę przestać płakać.

Jamie wzruszył ramionami.

– Pewnie nikt przedtem nie skrzywdził cię celowo. Upokorzenie jest gorsze od fizycznego bólu. – Zamilkł i podniósł brzeg szala. – Znam to uczucie – stwierdził rzeczowo. – Tuż po chłóście wymiotowałam, ale kiedy mi opatrywali rany, płakałam i nie mogłam opanować drżenia. – Starannie wytarł mi twarz szalem i wziął mnie pod brodę.

– A gdy przestałam się trząść – powiedział cicho – dziękowałam Bogu, że odczuwam ból, ponieważ to znaczyło, że jeszcze żyję. – Puścił mnie i skinął głową. – Daj mi znać, kiedy to zrozumiesz. Chcę ci powiedzieć jeszcze parę rzeczy.

Wstał i podszedł do strumienia, by wypłukać zakrwawioną chusteczkę w zimnej wodzie.

– Jakim cudem znalazłeś się w wiosce? – spytałam, gdy wrócił.

Zdołałam powstrzymać łkanie, ale ciągle dygotałam. Otuliłam się mocno zwojami szala.

– Dostałem wiadomość od Aleca MacMahona – powiedział z uśmiechem. – Kazałem mu pilnować ciebie

pod moją nieobecność. Gdy ty i pani Duncan zostałyście porwane przez ludzi z wioski, jechał przez całą noc i dzień, by mnie znaleźć. A potem ja przygalopowałem tu jak sam diabeł. Boże, jakież to dobry koń. – Spojrzał z uznaniem na Donasa, przywiązanego do drzewa na szczycie zbocza. Mokra sierść zwierzęcia lśniła niczym miedź. – Trzeba go ukryć – odezwał się w zamyśleniu Jamie. – Wątpię, by ktoś za nami jechał, lecz niedaleko stąd do Cranesmuir. Możesz iść?

Z dużym wysiłkiem podążyłam za Jamiem po stromym zboczu. Kamyki osuwały mi się spod stóp, a orlice i jeżyny chwyciły mnie za koszulę. W pobliżu szczytu znajdował się olszynowy zagajnik pełen młodych drzewek, tak zrosniętych, że niskie konary spletały się ze sobą, tworząc zielony dach nad gęstymi paprociami. Jamie rozgarnął gałęzie na tyle, bym mogła wpełznąć do środka, a potem starannie zasłonił wejście pióropuszcami paproci. Przyjrzał się krytycznie swojemu dziełu i skinął głową.

– W porządku. Nikt cię tu nie znajdzie. – Odwrócił się, a potem znowu do mnie zajrzał. – Spróbuj się zdrzemnąć i nie martw się, jeśli nie wrócę szybko. W drodze powrotnej muszę zapolować. Nie mamy jedzenia, a nie chcę zwracać na nas uwagi i wstępować do wsi. Nakryj się porządnie tartanem; biel koszuli widać z daleka.

Jedzenie wydawało mi się nieistotnym szczegółem. Zresztą zdążyłam już przywyknąć do głodu. Plecy i ręce ciągle mnie bolały, świeże otarcia po linie na nadgarstkach paliły jak diabli. Byłam prawie nieprzytomna ze strachu, bólu i zwykłego zmęczenia. Zapadłam w sen niemal od

razu. Wonny zapach paproci wznosił się wokół mnie niczym opary kadzidła.

Obudziłam się, gdy ktoś mnie chwycił za stopę. Poderwałam się natychmiast i uderzyłam głową w sprężyste drewno nade mną. Liście i drobne gałązki posypały się jak gęsty deszcz. Dziko machnęłam rękami, usiłując wysupłać włosy spomiędzy gałęzi.

Podrapana, rozczochrana i wściekła, wyczołgałam się z kryjówki.

Jamie z uciechą przyglądał się mojemu wyjściu. Dzień chylił się ku końcowi; słońce zawisło nisko nad strumykiem, kamienisty wąwóz tonął w cieniu. Znad niewielkiego ogniska unosił się zapach pieczonego mięsa. Dwa króliki brązowały na prowizorycznym rożnie z zaostrzonych zielonych patyków.

Jamie wyciągnął do mnie rękę, oferując pomoc przy schodzeniu ze zbocza.

Odmówiłam wyniośle i zeszałam o własnych siłach. Tylko raz potknęłam się o przydepnięty róg szala. Mdłości ustąpiły i czułam potworny głód.

– Po kolacji ruszymy lasem – oznajmił Jamie, oddzierając kawał mięsa. – Nie chcę spać blisko potoku. Przez szum wody nie słyszę, czy ktoś się do nas zbliża.

Jedliśmy w milczeniu. Potworność poranka i myśl o tym, co zostawiliśmy za sobą, gnębiła nas oboje. A ja czułam jeszcze prawdziwy, przygniatający smutek. Straciłam nie tylko szansę, by się dowiedzieć, dlaczego się znalazłam w osiemnastowiecznej Szkocji, ale także przyjaciółkę. Moją jedyną przyjaciółkę. Często nie

rozumiałam motywów postępowania Geilis, ale nie miałam wątpliwości, że tego ranka oddała za mnie życie.

Wiedząc, iż nie ma dla niej ratunku, zrobiła wszystko, by umożliwić mi ucieczkę.

Ognisko, niemal niewidoczne za dnia, stopniowo stawało się coraz jaśniejsze.

Spojrzałam w płomienie, ujrzałam chrupką skórę i zbrązowiałe mięso królików. Kropla krwi ze złamanej kości kapnęła do ognia i wyparowała z sykiem. Nagle jedzenie stanęło mi w gardle. Pospiesznie odłożyłam swoją porcję, odwróciłam się i gwałtownie zwimiotowałam.

Ruszyliśmy w drogę, nadal bez słowa. Znaleźliśmy wygodny nocleg na skraju leśnej polanki. Wokół nas rozciągały się wzgórza; Jamie wybrał wysoko położone miejsce z dobrym widokiem na drogę prowadzącą do wioski. Zmierzch w ułamku chwili wyostrzył wszystkie barwy krajobrazu i nadał im połysk klejnotów. Lśniący szmaragd w dolinach, prześliczny ametyst pomiędzy kępami wrzосу i jarzące się rubiny jarzębinowych koralii na szczycie. Jarzębinowe jagody, środek odstraszaający wiedźmy.

W oddali, u stóp Ben Aden rysowały się kontury zamku Leoch. Mroczniały wraz z dogaszaniem słonecznego blasku.

Jamie rozpałił ognisko w małej kotlinie i usiadł przy ogniu. Deszcz przeszedł w słabą mżawkę, wiszącą w powietrzu jak mgła. Jej krople na moich rzęsach mieniły się tęczowo, gdy spoglądałam w płomienie.

Jamie przez długą chwilę patrzył w ogień. Potem

podniósł głowę i mocno objął kolana dłońmi.

– Obiecałem, że nigdy nie spytam cię o to, czego nie będziesz mi chciała sama wyznać. I dotrzymam słowa, lecz muszę wiedzieć... – Zamilkł niepewnie. – Claire, jeśli nie byłaś dotąd ze mną szczerą, proszę, teraz powiedz mi prawdę ...dla naszego bezpieczeństwa. Czy jesteś czarownicą?

Zagapiłam się na niego z otwartymi ustami.

– Czaro... wnica...? Pytasz poważnie?

Miałam wrażenie, że to jakiś żart. Jamie chwycił mnie za ramiona i spojrzał mi w oczy z hipnotycznym napięciem.

– Muszę to wiedzieć, Claire! Błagam, powiedz!

– A gdybym była? – spytałam, z trudem poruszając wyschniętymi nagle ustami. – Czy nadal byś za mnie walczył?

– Poszedłbym z tobą na stos! – rzucił zapalczywie. – Do piekła, gdybym musiał. Ale, niech się Jezus Chrystus nad nami ulituje, chcę znać prawdę!

Jego napięcie udzieliło się także mnie. Wydarłam się z uścisku i pobiegłam przez polanę. Niedaleko, tylko do skraju drzew. Nie mogłam znieść otwartej przestrzeni.

Chwyciłam drzewo w objęcia, wbiłam w korę paznokcie, wtuliłam w nią twarz i wybuchnęłam histerycznym śmiechem.

Jamie, blady i wstrząśnięty, stanął po drugiej stronie pnia. Zdałam sobie sprawę, że mój śmiech brzmi urągliwie, więc zdławiłam go z wysiłkiem. Spojrzałam na Jamiego, ciężko.



– Tak – powiedziałam i cofnęłam się, nadal wstrząsana paroksyzmami niekontrolowanego chichotu. – Tak, jestem czarownicą! Muszę nią być w twoich oczach.

Nigdy nie chorowałam na ospę, lecz mogę chodzić pomiędzy umierającymi i pozostać zdrowa. Mogę się opiekować chorymi, oddychać zakażonym powietrzem, dotykać owrzodzonych ciał i nie zapaść na tę samą chorobę. Nie zachoruję też na cholereę ani tężec. A ty uznasz, że to czary, ponieważ nigdy nie słyszałeś o szczepionce i nie potrafię ci tego inaczej wyjaśnić. Znam przyszłość i przeszłość... – urwałam. Dyszałam ciężko, walcząc o kontrolę nad sobą. – Wiem o Johnie Randallu, ponieważ mi o nim opowiedziano. Wiem, kiedy się urodził i kiedy umrze; wiem, co robił; i co robi, wiem o Sandringhamie ... od Franka. Mówił mi o Randallu, bo... bo... O Boże! – Poczulałam narastające mdłości i zamknęłam oczy, by nie widzieć gwiazd wirujących mi nad głową. – A Colum... bierze mnie za czarownicę, ponieważ znam prawdę o Hamishu. Przywódca klanu MacKenziech nie może płodzić dzieci. Ale on sądzi, że wiem też, kim jest ojciec Hamisha... początkowo myślałam, że ty, ale potem zrozumiałam, że to niemożliwe, więc... – Coraz szybciej wyrzucałam z siebie słowa, usiłując opanować zawroty głowy. – Wszystko, co mówiłam o sobie, było prawdą – rzuciłam, obłąkańczo kiwając głową, jakbym chciała przekonać samą siebie. – Wszystko. Mój naród, moja historia nie istnieje, ponieważ jeszcze się nie pojawiłam na tym świecie. Powiem ci, kiedy się urodziłam. – Podniosłam głowę. Czulałam, że włosy stoją mi dęba, i oczy mają błędny

wyraz. Nic mnie to nie obchodziło. – Dwunastego października tysiąc dziewięćset osiemnastego roku.

Słyszysz? – Krzyknęłam, ponieważ Jamie przyglądał mi się bez ruchu, jakby nic do niego nie docierało. – Tysiąc dziewięćset osiemnastego! Za niespełna dwieście lat! Słyszysz?

Kiwnął powoli głową.

– Słyszę – powiedział cicho.

– Jasne! – wybuchnęłam wściekłością. – myślisz, że oszalałam! Prawda? Przyznaj się. Na pewno tak uważasz, bo w żaden inny sposób nie możesz wytłumaczyć sobie mojego zachowania. Nie zdobędziesz się na to, by mi uwierzyć. O, Jamie... – Usta mi zadrżały.

Tak długo ukrywałam prawdę, wiedząc, że nigdy nikt nie da wiary moim słowom.

A teraz zdałam sobie sprawę, że Jamie, mój ukochany mąż, mężczyzna, któremu ufałam jak nikomu na świecie... że on też nie może mi uwierzyć.

– To się wydarzyło w magicznym kręgu... na wzgórzu elfów. Pomędzy kamieniami Merlina. Tamtędy właśnie wyszłam. – Z każdą chwilą coraz bardziej traciłam nad sobą panowanie. – Dawno, dawno temu i naprawdę za dwieście lat. W waszych opowieściach... wszystko dzieje się w tym okresie. Ale bohaterowie gawęd zawsze wracają. Ja nie mogłam. – Odwróciłam się chwiejnie i poszukałam jakiegoś wsparcia.

Osunęłam się na kamień. Schowałam twarz w dłoniach. W lesie zapanowała zupełna cisza. Trwała tak długo, że małe nocne ptaszki odzyskały odwagę i zaczęły

nawoływać się cienkimi, ostrymi piskami.

Wreszcie podniosłam głowę. Myślałam, że Jamie po prostu odszedł, wstrząśnięty moimi zwierzeniami. Ale on ciągle był przy mnie. Siedział zamyślony z rękami na kolanach i po chyloną głową.

Włosy na jego rękach jeżyły się, sztywne niczym miedziane druty, jak sierść na karku psa. Jamie się mnie bał.

– Jamie... – szepnęłam. Serce mi pękło w poczuciu absolutnej samotności. – O, Jamie...

Usiadłam i skuliłam się jak obolałe zwierzę. Wszystko przestało się dla mnie liczyć.

Wybuchnęłam rozzwierającym szlochem.

Poczułam na ramionach ciepłe, duże dłonie i podniosłam się na tyle, by ujrzeć twarz Jamiego. Przez mgłę łez zobaczyłam minę, którą miewał podczas walki, gdy mijał granicę napięcia i zyskiwał spokojną pewność.

– Wierzę ci – wyznał z naciskiem. – Nic z tego nie rozumiem, ale ci wierzę. Claire, posłuchaj! Między nami nie ma miejsca na kłamstwa. Cokolwiek powiesz, ja ci uwierzę. – Potrząsnął mną łagodnie. – Bez względu na wszystko. Otworzyłaś się przede mną i to wystarczy. Uspokój się, mo dumne. Połóż się, odpocznij. Resztę opowiesz mi później. A ja uwierzę w każde twoje słowo.

Nadal łkałam. Usiłowałam się cofnąć, ale wziął mnie na ręce i mocno przytulił do siebie. Cały czas powtarzał: „wierzę ci”.

Wreszcie, z czystego wyczerpania, uspokoiłam się na tyle, że mogłam wykrztusić:

– Ale... ty mi nie możesz uwierzyć.

Jamie uśmiechnął się. Usta drżały mu lekko, ale jednak był to uśmiech.

– Nie będziesz mnie pouczać. Angielko. – Zamilkł na chwilę. – Ile masz lat? – zagadnął ciekawie. – Nigdy nie spytałem.

Zaskoczył mnie tak, że musiałam się zastanowić.

– Dwadzieścia siedem... a może dwadzieścia osiem – dodałam.

Widziałam, że odpowiedź nim wstrząsnęła. W tych czasach w wieku dwudziestu ośmiu lat kobiety były na progu wieku średniego.

– O – wyszeptał. Odetchnął głęboko. – Sądziłem, że jesteśmy rówieśnikami...

a nawet, że mam więcej lat od ciebie. – Przez chwilę siedział nieruchomo. Potem uśmiechnął się słabo. – Wszystkiego najlepszego Angielko.

Wytrzeszczyłam oczy.

– Co? – spytałam tępo.

– Wszystkiego najlepszego. Dziś jest dwunasty października.

– Naprawdę? – mruknęłam. – Straciłam poczucie czasu. – Znowu zaczęłam dygotać, z zimna, szoku i gwałtowności wygłoszonej tyrady.

Jamie przytulił mnie do siebie. Wielkie dłonie gładziły lekko moje włosy. Zaczęłam płakać, lecz tym razem z ulgi. Wydawało mi się to bardzo logiczne, że wszystko się ułoży, skoro Jamie zna mój prawdziwy wiek i nadal mnie pragnie.

Jamie podniósł mnie z ziemi i ostrożnie zaniósł w stronę ogniska gdzie zostawił siodło. Usiadł, oparł się o nie i przytrzymał mnie lekko, blisko siebie. Minęło sporo czasu, zanim znowu się odezwał.

– Dobrze. Teraz mi powiedz wszystko.

Opowiedziałam mu całą historię z trudem, lecz zrozumiałe. Czułam się nieprzytomna ze zmęczenia, lecz zadowolona jak królik, który uciekł lisowi i znalazł chwilowe schronienie pod kłodą drzewa. Wspomniałam także o Franku.

– Frank – mruknął Jamie. – Więc nie umarł.

– Jeszcze się nie urodził! – Moim ciałem wstrząsnął kolejny spazm hysterii, ale szybko zdołałam się opanować. – Tak jak ja.

Jamie głaskał mnie po plecach, mrużąc coś po celtycku.

– Chciałaś wrócić – odezwał się raptem. – Do kamiennego kręgu. I... Franka. Dlatego wyszłaś z zagajnika i w konsekwencji trafiłaś do fortu Williama.

– Tak.

– A ja cię za to zbiłem – powiedział z żalem.

– Nie znałaś przecież prawdy. A ja nie mogłam ci powiedzieć. – Powieki opadały mi coraz bardziej.

– Nie, nie mogłaś. – Otulił mnie szczerzej szalem, delikatnie owinał nim moje ramiona. – Śpij teraz, mo dumne. Nikt cię nie skrzywdzi, jestem tutaj.

Zanurzyłam twarz w ciepłym zgięciu jego ramienia i zapadłam w głęboki sen. Na chwilę przed zaśnięciem zdołałam jeszcze spytać:

– Naprawdę mi wierzysz?

Westchnął i uśmiechnął się niewesoło.

– Tak, Angielko. Lecz byłoby mi dużo łatwiej, gdybyś okazała się tylko czarownicą.

Spałam jak zabita.

Obudziłam się po świcie, z okropnym bólem głowy, zeszytywniała na kamień. Jamie miał w sporrannie sakiewkę z kilkoma garściami owsa. Zmusił mnie do zjedzenia garści – ziarna zmieszanego z zimną wodą. Potrawa stawała mi w gardle, ale udało mi się ją przełknąć.

Jamie traktował mnie łagodnie, ale rzadko się odzywał. Po śniadaniu cicho uprzętałą miejsce obozowiska i osiodłał Donasa.

Odrętwiała po ostatnich wydarzeniach, nie spytałam nawet, dokąd jedziemy. Byłam zadowolona, że mogę oprzeć policzek o szerokie plecy Jamiego i poddać się kołysaniu końskiego kroku.

Zjechaliśmy przez zimną poranną mgłę ze zbocza wzgórza w pobliżu Loch Madoch ku skrajowi nieruchomej szarej tafli. Dzikie kaczkę wzbijały się z szuwarów w nieregularnych stadach i krążyły nad bagnami, głośno kwacząc, jakby chciały obudzić te, które zasnęły.

Nad naszymi głowami przesunął się precyzyjny klin – stado gęsi. W ich krzykach brzmiała rozpacz i samotność.

Szara mgła podniosła się dopiero następnego dnia, a słabe promienie słońca oświetliły doliny pełne żółtych janowców i żarnowców. Parę kilometrów za jeziorem wyjechaliśmy na wąski gościniec i skręciliśmy na północ. Droga znowu powiodła nas w górę, ku niskim falistym

wzgórzom, które stopniowo przechodziły w granitowe złomy.

Spotkaliśmy kilku wędrowców; za każdym razem, kiedy słyszeliśmy stukot końskich kopyt, chowaliśmy się w zaroślach.

Znaleźliśmy się w sosnowym lesie. Wciągnęłam głęboko powietrze w płuca, rozkoszując się rześkim żywicznym zapachem. Pod koniec dnia robiło się już dość zimno.

Zatrzymaliśmy się na nocleg na małej polance, znacznie oddalonej od gościńca.

Zgarnęliśmy wielką poduchę igieł, nakryliśmy ją derką i przytuliliśmy się do siebie, okryci kocem i szalem Jamiego.

Jamie obudził mnie w środku nocy. Kochaliśmy się powoli i czule, bez słowa.

Patrzyłam na gwiazdy mrugające pomiędzy płataniną czarnych gałęzi i wolno zapadłam w sen, czując na sobie ciepły, kojący ciężar potężnego ciała.

Rano Jamie był w lepszym nastroju, a przynajmniej bardziej spokojny, jakby podjął jakąś trudną decyzję. Obiecał mi na kolację gorącą herbatę – marna pociecha w lodowatym powietrzu poranka. Sennie poszłam za nim, otrzepując spódnicę z sosnowych igieł i małych pajaczków. Wkrótce gościniec zmienił się w ledwie dostrzegalną ścieżkę, biegnącą zygzakiem pomiędzy skałami.

Nie zwracałam specjalnej uwagi na otoczenie, leniwie wygrzewając się na słońcu.

Nagle zauważyłam znajomą formację skalną i

ocknęłam się z letargu. Wiedziałam, gdzie byliśmy. I dlatego tu przyjechaliśmy.

– Jamie!

Odwrócił się.

– Nie domyśliłaś się wcześniej? – spytał z zaciekawieniem.

– Że tu jedziemy? Nie, oczywiście, że nie. – Poczułam ściskanie w żołądku.

Wzgórze Craigh na Dun znajdowało się od nas niespełna pół kilometra. Pomiędzy ostatnimi smużkami porannej mgły widziałam łagodne zbocze.

Przełknęłam ślinę. Przez blisko pół roku usiłowałam dotrzeć w to miejsce. Teraz, kiedy wreszcie mi się udało, z całego serca zapragnęłam znaleźć się gdzieś indziej. Z dołu nie widziałam kamiennego kręgu na szczycie, ale wiało od niego ledwie wyczuwalną zgrozą, która dosięgała mnie lodowatymi mackami.

Jeszcze daleko do wierzchołka ścieżka stała się zbyt stroma dla Donasa. Zsiedliśmy i przywiązaliśmy wierzchowca do węzłastej sosny. W dalszą drogę ruszyliśmy pieszo.

Kiedy wreszcie dotarliśmy do granitowego występu, byłam zziębnięta i spocona jak nieboskie stworzenie. Jamie nie zdradzał żadnej oznaki zmęczenia. Jedyne słabe rumieniec wycierał mu spod kołnierza koszuli. Tutaj, powyżej sosnowego lasu, było spokojniej, lecz wiatr jęczał cicho w skalnych szczelinach. Jaskółki śmigały nad naszymi głowami, raptownie unosząc się na prądach powietrznych i opadając tuż nad ziemię, z rozprostowanymi



smukłymi skrzydłami.

Jamie podał mi rękę i podciągnął na szeroki, płaski występ. Nie puścił mnie, lecz przy ciągnął do siebie i przyjrzał mi się uważnie, jakby chciał zapamiętać każdy szczegół mojej twarzy.

– Dlaczego... – zaczęłam, zdyszana.

– To twoje miejsce – przerwał szorstko. – Prawda?

– Tak. – Kamienny krąg przykuwał moje spojrzenie z hipnotyczną siłą. – Wygląda identycznie.

Jamie wziął mnie za ramię, zaprowadził do środka kręgu, po czym zdecydowanie pomaszerował do rozszczepionego głazu.

– To ten?

– Tak: – Usiłowałam się cofnąć. – Uważaj! Nie podchodź za blisko!

Zerknął na mnie, a potem na kamień, wyraźnie pełen wątpliwości. Miał do tego prawo. Nagle sama zwątpiłam we własną historię.

– Nie... nie wiem, jak to działa. Może... coś się tam zamknęło... po moim przejściu.

Albo należy się zjawić w określonej porze roku. Przeszłam przez szczelinę w okolicach Bekane.

– Teraz zbliża się Samhain. Wigilia Wszystkich Świętych. Całkiem odpowiednio, prawda?– Wzdrygnął się mimowolnie, jakby nie zrozumiał własnego żartu. – Co robiłaś, kiedy... przeszłaś?

Spróbowałam sobie przypomnieć. Przejmowało mnie lodowate zimno. Włożyłam dłonie pod pachy, żeby je rozgrzać.

– Obeszłam krąg w poszukiwaniu ziół. Nie miałam żadnej wyznaczonej trasy. A kiedy zbliżyłam się do rozszczepionej skały, usłyszałam bzyczenie pszczoł.

Nadal docierał do mnie podobny dźwięk. Cofnęłam się, jakbym zobaczyła węża.

– Jest tutaj! – W panice rzuciłam się Jamiemu w objęcia, lecz on odsunął mnie od siebie błądź jak kreda i znowu odwrócił w stronę głązu.

– A potem? – Zawodzący wiatr brzmiał ostro, lecz głos Jamiego był jeszcze bardziej przenikliwy.

– Położyłam rękę na skale.

– Więc zrób to także teraz. – Popchnął mnie, a gdy nie usłuchałam, chwycił moją dłoń i mocno wcisnął ją w popękana powierzchnię.

Otoczył mnie chaos.

Po bardzo długiej chwili słońce przestało mi krążyć przed oczami, a wrzask ucichł.

Słyszałam jeszcze jeden natarczywy dźwięk. To Jamie powtarzał moje imię.

Czułam się zbyt słabo, żeby usiąść czy otworzyć oczy, ale niemrawo poruszyłam ręką, żeby wiedział, iż nie umarłam.

– Nic mi nie jest – wymamrotałam.

– Naprawdę? O Boże, Claire! – Przytulił mnie do piersi i mocno uściśnął. – Jezu...

Myślałem, że nie żyjesz. Zaczęłaś... zaczęłaś odchodzić. Miałaś nieopisanie straszliwy, przerażony wyraz twarzy. Odciągnąłem cię od kamienia. Zatrzymałem. Nie powinienem... przepraszam, dziewczyno.

Zdołałam unieść powieki na tyle, by ujrzeć jego twarz, przejętą grozą.

– Już... dobrze. – Mówienie nadal kosztowało mnie wiele wysiłku. Czułam się ociężała i zdezorientowana, ale wszystko zaczęło wyglądać bardziej klarownie.

Spróbowałam się uśmiechnąć, lecz moje usta zaledwie słabo zadrgały. – Przynajmniej...

wiemy... że magia tego miejsca... nadal... działa.

– O Boże. Tak, działa. – Rzucił niechętnie, pełne lęku spojrzenie na głaz.

Znalazł deszczówkę w jednej z kamiennych rozpadlin i zanurzył w niej chusteczkę.

Ocierał mi twarz, mamrocząc słowa otuchy i przeprosin. Wreszcie zdołałam znaleźć w sobie tyle sił, by usiąść.

– Więc jednak mi nie uwierzyłeś? – Mimo osłabienia czułam wyraźną satysfakcję. – Mówiłam prawdę.

– Rzeczywiście. – Usiadł obok mnie i przez parę minut wpatrywał się w głaz.

Otarłam twarz mokrą szmatką. Byłam osłabiona i miałam zawroty głowy. Nagle Jamie zerwał się na równe nogi, podszedł do kamienia i trzepnął go dłonią.

Nic się nie wydarzyło. Po chwili Jamie zrezygnował i wrócił do mnie.

– Może działa tylko w przypadku kobiet – odezwałam się niewyraźnie. – W legendach zawsze kobiety ulegają nadprzyrodzonym zjawiskom... Albo tylko ja mogę się przenieść w czasie.

– Ha, z pewnością nie ja. Lecz jeszcze sprawdzę.

– Jamie! Uważaj! – krzyknęłam, ale on jakby mnie nie słyszał.

Pomaszerował do kamienia, znowu położył na nim rękę, rzucił się na niego całym ciałem, przeszedł przez szczelinę i z powrotem, ale głaz pozostał zwyczajnym złomem granitu. Ja natomiast wzdrygałam się na samą myśl o zbliżeniu się do tych wrót szaleństwa.

A jednak... kiedy zaczęłam wchodzić do królestwa chaosu, myślałam o Franku.

I poczułam go, na pewno. Gdzieś w tej czeluści znajdował się maleńki opłtek światła, a Frank stanowił jego część. Nie miałam co do tego żadnych wątpliwości. Wiedziałam także, że jest jeszcze inny świetlisty punkt. Był nim Jamie. Siedział teraz przy mnie, wpatrzony w kamień, z policzkami lśniącymi potem mimo chłodu dnia.

Wreszcie Jamie odwrócił się i chwycił mnie za obie ręce. Uniósł je do ust i ucałował uroczyście.

– Moja pani – powiedział cicho. – Moja... Claire. Nie ma sensu zwlekać dłużej. Muszę się z tobą rozstać.

Usta nadal odmawiały mi posłuszeństwa, ale wyraz mojej twarzy, jak zwykle, mówił wszystko.

– Claire – rzucił Jamie żarliwie. – Po drugiej stronie... są twoje czasy. Tam masz dom, i swoje miejsce. Rzeczy, do których przywykłaś. I... i jest tam Frank.

– Tak – wymamrotałam. – Frank.

Jamie chwycił mnie za ramiona, podniósł i delikatnie potrząsnął.

– Tutaj nie ma nic dla ciebie, dziewczyno! Nic

prócz okrucieństwa i niebezpieczeństw. – Popchnął mnie lekko w stronę kamiennego kręgu.

Odwróciłam się do niego i chwyciłam go za rękę.

– Czy naprawdę nie ma tu nic dla mnie?

Spojrzałam Jamiemu głęboko w oczy i nie pozwoliłam mu spuścić wzroku. Mój ból musiał być widoczny, bo Jamie zawahał się i wskazał na wschód, w dół zbocza.

– Widzisz to miejsce za dębami?

Dostrzegłem kępę drzew, a potem ujrzałam i to, co wskazywał – na wpół zrujnowaną, opuszczoną zagrodę.

– Pójdę tam i zostanę aż do wieczora. By wiedzieć na pewno... że jesteś bezpieczna. – popatrzył z czułością, ale nawet nie starał się mnie dotknąć. Zacisnął powieki, jakby nie mógł dłużej znieść mojego widoku.

– Bywaj – rzucił na pożegnanie i odwrócił się.

Spojrzałam za nim w odrętwieniu, a potem nagle sobie przypomniałam, że mam mu coś ważnego do powiedzenia.

– Jamie!

Zatrzymał się i stanął nieruchomo. Kiedy się odwrócił, miał śmiertelnie białą twarz i bezkrwiste usta.

– Tak?

– Muszę ci coś... wyznać, zanim odejdę.

Zamknął oczy i chyba się zachwiał, choć może to tylko wiatr załopotał jego kiltem.

– Nie trzeba. Nie. Idź, dziewczyno. Nie zwlekaj. Idź. – Chciał zawrócić, lecz chwyciłam go za rękaw.

– Jamie, wysłuchaj mnie! Błagam!

Bezradnie pokręcił głową i spróbował mnie odepchnąć.

– Claire... nie. Nie mogę. – Wiatr wycisnął mu łzy z oczu.

– Będzie powstanie – rzuciłam z naciskiem, szarpiąc go za ramię. – Jamie, słuchaj.

Księżę Karol... jego wojska. Colum ma rację! Słyszysz? Colum, nie Dougal.

– He? Co mówisz? – Wreszcie się otrząsałam.

Otarł twarz rękawem i spojrzał na mnie przytomnie. Wiatr wył mi w uszach.

– Wybuchnie powstanie, tak jak mówi Dougal, ale zakończy się klęską. Wojska księcia Karola przez jakiś czas będą odnosić sukcesy, lecz ostatecznie wszyscy zginą w potwornej rzezi. W Culloden, tak właśnie zakończą się walki. Klany... – Oczyma duszy ujrzałam po rozrzucane, szare głowy, każdy z imieniem klanu, którego ludzie położyli głowy na polu bitwy.

Wzięłam głęboki oddech i przytrzymałam się dłoni Jamiego. Była zimna jak ręka trupa. Wzdrygnęłam się i zamknęłam oczy. Starłam się skoncentrować na tym, co miałam do powiedzenia.

– Klany... wszystkie, które pójdą za księciem Karolem... zostaną wybite co do nogi.

Setki, tysiące ludzi zginą pod Culloden. Pozostali będą ścigani i mordowani. Klany upadną... i nigdy więcej się nie podniosą. Nie w twoich czasach... i nawet nie w moich.

Otworzyłam oczy i ujrzałam jego pozbawioną

wyrazu twarz.

– Jamie, nie idź za księciem! Trzymaj swoich ludzi z daleka od niego, ale na miłość boską... Jamie, jeśli... – Urwałam.

Chciałam powiedzieć „jeśli mnie kochasz”. Nie mogłam. Za chwilę miałam go stracić na zawsze i nie potrafiłam mówić o miłości, której nigdy mu nie wyznałam.

– Nie jedź do Francji – dodałam cicho. – Ruszaj do Ameryki, Hiszpanii, Włoch. Ale dla dobra tych, którzy cię kochają, nie zbliżaj się do Culloden.

Patrzył rozszerzonymi oczami. Nie wiedziałam, czy mnie słyszy.

– Jamie? Rozumiesz?

Po chwili skinął mimowolnie głową.

– Oczywiście – szepnął tak cicho, że prawie go nie słyszałam przez wycie wiatru. – Rozumiem.

Puścił moją dłoń.

– Idź z Bogiem... mo dumne.

Zeskoczył z granitowej platformy. Schodził po stromym zboczu, opierając stopy na kępach trawy, chwytając się gałęzi, aby zachować równowagę. Ani razu nie spojrzął do tyłu. Patrzyłam za nim, dopóki nie zniknął wśród dębów. Szedł powoli jak ranny, który wie, że musi się ruszać, lecz czuje, że życie z niego uchodzi pomiędzy zaciśniętymi na ranie palcami.

Drżały mi kolana. Osunęłam się na granitową półkę i usiadłam po turecku.

Przyglądałam się jaskółkom zajęтым własnymi sprawami. Poniżej przed sobą widziałam skrawek dachu

zagrody, do której odszedł Jamie. To była moja przeszłość. A z tyłu majaczył rozszczepiony kamień, moja przyszłość. Przez całe popołudnie siedziałam bez ruchu. Usiłowałam stłumić wszystkie emocje i zacząć myśleć rozsądnie. Jamie z pewnością miał rację nalegając. Powinnam wrócić. Po tamtej stronie był mój świat: dom, bezpieczeństwo, Frank, drobne przyjemności życia codziennego, których tak rozpaczliwie mi czasem brakowało – gorące kąpiele i urządzenia kanalizacyjne, nie wspominając już o odpowiedniej opiece medycznej i wygodnych podróżach.

A jednak, choć nie mogłam zaprzeczyć niewygodom i prawdziwym niebezpieczeństwom obecnych czasów, musiałam także przyznać, iż znajduję w nich pewne przyjemności. Podróże stanowiły udrękę, ale krajobrazu nie szpeciły ogromne połacie betonowej nawierzchni i nie było hałaśliwych, śmierdzących samochodów, także niosących zagrożenie. Życie w osiemnastowiecznej Szkocji wydawało się o wiele prostsze.

Ludzie, nie mniej inteligentni, okazali się bardziej bezpośredni... z kilkoma wyjątkami, jak Colum MacKenzie, pomyślałam ponuro.

Dzięki pracy wujka Lamba mieszkałam w wielu rozmaitych miejscach, a niektóre z nich były jeszcze bardziej prymitywne i pozbawione wygod niż zamek Leoch.

Z łatwością adaptowałam się do trudnych warunków i z pewnością nie tęskniłam za „cywilizacją”, choć równie łatwo przywykałam również do takich udogodnień, jak kuchenki elektryczne i bojlerzy z gorącą



wodą. Zadrżałam na zimnym wietrze i mocniej objęłam się ramionami.

Racjonalne myślenie nie na wiele mi się przydało. Zwróciłam się ku emocjom i niechętnie zaczęłam, rekonstruować szczegóły mojego pożycia małżeńskiego, najpierw z Frankiem, potem z Jamiem. Jedynym rezultatem był wybuch rozpacz i potok łez, szybko lodowaciejących na przenikliwym wietrze.

Więc skoro rozsądek i emocje nie pomogły, może poczucie obowiązku? Złożyłam Frankowi przysięgę małżeńską i z całego serca zamierzałam jej dotrzymać. Ślubowałam także Jamiemu. I którego z nich mam teraz zdradzić? Siedziałam tak, aż słońce zsunęło się ku horyzontowi, a jaskółki poznikały w gniazdach.

Kiedy pomiędzy czarnymi konarami sosen zaczął gęstnieć mrok, uznałam, iż w tej sytuacji rozsądek nie ma nic do rzeczy. Powinnam polegać na czymś innym. Nie wiedziałam tylko, jak to nazwać. Zawróciłam ku rozszczepionemu głazowi. Zrobiłam jeden krok. Potem drugi. I trzeci. Zatrzymałam się, spojrzałam dokoła i ruszyłam w innym kierunku. Krok, drugi, trzeci... i zanim zrozumiałam, jaka jest moja decyzja, byłam już w połowie zbocza. Gnałam, potykając się na kępach trawy, dziko szarpiąc się z zatrzymującymi mnie gałęziami i ślizgając na połaciach granitu.

Dopadłam chaty bez tchu, zdjeta lękiem, iż Jamie już odjechał. Donas paś się spokojnie w pobliżu. Na mój widok podniósł głowę i zmierzył mnie nieprzyjemnym spojrzeniem.

Obeszłam go ostrożnie i otworzyłam drzwi.

Jamie znajdował się w pierwszej izbie. Spał na wąskiej dębowej pryczy, na boku, tak jak zwykle, z rękami skrzyżowanymi na brzuchu i lekko otwartymi ustami. Ostatnie promienie słońca, wpadające przez okno za moimi plecami, sprawiły, że twarz Jamiego przypominała metalową maskę. Srebrzyste ślady wyschniętych łez lśniły na złotej skórze, miedziana szczecina zarostu połyskiwała ciemnym blaskiem.

Przez chwilę przyglądałam mu się, przepelniona niewymowną czułością. Najciszej jak mogłam położyłam się na wąskiej pryczy i przylgnęłam do Jamiego. Odwrócił się we śnie, przytulił mnie do piersi i zanurzył twarz w moje włosy, tak jak to miał w zwyczaju. Na wpeł przytomnie odgarnął kosmyk, który łaskotał go w nos; poczułam, że drgnął gwałtownie, kiedy zdał sobie sprawę, że jestem przy nim. Potem przetoczyliśmy się po wąskim pościeliu i runęliśmy razem na podłogę. Jamie był na górze.

Nie miałam najmniejszych wątpliwości, że jest człowiekiem z krwi i kości. Stęknęłam i odepchnęłam go kolanem.

– Złaż ze mnie, nie mogę oddychać!

On jednak uparcie chciał mnie pozbawić możliwości oddechu, tym razem za pomocą szaleńczych pocałunków. Na razie zapomniałam o braku wystarczającej ilości tlenu; pochłonęły mnie bardziej istotne sprawy.

Długo trzymaliśmy się w objęciach, nie odzywając się do siebie. Wreszcie Jamie wymruczał z ustami ukrytymi w moich włosach:

– Dlaczego?

Pocałowałam go w policzek, mokry i słony. Czułam bicie jego serca, tuż przy moichżebrach i nie chciałam niczego, tylko zostać z nim na zawsze, bez ruchu, nie kochając się tylko po to, by oddychać tym samym powietrzem.

– Musiałam – szepnęłam. Roześmiałam się drżąco.– Nawet nie masz pojęcia, jak mało brakowało. Gorące kąpiele niemal wygrały. – Zaczęłam płakać i dygotać, ponieważ radość z odzyskania mężczyzny, którego trzymałam w ramionach, mieszała się z rozdzierającym żalem po mężczyźnie, którego nigdy więcej miałam nie zobaczyć.

Jamie przytulił mnie mocno, przygwoździł do ziemi swoim ciężarem, jakby chciał bronić, osłonić przed przyciąganiem kamiennego kręgu. Wreszcie wyplakałam wszystkie łzy i ległam wyczerpana, z głową na wygodnej piersi. Zrobiło się już zupełnie ciemno, ale Jamie ciągle trzymał mnie w ramionach i szeptał jak do dziecka, które się boi ciemności.

Przywarliśmy do siebie. Nie chcieliśmy się oddalić nawet na chwilę, by rozniecić ogień na kominku lub zapalić świeczkę.

Po pewnym czasie Jamie wstał, wziął mnie na ręce i przeniósł na ławeczkę. Drzwi chaty były ciągle otwarte. Widzieliśmy przez nie gwiazdy, powoli pojawiające się na niebie.

– Czy wiesz – odezwałam się sennie – że światło gwiazd podróżuje przez tysiące lat, zanim do nas dotrze?

Niektóre gwiazdy są już martwe, lecz my nie zdajemy sobie z tego sprawy, ponieważ ciągle widzimy ich blask.

– Tak? – mruknął Jamie, gładząc mnie po plecach. – Nie miałem pojęcia.

Zasnąłam z głową na jego ramieniu, lecz obudziłam się na chwilę, gdy położył mnie na podłodze, na prowizorycznym pościeli z derek. Przytulił mnie mocno.

– Odpoczywaj, dziewczyno – szepnął. – Rano zabiorę cię do domu.

Wstaliśmy przed świtem, a kiedy słońce wyłoniło się zza horyzontu, zmierzaliśmy już ścieżką w dół, gotowi jak najszybciej zostawić za sobą Craigh na Dun.

– Dokąd jedziemy? – spytałam, z radością czując, że znowu mogę planować przyszłość razem z Jamiem, choć odrzuciłam ostatnią szansę powrotu do mężczyzny, który mnie niegdyś w dalekiej przeszłości... kochał.

Jamie wstrzymał konia i przez chwilę patrzył za siebie. Groźny krąg zniknął nam z pola widzenia, lecz kamienne zbocze za naszymi plecami wydawało się przeszkodą nie do pokonania, zasypane wielkimi głazami i najeżone kolczastymi krzakami. Rozpadająca się zagroda wyglądała z tej odległości jak jeszcze jeden głaz, kościsty kłykieć na granitowej pięści wzgórze.

– Chciałbym walczyć z nim o ciebie – odezwał się gwałtownie Jamie, wracając do mnie spojrzeniem. Jego błękitne oczy były ciemne i poważne.

Uśmiechnęłam się ze wzruszeniem.

– To nie twoja walka, tylko moja. Ale i tak ty ją wygrałeś. – Wyciągnęłam do niego rękę. Uścisnął ją

mocno.

– Tak, lecz nie o to mi chodziło. Gdybym walczył z nim i zwyciężył, nie musiałabyś żałować. – Zawahał się. – Jeśli kiedyś...

– Nie będzie już żadnych, „jeśli” – oznajmiłam zdecydowanie. – Wczoraj wszystko przemyślałam i, proszę, jestem z tobą.

– Całe szczęście – mruknął z uśmiechem. – niech Bóg cię błogosławi. Choć nigdy nie zrozumiem, dlaczego to zrobiłaś.

Oplotłam go w pasie ramionami. Koń schodził chwiejnie ostatnim stromym zboczem.

– Ponieważ za cholereę nie mogę się bez ciebie obejść, Jamesie Fraserze. Więcej na ten temat nie mam nic do powiedzenia. Więc dokąd mnie wieszysz?

Jamie poruszył się w siodle i spojrzął na zbocze za naszymi plecami.

– Modliłem się wczoraj przez całą drogę pod górę – powiedział cicho. – Nie o to, byś została; Postąpiłbym niegodnie. Gorąco prosiłem Boga o tyle siły, bym mógł cię odesłać.

– Pokręcił głową. Jego oczy utkwiły w jakimś dalekim punkcie. – Mówiłem: Panie, daj mi odwagę, jakiej jeszcze nigdy nie znałem. Pozwól mi znaleźć w sobie tyle hartu, by nie paść na kolana i nie błagać, by została. – Uśmiechnął się do mnie przelotnie. – To najtrudniejsza rzecz, na jaką się kiedykolwiek zdobyłem. – Odwrócił się i skierował głowę wierzchowca na wschód.

Ten ranek okazał się wyjątkowo pogodny. Wczesne

słońce powlekało wszystko pozłotą, malowało cienką ognistą linię na krawędzi wodzy, krzywiźnie końskiej szyi i szerokich płaszczyznach twarzy i ramion Jamiego.

Usłyszałam westchnięcie Jamiego; skinął głową ku odległemu przesmykowi pomiędzy dwiema turniami po drugiej stronie wrzosowiska.

– Więc teraz stać mnie już na dokonanie drugiego w kolejności trudnego czynu. – Delikatnie przycisnęła końskie boki piętami i klasnęła językiem. – Wracamy do domu.

Angielko. Do Lallybroch.

Z początku byliśmy tak szczęśliwi, że mamy siebie i znajdujemy się z dala od zamku Leoch, że nie mówiliśmy wiele. Donas niósł nas bez trudu przez płaską przestrzeń wrzosowiska, a ja mocno trzymałam się Jamiego. Z zachwytem czułam, jak na grzane słońcem mięśnie poruszają się miarowo pod moim policzkiem. Jakiegokolwiek kłopoty by na nas czekały – a wiedziałam, że napotkamy ich mnóstwo – mieliśmy wspólnie stawić im czoło. Byliśmy razem. Na zawsze. I tylko to się liczyło.

Kiedy pierwsza fala szczęścia ustąpiła, znowu zaczęliśmy rozmawiać. Najpierw o okolicach, które mijaliśmy. Potem, ostrożnie, o mnie i miejscu, skąd pochodzę. Jamie był zafascynowany opisami nowoczesnego życia, choć widziałam, że słucha ich jak fantastycznych bajek. Szczególnie podobało mu się wszystko, co dotyczyło automobili, czołgów i aeroplanów. Kazał mi bez końca o nich opowiadać bardzo szczegółowo. Jakby za milczącą umową, oboje unikaliśmy wzmianek o Franku.

Potem nasza rozmowa zwróciła się ku terazniejszości – Columowi, zamkowi, polowaniu na jelenia i diukowi.

– Zdaje się miłym jegomościem – zauważył Jamie.

Ponieważ droga stała się bardziej wyboista, zsiadł i ruszył piechotą, co ułatwiło nam rozmowę.

– Też tak sędzę – odparłam. – Ale...

– Tak, w tych czasach nikomu nie można ufać – zgodził się. – Mimo wszystko dogadaliśmy się całkiem dobrze. Diuk jest o wiele bardziej rozumny, niż ktokolwiek by przypuszczał. Czasami nawet sam chce uchodzić za nieco głupiego.

– Mmm. Tego się właśnie obawiałam. Czy... powiedziałaś mu o sobie?

Wzruszył ramionami.

– Odrobinę. Znał moje nazwisko jeszcze z dawnych czasów w zamku.

Parsknęłam śmiechem na wspomnienie przygód Jamiego.

– Czy je wspominaliście?

Jamie wyszczerzył zęby; jesienny wiatr pochwycił jego włosy i zatrzepotał nimi gwałtownie.

– Troszeczkę. Spytał mnie raz, czy nadal cierpię na owe żołądkowe przypadłości.

Zachowałem kamienną twarz i odpowiedziałem, że generalnie nie, lecz właśnie chyba czuję nadchodzące skurcze. Roześmiał się i wyraził nadzieję, że dolegliwości nie przeszkadzają mojej pięknej żonie.

Ja też się roześmiałam. Na razie upodobania diuka

wydawały mi się rzeczą mniejszej wagi. Pewnego dnia mógł się nam przydać.

– Opowiedziałem mu co nieco – ciągnął Jamie. – Mówiłem, że jestem wyjęty spod prawa, lecz nie popełniłem zarzucanych mi czynów, choć niewielkie mam szansę, by tego dowieść. Słuchał ze współczuciem, ja natomiast wystrzegałem się udzielania szczegółowych informacji o całym zajściu... a już zwłaszcza nie wspominałem o tym, iż za moją głowę wyznaczono cenę. Jeszcze nie zdecydowałem, czy powinienem zaufać Sandringhamowi, gdy... ha, stary Alec wpadł do obozu, jakby go diabli gonili. Po niedługim czasie Murtagh i ja wypadliśmy z równie dużym impetem.

– A właśnie, gdzie jest Murtagh? – spytałam. – Przyjechał z tobą do Leoch?

Miałam nadzieję, że mały człowieczek nie padł ofiarą Columa lub mieszkańców wioski Cranesmuir.

– Ruszył ze mną, lecz jego wierzchowiec nie mógł dotrzymać kroku Donasowi. Tak, dzielny konik, Donas, mo buidheag. – Poklepał drżącą gniadą szyję.

Donas parsknęła i strzepnęła grzywą. Jamie spojrział na mnie i uśmiechnął się.

– Nie martw się o Murtagha. Ten mały psotnik potrafi o siebie zadbać.

– Psotnik? Murtagh? Coś podobnego. Nigdy nie widziałam, żeby się choćby uśmiechnął. A ty?

– Owszem, co najmniej dwa razy.

– Jak długo go znasz?

– Dwadzieścia trzy lata. Jest moim ojcem



chrzestnym.

– Ach... No, to wyjaśnia parę rzeczy. Nie mogłam uwierzyć, że zadaje sobie tyle trudu z mojego powodu.

Jamie poklepał mnie po nodze.

– Ależ właśnie z twojego. On cię bardzo lubi.

– Uwierzę ci na słowo.

Podsumowałam wydarzenia ostatnich dni, wzięłam głęboki oddech i spytałam o coś, czego bardzo chciałam się dowiedzieć.

– Jamie?

– Tak?

– Czy... czy oni naprawdę spalał Geilis Duncan?

Zerknął na mnie, zmarszczył lekko brwi i przytaknął.

– Tak sędzę. Lecz dopiero, gdy dziecko się urodzi. Tym się martwisz?

– Między innymi. Jamie, spójrz. – Usiłowałam podciągnąć obfity rękaw, ale wobec oporu materii zrezygnowałam i zsunęłam koszulę z ramienia, by pokazać moją bliznę po szczepieniu.

– Boże Wszechmogący – wyszeptał powoli, kiedy mu wszystko wyjaśniłam. Spojrzał na mnie ostro. – Więc to dlatego... Ona pochodzi z twoich czasów?

Wzruszyłam ramionami.

– Nie wiem. Mogę tylko powiedzieć, że musiała się urodzić po roku tysiąc dziewięćset dwudziestym. Wtedy wprowadzono obowiązkowe szczepienia. – Obejrzałam się przez ramię, ale niskie chmury zasłoniły już skały dzielące nas od zamku Leoch. – A teraz... już się tego nie dowiem.

Jamie wziął wodze i zaprowadził Donasa do małego sosnowego zagajnika na brzegu strumienia. Chwycił mnie w pól i pomógł mi zsiąść.

– Nie żałuj Geilis – powiedział poważnie. – To zła kobieta. Morderczyni, jeśli nie czarownica. Zabiła męża, prawda?

– Tak. – Wzdrygnęłam się na wspomnienie szklistych oczu Artura Duncana.

– Lecz nadal nie mogę zrozumieć, dlaczego to zrobiła – dodał Jamie, kręcąc głową. – Miał pieniądze, dobrą pozycję... I wątpię, by ją bił.

Rzuciłam mu spojrzenie pełne niedowierzania.

– To jest definicja dobrego męża?

– A jakże... odparł, marszcząc brwi. – Czego więcej mogłaby sobie życzyć?

– Mówisz poważnie? – Byłam tak zdumiona, że przez chwilę tylko patrzyłam na niego.

Potem usiadłam na trawie i wybuchnęłam śmiechem.

– Co cię tak bawi? Rozmawiamy o morderstwie. – Ale i on się uśmiechnął.

Objął mnie ramieniem.

– Jeśli dobry mąż – oznajmiłam, co chwila parszkając rozbawieniem – to taki, który ma pieniądze, pozycję i nie bije żony... to kim ty jesteś?

– O – mruknął Jamie i uśmiechnął się. – Ha, nigdy się nie chwaliłem, że jestem dobrym mężem. Ty też nie obsypywałaś mnie komplementami. Pamiętam, że nazwałaś mnie „sadystą” i obrzuciłaś jeszcze paroma obelgami,

których nie powtórzę, by nie uchybić przyzwoitości. Nigdy jednak nie mówiłaś, że jestem dobrym mężem.

– Ciesz się, bo przynajmniej nie otruję cię cyjankiem.

– Cyjankiem? – przyjrzał mi się z zaciekawieniem.

– A co to takiego?

– Trucizna, która zabiła Artura Duncana. Cholernie szybka i silna. W moich czasach jest bardzo popularna, ale nie w osiemnastym wieku.– Obliziałam wargi w zamyśleniu. – Poczułam ją na ustach i ta odrobina wystarczyła, by cała twarz mi zdrewniała. Jak widziałeś, działa niemal natychmiast. Powinnaś się domyślić już wtedy... kim jest Geilis.

Pewnie otrzymała cyjanek ze zmiażdżonych jąder pestek wiśni, choć musiała to być potworna robota.

– Czy powiedziała ci, dlaczego zabiła męża?

Westchnęłam i potarłam stopy. Zgubiłam buty podczas walki nad jeziorem i ciągle musiałam wyciągać z podeszew ciernie i rzepy.

– To i wiele więcej. Jeśli masz w jukach coś do jedzenia, przynieś, a ja ci wszystko opowiem.

Następnego dnia dotarliśmy do doliny Broch Tuarach. U stóp gór zauważyłam samotnego jeźdźca, zmierzającego w naszym kierunku. Była to pierwsza osoba, którą widziałam od czasu opuszczenia wioski Cranesmuir.

Jeździec, krępy i dostatnio ubrany, miał na sobie surdut z szarej serży; spod kołnierza wyglądał śnieżnobiały fontaż, a poły zakrywały zaledwie parę centymetrów spodni.

Spędziliśmy w drodze prawie tydzień. Sypialiśmy na dworze, myliśmy się w zimnej wodzie strumieni i żywiiliśmy królikami oraz rybami złapanymi przez Jamiego, a także jadalnymi roślinami i jagodami. Dieta była lepsza niż na zamku – pełna świeżych składników i z pewnością bardziej urozmaicona, lecz odrobinę improwizowana.

Ale choć nasze wyżywienie nie pozostawiało nic do życzenia, wygląd przedstawiał się zupełnie inaczej. Pospiesznie poprawiłam poszarpaną garderobę. Na widok mnie i Jamiego dżentelmen na koniu zawahał się i ruszył powoli w naszym kierunku.

Jamie, który zdecydował iść przez większość drogi, by oszczędzić konia, wyglądał bardzo podejrzanie: pończochy ubrudzone aż do kolan czerwonym kurzem, podarta koszula i tygodniowy zarost, jeżący się dziko na policzkach i szczęce. Przez ostatnie miesiące włosy urosły mu na tyle, że sięgały do ramion. Zwykle splecione w harcap lub związane wstążką, teraz spływały bujną falą, a pomiędzy miedzianymi lokami tkwiły małe gałązki i liście. Z twarzą opaloną na głęboki czerwony brąz, butami popękanymi od długiego marszu, sztyletem i mieczem zatkniętym za pas, przypominał prawdziwego szkockiego górala.

Ja prezentowałam się nie lepiej. Zasłonięta obfitymi fałdami najlepszej koszuli Jamiego i resztkami halki, bosa i otulona szalem, niewiele różniłam się od żebraczki.

Moje włosy, które od dawna nie widziały grzebień, w wilgotnym powietrzu zjeżyły się dziko. Od chwili, gdy przybyłam do zamku, znacznie urosły i teraz

kłębiły się w obfitych chmurach wokół twarzy i na ramionach. Za każdym powiewem wiatru wpadały mi do oczu – tak, jak w tej chwili.

Odgarnęłam niecierpliwie jeden natrętny kosmyk i spojrzałam na dżentelmena w szarym ubraniu, który zbliżał się do nas ostrożnie. Jamie na jego widok zatrzymał konia i zaczął czekać, aż jeździec znajdzie się na tyle blisko, żeby można było rozmawiać.

– To Jock Graham – powiedział do mnie. – Z Murch Nardagh.

Mężczyzna podjechał o parę metrów, zatrzymał konia i przyjrzał się nam uważnie.

Zmrużył małe, tonące w tłuszczu oczki, a potem nagle otworzył je szeroko.

– Lallybroch? – spytał z niedowierzaniem.

Jamie skinął łaskawie głową. Gestem pełnym nieskrępowanej dumy posiadacza położył rękę na moim udzie i powiedział:

– Moja żona, pani Lallybroch.

Jock Graham otworzył usta, po czym pospiesznie zamknął je z wyrazem zakłopotania.

– Ach...pani... Hm, zatem wracacie do domu? – spytał, usiłując oderwać zafascynowane spojrzenie od mojej nogi, widocznej w rozdarciu halki aż po kolano i pobrudzonej jagodowym sokiem.

– Tak – Jamie spojrzał mu przez ramię w stronę szczeliny w skale, będącej, jak mi powiedział, wejściem do Broch Tuarach. – Byłeś tam ostatnio?

Graham z wysiłkiem odwrócił oczy i przeniósł

spojrzenie na Jamiego.

– He? Ach, tak. Owszem. Wszyscy mają się dobrze. Ucieszą się na wasz widok.

Jedźcie z Bogiem. – Odwrócił się pospiesznie, spiął konia i popędził przez dolinę.

Odprowadziliśmy go wzrokiem. Nagle, jakieś sto metrów dalej, zatrzymał się, odwrócił, uniósł w strzemiączkach i otoczył usta dłonią. Jego krzyk, niesiony wiatrem, dotarł do nas słaby, lecz wyraźny.

– Witaj w domu!

I zniknął za wzniesieniem.

Nazwa Broch Tuarach oznacza „północną wieżę”. Ze zbocza góry wznoszącej się po nad dworem, wieża, której posiadłość zawdzięczała swoją nazwę, wyglądała jak jedna z wielu w okolicach stert kamieni.

Przecisnęliśmy się przez wąską, skalistą rozpadlinę między dwoma głazami. Potem droga stała się łatwiejsza: biegła łagodnymi spadkami między polami i z rzadka rozrzuconymi wioskami. Wreszcie znaleźliśmy się na wąskiej i krętej ścieżce, prowadzącej do dworu.

Dom okazał się większy, niż oczekiwałam: piękny, dwupiętrowy, zbudowany z białych chropowatych głazów, z oknami o framugach z szarego kamienia, wysokim dachem i wieloma kominami. Wokół stało kilka mniejszych bielonych budynków, zgromadzonych przy głównym zabudowaniu jak stadko kurcząt. Stara kamienna wieża, umiejscowiona na małym wzniesieniu na tyłach domu, wznosiła się na dwadzieścia metrów nad ziemią.

Była zwieńczona miedzianym stożkiem dachu,

przypominającym kapelusz czarownicy i zaopatrzonym w trzy rzędy otworów strzelniczych.

Kiedy zbliżyliśmy się bardziej, od strony zabudowań dał się słyszeć potworny hałas.

Donas spłoszył się i stanął dęba. Jako że Opatrzność poskapiła mi talentów jeździeckich, natychmiast spadłam z głuchym jękiem. Jamie, umiejący rozróżnić hierarchię spraw, rzucił się łapać wodze zaniepokojonego konia, zostawiając mnie sobie samej.

Kiedy zdołałam się pozbierać z ziemi, nagle okazało się, że jestem otoczona sforą psów. W moich przerażonych oczach było ich co najmniej dwanaście, wszystkie szczerzące kły i gotowe do ataku. Usłyszałam krzyk Jamiego.

– Brani Luke! Sheas! – Bestie zatrzymały się o parę kroków ode mnie, zupełnie zbite z tropu. Stały, powarkując od czasu do czasu. Jamie przemówił znowu; – Sheas, mo maise! Stójcie, wy małe dzikusy!

Usłuchały. Największy pies zaczął powoli machać ogonem – najpierw raz, potem drugi. Jakby pytająco.

– Claire... Chwyć wodze konia. On nie pozwoli im podejść, a zwierzęta chcą się ze mną przywitać. Idź powoli, nie zrobisz ci krzywdy – powiedział spokojnym tonem, by nie zdenerwować wierzchowca ani psów.

Nie podzielałam optymizmu Jamiego, ale ostrożnie ruszyłam. Donas podrzucił głową i zatoczył oczami, gdy się zbliżyłam. Tym razem jednak nie miałam ochoty znosić jego fochów, więc mocno szarpnęłam wodze i chwyciłam uździenicę.

Grube aksamitne wargi uniosły się, ukazując zęby, ale szarpnęłam mocniej.

Przysunęłam twarz do wielkiego, wściekłego złocistego oka i odpowiedziałam równie gniewnym spojrzeniem.

– Nawet nie próbuj – ostrzegłam czarnego diabła – bo skończysz jako karma dla psów, a ja nie ruszę palcem w twojej obronie!

Tymczasem Jamie powoli zbliżał się do psów, wyciągając w ich stronę jedną pięść.

Sfora, która wydała mi się tak wielka, w rzeczywistości liczyła tylko cztery sztuki.

Rozpoznałam małego brązowego teriera na szczury, dwa kudłate i łaciate owczarki oraz wielkiego czarnego potwora, który mógłby bez charakteryzacji zagrać psa Baskervillów.

Właśnie ta bestia wyciągnęła ku Jamiemu szyję grubszą niż moja talia i delikatnie wachała jego kłykcie. Ogon niczym lina okrętowa poruszył się zżywieniem. Potem pies uniósł ogromny łeb, szczeknął radośnie, rzucił się na swego pana i w efekcie rozciągnął go płasko na ziemi.

– „Dzień w którym, Odys wraca z wojny trojańskiej i zostaje rozpoznany przez wiernego psa” – wyrecytowałam Donasowi, który tylko parsknął, wyrażając w ten sposób opinię zarówno o Homerze, jak i pozbawionym wszelkiej godności wybuchu uczuć na środku drogi.

Jamie, zanosząc się śmiechem, czochrał sierść psów i ciągnął je za uszy, a one, wszystkie naraz, usiłowały go



polizać po twarzy. Wreszcie zdołał odgonić czworonożnych przyjaciół na tyle, by wstać. Z trudem utrzymywał równowagę wobec kolejnych eksplozji ekstatycznych powitań.

– No, przynajmniej ktoś się ucieszył na mój widok – zauważył z uśmiechem.

Pogładził łeb czarnego potwora. – To Luke. – Wskazał teriera. – To Elphin i Mars. Bracia i dobre owczarki. A to... – położył czule dłoń na gigantycznym łbie – jest Bran.

– Bardzo mi miło... – mruknęłam i ostrożnie wyciągnęłam pięść do obwąchania. – Co to za zwierzę?

– Pies na jelenie. – Jamie podrapał czarne monstrum za sterzczącymi uszami i zacytował:

*Oto jak Fingal swoje psy wybiera:*

*Oko niczym jagoda, ucho na podobieństwo liścia,*

*Pierś jako u konia, pędna sierpowi podobna,*

*A ogon daleko od głowy.*

– Jeśli takie są wymogi, to gratuluję okazu – przyznałam, oglądając Brana. – Gdyby jego ogon znajdował się jeszcze dalej od głowy, mógłbyś jeździć na tym stworzeniu.

– W dzieciństwie to właśnie robiłem... oczywiście nie dosiadałem Brana, lecz jego dziadka, Naima. – Poklepał psa po raz ostatni, wyprostował się i spojrzał w stronę domu.

Wziął zaniepokojonego Donasa za uzdę i poprowadził go w dół po skłonie. – Pora rozprawić się z Penelopą i jej zalotnikami.

Stanęliśmy przed podwójnymi drzwiami. Psy ziajały z wywieszonymi językami. Jamie zawahał się.

– Może zapukamy? – spytałam nerwowo.

Spojrzał na mnie ze zdziwieniem.

– To mój dom – powiedział i pchnął drzwi.

Weszliśmy do środka. Zignorowaliśmy służących, którzy przyglądali nam się ze zdumieniem, minęliśmy hol, niedużą komnatkę myśliwską i weszliśmy do salonu.

W pierwszej chwili ujrzałam tylko wielki kominek z wypolerowanym gzymsem oraz szklane i srebrne naczynia, połyskujące tu i tam. Wydawało mi się, że pokój jest pusty.

Potem kątem oka zarejestrowałam ruch w rogu obok kominka.

Była niższa, niż się spodziewałam. Wyobrażałam sobie, że siostra Jamiego powinna mierzyć co najmniej tyle ile ja lub nawet więcej. Kobieta przy kominku miała natomiast najwyżej metr pięćdziesiąt. Stała odwrócona do nas plecami, sięgając po coś na półkę szafki z porcelaną. Końce szarfy, którą przewiązała suknię, kładły się na podłodze.

Jamie znieruchomiał.

– Jenny – szepnął.

Kobieta odwróciła się gwałtownie; zdążyłam ujrzeć tylko czarne brwi jak skrzydła jaskółki i błękitne wielkie oczy w śnieżnobiałej twarzy, a potem Jenny rzuciła się ku bratu.

– Jamie! – Choć drobna, omal nie powaliła go na ziemię, z takim impetem wpadła mu w ramiona. Jamie objął ją odruchowo i przywarli do siebie. Ona ukryła twarz

w jego piersi, on czule gładził ją po karku. Widziałam na twarzy Jamiego wyraz niepewności i radości tak żarliwej, że poczułam się intruzem.

Potem Jenny przytuliła się do niego mocniej. Wyszepiała coś po celtycku, a rysy Jamiego zmieniły się raptownie. Chwycił siostrę za ramiona i odsunął od siebie. Spojrzał w dół.

Oboje byli do siebie bardzo podobni: te same, dziwnie skośne, błękitne oczy i szerokie kości policzkowe. Niemal identyczny cienki, ostry nos, odrobinę za długi. Ale Jenny miała włosy czarne jak skrzydła kruka. Kędzierzawe fale związane zieloną wstążką spływały z ramion kaskadami. Była piękna, o delikatnych rysach i alabastrowej skórze.

Była również najwyraźniej w zaawansowanej ciąży. Jamie pobladał jak prześcieradło.

– Jenny – szepnęła, kręcąc głową. – O, Jenny. Mo cridh.

Ale ona nie spojrzała na niego, ponieważ w drzwiach pojawiło się dziecko. Oderwała się od brata, wzięła chłopca za rękę i wprowadziła do pokoju, cicho szepcząc słowa zachęty. Mały opierał się trochę. Z kciukiem w buzi i niespokojnie zerkał na obcych zza matczynej spódnicy.

Jenny bez żadnych wątpliwości była jego matką. Chłopczyk, podobnie jak ona miał grube, kędzierzawe czarne włosy i proste ramiona, choć rysy twarzy odziedziczył po kimś innym.

– To mały Jamie – oznajmiła dumnie kobieta,

spoglądając na dziecko. – A to twój wujek Jamie, mo cridh.

– Dałaś mu moje imię? – Jamie miał taką minę, jakby ktoś uderzył go mocno w żołądek.

Zaczął się cofać, aż trafił na krzesło i osunął się na nie bezwładnie. Ukrył twarz w dłoniach.

Jego siostra zdążyła się już zorientować, że coś jest nie tak.

– Jamie? Co ci się stało, kochany? Jesteś chory?

Podniósł głowę. Miał oczy pełne łez.

– Musiałaś to zrobić? Sądzisz, że nie dość już cierpiałem za to, co się stało.... do czego dopuściłem... Dlaczego nazwałaś bękarta Randalla moim imieniem? Czy po to, by sprawić mi udękę do moich ostatnich dni?

Twarz Jenny, z natury blada, straciła ostatnie ślady koloru.

– Bękarta Randalla? – powtórzyła w oszołomieniu.

– Johna Randalla? Tego kapitana?

– Tak, tego kapitana. A kogo innego, na miłość? Pamiętasz go chyba? – Jamie doszedł już do siebie na tyle, by zdobyć się na sarkastyczny ton.

Jenny przyjrzała się bratu podejrzliwie.

– Rozum ci odjęło, chłopie? – spytała całkiem poważnie. – A może za dużo wypiełeś po drodze?

– Nie powinienem tu wracać – wymamrotał Jamie.

Wstał chwiejnie i chciał wyminąć siostrę. Ale ona nie odsunęła się z drogi. Chwyciła go za rękę.

– Popraw mnie, braciszku, jeśli się mylę – powiedziała powoli – lecz odniosłam wyraźne wrażenie, że twierdzisz, jakobym była nałożnicą kapitana Randalla.

Chcę się dowiedzieć, co cię opętało, że doszedłeś do takiego wniosku?

– Co mnie opętało? – Jamie odwrócił się do Jenny z gorzkim uśmiechem. – Wolałbym postradać zmysły albo nawet umrzeć, niż widzieć upadek swojej siostry. – Chwycił ją za ramiona i potrząsnął lekko. – Dlaczego, Jenny, dlaczego? Zhańbiłaś się dla mnie i to już wystarczy, żeby mnie zabić. Ale to... – Wydusił rozpaczliwym i oskarżycielskim tonem. Objął wydatny brzuch, rysujący się pod lekkim fartuszkiem.

Potem odwrócił się gwałtownie do drzwi, a jakaś starsza kobieta, która przysłuchiwała się wszystkiemu z dzieckiem ukrytym za jej spódnicą, cofnęła się przestraszona. – Nie powinienem przyjeżdżać. Odchodzę.

– Nic podobnego – warknęła Jenny. – Najpierw mnie wysłuchasz. Siadaj, a ja opowiem ci o kapitanie Randallu, skoro chcesz wiedzieć.

– Nie chcę! Nie mogę tego słuchać!

Jenny zbliżyła się do brata, który odwrócił się gwałtownie do wychodzącego na podwórze okna.

– Jamie... – zaczęła, ale on odpędził ją gniewnym gestem.

– Nie! Nie odzywaj się do mnie! Powiedziałem, że tego nie zniosę!

– O, doprawdy? – Jenny przyjrzała się Jamiemu.

Stał przy oknie na szeroko rozstawionych nogach, z rękami na parapecie. Zagryzła wargę; na jej twarzy pojawił się ironiczny uśmiech. Pochyliła się szybko jak błyskawica i w gnieniu oka włożyła dłoń pod kilt brata.

Jamie ryknął z wściekłością i wyprężył się jak struna. Usiłował się odwrócić, lecz zamarł, bo Jenny najwyraźniej ścisnęła mocniej.

– Tutaj mężczyźni mają czułe miejsce – powiedziała do mnie z krzywym uśmiechem.

– A zwierzęta robią się posłuszne, gdy się je tutaj uchwyci. Czasem nie można samcom trafić do przekonania, póki nie złapie się ich za jaja. No dobrze. Wysłuchasz mnie jak cywilizowany człowiek albo jeszcze trochę pociągnę. Hm?

Jamie stał jak skamieniały, czerwony na twarzy. Oddychał ciężko przez zaciśnięte zęby.

– Wysłucham – wycedził. – A potem skręcę ci kark! Puszczaj!

Ledwie usłuchała, a odwrócił się do niej jak burza.

– Co ty wyprawiasz! Chcesz mnie zawstydzić na oczach mojej żony?

Jego wściekłość nie zrobiła na Jenny żadnego wrażenia. Wzięła się pod boki i spojrzała na nas sardonicznie.

– Ha, skoro to twoja żona, spodziewam się, że ma większe doświadczenie z twoimi jajami niż ja. Nie widziałam ich, odkąd zacząłeś się myć bez niczyjej pomocy. Trochę urosły, co?

Wyraz twarzy Jamiego przyszedł kilka niepokojących transformacji – jakby wymogi cywilizowanego zachowania walczyły z prymitywnym impulsem, nakazującym młodszemu bratu walnąć siostrę w głowę. W rezultacie dobre obyczaje zwyciężyły, a Jamie

powiedział przez zęby z całą godnością, na jaką go było stać:

– Zostawmy moje przyrodzenie. Skoro najwyraźniej nie zaznasz spokoju, dopóki nie dowiem się wszystkiego, opowiedz mi o Randallu. Wyjaśnij, dlaczego nie posłuchałaś moich rozkazów i postanowiłaś okryć siebie oraz rodzinę hańbą.

Jenny wyprostowała się, gotowa do walki. Mimo iż nie wpadała we wściekłość tak szybko jak jej brat, bez wątpienia także miała charakterek z piekła rodem.

– Aha, czemu nie posłuchałam twoich rozkazów? To cię dręczy! Jesteś najmądrzejszy na świecie i musimy ci być posłuszni, bo inaczej marnie zginiemy, tak? – Parsknęła wściekle. – A gdybym zrobiła, jak powiedziałeś, ty poległbyś martwy na dziedzińcu, ojciec umarłby na szafocie lub w więzieniu za zamordowanie Randalla, nasze ziemie zaś przypadłyby Koronie! Nie wspominając już o tym, że ja, bez domu i rodziny, musiałabym żebrać pod kościołem!

Jamie był czerwony jak burak; śmiertelna bladość zniknęła bez śladu.

– Więc się sprzedawałaś! A ja wolałbym umrzeć i ujrzeć ojca oraz nasze ziemie w piekle.

Dobrze o tym wiedziałaś!

– A jakże! Zawsze byłeś mazgajem i ciągle nim jesteś! – wrzasnęła siostra.

– Śmiałe słowa! Nie wystarczyło ci, że zhańbiłaś nasze nazwisko. Musisz jeszcze rozgłaszać swój upadek po całej okolicy!

– Nawet jako brat nie masz prawa tak do mnie mówić! Jaki upadek? Ty idioto, chyba...

– Jaki upadek? Obnosisz się z tym wielkim brzuchem jak szalona ropucha! – Pogardliwie zakreślił dłonią łuk w powietrzu, pokazując jej kształty.

Jenny odstąpiła o krok, zamachnęła się i wymierzyła mu policzek ze wszystkich sił.

Cios był tak potężny, że głowa Jamiego odskoczyła do tyłu, a na jego skórze pojawił się biały zarys palców siostry. Powoli podniósł rękę do twarzy, znieruchomiał, z szeroko rozwartymi oczami. Jenny mierzyła go złowrogim spojrzeniem; jej pierś unosiła się i opadała w przyspieszonym tempie.

– Ropucha, tak? – wycedziła. – Ty śmierdzący tchórze, starczyło ci odwagi tylko na to, żeby mnie tu zostawić. Nie wiedziałam nawet, czy żyjesz, czy też gnijesz w więzieniu.

Nie dawałeś żadnego znaku życia! A potem nagle pojawiaasz się jak gdyby nigdy nic, z żoną – a jakże! – rozsiadasz się w salonie, wyzywasz mnie od ropuch i ladacznic i...

– Nie nazwałem cię ladacznicą, choć powinienem! Jak możesz...

Mimo różnicy wzrostu rodzeństwo stało niemal nos w nos, rzucając sobie syczące obelgi, by nie narobić zbyt dużego hałasu w całym dworze.

Ich wysiłki na nic się zdały. Rozmaite zaciekawione twarze wyglądały ukradkiem z kuchni, holu i zza okien. Powrót dziedzica Broch Tuarach bez wątplenia odbywał się



w bardzo interesujący sposób.

Doszłam do wniosku, że lepiej będzie zostawić ich samych, więc po cichu wymknęłam się na korytarz, nieśmiało skinęłam głową starszej kobiecie i wycofałam się na podwórze.

Znalazłam tam niewielką altankę z ławką, na której się wygodnie usadowiłam.

Rozejrzałam się wokół.

W polu mojego widzenia znajdował się także mały ogród, pełen późnych letnich róż.

Za nim znajdował się gołębnik, a przynajmniej tak mi się wydawało, ponieważ wokół trzepotało mnóstwo gołębi. Wiedziałam, że w pobliżu jest także stodoła i sasek. Te obiekty prawdopodobnie znajdowały się po drugiej stronie domu, wraz ze spichlerzem, kurnikiem, warzywnikiem i opuszczoną kaplicą. Ciągle jeszcze nie mogłam się zorientować, do czego służy niewielki kamienny budynek. Lekki jesienny wiatr wiał w moją stronę; wciągnęłam powietrze nosem i poczułam wyraźny zapach chmielu i drożdży. A zatem miałam przed sobą domowy browar. Droga koło bramy biegła w górę, ku niewysokiemu wzgórzu. Na jego szczycie pojawiła się grupka ludzi– czarne sylwetki na tle wieczornego nieba. Mężczyźni, rozpoznałam po strojach, zatrzymali się na chwilę, jakby się żegnali. Tak chyba było, gdyż tylko jedna postać ruszyła ku dworowi. Pozostałe zmierzały przez pola w kierunku widniejących w oddali chat.

Po chwili dostrzegłam, że nadchodzący człowiek mocno kuleje. Kiedy zbliżył się do bramy, ujrzałam

przyczynę; poniżej kolana prawej nogi miał drewnianą protezę.

Mimo kalectwa poruszał się dość zwinnie. Podeszedł do altanki; przekonałam się, że to zaledwie dwudziestoparoletni chłopak. Był wysoki, niemal tak jak Jamie, ale znacznie węższy w ramionach i szczupły do granic chudości.

Zatrzymał się przy altance, oparł ciężko na kracie i spojrzął na mnie z zainteresowaniem. Ciemne gęste włosy opadały mu gładkim skrzydłem na wysokie czoło, a głęboko osadzone piwne oczy zdradzały takie cechy charakteru młodzieńca, jak cierpliwość i poczucie humoru.

Głosy Jamiego i jego siostry dochodziły nawet na zewnątrz, choć nie wszystkie słowa brzmiały dostatecznie wyraźnie.

– Wścibska suka! – rozległ się krzyk Jamiego.

– Nie masz nawet tyle przyzwoitości... – Replika Jenny zginęła w nagłym poszumie wiatru.

Przybysz skinął głową w stronę domu.

– A, słyszę, że Jamie wrócił?

Przytaknęłam. Nie wiedziałam, czy powinnam się przedstawić. Młody mężczyzna uśmiechnął się i złożył mi ukłon.

– Jestem Ian Murray, mąż Jenny. A ty pewnie jesteś...

– Angielką, którą poślubił Jamie – dokończyłam. – Mam na imię Claire. Więc wiedzieliście o naszym ślubie? – spytałam, a on się roześmiał. Ciągle nie mogłam oprzytomnieć. – Mąż Jenny?

– Tak. Mówił nam Joe Orr, który dowiedział się od druciarza z Ardaigh. W tych okolicach plotki szybko się roznoszą. Pewnie już zdążyłaś się o tym przekonać. Jenny bez końca się zastanawiała, jaka jesteś.

– Ladacznicą! – zagrzemiał Jamie.

Mąż Jenny nawet nie mrugnął. Przyglądał mi się z życzliwą ciekawością.

– Ładna z ciebie dziewczyna – zaopiniował. – Kochasz Jamiego?

– Eee... tak. Tak – wydukałam, nieco zmieszana.

Powoli zaczynałam przywykać do bezpośredniości charakterystycznej dla Szkotów, lecz nadal od czasu do czasu dawałam się zaskoczyć.

Ian zacisnął usta i skinął głową, jakby odpowiedź go usatysfakcjonowała. Usiadł przy mnie.

– Niech pobędą jeszcze trochę sami – powiedział, machając dłonią w stronę domu, z którego dochodziły krzyki, tym razem w języku celtyckim. Wydawał się całkowicie beztroski. – Fraserowie nie słuchają nikogo, gdy już wpadną w gniew. Jak się wykrzyczą, czasami można im coś wbić do głowy, ale nigdy przedtem.

– Aha. Zauważyłam – mruknęłam.

Roześmiał się.

– Więc znasz go już na tyle, by to dostrzec? Słyszeliśmy, że Dougal zmusił Jamiego do ślubu. Jenny stwierdziła, że trzeba czegoś więcej niż rozkaz Dougala MacKenziego, by nakłonić Jamiego do czegoś, czego by nie chciał. Teraz oczywiście już rozumiem, dlaczego pragnął się ożenić. – Uniósł brwi, zachęcając mnie w ten

sposób do wyjaśnień.

Nie wywierał żadnego nacisku.

– Myślę, że miał swoje powody – rzuciłam, jednym uchem nasłuchując dobiegających z domu odgłosów walki.

– Nie chcę... To znaczy, mam nadzieję...

Ian zrozumiał mnie bez słów.

– Nie przejmuj się, na pewno niczemu nie jesteś winna. Jenny napadłaby na brata, nawet gdyby cię tu nie było. Gorąco kocha Jamiego. Bardzo się o niego martwiła, zwłaszcza gdy jej ojciec niespodziewanie pożegnał się z życiem. Wiesz o śmierci starego Frasera? – Brązowe oczy były bystre i czujne. Chłopak patrzył badawczo, jakby chciał zmierzyć stopień zaufania pomiędzy mną i Jamiem.

– Tak, Jamie mi mówił.

– A. – Skinął głową. – Oczywiście, ona jest w błogosławionym stanie.

– Zauważyłam.

– Trudno to przegapić, co? – rzucił i oboje parsknęliśmy śmiechem. – Zrobiła się drażliwa. Nie winie jej za niespodziewane wybuchy gniewu, lecz trzeba by człowieka znacznie ode mnie dzielniejszego, by wejść w drogę kobiecie w dziewiątym miesiącu. – Oparł się wygodnie i wyciągnął przed siebie drewnianą nogę. – Straciłem ją pod Daumier – wyjaśnił. – Kartacz. Trochę boli pod koniec dnia. – Potarł ciało tuż nad skórzanym mankietem, który łączył kikut z protezą.

– Czy próbowałaś wcierać w skórę balsam z Gilead? Pieprz wodny albo duszona ruta także mogą pomóc.

– Nie znam wodnego pieprzu – odparł, zainteresowany. – Spytam Jenny, czy wie, jak go przyrządzić.

– O, chętnie go dla ciebie przygotuję – powiedziała z sympatią. Znowu obejrzałam się w stronę domu. – Jeśli zostaniemy na tyle długo – dodałam z powątpiewaniem.

Przez chwilę gawędziliśmy, nasłuchując jednocześnie odgłosów dochodzących przez okno. Wreszcie Ian, ostrożnie postawił sztuczną nogę na ziemi i wstał.

– Zdaje się, że teraz powinniśmy wejść. Jeśli któreś przestanie krzyczeć i usłyszysz, co wygaduje drugie, poczuje się zranione.

– Mam nadzieję, że dojdzie tylko do zranienia uczuć.

Ian zachichotał.

– O, nie sędzę, by Jamie ją uderzył. Przywykł do wytrwałości w obliczu prowokacji.

Co do Jenny, może mu wymierzyć policzek, ale nic więcej.

– Już to zrobiła.

– Ha. Strzelby są pozamykane, a wszystkie noże zostały w kuchni, z wyjątkiem tego, który Jamie ma przy sobie. A z pewnością nie zbliży się na tyle, by Jenny wyjęła mu broń z za pasa. Nie, są bezpieczni. – Zatrzymał się przy drzwiach. – Ale my... – Mrugnął z powagą. – To zupełnie co innego.

Pokojówki rozpięchły się lekko na widok

wchodzącego Iana. Gospodyni nadal stała w drzwiach salonu. Z fascynacją chłoneła rozgrywającą się wewnątrz scenę, tuląc do obfitego biustu imiennika Jamiego. Była tak pochłonięta obserwacją, że kiedy Ian się odezwał, podskoczyła, jakby ją uszczypnął, i przyłożyła dłoń do piersi, Ian skinął grzecznie głową, wziął od niej synka i wszedł do salonu. Zatrzymaliśmy się tuż za progiem, by zbadać sytuację. Rodzeństwo zrobiło przerwę na nabranie oddechu. Oboje byli najeżeni i wściekli jak dwa walczące koty.

Mały Jamie, gdy tylko ujrzał matkę, zaczął wierzgać i wrywać się z objęć Iana, a kiedy stanął na własnych nogach, co sił pobiegł do Jenny.

– Mama! – krzyknął. – Na rączki! Jamie na rączki!

Jenny podniosła synka i wysunęła go przed siebie jak broń.

– Powiesz wujkowi, ile masz lat, kochanie? – spytała, z wysiłkiem nadając głosowi łagodne brzmienie, choć przez słodycz wyraźnie słyhać było zgrzyt stali. Chłopczyk wychwycił ostre tony; odwrócił się i schował twarz w szyję matki. Mechanicznie pogłaskała malucha po plecach i wbiła w brata straszliwe spojrzenie.

– Skoro on nie chce, ja to zrobię. W sierpniu skończył dwa latka. Gdybyś miał dość rozumu, by zrobić obliczenia, w co bardzo wątpię, przekonałbyś się, że został poczęty pół roku po dniu, w którym po raz ostatni widziałam Randalla nanaszym podwórzu, kiedy wybijał życie z mojego brata.

– Ach, tak? – rzucił wściekle Jamie. – Słyszałem co

innego. Wszyscy wiedzą, że przyjęłaś tego człowieka do łóżka. Nie raz, lecz wielokrotnie, jako kochanka. I to jest jego dziecko. – Skinął pogardliwie na małego, który odwrócił się i wyjrzał spod podbródka matki na wielkiego hałaśliwego intruza. – Wierzę ci, że ten nowy bękart nie jest Randalla. Aż do marca kapitan siedział we Francji. Więc nie tylko jesteś zepsuta, lecz w dodatku niewybredna. Kto ci zrobił tego drugiego bachora?

Młody wysoki mężczyzna u mojego boku odkaszlnął i rozładował napięcie.

– Ja – odezwał się łagodnie. – Tego także. – Podszedł sztywno na drewnianej protezie, odebrał chłopca od parszającej wściekłościążony. – Niektórzy mówią, że jest trochę do mnie podobny.

Rzeczywiście, widziane obok siebie twarze mężczyzny i dziecka wydawały się niemal identyczne. Jeśli nie brać pod uwagę ostrego nosa jednego i pyzatyńskich policzków drugiego. Te same wysokie czoła i wąskie usta, łudzaco podobne bujne brwi nad głęboko osadzonymi brązowymi oczami. Jamie powiódł osłupiałym spojrzeniem od Iana do siostrzeńca. Wyglądał, jakby ktoś go uderzył w brzuch. Zamknął usta i przełknął ślinę.

Najwyraźniej nie miał pojęcia, co powinien teraz zrobić.

– Ian – powiedział słabo. – Więc się ożeniłeś?

– Tak – przyświadczył radośnie szwagier.

– Aha – wymamrotał Jamie. Odchrząknął i skinął głową. – Bardzo... szlachetnie postąpiłeś, że ją wzięłeś. Bardzo szlachetnie.

Przysunęłam się do Jamiego i dotknęłam jego ramienia. Czułam, że nadchodzi pora na moralne wsparcie. Jenny przyjrzała mi się bacznie, ale nie odezwała się ani słowem.

Jamie spojrział na mnie z zaskoczeniem, jakby zapomniał, że istnieję. Nic dziwnego, pomyślałam. Przyjął jednak moje nadejście z ulgą. Wskazał na mnie ręką.

– Moja żona – rzucił gwałtownie. Skinął głową ku Jenny i Ianowi. – Moja siostra i jej... e...

– Ian i ja wymieniliśmy grzeczne uśmiechy.

Jenny nie dała się zbić z tropu konwenansami.

– Co to znaczy „szlachetnie”? – spytała, nie wdając się w dalsze uprzejmości.

Ian spojrział na nią pytająco. Machnęła pogardliwie w stronę Jamiego.

– On chce powiedzieć, że dobry z ciebie człowiek, bo wzięłeś mnie za żonę, choć byłam zhańbiona. – Parsknęła, niewyobrażalnie donośnie jak na tak małą osobę. – Łgarz!

– Zhańbiona? – powtórzył z widocznym zaskoczeniem Ian.

Jamie gwałtownie pochylił się ku siostrze i złapał ją za ramię.

– Nie powiedziałaś mu o Randallu? – spytał z niekłamaną zgrozą. – Jenny jak mogłaś?

Ian delikatnie, lecz stanowczo powstrzymał żonę od rzucenia się bratu do gardła.

Oddał Jenny synka. Musiała chwycić dziecko, by nie upadło, Ian objął Jamiego i taktownie odprowadził go



na bezpieczną odległość.

– Nie jest to temat salonowy – powiedział cicho i przepraszająco – lecz może zechcesz się dowiedzieć, że twoja siostra była dziewczicą w noc poślubną. Miałem w końcu możliwość, by to stwierdzić.

Gniew Jenny skierował się teraz sprawiedliwie na obu mężczyzn.

– Jak śmiesz mówić takie rzeczy w mojej obecności? – krzyknęła. – Lub poza moimi plecami! To nasza sprawa. A już z pewnością nie jego! Tylko patrzeć, jak będziesz mu pokazywał weselne prześcieradła!

– Ich widok niewątpliwie zamknęły mu usta – powiedział pojednawczo Ian. – No, mi dhu, nie powinnaś się denerwować, to źle dla dziecka. A krzyki niepokoją też małego Jamiego. – Wyciągnął ręce po chłopca, który popiskiwał cienko, niepewny, czy sytuacja wymaga łez.

Ian skinął mi głową i zatoczył oczami w kierunku Jamiego.

Zrozumiałam sygnał. Wzięłam Jamiego pod rękę i zaciągnęłam go na fotel w neutralnym kącie salonu, Ian usadowił Jenny na ławeczce pod oknem i mocno chwycił ją za ramiona, by się nie zerwała.

– Już dobrze. – Mimo łagodnego sposobu bycia, Ian Murray miał niezaprzeczalny autorytet. Trzymałam dłoń na barku Jamiego i czułam, jak z mojego narowistego męża uchodzi napięcie.

Przyszło mi do głowy, że salon wygląda jak ring bokserski: dwaj przeciwnicy w rogach, czekający pod opieką trenerów na sygnał rozpoczęcia nowej rundy.

Ian skinął głową do swojego szwagra.

– Jamie, chłopie, dobrze cię znów widzieć. Cieszymy się, że wróciłeś wreszcie do domu, i to razem z żoną. Prawda, midhu – rzucił do Jenny i wyraźnie wbił jej palce w ramię.

Ale Jenny nie była osobą, którą by można do czegoś zmusić. Zaciśnęła usta w cienką linię, a potem otworzyła je niechętnie tylko po to, żeby powiedzieć:

– Zależy.

Jamie potarł twarz dłonią i uniósł głowę, gotów do rozpoczęcia starcia na nowo.

– Widziałem, jak weszłaś do domu z Randallem – oznajmił uparcie. – A z jego późniejszych relacji wynikało... Skąd wiedział, że masz myszkę na piersi?

Jenny parsknęła pogardliwie.

– Pamiętasz wszystko, co zaszło tego dnia, czy szanowny kapitan wytlukł z ciebie pamięć?

– Oczywiście, że pamiętam! Nigdy nie zapomnę!

– Więc pewnie sobie przypominasz, że dałam kapitanowi potężnego kopniaka w słabiznę?

Jamie zgarbił się i spojrzał na siostrę nieufnie.

– Owszem.

Jenny uśmiechnęła się władczo.

– A zatem, jeśli obecna tu twoja żona... mógłbyś przynajmniej zdradzić mi jej imię, doprawdy, nie masz za grosz dobrych manier... w każdym razie, gdyby zechciała cię potraktować podobnie... a muszę przyznać, że na to zasłużyłeś... Czy mógłbyś parę minut później wykonać swój męzowski obowiązek?

Jamie, który już zaczął otwierać usta, zamknął je niespodziewanie. Przez długą chwilę patrzył Jenny prosto w oczy. Potem kącik jego ust lekko drgnął.

– Zależy. – Jego wargi znowu zadrgały.

Siedział zgarbiony w fotelu, lecz teraz się wyprostował i spojrzał na siostrę niedowierzającymi oczami młodszego brata, który uważa, że jest za duży, żeby słuchać bajek, ale wierzy w nie wbrew własnej woli.

– Naprawdę? – Jenny odwróciła się do Iana. – Idź po te prześcieradła – rozkazała.

Jamie uniósł obie ręce w geście poddania.

– Nie. Nie, wierzę ci. Tylko... on tak się zachowywał...

Jenny usiadła spokojnie, oparta o ramię Iana, z synem przytulonym tak blisko, jak tylko pozwalał na to jej brzuch.

– Ha, po tym, co powiedział na podwórzu, nie mógł się przyznać przed swymi ludźmi, że nie był do niczego zdolny, prawda? Musiał zachowywać pozory. Bardzo nieprzyjemny typ. Uderzył mnie i podarł mi suknię. Prawdę mówiąc, prawie straciłam przytomność, gdy próbował mnie pojąć, a kiedy oprzytomniałam i okryłam się przyzwoicie, on już zniknął i zabrał cię ze sobą.

Jamie westchnął przeciągle i zamknął oczy. Dotknęłam jednej z jego wielkich dłoni i uściśnęłam ją delikatnie. Jamie wziął mnie za rękę i otworzył oczy. Potem odwrócił się do siostry.

– Dobrze – powiedział. – Lecz chcę wiedzieć, Jenny, czy byłaś pewna, kiedy z nim poszłaś, że cię nie

skrzywdzi?

Jenny milczała przez chwilę, lecz nie odwróciła spojrzenia od twarzy brata. Pokręciła głową z lekkim uśmiechem. Gestem powstrzymała kolejny wybuch Jamiego. Jaskółcze brwi uniosły się we wdzięcznie pytającym wyrazie.

– Jeśli twoje życie jest dobrą zapłatą za moją cześć, dlaczego moja cześć nie może być odpowiednią zapłatą za twoje życie? – Brwi ściągnęły się chmurnie, identycznie jak brwi brata. – Czy też chcesz mi powiedzieć, że nie mogę cię kochać równie mocno, jak ty mnie? Jeśli tak, to wiedz, że nie masz racji!

Jamie, który już otwierał usta, żeby przerwać siostrze, znieruchomiał, ugodzony jej konkluzją. Jenny wykorzystała przewagę.

– Kocham cię, choć jesteś tępotnym, bezmózgim gamoniem. I nie pozwolę, abyś stracił życie na moich oczach tylko dlatego, że upór nie pozwala ci zamknąć buzi!

Błękitne oczy spojrzały groźnie w błękitne oczy, krzesząc iskry we wszystkie strony.

Jamie przełknął z trudem obelgi i zaczął szukać racjonalnej odpowiedzi. Wreszcie podjął decyzję.

– Więc dobrze, przepraszam – burknął. – Myliłem się i proszę cię o wybaczenie.

Rodzeństwo patrzyło na siebie przez długą chwilę, lecz Jamie nie doczekał się przebaczenia. Jenny siedziała, zagryzając wargę, ale nie odzywała się ani słowem.

W końcu Jamie stracił cierpliwość.

– Powiedziałem, że przepraszam! Czego jeszcze

chcesz? Mam paść na kolana? Zrobię to, skoro muszę!

Jenny pokręciła powoli głową, nadal wbijając zęby w wargę.

– Nie. Nie będziesz klęczał w swoim własnym domu. Ale wstań.

Jamie usłuchał, a ona posadziła dziecko na ławeczce i podeszła do brata.

– Zdejmij koszulę – rozkazała.

– Nie!

Wyszarpnęła mu połę koszuli z kiltu i sięgnęła ku guzikom.

Jamie pojął, iż musi jej usłuchać, inaczej sama go rozbierze. Cofnął się z godnością, odwrócił do niej tyłem i z zaciśniętymi zębami zaczął zdejmować koszulę.

Jenny spojrzała na jego plecy. Na twarzy miała tę samą obojętną minę, którą przybierał Jamie, gdy ukrywał jakieś silne uczucia. Skinęła głową, jakby potwierdzała swoje podejrzenia.

– Tak. Jeśli byłeś głupcem, zapłaciłeś za to drogo. – Delikatnie położyła rękę na najgorszych szramach. – Pewnie bolało.

– Tak.

– Płakałeś?

Jamie mimowolnie zacisnął pięści.

– Tak!

Jenny obeszła brata i stanęła do niego przodem. Uniosła brodę, a jej skośne oczy stały się wielkie i lśniące.

– Ja też – powiedziała cicho. – Każdego dnia, odkąd cię zabrali.

Obie twarze wyglądały jak odbicie w lustrze. Ujrzałam wyraz, jaki się na nich pojawił, i cicho wymknęłam się przez drzwi kuchenne, by nie przeszkadzać. Zanim drzwi się zamknęły, zobaczyłam jeszcze, że Jamie chwyta dłonie siostry i szepcze coś po celtycku.

Wtuliła się w jego objęcia, a płomienna i czarna głowa pochyliły się ku sobie.

Głodni jak wilki rzuciliśmy się na kolację a potem przespaliśmy całą noc kamiennym snem w wielkiej, przestronnej sypialni.

Kiedy się obudziliśmy, słońce prawdopodobnie stało już wysoko, lecz całe niebo było zakryte kożuchem gęstych chmur. Późną porę odgadłam z ożywionych odgłosów dobiegających z głębi domu: ludzie wesoło krzatali się przy swoich obowiązkach, a z dołu dolatywały kuszące aromaty.

Po śniadaniu mężczyźni postanowili wyruszyć z domu, by odwiedzić dzierżawców, sprawdzić stan płotów, naprawić wozy. W holu, gdzie się zatrzymali, by włożyć surduty, Ian zauważył wielki koszyk na stoliku pod lustrem.

– Czy mam narwać jabłek? Nie musiałybyś chodzić tak daleko.

– Wyborny pomysł – zgodził się Jamie, obrzucając wymownym spojrzeniem wydatny brzuch siostry. – Jeszcze by upadła.

– Zaraz ty upadniesz – warknęła Jenny i podała Ianowi płaszcz. – Przydaj się raz na coś i weź ze sobą tego małego szatana. Pani Crook jest w pralni, nie mogła go tam

zabrać.

– Lekko odsunęła od siebie synka, który trzymał ją mocno za spódnicę i monotonicznie powtarzał: „Na rączki, na rączki”.

Jamie posłusznie chwycił siostrzeńca i wyniósł z domu, wiszącego nogami do góry i piszczącego z zachwytu.

– Ach... – westchnęła z zadowoleniem Jenny. Przyjrzała się sobie w lustrze w złotych ramach. Zwilżyła palec i wygładziła brwi, a następnie dopięła guziki pod szyją. – Dobrze jest się ubrać, kiedy nikt nie ciągnie cię za spódnicę i nie łapie za kolana. Czasami nie mogę nawet sama pójść do prewetu lub wypowiedzieć choć jednego zdania, którego by mi nie przerwano.

Miała lekko zarumienione policzki, a ciemne włosy lśniły na tle błękitnego jedwabiu sukni, Ian uśmiechnął się do żony; w jego brązowych oczach malował się zachwyt na widok jej olśniewającej urody.

– Może pogawędzisz sobie z Claire – podsunął. – Spodziewam się, że nie będzie ci przerywać. Tylko, na miłość boską, nie czytaj jej swoich wierszy, bo ucieknę pierwszym powozem do Londynu, zanim zdążymy wrócić z sadu.

– Nie przejmuj się, kochany. Do kwietnia nie nadjedzie tu żaden powóz, a przez ten czas Claire zdoła do nas przywyknąć. No, idź już, Jamie czeka.

Cały dzień spędziłyśmy w salonie. Jenny cerowała, a ja zwijałam przędzę i porządkowałam kolorowe jedwabie.

Nasza rozmowa, pozornie przyjazna, pobrzmiwała

nieufnością. Żona Jamiego, siostra Jamiego. To on stanowił centralny punkt rozmowy, wokół którego krążyły nasze myśli.

Wspólne dzieciństwo złączyło ich w nierozzerwalny sposób, jakby stanowili osnowę i wątek tkaniny. Czas i różne okoliczności rozluźniły nieco te ściśle związki, Ian był obecny od początku, ja zjawiłam się niedawno. Czy zdołam się stać nowym wzorem w tej tkaninie?

Rozmawiałyśmy na ogólne tematy, ale każde zdanie miało drugie znaczenie, nie wypowiedziane, lecz wyraźne.

– Prowadziłaś dom od śmierci waszej matki?

– Tak. Od dziesiątego roku życia. To ja go wychowałam, ja go kochałam. Co zrobisz z mężczyzną, którego pomogłam stworzyć? Jamie mówi, że jesteś dobrym medykiem.

– Nastawiłam mu ramię pierwszego dnia, kiedy się poznaliśmy. Tak, potrafię leczyć i jestem dobra. Zajmę się Jamiem.

– Słyszałam, że szybko się pobraliście. Wyszłaś za mego brata dla jego majątku?

– Rzeczywiście, lecz dopiero przed ceremonią poznałam prawdziwe nazwisko Jamiego. Nie wiedziałam, że jest dziedzicem. Poślubiłam go dla niego samego.

I tak to wyglądało przez cały ranek i popołudnie. Rozmawiałyśmy o tym i o owym, wymieniałyśmy skrawki informacji, wyrażałyśmy opinie, pozwalałyśmy sobie na nieśmiałe żarty, usiłując się nawzajem poznać. Kobieta, która objęła zarządzanie wielkim domem jako dziesięcioletnia dziewczynka i zdołała utrzymać majątek



mimo śmierci ojca i zniknięcia Jamiego, była osobą godną szacunku. Zastanawiałam się, co też o mnie sądzi.

Jenny, podobnie jak jej brat, umiała zachować kamienną twarz.

Kiedy zegar na kominku wybił piątą, Jenny ziewnęła i przeciągnęła się. Ubranie, które cerowała, ześliznęło się po wydatnym brzuchu na ziemię.

Sięgnęła po nie niezręcznie, ale uprzedziłam ją, rzucając się na kolana.

– Nie, ja podniosę.

– Dziękuję... Claire. – Po raz pierwszy wymówiła moje imię.

Uśmiechnęła się nie śmiało. Odpowiedziałam tym samym.

Dalszą rozmowę przerwał nam powrót pani Crook. Gospodyni zajrzała do salonu i spytała z troską, czy widzieliśmy panicza Jamiego.

Jenny odłożyła robótkę z westchnieniem.

– Znowu uciekł? Nie martw się, Lizzie. Pewnie poszedł z ojcem lub wujem.

Poszukamy małego nicponia, dobrze, Claire? Chętnie łyknę trochę świeżego powietrza przed kolacją.

Podniosła się ociężale i przycisnęła dłoń do krzyża. Jęknęła i uśmiechnęła się do mnie krzywo.

– Jeszcze trzy tygodnie. Nie mogę się doczekać.

Ruszyliśmy w powolny obchód zabudowań. Jenny pokazała mi browar i kaplicę.

Opowiadała o historii posiadłości i dacie powstania poszczególnych budynków.

W pobliżu gołębnika usłyszałyśmy głosy. Dochodziły z altanki.

– Tam jest łobuziak! – zawołała Jenny. – Niech no ja go dostanę w swoje ręce!

– Chwileczkę. – Położyłam jej rękę na ramieniu.

Z gołębnika dobiegł jeszcze inny, niższy głos.

– Nie przejmuj się, chłopie – mówił Jamie. – Jeszcze się nauczysz. To trochę trudne, kiedy ptaszek nie sięga dalej niż pępek.

Wyjrzałam zza rogu i ujrzałam Jamiego na pniaku do rąbania drewna, pochłoniętego rozmową ze swoim imiennikiem, który dzielnie zmagał się z fałdami dziecięcego fartuszka.

– Co ty wyprawiasz? – spytałam zaintrygowana.

– Uczę młodego Jamesa szlachetnej sztuki siusiania na co innego niż własne nogi.

Jestem mu to winien jako wuj.

Uniosłam brew.

– Gadanie jest tanie. Wuj mógłby zdobyć się na jakąś praktyczną demonstrację.

Jamie wyszczerzył zęby.

– Tak, to już mamy za sobą. Ale ostatnim razem przydarzył nam się mały wypadek. – Wymienił z siostrzeńcem oskarżycielskie spojrzenia. – Nie patrz tak na mnie, to twoja wina. Mówiłem ci, żebyś się nie ruszał!

– Ehm – odkaslnęła Jenny i popatrzyła znacząco najpierw na brata, potem na syna.

Mniejszy Jamie zareagował naciągnięciem fartuszka na głowę, ale większy, niczym nie zrażony, wyszczerzył

radośnie zęby i wstał. Otrzeptał spodnie, położył dłoń na zakrytej główce siostrzeńca i odwrócił go w stronę domu.

– Wszystko ma swój czas – stwierdził filozoficznie.

– I wszystko ma swój cel.

Najpierw pracujemy, Jamie, potem się myjemy. A potem, dzięki Bogu, jest pora na kolację.

Następnego dnia, kiedy najważniejsze sprawy zostały załatwione, Jamie wziął mnie na obchód całej posiadłości. Dwór, zbudowany w tysiąc siedemset drugim roku, był istotnie nowoczesny jak na swoje czasy – z takimi innowacjami jak porcelanowe kuchnie i wielki ceglany piec wbudowany w ścianę, by nie trzeba już było wypiekać chleba w popiele na kominku. Na parterze, klatce schodowej i ścianach salonu wisiały obrazy.

Trafiały się wiejskie pejzaże lub studium zwierzęcia, lecz przeważnie malowidła przedstawiały bliską rodzinę i dalszych krewnych.

Zatrzymałam się przed portretem Jenny jako małej dziewczynki. Siedziała na murze w ogrodzie, czerwone winorośle wiły się u jej stóp, a obok niej przycupnął rządek ptaków: wróble, drozd, skowronek. Nawet bażant usiłował się umościć obok swej roześmianej pani. Obraz wydawał się zupełnie wyjątkowy pomiędzy innymi, na których sztywno upozowani przodkowie spoglądali takim wzrokiem, jakby dusiły ich kołnierze.

– Moja matka to namalowała – odezwał się Jamie. – Parę innych obrazów też jest jej pędzla. – Duży palec przesunął się delikatnie po płótnie, po krętej linii czerwonej winorośli. – To oswojone ptaki Jenny. Zawsze, gdy ktoś

znajdował ptaka z kulawą nóżką czy złamanym skrzydłem, przynosił go do mojej siostry, a ona leczyła biedne stworzonka i oswajała tak, że jadło jej z ręki. Ten zawsze przypominał mi Iana. – Palec stuknął w bażanta z rozłożonymi skrzydłami, wpatzonego w dziewczynkę ciemnymi oczami pełnymi uwielbienia.

– Jesteś straszny – powiedziałam ze śmiechem. – A ty masz swój portret?

– Tak. – Zaprowadził mnie ku przeciwległej ścianie w pobliżu okna.

Dwa rudowłose dzieciaki w tartanach spoglądały poważnie z ram. Obok nich znajdował się wielki pies na jelenie. To musiał być Naim, dziadek Brana. A chłopcy to Jamie i Willie, który w wieku jedenastu lat umarł na ospę. Jamie miał tu nie więcej niż dwa lata. Stał pomiędzy kolanami starszego brata, trzymając jedną rękę na psiej głowie.

Podczas powrotu z Leoch, pewnej nocy w samotnej dolinie Jamie opowiedział mi o Williem. Przypomniałam sobie małego węża z wiśniowego drewna, którego mi pokazał.

– Willie dał mi go na piąte urodziny – wyjaśnił i delikatnie pogładził palcem zawile zwoje. Był to mały śmieszny wężyk o ciele pełnym artystycznych zawijasów. Miał uniesioną głowę, jakby chciał się obejrzeć przez ramię, gdyby węże miały ramiona.

Jamie podał mi drewniany przedmiocik i obejrzałam tę maleńką rzeźbę z zaciekawieniem.

– Co tu jest napisane pod spodem? S-a-w-n-y.

Sawny?

– To ja – mruknął Jamie i pochylił głowę, jakby odrobinę zawstydzony.– Zdrobnienie od mojego drugiego imienia: Aleksander. Tak nazywał mnie Willie.

Twarze na obrazie wyglądały bardzo podobnie. Wszystkie dzieci Fraserów miały identyczne, wyzywające spojrzenie, które jakby prowokowało do starcia. Na portrecie policzki Jamiego były pyzate, a nos po dziecięcemu perkaty, podczas gdy silne kości brata zaczęły zapowiadać kształty dorosłego mężczyzny– obietnica, której los nie pozwolił dotrzymać.

– Kochałeś Williego? – spytałam cicho i położyłam mu rękę na ramieniu.

Jamie skinął głową. Jego spojrzenie uciekło ku płomieniom na kominku.

– Tak – powiedział ze słabym uśmiechem. – Był o pięć lat starszy ode mnie i uważałem go za Boga, a co najmniej za Chrystusa. Wszędzie za nim chodziłem... to znaczy wszędzie, gdzie mi pozwolił.

Odwrócił się i odszedł do półek z książkami. Zostałam przy oknie. Nie chciałam się narzucać. Przez deszcz widziałam niewyraźne zarysy wzgórza w oddali. Przypominało mi wzgórze elfów, gdzie weszłam przez kamień i wyszłam przez króliczą norę. Zaledwie pół roku temu... Wydawało mi się, że minęło znacznie więcej czasu.

Jamie stanął obok mnie. Ze wzrokiem wbitym w ścianę deszczu odezwał się:

– Była jeszcze jedna przyczyna. Najważniejsza.

– Jaka przyczyna? – mruknęłam.

– Dla której cię poślubiłem.

– A mianowicie?

Nie wiem, jakiej odpowiedzi oczekiwałam. Myślałam, że może nastąpi kolejna odsłona skomplikowanych stosunków rodzinnych. To, co powiedział, wstrząsnęło mną do głębi.

– Ponieważ cię pragnąłem. – Odwrócił się i spojrzał na mnie. – Bardziej niż czegokolwiek w całym życiu – dodał cicho. Gapiłam się na niego, oniemiała. Z całą pewnością nie spodziewałam się takiego wyznania. Widząc moje oszołomienie, Jamie ciągnął lekkim tonem. – Kiedy spytałem ojca, skąd wiadomo, która kobieta jest tą właściwą, odrzekł, że gdy nadejdzie czas, nie będę miał wątpliwości. I tak było. Gdy się obudziłem w ciemnościach pod drzewem na drodze do Leoch, a ty siedziałaś mi na piersiach i przeklinałaś za to, że się wykrwawiam, powiedziałem sobie: „Jamesie Fraserze, z tego, co widzisz i czujesz... bo dziewczę waży tyle, co pociągowy koń... to jest właśnie ta kobieta”

Ruszyłam ku niemu groźnie, a on zaczął się cofać, mówiąc z coraz większym pośpiechem: – Pomyślałem również: „Dwa razy w ciągu dwóch godzin opatrzyła ci rany, chłopcze. Życie w klanie MacKenziech nie jest łatwe, więc dobrze będzie mieć kobietę, która potrafi leczyć i nastawiać złamane kości”. I powiedziałem też sobie: „Jamie, chłopcze, jeśli tak ci dobrze, kiedy dotyka twojej piersi, pomyśl, co będzie, jeśli zejdzie nieco niżej...” Uskoczył za krzesło. – Oczywiście może wszystkiemu były winne te cztery miesiące w klasztorze, gdzie odwykłem od

kobiecego towarzystwa, lecz podczas wspólnej jazdy w ciemnościach... – westchnął smętnie i zgrabnie umknął przed moją ręką – ...ze ślicznym, szerokim zadkiem wciśniętym pomiędzy moje uda... – uchylił się przed ciosem w ucho i uciekł za stół – ...i twardą jak głaz głową, która objęła mi pierś... – mały metalowy ornament odbił się od jego ramienia i upadł ze szczękiem na podłogę – powiedziałem sobie... – W tym miejscu śmiał się już tak bardzo, że musiał co chwila łapać oddech. – Jamie... pomyślałem... choć ten babiszon jest Angielką... ma niewyparzony język... i taki zadek... cóż ci przeszkadza, że z twarzy przypomina owcę?

Podciąłem mu nogi i wylądowałam kolanami na jego brzuchu. Runął na ziemię z hukiem, który zatrzęsł całym domem.

– Chcesz powiedzieć, że poślubiłeś mnie z miłości? – spytałam.

Uniósł brwi. Dyszał rozpaczliwie łapiąc powietrze.

– Czy... właśnie... tego... nie powiedziałem?

Chwycił mnie jedną ręką za ramiona, drugą wsunął pod moją spódnicę i zaaplikował mi serię bezlitosnych uszczypnięć w intymną część ciała.

W tej właśnie chwili do salonu wkroczyła Jenny. Wróciła po koszyk z robótką.

Przyjrzała się bratu z pewnym rozbawieniem.

– Co ty wyprawiasz, Jamie, braciszku? – spytała, unosząc jedną brew.

– Kocham się z żoną – wydyszał, bez tchu po chichotaniu i walce.

– Ha, można by znaleźć na to wygodniejsze miejsce – stwierdziła Jenny, unosząc także drugą brew. – Drzazgi z podłogi powbijają się wam w zadki.

Lallybroch, choć spokojne, było także miejscem tętniącym życiem. Ludzie zrywali się na równe nogi z pierwszymi kurami, a tuż po świcie gospodarstwo zaczynało funkcjonować niczym skomplikowany mechanizm.

Wszyscy – mężczyźni, kobiety i dzieci – znali swoje miejsce i pracowali bardzo ciężko. Dziwiłam się, jak dawali sobie radę przez ostatnie lata, pozbawieni pana.

Zarówno Jamie, jak i ja natychmiast znaleźliśmy zajęcie. Po raz pierwszy zrozumiałam surowo przestrzegane szkockie zasady, zabraniające nieróbstwa. Lenistwo było nie tylko oznaką moralnego rozkładu, ale także afrontem wobec naturalnego biegu rzeczy.

Zdarzały się również krótkie chwile wytchnienia, zbyt szybko mijające, kiedy wszystko stoi w bezruchu, a życie balansuje w punkcie doskonałości. Tak jak podczas szarej godziny, gdy współlistnieje światło i mrok.

Drugiego lub trzeciego dnia po naszym przyjeździe usiadłam na ogrodzeniu za domem i rozkoszowałam się otaczającym mnie półmrokiem. Widziałam ciągnące się za wieżą zbrązowiałe pola i gęstą szczotkę drzew po drugiej stronie przełęczy, stopniowo czerniejącą pod perłowym niebem. Wydawało się, że obiekty bardzo dalekie i bliskie są w tej samej odległości.

W chłodnym powietrzu czuć było już nadchodzący mróz. Wiedziałam, że zaraz muszę wejść do domu, choć



niechętnie myślałam o opuszczeniu tego nieruchomego piękna. Nie usłyszałam kroków Jamiego. Zorientowałam się, że nadszedł, dopiero gdy na ramiona opadły mi ciężkie fałdy płaszcza. Kiedy ogarnęło mnie ciepło grubej wełny, zrozumiałam, jak bardzo byłam zmarznięta.

Jamie objął mnie, a ja przytuliłam się do niego i zadrżałam.

– Widziałem przez okno, że dygoczesz – odezwał się i ujął moje dłonie. – Uważaj, bo jeszcze się zaziębisz.

– A ty? – Przekrzywiłam głowę i spojrzałam na niego.

Mimo narastającego chłodu wyglądał, jakby zupełnie nie czuł zimna, choć stał tylko w koszuli i kilcie. Jedyne nos lekko mu poczerwieniał.

– Ach, ja przywykłem. Szkoci mają gorętszą krew niż wy, Anglicy. – Przechylił mi głowę i pocałował mnie w czoło. Wzięłam go oburącz za uszy i nakierowałam jego usta niżej.

Po jakimś czasie, gdy temperatura naszych ciał się wyrównała, a ciepła krew zaczęła mi szumieć w uszach, odchyliłam się i oparłam o ogrodzenie. Wiatr powiał z tyłu i po chwycił luźne kosmyki, które otoczyły mi twarz. Jamie wziął pasmo moich włosów i uniósł je tak, że przesiały się przez nie promienie zachodzącego słońca.

– Wyglądasz, jakbyś miała aureolę – powiedział cicho. – Anioł ukoronowany złotem.

– Ty też – wyszeptałam i przesunęłam palcem po jego brodzie, gdzie bursztynowe błyski złościły szczecinę zarostu. – Dlaczego nie powiedziałeś mi przedtem?

Wiedział, o czym mówię. Uniósł jedną brew i uśmiechnął się; połowa jego twarzy była oświetlona słońcem, połowa kryła się w cieniu.

– Przecież zostałam zmuszona do ślubu. Nie chciałem cię obciążać lub wyjść na głupca, skoro widziałem, że bierzesz mnie tylko po to, by uhonorować przysięgę, której wołałaś nie składać. – Wyszczrzył zęby, bardzo białe w cieniu. – Przynajmniej za pierwszym razem. Ja także mam dumę.

Przyciągnęłam Jamiego do siebie i przytuliłam mocno. Stał pomiędzy moimi udami.

Poczułam, iż jego skóra jest chłodna; objęłam go nogami i otuliłam płaszczem. Potężne ramiona wyciągnęły się ku mnie pod osłoną tkaniny, przycisnęły mi głowę do brudnego płótna koszuli.

– Moja ukochana – szepnął. – O, moja ukochana. Jak bardzo cię pragnę!

– Kochanie i pragnienie to nie to samo – rzuciłam. Roześmiał się ochryple.

– Dla mnie jest piekielnie bliskie. Angielko. – Czulałam moc jego gorącego, natarczywego pragnienia.

Nagle cofnął się gwałtownie i uniósł mnie z ogrodzenia.

– Dokąd idziesz? – Oddalaliśmy się od domu ku szopom stojącym wśród cienistych wiązków.

– Poszukać stogu siana.

Powoli odnalazłam swoje miejsce w życiu dworu. Jenny nie mogła się już wyprawiać w długą drogę do chat dzierżawców, więc ja chętnie przejęłam ten obowiązek.

Czasami towarzyszył mi chłopak stajenny. Jamie lub Ian. Brałam ze sobą jedzenie i lekarstwa, leczyłam chorych najlepiej, jak mogłam, i podsuwałam im innowacyjne pomysły na temat zdrowia oraz higieny, przyjmowane z mniejszą lub większą wdzięcznością.

W Lallybroch kręciłam się po domu i okolicach, w miarę możliwości usiłując pomagać, głównie przy pracach ogrodniczych. Oprócz ślicznego kwietnego ogrodu znajdował się tu mały ogródek z ziołami oraz ogromny warzywnik, zaopatrujący dwór w rzepę, kapustę, dynię.

Jamie dwoił się i troił; siedział w gabinecie nad księgami rachunkowymi, pracował na polu z dzierzawcami, w stajni z Ianem... jakby chciał nadrobić stracony czas. Działania Jamiego wynikały nie tylko z obowiązku lub zainteresowania. Wkrótce musieliśmy wyjechać. Jamie chciał skierować wszystkie sprawy na tory, którymi mogły się bezpiecznie toczyć do jego – naszego – powrotu.

Wiedziałam, że nasz wyjazd jest nieunikniony, ale w spokojnym otoczeniu dworu i ziem Lallybroch oraz w radosnym towarzystwie Jenny, Iana i małego Jamiego czułam się, jak bym wreszcie wróciła do domu.

Pewnego ranka po śniadaniu Jamie wstał od stołu i oznajmił, że zamierza pojechać do wioski, by obejrzeć konia, którego Martin Mack wystawił na sprzedaż.

Jenny powoli odwróciła się od kredensu, ściągnęła mocno brwi i uważnie popatrzyła na brata.

– Czy to bezpieczne? Przez ostatni miesiąc często widywaliśmy angielskie patrole.

Jamie wzruszył ramionami i wziął surdut z oparcia

krzesła.

– Będę uważać.

– A, Jamie – odezwał się Ian, wchodząc do pokoju z naręczem drew do kominka, – Chciałem spytać... czy zajechałbyś dziś do młyna? Wczoraj Jock powiedział, że coś się dzieje z kołem. Sprawdziłem tylko na zewnątrz. Zdaje się, że do mechanizmu dostały się wodorosty, lecz to głęboko pod wodą.

Lekko stuknął o podłogę drewnianą nogą i uśmiechnął się do mnie.

– Dzięki Bogu, nadal mogę chodzić i jeździć konno, lecz nie ma już mowy o pływaniu.

Robię jedynie mnóstwo plusku i kręcę się w kółko jak bąk.

Jamie odłożył surdut na miejsce.

– No, ale dzięki temu nie musisz wchodzić do lodowatej wody. – Odwrócił się do mnie. – Zechcesz mi towarzyszyć, Angielko? Ranek jest piękny. Możesz zabrać ze sobą koszyczek. – Zerknął ironicznie na ogromny wiklinowy kosz, który wykorzystywałam do zbierania owoców. – Zmienię ubranie. Zaraz wracam.

Wbiegł po schodach, przeskakując po trzy stopnie na raz.

Uśmiechnęłam się do Iana; odpowiedział tym samym. Jeśli żałował, że sam nie jest już zdolny do takich wyczynów, nie zdradził tego. Zauważyłam tylko radość na widok tryskającego energią Jamiego.

– Dobrze, że wrócił – powiedział.

– Szkoda tylko, że nie możemy zostać – dodałam z

żalem.

W łagodnych brązowych oczach pojawiło się zaniepokojenie.

– Ale chyba nie odjedziecie od razu?

Pokręciłam głową.

– Nie, nie od razu. Jednak musimy opuścić posiadłość przed pierwszymi śniegami. – Jamie zdecydował, że powinniśmy ruszyć do Beauly, siedziby klanu Fraserów. Być może jego dziadek, lord Lovat, zechciałby udzielić mu pomocy. Jeśli nie, przynajmniej umożliwiłby nam podróż do Francji.

Ian odetchnął z ulgą.

– Ach, dobrze. To jeszcze parę tygodni.

Był piękny pogodny jesienny dzień. Wiatr pachniał jabłecznikiem, a niebo przybrało barwę tak głębokiego błękitu, że można by w nim zatonać. Szliśmy powoli. Podziwiałam krzaki kwitnących dzikich róż, a jednocześnie prowadziłam niezobowiązującą pogawędkę.

– W następnym tygodniu jest Dzień Czyszowy – przypomniał Jamie. – Czy twoja nowa suknia będzie do tego czasu gotowa?

– Tak myślę. A co, czy to jakaś uroczystość?

Uśmiechnął się i przytrzymał mój koszyk, gdy pochyliłam się, by zerwać parę łądzynek wrotycza.

– Hm, można tak powiedzieć. Z pewnością nie dorównuje zgromadzeniu na zamku Columa, lecz ma podobny charakter. Wszyscy dzierżawcy Lallybroch pojawiają się, by zapłacić... i złożyć uszanowanie nowej pani Lallybroch.

– Pewnie się dziwią, że pojąłeś za żonę Angielkę.

– Zdaje się, że paru ojców się zawiodło. Zanim mnie aresztowano, odwiedzałem tu kilka panien.

– Żałujesz, że nie poślubiłeś jednej z okolicznych piękności? – spytałam kokieteryjnie.

– Sądzisz, że potwierdzę, kiedy trzymasz w dłoni nóż? Masz gorsze wyobrażenie o moim rozsądku, niż się spodziewałem – powiedział i chwycił mnie w pól.

Upuściłam nóż, którego używałam do wykopywania roślin, wzięłam się pod boki i stanęłam wyczekująco. Kiedy wreszcie rozluźnił uścisk, podniosłam swoje narzędzie pracy spytałam przekornie:

– Zawsze mnie dziwiło, jak to możliwe, że tak długo pozostałeś niedoświadczony.

Wszystkie dziewczęta z Lallybroch są aż tak brzydkie?

– Nie – odparł, spoglądając w poranne słońce. – Za to mogę podziękować memu ojcu. Czasami wybieraliśmy się na wieczorny obchód pól, tylko we dwóch, i gawędziliśmy sobie na różne tematy. A kiedy stałem się na tyle duży, by pojąć jakąś dziewczynę, powiedział mi, że mężczyzna musi brać odpowiedzialność za nasienie, które sieje, ponieważ ma obowiązek dbać o kobietę i jej bronić. A jeśli nie jestem do tego gotów, nie wolno mi obarczać partnerki tym, co może wyniknąć z moich czynów. – Zerknął przez ramię w stronę domu i małego rodzinnego cmentarza w pobliżu wieży, na którym spoczywali jego rodzice. – Powiedział też, że najwspanialszą rzeczą w życiu mężczyzny jest pojąć kobietę, którą kocha – dodał cicho.

Uśmiechnął się; jego oczy nabrały koloru nieba. – Miał rację.

Lekko dotknęłam twarzy Jamiego, musnęłam szeroki policzek i wydatną szczękę.

– Ale było ci trudno, jeśli chciałeś tak długo czekać z małżeństwem – zauważyłam.

Jamie wyszczerzył zęby; jego kilt łopotał na rześkim jesiennym wietrze.

– Kościół twierdzi, że nie wolno się dopuszczać grzechu z samym sobą, lecz ojciec twierdził, iż według niego, gdy trzeba wybrać między napastowaniem siebie a nękaniami jakiejś biednej kobiety, przyzwoitość nakazuje zdobyć się na poświęcenie.

Dość długo potrwało, zanim przestałam chichotać. Potem pokręciłam głową i wykrztusiłam:

– Nie, nie zapytam. Lecz zostałeś nie tknięty...?

– Wyłącznie dzięki łasce bożej i mojemu ojcu. Nie sądzę, bym jako czternastoletni odrostek myślał o czymś poza dziewczynami. Ale właśnie wtedy wysłano mnie do Dougala w Beannachd.

– A tam nie było dziewcząt? Myślałam, że Dougal ma córki.

– Tak, cztery. Dwie młodsze jeszcze się do niczego nie nadawały, lecz najstarsza, wówczas szesnastoletnia panna, była niezmiernie urodziwa. Nazywała się Molly. Moje zaloty jednak niezbyt jej pochlebiały. Gapiłem się na nią przy kolacji, a ona przesywała mnie spojrzeniem na wylot i pytała, czy mam katar, bo jeśli tak, powinienem iść do łóżka, a jeśli nie, będzie mi bardzo wdzięczna, jeśli

zamknę usta, bo wolałaby nie oglądać moich migdałków przy jedzeniu.

– Zaczynam rozumieć, jak zdołałeś zachować cnotę – mruknęłam i podkasalam spódnicę, by przejść przez płot.  
– Ale chyba wszystkie nie były takie niedostępne?

– Nie – wyznał Jamie, pomagając mi się przedostać na drugą stronę. – Młodsza siostra Molly, Tabitha, miała dla mnie znacznie więcej ciepłych uczuć. – Uśmiechną się z rozmarzeniem. – Tibby była pierwszą dziewczyną, którą pocałowałam. A raczej, która mnie pocałowała. Niosłem za nią dwa skopki mleka z obory do mleczarni i przez całą drogę zastanawiałem się usilnie, jak też zdołam ją zaciągnąć w kącie za drzwiami i pocałować. Miałem zajęte ręce, więc to ona otworzyła drzwi. I nagle okazało się, że stoję w kącie za drzwiami, a Tib, która mnie tam zagoniła, trzyma mnie za uszy i całuje. No i rozlałem to mleko.

– Niezapomniane pierwsze doświadczenie – powiedziałam ze śmiechem.

– Dla niej z pewnością nie pierwsze. Znała się na rzeczy o wiele lepiej niż ja. Ale nie dane nam było zdobyć większą wprawę; parę dni później jej matka przyłapała nas w spizarni. Nie zrobiła nic, rzuciła mi tylko paskudne spojrzenie i powiedziała Tibby, żeby nakryła do kolacji... lecz z pewnością doniosła o wszystkim Dougalowi.

– Wzdrygam się na samą myśl.

– Ja też – przyznał Jamie i naprawdę się zadrzał. Rzucił mi nieśmiałe spojrzenie z ukosa. – Wiesz, że młodzi mężczyźni czasami budzą się z... z... – Na policzki wystąpił mu rumieniec.



– Owszem, wiem – przyznałam. – Jak również mężczyźni w podeszłym wieku dwudziestu trzech lat. Myślisz, że nie zauważyłam? Zresztą dość często sam zwracałeś mi na to uwagę.

– Mmmm. Następnego ranka po tym, jak matka Tib nas przyłapała, obudziłem się o świcie. Myślałem o niej... o Tib, nie o jej matce... i nie zdziwiłem się, gdy poczułem rękę na swoim członku. Dziwne wydało mi się tylko to, że nie była to moja ręka.

– Ale chyba też nie Tibby?

– O, nie. Jej ojca.

– Dougala? Dlaczego?

– Otworzyłem oczy, a on się do mnie uśmiechnął, bardzo serdecznie. Potem usiadł na łóżku i odbyliśmy miłą pogawędkę, wuj i siostrzeniec, przyrodni ojciec i pasierb. Dougal powiedział, że mój pobyt tutaj sprawia mu wielką radość, ponieważ nie ma własnego syna. A także, że jego rodzina niezmiernie mnie lubi. I jak ogromnie byłby zawiedziony, gdyby się dowiedział, że mógłbym wykorzystać czyste, niewinne uczucia, jakimi darzą mnie jego córki, lecz oczywiście ufa mi jak własnemu synowi. I przez cały czas trzymał jedną rękę na sztylcie, a drugą na moim biednym małym przyrodzeniu. Więc mówiłem w kółko: „Tak, wuju. Nie, wuju”, a kiedy wyszedł, schowałem się pod kołdrę i myślałem tylko o świniach. Nie pocałowałem już żadnej dziewczyny, dopóki nie skończyłem szesnastu lat i wyjechałem do Leoch.

Spojrzał na mnie z uśmiechem. Związał włosy rzemykiem, lecz krótsze kosmyki jak zwykle sterczały mu

na czubku głowy, lśnić miedzią i złotem w rześkim, czystym powietrzu.

Podczas podróży z zamku opalił się na złocisty brąz i cały wyglądał jak jesienny liść.

– A ty, moja piękna Angielko? – spytał, szczerząc zęby. – Rozmawiałaś z chłopcami, czy pozostałaś nieśmiała i dziewicza?

– Nie aż tak długo, Jak ty – powiedziałam. – Pierwszy pocałunek wymieniłam w wieku ośmiu lat.

– Kim był ten szczęściarz?

– Synem egipskiego dragomana. Miał dziewięć lat.

– Ach, zatem nie można cię winić. Zostałaś uwiedziona przez starszego od siebie mężczyznę. I to poganina.

Poniżej ujrzelśmy młyn, śliczny jak z obrazka, o żółtych ścianach porośniętych purpurowym dzikim winem i otwartych okiennicach, z których odłaziła zielona farba.

Woda chlustała wesoło po stawidle pod nieruchomym kołem. Na tafli jeziora unosiło się parę kaczek, cyraneczek i gągół, które zatrzymały się tu na odpoczynek w drodze na południe.

– Patrz! – zawołałam, stając na szczycie wzgórza. Położyłam dłoń na ramieniu Jamiego. – Czy nie ślicznie?

– Byłoby jeszcze ładniej, gdyby koło się ruszało – mruknął. Potem zerknął na mnie z ciepłym uśmiechem. – Tak, Angielko, istotnie, to piękne miejsce. Kapałem się tu, gdy byłem chłopcem. Za zakrętem strumienia znajduje się szerokie rozlewisko.

Kiedy zeszliliśmy nieco w dół zbocza, zza zasłony

wierzb wyłoniło się miejsce, o którym opowiadał. Dostrzeżliśmy także czterech chłopców, gołych jak ich Pan Bóg stworzył, dokazywali i wrzeszczeli radośnie.

Wzdrygnęłam się. Pogoda była piękna – jak na jesień – ale powietrze niesło ze sobą chłód tak dokuczliwy, że z przyjemnością owinęłam się szalem.

– Na ich widok krew mi się ścina w żyłach – skomentowałam.

– Naprawdę? W takim razie muszę cię rozgrzać – stwierdził Jamie.

Zerknął na chłopców, cofnął się w cień wielkiego kasztanowca, objął mnie w pól i pociągnął za sobą.

– Nie jesteś pierwszą dziewczyną, którą całowałem – szepnął. – Lecz przysięgam, będziesz ostatnią.

I pochylił się nad moją twarzą.

Kiedy młynarz wyłonił się ze swojej kryjówki i zostaliśmy sobie przedstawieni, wycofałam się na brzeg jeziora. Jamie natomiast wysłuchiwał szczegółów problemu.

Potem młynarz znowu zniknął za progiem, by spróbować poruszyć kamień młyński od wewnątrz. Jamie stał przez jakiś czas i spoglądał w czarne, porośnięte wodorostami głębiny jeziora. Nareszcie wzruszył z rezygnacją ramionami i zaczął się rozbiierać.

– Nie ma rady – rzucił. – Ian się nie mylił, coś utknęło w kole pod stawidłem. Będę musiał zejść i...– Na mój cichy okrzyk odwrócił się i spojrzał na mnie, usadowioną na brzegu z koszykiem w objęciach. – Co znowu? Nigdy nie widziałas mężczyzny w pantalonach?

– Nie... w ta... takich! – zdołałam wykrztusić pomiędzy atakami chichotu.

Jamie, przewidując konieczność zanurkowania pod wodę, przezornie włożył pod kilt niebywale wielkie majtasy, niegdyś z czerwonej flaneli, obecnie upstrzone łątami w oszłamiających kolorach i wzorach. Najwyraźniej ten fragment garderoby należał pierwotnie do kogoś znacznie większym obwodzie w pasie; pantalony zwisały Jamiemu na kościach bioder opadały fałdami pod płaskim brzuchem.

– To twojego dziadka? – rzuciłam, czyniąc bardzo nieskuteczne próby pohamowania wesołości. – Czy babci?

– Ojca – odrzekł chłodno. – Chyba się nie spodziewałaś, że będę pływać golusienki jak noworodek w obecności żony i dzierzawców?

Zebrał w dłoń luźny materiał i z niezwykłą godnością wszedł do jeziora. Zbliżył się do koła, rozejrzał, nabrał w płuca powietrza i zniknął pod wodą. Jako ostatnie zanurzyły się wydęte niczym balon pstrokate flanelowe majtasy. Młynarz, wychylony z okna, wykrzykiwał słowa otuchy i wskazówki za każdym razem, gdy lśniąca gładka głowa wyłaniała się ponad powierzchnię wody.

Brzeg jeziora gęsto porastały wodne rośliny, więc ruszyłam, uzbrojona w nóż, po korzeń ślazu i małej, drobnolistnej wierzbówki; Miałam już pół koszyka zbiorów, kiedy za moimi plecami rozległo się grzeczne odchrząknięcie.

Kobieta, która za mną stała, była bardzo, bardzo stara – a przynajmniej tak wyglądała. Opierała się na

kosturze, okutana w mocno wysłużone ubranie, teraz zbyt obszerne dla jej kruchego, skurczonego ciała.

– Niech będzie pochwalony – powiedziała i kiwnęła głową.

Biały wykrochmalony czepeczek przykrywał jej włosy, lecz parę siwych pasemek wymknęło się spod niego i zawisło wokół policzków krągłych jak rajskie jabłuszka.

– Na wieki wieków – odparłam i zaczęłam się podnosić, lecz ona podeszła i z zadziwiającą gracją usiadła obok mnie. Miałam nadzieję, że zdoła także wstać.

Już otwierałam usta, by coś powiedzieć, kiedy przerwała mi bezceremonialnie.

– Jesteś nową dziedziczką, ma się rozumieć. Ja jestem pani MacNab, ale wszyscy wołają tu na mnie babcia MacNab, razem z synowymi, które też są paniami MacNab. – Chudą ręką chwyciła mój koszyk i przyciągnęła go do siebie. – Korzeń ślazu... a, to dobre na kaszel. Lecz tego nie będziesz chciała, dziewczyno. – Dotknęła malej burej bulwy. – Wygląda jak korzeń lilii, lecz nim nie jest.

– A co to?

– Nasieźrzała. Jak to zjesz, zaraz będziesz się tarzać po podłodze jak szalona. – Wyjęła i wyrzuciła bulwę do stawu.

Postawiła sobie kosz na podolku i przejrzała resztę ziół. Przyglądałam się jej z irytacją zmieszaną z rozbawieniem. W końcu, usatysfakcjonowana, odstawiła go na ziemię.

– No, nie jesteś taka głupia... jak na Angielkę – przyznała. – Przynajmniej odróżniasz bukwieć od lebiody.

– Rzuciła okiem ku wodzie, skąd na chwilę wyłoniła się głowa Jamiego, gładka jak łeb fokii. – Widzę, że dziedzic nie poślubił cię tylko dla urody.

– Dziękuję – wymamrotałam, uznając to za komplement.

Wzrok staruszki, ostry jak igły, wbił się w mój brzuch.

– Jeszcze nie przy nadziei? Liście malin są najlepsze. Naparz garść z owocami dzikiej róży i wypij przy przybierającym księżycu, od drugiej kwadry do pełni. Kiedy ubędzie go połowę, weź trochę berberysu do wypłukania łona.

– O... Ja...

– Mam prośbę do dziedzica – ciągnęła staruszka – lecz skoro jest zajęty, tobie o tym powiem.

– Dobrze – zgodziłam się niechętnie.

– Chodzi o mego wnuka – zaczęła, wbijając we mnie przeszywające spojrzenie małych szarych oczu, lśniących i twardych jak wypolerowany marmur. – To jest, o Rabbiego. Razem mam szesnaścioro wnucząt, a trzech noszą imię Robert, lecz na jednego wołają Bob, na drugiego Rob, a tego małego nazywają Rabbie.

– Gratulacje – powiedziałam grzecznie.

– Chcę, żeby wielmożny dziedzic wziął go na stajennego.

– Cóż, nie mogę obie...

– Rozumiesz, chodzi o ojca chłopaka – mówiła dalej staruszka konfidencyjnym tonem. – Nie twierdzę, by było coś złego w surowym wychowaniu. Dzieteczki

różeczką Duch Boży bić każe, zawsze to powtarzałam, a Bóg wie, że chłopców należy karać, bo w każdym siedzi rogata dusza. Lecz kiedy dochodzi do tego, że dziecko leży bez przytomności, a na buzi ma sińce wielkie jak moja dłoń, i to za to tylko, że wzięło jeden więcej placek z talerza...

– Ojciec bije Rabbiego? – przerwałam.

Staruszka skinęła głową, najwyraźniej zadowolona z mojej inteligencji.

– A jakże, czy nie to właśnie powiedziałam? – Uniosłarękę. – Zwykle do niczego się nie wtrącam. Ojciec wie, jak postępować z dzieckiem, lecz... ha, Rabbie jest moim ulubieńcem. Cóż on winien, że ojciec nędzny pijus, choć wstyd, by rodzona matka tak mówiła o swoim synu. – Uniosła kościsty palec. – Ojciec RONALDA, a mój mąż, też lubił sobie łyknąć od czasu do czasu. Lecz nigdy nie tknął palcem mnie lub dzieci. – dodała po namyśle. Niespodziewanie uśmiechnęła się promiennie; w ułamku chwili ujrzałam ładną i bardzo energiczną dziewczynę, którą niegdyś była. – Raz mnie uderzył – wyznała. – A ja zdziesiąłam go przez łeb patelnią prosto z ognia. – Zachichotała i zakołysała się w przód i tył. – Już myślałam, że umarł, i zaczęłam płakać, trzymając jego głowę na kolanach. Myślałam: co ja teraz pocnę, wdowa z dziećmiakami? Kto nas wykarmi? Ale jednak wyżył – dodała rzeczowo – i nigdy więcej nie podniósł ręki na mnie ani na dzieci.

Urodziłam trzynaścioro – oznajmiła z dumą. – I wychowałam dziesięścioro.

– Gratulacje – powiedziałam szczerze.

– Liście maliny – powtórzyła, klepiąc mnie poufale po kolanie. – Wiesz mi, dziewczyno, liście maliny, oto cała tajemnica. A jeśli się nie uda, przyjdź do mnie, a ja dam ci odrobinę rudbekii i pestek dyni, ukręconych z surowym jajkiem. To przyciągnie nasienie prosto do twego łona i do Wielkiejnocy będziesz już miała brzuch jak dynia.

Odkaszlnęłam, nieco zarumieniona.

– Mhm. Więc Jamie... eee, dziedzic ma wziąć pani wnuka na chłopca stajennego, by dzieciak zszedł ojcu z oczu?

– Tak, właśnie. Rabbie jest pracowity, wielmożny dziedzic nie będzie... – Staruszka zamarła w połowie zdania.

Odwróciłam się i także znieruchomiałam.

Dragon, sześcioosobowy konny oddział, powoli zbliżali się po skłonie wzgórza ku młynowi.

Pani MacNab, dając tym samym dowód godnej podziwu przytomności umysłu, uniosła się i usiadła na porzuconym ubraniu Jamiego. Obfite spódnice zakryły wszystko.

Od strony stawu dobiegł nas plusk, zwiastujący obecność Jamiego. Bałam się odwrócić lub zawołać, by nie zwracać na siebie uwagi dragonów, ale nagła cisza za moimi plecami świadczyła, iż i on ich zobaczył. Po chwili usłyszałyśmy jedno tylko słowo, wypowiedziane cicho, lecz z przejmującą szczerością.

– Merde!

Staruszka i ja siedziałyśmy bez ruchu, z



kamiennymi minami obserwując zbliżających się żołnierzy. W ostatniej chwili, gdy skręcili na ścieżkę prowadzącą do młyna, pani MacNab odwróciła się do mnie gwałtownie i położyła chudy palec na wyschniętych ustach. Dawała mi znak, że nie powinnam się odzywać i zdradzać, iż jestem Angielką. Nie miałam nawet czasu, żeby skinąć głową, bo zabłocone kopyta zatrzymały się o parę kroków od nas.

– Witajcie, panie – odezwał się dowódca grupy. Miał ranę kaprała, ale ku mojej wielkiej uldze, nie był to kapral Hawkins. Zerknęłam na resztę mężczyzn i przekonałam się, że żadnego z nich nie widziałam w forcie William. Nieco rozluźniłam palce, zaciśnięte kurczowo na rączce koszyka.

– Ujrzeliśmy po drodze młyn – ciągnął dragon. – Chcemy kupić worek mąki.

Zwracał się do nas obu, niepewny, od której oczekiwać odpowiedzi. Pani MacNab zareagowała z lodowatą uprzejmością.

– Witam – odparła i skinęła głową. – Niestety, obawiam się, że to niemożliwe.

Młyńskie koło się zepsuło. Może następnym razem, kiedy będziecie w okolicy...

– O? A co się stało? – Kapral, niski młodzieniec o świeżej cerze, wydawał się szczerze zainteresowany.

Podszedł do brzegu stawu i spojrzał na koło. Młynarz wyjrzał przez okno z kolejnym komunikatem o bieżącej sytuacji, ujrzał żołnierza i pospiesznie schował się w młynie.

Kapral wezwał jednego ze swoich podwładnych.

Wspiął się na wzgórze i skinął na dragona, który posłusznie ukląkł, by dowódca mógł stanąć mu na plecach. Wyciągnął wysoko ręce, chwycił się krawędzi dachu i wywindował się na strzechę. Nawet wtedy ledwie dosięgał brzegu wielkiego koła. Zakołysał nim obiema rękami. Potem schylił się i krzyknął do młynarza, by spróbował obrócić kamień młyński ręcznie.

Całym wysiłkiem woli powstrzymywałam się od zerkania na stawidło. Nie znałam się na mechanizmie koła młyńskiego, lecz bałam się, że jeśli niespodziewanie ruszy, wszystko, co znajduje się pod nim, zostanie zmiażdżone. Najwyraźniej moje obawy nie były całkiem bezpodstawne, bo pani MacNab przemówiła ostro do najbliższej stojącego żołnierza:

– Lepiej zawołaj swego dowódcę, chłopcze. Ta szarpanina nie wyjdzie na dobre ani jemu, ani młynowi. Nie powinien się zabierać za coś, na czym się nie zna.

– O, nie martw się, kobieto – rzucił niedbale żołnierz. – Ojciec kaprała Silvera ma młyn w Hampshire. Kaprał jak nikt potrafi obchodzić się z młynem.

Pani MacNab i ja wymieniliśmy zaniepokojone spojrzenia. Po chwili badań dowódca dragonów zeskoczył z dachu i ruszył w naszym kierunku. Pocił się obficie, a zanim się do nas zwrócił, wytarł zaczerwienioną twarz wielką brudną chustką.

– Z góry nie mogę go poruszyć, a ten idiota młynarz chyba nie mówi po angielsku. – Zerknął na kostur pani MacNab i jej drżące ręce, po czym przeniósł wzrok na mnie. – Może ta młoda pani zechciałaby z nim

porozmawiać?

Babcia MacNab objęła mnie opiekuńczo.

– Musicie wybaczyć mojej synowej, panie. Postradła zmysły, kiedy urodziła martwe dzieciątko. Od roku nie wypowiedziała ani słowa, biedactwo. I nie mogę jej zostawić samej ani na chwilę, bo z żalu rzuciłaby się do wody.

Spróbowałam wyglądać na słabą na umyśle, co w moim obecnym stanie wyszło bardzo przekonująco.

Kapral zrobił niepewną minę.

– O... – mruknął. – Cóż... – Podeszedł do brzegu stawu i spojrział w wodę, marszcząc brwi. Podobnie jak Jamie przed godziną, najwyraźniej zastanawiał się nad przyczyną usterki i dalszym planem działania.

– Nie ma rady, Collins – zwrócił się do starego żołnierza. – Będę musiał zanurkować i sprawdzić, co uwięzło w kole. – Zdjął szkarłatny mundur i zaczął rozpinać mankiety koszuli.

Spojrzałam na panią MacNab z przerażeniem. Choć pod młynem z pewnością wystarczało powietrza, by przeżyć, to niewątpliwie nie można się było tam ukryć.

Zaczęłam się zastanawiać bez większego przekonania, czy by nie udać ataku epilepsji, kiedy nagle ogromne koło skrzypnęło przeraźliwie. Z rozdzierającym hałasem trzeszczącego drewna wykonało pół obrotu, na chwilę się zatrzymało, po czym ruszyło już spokojnie, miarowo, bez przeszkód.

Kapral znieruchomiał i z podziwem przyjrzał się pracy potężnego koła.

– Spójrz, Collins! Co też tam uwięzło?

Jakby w odpowiedzi koło wyniosło ponad wodę jakiś ociekający wodą gałgan, zwisający z jednej czerparki. Czerparka zanurzyła się w strumień wody, wesoło tryskającej ze stawidła, a ...stare pantalony ojca Jamiego majestatycznie wypłynęły na spokojne wody stawu.

Starszy żołnierz wyłowił je patykiem i podsunął swemu dowódcy, który wziął je w dwa palce jak zdechłą rybę.

– Hm – odchrząknął, przyglądając się krytycznie przemoczonemu majtkom. – A skąd się to tutaj wzięło, na Boga? Dziwne, że coś takiego może narobić tyle kłopotów, co, Collins?

– Tak jest – odpowiedział z wielką uprzejmością żołnierz, choć nie wydawał się zainteresowany mechanizmem szkockiego młyna.

Kapral przyglądał się pantalonom jeszcze przez chwilę, wzruszył ramionami i otarł nimi brud z rąk.

– Przyzwoity kawał flaneli – oznajmił, wykręcając materiał. – Przynajmniej przyda się do polerowania upręży. Zamiast mąki otrzymaliśmy podarunek, prawda, Collins?

Dragon skłonił się pani MacNab i mnie, po czym wrócił do konia. Zaledwie oddział zniknął nam z oczu za grzbietem wzgórza, rozległ się chlupot od strony stawu. Jamie był biały jak marmur, z lekko sinym odcieniem, a szczekał zębami tak głośno, że z trudem rozróżniłam jego pierwsze słowa, i tak celtyckie. Natomiast pani MacNab pojęła bez trudu treść wypowiedzi i aż otworzyła usta.

Zaraz zresztą je zamknęła i złożyła głęboki ukłon wyłaniającemu się z fal dziedzicowi.

Na widok starszej kobiety Jamie zatrzymał się w miejscu, gdzie linia wody skromnie zakrywała mu biodra. Odetchnął głęboko, zacisnął zęby, żeby przestały dzwonić, i zdjął sobie z ramienia kilka zielonych strzępków rzęsy wodnej.

– Witam, pani MacNab – wyszczeakał, kłaniając się lekko.

– Witam – odpowiedziała i znowu skinęła głową. – Piękny dzień, prawda?

– Trochę ch-ch-chłodny – Jamie rzucił mi znaczące spojrzenie.

Wzruszyłam bezradnie ramionami.

– Cieszymy się, że wróciłeś do domu, panie, i mamy nadzieję, że rychło zawitasz na dobre.

– Ja także. – Jamie dał mi rozpaczliwy znak głową i łypnął ponuro, gdy tylko uśmiechnęłam się ironicznie.

Staruszka zignorowała tę akcję poboczną, złożyła na podolku powykręcane reumatyzmem dłonie i wyprostowała się z godnością.

– Chcę prosić waszą wielmożność o drobną łaskę – zaczęła. – A mianowicie...

– Babciu MacNab – przerwał Jamie i zrobił pół kroku w jej kierunku – czegokolwiek sobie życzysz, od razu się zgadzam, tylko oddaj mi koszulę, zanim członki odpadną mi z zimna.

Wieczorem po kolacji zwykle siadywaliśmy w salonie z Jenny i Ianem, aby pogawędzić o tym i owym lub

wysłuchać opowieści Jenny.

Ale dziś ja mówiłam, a dzięki relacji ze spotkania z panią MacNab i żołnierzami bez reszty podbiłam serca Jenny i Iana.

– Bóg wie, że chłopców należy karać, bo w każdym siedzi rogata dusza. – Naśladowałam głos babci MacNab z olbrzymim sukcesem.

Jenny otarła łzy śmiechu.

– Boże, to prawda. A nikt nie wie o tym lepiej niż ona. Ile ma synów, ośmiu?

Ian skinął głową.

– Co najmniej. Nawet nie pamiętam ich imion. Kiedy byliśmy młodszy, Jamie i ja, w okolicy zawsze kręciło się paru MacNabów, gotowych z nami polować, łowić ryby lub pływać.

– Razem dorastaliście? – spytałam.

Jamie i Ian wymienili szerokie porozumiewawcze uśmiechy.

– Tak, dobrze się znamy – powiedział ze śmiechem Jamie. – Ojciec Iana był rządcą, tak jak Ian teraz. Nie zliczę, ile to razy staliśmy ramię w ramię z obecnym tu panem Murrayem i tłumaczyliśmy jednemu lub drugiemu szacownemu rodzicowi, że jesteśmy nie winni, a kiedy to się nie udawało, wyjaśniliśmy, że okoliczności zmusiły nas do popełnienia jakiegoś występku.

– A kiedy i to się nie udawało – dodał Ian – nie zliczę, ile to razy czekałem, przewieszony przez płót, na swoją kolej, słuchając wycia obecnego tu pana Frasera.

– Nigdy! – wykrzyknął z urazą Jamie. – Nigdy nie

wyłem.

– Nazwij to, jak chcesz – odparł snajper – lecz byłeś okropnie hałaśliwy.

– Nawet ja słyszałam z daleka – wtrąciła Jenny. – I nie tylko wycie. Jamie kłócił się przez cały czas, aż do płotu.

– Pewnie, dobry byłby z ciebie prawnik – zwrócił się Ian do Jamiego. – Lecz nie rozumiem, dlaczego pozwalalam ci gadać – westchnął, kręcąc głową. – Zawsze tylko pogarszałeś tym sytuację.

Jamie znowu parsknął śmiechem.

– Mówisz o wieży? Istotnie.

Ian zwrócił się do mnie, wskazując starożytną wieżę na wzgórzu za domem.

– Wtedy Jamie wygłosił jedną z lepszych mów. Oznajmił Brianowi, że wymuszanie swojej woli za pomocą siły fizycznej to barbarzyństwo. Wymierzanie kary cielesnej jest dowodem braku dobrych obyczajów, oznajmił, a w dodatku wyrazem znacznego zacofania. Bicie kogoś tylko za popełnienie czynu, z którego zawi... zawiłościami, tak właśnie, z którego zawiłościami się nie zgadzamy, jest bezpłodną próbą utrzymywania dyscypliny...

Teraz śmialiśmy się już wszyscy.

– Czy Brian wysłuchał tego wszystkiego? – spytałam.

– Owszem. Ja stałem tylko przy Jamie, kiwając głową, gdy robił pauzę, aby zaczerpnąć powietrza. Kiedy wreszcie zabrakło mu pomysłu, jego ojciec dziwnie

zakaszłał i powiedział: „rozumiem”. Potem odwrócił się i przez jakiś czas wyglądał przez okno, kołyszając pasem i kiwając głową, jakby pograżył się w rozmyślaniach. A my staliśmy z duszą na ramieniu. Wreszcie odwrócił się i kazał nam iść ze sobą do stajni.

– Dał nam po szczotce, miotle i wiadrze, po czym wskazał wieżę – kontynuował opowiadanie Jamie. – Oznajmił, że go przekonałem, więc postanowił wymierzyć nam karę, z której będzie pożytek.

– Ta wieża ma dwadzieścia metrów wysokości – wyjaśnił Ian. – I dziewięć metrów obwodu. – Westchnął. – Zamietliśmy ją od dołu do góry i wyszorowaliśmy od góry do dołu. Zajęło nam to ponad pięć dni, a jeszcze teraz czuję smak stęchłej słomy, gdy odkaszlnę.

– A trzeciego dnia próbowałeś mnie zabić – wtrącił Jamie – za to, że nas wpakowałem w tę robotę. – Dotknął ostrożnie głowy. – Nadal mam szramę w miejscu, gdzie mnie zdzieliła miotła.

– Ach – rzucił niedbale Ian – to było wtedy, gdy mi po raz drugi złamałeś nos, więc byliśmy kwita.

– Murrayowie zawsze dopilnują, żeby rejestr się zgadzał – parsknął Jamie.

– Chwileczkę – odezwałam się i zaczęłam wyliczać na palcach. – Według tego, co mówicie, Fraserowie są uparci, Campbellowie podstępni, MacKenzie czarujący lecz przebiegli, a Grahamowie głupi. Jaka jest cecha charakterystyczna Murrayów?

– Można na nich polegać w walce – odezwali się jednocześnie Jamie i Ian, po czym wybuchnęli śmiechem.



– To prawda – przyznał Jamie, kiedy się uspokoił. – Trzeba mieć tylko nadzieję, że staną po twojej stronie.

Jenny pokręciła głową z dezaprobatą.

– A jeszcze nie wypili ani kropli wina. – Odłożyła robótkę i wstała. – Chodź, Claire, zobaczymy, czy pani Crook upiekła biszkopty do portwajnu.

Kiedy kwadrans później wracaliśmy z tacami pełnymi przekąsek, usłyszałam głos Iana:

– Więc nie masz do nas urazy?

– O co?

Jenny, idąca przede mną, zatrzymała się gwałtownie przed drzwiami salonu.

Z ławeczki, na której leżał Jamie, dobiegło nas parsknięcie.

– Skoro wam nie mówiłem, gdzie jestem, a wy nie mieliście pojęcia, kiedy i czy w ogóle wrócę, trudno was winić, że nie czekaliście.

Widziałam profil Iana, opartego o kosz z polanami. Na podłużnej dobrotliwej twarzy pojawił się wyraz pełen troski.

– No, sądziłem, że to nie w porządku, zwłaszcza że jestem kaleką...

Jamie znowu parsknął, tym razem głośniejsz.

– Jenny nie mogłaby znaleźć lepszego męża, nawet gdybyś stracił obie nogi i ręce na dodatek – rzucił szorstko. Białe policzki Iana lekko poróżowiały z zażenowania. Jamie odkaszlnął, usiadł prosto i podniósł smolną szczapę, która wypadła z koszyka. – Jak to się stało, że w ogóle się pobraliście, wobec tych Twoich skrupułów? – spytał z

półśmiechem.

– Dobry Boże, myślisz, że miałem coś do powiedzenia w tej kwestii? Sam przeciwko Fraserównie? – Pokręcił głową i wyszczerzył zęby. – Pewnego dnia przyszła do mnie na pole, gdzie próbowałem naprawić wóz. Wypełzłem spod niego, ubłocony jak nieboskie stworzenie, i zobaczyłem Jenny... wyglądała jak krzew pełen motyli. Zmierzyła mnie spojrzeniem od stóp do głów i rzekła... – Zamilkł i podrapał się po głowie. – Właściwie nie pamiętam dokładnie jej słów, lecz na koniec mnie pocałowała, nie zważając na błoto, po czym oznajmiła: „Doskonale, ślub będzie na świętego Marcina”. – Rozłożył ręce z komiczną rezygnacją. – Ciągle jeszcze wyjaśniałem, czemu nie mogę tego zrobić, gdy się znalazłem przed księdzem, który kazał mi powtarzać: „Biorę ciebie, Janet”, a potem złożyć mnóstwo przedziwnych przysiąg.

Jamie wybuch śmiechem.

– Tak, znam to uczucie. Aż ciarki przechodzą!

Ian uśmiechnął się, już bez cienia zażenowania na twarzy.

– Istotnie. Czasami nadal się nad tym wszystkim zastanawiam, gdy niespodziewanie widzę Jenny, jak stoi w słońcu lub trzyma małego Jamiego. Spoglądam na nią ukradkiem i myślę: „Człowieku, ona nie może należeć do ciebie, to niemożliwe”. – Pokręcił głową, aż brązowe włosy opadły mu na oczy. – A potem ona się odwraca i uśmiecha do mnie... – Podniósł spojrzenie na Jamiego. – Sam to znasz. Widzę, że podobnie jest między tobą i Claire. To ... wyjątkowa kobieta, prawda?

Jamie skinął głową. Uśmiech nie zniknął mu z twarzy, lecz odrobinę się zmienił.

– Rzeczywiście. Wyjątkowa.

Jamie i Ian snuli dalsze wspomnienia przy portwajnie i biszkoptach. Ojciec Iana, William, umarł zeszłej wiosny, zostawiając synowi prowadzenie spraw posiadłości.

– Pamiętasz, jak twój ojciec przyłapał nas raz na wiosnę i kazał pójść ze sobą do kowala, żebyśmy się nauczyli naprawiać dyszel u wozu?

– Tak, i nie mógł zrozumieć, czemu się wiercimy...

– ciągle pytał, czy chcesz iść za potrzebą...

Mężczyźni zaczęli się śmiać tak bardzo, że nie mogli skończyć.

Przeniosłam pytające spojrzenie na Jenny.

– Ropuchy – wyjaśniła zwięźle. – Obaj mieli za koszulą po pięć czy sześć ropuch.

– O Boże – wykrztusił Ian. – Myślałem, że skonam, gdy jedna wylazła ci na zewnątrz i skoczyła na kowadło!

– Czasami naprawdę nie rozumiem, dlaczego ojciec nie skreślił mi karku – wyznał Jamie. – Cud, że wyrosłem z takich wybryków.

Ian spojrział w zamyśleniu na swoje dziecko, bez reszty zajęte układaniem drewnianych klocków przy kominku.

– Nie wiem, czy zdołam uderzyć mojego syna, gdy przyjdzie na to pora. Bo... bo... on jest taki... ach, taki malutki. – Wskazał drobną postać z wątym karczkiem, pochylonym nad klockami.

Jamie zerknął na siostrzeńca.

– Będzie z niego taki sam mały diabeł, jak z ciebie czy ze mnie. Niech no tylko podrośnie. Ja przecież też kiedyś byłem mały i niewinny.

– To prawda – odezwała się niespodziewanie Jenny, wkładając mężowi do ręki cynowy kubek z jabłecznikiem. Poglaskała brata po głowie. – Byłeś słodkim chłopaczkiem. Pamiętam, jak stałam nad twoim łóżeczkiem. Miałeś, nie więcej niż dwa lata i spałeś z kciukiem w buzi. Wszyscy się zgodziliśmy, że jesteś najpiękniejszym dzieckiem na świecie. Ach, te policzki jak małe jabłuszka i cudne rude loczki. – Policzki słodkiego chłopaczka przybrały interesujący odcień różu. Jamie wypił jabłecznik jednym haustem. Starannie unikał mojego spojrzenia. – Nie potrwało to długo – dodała Jenny i błysnęła białymi zębami w nieco złośliwym uśmiechu. – Ile miałeś lat, gdy dostałeś pierwsze lanie? Siedem?

– Nie, osiem. – Jamie dorzucił nowe polano do przygasającego ognia na kominku. – Jezu, ale bolało. Dwanaście uderzeń w pupę, a ojciec nie popuścił aż do końca. Nigdy nie popuszczał. – Przysiadł w kucki i zaczął pocierać nos kostkami dłoni. Miał zaczerwienione policzki i błyszczące oczy. – Kiedy było po wszystkim, odszedł o parę kroków. Usiadł na kamieniu, by poczekać, aż się uspokoję. Gdy wreszcie przestałem wyć i tylko cicho chlipałem, zawołał mnie do siebie. Pamiętam, co mi wtedy powiedział. Może wykorzystasz te słowa przy rozmowie z synkiem, gdy nadejdzie pora. – Jamie zamknął oczy w skupieniu. – Postawił mnie pomiędzy swoimi kolanami,

zmusił, bym spojrział mu w twarz i rzekł: „No, pierwsze lanie masz już za sobą. Będę to musiał zrobić znowu, może jeszcze ze sto razy, zanim staniesz się mężczyzną”. Potem roześmiał się i dodał: „Mój ojciec też mnie tak traktował, a ty jesteś równie uparty i porywczy jak ja”. I powiedział jeszcze: „Czasami pewnie znajdę satysfakcję w biciu, które ci sprawię. To będzie zależeć od tego, co zrobisz, żeby na nie zasłużyć. Nieraz przyjdzie mi wymierzyć sprawiedliwość z ciężkim sercem, lecz i tak zostaniesz ukarany. Więc dobrze sobie zapamiętaj, chłopcze: jeśli twoja głowa wymyśli psotę, zadek za to zapłaci”. Potem mnie uściśnął i rzucił na odchodnym: „Jesteś dzielnym chłopcem. Idź teraz do domu, niech cię matka pocieszy.” Już otwierałem usta, żeby coś odpowiedzieć, lecz on mnie ubiegł i dodał: „Wiem że tego nie rozumiesz, ale ona – tak. Idź do niej”. Więc poszedłem, a matka dała mi chleba z powidłami.

Jenny parsknęła śmiechem.

– Właśnie sobie przypominałam! Tato nam opowiadał tę historię. Kiedy cię odesłał do domu, przeszedłeś połowę drogi, a potem nagle zatrzymałeś się i zaczekałeś na ojca.

Gdy cię dogonił, spytał: „Czy tym razem sprawiło ci to przyjemność?” A gdy zaprzeczył, skinąłeś głową i rzekłeś: „Dobrze, bo mnie także nie”.

Wszyscy śmialiśmy się przez dłuższą chwilę. Jenny spojrzała na brata i pokręciła głową.

– Ojciec uwielbiał wspominać tamto wydarzenie. Zawsze mówił, że kiedyś go doprowadzisz do grobu.

Rozbawienie zniknęło z twarzy Jamiego jak zdmuchnięte.

– Właśnie – powiedział cicho, wpatrzony w swoje dłonie, spoczywające na kolanach.

– I tak się stało.

Jenny i Ian wymienili przerażone spojrzenia. Ja, wzorem Jamiego, spuściłam wzrok na własne dłonie. Nie wiedziałam, co powiedzieć. W salonie zapanowała cisza, którą mąciło tylko trzaskanie ognia w kominku. Potem Jenny zerknęła ukradkiem na Iana, odstawiała szklanekę i dotknęła kolana brata.

– Jamie – odezwała się. – To nie twoja wina.

Podniósł na nią oczy i uśmiechnął się blade.

– Nie? A czyja?

Jenny wzięła głęboki oddech.

– Moja.

– Co?

Jenny pobladła, lecz nie straciła panowania nad sobą.

– To wszystko przeze mnie.

Jamie przykrył jej dłoń swoją i delikatnie ją pomasaował.

– Nie wygaduj głupstw, dziewczyno. Robiłaś, co mogłaś, by mnie ratować. Masz rację, gdybyś nie poszła z Randallem, pewnie by mnie zabił.

Jenny przyjrzała się mu uważnie, marszcząc z troską czoło.

– Nie, nie żałuję, że zabrałam kapitana do domu, nawet gdyby... nie. Ale nie o to mi chodziło. – Znowu

wzięła głęboki oddech. – Zaprowadziłam Randalla do mojego pokoju.

Nie... nie wiedziałam, czego się spodziewać... nigdy... nie byłam jeszcze z mężczyzną. On zachowywał się bardzo niespokojnie, był cały zarumieniony i jakby niepewny siebie.

Wydawało mi się to dziwne. Popchnął mnie na łóżko, stanął nade mną i zaczął pocierać rozporek. Z początku sądziłam, że naprawdę okaleczyłam drania, choć wiedziałam, że cios nie był aż tak silny. – Jej blade policzki stopniowo nabierały koloru. Zerknęła z ukosa na Iana i natychmiast spuściła głowę. – Teraz wiem, co zamierzał zrobić...

przysposobić się. Nie chciałam mu pokazać, że się boję, więc usiadłam na łóżku i wbiłam w niego spojrzenie. To go rozgniewało. Rozkazał mi się odwrócić. Lecz nie posłuchałam i tylko na niego patrzyłam. – Twarz Jenny powoli nabrała barwy róż. – Potem... rozpiął spodnie, a ja... cóż, ja się roześmiałam.

– Co? – spytał Jamie z niedowierzaniem.

– Parsknęłam śmiechem. – Uniosła głowę i spojrzała na brata wyzywająco. – Wiedziałam dobrze, jak wygląda mężczyzna. Często widywałam bez ubrania ciebie, a także Willy’ego i Iana. Ale on... – Mimo wyraźnych wysiłków zachowania powagi, jej usta zadrgały w uśmiešku. – On wyglądał tak śmiesznie, czerwony na twarzy, a choć tarł się z całych sił, mógł tylko do połowy...

Ian wydał z siebie jakiś zdławiony dźwięk. Jenny zagryzła wargę, lecz dzielnie ciągnęła dalej.

– Nie spodobało mu się, że się roześmiałam. Dostrzegłam jego niezadowolenie, więc roześmiałam się znowu. Wtedy rozerwał mi stanik. Uderzyłam go w twarz, a on zdzielił mnie tak, że ujrzałam wszystkie gwiazdy. Potem jakoś dziwnie stęknął, jakby zrobiło mu się przyjemnie, i zaczął na mnie wchodzić. Miałam dość rozumu, by się znowu roześmiać.

Podniosłam się na kolana i... i zaczęłam z niego szydzić. Powiedziałam, że nie jest prawdziwym mężczyzną i nie może posiadać kobiety. I... – Pochyliła głowę jeszcze niżej; ciemne loki opadły jej na płonące policzki. Zniżyła głos niemal do szeptu. – Rozchyliłam podarty stanik, i... pokazałam mu piersi. Cały czas się z niego natrzęsałam. Oznajmiłam, że wiem, iż się mnie boi, bo nie jest zdolny dotknąć kobiety, może ulżyć sobie tylko ze zwierzętami i chłopcami...

– Jenny – jęknął Jamie, bezradnie kręcąc głową.

– Tak, właśnie tak powiedziałam. Tylko to przyszło mi na myśl i widziałam, że go rozwścieczyłam, lecz pojęłam także, że... on naprawdę nie może. Spojrzałam prosto na jego spodnie i znowu się roześmiałam. Randall chwycił mnie za gardło, zaczął mnie dusić i uderzył moją głową o oparcie łóżka... kiedy się ocknęłam, już go nie było... ciebie także.

W ślicznych błękitnych oczach pojawiły się łzy. Jenny chwyciła dłonie Jamiego.

– Czy mi wybaczysz? Wiem, że gdybym go nie doprowadziła do szału, potraktowałby cię inaczej, a ojciec...



– O Jenny, moja najmilsza, mo cridh, nie płacz. – Jamie ukląkł obok siostry, przytulił jej twarz do swego ramienia.

Z kolei Ian siedział jak skamieniały. Jamie łagodnie kołysał łkającą Jenny.

– Cśś, moja gołąbko. Dobrze zrobiłaś. To nie twoja wina i może także nie moja. – Pogłaskał ją po plecach. – Posłuchaj, mo cridh. On przyjechał, by nas zniszczyć, takie otrzymał rozkazy. I nie zrobiłoby mu różnicy, kogo by tu znalazł lub jak byśmy postąpili.

Miał narobić kłopotów, zwrócić okolicę przeciwko Anglikom i uczynił to dla własnych celów... oraz celów człowieka, który go wynajął.

Jenny przestała płakać i spojrzała na niego ze zdumieniem.

– Żeby zwrócić nas przeciwko Anglikom? Dlaczego?

Jamie niecierpliwie machnął ręką.

– By odnaleźć ludzi, którzy mogliby wesprzeć księcia Karola, gdyby przyszło do nowego powstania. Lecz jeszcze nie wiem, po czyjej stronie stoi pan Randall. Czy chce znaleźć zwolenników księcia, by ich obserwować i może przejąć majątki, czy też sam pragnie się dołączyć do księcia i przygotować nas do walki, gdy nadejdzie pora. Teraz jednak to nie ma znaczenia. – Pogładził włosy siostry, odgarnął niesforne kosmyki z jej czoła. – Ważne jest tylko to, że wyszłaś z opresji bez szwanku, a ja wróciłem do Lallybroch. Wkrótce zadomowię się tu na dobre, mo cridh, obiecuję.

Uniosła jego dłoń do ust, po czym ją ucałowała, rozpromieniona. Wygrzebała z kieszeni chusteczkę i wydmuchwała nos. Potem spojrzała na Iana, nadal zlodowaciałego, z oczami pełnymi bólu i gniewu.

Dotknęła łagodnie jego ramienia.

– Myślisz, że powinnam ci wcześniej o tym powiedzieć.

Nie poruszył się.

– Tak – wyszeptał.

Odłożyła chusteczkę i wzięła męża za rękę.

– Trzymałam to w tajemnicy, bo nie chciałam stracić także ciebie. Nie miałam brata i ojca. Co bym poczęła, gdybyś ode mnie odszedł? Jesteś dla mnie droższy ponad ten dom i rodzinę, ukochany. – Rzuciła Jamiemu smutny uśmiech. – A to wiele znaczy.

Znowu zajrzała błagalnie w oczy Iana, w których miłość i zraniona duma walczyły o lepsze.

Jamie wstał i dotknął mojego ramienia. Cicho opuściliśmy pokój, zostawiając ich przy gasnącym ogniu.

Noc była pogodna, a światło księżycy lało się do naszej komnatki przez wysokie okna.

Nie mogłam zasnąć; sądzę, że Jamie także leżał bezsennie, co poznawałam po jego oddechu. Odwrócił się na plecy i zaśmiał cicho.

– Co cię tak śmieszy? – odezwałam się.

Spojrzał na mnie w ciemnościach.

– Obudziłem cię. Angielko? Przepraszam. Tak sobie wspominam.

– Nie spałam. – Przysunęłam się do niego bliżej.

Nasze łóżko z pewnością pochodziło z czasów, gdy całe rodziny sypiały na jednym materacu. Gigantyczny piernat pochłonał chyba pierze tysiąca gęsi, a poruszanie się wśród jego wzgórz i dołów przypominało przechodzenie przez Alpy bez kompasu.

– Co wspominaleś? – spytałam, gdy pomyślnie dotarłam do boku Jamiego.

– Przeważnie ojca. Jego słowa.

Jamie założył ręce za głowę i spoglądał w zamyśleniu na belki niskiego stropu.

– Dziwne, gdy żył, nie zwracałem na jego mądrości zbyt wiele uwagi. Teraz to, co mówił, ma na mnie dużo większy wpływ niż kiedyś. – Znowu parsknął krótkim śmiechem. – Wspominałem ostatnie lanie, jakie mi sprawił.

– A tak, to bardzo śmieszne – mruknęłam. – Czy ktoś ci już mówił, że masz dziwne poczucie humoru? – Zaczęłam się przekopywać przez kołdry, żeby wziąć go za rękę, w końcu jednak zrezygnowałam i odchyliłam nakrycia.

Jamie pogładził mnie po plecach; leżałam przytulona do niego, pomrukując z rozkoszy.

– Czy twój wuj cię nie bił, gdy zażyłaś?

Stłumiłam śmiech.

– Nie, na Boga! Byłby przerażony samą myślą o czymś takim. Wujek Lamb nie wierzył, że bicie dzieci jest dobrą metodą wychowawczą. Uważał, że trzeba je przekonywać, jak dorosłych.

Jamie wydał z siebie szkocki dźwięk, dając tym

samym wyraz nie najlepszej opinii, jakie miał na temat podobnych pomysłów.

– Nie dziwota, że masz taki paskudny charakter – oznajmił, klepiąc mnie po siedzeniu. – Niedostatki dyscypliny w młodości.

– Co ci się nie podoba w moim charakterze? – oburzyłam się.

W księżycowym blasku ujrzałam jego sardoniczny uśmiech.

– Chcesz usłyszeć całą litanię?

– Nie. – Dałam mu kuksańca w żebra. – Opowiedz mi o swoim ojcu. Ile miałeś lat, gdy dostałeś od niego po raz ostatni?

– Trzynaście, może czternaście. Byłem wysoki, chudy i przyszczaty. Nie pamiętam, czym zarobiłem na bicie; wtedy oberwałem raczej za słowa, nie za czyny. Pamiętam tylko, że aż pieniliśmy się z wściekłości na siebie. To był jeden z tych przypadków, gdy ojciec bił z przyjemnością. – Przyciągnął mnie do siebie, oparł o swoją pierś i objął ramieniem.

Pogładziłam jego płaski brzuch, musnęłam palcami pępek. – Przestań, to łaskocze.

Chcesz, żebym opowiadał, czy nie?

– Chcę, chcę. Co zrobimy, jeśli doczekamy się potomstwa? Będziemy bić nasze dzieci czy im tłumaczyć?

Serce zabiło mi szybciej na tę myśl, choć dotąd nie zauważyłam żadnego znaku, który wskazywał, że pytanie nie jest czysto akademickie. Jamie przygniółł moją dłoń, wędrującą mu po brzuchu.

– To proste. Ty im będziesz tłumaczyć, a kiedy się zmęczysz, ja wezmę diablątka na bok i sprawię im lanie.

– Myślałam, że lubisz dzieci.

– Lubię. Ojciec też mnie lubił... kiedy nie zachowywałem się jak idiota. I kochał mnie... tyle, by mi przetrzepać skórę, gdy na to zasługiwałem.

Odwrociłam się na brzuch.

– Dobrze, opowiadaj dalej.

Jamie usiadł, uklepał poduszki i znowu się wygodnie położył z rękoma założonymi za głowę.

– A więc... posłał mnie jak zwykle do płotu. Zawsze kazał mi iść pierwszemu, bym zerkając na niego, zaznał strachu i skruchy, ale tym razem był tak wściekły, że szedł tuż za mną. Potem powiedział, żebym pochylił się nad żerdzią. Zaciśnąłem zęby i postanowiłem, nawet nie pisnę. Obiecałem sobie, że nie pokażę, jak mnie to boli.

Wbiłem palce w drewno mocno, że drzazgi powchodziły mi w skórę, i czułem, że robię się purpurowy od wstrzymywania oddechu. – Zaczepnął głęboki haust powietrza, jakby zrobiło mu się duszno. Puścił je powoli. – Zwykle wiedziałem, kiedy nadchodził koniec, lecz tym razem ojciec przestawał. Mogłem tylko bardziej zaciśnąć zęby. Za każdym uderzeniem stękałem. Łzy zaczęły mi cieknąć po policzkach, lecz nie mogłem nic na to poradzić. Ale milczałem. – to nagie ciało niemal lśniło w księżycowych promieniach, oszronione maleńkimi srebrnymi włoskami. Poniżej mostka, tuż pod moją dłoń, czułam równomierne bicie serca Jamiego. – Nie wiem, jak długo to trwało – mówił dalej.

– Pewnie krótko, choć odniosłem wrażenie, że minęły wieki. Wreszcie ojciec przestał na chwilę i wrzasnął na mnie. Wychodził z siebie ze złości. Byłem jednak, tak rozwścieczony, że z początku nie zrozumiałem, co powiedział. A ojciec ryknął: „Niech to, Jamie!

Dlaczego nie krzyczysz? Jesteś już dorosły i nie chcę cię więcej bić, ale zanim skończę, życzę sobie usłyszeć jeden dobry wrzask, żebym wiedział, że wreszcie zrobiłem na tobie jakieś wrażenie!” – Jamie roześmiał się, mącąc rytm pod moją ręką. – Gniew tak we mnie kipiał, że się obróciłem i wrzasnąłem: „Czemu mi tego od razu nie powiedziałeś, ty stary idioto! AAAA!” Zaraz potem leżałem jak długi na ziemi, z obolałą szczęką i dzwonieniem w uszach. Ojciec stał nade mną, dysząc, a włosy i broda jeżyły mu się jak szczecina. Wyciągnął rękę i pomógł mi wstać. Pomasował miejsce, gdzie mnie zdzielił, i powiedział: „To za to, że nazwałeś ojca idiotą. Może masz rację, ale okazałeś mi brak szacunku. Chodź, umyjemy się przed kolacją.” I nigdy więcej mnie nie uderzył. Owszem, ciągle krzyczał, ale ja też wrzeszczałem na niego i przeważnie traktował mnie jak mężczyznę.

Roześmiał się beztrąsko. Uśmiechnęłam się, wtulona w ciepło jego ramienia.

– Chciałabym poznać twojego ojca – powiedziałam.  
– A może lepiej nie – dodałam zaraz. – Pewnie by się nie ucieszył, że wzięłaś za żonę Angielkę.

Jamie przytulił mnie i naciągnął kołdry na moje nagie ramiona.

– Pomyślałby, że wreszcie zmadrzałem. – Poglądził

mnie po włosach. – Uszanowałby mój wybór, cokolwiek bym postanowił, ale ciebie... – Poczułam delikatny pocałunek na czole. – Ciebie bardzo by polubił, moja Angielko.

Zrozumiałam, że przesłam jakiś bardzo ważny egzamin.

Jeśli wyznanie Jenny zepsuło coś w jej kontaktach z mężem, na drugi dzień wszystko wydawało się naprawione. Następnego wieczora tuż po kolacji usiedliśmy w salonie. Ian i Jamie zajmowali się sprawami finansowymi dworu, zaopatrzeni w karafkę wina z czarnego bzu. Jenny wreszcie spoczęła wygodnie i oparła spuchnięte nogi na podnóżku.

Ja usiłowałam zanotować przepisy, które mi podarowała.

*„Na czyraki” zatyłowałam jeden arkusz.*

*Wziąć trzy żelazne gwoździe i moczyć je przez tydzień w kwaśnym piwie.*

*Dodać garść cedrowych strużyn, zaczekać, aż płyn się ustoi.*

*Gdy strużyny opadną na dno, mikstura jest gotowa.*

*Nakładać trzy razy dziennie, zaczynając pierwszego dnia kwadry księżyca.*

Następny arkusz nosił tytuł „*Woskowe świece*”.

*Odsączyć miód z plastra.*

*Wybrać martwe pszczoły, na ile to możliwe.*

*Rozpuścić plaster w wielkim kotle z małą ilością wody.*

*Zebrać z powierzchni pszczoły, skrzydelka i inne nieczystości.*

*Odlać wodę, nalać świeżej.*

*Mieszać przez pół godziny i zostawić, by się ustala.*

*Tę wodę trzymać do słodzenia.*

*Oczyścić plaster wodą jeszcze dwa razy.*

Ręka powoli zaczęła mi się męczyć, a jeszcze nie dotarłam do sporządzania foremek, kręcenia knotów i wieszania świec do wysuszenia.

– Jenny! – zawołałam. – Jak długo robi się świece?

Jenny odłożyła małą koszulkę na podolek i zastanowiła się głęboko.

– Pół dnia na zebranie plastrów, dwa na odsączenie miodu... jeden na oczyszczenie wosku. Chyba że jest go bardzo dużo lub dużo na nim różnych zanieczyszczeń, wtedy dwa. Pół dnia na kręcenie knotów, jeden lub dwa na zrobienie forem, pół dnia na rozpuszczanie .

Słabe światło i ociekające atramentem pióro stanowiły dla mnie zbyt wielką przeszkodę po dniu ciężkiej pracy. Usiadłam przy Jenny i z podziwem przyjrzałam się maleńkiemu ubranku, które zszywała niemal niewidzialnymi szwami.

Wydatny brzuch nagle się poruszył, jakby zamieszkujący go lokator raptownie zmienił pozycję. Spojrzałam zafascynowana. Jeszcze nigdy nie przebywałam tak długo z ciężarną kobietą i nie zdawałam sobie sprawy, jak wiele dzieje się w jej brzuchu.

– Chciałabyś dotknąć? – spytała Jenny, widząc moje spojrzenie.

– Ee... – Zanim zdążyłam się zdecydować, ujęła moją dłoń i położyła ją mocno na właściwym miejscu.



– Tutaj. Zaczekaj tylko chwilę, zaraz znowu kopnie. Nie lubi, jak się tak opieram, robi się niespokojny.

Rzeczywiście, nie minęła nawet chwila, a zaskakująco mocny kopniak uniósł moją dłoń na kilka centymetrów.

– Jejku! Jaki silny! – zawołałam.

– Tak. – Jenny poklepała się z dumą po brzuchu. – Będzie z niego piękny chłopak, jak jego brat i tatuś. – Uśmiechnęła się do Iana, który na chwilę oderwał się od spisu źrebiąt i spojrzał przelotnie na żonę.

– A może będzie z niego taki sam rudy nicpoń, jak jego wuj – dodała nieco głośniej, trącając mnie łokciem.

– He? – Jamie podniósł głowę znad ksiąg. – Mówiłaś do mnie?

– Ciekawe, co usłyszał, „nicponia” czy „rudego” – szepnęła, dając mi kolejnego kuksańca. A do Jamiego odezwała się słodko: – Nie, mo cridh. Zastanawialiśmy się tylko, czy maleństwo będzie miało nieszczęście przypominać swego wuja.

Wuj wyszczerzył zęby i usiadł na podnóżku; Jenny uniosła stopy, a potem położyła bratu na kolanach.

– Pomasuj mi je – poprosiła. – Robisz to lepiej niż Ian.

Jamie usłuchał; jego siostra oparła się i zamknęła oczy z ulgą. Upuściła maleńką koszulkę na brzuch, który znowu się gwałtownie poruszył. Jamie przyjrzał się temu równie zafascynowany, jak ja.

– Czy to niewygodne? – spytał. – Kiedy ktoś ci tak fika koziołki w brzuchu?

Jenny otworzyła oczy i skrzywiła się, gdy przez ścianę jej brzucha przebiegł długi dreszcz.

– Mmm. Czasami czuję, że mam całkiem posiniaczoną wątrobę. Ale przeważnie to miłe uczucie. Jakby... – Zawahała się i posłała bratu uśmiech. – Trudno to wytłumaczyć mężczyźnie, który nie ma odpowiednich części ciała. Chyba nie zdołam ci wyjaśnić, jak to jest, gdy się nosi w sobie dziecko, tak jak ty nie możesz mi dokładnie przedstawić, co czujesz, gdy cię ktoś kopnie w słabiznę.

– O, potrafię to zrobić bez trudu. – Jamie zgiął się w pół, złapał za krocze i zatoczył dziko oczami, wydając z siebie potworny gardłowy dźwięk. – Czy nie tak, Ian? – rzucił, odwracając się ku roześmianemu szwagrowi, który siedział z drewnianą nogą opartą na kominku.

Siostra położyła bratu na piersi delikatną stopę i popchnęła go lekko.

– No dobrze, ty błźnie. W takim razie cieszę się, że nie mam tej części ciała.

Jamie wyprostował się i odgarnął włosy z czoła.

– Nie, to mnie naprawdę ciekawi. A poza tym możesz opisać swoje odczucia Claire.

W końcu jest kobietą, choć jeszcze nie rodziła.

Jenny spojrzała na mój brzuch, a ja znowu poczułam delikatne ukłucie nieokreślonego bólu.

– Mmm, spróbuję – powiedziała powoli, z namysłem. – Odnosisz wrażenie, jakby cała skóra nagle stała się bardzo cienka. Czujesz wszystko, co cię dotyka, nawet tarcie ubrania, i nie tylko na brzuchu, lecz także na

nogach, bokach i piersiach. – Nieświadomie sięgnęła ku nim i przesunęła dłonią pod bujnymi krągłościami. – Są bardzo ciężkie, pełne... i niezwykle wrażliwe na czubkach. – Małe kciuki powoli zaczęły zataczać kręgi.

Po chwili pod materiałem zarysowały się twarde sutki. – Oczywiście jesteś też wielka i niezgrabna. – Jenny uśmiechnęła się smętnie. Potarła biodro w miejscu, gdzie uderzyła nim o stół. – Zajmujesz więcej miejsca, niż przywykłaś. Ale tutaj... – jej dłonie opiekuńczo objęły brzuch – tutaj, naturalnie, dzieje się najwięcej. – Pogładziła wypukłości, jakby głąskała dziecko. Oczy Iana wodziły w ślad za ruchami jej rąk, łagodnie sunących po materiale. – Na początku wydaje ci się, że masz gazy – dodała ze śmiechem.

Puknęła palcem w brzuch brata. – Tutaj. Małe bąbelki wędrują ci po wnętrzościach. Ale potem czujesz ruchy dziecka. Szybkie szarpnięcie, lecz tak przelotne, że nie jesteś pewna, czy było naprawdę. – Niewidzialny towarzysz Jenny, jakby w proteście, zakołysał się gwałtownie na boki, a brzuch wydał się po jednej, a potem po drugiej stronie.

– Teraz jesteś już chyba pewna – zauważył Jamie, wpatrując się w to widowisko jak zahipnotyzowany.

– Tak. – Położyła dłoń na wybrzuszeniu, najwyraźniej chcąc uspokoić dziecko. – Potrafi spać godzinami. Czasami się boisz, że umarło, bo od dawna nie czujesz ruchu.

Próbujesz je obudzić... – Nacisnęła mocno brzuch z boku i natychmiast otrzymała odzew w postaci silnego

kopnięcia z wewnątrz. – A kiedy kopie, jesteś szczęśliwa. Nie chodzi jednak tylko o dziecko. Im bliżej końca, tym bardziej jesteś spuchnięta. To nie boli, ale...

czujesz się tak dojrzała, że mogłabyś pęknąć. I musisz być dotykana, bardzo lekko, na całym ciele. – Jenny nie patrzyła już na mnie. Nie spuszczała oczu z męża. Odniosłam wrażenie, że całkiem o nas zapomniała. Pomędzy nią i Ianem zapanowała atmosfera wyjątkowej intymności. Najwyraźniej o tych doznaniach mogliby sobie opowiadać bez końca. Jenny odezwała się już cichszym głosem, a jej dłonie ponownie uniosły się do piersi, ciężkich i kuszących pod cienkim stanikiem. – W ostatnim miesiącu pojawia się mleko. Wypełniasz się nim po trochu za każdym razem, gdy dziecko się poruszy. I nagle wszystko robi się twarde i okrągłe. – Znowu objęła brzuch. – To nie ból, tylko takie uczucie, jakbyś straciła dech. Potem twoje sutki zaczynają pulsować i zdaje ci się, że pękną, jeśli dziecko nie zacznie ich ssać. – Zamknęła oczy i odchyliła się na krześle.

Głaskała potężny brzuch, nieustannie, bez końca, w rytmie inwokacji lub zaklęcia.

Przyglądając się tej kobiecie, pomyślałam, że jeśli czarownice istnieją, to Janet Fraser z pewnością do nich należy.

Cały pokój wypełnił się gęstą atmosferą transu, uczuciem leżącym u korzeni pożądania, okropnym szarpiącym pragnieniem złączenia i tworzenia. Widziałam każdy najeżony włosik na ciele Jamiego.

Jenny otworzyła oczy, ciemne w głębokim cieniu, i

uśmiechnęła się do męża niespiesznie, z niemą obietnicą.

– A w ostatnich miesiącach, gdy dziecko bardzo się już rusza, czasami doznajesz takiej rozkoszy jak wtedy, gdy masz w sobie męczyznę, kiedy wchodzi w ciebie głęboko i wylewa się. Krew zaczyna ci pulsować... lecz doznania są znacznie silniejsze niż podczas zbliżenia. Przejmujący dreszcz porusza ścianami twego łona, błogie ciepło wypełnia cię całą. Wtedy dziecko się uspokaja, tak jakbyś przyjęła w siebie męczyznę. – Nagle odwróciła się do mnie i czar przysł. – Tego czasami pragną – powiedziała z uśmiechem. – Chcą wrócić.

Po pewnym czasie Jenny wstała i ruszyła ku drzwiom. Rzuciła przez ramię spojrzenie, które pociągnęło ku niej Iana jak magnes szpilkę. Zaczekała na męża w drzwiach. Popatrzyła na brata, Jamie siedział nieruchomo. – Dopilnujesz ognia? – Przeciągnęła się mocno, aż linia kręgosłupa wygięła się w duży łuk. Ian wbił mocno kłykcie w jej krzyż; Jenny jęknęła. A potem zniknęli.

Ja też się przeciągnęłam; czułam przyjemny opór zmęczonych mięśni. Jamie przesunął obiema dłońmi po moich bokach i zatrzymał je na wypukłościach bioder.

Oparłam się o niego plecami i przyciągnęłam jego dłonie na brzuch. Wyobrażałam sobie, że obejmują delikatne kształty kryjące nienarodzone dziecko.

Kiedy odwróciłam głowę, żeby pocałować Jamiego, zauważyłam drobną figurkę skuloną w rogu sofy.

– Patrz, zapomnieli o małym Jamiem. – Chłopczyk zwykle sypiał w łóżeczku w pokoju rodziców. Dziś zasnął przy kominku, lecz nikt nie pamiętał, by go odnieść na

posłanie.

Wuj popatrzył w stronę malucha, odsuwając sobie z nosa moje włosy.

– Jenny nigdy o niczym nie zapomina – powiedział.  
– Podejrzewam, że teraz nie zależy im na towarzystwie. – Sięgnął ku zapięciu mojej spódnicy. – Na razie niech sobie pośni przy kominku.

– Ale jeśli się obudzi?

Wędrujące dłonie wśliznęły się pod rozluźnioną krawędź stanika. Jamie uniósł brew.

– Ha, kiedyś będzie musiał poznać swoją powinność. Nie chcesz chyba, by był tak nieuczony, jak jego wuj. – Rzucił na podłogę przed kominkiem parę poduszek, osunął się na nie i pociągnął mnie za sobą.

Blask ognia załśnił mu na srebrzystych bliznach, jakby Jamie był wykuty ze stali, o co go niegdyś oskarżyłam. Szramy wydawały się metalowym szkieletem, który przezierał przez rozdarcia delikatnej skóry. Jeszcze raz przesunęłam palcami po znamionach, a on zadrżał pod moim dotykiem.

– Myślisz, że Jenny ma rację? – spytałam później. – Czy mężczyźni naprawdę chcą wrócić do środka kobiety? Czy dlatego się z nami kochacie?

Jego śmiech poruszył włosami koło mojego ucha.

– Hm, nie jest to pierwsza myśl, która mi przychodzi do głowy, gdy cię zabieram do łóżka. Ale... – Delikatnie objął moje piersi i zamknął usta na brodawce. – Nie mogę jednak powiedzieć, że się tak zupełnie myli. Czasami... tak, czasami byłoby dobrze znowu znaleźć się w

środku, bezpiecznie i... w jedności. Skoro wiemy, że to niemożliwe, chcemy spłodzić nowe życie. Jeśli sami nigdy już nie zdołamy wrócić, jest to najlepsze, co możemy dać naszym synom, przynajmniej na chwilę... – Wzdrygnął się gwałtownie, jak pies otrząsający się z wody. – Nie słuchaj tego, Angielko – mruknął. – To wino całkiem mnie rozebrało.

Usłyszeliśmy ciche pukanie do drzwi. Do komnaty weszła Jenny. Na ręce niosła złożony błękitny strój, a w dłoni trzymała kapelusz. Przyjrzała się krytycznie bratu i skinęła głową.

– Tak, koszula będzie pasowała. I wyjęłam twój najlepszy płaszcz. Odkąd cię ostatni raz widziałam, trochę rozrosłeś się w ramionach. – Przechyliła głowę na bok. – Nabrałeś ciała... szkoda że nie rozumu. Siadaj tu, zajmę się twoimi włosami. – Wskazała mu krzesło przy oknie.

– Włosami? A czy coś z nimi jest nie tak? – spytał z obrazą Jamie, unosząc rękę do policzka. Loki, sięgające mu niemal do ramion, związywał zwykle rzemykiem.

Jenny nie traciła czasu na gadanie. Popchnęła go na krzesło, rozwiązała rzemyk i zaczęła energicznie manewrować szylkretowym grzebieniem.

– Czy coś jest nie tak? – powtórzyła. – Po pierwsze masz w nich rzepy. – Delikatnie wyjęła kolczastą kulke spomiędzy rudych loków i położyła ją na toalecie. – A także kawałki dębowych liści. Gdzieś ty chodził? Ryleś pod drzewami jak wieprz? I jesteś potargany niczym wiecheć konopi.

– Au!

– Nie ruszaj się, Roy. – Zmarszczyła brwi i w skupieniu zaczęła rozczesywać splątane kosmyki. Spod grzebień powoli wyłaniała się gładka, lśniąca płaszczyzna, mieniąca się barwami miedzi, kasztana, cynamonu i złota. Jenny wzięła garść tego bogactwa.

– Nie rozumiem, dlaczego dobry Bóg marnuje takie włosy dla mężczyzny – zauważyła. – Gdzieś tam wyglądają jak sierść liska.

– Tak, są piękne – zgodziłam się skwapliwie. – Patrz, słońce wywabilo miejscami kolor i powstały takie śliczne jasne pasma...

Właściciel obiektu naszego podziwu łypnął na nas nieprzychylnie.

– Gadajcie tak dalej, to ogolę głowę. – Sięgnął ku brzytwie na toaletce.

Siostra, zwinna mimo ogromnego brzucha, grzmotnęła brata pięścią w przegub.

Jamie wrzasnął. A potem raz jeszcze, gdy Jenny szarpnęła go za włosy.

– Nie ruszaj się – rozkazała. Rozdzieliła włosy na trzy grube pasma. – Zaplotę ci porządny warkocz – oznajmiła z satysfakcją. – Nie wyjdiesz do dzierżawców z włosami jak dzikus.

Jamie mruknął coś niezyczliwego pod nosem, ale poddał się zabiegom. Jennyzaplotła mu włosy w gruby, regularny harcap, zawinęła końce pod spód i zawiązała je mocno nicią. Potem sięgnęła do kieszeni, wyjęła błękitną jedwabną wstążkę i tryumfująco zawiązała ją w kokardę.

– No! Pięknie, prawda? – Odwróciła się do mnie,



szukając potwierdzenia, a ja musiałam przyznać jej rację. Fryzura uwidoczniła kształt głowy Jamiego i podkreśliła śmiały rysunek jego twarzy. Czysty i zadbany, w śnieżnobiałej koszuli oraz szarych spodniach przedstawiał sobą wspaniały widok.

– Cudownie, zwłaszcza ze wstążką – powiedziałam, tłumiąc śmiech. – Ma ten sam odcień, co jego oczy.

Jamie posłał siostrze paskudne spojrzenie.

– Nie – warknął. – Żadnych wstążek. Tu nie Francja i nie dwór króla Geordiego. Nie obchodzi mnie, że to kolor płaszczka Matki Boskiej. Żadnych wstążek, Janet!

– W porządku, mazgaju. Proszę. – Rozwiązała wstążkę i cofnęła się o krok. – Dobrze, to wystarczy – oznajmiła z satysfakcją.

Potem jej przenikliwe spojrzenie padło na mnie.

– Hm... – mruknęła i w zamyśleniu dotknęła palcem ust.

Ponieważ przybyłam w łachmanach, najszybciej jak można przygotowano dla mnie dwie nowe suknie: jedną z samodziału na co dzień, drugą z jedwabiu na szczególnie okazje. Bardziej doświadczona w zszywaniu ran niż materiału, pomogłam jedynie w krojeniu i dopasowywaniu. Resztę zostawiłam w rękach Jenny i pani Crook.

Sprawiły się doskonale. Jasnożółty jedwab obejmował mi pierś jak rękawiczka, spadał z ramion w sutych fałdach i falował we wspaniałych draperiach spódnicy. Co prawda moja absolutna odmowa włożenia gorsetu została uszanowana, lecz w zamian za to krawcowe wzmocniły stanik fiszbinami.

Bacne spojrzenie powędrowało powoli od moich stóp ku głowie, gdzie się zatrzymało. Jenny westchnęła i sięgnęła po grzebień.

– Ty też – powiedziała. Usiadłam z płonącą twarzą, unikając spojrzenia Jamiego.

Jenny ostrożnie wyjmowała mi z włosów gałązki oraz liście dębu, po czym układała je obok tych, które wyplątała z włosów brata. Kiedy zostałam wyszczotkowana i uczesana, Jenny znów sięgnęła do kieszeni. Tym razem wyjęła małą koronkową czapeczkę. – Proszę – mruknęła, gdy już mi ją przypięła na czubku głowy. – Czółko jak się patrzy.

Wyglądasz bardzo dostojnie, Claire.

Uznałam to za komplement i wymamrotałam coś w odpowiedzi.

– Masz jakieś klejnoty? – spytała Jenny.

Pokręciłam głową.

– Nie, niestety. Jamie podarował mi kiedyś perły, ale one... – Zważywszy na okoliczności naszego wyjazdu z ziemi Mackenziech, naszyjnik był ostatnią rzeczą, która zaprzętała mój umysł.

– A! – wykrzyknął Jamie. Wbił rękę w sporran, który odłożył pod toaletkę, tryumfalnie wyciągnął z niego sznurek pereł.

– Skąd to wzięłeś, na litość? – zawołałam ze zdumieniem.

– Murtagh przyniósł je rano. Podczas procesu wrócił do zamku i wziął wszystko, co zdołał unieść. Sądził, że będziemy tego potrzebować, gdy się uwolnimy. Szukał

nas na gościńcu, ale oczywiście my pojechaliliśmy najpierw... na wzgórze.

– Ciągłe tu jest?

Jamie stanął za moimi plecami, by zapiąć naszyjnik.

– Tak, w kuchni. Wyżera wszystkie zapasy i piekli się na panią Crook.

Nie licząc śpiewu przy ognisku, nie słyszałam, by ten mały żylasty człowieczek wypowiedział więcej niż kilkadziesiąt słów od samego początku naszej znajomości. Myśl o tym, że mógłby się na kogoś pieklić, wydawała mi się nie do pojęcia. Pewnie czuje się tu jak w domu, uznałam w duchu.

– Kim właściwie jest Murtagh? – spytałam. – Czy to wasz kuzyn?

Rodzeństwo najwyraźniej się zdziwiło.

– Tak – odparła Jenny. Odwróciła się do brata. – To... właściwie kto. Jamie? Daleki krewny wuja ojca?

– Siostrzeniec – skorygował Jamie. – Nie pamiętasz? Stary Leo miał dwóch synów, i oni...

Zatkałam uszy palcami. Ten gest przypomniał o czymś Jenny, bo nagle klasnęła głośno w dłonie.

– Zausznice! – wykrzyknęła. – Zdaje się, że mam takie perłowe. Akurat będą pasowały do twojego naszyjnika! Zaraz je przyniosę.

Zniknęła, jak zwykle szybka niczym wiatr.

– Dlaczego twoja siostra mówi na ciebie Roy? – spytałam z zaciekawieniem.

Przyglądałam się, jak Jamie wiąże sobie fontaż przed lustrem. Miał minę człowieka toczącego walkę ze

śmiertelnym wrogiem, charakterystyczną dla każdego mężczyzny wkładającego krawat. Mimowolnie uśmiechnął się do mnie.

– To nie jest angielskie imię, lecz celtyckie spieszczenie, oznaczające kolor moich włosów. Ruadh znaczy rudy.– Musiał mi je przeliterować i powtórzyć kilka razy, zanim zauważyłam jakiegokolwiek różnice.

– Dla mnie oba słowa brzmią identycznie – powiedziałam wreszcie, kręcąc głową.

Jamie wziął sporran i zaczął wkładać do niego rozmaite przedmioty, które wypadły przy wyciąganiu pereł. Gdy znalazł splątaną żyłkę, wysypał zawartość torby na łóżko zaczął porządkować swoje skarby. Cierpliwie rozplątywał żyłkę i sznurek, a potem pozbierał haczyki i mocno wbił je w kawałek korka. Podeszłam i przyjrzałam się okazałej kolekcji.

– Nigdy w życiu nie widziałam takiego śmietnika – zauważyłam. – Zbierasz rupiecie jak sroka.

– Wcale nie rupiecie – zaprotestował z urazą. – Wszystko to bardzo potrzebne rzeczy.

– No tak, żyłka na ryby i haczyki, pewnie. I linka na wnyki. Nawet wycior do pistoletu i kule, bo od czasu do czasu bierzesz ze sobą broń. I wężyk, którego podarował ci Willie, to także rozumiem. Ale kamienie? I muszla ślimaka? I ten kawałek szkła? I... – Pochyliłam się, aby dokładnie obejrzeć czarny kawałek jakiegoś futra. – Co to...? Chyba nie to, o czym myślę? Jamie, na miłość boską, dlaczego nosisz przy sobie wysuszoną łapkę kreta?

– Przeciwno reumatyzmowi, ma się rozumieć. –

Zabrał mi ją i włożył do sporranu ze skóry borsuka.

– A, naturalnie – zgasiłam się, przyglądając się mu z zainteresowaniem. Jamie zaczerwienił się lekko. – Pewnie jest skuteczna, bo nic ci nie dolega – dodałam.

Wzięłam małą Biblię i zaczęłam przerzucać kartki. Jamie w tym czasie chował swoje skarby.

– Aleksander William Roderick MacGregor – przeczytałam na głos podpis na wewnętrznej stronie okładki.– Powiedziałeś, że masz wobec niego dług.

– Zgadza się. – Jamie usiadł obok mnie na łóżku, odebrał mi małą książeczkę i delikatnie zaczął ją przeglądać. – Wiesz już, że ta Biblia należała do więźnia, który umarł w forcie William, prawda?

– Tak.

– Sam go nie znałem. Umarł miesiąc przed moim przybyciem. Lecz doktor, od którego dostałem tę Biblię, mówił mi o nim podczas nakładania mi opatrunku.

Najwyraźniej chciał komuś opowiedzieć historię MacGregora, a nie mógł się zwrócić do nikogo w garnizonie. – Zamknął Biblię i położył ją na kolanie. Wyrzwał przez okno na pogodny październikowy dzień. – Aleks MacGregor, osiemnastoletni chłopak, został aresztowany za popularne tu przestępstwo – kradzież bydła. Dobry i cichy, pragnął odsiedzieć wyrok i wyjść na wolność bez przeszkód. Lecz na tydzień przed końcem kary został znaleziony w szopie. Powiesił się.

– Sam targnął się na swoje życie – Jamie przesunął pieszczotliwie kciukiem po skórzanej oprawie tomiku. – Tak oficjalnie orzekł doktor. Lecz w rzeczywistości

...ukrywał prawdę. Później powiedział tylko, że tydzień wcześniej kapitan Randall wezwał chłopca na rozmowę w cztery oczy.

Przełknęłam ślinę. Nagle, mimo słonecznego ciepła, zrobiło mi się zimno.

– I myślisz...

– Nie. – Głos Jamiego był cichy, lecz zdecydowany.

– Nie myślę. Wiem, tak samo, jak i doktor. Sądzę, że wiedział to również starszy sierżant... dlatego umarł. – Jamie położył dłonie na kolanach i spojrzał na długie palce. Miał ręce gospodarza, a także wojownika – duże, silne i zwinne. Wziął małą Biblię i schował ją do sporranu. – Powiem ci jedno, mo dumne. Pewnego dnia Jack Randall zginie z mojej ręki. A kiedy będzie już martwy, odeślę tę Biblię matce Aleksa MacGregora z wiadomością, iż jej syn został pomszczony.

Nagle napięcie, które powstało w pokoju, zniknęło, spłoszone nadejściem Jenny, wspaniałej w błękitnych jedwabiach i koronkowym czółku. Niosła dużą szkatułkę z wytartej czerwonej skóry.

– Jamie, przyszli Curranowie, Willie Murray i Jefiesowie. Lepiej do nich zejdź i zjedz z nimi śniadanie. Kazałam podać, świeży chleb i solonego śledzia, a pani Crooks piecze ciastka z marmoladą.

– A, tak. Claire, dołącz do nas, gdy będziesz gotowa. – Wstał pospiesznie, lecz zatrzymał się na chwilę dostatecznie długi, by przygarnąć mnie do siebie i obdarzyć krótkim, lecz soczystym pocałunkiem. Zniknął za drzwiami; zbiegł z hałasem po pierwszym biegu schodów,

lecz na drugim zwolnił, by ukazać się dzierżawcom z godnością właściwą dla pana tych ziem.

Jenny spojrzała za bratem z uśmiechem. Potem zwróciła się do mnie. Postawiła szkatułkę na łóżku i powoli podniosła wieczko, Moim oczom ukazał się splątany kłęb klejnotów i świecidełek. Z zaskoczeniem spojrzałam na to chaotyczne bogactwo.

Zupełnie nie wiedziałam, jak schludna, metodyczna Jenny Murray, której gospodarstwo funkcjonowało gładko od rana do wieczora, mogła trzymać rzeczy w takim bałaganie.

Jenny poruszyła palcem lśniące kłębowisko. Podniosła głowę, jakby usłyszała moje myśli i uśmiechnęła się do mnie.

– Ciągle myślę, że trzeba to kiedyś poukładać. Ale gdy byłam mała, matka pozwalała mi czasami grzebać w szkatułce i zawsze czułam się, jakbym znalazła skarb... nigdy się nie spodziewałam, na co trafię. Gdyby wszystko leżało uporządkowane, magia szkatułki by zniknęła. Głupie, co?

– Nie – powiedziałam ciepło. – Wcale nie.

Niespiesznie przeglądaliśmy zawartość pudełka, zatrzymując się nad bardziej ulubionymi świecidełkami czterech pokoleń kobiet.

– To należało do babki Fraserowej – wyjaśniła Jenny, unosząc srebrną broszę.

Ozdoba miała kształt cienkiego, pokrytego ornamentami półksiężycy z malutkim brylancikiem u góry niczym lśniąca gwiazdka.

– A to... – wyjęła wąską złotą obrączkę z rubinowym oczkiem w wianuszku brylantów – ...mój pierścień ślubny, Ian wydał na niego połowę rocznych dochodów, choć mówiłam mu, że to szaleństwo. – Jednak jej spojrzenie dowodziło, iż mąż nie mógł lepiej postąpić.

Potarła klejnot o gors sukni i przyjrzała mu się z upodobaniem, nim odłożyła go do szkatułki. – Będę bardzo szczęśliwa, gdy dziecko się wreszcie urodzi – wyznała, klepiąc się po brzuchu. – Rano palce tak mi puchną, że nie mogę zawiązać sznurówek, a co dopiero mówić o zakładaniu pierścionków.

Zauważyłam dziwny, niemetaliczny połysk na dnie szkatułki.

– Co to?

– A! – Jenny znowu sięgnęła do skarbczyka. – Nigdy ich nie nosiłam, nie pasują. Ale ty możesz je włożyć. Masz królewską postawę jak moja matka. Właśnie do niej należały.

Były to dwie bransolety, wykonane z niemal okrągłych kłów dzika, wypolerowane do blasku kości słoniowej, z końcami okutymi srebrem grawerowanym w kwietne wzory.

– Boże, jakie wspaniałe! Jeszcze nigdy nie widziałam czegoś tak... tak cudownie barbarzyńskiego.

Jenny przyjęła mój komentarz z rozbawieniem.

– Tak, rzeczywiście. Ktoś dał je matce w prezencie ślubnym, lecz ona nigdy nam nie zdradziła, kto to taki. Ojciec często z niej żartował i dopytywał się o tego wielbiciela, lecz nie wymieniła nazwiska, tylko się



uśmiechała jak kot, który się dobrał do śmietanki.

Proszę, przymierz.

Chłodne i ciężkie kościane bransolety objęły moje nadgarstki. Mimo woli pogładziłam ciemnożółtą, ziarnistą ze starości powierzchnię.

– Pasują – zawyrokowała Jenny. – Do sukienki również. Masz tu zausznicę, włóż je i schodzimy.

Murtagh siedział przy kuchennym stole i niezmordowanie pożerał szynkę, której kawały nadziewał na sztylet. Pani Crook przeszła z talerzem za jego plecami, schyliła się zgrabnie i położyła przed nim trzy świeże gorące chlebki, niemal nie zwalniając kroku.

Jenny krzątała się, pochłonięta przygotowaniami. W pewnej chwili zatrzymała się i zerknęła Murtaghowi przez ramię na jego talerz, z którego błyskawicznie zniknęło jedzenie.

– Nie żałuj sobie, chłopie – rzuciła. – W razie czego mamy jeszcze drugiego wieprza.

– Zazdrościsz apetytu? – mruknął Murtagh, nie przerywając żucia.

– Ja? – Jenny podparła się pod boki. – Nie, na Boga! Przecież na razie dokładałeś sobie ledwie cztery razy. Pani Crook! – Odwróciła się do gospodyni. – Kiedy skończycie roznosić chleb, dajcie, proszę, temu głodomorowi miche ousianki. Nie chcemy, żeby zemdłał nam z głodu na schodach.

Murtagh ujrzał mnie, stojącą w progu, pospiesznie przełknął kawał szynki.

– Mmm – wymamrotał tytułem powitania, gdy

Jenny przestała go walić w plecy.

– Ja też się cieszę, że cię widzę – odpowiedziałam i zajęłam miejsce naprzeciw niego.

– dziękuję.

– Mmmhm? – Pytanie zostało stłumione przez pół chlebka, szczodrze posmarowanego miodem i wepchniętego do ust.

– Za przywiezienie moich rzeczy z zamku.

– Mmm. – Dalsze podziękowania uciął machnięciem ręki, po czym sięgnął po maselniczkę. – Przywiozłem też twoje zielska oraz inne skarby – dodał i skinął głową w stronę okna. – Są na podwórzu, w jukach.

– Moje lekarstwa! Cudownie! – wykrzyknęłam ze szczerym zachwytem. Niektóre z tych leczniczych ziół były dość rzadkie i zadałam sobie niemało trudu, by je znaleźć i odpowiednio przyrządzić. – Lecz jak zdołałeś...? – Gdy już się otrząsnęłam z przerażenia po procesie, często zastanawiałam się, jak mieszkańcy zamku przyjęli moje nagłe aresztowanie i równie nie spodziewaną ucieczkę. – Mam nadzieję, że nikt nie sprawiał ci trudności.

– O, nie. – Murtagh ugryzł sążnisty kawał pożywienia i przełknął go niespiesznie. – Pani Fitz je odłożyła, już spakowane. Od razu do niej poszedłem, bo nie byłem pewien przyjęcia, jakie mnie tam czekało.

– Bardzo rozsądnie. Pani Fitz chyba by nie zaczęła krzyczeć na twój widok – zgodziłam się.

Chlebki parowały lekko w chłodnym powietrzu i roztaczały niebiańskie wonie. Kiedy sięgnęłam po jeden bochenek, ciężkie bransolety z dziczego kła otarły się o

siebie ze szczękiem. Zauważyłam, że Murtagh na nie patrzy, więc przekreśliłam je tak, by mógł podziwiać grawerowane srebrne okucia.

– Czy nie piękne? – spytałam. – Jenny powiedziała, że należały do jej matki.

Murtagh wbił spojrzenie w miskę owsianki, którą pani Crook bezceremonialnie postawiła mu pod nosem.

– Pasują – mruknął. Potem gwałtownie wrócił do poprzedniego tematu. – Nie, ona by nie wezwała straży na mój widok. Znam Glennę FitzGibbons nie od dziś.

– A, więc to dawna miłość? – rzuciłam przekornie, rozbawiona wizją krągłej pani Fitz w miłosnym uścisku z Murtaghiem.

Zostałam skarcona zimnym spojrzeniem znad owsianki.

– Nie. I bardzo proszę, jeśli łaska, grzecznie się o niej wyrażać. Jej mąż był bratem mojej matki. A ona serdecznie cię żałowała, wiedz o tym.

Spuściłam oczy, zawstydzona, i sięgnęłam po miód, by ukryć zmieszanie. Kamienny słój stał w garnku z wrzącą wodą, dzięki czemu zawartość szklanego naczynia pozostawała płynna i przyjemnie ciepła.

– Przepraszam – mruknęłam, lejąc złocisty płyn na chlebek i nie odwracając od niego spojrzenia, jakbym się bała, że choć kropla spadnie mi na stół. – Zastanawiałam się, co myślała, kiedy... kiedy...

– Z początku nie wiedzieli, że zniknęłaś – wyjaśnił rzeczowo, ignorując przeprosiny.

– Kiedy nie zesłaś na kolację, pomyśleli, że

zostałaś do późna na polu i wrócisz prosto do komnaty. Twoje drzwi były zamknięte. A następnego dnia, gdy wszczął się wielki hałas z powodu aresztowania pani Duncan, nikt nie pomyślał, by cię szukać. Wieści mówiły tylko o prokuratorowej, nie o tobie, a w całym zamieszaniu nikomu nie przyszło do głowy, że i ty zginęłaś.

Pokiwałam głową. Nikt nie zauważył mojego zniknięcia, nie licząc pacjentów. Od odjazdu Jamiego większość czasu spędzałam w bibliotece Columa.

– A Colum? – spytałam.

Naprawdę chciałam wiedzieć, czy rzeczywiście wszystko za planował, tak jak sądziła Geilis. Murtagh wrzucił ramionami. Wstał i rozejrzał się powoli po stole w poszukiwaniu nowych wiktuałów. Nic nie przyciągnęło jego wzroku, więc usiadł i splótł dłonie na chudym brzuchu.

– Kiedy doszły go wieści z wioski, nakazał czym prędzej zamknąć bramy i zabronił komukolwiek opuszczać zamek. – Oparł się i zmierzył mnie badawczym wzrokiem. – Pani Fitz zaczęła cię szukać drugiego dnia. Pytała wszystkich służących, czy cię widziały.

Żadna nie wiedziała nic o tobie. Tylko jedna dziewczyna wspomniała, że prawdopodobnie poszłaś do wioski. Może tam znalazłaś schronienie. – Jedna dziewczyna, pomyślałam cynicznie. Cholernie dobrze wiedziałam, która. Murtagh beknął, nie trudząc się tłumieniem dźwięku. – Podobno pani Fitz przewróciła zamek do góry nogami i zmusiła Columa, by posłał człowieka do wioski. Wiedziała już, że sama cię nie

znajdzie. A kiedy otrzymali wiadomości o tym, co się stało... – Ogorzała twarz rozjaśniła się słabym światełkiem rozbawienia. – Pani Fitz nie powiedziała mi wszystkiego, lecz zrobiła dziedzicowi piekło na ziemi. Nękała Columa, by uwolnił cię siłą.

Na nic się zdały jego perswazje, że sprawy zaszły już za daleko, aby mógł coś poradzić, że teraz wszystko w rękach sędziów i tak dalej. Musiał to być przedni widok – dodał w zamyśleniu. – Starcie tych dwóch potęg. – W końcu nikt nie odniósł całkowitego zwycięstwa ani się nie poddał. Ned Gowan, jak każdy prawnik obdarzony umiejętnością osiągnięcia kompromisu, zaoferował swoją obecność na procesie – niejako przedstawiciel dziedzica, lecz niezależny adwokat.

– Czy pani Fitz wierzy, że jestem czarownicą? – spytałam.

Murtagh parsknął pogardliwie.

– Jeszcze nie widziałem starej kobiety, która by wierzyła w czarownice... i młodej też, musze przyznać. Tylko mężczyźni sądzą, że kobiety znają się na czarach i urokach, lecz są to jedynie naturalne cechy tego rodzaju.

– Zaczynam rozumieć, dlaczego nigdy się nie ożeniłeś – mruknęłam.

– O, doprawdy? – Odsunął gwałtownie krzesło, wstał i narzucił sobie szal na ramiona. – Pójdę już. Złóż dziedzicowi wyrazy szacunku ode mnie – zwrócił się do Jenny, która wróciła z frontowego holu, gdzie witała dzierżawców. – Będzie zajęty, bez wątpienia.

Jenny podała mu duży, zawiązany na węzeł worek,

najprawdopodobniej wypchany wiktuałami wystarczającymi na cały tydzień.

– Mały kasek na podróż do domu – oznajmiła z promiennym uśmiechem. – Może starczy ci choć do tego wzgórze, które widać z okna.

Murtagh wsadził worek za pas i skinął głową.

– Mam nadzieję – odparł. – A jeśli zobaczycie kruki, gdy się zgromadzą nad wzgórzem, przyjdźcie pobierać moje kości.

– Niewielki będą miały z ciebie pożytek – odparła cynicznie Jenny. – Widziałam grubsze niż ty kije od szczotki.

Surowa twarz Murtagha nie zmieniła wyrazu, lecz w głębi oczu coś słabo błysnęło jakąś iskierką.

– Naprawdę? Powiem ci, dziewczyno... – Oddalili się ku wyjściu, pograżeni wymianą przyjaznych przytyków.

Jeszcze przez chwilę siedziałam przy stole, leniwie gładząc ciepłe bransolety Ellen MacKenzie. Gdy usłyszałam odległy trzask drzwi, otrząsnęłam się z zamyślenia i wstałam, by pełnić obowiązki pani Lallybroch.

Dwór, zwykle pełen gwaru, w Dniu Czyszowym trząśnięty w posiadach od hałasu i zamieszania. Wiele osób przybyło tylko po to, by zapłacić czynsz, inne zostały na cały dzień. Goście wędrowali po posiadłości, odwiedzali przyjaciół, raczyli się poczęstunkiem w salonie.

Jenny, promienna w błękitnym jedwabiu, oraz pani Crook w wykrochmalonym białym płótnie śmigały pomiędzy kuchnią i salonem, nadzorując pracę dwóch służących, które uginały się pod ciężarem ogromnych

półmisków owsianych ciasteczek, ciastek z owocami, kruszonką i innymi dobrymi rzeczami.

Jamie uroczyście przedstawił mnie zebranym dzierżawcom i zniknął w gabinecie razem z Ianem, by po kolei przyjmować petentów, konferować z nimi na temat potrzeb plantacji, snuć rozważania odnośnie sprzedaży weny i ziarna, odnotować działalność majątku i uporządkować wszystkie sprawy na następny kwartał.

Ja kręciłam się wesoło po salonie, rozmawiałam z gośćmi, pomagałam roznosić poczęstunek, a czasami tylko przyglądałam się nowo przybyłym. Czekałam z zaciekawieniem na pojawienie się Ronalda MacNaba, o którym rozmawiałam ze staruszką. Zjawił się tuż po południu na wysokim, lekko kulejącym mule. Pasa mężczyzny mocno trzymał się mały chłopiec. Przyglądałam się panu MacNabowi ukradkiem, stojąc na progu salonu. Zastanawiałam się, czy babcia MacNab opisała go trafnie.

Okazało się, że określenie „nędzny pijus” jest lekko przesadzone, lecz ogólne obserwacje starej kobiety dobrze odpowiadają rzeczywistości. Ronald MacNab miał długie brudne włosy, niedbale związane z tyłu sznurkiem, a kołnierz i mankiety jego koszuli były szare i zapuszczone. Choć z pewnością młodszy od Jamiego o rok lub dwa, wyglądał na starszego o co najmniej piętnaście lat; rysy twarzy rozmyły się w opuchliznie, a małe szare oczy były otepiałe i przekrwione.

Chłopiec, brudny i zaniedbany, prezentował się także niezbyt dobrze. Co gorzej, kulił się w sobie, jakby chciał zniknąć z powierzchni ziemi, wbijał wzrok w

podłogę i nawet się wzdrygnął, gdy Ronald odwrócił się i powiedział coś ostro do niego. Jamie, który wyszedł z gabinetu, również to zobaczył. Zauważyłam, że wymienił szybkie spojrzenia z siostrą, wnoszącą właśnie nową karafkę. Jenny skinęła głową i oddała bratu naczynie. Potem wzięła dziecko mocno za rękę i poprowadziła do kuchni, mówiąc:

– Chodź ze mną, chłopczyku. Pewnie zechcesz przekąsić parę ciastek. A co powiesz na kawał biszkoptu z owocami?

Jamie skłonił się formalnie Ronaldowi MacNabowi i przepuścił go w drzwiach. Gdy napotkał moje spojrzenie, nieznacznie kiwnął głową w stronę kuchni. Posłusznie ruszyłam za Jenny i małym Rabbim.

Znalazłam ich, pochłoniętych przyjemną rozmową z panią Crook, która przelewała chochlą poncz z wielkiego kotła do kryształowej wazy. Nalała trochę napoju do drewnianego kubka i podała go chłopcu. Dziecko w pierwszej chwili cofnęło się nieufnie, zanim zdecydowało się przyjąć poczęstunek. Jenny gawędziła z Rabbim swobodnie, nakładając ciastka na talerze. W odpowiedzi słyszała jedynie mruknięcia. Mimo to na wpół zdziczałe stworzonko powoli się uspokoiło.

– Twoje ubranie jest nieco zaniedbane – zagadnęła Jenny, odchylając kołnierz brudnej koszulki. – Zdejmij je, upiorę, zanim odjedziesz.

Słowo „zaniedbane” nie oddawało w pełni właściwego stanu rzeczy. Chłopiec cofnął się czujnie. Stałam za jego plecami i na znak Jenny chwyciłam



dzieciaka za ramiona, nim zdołał uciec.

Kopał i wrzeszczał, ale Jenny i pani Crook otoczyły nieszczęśnika i przemocą zdarły mu koszulę z pleców.

– Ach... – Jenny gwałtownie wciągnęła powietrze.

Mocno trzymała głowę chłopca pod pachą, tak że jego kościsty grzbiet znalazł się przed naszymi oczami w całej okazałości. Szramy i strupy znaczyły chude plecy po obu stronach gruzłowatego kręgosłupa. – Niektóre rany były świeżo zagojone, inne tak stare, że wyglądały jedynie jak cienie rzucane przez wystające żebra. Jenny chwyciła chłopca za szyję i przemawiała do niego uspokajająco. Skinęła głową w stronę holu i spojrzała na mnie.

– Lepiej mu powiedz.

Zapukałam cicho do drzwi gabinetu, obarczona półmiskiem owsianych ciastek słodzonych miodem. Kiedy usłyszałam stłumione zaproszenie, otworzyłam drzwi i weszłam.

Wyraz mojej twarzy prawdopodobnie był wystarczająco czytelny, bo nie musiałam nawet prosić Jamiego o chwilę rozmowy na osobności. Spojrzał na mnie z namysłem i odwrócił się do dzierżawcy.

– A zatem to załatwia kwestię przydziału ziarna. Jest jednak jeszcze jedna sprawa, o której chciałbym z tobą porozmawiać. Jak mi wiadomo, masz syna imieniem Rabbie, a ja potrzebuję chłopca w jego wieku do pomocy w stajni. Czy zgodzisz się, aby u mnie trochę popracował? – Długie palce Jamiego bawiły się piórem, Ian, usadowiony przy mniejszym stole z boku, oparł brodę na pięściach i przyglądał się MacNabowi z nieskrywanym

zainteresowaniem.

MacNab rzucił mu spojrzenie spode łba. Wydawało mi się, że widywałam już taką irytację oraz niechęć u ludzi, którzy nie byli pijani i bardzo im to doskwierało.

– Nie, jest mi potrzebny – warknął.

– Mm. – Jamie zakołysał się na krześle, z dłońmi splecionymi na brzuchu. – Oczywiście zapłaciłbym za jego pracę.

Mężczyzna sieknął i poruszył się niespokojnie.

– Matka z tobą gadała, co? Powiedziałem, że nie i koniec. To mój syn, będę z nim robił, co mi się podoba. A zamierzam zatrzymać go w domu.

Jamie przyjrzał się rozmówcy z namysłem, lecz bez dalszego sprzeciwu skierował dyskusję na temat ksiąg rachunkowych.

Późnym popołudniem, gdy dzierżawcy udali się do ciepłej spizarki i salonu po poczęstunek przed odjazdem, zauważyłam przez okno, że Jamie idzie niedbałym krokiem w stronę chlewu. Przyjaźnie zarzucił rękę na ramiona MacNaba. Zniknęli za budynkiem, prawdopodobnie by rozstrzygnąć jakieś rolnicze kwestie. Po chwili znowu się ukazali w polu mojego widzenia. Tym razem zmierzali ku domowi.

Jamie nadal obejmował niższego mężczyznę, lecz wydawało mi się, że tym razem po prostu go podtrzymuje. Twarz MacNaba nabrała niezdrowego szarego odcienia i lśniła potem. Dzierżawca szedł bardzo powoli i tak, jakby nie mógł się wyprostować.

– A zatem znakomicie – odezwał się pogodnie

Jamie, kiedy zbliżyli się na tyle, bym słyszała ich słowa. – Twoja żona z pewnością się ucieszy z dodatkowej zapłaty, co, Ronald? A, tu jest twój wierzchowiec, piękne zwierzę. – Wyleniały muł wyłonił się chwiejnie z głębi podwórza, gdzie korzystał z gościnności gospodarzy. Parę łądyżek siana nadal wystawało mu z pyska, poruszało się nieregularnie w rytm ruchów szczęk.

Jamie podsadził Ronalda na siodło. Pomoc była bardzo przydatna, sądząc po wyglądzie MacNaba, który milczał, a nawet nie pomachał ręką w odpowiedzi na życzenia bezpiecznej podróży. Kiwnął tylko głową z pewnym oszołomieniem i opuścił powoli podwórze, najwyraźniej bez reszty pochłonięty jakimś wewnętrznym problemem.

Jamie stał oparty o płot, wymieniając pożegnalne uprzejmości z innymi dzierżawcami, którzy także zaczęli się zbierać do domu; nie opuścił tego stanowiska, dopóki obszarpana postać MacNaba nie zniknęła za szczytem wzgórza. Wyprostował się, spojrzął na gościniec, a potem gwizdnął. Na ten sygnał mała postać w podartym, lecz czystym fartuszku i poplamionym kilcie wypełzała spod wozu z sianem.

– No, mój Rabbie – odezwał się jowialnie Jamie. – Twój ojciec jednak pozwolił ci zostać chłopcem stajennym. Z pewnością będziesz dobrze pracować, by nie przynieść mu wstydu? – Okrągłe, przekrwione oczy popatrzyły tępo. Chłopiec nie odpowiedział; wreszcie Jamie wziął go delikatnie za ramię i odwrócił w stronę końskiego poidła. – W kuchni czeka na nas kolacja. Idź i porządnie się umyj, bo

pani Crook jest bardzo surowa. A, Rabbie... – pochylił się i szepnął – ...pamiętaj o uszach, inaczej ona sama ci je wyszoruje. Dziś rano zrobiła tak z moimi. – Wziął się za uszy i poruszył nimi ze śmiertelnie poważną miną.

Chłopiec uśmiechnął się nieśmiało i pobiegł w stronę poidła.

– Dobrze, że ci się udało – odezwałam się, biorąc Jamiego pod ramię. – Z małym Robbiem MacNabem. Ale jak tego dokonałeś?

Wzruszył ramionami.

– Zaprowadziłem Ronalda na tyły browaru i parę razy zdzieliłem go pięścią w brzuch.

Spytałem, czy woli się pożegnać z synem, czy wątrobą. – Spojrzał na mnie ze zmarszczonymi brwiami. – Niezbyt ładnie postąpiłem, lecz nic innego nie przychodziło mi na myśl. Nie chodziło tylko o obietnicę złożoną babci MacNab. Jenny opowiedziała mi o plecach chłopaka. – Zamilkł na chwilę. – Powiem ci coś. Angielko. Mój ojciec chłostał mnie tak często, jak to uważał za stosowne, o wiele częściej, niż bym wolał. Lecz nie bałem się do niego odezwać. I nie sądzę, by Rabbie mógł kiedyś opowiadać żonie o swoich przygodach z ojcem i śmiać się z tego. – Wzruszył ramionami. – MacNab ma rację. To jego syn i może z nim robić, co mu się podoba. A ja nie jestem Bogiem, tylko dziedzicem... w dodatku nieco podupadłym. A jednak... – Uśmiechnął się szelmowsko. – Pomiedzy sprawiedliwością i brutalnością jest piekielnie cienka granica. Mam nadzieję, że stoję po właściwej stronie.

Objęłam go w pasie i mocno przytuliłam.

– Dobrze zrobiłeś, Jamie.

– Tak sądzisz?

– Tak.

Poszliśmy, objęci, ku dworowi. Bielone zagrody lśniły bursztynowym kolorem zachodzącego słońca. Ale zamiast wejść do domu. Jamie skierował mnie na niewielkie wzgórze za dworem. Stąd, siedząc na ogrodzeniu opasującym pole, widzieliśmy rozciągające się przed nami ziemie.

Położyłam głowę na ramieniu Jamiego i westchnęłam. Uścisnął mnie lekko.

– Jesteś stworzony do prowadzenia gospodarstwa, prawda?

– Być może. – Objął spojrzeniem pola, budynki, zagrody i gościńce. Potem spojrzął na mnie i niespodziewanie się uśmiechnął. – A ty, moja Angielko? Do czego jesteś stworzona? Do życia dziedziczki czy tułania się po polach jak Cyganka? Do leczenia ludzi, bycia żoną profesora czy też ukochaną wyjętego spod prawa przestępcy?

– Jestem stworzona dla ciebie – odparłam z prostotą i wyciągnęłam do niego ręce.

– Wiesz – odezwał się, puszczając mnie po pewnym czasie. – Nigdy mi tego nie powiedziałaś.

– Ani ty.

– Ja mówiłem. Nazajutrz po przyjeździe. Wyznałem przecież, że cię pragnąłem ponad wszystko.

– A ja powiedziałam, że kochanie i pragnienie nie znaczą to samo.

Parsknął śmiechem.

– Może masz rację. – Odgarnął mi włosy z twarzy i pocałował mnie w czoło. – Pragnąłem cię od pierwszego spotkania, lecz pokochałem dopiero wtedy, gdy się rozpląkałaś w moich ramionach, a ja szeptałem słowa pociechy. To było w Leoch.

Słońce osunęło się za czarne sosny, a pierwsze gwiazdy zaczęły się zapalać na pociemniałym niebie. Listopadowe wieczory stawały się coraz chłodniejsze, choć w dzień pogoda ciągle dopisywała. Jamie, stojący po drugiej stronie ogrodzenia, pochylił głowę i oparł ją o moje czoło.

– Ty pierwsza.

– Nie, ty.

– Dlaczego?

– Boję się.

– Czego, moja Angielko? – Ciemność nadciągała nad pola, rozlewała się po okolicy, unosiła się na spotkanie z nocą. Blask młodego księżyca obrysowywał krawędzie czoła i nosa Jamiego.

– Boję się, że jeśli zacznę, nigdy nie przestanę.

Jamie spojrzał na horyzont, gdzie zawisł wschodzący srebrny sierp.

– Już prawie zima i noce są długie, mo dumne. – Oparł się o płot, wyciągnął do mnie ramiona, a ja się w nie wtuliłam. Czulałam ciepło jego ciała i bicie serca. – Kocham cię.

Parę dni później, tuż przed zachodem słońca, wybrałam się na wzgórze za domem po bulwy kokoryczy,

której niewielką kępkę znalazłam przypadkiem poprzedniego dnia.

Usłyszałam szelest zbliżających się kroków i odwróciłam się gwałtownie. Spodziewałam się ujrzeć Jenny lub panią Crook z wieścią o gotowej kolacji. Ku swemu zaskoczeniu zobaczyłam Jamiego. Włosy sterczały mu po kąpieli, a koszulę miał nadal związaną między nogami, jak zwykł ją nosić do pracy w polu. Stał za mną, objął mnie i oparł brodę na moim ramieniu. Spojrzeliśmy na słońce, zapadające za sosny, całe w złocie i szkarłacie. Krajobraz wokół mnie powoli mroczniał, a my staliśmy, objęci i szczęśliwi.

Wreszcie, gdy zrobiło się ciemno, usłyszałam wołanie Jenny.

– Lepiej już chodźmy – powiedziałam i poruszyłam się niechętnie.

– Mmm. – Jamie objął mnie mocniej.

Ciągle spoglądając w gęstniejące cienie, jakby chciał wyryc w pamięci widok każdego kamienia i źdźbła trawy. Odwróciłam się i zarzuciłam mu rękę na szyję.

– Co się stało? – spytałam cicho. – Musimy już odjeżdżać? – Serce mi się ścisnęło, lecz zdawałam sobie sprawę, że niebezpiecznie jest zostawać dłużej. Żołnierze mogli się pojawić w każdej chwili, a tym razem ich wizyta zakończyłaby się znacznie bardziej nie pomyślnie.

– Tak. Jutro lub najpóźniej pojutrze. Anglicy są w Knockchoilum, czterdzieści kilometrów stąd, lecz przy pięknej pogodzie to tylko dwa dni jazdy. – Chciałam zeskoczyć z ogrodzenia, ale Jamie wziął mnie na rękę,

uniósł i przytulił do piersi. Czułam ciepło bijące z jego nasłonecznionej skóry, słodko pachnącej owsianą słomą. Jamie pomagał przy późnych żniwach, a ten zapach przypomniał mi pewną kolację sprzed tygodnia, gdy Jenny, zawsze uprzejma i przyjazna, wreszcie uznała mnie za pełnoprawnego członka rodziny.

Praca przy żniwach jest bardzo wyczerpująca, więc przy kolacji Jamie i Ian często zasypiali ze zmęczenia. Wstałam od stołu, by przynieść owsiany pudding, a kiedy wróciłam, obaj mężczyźni spali twardo, Jenny zaś śmiała się cicho do siebie, Ian spuścił głowę na pierś i posapywał rytmicznie. Jamie oparł policzek na splecionych rękach i chrapał spokojnie pomiędzy półmiskiem i młynkiem do pieprzu.

Jenny wzięła ode mnie pudding i zaczęła go nakładać dla mnie i dla siebie, kręcąc głową.

– Ziewali tak strasznie, że zaciekawiłam się, co będzie, jeśli przestanę mówić.

Zamilkłam i proszę, po dwóch minutach spali jak aniołki. – Czule odgarnęła włosy z czoła Iana. – To dlatego w lipcu rodzi się tak mało dzieci – dodała, poruszając figlarnie brwią.

– W listopadzie mężczyźni nie mają siły, by zabrać się do dzieła.

Parsknęłam śmiechem. Jamie poruszył się przez sen i zachrapał, więc położyłam mu rękę na karku, by go uspokoić. Jego usta drgnęły natychmiast w lekkim, odruchowym uśmiechu.

Jenny przyglądała się nam uważnie.



– Śmieszne – powiedziała. – Ostatni raz robił tak, gdy był bardzo mały.

– Co robił?

– Uśmiechał się przez sen. Zawsze, kiedy się go pogłaskało. Czasami ja i matka gładziłyśmy Jamiego na zmianę, by sprawdzić, czy będzie się uśmiechał. I uśmiechał się z każdym razem.

– Dziwne, prawda? – Eksperymentalnie przesunęłam dłonią po głowie i karku męża I rzeczywiście, w odpowiedzi ujrzałam słodki uśmiech. Utrzymywał się przez chwile po czym ustąpił miejsca surowej minie, którą Jamie zwykle przybierał podczas snu. – Ciekawe, dlaczego to robi – powiedziałam, z fascynacją obserwując śpiącego.

Jenny wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się do mnie.

– Pewnie dlatego, że jest szczęśliwy.

Następnego dnia jednak nie wyjechaliśmy z Lallybroch. Cicha rozmowa tuż nad moją głową wytrąciła mnie ze snu w środku nocy. Otworzyłam jedno oko i ujrzałam Iana ze świecą w dłoni pochylającego się nad łóżkiem.

– Jenny rodzi – rzucił Jamie, widząc, że się obudziłam. Usiadł i ziewnął rozdzierająco.

– Odrobinę za wcześnie, co, Ian?

– Nigdy nie wiadomo. Mały Jamie urodził się późno. Lepiej chyba wcześniej. – Ian uśmiechnął się nerwowo.

– Angielko, potrafisz odebrać poród czy iść po akuszerkę? – zwrócił się do mnie Jamie.

Nie wahałam się ani przez chwilę.

– Idź po akuszerkę. – Podczas swojej praktyki asystowałam tylko przy trzech porodach. Każdy odbywał się w sterylnej sali operacyjnej, a pacjentka była znieczulona i zasłonięta parawanami, zza których widziałam jedynie groteskowo wybrzuszone krocze i nagle pojawiającą się głowę dziecka.

Jamie szybko ruszył po akuszerkę, panią Martins, a ja ruszyłam z Ianem do pokoju gospodarzy.

Jenny siedziała na krześle pod oknem. Miała na sobie znoszoną nocną koszulę.

Wcześniej zdjęła z łóżka pościel, a na puchowym piernacie rozpostarła starą kołdrę.

Teraz już tylko siedziała. Czekala.

Ian stanął nad żoną zdenerwowany. Jenny uśmiechnęła się do niego, lecz spojrzenie miała nieobecne, jakby nasłuchiwała dobiegających z oddali głosów, Ian, zupełnie ubrany kręcił się bez celu po pokoju, podnosząc rozmaite przedmioty i odstawiając je na miejsce. Wreszcie Jenny kazała mu wyjść.

– Idź na dół i obudź panią Crook – dodała z uśmiechem, by złagodzić brzmienie rozkazu. – Powiedz jej, by przygotowała wszystko dla pani Martins. Będzie wiedziała, co robić. – Wciągnęła gwałtownie powietrze i chwyciła się za brzuch.

Otworzyłam szeroko oczy. Wielka wypukłość drgnęła mocno i stała się nagle twarda i okrągła. Jenny zagryzła wargę, przez chwilę ciężko dyszała, po czym rozluźniła mięśnie.

Brzuch także przybrał pierwotny kształt lekko osuniętej w dół kropli.

Ian położył Jenny rękę na ramieniu, a ona dotknęła jej z uśmiechem.

– Powiedz też, żeby przygotowała coś do jedzenia. Na pewno zgłodniejecie. Podobno drugie dziecko rodzi się szybciej niż pierwsze. Może zanim uporacie się ze śniadaniem sama będą gotowa na małą przekąskę.

Ian uściśnął ramię żony i pocałował ją, mruczając coś cicho. Zawahał się w progu, lecz Jenny odprawiła go zdecydowanym machnięciem dłoni.

Wydawało mi się, że minęło mnóstwo czasu, zanim Jamie przybył z akuszerką.

W miarę, jak skurcze stawały się silniejsze, coraz bardziej się denerwowałam. Drugie dziecko faktycznie rodzi się szybciej; a jeśli zdecyduje się zawitać na świat przed nadejściem pani Martins?

Z początku Jenny starała się ze mną rozmawiać, gdy skurcze ustępowały. Jednak szybko straciła ochotę na pogawędkę. Oparła się wygodnie i odpoczywała w milczeniu pomiędzy narastającymi bólami. Wreszcie jeden skurcz niemal zgiął ją w pół, a gdy minął, wyprostowała się chwiejnie.

– Pomóż mi trochę pospacerować – poprosiła.

Niepewna, czy dobrze robię, chwyciłam ją mocno pod ramię i podniosłam. Parę razy obeszłyśmy pokój. Zatrzymaliśmy się tylko, aby przeczekać skurcz, a potem ruszyliśmy dalej, gdy mijał. Na krótko przed nadejściem akuszerki Jenny położyła się do łóżka.

Pani Martins okazała się osobą wzbudzającą zaufanie samym swoim wyglądem.

Wysoka i chuda, miała szerokie barki i muskularne ramiona, a także życzliwy, bardzo rzeczowy wyraz twarzy, który zachęcał do oddania spraw w jej ręce. Pionowe zmarszczki pomiędzy stalowosiwymi brwiami pogłębiały się w chwilach koncentracji.

Akuszerka przystąpiła do wstępnych badań. Zmarszczki pozostały płytkie; a zatem na razie nic nie budziło jej obaw. Pani Crook przyniosła stertę czystych, wyprasowanych prześcieradeł. Pani Martins wybrała jedno i nadal złożone wsunęła pod rodzącą. Gdy Jenny uniosła się lekko, z przerażeniem ujrzałam ciemną plamę krwi pomiędzy jej udami.

Pani Martins zauważyła wyraz moich oczu i pokiwała krzepiąco głową.

– Nic, nic, wszystko dobrze. Trzeba się martwić dopiero, gdy krew jest jasnoczerwona i od razu płynie obficie. Tu nie dzieje się nic złego.

Wszystkie usiadłyśmy w oczekiwaniu. Pani Martins rozmawiała spokojnie z Jenny, masując jej krzyż i mocno naciskając podczas skurczów. Gdy ich częstotliwość wzrosła, Jenny zaczęła zaciskać zęby i dziwnie parskać przez nos. Od czasu do czasu wydawała słaby, gardłowy jęk. Pot przemoczył jej włosy, a twarz poczerwieniała. Dopiero teraz zdałam sobie sprawę, ile wysiłku kosztuje rodzenie dziecka.

Na następne dwie godziny sprawy utknęły w miejscu, tylko bóle przybrały na sile.

Jenny przestała odpowiadać na pytania i po każdym skurczu leżała, ciężko dysząc, a jej twarz z każdą sekundą traciła ciemne rumieńce i bladła jak papier.

Wreszcie Jenny skinęła na mnie.

– Jeśli dziecko przeżyje... – wykrztusiła, gwałtownie łapiąc powietrze – i będzie dziewczynką... niech się nazywa Margaret. Powiedz Ianowi... niech ją nazwie Margaret Ellen.

– Tak, oczywiście – szepnęłam łagodnie. – Ale sama mu to powiesz. Już niedługo.

Jenny tylko pokręciła głową i znowu zacisnęła zęby. Pani Martins wzięła mnie za ramię i odprowadziła w głąb pokoju.

– Nie martw się, dziewczyno – odezwała się rzeczowym tonem. – One zawsze myślą, że zaraz umrą.

– O... – mruknęłam, czując sporą ulgę.

– Oczywiście – dodała nieco ciszej – czasami rzeczywiście umierają.

Wreszcie nawet ona zaczęła się niepokoić, gdy bóle trwały nadal, a kolejna faza porodu nie następowała. Jenny była już bardzo zmęczona. Po każdym skurczu leżała jak nieżywa, a czasami nawet zapadała w niespokojną drzemkę, jakby szukała w niej ucieczki przed cierpieniem. Potem, gdy nielitościwe bóle znowu chwyciły ją w kleszcze, budziła się z jękiem i obracała na bok, by chronić twardy zeszywniały brzuch.

– A może dziecko leży... odwrotnie? – podsunęłam nieśmiało. Bałam się obrazić do świadczoną akuszerkę niewczesnymi sugestiami.

Jednak pani Martins nie wydawała się obrażona moją ingerencją. Spojrzała na rodzącą, a zmarszczki między brwiami nieco się pogłębiły.

Po kolejnym skurczu podniosła kołdrę i koszulę nocną Jenny, po czym gwałtownie zabrała się do roboty. Wprawnymi palcami naciskała ogromny, wydęty brzuch. Badanie trochę się przeciągnęło, bo ucisk wywoływał nowe skurcze. Wreszcie akuszerka wyprostowała się i przez chwilę patrzyła w zamyśleniu na Jenny, nieświadomie postukując obcasem w podłogę. Nagle wijąca się w bólach położnica szarpnęła prześcieradło, które rozdarło się z głośnym trzaskiem.

To przechyliło szalę. Pani Martins ruszyła ku Jenny zdecydowanym krokiem, wzywając mnie gestem.

– Odchyl ją nieco, dziewczyno – rzuciła, nic sobie nie robiąc z krzyków Jenny.

Przypuszczam, że już nieraz słyszała podobne wrzaski. Gdy skurcz ustał, przystąpiła do akcji: chwyciła dziecko przez rozluźnione na chwilę ściany łona i nacisnęła na maleńkie ciało, usiłując je obrócić. Jenny wrzasnęła i rzuciła się w moim uścisku. Rozpoczął się następny skurcz.

Pani Martins podjęła nową próbę. I jeszcze jedną. I znowu. Jenny, nie potrafiąc powstrzymać parcia, traciła siły w zastraszającym tempie.

I nagle się udało. Usłyszałam dziwny chłopot. Bezkształtna bryła obróciła się pod naciskiem dłoni pani Martins. Brzuch Jenny natychmiast zmienił kształt, po czym wszystko zaczęło się toczyć utartym torem.

– Teraz przyj. – Jenny wykonała rozkaz, a pani

Martins uklękła przy łóżku.

Najwyraźniej ujrzała jakieś postępy, bo wstała i pospiesznie chwyciła buteleczkę, którą postawiła na stole. Natłuściła palce kroplą płynu podobnego do oleju i zaczęła delikatnie masować ciało pomiędzy nogami swojej pacjentki.

Jenny wydała z siebie gwałtowny, gardłowy dźwięk protestu, lecz pani Martins odtrąciła jej dłoń. Położnica zamarła w bezruchu, a akuszerka rozpoczęła delikatny masaż, łagodnie przemawiając do rodzącej. Zapewniała, że teraz wszystko już będzie dobrze, musi tylko odpocząć, a potem... przeć!

Przy następnym skurczu pani Martins położyła dłoń na brzuchu Jenny i mocno przycisnęła. Jenny krzyknęła, ale akuszerka nie cofnęła ręki, dopóki skurcz nie minął.

– Następnym razem naciskaj razem ze mną – rzuciła do mnie. – Już prawie koniec.

Położyłam ręce na dłoniach pani Martins i na sygnał napałam na nie bardzo mocno.

Jenny wydała z siebie niskie, tryumfalne sieknięcie i pomiędzy jej nogami pojawił się nagle oślizły pęcherz. Rozprostowała nogi, nateżyła się jeszcze bardziej i Margaret Ellen Murray wydostała się na świat jak wystrzelona z procy.

Nieco później, gdy obmyłam spoconą twarz Jenny, wyjrzałam przez okno. Świtało.

– Już dobrze – odezwała się Jenny. – Już dobrze.

Szeroki uśmiech szczęścia, którym powitała pojawienie się córeczki, zmienił się w spokojny wyraz

głębokiej satysfakcji. Niepewną ręką dotknęła mojego rękawa.

– Idź do Iana, powiedz mu – szepnęła. – Pewnie się zamartwia.

Na moje oko wyglądało to całkiem inaczej. Gabinet, w którym schronili się Ian i Jamie, wyraźnie świadczył o odbywającej się właśnie hulance. Na szafce stała pusta karafka w otoczeniu kilku butelek, a w powietrzu wisiał mocny odór alkoholu, gęsty jak chmura.

Dumny ojciec najwyraźniej zasnął z głową opartą na biurku dziedzica. Sam dziedzic jeszcze pozostawał wśród przytomnych, choć miał przekrwione oczy i z trudem unosił opadające powieki.

Zbliżyłam się do biurka jak śnieżna nawałnica, oburzona gorszącym widokiem.

Złapałam Iana za ramię. Potrząsnęłam nim mocno, ignorując Jamiego, który na mój widok wstał i odezwał się:

– Angielko, czekaj...

Ian nie był nieprzytomny. Niechętnie uniósł głowę; spojrzałam prosto w ściągniętą, zmartwiałą twarz i błędne, błagalne oczy. Nagle zdałam sobie sprawę, że sądzi, iż przyszedłam z wieścią o śmierci Jenny.

Rozluźniłam chwyt i delikatnie poklepałam szczęśliwego ojca po ramieniu.

– Jenny czuje się dobrze – powiedziałam miękko. – Masz córeczkę.

Ian znowu położył głowę na biurku. Jamie głaskał szwagra. Wysłałam cicho.

Kiedy wszyscy doprowadzili się do porządku,



rodzina Murrayów– Fraserów zebrała się w pokoju Jenny na uroczystą kolację. Mała Margaret, pięknie umyta i owinięta w kocyk, została przekazana ojcu, który ujął swoją latorośl z wyrazem wniebowzięcia i głębokiego szacunku.

– Witaj, Maggie – szepnął, dotykając czubkiem palca małego noska.

Jego córka, obojętna wobec powitalnych uprzejmości, zamknęła oczy ze skupieniem, zeszytywniała i obsiusiała koszulę ojca.

Mały Jamie, wykorzystując krótki wybuch wesołości, umknął z objęć pani Crook i rzucił się na łóżko matki. Jenny jęknęła cicho, ale wyciągnęła ku niemu rękę i przytuliła go do siebie, rzucając gospodyni uspokajające spojrzenie.

– Moja mamusia! – zawołał z naciskiem Jamie i mocniej wtulił się w ramiona Jenny.

– A niby czyja? – powiedziała rozsądnie. – Mój chłopczyk. – Pocałowała dziecko w czubek głowy. Jamie odprężył się, znów pewny siebie. Delikatnie ułożyła malucha na poduszce i pogładziła po włosach.

– Śpij – szepnęła z uśmiechem. – Już dawno powinieneszbyć w łóżku. Śpij.

Chłopczyk, uspokojony, włożył kciuk do buzi i zasnął jak kamień. Jamie dowiedział, iż ma doświadczenie w trzymaniu noworodków; mała kosmata główka legła na jego wielkiej dłoni jak piłka tenisowa. Brat z wyraźnym ociąganiem oddał dziecko siostrze.

Wreszcie wróciliśmy do naszej komnaty, bardzo cichej i pustej w porównaniu z pokojem Murrayów, ciepłą

rodzinną atmosferą, Ian klęczał przy łożu żony, trzymając rękę na głowie małego Jamiego, a Jenny karmiła córeczkę. Po raz pierwszy od długiego czasu zdałam sobie sprawę, jak bardzo jestem zmęczona. Od nocnej wizyty Iana minęły dwadzieścia cztery godziny.

Jamie zamknął cicho drzwi. Bez słowa podszedł i zaczął mi rozpinąć suknię. Objął mnie, a ja z ulgą oparłam się o jego pierś. Pochylił się nade mną; odwróciłam się i zarzuciłam mu ręce na szyję. Czułam nie tylko wielkie zmęczenie, lecz także tęsknotę i smutek.

– Może to dobrze – powiedział powoli Jamie, jakby do siebie.

– Co masz na myśli?

– Że jesteś bezpłodna. – Nie widział mojej twarzy, ukrytej na jego piersi, lecz z pewnością poczuł, że zeszytniałam. – Tak, wiedziałem to od dawna. Geilis Duncan mi powiedziała tuż po naszym ślubie. – Delikatnie pogłaskał mnie po plecach. – Z początku trochę tego żałowałam, lecz potem się pogodziłam. Życie tutaj byłoby dla ciebie bardzo trudne, gdybyś musiała nosić dziecko. A teraz... – wzdrygnął się lekko – teraz jestem z tego nawet zadowolony. Nie zniósłbym, gdybyś tak cierpiała.

– Mnie by to nie przeszkadzało – odezwałam się po długiej chwili. Myślałam o okrągłym puchatym łebku i malutkich paluszkach.

– A mnie tak. – Ucałował moją głowę. – Widziałem twarz Iana. Za każdym razem, gdy Jenny krzyczała, można by powiedzieć, że ciało mu krwawiło. – Objęłam Jamiego, pogładziłam zgrubiałe blizny na jego plecach. – Mogę

znieść własny ból – dodał cicho – lecz nie twój. Do tego trzeba niewyobrażalnej siły.

Jenny szybko doszła do siebie i już następnego dnia po porodzie uparła się zejść na dół. Pod wpływem połączonych sił Iana i Jamiego niechętnie dała się odwieść od pracy i ograniczyła się do nadzorowania wszystkiego z sofy w salonie, gdzie spoczęła obok kołyski Margaret.

Mimo to bezczynność wyraźnie jej ciążyła, gdyż nie minęło parę dni, a zawędrowała do kuchni, a potem do ogrodu.

Siedząc na murku z niemowlakiem w beciku, dotrzymywała mi towarzystwa, gdy jednocześnie starałam się wrywać zeschnięte winorośle i pilnować wielkiego kotła, w którym wcześniej gotowało się pranie. Pani Crook i służące wyjęły już z niego ubrania, ja czekałam tylko, aż woda wystygnie na tyle, by ją wylać.

Jamie junior „pomagał” mi, z zapalem wyszarpując z ziemi rośliny i rozrzucając patyki we wszystkich kierunkach. Zawołałam ostrzegawczo, kiedy zbliżył się za blisko do kotła, a gdy nie posłuchał, popędziłam za małym urwisem. Na szczęście wielki gar ostygł szybko; woda była już zaledwie ciepła. Nakazałam Jamiemu wrócić do matki, chwyciłam kocioł z żelaznego rusztowania i przechyliłam go raptownie. Woda chlusnęła na ziemię, parując w chłodnym powietrzu. Odskokczyłam; mały Jamie, siedzący w kucki tuż obok mnie, z radością wsadził obie rączki w ciepłe błoto, zamachał nimi i obryzgał całą moją spódnicę.

Jenny zeskoczyła z murka, chwyciła syna za

kołnierz i wymierzyła mu mocnego klapsa w pupę.

– Coś ty narobił, gillel Spójrz na siebie! Tę koszulę znowu trzeba uprać! I przyjrzyj się, jak wygląda spódnica cici, ty łobuziaku!

– Nic nie szkodzi – zaprotestowałam, widząc drżące usta winowajcy.

– A mnie szkodzi – mruknęła Jenny i rzuciła synowi przeszywające spojrzenie. – Przepros cicię, młody człowieku, a potem wracaj do domu i powiedz pani Crook, żeby zmieniła ci ubranie. – Poklepała malucha po siedzeniu, tym razem delikatnie, i popchnęła w kierunku domu.

Ledwie zdążyliśmy się odwrócić, od strony gościńca dobiegł nas tętent kopyt.

– To pewnie Jamie – rzuciłam, nasłuchując. – Ale jakoś wcześniej.

Jenny pokręciła głową, wpatrzona w drogę.

– To nie jego koń.

Wierzchovec, który ukazał się na szczycie wzgórza, nie pochodził z tutejszej stajni.

Jenny przyglądała się niespokojnie ze zmarszczonymi brwiami. Ale jeździec okazał się nam dobrze znany. Jenny znieruchomiała, po czym nagle rzuciła się ku bramie, mocno ściskając w ramionach niemowlę.

– To Ian! – zawołała do mnie.

Ian miał podarte ubranie i posiniaczoną twarz. Jeden z siniaków na czole był opuchnięty, z paskudnie rozciętej brwi sączyła się krew. Jenny chwyciła męża pod rękę, gdy ześliznął się na ziemię. Dopiero wtedy dostrzegłam, że jego

proteza zniknęła.

– Jamie... – wykrztusił. – Koło młyna wpadliśmy na straż. Czekali na nas. Wiedzieli, że przyjedziemy.

Poczułam ściskanie w żołądku.

– Żyje?

Ian skinął głową, z trudem łapiąc powietrze.

– Tak. I nie jest ranny. Zabrali go na zachód, ku

Killin.

Jenny badała twarz Iana.

– Co oni ci zrobili?

Pokręcił głową.

– Nic poważnego. Zabrali mi tylko konia i nogę. Nie musieli mnie zabijać, bym za nimi nie pojechał.

Jenny zerknęła na horyzont. Słońce wisiało tuż nad drzewami. Pewnie jest koło czwartej, pomyślałam, Ian spojrział w tym samym kierunku i uprzedził jej pytanie.

– Spotkaliśmy ich w południe. Przez dwie godziny szukałem konia.

Jenny przez chwilę stała w milczeniu, zamyślona. Wreszcie podjęła jakąś decyzję.

– Claire, pomóż Ianowi dojść do domu. Opatrz mu rany najszybciej, jak możesz. Ja oddam dziecko pani Crook i sprowadzę konie. Zniknęła, zanim któreś z nas zdążyło zaprotestować.

– Chyba nie chciała... nie, to niemożliwe! – zawołałam. – Nie może zostawić dziecka!

Ian opierał się ciężko na moim ramieniu. Pokręcił głową.

– Masz rację. Ale z pewnością nie pozwoli także, by

Anglicy powiesili jej brata.

O zmierzchu dotarliśmy do miejsca, w którym Jamie i Ian wpadli w pułapkę. Jenny zeskoczyła szybko z konia i zaczęła myszkować w krzakach jak mały terier. Odsuwała sobie gałęzie z drogi i mruczała pod nosem coś, co łudząco przypominało przekleństwa jej brata.

– Na wschód – oznajmiła wreszcie, wyłaniając się spomiędzy drzew, podrapana i brudna. Otrzeпаła spódnice z zeschniętych liści i wyjęła wodze z mojej zdrętwiałej dłoni. – Nie możemy za nimi jechać w ciemnościach, lecz przynajmniej wiemy, gdzie się kierować, gdy nadejdzie świt.

Rozbiliśmy obóz i rozpaliliśmy niewielkie ognisko. Patrzyłam z podziwem na jej sprawne ruchy. Uśmiechnęła się.

– Kiedy byliśmy dziećmi, zmuszałam Jamiego i Iana, by mnie uczyli różnych rzeczy.

Jak rozpać ognisko, jak się wspinać po drzewach... nawet jak opawiać zwierzęta. I je tropić.– Zerknęła w kierunku, w którym odjechała straż. – Nie martw się, Claire.

Dwadzieścia koni nie ujedzie daleko w tych chaszczach, lecz dwa dogonią grupę bez trudu. Wygląda na to, że straż podąża w stronę Eskadale. Pojedźmy na skrót przez wzgórze. Złapiemy ich koło Midmains.

Zaczęła delikatnie rozpać stanik. Przyglądałam się w zdumieniu, jak rozchyła jego poły i unosi koszulę. Zobaczyłam bardzo duże i opuchnięte piersi, pełne mleka. Do tej pory w ogóle się nie zastanawiałam, co robi

karmiąca matka, jeśli zostanie rozłączona z dzieckiem.

– Nie mogę opuścić Maggie na długo – odparła w odpowiedzi, jakby czytała w moich myślach. Ujęła pierś i skrzywiła się. – Zaraz mi pęknie. – Niemal natychmiast z powiększonej brodawki zaczęło kapać mleko, rzadkie i błękitnawe.

Jenny wyciągnęła z kieszeni sporą chustkę i włożyła ją pod pierś. Wyjęła z juków cynowy kubeczek, przycisnęła go do brodawki i ścisnęła ją delikatnie, dwoma palcami.

Mleko zaczęło spływać szybciej, a potem nagle otoczka wokół brodawki skurczyła się i pokarm bluznął z zaskakującą siłą.

– Nie miałam pojęcia, że to tak jest! – wybuchnęłam, wpatrując się z fascynacją.

Jenny podsunęła kubeczek pod strumyk mleka i skinęła głową.

– Właśnie tak. Dziecko musi zacząć ssać, lecz kiedy mleko już płynie, maleństwo nie ma do roboty nic więcej, jak tylko łykać. O, już lepiej. – Zamknęła oczy z ulgą i wylała zawartość kubka na ziemię. – Marnotrawstwo, lecz nie ma innej rady.

Przystawiła naczynie do drugiej piersi i rozpoczęła operację od nowa.

– Same problemy – odezwała się, gdy podniosła głowę i zobaczyła, że nadal się w nią wpatruję. – Wszystko, co się łączy z dziećmi, to jedynie kłopoty. A jednak nigdy z nich nie rezygnujesz.

– Tak – powiedziałam cicho. – Nie można zrezygnować.

Zerknęła na mnie życzliwie i z troską.

– Jeszcze nie przyszła na ciebie pora, lecz i ty doczekasz się potomstwa.

Roześmiałam się nieco drżącym głosem.

– Najpierw znajdziemy przyszłego ojca.

Jenny opróżniła kubek i zapięła suknię.

– O, na pewno go znajdziemy. Jutro. Musimy, bo nie mogę zostawić córeczki tak długo samej.

– A kiedy już spotkamy straż? Co wtedy?

Wzruszyła ramionami i sięgnęła po koce.

– To zależy od Jamiego. I od tego, do czego ich sprowokował.

Jenny miała rację; następnego dnia dogoniłyśmy oddziałek straży. Opuściliśmy obóz przedświtem. Po drodze robiłyśmy krótkie przerwy tylko na to, by mogła odciągnąć mleko. Jenny widziała ślady, które według mnie nie istniały, a ja szłam za nią ze ślełą ufnością. Wkrótce podróż przez gęste krzaki stała się nieznośnie trudna, lecz Jenny zapewniła mnie, że poruszamy się znacznie krótszą trasą niż straż, która musi szukać szlaku odpowiedniego dla tak dużej grupy.

Dogoniłyśmy oddział koło południa. Usłyszałam pobrzękiwanie uprzęży i spokojne, jakby znajome głosy. Wyciągnęłam rękę do idącej akurat za mną Jenny.

– Tam w dole jest bród na strumieniu – szepnęła. – Zdaje się, że stanęli, by napoić konie.

Zeskoczyła na ziemię, wzięła wodze obu koni i przywiązała je do drzewa. Potem skinęła na mnie i wśliznęła się pod gąszcz krzaków niczym wąż.



Z punktu obserwacyjnego, do którego mnie zaprowadziła, miałyśmy widok niemal na wszystkich członków straży. Siedzieli na ziemi i gawędzili ze sobą w grupkach. Niektórzy się pożywiali, inni prowadzili konie do wody. Nie widziałyśmy tylko Jamiego.

– Czy to możliwe, żeby go zabili? – rzuciłam zduszonym głosem.

Dwa razy przeliczyłam mężczyzn, żeby się upewnić, iż nikogo nie przeoczyłam. Grupa liczyła dwadzieścia osób i dwadzieścia sześć koni. Wszyscy strażnicy znajdowali się na otwartej przestrzeni. Nigdzie nie zauważyłam więźnia, nie dostrzegłam choćby błysku rudych włosów.

– Wątpię – mruknęła Jenny. – Lecz jest tylko jeden sposób, by to sprawdzić. – Zaczęła się wycofywać.

– Czyli?

– Spytać.

Za brodem droga robiła się węższa. Stawała się ledwie ścieżką pomiędzy gęstymi ścianami sosen i olch. Mogła pomieścić tylko jednego jeźdźca, więc członkowie straży jechali gęsiego.

Kiedy ostatni mężczyzna w szeregu zbliżył się do zakrętu, niespodziewanie spomiędzy drzew wystąpiła Jenny Murray. Zatrzymała się dokładnie przed koniem. Wierzchowiec spłoszył się, a jeździec pospieszenie chwycił mocniej cugle, by go opanować. Jednak zanim zdążył otworzyć usta i spytać o przyczyny tak irytującego zachowania, wyszłam z tyłu z zarośli i walnęłam mężczyznę mocno w potylicę kawałem grubej gałęzi.

Żołnierz, wzięty z zaskoczenia, zachwiał się, stracił równowagę i runął na ziemię. Nie stracił przytomności, cios jedynie strącił go z siodła. Jenny czym prędzej poprawiła to niedociągnięcie za pomocą sporego kamienia. Następnie chwyciła wodze i gwałtownie machnęła ręką.

– Szybko! – syknęła. – Zabierz go z drogi, zanim tamci się spostrzegą!

Gdy Robert MacDonald ze straży Glen Elrive odzyskał przytomność, był już mocno przywiązany do drzewa i spoglądał prosto w lufę pistoletu, dzierżonego przez rozwścieżoną siostrę więźnia.

– Co zrobiliście z Jamiem Fraserem? – spytała.

MacDonald potrząsnął głową z oszołomieniem. Najwyraźniej sądził, że nadal dręczą go majaki. Jednak te złudzenia rozwiały się bez śladu, gdy spróbował wstać. Po długim miotaniu przekleństw i gróźb zdołał wreszcie oswoić się z myślą, iż uwolni się jedynie wtedy, gdy odpowie na nasze pytania.

– Nie żyje – burknął z urazą. Potem, gdy palec Jenny zeszytniał na spuście pistoletu, dodał z nagłym przerażeniem: – To nie przeze mnie! Sam był sobie winien!

Jak się okazało. Jamie jechał z jednym ze strażników, z rękami skrepowanymi rzemieniem, pilotowany z obu stron. Wydawał się dość potulny, więc nie podjęli dodatkowych środków ostrożności przy przeprowianiu się przez rzekę za młynem.

– Ten przekłety głupiec rzucił się prosto na głęboką wodę – powiedział MacDonald, usiłując wzruszyć związanymi ramionami. – Strzelaliśmy i chyba dostał, bo

już się nie wyłonił. Szukaliśmy, ale nie znaleźliśmy ciała. Pewnie się dureń utopił i spłynął z prądem. A teraz bądźcie tak miłe, panie, i mnie rozwiążcie!

Dalsze przesłuchanie nie wydobyło ze strażnika żadnych innych szczegółów ani zmian opowieści, wobec czego zdecydowałyśmy się uznać przedstawioną nam wersję za prawdziwą. Jenny rozluźniła więzy, tak by po pewnym czasie mężczyzna zdołał się uwolnić.

Potem uciekłyśmy.

– Myślisz, że nie żyje? – wydyszałam, gdy dopadłyśmy naszych koni.

– Nie. Jamie pływa jak ryba i widziałam, że potrafi wstrzymać oddech przez trzy minuty. Chodź, przeszukamy brzeg rzeki.

Ruszyłyśmy na poszukiwania. Potykałyśmy się na kamieniach, rozchlapywałyśmy wodę na płycznach; gałęzie nadbrzeżnych wierzb drapały nam dłonie i twarze.

Wreszcie Jenny wydała tryumfalny okrzyk; zaczęłam biec do niej przez wodę, usiłując utrzymać równowagę na omszałych głazach dna strumienia, w tym miejscu płytkiego.

Jenny trzymała rzemienną pętlę, po jednej stronie zaplamioną krwią.

– Oswobodził się! – zawołała, zginając rzemień w dłoniach.

Spojrzała w kierunku, z którego przyszłyśmy, na strumień pełen ostrych jak noże kamieni, głębokich miejsc i spienionych katarakt. Pokręciła głową.

– Jak tego dokonałeś. Jamie? – szepnęła do siebie.

Niedaleko brzegu znalazłyśmy splechetek wygniecionej trawy – tu Jamie prawdopodobnie się położył, żeby odpocząć. Na korze pobliskiej olchy zauważyłam niewielką brązową smugę.

– Jest ranny – powiedziałam.

– Tak, lecz może iść – odparła Jenny, spoglądając na ziemię.

– Masz wprawę w tropieniu? – spytałam z nadzieją.

– Nie byłby ze mnie dobry myśliwy... – mruknęła i gestem nakazała mi, bym za nią szła – lecz gdybym nie potrafiła znaleźć śladu kogoś wielkości Jamesa Frasera, przedzierającego się przez zeschnięte paprocie, musiałabym być głupia i ślepa na dodatek.

Rzeczywiście, szeroka wydeptana ścieżka pomiędzy suchymi zbrązowiałymi pióropuszcami prowadziła wyraźnie po zboczku wzgórza i ginęła w gęstych wrzosach.

Obeszliśmy kępę krzewów, lecz nie znalazłyśmy dalszych śladów. Na nasze wołanie nikt nie odpowiedział.

– Uciekł – mruknęła Jenny.

Usiadła na pniu i zaczęła się wachlować rozłożystym liściem. Dopiero teraz dostrzegłam jej błąd i uprzytomniłam sobie, że porywanie i zastraszanie uzbrojonych żołnierzy nie jest najlepszym zajęciem dla kobiety, która nie dalej niż przed tygodniem urodziła dziecko.

– Jenny, musisz wracać. Zresztą Jamie mógł pojechać do Lallybroch.

Pokręciła głową.

– Nie, nie zrobiłby tego. Cokolwiek nam powiedział

MacDonald, straż nie podda się tak łatwo. Nie zrezygnuje z nagrody. Jeśli go jeszcze nie znaleźli, to dlatego, że ich wystrychnął na dudka, lecz z pewnością posłali kogoś, by miał oko na dwór, tak dla pewności. Nie, Jamie nie wróci do domu. – Powachlowała się znowu.

Dzień był chłodny, ale ona lekko się pociała, a na jej dekolcie wykwitły ciemne plamy.

Jenny podchwyciła moje spojrzenie i skinęła głową.

– Tak, będę musiała wracać. Pani Crook karmi Maggie kozim mlekiem i wodą z cukrem, lecz dzieciątko beze mnie nie da sobie rady... a ja bez niego. Choć naprawdę nie chcę cię opuszczać.

Prawdę mówiąc, myśl o poszukiwaniu po całej Szkocji mężczyzny, który mógł być wszędzie, niezbyt mnie zachwyciła. Mimo to zrobiłam dzielną minę.

– Jakoś sobie poradzę. Nie jest źle. Przynajmniej Jamie żyje.

– Tak. – Jenny spojrzała na słońce tuż ponad horyzontem. – Ale zostanę z tobą na noc.

Nie rozmawialiśmy ze sobą zbyt wiele, ale siedziałyśmy przytulone do siebie przy ognisku. Jenny myślała o porzuconym dziecku, ja zastanawiałam się, jak sobie dam radę, nie znając terenu ani tutejszego języka. Nagle Jenny podniosła gwałtownie głowę, nasłuchując. Ja także się wyprostowałam i wyteżyłam słuch – bezskutecznie. Spojrzałam w mroczne zarośla, lecz, chwała Bogu, nie zauważyłam w nich żadnych płonących oczu.

Kiedy znowu się odwróciłam do paleniska, Murtagh siedział przy ogniu i z niezmałym spokojem grzał sobie

ręce. Na mój okrzyk Jenny wykonała gwałtowny obrót i parsnęła krótkim śmiechem.

– Mógłbym wam obu poderżnąć gardła, zanim byście spojrzały we właściwym kierunku – zauważył mały człowieczek.

– Ach, naprawdę? – Jenny siedziała z podkulonymi nogami, trzymając się za kostki.

W ułamku sekundy sięgnęła pod spódnicę i błysnęła ostrzem sgiian dhu.

– Całkiem nieźle – pochwalił Murtagh, kiwając poważnie głową. – Czy mała Angielka jest równie szybka?

– Nie. – Jenny schowała sztylet za pończochą. – Dlatego dobrze, że z nią będziesz, Ian cię przysłał?

– Tak. Znalazłyście straż?

Przedstawiłyśmy mu nasze odkrycia. Przysięgłabym, że na wieść o ucieczce Jamiego usta Murtagha leciutko zadrgały, lecz nie odważyłabym się nazwać tego uśmiechem.

Jenny wstała i złożyła koc.

– Dokąd się wybierasz? – spytałam ze zdumieniem.

– Do domu. – Skinęła w stronę Murtagha. – Teraz on dotrzyna ci towarzystwa. Nie jestem już tu potrzebna, a są tacy we dworze, którzy mnie wypatrują.

Murtagh spojrział w niebo. Ubywający księżyc był ledwie widoczny przez chmury, a lekka mżawka szeleściła nad nami w gałęziach drzew.

– Wyruszysz rano. Zrywa się wiatr, przy takiej pogodzie nikt nie ujedzie daleko.

Jenny pokręciła głową i zaczęła wiązać chustkę na

głowie.

– Znam drogę. A jeśli nikt nie ujedzie daleko, to i nikogo nie spotkam na gościńcu.

Murtagh westchnął niecierpliwie.

– Jesteś tak samo uparta jak ten baran, twój brat. Nie musisz się spieszyć. Wątpię, by twój stary wziął sobie przez ten czas nierządnicę.

– Widzisz nie dalej niż koniec swego nosa – warknęła Jenny. – A skoro jeszcze nie wiesz, że lepiej nie stawać pomiędzy karmiącą matką a głodnym dzieckiem, to nie masz dość rozumu, by pasać świnie, a co dopiero szukać człowieka.

Murtagh uniósł obie ręce.

– W porządku, rób, jak chcesz. Nie rozumiem, dlaczego chciałem przemówić do rozsądku takiej głupiej kozie. Pewnie szukam guza.

Jenny roześmiała się niespodziewanie. W jej policzkach ukazały się dwa małe dołeczki.

– Niewiele brakowało, a byś go znalazł, ty stary hultaju. – Dźwignęła z ziemi ciężkie siodło. – Zajmij się dobrze moją bratową i daj nam znać, gdy odszukacie Jamiego.

– A właśnie – odezwał się Murtagh, gdy zaczęła siodłać konia. – W domu znajdziesz nową dziewczkę kuchenną.

Jenny odwróciła się i powoli odłożyła siodło.

– A kogóż to?

– Wdowę MacNab – powiedział zimno.

Przez chwilę stała nieruchomo; tylko wiatr szarpał

jej chustką i płaszczem.

– Co się stało? – spytała wreszcie.

Murtagh podszedł do Jenny, podniósł siodło, zarzucił je na koński grzbiet i dociągnął popręg.

– Pożar – mruknął, dokonując ostatnich poprawek. – Uważaj, gdy będziesz mijać pole, popioły są jeszcze ciepłe.

Pochylił się i splótł dłonie, by mogła na nich oprzeć stopę, lecz ona pokręciła głową i wzięła wodze. Wyciągnęła do mnie rękę.

– Zechciej mnie odprowadzić, Claire.

Z dala od ogniska powietrze było zimne. Spódnice, przemoknięte od siedzenia na ziemi, oklejały mi nogi i przeszkadzały iść. Jenny pochyliła głowę, idąc pod wiatr, lecz widziałam jej profil i blade, zaciśnięte usta.

– To MacNab wydał Jamiego? – spytałam wreszcie.

Powoli pokiwała głową.

– Tak. Ian lub ktoś inny się tego dowiedział... zresztą nieważne, kto.

Był późny listopad, dawno po dniu Guya Fawkesa, lecz nagle nawiedziła mnie wizja ognia, płomieni pełzających po drewnianych ścianach, pożerających strzechę, z rykiem wdzierających się do środka i rozpętyjących piekło. I człowieka, który siedział skulony w popiołach. Postać rozpadła się na proch przy pierwszym podmuchu zimnego wiatru w skorupie domu. „Pomiędzy sprawiedliwością i okrucieństwem jest czasami cienka granica”.

Zdałam sobie sprawę, że Jenny przygląda mi się otwarcie z pytającym wyrazem twarzy. Skinęłam głową.



Stałyśmy razem – przynajmniej w tym przypadku – po tej samej stronie ponurej granicy.

Zatrzymałyśmy się na szczycie wzgórza, skąd Murtagh wyglądał jak czarna kropeczka. Jenny przez chwilę grzebała w kieszeni spódnicy, po czym wcisnęła mi w dłoń małą skórzaną sakiewkę.

– Pieniądze z Dnia Czynszowego. Mogą wam być potrzebne.

Usiłowałam je oddać. Mówiłam, że Jamie nie chciałby przyjąć pieniędzy potrzebnych na zarządzanie majątkiem, lecz Jenny jakby mnie nie słyszała. Choć była o połowę niższa od Jamiego, znacznie przewyższała go uporem.

Poddałam się, pogiębiona, i schowałam bezpiecznie sakiewkę w fałdach własnego ubrania. Przyjęłam także sgian dhu, który mi włożyła w rękę.

– To Iana, lecz on ma drugi – oznajmiła. – Wsadź za pończochę i przytrzymaj podwiązką. Nie wyjmuj go nawet na czas snu. Zamilkła z wahaniem. Najwyraźniej chciała coś jeszcze dodać. – Jamie wspomniał... – zaczęła ostrożnie – że mogłabyś...

o czymś mi powiedzieć. A gdybyś to zrobiła, kazał mi cię posłuchać. Czy... jest coś, o czym powinnam wiedzieć?

Rozmawiałam z Jamiem o konieczności przygotowania Lallybroch i jego mieszkańców na nadchodzącą katastrofę powstania. Sądziłyśmy, że mamy na to jeszcze czas. Teraz okazało się, że zostało mi zaledwie parę minut, podczas których muszę ostrzec szwagierkę

przed nadciągającą zawieruchą.

Prorokowanie to bardzo niewdzięczne zajęcie, pomyślałam po raz kolejny. Poczułam wyraźne współczucie dla Jeremiasza. Zrozumiałam także dokładnie, dlaczego Kasandra nie cieszyła się popularnością. No cóż, nie miałam innego wyjścia. I tak, na szczycie wzgórza, w noc wietrzną, że aż włosy i spódnice trzepotały wokół mnie jak żagle, zwróciłam twarz ku chmurnemu niebu i rozpoczęłam przepowiednię.

– Zasadź ziemniaki.

Jenny lekko otworzyła usta, lecz zaraz je zacisnęła i energicznie skinęła głową.

– Ziemniaki. Dobrze. Sprzedają je dopiero w Edynburgu, lecz pošlę tam kogoś. Ile?

– Ile tylko zdołasz. Na razie nie są tu popularne, lecz wkrótce będą. Mają jadalną bulwę, którą można długo przechowywać, a dają obfitsze plony niż zboża. Przeznacz jak najwięcej ziem pod uprawę roślin, które wystarczą na długo. Za dwa lata zapanuje tu głód, ogromny głód. Jeśli posiadacie jakieś majątki, które nie przynoszą zysków, sprzedajcie je... za złoto. Wybuchnie wojna, zginą setki ludzi. Inni będą ścigani w całych górach. – Zamyśliłam się.

– Czy macie podziemne lochy?

– Nie, dwór został zbudowany sporo po czasach lorda Cromwella.

– Więc wykopcie lub zbudujcie jakąś bezpieczną kryjówkę. Mam nadzieję, że Jamie nie będzie jej potrzebować... – gardło ścisnęło mi się na samą tę myśl – ...lecz może przy da się komuś innemu.

– Dobrze. To wszystko? – Jenny patrzyła na mnie poważnie, ze skupieniem.

Pobłogosławiłam Jamiego za przezorność, a ją za zaufanie do brata. Nie dopytywała się o nic, tylko zapamiętywała każde moje słowo i czułam, że skrupulatnie wykona wszystkie polecenia.

– Wszystko. Przynajmniej na razie; nic więcej nie przychodzi mi do głowy. – Usiłowałam się uśmiechnąć, lecz efekt tych starań nie przekonał nawet mnie samej.

Jenny udało się lepiej. Musnęła mój policzek na pożegnanie.

– Idź z Bogiem, Claire. Wkrótce znowu się spotkamy... gdy przyprrowadzisz Jamiego do domu.

Bez względu na wszelkie wady cywilizacji, pomyślałam ponuro, nie można odmówić jej pewnych zalet. Weźmy na przykład telefony. Albo gazety, które są dość popularne w takich metropoliach, jak Edynburg czy nawet Perth, za to całkowicie nieznanie w głuszy szkockich gór.

Bez środków masowego przekazu wieści rozchodziły się od jednej osoby do drugiej z prędkością idącego człowieka. Ludzie na ogół uzyskiwali potrzebne informacje, ale z kilkutygodniowym opóźnieniem. Ja musiałam odnaleźć Jamiego, a jedyną szansę ustalenia miejsca pobytu męża widziałam w tym, że ktoś go spotka i przekaże wiadomość do Lallybroch. Mogło to nastąpić po wielu tygodniach. A już wkrótce na dobre zacznie się zima, która uniemożliwi podróż do Beaulieu. Siedziałam więc, dokładając do ognia i rozważając wszelkie możliwości.

Jaką trasę wybrałby Jamie po ucieczce? Z

pewnością nie udałby się z powrotem do Lallybroch i prawie na pewno nie na pomoc, na ziemię MacKenziech. Na południe, ku granicy, gdzie mógłby ponownie spotkać Hugh'a Munro albo któregoś z dawnych kompanów? Nie, najprawdopodobniej wyruszył na północny wschód, w kierunku Beaulieu.

Ale jeżeli ja na to wpadłam, straż także wywęszy ten trop.

Murtagh wrócił z wypadu w okoliczne knieje. Zwalił na ziemię pełne naręcze drewna i usiadł ze skrzyżowanymi nogami na kawałku swojego szala. Resztą grubego materiału okręcił się szczelnie, żeby osłonić się przed zimnem. Rzucił okiem na niebo, gdzie księżyc przeświecał przez pędzone wiatrem chmury.

– Na razie śnieg jeszcze nie spadnie – powiedział marszcząc brwi. – Sypnie za tydzień albo za dwa. Może dotrzemy już wtedy do Beaulieu.

Cóż, to miło, że potwierdza moje przypuszczenia, pomyślałam.

– Myślisz, że go tam znajdziemy?

Mały człowieczek wzruszył ramionami i ciałem owinał się szalem.

– Trudno powiedzieć! Podróż nie będzie dla niego łatwa. Musi ukrywać się we dnie i omijać z daleka gościńce. No i nie ma wierzchowca. – W zamyśleniu poskrobał się po szorstkim zarostku. – Nie mamy rady go znaleźć, lepiej pozwólmy, żeby on nas odszukał.

– W jaki sposób? Wystrzelimy raketę? – zasugerowałam tonem pełnym sarkazmu.

Murtagh miał niewątpliwie jedną bardzo pozytywną cechę: bez względu na to, jak nieodpowiednią rzecz powiedziałam, potrafił zachować się tak, jakbym w ogóle się nie odzywała.

– Przywiozłem trochę twoich medykamentów – powiedział i machnął głową w kierunku juków leżących na ziemi. – Masz w Lallybroch ustaloną reputację, w większości wsi znają cię już jako uzdrowicielkę. Pokiwałam głową do własnych myśli. – Tak, to dobry pomysł – oświadczył w końcu i bez dalszych wyjaśnień położył się, zwinął w szal i spokojnie zasnął, ignorując wiatr gwizdzący wśród drzew, drobną mżawkę oraz mnie.

Już wkrótce się przekonałam, o co mu chodziło. Podróżowaliśmy jawnie – i powoli – wzdłuż głównych dróg. Zatrzymywaliśmy się w każdej mijanej zagrodzie, wiosce i osadzie. Murtagh szybko robił przegląd lokalnej populacji, zbierał wszystkich chorych lub rannych i przyprowadzał ich do mnie na leczenie. Lekarzy w tych stronach było niewielu i na ogół przebywali daleko, więc zawsze znajdował się ktoś, kto potrzebował pomocy.

Podczas gdy ja zajmowałam się pacjentami i przyrządzaniem mikstur, on plotkował leniwie z przyjaciółmi i krewnymi chorego, zawsze starannie opisując trasę naszej podróży do Beaulieu. Jeżeli w danym miejscu nie było akurat żadnych osób z dolegliwościami, i tak przystawaliśmy tam na noc. W chacie lub gospodzie, gdzie znaleźliśmy schronienie Murtagh śpiewał, żeby zabawić gospodarzy oraz zarobić na kolację. Uparcie nalegał, żebym zachowała pieniądze, jakie ze sobą miałam

na wypadek, gdyby okazały się potrzebne po odnalezieniu Jamiego.

Mały człowieczek, nie mając naturalnych skłonności do rozmowy, w czasie naszych mozolnych wędrówek nauczył mnie kilku piosenek.

– Masz niezły głos – zauważył któregoś dnia po umiarkowanie udanej mojej próbie zaśpiewania „Głębokich grot Yarrow”. – Nie jest wyszkolony, ale silny i dosyć dźwięczny Spróbuj raz jeszcze, a dzisiaj wieczorem zanucimy tę pieśń razem. W Limraigh jest niewielka gospoda.

– Naprawdę myślisz, że uda się nam osiągnąć zamierzony cel? – zapytałam.

Poprawił się w siodle, zanim odpowiedział. Nie był urodzonym jeźdźcem i zawsze wyglądał jak mała nauczona jazdy konnej, ale kiedy zsiadał z wierzchowca pod koniec dnia, wyglądał równie świeżo jak o poranku. Mnie natomiast ledwo starczało sił, by spętać konia. Po dokonaniu tego wyczynu kuśtykałam ciężko do najbliższego miejsca, w którym mogłam zważyć się ciężko na ziemię.

– O tak – odezwał się w końcu. – Prędzej czy później. Pomagasz wielu chorym ludziom, prawda? – Przyznałam mu rację. – Dobrze więc – powiedział z satysfakcją. – Wieści o twoich umiejętnościach szybko się rozejdą. A tego właśnie nam potrzeba. Tylko jeszcze wzmocnimy efekt. Dlatego właśnie zaśpiewasz dziś wieczorem. I może... – zawahał się, jakby było coś, czego obawiał się zaproponować.

– Może co?

– Znasz się chociaż trochę na wróżeniu? – zapytał ostrożnie.

Zrozumiałam powód jego wahania; widział zaciekleść, z jakąścigano czarownice w Cranesmuir. Uśmiechnęłam się.

– Odrobinę. Chcesz, żebym spróbowała?

– Tak. Im więcej zaoferujemy, tym więcej ludzi przyjdzie nas zobaczyć. Potem opowiedzą o naszych dokonaniach innym. Wieści rozejdą się po okolicy, aż chłopak je usłyszy. Wtedy go znajdziemy. Jesteś gotowa podjąć próbę?

Wzruszyłam ramionami.

– Jeżeli to pomoże, dlaczego nie?

Tego wieczora w Limraigh zadebiutowałam jako śpiewaczka i wróżka – ze znacznym sukcesem. Odkryłam, że pani Graham miała rację – to twarze, a nie dłonie dają niezbędne wskazówki.

Nasza sława z wolna sięgała coraz dalej. W końcu po tygodniu ludzie wybiegali z chat, żeby nas powitać, kiedy wjeżdżaliśmy do wioski. Na odjezdnym dostawaliśmy miedziaki i drobne podarunki.

– Wiesz, naprawdę moglibyśmy z tego żyć – zauważyłam któregoś wieczora po przeliczeniu całodziennego zarobku. – Szkoda, że w okolicy nie ma teatru, wystawilibyśmy nusical: „Magik Murtagh i Jego Niezwykła Asystentka Gladys”

Murtagh potraktował tę uwagę z właściwą mu cichą obojętnością, ale miałam rację naprawdę byliśmy zgraną

parą. Może dlatego, że zjednoczyło nas wspólne zadanie, podstawowe różnice osobowości po prostu się zatarty.

Pogoda z każdym dniem stawała się gorsza. Poruszaliśmy się coraz wolniej i wciąż nie mieliśmy żadnych wieści od Jamiego. Pewnego wieczoru za Belladrum spotkaliśmy się z taborem prawdziwych Cyganów.

Z niedowierzaniem zamrugałam oczyma na widok jaskrawo pomalowanych wozów stojących na polanie nieopodal gościńca. Niewielkie barwne skupisko do złudzenia przypominało biwak cygański, który rokrocznie pojawiał się w Hampstead Down.

Ludzie też wyglądali podobnie. Byli smagli, weseli, głośni i gościnni. Na dźwięk pobrzękiwania uprząży naszych wierzchowców z okna jednego z wozów wychyliła się kobieta. Przez chwilę nas oglądała, potem coś wykrzyknęła, a ziemia pod drzewami nagle ożyła mrowiem roześmianych śniadych twarzy.

– Daj mi sakiewkę, u mnie będzie bezpieczna, – powiedział Murtagh. Bez cienia uśmiechu przyglądał się młodemu mężczyźnie, który zdążył w naszym kierunku z wesołą obojętnością wobec deszczu przesiąkającego przez jego barwną koszulę. – nie odwracaj się do nikogo plecami.

Zachowałam ostrożność. Jednak wbrew obawom Murtagha przywitano nas bardzo serdecznie i zaproszono do współuczestnictwa w cygańskiej kolacji. Osobliwie wyglądający gulasz pachniał smakowicie, więc z przyjemnością zabrałam się do jedzenia.

Zupełnie zignorowałam ponure rozważania



Murtagha dotyczące rodzaju stworzenia, które dostarczyło mięsa na gulasz.

Cyganie niezbyt dobrze mówili po angielsku, a jeszcze gorzej po celtycku; porozumiewaliśmy się głównie za pomocą gestów i pojedynczych słów w dialekcie o francuskim rodowodzie. W wozie, gdzie spożywaliśmy kolację, było ciepło i przytulnie; mężczyźni kobiety i dzieci jedli niedbale z misek, siedząc gdzie popadło. Kromkami chleba wycierali z naczyń smakowity sos. Był to najlepszy posiłek, jakim poczęstowano mnie w ciągu ostatnich tygodni, więc jadłam, aż poczułam, że pękam w szwach. Ledwie mogłam złapać oddech potrzebny do śpiewu, ale robiłam co w mojej mocy.

W trudniejszych miejscach jedynie pomrukiwałam, pozostawiając Murtaghowi ciągnięcie melodii.

Nasz popis przyjęto rzesistymi oklaskami. W rewanżu młody mężczyzna zanucił coś co brzmiało jak przerywany szlochem lament. Śpiew odbywał się przy akompaniamencie skrzypek, a niektóre partie były akcentowane dźwiękami tamburynu dzierzonego z powagą przez małą dziewczynkę w wieku około ośmiu lat.

Murtagh zachowywał się ostrożnie wypytujac ludzi w odwiedzanych przez nas wioskach i zagrodach, ale z Cyganami rozmawiał całkowicie szczerze. Ku mojemu zaskoczeniu powiedział im otwarcie, kogo szukamy: wysokiego mężczyzny o włosach niczym płomień i oczach jak letnie niebo. Cyganie wymienili spojrzenia, ale wszyscy jednomyślnie kręcili z żalem głowami. Nie, nikogo takiego nie widzieli. Przywódca, młody Cygan w

fioletowej koszuli, który wyszedł nam na powitanie, wykonał pantomimę obrazującą wypytanie posłańca w razie, gdyby napotkali poszukiwanego przez nas człowieka.

Skloniłam się z uśmiechem, a Murtagh z kolei pokazał przekazywanie z ręki do ręki pieniędzy za otrzymaną informację. Taki interes przyjęto z uśmiechniętymi twarzami ale też zamyślonymi spojrzzeniami. Ucieszyłam się, kiedy Murtagh podziękował za gościnę i stwierdził, że nie możemy zostać na noc, bo musimy podążać dalej. Wyplątał kilka monet ze sporrana, starannie uwydatniając fakt, że była w nim jedynie garstka miedziaków. Rozdał je w ramach zapłaty za kolację. Cyganie odprowadzali nas ciepłymi słowami pożegnania, wdzięczności i dobrych życzeń– a przynajmniej domyślałam się że o to właśnie chodziło.

W rzeczywistości mogli równie dobrze obiecywać, że pojedą naszym śladem, żeby poderżnąć nam gardła. I nas pozbawić życia. Poganiał konie do galopu, aż dotarliśmy do skrzyżowania dróg odległego o trzy kilometry. Potem na pewien czas zagłębiliśmy się w gęstej roślinności. Przedzieraliśmy się przez chaszczkę spory odcinek, zanim znowu wynurzyliśmy się na gościniec.

Murtagh rozejrzał się po szerokim trakcie, zupełnie pustym w ciemniejącym, przesiąkniętym deszczem zmierzchu.

– Naprawdę myślisz, że nas śledzili? – zapytałam ciekawie.

– No, nie wiem, ale ich jest tuzin, a nas dwoje, więc pomyślałem, że lepiej zachować ostrożność.

Uwaga brzmiała rozsądnie. Pojechałam za Murtaghiem, nie zadając już żadnych pytań. W końcu dotarliśmy do Rossmoor, gdzie znaleźliśmy schronienie w stodole.

Śnieg spadł następnego dnia. Lekko tylko pokrył ziemię białą podobną do mąki, ale i tak się zmartwiłam. Robiło mi się nieprzyjemnie na myśl o Jamiem, samotnym i pozbawionym schronienia na wrzosowisku. Musiał przeciwstawiać się zimowym zawiejom w koszuli i szalu – jedynym ubraniu, które miał na sobie.

Dwa dni później nadjechał posłaniec.

Słońce wciąż stało nad horyzontem, ale w osłoniętych skalnymi ścianami dolinach panował już wieczorny mrok. Cienie pod pozbawionymi liści drzewami nabrały takiej głębi, że ścieżka – czy też jej namiastka – była już niemal niewidoczna. Bojąc się stracić z oczu posłańca w zapadających ciemnościach, podeszłam tak blisko niego, że raz czy dwa razy nastąpiłam na ciągnącą się po ziemi połę jego płaszcza. W końcu z niecierpliwym pomrukiem odwrócił się i nakazał, żebym szła przed nim; położył mi na ramieniu ciężką dłoń i kierował mnie właściwą drogą przez zmierzch.

Wydawało się, że idziemy tak już od dłuższego czasu. Dawno straciłam rachubę zakrętów wśród wznoszących się gładów i gęstego, martwego poszycia. Mogłam tylko mieć nadzieję, że Murtagh jest gdzieś z tyłu i trzyma się w zasięgu słuchu, nawet jeśli nie w zasięgu wzroku. Mężczyzna, który przyjechał po mnie do gospody, był Cyganem w średnim wieku. Nie zgodził się, żeby

towarzyszył mu ktokolwiek inny. Stanowczo wskazał z emfazą najpierw na Murtagha, potem na ziemię, co oznaczało, że właśnie mały człowieczek ma zostać na miejscu.

Nocny chłód szybko przenika ciało o tej porze roku, a moja ciężka opończa stanowiła niewielką ochronę przeciw nagłym podmuchom lodowatego wiatru, który hulał na skrawkach otwartej przestrzeni. Ogarniało mnie zarówno przerażenie na myśl o Jamiem śpiącym w zimne i wilgotne noce bez schronienia, jak i podniecenie w oczekiwaniu na ponowne z nim spotkanie. Przez plecy przebiegł mi dreszcz nie mający nic wspólnego z wieczornym zimmem.

W końcu przewodnik kazał się zatrzymać, po czym ostrzegawczo ścisnął moje ramię, zszedł ze ścieżki i zniknął. Stałam z całą cierpliwością, na jaką mogłam się zdobyć, z dłońmi schowanymi pod pachy, żeby uzyskać choć odrobinę ciepła. Wiedziałam, że mój posłaniec – kimkolwiek był – na pewno powróci. Chociażby dlatego, że mu nie zapłaciłam. Wiatr szeleścił wśród martwych jeżyn niczym przebiegający obok duch sarny, wciąż jeszcze uciekający w przerażeniu przed myśliwym. Wilgoć przesiąkała przez szwy moich butów; osłona z tłuszczu wydry już się starła, a nie miałam okazji, żeby nałożyć nową.

Przewodnik pojawił się ponownie równie nagle, jak zniknął, aż musiałam ugryźć się w język, żeby powstrzymać okrzyk zaskoczenia. Szybkim machnięciem głowy nakazał mi podążać za nim i odsunął na bok kilka

martwych olch, żebym mogła przejść.

Wejście do jaskini było wąskie. Na skalnej półce paliła się pochodnia oświetlająca kontury wysokiej postaci. Kiedy wkroczyłam do jamy, tajemniczy osobnik odwrócił się w wejściu. Rzuciłam się naprzód, ale jeszcze zanim dotknęłam stojącego w mroku mężczyzny, zrozumiałam, że to nie Jamie. Rozczarowanie zabolowało mnie jak cios w żołądek. Musiałam odsunąć się na krok i kilka razy przełknąć ślinę, żeby usunąć twardą gułę, która urosła mi w gardle.

Zacisnęłam pięści i wbiłam je mocno w uda, aż poczułam się na tyle spokojna, że mogłam się odezwać.

– Dość daleko znalazłeś się od swojego terytorium, panie – powiedziałam niespodziewanym nawet dla siebie, opanowanym tonem.

Dougal MacKenzie obserwował moją walkę o odzyskanie kontroli nad sobą nie bez pewnej dozy sympatii na śniadym obliczu. Wziął mnie za ramię i poprowadził w głąb jaskini. Po jednej stronie leżała zwalona na kupę masa zawiniątek. Takiego bagażu nie mógł unieść jeden koń. A zatem Dougal nie był sam. I cokolwiek przewoził, wołał nie wystawiać tego na widok ciekawych spojrzeń właścicieli gospod i zajazdów.

– Szmugiel? – spytałam, robiąc ruch głową w kierunku tobołków. Potem pomyślałam chwilę i sama udzieliłam sobie odpowiedzi: – Nie, niezupełnie szmugiel. Towary dla księcia Karola, prawda?

Nie zadał sobie trudu, żeby odezwać choćby słowem, tylko usiadł naprzeciwko mnie na kamieniu i oparł

ręce na kolanach.

– Mam wieści – powiedział szorstko.

Wzięłam głęboki oddech i odruchowo napięłam mięśnie. Informacje nie były dobre, sądząc po wyrazie twarzy MacKenziego. Odetchnęłam raz jeszcze, przełknęłam ślinę i kiwnęłam głową.

– Mów.

– On żyje – stwierdził, a największa z lodowych brył w moim żołądku od razu się rozpuściła. Dougal przekrzywił głowę na bok i przyglądał mi się intensywnie. Sprawdzał, czy nie zemdleję? Zastanowiłam się nad tym przez chwilę. Nieważne, nie miałam takiego zamiaru. – Został pojmany w pobliżu Kiltorlity dwa tygodnie temu – oznajmił Dougal wciąż patrząc na mnie badawczo. – To nie jego wina, po prostu pech. Natknął się na sześciu dragonów na zakręcie ścieżki. Żaden z nich go nie rozpoznał.

– Jest ranny? – Mój głos wciąż brzmiał spokojnie, ale dłonie zaczęły się trząść.

Przycisnęłam je mocno do nóg, żeby powstrzymać drżenie. Dougal potrząsnął głową.

– Z tego, co słyszałem, to nie. – Zamilkł na chwilę.

– Jest w więzieniu Wentworth – powiedział niechętnie.

– Wentworth – powtórzyłam odruchowo. Więzienie Wentworth.

Kiedyś jedna z potężnych granicznych fortec, zbudowana pod koniec szesnastego wieku i rozbudowywana co jakiś czas przez następne sto pięćdziesiąt lat. Teraz rozpadająca się kupa skał zamknięta za wysokim na trzy metry ogrodzeniem ze zwietrzałego

granitu. Ale nawet w granitowych ścianach są bramy, pomyślałam.

Uniosłam wzrok, żeby zadać pytanie, i zobaczyłam niechęć wciąż wyraźną na twarzy Dougala.

– Co jeszcze? – zapytałam.

Spojrzenie orzechowych oczu bez wahania spotkało się z moim.

– Trzy dni temu został osądzony – rzekł Dougal. – skazany na powieszenie.

Znów poczułam w żołądku lodowatą grudę. Zamknęłam oczy.

– Kiedy? – zapytałam.

Mój własny głos wydał mi się daleki. Zamrugłam gwałtownie, żeby skupić wzrok na migającym świetle pochodni. Dougal potrząsnął głową.

– Nie wiem. Ale niedługo.

Oddychałam już trochę swobodniej i udało mi się rozluźnić zaciśnięte pięści.

– Więc lepiej się pospieszmy – powiedziałam, wciąż jeszcze spokojnie. – Ilu masz ze sobą ludzi?

Wyciągnął dłoń i pomógł mi wstać. Na jego twarz powrócił wyraz współczucia, a głęboka żalność na dnie jego oczu przeraziła mnie bardziej, niż wszystko, co do tej pory usłyszałam. Powoli pokręcił głową.

– Nie, dziewczyno – stwierdził cicho. – Nie możemy nic zrobić.

W panice wydarłam dłoń z jego mocnego uścisku.

– Możemy! – krzyknęłam głośno. – Musi być jakaś szansa! Mówiłeś, że Jamie wciąż żyje!

– Ale powiedziałem też, że wyrok zostanie wykonany niedługo – rzucił ostro. – Chłopak jest w więzieniu Wehtworth, nie w kryjówce złodziei w Cranesmuir! Mogą go powiesić dzisiaj, jutro albo dopiero w przyszłym tygodniu. Ale z tego, co wiem, nawet dziesięciu mężczyzn nie wedrze się do więzienia Wentworth!

– O, doprawdy? – Znowu drżałam, ale tym razem z wściekłości. – Nie jesteś tego pewien, nie masz pojęcia, co można zrobić! Po prostu nie chcesz ryzykować własnej skóry albo swojego żalostnego... zysku! – Oskarżycielsko wskazałam spiętrzone zawiniątka.

Dougal złapał mnie za ramiona. Waliłam w jego pierś oszalała z żalu i gniewu.

Zignorował ciosy i przycisnął mnie mocno do siebie, aż przestałam walczyć.

– Claire. – Po raz pierwszy usłyszałam, jak mówi do mnie po imieniu, i przeraziłam się jeszcze bardziej. – Claire – powtórzył rozluźniając uścisk, tak że mogłam spojrzeć mu w twarz, – Zrozum, zrobiłbym wszystko, co w mej mocy, żeby uwolnić tego chłopaka, gdyby istniała choć najmniejsza szansa. Niech mnie richo, to mój przybrany syn! Ale nie ma szansy. Żadnej! – Potrząsnął mną lekko, żeby zaakcentować swoje słowa. – Jamie nie chciałby, żebym marnował życie dobrych ludzi na beznadziejne próby. Wiesz o tym równie dobrze jak ja.

Nie mogłam już dłużej powstrzymywać łez. Palily mnie w zlodowaciałe policzki.

Natarłam na Dougala, aby się uwolnić. Przyciągnął



mnie jednak bliżej i próbował zmusić, żebym położyła głowę na jego ramieniu.

– Claire, moja droga – powiedział delikatniejszym tonem. – Serce mi krwawi z powodu Jamiego i twojego. Jedź ze mną. Zabiorę cię w bezpieczne miejsce. Do swojego domu – gadał pospiesznie, czując, jak sztywnieję. – Nie do Leoch.

– Do twojego domu? – powiedziałam powoli.

W myślach zaczęło mi się formować straszliwe podejrzenie.

– Tak – potwierdził.

– Nie sądzisz chyba, że zabrałbym cię z powrotem do Cranesmu – Uśmiechnął się lekko, potem znów spoważniał. – Nie, pojedziemy do Beannachd. Tam będziesz bezpieczna.

– Bezpieczna? – powtórzyłam – Czy bezbronna? – opuścił ramiona, słysząc ton.

– Co masz na myśli? – Miły głos nagle stał się chłodny.

Było mi bardzo zimno, więc otuliłam się opończą, jednocześnie odsuwając się od Dougala.

– Utrzymywałeś Jamiego z dala od domu mówiąc, że Jenny urodziła dziecko Randalla. – Wycodziłam przez zęby. – W ten sposób ty i twój kochany braciszek chcieliście zwabić go do swojego obozu. Ale teraz, kiedy Jamiego mają Anglicy, straciliście wszelkie możliwości kontrolowania majątku Lallybroch. Odsunęłam się jeszcze o krok i ciężko przelknęłam ślinę. – Byłeś stroną w kontrakcie małżeńskim swojej siostry. Dzięki twoim i

Columa staraniom Broch Tuarach może należeć do kobiety.

Myślisz, że jeżeli Jamie umrze, Broch Tuh przejdzie w moje posiadanie... albo twoje, jeżeli zdołasz mnie uwieść lub zmusić do małżeństwa z tobą.

– Co? – spytał z wyraźnym niedowierzaniem. – Myślisz... myślisz, że to jakiś spisek?

Uważasz, że cię okłamałem?

Pokręciłam głową. Wciąż zachowywałam bezpieczny dystans. Nie ufałam mu ani na trochę.

– Nie, wierzę ci. Gdyby Jamie nie znajdował się w więzieniu, nigdy nie ośmieliłbyś się powiedzieć mi, że tam jest. Zbyt łatwo to sprawdzić. Nie sądzę też, żebyś wydał go Anglikom. Nawet ty nie zrobiłbyś czegoś takiego człowiekowi własnej krwi. Poza tym, gdybyś to jednak zdradził, twoi ludzie by się kiedyś o tym dowiedzieli i odwróciliby się od ciebie w jednej chwili. Wiele rzeczy mogą w tobie tolerować, ale nie zdradę własnego krewniaka – mówiąc to, przypominałam sobie o czymś. – Czy to ty w zeszłym roku napadłeś Jamiego w pobliżu granicy?

Gęste brwi uniosły się z wyrazem zaskoczenia.

– Ja? Nie! Znalazłem chłopaka bliskiego śmierci; uratowałem mu życie! Czy postąpił bym tak, gdybym źle zyczył Jamiemu?

Pod osłoną opończy sięgnęłam ręką do uda. Uspokoiliam się, gdy poczułam pod dotknięciem wybrzuszenie sztyletu.

– Jeżeli nie ty, to kto?

– Nie wiem – Dougal zachowywał ostrożność, ale

nie ukrywał niczego. – Myślę, że zaatakował jeden z trzech ludzi, zrozpaczonych, wyjętych spod prawa, którzy polowali wtedy z Jamiem. Wszyscy oskarżali siebie nawzajem i nie było sposobu, żeby dotrzeć do prawdy, nie wtedy. – Wzruszył gwałtownie ramionami, aż zsunął mu się płaszcz podróżny.– Teraz nie ma to większego znaczenia; dwóch z nich już nie żyje, a trzeci jest w więzieniu. Jeszcze jedna sprawa zakończona. Ale to niewielka różnica, nie sądzisz?

– Nie, nie wydaje mi się – Odczułam pewnego rodzaju ulgę, gdy okazało się, że Dougal jednak nie targnął się na życie Jamiego. Nie miał powodu teraz mnie okłamywać; o ile wiedział, byłam zupełnie bezbronna. Sam na sam mógł zmusić mnie do wszystkiego.

Albo przynajmniej tak myślał. Zacisnęłam dłoń na rękojeści sztyletu.

Światło w jaskini było bardzo słabe, ale obserwowałam go uważnie i zobaczyłam, że przez jego twarz przemknęło niezdecydowanie, kiedy się zastanawiał nad następnym ruchem. Podeszedł ku mnie z wyciągniętą ręką, ale zatrzymał się, widząc, że odskakuje.

– Claire. Moja słodka Claire. – Głos brzmiał teraz łagodnie, a Dougal przesunął przymilnie dłonią po moim ramieniu. Więc zdecydował się raczej uwodzić niż zmuszać.

– Wiem, dlaczego jesteś wobec mnie oziębła i tak źle o mnie sądzisz. Skoczyłbym za tobą w ogień, Claire. To prawda, pragnąłem cię od nocy zgromadzenia, kiedy całowałem twoje słodkie wargi. – Jego dwa palce,

spoczywające dotąd na moim ramieniu, zaczęły się posuwać w kierunku szyi. – Gdybym był wolnym człowiekiem, kiedy zagrażał ci Randall, sam poślubiłbym cię bez wahania i dla ciebie posłałbym kapitana do diabła.

Stopniowo przysuwał się coraz bliżej, przypierając mnie do kamiennej ściany jaskini.

Opuszkami palców musnął moje gardło i powiódł nimi wzdłuż linii wiązania opończy.

Gdy zobaczył moją minę, przestał się przybliżać, chociaż dłoń pozostawił w tym miejscu na mojej szyi, gdzie puls bił gwałtownie.

– Mimo to... – zaczął niepewnie po chwili – mimo uczuć, jakimi cię darzę... czego nie będę dłużej ukrywał... nie sądzisz chyba, że opuściłbym Jamiego, gdyby istniała jakakolwiek nadzieja na ratunek? Jamie Fraser jest mi najbliższym człowiekiem, prawie synem!

– Niezupełnie – odrzekłam. – Masz prawdziwego syna. A może nawet już dwóch?

Palce na moim gardle na krótką chwilę zwiększyły nacisk, potem opadły.

– Co to znaczy? – Tym razem cała pretensjonalność, gra gdzieś zniknęły. Orzechowe oczy patrzyły z napięciem, a pełne wargi zacisnęły się w ponurą linię w gąszczu rdzawej brody. Był ogromny i stał bardzo blisko mnie. Ale zaszłam już zbyt daleko, żeby zachowywać ostrożność.

– To znaczy, że wiem, kto naprawdę jest ojcem Hamisha – odparłam.

Do pewnego stopnia oczekiwał takiej odpowiedzi i starał się kontrolować mimikę, ale ostatni miesiąc spędzony

na wrózeniu nie poszedł na marne. Zdumienie rozszerzyło jego oczy, i wyraz nagłego wstrząsu szybko stłumionego, gdy stężały kąciki szerokich ust.

Strzał w dziesiątkę. Pomimo niebezpieczeństwa doznałam chwilowego uniesienia.

Miałam zatem rację, a wiedza może być właśnie taką bronią, jakiej potrzebowałam.

– Czyżby? – odezwał się miękko.

– Tak – powiedziałam hardo. – I przypuszczam, że Colum także zna prawdę.

To go na chwilę powstrzymało. Przymrużył orzechowe oczy, a ja przez chwilę zastanawiałam się, czy jest uzbrojony.

– Wydaje mi się, że przez pewien czas podejrzewał Jamiego – stwierdziłam, nie spuszczać z Dougala wzroku. – Z powodu plotek. Ty musiałeś być ich źródłem, karmiłeś nimi Geilis Duncan. Dlaczego? Ponieważ Colum stał się podejrzliwy i zaczął wypytywać Letycję? Nie mogła mu się długo opierać. Czy może Geilis przypuszczała, że jesteś kochankiem Letycji, a ty powiedziałeś, że to Jamie, żeby zagłuszyć jej podejrzenia?

To zazdrosna kobieta, ale teraz nie ma już żadnych powodów, żeby cię chronić.

Dougal uśmiechnął się okrutnie i rzucił mi lodowate spojrzenie.

– Nie, nie ma – zgodził się. Wciąż mówił tym samym, miękkim tonem. – Czarownica nie żyje.

– Nie żyje! – Wstrząs musiał odbić się na mojej twarzy równie mocno jak w głosie.

Uśmiechnął się szerzej.

– Właśnie tak – stwierdził. – Została spalona. Najpierw stopy wsadzono jej do beczki ze smołą, a potem całą zasypano suchym torfem. Przywiązano do słupa i zapalono jak pochodnię. Poszła do diabła w kolumnie płomieni pod konarami jarzębiny.

Z początku pomyślałam, że Dougal bezlitośnie recytuje szczegóły, aby wyrzucić na mnie wrażenie, ale się myliłam. Kiedy światło padło na twarz, zobaczyłam w jego oczach cień żalu. Więc nie było to wygłaszanie okropności pod publikę, ale smaganie samego siebie. Nie czułam dla niego litości, nie w tych okolicznościach.

– A zatem zależało ci na Geilis – powiedziałam chłodno. – Niewiele dobrego jej z tego przyszło. Ani dziecku. Co z nim zrobiłeś?

Wzdrygnął się.

– Dopilnowałem, żeby trafiło do dobrego domu. Syn, zdrowy maluch, mimo że jego matka była czarownicą i cudzołożnicą.

– A jego ojciec cudzołożnikiem i zdrajcą – warknęłam. – Twoja żona, kochanka, siostrzeniec, brat... czy jest ktoś, kogo nie zdradziłeś ani nie oszukałeś? Ty... ty... – Szloch zdławił moje słowa i zrobiło mi się niedobrze z odrazy. – Nie wiem, czemu jestem tym zaskoczona – stwierdziłam możliwie spokojnym głosem. – Nie znasz lojalności wobec króla, więc przypuszczam, że nie ma także powodu sądzić, że dochowałbyś wierności siostrzeńcowi czy bratu.

Gwałtownie szarpnął głową i cisnął mi piorunujące

spojrzenie. Uniósł gęste, ciemne brwi o takim samym kształcie jak brwi Columa, Jamiego, Hamisha. Głęboko osadzone oczy, szerokie kości policzkowe, pięknie rzeźbiona czaszka. Legat starego Jacoba MacKenziego był bardzo silny.

Wielka ręka spoczęła ciężko na moim ramieniu.

– Mojego brata? Myślisz, że zdradziłbym swojego brata? – Z jakiegoś powodu to oskarżenie najbardziej go zabolalo, twarz pociemniała mu z gniewu.

– Sam właśnie przyznałeś się do tego! – krzyknęłam i w tym samym momencie zrozumiałam całą prawdę.

– Zrobiliście to obaj – powiedziałam powoli. – Wspólnie, ty i Colum. Razem jak zawsze. – Straciłam potężną dłoń ze swojego ramienia. – Colum nie mógł być przywódcą, jeżeli nie chodziłbyś za niego na wojnę. Nie utrzymałby klanu bez ciebie. Ty podróżujesz, zbierasz podatki i załatwiasz jego sprawy. On nie mógł jeździć konno. I nie był zdolny spłodzić swojego następcy. A ty nie miałeś męskiego potomka od Maury. Przysięgałeś być jego ramionami i nogami... – do mojego głosu zaczynała się wkradać nutka hysterii – dlaczego nie miałbyś być także jego kutasem?

Gniew Dougala już minął. Przez chwilę MacKenzie stał, patrząc na mnie z namysłem.

Gdy zdecydował, że do niczego w ten sposób nie dojdę, usiadł na jednej ze stert towarów i czekał, aż skończę.

– Więc zrobiłeś to za wiedzą Columa. Czy Letycja też była chętna? – Znałam już bezwzględność, która

cechowała ich wszystkich, i wcale nie zdziwiłabym się, gdyby się okazało, że bracia MacKenzie ją zmusili do cudzołóstwa.

Dougal przytaknął.

– O tak, dość chętna. Nie wyróżniała mnie uczuciem, ale chciała mieć dziecko. To wystarczyło, bym dzielił z nią łożę przez trzy miesiące, potrzebne, żeby spłodzić Hamisha.

Zresztą cholernie nudna to była robota – dodał z namysłem Dougal, zdrapując błoto z obcasa. – Równie dobrze mógłbym obracać ciepłą dzieżę z mlecznym puddingiem.

– To też powiedziałaś Columowi? – zapytałam.

Uniósł wzrok, słysząc mój ostry ton. Przez chwilę obserwował mnie krytycznie, potem jego twarz rozjaśnił lekki uśmiech.

– Nie – odparł spokojnie. – Tego nie powiedziałem. – Spojrzał w dół, na swoje ręce.

Przez chwilę przyglądał się wewnętrznej stronie dłoni, jakby szukał jakiegoś sekretu ukrytego w liniach. – Wyznałem bratu – zaczął miękkim głosem, nadal nie podnosząc wzroku – że była czuła... i słodka jak dojrziała brzoskwinia i żaden mężczyzna nie pragnąłby od kobiety niczego więcej. – Gwałtownie zacisnął pięści, popatrzył mi prosto w oczy i uśmiechnął się sardonicznie. – Czuła i słodka. Tego akurat nie powiedziałbym o tobie – zauważył. – Ale to, że dała byś wszystko, czego mógłby pragnąć mężczyzna... – Głęboko osadzone orzechowe oczy podążyły z wolna w dół mojego ciała, zatrzymując się na



okrągłościach piersi i bioder. Patrzył na mnie, a jedną dłonią nieświadomie gładził lekko swoje udo. – Kto wie? – wyszeptał, jakby do siebie. – Mógłbym mieć jeszcze jednego syna, tym razem z prawego łoża. Prawda – pokiwał głową, z miną znawcy, patrząc na mój tułów – że nie przydarzyło się to jeszcze Jamiemu. Możesz być bezpłodna.

Ale zaryzykuję. W każdym razie majątek jest tego wart. – Wstał nagle i zbliżył się do mnie o krok. – Kto wie? – powtórzył bardzo delikatnie. – Gdybym orał tę piękną bruzdę o kasztanowych włosach i zasiewał głęboko każdego dnia... – Cienie na ścianie jaskini zakołysały się nagle, kiedy podszedł jeszcze bliżej.

– No, nie spieszyłeś się, do cholery – stwierdziłam kwaśno.

Twarz odzwierciedliła szok i niedowierzanie, zanim Dougal uświadomił sobie, że patrzę za niego w kierunku wejścia do jaskini.

– Nie chciałem być nieuprzejmy, więc nie przerywałem – odparł Murtagh, wchodząc głębiej do jaskini. W ręku trzymał dwa naładowane pistolety skałkowe. Jednym z nich celował w Dougala, drugiego używał do gestykulacji. – Jeśli nie zamierzasz przyjąć jego oświadczyn tu i teraz, to proponuję, byś wyszła. A jeżeli chcesz je przyjąć, to ja opuszczę jaskinię.

– Nikt jeszcze nie wychodzi – rzuciłam. – Siadaj – powiedziałam do Dougala.

Wciąż stał, patrząc na Murtagha jak na zjawę.

– Gdzie jest Rupert? – zapytał, kiedy odzyskał głos.

– Och, Rupert? – Murtagh z namysłem podrapał się

po podbródku lufą pistoletu.– Do tej pory pewnie dotarł już do Belladrum. Powinien wrócić przed świtem – dodał uprzejmie – z beczką rumu, po którą, jak miniema, sam go posłałeś. Reszta twych ludzi wciąż śpi w Ouinbrough.

Dougal roześmiał się mimowolnie. Ponownie usiadł z rękoma opartymi na kolanach i przeniósł wzrok ze mnie na Murtagha i znowu na mnie. Na chwilę zapadła cisza.

– Co? – zapytał Dougal. – Co teraz?

Zdałam sobie sprawę, że to całkiem dobre pytanie. Zaskoczona odnalezieniem Dougala zamiast Jamiego, zaszokowana jego nowinami i rozwścieczona zalotami nie miałam czasu zastanowić się, co powinniśmy zrobić. Na szczęście Murtagh okazał się dobrze przy gotowany do dyskusji. Cóż, w końcu on nie zajmował się odpieraniem ataków rozpustnika.

– Będziemy potrzebowali pieniędzy – odparł szybko. – I ludzi. – Z uznaniem rzucił okiem w kierunku zawiniątek złożonych przy ścianie. – Nie – powiedział po chwili z namysłem. – To przeznaczymy dla króla Jerzego. Ale weźmiemy wszystko, co masz przy sobie. – Małe czarne oczka wróciły do Dougala, a lufa jednego z pistoletów wskazała łagodnie na okolice jego sporrana.

Jedną pewną rzeczą, jaką można powiedzieć o życiu w szkockich górach, było to, że ludzie mieli do niego fatalistyczne podejście. Dougal z westchnieniem sięgnął do torby i rzucił mi do stóp niewielką kieszę.

– Dwadzieścia złotych monet i trzydzieści parę szylingów – rzekł. Uniósł brew i popatrzył na mnie. – Bierzcie. Powodzenia.

Potrząsnął głową, widząc moje sceptyczne spojrzenie.

– Naprawdę wam życzę szczęścia. Możesz o mnie myśleć, co zechcesz. Jamie to syn mojej siostry i jeżeli uda wam się go uwolnić, Bóg z wami. Ale się nie uda – stwierdził tonem nie dopuszczającym sprzeciwu.

Zerknął na Murtagha, który wciąż trzymał pistolety w pogotowiu.

– Ludzi natomiast nie dam. Skoro ty i dziewczyna chcecie popełnić samobójstwo, proszę bardzo. Nawet was pogrzebię, po obu stronach Jamiego. Ale nie zabierzecie ze sobą do piekła moich kompanów. I nawet nie próbujcie zastraszyć mnie pistoletami. – Skrzyżował ręce i oparł się o ścianę jaskini, spokojnie nam się przyglądając.

Dłoń Murtagha nie odchyliła się od celu ani na moment. Jednak oczy łypnęły w moim kierunku. Czy życzę sobie, żeby strzelił?

– Zrobimy interes – rzekłam.

Dougal uniósł brew.

– Jesteś teraz w nieco lepszej pozycji do targowania się niż ja – powiedział. – Jak brzmi twoja oferta?

– Pozwól mi pomówić z twoimi ludźmi – odparłam. – nie zatrzymuj ich, jeżeli zechcą pójść ze mną z własnej woli. Jeżeli się nie zgodzą, odejdziemy tak samo, jak przyszliśmy... i zwrócimy ci kiesę.

Jeden kącik szerokich ust drgnął się w krzywym uśmiechu. Dougal obejrzał mnie uważnie, jakby oceniając moją siłę perswazji i umiejętności oratorskie. Wreszcie skinął głową.

– Dobrze – powiedział.

W rezultacie odeszliśmy z jaskini i doliny z kieszą Dougala i pięcioma ludźmi. Prócz Murtagha i mnie byli: Rupert, John Whitlow, Willie MacMurtry oraz bliźniacy: Rums i Geordie Coulterowie. Decyzja Ruperta przekonała pozostałych. Wciąż z uczuciem ponurej satysfakcji widziałam wyraz twarzy Dougala, kiedy mały czarnobrody porucznik zmierzył mnie zamyślonym wzrokiem, potem poklepał sztylety wiszące przy swoim pasie i stwierdził: „Dobrze, dziewczyno, czemu nie?”

Od więzienia Wentworth dzieliło nas siedemdziesiąt kilometrów. Niecała godzina jazdy szybkim samochodem po dobrej drodze. Albo dwa dni mozolnego przedzierania się konno przez na wpół zamrożone błoto. „Wyrok zostanie wykonany niedługo.” Słowa Dougala rozbrzmiewały echem w moich uszach i sprawiały, że trzymałam się w siodle mimo ogromnego zmęczenia.

Obolałe i odrętwiałe ciało, zmuszone do krańcowego wysiłku, odmawiało mi posłuszeństwa, ale umysł mógł się martwić swobodnie. Żeby przestać myśleć o Jamiem, przypominałam sobie rozmowę z Dougalem w jaskini. Oraz jego ostatnie zdanie. Stał wtedy na zewnątrz niewielkiej groty, czekając, aż Rupert i jego kompani przyprowadzą konie z kryjówki znajdującej się wyżej w dolinie. Nagle odwrócił się ku mnie.

– Mam dla ciebie wiadomość – odezwał się. – Od czarownicy.

– Od Geilis? – Uczucie, jakiego wówczas doznałam, eufemistycznie mogłabym nazwać wstrząsem.

W ciemności nie mogłam dostrzec jego twarzy, ale zobaczyłam, że kiwnął głową na potwierdzenie.

– Widziałem ją raz – odrzekł miękko. – Kiedy przyszedłem zabrać dziecko.

W innych okolicznościach może bym mu współczuła. Po raz ostatni żegnał się ze swoją kochanką skazaną na stos. Ona trzymała ich dziecko, syna, do którego ojciec nigdy się nie przyzna. Jednak w zaistniałej sytuacji byłam zimna jak lód.

– Co powiedziała?

Zawahał się; nie wiedziałam, czy to tylko niechęć ujawnienia tej informacji, czy też próba upewnienia się, że powtórzy właściwe słowa. Najwyraźniej chodziło o to ostatnie, bo w końcu przemówił powoli:

– Prosiła, abym przekazał ci słowo w słowo dwie rzeczy, jeśli kiedykolwiek cię zobaczę. Pierwsze zdanie brzmiało: „Myślę, że to możliwe, ale nie jestem pewna”.

A potem... potem podała tylko liczby. Kazała mi je ciągle powtarzać, żeby upewnić się, że dobrze zapamiętam, bo miałem ci je powtórzyć dokładnie w tej samej kolejności. Liczby to: jeden, dziewięć, sześć i siedem. – Wysoka postać odwróciła się ku mnie w ciemności z pytającym wzrokiem. – Czy to ma dla ciebie jakieś znaczenie?

– Nie – odparłam.

Oczywiście skłamałam.

„Myślę, że to możliwe”. Mówiąc te słowa, mogła mieć na myśli tylko jedno – powrót przez kamienny krąg do mojego właściwego miejsca. Najwyraźniej sama tego

nie próbowała, wybrała pozostanie. Na własne ryzyko. Pewnie miała powody. Może kochała Dougala?

Jeżeli chodzi o cyfry, wydawało mi się, że także rozumiem ich znaczenie. Powiedziała Dougalowi każdą oddzielnie, żeby utrzymać sekret, który musiała chować bardzo głęboko, ale tak naprawdę stanowiły one jedną liczbę: tysiąc dziewięćset sześćdziesiąt siedem. Rok jej zniknięcia w przeszłości.

Poczułam drobny dreszcz zaciekawienia i głęboki żal. Jaka szkoda, że nie widziałam śladu szczepienia na jej ramieniu aż do chwili, kiedy było już za późno!

A gdybym jednak zobaczyła znamię wcześniej, czy wróciłabym do kamiennego kręgu, może nawet z jej pomocą, i zostawiła Jamiego?

Jamie. Myśl o ukochanym ciążyła mi ołowiem. Wspomnienia powracały niczym wahadło bujające się na końcu liny. Wyrok zostanie wykonany niedługo. Ponury gościec ciągnął się przed nami bez końca, czasami znikając w zamrzniętych błotach lub otwartych połaciach wody. Kiedyś te obszary były barwnymi łąkami i wrzosowiskami.

W mrożącej ciału mżawce, która wkrótce miała zmienić się w śnieg, dotarliśmy do celu wieczorem drugiego dnia podróży.

Budynek majaczył czarną sylwetką na tle pochmurnego nieba. Obiekt zbudowano na planie gigantycznego sześcianu, którego bok mierzył około stu pięćdziesięciu metrów, a na każdym rogu stała wysoka wieża. Mógł pomieścić trzystu więźniów plus garnizon

czterdziestu żołnierzy wraz z komendantem, cywilnym gubernatorem i jego świtą, jak również cztery tuziny kucharzy, ordynansów, parobków i innej służby niezbędnej do utrzymania całego przybytku. Więzienie Wentworth.

Spojrzałam w górę, na groźne ściany zielonkawego granitu z Argyll, u podstawy grubego prawie na metr. Maleńkie okienka co jakiś czas urozmaicały jednolitość ścian.

W kilku takich niewielkich otworach zaczynały mrugać światła. Inne, które, jak przypuszczałam, były w więziennych celach, pozostały ciemne. Z trudem przełknęłam ślinę. Widząc masywny gmach z niezwykle grubymi ścianami, monumentalną bramą i strażnikami w czerwonych kaftanach, zaczęłam mieć wątpliwości.

– Co będzie, jeżeli... – zaschło mi w ustach, więc musiałam przerwać i oblizać wargi – jeżeli nam się nie uda?

Wyraz twarzy Murtagha był taki sam, jak zwykle: uparty i ponury. Mały człowieczek miał mocno zaciśnięte usta. Wąski podbródek schodził ku brudnej szyi znikającej w kołnierzu koszuli. Murtagh odwrócił się w moją stronę.

– Wtedy Dougal nas pochowa po obu stronach grobu Jamiego – odparł. – Chodź, mamy robotę do wykonania.

Fletcher Gordon był niskim i korpulentnym mężczyzną, a jedwabna kamizelka w paski wyglądała na nim jak druga skóra. Za sprawą spadzistych ramion i wydatnego brzuszka przypominał wielką szynkę usadowioną w fotelu gubernatora. Łysa głowa i głęboko

czerwony odcień jego cery pogłębiały jeszcze to skojarzenie, chociaż żadna szynka nie mogła poszczycić się tak jasnymi, niebieskimi oczyma. Powolnym ruchem palca wskazującego przesunął stertę papierów leżącą na biurku.

– Tak, mam to tutaj – odezwał się po niezmiernie długiej pauzie potrzebnej na przeczytanie kartki. – Fraser, James. Aresztowany za morderstwo. Skazany na powieszenie. Zaraz, gdzie ja podziałem nakaz egzekucji? – Znowu przerwał, niepewnymi ruchami krótkowidza przerzucając papiery. Wbiłam paznokcie głęboko w satynę torebki, mając nadzieję, że moja twarz nie zmieni wyrazu. – O, jest. Data egzekucji dwudziesty trzeci grudnia.

Z trudem przełknęłam ślinę, rozluźniając uścisk na torebce. Czułam uniesienie i strach jednocześnie. Więc wciąż żyje. Zostały mu jeszcze dwa dni. I znajduje się w pobliżu, gdzieś w tym samym budynku, w którym ja jestem. Świadomość tego faktu sprawiła, że w moich żyłach wzrósł poziom adrenaliny. Ręce zaczęły mi drżeć.

Usiadłam prosto w krześle dla gości. Starłam się wyglądać ujmująco.

– Czy mogłabym się z nim zobaczyć, panie Fletcher? Tylko na chwilę, w razie gdyby...

może chciałby, żebym przekazała jakąś wiadomość jego bliskim?

W przebraniu angielskiej przyjaciółki rodziny Fraserów udało mi się stosunkowo łatwo uzyskać wstęp do Wentworth oraz biura sir Fletchera, cywilnego gubernatora więzienia. Niebezpiecznie było prosić o widzenie z Jamiem. Nie znając historii, którą opowiedziałam



gubernatorowi, mógłby mnie wydać, gdyby zobaczył mnie nagle i bez ostrzeżenia. Zresztą ja też mogłam się zdradzić: wcale nie byłam pewna, czy uda mi się zachować i tak dość niepewną kontrolę nad sobą, kiedy go zobaczę. Ale następnym naszym krokiem musiało być dowiedzenie się, gdzie go trzymają; w tym ogromnym kamiennym mrowisku szansę znalezienia go bez żadnych wskazówek równały się niemal zero.

Sir Fletcher zmarszczył brwi w zamyśleniu. Najwyraźniej uważał takie żądanie ze strony zaledwie przyjaciółki rodziny za niedogodność, ale nie był człowiekiem bez serca.

W końcu niechętnie potrząsnął głową.

– Nie, moja droga. Obawiam się, że nie mogę na to pozwolić. Trochę tu tłoczno ostatnimi czasy i nie mamy odpowiednich warunków na organizowanie odwiedzin. Poza tym skazaniec jest teraz – jeszcze raz zająrzył do sterty papierów – w jednej z dużych cel w zachodnim bloku wraz z innymi skazanymi zbrodniarzami. Byłoby niezmiernie ryzykowne tam go odwiedzać... albo gdziekolwiek. Rozumiesz, pani, ten człowiek to niebezpieczny więzień, dopilnowałem, żeby trzymano go w łańcuchach od czasu przyjazdu.

Znowu zacisnęłam ręce na torebce, tym razem po to, żeby go nie uderzyć. Ponownie potrząsnął głową, a pulchna pierś unosiła się i opadała, kiedy z trudem oddychał. – Nie, gdyby była pani członkiem najbliższej rodziny, może... – Uniósł wzrok zamrugał szybko.

Zacisnęłam zęby, zdecydowana niczego nie

zdradzić. Zapewne oznaki lekkiego wzruszenia były na miejscu w tych okolicznościach. – Ale być może, moja droga... – Wydawało się, że nagle przyszło mu coś do głowy. Ocieężał wstał i podszedł do wewnętrznych drzwi, gdzie na straży stał umundurowany dragon. Fletcher mruknął coś do niego, a ten skinął głową i zniknął.

Sir Fletcher powrócił do biurka. Po drodze zatrzymał się, żeby wyjąć karafkę i kieliszki z sekretarzyka. Przyjął propozycję wypicia czerwonego wina.

Potrzebowałam tego.

Byliśmy w połowie drugiego kieliszka, kiedy strażnik wrócił. Wmaszerował do pokoju bez zaproszenia, postawił na biurku przy łokciu sir Fletchera drewniane pudełko i odmaszerował. Zauważyłam, że spojrzenie dragona zatrzymało się na mnie. Skromnie spuściłam wzrok. Miałam na sobie ubranie pożyczone od znajomej Ruperta z pobliskiego miasta. Z zapachu sukni i dobranej do niej torebki mogłam z dużym prawdopodobieństwem wywnioskować, jaka była profesja tej damy. Miałam nadzieję, że strażnik nie rozpoznał jakiegokolwiek części noszonej teraz przeze mnie garderoby.

Sir Fletcher wypił wino do dna, odstawił powoli kieliszek i przysunął do siebie pudełko. Była to zwyczajna, prostokątna skrzynka z nieheblowanego drewna. Na wieczku napisano coś kredą. Mogłam przeczytać litery, nawet do góry nogami. Napis brzmiał: Fraser.

Sir Fletcher odsunął wieczko, przez chwilę zaglądał do środka, potem zamknął pudełko i przysunął je ku mnie.

– Osobiste przedmioty więźnia – wyjaśnił. – Na

ogół po egzekucji wysyłamy je temu, kogo więzień wskaże jako krewnego. Ten człowiek jednakże – potrząsnął głową – całkowicie odmówił wyznania czegokolwiek na temat swej rodziny. Jakiś odludek, bez wątpienia. Oczywiście, to nic niezwykłego, ale godne pożałowania w tych okolicznościach. Waham się, czy wypowiedzieć te słowa, pani Beauchamp... pomyślałem jednak, że może, jako znajoma rodziny, mogłaby pani rozważyć wzięcie na siebie obowiązku przekazania tych pozostałości odpowiedniej osobie?

Nie ufałam własnemu głosowi na tyle, by przemówić, ale skinęłam głową i pochyliłam nos nad kieliszkiem klaretu. Wydawało się, że sir Fletcher poczuł ulgę – nie wiadomo, czy z powodu pozbycia się pudełka, czy też na myśl o moim nieuniknionym wyjeździe.

Rozparł się na krześle lekko dysząc i uśmiechnął się do mnie szeroko.

– To bardzo miłe z pani strony. Wiem, że taka rzecz dla młodej, delikatnej kobiety musi być jedynie bolesną powinnością. Zdaję sobie sprawę, że wyświadczasz, pani, dużą uprzejmość, podejmując się jej wykonania.

– Ależ... skąd, nic takiego – zdołałam wykrztusić.

Udało mi się wstać i wziąć w ręce pudełko. Miało jakieś dwadzieścia dwa centymetry na piętnaście i dziesięć czy dwanaście centymetrów głębokości. Mała, lekka skrzyneczka, mieszcząca wszystko, co zostanie z całego życia człowieka.

Wiedziałam, co znajdę w środku. Trzy liny do wędkowania, starannie zwinięte, korek z wbitymi węń

haczykami, krzemień i stal, niewielki kawałek odłamanego szkła z krawędziami wygładzonymi ze starości, kilka drobnych kamyków, które wyglądały interesująco lub dobrze sieje trzymało w palcach, wysuszona łapka kreta noszona jako talizman przeciwko reumatyzmowi. Biblia – a może pozwolili mu ją zatrzymać? Miałam taką nadzieję. Pierścień z rubinem, jeżeli go nie ukradli. I mały, drewniany wąż, wystrugany z wiśniowego drewna z imieniem Sawny wyskrobanym pod spodem.

Zatrzymałam się przy drzwiach, łapiąc palcami framugę, żeby nie upaść.

Sir Fletcher odprowadzający mnie uprzejmie do drzwi w jednej chwili znalazł się u mojego boku.

– Słabo ci pani? Strażnik, krzesło!

Czułam, jak kropelki zimnego potu występują mi na twarz, ale udało mi się uśmiechnąć i skinieniem ręki oddalić strażnika z krzesłem. Bardziej niż czegokolwiek innego chciałam teraz stąd wyjść – potrzebowałam jak najwięcej świeżego powietrza.

I musiałam zostać sama, żeby się wypłakać.

– Nie, wszystko w porządku – powiedziałam, starając się, żeby zabrzmiało to przekonująco. – To tylko... trochę tu duszno. Nie, zaraz mi przejdzie. Zresztą mój służący czeka na zewnątrz.

Kiedy zmusiłam się do wyprostowania i uśmiechu, przyszła mi do głowy pewna myśl.

Może w niczym mi to nie pomoże, ale z pewnością nie zaszkodzi.

– Och, sir Fletcher...

Wciąż zaniepokojony moim wyglądem, pełen był galanterii i uwagi.

– Tak, moja droga?

– Pomyślałam sobie.. jak smutno musi być w tej sytuacji młodemu człowiekowi, który zniechęcił do siebie rodzinę. Pomyślałam, że może... chciałby do nich napisać... list ze słowami pojednania, być może? Z przyjemnością dostarczyłabym go jego... jego matce.

– Jakże to troskliwie z pani strony, moja droga – sir Fletcher zachowywał się jowialnie, skoro już wydało mu się, że jednak nie zemdleję na jego dywanie. – Oczywiście. Zapytam. Gdzie się, pani, zatrzymałaś? Jeżeli będzie list, każę ci go przesłać, moja droga.

– Cóż... – Uśmiech wychodził mi coraz lepiej, chociaż miałam wrażenie, że wygląda na sztucznie przyklejony do twarzy. – W tej chwili nie jestem jeszcze pewna. Mam w mieście kilku krewnych i bliskich znajomych i obawiam się, że będę musiała spędzić trochę czasu u każdego z nich, rozumie pan, żeby nikogo nie urazić – udało mi się wydobyć z siebie słaby śmiech. – Więc jeżeli nie sprawi to panu dużego kłopotu, może mój służący mógłby się za jakiś czas dowiedzieć, czy jest jakiś list?

– Oczywiście, oczywiście. Znakomicie, moja droga. Znakomicie!

I rzucając krótkie spojrzenie na karafkę, sir Fletcher ujął mnie za ramię, żeby eskortować mnie aż do bramy.

– Lepiej, dziewczyno? – Rupert odsunął zasłonę moich włosów, żeby mi się przyjrzeć.

– Wyglądasz jak źle uwędzona wieprzowina. Masz, napij się jeszcze.

Potrząsnęłam głową na widok oferowanej mi flaszki whisky i usiadłam zrzucając mokry gałgan, który położył mi na twarzy.

– Nie, już mi lepiej – eskortowana przez Murtagha przebranego za mojego służącego ledwie straciłam z oczu więzienie, kiedy osunęłam się z konia i zwymiotowałam na śnieg.

Tam też zostałam, płacząc z pudełkiem Jamiego przyciśniętym do łona do momentu, gdy Murtagh złapał mnie, zmusił, żebym wsiadła na konia i przywiódł do małej gospody w mieście Wentworth, gdzie Rupert znalazł kwatere. Znajdowaliśmy się teraz w pokoju na górze, z okna którego bryła więzienia była ledwie widoczna w zapadającym zmroku.

– Więc chłopak już martwy? – szeroka twarz Ruperta, w połowie zasłonięta brodą, miała wyraz powagi i współczucia, ani śladu jego zwyczajnej błazenady.

Potrząsnęłam głową i wzięłam głęboki oddech.

– Jeszcze nie.

Po usłyszeniu mojej historii Rupert zaczął powoli przemierzać pokój, w zamyśleniu na przemian zaciskając i wydymając wargi. Murtagh, jak zwykle, siedział spokojnie bez żadnych oznak niepokoju na twarzy. Byłby z niego świetny pokerzysta, pomyślałam.

Rupert wrócił i z westchnieniem usiadł obok mnie na łóżku.

– Cóż, chłopak nadal żyje. I to jest najważniejsze.

Ale niech mnie licho, jeśli wiem co dalej. Nie mamy sposobu, żeby tam się dostać.

– Mamy – odezwał się niespodziewanie Murtagh. – Dzięki temu, że dziewczyna pomyślała o liście.

– Mhmm. Ale wejść może tylko jeden człowiek. I wyłącznie do biura gubernatora. No tak, to już jakiś początek – Rupert wyciągnął sztylet i ostrym końcem podrapał się w brodę. – Cholernie wielkie miejsce do przeszukania.

– Wiem, gdzie on jest – powiedziałam, czując się lepiej przy obmyślaniu planów i widząc, że moi towarzysze nie poddają się bez względu na to, jak beznadziejne wydaje się nasze przedsięwzięcie. – A przynajmniej wiem, w którym skrzydle.

– Hmm... – Wsunął sztylet na miejsce i znów zaczął wędrowkę. W końcu zatrzymał się i spytał: – Ile masz pieniędzy, dziewczyno?

Sięgnęłam do kieszeni sukni. Miałam kieszę Dougala, pieniądze, do wzięcia których zmusiła mnie Jenny i swój sznur pereł. Rupert wzgardził perłami, ale wziął kieszę i wysypał potok monet na swą wielką dłoń.

– To wystarczy – rzekł potrząsając nimi na próbę. Popatrzył znacząco na Coulterów.

– Wy, chłopcy i Willie, chodźcie ze mną. John i Murtagh mogą zostać tu z dziewczyną.

– Dokąd idziecie? – zapytałam.

Wsywał monety do swojego sporrana zatrzymując tylko jedną, którą w zamyśleniu podrzucił w powietrze.

– Och – sapnął niejasno. – Tak się składa, że jest tu

jeszcze jedna gospoda po drugiej stronie miasta. Strażnicy z więzienia chodzą tam po służbie, bo jest bliżej, a napitki tańsze o pensa. – Podrzucił monetę kciukiem. Po czym odwrócił dłoń i złapał pieniążek pomiędzy dwa stawy palców.

Przyglądałam się temu z narastającym przeświadczeniem, że wiem, co zamierza zrobić.

– Naprawdę? – odezwałam się. – Przypuszczam, że nie grają tam także w karty.

– Kto to wie, dziewczyno. Kto to wie? – odparł. Jeszcze raz podrzucił monetę i klasnął głośno, łapiąc ją w dłonie, a następnie szeroko rozpostarł ręce. Nie było między nimi nic prócz powietrza. Uśmiechnął się, a białe zęby błysnęły w czarnej brodzie. – Ale moglibyśmy pójść i się przekonać, no nie? – Pstryknął palcami i moneta nagle się pojawiła w jego dłoni.

Krótko po pierwszej następnego popołudnia ponownie przeszłam pod kolczastą kratą strzegącą bramy Wentworth od jego budowy pod koniec szesnastego wieku. Niewiele straciła ze swojego posępnego wyglądu w ciągu kolejnych dwustu lat, więc dotknęłam sztyletu w kieszeni, żeby dodać sobie odwagi.

Sir Fleteher powinien teraz być głęboko pogrążony w swojej południowej drzemce, zgodnie z informacjami, jakie Rupert i jego pomocnicy wyciągnęli ze strażników w czasie wypadu poprzedniego wieczora. Wrócili na krótko przed świtem z zaczerwienionymi oczyma i cuchnąc piwem. Wszystko, co odparł Rupert na moje pytania, to: „Och, dziewczyno, żeby wygrać, trza tylko szczęścia. Ale



przegrać trza umieć!” Zwinął się w kłębek w kącie i głośno zachrapał, pozostawiając mnie sfrustrowaną, przemierzającą niecierpliwie pokój, tak jak robiłam to przez całą noc.

Obudził się jednak godzinę później, z jasnymi oczyma i lekką głową, po czym wyłożył zasady planu, który miałam teraz wprowadzić w życie.

– Sir Fleteher nie pozwala nikomu i niczemu zakłócać swego spokoju podczas posiłków – powiedział. – Każdy, kto chce wtedy z nim mówić, musi odejść lub czekać, aż gubernator skończy jeść i pić. A po posiłku zawsze udaje się do pokoju na drzemkę.

Murtagh w charakterze mojego służącego przyjechał na miejsce godzinę wcześniej.

Został wpuszczony bez trudności. Prawdopodobnie zaprowadzono go do gabinetu sir Fletchera i kazano tam czekać. W tym czasie miał przeszukać gabinet. Po pierwsze, żeby znaleźć plan zachodniego skrzydła, a po drugie na wszelki wypadek odnaleźć klucze, które mogłyby otwierać cele.

Zwlekałam przez chwilę patrząc na niebo, żeby ocenić godzinę. Jeżeli przyjdę przed rozpoczęciem posiłku przez sir Fletchera, mogłabym zostać zaproszona do towarzyszenia mu, co byłoby wysoce niedogodne. Ale karciani znajomi Ruperta zapewniali iż plany gubernatora są niezmiennie. Dzwonek na obiad rozlega się punktualnie o pierwszej, a zupę podaje się dokładnie pięć minut później.

Pierwszy strażnik na służbie przy wejściu okazał się tym samym, którego widziałam, poprzedniego dnia.

Wyglądał na zaskoczonego, ale przywitał mnie uprzejmie.

– Co za irytująca sprawa – odezwałam się. – Chciałam, żeby służący przywiózł prezent dla sir Fletchera w podziękę za jego wczorajszą uprzejmość. Ale odkryłam, że głupiec odjechał bez niego i musiałam sama podążyć za nim mając nadzieję, że ten nie....

Czy już się pojawił? – Pokazałam strażnikowi małą paczuszkę i uśmiechnęłam się szeroko. Zalotnie nie robiły mi się dołeczki w policzkach. Skoro nie miałam tego typu ozdoby, ukazałam śnieżnobiałe zęby.

Wyglądało na to, że to wystarczyło. Pozwolono mi wejść i poprowadzono korytarzem więzienia ku gabinetowi gubernatora. Mimo że ta część zamku została przyzwoicie umeblowana, nikt nie miałby wątpliwości, że to więzienie. Unosił się tu zapach nieszczęścia i strachu. Tak sobie wyobrażałam, chociaż prawdopodobnie nie chodziło o ten zapach tylko stary brud i brak kanalizacji.

Strażnik pozwolił mi iść przed sobą w holu, podążając dyskretnie parę kroków za mną, żeby nie nadepnąć na moją oponcę. I bardzo dobrze, że tak zrobił, bo wyprzedzając go o kilka metrów skręciłam za róg w kierunku gabinetu sir Fletchera w otwarte drzwi zobaczyłam Murtagha wciągającego nieprzytomne ciało strażnika – przez biurko, cofnęłam się o krok i upuściłam pakiecik na kamienną podłogę. Dał się słyszeć trzask pękającego szkła i powietrze wypełnił stłumiony aromat brzoskwiniowej brandy.

– Och, mój Boże – wykrzyknęłam. – Co ja narobiłam!

Kiedy strażnik wołał jednego z więźniów, żeby posprzątał, taktownie mrugnąłam o zaczekaniu na sir Fletchera w jego prywatnym gabinecie, wślizgnęłam się do środka pospiesznie zamknęłam za sobą drzwi.

– Coś ty, do jasnej cholery, zrobił? – warknęłam na Murtagha.

Podniósł zwłoki, ciała, wcale nie przejęty moim tonem.

– Sir Fleteher nie trzyma kluczy w gabinecie – poinformował mnie przyciszonym głosem – ale ten chłopczyzna ma cały komplet. – Ostrożnie wyciągnął ogromną obręcz z kluczami zza płaszcza mężczyzny, uważając, żeby nie zadźwięczały.

Upadłam na kolana tuż za Murtaghem.

– No, niezłe przedstawienie! – powiedziałam i Rzuciłam okiem na leżącego twarzą ku ziemi strażnika. Przynajmniej wciąż udawałam. Co z planem więzienia?

Potrząsnął głową.

– Tego też nie ma, ale ten przyjaciel wyjawiał mi co nieco, kiedy cackaliśmy się. Cele skazańców są na tym samym piętrze, w środku zachodniego korytarza, a nie mogłem zadawać więcej pytań. I tak już się stał trochę podejrzliwy.

– Wystarczy, mam nadzieję. W porządku, daj mi klucze i idź.

– Ja? To ty powinnaś odejść, dziewczyno, i to szybko. – Spojrzał na drzwi nie dochodził zza nich żaden dźwięk.

– Nie, ja muszę zostać – powiedziałam, ponownie

sięgając po klucze. – Słuchaj – zniecierpliwiałam się – jeżeli znajdziesz cię wałęsającego się po więzieniu z pękiem kluczy, strażnika rozłożonego tu jak długi, oboje będziemy spaleni, bo niby dlaczego nie krzyczę o pomoc? – złapałam klucze i wepchnęłam je, nie bez trudu, do kieszeni.

Murtagh wciąż miał zastrzeżenia, ale wstał.

– A jeżeli ciebie złapią? – zapytał.

– Zemdleję – stwierdziłam szorstko. – A kiedy w końcu dojdę do siebie, powiem, że widziałam, jak mordowałeś strażnika, więc uciekłam przerażona, nie wiedząc, dokąd zmierzam. Straciłam orientację biegnąc po pomoc.

Powoli pokiwał głową.

– W porządku. – Skierował się w stronę drzwi. Zanim jednak do nich doszedł, przy stanął.

– Ale dlaczego miałbym... aha. – Zwinnie zbliżył się do biurka i powyciągał szuflady jedną po drugiej, mieszając zawartość jedną ręką, a drugą wyrzucając ją na ziemię. – Rabunek – wyjaśnił, wracając do drzwi.

Otworzył je ze skrzypieniem i rozejrzał się po korytarzu.

– Jeżeli to rabunek, to czy nie powinieneś czegoś zabrać? – zasugerowałam, szukając niewielkiego i łatwego do przeniesienia przedmiotu. Podniosłam emaliowaną tabakierkę. – Może to?

Niecierpliwie machnął ręką, żebym to odłożyła, wciąż wyglądając przez szczelinę.

– Nie, dziewczyno! Jeżeli znajdziesz mnie z własnością sir Fletchera, pójdę na szubienicę. Za próbę kradzieży grozi

tylko chłosta lub okaleczenie.

– Och! – Pospiesznie odłożyłam tabakierkę i stanęłam za Murtaghem, zaglądając mu przez ramię. Hol wydawał się pusty.

– Ja pójdę pierwszy – powiedział. – Jeżeli kogoś spotkam, odciągnę go od ciebie.

Czekaj, aż policzysz do trzydziestu, potem idź. Spotkamy się w zagajniku na północy. – Otworzył drzwi, zatrzymał się i odwrócił. – Jeżeli cię złapią, pamiętaj, żeby wyrzucić klucze.

Zanim zdążyłam się odezwać, przemknął przez drzwi jak węgorz i ruszył korytarzem cicho niczym cień.

Odnalezienie zachodniego skrzydła zabrało mi chyba całą wieczność. Przemykałam korytarzami starego zamku, wyglądałam ostrożnie zza zakrętów i chowałam za kolumnami. Po drodze spotkałam jednak tylko jednego strażnika i udało mi się przed nim ukryć, gdy schowałam się za zakrętem korytarza i przyciśnięta do ściany czekałam z bijącym sercem, póki nie odszedł.

Kiedy już znalazłam zachodnie skrzydło, nie miałam żadnych wątpliwości, że to właściwe miejsce. W korytarzu było tylko troje wielkich drzwi zaopatrzonych w niewielkie, okratowane okienka, przez które udało mi się dostrzec jedynie frustrujący zarys pomieszczenia za nimi.

„Entliczek, pętliczek, czerwony stoliczek” – mruknęłam do siebie i skierowałam się ku środkowej celi. Klucze nie były oznaczone, ale miały różne rozmiary. Najwyraźniej jeden z trzech największych pasował do drzwi, przed którymi stałam. Oczywiście okazało się, że to

ten trzeci. Kiedy klucz przekreślił się w zamku, wzięłam głęboki wdech, otarłam spocone ręce o spódnicę i otworzyłam drzwi na oścież.

Brodziłam jak oszalała w masie śmierdzących mężczyzn w celi, krocząc nad wyciągniętymi stopami i nogami, przepychając się obok ciężkich ciał, które schodziły mi z drogi z rozwścieczającą powolnością. Poruszenie spowodowane moim nagłym wejściem rozprzestrzeniło się; ci, którzy spali wśród nieczystości zaścielających podłogę, zaczęli siadać zbudzeni przez szmer zdumionych głosów. Kilku zostało przykutych do ścian; łańcuchy zgrzytały i pobrzękiwały w półmroku, kiedy się poruszali. Złapałam jednego ze stojących, człowieka z klanu o brązowej brodzie, ubranego w poszarpany, żółtozielony tartan. Kości jego ręki, za którą chwyciłam, znajdowały się zatrwającą blisko skóry; Anglicy nie marnowali dodatkowego jedzenia na więźniów.

– James Fraser! Wysoki, rudy mężczyzna! Czy jest w tej celi? Gdzie on jest?

Przesuwał się już w kierunku drzwi, wraz z pozostałymi, którzy nie zostali przykuci, .

ale zatrzymał się na chwilę, żeby schylić głowę i spojrzeć na mnie. Do tej pory wszyscy uwięzieni podchwycili już pomysł i wylewali się przez otwarte drzwi szmerzącym potokiem, zerkając na boki i mrużąc do siebie nawzajem.

– Kto? Fraser? Aha, zabrali go dziś rano. – Człowiek wzruszył ramionami i odepchnął moje ręce, starając się uwolnić.

Chwyliłam za jego pas tak mocno, że musiał się zatrzymać.

– Dokąd go zabrali? Kto zabrał?

– Nie wiem dokąd, ale przyszedł po niego kapitan Randall, ten nędzny pomiot. – Wyrwał mi się niecierpliwie i szybkim krokiem skierował do drzwi.

Randall. Przez chwilę stałam oniemiała, potrącana przez uciekających, głucha na okrzyki skutych łańcuchami. W końcu otrząsnęłam się i spróbowałam pomyśleć. Geordie obserwował zamek od rana. Nikt nie wychodził stamtąd rano prócz niewielkiej grupy służących z kuchni, która miała przywieść nowe zapasy. To znaczy, że wciąż gdzieś tu są.

Randall jest kapitanem i prawdopodobnie w więziennym garnizonie nie ma nikogo wyższego rangą, prócz samego sir Fletchera. Dlatego Randall może rozporządzać zasobami zamku w taki sposób, żeby zapewnić sobie jakieś odpowiednie miejsce i do woli torturować więźnia.

Z pewnością chodziło o tortury. Nawet, jeżeli miało się to skończyć powieszeniem, człowiek, którego widziałam w forcie William, miał kocią naturę. Nie mógł powstrzymać się od skorzystania z szansy pobawienia się Jamiem niczym myszką, tak samo, jak nie mógł zmienić koloru swoich oczu.

Wzięłam głęboki oddech i rozsądnie odłożyłam na później myślenie o tym, co mogło się już wydarzyć od rana i również wypadłam przez drzwi, prosto na angielskiego dragona, który właśnie wchodził do środka. Mężczyzna

zatonął się w tył, drobiąc małymi kroczkami, żeby zachować równowagę. Sama też zostałam wytrącona z równowagi, wpadłam całym ciężarem na framugę tracąc czucie w lewym boku i uderzając się w głowę. Złapałam za ościeżnicę, a w uszach zadźwięczało mi echo głosu Ruperta: „Masz przewagę przez zaskoczenie, dziewczyno. Wykorzystaj ją!”

Pytanie tylko, pomyślałam niezbyt przytomnie, kto został bardziej zaskoczony. Jak oszalała zaczęłam grzebać w kieszeni w poszukiwaniu sztyletu, przeklinając własną głupotę za to, że nie wyciągnęłam go przed wejściem do celi.

Angielski żołnierz odzyskał równowagę i przyglądał mi się z otwartymi ustami, ale czułam, że cenna przewaga przez zaskoczenie zaczyna mi umykać. Porzucając umykającą mi kieszeń pochyliłam się i wyciągnęłam sztylet z pończochy jednym ruchem, który kontynuowałam w górę z całą siłą, na jaką mogłam się zdobyć. Ostrze noża dosięgło podchodzącego żołnierza tuż pod podbródkiem, kiedy pochylił się sięgając po pas. Ręce uniósł lekko ku gardłu, a potem z wyrazem zadziwienia na twarzy chwiejnie cofnął się ku ścianie i osunął po niej powolnym ruchem, kiedy uciekło z niego życie. Podobnie jak ja, przyszedł sprawdzić, co się dzieje, bez trzymanej w pogotowiu broni i to małe przeoczenie kosztowało go życie. Ja nie mogłam już sobie na to pozwolić. Czując przenikliwie zimno przestąpiłam przez wykrzywione ciało, starając się na nie nie patrzeć.

Rzuciłam się z powrotem tą samą drogą, którą



przyszłam, aż do zakrętu schodów.

Było tam miejsce przy ścianie, gdzie mogłam stanąć osłonięta z obu kierunków. Oparłam się o ścianę i pozwoliłam sobie na chwilę drżenia i mdłości.

Wycierając spocone dłonie o spódnicę wydobyłam schowany w kieszeni sztylet. Był teraz moją jedyną bronią, bo nie miałam czasu ani odpowiednio odpornego żołądka, żeby odzyskać nóż z pończochy. Może to i dobrze, pomyślałam, wycierając ręce o stanik: pokazało się zaskakująco mało krwi, ale aż się skuliłam na myśl o potoku, jaki trysnąłby z rany, gdybym wyciągnęła nóż.

Czując się teraz bezpieczniej ze sztyletem w dłoni ostrożnie wyjrzałam na korytarz.

Więźniowie, których mimowolnie wypuściłam, poszli na lewo. Nie miałam pojęcia, co mieli zamiar zrobić, ale z pewnością zajmą tym jakoś Anglików. Nie miałam żadnego rozeznania aby preferować któryś z kierunków, ale wydało mi się rozsądne oddalić się od całego zamieszania, jakie mogą spowodować. Światło z wysokich okien padało na ukos za mnie, więc byłam po zachodniej stronie budynku. Muszę zapamiętać swoje położenie, bo Rupert będzie czekał na mnie w pobliżu południowej bramy.

Schody. Zmusiłam otepiały umysł do zastanowienia, próbując wywnioskować, jaką drogą mogę dotrzeć do miejsca, którego szukam. Jeżeli chciało się kogoś torturować, prawdopodobnie potrzeba było miejsca zarówno odludnego, jak i nie przepuszczającego dźwięków. Obie te cechy wskazywały na odizolowany od świata loch jako miejsce najbardziej prawdopodobne. A lochy w

zamykach takich jak ten znajdowały się na ogół pod ziemią, gdzie tony kamieni tłumiły wszelkie krzyki, a ciemność kryła okrucieństwo przed oczyma ludzi za nią odpowiedzialnych.

Ściana tworzyła zakole na końcu korytarza. Doszłam do jednej z czterech narożnych wież – a w wieżach były schody.

Spiralne schody otworzyły się na następnym zakolu, a ich klinowate stopnie bieżyły w dół pod zawrotnym kątem, który przyprawiał o oczopląs i wykręcał kostki. Blask światła dochodzącego z korytarza w dole padający w półmrok schodów sprawiał, że tym trudniej było ocenić odległość od jednego stopnia do drugiego, więc poślizgnęłam się kilka razy, wykręcając stopy i ocierając skórę dłoni na kamiennych ścianach, których się chwyciłam.

Schody miały jedną zaletę. Przez wąskie okienko, które miało chronić je przed pogrążeniem się w całkowitej ciemności, widziałam podwórze. Przynajmniej mogłam się zorientować, gdzie jestem. Na podwórzu niewielka grupa żołnierzy ustawiła się do inspekcji w równe, czerwone linie, ale najwyraźniej nie po to, żeby oglądać wymierzanie ostatecznej kary szkockiemu buntownikowi. Na podwórzu stała szubienica, czarna i groźna, ale nie zajęta. Jej widok podziałał na mnie jak cios w żołądek. Jutro rano.

Pobiegłam w dół schodów, nie zważając na podrapane łokcie i potłuczone palce u nóg.

Gdy dotarłam na dół, zatrzymałam się z poszumem sukien, żeby nasłuchiwać. Wokół panowała martwa cisza,

ale z pewnością używano tej części zamku: w przymocowanych do ścian uchwytach paliły się pochodnie, zabarwiające bloki granitu plamami połyskującej czerwieni, a krańce każdej plamy roztopiały się w ciemności, zanim jeszcze kolejna pochodnia zdążyła ponownie wydobyć je z mroku. Dym wisiał szarymi kłębami wzdłuż sklepienia korytarza.

Od tego punktu mogłam iść już tylko jedną drogą. Poszłam więc, wciąż trzymając w pogotowiu sztylet. Niesamowicie było kroczyć powoli tym korytarzem. Widziałam już wcześniej podobne lochy, ale jako turystka, kiedy zwiedzałam wraz z Frankiem historyczne zamki. Ale wtedy masywne bloki granitu odarte były z groźnego wyglądu dzięki blaskowi fluorescencyjnych lamp zwieszających się z łuków stropu. Pamiętałam, że nawet wtedy odskakiwałam od małych, ociekających wilgocią komnat, których nie używano już od ponad stu lat. Widząc pozostałości starych i przerażających zwyczajów, grube drzwi i rdzewiejące kajdany w ścianach myślałam, że potrafię wyobrazić sobie cierpienia ludzi uwięzionych w tak odpychających celach. Teraz śmiałabym się z własnej naiwności. Jak mówił Dougal, są pewne rzeczy, którym wyobraźnia po prostu nie umie sprostać.

Na palcach przechodziłam obok zaryglowanych drzwi grubych na jakieś osiem centymetrów; tłumiły wszelkie dochodzące ze środka dźwięki. Pochylając się nisko ku ziemi, sprawdzałam, czy pod drzwiami nie dostrzegę smugi światła. Więźniowie mogli gnić w ciemności, ale Randall chciałby widzieć, co robi. Posadzka

lepiała się od starego brudu i pokrywała ją gruba warstwa luźnego kurzu. Najwyraźniej tej części więzienia na ogół nie używano. Ale pochodnie wskazywały, że ktoś tu był.

Pod czwartymi drzwiami w korytarzu znalazłam światło, którego szukałam.

Nasłuchiwałam przez chwilę, klęcząc na podłodze z uchem przyciśniętym do szczeliny, ale nie usłyszałam nic prócz trzaskającego ognia.

Drzwi nie zamknęto na klucz. Popchnęłam je, aż uchyliły się trochę i ostrożnie zajrzałam do środka. Ujrzałam Jamiego, który siedział na podłodze przy ścianie zwinięty w kłębek, z głową pochyloną pomiędzy kolana. Był sam.

Pokój okazał się niewielki, ale dobrze oświetlony. Na środku stał kocioł, w którym wesoło trzaskały płomienie. Jak na lochy, pomieszczenie wydawało się zdumiewająco przyjemne. Kamienne płyty w połowie oczyszczono, a przy jednej ze ścian stało małe, prymitywne posłanie. Umieblowania dopełniały dwa krzesła i stół, na którym znajdowało się kilka rzeczy, łącznie z dużą cynową flaszką i kubkami z rogu. W sumie widok był zaskakujący po moich wizjach ociekających wilgocią ścian i przemykających szczurów.

Być może oficerowie z garnizonu stworzyli w tym ustronnym miejscu schronienie, gdzie mogliby cieszyć się towarzystwem kobiet, które udałoby im się skłonić do wizyty w więzieniu. Z całą pewnością miało ono dużą przewagę nad koszarami.

– Jamie! – zawołałam cicho. Nie podniósł głowy ani

nie odpowiedział. Poczułam dreszcz strachu. Ledwo się zatrzymując, żeby zamknąć za sobą drzwi, szybko podeszłam ku niemu i dotknęłam jego ramienia. – Jamie!

Wtedy uniósł głowę; twarz miał trupio bladą, nie ogoloną i skapaną w zimnym pocie, którym przesiąkły jego włosy i koszula. W całym pokoju czuło się zapach strachu i wymiotów.

– Claire! – odezwał się zachrypniętym głosem, ledwie wydobywającym się przez suche i spękane wargi. – Jak ty tu... musisz natychmiast uciekać. On wkrótce wróci.

– Nie gadaj głupstw.

Oceeniłam sytuację najszybciej, jak umiałam. Miałam nadzieję, że skoncentrowanie się na zadaniach do wykonania pomoże mi uwolnić się od dziwnego, dławiącego uczucia i rozpuści ogromną bryłę lodu w moim żołądku.

Jamie był przykuty za kostkę do sworznia w ścianie, ale poza tym nie miał na sobie innych więzów. Najwyraźniej jednak wcześniej używano też liny, która leżała na stole wśród innych przedmiotów, bo na jego nadgarstkach i łokciach dostrzegłam świeże otarcia.

Zaskoczył mnie jego stan. Jamie był najwyraźniej zamroczony. Niemal na każdym skrawku ciała widniały ślady tortur, ale nie dostrzegłam żadnych poważnych uszkodzeń.

Nie zauważyłam też krwi ani ran. Upadłam na kolana i zaczęłam metodycznie wypróbować wszystkie klucze na kajdanach przy kostce.

– Co on ci zrobił? – zapytałam półgłosem z obawy

przed powrotem Randalla.

Jamie przechylił się w miejscu, gdzie siedział wciąż z zamkniętymi oczyma, a pot tysiącami drobnych perełek wystąpił mu na skórze. Najwyraźniej był bliski omdlenia, ale słysząc mój głos, na chwilę otworzył oczy. Wyjątkowo ostrożnie przesunął lewą rękę, żeby unieść coś, co trzymał na podolku. Była to jego prawa dłoń, niemal zupełnie niepodobna do ludzkiej kończyny. Groteskowo opuchnięta, wyglądała jak wydęty wór nabity czerwienią i fioletem, z palcami wygiętymi pod niesamowitymi kątami. Kość wystawała przez rozdartą skórę na środkowym palcu, a strumyczek krwi poplamił kostki palców zredukowane do rozmiarów bezkształtnych dołków.

Ludzka ręka to delikatny cud techniki, skomplikowany system stawów, obsługiwany oraz kontrolowany przez miliony maleńkich nerwów, wyjątkowo czułych na dotyk. Jeden złamany palec wystarczy, żeby silnego mężczyznę powalić na kolana mdlącym bólem.

– Zapłata – powiedział Jamie – za jego nos. Wraz z odsetkami.

Przez chwilę patrzyłam na zniekształconą dłoń, potem odezwałam się głosem, którego nigdy nie rozpoznałabym jako własnego:

– Zabiję go za to, co ci zrobił.

Usta Jamiego drgnęły lekko, kiedy iskierka humoru przecisnęła się przez maskę bólu i omdlenia.

– Potrzymam twój płaszcz. Anielko – wyszeptał.

Jego oczy znów się zamknęły, skulił się przy

ścianie, zbyt nieprzytomny, żeby dalej protestować przeciwko mojej obecności.

Zabrałam się do pracy przy zamku, zadowolona, że ręce przestały mi się trząść.

Strach został zastąpiony przez cudowne uczucie wściekłości. Dwa razy wypróbowałam wszystkie klucze z kółka i za każdym razem stwierdzałam, iż żaden z nich nie pasuje.

Ręce zaczynały mi się lepić od potu i klucze wyslizgiwały się z palców jak piskorze, kiedy po raz kolejny zaczęłam sprawdzać kilka najbardziej obiecujących. Moje mrukliwe przekleństwa obudziły Jamiego z otępienia. Pochylił się powoli, żeby zobaczyć, co robię.

– Nie trzeba klucza, żeby to otworzyć – powiedział opierając się ramieniem o ścianę, żeby utrzymać się prosto. – Jeśli jakiś będzie pasować do otworu, możesz otworzyć zamek, uderzając mocno o nasadę.

– Widziałeś już przedtem taki zamek? – chciałam, żeby pozostał przytomny i nie przestawał mówić; czekała nas przecież ucieczka.

– Tak. Pierwszego dnia przykuli mnie łańcuchem z podobnym zamkiem. Byłem w celi z wieloma innymi więźniami. Chłopak zwany Reilly Leinsterman siedział obok mnie. Powiedział, że przebywał w większości więzień w Irlandii i postanowił odwiedzić Szkocję w ramach zmiany scenerii – Jamie próbował mówić. Równie dobrze jak ja zdawał sobie sprawę, że musi się podnieść. Udało mu się przywołać na twarz drżący uśmiech. – Opowiadał mi

sporo o zamkach i różnych rzeczach. Pokazał, jak otworzyć zamki łańcuchów, w które nas zakuto. Potrzebny był jednak wolny kawałek metalu...

a tego akurat nie mieliśmy. – Więc powiedz mi – wysiłek, jakiego wymagało mówienie, sprawiał, że cały oblewał się potem, ale był teraz przytomniejszy. Koncentracja na problemie otwarcia zamka wydawała się mu pomagać.

Zgodnie z jego instrukcjami znalazłam odpowiedni klucz i wcisnęłam go najdalej, jak się dało. Według tego, co mówił Reilly, solidne uderzenie dokładnie na koniec klucza sprawi, że drugi koniec uderzy o zapadki i zmusi je do przeskoczenia. Rozejrzałam się w poszukiwaniu narzędzia odpowiedniego do zadania ciosu.

– Użyj młotka, który leży na stole, Angielko – odezwał się Jamie.

Zastanowiła mnie ponura nuta w jego głosie, więc przeniosłam wzrok z jego twarzy na stół, gdzie leżał średniej wielkości drewniany młotek z rączką owiniętą nasmołowanym sznurem.

– Czy to tym... – zaczęłam z odrazą.

– Tak. Oprzyj kajdany o ścianę, zanim uderzysz.

Ostrożnie chwytając za rączkę, podniosłam młotek. Trudno było ustawić żelazną obręcz we właściwej pozycji, żeby jedna strona opierała się o ścianę, ponieważ w tym celu Jamie musiał skrzyżować przykutą nogę pod drugą i przycisnąć kolano do ściany po drugiej stronie.

Pierwsze dwa uderzenia były zbyt słabe i nieśmiałe. Otulając się determinacją niczym opończą opuściłam



młotek na zaokrąglony koniec klucza z największą siłą, na jaką mogłam się zdobyć. Młotek ześlizgnął się z klucza i krawędzią mocno uderzył Jamiego w kostkę. Ten, odskakując, utracił swą chwiejną równowagę i upadł, instynktownie wyciągając przed siebie prawą rękę, żeby się oprzeć. Wydał z siebie nieziemski jęk, kiedy ramię załamało się pod jego ciężarem.

– O, cholera – powiedziałam, zupełnie wyczerpana.

Jamie zemdłał, za co nie mogłam go winić. Korzystając z jego chwilowego bezruchu odwróciłam jego kostkę tak, żeby kajdany zostały odpowiednio oparte i jak oszalała zaczęłam walić w tkwiący w zamku klucz, lecz bez widocznego efektu. Snułam właśnie ponure myśli na temat irlandzkich ślusarzy, kiedy drzwi za mną nagle otworzyły się na oścież.

Twarz Randalla, podobnie jak twarz Franka, rzadko ukazywała jego myśli. Stanowiła łagodną i nieprzeniknioną fasadę. W tej jednak chwili zwyczajowa poza kapitana zawiodła go. Randall stał w otwartych drzwiach z otwartymi ustami. Wyglądał podobnie jak człowiek, który mu towarzyszył. Towarzysz był bardzo wysokim mężczyzną w po plamionym i poszarpanym mundurze, miał nisko osadzone brwi, płaski nos i wydatne, obwisłe wargi charakterystyczne dla niektórych typów opóźnienia umysłowego. Jego wyraz twarzy nie zmienił się, kiedy tak wyglądał zza ramienia Randalla, nie przejawiając szczególnego zainteresowania ani mną, ani nieprzytomnym mężczyzną leżącym na posadzce.

Gdy Randall odzyskał równowagę, wszedł do

pokoju i pochylił się, żeby szarpnąć kajdany więżące nogę Jamiego.

– Widzę, że niszczysz własność Korony, moja droga. Jak wiesz, jest to przestępstwo ścigane przez prawo. Nie mówiąc już o próbie pomocy w ucieczce niebezpiecznemu więźniowi. – W bladezielonych oczach połyskiwała iskierka rozbawienia. – Będziemy musieli znaleźć dla ciebie coś odpowiedniego. A tymczasem... – Postawił mnie na nogi i unieruchomił mi ręce z tyłu, okręcając nadgarstki swoim krawatem.

Walka nie miała najmniejszego sensu, ale nastąpiłam mu na stopy najmocniej, jak umiałam, po prostu po to, żeby dać ujście rozczarowaniu i rozpacz.

– Au! – Odwrócił się ku mnie i pchnął mocno, tak że nogami uderzyłam w posłanie i upadłam na szorstkie koce. Randall obejrzał mnie z ponurą satysfakcją i otarł zakurzony obcas lnianą chusteczką. Popatrzyłam na niego mściwie, a on zaśmiał się krótko.

– Przyznam, nie jesteś tchórzliwa. Stanowicie dobraną parę. – Kiwnął głową w kierunku Jamiego, który zaczynał chyba odzyskiwać przytomność – I nie mógłbym powiedzieć ci lepszego komplementu. – Czule pomacał swoje gardło, na którym przez rozpięty kołnierz koszuli widać było ciemniejący siniak. – Próbował mnie zabić jedną ręką, kiedy go rozwiązałem. I cholernie bliski był sukcesu. Niestety, nie wiedziałem, że jest mańkutem.

– Jakież to nierozsądne z jego strony – powiedziałam.

– Istotnie – zgodził się Randall i skinął głową. – Nie

sądzę, abyś ty miała być równie nieuprzejma, prawda? Jednak na wszelki wypadek... – odwrócił się w stronę wielkiego służącego, który stał spokojnie przy drzwiach z przygarbionymi ramionami i czekał na rozkazy.

– Marley – zawołał Randall. – Chodź tu i przeszukaj tę kobietę, czy nie ma broni. – Patrzył z niejakim rozbawieniem, jak mężczyzna zbliża się do mnie nieporadnie i w końcu znajduje mój sztylet.

– Nie podoba ci się Marley? – zapytał kapitan, widząc, jak próbuję uniknąć zbyt intymnego dotyku grubych paluchów. – Jaka szkoda. Jestem pewien, że ty zrobiłaś na nim wrażenie. – Biedny Marley nie ma wiele szczęścia do kobiet – kontynuował kapitan ze złośliwym błyskiem w oku. – Prawda, Marley? Nawet dziwki go nie chcą. – Zmierzył mnie oceniającym spojrzeniem i w uśmiechu wyszczerzył zęby jak wilk. – Za wielki, mówią. – Uniósł brew. – To chyba sprawiedliwa ocena, biorąc pod uwagę, że pochodzi od ładacznicy. Uniósł drugą brew, żebym nie miała wątpliwości co do znaczenia jego słów.

Marley, który w czasie przeszukiwania dość mocno się zadyszał, zatrzymał się i otarł strużkę śliny z kącika ust. Z obrzydzeniem odsunęłam się najdalej, jak mogłam.

Randall patrzył na mnie i mówił dalej: – Wyobrażam sobie, że Marley chętnie zabawi cię w swojej prywatnej kwaterze, kiedy już zakończymy konwersację. Oczywiście, może później zdecyduje się podzielić swym szczęściem z kompanami, ale to już zależy od niego.

– Och, a pan nie chce popatrzeć? – zapytałam tonem pełnym sarkazmu.

Randall roześmiał się, szczerze rozbawiony.

– Być może mam to, co nazywają „nienaturalnymi gustami”, o czym chyba zdążyłaś się już przekonać. Ale przyznaj mi choć odrobinę wycucia estetyki. – Spojrzał na ogromnego ordynansa, ubranego w zabrudzony lasem.

Obwisłe, umazane wargi nieustannie coś przeżuwały i mamrotały, jakby szukały jakiegoś kawałka jedzenia, podczas gdy krótkie i grube palce nerwowo drapały krocze przez poplamione bryczesy.

Randall wzdrygnął się lekko.

– Nie – powiedział. – Jesteś uroczą kobietą, choć niezwykle kłótniwą. Nie, nie sądzę, bym chciał oglądać wasze igraszki. Nie biorąc pod uwagę wyglądu, zwyczajnie Marley’a pozostawiają wiele do życzenia.

– Podobnie jak twoje – odparłam.

– Być może. W każdym razie, te nie będą cię już dłużej kłopotać. – Przerwał i przyjrzał mi się uważnie. – Wiesz, wciąż ciekawi mnie, kim właściwie jesteś. Jakobitką, to raczej pewne, lecz czyją? Marischala? Seafortha? Lovata najprawdopodobniej, skoro trzymasz z Fraserami.

Randall lekko potrząsnął leżącego czubkiem wypolerowanego buta. Widziałam, jak pierś Jamiego miarowo unosi się i opada, może więc omdlenie przeszło w sen. Smugi pod jego oczyma wskazywały, że niewiele wypoczywał ostatnimi czasy.

– Od niektórych słyszałem, że jesteś czarownicą – kontynuował kapitan.

Mówił lekkim tonem, ale przyglądał mi się uważnie,

jakbym mogła nagle zmienić się w sowę i odlecieć.

– W Cranesmuir były jakieś problemy, prawda? Kogoś spalono? Ale to, bez wątpienia, tylko nonsensowne przesady. – Randall spojrział na mnie z namysłem. – Mógłbym dać się namówić na ubicie z tobą interesu – powiedział nagle. Odchylił się do tyłu na wpół siedząc na stole, zapraszając mnie do rozmowy.

Roześmiałam się gorzko.

– Nie mam w tej chwili ani możliwości, ani ochoty na targi. Co możesz mi zaoferować?

Randal zerknął na Marleya. Idiota wpatrywał się we mnie i mamrotał coś pod nosem.

– Przynajmniej wybór. Powiedz mi i przekonaj mnie, kim jesteś i kto posłał cię do Szkocji. Co tu robisz, jakie informacje i komu przekazałaś. Jeśli zdradzisz swoją słodką tajemnicę, zabiorę cię do sir Fletchera, zamiast oddać Marleyowi.

Uparcie odwracałam wzrok od Marleya. Widziałam gnijące pieńki zębów w jego pokrytych krostami dziąsłach. Myśl o tym, że mógłby mnie całować, nie mówiąc już o...

szybko przerwałam te rozważania. Randall miał rację, nie byłam tchórzem. Ale nie byłam też głupia.

– Nie możesz zabrać mnie do sir Fletchera – odparłam – i oboje o tym wiemy.

Zaprowadzisz mnie do niego i zaryzykujesz, że opowiem mu o twoim zachowaniu? – Ruchem głowy wskazałam całe pomieszczenie i Jamiego leżącego u moich stóp. – Nie sądzę, żeby sir Fletcher dopuścił, aby jego oficerowie oficjalnie torturowali więźniów.

Nawet w angielskiej armii muszą istnieć jakieś zasady.

Randall uniósł brwi.

– Tortury? Ach, o to chodzi. – Z lekceważeniem machnął ręką na widok dłoni Jamiego. – Wypadek. Upadł i podeptali go inni więźniowie. Wiesz, dość tłoczno jest w celach. – uśmiechnął się ironicznie.

Milczałam. Sir Fletcher mógłby uwierzyć lub nie, że uszkodzenie ręki Jamiego spowodowane zostało zwykłym wypadkiem, ale wysoce nieprawdopodobne było, aby uwierzył mnie, skoro już zostałabym zdemaskowana jako angielski szpieg.

Randall patrzył na mnie czujnie, wyglądając najmniejszej oznaki słabości.

– Wybór należy do ciebie.

Westchnęłam i zamknęłam oczy zmęczona jego widokiem. Wybór nie należał do mnie, ale trudno byłoby to wyjaśnić właśnie Randallowi.

– Niczego nie mogę ci powiedzieć – odparłam po chwili.

– Przemyśl to jeszcze. – Wstał i ostrożnie przestąpił nieprzytomnego Jamiego, po czym wyciągnął z kieszeni klucz. – Mogę tu jeszcze potrzebować pomocy Marleya, ale potem odprowadzę go z powrotem do kwatery. A ciebie wraz z nim, jeżeli nie chcesz współpracować.

Pochylił się, otworzył zamek kajdanów i uniósł nieruchome ciało z siłą zdumiewającą u kogoś tak drobnego. Muskły na jego przedramionach rozpychały rękawy śnieżnobiałej koszuli, kiedy niósł Jamiego, którego

głowa zwisała bezwładnie. Przeniósł więźnia na stołek ustawiony w rogu. Skinął głową w kierunku stojącego nie opodal wiadra.

– Obudź Frasera – rozkazał krótko milczącemu olbrzymowi. Zimna woda rozprysła się na kamieniach i spłynęła na posadzkę, tworząc brudną kałużę. – Jeszcze raz – powiedział Randall, oglądając Jamiego, który pojękiwał cicho, głową pocierając o ścianę.

Pod drugim potokiem zimnej wody Jamie wzdrygnął się i zakaszłał.

Randall podszedł i złapał go za włosy. Odchylił mu głowę do tyłu i potrząsnął nią jak utopionym zwierzęciem, tak że krople cuchnącej wody opryskały ściany. Oczy Jamiego były tylko szparkami. Randall z obrzydzeniem puścił głowę więźnia i odwracając się, otarł rękę o spodnie. Kątem oka musiał zauważyć jakiś ruch, bo zaczął odwracać się z powrotem, ale nie zrobił tego wystarczająco szybko, żeby uchronić się przed nagłym uderzeniem wielkiego Szkota.

Ramiona Jamiego zacisnęły się wokół szyi kapitana. Nie mogąc użyć prawej ręki, złapał sprawną lewą dłońią za nadgarstek prawej i pociągnął opierając przedramię na tchawicy Anglika. Kiedy Randall stał się purpurowy i zaczął się osuwać, zwolnił uchwyt lewej ręki na czas wystarczająco długi, żeby umieścić pięść w okolicy nerki kapitana.

Nawet przy tak wielkim osłabieniu cios Jamiego wystarczył, żeby Randall upadł na kolana.

Porzucając nieprzytomnego kapitana, Jamie

odwrócił się na pięcie, żeby stawić czoło niezdarnemu ordynansowi, który do tej pory przyglądał się wydarzeniom bez najmniejszego zainteresowania. Mimo że wyraz obwisłej, tępej twarzy pozostał taki sam, kiedy Jamie zbliżył się do niego, trzymając za nogę stołek w lewej ręce, Marley podniósł ze stołu drewniany młotek. Cień ostrożności wpełź na twarz ordynansa, kiedy obaj okrążali się powoli, szukając okazji do ataku.

Lepiej uzbrojony Marley spróbował pierwszy. Wycelował młotkiem w żebra przeciwnika. Jamie odskoczył i zablokował cios stołkiem, zmuszając ordynansa do cofnięcia się w kierunku drzwi. Następny atak, morderczy cios z góry na dół, rozłupałby czaszkę Jamiego, gdyby trafił w cel. Zamiast tego jednak rozplątany został stołek.

Jamie niecierpliwie uderzył stołkiem o ścianę, redukując go do mniejszej, lecz poręczniejszej maczugi, długiej na pół metra i rozwidlonej na końcu.

Powietrze w celi, ciężkie od dymu z pochodni, stało nieruchomo i słychać było jedynie ciężkie oddechy obu mężczyzn, a czasami łupnięcie drewna na czymś ciele. Bojąc się odezwać, żeby nie zdekoncentrować Jamiego, wsunęłam nogi na łóżko i oparłam się o ścianę.

Było dla mnie jasne – i dla ordynansa również, sądząc po jego lekkim, wyczekującym uśmiešku – że Jamie gwałtownie zaczął poddawać się zmęczeniu. I tak dziwne, że stał na nogach, nie wspominając o braniu udziału w walce. Wszyscy troje wiedzieliśmy, że zmagania nie potrwią już długo i jeżeli Jamie ma pokonać



przeciwnika, musi uderzać szybko. Krótkimi, mocnymi pchnięciami drażniąc przeciwnika, posuwał się ostrożnie w kierunku Marleya, zmuszając większego od siebie mężczyznę do wycofania się w kąt, gdzie jego rozmach zostanie ograniczony. Ordynans zdawał sobie z tego sprawę, więc wykonał niebezpiecznie szeroki, poziomy cios, oczekując, że Jamie się cofnie.

Zamiast zrobić krok do tyłu. Jamie wysunął się do przodu, przyjął pełen impet uderzenia na lewy bok, a jednocześnie z całej siły spuścił „maczugę” na skroń Marleya.

Skupiona na rozgrywającej się scenie, nie zwracałam najmniejszej uwagi na Randalla leżącego twarzą w dół na podłodze w pobliżu drzwi. Ale kiedy ordynans zachwiał się, a jego oczy nagle stały się szkliste, usłyszałam skrzypiący odgłos kroków na kamieniach i świszczący oddech połaskotał mnie w ucho.

– Ładna walka, Fraser. – Głos Randalla był zachrypnięty po przyduszeniu, ale tak samo opanowany jak zwykle. – Ale sporo cię kosztowała, prawda? Zapewne masz połamane żebra.

Jamie oparł się o ścianę, oddychając spazmatycznie. Wciąż trzymał maczugę w ręce przyciągniętej do boku. Wzrokiem zmierzył odległość dzielącą go od kapitana.

– Nawet nie próbuj, Fraser – odezwał się Randall łagodnym tonem. – Będzie martwa, zanim przejdiesz dwa kroki.

Cienka, chłodna klinga sztyletu wślizgnęła się za moje ucho; czułam jej czubek naciskający lekko na szyję

tuż przy szczęce.

Jamie przez chwilę obserwował tę scenę beznamiętnym wzrokiem, nadal opierając się o ścianę. Nagłym wysiłkiem wyprostował się, co najwyraźniej sprawiło mu ból, i stanął chwiejnie. Maczuga z głuchym odgłosem upadła na kamienną posadzkę. Czubek sztyletu nacisnął odrobinę mocniej, ale Randall stał bez ruchu, kiedy Jamie powoli przeszedł kilkadziesiąt centymetrów dzielących go od stołu, po drodze pochylił się ostrożnie, żeby podnieść owinięty sznurem młotek. Trzymał go przed sobą w dwóch palcach, z wyraźnym brakiem agresywnych zamiarów.

Młotek stuknął o stół przede mną, a rączka zakręciła się wystarczająco mocno, żeby przenieść ciężki trzon w pobliże krawędzi. Leżał ciemny i ciężki na dębowym blacie, niczym pospolite, solidne narzędzie. Trzciny koszyk z gwoździami stał wśród innych rzeczy na dalekim końcu stołu. Prawdopodobnie zostawili to wszystko stolarze wykańczający pokój. Sprawna ręka Jamiego mocno uchwyciła krawędź stołu. Z trudem usiadł powoli na krześle i umyślnie położył ręce płasko przed sobą na pokiereszowanej drewnianej powierzchni, mając młot w zasięgu ręki.

Przez całą swą bolesną podróż przez pokój wbijał wzrok w Randalla i teraz też nie spuścił z niego oczu. Krótkim ruchem głowy wskazał w moim kierunku i nie patrząc na mnie powiedział: – Puść dziewczynę.

Miałam wrażenie, że rękojęć sztyletu odsunęła się odrobinę. Głos Randalla odezwał się rozbawionym i

pełnym zaciekawienia tonem:

– Czemu miałbym to zrobić?

Jamie wydawał się teraz w pełni panować nad sobą, choć twarz mu pobladła, a pot spływał po policzkach niczym łzy.

– Nie możesz grozić nożem dwojgu ludziom naraz. Zabij kobietę albo od niej odejź, i zginiesz – mówił łagodnie, ale stalowe tony dawały się słyszeć pod lekkim szkockim akcentem.

– A co mnie powstrzyma od uśmiercenia obojga po kolei?

Wyraz, który pojawił się na twarzy Jamiego, mogłabym nazwać uśmiechem tylko dlatego, że ukazywał zęby.

– Zawiódłbyś kata? Trudno będzie wyjaśnić okoliczności mojej śmierci, gdy nadejdzie ranek nie sądzisz? – Wskazał lekko głową na nieprzytomnego olbrzyma na podłodze. – pamiętasz, że musiałeś kazać swojemu pomocnikowi związać mnie liną, zanim mi złamałeś rękę.

– Co z tego? – sztylet pozostał w okolicy mojego ucha.

– Ordynans nie będzie przydatny przez czas jakiś.

Niewątpliwie miał rację. Monstrualny mężczyzna leżał w kącie na brzuchu, oddychając urywanymi, chrapliwymi sapnięciami. Poważne wstrząśnienie mózgu, pomyślałam machinalnie. Możliwy krwiał. Choćby nawet umierał na moich oczach, nie mnie to nie obchodziło.

– Nie dasz rady wziąć mnie sam jeden, nawet jeśli

władam tylko jedną ręką. – Jamie potrząsnął powoli głową, oceniając rozmiary i siłę Randalla. – Nie. Jestem większy i o wiele lepszy w walce wręcz. Gdybyś nie miał obok siebie kobiety, zabrałbym ci nóż i wbił w gardło. Wiesz o tym dobrze, dlatego jej nie skrzywdziłeś.

– Ale ją mam. Oczywiście, ty możesz opuścić więzienie. Jest stąd wyjście, całkiem niedaleko. Rzecz jasna, w ten sposób skazałbyś swoją żonę na pewną śmierć.

Jamie wzruszył ramionami.

– Siebie także. Nie doszedłbym daleko z całym garnizonem za plecami. Może lepiej być ustrzelonym na otwartej przestrzeni niż zawisnąć tutaj, ale to nie wystarczy, żebym odczuł jakąś różnicę. – Grymas bólu przemknął przez jego twarz.

Jamie na moment wstrzymał oddech.

Po chwili znowu zaczął łapać powietrze płytkimi haustami. Szok, który chronił go przed najgorszym bólem, zaczynał najwyraźniej mijać.

– Więc znaleźliśmy się w impasie – stwierdził Randall tonem dobrze wychowanego Anglika mówiącego o pogodzie. – Chyba że masz jakieś propozycje?

– Mam. Chcesz mnie – odparł rzeczowo Szkot. – Pozwól kobiecie odejść, a ja oddam się w twoje ręce. – Czubek sztyletu poruszył się lekko zahaczając o moje ucho. Poczulałam ukłucie i ciepłą stróżkę krwi. – Zrobisz ze mną, co zechcesz. Walczył nie będę, ale pozwolę się związać, jeżeli uznasz to za potrzebne. I nic nie powiem o tym jutro. Ale przedtem dopilnujesz, by Claire bezpiecznie wydostała się z więzienia.

Nie spuszczałam oczu z uszkodzonej dłoni Jamiego. Mała plama krwi pod środkowym palcem powoli rosła. Z przerażeniem zdałam sobie sprawę, że Jamie z premedytacją przyciska palec do stołu, używając bólu jako impulsu pomagającego zachować przytomność. Targował się o moje życie stawiając na szalę jedyną rzecz, jaka mu pozostała – siebie samego. Gdyby teraz zemdleł, straciłby tę szansę.

Randall rozluźnił się całkowicie, a szyćlet opierał się lekko o moje prawe ramię, gdy tymczasem kapitan zastanawiał się nad propozycją. Ja siedziałam przed Randalle.

Jamie miał zawisnąć jutro rano. Prędzej czy później ktoś zastanowi się nad jego zniknięciem i zamek zostanie przeszukany. Nawet jeśli tolerowało się pewną dozę brutalności wśród oficerów i dżentelmenów – byłam pewna, że tolerancja ta objęłaby złamaną rękę czy skórę zdartą z pleców – ale innych skłonności Randalla nie przeoczono by tak łatwo. Bez względu na status Jamiego jako więźnia i skazańca, gdyby rano stanął na szafocie i oskarżył Randalla o fizyczną zniewagę, jego oskarżenia zostałyby zbadane.

A gdyby oględziny je potwierdziły, kariera Randalla dobiegłaby końca, możliwe że nawet wraz z jego życiem. Ale gdyby Jamie poprzysiągł milczeć...

– Dasz mi słowo?

Oczy Jamiego wyglądały jak błękitne płomienie świec na pergaminowej twarzy. Po chwili skinął wolno głową.

– W zamian za twoje.

Trudno było się oprzeć pokusie posiadania całkiem uległej ofiary.

– Umowa stoi. – Sztylet opuścił moje ramię i usłyszałam świst metalu wsuwanego do pochwy. Randall powoli przeszedł obok mnie i okrążył stół. Po drodze uniósł młotek znacząco i zapytał z ironią w głosie: – Pozwolisz mi na krótki test twojej szczerości?

– Tak. – Głos brzmiał pewnie.

Chciałam przemówić, zaprotestować, ale w gardle zaschło mi tak, że nie mogłam wydobyć słowa.

Randall niespiesznie pochylił się nad Jamiem, żeby delikatnie wyjąć gwóźdź z trzciniowego koszyka. Starannie ustawił czubek gwoździa we właściwym miejscu i opuścił młotek. Czterema mocnymi uderzeniami przybił prawą dłoń Jamiego do blatu stołu. Po łamane palce drgnęły i rozprostowały się niczym odnóża pająka przyszpilonego do papieru.

Jamie jęknął, a oczy rozszerzyły mu się i zaszczyły mgłą od doznanego wstrząsu.

Randall ostrożnie odłożył młotek. Ujął dłonią podbródek Jamiego i uniósł kredowobladał twarz więźnia.

– Teraz mnie pocałuj – powiedział miękko i pochylił głowę ku nie stawiającym żadnego oporu ustom Jamiego.

Kiedy się wyprostował, jego twarz miała wyraz rozmarzenia. Wzrok błędził gdzieś daleko, a szerokie wargi wykrzywiły się w uśmiechu. Kiedyś, dawno temu, kochałam taki uśmiech, a to rozmarzone spojrzenie

rozpalało mnie w oczekiwaniu. Łza spłynęła mi po brodzie, chociaż nie mogłam sobie przypomnieć, kiedy zaczęłam płakać. Randall przez chwilę stał pogrążony w transie, spoglądając w dół na Jamiego kiedy odzyskał rzeczywistości, ponownie wyciągnął sztylet.

Ostrze bez trudu przecięło więzy na moich nadgarstkach, lekko ocierając się o skórę.

Ledwie miałam czas rozetrzeć obolałe miejsca, żeby pobudzić krążenie, gdy Randall złapał mnie za łokieć i popchnął ku drzwiom.

– Czekaj! – przemówił Jamie zza naszych pleców.

Kapitan odwrócił się zniecierpliwiony.

– Pozwolisz mi się chyba pożegnać? – Było to raczej stwierdzenie niż pytanie.

Randall zawahał się jedynie przez krótką chwilę, zanim przytaknął i popchnął mnie z powrotem ku nieruchomej sylwetce siedzącej przy stole.

Jamie mocno mnie objął zdrowym ramieniem, a ja ukryłam mokrą twarz w jego szyi.

– Nie możesz – szepnęłam. – Ja ci nie pozwolę...

Poczułam ciepłe usta przy swoim uchu.

– Claire, rano mam zawisnąć na szubienicy. To, co przydarzy mi się od teraz do egzekucji, dla nikogo nie ma już znaczenia.

Odsunęłam się i spojrzałam na niego.

– Dla mnie ma! – Napięte usta drgnęły w grymasie, który był niemal uśmiechem, po czym Jamie wolno uniósł rękę i położył na moim zalanym łzami policzku.

– Wiem, że tak, mo dumne. I dlatego właśnie teraz

stąd wyjdiesz. Chcę wiedzieć, że jest ktoś, kto jeszcze o mnie pamięta. – Znowu przyciągnął mnie bliżej do siebie, pocałował delikatnie i wyszeptał po celtycku: – Pozwoli ci odejść, bo sądzi, że jesteś bezradna. Ja wiem, że nie jesteś. – Puszczając mnie, dodał po angielsku: – Kocham cię.

Idź teraz.

Randall wypchnął mnie za drzwi i przystanął w progu.

– Wrócę za chwilę. – Mówił tonem mężczyzny niechętnie opuszczającego kochankę.

Słyszac go, poczułam ciężar w żołądku.

Obramowany czerwienią przez pochodnię płonąca za jego plecami Jamie z gracją pochylił głowę w kierunku przyszpilonej dłoni.

– Na pewno znajdziesz mnie tutaj. Czarny Jack.

Pospolite przezwisko dla hultajów i łajdaków z osiemnastego wieku. Niczym powiew romansu, imię to przywoływało na myśl uroczych rozbójników i fantazyjne pióra w kapeluszach. Rzeczywistość szła u mojego boku.

Ludzie nigdy nie zastanawiają się, co leży u podstaw romantycznej opowieści.

Tragedia i przerażenie odmienione przez czas. Ubarwmy nieco opowieść i voila! Mamy poruszający romans, dzięki któremu krew szybciej krąży w żyłach, a dziewczęta wzdychają z tęsknoty. Moja krew też krążyła szybko, to się zgadzało, ale żadne dziewczę nie wzdychało nigdy tak, jak Jamie podtrzymujący swą poszarpaną dłoń.

– Tędy. – Randall odezwał się po raz pierwszy, odkąd opuściliśmy celę. Wskazał na wąską alkowę w



ścianie, nie oświetloną przez pochodnie. Droga na zewnątrz, o której wspominał Jamiemu.

Do tej pory zdołałam już odzyskać kontrolę nad sobą w stopniu wystarczającym, aby przemówić, i tak też zrobiłam. Pozostałam nieco z tyłu, żeby światło pochodni oświetliło mnie całą, bo chciałam, aby zapamiętał moją twarz.

– Pytałeś mnie, kapitanie, czy jestem czarownicą – odezwałam się niskim i spokojnym głosem. – Teraz ci odpowiem. Jestem czarownicą. I jako wiedźma przeklinam cię. Ożenisz się, kapitanie, a twoja żona urodzi dziecko, ale nie przeżyjesz wystarczająco długo, żeby zobaczyć swojego pierworodnego. Chcę, abyś miał tę świadomość, Jacku Randallu. I podaję ci godzinę twojej śmierci.

Jego twarz znajdowała się w cieniu, ale błysk oczu pokazał, że mi uwierzył. Bo też niby dlaczego nie miałyby uwierzyć? Mówiłam prawdę. Linie drzewa genealogicznego Franka oraz wymieniane tam imiona stały mi przed oczyma tak wyraźnie, jakby wryto je w kamieniach tworzących ścianę pokoju. – Jonathan Wolverton Randall – powiedziałam spokojnie, czytając napis z kamieni – urodzony trzeciego września tysiąc siedemset piątego roku. Zmarł... – Wykonał nagły ruch w moim kierunku, ale nie wystarczająco szybki, żeby powstrzymać mnie przed mówieniem.

Wąskie drzwi z tyłu alkowy otworzyły się z hukiem i skrzypieniem zawiasów.

Oczekiwałam ciemności, więc oślepił mnie odbłask słonecznego światła na śniegu.

Popchnięta gwałtownie od tyłu, wypadłam głową naprzód. Potknęłam się o zaspe, a drzwi zatrzasnęły się za mną.

Leżałam w dole za więzieniem. Zaspa wokół mnie zakrywała jakieś bryły – najprawdopodobniej odpadki z twierdzy. Pod zaspa, w którą wpadłam, znajdowało się coś twardego, zapewne drewno. Spojrzałam w górę na ścianę wznoszącą się pionowo nade mną, zobaczyłam smugi i rynny biegnące wzdłuż kamieni, znaczące drogę, jaką odpadki spuszczano przez szyb. Piętnaście metrów wyżej znajdowały się pewnie pomieszczenia kuchenne.

Przetoczyłam się i podparłam o coś, żeby wstać. Nagle spojrzałam prosto w czyjeś niebieskie oczy. Twarz trupa była niemal tak samo niebieska jak tęczęwki i twarda jak kłoda drewna, za którą go z początku wzięłam. Dławiąc się, wstałam i oparłam o więzienny mur.

Głowa w dół i oddychaj głęboko, nakazałam sobie stanowczo. Nie masz zamiaru mdleć teraz, widziałas już wcześniej martwych ludzi, i to całe mnóstwo. Nie zemdlejesz – Boże, ma błękitne oczy, zupełnie tak samo jak... – nie zemdlejesz, do jasnej cholery!

W końcu udało mi się odzyskać oddech i uspokoić szalejący puls. Nerwowo ocierając ręce o spódnicę, zmusiłam się do ponownego zbliżenia do żalostnej postaci. Nie wiem, czy czułam litość, ciekawość, czy też zwykłe zaskoczenie sprawiło, że musiałam spojrzeć na nią raz jeszcze. Kiedy już otrząsnęłam się z szoku, w martwym mężczyźnie nie było nic przerażającego, zresztą nigdy nie ma. Bez względu na to, w jak okropny sposób umiera

człowiek, wstrząsająca jest jedynie obecność cierpiącej ludzkiej duszy; kiedy jej zabraknie, pozostaje już tylko martwy przedmiot.

Błękitnooki nieznajomy umarł przez powieszenie. Nie był to jedyny trup w zaspie.

Nie trudziłam się jej rozkopywaniem, ale kiedy już przekonałam się, co zawiera, dostrzegłam pod śniegiem wyraźne zarysy zamrożonych członków oraz lekkie okrągłości głów. Leżało tu co najmniej tuzin zwłok czekając na odwilż, która ułatwi pochówek, bądź też na ostrzejsze potraktowanie ze strony zwierząt z pobliskiego lasu.

Myśl o dzikiej zwierzynie wytrąciła mnie z melancholijnego bezruchu. Nie miałam aż tyle czasu, żeby marnować go na medytację nad grobami, inaczej jeszcze jedna para błękitnych oczu będzie tu spoglądać pustym wzrokiem na padający śnieg.

Musiałam znaleźć Murtagha i Ruperta. Może udałoby się skorzystać z ukrytej furtki.

Najwyraźniej nie była ona ufortyfikowana ani strzeżona jak główna brama i inne wejścia do więzienia. Ale potrzebowałam pomocy, i to szybko.

Zerknęłam w górę na obrzeże dołu. Słońce stało dość nisko. Promienie przedzierały się przez zasłone chmur tuż nad czubkami drzew. Powietrze wydawało się ciężkie od wilgoci. Prawdopodobnie po zmierzchu znów zaczną padać śnieg; chmury wyglądały na grubsze we wschodniej części nieba. Została mi może jeszcze godzina dziennego światła.

Zacęłam obchodzić dół dookoła. Nie chciałam

wspinać się na strome, skalne ściany, dopóki nie będę do tego zmuszona. Parów skręcił szybko, oddalając się od więzienia.

Wyglądało na to, że droga prowadzi ku rzece. Prawdopodobnie odpływ zabierał ze sobą odpady z podnóża twierdzy. Dotarłam już prawie do zakrętu, kiedy usłyszałam za sobą cichy dźwięk. Odwróciłam się na pięcie. Ze zbocza spadał kamień, potracony łapą wielkiego szarego wilka.

Bez wątpienia stanowiłam dla wilka bardziej łakomy kąsek niż to, co znajdowało się pod śniegiem. Owszem, poruszałam się, więc trudniej było mnie złapać i istniała możliwość napotkania oporu. Z drugiej jednak strony, nie zeszywniałam jeszcze od mrozu, a zatem zwierzę nie ryzykowało połamania sobie zębów. Pachniałam także świeżą krwią, kusząco ciepłą na tym mroźnym bezludziu. Pomyślałam, że gdybym była wilkiem, nie wahałabym się ani chwili. Szara bestia najwyraźniej doszła do podobnego wniosku.

W szpitalu Pembroke był pewien Amerykanin, Charrie Marshall. Całkiem miły facet, przyjacielski jak wszyscy Jankesi, a najbardziej lubił rozmawiać o swoich ulubionych zwierzętach. Najbardziej kochał psy; Charrie służył jako sierżant w korpusie K-9, pracującym z tymi przyjacielskimi czworonogami. On i jego dwa wilczury weszli na minę przeciwpiechotną w małej wiosce niedaleko Arles. Opłakiwał je i kiedy siedziałam przy nim podczas nielicznych beczynnych chwil mojej służby, często opowiadał mi o nich różne historie.

Wracając do rzeczy, kiedyś mówił mi, co należy robić i czego nie robić, gdybym została zaatakowana przez psa. Wydawało mi się, że nazywanie psem groźnego stworzenia ostrożnie wybierającego drogę wśród kamieni jest trochę naciągane, ale miałam też nadzieję, że ma ono kilka wspólnych cech z tymi obłaskawionymi potomkami.

– Zły pies – odezwałam się stanowczo, patrząc w jedną z żółtych źrenic. – Właściwie – powiedziałam odsuwając się bardzo powoli w kierunku ściany więzienia – jest z ciebie po prostu okropny pies. (Mów stanowczo i głośno, brzmiały mi w głowie słowa Charliego). Pewnie najgorszy, jakiego w życiu widziałam – dodałam stanowczo i głośno.

Nadal się cofałam, jedną dłonią macając za sobą w poszukiwaniu kamiennej ściany.

Kiedy już tam dotarłam, zaczęłam przesuwać się w kierunku naroża odległego o jakieś dziesięć metrów.

Pociągnęłam za wstążki u szyi i zaczęłam mocować się z broszą spinającą płaszcz, jednocześnie wciąż mówiąc wilkowi stanowczo i głośno, co myślę o nim, jego przodkach i członkach najbliższej rodziny. Wilk wydawał się zainteresowany moim wykładem.

Wysunął język w psim uśmiechu i po prostu na mnie patrzył. Nie spieszyło mu się. Kiedy podszedł bliżej, zauważyłam, że lekko utyka, jest chudy i wynędzniały. Może miał trudności z polowaniem i kalectwo przywiodło go do więziennego śmietniska. Taką przynajmniej miałam nadzieję; im mniej jest sprawny, tym lepiej.

Założyłam skórzane rękawice, które wyjęłam z

kieszeni płaszcz. Potem kilka razy okręciłam ciężki płaszcz wokół prawego przedramienia, błogosławiąc dużą wagę aksamitu.

– Będą skakać do gardła – pouczył mnie Charlie – chyba że trener rozkaże im inaczej. Patrz mu w oczy, a zobaczysz, kiedy zdecyduje się zaatakować.

W złośliwym żółtym oku widziałam wiele rzeczy, łącznie z głodem, ciekawością i zastanowieniem, ale nie znalazłam tam jeszcze decyzji.

– Obrzydliwe stworzenie – powiedziałam. – Ani się waż skakać mi do gardła!– Okręciłam płaszcz wokół prawego ramienia, pozostawiając sporą część zwisającą luźno.

Miałam nadzieję, że grube okrycie da mi wystarczającą ochronę przed zębami bestii.

Wilk był chudy, ale nie zagłodzony. Oceniłam jego wagę na jakieś czterdzieści kilogramów; mniej niż ja, ale to nie wystarczy, żeby pokonać przeciwnika. Z pewnością wiele przemawiało na korzyść zwierzęcia; cztery nogi przeciwko dwóm dawały lepszą równowagę na śliskiej pokrywie śniegu. Miałam nadzieję, że oparcie się plecami o ścianę trochę mi pomoże.

Poczułam z tyłu pustkę i stwierdziłam, że dotarłam do krawędzi. Wilk znajdował się jakieś siedem metrów dalej. To było to. Nogą zeszkrobałam z ziemi wystarczająco dużą warstwę śniegu, żeby zdobyć dobre oparcie dla nóg, i zaczęłam czekać.

Nie zobaczyłam, kiedy wilk oderwał się od ziemi. Mogłabym przysiąc, że patrzyłam mu w oczy, ale jeżeli

decyzja o skoku została w nich zarejestrowana, to działanie nastąpiło tak szybko po niej, że nie dało się niczego zauważyć. To instynkt, nie rozum, uniósł moje ramię, kiedy białoszara smuga śmignęła w moim kierunku.

Zęby wgryzły się w osłonę na mojej ręce z taką siłą, że posiniaczyły ramię. Wilk okazał się cięższy niż przypuszczałam; nie byłam przygotowana na taką wagę i opuściłam ramię.

Zamierzałam cisnąć bestią o mur. Może udałoby mi się ją ogłuszyć. Zamiast tego obróciłam się ku ścianie i biodrem przegniotłam zwierzę do kamiennych bloków.

Z trudem udało mi się owinąć je luźną częścią płaszcza. Pazury podarły mi spódnicę i rozdrapały udo. Zajadłe wbiłam kolano w pierś wilka. Rozległ się zduszony skowyt.

Dopiero po chwili zdałam sobie sprawę, że to ja, a nie wilk wydaję z siebie dziwne, jęklliwe powarkiwania.

Dziwne, w ogóle nie czułam już strachu. W mojej głowie wystarczyło miejsca tylko na jedną myśl: albo ja zabiję to zwierzę, albo ono zabije mnie.

Podczas intensywnej walki nadchodzi pewien moment zwrotny, kiedy wola zwycięstwa sprawia, że człowiek ignoruje wszelkie koszty osiągnięcia celu do chwili, gdy walka się skończy. Kobiety odnajdują ten moment przy porodzie, mężczyźni w walce.

Po przekroczeniu tego punktu traci się wszelki strach przed bólem i zranieniem.

Życie staje się bardzo proste; zrobisz to, co chcesz zrobić, albo umrzesz próbując. I tak naprawdę nie ma

znaczenia, która z tych ewentualności stanie się w końcu twoim udziałem.

Widziałam tego typu walkę w czasie pielęgniarzkiego szkolenia, ale nigdy przedtem sama jej nie doświadczyłam. Teraz całą swą siłę skoncentrowałam na szczękach zaciśniętych wokół mojego przedramienia i wijącym się demonie rozdzierającym moje ciało.

Udało mi się uderzyć głową bestii o ścianę, ale niewystarczająco mocno, żeby cokolwiek osiągnąć. Zaczynałam się gwałtownie męczyć i gdyby wilk był w dobrej kondycji, nie miałabym żadnych szans. Teraz też nie pozostało ich wiele, ale postanowiłam wykorzystać wszystkie możliwości. Upadłam na zwierzę, unieruchamiając je pod sobą i wyciskając z niego powietrze w postaci cuchnącego padliną oddechu. Szary potwór odzyskał siły niemal natychmiast i zaczął wić się pode mną, ale trwający sekundę bezruch umożliwił mi uwolnienie ramienia i zaciśnięcie jednej ręki na wilgotnym pysku.

Przesuwając palce w kąci paszczy wilka, udało mi się uchronić je przed ostrymi jak brzytwa zębami. Ślina spływała po moim przedramieniu. Leżałam płasko na wilku, a krawędź ściany więzienia znajdowała się jakieś pół metra przede mną. W jakiś sposób musiałam się do niej dostać bez uwalniania furii, która skręcała się i rzucała pod ciężarem mojego ciała.

Odpychając się stopami i naciskając na wilka z całej siły, posuwałam się do przodu centymetr po centymetrze. Wciąż walczyłam, żeby uchronić gardło przed kłami.

Przezołganie się o pół metra nie mogło mi zabrać



więcej niż kilka minut, ale odniosłam wrażenie, że przez dłuższą część życia leżałam zwarta z bestią, której pazury rozdzierały mi skórę na nogach szukając możliwości rozorania brzucha.

W końcu mogłam wyrzucić za róg. Tępa krawędź kamienia znalazła się dokładnie na przeciwko mojej twarzy. Teraz czekało mnie najtrudniejsze zadanie. Musiałam tak manewrować ciałem wilka, żeby udało mi się wsunąć obie ręce pod pysk; jedną ręką nigdy nie zdołam zadać wystarczająco silnego ciosu.

Gwałtownie przetoczyłam się w bok i wilk od razu wślizgnął się w niewielką wolną przestrzeń pomiędzy moim ciałem i ścianą. Zanim udało mu się wstać, uniosłam kolano najgwałtowniej jak umiałam. Wilk stęknął, kiedy kość wbiła mu się w bok, przygważdżając na chwilę do ściany.

Teraz obie ręce miałam już pod jego szczęką. W zasadzie palce jednej dłoni trzymałam w wilczej paszczy. Czułam miazdzący uścisk na osłoniętych rękawiczką kostkach, ale zignorowałam ból. Odchylałam włochaty łeb coraz bardziej i bardziej w tył, używając załamania ściany jako punktu podparcia. Myślałam już, że połamię sobie ramiona, ale to była moja jedyna szansa.

Nie usłyszałam żadnego dźwięku, ale poczułam pogłos w całym ciele, kiedy szyja trzasnęła. Napięte członki – i pęcherz również – od razu się rozluźniły. Nieznośny nacisk na moje ramiona zelżał. Upadłam na ziemię równie pozbawiona sił jak umierający wilk.

Czułam przy policzku drzenie zwierzęcego serca,

jedynej jego części, która jeszcze próbowała walczyć ze śmiercią. Sprężyste futro śmierdziało amoniakiem i wilgotnym włosiem. Chciałam się odsunąć, ale nie mogłam.

Wydaje mi się, że na moment zasnęłam z policzkiem wspartym o ciało wilka, choć może brzmi to nieprawdopodobnie. Otworzyłam oczy i zobaczyłam zielonkawy kamień wystający ze ściany więzienia kilka centymetrów od czubka mojego nosa. Tylko myśl o tym, co działo się po drugiej stronie muru, sprawiła, że się podniosłam.

Potykałam się o kamienie ukryte w śniegu, boleśnie obtłukiwałam sobie golenie o zagrzebane gałęzie drzew, ale w końcu wygramoliłam się z dołu z płaszczem przerzuconym przez jedno ramię. Podświadomie pewnie myślałam o tym, że wilki zazwyczaj poruszają się w grupach, ponieważ nawet się nie zdziwiłam, słysząc wycie.

Jeżeli cokolwiek czułam, była to ślepa wściekłość na domniemany spisek mający opóźnić moje działanie i pokrzyżować moje plany.

Z trudem odwróciłam się, żeby spojrzeć, skąd dobiega odgłos. W tym czasie znajdowałam się już na otwartej przestrzeni w pewnej odległości od więzienia. Nie miałam ściany, o którą mogłabym się oprzeć i żadnej broni pod ręką. Już i tak niesamowity łut szczęścia pomógł mi w walce z pierwszym wilkiem. Nie miałam nawet jednej szansy na tysiąc, żeby gołymi rękoma zabić kolejne zwierzę – a ile ich jeszcze mogło kryć się nie opodal? Grupa, którą latem widziałam pożywiającą się w świetle księżyca,

liczyła co najmniej dziesięć wilków. W pamięci miałam jeszcze odgłos zębów szarpiących mięso i trzask łamanych kości. Jedynym pytaniem było teraz, czy w ogóle zadam sobie trud stawania do walki, czy raczej położę się w śniegu i poddam swemu losowi. Taka ewentualność nagle wydała mi się nadzwyczaj atrakcyjna.

Jednakże Jamie poświęcił swoje życie, a nawet godność, żeby umożliwić mi opuszczenie więzienia. Musiałam więc spróbować stanąć do walki; chociaż tyle byłam mu winna.

Jeszcze raz powoli wycofałam się w kierunku dołu. Światło słońca przygasało. Już wkrótce parów wypełni się cieniem. Wątpiłam, czy pomoże mi to w czymkolwiek. Wilki bez wątpienia widzą w nocy lepiej niż człowiek.

Pierwszy łowca ukazał się na obrzeżu dołu tuż przed innymi; kosmata sylwetka, nie ruchoma i czujna. Z pewnym zaskoczeniem odkryłam, że jeszcze dwie bestie są już razem ze mną w dole i nadchodzą powoli niemal krok w krok. Obydwa osobniki miały przybrudzoną szarością sierść, więc wtapiały się w koloryt od śniegu skapanego w pół mroku – były niemal niewidoczne, chociaż poruszały się swobodnie. Wcale nie próbowały się kryć.

Ucieczka nie miała żadnego sensu. Pochyliłam się i wyrwałam ze śniegu sosnową gałąź. Konar poczerniał od wilgoci, a jego szorstkość czułam nawet przez rękawice.

Zamachnęłam się gałęzią nad głową i wykrzyknęłam. Zwierzęta przestały posuwać się w moim kierunku, ale nie odchodziły. Najbliższy z wilków położył uszy płasko po sobie, jakby protestując przeciwko

hałasowi.

– Nie podoba wam się? – zaskrzeczałam. – Cholerna szkoda! Z drogi, ty pieprzony sukinsynu! – Chwyciłam na wpół zagrzebany w śniegu kamień i cisnęłam go w kierunku wilka. Spudłowałam, ale bestia uskoczyła w bok. Nabierając odwagi, zaczęłam dziko miotać pociskami: kamieniami, gałęziami, kulami śniegu, wszystkim, co byłam w stanie zgarnąć jedną ręką. Wrzeszczałam, aż gardło spuchło mi od mroźnego powietrza, a głos zaczął przypominać wilcze wycie.

Z początku wydało mi się, że raz trafiłam. Najbliżej stojący wilk zaskomlał i skręcił się w konwulsjach. Drugi pocisk przeleciał niecałe pół metra i zagłębił się w piersi kolejnego wilka. Zwierzę wyzionęło ducha na miejscu. Pierwszy wilk, nie tak poważnie zraniony, kopał i walczył w śniegu. W narastającym zmierzchu wyglądał już tylko jak wystająca ze śniegu bryła.

Przez chwilę stałam, bezmyślnie gapiąc się na niego, potem instynktownie uniosłam wzrok ku krawędzi parowu. Trzeci wilk, mądrze wybierając kierunek, zniknął już wśród drzew, skąd dało się słyszeć przejmujące wycie.

Wciąż jeszcze tkwiłam bez ruchu patrząc na ciemny las, kiedy jakaś dłoń zacisnęła się na moim ramieniu. Obróciłam się i spojrzałam prosto w nieznajomą twarz. Nie rozpoznawałam człowieka z cofniętym podbródkiem, ale szal i sztylet wskazywały nieomylnie, że mam przed sobą Szkota.

– Pomocy – odezwałam się i upadłam prosto w jego objęcia.

W chacie panował półmrok, a w kącie pokoju stał niedźwiedź. W panice cofnęłam się w kierunku swojego wybawcy. Nie chciałam mieć już nic do czynienia z dzikimi bestiami.

Mężczyzna jednak popchnął mnie mocno do przodu, ku wnętrzu chaty. Kiedy kulejąc podeszłam do ognia, ogromna sylwetka odwróciła się ku mnie i dopiero wtedy zdałam sobie sprawę, że był to tylko wysoki mężczyzna odziany w niedźwiedzią skórę.

Mówiąc ściślej, miał na sobie opończę z niedźwiedziego futra, spiętą przy szyi posrebrzaną broszą wielkości mojej dłoni. Broszy nadano formę dwóch skaczących jeleni z wygiętymi grzbietami, stykających się porożem tak, że w sumie tworzyły koło. Zatyczka miała kształt krótkiego, spiczastego wachlarza, a jej koniec uformowano na kształt ogona uciekającego jelenia.

Dostrzegłam broszę ze wszystkimi szczegółami, ponieważ znajdowała się tuż przed moim nosem. Unosząc wzrok, rozważałam przez chwilę możliwość pomyłki; być może przede mną rzeczywiście stał niedźwiedź.

Niemniej jednak niedźwiedzie najczęściej nie noszą broszy ani nie mają oczu podobnych do jagód; małych, okrągłych i połyskliwych w ciemnoniebieskim kolorze.

Oczy te wyglądały z obfitych policzków, których dolny koniec zanurzał się w przetykanej siwizną czarnej brodzie. Podobne owłosienie spływało kaskadą po mocno zbudowanych ramionach, mieszając się z włosami na opończy, które wciążył ostro pachniałym zwierzęciem.

Bystre małe oczka zamigotały w moim kierunku,

szacując zarówno zszargane odzienie, jak i jego uprzednią dobrą jakością, łącznie z dwiema obrączkami: złotą i srebrną.

Powitanie niedźwiedzia sformułowane zostało stosownie do poczynionej oceny.

– Zdaje się, że miałaś nieco trudności, pani – odezwał się oficjalnie, a masywna głowa, wciąż posypana śniegiem, skłoniła się przede mną. – Jaką pomocą możemy ci służyć?

Zawahałam się przez chwilę. Rozpaczliwie potrzebowałam pomocy tego człowieka, ale jeżeli swoją mową ujawnię angielskie pochodzenie, natychmiast stanę się podejrzana.

Łucznik, który przywiódł mnie tutaj, uprzedził moje słowa.

– Znalazłem ją koło Wentworth – stwierdził lakonicznie. – Walczyła z wilkami.

Anielka – dodał z emfazą, która sprawiła, że jagodowe oczy gospodarza wpatrzyły się we mnie z raczej nieprzyjaznym zamyśleniem w głębi. Wyprostowałam się i przyjęłam najbardziej szacowną postawę, na jaką mogłam się zdobyć.

– Anielka z urodzenia, Szkotka przez małżeństwo – oświadczyłam stanowczo. – Nazywam się Claire Fraser. Mój mąż jest więźniem w Wentworth.

– Rozumiem – mruknął powoli niedźwiedź. – Ja nazywam się MacRannoch, a ty, pani, znajdujesz się teraz na mojej ziemi. Widzę po twoim ubraniu, że jesteś dobrze urodzona. Jakże to się stało, że się znalazłaś sama w lesie Eldridge w zimową noc?

Uchwyciłam się jego słów, miałam jeszcze szansę odzyskania wiarygodności, jak również odnalezienia Murtagha i Ruperta.

– Przyjechałam do Wentworth z kilkoma członkami klanu mojego męża. Ponieważ jestem Angielką, myśleliśmy, że uda mi się uzyskać wstęp do więzienia i może znajdziemy jakiś sposób, żeby... odzyskać mojego męża. Jednakże... opuściłam to ponure miejsce inną drogą. Szukałam przyjaciół, kiedy zaatakowały mnie wilki, przed którymi ten dżentelmen uprzejmie mnie obronił.– Wysiliłam się na uśmiech wdzięczności w kierunku kościstego łuczника, który nadal zachowywał kamienne milczenie.

– Tak, z pewnością napotkała pani jakiegoś zwierza z ostrymi zębami – zgodził się MacRannoch, przyglądając się szerokim rozdarciom w mojej spódnicy. Podejrzliwość na pewien czas ustąpiła przed wymogami gościnności.

– Masz, pani, poważne rany czy tylko zadrapania? Cóż, zmarzłaś bez wątpienia i pewnie jesteś osłabiona. Usiądź przy ogniu. Hector przyniesie poczęstunek, a potem może opowiesz mi więcej o swoich kompanach. – Jedną stopą przyciągnął chwiejny stółek na trzech nogach i kładąc masywną rękę na moim ramieniu, stanowczo mnie posadził na twardym siedlisku.

Torfowy ogień nie daje dużo światła, ale sporo przyjemnego ciepła. Wzdrygnęłam się mimo woli, kiedy krew zaczęła znów dopływać do moich zmarzniętych dłoni. Kilka łyków ze skórzanego bukłaka podanego mi przez Hectora również usprawniło krążenie.

Wyjaśniłam swoją sytuację najlepiej, jak umiałam, czyli niezbyt dobrze. Mój krótki opis wyjścia z więzienia, a następnie walki wręcz z wilkiem został przyjęty ze szczególnym sceptycyzmem.

– Jeśli nawet zdołałabyś, pani, wejść do Wentworth, nie wydaje mi się prawdopodobne, aby sir Fletcher pozwolił komukolwiek wałęsać się po więzieniu.

A kapitan Randall, gdyby zobaczył cię w lochach, na pewno nie wskazałby ci tylnego wyjścia.

– On... on miał powody, żeby mnie puścić.

– Jakże? – Jagodowe oczy patrzyły na mnie nieugięcie.

Poddałam się i wyłożyłam sprawę jasno; byłam zbyt zmęczona, żeby bawić się w delikatność i niedomówienia. MacRannoch wydawał się częściowo przekonany, ale wciąż niechętny do podjęcia jakichkolwiek kroków.

– Rozumiem twoje zmartwienie, pani – argumentował – ale może nie jest tak źle.

– Nie tak źle! – Wściekła, skoczyłam na równe nogi.

Potrząsnął głową, jakby dokuczały mu muchy.

– Mam na myśli to – wyjaśnił – że jeżeli Randallowi chodzi o tyłek tego chłopaka, to pewnie nie będzie nieszczęśnika zbyt mocno tortuował. No i, przepraszam, pani, za te słowa – porozumiewawczo poruszył brwiami patrząc na mnie – ale wykorzystanie przez sodomitę nikogo jeszcze nie zabiło. – Pojednawczo uniósł wielkie jak talerze dłonie. – Nie twierdzę, iż chłopakowi będzie przyjemnie, ale nie warto zadzierać z sir



Fletcherem Gordonem tylko po to, żeby zaoszczędzić mu bólu tyłka. Cóż, mam tu ryzykowną sytuację, bardzo ryzykowną. – Wydał policzki i nastroszył brwi.

Nie po raz pierwszy pożałowałam, że nie ma na świecie prawdziwych czarownic.

Gdybym nią była, z miejsca zmieniałabym MacRannocha w ropuchę. Wielką, grubą, z masą brodawek.

Słumiłam gniew i spróbowałam znowu go przekonać.

– Myślę, że tyłek mojego męża jest już nie do uratowania; chodzi mi teraz o jego głowę. Anglicy zamierzają powiesić go jutro rano.

MacRannoch mruczał coś do siebie, chodząc po pokoju jak niedźwiedź w za ciasnej klatce. Zatrzymał się nagle tuż przede mną i pochylił tak, że jego nos znalazł się o kilka centymetrów od mojego. Odskokzyłabym, gdybym nie była tak wyczerpana. W obecnym stanie mogłam tylko zamrużyć oczyma.

– A jeśli zaoferowałbym ci, pani, pomoc... co dobrego przyszłoby z tego? – zagrział.

Znów zaczął spacerować: dwa kroki do ściany, zwrot z furkotem niedźwiedziej skóry i dwa kroki do przeciwległej ściany. Przechadzając się, nie przestawał mówić. Rytm słów utrzymywał w zgodzie z rytmem kroków. Przy zwrocie milkł, żeby zaczerpnąć powietrza.

– Choćbym i sam poszedł do sir Fletchera, cóż miałbym mu powiedzieć? – Macie tu w garnizonie kapitana w wolnym czasie torturującego więźniów? A gdy mnie spyta, skąd o tym wiem, odpowiem, że od Angielki, którą

moi ludzie znaleźli błakającą się w ciemnościach. Wyznała mi, że kapitan robił nieprzystojne propozycje jej mężowi, wyjętemu spod prawa, a na dodatek jeszcze skazanemu za morderstwo? – MacRannoch stanął i grzmotnął głucho łapą w kruchy blat stolika. – A jeszcze wprowadzić tam ludzi!

Jeżeli w ogóle udałoby nam się wejść...

– Mogę pokazać wam drogę – przerwałam.

– Mhm. Może i tak. Jeżeli zdołamy wejść, co się stanie, kiedy sir Fletcher znajdzie moich ludzi wałęsających się po fortecy? Zaraz następnego ranka pośle kapitana Randalla z paroma armatami i zrówna dwór Eldridge z ziemią, ot co! – Ponownie potrząsnął głową. Czarne loki zatrzepotały buntowniczo. – Nie, dziewczyno, nie widzę...

Przerwało mu nagle otwarcie drzwi chaty, przez które wszedł kolejny łucznik, tym razem z trzymanym w pogotowiu sztyletem, popychając przed sobą Murtagha.

MacRannoch zatrzymał się i spojrzał z niedowierzaniem.

– A to co? – zagrzemiał. – Pomyślałby kto, że to majowy poranek, kiedy chłopcy i dziewczęta zbierają kwiatki w lesie, a nie środek zimy i zawieja!

– To człowiek z klanu mojego męża – odezwałam się. – Jak już mówiłam...

Murtagh, wcale nie poruszony nieprzyjaznym powitaniem, przyglądał się uważnie odzianej w niedźwiedzią skórę postaci, jakby w myślach odejmując lata i siwe włosy.

– MacRannoch? – powiedział niemal oskarżycielskim tonem. – Jakiś czas temu byłeś na

zgromadzeniu w zamku Leoch?

MacRannoch okazał zaskoczenie.

– Jakiś czas temu, to mi dopiero! Minęło już ze trzydzieści lat. Skąd o tym wiesz, człowieku?

Murtagh skinął głową z satysfakcją.

– Och, tak tylko pomyślałem. Byłem wtedy na zamku. I pamiętam tamto zgromadzenie, pewnie z tego samego powodu co ty.

MacRannoch zmierzył wzrokiem zasuszoną, niewielką postać Murtagha, próbując odjąć trzydzieści lat jego pokiereszowanej twarzy.

– Tak, znam cię – powiedział w końcu. – Nie z nazwiska, ale znam. Zabiłeś rannego niedźwiedzia jedną ręką, sztyletem, podczas tynchalu. Bestia była wspaniała. Racja, MacKenzie dał ci kły, piękny komplet, prawie dwa razy można go było owinać wokół ręki.

Cudowna robota. – Spojrzenie pełne satysfakcji przemknęło przez dziobatą twarz Murtagha.

Wzdrygnęłam się, przypominając sobie cudownie, barbarzyńskie bransolety, które widziałam w Lallybroch. Mojej matki, powiedziała wtedy Jenny. Dostałam je od adoratora, tłumaczyła. Zerknęłam z niedowierzaniem na Murtagha. Nawet wzięwszy pod uwagę, że miał wtedy o trzydzieści lat mniej, nie wydawał mi się prawdopodobnym kandydatem na obiekt romantycznego uczucia. Myśląc o Ellen MacKenzie, przypomniałam sobie o jej perłach, które wciąż miałam przy sobie zaszyte w kieszeń.

Namacalam koniec sznura i wyciągnęłam naszyjnik ku światłu.

– Mogę ci zapłacić – odezwałam się. – Nie oczekuję, że twoi ludzie będą ryzykować życie za darmo.

Poruszając się niespodziewanie szybko, wyrwał perły z mojej ręki. Przyjrzał im się z niedowierzaniem.

– Skąd je masz, kobieto? – zapytał. – Fraser... tak się nazywasz?

– Tak – Mimo zmęczenia wyprostowałam się. – A perły należą do mnie. Mój mąż dał mi je w dniu ślubu.

– A więc to tak? – Ochrypli głos nagle przycichł. MacRannoch zwrócił się do Murtagha, wciąż ściskając perły. – Syn Ellen? Mąż tej dziewczyny to syn Ellen?

– Zgadza się – potwierdził Murtagh, jak zwykle beznamiętnym tonem. – Poznałbyś od razu, gdybyś go zobaczył; to jej żywy obraz.

MacRannoch otworzył dłoń i delikatnie pogładził połyskujące paciorki.

– Dałem je Ellen MacKenzie – wyznał. – W prezencie ślubnym. Ofiarowałbym je tej kobiecie jako swojej żonie, ale skoro wybrała innego... Tak dużo o nich myślałem, widziałem ten naszyjnik na uroczej szyi Ellen, więc powiedziałem, że nie mógłbym ich oddać innej wybrance. Kazałem jej zatrzymać perły i zawsze myśleć o mnie, kiedy będzie je nosić. Hm! – odchrząknął krótko, jakby coś sobie przypomniał, i ostrożnie zwrócił mi naszyjnik. – Teraz są twoje... Więc je noś, dziewczyno.

– Będę miała na to o wiele większą szansę – stwierdziłam, próbując trzymać w ryzach niecierpliwość w stosunku do tylu sentymentalnych wynurzeń – jeżeli pomożecie mi odzyskać męża.

Niewielkie różowe wargi, które uśmiechały się lekko do myśli MacRannocho, nagle zacisnęły się mocno.

– Ach – westchnął sir Marcus, drapiąc się w brodę.  
– Rozumiem. Ale nie wiem, co można by tu zdziałać. Mam w domu żonę i troje dzieciaków. Zrobiłbym co nieco dla chłopaka Ellen. Jednak o dużą przysługę mnie prosisz.

Nagle nogi się pode mną ugięły. Usiadłam ze zwieszonymi bezwładnie ramionami i spuszczoną głową. Rozpacz ściągnęła mnie w dół niczym kotwica. Zamknęłam oczy i udałam się w jakieś mgliste miejsce w głębi siebie, gdzie nie istniało już nic prócz bolesnej, szarej pustki. Murtagh wysuwał nowe argumenty, ale dźwięk jego głosu stał się już tylko dalekim trąkotaniem.

Z odrętwienia wytrąciły mnie odgłosy wydawane przez bydło. Uniosłam wzrok i zobaczyłam, że MacRannoch z furkotem wybiega z chaty. Kiedy otworzył drzwi, podmuch zimowego powietrza wpadł do środka wraz z niskim muczeniem krów i krzykami mężczyzn. Drzwi zamknęły się z głuchym trzaskiem za wielką, włochatą postacią, a ja przeniosłam wzrok na Murtagha, żeby zapytać, co, jego zdaniem, powinniśmy teraz zrobić.

Wyraz jego twarzy sprawił jednak, że zabrakło mi słów. Rzadko zdarzało mi się widzieć na niej coś więcej niż swego rodzaju cierpliwą surowość, podczas gdy teraz aż biło z niej wstrzymywane podniecenie.

Złapałam go za ramię.

– Co się dzieje? Mów szybko!

Zanim MacRannoch z powrotem wpadł do chaty, popychając przed sobą młodego, chudego mężczyznę,

Murtagh zdołał tylko powiedzieć:

– Bydło MacRannocho!

Sir Marcus ostatnim pchnięciem rozpląszczył chudzielca na tynkowanej ścianie chaty. Najwyraźniej uważał bezpośrednią konfrontację za wyjątkowo efektywną metodę, bo spróbował tej samej techniki „nos w nos”, którą wcześniej zastosował na mnie.

Młodzieniec był mniej zrównoważony albo mniej zmęczony niż ja, bo wzdrygnął się nerwowo i zaczął się odsuwać od olbrzyma najdalej, jak mógł.

MacRannoch odezwał się słodkim i umiarkowanie donośnym tonem: – Absalom, chłopcze, posłałem cię trzy godziny temu, abyś sprowadził czterdzieści sztuk bydła.

Powiedziałem, iż znalezienie krów jest ważne niezmiernie, bo też zapowiada się cholernie nieprzyjemna zawieja. – Modulowany głos powoli przybierał na sile – A gdy usłyszałem odgłosy bydelka na zewnątrz, pomyślałem: aha, Marcusie, oto Absalom poszedł i znalazł wszystkie sztuki. Cóż za dobry chłopak. Teraz możemy zdążyć do domu i odtajać przy ogniu, a bydło stanie bezpiecznie w zagrodach. – Potężna dłoń chwyciła kurtę Absaloma.

Materiał zebrany pomiędzy grubymi palcami zaczął się skręcać. – A zatem wychodzę pogratulować ci dobrej roboty i zaczynam liczyć krówki. I ilu się doliczam, Absalomie, chłopcze ty mój miły? – Głos nabrał pełnej mocy. Mimo że Marcus MacRannoch nie był obdarzony szczególnie głębokim tembrem głosu, w płucach siły starczało mu za trzech zwyczajnych mężczyzn.

– Piętnastu! – wrzasnął, potrząsając stojącym już na

palcach nieszczęśliwym Absalomem. – Znajduję piętnaście stworzeń zamiast czterdziestu! A gdzie reszta? Gdzie?

Biega po śniegu, żeby zamarznąć na śmierć!

Podczas tej sceny Murtagh po cichu zniknął w ocienionym kącie. Spojrzałam na twarz małego człowieka, a w jego oczach zobaczyłam błysk rozbawienia. Nagle zdałam sobie sprawę, o co chodzi i gdzie znajdował się Rupert. Albo też, jeżeli nawet nie wiedziałam, gdzie jest, to przynajmniej byłam pewna, że wiem, co robi. I zaczęłam mieć nadzieję.

Zapadła już ciemność. W dole światła więzienia przeświecały słabo przez śnieg, niczym lampiony na zatopionym statku. Czekając wśród drzew z dwoma towarzyszami, po raz tysięczny rozważałam w myślach, co mogłoby się nie udać.

Czy MacRannoch wykona swoją część umowy? Będzie musiał, jeżeli oczekuje zwrotu swoich wspaniałych, pełnokrwistych szkockich krów. Czy sir Fletcher uwierzy MacRannochowi i zarządzi od razu przeszukanie lochów? Prawdopodobnie tak – baronet nie jest człowiekiem, którego można traktować lekko.

Widziałam, jak łaciate stworzenia znikają w rowie biegnącym ku ukrytym tylnym drzwiom, prowadzone fachową ręką Ruperta i jego ludzi. Tylko czy zdołają zmusić bydło do przejścia przez drzwi? A jeżeli tak, to co zrobią na wpół dzikie krowy, gdy nagle znajdą się w pułapce kamiennego korytarza oświetlonego pochodniami? Cóż, może się uda. Sam korytarz podobny będzie do ich obory o kamiennej posadzce. Skoro zaszli już tak daleko, to

może plan się powiedzie. Sam Randall prawdopodobnie nie będzie wołał o pomoc w obliczu inwazji ze strachu, że jego skłonności zostaną ujawnione.

Poganiacze mieli jak najprędzej oddalić się od więzienia, kiedy już było zostanie na dobre skierowane na właściwą drogę, a potem jechać na łeb na szyję ku ziemiom MacKenzieeh. Randall się nie liczy. W końcu co może zrobić sam jeden w tych okolicznościach? Ale gdyby hałas zbyt szybko zwabił resztę garnizonu? Jeżeli wuj nie miał ochoty odbić z Wentworth swojego siostrzeńca, to wyobrażałam sobie gniew Dougala, gdyby kilkunastu MacKenziech aresztowano za włamanie się do tego miejsca.

Za to też nie chciałam być odpowiedzialna, chociaż Rupert z radością podjął ryzyko.

Zagryzłam kciuk i spróbowałam się uspokoić, myśląc o tonach solidnego, tłumiącego dźwięk granitu, który oddzielał lochy od kwater więziennych na górze.

Najgorszy ze wszystkiego był, oczywiście, strach, że wszystko się uda, a mimo to okaże się, że przybyliśmy za późno. Bez względu na czekającego na robotę kata, Randall mógł posunąć się za daleko. Aż za dobrze wiedziałam z historii opowiadanych przez ludzi po wracających z obozów koncentracyjnych, że nie ma nic łatwiejszego dla więźnia niż umrzeć „w wypadku”. Ciało zostaje bez kłopotu usunięte, zanim ktokolwiek zacznie oficjalnie zadawać kłopotliwe pytania. A nawet gdyby pytania jednak zadawano i dotarto do Randala, słabą byłoby to pociechą dla mnie – i dla Jamiego.



Staralam się nie myśleć o różnych możliwościach zastosowania przedmiotów leżących na stole w tamtym pokoju. Ale nie mogłam zapomnieć widoku połamanych palców naciskających na blat stołu. Mocno potarłam dłonią o skórę siodła, próbując wymazać ten obraz. Poczułam lekkie pieczenie i zdjęłam rękawiczkę. Ujrzałam ślady pozostawione na mojej ręce przez wilcze zęby. Nieźle, tylko kilka zadrapań i mały punkcik w miejscu, gdzie czubek kła przebił skórę rękawiczki. Bezmyślnie polizałam ranę. Niewiele mi przyszło z powtarzania sobie, że zrobiłam wszystko, co mogłam.

Czekałam w narastającym napięciu.

W końcu usłyszeliśmy dalekie krzyki ze strony więzienia. Jeden z ludzi MacRannocho włożył dłoń na wodzach mojego wierzchowca i skierował go pod osłonę drzew. Śnieg pokrywał tam ziemię znacznie cieńszą warstwą, a śnieżycą straciła na sile pod splątanymi konarami lasu. Cienkie linie śniegu leżały gdzieniegdzie na kamienistym, zasypanym liśćmi gruncie. Mimo że padało tu mniej obficie, widoczność wciąż była tak kiepska, że pnie drzew odległe o kilka metrów ukazywały się znienacka, czarne w różowawym świetle, kiedy niespokojnie prowadziłam konia wokół niewielkiej polany.

Stłumione przez gęsty śnieg odgłosy kopyt znalazły się niemal przy nas, kiedy je wreszcie usłyszeliśmy. Dwóch ludzi MacRannocho wyciągnęło pistolety i zatrzymało konie w pobliżu drzew, aleja dosłyszałam niskie muczenie krow. Spięłam wierzchowca, żeby wybiegł zza drzew.

Sir Marcus MacRannoch, nie do przeoczenia na

srokatym koniu i w niedźwiedziej opończy, prowadził wszystkich w górę zbocza. Śnieg wypryskiwał małymi kulkami spod kopyt jego wierzchowca. Za nim podążało kilka osób, a sądząc po odgłosach, wszystkie były w świetnych humorach. Jeszcze większa liczba mężczyzn jechała nieco dalej, popędzając przed sobą zbitą ciasno grupę zdeorientowanego bydła wokół wzgórza w kierunku zasłużonego schronienia w oborach MacRannocho.

MacRannoch zatrzymał się koło mnie śmiejąc się z całego serca.

– Muszę ci podziękować, pani Fraser, za wyjątkowo zabawny wieczór – zakrzyknął przez gęsty śnieg. Jego uprzednia podejrzliwość ulotniła się bez śladu.

Powitał mnie z najwyższą łagodnością. Z brwiami i wąsami pokrytymi śniegiem wyglądał jak Święty Mikołaj po hulance. Chwycił za uzdę mojego konia i poprowadził z powrotem w spokojniejszą atmosferę lasu. Machnął ręką na moich dwóch towarzyszy, żeby pomogli pozostałym poganiać bydło. Potem zsiadł i uniósł mnie z siodła, wciąż śmiejąc się do siebie.

– Szkoda, że tego nie widziałas, pani! – zarechotał, w ekstazie ściskając własne ramiona. – Sir Fletcher poczerwieniał. Wyglądał jak pierś drozda, kiedy wpadłem w środek jego wieczery, wrzeszcząc, że przechowuje u siebie skradzioną własność.

A kiedy zesliśmy na najniższą kondygnację i usłyszał bydło ryczące się jak burza, myślałem, że pobrudzi spodnie. On... – Niecierpliwie potrząsnęłam jego ręką.

– Do licha ze spodniami sir Fletchera. Znaleźliście

mojego męża?

MacRannoch otrzeźwiał trochę i otarł załzawione oczy rękawem.

– Tak, tak. Znaleźliśmy.

– Wszystko z nim w porządku? – Mówiłam spokojnym tonem, chociaż miałam ochotę wrzeszczeć.

MacRannoch skinął głową w kierunku drzew za moimi plecami, a ja obróciłam się na pięcie, żeby ujrzeć jeźdźca ostrożnie wybierającego drogę wśród gałęzi i trzymającego na siodle przed sobą nieporęczny, okryty opończą kształt. Pomknęłam do przodu, a MacRannoch podążył za mną wyjaśniając wszystko usłużnie.

– Jeszcze jest żywy, a przynajmniej był, kiedy go znaleźliśmy. Bardzo sponiewierany, biedny chłopak.

Nerwowo odsunęłam tkaninę zakrywającą głowę Jamiego i niespokojnie obejrzałam go najdokładniej, jak mogłam w warunkach, gdy koń tańczy z podniecenia i zdenerwowania. Widziałam ciemne sińce i czułam zakrzepłe plamy krwi w zmierzwionych włosach, ale w kiepskim świetle trudno było zauważyć coś więcej.

Wydawało mi się, że czuję puls w lodowato zimnej szyi, ale nie miałam pewności.

MacRannoch złapał mnie za łokieć i odciągnął od konia.

– Najlepiej zrobimy, szybko zabierając go pod dach, dziewczyno. Chodź ze mną.

Hektor zawiezie go do domu.

W głównym salonie dworu Eldridge, czyli domu MacRannocha, Hektor złożył brzemię na dywaniku przy

ogniu. Łapiąc za jeden koniec koca, ostrożnie go rozwinął.

Bezwładna, naga postać osunęła się na różowo-żółte kwiaty dywanika, dumę i radość pani Annabelle MacRannoch.

Trzeba przyznać, że pani Annabelle starała się nie zauważać krwi wsiąkającej w kosztowny dywanik z Aubusson. Podobna do ptaka kobieta około czterdziestki, przypominająca szczygła w swej soczyście żółtej jedwabnej sukni, szybkimi ruchami dłoni popędzała służbę we wszystkich kierunkach. Koce, płótno, gorąca woda i whisky pojawiły się, zanim jeszcze zdążyłam zdjąć płaszcz.

– Najlepiej obrócić go na brzuch – doradził sir Marcus, nalewając dwie duże szklaneczki whisky. – Obito mu plecy i pewnie źle mu na nich leżeć. Co prawda, nie wygląda, jakby czuł cokolwiek – dodał, dokładnie przyglądając się trupio bladej twarzy Jamiego i jego zamkniętym, sinym powiekom. – Jesteście pewni, że wciąż żyje?

– Tak – odparłam krótko, mając nadzieję, że to prawda.

Spróbowałam przekręcić Jamiego na brzuch. Bezwładne ciało wydawało się co najmniej trzykrotnie cięższe niż w rzeczywistości. Przy pomocy MacRannocha umieściłam Jamiego na kocu plecami do ognia.

Kiedy już szybkie oględziny wykazały, że Jamie rzeczywiście żyje, nie brakuje mu żadnych członków i nie istnieje bezpośrednio niebezpieczeństwo wykrwawienia się na śmierć, mogłam przystąpić do dokładniejszego badania.

– Postać po cyrulika? – spytała lady Annabelle,

patrzac z powatpiewaniem na przypominajacą trupa postać przy ogniu. – Ale nie dotrze tutaj wczesniej niz za godzine; na zewnatrz straszna zawieja. – Obawy zony MacRannocho tylko czesciowo byly zwiazane ze sniezycą. Lekarz stalby sie jeszcze jednym niebezpiecznym swiadkiem obecności zbiegłego kryminalisty w jej domu.

– Nie trzeba – stwierdzilam nieobecny tonem – Ja jestem lekarzem. – Nie zwracajac uwagi na pelne niedowierzania spojzenia obojga MacRannocho, uklaklam obok meza, przykrylam go kocami i zaczelam przykladac na konczyny material zmoczony w goracej wodzie. Moim glownym zadaniem bylo rozgrzanie lodowatego ciała; plecami, z ktorých powoli saczyła sie krew, moglam sie zajac pozniej.

Pani Annabelle znikla w oddali. Wysokim jak u szczygla glósem wzywala, rozkazywala i poganiala sluzbę. Jej malzonek ukucnal koło mnie i zaczel rozcierać zmarzniete stopy Jamiego fachowymi ruchami wielkich, tepo zakonczonych palców. Od czasu do czasu przerywal tę czynność, zeby lynam nieco whisky.

Stopniowo odkrywajac koce, obejrzelam wszystkie rany. Jamiego wychlostano od karku az do kolan czymś podobnym do bata. Pregi przecinaly sie w rownych odstepach niczym haft. Wyrazna systematycznosc w zadawaniu ran swiadczyla o powstrzymywanej rozkoszy czerpanej z karzacych ciosów. Z wscieklosci zrobilo mi sie niedobrze.

Czegoś cięzszego, moze laski, uzyto mniej powsciagliwie na ramionach, które miejscami przeciete

zostały tak głęboko, że nad jedną łopatką widać było kości.

Delikatnie przycisnęłam grubą warstwę płótna do najgorszych ran i kontynuowałam oględziny.

Miejsce na lewym boku, w które uderzył młot, zaczęło puchnąć i nabiegło krwią.

Utworzyła się fioletowa plama, większa od dłoni sir Marcusa. Żebra w tym miejscu z pewnością okazały się złamane, ale to też mogło poczekać. Moją uwagę przyciągnęły sine plamy na szyi i piersiach, gdzie skóra była pomarszczona, zaczerwieniona i pokryta bąblami. Krawędzie jednej z plam okrywała spalenizna obramowana białym popiołem.

– Czym, do licha, zrobiono coś takiego? – Sir Marcus wykonał już swoją część zadania i zaglądał mi przez ramię z głębokim zainteresowaniem.

– Rozgrzanym pogrzebaczem. – Głos brzmiał słabo i niewyraźnie; dopiero po chwili zdałam sobie sprawę, że to Jamie się odezwał. Gdy uniósł głowę, zrozumiałam powód trudności z mówieniem: dolna warga została poważnie rozcięta na jednym końcu i napuchła jak po użądleniu przez osę.

Sir Marcus z wyjątkową przytomnością umysłu podłożył rękę pod szyję Jamiego i przycisnął puchar whisky do jego warg. Jamie wzdrygnął się, kiedy alkohol podrażnił przecięte usta, ale osuszył kielich, zanim znów złożył głowę na kocu. Zerknął na mnie z ukosa; jego oczy pokryły się lekką mgiełką od bólu i whisky, ale mimo to jaśniało w nich rozbawienie.

– Krowy? – zapytał. – Czy to naprawdę były krowy,

czy tylko mi sięśniło?

– Cóż, tylko tyle udało mi się wymyślić w tak krótkim czasie– odparłam rozpromieniona. Odczułam ogromną ulgę, widząc go żywego i przytomnego. Jedną dłonią odwróciłam jego głowę, żeby obejrzeć duży siniak na kości policzkowej. – Wyglądasz okropnie. Jak się czujesz? – zapytałam z przyzwyczajenia.

– Jakoś żyję. – Z trudem uniósł się na łokciu, żeby ze skinieniem głowy przyjąć od sir Marcusa kolejny puchar whisky.

– Naprawdę myślisz, że powinieneś pić tyle naraz? – zapytałam, próbując zbadać jego źrenice i wykluczyć możliwość wstrząśnienia mózgu. On jednak pokrzyżował mi plany, zamknął oczy i z powrotem pochylił głowę.

– Tak – stwierdził, oddając pusty puchar sir Marusowi, który znów poszedł z naczyniem w kierunku karafki.

– No, już wystarczy, Marcus. – Pani Annabelle pojawiła się niczym wschodzące słońce i powstrzymała męża nie znoszącym sprzeciwu szczebiotem. – Chłopak potrzebuje gorącej, mocnej herbaty, nie whisky.

Służąca przyniosła herbatę w srebrnym imbryku. Mina dziewczyny świadczyła o wrodzonym poczuciu wyższości. Nawet fakt, że panna wciąż miała na sobie nocną koszulę, wcale tego nie zmienił.

– Gorącej, mocnej herbaty z mnóstwem cukru – poprawiłam.

– Może jeszcze z odrobinką whisky – dodał sir Marcus, zgrabnie unosząc wieczko imbryka i szczerze

dolewając do niego z karafki. Jamie z wdzięcznością przyjął parującą filiżankę i wzniosł ją w niemym toaście w kierunku sir Marcusa, zanim jeszcze zbliżył gorący płyn do ust. Ręka bardzo mu się trzęsła, więc własną dłonią przycisnęłam jego palce, żeby kierować filiżanką.

Kolejnych kilku służących przyniosło składane łóżko, materac, koce, bandaże i gorącą wodę oraz wielką drewnianą skrzynię zawierającą medykamenty.

– Pomyślałam, że najlepiej zająć się nim tutaj, przy ogniu – wyjaśniła swoim uwodzicielskim szczebiotem pani Annabelle – Jest więcej światła, no i to najcieplejsze miejsce w domu.

Zgodnie z jej wskazaniem dwóch silniejszych służących złapało za końce koca, na którym leżał Jamie, i gładko przeniosło go na składane łóżko ustawione już przy ogniu, do którego inny służący pracowicie dokładał węgle, rozniecając płomienie. Dziewczyna, która dostarczyła herbatę, zapalała właśnie kinkiety przy kredensie. Mimo wyglądu małego ptaszka, pani Annabelle najwyraźniej miała duszę sierżanta.

– Tak, skoro już odzyskał przytomność, to im szybciej go opatrzymy, tym lepiej – odparłam. – Czy macie płaską deskę długości około metra – zapytałam. – Przydałyby się też jakieś niewielkie, proste i płaskie patyki, mniej więcej tej długości. – Rozstawiłam palce na odległość dziesięciu centymetrów. Jeden ze służących zniknął w cieniu, niczym dobry duch oddalający się, żeby spełnić żądanie.

Cały dom wydawał mi się magiczny, może z



powodu kontrastu pomiędzy lodowatym zimnem na zewnątrz i wspaniałym ciepłem w środku, albo być może ze względu na ulgę, jaką po tylu godzinach strachu i zmartwienia czułam widząc, że Jamie jest już bezpieczny.

Nie zadawano żadnych pytań. Byliśmy gośćmi sir Marcusa, a pani Annabelle zachowywała się, jakby codziennie zdarzało się jej przyjmować ludzi, którzy wykrwawiają się o północy na pięknym domowym dywanie. Po raz pierwszy przyszło mi do głowy, że tego typu wizyty mogły zdarzać się tu już wcześniej.

– Okropne – odezwał się sir Marcus. Z fachowością zdobytą na polu walki badał zmiażdżoną dłoń. – Wyjątkowo bolesne, jak sądzę. No, ale nie umrzesz od tego. – Wyprostował się i przemówił do mnie ściszonego tonem: – Myślałem, że może być gorzej, po tym, co mi powiedziałaś. Z wyjątkiem żeber i ręki wszystkie kości są całe, a reszta sama się zagoi. Miałaś szczęście, chłopcze.

Postać leżąca na łóżku wydała z siebie słabe prychnięcie.

– Przypuszczam, że można to nazwać szczęściem. Rano mieli mnie powiesić. – Niespokojnie poruszył dłonią i spróbował spojrzeć na sir Marcusa. – Wiedziałaś o tym...

panie? – dodał na widok wyszywanej kamizelki sir Marcusa, na której spomiędzy gołębi i róż wynurzał się szyty srebrną nicią herb rodu.

MacRannoch machnął ręką, jakby odsuwając na bok ten nieistotny szczegół.

– Cóż, jeżeli Randall chciał, byś dobrze prezentował się przed katem, to posunął się za daleko. Za bardzo

oszpecił ci plecy – zauważył sir Marcus, usuwając przesiąknięte płótno i nakładając świeże.

– Tak. Stracił głowę, kiedy... kiedy... – Jamie walczył ze sobą, próbując wydobyć głos, potem zrezygnował, odwrócił twarz do ognia i zamknął oczy. – Boże, jaki jestem zmęczony wydyszał.

Pozwoliliśmy mu wypoczywać, póki służący nie zmaterializował się u mojego boku z łubkami, których sobie zażyczyłam. Wtedy ostrożnie uniosłam zmiażdżoną prawą rękę w kierunku światła świec.

Trzeba ją było nastawić, i to jak najszybciej. Uszkodzone mięśnie zaczęły już wyginać palce do wewnątrz. Poczulałam się bezradna, widząc pełne rozmiary uszkodzeń. Ale musiałam spróbować, jeżeli kiedykolwiek jeszcze Jamie miał używać tej dłoni.

Pani Annabelle trzymała się z tyłu podczas oględzin, lecz patrzyła z zainteresowaniem. Kiedy odłożyłam ostrożnie dłoń Jamiego, wystąpiła do przodu i otworzyła niewielką skrzynkę z medykamentami.

– Pewnie będziesz, pani, potrzebować czegoś do nastawiania kości... i może jeszcze wiśniowej kory. Nie wiem... – z powątpiewaniem zerknęła na Jamiego. – Pijawki? Jak sądzisz? – Piękna dłoń zatrzymała się nad słoiczkiem wypełnionym mętłą cieczą.

Wzdrygnęłam się i potrzęsnęłam głową.

– Nie, nie będę ich potrzebować; nie w tej chwili. Tak naprawdę przydałoby mi się...

nie macie przypadkiem czegoś na sen? – Uklęklam koło niej, żeby poszperać w zawartości skrzyni.

– Ależ tak! – Gospodyni bez wahania chwyciła małą zieloną flaszeczkę. – Kwiat opium – przeczytała etykietkę. – Wystarczy?

– Idealnie. – Z wdzięcznością przyjął flakonik. – W porządku – odezwałam się do Jamiego, nalewając niewielką ilość aromatycznego płynu do szklanki. – Będziesz musiał usiąść, żeby to przełknąć. Potem zaśniesz i będziesz spał bardzo długo – W rzeczywistości powątpiewałam w sens stosowania opium w przypadku pacjenta, który pochłonił taką ilość whisky, ale alternatywy, czyli rekonstrukcji dłoni przytomnego człowieka, nie brałam w ogóle pod uwagę. Przechyliłam buteleczkę, żeby nalać nieco więcej. Jamie powstrzymał mnie, kładąc zdrową dłoń na moim ramieniu.

– Nie chcę tego – stwierdził stanowczo. – Tylko jeszcze kapkę whisky – zawahał się, kiedy dotknął językiem uszkodzonej wargi – i może coś do zagryzienia.

Słyszając to, sir Marcus przeszedł w kierunku stojącego w kącie uroczego biurka z połyskliwego drewna i zaczął mozolnie szperać w szufladzie. Po chwili wrócił z niewielkim kawałkiem zużytej skóry. Gdy się jej bliżej przyjrzałam, zobaczyłam dziesiątki nakładających się na siebie półkolistych zagłębień. Ślady zębów, uświadomiłam sobie z przerażeniem.

– Proszę – rzekł sir Marcus usłużnie. – Sam tego używałem pod Saint Simone, kiedy wyciągano mi z nogi kulę. Bardzo pomogło.

Spojrzałam z otwartymi ustami na Jamiego, który z podziękowaniem przyjął kawałek wyprawionej skóry,

kciukiem badając pozostawione na niej ślady. Przemówiłam powoli, wciąż jeszcze wstrząśnięta:

– Naprawdę oczekujesz, że nastawię dziewięć złamanych kości, kiedy będziesz przytomny?

– Tak – odparł krótko.

Umieścił skórę pomiędzy zębami i zagryźł na próbę. Przesunął ją trochę w przód i w tył szukając najwygodniejszej pozycji.

Obserwując te zabiegi, straciłam resztki kontroli nad sobą, którą tak pieczołowicie chroniłam.

– Może byś przestał udawać cholernie walecznego bohatera? – napadłam na Jamiego. – Wszyscy wiemy, co przeszedłeś. Nie musisz nikomu udowadniać, ile jeszcze potrafisz znieść! A może myślisz, że staniemy bezradni, jeżeli nie będziesz dowodził? Kim ci się, do jasnej cholery, zdaje, że jesteś? Znalazł się przemarznięty John Wayne!

Zapadła dziwna cisza. Jamie spojrział na mnie z otwartymi ustami. W końcu przemówił.

– Claire – powiedział delikatnie. – Jesteśmy może ze dwa kilometry od więzienia Wentworth. Na jutro rano wyznaczono termin egzekucji. Bez względu na to, co stało się z Randallem, Anglicy wkrótce zauważą, że zniknąłem.

Zagryzłam wargę. To, co powiedział, było prawdą. Moje nieumyślne uwolnienie innych więźniów może pogmatwać sprawę na jakiś czas, ale w końcu wszystko zostanie skontrolowane i zaczną się poszukiwania. A dzięki efektownej metodzie ucieczki, jaką wybrałam, cała uwaga musi w niedługim czasie skoncentrować się na dworze Eldridge.

– Jeżeli będziemy mieli szczęście – kontynuował cichym głosem – śnieg opóźni pościg do czasu, gdy już nas tu nie będzie. Jeżeli nie... – utkwił wzrok w ogniu i zadrżał – Claire, nie pozwolę im wziąć mnie znowu. A gdybym został uspiomy i leżał bezbronny, kiedy przyjdą, i może obudził się znowu skuty w celi... Claire, nie mógłbym tego znieść.

Na moich rzęsach zawisły łzy. Patrzyłam na niego szeroko otwartymi oczyma, nie chcąc mrugnąć, żeby nie spłynęły mi po policzkach.

Wystawił twarz na ciepło ognia. Blask tworzył złudzenie czerstwego zdrowia na bladych policzkach. Widziałam, jak długie mięśnie na jego szyi poruszają się przy przełykaniu.

– Nie płacz. Angielko – wyszeptał tak cicho, że ledwie go usłyszałam. Wyciągnął zdrową dłoń i poklepał mnie po nodze, próbując dodać mi otuchy. – Przypuszczam, że w tej chwili jesteśmy dość bezpieczni. Gdybym uważał, że najprawdopodobniej zostaniemy złapani, na pewno nie traciłbym swoich ostatnich godzin na naprawianie dłoni, która nie będzie mi już potrzebna. Idź i przyprowadź Murtagha. Potem przynieś mi coś do picia i możemy zaczynać.

Zajęta przy stole przygotowaniami do zabiegu nie usłyszałam, co powiedział Murtaghowi. Widziałam tylko, jak dwie głowy zbliżyły się do siebie na chwilę, potem żyłasta dłoń Murtagha delikatnie dotknęła ucha młodszego mężczyzny – jednego z niewielu nieuszkodzonych miejsc na jego ciele.

Z krótkim skinięciem na pożegnanie Murtagh przesunął się bokiem ku drzwiom.

Wysłałam do holu tuż za nim i złapałam go za pled, kiedy już miał zupełnie zniknąć za frontowymi drzwiami.

– Co on ci powiedział? – spytałam stanowczym tonem. – Dokąd idziesz?

Mały, żylasty człowieczek zawahał się na chwilę, ale odpowiedział spokojnie:

– Jadę z młodym Absalomem ku Wentworth, aby strzec drogi do tego domu. Jeśli jacyś królewscy skierują się tutaj, mam ich pobić, a jeżeli będzie czas, upewnić się, że ty i on zostanieie ukryci. Potem odjadę z trzema końmi, żeby odciągnąć pościg od dworu.

MacRannochowie mają piwnicę. Mogłaby się nadać jako schronienie, jeśli poszukiwania nie będą zbyt dokładne.

– A jeśli nie starczy czasu, aby się schować? – Wyzywająco spojrzałam mu prosto w oczy, sądząc, że nie odpowie.

– Wtedy mam zabić Jamiego i zabrać cię ze sobą – odparł usłużnie. – Czy będziesz chciała, czy nie – dodał ze złośliwym uśmiechem i odwrócił się, żeby odejść.

– Jeszcze chwileczkę! – odezwałam się ostro. Zatrzymał się. – Masz zapasowy sztylet? Krzaczaste brwi uniosły się, ale dłoń posłusznie i bez wahania podążyła do pasa.

– Potrzebujesz noża? Tutaj? – Jego spojrzenie objęło bogaty i spokojny pokój z malowanym sufitem i ścianami pokrytymi materiałem.

Wzięłam od niego sztylet i wsunęłam go pomiędzy spódnicę i stanik, tak jak nosiły Cyganki.

– Nigdy nic nie wiadomo – odparłam spokojnie.

Po zakończeniu przygotowań jak najdelikatniej sprawdziłam dłoni. Oceeniłam uszkodzenia i zdecydowałam, co należy zrobić. Jamie gwałtownie wciągnął powietrze, kiedy dotknęłam szczególnie brzydkiej rany, ale wciąż miał oczy zamknięte. Powoli wymacywałam drogę wśród poszczególnych kości i stawów, notując w myślach pozycję każdego złamania i zwichnięcia.

– Przepraszam – mruknęłam.

Ujęłam także jego zdrową rękę i ostrożnie porównywałam budowę obu dłoni. Bez promieni rentgenowskich ani doświadczenia, które mogłoby mi pomóc, musiałam polegać na intuicji w odnajdowaniu i nastawianiu zmiążdżonych kości.

Pierwszy staw w porządku, ale drugi człon jest pęknięty, pomyślałam. Nacisnęłam mocniej, żeby sprawdzić długość i kierunek pęknięcia. Uszkodzona dłoń pozostała nieruchoma w moich palcach, ale zdrowa wykonała lekki, mimowolny ruch.

– Przepraszam – powtórzyłam.

Zdrowa ręka wyrwała się nagle z mojego uścisku i Jamie uniósł się na łokciu. Wypluł skórzany pas i popatrzył na mnie wzrokiem wyrażającym zarówno rozbawienie, jak i irytację.

– Anielko, jeżeli będziesz przeproszać za każdym razem, kiedy sprawisz mi ból, to mamy przed sobą bardzo długą noc, a i tak zmarnowaliśmy już sporo czasu –

powiedział.

Musiałam wyglądać na urażoną, bo wyciągnął ku mnie rękę, po czym znieruchomiał, krzywiąc się z bólu. Opanował się jednak i przemówił stanowczo: – Wiem, że nie chcesz mnie zranić. Ale nie masz żadnego wyboru, podobnie jak ja. Nie trzeba, żeby z tego powodu cierpiał więcej niż jedno z nas. Zrób, co trzeba, a ja wrzasnę, jeżeli będę musiał.

Włożył kawałek skóry z powrotem pomiędzy zęby, ze srogim wyrazem twarzy wyszczerzył zaciśnięte zęby, patrząc wciąż na mnie, potem powoli przymknął powieki.

Dzięki temu stał się tak podobny do otumanionego tygrysa, że nie zdołałam powstrzymać na wpół histerycznego śmiechu. Zatkaną usta dłonią. Poczułam, że płoną mi policzki, kiedy dostrzegłam zaskoczone spojrzenia pani Annabelle i służących, którzy, stojąc za plecami Jamiego, nie mogli widzieć jego miny. Sir Marcus, który dostrzegł co nieco ze swojego miejsca przy wezglowiu, wyszczerzył zęby pod szeroką brodą.

– Poza tym – odezwał się Jamie, ponownie wypluwając skórę – jeżeli Anglicy pojawią się po tej całej operacji, zapewne będę ich błagać, żeby zabrali mnie z powrotem.

Podniosłam skórę, włożyłam mu ją pomiędzy zęby i popchnęłam jego głowę na poduszki.

– Błazen – powiedziałam. – Mądrała. Cholerny bohater. – Niemniej jednak zachowanie Jamiego trochę mnie rozluźniło. Pracowałam już o wiele spokojniej. Jeżeli nawet wciąż uważałam na każde drgnięcie i grymas,



przynajmniej nie czułam się z tego powodu tak podle.

Zaczęłam zapominać o wszystkim, koncentrując się usilnie na zadaniu. Całą uwagę kierowałam na końce palców, oceniając każdy uszkodzony punkt i decydując, w jaki sposób najlepiej przywrócić zmiążdżonym kościom właściwe ustawienie. Na szczęście kciuk ucierpiał najmniej; znalazłam jedynie proste złamanie na pierwszym członie. Zagoi się. Drugi człon czwartego palca zupełnie zniknął i kiedy delikatnie macałam go kciukiem i palcem wskazującym, czułam jedynie miazgę z kostnych okruchów. Jamie jęczał z bólu.

Z tym nie mogłam zrobić nic innego, jak tylko wziąć w łubki i mieć nadzieję.

Otwarte złamanie środkowego palca stanowiło największe wyzwanie. Palec trzeba będzie wyciągnąć do linii prostej, żeby wsunąć wystającą kość z powrotem pod rozdartą skórę. Widziałam już przedtem tego typu zabiegi – wykonywano je przy ogólnym znieczuleniu, korzystając z promieni rentgenowskich.

Do tego momentu wszystko stanowiło problem raczej teoretyczny, kiedy zastanawiałam się, jak zrekonstruować zmiążdżoną i zniekształconą dłoń. Miałam już pojęcie o tym, dlaczego lekarze rzadko leczą członków własnej rodziny. Niektóre zadania w medycynie wymagają swego rodzaju bezwzględności, niezbędnej do ich udanego wykonania; obojętność potrzebna jest do tego, żeby zadawać ból w procesie leczenia.

Sir Marcus po cichu przystawił do łóżka stołek. Podczas gdy ja kończyłam zalepianie ran, on usadowił się

wygodnie i chwycił zdrową dłoń Jamiego.

– Ściskaj, jak mocno zechcesz, chłopcze – rzekł.

Bez niedźwiedziej skóry, z uczesanymi w kucyk posiwiałymi lokami, MacRannoch nie przypominał już onieśmielającego dzikusa z lasu. Wyglądał jak elegancki mężczyzna w średnim wieku o starannie przystrzyżonej brodzie w kształcie łopaty i żołnierskiej postawie. W zdenerwowaniu na myśl o tym, co zamierzałam przedsięwziąć, jego obecność stanowiła dla mnie ogromną pociechę.

Wzięłam głęboki oddech i pomodliłam się o dar obojętności.

Była to długa, okropna, szarpiąca nerwy praca, chociaż nie brakowało w niej swego rodzaju fascynacji. Niektóre czynności, takie jak wzięcie w łubki dwóch palców z prostymi złamaniami, dały się wykonać stosunkowo łatwo. Inne nie. Jamie wrzeszczał – i to głośno – kiedy nastawiałam jego środkowy palec, używając dość dużej siły, niezbędnej, żeby wcisnąć końce złamanej kości z powrotem pod skórę. Ze zdenerwowania zawahałam się przez ułamek sekundy, ale sir Marcus spokojnym, choć nalegającym tonem odezwał się:

– Dalej, dziewczyno!

Przypomniałam sobie nagle, co powiedział do mnie Jamie tej nocy, kiedy urodziło się dziecko Jenny: „Sam mogę znieść ból, ale nie zniósłbym twojego. Do tego trzeba więcej siły, niż mam”. Nie mylił się, trzeba do tego sporo siły. Modliłam się, aby wystarczyło jej nam obojgu.

Jamie odwrócił ode mnie twarz, ale widziałam

napięte mięśnie szczęk, kiedy coraz mocniej zaciskał zęby na kawałku skóry. Sama też zacisnęłam zęby i kontynuowałam swoje zadanie; ostry kawałek kości powoli zniknął pod skórą, a palec wyprostował się z bolesnym oporem. Oboje drżeliśmy z wyczerpania.

Kiedy tak pracowałam, powoli przestawałam być świadoma czegokolwiek poza zabiegiem, który wykonywałam. Jamie jęczał od czasu do czasu, a dwa razy musieliśmy przerwać na krótko, bo zrobiło mu się niedobrze. Wymiotował, wyrzucając z siebie samą whisky, ponieważ w więzieniu nie jadł wiele. Jednak przez większą część czasu nieprzerwanie mruczał coś do siebie po celtycku, przyciskając mocno czoło do kolan sir Marcusa. Przez skórzany knebel nie dało się rozpoznać, czy słowa te były przekleństwami czy modlitwą.

Na koniec wszystkie pięć palców ułożyło się prosto i sztywno jak patyki w obandażowanych łubkach. Obawiałam się infekcji, zwłaszcza w rozdartym środkowym palcu, ale co do innych ran, byłam pewna, że zagoją się bez trudu. Na szczęście tylko jeden człon został poważnie uszkodzony. Prawdopodobnie palec pozostanie sztywny, ale inne po pewnym czasie mogą funkcjonować normalnie. Ze złamanymi kośćmi śródreżca niewiele mogłam zrobić. Pozostało mi tylko obmyć rany antyseptykiem, zastosować okład i modlić się, żeby nie wdało się zakażenie. Odsunęłam się o krok. Drżałam na całym ciele od nocnego wysiłku, a stanik przesiąknięty miałam potem na plecach zwróconych cały czas w stronę ognia.

Pani Annabelle od razu znalazła się przy moim boku, podprowadziła mnie do krzesła i wetknęła mi w trzęsące się dłonie filiżankę herbaty okraszonej whisky. Sir Marcus, który okazał się najlepszym asystentem na sali operacyjnej, jakiego mógłby sobie życzyć każdy lekarz, uwolnił przytrzymywane ramię Jamiego i wymasował ślady na skórze, gdzie rzemień wbił się w ciało. Zobaczyłam, że ręka starszego mężczyzny cała poczerwieniała od ściskania Jamiego.

Nie pamiętam, kiedy zapadłam w drzemkę, ale drgnęłam nagle, gdy głowa opadła mi na piersi. Pani Annabelle wzięła mnie za łokieć i ponagliła, żebym się podniosła.

– Chodź, moja droga. Jesteś skonana, trzeba zająć się twoimi ranami i musisz się przespać.

Strząsnęłam jej dłoń najdelikatniej, jak mogłam.

– Nie, nie mogę. Muszę skończyć... – Moje słowa utonęły w zamęcie myśli, a sir Marcus zgrabnie wyjął mi z ręki buteleczkę octu i szmatkę.

– Zajmę się resztą – powiedział. – Mam doświadczenie w opatrywaniu ran. – Odsunął koce i zaczął wycierać krew z pręg po uderzeniach bata. Poruszał dłonią zdumiewająco żwawo, a zarazem delikatnie. Widząc moje spojrzenie, roześmiał się, aż mu broda zadrżała. – W swoim czasie oczyściłem wiele takich pręg – rzekł. – A parę też nawet zrobiłem. To nic, dziewczyno, zagoją się za parę dni. – Wiedząc, że to prawda, podeszłam do wezgłowia łóżka. Jamie nie spał, krzywił się lekko. Antyseptyk szczypał go w świeże rozcięcia, ale powieki mu ciążyły. Niebieskie oczy

pociemniały od bólu i zmęczenia.

– Idź spać. Angielko. Wytrzymam.

Nie wiedziałam, czy mu wierzyć. Zdawałam sobie jednak sprawę, że ja nie wytrzymam już długo. Chwiałam się z wyczerpania, a zadrapania na nodze zaczęły mnie palić i boleć. Absalom przeczyścił je w chacie, ale trzeba było jeszcze natrzeć balsamem.

Skinęłam nieprzytomnie głową i poddałam się delikatnemu, lecz nieubłaganemu naciskowi dłoni pani Annabelle.

W połowie schodów przypomniałam sobie, że nie powiedziałam sir Marcusowi, w jaki sposób obandażować rozcięcia. Głębokie rany na ramionach trzeba zawinąć i obłożyć tamponami, żeby Jamie mógł założyć na nie koszulę, kiedy będziemy uciekać. Natomiast płytsze ślady po razach trzeba zostawić nie osłonięte i umożliwić dopływ powietrza, żeby się zasklepiły. Szybko obejrzałam pokój gościnny, do którego zaprowadziła mnie pani Annabelle, potem przeprosiłam na chwilę i pomknęłam po schodach z powrotem w kierunku salonu.

Zatrzymałam się w cieniu przy drzwiach, a pani Annabelle stanęła tuż za mną. Jamie miał zamknięte oczy, najwyraźniej zapadł w drzemkę. Koce odrzucono na bok; nie były już potrzebne przy ciepłe ognia. Sir Marcus, sięgając przez łóżko po szmatkę, przypadkowo dotknął ręką obnażonego pośladka Jamiego. Reakcja była elektryzująca.

Plecy Jamiego ostro wygięły się w łuk, mięśnie pośladków zacisnęły mocno i dał się słyszeć bezwiedny okrzyk protestu, kiedy Jamie odchylił się w tył, nie

zważając na połamane żebra, i spojrział na sir Marcusa zaskoczonym, nieprzytomnym wzrokiem. Sir Marcus, również zdumiony, skamieniał na ułamek sekundy, potem nachylił się i delikatnie ujął Jamiego za ramię, nakłaniając go, żeby z powrotem położył się twarzą do poduszki. W zamyśleniu bardzo ostrożnie przesunął palcem po skórze Jamiego. Potarł o siebie dwa palce ukazując oleisty połysk widoczny w świetle ognia.

– Aha – stwierdził trzeźwo.

Stary żołnierz podciągnął koc, zakrywając Jamiego do pasa. Napięte mięśnie ramion rozluźniły się lekko pod warstwą bandaży. Sir Marcus usadowił się towarzysko przy wezglowiu i nalał jeszcze trochę whisky do dwóch pucharów.

– No, przynajmniej był na tyle łaskawy, żeby przedtem natłuścić cię nieco – zauważył wręczając jeden puchar swojemu pacjentowi. Jamie uniósł się z trudem na łokciach, żeby przyjąć naczynie.

– Tak. Nie sądzę jednak, żeby chodziło mu o moją wygodę – stwierdził cierpko.

Sir Marcus pociągnął mały łyk i cmoknął w zamyśleniu. Przez chwilę z pokoju nie dochodził żaden odgłos prócz trzaskania płomieni, ale ani pani Annabelle, ani ja nie zrobiliśmy ani kroku.

– Jeżeli to w jakiś sposób cię pocieszy – odezwał się nagle sir Marcus z oczami utkwionymi we flaszkę – to wiedz, że on nie żyje.

– Jesteś pewien? – Trudno było odczytać coś z tonu Jamiego.

– Nie wiem, jak ktokolwiek mógłby przeżyć po tym, jak został rozdeptany przez trzydzieści bestii, z których każda ważyła pół tony. Wyjrzał na korytarz, żeby sprawdzić, co tak hałasuje. Potem chciał umknąć, ale jeden róg zahaczył o jego rękaw i popchnął do tyłu. Widziałem, jak upadł przy ścianie. Sir Fletcher i ja staliśmy na schodach, aby bydełko nas nie dosięgło. Oczywiście sir Fletcher bardzo się ekscytował i posłał do kapitana paru ludzi, lecz nie mogli podejść blisko. Bestie szalały, aż pochodnie chwiały się na ścianach od hałasu. Chryste, człowieku, powinienesz to widzieć! – Sir Marcus gwizdnął na to wspomnienie złapał szyjkę flaszki. – Twoja żona jest niesamowita, chłopcze! – Prychnął nalał jeszcze jedną porcję. Szybko wypił zawartość kielicha i zakrztusił się lekko, bo śmiech przeszkodził mu w przełykaniu. – W każdym razie – podjął znów wążek waląc się w pierś – do czasu, kiedy wyprowadziliśmy bydło, z Randalla została już tylko szmaciana kukła zanurzona w posoce. Ludzie Fletchera wynieśli nieszczęśnika, ale jeśli nawet żył, to były to jego ostatnie chwile. Jeszcze lyczka, chłopcze?

– Tak, poproszę.

Nastąpiła krótka chwila ciszy, którą przerwał Jamie.

– Nie, nie powiedziałbym, że duża to dla mnie pociecha, ale dziękuję za informację.

Sir Marcus zerknął na niego bystrych oczyma.

– Mhm. Nie zapomnisz o tym, co przeżyłeś – stwierdził nagle. – Nawet nie próbuj.

Wszystkie rany muszą się zabliznić. Nie rozdrapuj ich, a znikną bez śladu. – Stary żołnierz uniósł żylaste

ramię widoczne spod podwiniętego na czas zabiegów rękawa i pokazał postrzępione zdarcie biegnące od łokcia do nadgarstka.– Szramami nie warto się przejmować.

– Tak, tak. Niektórymi może. – Jamie najwyraźniej przypomniał sobie o czymś, bo gwałtownie spróbował przekreślić się na bok.

Sir Marcus z okrzykiem odstawił swój puchar.

– Ejże, chłopcze, uważaj! Przebijesz płuco końcem żebra, tego ci jeszcze brakuje. – pomógł Jamiemu utrzymać równowagę na prawym łokciu i wetknął koc pod jego plecy, by chory mógł zachować wybraną pozycję.

– Potrzebuję małego noża – wysapał z trudem Jamie. – Ostrego, jeśli jest pod ręką. – Nie zadając żadnych pytań, sir Marcus podszedł ciężko do połyskliwego francuskiego kredensu z orzecha i z niesamowitym hałasem zaczął szperać w szufladach, aż w końcu znalazł nożyk do owoców o ręczce z masy perłowej. Wcisnął go w zdrową lewą rękę Jamiego, usiadł z chrząknięciem i ponownie uniósł puchar.

– Wydaje ci się, że nie masz wystarczająco dużo szram? – zapytał. – Chcesz dodać kilka nowych?

– Tylko jedną. – Jamie balansował ostrożnie na jednym łokciu z brodą przyciśniętą do piersi, jednocześnie niezgrabnie mierząc ostrym jak brzytwa nożem w swoją lewą pierś.

Ręka sir Marcusa wystrzeliła jak z procy, choć nieco chwiejnie, i złapała Jamiego za nadgarstek.

– Pozwól, że ci pomogę, człowieku. Za chwilę upadniesz na ostrze. – Po chwili Jamie niechętnie oddał nóż



i położył się na podetkniętym pod plecy kocu. Dotknął swojej piersi kilka centymetrów pod sutkiem.

– Tutaj.

Sir Marcus przyniósł lampę, którą ustawił na zwolnionym przez siebie stołku. Z tej odległości nie widziałam, na co tak patrzy, wyglądało to jak niewielkie, czerwone oparzenie, nieco zaokrąglone. Jeszcze raz z rozwągą chwycił za whisky, potem ustawił ją przy lampie i przycisnął końcem noża pierś Jamiego. Musiałam wykonać jakiś mimowolny ruch, bo pani Annabelle złapała mój rękaw, mruczając coś niespokojnie.

Czubek noża nacisnął i migocząc przekreślił się nagle takim ruchem, jaki wykonuje, się przy wycinaniu zepsutego kawałka dojrzałej brzoskwini. Jamie jęknął raz jeden, a cienki strumyk czerwieni pociekł po jego brzuchu i poplamiał koc. Jamie przekreślił się na brzuch, aby zatamować krew materacem.

Sir Marcus odłożył nożyk do owoców.

– Kiedy tylko będziesz do tego zdolny, człowieku – doradził – weź żonę do łóżka i pozwól jej się pocieszyć. Kobiety to lubią – rzekł z uśmiechem skierowanym ku pogrążonemu w cieniu wejściu. – Bóg jeden wie, dlaczego.

Pani Annabelle powiedziała cicho:

– Chodźmy stąd, moja droga. Lepiej zostawić go samego na jakiś czas. – Zdecydowałam, że sir Marcus sam poradzi sobie z bandażowaniem, więc chwiejnie podążyłam za gospodynią po wąskich schodach do mojej sypialni.

Przebudziłam się gwałtownie ze snu o nie kończących się krętych schodach. Na dole kryło się coś

przeróżającego. Byłam bardzo zmęczona i bolały mnie nogi, ale usiadłam w pożyczonej koszuli i odnalazłam świecę oraz krzesiwo. Źle się czułam tak daleko od Jamiego. A jeśli mnie potrzebował? Gorzej, jeżeli nadeszli Anglicy, a on leżał na dole sam, nie uzbrojony. Przycisnęłam twarz do zimnego okna. Poczułam się lepiej, słysząc miarowy świst śnieżycy. Póki trwa zawieja, jesteśmy stosunkowo bezpieczni, pomyślałam. Nałożyłam coś na siebie, uniosłam świecę i sztylet, po czym skierowałam się ku schodom.

W domu panowała cisza przerywana jedynie trzaskaniem ognia. Jamie spał, a przynajmniej miał zamknięte oczy, z twarzą odwróconą do ognia. Usiadłam cicho na dywaniku przy kominku, żeby nie obudzić ukochanego. Po raz pierwszy znaleźliśmy się sami od czasu tych kilku rozpaczliwych chwil spędzonych w lochach więzienia Wentworth. Wydawało mi się teraz, że wszystko to zdarzyło się wiele lat temu.

Przyjrzałam się uważnie Jamiemu jak obcemu człowiekowi.

Fizycznie wydawał się w nie najgorszym stanie, biorąc pod uwagę, co przeszedł, ale i tak się o niego martwiłam. Wypił podczas operacji tyle whisky, że wystarczyłoby do ogłuszenia konia, a jej część najwyraźniej wciąż znajdowała się w jego żołądku.

Jamie nie był moim pierwszym bohaterem. Mężczyźni na ogół zbyt szybko przewijali się przez szpital polowy, żeby pielęgniarki mogły dobrze ich poznać, ale od czasu do czasu spotykało się faceta, który mówił za mało

albo żartował za często, albo trzymał się zbyt sztywno jak na doznawany przez niego ból czy odczuwaną samotność.

Z grubsza wiedziałam, co można było dla nich zrobić. Jeżeli wystarczyło czasu i jeżeli należeli do tego typu ludzi, którzy mówili, żeby utrzymać strach w ryzach, należało usiąść z nimi i słuchać. Jeżeli byli milczkami, często dotykało się ich przelotnie i szukało chwili, kiedy na moment zdejmą maskę. Wtedy starałam się wyciągnąć ich z głębi siebie samych i trzymać za rękę, kiedy egzorcyzmowali swoje demony. Jeżeli wystarczyło czasu. Jeżeli nie szpikowało się pacjentów morfiną i miało nadzieję, że uda im się znaleźć kogoś innego, kto ich wysłucha, podczas gdy samemu przechodziło się dalej, do ludzi, których rany widoczne były gołym okiem.

Jamie porozmawia z kimś, prędzej czy później. Wystarczy czasu. Ale miałam nadzieję, że nie ja będę słuchaczem.

Leżał odkryty do pasa, więc pochyliłam się, żeby obejrzeć jego plecy. Widok był niesamowity. Pręgi oddzielała zaledwie grubość dłoni, a regularność, z jaką je zadawano, przechodziła ludzkie pojęcie. Kiedy to się działo, musiał stać nieruchomo jak skała.

Szybko rzuciłam okiem na jego nadgarstki – bez śladów. Więc dotrzymał słowa i nie bronił się. I tkwił nieruchomo przez całą tę mękę, płacąc uzgodniony okup za moje życie.

Otarłam oczy rękawem. Nie podziękowałby mi za mazanie się nad jego nieruchomym ciałem. Poruszyłam się z miękkim szelestem spódnicy. Na ten dźwięk otworzył

oczy, ale nie wydawał się szczególnie zaniepokojony. Uśmiechnął się do mnie słabo i ze zmęczeniem, ale szczerze. Otworzyłam usta, ale nagle uświadomiłam sobie, że nie mam pojęcia, co mu powiedzieć. Podziękowania nie przeszłyby mi przez gardło. Pytanie o samopoczucie wydawało się idiotyczne. Kiedy tak się zastanawiałam, on odezwał się pierwszy.

– Claire? Wszystko w porządku, kochanie?

– Czy wszystko w porządku ze mną? Mój Boże, Jamie! – Łzy paliły mnie pod powiekami, więc zamrugłam szybko, pociągając nosem.

Uniósł powoli zdrową rękę, jakby ciągnął za nią ciężkie łańcuchy i pogładził mnie po włosach. Chciał, abym się do niego przytuliła, ale ja nawet nie drgnęłam, bo uświadomiłam sobie, że muszę wyglądać fatalnie z twarzą podrapaną i pokrytą żywicą, z włosami sztywnymi i posklejanymi różnymi substancjami.

– Chodź tutaj – rzekł. – Pragnę cię na chwilę przytulić.

– Ale cała jestem we krwi i wymiocinach – zaprotestowałam, na próżno próbując uporządkować włosy.

Zasapał z lekkim rozbawieniem, bo tylko na taki śmiech pozwalały mu połamane żebra.

– Na Matkę Bożą, Angielko, to moja krew i moje wymiociny. Chodź tutaj.

Otoczył mnie pocieszająco ramieniem. Położyłam głowę na poduszce tuż przy jego głowie i leżeliśmy tak w ciszy przy ogniu, czerpiąc siłę i spokój z siebie wzajemnie. Jego palce delikatnie dotknęły niewielkiej ranki pod moją

szczęką.

– Nie sądziłem, że kiedykolwiek cię jeszcze zobaczę. Anielko. – Głos miał niski, zachrypnięty od alkoholu i krzyków. – Cieszę się, że jesteś tutaj.

Uniosłam się.

– Dlaczego miałbyś mnie nie zobaczyć. Myślałeś, że cię stamtąd nie wyciągnę?

Uśmiechnął się połową ust.

– No... nie, ale się bałem, że się uprzesz i odmówisz odejścia.

– Ja miałabym się uprzeć? – stwierdziłam z oburzeniem. – Kto to mówi?

Nastąpiła cisza, która stawała się coraz bardziej niezręczna. Było kilka pytań, które powinnam zadać, i to niezbędnych z medycznego punktu widzenia, ale dość drażliwych i osobistych. W końcu udało mi się wydusić jedynie to głupie pytanie:

– Jak się czujesz?

Oczy miał zamknięte, zapadnięte i pogrążone w cieniu, ale linie szerokich pleców napięły się pod bandażami. Szerokie, posiniaczone usta drgnęły ni to w uśmiechu, ni to w grymasie.

– Nie wiem, Anielko. Przedtem nigdy się tak nie czułem. Chciałbym zrobić wiele i wszystko na raz, ale mój umysł walczy ze mną, a ciało już zdradziło. Chcę się natychmiast stąd wydostać i biec najszybciej, jak zdołam. Chcę kogoś uderzyć. Boże, jakże chciałbym komuś solidnie przyłożyć! Chcę spalić więzienie Wentworth, aż nic z niego nie zostanie. Chcę spać.

– Kamień się nie pali – odparłam praktycznie. –  
Może więc lepiej zaśnij.

Zdrową ręką sięgnął po moją dłoń. Zaciśnięte usta rozluźniły się nieco, chociaż oczy wciąż pozostawały zamknięte.

– Chcę przytulić cię mocno i całować, i nigdy nie pozwolić ci odejść. Chcę wziąć cię do łóżka i potraktować jak ładacznicę, aż zapomnę o tym, że istnieję. I chcę położyć ci głowę na kolanach i płakać jak dziecko.

Jeden kącik ust uniósł się nieco, a powieka uchyliła się, ukazując błękitne oko.

– Niestety – dodał po chwili – tylko to ostatnie mógłbym zrobić tak, żeby znowu nie zemdleć albo nie wymiotować.

– Cóż, w takim razie przypuszczam, że musimy na tym poprzestać, a resztę odłożyć na później – odparłam, śmiejąc się lekko.

Abyśmy mogli się przytulić i pocałować, musiałam trochę poprzesuwać Jamiego i o mały włos znów zrobiłoby mu się niedobrze. W końcu usiadłam na łóżku plecami, oparta o ścianę, a głowa Jamiego spoczęła na moich kolanach.

– Co sir Marcus wyciął z twojej piersi? – zapytałam.  
– Piętno? – dodałam ostrożnie, kiedy nie odpowiedział.

Jasna głowa skinęła powoli na potwierdzenie.

– Odcisk sygnetu z inicjałami Randalla. – Jamie roześmiał się krótko. – Wystarczy, że przez resztę życia będę nosić szramy po razach. Nie chcę, żeby jeszcze podpisywał mnie jak jakieś krwawe malowidło.

Ciężką głowę ułożył wygodnie na moim udzie, a jego oddech w końcu uspokoił się w sennym rozmarzeniu. Białe bandaże na jego dłoni majaczyły upiornie na tle ciemnego koca. Delikatnie obrysowałam połyskujący lekko od olejku ślad oparzenia na ramieniu Jamiego.

– Jamie?

– Mmm?

– Czy... jesteś poważnie ranny?

Ocknął się i zza obandażowanej dłoni zerknął na moją twarz. Zamknął oczy i zaczął się trząść. Przerazona, pomyślałam, że uwolniłam jakieś nieznośne wspomnienie.

Dopiero po chwili zrozumiałam, że on po prostu się śmieje, i to tak silnie, że w kącikach jego oczu pokazały się łzy.

– Angielko – odezwał się w końcu, z trudem chwytając powietrze. – Pozostało mi na ciele niewiele miejsc, które nie są posiniaczone, oparzone albo pocięte. Czy jestem ranny? – powtórzył i znowu się zatrzęsł, aż wojskowy materac zatrzęszczał i zaskrzypiał.

– Miałam na myśli... – zaczęłam nieco zmieszana, ale powstrzymał mnie, przykrywając moją dłoń zdrową ręką i unosząc ją ku ustom.

– Wiem, co miałaś na myśli. Angielko – szepnął i odwrócił głowę, żeby na mnie spojrzeć. – Nie martw się, ta odrobina zdrowego ciała w całości znajduje się pomiędzy nogami.

Doceniłam wysiłek, jakiego musiał się podjąć, żeby tak dowcipkować pomimo słabości. Klepnęłam go lekko w usta.

– Jamesie Fraserze, jesteś pijany – powiedziałam. Zamilkłam na chwilę. – Odrobina, tak?

– No, może nieco więcej. O Boże, Angielko, nie zmuszaj mnie znowu do śmiechu, moje żebra tego nie zniosą.

Otarłam jego oczy fałdą spódnicy i podałam łyk wody, przytrzymując ciężką głowę kolanem.

– Tak czy inaczej, nie o to mi chodziło – powiedziałam.

Tym razem z poważną miną znów sięgnął po moją rękę i mocno ją uściśnął.

– Wiem – odparł. – Nie musisz się bawić w delikatność. – Ostrożnie wciągnął powietrze i skrzywił się z bólu. – Miałem rację, boli mniej niż chłosta. – Zamknął oczy. – Ale zabawy też jest przy tym o wiele mniej. – Przez mgnienie oka gorzkie rozbawienie uniosło jeden kącik jego ust. – Przynajmniej przez jakiś czas nie grożą mi obstrukcje. – Wzdrygnęłam się, a on zacisnął zęby i wziął kilka łyków powietrza krótkimi, piskliwymi haustami. – Przepraszam, Angielko. Ja... nie sądziłem, że tak bardzo to zapamiętam. Ale pytałaś o... zgadza się. Nie zostałem uszkodzony.

Z trudem zdołałam zachować spokojny i rzeczowy ton głosu.

– Nie musisz przedstawiać szczegółów, jeżeli nie chcesz. Ale gdyby miało ci to przynieść ulgę... – zamilkłam i zapadła kłopotliwa cisza.

– Nie chcę – odezwał się nagle gorzko i z emfazą. – Nie chcę już nigdy więcej o tym myśleć, ale wydaje mi się,



iż nie mam wyboru, chybażebym poderżnął sobie gardło. Nie, dziewczyno, nie chcę opowiadać ci o tym, tak samo jak ty nie chcesz o tym słuchać... ale chyba będę musiał wydobyć to z siebie, zanim mnie zadusi – powiedział z goryczą. – Rozkazał, żebym czołgał się i błagał i, na Chrystusa, ja to zrobiłem. Mówiłem ci kiedyś Angielko, iż każdego można złamać, jeśli wystarczająco mocno chce się go zranić. Tak, on chciał. Sprawił, że się czołgałem, że błagałem; sprawił, że robiłem o wiele gorsze rzeczy, a zanim się to skończyło, bardzo pragnąłem być już martwy.

Zamilkł na dłuższą chwilę, zapatrzony w ogień, potem westchnął głęboko i skrzywił się z bólu.

– Chciałbym, żebyś mogła mi pomóc. Pragnę tego jak najzarliwiej, bo niewiele czuję teraz ulgi. Ale nie jest to jak zatruty kolec, który wystarczy właściwie uchwycić, żeby dał się wyciągnąć bez szkody. – Oparł zdrową rękę na moim kolanie, a potem rozprostował palce, zarumienione w świetle padającym od ognia. – Nie czuje się tego nawet tak, jak jakiegoś złamania. Gdyby dało się poukładać wspomnienia kawałek po kawałku, tak jak nastawiałaś kości mojej ręki, z radością zniósłbym ból. – Zaciśnął palce w pięść i położył ją na mojej nodze, krzywiąc się przy tym mocno. – To... trudno wyjaśnić. Jest... jest jak...

chyba jest tak, jakby każdy miał w sobie jakieś małe, prywatne miejsce, przypominające fortecę, w której żyje jego część. – Może to dusza, a może po prostu jakaś część ciała, która sprawia, że jesteś właśnie sobą, a nie kimś innym. – W zamyśleniu bezwiednie macał językiem napuchniętą wargę. – Przed nikim nie obnażasz tej części

siebie, chyba że przed kimś, kogo kochasz nad życie. – Ręka rozluźniła się i przytuliła do mojego kolana. Oczy Jamiego znów się zamknęły, a powieki zacisnęły, żeby nie dopuścić światła.

– Teraz jest tak, jakby... jakby moją fortecę wysadzono prochem i nie zostało nic prócz popiołów i dymiącego szkieletu, a ta mała naga rzecz, która tam żyła, wyszła na światło dzienne i piszczy, i płacze ze strachu, próbując się schować pod źdźbłem trawy albo kawałkiem liścia, ale... ale nie... nie bardzo jej się to udaje. – Głos mu się załamał.

Jamie odwrócił głowę i schował ją w fałdach mojej spódnicy. Byłam bezradna, mogłam tylko gładzić go po włosach.

Nagle uniósł głowę. Mięśnie twarzy miał napięte.

– Claire, kilka razy byłem bliski śmierci, ale nigdy tak naprawdę nie chciałem umrzeć. Tym razem chciałem. Ja... – głos zaczął mu drżeć, więc Jamie zamilkł i jeszcze mocniej ścisnął moje kolano.

Kiedy ponownie się odezwał, głos miał wysoki i dziwnie pozbawiony tchu, jakby przebiegł długi dystans. – Claire, czy... ja tylko... Claire, przytul mnie. Jeżeli znowu zacznę się trząść, nie będę mógł przestać. Claire, trzymaj mnie! – Rzeczywiście zaczął drżeć coraz silniej, a przy tym jęczeć z bólu.

Obawiałam się zrobić mu krzywdę, ale jeszcze bardziej nie chciałam, żeby połamane żebra powodowały tyle cierpienia.

Skuliłam się nad nim i ramionami otoczyłam jego

barki. Trzymałam najmocniej, jak umiałam, bujając się w przód i w tył, jakby regularny rytm mógł przerwać gwałtowne spazmy. Jedną dłoń wsunęłam mu z tyłu pod szyję i zacisnęłam palce na mięśniach.

Masowałam bruzdę u podstawy czaszki. W końcu drzenie zelżało i Jamie z wyczerpaną miną opuścił głowę na moje udo.

– Przepraszam – powiedział chwilę później zwykłym tonem. – Nie chciałem tego.

Tak naprawdę, wszystko bardzo mnie boli i jestem okropnie pijany. Nie potrafię się kontrolować.

Jeżeli Szkot się przyznaje, nawet w cztery oczy, że jest pijany, to nieomylny znak, że ból faktycznie stał się nieznośny, pomyślałam.

– Potrzebujesz snu – odparłam miękko, wciąż masując mu szyję. – Bardzo go potrzebujesz. – Robiłam, co mogłam. Operowałam palcami w sposób, którego nauczył mnie stary Alec. W końcu udało mi się rozluźnić Jamiego tak, że prawie drzemał.

– Zimno mi – mruknął.

Ogień płonął wysokim płomieniem, a na łóżku leżało kilka koców, ale palce Jamiego okazały się lodowate.

– Jesteś w szoku – powiedziałam rzeczowo. – straciłeś cholernie dużo krwi.– Rozejrzałam się wokół, ale MacRannochowie i służący rozeszli się już do swoich sypialni.

Murtagh, jak przypuszczałam, wciąż był na zewnątrz, pilnując drogi z Wentworth na wypadek pościgu. Nie bacząc na czyjekolwiek poglądy na temat tego, co

przystoi, wstałam, zrzuciłam suknię i wślizgnęłam się pod koce.

Ułożyłam się przy mężu jak najdelikatniej i oddałam mu własne ciepło. Jamie, niczym mały chłopczyk, wtulił twarz w moje ramię. Pogłaskałam go po włosach, po czym znowu przystąpiłam do masażu napiętych kolumn mięśni z tyłu szyi, starannie omijając rany.

– Połóż główkę, mężczyzno – powiedziałam, przypominając sobie Jenny i jej chłopca.

Jamie mruknął z rozbawieniem.

– Tak mówiła do mnie matka – powiedział. – Kiedy byłem dzieckiem.

– Angielko – odezwał się chwilę później.

– Mm?

– Kto to, na miłość boską, jest John Wayne?

– To ty – odparłam. – Śpij.

Rano wyglądał już lepiej, chociaż sińce pociemniały przez noc i plamiły teraz większą część jego twarzy. Westchnął głęboko, potem zeszywniał z jękiem i wypuścił powietrze już ostrożniej.

– Jak się czujesz? – Położyłam dłoń na jego czole. Chłodne i wilgotne. Dzięki Bogu, nie ma gorączki.

Skrzywił się, wciąż mając zamknięte oczy.

– Wszystko mnie boli, Angielko. – Po omacku wyciągnął zdrową rękę. – Pomóż mi się podnieść. Trzęsę się jak galareta.

Śnieżyca skończyła się późnym rankiem. Niebo wciąż było szare jak wełna i groziło dalszymi zawiejami, ale niebezpieczeństwo pościgu z Wentworth stało się

jeszcze większe, więc opuściliśmy dwór Eldridge tuż przed południem, mocno opatuleni w ochronie przed zimnem. Murtagh i Jamie z ramionami schowanymi pod opończami, wyglądali jak pokryci sierścią. Nie miałam żadnej broni prócz sztyletu, a i ten dobrze był schowany. W dużej mierze wbrew swojej woli miałam udawać angielskiego zakładnika w razie, gdyby spotkało nas najgorsze.

– Ale widzieli mnie już w więzieniu – argumentowałam. – Sir Fletcher wie, kim jestem. – Zgadza się – Murtagh ostrożnie ładował pistolety, a cała gama kuł, przybitek, prochu, wyciorów, trzcinek i woreczków leżała rozpostarta na eleganckim stoliku pani Annabelle. Uniósł wzrok i przygwoździł mnie ponurym spojrzeniem.

– W tym rzecz, dziewczyno Musimy trzymać cię z dala od Wentworth, za wszelką cenę. Nikomu nie wyszłoby to na dobre, gdybyś trafiła tam razem z nami.

Wcisnął krótką trzcinę w środek spiralnie zakończonego kłaka, wbijając go na właściwą pozycję mocnymi, oszczędnymi pchnięciami. – Sir Fletcher nie poprowadzi pościgu. Nie w taki dzień jak dziś. A królewscy, których spotkamy, z pewnością nie będą cię znali. Jeżeli wpadną na nasz trop, możemy powiedzieć, że cię z sobą zabraliśmy wbrew twej woli. Postaramy się ich przekonać, że nie masz nic wspólnego z takimi dwoma szkockimi nicponiami jak ja i tamten hultaj. – Kiwnął głową w kierunku Jamiego, który chwiejnie siedział na stołku z miską pełną ciepłego mleka z chlebem.

Sir Marcus i ja, najmocniej jak się dało, wypchaliśmy lnianymi bandażami pożyczzone, znoszone

bryczesy i pończochy Jamiego na biodrach oraz udach. Miały ciemną barwę, żeby ukryć zdradzieckie plamy krwi, jaka mogłaby przez nie przesiąknąć.

Pani Annabelle rozdarła na plecach jedną z koszul swojego męża, żeby zmieściły się w nią szerokie ramiona Jamiego oraz spowijające je grube bandaże. Mimo to koszula nie dopinała się z przodu. Na piersiach wystawały końce opatrunków. Jamie odmówił uczesania włosów. Oświadczył, że nawet głowę ma obolałą. Wyglądał więc jak dzikie i wełniste straszdyło z rudymi szpikulcami sterczącymi w górze nad napuchniętą, fioletową twarzą z zamkniętym jednym okiem.

– Jeżeli zostaniecie pojmani – wtrącił się sir Marcus – wyjaśnił im, że u mnie gościłaś i zostałaś porwana podczas przejażdżki w pobliżu dworu. Niech cię przywiodą z powrotem do Eldridge, abym mógł powiedzieć, że przebywałaś w moim domu i jesteś przyjaciółką Annabelle. To ich powinno przekonać. Powiemy, żeś przyjaciółka Annabelle z Londynu.

– A potem bezpiecznie ich stąd odprawimy, zanim sir Fletcher pojawi się złożyć uszanowanie – dodała rzeczowo Annabelle.

Sir Marcus zaproponował nam eskortę w postaci Hektora i Absaloma, ale Murtagh zauważył że w razie napotkania angielskich żołnierzy, ich obecność wskazywałaby wyraźnie na dwór Eldridge. Było nas więc tylko troje opatulonych przed zimmem, jadących drogą w kierunku Dinwall. Miałam ze sobą grubą sakiewkę i list od pana na Eldridge. Obie te rzeczy lub jedna powinny nam

zapewnić przepłynięcie kanału La Manche.

Trudno się jechało naprzeciw zawiei. Zdradziecka biel śniegu nie głębszego niż na trzydzieści centymetrów ukrywała kamienie, dziury i inne przeszkody, sprawiając, że jazda konna stała się niebezpieczna i groziła poślizgnięciem. Z każdym krokiem spod kopyt wylatywały grudki śniegu i błota, opryskując wierzchowcom buty brzuchy i pęciny.

Obłoki powietrza wydmuchiwane przez konie ulatywały chmurkami w mroźnym powietrzu.

Murtagh podążał pierwszy, prowadząc konia po lekkim wgłębieniu, które oznaczało drogę. Ja jechałam obok Jamiego, żeby móc udzielić mu pomocy w razie, gdyby stracił przytomność, chociaż został na własne życzenie przywiązany do konia. Wolną miał tylko lewą rękę, która spoczywała na pistolecie przymocowanym do łąku siodła i schowana była pod opończą.

Przejechaliśmy obok kilku wiosek, gdzie dym unosił się nad słomiane strzechy.

Wydawało się, że wszyscy mieszkańcy wraz ze zwierzętami pozamykali się w środku, chroniąc się przed mrozem. Gdzieniedzie samotny człowiek przechodził od chaty do szopy, niosąc wiadra lub siano, ale droga przez większą część była pusta.

Dwa kilometry za Eldridge minęliśmy cień więzienia Wentworth, jego ponurą bryłę usadowioną na zboczu wzgórza. Droga była tu zdeptana, ruch do i z Wentworth nie ustawał nawet w najgorszą pogodę.

Czas naszej podróży ustawiliśmy tak, żeby

pokrywał się z porą popołudniowego posiłku. Mieliśmy nadzieję, że oddziały skupione będą na piwie i mięsiwach. Powoli posuwaliśmy się obok krótkiej drogi prowadzącej ku bramie niczym zwykła grupa pechowych podróżników, którym przyszło wędrować w taki okropny dzień.

Kiedy już minęliśmy więzienie, zatrzymaliśmy się pod osłoną niewielkiego sosnowego lasku, żeby dać na chwilę wypocząć koniom. Murtagh zajrzał pod rondo kapelusza Jamiego.

– W porządku, chłopcze? Tak cicho siedzisz.

Jamie uniósł głowę. Twarz miał bladą, a strużki potu ściekały po jego szyi pomimo lodowatego wiatru, ale udało mu się zdobyć na mało przekonujący uśmiech.

– Dam sobie radę.

– Jak się czujesz? – zapytałam z troską.

Siedział w siodle przygarbiony, bez śladu właściwej sobie wyprostowanej, pełnej gracji postawy. W odpowiedzi otrzymałam kolejny połowiczny uśmiech.

– Próbowałam zdecydować, co boli bardziej: żebra, dłoń czy tyłek. Próba wyboru pomiędzy tymi częściami ciała sprawia, że już nawet nie zdołam myśleć o plecach. – Pociągnął głęboki łyk z flaszki, w którą zapobiegliwie zaopatrzył go sir Marcus, wzdrygnął się i przekazał ją mnie. Trunek był o wiele lepszy niż czysty spirytus, który piłam w drodze do Leoch, ale równie mocny. Pojechaliśmy dalej. W moim żołądku palił się wesoły płomień.

Konie z trudem wspinały się na niewielki pagórek. Śnieg pryskał spod kopyt. Nagle zobaczyłam, jak Murtagh gwałtownie unosi głowę. Podążając za jego wzrokiem,



zobaczyłam czterech żołnierzy w czerwonych kaftanach siedzących na koniach na szczycie wzgórza.

Nie było rady. Zostaliśmy zauważeni, a głośne wezwanie potoczyło się echem po wzgórzu. Nie mieliśmy możliwości ucieczki. Musieliśmy spróbować się wykpić. Nie patrząc wcale za siebie, Murtagh wyrwał się naprzód, żeby z nimi porozmawiać.

Kapral dowodzący grupą okazał się zawodowym żołnierzem w średnim wieku.

Siedział wyprostowany sztywno w zimowym płaszczu. Skłonił mi się uprzejmie, a potem przeniósł uwagę na Jamiego.

– Przepraszam państwa, mamy rozkaz zatrzymywać wszystkich jeźdźców podążających tą drogą, aby badać szczegóły dotyczące więźniów zbiegłych ostatnio z więzienia Wentworth.

Wczoraj udało mi się uwolnić więcej ludzi, nie tylko męża. Cieszyło mnie to z różnych powodów. Między innymi dlatego, że liczni uciekinierzy rozproszą pościg. Czterech przeciwko trojgu dawało większe szansę, niż się spodziewałam.

Jamie nie odpowiedział, ale niezdarnie jechał dalej, nonszalancko kręcąc głową.

Dostrzegłam błysk jego oczu pod rondem kapelusza. Nie stracił więc przytomności, pomyślałam z ulgą. Widocznie znał tych ludzi, a oni rozpoznaliby jego głos. Murtagh wprowadził swojego konia pomiędzy mnie i żołnierzy.

– Jak widać, sir, mój pan trochę źle się czuje – rzekł

służalczo, odgarniając lok z czoła. – Może moglibyście mi, panie, wskazać drogę w kierunku Ballagh? Nie jestem pewien, czy zdążamy we właściwym kierunku.

Zastanowiło mnie, do czego zmierza. Pochwyciłam jego spojrzenie. Wzrokiem wskazał do tyłu i na dół, po czym znów wpatrzył się w żołnierza tak szybko, iż temu wydawało się, że Murtagh cały czas słucha go z uwagą. Czy Jamiemu groził upadek z siodła? Udając, że poprawiam czepek spojrzałam nieznacznie przez ramię w kierunku wskazanym przez Murtagha i niemal zamarłam z przerażenia.

Jamie siedział wyprostowany z głową pochyloną tak, żeby osłonić twarz. Ale z czubka strzemienia pod jego nogą powoli kapłała krew, plamiąc śnieg parującymi czerwonymi kroplami.

Murtagh, udając wyjątkową głupotę, zdołał odciągnąć żołnierzy ku przodowi na szczyt wzgórza, żeby mogli mu pokazać, że droga do Dingwall jest jedyną drogą w zasięgu wzroku, która prowadzi w dół po drugiej stronie wzgórza. Wiedzie przez Ballagh, a potem prosto w kierunku wybrzeża odległego jeszcze o trzy kilometry. Pośpiesznie zsiadłam z konia i zaczęłam gorączkowo szarpać popręg, jednocześnie manipulując nogą pod brzuch konia Jamiiego wystarczająco dużo śniegu, żeby zasłonić zradzieckie krople.

Szybkie spojrzenie w kierunku żołnierzy pozwoliło mi stwierdzić, że nadal są pogrążeni w dyskusji z Murtaghem, chociaż jeden z nich patrzył na nas, jakby chciał się upewnić, że nie oddalimy się bez pozwolenia.

Pomachałam mu wesoło, a potem, gdy tylko żołnierz odwrócił głowę, nachyliłam się i oddarłam pas tkaniny z jednej z halek, które miałam na sobie. Odchyliłam opończę Jamiego i ignorując okrzyk bólu, wepchnęłam materiał pod jego udo. Opończa opadła na miejsce akurat na czas, żebym zdołała przyskoczyć do swojego konia i udać, że poprawiam coś przy popręgu, kiedy nadjechał Murtagh wraz z Anglikami.

– Chyba się poluzowało napięcie – wyjaśniłam ze szczerą miną i mrugnęłam w kierunku najbliższego żołnierza.

– Och? A czemu pan nie pomoże damie? – zwrócił się do Jamiego.

– Mój mąż jest chory – odparłam. – Dam sobie radę sama, dziękuję.

Kapral wydawał się zainteresowany.

– Chory, tak? – Wysunął konia do przodu, wpatrując się uważnie w twarz Jamiego, ukrytą pod kapeluszem. – Rzeczywiście nie wygląda dobrze. Zdejmij kapelusz, człowieku.

Co się stało z twoją twarzą?

Jamie strzelił przez fałdy opończy. Żołnierz znajdował się nie dalej niż dwa metry od niego i zwałił się z siodła, zanim jeszcze plama na piersi stała się większa niż moja pięść.

Kapral nie zdążył dotknąć ziemi, a Murtagh trzymał już pistolety w obu rękach. Jeden pocisk przeszedł bokiem, ponieważ koń się spłoszył z powodu nagłego hałasu i ruchu.

Drugi dosięgnął celu. Rozdarł żołnierzowi górną część ręki i pozostawił pęk postrzępionego materiału opadający z raptownie czerwieniejącego rękawa. Mężczyzna utrzymał się jednak w siodle. Jedną ręką sięgał już po szablę. Murtagh zanurzył dłoń w fałdach opończy i po szukał kolejnej broni.

Jeden z dwóch pozostałych żołnierzy zawrócił konia, który ślizgał się w śniegu, i spiął go w kierunku więzienia, prawdopodobnie w poszukiwaniu pomocy.

– Claire! – okrzyk dochodził z tyłu.

Uniosłam wzrok. Zaskoczona, zobaczyłam Jamiego, który machał ręką w kierunku uciekającej postaci.

– Zatrzymaj go!

Miał zaledwie czas, aby cisnąć mi drugi pistolet, a potem odwrócił się, żeby stawić czoło atakowi czwartego z żołnierzy. Mojego konia szkolono do bitwy; uszy położył płasko po sobie, tupał i grzebał kopytem w śniegu, zaniepokojony hałasem, ale nie odbiegł na dźwięk strzałów. Stał spokojnie, kiedy szukałam strzemienia. Z ulgą zostawiając za sobą odgłosy walki, pomknął jak wiatr, gdy tylko wskoczyłam na siodło i z dużą szybkością pocwałował za uciekającym.

Siekący w twarz śnieg powstrzymywał nas w pędzie podobnie jak i żołnierza, ale mój koń był lepszy i miałam przewagę, jadąc ścieżką wydeptaną w świeżym śniegu przez wierzchowca uciekającego żołnierza. Zaczęłam się do niego zbliżać; ale nie dość szybko.

Przed nim było jednak wzgórze.

Jeżeli odbiję w prawo, może szybciej pojedę po

płaskim terenie i spotkam żołnierza na zboczu po drugiej stronie, pomyślałam. Szarpnęłam wodze i pochyliłam się mocno, żeby utrzymać się w siodle, kiedy koń poślizgnął się skręcając. Szybko złapał oparcie dla kopyt i pomknął dalej.

Po niedługim czasie zmniejszyłam dystans między nami do zaledwie dziesięciu metrów. Gdybym dysponowała nieograniczoną przestrzenią, w końcu dogoniłabym Anglika, ale taki luksus nie został mi dany: ściany więzienia majaczyły w odległości niewiele ponad kilometra. Bałam się, że jeszcze trochę, a będzie można nas dostrzec z murów.

Zatrzymałam się i zsiadłam. Wszystko jedno, czy koń został wyszkolony czy nie, nie wiedziałam, jak się zachowa, jeżeli wystrzelę z pistoletu, siedząc na jego grzbiecie. Nawet gdyby stał jak posąg, nie wydawało mi się, żebym umiała trafić w cel z takiej pozycji.

Uklękłam w śniegu, oparłam łokieć na kolanie i pistolet na przedramieniu, tak jak uczył mnie Jamie. – „Podeprzyj, wyceluj, wypal”, mówił. Tak też zrobiłam.

Ku mojemu zdumieniu trafiłam biegnącego konia. Poślizgnął się, osunął się na jedno kolano i przewrócił na grzbiet w tumanie śniegu. Ramię zdrętwiało mi od siły odrzutu, więc stanęłam i zaczęłam je masować, patrząc na leżącego w zaspie żołnierza. Był ranny; próbował wstać, potem przewrócił się w śnieg. Jego koń pokuśtykał kawałek dalej, krwawiąc z łopatki, potem zatrzymał się i stał ze zwisającymi wodzami.

Dopiero później uświadomiłam sobie, o czym wtedy

myślałam: kiedy zbliżałam się ku żołnierzowi, wiedziałam tylko, że nie mogę pozwolić mu żyć. Byliśmy w pobliżu więzienia, a inne patrole też szukały zbiegłych więźniów, więc z pewnością ktoś wkrótce by go tu znalazł. A gdyby odnaleziono go żywego, mógłby nie tylko nas opisać – wtedy koniec z moją historyjką o porwaniu! – ale także powiedzieć, w którym kierunku podążamy. Od wybrzeża wciąż jeszcze dzieliło nas sześć kilometrów, czyli dwie godziny jazdy w głębokim śniegu. A kiedy już tam dotrzemy, trzeba będzie wynająć łódź. Po prostu nie mogłam pozwolić na to, żeby ten mężczyzna komukolwiek o nas wspomniał.

Kiedy nadeszłam, z trudem uniósł się na łokciach. Oczy rozszerzyły mu się ze zdziwienia, gdy mnie zobaczył, a potem odprężył się. Byłam kobietą. Nie bał się mnie.

Bardziej doświadczony mężczyzna mógłby okazać się bardziej spostrzegawczy i nie zważać na moją płęć, ale ten był jeszcze chłopcem. Oceniałam, że nie ma więcej niż szesnaście lat i wykazuje objawy szoku. Rumiane policzki wciąż jeszcze zachowały dziecięce linie, chociaż na górnej wardze wyrastał puszek zapowiadający sumiasty wąs.

Otworzył usta, ale tylko jęknął z bólu. Przycisnął dłoń do boku. Zobaczyłam krew przesiąkającą przez kaftan i płaszcz. Obrażenia wewnętrzne, koń musiał się na niego przewrócić.

Możliwe, pomyślałam, że umarłby tak czy inaczej. Ale nie mogłam na to liczyć.

Rękę ze sztyletem skrywałam pod oponczką. Położyłam prawą dłoń na głowie umundurowanego

chłopaka. W taki sam sposób dotykałam głów setek mężczyzn, pocieszając, oglądając, przygotowując na wszystko, co ich czekało. A oni patrzyli na mnie podobnie jak ten dzieciak – z nadzieją i ufnością.

Nie mogłam poderżnąć mu gardła. Uklęknęłam obok i delikatnie odwróciłam jego głowę od siebie. Opisy technik szybkiego zabijania z katalogu Ruperta zawsze uwzględniały opór ofiary. Tymczasem tu nie było żadnego oporu, kiedy pochyliłam jego głowę do przodu najdalej, jak mogłam i zatopiłam sztylet w szyi u podstawy czaszki.

Pozostawiłam go leżącego w śniegu twarzą ku dołowi i podążyłam z powrotem, aby dołączyć do reszty.

Murtagh i ja złożyliśmy nasz nieporęczny ładunek przykryty kocami na ławie pod pokładem, a potem spotkaliśmy się przy sterowni „Cristabel”, żeby obejrzeć niebo zaciągnięte burzowymi chmurami.

– Wygląda na to, że będzie nam towarzyszył silny wiatr – powiedziałam z nadzieją, trzymając w górze pośliniony palec.

Murtagh ponuro zbadął wzrokiem chmury wiszące nad portem czarnymi brzuchami do dołu i zrzucany przez nie ładunek śniegu bezsensownie topiący się w lodowatych falach.

– Tak, tak. Oby tylko rejs przebiegł spokojnie. Jeśli nie, to z pewnością zostaniemy z trupem na rękach.

Pół godziny później, kiedy już wypłynęliśmy na zmienne wody kanału La Manche, zrozumiałam, co miał na myśli.

– Choroba morska? – odezwałam się z

niedowierzaniem. – Szkoci nie mają choroby morskiej!

Murtagh zachnął się.

– Więc może nasz przyjaciel jest rudym Hotentotem. Jedno, co wiem, to że robi się zielony jak zgniła ryba i wypłwua wnętrzności. Chodźmy na dół. Pomożesz mi, zanim Jamie przebije sobie brzuch żebrami?

– Do licha – rzuciłam do Murtagha, kiedy przechylaliśmy się przez burzę, chciwie chwytając świeże powietrze podczas krótkiej przerwy we wdychaniu nieprzyjemnej atmosfery pod pokładem. – Jeżeli wie, że ma chorobę morską, to czemu, na Boga, nalegał na podróż łodzią?

Murtagh nie mrugnął nawet okiem, posyłając mi spojrzenie bazyliuszka.

– Bo cholernie dobrze wie, że nigdy nie udałoby nam się przejechać łądem, kiedy jest w takim stanie, a nie chciał zostać w Eldridge ze strachu, że sprowadzi Anglików na kark MacRannochowi.

– A zatem zamierza po cichu zginąć na morzu – powiedziałam gorzko.

– Tak. Wymyślił, że w ten sposób zabije tylko siebie. Ale z pewnością nie zrobi tego cicho – dodał Murtagh, kierując się ku zejściu pod pokład w odpowiedzi na jednoznaczne odgłosy dobiegające z dołu.

– Gratulacje – powiedziałam do Jamiego godzinę albo dwie później, odsuwając ociekające wilgocią kosmyki włosów z policzków i czoła. – Mam wrażenie, że przejdiesz do historii medycyny jako jedyny znany przypadek śmierci z powodu choroby morskiej.



– Och, wspaniale – mruknął z twarzą utkwioną w stercie poduszek i koców. – A już się martwiłem, że wszystko pójdzie na marne. – Nagle przechylił się ciężko na bok. – Boże, znowu się zaczyna.

Murtagh i ja jeszcze raz skoczyliśmy na nogi i zajęliśmy swoje pozycje. Utrzymanie nieruchomo dużego mężczyzny, którym targają nieubłagane ataki wymiotów nie należy do zadań dla ułomków.

Potem jeszcze raz zbadalam jego puls i na krótko położyłam dłoń na wilgotnym czole.

Murtagh popatrzył w moją twarz, jakby chciał coś z niej wyczytać, i bez słowa udał się za mną na górny pokład.

– Niezbyt z nim dobrze, co? – zapytał cicho.

– Nie wiem – odparłam, bezradnie wytrząsając na ostrym wietrze przesiąknięte potem włosy. – Naprawdę nigdy nie słyszałam, żeby ktoś umarł z powodu choroby morskiej, ale on już zaczął wymiotować krwią.

Dłonie drobnego mężczyzny zacisnęły się na poręczy, a kostki palców mocno naciągnęły spaloną słońcem skórę.

– Nie mam pojęcia, czy uszkodził coś sobie w środku ostrymi końcami żeber, czy po prostu żołądek nie wytrzyma już torsji. W każdym razie nie jest to dobry znak. Puls robi się coraz słabszy i nieregularny. Wiesz, to w końcu spore obciążenie dla serca.

– Ma serce jak lew. – Zdanie to wypowiedział cicho i z początku nie byłam pewna, czy rzeczywiście je usłyszałam. Może to tylko słony wiatr sprawił, że w oczach Murtagha po kazały się łzy. Gwałtownie odwrócił się w

moim kierunku. – łeb jak osioł. Zostało jeszcze trochę tego opium, które dostałaś od pani Annabelle?

– Tak. Ale on niczego nie weźmie; powiedział, że nie chce spać.

– Dobrze, dobrze. Nie wszyscy dostają to, czego chcą. Nie wiem, czemu z nim miałyby być inaczej. Chodź.

Niespokojnie poszłam za Murtaghiem pod pokład.

– Nie wydaje mi się, żeby udało mu się utrzymać cokolwiek w żołądku.

– Zostaw to mnie. Weź butelkę i pomóż mi go usadzić.

Jamie i tak już był półprzytomny i niczym nieporęczny ciężar protestował przeciwko sadzaniu go i opieraniu o przepierzenie.

– Niedługo umrę – stwierdził słabym, ale rzeczowym głosem – i im szybciej, tym lepiej. Odejdźcie i pozwólcie mi odejść z tego świata w spokoju.

Chwyając mocno za płomienne włosy Jamiego, Murtagh zmusił go do uniesienia głowy i przyłożył mu flaszkę do ust.

– Przełknij to, mój mały, albo złamię ci kark. A ponadto masz utrzymać miksturę w żołądku. Zatkam ci nos i usta, więc jeśli zwymiotujesz, wszystko wyjdzie ci uszami.

Dzięki połączonej sile woli obu stron, mnie i Murtaghowi udało się powoli, acz nieubłaganie wlać zawartość flaszki w młodego dziedzica na Lallybroch. Krztusząc się i zaciskając usta, Jamie po męsku wypił tak wiele, jak mógł, zanim zadyszany i siny na twarzy oparł się

o przepierzenie. Murtagh bezlitośnie zaciskał mu nos, co na jakiś czas powstrzymało wymioty i pozwoliło na stopniowe skumulowanie się medykamentu w układzie krwionośnym pacjenta. W końcu ułożyliśmy biedaka płasko na łóżku.

Jaskrawy płomień włosów, brwi i rzęs wydawał się na tle poduszki jedyną barwą.

Murtagh wyszedł na pokład chwilę po mnie.

– Zobacz – powiedziałam, wskazując dłonią na horyzont. Przyćmione światło zachodzącego słońca przeświecające rzadkimi promieniami przez chmury zabarwiło skały mającego przed nami francuskiego wybrzeża. – Sternik mówi, że za trzy, cztery godziny będziemy na brzegu.

– Najwyższy czas – stwierdził mój kompan, odgarniając rzadkie kasztanowe włosy znad oczu. Odwrócił się ku mnie i wykonał grymas najbardziej zbliżony do uśmiechu, jaki kiedykolwiek dotąd widziałam na surowym obliczu.

W końcu, idąc za nieruchomym ciałem naszego podopiecznego złożonego na desce niesionej przez dwóch mnichów, przeszliśmy przez wynurzające się z mgły wrota opactwa świętej Anny de Beaupre. Opactwo było zaprojektowane tak, by odpierać zarówno ataki wzburzonych fal, jak i wrogów. Teraz, w czasie pokoju, wielkie wrota były zazwyczaj ciągle otwarte na oścież, co ułatwiało wyprawy do sąsiedniej wioski. Wygodne meble i kobierce łagodziły surowość gościnnych komnat w bocznym skrzydle.

Podniosłam się z wyściełanego krzesła w mojej

komnacie, niepewna, jak powitać opata. Mam uklęknąć i pocałować jego pierścień, a może podobne gesty są stosowane jedynie wobec papieża? Zdecydowałam się na głęboki ukłon.

Ukośne, kocie oczy Jamie rzeczywiście odziedziczył po Fraserach. Podobnie jak silnie zarysowany podbródek, choć ten, na który teraz patrzyłam, był ledwie widoczny spod rudej brody.

Opat Aleksander miał szerokie usta, podobnie jak siostrzeniec, ale chyba rzadko się uśmiechał. Przywitał mnie ciepło, ale skośne błękitne oczy pozostały chłodne i surowe.

Był dużo niższy od Jamiego, mniej więcej mojego wzrostu, i dość pękaty. Nosił sutannę, lecz poruszał się krokiem wojownika. Prawdopodobnie w swoim czasie zajmował się i wojaczką, i modlitwą.

– Witaj, ma niece – powiedział, lekko przekrzywiając głowę.

Zaskoczyły mnie jego słowa, ale skłoniłam się grzecznie.

– Jesteśmy bardzo wdzięczni za gościnę – Mówiłam szczerze, z głębi serca. – Czy...

czy widzieliście Jamiego? – Mnisi zabrali mojego męża, żeby go wykapać. Uznałam, że lepiej będzie, jeśli nie będę im przy tym towarzyszyła.

Opat skinął głową.

– Tak. – W angielszczyźnie wykształconego człowieka pobrzmiwał słaby szkocki akcent. – Widziałem Jamiego. Wysłałem brata Ambrozego, żeby opatrzył jego

rany.– Miałam chyba zwałpnienie wypisane na twarzy, bo dodał, z odrobiną ironii: – Nie obawiaj się, pani; brat Ambroży jest bardzo kompetentny. – Patrzył na mnie z podziwem, był przy tym wręcz denerwująco podobny do siostrzeńca. – Murtagh twierdzi, że i ty, pani, jesteś biegłym medykiem.

– To prawda – odparłam krótko.

Tym razem uśmiechnął się szczerze.

– Widzę, że nie grzeszysz, moja droga, fałszywą skromnością– zauważył.

– Lecz innych grzechów mam aż nadto – odcięłam się żartobliwie.

– Jak my wszyscy. Brat Ambroży niewątpliwie chętnie z tobą porozmawia, pani.

– Czy Murtagh powiedział wam... co się stało? – zapytałam z wahaniem.

Szerokie usta zacisnęły się w wąską kreskę.

– Tak. Przynajmniej tyle, ile wie. – Urwał, jakby czekał na dalsze wyjaśnienia z moich ust, lecz milczałam. Opata najwyraźniej aż rozpieęła ciekawość, jednak był na tyle uprzejmy, że nie dręczył mnie pytaniami. – Witamy – powtórzył. – Przyślę brata służebnego z posiłkiem. – Rozejrzał się po komnacie. – I z wodą do mycia. – Nakreślił nade mną znak krzyża na pożegnanie albo, niewykluczone, by odpędzić zło i nieczystość, po czym odszedł, turkocząc brązowym habitem.

Nagle dotarło do mnie, jak bardzo jestem zmęczona. Opadłam na łożo.

Zastanawiałam się, czy uda mi się nie zasnąć przed

kąpielą i posiłkiem. Rozmyślałam o tym nawet wówczas, gdy przyłożyłam głowę do poduszki.

Śniłam koszmarny sen. Jamie znajdował się po drugiej stronie kamiennej ściany, w której nie było żadnych drzwi. Słyszałam, jak krzyczy, lecz nie mogłam się do niego dostać. Rozpaczliwie waliłam w ścianę, po to tylko, by zobaczyć, jak moja dłoń zanurza się w kamieniu niczym w wodzie.

– Au! – Gwałtownie usiadłam na wąskim pościu, tuliłam do siebie rękę, którą uderzałam w nieustępliwą ścianę przy łóżku. Kołysałam się w przód i w tył, ścisnęłam bolącą dłoń i nagle uświadomiłam sobie, że krzyki wcale nie umilkły.

Urwały się nagle, gdy wybiegłam na korytarz. Drzwi do komnaty Jamiego były otwarte, migotliwe światło pochodni rozjaśniało mroczny korytarz.

W pomieszczeniu nieznanymi mi mnich mocno obejmował swojego podopiecznego.

Bandaż na ramieniu Jamiego czerwieniał się świeżą krwią.

– Koszmar senny – wyjaśnił mnich na mój widok.

Przesunął Jamiego w moje ramiona, a sam podszedł do stołu po czystą ściereczkę i dzbanek wody.

Jamie ciągle dygotał, jego twarz lśniła od potu. Miał zamknięte oczy, oddychał ciężko, chrapliwie. Mnich przycupnął koło mnie i delikatnie dotknął jego twarzy, odsunął ciężkie, mokre od potu włosy ze skroni.

– Zapewne jesteś, pani, jego żoną – odezwał się. – Wkrótce poczujesz się lepiej.

Po kilku minutach rzeczywiście drżenie ustało. Jamie z westchnieniem otworzył oczy.

– Nic mi nie jest – zapewnił. – Naprawdę, Claire, wszystko w porządku. Ale, na Boga, zlikwiduj ten smród!

Dopiero wtedy wyczułam zapach. Był to delikatny, kwiatowy aromat, tak powszechny, że na początku w ogóle nie zwróciłam na niego uwagi. Lawenda. Zapach mydeł i wody toaletowej. Ostatnio czułam ten zapach w więzieniu Wentworth; wydobywał się z pościeli lub z samej osoby kapitana Jonathana Randalla.

Szybko usunęłam jego źródło – niewielki metalowy pojemniczek wypełniony olejem roślinnym. Wisiał nad świeczką.

Choć w zamierzeniu miał wpływać kojąco, teraz wywołał wręcz przeciwny efekt.

Jamie oddychał swobodniej, usiadł o własnych siłach, sam trzymał kubek wody, podany przez mnicha. Nadal jednak był bardzo blady. Kąciki jego ust drżały niespokojnie.

Dałam znak głową, by franciszkanin spełnił prośbę chorego, i mnich posłusznie owinął naczynie ręcznikiem i zniknął w dali korytarza.

Jamie odetchnął z ulgą i jednocześnie skrzywił się z bólu.

– Otworzyła ci się rana na plecach – poinformowałam, odwracając go lekko, żeby dostać się do opatrunku. – Ale to niegroźne.

– Wiem. Chyba przewróciłem się na plecy przez sen. – Koc złożony w pół, który miał mu to uniemożliwić,

zsunął się na ziemię. Podniosłam okrycie i ułożyłam na posłaniu. – Stąd wziął się mój koszmar. Śniło mi się, że mnie biczują. – Wzdrygnął się, upił łyk wody, podał mi kubek. – Wolałbym coś mocniejszego, o ile to możliwe.

Jakby na zawołanie, wrócił pomocny mnich. Przyniósł dzbanek wina i małą buteleczkę syropu makowego.

– Alkohol czy opium? – Z uśmiechem uniósł obie ręce. – Możecie sobie, panie, wybrać rodzaj oszołomienia.

– Wino, jeśli można. Jak na jedną noc dosyć już śniłem. – Jamie uśmiechnął się krzywo.

Pił powoli, a franciszkanin pomagał mi zmienić opatrunek i posmarować ranę maścią nagietkową. Dopiero gdy starannie ułożyliśmy Jamiego do snu i okryliśmy kołdrą, mnich zaczął zbierać się do wyjścia.

Mijając Jamiego, pochylił się nad łóżkiem i nakreślił znak krzyża.

– Śpij spokojnie – szepnął.

– Dziękuję, ojcze. – Jamie mówił niewyraźnie, widać było, że zapada w sen.

Wywnioskowałam zatem, że aż do rana nie będę mężowi potrzebna, więc dotknęłam jego ramienia na pożegnanie i pospieszyłam za mnichem na korytarz.

– Dziękuję – odezwałam się. – Jestem bardzo wdzięczna za pomoc.

Machnął ręką, puszczając moje podziękowania mimo uszu.

– Cieszę się, że mogłem pomóc – odparł. Choć mówił doskonale po angielsku, zdawało mi się, że słyszę



cień francuskiego akcentu. – Gdy przechodziłem przez skrzydło z komnatami gościnnymi, zmierzając do kaplicy świętego Gilesa, usłyszałem krzyki.

Skrzywiłam się na wspomnienie podobnych, ochrypłych, przeraźliwych wrzasków.

Miałam nadzieję, że nigdy już ich nie usłyszę. Zerknęłam w okno. Za ciężkimi okiennicami panował jeszcze mrok.

– Do kaplicy? – powtórzyłam, zaskoczona. – A ja myślałam, że jutrznie odmawia się w głównym kościele. I chyba trochę za wcześnie?

Franciszkanin uśmiechnął się. Był dosyć młody, chyba niedawno przekroczył trzydzistkę, ale w kasztanowej czuprynie widniały srebrne pasma. Miał zgrabnie wygoloną tonsurę i starannie przyciętą brodę; sięgała równo kołnierza habitu.

– Rzeczywiście, bardzo wcześnie, jak na jutrznię – zgodził się. – Szedłem do kaplicy, by oddać się Wiecznej Adoracji Najświętszego Sakramentu. – Ponownie zajrzał do komnaty Jamiego, gdzie zegar na ścianie wskazywał wpół do trzeciej. – Jestem już spóźniony – stwierdził. – Brat Bartolome na pewno chce się położyć. – Uniósł rękę, pobłogosławił mnie szybko, obrócił się na pięcie i odszedł, zanim zebrałam dosyć przytomności umysłu, by go zapytać o imię.

Weszłam do komnaty, żeby sprawdzić, jak się ma Jamie. Zasnął, oddychał płytko. Na jego czole pojawiła się zmarszczka. Delikatnie musnęłam ją dłonią. Zniknęła na chwilę, by zaraz ponownie się pojawić. Z westchnieniem

szczelniej otuliłam go kocem.

Rano poczułam się o wiele lepiej, ale Jamie miał podkrążone oczy po ciężkiej nocy.

Zdecydowanie odmówił zjedzenia rosolu na śniadanie i z irytacją odsunął rękę, gdy chciałam sprawdzić opatrunek.

– Na Boga, Claire, zostaw mnie w spokoju! Nie chcę, żebyś mi zawracała głowę!

Odwróciłam się bez słowa i zajęłam się segregowaniem słoiczków i paczuszek z lekarstwami. Podzieliłam je na małe grupy według zastosowania: maść nagietkową i balsam z topoli do łagodzenia i kojenia ran, kora wierzbowa, wiśniowa i rumianek na napary, czosnek i babka do dezynfekowania ran.

– Claire. – Odwróciłam się ponownie i napotkałam jego skruszone spojrzenie. – Przepraszam, Angielko. Moje wnętrzności szaleją i mam od rana zły humor, ale to nie usprawiedliwia tego, że na ciebie krzyczę. Wybaczysz mi?

Podeszłam do niego szybkim krokiem i delikatnie objęłam lekko drżące ciało.

– Wiesz przecież, że nie ma tu nic do wybaczenia. Ale co to znaczy, że twoje wnętrzności szaleją? – Nie po raz pierwszy doszłam do wniosku, że miłość i bliskość nie oznaczają tego samego.

Skrzywił się, pochylił naprzód, splótł dłonie na brzuchu.

– Po prostu – wycedził – chciałbym zostać sam, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

Usłuchałam go bez słowa. Postanowiłam zająć się

swoim śniadaniem.

Kiedy niewiele później wracałam z refektarza, dostrzegłam wysoką smukłą postać w czarnym habicie franciszkanina. Mężczyzna szedł w stronę klasztoru. Dogoniłam go biegiem.

– Ojczy! – krzyknęłam.

Odwrócił się i uśmiechnął na mój widok.

– Dzień dobry, madame Fraser; czy tak brzmi wasze nazwisko? Jak się miewa mąż?

– Lepiej. – Łudziłam się, że to prawda. – Pragnę ojcu raz jeszcze podziękować za wczorajszą noc. Odszedł ojciec, zanim zdążyłam zapytać o imię...

W orzechowych oczach błysnęła iskierka humoru, gdy mi się skłonił z dłonią na sercu.

– François Anselm Mericoeur d’Armagnac, do usług – przedstawił się. – Takimi imionami obdarowano mnie na chrzcie. Teraz jestem znany jedynie jako brat Anselm.

– Anselm o Dobrym Sercu? – zapytałam żartobliwie.

Wzruszył tylko ramionami; typowy galijski gest, nie zmieniony od wieków.

– Tak bywa – uśmiechnął się ironicznie.

– Nie będę dłużej przeszkadzać, ojczy. – Przesunęłam wzrok na budynek klasztoru. – Chciałam wam tylko podziękować za pomoc.

– Nie przeszkadzasz mi, pani. Opóźniałem, jak mogłem, moment, gdy będę musiał zabrać się do pracy; oddawałem się grzesznemu lenistwu.

– A co ojciec robi? – zainteresowałam się.

Najwyraźniej był jedynie gościem w klasztorze, jego czarny franciszkański habit od razu rzucał się w oczy na tle brązowych szat benedyktynów. W opactwie przebywało chwilowo sporo gości, jak mnie poinformował Polydor, jeden z braci usługujących.

Przybyli głównie uczeni, by studiować dzieła, przechowywane w słynnej bibliotece opactwa. Anzelm prawdopodobnie był jednym z nich. Jak się okazało, od kilku miesięcy pracował nad przekładem Herodota.

– Widziałaś już, pani, bibliotekę? – zapytał. – A więc chodź – poprosił, widząc, jak przecząco kręcę głową. – Jest doprawdy imponująca, a opat z pewnością by się na to zgodził.

Miałam ochotę obejrzeć bibliotekę, czego nie można powiedzieć o powrocie do skrzydła gościnnego, więc bez wahania ruszyłam za bratem Anzelmem.

Była piękna, o wysokim sklepieniu. Strzeliste gotyckie kolumny spletały się w ostrych łukach pod sufitem. Wielkie okna zalewały pomieszczenie słonecznym światłem.

Większość składała się ze zwykłych szybek, ale kilka ozdobiono prostymi, zdawałoby się, witrażami. Na paluszkach przemknęłam się obok mnichów zagłębianych w lekturze, by dokładniej obejrzeć witraż przedstawiający ucieczkę z Egiptu.

Niektóre półki wyglądały znajomo, książki stały na nich szeregiem, jedna obok drugiej.

Na innych woluminy leżały na płasko, żeby nie

zniszczyły się cenne okładki. Dostrzegłam nawet oszkloną szafę, a w niej zwoje pergaminu. Wydawało się, że w całej bibliotece rozbrzmiewa niemal pieśń, jakby bezcenne tomy nuciły coś bezgłośnie w zamkniętych oprawach. Wizyta w bibliotece przyniosła mi ukojenie. Wysłałam stamtąd o wiele spokojniejsza i powoli kroczyłam przez podwórze u boku ojca Anzelma.

Ponownie podziękowałam za pomoc w nocy, a on znów zbył mnie wzruszeniem ramion.

– To nic takiego, moje dziecko. Mam nadzieję, że twój mąż jest dzisiaj w lepszym stanie.

– Ja mam taką nadzieję. – mruknęłam. Żeby zmienić temat, zapytałam: – Co to właściwie jest Wieczna Adoracja?

– Nie jesteś, pani, katoliczką? – zapytał ze zdziwieniem. – Ach, zapomniałem, że pochodzisz z Anglii, więc pewnie jesteś protestantką.

– Szczerze mówiąc, trudno mi określić swoją tożsamość, szczególnie w kategoriach religii – odparłam. – Chociaż, teoretycznie przynajmniej, jestem chyba katoliczką.

– Teoretycznie? – Kształtne brwi niemal dotknęły czoła. Wahałam się, pomna doświadczeń z ojcem Bainem. Brat Anzelm jednak nie wyglądał na takiego, który będzie mi wymachiwał krucyfiksem przed nosem. – Cóż... – Pochyliłam się i wyrwałam nieduży chwast, który wyrósł między płytami. – Byłam ochrzczona jako katoliczka, ale moi rodzice umarli, kiedy miałam pięć lat, i zabrał mnie do siebie wuj. Wuj Lambert był... – urwałam. Wspominałam

jego nienasycony apetyt na wiedzę i dobroduszny cynizm, gdy obiektywnie stwierdzał, że wszystkie religie tego świata to tylko wytyczne pomagające klasyfikować zdobycze kultury. – Jeśli chodzi o religię, był chyba wyznawcą wszystkiego i niczego – podsumowałam. – Znał każde wyznanie, ale z żadnym się nie identyfikował.

Tak więc moje wychowanie religijne praktycznie dobiegło końca, zanim się w ogóle zaczęło. A mój... pierwszy mąż był katolikiem, ale niezbyt pilnie przestrzegającym bożych nakazów. Tak więc najprawdopodobniej jestem poganką.

Obserwowałam go czujnie, lecz zamiast wzburzenia moimi wyznaniem wzbudziłam w nim serdeczny śmiech.

– Wyznawca wszystkiego i niczego – powtórzył, jakby delektował się tym wyrażeniem. – Bardzo mi się to podoba. Ale niestety, nie dotyczy to ciebie, pani. Kto raz wstąpił na łono świętego kościoła, zostaje katolikiem aż do śmierci. Nieważne, jak skromną posiadasz wiedzę na temat religii, jesteś taką samą katoliczką jak Ojciec Święty, nasz papież. – Zerknął w niebo. Zaciągnęło się chmurami, lecz nawet najłżejszy wiaterek nie kołysał gałązkami topoli. – Wiatr ustał. Wybierałem się na mały spacer, żeby przewietrzyć umysł. Może zechcesz mi towarzyszyć? Świeże powietrze i trochę ruchu dobrze ci zrobi, a ja skorzystam z okazji i postaram się poszerzyć twoją wiedzę o zrozumienie Wiecznej Adoracji.

– Trzy pieczenie przy jednym ogniu – rzuciłam złośliwie, lecz perspektywa spaceru na świeżym powietrzu była kusząca i bez słowa sprzeciwu pospieszyłam po

pelerynę.

Anzelm zerknął na nieruchomą postać w kaplicy, pochylił głowę w modlitwie i cicho, żeby nie przeszkadzać mnichom, wyprowadził mnie na dwór, do ogrodu.

Kiedy nikt nie mógł już nas słyszeć, odezwał się.

– To bardzo proste. Pamiętasz, moja droga, tę opowieść z Biblii, gdy Nasz Pan czeka na śmierć i ukrzyżowanie, a jego przyjaciele, ci, którzy dotrzymać mu towarzystwa, zasnęli?

– Oczywiście – przytaknęłam natychmiast. – powiedział: „Czyż nie możecie czuwać ze mną przez godzinę?” Więc właśnie to robicie, czuwacie, by mu wynagrodzić tamto zaniedbanie. – Spodobała mi się ta myśl, a ciemność kaplicy nagle wydała się zapraszająca i gościnna.

– Tak, pani – zgodził się. – Czuwamy na zmianę i Najświętszy Sakrament nigdy nie jest sam.

– Chyba musieli walczyć ze snem? – zainteresowałam się. – Czy zawsze czuwacie w nocy, ojcze?

Skinął głową. Lekka bryza zwichrzyła ciemne włosy. Wygolony placek na tonsurze zaczynał zarastać delikatnym meszkiem.

– Każdy sam wybiera porę, która mu najbardziej odpowiada. Dla mnie to druga w nocy. – Spojrzał z wahaniem, jakby nie wiedział, jak zareaguję na to, co zaraz powie. – To godzina... – zamilkł na chwilę, – kiedy czas staje w miejscu. Ja to tak odbieram.

Wszelkie humory cielesne, krew i żółć, i wszystko,

co czyni człowieka, pracuje wówczas w doskonałej harmonii. – Uśmiechnął się. Miał odrobinę krzywe zęby. – Był to jedyny defekt w jego doskonałej twarzy. – Albo jakby w ogóle przestały pracować. Czasami się zastanawiam, czy to samo czujemy w chwili narodzin i śmierci. Wiem, że każdy mężczyzna... i każda kobieta, jak przy puszczam, musi znaleźć taką porę dla siebie. – Skłonił mi się uprzejmie. – Ale wtedy, przez krótką chwilę, wszystko wydaje się możliwe.

Patrzysz ponad ograniczenia doczesnego życia i widzisz, że naprawdę są niczym. W tej chwili, gdy czas staje, masz poczucie, że możesz dokonać rzeczy niemal niemożliwych i powrócić, zastać świat niezmienny, taki sam, jak przed chwilą. I... – Zawahał się, starannie dobierał słowa. – jest tak, jakby człowiek był w stanie osiągnąć wszystko, lecz tak naprawdę niczego nie potrzebuje.

– Ale ... czy ojciec coś robi? – zapytałam. – To znaczy, czy ojciec się modli?

– Ja? Cóż... – odparł powoli. – Siedzę i na Niego patrzę. – Szerokie usta rozciągnęły się w uśmiechu. – A On patrzy na mnie.

Jamie siedział, kiedy wróciłam do jego komnaty. Dał się namówić na krótką przechadzkę po korytarzu, wsparty na moim ramieniu. Pobladał z wysiłku, spociał się i nie protestował, kiedy z powrotem ułożyłam go na posłaniu.

Namawiałam, żeby zjadł trochę zupy i mleka, ale odmawiał.

– Nie mam apetytu. Angielko. Jeśli cokolwiek zjem,



znowu będzie mi niedobrze.

Nie naciskałam. W milczeniu wyniosłam miskę z zupą. Przy kolacji nie byłam już tak uległa i wmusiłam w niego kilka łyżek. Niestety, nie udało mu się utrzymać w żołądku nawet tej odrobiny.

– Wybacz, Angielko – powiedział potem. – Jestem obrzydliwy.

– To nic takiego. Jamie. Wcale nie jesteś obrzydliwy. – Wystawiłam miskę za drzwi i usiadłam koło męża na posłaniu, odsunęłam wilgotne włosy z jego czoła. – Nie przejmuj się. Może twój żołądek nie uspokoił się jeszcze po morskiej przeprawie. Chyba za szybko zmusiłam cię do jedzenia.

Z westchnieniem zamknął oczy.

– Nic mi nie będzie – stwierdził obojętnie. – Powiedz, co dzisiaj robiłaś, moja droga?

Był niespokojny i nerwowy, ale napięcie nieco ustąpiło, gdy opowiadałam, co widziałam tego dnia: bibliotekę, kaplicę, winnicę i ogród pełen ziół, gdzie w końcu poznałam słynnego brata Ambrożego.

– Jest niewiarygodny – paplałam entuzjastycznie. – Och, zapomniałam, że przecież go poznałeś. – Brat Ambroży był wysoki, wyższy nawet niż Jamie, i upiornie chudy. Miał ponurą twarz baseta i długie, kościste palce, które dokonywały cudów w ogrodzie. – Podejrzewam, że potrafi wyhodować absolutnie wszystko – stwierdziłam. – Ma tu zwykły ogródek, gdzie rosną popularne zioła, i małą szklarnię, tak niską, że nie sposób się w niej nawet wyprostować, a w niej cuda, które zwykle nie kwitną o tej

porze roku albo nie rosną w tej części świata, albo w ogóle gdzie indziej nie istnieją. Już nie wspomnę o przyprawach i lekarstwach, sprowadzanych z daleka.

Wzmianka o lekarstwach przypomniała mi minioną noc. Wyrzłałam przez okno.

Zimowy zmierzch zapadał szybko, na dworze panowała już ciemność, rozjaśniona jedynie podskakującymi światełkami latarni w dłoniach mnichów, którzy doglądali koni.

– Ciemno już. Jak myślisz, zaśniesz? Brat Ambroży ma różne specyfiki, które pomogą ci się zdrzemnąć.

Miał oczy podkrążone ze zmęczenia, a mimo to przecząco pokręcił głową.

– Nie, Angielko. Niczego nie chcę. Jeśli zasnę... Nie, chyba trochę poczytam. – Anzelm przyniósł mu kilka dzieł filozoficznych i historycznych.

Jamie sięgnął po Tacyta.

– Musisz spać. Jamie – zwróciłam delikatnie mu uwagę, nie spuszczać z niego oczu.

Otworzył książkę, podparł się na łokciu, ale uparcie wpatrywał się w ścianę.

– Nie mówiłem ci, co mi się śniło – stwierdził nagle.

– Mówiłeś, byłeś biczowany. – Nie podobał mi się wygląd jego twarzy; była blada, posiniaczona, wilgotna od potu.

– Tak. Gdy podniosłem wzrok, widziałem więzły na nadgarstkach. Dłonie mi poczerniały, lina pocierała o kości, ilekroć poruszyłem ręką. Przyciskałem twarz do szorstkiego

drewnianego słupa. A potem poczułem, jak ołowiane kuleczki na końcach rzemieni przecinają mi skórę na plecach. Razy powtarzały się, trwały w nieskończoność, aż zrozumiałem, że mój oprawca nigdy nie przestanie. Rzemienie wyrwywały kawałki ciała.

Krew... spływała w dół pleców, wsiąkała w kilt. Było mi bardzo zimno. Ponownie podniosłem wzrok i zobaczyłem, że skóra i ciało odchodzą od moich rąk, że moje palce, teraz już same kości, drapią o drewno, zostawiają długie, głębokie smugi. Nie miałem ciała na ramionach, ale dalej pętały mnie sznury. Chyba wtedy zacząłem krzyczeć.

Każdemu uderzeniu bicza towarzyszył dziwny odgłos. Po chwili zrozumiałem, że – to ołowiane kulki grzechotały na moich obnażonych żebrach. Wiedziałem, że nie żyję, ale to i tak nie miało znaczenia. Będzie bił dalej, aż rozpadnę się na kawałki i rozsypię u stóp pęgierza, a on nigdy nie przestanie i...

Chciałam go utulić, uspokoić, ale urwał gwałtownie, zacisnął zdrową dłoń na okładce księgi. Z całej siły zagryzł dolną wargę.

– Jamie, dzisiejszej nocy zostanę przy tobie – zaproponowałam. – Położę sobie siennik na podłodze.

– Nie. – Choć osłabiony, w jego głosie nadal pobrzmiwał upór. – Poradzę sobie sam.

I nie chce mi się spać. Idź na kolację, Angielko. Ja... ja poczytam. – Pochylił głowę nad otwartą księgą. Bezradnie obserwowałam go przez chwilę, po czym wyszłam.

Coraz bardziej martwił mnie stan Jamiego. Mdłości nie ustępowały; nie jadł prawie nic, a to, co w siebie wmusił, rzadko zostawało w żołądku. Był coraz bledszy, coraz słabszy, nic go nie interesowało. Przesypiał znaczną część dnia, bo nocami nie mógł zmrużyć oka. Mimo wszystko, mimo obawy przed sennymi koszmarami, nie pozwalał mi dzielić ze sobą komnaty, nie chciał, żeby jego bezsenność zakłócała mój wypoczynek.

Wiedziałam, że moja opiekuńczość będzie go przytłaczała, więc spędzałam dużo czasu w herbarium i w suszarni z bratem Ambrozym, albo przechadzałam się po terenach opactwa, pogrążona w rozmowie z ojcem Anzelmem. Braciszek korzystał z okazji i starał się delikatnie wpoić mi podstawy katechizmu, chociaż w kółko go zapewniałam, że jestem agnostyczką.

– Ma chere – powiedział któregoś dnia. – Czy pamiętasz, co ci wczoraj mówiłem o popełnieniu grzechu?

Z moją pamięcią było wszystko w porządku, czego chyba nie można by stwierdzić o mojej duszy.

– Grzechem jest, po pierwsze, popełnienie czegoś złego, a po drugie, wyrażenie na to zgody – wyrecytowałam jak papuga.

– Wyrażenie na to zgody – powtórzył. – I to, ma chere, jest również warunkiem do świadczenia łaski Bożej. – Staliśmy przy chlewiku i patrzyliśmy, jak grube, bure wieprze tulą się do siebie w mdłym zimowym słońcu.

Odwrócił głowę, oparł ją na ramionach splecionych na płocie.

– Nie rozumiem – zaprotestowałam. – Przecież łaski

Bożej albo się doświadcza, albo nie. Chodzi mi... – urwałam, nie chciałam go urazić – Dla ojca to, co jest w kaplicy na ołtarzu, to Bóg. Dla mnie to tylko kawałek chleba, choćby się znajdował w nie wiem jak pięknym naczyniu.

Westchnął zniecierpliwiony i przeciągnął się powoli.

– Udając się na co nocne czuwanie, zauważyłem, że twój mąż, pani, źle sypia. Ty również nie możesz zmrzyć oka – stwierdził. – A zatem dołącz do mnie dzisiejszej nocy.

Chodź ze mną do kaplicy na godzinę.

Posłałam mu podejrzliwe spojrzenie.

– Czemu?

Wzruszył ramionami.

– A czemu nie?

Nie zasnęłam na umówione spotkanie z Anzelmem dlatego, że nawet nie zapadłam w krótką drzemkę podobnie jak Jamie. Ilekroć wyrztałam z mojego pokoju, widziałam migotliwe światło świecy w komnacie męża, słyszałam szelest przewracanych kartek i co jakiś czas gniewne mruknięcie, gdy ból bardziej dawał mu się we znaki.

Wcale nie odpoczywałam, nie rozebrałam się na noc, więc byłam gotowa, gdy tylko lekkie pukanie do drzwi oznajmiło przybycie Anzelma.

W opactwie panowała cisza charakterystyczna dla wszystkich wielkich instytucji znajdujących się pod osłoną nocy; gorączkowy rytm dziennych czynności uspokoił się, lecz serce biło dalej, wolniej, ciszej, ale nieprzerwanie. Zawsze znajdzie się ktoś, kto nie śpi, wędruje pustymi

korytarzami, czuwa, podtrzymuje życie. Teraz i ja dołączyłam do tej grupy.

Kaplica była pogrążona w ciemności. Gęsty mrok rozpraszało jedynie światło czerwonej plamki przed sanktuarium i kilku białych świec. Płomyki lśniły nieruchomo przed wizerunkami świętych.

W ślad za Anzelmem przemierzyłam krótką nawę. Niedaleko ołtarza klęczała drobna postać – to brat Bartłomiej, pogrążony w modlitwie. Nie zwrócił uwagi na hałas, jaki zrobiliśmy naszym przybyciem, do tego stopnia pochłonęła go modlitwa.

Najświętszy Sakrament był niemal niewidoczny w przebogatym naczyniu, w którym się znajdował. Wielka monstrancja, promień słońca wysoki na blisko pół metra, tkwiła nieruchomo na środku ołtarza i chroniła niepozorny kawałek chleba.

Poczułam się nieswojo, ale posłusznie usiadłam na miejscu wskazanym przez Anzelma, blisko ołtarza. Siedzenia, suto zdobione płaskorzeźbami przedstawiającymi anioły, kwiaty i demony, składały się, żeby ułatwić przejście. Usłyszałam ciche skrzypnięcie za sobą, gdy Anzelm zajął swoje miejsce.

– Co mam robić? – zapytałam, gdy szliśmy do kaplicy, głosem ściszym z szacunku dla nocy i bliskości świątyni.

– Nic, ma chere – odparł wówczas. – Po prostu bądź.

Tak więc siedziałam, wsłuchana we własny oddech i cichutkie odgłosy uspiętego budynku; skrzypienie

drewna, zgrzyt kamieni, syk płomieni. Szuranie i piski – zapewne jakieś małe zwierzątko zawędrowało do tego majestatycznego miejsca.

Panował tu spokój, w tym musiałam przyznać Anzelmowi rację. Mimo zmęczenia i troski o Jamiego, czułam, jak powoli się odprężam, napięcie umysłu stopniowo łagodniało. Dziwne, lecz nie byłam senna, mimo późnej pory i przeżyć ostatnich dni i tygodni.

W końcu, pomyślałam, czymże są dni i tygodniowe wobec wieczności? A tylko wieczność jest istotna dla Anzelma, Bartłomieja, dla Ambrożego, dla wszystkich mnichów, kończąc na wielebnym opacie Aleksandrze.

W pewnym sensie była to pocieszająca myśl: wobec wieczności wydarzenia danej chwili stają się mało ważne. Zaczynałam rozumieć, tak mi się przynajmniej wydawało, jakim sposobem kontemplacja Wyższej Istoty, bez względu na jej imię, może przynosić ukojenie.

Czerwona lampka przy sanktuarium płonęła równym płomieniem, odbijała się w złocie monstrancji. Płomyki świeczek przed wizerunkami Matki Boskiej i świętego Gilesa chygotały się chwilami, syczały, gdy ogień napotkał krople wilgoci w knocie albo zbyt grubą warstwę wosku. Czerwone światełko jednak było nieruchome.

A jeśli wieczność istnieje albo nawet sama idea wieczności, może Anzelm ma rację; wszystko jest możliwe. A miłość? Kiedyś kochałam Franka; właściwie nadal go Kocham.

I Kocham Jamiego ponad życie. Lecz, ograniczona nakazami czasu i ciała, nie mogłam mieć ich obu. A gdyby

tych ograniczeń nie było? Czy jest miejsce, gdzie czas nie istnieje, albo gdzie się zatrzymuje? Anzelm wierzył, że tak. Miejsce, gdzie wszystko jest możliwe.

I niczego nam nie potrzeba.

A miłość? Czy jest możliwa poza czasem i ciałem? Czy jest potrzebna? Wydawało mi się, że w myślach słyszę głos wuja Lamba. Mój krewniak, jedyny człowiek, od którego w dzieciństwie zaznałam miłości. Nigdy mi tego nie powiedział; nie musiał. Wiedziałam, że mnie kocha, było to dla mnie równie oczywiste jak to, że żyję. Tam bowiem, gdzie jest miłość, słowa są niepotrzebne. Miłość jest wszystkim. Jest nieśmiertelna. I wystarcza za wszystko inne.

Czas mijał, choć tego nie zauważałam, i przestraszyłam się, gdy nagle stanął przede mną Anzelm. Wyszedł z malutkich drzwiczek koło ołtarza. Jak to? Przecież siedział z tyłu? Odwróciłam się. Niedaleko wejścia klęczał młody mnich, którego imienia nie znałam. Anzelm pokłonił się przed ołtarzem i wskazał ręką na drzwi.

– Wyszedłeś, ojczy? – zapytałam, gdy byliśmy na zewnątrz. – Wydawało mi się, że nie możecie zostawić, hm. Sakramentu, samego?

Uśmiechnął się łagodnie.

– Nie pozostał sam, ma chere. Ty tam byłaś.

Ugryzłam się w język i nie wytłumaczyłam mu, że ja się nie liczę. Chyba, przekonywałam się, nie ma czegoś takiego jak Wykwalifikowany Adorator. Wystarczy po prostu być człowiekiem, a ja przecież spełniam to



kryterium.

Świeca w komnacie Jamesa płonąła nadal. Gdy mijałam jego drzwi, słyszałam szelest przewracanych kartek. Zajrzałam do męża, ale Anzelm pospieszył dalej, do progu mojej komnaty. Życzyłam mu dobrej nocy i podziękowałam, że zabrał mnie do kaplicy.

– To było... kojące – stwierdziłam.

Długo szukałam odpowiedniego słowa.

Skinął głową.

– Qui, madame. – Kiedy odwracałam się do drzwi, odezwał się ponownie: – Powiedziałem, że Najświętszy Sakrament nie pozostał sam, bo ty tam siedziałaś. A ty, ma chore? Byłaś sama?

Zanim odpowiedziałam, patrzyłam na niego przez chwilę.

– Nie byłam sama.

Rankiem jak zwykle zajrzałam do Jamiego, z nadzieją, że przelknął choć trochę rannego posiłku. Byłam już prawie u drzwi jego komnaty, gdy z alkowy wysunął się Murtagh i zatarasował mi drogę.

– O co chodzi? – zapytałam szorstko. – Coś złego?– Czułam, jak moje serce bije mi coraz szybciej, a dłonie wilgotnieją gwałtownie.

Musiałam mieć bardzo przerażoną minę, bo szybko pokręcił głową.

– Nie, nic mu nie jest. – Wzruszył ramionami. – To znaczy, jego stan się nie pogorszył. – Wziął mnie pod rękę i poprowadził w przeciwną stronę.

Przez moment uderzyła mnie świadomość, że mały

człowieczek po raz pierwszy mnie dotknął; jego dłoń była delikatna i silna jak skrzydło pelikana.

– Co z nim? – dopytywałam się.

Ogorzała twarz była bez wyrazu jak zwykle, ale kąciaki oczu zmarszczyły się lekko.

– Po prostu na razie nie chce cię widzieć – oznajmił.

Zamarłam w pół kroku, wyrwałam rękę z jego uścisku.

– Dlaczego? – spytałam z niedowierzaniem.

Murtagh zawahał się, jakby szukał odpowiednich słów.

– Po prostu... uznał, że najlepiej dla ciebie będzie, jeśli go tu zostawisz i wrócisz do Szkocji. On...

Nie słyszałam końcówki. Gwałtownie wyminęłam Murtagha.

Ciężkie drzwi zamknęły się za mną z głuchym odgłosem. Jamie drzemał, leżał na brzuchu. Był odkryty, miał na sobie tylko krótką koszulę nowicjusza. Węglowy piecyk w rogu napełniał komnatę ciepłem i dymem.

Jamie poruszył się raptownie, gdy go dotknęłam. Jego oczy, nadal zasnutę snem, zapadły się w głąb twarzy, złe sny zostawiły ślad na obliczu. Wzięłam go za rękę, ale się wyrwał. Z rozpaczą zamknął oczy i ukrył twarz w poduszce.

Robiłam, co w mojej mocy, by nie okazać zdenerwowania. Spokojnie przysunęłam sobie stółek do posłania.

– Nie dotknę cię – obiecałam. – Ale musisz ze mną porozmawiać. – Czekałam przez kilka minut.

Leżał bez ruchu, wtulił głowę w ramiona, jakby się przed czymś chciał bronić.

W końcu usiadł z głośnym westchnieniem. Ostrożnie, krzywiąc się z bólu, opuścił nogi na podłogę.

– Dobrze – powiedział cicho, unikając mojego wzroku. – Chyba rzeczywiście muszę ci wszystko powiedzieć. Powinienem to zrobić dużo wcześniej, lecz stchórzyłem, wmawiałem sobie, że wcale nie muszę. – Mówił cicho, z goryczą w głosie. Nie podnosił głowy, oplótł kolana ramionami. – Nigdy nie uważałem się za tchórza, ale nim jestem.

Powinienem doprowadzić do tego żeby Randall mnie zabił, a nie zrobiłem tego. Nie miałem po co żyć, ale nie byłem dość odważny, by umrzeć. – Jeszcze bardziej ściszył głos, tak że teraz z trudem go słyszałam. – wiedziałem, że muszę cię zobaczyć, jeszcze jeden jedyny raz... powiedzieć ci... ale... Claire, moja kochana.... moja najdroższa.

Sięgnął po poduszkę i przytulił ją do siebie, jakby oczekiwał od niej pociechy, której ode mnie nie chciał. Oparł o nią głowę. – Kiedy zostawiłaś mnie w Wentworth, Claire – zaczął cicho, nie podnosząc wzroku – nasłuchiwałem twoich kroków milknących w oddali i przyrzekłem sobie: będę o niej ciągle myślał. Zapamiętam ją, gładkość jej skóry, zapach włosów, smak ust. Będę o niej myślał, kiedy po mnie przyjdą, i będę o niej myślał jutro, pod szubienicą. Te wspomnienia dadzą mi siłę po raz ostatni. A w chwili, gdy otworzą się drzwi i wyjdę po śmierć... – na moment zacisnął dłonie – nie będę myślał w

ogóle – zakończył szeptem.

Zamknął oczy i, jak opowiadał, siedział bez ruchu w małej, ciemnej celi w lochu. Ból nie był najgorszy, przynajmniej póki się nie ruszał, wiedział jednak, że z czasem się nasili.

Chociaż się bał, wielokrotnie wcześniej stawiał czoło cierpieniu. Znał na nie swoje reakcje, był zrezygnowany, miał tylko nadzieję, że nie straci zbyt szybko resztek sił. Myśl o fizycznym gwałcie budziła w nim już tylko niewielkie obrzydzenie. Rozpacz okazała się innego rodzaju środkiem znieczulającym.

W pomieszczeniu nie było okna, które pozwoliłoby mu ocenić upływ czasu.

Wprowadzono go do celi późnym popołudniem, jednak nie mógł polegać na własnej rachubie. Ile godzin do świtu? Sześć, osiem, dziesięć? Do końca. W przyptywie wisielczego humoru pomyślał, że Randall wyrządził mu przysługę, czyniąc śmierć pożądaną.

Kiedy drzwi się otworzyły, gwałtownie podniósł głowę, jakby oczekiwał... kogo?

W progu stał mężczyzna, wysoki, szczupły, przystojny, w rozchełstanej lnianej koszuli, ze zmierzwionymi włosami. Opierał się o framugę i patrzył.

Bez słowa wszedł do celi i zamknął za sobą drzwi. Położył dłoń na karku Jamiego, pochylił się i ścisnął chorą rękę tak mocno, że mało brakowało, a więzień straciłby przytomność. Następnie przybysz postawił przed Jamiem karafkę brandy i sporą szklankę i pomógł mu pić.

– Uniósł moją twarz i zlizywał mi krople alkoholu z

ust. Chciałem mu się wyrwać, ale dałem słowo, więc siedziałem nieruchomo.

Randall trzymał jego głowę, patrzył mu badawczo w oczy, po czym go puścił i przysiadł na stole.

– Siedział tam przez dłuższy czas, milczał, tylko machał nogą. Nie wiedziałem, czego ode mnie chce i nie miałem ochoty zgadywać. Byłem zmęczony, czułem narastające mdłości, bolała mnie ręka. Po jakimś czasie położyłem głowę na stole i odwróciłem się w drugą stronę. – Westchnął ciężko. – Po chwili dłoń spoczęła na mojej głowie, ale się nie poruszyłem. Głaskał mnie po włosach, raz zarazem, bardzo delikatnie. Panowała cisza, słychać było tylko jego ochryply oddech. I trzaskanie płomieni i chyba wtedy...

chyba wtedy się zdrzemnąłem.

Kiedy się obudził, Randall stał tuż przed nim.

– Lepiej się czujesz? – zapytał obojętnym, uprzejmym tonem.

Jamie bez słowa skinął głową i wstał. Kapitan rozebrał swojego na pół przytomnego kochanka, starając się przy tym nie urazić chorej ręki, i zaprowadził do posłania.

– Dałem słowo, że się nie sprzeciwię, lecz nie zamierzałem mu w niczym pomagać, więc stałem, jakbym był kawałkiem drewna. Myślałem, że pozwolę mu robić, na co ma ochotę, ale nie wezmę w tym udziału, zachowam dystans, przynajmniej w myślach. – Wtedy Randall się uśmiechnął, wziął go za prawą rękę i ścisnął, aż Jamie usiadł z bólu na posłaniu. Randall ukląkł na podłodze przed

nim i udowodnił w ciągu kilku minut, że marzenia o zachowaniu dystansu to iluzja.

– Kiedy wstał, wyjął nóż i przejechał nim po mojej piersi przez całą szerokość. Nie głęboko, na tyle tylko że zacząłem krwawić. Patrzył na mnie, potem wyciągnął palec i zebrał nim trochę krwi. – Jamie zaczynał się jąkać, jego głos drżał, załamywał się. – Zlizywał moją krew z palca, ruszał przy tym językiem szybko, jak myjący się kot.

Uśmiechnął się... bardzo uprzejmie... i skłonił głowę do mojej piersi. Nie skrępował mnie, ale i tak nie mogłem się ruszyć. Siedziałem tam, a on, językiem... To nie bolało, ale było bardzo dziwne. Po pewnym czasie wstał i starannie wytarł się ręcznikiem.

Obserwowałam ręce Jamiego. Kiedy ukrywał twarz, były najlepszym wskaźnikiem stanu jego uczuć. Konwulsyjnie zaciskały się na poręczy łóżka, gdy ciągnął opowieść.

– Powiedział mi... że jestem pyszny. Rana przestała krwawić, ale mocno potarł ją ręcznikiem, aż znowu pokazała się krew. – Kostki zaciśniętych dłoni były zupełnie białe.

– Rozpiął spodnie, wtarł w siebie moją krew i oznajmił, że teraz moja kolej.

Potem Randall przytrzymał mu głowę, gdy Jamie wymiotował. A po wszystkim wytarł mu twarz. I tak, posługując się na przemian brutalnością i delikatnością, przełamał, krok po kroku, wszelkie opory ciała i ducha.

Chciałam przerwać Jamiemu, powiedzieć, że nie musi, nie wolno mu mówić dalej, lecz zagryzłam usta,

zacisnęłam dłonie, żeby go nie dotknąć, i czekałam.

Opowiedział mi całą resztę: o powolnych uderzeniach bata, przeplatanych pocałunkami. O koszmarным bólu oparzeń, które miały sprawić, że się ocknie z omdlenia i doświadczy jeszcze większych upokorzeń. Przedstawił mi każdy szczegół, z wahaniem, czasami ze łzami w oczach; powiedział dużo więcej, niż mogłam znieść, jednak wysłuchałam go do końca, cicha jak spowiednik.

Spojrzał na mnie szybko i zaraz znowu odwrócił wzrok.

– Zniósłbym ból, nieważne jak dotkliwy. Spodziewałem się, że mnie... użyje i wydawało mi się, że również to bym wytrzymał. Nie mogłem jednak. On... – Z całej siły zacisnęłam dłonie, aż poczułam, że paznokcie wpijają mi się w skórę. Za wszelką cenę starałam się zachować milczenie. Jamie po chwili odzyskał głos, cichy, ale spokojny. – Nie chodzi tylko o to, że sprawił mi ból czy że mnie wykorzystał. On się ze mną kochał, Claire. To bolało, bardzo bolało, lecz w jego oczach był to akt miłosny. Sprawił, że reagowałem na jego pieszczoty, niech piekło pochłonie jego duszę! – W bezradnej złości wałnął pięścią w wezglowie z taką siłą, że aż całe łóżko zadrżało. – Przy... przy pierwszym razie był bardzo ostrożny. Użył oliwy, bardzo długo mnie smarował, dotykał... wszędzie.

Nie mogłem nic poradzić, nabrzmiałem, tak samo jak nie mogłem nic poradzić na to, że krwawiłem, kiedy mnie zranił. – Jego głos był zmęczony, pełen rozpacz. Przerwał i spojrzał mi prosto w oczy po raz pierwszy,

odkąd do niego przyszedłem. – Claire, nie chciałem o tobie myśleć. Nie zniósłbym tego... leżeć tam, nagi i... w takiej sytuacji...

i wspominać, jak się z tobą kochałem. To byłoby świętokradztwo. Pragnąłem wyrzucić cię z moich myśli i po prostu... być, tak długo jak trzeba. On jednak mi na to nie pozwolił. – Na policzkach Jamiego lśniły łzy, ale nie płakał, przynajmniej nie w tej chwili. – Mówił.

Przez cały czas mówił do mnie. Groził i szeptał czule słówka, ale często wspominał o tobie.

– O mnie? – Po długim milczeniu mój głos zabrzmiał ochryple i surowo.

Potwierdził ruchem głowy. Znowu wpatrywał się w poduszkę.

– Tak. Wiesz, że był o ciebie bardzo zazdrosny.

– Nie. Nie wiedziałam.

Znowu skinęście.

– O, tak. Kiedy mnie dotykał, pytał: „Czy ona też ci to robi? Czy twoja kobieta potrafi cię tak rozpalić?” – Głos mu drżał. – Nie odpowiadałem... Nie mogłem. A potem pytał, co byś sobie pomyślała, gdybyś mnie wtedy zobaczyła... – Zagryzł dolną wargę. Nie był w stanie mówić dalej ale zaraz się opanował. – Sprawiał mi ból, przestawał i pieścił, aż nabrzmiewałem... wówczas zadawał mi większy ból i brał, gdy cierpiałem. I przez cały czas mówił o tobie. Sprawiał, że miałem cię przed oczyma. Walczyłem ze wszystkimi siłami, w myślach próbowałem się oddalić, lecz ból przełamywał każdą barierę. Próbowałem, Claire, Bóg mi świadkiem, że naprawdę się starałem, lecz... – Ukrył



twarz w dłoniach, jego palce zacisnęły się na skroniach. Nagle odezwał się głośno: – Wiem, dlaczego młody Aleks MacGregor się powiesił. Zrobiłbym to samo, gdybym nie wiedział, że to śmiertelny grzech. Skoro jestem przeklęty na ziemi, nie chcę, by to samo spotkało mnie na tamtym świecie. – Umilkł, usiłował odzyskać panowanie nad sobą. Zauważyłam odruchowo, że poszewka poduszki jest całkiem mokra. Chciałam wstać, by ją zmienić. Powoli pokręcił głową, cały czas patrząc w ziemię. – To... to wszystko ciągle we mnie jest. Nie mogę nawet o tobie pomyśleć, Claire, bez obawy, że strach, ból i niesmak powrócą. Kiedy tu leżę, mam wrażenie, że umrę, jeśli cię nie dotknę, ale kiedy do mnie podchodzisz, chce mi się wymiotować ze wstydu i obrzydzenia na samego siebie. Nie mogę nawet na ciebie patrzeć, nie... – Oparł czoło na dłoniach, z całej siły pocierał powieki palcami. Żył na karku nabrzmiały, jego głos był stłumiony, ledwo zrozumiała. – Claire, pragnę, żebyś ode mnie odeszła. Wracaj do Szkocji, do Craigh na Dun. Wracaj do siebie, do swojego...

meża. Murtagh cię odwiezie, już mu mówiłem. – Milczał, a ja się nie ruszałam. Dzielnie podniósł głowę i odezwał się bardzo prostymi słowami:– Będę cię kochał do końca życia, ale dłużej nie mogę być twoim mężem, a nie chcę być nikim innym. – Załamał się. – Claire, pragnę cię, przysięgam na Boga, a jednocześnie boję się ciebie dotknąć!

Zerwałam się na równe nogi, by do niego podejść, ale powstrzymałam mnie ruchem ręki. Był zgięty w pół, miał

twarz wykrzywioną cierpieniem, niewyraźny, cichy głos:

– Claire... proszę. Proszę, odejdz. Niedobrze mi, nie chcę, żebyś na to patrzyła.

Proszę.

Słyszałam błagalne nuty w jego głosie i zrozumiałam, że muszę mu oszczędzić przynajmniej tego upokorzenia. Wstałam i wyszłam, po raz pierwszy zostawiając chorego samemu sobie.

Opuściłam jego komnatę półprzytomna, ciężko oparłam się o białą ścianę korytarza.

Mury chłodziły rozpaloną twarz. Zignorowałam pytające spojrzenia Murtagha i brata Williama.

„Boże dopomóż”, powiedział.

Wyprostowałam się gwałtownie. Właściwie czemu nie? Przecież nie ma nikogo innego.

Gdy czas zaczął zwalniać, klęczałam w kaplicy świętego Gilesa. Anzelm już tam siedział, wyprostowany jak struna. Oprócz nas nie było nikogo. Nie obejrzał się, nie poruszył, ale żywa cisza kaplicy objęła mnie natychmiast.

Klęczałam przez chwilę, zanurzałam się w ciemność, kazałam myślom się uspokoić.

Dopiero kiedy poczułam, że moje serce dostosowuje swój rytm do tętna nocy, usiadłam.

Siedziałam nieruchomo, obce mi były formułki liturgii, dzięki którym mnisi prowadzili duchowe rozmowy. Nie wiedziałam, jak zacząć. W końcu powiedziałam prosto, zwyczajnie: „Pomóż mi, proszę”.

Pozwoliłam ciszy otoczyć mnie miękką peleryną, która chroni przed uporczywym zimnem. I czekałam, jak

polecił Anzelm. Czas płynął niepostrzeżenie.

W tyle kaplicy stał nieduży stolicek, przykryty białym lnianym obrusem, na nim zaś znajdowała się buteleczka ze święconą wodą i Biblia. Obok leżały dwa czy trzy inne opasłe tomy. Pewnie dla tych, którzy mają dosyć ciszy, domyśliłam się.

Jak ja w tej chwili. Wstałam, poszłam po Biblię i wróciłam z nią na swoje miejsce. Nie byłam pierwszą, która sięgnęła po tę księgę w trudnych chwilach. Świece dawały wystarczająco dużo światła, by czytać. Ostrożnie przewracałam cienkie kartki i mrużyłam oczy, śledząc drobne czarne literki. „obrzucił ich kamieniami... I cierpieli”. Niewątpliwie, pomyślałam. Może lepiej po szukam Psalmów.

„Jestem marnym robakiem, nie człowiekiem; jestem jak woda, moje kości pozbawione są stawów; moje serce jest jak воск, topnieje w moich wnętrznościach” Co za słuszna diagnoza, skomentowałam niecierpliwie. Ciekawe, czy jest i kuracja?

„Lecz ty, Panie, jesteś blisko; pospiesz Panie mi z pomocą. Uwolnij moją duszę.” Hm.

Otworzyłam Księgę Hioba, ulubiony fragment Jamiego.

„Lecz jego ciało będzie cierpiało ból i jego dusza także”. Świetnie, pomyślałam przewracając stronicę.

„Cierpienie przykuje do łoża, jego członki ogarnie ból... Jego ciało zjada choroba, której nie widać, a jego kości wystają”. Doskonale, stwierdziłam. Co dalej?

„Jego dusza zbliża się do grobu”. Fatalnie, ale

następny wers był bardziej optymistyczny: „Lecz jeśli jest u jego boku posłaniec, tłumacz, jeden wśród tysięcy, okaże mu łaskę i powie: ocal go przed czeluścią, znalazłem bowiem okup. Jego ciało będzie jak ciało dziecka; powróci do dni swojej młodości”. Co za okup odkupi ludzką duszę, uwolni mego ukochanego z władzy psa?

Zamknęłam księgę, zmrużyłam oczy. Słowa zlewały się w jedno. Gdy wypowiadałam imię Jamięgo, ogarniała mnie rozpacz. A jednak gdzieś w głębi duszy odczuwałam spokój, gdy w kółko powtarzałam: „Panie, twojej opiece powierzam duszę twego sługi Jamesa.”

Przyszło mi do głowy, że śmierć przyniosłaby Jamiemu ukojenie; powiedział, że nie chce żyć. Byłam pewna, że gdybym go nie ratowała, wkrótce zakończyłby życie, czy to na skutek choroby, tortur, w bitwie czy na szubienicy. I nie wątpiłam, że on również jest tego świadomy. Czy mam być mu posłuszna? Prędzej niech mnie diabli wezmą, powiedziałam sobie. Prędzej niech mnie diabli wezmą, mruknęłam do złotej monstrancji i ponownie otworzyłam Biblię.

Minęło sporo czasu, zanim sobie uświadomiłam, że moja modlitwa nie była już monologiem. Wiedziałam tylko, że odpowiedziałam na pytanie, którego nie pamiętałam.

O coś mnie proszono, nie wiem o co, ale obiecałam: Tak, zrobię to. Przestałam myśleć, wsłuchiłam się w dzwoniącą ciszę i powtórzyłam ostrożnie: Tak, zrobię to.

Przypomniałam sobie inne słowa: Warunkiem grzechu jest świadomość wyrządzonego zła i zgoda na to

zło... I łaski również, powróciło do mnie echo słów Anzelma.

Miałam uczucie, jakby ktoś wsunął mi coś do ręki, coś cennego jak opał, gładkiego jak malachit, ciężkiego jak granit, kruchego jak ptasie jajo. Nie dar, lecz wiarę, którą trzeba chronić. Słowa pojawiały się znikąd i znikwały w ciemności.

Ukłękałam przed prezbiterium i wyszłam z kaplicy.

Nawet na moment nie zwątpiłam, w tamtej chwili gdy czas się zatrzymał, że uzyskałam odpowiedź, choć nie wiedziałam, co dokładnie oznacza. Zrozumiałam tylko, że miałam w dłoniach ludzką duszę; czyją, nie miałam pojęcia.

Następnego ranka, tuż po przebudzeniu, zastałam u megołożka mnicha.

Poinformował mnie, że Jamie ma bardzo wysoką temperaturę. Trudno byłoby to uznać za odpowiedź na moje modlitwy.

– Od jak dawna gorączkuje? – zapytałam.

Wprawnie sprawdzałam jego temperaturę przykładając dłoń do czoła, pleców i brzucha. Ani śladu potu; skóra rozpalona, sucha jak pergamin. Nie spał, lecz nie do końca kojarzył, co się wokół niego dzieje. Nie musiałam długo szukać źródła gorączki.

Prawa ręka była opuchnięta, przez bandażę przeciekała ropa. Na nadgarstku widniały złowieszcze pręgi. Zakażenie, stwierdziłam. Może okazać się śmiertelne.

– Tak go znalazłem, gdy do niego zajrzałem po

Jutrzni – odparł mnich. – Podaliśmy mu wody, ale wymiotował.

– Trzeba mnie było od razu zawołać – odparłam zdenerwowana. – No cóż, trudno.

Niech brat przyniesie mi wrzątek, liście maliny i sprowadzi jak najszybciej brata Polydora. – Wyszedł z obietnicą, że wkrótce przyniesie także śniadanie, jednak machnęłam na to ręką. Sięgnęłam po dzbanek z wodą.

Zanim przyszedł brat Polydor, usiłowałam napoić Jamiego, lecz zaraz wszystko zwrócił, więc zamiast tego wylałam wodę na prześcieradło i w ten sposób chłodziłam rozpalone ciało.

Jednocześnie zanurzyłam zakażoną rękę w bardzo gorącej wodzie. W czasach, gdy nie znano antybiotyków i sulfamidów, tylko wysoka temperatura mogła pomóc przy zakażeniu. Organizm chorego bronił się gorączką, to jednak stanowiło poważne niebezpieczeństwo samo w sobie, bo nadmierna ciepłota wyniszczała mięśnie i komórki mózgowie. Sztuka polegała na tym, by dostarczyć organizmowi dosyć ciepła, by się uporał z infekcją, jednocześnie chłodząc całe ciało i dostarczając mu tyle wody, by mogło normalnie funkcjonować. Bardzo skomplikowane zadanie, pomyślałam ponuro.

Nie liczył się już ani stan umysłu Jamiego, ani jego wygodą. Najważniejsze to utrzymać go przy życiu; nic innego nie miało znaczenia.

Po południu drugiego dnia zaczął majaczyć. Przywiązaliśmy go do łóżka, żeby nie spadł na podłogę. W końcu, w desperackim akcie rozpacz, gotowa zrobić

wszystko, byle obniżyć mu gorączkę, wysłałam jednego z braci po śnieg, którym następnie obłożyliśmy Jamiego. Po tej kuracji chorym wstrząsały gwałtowne dreszcze, ale temperatura chwilowo spadła.

Niestety, zabieg trzeba było powtarzać co godzinę. O zachodzie słońca w komnacie panował bałagan nie do opisanego, na podłodze stały kałuże wody, między nimi poniewierały się mokre prześcieradła, z piecyka w kącie unosiła się para. Brat Polydor i ja padaliśmy ze zmęczenia, drżeliśmy z zimna w przemoczonej odzieży. Pomagali nam Anzelm i inni duchowni. Podawaliśmy Jamiemu różne środki obniżające gorączkę, niestety bezskutecznie. Nie udało się w niego wmusić wywaru z kory wierzbowej, który, być może, pomógłby dzięki zawartości kwasu salicylowego.

Podczas jednego z coraz rzadszych powrotów do przytomności Jamie poprosił mnie, bym pozwoliła mu umrzeć. Odpowiedziałam krótko, tymi samymi słowami, co poprzedniej nocy: „Prędzej mnie diabli wezmą”, i dalej robiłam, co w mojej mocy.

Gdy słońce skryło się za horyzontem, na korytarzu rozległ się odgłos kroków. Drzwi otworzyły się i do komnaty wszedł opat Aleks, wuj Jamiego, w towarzystwie brata Anzelma i trzech innych mnichów. Jeden z nich niósł małą skrzyneczkę z drzewa cedrowego. Podeszedł do mnie, pobołogosławił, uściśnął moją dłoń.

– Udzielimy mu ostatniego sakramentu – powiedział cichym, łagodnym głosem. – Nie obawiaj się, moje dziecko.

Zbliżył się do łóżka, a ja w panice podbiegłam do Anzelma.

– Sakramentu Namaszczenia Chorych – wyjaśnił.

Pochylił głowę tak, by jego szept nie zakłócał modlitwy skupionych braci.

– Namaszczenie Chorych? Przecież to dla umierających!

– Cóż! – Odciągnął mnie na bok, z dala od posłania.

– Istotnie, sakrament, choć nazywa się namaszczeniem chorych, jest udzielany głównie ludziom na łożu śmierci. – Mnisi tymczasem przewrócili Jamiego na plecy, starając się sprawić mu najmniej bólu.

– Cel sakramentu jest dwojaki – tłumaczył szeptem Anzelm, podczas gdy pozostali szykowali się do ceremonii.

– Po pierwsze, to sakrament uzdrawiania: modlimy się, aby chory wrócił do zdrowia, jeśli taka jest wola boska. Poświęcony olej stanowi symbol życia i zdrowia.

– A drugi cel? – zapytałam, choć już znałam odpowiedź.

Anzelm skinął głową.

– Jeśli Bóg nie chce, by chory wyzdrowiał, wtedy w Jego imieniu odpuszczamy grzechy. Prosimy Boga, by dusza spoczywała w pokoju. – Widział, że ze złością zaciskam pięści i ostrzegawczo skinął dłonią. – Takie są ostatnie sakramenty kościoła. Ma do nich prawo; może przyniosą mu ukojenie.

Przygotowania dobiegły końca. Jamie leżał na plecach, nagi, jeśli nie liczyć skrawka tkaniny na biodrach. U wezgłowia i stóp łoża płonęły świece, które bardzo



nieprzyjemnie kojarzyły mi się z gromnicami zapalonymi przy zmarłych. Aleksander siedział z boku, w towarzystwie mnicha, który trzymał tacę z olejem, wodą święconą i hostią. Ręce opata okrywało białe płótno. Wygląda jak cholerny kelner, pomyślałam gniewnie.

Denerwowała mnie ta ceremonia.

Odmawiano modły po łacinie; monotonia szeptanych wersów koła nerwy, mimo że nie rozumiałam ani słowa. Anzelm szeptem tłumaczył mi niektóre fragmenty, znaczenia innych się domyślałam. W pewnym momencie, na znak opata, brat Polydor podszedł do Jamiego i podsunął mu pod nos małą fiolkę. Zawierała jakieś sole trzeźwiące, bo Jamie szarpnął się gwałtownie i odwrócił głowę, choć nadal nie otworzył oczu.

– Dlaczego go cuca? – zapytałam.

– O ile to możliwe, chory powinien być przytomny, żeby wyrazić skruchę za popełnione grzechy. Poza tym, opat spróbuje podać mu komunię świętą.

Brat Aleksander delikatnie gładził Jamiego po policzku. Odwrócił jego głowę w stronę fiolki i przemówił do niego cicho. Przeszedł z łaciny – na rodzinny szkocki dialekt:

– Jamie, Jamie, chłopcze! To ja, Aleks. Jestem tu z tobą. Musisz się obudzić tylko na chwilę. Udzielę ci rozgrzeszenia i podam komunię świętą, ciało naszego Pana, Jezusa Chrystusa. Zjedz odrobinę zupy, żebyś miał siłę odpowiadać na moje pytania. – Mnich imieniem Polydor podsunął Jamiemu kubek do ust i biedak pił małutkimi łyčzkami.

Otworzył oczy. Płonęły gorączką, ale patrzyły przytomnie.

Opat kontynuował, zadawał pytania, ale tak cicho, że z trudem je słyszałam. „Czy wyrzekasz się szatana? Czy wierzysz w zmartwychwstanie naszego Pana Jezusa Chrystusa?” i tak dalej. Po udzieleniu sakramentu Jamie zamknął oczy. Widziałam, jak jego klatka piersiowa unosi się ciężko z każdym oddechem. Bardzo schudł przez ostatnie dni. Opat kreślił znaki krzyża na jego ciele, na przemian wodą święconą i olejkami, na czole, powiekach, ustach, nosie i uszach. Przesuwał się coraz niżej: wychudła klatka piersiowa, obie dłonie, stopy. Z niewyobrażalną delikatnością podniósł chorą rękę i namaścił ją świętym olejem, ostrożnie ułożył z powrotem na piersi Jamiego, pod lśniącą blizną po nożu.

Ceremonia przebiegała szybko, łagodnie, dłonie opata były lekkie jak piórko. „Głupie zabobony”, szeptała racjonalna część mojego umysłu, lecz do głębi poruszała mnie miłość widoczna na twarzy mnichów. Jamie ponownie otworzył oczy. Tym razem malował się w nich spokój, po raz pierwszy, odkąd wyjechaliśmy z Lallybroch.

Sakrament zakończył się krótką modlitwą po łacinie. Opat złożył dłonie na czole Jamiego i dodał po angielsku:

– Panie, Tobie powierzamy duszę Twego sługi Jamesa. Zgodnie z Twoją wolą. Panie, spraw, by ozdrowiał lub dołączył do Ciebie w życiu wiecznym.

– Amen – odparli mnisi, a ja razem z nimi.

Po zmroku Jamie był półprzytomny. Coraz bardziej

traciły. Jedyne, co mogliśmy dla niego zrobić, to co jakiś czas zwilżać mu usta wodą. Miał suche, popękane wargi, nie był w stanie mówić, czasami tylko otwierał rozgorączkowane oczy. Nie poznawał nas; patrzył błędnym wzrokiem i zamykał powieki z głuchym jękiem.

Stałam przy łóżku, do tego stopnia wyczerpana przeżyciami dnia, że nie miałam nawet siły na rozpacz. Brat Polydor dotknął delikatnie mojej ręki.

– Nic więcej nie możemy dla niego zrobić – powiedział stanowczo. – Musisz, pani, odpocząć.

– Ale... – urwałam, lecz ugryzłam się w język.

Miał rację. Zrobiliśmy wszystko, co w naszej mocy. Albo gorączka spadnie, albo Jamie umrze. Nawet najsilniejszy organizm nie znieśnie takiej temperatury dłużej niż dzień lub dwa, a Jamie i tak był wyczerpany.

– Zostanę przy nim – zapewnił Polydor. – Proszę iść spać. Zawołam cię, pani, gdyby... – Nie dokończył, tylko skinął w stronę mojego pokoju.

Nie mogłam zasnąć, wpatrywałam się w belki sufitu. Piekły mnie oczy, bolało gardło, jakbym i ja zachorowała. Czy to odpowiedź na mojemodlitwy? Mamy tu razem umrzeć?

W końcu wstałam, nalałam wody do misy przy drzwiach. Rozpakowałam małe paczuszki ziół, zabrane po kryjomu z pracowni brata Ambrożego, i wysypałam ich zawartość na palenisko. Mirra wypełniła pokój aromatycznym dymem, a kamfora płonęła błękitnym płomieniem wśród czerwonego żaru.

Ustawiłam świece za naczyniem z wodą, usiadłam

naprzeciw i przystąpiłam do wywoływania ducha.

Korytarz był zimny i pusty, ciemność rozpraszały zapalone lampki oliwne zawieszane w dużych odstępach pod sufitem. Mój cień wydłużał się niesamowicie, wyprzedzał mnie, zanurzał się w czerni przede mną. Mimo chłodu miałam na sobie jedynie koszulę nocną z grubego lnu. Ogrzewała mnie, lecz od podłogi docierał lodowaty chłód.

Zapukałam raz, cichutko, i weszłam, nie czekając na zaproszenie.

Był z nim brat Roger, siedział przy łóżku i z pochyloną głową szeptał modlitwy.

Podniósł wzrok, usłyszałam grzechot różańca, ale nie wstał, dopóki nie dokończył.

Podszedł do drzwi, mówił szeptem, choć postaci na łóżku nie robiłoby różnicy, gdyby krzyczał na całe gardło.

– Bez zmian. Zmieniłem wodę w okładzie na rękę. – Na kociołku przy palenisku lśniły krople.

Skinęłam głową i w podziękowaniu położyłam mnichowi dłoń na ramieniu. Było zaskakująco twarde i rzeczywiste po zwidach minionej godziny.

– Chciałabym przez chwilę być z nim sama, jeśli nie ma brat nic przeciwko temu.

– Nie, skądże. Pójdę do kaplicy... a może powinienem zostać w pobliżu, na wypadek, gdyby... – zawahał się, umilkł.

– Nie. – Usiłowałam uśmiechnąć się z otuchą. – Proszę iść do kaplicy. Albo, jeszcze lepiej, spać. Ja i tak nie zmrużę oka. Zostanę przy mężu do rana. Jeśli będzie mi

potrzebna pomoc, wezwę brata.

Nadal nie przekonany do końca, zerknął na chorego. Był jednak środek nocy, a brat Roger był bardzo, bardzo zmęczony; pod dobrymi piwnymi oczyma widniały ciemne sińce.

Ciężkie drzwi zaskrzypiały na zawiasach i oto zostałam z Jamiem sama. A w dodatku, przerażona i pełna wątpliwości co do pozytywnych efektów tego, co miałam zaraz zrobić.

Stałam u stóp łóżka i przez chwilę obserwowałam Jamiego. Pokój rozjaśniały jedynie blask ognia z paleniska i płomyki dwóch świec, długich na metr każda, ustawionych po obu stronach pościania. Jamie leżał nagi; mdłe światło podkreślało szkody, jakie gorączka i post wyrządziły w jego organizmie. Siniak na żebrach mienił się różnymi kolorami niczym pleśń.

Skóra umierających przybiera charakterystyczną zielonkawą barwę. Początkowo to tylko ledwie widoczny odcień na brodzie, potem chorobliwa błądź rozprzestrzenia się dalej, na twarz i klatkę piersiową, a życiowa siła wycieka z każdą chwilą. Widziałam to tyle razy. Pamiętałam kilka przypadków, gdy ten proces powstrzymano, chory wymknął się śmierci w ostatniej chwili, krew krążyła szybciej w jego żyłach, energia wracała.

Zdecydowanie częściej jednak... Potrząsnęłam głową i odwróciłam wzrok.

Wydobyłam z rękawów koszuli przedmioty, które zdobyłam podczas sekretnej wyprawy do pracowni brata

Ambrożego: fiołka amoniaku, paczuszka suszonej lawendy, saszetka z walerianą, małe metalowe pudełko na kadzidło, w kształcie otwartego kwiatu. Dwie porcje opium, słodko pachnącego, lepkiego. I nóż.

W pokoju panował zaduch, nie było czym oddychać, dym z paleniska nie uchodził przez zamknięte okno, zasłonięte ciężką zasłoną, na której widniała scena egzekucji świętego Sebastiana. Przebiegłam wzrokiem po umęczonej twarzy świętego, wiszącego do góry nogami. Popatrzyłam na jego ciało, naszpikowane strzałami, i po raz kolejny zastanowiło mnie, kto wybrał akurat tę tkaninę do pokoju chorego.

Była bardzo ciężka, utkana z wełny i jedwabiu. Nie poruszył jej żaden podmuch wiatru. Odchyliłam kotarę na bok i zaraz przez szczeliny w łukowato sklepionym oknie wtargnął strumień rześkiego powietrza. Pulsujący ból w moich skroniach zelżał nieco.

Pojawił się, gdy wpatrywałam się w tafle wody i wspominałam. Za moimi plecami rozległ się cichy jęk, Jamie poruszył się niespokojnie. To dobrze. Nie jest całkowicie nieprzytomny.

Pozwoliłam zasłonie wrócić na miejsce, a sama zajęłam się kadzidełkiem. Ułożyłam w pojemniczku porcję opium, podpaliłam ją jedną ze świec, postawiłam kadzidło przy łóżku, bardzo uważając, bym sama nie wdychała oparów.

Nie miałam dużo czasu. Musiałam skończyć przygotowania, zanim opium za bardzo oszołomi Jamiego.

Pospiesznie rozwiązałam koszulę i natarłam sobie

ciało lawendą i walerianą. Po komnacie rozszedł się przyjemny, charakterystyczny zapach, korzenny i orzeźwiający.

Aromat, który przywoływał cień lata, Jamiego oraz inne budzące przykre wspomnienia.

Zapach ten musiał kojarzyć się Jamiemu z godzinami bólu i wściekłości. Skończyłam wcierać zioła w ręce. Pachnące grudki opadły na podłogę. Zaczerpnęłam głęboko tchu dla dodania sobie odwagi, sięgnęłam po fiolkę z amoniakiem. Przez chwilę stałam przy łóżku, wpatrywałam się w umęczoną, wymizerowaną twarz. W najlepszym przypadku Jamie pożyje jeszcze dzień, w najgorszym może kilka godzin.

– Dobra, ty szkocki sukinsynu – odezwałam się miękko. – Zobaczymy, jak bardzo jesteś uparty.– Wyjęłam jego chorą rękę z naczynia z wodą. Miskę odstawiłam na bok.

Otworzyłam fiolkę z amoniakiem i podsunęłam mu pod nos. Prychnął, usiłował odwrócić głowę, ale nie otworzył oczu. Przytrzymałam go za włosy, żeby się nie wyrwał, podniosłam amoniak jeszcze wyżej. Powoli kręcił głową, ale w końcu odrobinę otworzył oczy.

– Jeszcze z tobą nie skończyłem, Fraser – szepnęłam mu do ucha. Staralam się przy tym naśladować akcent Randalla.

Jamie jęknął i skulił ramiona. Złapałam go za barki i potrząsnęłam z całej siły. Był tak rozpalony, że mało brakowało, a cofnęłabym ręce.

– Obudź się, ty szkocki draniu! To jeszcze nie

koniec! – Usiłował się dźwignąć, wesprzeć na łokciach tak karnie, że na ten widok krajało mi się serce.

Nadal kręcił głową, i spomiędzy wysuszonych ust wyrwał się błagalny szept: „Litości, jeszcze nie”.

Tracił siły. Odwrócił się na bok, upadł twarzą w poduszkę. Opary opium wypełniały całą komnatę, zaczynało mi się kręcić w głowie.

Zacisnęłam zęby i z całej siły uszczypnęłam go w pośladek. Krzyknął z bólu, z trudem odwrócił się na bok, ukrył dłonie między udami.

Zanim tu przyszłam, przez godzinę siedziałam w mojej komnacie, wpatrywałam się w wodną taflę, przywoływałam wspomnienia. Myślałam o Black Jacku Randallu i Francu, jego potomku w szóstym pokoleniu. Tak bardzo różni, a jednocześnie tak do siebie podobni.

Serce mi pękało, ilekroć wspominałam Franka, jego twarz, głos, to, jak mnie kochał.

Usiłowałam wyrzucić go z myśli, skoro w kamiennym kręgu dokonałam wyboru, lecz zawsze był gdzieś w zakamarkach umysłu.

Mdliła mnie świadomość, że go zdradziłam, ale w końcu zmusiłam mój umysł, jak mnie tego nauczyła Geilis, by się skupił na świetle świecy. Wydychałam opary ziół, uspokajałam się, aż mogłam myśleć o Franku, przywołać jego twarz, wspomnieć dotyk, nie bacząc jednocześnie.

W mroku czaił się inny mężczyzna, o tych samych dłoniach i rysach. Z oczami pełnymi blasku świec, przywołałam i jego, słuchałam, obserwowałam, zauważałam różnice i podobieństwa, tworzyłam, co?



Sztuczkę, marę, wizję? Ocieniona twarz, ochrypliły głos, miłosny dotyk, dzięki którym uda mi się, być może, oszukać deliryczny umysł.

W końcu zmówiłam modlitwę za duszę wiedźmy Geilis Duncan, po czym cicho wymknęłam się z komnaty. Jamie leżał teraz na plecach, wiercił się niespokojnie, bolały go rany. Miał otwarte oczy, ale nieprzytomne spojrzenie. Wpatrywał się w sufit błędnym wzrokiem.

Pieściłam go na tak dobrze znane sposoby, gładziłam linię żeber, od klatki piersiowej po kręgosłup, delikatnie, jak zrobiłby to Frank, z całej siły naciskałam siniak, jak na pewno postąpiłby Randall. Pochyliłam się, odnalazłam językiem ucho Jamiego, muskałam je, lizałam i szeptałam: – Walcz ze mną! Walcz, ty gnoju!

Jego mięśnie się wyraźnie napięły, zacisnął zęby, ale nadal wpatrywał się w sklepienie. Zatem nie mam wyjścia, muszę użyć noża. Wiedziałam, jak bardzo ryzykuję, ale uznałam, że wolę zabić go własnoręcznie niż patrzeć, jak umiera.

Wzięłam nóż ze stolika i stanowczo, energicznie, przejechałam nim po świeżo zabliźnionej ranie na piersi. Jęknął, przerażony. Wygiął się w łuk. Podniosłam ręcznik z podłogi i energicznie potarłam ranę. Zanim moja stanowczość opadła, zmusiłam się, by zebrać trochę jego krwi na palec. Posmarowałam nią usta. Jednego zdania nie musiałam wymyślać, nieraz je wypowiadałam – Pocałuj mnie – szepnęłam, pochylając się nad Jamiem.

Mimo wszystko tego się nie spodziewałam. Odepchnął mnie z taką siłą, że poleciałam do tyłu.

Dźwignął się z posłania. Zatoczyłam się i uderzyłam w stół, wielkie świeczniki zachwiały się niebezpiecznie. Cienie zatańczyły szaleńczo na ścianach i znikły, gdy płomyki zgasły.

Boleśnie uderzyłam się w plecy o róg stołu, ale wzięłam się w garść na tyle szybko, by się odsunąć, gdy Jamie się na mnie rzucił. Wyciągał ręce i głośno krzyczał coś niezrozumiale.

Był silniejszy i szybszy, niż się spodziewałam, choć zataczał się jak pijany. Co chwila wpadał na różne przedmioty. W pewnym momencie zapędził mnie do kąta między stołem a paleniskiem. Słyszałam, jak dyszy ciężko, wyciągając do mnie ramiona.

Zamachnął się lewą ręką; gdyby był zdrowy, taki cios zabiłby mnie na miejscu; teraz, dzięki temu, że zdążyłam się odchylić, tylko mnie musnął; ale i tak osunęłam się na podłogę lekko oszołomiona.

Wpełzłam pod stół. Chcąc mnie stamtąd wyciągnąć, stracił równowagę i upadł na palenisko. Rozżarzone węgle rozsypały się po kamiennej podłodze. Zawył z bólu, gdy trafił kolanem w czerwony żar. Chwyciłam poduszkę z łóżka i stłumiłam płomienie, które już lizwały koldrę. Pochłonięta tym zadaniem, nie zauważyłam, kiedy do mnie podszedł.

Potężny cios w głowę nie pozbawił mnie przytomności.

Posłanie przewróciło się, gdy usiłowałam wstać, trzymając się skraju łóżka. Przez chwilę leżałam w tym prowizorycznym schronieniu. Staralam się odzyskać

jasność umysłu. Słyszałam, jak Jamie mnie szuka w półmroku, dyszy ciężko i klnie po celtycku.

Nagle mnie dostrzegł, rzucił się w tę stronę z szaleńczym błyskiem w oku.

Trudno opisać szczegółowo, co się potem działo, choćby dlatego, że wszystko się powtarzało, a ile razy – tu pamięć płata mi figle. Wydaje się, że rozpalone ręce Jamiego natychmiast zacisnęły się na moim gardle i pozostały tam na całą wieczność.

W rzeczywistości kilkanaście razy usiłował mnie udusić. Wyrывałam mu się, uciekałam, kryłam po kątach, on zaś zawsze mnie ścigał, napędzany wściekłością silniejszą niż śmierć. Szlochał i klął, zataczał się i potykał co krok.

Poza paleniskiem rozżarzone węgle zgasty szybko, pograżyły komnatę w ciemności, zamieszkaną jedynie przez demony. W ostatnim blasku światła widziałam, jak czai się pod ścianą, rozjaśniony ogniem, skąpany we krwi, z członkiem sterczącym wśród zmierzwionych włosów, o lodowato zimnych oczach w twarzy białej jak ściana.

Przypominał Wikinga, diabła z północy, który pod osłoną mgły przybił wraz z innymi do szkockich wybrzeży przed setkami lat. I wysiadł na ląd, by zabijać, grabić i palić.

Mężczyzna, gotowy zabić resztką sił. Nawet w chwili śmierci jeszcze sięgnie po kobietę, by zasiać swoje wojownicze nasienie w łonach pokonanych. Malutkie kadzidelko nie dawało ani odrobiny światła, ale opary opium nie pozwalały mi oddychać. Choć węgle zgasty,

nadal widziałam światła w ciemności, płomyki tańczące gdzieś po kątach.

Coraz trudniej było mi się poruszać, miałam wrażenie, że brnę przez wodę głęboką po uda, a gonią mnie straszliwe ryby. Unosiłam kolana jak najwyżej, biegłam w zwolnionym tempie, czułam krople wody na twarzy.

Odepchnęłam od siebie tę wizję i zdałam sobie sprawę, że rzeczywiście wilgoć pokrywa mi ręce i twarz. Nie łyzy, tylko krew i pot tego, który się na mnie czai w ciemności.

Pot. Wiedziałam, że powinnam przypomnieć sobie coś ważnego, ale nie miałam siły.

Potężna dłoń zacisnęła się na moim ramieniu. Wyrwałam się z trudem.

I tak się ganiłi dokoła krzaków, małpa i łasiczka. Nie, coś jest nie tak pomyślałam.

Goni mnie łasica o białych, ostrych zębach, którymi złapała mnie za ramię.

Zamachnęłam się ręką, żeby puściły, ale pazury.. .dokoła krzaków, dokoła krzaków...

Demon przycisnął mnie do ściany; miałam kamień za plecami, pod czaszką, pod dłonią, i ciało twarde jak głaz tuż przy mnie, kościste kolano między moimi udami, kość i kamień, między moimi... udami... znowu twardość kamienia...och. I nagle miękkość, przyjemny chłód w sercu, pociecha w rozpaczy...

Opadliśmy na podłogę, tarzaliśmy się po posadzce, oplatała nas zerwana zasłona, owiało świeże powietrze z okna. Opary szaleństwa rzedyły powoli.

Uderzyliśmy o jakiś mebel i zamarliśmy w bezruchu. Dłonie Jamiego zacisnęły się na moich piersiach, palce boleśnie zagłębiały się w miękkie ciało. Kropła wilgoci spadła mi na twarz, pot czy krew, nie wiedziałam. Otworzyłam oczy, żeby się przekonać. Jamie patrzył na mnie nieprzytomnym wzrokiem. Złagodził uścisk. Jednym palcem delikatnie obrysował zarys piersi, od nasady do czubka, zamknął na niej dłoń, ostrożnie, czule, jak rozgwiżdża.

– Mamo? – odezwał się. Włosy na karku zjeżyły mi się w jednej chwili. Mówił czystym wysokim głosem małego chłopca. – Mamo? – powtórzył. Zimne powietrze wdierało się do komnaty, zabierało narkotyczne opary. Podniosłam dłoń do jego policzka. Był chłodny.

– Jamie, skarbie – szepnęłam z trudem, tak bardzo bolała mnie posiniaczona szyja. – Odpocznij, kochanie. – Maską zadrzała i pękła.

Tuliłam go do siebie z całej siły. Płakał tak bardzo, że jego szlochy wstrząsały nami obojgiem.

Na szczęście, o ile o czymś takim można mówić w podobnej sytuacji, znalazł nas brat William. Z trudem ocknąłam się, wyławiając odgłos otwieranych drzwi. Oprzytomniałam całkowicie, gdy usłyszałam, jak mnich chrząka z zakłopotaniem i mówi: „Dzień dobry” miękkim akcentem z Yorkshire.

Ciążącymi mi brzmieniem okazał się Jamie. Jego włosy rozsypały się po moim tułowi jak chińska chryzantema. Policzek, wtulony w moje piersi, był gorący i lepki od potu, ale od reszty ciała bił lodowaty chłód.

Wszystko za sprawą zimnego powietrza.

W świetle padającym z odsłoniętego okna widać było pełny obraz szkód, których rozmiarów mogłam się w nocy tylko domyślać. Na podłodze poniewierały się skorupy potłuczonych naczyń i szczątki połamanych mebli, wielkie świeczniki leżały jak zwalone kłody w płataninie pościeli i ubrań. Coś szorstkiego boleśnie uwierało mnie w plecy; doszłam do wniosku, iż są to strzępy zasłony z wymalowaną egzekucją świętego Sebastiana, ludzkiej poduszeczki do igieł. Jeśli się okaże, że mam rację, opactwo poniesie niewielką szkodę.

Brat William zmarł w progu z dzbankiem wody w dłoni. Ze wzrokiem utkwionym w czubek głowy Jamiego zapytał:

– Jak się dzisiaj czujesz, panie?

Zapanowała cisza. Jamie nie ruszał się celowo, żeby mnie nie odkryć. W końcu odezwał się ochryplym głosem człowieka, który doznał objawienia:

– Jestem głodny.

– To dobrze – ucieszył się brat Wiliam, który ciągle wpatrywał się w czubek jego głowy. – Pójdę, powiem bratu Józefowi. – Drzwi zamknęły się bezgłośnie.

– Miło z twojej strony, że nie wstałeś – zauważyłam. – Nie chciałabym, żebyśmy się przyczynili do skażenia duszy brata Williama.

Błękitne oczy patrzyły na mnie uważnie.

– No cóż... – stwierdził w końcu Jamie – widok mojego tyłka w obecnym stanie nie sprowadzi na złą drogę nikogo. Za to twój... – Odchrząknął.

– No, dokończ – poleciłam.

Powoli pochylił głowę, pocałował mnie w ramię.

– Twój – oznajmił – skłoniłby do grzechu nawet biskupa.

– Och. Mimo wszystko, powinieneś już wstać. Nawet takt brata Williama ma granice.

Jamie ostrożnie położył głowę obok mojej i patrzył na mnie z boku.

– Nie wiem, ile z wydarzeń ostatniej nocy to prawda, a ile sen. – Odruchowo musnął dłonią ranę na piersi. – Ale jeśli rzeczywiście wydarzyła się choćby połowa tego, co pamiętam, powinienem być już trupem.

– Nie jesteś, dopilnowałam tego. – Po chwili wahania zapytałam: – A chciałbyś?

Uśmiechnął się powoli, zmrużył oczy.

– Nie, Angielko, nie chcę. – Na jego twarzy, wycieńczonej chorobą i trudami, pojawił się spokój, zniknęły głębokie bruzdy koło ust, błękitne oczy były czyste. – Ale i tak jestem bliski śmierci, czy tego chcę czy nie. Właściwie jedynym powodem, dla którego nie umieram w tej chwili jest to, że czuje się potwornie głodny. Gdybym miał zaraz wyzionąć ducha, nie dopisywałby mi apetyt? Przecież to marnotrawstwo. – Jedno oko zamknęło się całkowicie, drugie obserwowało mnie bacznie.

– Nie możesz wstać – stwierdziłam po oceniu sytuacji.

Rozwagał to długo.

– Gdyby od tego zależało moje życie, może udałoby mi się ruszyć głową. Ale wstać?

Nie.

Z westchnieniem wyślizgnęłam się spod niego i ustawiłam łóżko jak należy, zanim zabrałam się za dźwiganie Jamiego. Stał przez zaledwie kilka sekund, po czym oczy uciekły mu w głąb czaszki i runął na posłanie. W panice szukałam tętna na karku – znalazłam, było wolne, ale silne, tuż pod blizną. Jest wyczerpany, to oczywiste, pomyślałam. Ma za sobą miesiąc więzienia, tydzień ogromnego bólu psychicznego i fizycznego. Poza tym: głód, rany, choroba, gorączka... Nic dziwnego, że nawet organizm równie silny jak jego domaga się odpoczynku.

– Serce lwa – stwierdziłam, kręcąc głową. – Upór wołu. Szkoda że do tego wszystkiego nie masz skóry nosorożca. – Dotknęłamświeżej rany na barku.

Otworzył jedno oko.

– Nosorożec? Co to?

– Myślałam, że jesteś nieprzytomny.

– Byłem. Jestem. Strasznie mi się kręci w głowie.

Przykryłam go kocem.

– Teraz musisz jeść i wypoczywać.

– A ty – odciął się – musisz się ubrać. – Z tymi słowami zasnął.

Nie pamiętam, jak trafiłam do łóżka, musiałam jednak jakoś dojść, bo tam właśnie się obudziłam. Anzelm siedział przy oknie, pogrążony w lekturze.

Podniosłam się gwałtownie.

– Jamie? – wychrypiałam.

– Śpi. – odparł odkładając książkę. Zerknął na świecę na stole. – Ty też, pani, ostatnie trzydzieści sześć



godzin spędziłaś wśród aniołów, ma belle. – Napełnił czymś gliniany kubek i podsunął mi do ust.

Kiedyś uważałabym picie wina w łóżku, przed poranną toaletą, za szczyt dekadencji.

W klasztorze, w towarzystwie mnicha, nie wydawało mi się to już tak naganne. Co ważniejsze, wino pomogło mi pozbyć się niesmaku w ustach.

Opuściłam nogi na posadzkę. Wstałam. Anzelm złapał mnie za ramię, zanim się przewróciłam, i z powrotem ułożył na poduszkach. Nagle wydało mi się, że ma dwie pary oczu i więcej ust i nosów, niż powinien.

– Chyba się trochę upiłam – stwierdziłam.

Zamknęłam oczy. Po chwili nieśmiało uniosłam jedną powiekę. Trochę lepiej.

Przynajmniej widziałam tylko jednego Anzelma. Co z tego, że trochę rozmazanego?

Pochylił się nade mną z troską na twarzy.

– Madame, czy mam wezwać brata Ambrożego albo brata Polydora? Ja, niestety, nie znam się na medycynie.

– Nie, niczego nie potrzebuję. Po prostu za gwałtownie się podniosłam. – Spróbowałam raz jeszcze, wolniej.

Pokój i meble zachowały względny spokój. Bolały mnie rozmaite siniaki i rany, o których wcześniej nie pamiętałam. Chciałam odchrząknąć i odkryłam, że mam bardzo obolałe gardło. Skrzywiłam się.

– Doprawdy, ma chere... – Anzelm był już przy drzwiach, gotów biec po pomoc.

Zdawał się bardzo przerażony.

Wyciągnęłam rękę po zwierciadło przy łóżku, ale zmieniłam zdanie. Nie byłam jeszcze gotowa na oglądanie własnego odbicia. Zamiast tego złapałam dzbanek z winem.

Anzelm powoli wrócił na środek komnaty i przyglądał mi się badawczo. Kiedy nabrał pewności, że mimo wszystko nie zemdleję, usiadł. Powoli sączyłam trunek, starałam się otrząsnąć z ciężkich, narkotycznych wizji. A więc żyjemy. Oboje.

Moje sny były bardzo chaotyczne, pełne przemocy i krwi. W kółko wydawało mi się, że Jamie umiera albo już nie żyje. Gdzieś w oddali majaczyła postać tamtego chłopca na śniegu, jego okrągła twarz nakładała się na skatowane oblicze Jamiego. Czasami żaloszny wąsik pojawiał się na twarzy Franka. Pamiętam, że we śnie zabiłam wszystkich trzech.

Czułam się, jakbym ostatnią noc spędziła w rzeźni, zwłaszcza że bolały mnie wszystkie mięśnie.

Anzelm nadal był w komnacie, obserwował mnie cierpliwie.

– Czy mógłby ojciec coś dla mnie zrobić? – zapytałam.

Natychmiast poderwał się na równe nogi.

– Oczywiście. Przynieść więcej wina?

Uśmiechnęłam się słabo.

– Później. Teraz chciałabym, by ojciec wysłuchał mojej spowiedzi.

Był zaskoczony, ale szybko profesjonalizm wzięł górę nad zdumieniem.

– Oczywiście, ma chere madame, jeśli tego sobie

pani życzysz. Czy nie lepiej jednak byłoby zawołać ojca Gerarda? Jest znanym spowiednikiem, podczas gdy ja... – charakterystyczne wzruszenie ramion – oczywiście, mam prawo wysłuchać spowiedzi, ale robię to bardzo rzadko, ponieważ jestem uczonym...

– Nie potrzebuję nikogo innego – uparłam się. – I chcę wyspowiadać się natychmiast.

Westchnął, zrezygnowany i poszedł po stulę. Po powrocie poprawił ją tak, że purpurowy jedwab lśnił na czarnym habicie. Usiadł na krześle, pobłogosławił mnie i czekał.

Powiedziałam mu wszystko. Kim jestem, skąd pochodzę. O Franku i o Jamiem.

O młodym angielskim dragonie, o bladej, pryszczatej twarzy; o tym, jak umierał na śniegu.

Podczas mojej opowieści mina mnicha się nie zmieniała, tylko duże piwne oczy stawały się coraz bardziej krągłe. Kiedy skończyłam, zamrugał szybko, raz czy dwa otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, zamknął je ponownie i potrząsnął głową.

– Nie – uprzedziłam jego pytanie. – Nie przestyszałeś się, ojcze. – Nadal skrzeczałam jak ropucha. – nie śniłeś tego wszystkiego. Czy rozumiesz teraz, dlaczego mogłam opowiedzieć to tylko na spowiedzi?

Mechanicznie skinął głową, ale myślami najwyraźniej był gdzie indziej.

– Tak, tak, oczywiście, tak. Jeśli... tak. Oczywiście, nie chcesz, żebym powiedział komukolwiek. I skoro wyznałaś to podczas spowiedzi, pragniesz, pani, bym

uwierzył w twoje słowa. Ale... – Podrapał się w głowę. Kiedy podniósł na mnie wzrok, uśmiechał się szeroko. – Przecież to wspaniałe – oznajmił miękko. – Niewiarygodne, ale i wspaniałe.

– „Wspaniałe” nie jest słowem, którego ja bym użyła mówiąc o tej sytuacji – zauważyłam cierpko. – Natomiast „niewiarygodne” wydaje mi się najbardziej słusznym określeniem. – Zaniósłam się kaszlem. Sięgnęłam po wino.

– Ależ to... cud – mruknął jakby do siebie.

– Jeśli ojciec chce tak to nazywać... – westchnęłam. – Ja jednak wolałabym usłyszeć radę, co mam robić? Czy jestem winna morderstwa? Albo cudzołóstwa? Niczego już się nie da odwrócić, ale chciałabym wiedzieć co dalej. A skoro już taka jestem, jak mam się zachowywać? Czy mogę... a raczej, czy powinnam wykorzystać swoją wiedzę? Czy mam do tego prawo?

Kiwał się na stołku, myślał. Złączył oba palce wskazujące i wpatrywał się w nie długo.

W końcu potrząsnął głową i popatrzył na mnie.

– Nie wiem, ma bonne amie. Nie była to, zapewne przyznasz mi rację, spowiedź, którą często słyszy się w konfesjonale. Muszę przemyśleć sprawę i się pomodlić. Tak, przede wszystkim modlitwa. Dzisiaj w nocy zastanowię się nad twoją sytuacją. Może jutro będę mógł udzielić ci rady.

Dał mi znak, bym ukłękła.

– A tymczasem, moje dziecko, twoje grzechy są ci odpuszczone. Wierz, że Bóg ci wybaczy. – Uniósł jedną

dłoń w geście błogosławieństwa, druga spoczęła na mojej głowie. – Te absolvo in nomine Patri, et Filii.

Pomógł mi wstać.

– Dziękuję ojcze. – Trudno w to uwierzyć, posłużyłam się spowiedzią tylko dlatego, żeby potraktował mnie poważnie, a tymczasem poczułam się, jakby zdjęto mi z pleców wielki ciężar. Być może to zwykła ulga wynikająca z tego, że podzieliłam się z kimś problemami.

Pochylił głowę.

– Zobaczmy się jutro, chere madame. Teraz proszę odpoczywać. – W drodze do drzwi złożył starannie stulę, aż zmieniła się w mały prostokąt jedwabiu. W progu się zatrzymał, odwrócił, uśmiechnął do mnie. W jego oczach lśniło dziecięce podniecenie. – A jutro... – poprosił – ...jutro może opowiesz mi, pani, jak to jest?

Uśmiechnęłam się.

– Dobrze, ojcze.

Kiedy odszedł, powlokłam się w dół korytarza, do Jamiego. Zdarzyło mi się już widzieć zwłoki w lepszym stanie, jednak jego pierś, o dziwo, wznosiła się i opadała w regularnym oddechu, a złowrogi zielonkawy odcień znikł ze skóry.

– Budzę go co kilka godzin i podaję kilka łyżek zupy – wyszeptał brat Roger, dotykając mojego łokcia. Powiódł wzrokiem od Jamiego do mnie i wyraźnie skrzywił się na mój widok. Powinam chociaż się uczesać. – Może i pani by trochę zjadła?

– Nie, dziękuję. Chyba... się jeszcze zdrzemnę. – Już nie dręczyły mnie wyrzuty sumienia, czułam

przyjemne, kojące ciepło.

Nie wiadomo, czy było skutkiem spowiedzi, czy może wina. W każdym razie, ku swemu zdumieniu, stwierdziłam, że chcę się położyć i spać.

Pochyliłam się nad Jamiem. Był ciepły, ale nie rozpalony. Delikatnie gładziłam rudą czuprynę. Kącik jego ust zadrgał lekko. Dałabym sobie rękę uciąć, że na sekundę uniósł się w uśmiechu.

Ciemne wilgotne niebo spowijało horyzont szarością, która zlewała się z burymi wzgórzami, tak że opactwo niknęło w szarym tle. Zdawało się, że zima wpływa na mieszkańców opactwa, którzy pozostawiali przecież w ciepłych wnętrzach. Śpiewne modlitwy były jakieś stłumione, a kamienne ściany pochłaniały wszelkie dźwięki. Jamie spał prawie przez dwa dni, z małymi przerwami, gdy jadł odrobinę zupy i pił wino. Kiedy obudził się na dobre, zaczął powracać do zdrowia jak każdy młody mężczyzna, który siły witalne i niezależność traktuje jako coś oczywistego. Innymi słowy, z jednej strony rozkoszował się rozpieszczaniem i chuchaniem, by po chwili zachowywać się niczym rozkapryszone dziecko, zirytowane, złe, znudzone.

Bolały go rany na ramionach. Swędziały blizny na nogach. Miał po dziurki w nosie leżenia na brzuchu. W pokoju było za gorąco. Oczy łzawiły mu od dymu z paleniska. Ręka dawała mu się we znaki. Miał dosyć zupy i mleka. Chciał mięsa.

Wiedziałam, że to oznaki powrotu do zdrowia i bardzo się z nich cieszyłam, ale moja wytrzymałość też

miała pewne granice. Otworzyłam okno, zmieniłam pościel, natarłam rany maścią nagietkową i sokiem z aloesu, posłałam po zupę.

– Zabierzcie stąd tę breję! Chcę jeść! – Ze złością odepchnął tacę, aż zupa rozlała się na serwetkę.

Splotłam ramiona na piersiach i przyglądałam mu się z góry, splótszy ramiona na piersi. Dumne błękitne oczy odwzajemniały moje spojrzenie. Był chudy jak szczapa, kości wystawały pod napiętą skórą. Chociaż powracał do zdrowia, jego wnętrze nadal się buntowało. Nie zawsze udawało mu się zatrzymać posiłek w żołądku.

– Dostaniesz zwykłe jedzenie, kiedy na to pozwolę – poinformowałam pacjenta. – Nie wcześniej.

– A właśnie, że zjem teraz! Wydaje ci się, że możesz mi rozkazywać i mówić, co mam jeść?

– Tak, tak mi się, do cholery, wydaje! Ja tu jestem lekarzem, na wypadek gdybyś zapomniał. – Opuścił nogi na ziemię. Najwyraźniej zamierzał wstać. Pchnęłam go z powrotem na posłanie. – Masz leżeć, dopóki ci każę. Na boga, choć raz w życiu bądź posłuszny – warknęłam. – Nie masz dość sił, by wstać, i jesteś za słaby, aby jeść zwykły posiłek. Brat Roger mówił, że rano znowu wymiotowałaś.

– Brat Roger powinien się zająć swoimi sprawami, tak samo jak ty – wycodził przez zęby.

Znowu próbował usiąść. Złapał się brzegu stołu, podciągnął i z wyraźnym wysiłkiem wstał. Chwiał się na nogach.

– Wracaj do łóżka! Zaraz upadniesz! – Był bardzo

blady, nawet tak nieduży wysiłek sprawił, że okrył go zimny pot.

– Wcale nie – upierał się. – A nawet jeśli, to nie twoja sprawa.

Naprawdę się rozłościłam.

– Ach, tak! A jak myślisz, kto ocalił ci życie? Oczywiście sam tego dokonałeś, co? – Złapałam go za rękę, ale wyrwał mi się gwałtownie.

– Nie prosiłem cię o to! Zresztą i tak nie rozumiem, po co zawracałaś sobie głowę ratowaniem mnie, skoro teraz chcesz mnie zagłodzić. Sprawia ci to przyjemność?

Tego było już za wiele.

– Głupi niewdzięcznik!

– Jędza!

Wyprostowałam się i władczo wskazałam posłanie. Z całą stanowczością nabytą podczas lat pracy przy pielęgnowaniu chorych, poleciłam:

– Wracaj do łóżka w tej chwili, ty głupi, uparty, dumny...

– Szkocie – dokończył za mnie.

Zrobił krok w stronę drzwi i upadłby, gdyby nie złapał się stołka. Osunął się na niego ciężko i siedział przez dłuższą chwilę. Kołysał się niebezpiecznie, oczy zaszczyły mu mgłą.

Zacisnęłam pięści.

– Dobrze! – syknęłam. – Będzie, jak chcesz! Zaraz poślę po mięso i chleb, a kiedy znowu zwymiotujesz na podłogę, sam posprzątasz! Bo ja tego nie zrobię, a jeśli brat Roger spróbuje, żywcem obedrę go ze skóry!



Wypadłam na korytarz, zatrzasnęłam za sobą drzwi, tuż przed tym, jak rozbił się o nie porcelanowy nocnik. W korytarzu natknęłam się na bardzo zainteresowanych widzów, bez wątpienia zwabionych hałasem. Brat Roger i Murtagh stali ramię w ramię i gapili się na moją czerwoną twarz i falującą pierś. Roger wydawał się zaniepokojony, Murtagh natomiast uśmiechnął się szeroko, gdy doszedł go potok przekleństw zza drzwi.

– A więc już mu lepiej – stwierdził z zadowoleniem.

Oparłam się o ścianę i poczułam, jak i moje usta wykrzywia grymas zadowolenia.

– Tak, już mu lepiej – potwierdziłam.

Kiedy wracałam do głównego budynku po ranku spędzonym w herbarium, natknęłam się na Anzelma. Właśnie wyszedł z biblioteki. Jego twarz rozjaśnił uśmiech na mój widok. Podbiegł do mnie na podwórzu. Pogrążeni w rozmowie, spacerowaliśmy po terenie opactwa.

– To bardzo ciekawe zagadnienie – zaczął. Odłamał gałązkę z pobliskiego krzewu.

Uważnie przyjrzał się ledwie widocznym pączkom i odrzucił ją zdecydowanie. Podniósł wzrok na niebo, gdzie słabe promienie słoneczne usiłowały się przebić przez warstwę ołowianych chmur. – Ciepło, ale jeszcze daleka droga do wiosny – osądził. – Mimo wszystko, karpie będą dzisiaj pełne energii. Chodźmy nad stawy.

Nie były to starannie zaplanowane zbiorniki, jak sobie wyobrażałam, tylko długie rowy, umiejscowione blisko kuchni. Gromadziły zapas żywności na piątki i posty wypadające w dni zbyt burzliwe, by wypływać na ocean po

dorsze, śledzie i flądry.

Zgodnie ze słowami Anzelma, ryby były bardzo ożywione. Tłuste, obłe ciała uwijały się w wodzie tak energicznie, że chwilami na powierzchni tworzyła się mała fala.

Zaledwie nasze cienie padły na stawy, karpie jak igły kompasu zwróciły się w tym kierunku.

– Ilekroć widzą ludzi, dostają jeść – wytłumaczył Anzelm. – Nie wolno sprawić im zawodu. Zaraz wracam, chere madame.

Odwrócił się na pięcie i pobiegł do kuchni, skąd wrócił po chwili z dwoma czerstwymi bochenkami chleba. Staliśmy na brzegu stawu i sypaliśmy okruszki w wiecznie głodne rybie pyski.

– Widzisz, pani, twoja niezwykła sytuacja ma dwa szczególne aspekty – zaczął Anzelm, bardzo skoncentrowany jedynie na kruszeniu chleba. Zerknął na mnie kątem oka i uśmiechnął szeroko. Pokręcił głową z niedowierzaniem. – Ciągle nie mogę w to uwierzyć. Coś takiego! Wielka jest dobroć Boża, że zsyła na mnie takie doświadczenie!

– Bardzo mi miło – rzuciłam sucho. – Nie jestem pewna, czy mnie również obdarza taką dobrocią.

– Doprawdy? Ja uważam, że tak. – Anzelm przysiadł na piętach, kruszył chleb między palcami. – Istotnie, obecna sytuacja przysporzyła pani sporo kłopotów...

– Mało powiedziane – mruknęłam.

– Można je jednak postrzegać jako oznakę bożej

łaskawości – ciągnął, jakby nie słyszał mojego komentarza. Piwne oczy obrzuciły mnie badawczym spojrzeniem. – Modliłem się o radę, gdy w nocy czuwałem przed Najświętszym Sakramentem – mówił.

– gdy tak siedziałem w cichej kaplicy, zobaczyłem ciebie, pani, jako rozbitka. Ta przerośnięta dobrze chyba oddaje twoje położenie. Wyobraź sobie, madame, człowieka, wyrzuconego na obcy brzeg, z dala od przyjaciół, znajomych, bez niczego, w nowym kraju. To tragedia, przyznaję, ale zarazem może być początkiem wielkiego szczęścia.

Istotne prawdopodobieństwo trafienia do świata pełnego bogactw, poznania nowych przyjaciół, rozpoczęcia nowego życia.

– Tak, ale. – zaczęłam. – Więc... – Uciszył mnie gestem i ciągnął dalej.

– Skoro odebrano ci poprzednie życie, może stało się tak dlatego, że Bóg postanowił dać ci nowe, pełniejsze i bogatsze.

– Co do tego, że jest pełniejsze, nie mam żadnych wątpliwości – zgodziłam się.

– Dalej, z punktu widzenia prawa kanonicznego... – Zmarszczył brwi. – Nie widzę przeszkód, jeśli chodzi o twoje małżeństwo. Oba pobłogosławił Kościół. A dokładnie rzecz biorąc, pani małżeństwo ze zdrowiejącym młodzieńcem poprzedza to z Monsieur Randallem.

– Tak, z punktu widzenia prawa kanonicznego. – Po raz pierwszy udało mi się przerwać mnichowi i powiedzieć zdanie do końca. – Ale nie z mojego. Nie podejrzewam, by

twórcy praw kościelnych łamali sobie głowy nad takimi przypadkami.

Anzelm roześmiał się serdecznie, aż broda mu zadrziała.

– Święta prawda, ma chere, święta prawda. Chciałem tylko powiedzieć, że z punktu widzenia prawa nie popełniłaś ani grzechu, ani przestępstwa, poślubiając obu mężczyzn.

Oto dwa aspekty twojego położenia, o których wcześniej wspominałem: co zrobiłaś i co zrobisz. – Wziął mnie za rękę i pociągnął na dół. Usiadłam posłusznie. Teraz nasze oczy były na tej samej wysokości. – O to mnie pytałaś podczas spowiedzi, prawda? Co zrobiłaś i co masz robić dalej?

– Tak. A ojciec mi mówi, że nie zrobiłam nic złego? Przecież ja...

Jeśli chodzi o przerywanie, stwierdziłam, że jest niemal tak nieznośny jak Dougal MacKenzie.

– Nieprawda – oznajmił stanowczo. – Można postępować zgodnie z Bożymi nakazami i własnym sumieniem, a mimo to spotykać przeszkody i nieszczęścia.

Przyznaję to z bólem, że nadal nie wiemy, czemu le bon Dieu zezwala na istnienie zła, lecz mamy Jego słowa, że to prawda: „Stworzyłem dobro”, powiada w Biblii, „i stworzyłem zło”. A zatem, czasami nawet dobrzy ludzie, albo może przede wszystkim dobrzy ludzie – zamyślił się na chwilę – muszą się w życiu uporać z wielkimi trudnościami. Weźmy na przykład owego młodzieńca, którego zmuszona byłaś zabić.

Nie. – Podniósł rękę, by uciszyć moje protesty. – Nie popełniaj błędu. Musiałaś go zabić.

Nawet Kościół, który naucza, że życie jest święte, sankcjonuje zadawanie śmierci w obronie życia własnego i najbliższych. A ponieważ widziałem, w jakim stanie do niedawna znajdował się twój mąż, pani – tu spojrzał w stronę opactwa – nie wątpię, że zmuszeni byliście użyć przemocy. Tak więc, nie musisz sobie pani robić żadnych wyrzutów. Oczywiście, odczuwasz pani żal z powodu swego czynu, bo masz wielkie serce.

– Poklepał moją dłoń. – Czasami nasze najszlachetniejsze czyny są skutkiem tych, których najbardziej żałujemy. A przecież nie mogłaś, pani, postąpić inaczej. Nie wiemy, jakie były boskie plany co do tego młodzieńca. Może jego wolą było, by chłopiec zasilił anielskie zastępy w niebiosach? Ty jednak nie jesteś Bogiem i musisz wiedzieć, do jakiego stopnia możesz czegoś od siebie wymagać.

Zadrzałam od podmuchu zimnego wiatru, szczerzej otuliłam się szalem. Na ten widok Anzelm wskazał staw.

– Woda jest ciepła, madame. Może zanurzysz stopy?

– Ciepła? – Z niedowierzaniem gapiłam się na wąski zbiornik. Wcześniej tego nie zauważyłam, ale powierzchni nie pokrywał lód, nie było nawet zamrzniętych brzegów, jak na naczyniach, ze święconą wodą przed kościołem. Ba, w wodzie zieleńiały wodorosty, wyrastały spomiędzy kamieni na brzegach i dnie.

Chcąc mnie przekonać, Anzelm zdjął sandały. Choć

mówił jak człowiek wykształcony i miał twarz uczonego, jego dłonie mogłyby należeć do normandzkiego wieśniaka.

Zakasał połą habitu po kolana i zanurzył stopy w wodzie. Karpie uciekły, po chwili jednak ciekawie zbliżyły się do intruzów.

– Nie gryzą? – zapytałam, podejrzliwie patrząc na żarłoczne pyski.

– Nie – uspokoił mnie. – Właściwie nie mają zębów.

Zsunęłam buty i z obawą zanurzyłam stopy w wodzie. Ku memu zdumieniu okazała się przyjemnie ciepła. Nie gorąca, ale mimo wszystko stanowiła miłą kontrast z zimnym powietrzem.

– Och, jak cudownie! – Z rozkoszą machałam nogami, co wywołało panikę wśród karp.

– W pobliżu opactwa znajdują się liczne gorące źródła – wyjaśnił Anzelm. – Niemal wrząca woda bucha z wnętrza ziemi. Ma właściwości lecznicze. – Wskazał najdalszy skraj stawu, gdzie wodorosty zasłaniały ledwie widoczny otwór wśród kamieni. – Doprowadzamy trochę ciepłej wody z najbliższego źródła. Dzięki temu kucharz ma żywe ryby przez cały rok, inaczej nie przetrwałyby zimy.

Przez dłuższy czas w milczeniu machaliśmy nogami. Czasami co mniej uważna ryba trącała nasze stopy z niespodziewaną siłą. Słońce wyrzało zza chmur. Natychmiast ogarnęło nas słabe jeszcze, ale wyraźnie odczuwalne ciepło. Anzelm zamknął oczy, podniósł twarz do wątlých promieni. Odezwał się nie unosząc powiek.

– Twój pierwszy mąż... miał na imię Frank, tak? Musimy polecić go opiece boskiej, przecież należy do nieszczęsnych ofiar, w sprawie których niczego nie możemy uczynić.

– Ja mogłabym wrócić – sprzeciwiłam się.

Otworzył jedno oko i posłał mi sceptyczne spojrzenie.

– Może – zgodził się. – A może nie. Nie musisz robić sobie wyrzutów, że nie chciałaś ryzykować życia.

– Nie chodzi o ryzyko. – Pomachałam palcami u nóg do wielkiego karpia. – Nie tylko.

Ja... bałam się, tak, ale przede wszystkim nie potrafiłam się zdobyć na rozstanie z Jamiem. – Bezradnie wzruszyłam ramionami. – Po prostu nie mogłam.

Anzelm otworzył drugie oko i uśmiechnął się.

– Dobre małżeństwo to jeden z najcenniejszych darów – zauważył. – Skoro wykazałaś, pani, dosyć przytomności umysłu, by ten dar dostrzec i przyjąć, nie musisz sobie niczego wyrzucać. I pomyśl... – Przechylił głowę na bok, jak brązowy wróbel. – Nie ma cię w ...twoim dawnym świecie od przeszło roku. Twój pierwszy mąż pewnie dochodzi już do siebie po utracie żony. Nieważne, jak bardzo cię kochał, wszyscy ludzie doznają straty najbliższych i umieją sobie z tym radzić. Być może już zaczął nowe życie. Czy słusznie byłoby opuścić ukochanego człowieka, który tak bardzo cię potrzebuje, z kim łączy cię święty węzeł małżeński? Czy słusznie byłoby zostawić to wszystko, wrócić i zakłócić nowe życie pierwszego męża? Zwłaszcza, gdybyś wróciła z poczucia

obowiązku.

Lecz z przekonaniem, że twoje serce zostało przy... nie. – Energicznie potrząsnął głową. – Żaden mężczyzna nie może służyć dwóm panom. I żadna kobieta. Zatem, gdyby tamto było jedynym małżeństwem, które zawarłaś w obliczu Boga, a tutaj pozostawałabyś – wskazał skrzydło gościnne – w grzesznym związku, byłabyś zobowiązana powrócić. Skoro jednak połączył was sakrament małżeński... nie musisz się już martwić.

– Teraz, jeśli chodzi o drugi aspekt, a mianowicie, co masz robić? Musimy się nad tym zastanowić. – Wyjął nogi z wody i wytarł je połą habitu. – Może będziemy kontynuowali tę rozmowę w kuchni? Na pewno uda nam się przekonać brata Eulogiusa, że zasłużyliśmy na małą przekąskę.

Znalazłam na brzegu okruch chleba, więc wrzuciłam go do wody.

– Nawet sobie ojciec nie wyobraża, jaką ulgą jest dla mnie możliwość rozmowy o tym wszystkim – stwierdziłam. – Nadal nie mogę się nadziwić, że ojciec mi uwierzył.

Wzruszył ramionami i szarmancko podał mi rękę, gdy zakładałam buty.

– Ma chere, rozmawiasz ze sługą człowieka, który rozmnożył chleb i ryby – z uśmiechem zerknął na staw – który uzdrawiał chorych i wskrzeszał zmarłych. Dlaczego miał bym się dziwić, że Nasz Pan miał wobec ciebie nietypowy zamysł?

Cóż, skomentowałam w myśli, lepsze to niż być



nazywaną nierządnicą babilońską.

Kuchnie opactwa były ciepłe i przepastne, o sklepieniach poczerniałych od dymu od stuleci wydobywającego się z palenisk. Brat Eulogius, z rękami po łokcie w cieście, powitał Anzelma i zawołał na jednego z pomocników, żeby nas obsłużył. Znaleźliśmy sobie cichy kącik, z dala od gwaru, i usiedliśmy z dwoma kubkami piwa korzennego i gorącym plackiem. Podsunęłam ciasto Anzelmowi. Byłam zbyt zdenerwowana, by myśleć o jedzeniu.

– Może powiem tak – zaczęłam, starannie dobierając słowa. – Gdybym wiedziała, że pewną grupę ludzi spotka klęska, czy powinnam starać się ich powstrzymać przed zamierzonym działaniem?

Anzelm wytarł nos w rękaw habitu.

– Z zasady tak – zgodził się po chwili namysłu. – Zależy to jednak od wielu innych aspektów, na przykład, czy ryzykujesz, pani, przy tym własne życie, które z twoich zobowiązań jest ważniejsze; czy twoje przedsięwzięcie ma w ogóle szansę powodzenia.

– Nie mam pojęcia o żadnej z tych rzeczy. Wiem tylko jedno, że Jamie należy do tych, którzy mogliby ucierpieć. – Ułamał kawałek placka i podał mi parującą kromkę.

Zignorowałam jego gest, wpatrzona w kubek z piwem. – Na przykład ci dwaj mężczyźni, których zabiłam – ciągnęłam dalej – gdyby nie zginęli z mojej ręki, może mieliby dzieci. Być może... – Bezradnie rozłożyłam ręce. – Bóg jeden wie, czego by dokonali? Może zmieniłam

przyszłość... Nie, nie: może, zrobiłam to na pewno. Nie wiem, w jaki sposób, i to właśnie tak mnie przeraża.

– Taak. – Anzelm chrząknął głośno, skinął na przechodzącego mnicha i zażądał więcej ciasta oraz piwa. Odezwał się dopiero, gdy oba nasze kubki były pełne. – Odbierałaś życie, ale również je ratowałaś. Ilu chorych, których leczyłaś, umarłoby bez twojej pomocy? Oni również tworzą przyszłość. A co, jeśli ocaliłaś wielkiego zbrodniarza?

Czy to twoja wina? Czy w takim razie powinnaś pozwolić mu umrzeć? Oczywiście, nie. – Dla podkreślenia tych słów uderzył cynowym kubkiem w stół. – Twierdzisz, że lękasz się podejmować jakiegokolwiek decyzje z obawy, że odbiją się one na przyszłości. To bez sensu, madame. Czyny nas wszystkich mają wpływ na przyszłość. Twoje czyny odcisnęłyby się piętnem na przyszłości nawet, gdybyś została u siebie. Masz identyczne obowiązki, jakie miałaś tam; takie same, jakie są udziałem wszystkich ludzi na ziemi, w każdym czasie.

Jedyna różnica polega na tym, że możesz być bardziej niż inni świadoma konsekwencji swoich decyzji, chociaż i to nie jest pewne. – Pokręcił głową. Patrzył mi prosto w oczy. – Niezbadane są wyroki boskie i zapewne Nasz Pan miał w tym swój cel. Istotnie, ma chere, zasad Kościoła nie formowano z myślą o przypadkach takich jak twój, więc nie udzielę ci innej rady niż tej, abyś ufała sumieniu i wierzyła w bożą opatrzność. Nie mogę powiedzieć, co masz robić, a czego nie. Masz wolną wolę jak wszyscy ludzie na świecie.

A historia, moim zdaniem, to wypadkowa ich decyzji. Bóg wybiera nielicznych, by wpływali na losy tysięcy. Być może i ty należysz do tych wybrańców. Nie wiesz tego i niewykluczone, że nigdy się nie dowiesz. A czy w ogóle wiadomo, dlaczego tu jesteś. – Komicznie przewrócił oczami.

– Przecież ja nie mam nawet pojęcia, czemu tu jestem! – Roześmiałam się, co wyraźnie go ucieszyło.

Nachylił się ku mnie nad gładkimi deskami stołu.

– Twoja znajomość przyszłości jest narzędziem, w które Bóg cię wyposażył w nowym życiu, tak jak rozbitekowi dałby nóż albo wędkę. Nie jest niczym niemoralnym czynić z niej użytek, o ile zrobisz to zgodnie z prawem boskim, w dobrej wierze. – Przerwał, głęboko zaczerpnął tchu i wypuścił powietrze z płuc tak gwałtownie, że aż sumiaste wąsy się poruszały. Uśmiechnął się. – Tylko tyle, madame, mogę ci powiedzieć; to samo mówiłbym każdej zbłąkanej duszy: pokładaj ufność w Bogu i módl się. – Podsunął mi potężny kawałek placka. – Bez względu na to, co zrobisz, będziesz potrzebowała siły.

Posłuchaj więc jeszcze jednej rady: ilekroć wątpisz, jedz.

Kiedy tego wieczora zająrzałam do komnaty Jamiego, spał z głową opartą na ramionach. Na tacy stała pusta miska po zupie; nietknięty chleb i kawał pieczeni leżał nie tknięty. Przeniosłam wzrok z niewinnej śpiącej twarzy na pozostawione jedzenie i z powrotem. Dotknęłam chleba. Mój palec zostawił delikatny odcisk w miękkiej powierzchni. Świeży.

Wymknęłam się cicho i udałam na poszukiwania brata Rogera. Znalazłam go w spiżarni.

– Jadł chleb i mięso? – zapytałam, nie bawiąc się we wstępy.

Brat Roger uśmiechnął się pod wąsem.

– Tak.

– Utrzymał to w żołądku?

– Nie.

Przyglądałam mu się spod zmrużonych powiek.

– Chyba brat po nim nie sprzątał?

Bawiła go ta rozmowa, aż mu poróżowiały policzki nad bujną brodą.

– Jakżebym śmiał? Nie, przezornie prosił o miskę, na wszelki wypadek.

– Cholerny, uparty Szkot – powiedziałam i roześmiałam się wbrew woli.

Wróciłam do Jamiego i lekko pocałowałam go w czoło. Poruszył się, ale nie obudził.

Posłuszna radzie ojca Anzelma, zabrałam talerz z chlebem i mięsem. To będzie moja kolacja.

Postanowiłam dać Jamiemu odpocząć, głównie po naszych utarczkach, i dlatego prawie cały następny dzień spędziłam w mojej komnacie, na lekturze herbarza, który pozyczył mi brat Ambroży. Po obiedzie zajrzałam do mojego pacjenta. Tymczasem w komnacie zamiast Jamiego zastałam jedynie Murtagha. Siedział przy stolku oparty o ścianę i uśmiechał się lekko.

– Gdzie on jest? – Niespokojnie rozglądałam się po pokoju.

Murtagh wskazał na okno. Był zimny, ponury dzień, zapalono wszystkie lampy. Po dmuchy wiatru wpadające przez szczeliny lekko kołysały płomieniem lampy.

– Wyszedł? – Nie wierzyłam własnym uszom.

– Dokąd? Po co? Co, u licha, na siebie włożył? – Przez ostatnie dni leżał nagi, bo w pokoju było ciepło. Bolały go gojące się rany.

Ilekcroć na krótko opuszczał komnatę za potrzebą, wsparty na ramieniu brata Rogera, zakładał mnisi habit, ten jednak leżał u stóp łóżka, starannie złożony.

Murtagh bujał się na krześle i patrzył na mnie tajemniczo.

– Ile było tych pytań? Cztery? – Podniósł rękę z wyciągniętym palcem wskazującym.

– Po pierwsze: tak, wyszedł. – Podniósł środkowy palec. Po drugie: dokąd? Niech mnie diabli wezmą, jeśli wiem. – Palec serdeczny dołączył do dwóch poprzednich. – Po trzecie: dlaczego? Powiedział, że ma dosyć zamknięcia w czterech ścianach. – Skinął małym palcem. – Po czwarte: nie mam pojęcia. Kiedy go ostatnio widziałem, był nagusieńki. – Zgiął cztery palce i podniósł kciuk. – O to mnie nie pytałaś, ale wyszedł mniej więcej godzinę temu.

Byłam wściekła, nie wiedziałam, co robić. Ponieważ winny zniknął, wylałam złość na Murtagha.

– Nie widzisz, że jest bardzo zimno? Nadciąga śnieżyca. Dlaczego go nie powstrzymałaś? I jak to, był nagusieńki?

Mały Szkot zachował stoicki spokój.

– Wiem, wiem. I on chyba też. Przecież nie jest

ślepy. A jeśli już o tym mowa, starałem się go powstrzymać. – Wskazał habit na posłaniu. – Kiedy stwierdził, że wychodzi, przekonywałem go, że nie jest jeszcze na tyle silny i że obedrzesz mnie ze skóry, jeśli go wypuszczę. Porwałem habit i zatarasowałem drzwi własnym ciałem.

Powiedziałem, że wyjdzie stąd po moim trupie. – Urwał na chwile, po czym dodał pozornie bez związku: – Ellen MacKenzie miała najśrodszy uśmiech, jaki w życiu widziałem; sam jego widok rozgrzewał człowieka do kości.

– Więc pozwoliłeś jej głupiemu synowi wyjść i zamarnąć – rzuciłam niecierpliwie – A co uśmiech jego matki ma z tym wspólnego?

Murtagh z namysłem potarł nos.

– Więc kiedy powiedziałem, że go nie wypuszczę, popatrzył na mnie i uśmiechnął się dokładnie jak jego mama, po czym wyskoczył przez okno, nagi jak go Pan Bóg stworzył.

Zanim podbiegłem, już go nie było.

Podniosłam wzrok ku niebu.

– Pomyślałem, iż nie pisnę ci ani słowa, że wyszedł, żebyś się nie martwiła.

– Żebym się nie martwiła! – wycodziłam przez zęby, idąc do stajni. – Lepiej niech on się martwi, co mu zrobię, jak go dorwę.

Tylko jedna droga prowadziła w głąb łądu. Jechałam szybko, wzrokiem przeczesywałam pobliskie pola. Ta część Francji obfitowała w żyzne ziemie i na szczęście większość lasów ustąpiła polom uprawnym; wilki

i niedźwiedzie nie stanowiły tu takiego niebezpieczeństwa, jak dalej w głębi kraju.

Znalazłam Jamiego o kilometr od bram klasztoru; siedział na wiekowym glazie.

Był boso, ale nie nago; miał na sobie przykrótkie spodnie i koszulę ubranie, sądząc po wyglądzie, należało do chłopca stajennego.

Ściągnęłam wodze i przez dłuższą chwilę patrzyłam na Jamiego z góry.

– Masz siny nos – poinformowałam go uprzejmie. Spojrzałam w dół. – I stopy.

Uśmiechnął się i wytarł nos wierzchem dłoni.

– Inne części ciała również. Chcesz się przekonać? A może także ogrzać? – Przemarznięty czy nie, był najwyraźniej w doskonałym humorze.

Zsunęłam się z konia i stanęłam obok Jamiego.

– To i tak bez sensu, prawda? – zapytałam.

– Co? – Wytarł dłoń o zniszczone spodnie.

– Złosczenie się na ciebie. Nie obchodzi cię, czy nabawisz się zapalenia płuc albo czy zjedzą cię niedźwiedzie, albo że ja umrę ze strachu!

– Cóż, niedźwiedzie nie stanowią problemu. Wiesz, w zimie zazwyczaj śpią.

Zdenerwowałam się, chciałam go uderzyć, ale bez trudu złapał mnie za nadgarstek.

Po chwili bezowocnej szarpaniny roześmieliśmy się oboje.

– Wrócisz teraz? – zapytałam. – Czy może chcesz coś jeszcze udowodnić?

Wskazał drogę ruchem głowy.

– Wsiadaj na konia i poczekaj na mnie przy tamtym wielkim dębie. Dojdę tam sam.

Zacisnęłam usta, żeby powstrzymać liczne uwagi, które cisnęły mi się na język.

Wskoczyłam na wierzchowca. Przy dębem zsiadłam i obejrzałam się za siebie. Po chwili doszłam jednak do wniosku, że nie mam dość siły, by spokojnie obserwować mozolną wędrówkę Jamiego. Kiedy upadł po raz pierwszy, zacisnęłam dłoń na wodzach, odwróciłam się i czekałam.

Z trudem dotarliśmy do opactwa. Wisiał mi na szyi, aż się uginałam pod jego ciężarem. Dostrzegłam brata Rogera i natychmiast posłałam go po gorącą cegłę do łóżka.

Sama tym czasem zataszczyłam moje brzemię do komnaty i z ulgą cisnęłam na posłanie.

Jęknął. Ale leżał bez ruchu, z zamkniętymi oczami, gdy zdejmowałam z niego brudne łachy.

– W porządku, pod kołdrę, i to już.

Posłusznie wsunął się pod okrycie. Szybko umieściłam gorącą cegłę w nogach łóżka i poruszyłam nią kilka razy. Kiedy ją wyjęłam, z rozkoszą wyprostowałam długie nogi.

Westchnął błogo, gdy jego stopy otuliło przyjemne ciepło.

Cicho krzątałam się po komnacie, składałam rozrzucone ubrania, porządkowałam drobiazgi na stole, dołożyłam węgla do paleniska, dodałam szczyptę ziół, by nadać dymowi przyjemniejszy zapach. Myślałam, że śpi, dlatego drgnęłam gwałtownie, kiedy się odezwał.



– Claire.

– Tak?

– Kocham cię.

– Och. – Byłam lekko zaskoczona i bardzo, bardzo zadowolona. – Ja ciebie też.

Westchnął i otworzył oczy.

– Randall – zaczął – pod koniec... właśnie tego chciałam. – Te słowa zaskoczyły mnie jeszcze bardziej. Nie wiedziałam, co powiedzieć.

– Tak? – wykrztusiłam tylko.

Wpatrywał się w okno, w ciężkie śnieżne chmury.

– Leżałem na podłodze, on obok mnie. Obaj byliśmy nadzy i wymazani krwią... i nie tylko. Pamiętam, jak chciałem podnieść głowę i nie mogłem, bo zaschnięta krew trzymała mnie na posadzce. – Ściągnął brwi, pogrążony we wspomnieniach. – Wtedy osiągnąłem już taki stopień cierpienia, że nie czułem bólu. Byłem tylko bardzo zmęczony, wszystko wydawało się dalekie i nierzeczywiste.

– No i dobrze – stwierdziłam dziarsko, aż się uśmiechnął.

– Tak, no i dobrze. Chyba momentami traciłem przytomność, więc nie wiem, jak długo leżeliśmy. Gdy się ocknąłem, poczułem, że chce we mnie... – zawahał się, jakby słowa nie mogły mu przejść przez gardło. – Dotychczas mu się nie sprzeciwiałem. Ale byłem już taki zmęczony. Pomyślałem, że nie zniosę tego raz jeszcze... w każdym razie, odsunąłem się, nie walczyłem, tylko odsunąłem się. Objął mnie za kark ramionami, przyciągnął

do siebie, ukrył twarz na moich plecach i się rozplakał. Przez dłuższy czas nie zdołałem rozróżnić jego słów, aż usłyszałem: „Kocham cię” – powtarzał to w kółko. Łzy i ślina Randalla ściekały mi na pierś. – Jamie wzdrygnął się, nie wiadomo, z zimna czy na to wspomnienie. Odetchnął głęboko, aż zawirował dym pod sufitem. – Nie mam pojęcia, czemu to zrobiłem, ale objąłem go i przez chwilę leżeliśmy w milczeniu. W końcu przestał płakać, całował mnie i pieścił. „Powiedz mi, że mnie kochasz”, szepnął nagle. – Jamie przestał mówić, uśmiechnął się blado. – Nie mogłem tego zrobić. Nie wiem, dlaczego.

Przecież gdyby zapragnął, całowałbym jego buty i nazywał królem Szkocji. Takie wyznanie jednak nie przechodziło mi przez gardło. Nie pamiętam nawet, żebym o tym myślał, po prostu... nie mogłem. – Westchnął. Zdrowa ręka nerwowo tarłosiła koldrę. – Wziął mnie znowu... brutalnie. I przez cały czas powtarzał: „Powiedz, że mnie kochasz, Aleks. Powiedz, że mnie kochasz”.

– Mówił do ciebie Aleks? – przerwałam, niezdolna czekać dłużej.

– Tak. Pamiętam, jak się zastanawiałem, skąd zna moje drugie imię i dlaczego mu przyszło do głowy się nim posługiwać. – Wzruszył ramionami. – W każdym razie, leżałem nieruchomo i milczałem, a kiedy skończył, zerwał się na równe nogi, jakby oszalał, i zaczął mnie czymś bić, nie widziałem, co to było. Kłął przy tym i krzyczał:

„Kochasz mnie! Wyznaj to w końcu! Wiem, że tak jest!”. Osloniłem głowę ramionami i chyba znowu zemdlałem, bo pamiętam tylko ból w ramionach. Ocknąłem

się, leżąc twarzą w dół na końskim grzbiecie, a potem dopiero w Eldrigde! – Znowu zamknął oczy.

Mówił spokojnym, opanowanym głosem. – Myślę, że gdybym powiedział mu to, co chciał usłyszeć, zabiłby mnie.

W snach ludzi czają się potwory. W moich roilo się od drzew genealogicznych, nazwiska i daty wieńczyły grube czarne krzyże. Konary wiły się jak żmije. W nawiasach, jak w paszczach, kryła się śmierć. Znowu usłyszałam Franka, jak mówi:”Został żołnierzem. To rozsądny wybór dla drugiego syna. Był jeszcze trzeci brat, został kapłanem, ale niewiele o nim wiem”... ja też nie. W drzewie genealogicznym widniały tylko imiona trzech synów Josepha i Mary Randall: najstarszy, William; średni, Jonathan; i najmłodszy, Aleksander.

Jamie odezwał się ponownie, czym wyrwał mnie z zadumy.

– Angielko?

– Tak?

– Pamiętasz, co ci mówiłem o twierdzy w sercu?

– Tak.

Uśmiechnął się, nie otwierając oczu, i wziął mnie za rękę.

– Mam gotowe fundamenty. I dach nad głową.

Poszłam spać spokojna, choć zmęczona. Jamie wyzdrowieje. Do niedawna, kiedy nie było to takie pewne, myślałam tylko o najbliższej godzinie, następnym posiłku i dawce lekarstwa. Teraz jednak musiałam zastanowić się nad przyszłością.

Opactwo to cudowne schronienie. Niestety, tymczasowe. Nie mogliśmy zostać wśród mnichów na zawsze, bez względu na ich gościnność. Szkocja i Anglia były zdecydowanie zbyt niebezpieczne, chyba że pomogłby nam lord Lovat, jednak wołałam na to nie liczyć.

Naszą przyszłość widziałam zatem po tej stronie kanału. Po ostatnich doświadczeniach wiedziałam, czemu Jamie nie przejawiał entuzjazmu na myśl o wyprawie do Ameryki – trzy miesiące nudności przeraziłyby każdego. Więc co nam zostało?

Pozostanie we Francji wydawało się najbardziej prawdopodobne. Oboje płynnie mówiliśmy po francusku. Jamie na dodatek radził sobie po hiszpańsku, niemiecku i włosku, ja natomiast nie władałam tyloma językami. Poza tym, rodzina Fraserów miała tu liczne znajomości. Miałam nadzieję, że znajdziemy dach nad głową w posiadłości przyjaciela lub krewniaka i zamieszkamy na wsi. Brzmiało to kusząco.

I do rozważenia pozostała, jak zwykle, kwestia czasu. Mieliśmy początek tysiąc siedemset czterdziestego czwartego roku. Nowy rok minął dwa tygodnie temu. A w tysiąc siedemset czterdziestym piątym książę Karol wsiądzie na statek we Francji i przeprawi się do Szkocji. Wraz z młodym następcą tronu nadejdzie katastrofa: wojna, śmierć, klęska klanów, kres wszystkiego, co bliskie sercu Jamiego... i mojemu.

Od tych wydarzeń dzielił nas rok. Jeden rok, podczas którego tyle mogło się zdarzyć.

Co zrobić by zapobiec nieszczęściu? Nie miałam

pojęcia, ale wiedziałam też, czym się skończy moja bezczynność.

Czy można zmienić bieg wydarzeń? Niewykluczone. Niemal odruchowo gładziłam złotą obrączkę na serdecznym palcu lewej ręki. Przypomniałam sobie, co mówiłam do Jonathana Randalla, rozpalona gniewem i przerażeniem w więzieniu Wentworth.

„Przeklinam cię”, powiedziałam. „Przeklinam cię z chwilą twojej śmierci”. I podałam mu datę, kiedy umrze. Znałam ją z drzewa genealogicznego. Była wypisana starannym kaligraficznym pismem Franka: szesnastego kwietnia tysiąc siedemset czterdziestego piątego roku. Jonathan Randall miał polec w bitwie pod Culloden, lecz tak się nie stało.

Zginął kilka godzin później, w zupełnie innych okolicznościach.

Odszedł z tego świata jako bezdietny kawaler. Tak przynajmniej sądziłam. Drzewo – to przekłete drzewo genealogiczne! – podawało datę jego ślubu, gdzieś w tysiąc siedemset czterdziestym czwartym roku. I narodziny jego syna, przodka Franka w piątym pokoleniu, niewiele później. Skoro Jack Randall zginął bezpotomnie, jakim cudem Frank istnieje? A przecież miałam jego obrączkę na palcu. Istniał, będzie istniał.

Pocieszałam się tą myślą, pocierałam pierścionek w ciemnościach, jakbym chciała wywołać dzina, który mógłby mi doradzić.

Obudziłam się nieco później z krzykiem na ustach.

– Cicho! To tylko ja! – Silna dłoń odsunęła się od

moich warg.

Zgasła świeca, więc w komnacie było bardzo ciemno. Wyciągałam ręce po omacku, aż napotkałam jego ciało.

– Nie powinieneś wstawać! – krzyknęłam, ciągle półprzytomna. Moje palce przesunęły się po gładkim, zimnym ciele. – Jakiś ty lodowaty!

– No pewnie – stwierdził z irytacją. – Jestem goły, a na korytarzu strasznie wieje.

Wpuścisz mnie do siebie do łóżka?

Przycisnęłam się do ściany, robiąc mu jak najwięcej miejsca na wąskim pościeliu.

Wślizgnął się pod kołdrę. Oddychał nierówno. Podejrzewałam, że drży z zimna i z wysiłku.

– Boże, ależ jesteś ciepłutka. – Przyciągnął mnie do siebie. – Lubię mieć cię w ramionach. Angielko.

Nie zadawałam sobie trudu pytaniem, po co przyszedł; stawało się to oczywiste. Nie dociekałam nawet, czy jest pewien tego, co zamierza zrobić. Miałam wątpliwości, ale nie wypowiedziałam ich na głos z obawy, że się sprawdzą. Odwróciłam się twarzą ku niemu.

Staralam się nie urazić jego ręki.

Po nagłym, nieoczekiwanym momencie połączenia powróciły ostre odczucia. Jamie westchnął głęboko, z zadowoleniem, i niewykluczone, z ulgą. Leżeliśmy bez ruchu, jakbyśmy się obawiali zakłócić tę chwilę. Pieścił mnie powoli zdrową ręką, miał palce wrażliwe jak kocie wąsy. Poruszył się raz, krótko, jakby zadawał pytanie.

Odpowiedziałam w tym samym języku.

Zaczęła się ostrożna gra delikatnych ruchów, szukanie równowagi między jego pożądaniem i osłabieniem, między cierpieniem i narastającą rozkoszą. W pewnym momencie pomyślałam, że muszę powiedzieć Anzelmowi, że są inne sposoby, by zatrzymać czas. Chociaż może lepiej nie, przecież ta droga jest przed duchownym zamknięta.

Obejmowałam Jamiego za kark pokryty bliznami. Narzucał mi swój rytm, lecz pozwalał kontrolować gwałtowność naszych ruchów. Oboje do końca zachowaliśmy milczenie, ciszę mąciły jedynie nasze oddechy. Gdy poczułam, że słabnie, objęłam go mocniej i przy ciągnęłam do siebie, uniosłam biodra, by przyjąć go głębiej.

– Teraz – szepnęłam. – Weź mnie! Już! – Oparł czoło o mój policzek i uległ żądaniom.

W epoce wiktoriańskiej orgazm nazywano „małą śmiercią” – nie bez podstaw. Jamie leżał bez ruchu, bezwładnie. Gdyby nie równe, wolne bicie serca, pomyślałabym, że nie żyje. Wydawało się, że dużo czasu minęło, zanim się poruszył i wymamrotał coś niezrozumiale.

– Co mówisz?

Podniósł głowę, tak że jego usta były przy moim uchu. Ciepły oddech łaskotał mnie w szyję.

– Powiedziałem – szepnął miękko – że ręka mnie wcale nie boli.– Zdrowa dłoń błędziła po moim policzku, wycierała łzy.– Bałaś się o mnie? – zapytał.

– Tak. Myślałam, że to za szybko.

Roześmiał się cicho w ciemności.

– Bo za szybko. Mało brakowało, a byłbym umarł. Obudził mnie ból w ręce, nie mogłem zasnąć. Wierciłem się i myślałem o tobie. Im więcej myślałem, tym bardziej cię pragnąłem, i zanim się zastanowiłem, po co tu idę, byłem w połowie drogi. A kiedy pomyślałem... – Urwał z dłonią na moim policzku. – Wiesz, Angielko, nie jestem bardzo dobry, ale nie jestem też tchórzem.

Zamknęłam mu usta pocałunkiem. Głośno zaburczało mu w brzuchu.

– To twoja wina, głodzisz mnie. – mruknął – i tak cud, że mi się udało, przecież jem tylko zupę i mleko.

– No dobrze – uległam ze śmiechem. – Wygrałeś. Na śniadanie dostaniesz jajko.

– Ha! – parsknął z wyraźnym zadowoleniem. – Wiedziałem, że zaczniesz mnie dobrze karmić, jeśli odpowiednio cię potraktuję.

Zasnęliśmy ramię w ramię.

W ciągu następnych dwóch tygodni Jamie wracał do zdrowia, a ja nie przestawałam się głowić. Czasami uważałam, że musimy jechać do Rzymu, szukać następcy i... właśnie, co? Chwilę później sądziłam, że najważniejsze, to znaleźć cichy spokojny zakątek, gdzie będziemy żyli spokojnie i szczęśliwie.

Nastał ciepły, słoneczny dzień, sople lodu topiły się szybko, tworzyły kałuże pod gzymsami. W pokoju Jamiego otworzyliśmy okno i drzwi, żeby przeciąg usunął resztki choroby i dymu.

Ostrożnie zajrzałam, nie chcąc go budzić, gdyby



spał, jednak wąskie pościelenie było puste. Siedział przy oknie, zwrócony plecami do drzwi, tak że nie widziałam jego twarzy.

Był wówczas przeraźliwie chudy, ale szerokie ramiona trzymał dumnie wyprostowane pod mnim habitem, w jego ruchach powoli pojawiał się dawny wdzięk. Siedział prosto, nie drżał, długie nogi schował pod krzesłem, całe ciało emanowało wdziękiem i siłą. Lewą ręką podtrzymywał prawą, chorą dłoń i powoli ruszał nią w świetle słonecznym.

Na stole leżały skrawki materiału. Zdjął bandaż z rannej ręki i oglądał ją starannie.

Zamarłam na progu. Nawet stąd wyraźnie widziałam jego dłoń. Ruszał nią nieśmiało i oglądał uważnie. Ucieszyłam się, że blizna po gwoździu na dłoni zagoiła się niemal bez śladu; na razie widniała tam różowa kropka, jednak z czasem zniknie całkiem. Wierzch dłoni nie wyglądał jednak dobrze. Rana, w którą wdała się infekcja, nadal straszyla strupami, błyszcziała jak każda świeża blizna.

Również na środkowym palcu widniała szrama. Biegła od zgięcia po kostce. Po uwolnieniu z łupek, kciuk i palec wskazujący były proste, jednak małego palca nie udało się uratować; o ile pamiętałam, był złamany w trzech miejscach i najwyraźniej nie udało mi się go właściwie złożyć. Pozycja palca serdecznego również pozostawiała dużo do życzenia. Kiedy dłoń leżała na płasko, wystawał nad inne.

Jamie odwrócił rękę dłonią do góry i ostrożnie

poruszył palcami. Zginały się zaledwie na dwa lub cztery centymetry; Serdeczny pozostawał całkiem sztywny, zgodnie z moimi obawami ścięno w tym palcu było jak skute lodem.

Kręcił ręką na wszystkie strony, podnosił do oczu, obserwował sztywne, powykęcane palce i brzydkie blizny, bezlitośnie widoczne w jasnym świetle słońca. Nagle pochylił głowę, przycisnął chorą rękę do piersi, przykrył zdrową. Nic nie mówił, ale szerokie plecy zdrząły.

– Jamie. – Przebiegłam przez pokój i uklęklam obok. Położyłam mu dłoń na kolanie.

– Jamie, tak mi przykro – szepnęłam.– Zrobiłam, co w mojej mocy.

Patrzył na mnie ze zdumieniem. Na długich kasztanowych rzęsach lśniły łzy, więc energicznie otarł je wierzchem dłoni.

– Co? – bąknął, zaskoczony moim nagłym przybyciem. – Przykro ci? Dlaczego, Angielko?

– Z powodu twojej dłoni. – Dotknęłam jej, delikatnie gładziłam krzywe palce, musnęłam świeżą bliznę. – Będzie lepiej – zapewniłam go nerwowo. – Naprawdę. Teraz ci się wydaje sztywna i bezużyteczna, ale to dlatego, że długo była w łupkach i kości jeszcze się nie do końca zrosły. Pokażę ci, jak masz ćwiczyć, masować. Wkrótce będziesz się nią posługiwał...

Położył mi zdrową rękę na karku i tym samym przerwał mi w pół słowa.

– Myślałaś... – urwał, potrząsnął głową z niedowierzaniem. – Myślałaś...? – I znowu nie udało mu się

dokończyć. – Angielko – odezwał się po chwili. – Chyba nie sądziłaś, że płacę z powodu sztywnych palców i kilku nowych blizn? – Uśmiechnął się łobuzersko. – Tak, jestem próżny, ale chyba nie do tego stopnia!

– Ale przecież... – zaczęłam.

Wziął moje dłonie w swoje, wstał i przyciągnął mnie do siebie. Podniosłam dłoń, żeby zetrzeć pojedynczą łzę z jego policzka. Kropelka wilgoci była ciepła.

– Płakałem z radości, Angielko – powiedział miękko. Uwięził moją twarz w swoich dłoniach. – dziękowałem Bogu, że mam dwie ręce, którymi mogę cię trzymać. którymi mogę ci służyć, którymi mogę cię kochać. Dziękowałem Bogu, że nadal jestem cały i zdrowy, dla ciebie.

Nakryłam jego dłonie swoimi.

– Dlaczego miałyby być inaczej? – zapytałam.

I nagle przypomniałam sobie szeroki asortyment rzeźniczych noży wśród wyposażenia Daviego Beatona w Leoch, i już wiedziałam. Zapomniałam o tym w krytycznej sytuacji. W czasach przed wynalezieniem antybiotyków najczęściej stosowaną... jedyną skuteczną kuracją przy zakażeniu była amputacja.

– Och, Jamie. – Nogi ugięły się pode mną na samą myśl. Gwałtownie opadłam na stół. – Nawet mi to nie przyszło do głowy – stwierdziłam zdumiona. – Naprawdę. – Podniosłam na niego wzrok. – Jamie, gdybym wcześniej pomyślała o amputacji, prawdopodobnie bym to zrobiła. Żeby uratować ci życie.

– Więc nie tak... nie tak to robią w... twoich

czasach?

Pokręciłam głową.

– Nie. Mamy lekarstwa, które zwalczają infekcję. Więc nawet mi to nie przyszło do głowy – dumałam. Spojrzałam na niego uważnie. – A tobie?

Potwierdził.

– Tego się spodziewałem. Dlatego prosiłem, żebyś pozwoliła mi umrzeć. Myślałem o tym, ilekroć wracała mi przytomność, i w tamtej chwili nie wyobrażałem sobie życia w takim stanie. Wiesz, to spotkało Iana.

– Naprawdę? – Byłam w szoku. – Powiedział mi, że stracił nogę na skutek postrzału, ale nie pytałam o szczegóły.

– Tak, rana postrzałowa nie chciała się goić i lekarze ucięli nogę, żeby nie zatrąła mu krwi. – Urwał. – Ian doskonale sobie radzi, biorąc pod uwagę, co przeżył. Ale... – zawahał się, poruszył sztywnym palcem. – Znam go od dawna. Jest taki dobry tylko ze względu na Jenny. To ona... pomaga mu żyć. – Uśmiechnął się. – Jak ty mnie. Nie pojmuję, czemu kobiety zwracają sobie nami głowę.

– Cóż – stwierdziłam miękko – chyba po prostu to lubią.

Roześmiał się i przyciągnął mnie do siebie.

– Tak, Bóg jeden wie, dlaczego.

Przez moment staliśmy objęci, w bezruchu. Oparłam czoło o jego pierś, wsłuchiwałam się w silne, wolne bicie serca. Puścił mnie po dłuższej chwili.

– Chcę ci coś pokazać – oznajmił.

Odwrócił się, otworzył małą szufladę i podał mi

złożoną na cztery kartkę papieru. Był to list polecający od opata Aleksandra, który polecał usługi swego siostrzeńca, biegłego tłumacza, Jamesa Frasera, uwadze Kawalera od Świętego Jerzego, znanego również jako Jego Wysokość Jakub, król Szkocji.

– Warto mieć coś takiego – stwierdził Jamie, gdy składałam list. – Niedługo będzie nam potrzebne jakieś miejsce, do którego moglibyśmy się udać. Ale to, co mi powiedziałaś na wzgórzu w Craigh na Dun... to prawda?

Głęboko zaczerpnęłam tchu.

– Prawda.

Wyjął mi list z ręki.

– A więc wyjazd do Szkocji nie jest najlepszym rozwiązaniem. – Zamachał złożonym kawałkiem papieru.

Cisnął list do szuflady, wpatrywał się w dal przez długi czas. Kiedy spojrzął na mnie, błękitne oczy patrzyły spokojnie i ufnie.

– Mówiłem poważnie, Claire – powiedział cicho. – Moje życie jest w twoich rękach.

I ty musisz zdecydować, co zrobimy, dokąd się udamy. Pozostaniemy we Francji, wyjedziemy do Włoch, czy z powrotem do Szkocji? Moje serce bije dla ciebie, odkąd cię zobaczyłem po raz pierwszy. Miałaś w swoich rękach moje ciało i duszę. Ocaliłaś jedno i drugie. Zrobimy tak, jak zdecydujesz.

Rozległo się pukanie do drzwi. Odskokczyliśmy od siebie, jak kochankowie przyłapani na gorącym uczynku. Nerwowo poprawiłam sobie włosy i pomyślałam nagle, że klasztor, choć doskonały dla rekonwalescenta, nie jest

jednak najlepszym miejscem dla roznamiętzonego małżonka.

Młody mnich wtaszczył do komnaty wielką torbę i położył ją na stole.

– Od MacRaimocha z Eldridge – oznajmił z uśmiechem. – Dla lady z Lallybroch. – Skłonił się i wyszedł.

Po chwili został po nim tylko rzeński zapach morskiej bryzy.

Rozpięłam sprzączki, ciekawa, co też przysłał MacRannoch. W środku znajdowały się trzy przedmioty: list, nie podpisany, bez adresata, mała paczka dla Jamiego i wyprawiona wilcza skóra.

Notatka głosiła: „Kobieta cnotliwa jest perłą bezcenną, droższą niż rubiny”.

James otworzył paczuszkę. Trzymał w dłoni coś małego i lśniącego. Z dziwnym wyrazem twarzy spoglądał na wilczą skórę.

– Ciekawe. Sir Marcus przysłał tobie. Angielko, wilczą skórę, a mnie bransoletę z pereł. Może pomyliły mi się paczki?

Bransoletka była przepiękna, pojedynczy rząd dużych barokowych pereł wśród złotych łańcuszków.

– Nie – stwierdziłam, oglądając ją z zachwytem. – Niczego nie pomylił. Bransoleta pasuje do naszyjnika, który mi podarowałaś, kiedy braliśmy ślub. Ofiarował go twojej matce, wiedziałaś o tym?

– Nie – odparł miękko. Musnął perły palcami. – Ojciec dał mi je dla mojej żony, kimkolwiek będzie. –

Uśmiechnął się lekko. – Ale nie powiedział, skąd się u nas wzięły.

Przypomniałam sobie pomoc sir Marcusa tamtej nocy, gdy tak bezceremonialnie wtargnęliśmy do posiadłości, i jego wyraz twarzy, gdy odchodziliśmy następnego dnia.

Sądząc po minie Jamiego, on również wspominał MacRannocho, który mógł być jego ojcem. Ujął moją dłoń i zapiął bransoletę na przegubie.

– Ale przecież to nie dla mnie! – sprzeciwiłam się.

– Owszem, dla ciebie – upierał się. – Żaden szanujący się mężczyzna nie pośle biżuterii żonie innego, więc zaadresował to do mnie. Ale przeznaczył dla ciebie. – Jamie popatrzył na mnie z uśmiechem. – Po pierwsze, jest za mała nawet na moją wychudzoną rękę.

Wyjął zwiniętą wilczą skórę i rozpostarł ją energicznie.

– Co mu przyszło do głowy, żeby posyłać ci coś takiego? – Narzucił sobie wielką skórę na ramiona.

Nie mogłam opanować krzyku. Również głowę i pysk starannie wyprawiono i wstawiono sztuczne żółte ślepia. Bestia łypała na mnie złowieszczo znad ramienia Jamiego.

– Boże! – jęknęłam. – Wygląda zupełnie jak za życia!

Jamie popatrzył w ślad za moim wzrokiem i nagle znalazł się nos w nos z wyszczerzoną paszczą. Gwałtownie zerwał skórę z siebie i cisnął w kąt.

– Jezus, Maria! – Przeżegnał się energicznie. Skóra

leżała bezwładnie w kącie. – Co miałas na myśli, mówiąc, że wygląda zupełnie jak za życia. Angielko? Zawarłaś z tym potworem bliższą znajomość? – Jamie podejrzliwie przyglądał się skórze.

Opowiedziałam mu to, czego dotychczas nie miałam okazji; o wilku, o całym wilczym stadzie, o Hektorze, o śniegu, o zagrodzie z niedźwiedziem, o kłótni z sir Marcusem, o przybyciu Murtagha, o bydle i o długim czekaniu na wzgórzu, wśród śnieżnej nocy, by się przekonać, czy żyje czy nie.

Jamie nadal miał, silne, ciepłe ramiona. Tulił mnie do siebie, gdy płakałam.

Usiłowałam odzyskać kontrolę nad sobą, ale wówczas obejmował mnie mocniej, aż w końcu poddałam się i szlochałam jak dziecko, aż skrajnie wyczerpana nie miałam na nic siły.

– Właściwie ja też mam dla ciebie prezent, moja droga – stwierdził, gładząc mnie po włosach. Pociągnęłam główno nosem.

– Przykro mi, że ja nie mam nic dla ciebie – mruknęłam, obserwując, jak czegoś szuka w pościeli. Pewnie chusteczki, domyśliłam się, ponownie pociągając nosem.

– Nic oprócz drobiazgów typu moje życie, męskość i prawa dłoń? – zapytał cierpko. – To wystarczy, mo dumne. – Tryumfalnie potrząsał habitem nowicjusza. – Rozbieraj się.

Otworzyłam usta ze zdumienia.

– Co?



– Rozbieraj się. Angielko, i załóż to. – Z krzywym uśmiechem podał mi habit. – Może chcesz, żebym się odwrócił?

Otuliłam się połamami szorstkiego płótna i pospieszyłam za Jamiem, w dół ciemnych schodów. Pokonywaliśmy już trzecią kondygnację, najwyższą ze wszystkich. Lampa w jego dłoni rozjaśniała ciemność; kamienne ściany dzieliło nie więcej niż pół metra.

Miałam wrażenie, że ziemia nas pochłania, gdy tak schodziliśmy niżej i niżej.

– Czy aby na pewno wiesz, dokąd idziemy? – zapytałam.

Mój głos niósł się dziwnie stłumionym echem, jakbym mówiła pod wodą.

– Cóż, trudno byłoby tu zabłądzić, nie uważasz?

Stanęliśmy na kolejnym półpiętrze, ale musiałam przyznać Jamiemu rację – droga wiodła tylko w jednym kierunku – na dół.

Po pokonaniu tej kondygnacji doszliśmy do solidnych, dębowych drzwi na mosiężnych zawiasach. Drzwi były wiekowe, wytarte wieloma dłońmi, ale mocne.

Podłoga lśniła czystością, wywnioskowałam więc, że znajdujemy się w starej, ale nadal używanej części klasztoru. Może to piwnica win?

W uchwycie obok drzwi tkwiła na wpół wypalona pochodnia. Jamie zapalił ją skrawkiem papieru, pchnął nie zamknięte drzwi, schylił się, wszedł do pomieszczenia i dał mi znak, bym poszła za nim.

Początkowo widziałam jedynie blask jego latarni,

wszystko inne niknęło w czerni.

Płomień kołysał się rytmicznie, coraz dalej ode mnie. Stałam bez ruchu, śledząc wzrokiem malutki ognik. Co kilka kroków Jamie zatrzymywał się i zapalał czerwone światełko. Moje oczy stopniowo przyzwyczajały się do ciemności i oto płomyki okazały się rzędem lamp, umieszczonych na kamiennych kolumnach.

Znajdowaliśmy się w jaskini. Początkowo myślałam, że to grotta z górskimi kryształami, bo dostrzegłam dziwny czarny błysk gdzieś z dala od świateł. Kiedy jednak podeszłam do pierwszej kolumny i wyętyłam wzrok, zrozumiałam.

Przejrzyste czarne jezioro. Przezroczysta woda, lśniąca jak kryształ nad czarnym wulkanicznym piaskiem, odbijająca czerwone światła lamp. Powietrze było wilgotne i ciepłe.

Gojące źródło. Poczułam słaby zapach siarki. A zatem źródło mineralne.

Przypomniałam sobie, co Anzelm mówił o leczniczych właściwościach źródeł bijących w pobliżu klasztoru.

Jamie stał za mną, wpatrywał się w lśniącą czerń poprzątykaną blaskiem rubinów.

– Gorąca kąpiel – oznajmił z dumą. – Masz ochotę?

– Jezu Chryste – wyszeptałam.

– Więc masz. – Cieszyło go, że udało mu się niespodzianka. – Chodź.

Zrzucił swój habit i stanął na brzegu. Jego ciało jaśniało w ciemności. Wysokie łuki w sklepieniu

pochłaniały mdłe światło. Z wahaniem zdjęłam szorstki habit.

– Bardzo gorąca? – zapytałam.

– Dosyc – usłyszałam. – Nie martw się, na pewno się nie poparzysz. Ale jeśli będziesz siedziała godzinę albo dłużej, ugotujesz się i mięso odejdzie ci od kości, jak w zupie.

– Co za okropny pomysł – skrzywiłam się.

Wpatrzona w smukłą, wyprostowaną postać Jamiego, ostrożnie weszłam do wody.

Kamienne stopnie prowadziły w dół, a gruba lina z węzłami służyła jako poręcz.

Woda musnęła moje biodra, przyjemne ciepło dotknęło brzucha. Schody się skończyły, stałam na czarnym piachu. Woda sięgała mi nieco poniżej ramion, moje piersi unosiły się na powierzchni jak białe ryby. Skóra poczerwieniała mi od gorąca, na karku, pod włosami, poczułam kropelki potu. Istna rozkosz.

Powierzchnia wody była spokojna, nieruchoma, w przeciwieństwie do głębi: czułam drobne prądy i wiry, jak impulsy nerwowe. Prawdopodobnie właśnie to, oprócz relaksującego ciepła, sprawiało wrażenie, że jezioro żyje, że jest ciepłym, przyjaznym tworem, stworzonym, by obejmować i tulić. Anzelm twierdził, że okoliczna woda ma działanie lecznicze. Nie wątpiał w to ani przez chwilę.

Jamie stanął tuż za mną. Nakrył moje piersi dłońmi.

– Podoba ci się, mo duinne! – Pocałował mnie w ramię.

Oderwałam nogi od dna, oparłam się o Jamiego. –

Jest wspaniale. Ciepło mi po raz pierwszy od sierpnia. – Ciągnął mnie do tyłu powoli, łagodny nurt pieścił moje nogi.

Jamie zatrzymał się, odwrócił mnie i ostrożnie posadził na twarde drewno, ledwie widoczne w ciemnej wodzie. W skalistej niszy kryły się drewniane ławy. Usiadł obok, otoczył mnie ramieniem.

– Przyprowadził mnie w to miejsce brat Ambroży, żebym się wymoczył – wyjaśnił. – Powiedział, że to dobrze zrobi na moje blizny. Miło tu, prawda?

– Więcej niż miło. – Woda była lekka, zdawało mi się, że odpłynę, jeśli puszcze się ławki. Podniosłam wzrok na czarne sklepienie. – Czy są tu jakieś stworzenia?

Nietoperze? Ryby?

Przecząco pokręcił głową.

– Nic, tylko duch źródła. Angielko. Woda wydostaje się z ziemi przez niewielką szczelinę, o tam – wskazał nieprzeniknioną czerń w głębi jaskini – i wypływa na zewnątrz dziesiątkami małych otworków. Nie ma tu jednak innego wejścia niż to przez klasztor.

– Widzę.

Ściany jaskini były gładkie, niemal jak czarne szkło, lśniły wilgocią. Pomieszczenie przypominało wielką kulę, zamieszkaną przez tę żywą, a przecież pustą, wodę. Miałam wrażenie, że znajdujemy się we wnętrzu ziemi, w łonie niemalże, że jeśli przycisnę ucho dościany, usłyszę nieskończenie powolne bicie jej serca.

Milczeliśmy bardzo, bardzo długo, na wpół siedzieliśmy, na wpół unosiliśmy się w wodzie.

Kiedy w końcu przemówiłam, mój głos był spowolniony, jakby pod wpływem narkotyków.

– Zdecydowałam już.

– Więc Rzym? – Zdawało się, że głos Jamiego dobiega z oddali.

– Tak, choć nie mam szczegółowego planu...

– Nieważne. Zrobimy, co w naszej mocy. – Wyciągał do mnie rękę, lecz robił to tak powoli, że myślałam, że nigdy nie dotknie mojego ciała.

Przyciągnął mnie do siebie. Woda była nie tylko gorąca, także gęsta, niemal oleista.

Przesunął dłonie w dół moich pleców, potem na pośladki i uniósł mnie delikatnie.

Wrażenie było szokujące. Rozpaleni i śliscy od wody, niemal nie czuliśmy, że się dotykamy, ale wiedziałam, że jest we mnie, stanowił jedyny stały punkt w wodnym świecie, jak pępowina w łonie. Jęknęłam cicho, gdy wraz z nim wtargnął strumień ciepłej wody, a potem z westchnieniem ulgi opadłam na ten stały punkt w moim świecie.

– To lubię – stwierdził.

– Co?

– Ten odgłos. No, ten pisk.

Nie mogłam się zarumienić, bo i tak poczerwieniałam od gorąca. Ukryłam twarz za włosami; ciężkie loki rozwijały się, dotykając powierzchni wody.

– Przepraszam. Nie chciałam hałasować.

Roześmiał się, aż odpowiedziało mu echo.

– Powiedziałem, że mi się podoba, i tak jest.

Odgłosy, jakie wydajesz, to jedna z rzeczy, które najbardziej lubię, gdy się Kochamy. Angielko.

Przyciągnął mnie bliżej, tak że opierałam się czołem o jego szyję. Wilgoć między nami była śliska jak woda z siarką. Lekko poruszył biodrami. Głośno wciągnęłam powietrze.

– O, to lubisz – powiedział miękko. – I to... też?

– Och – sapnęłam.

Roześmiał się cicho, ale nie przestawał.

– Myślałem o tym przez cały czas – powiedział, błędząc dłońmi po moich plecach, badając, pieszcząc, gładząc. – W więzieniu, nocą, skuty łańcuchami, leżałem w jednym pomieszczeniu z tuzinem mężczyzn. Chrapali, jęczeli przez sen, a ja wspominałem te odgłosy, które wydajesz podczas zbliżenia. Wyobrażałem sobie, że leżysz obok mnie, w ciemności, oddychasz coraz szybciej, że sapiesz, gdy w ciebie wchodzi, jakbyś szykowałą się do trudnego zadania.

Teraz z pewnością oddychałam coraz szybciej. Gęsta oleista woda chciała mnie unieść, jakbym była piórkiem. Trzymał mnie jedynie uścisk ramion Jamiego.

– Jeszcze lepiej – szeptał mi do ucha – gdy przychodzę do ciebie rozpalony, spragniony, a ty wierzysz się pod mną i jęczysz, jakbyś pragnęła uciec, a ja wiem, że tylko starasz się być jak najbliżej.

Jego dłonie błędziły pod wodą, powoli, jak ciekawy pstrąg, muskały moje uda, badały pośladki, pieściły miejsce, gdzie nasze ciała łączyły się w jedność. Zadrzałam, wyrwał mi się głośny jęk.

– Albo gdy przychodzę do ciebie, a ty przyjmujesz mnie w siebie z westchnieniem, z pomrukiem, jaki w słoneczny dzień słychać nad ułem.

– Jamie – szepnęłam ochryple. – Jamie, proszę.

– Jeszcze nie, mo dumme. – Zaciśnął dłonie na mojej talii. Pociągnął mnie w dół, aż jęknęłam. – Jeszcze nie. Mamy czas. Chcę, żebyś znowu jęczała. Żebyś szlochała i dyszała, nawet wbrew sobie, dlatego że nie możesz się powstrzymać. Pragnę, żebyś wzdychała, jakby serce miało ci pęknąć, i krzyczała z pożądania, i płakała w moich ramionach, abym wiedział, że dobrze ci się przysłużyłem.

Ogień narastał najpierw między udami, ogarniał brzuch, roztopiał stawy, tak że moje ręce opadły bezwładnie. Wygięłam się w łuk, wtuliłam w twardą pierś. Zadrżałam w gorącej ciemności, przed utonięciem ratowały mnie jedynie ręce Jamiego. Wsparta o niego, byłam miękka jak meduza. Nie wiedziałam i nie obchodziło mnie, jakie odgłosy wydawałam, ale nie byłam w stanie mówić. Odzyskałam mowę dopiero, kiedy znowu zaczął się poruszać, silny jak rekin w ciemnej wodzie.

– Nie – poprosiłam. – Jamie, nie. Nie wytrzymam. – Krew pulsowała szybciej niż zwykle, jego ruchy były rozkoszną torturą.

– Wytrzymasz, bo mnie kochasz. – Głos ginął w moich włosach. – Wytrzymasz, bo cię pragnę. Ale tym razem podążę za tobą.

Trzymał mnie mocno, zabrał w dal z siłą trzęsienia ziemi. Opadłam na niego bezsilna, jak fale na skałę.

Powitał mnie z brutalną mocą granitu, moja przystań w szalejącym chaosie.

Miękka i ciepła jak woda wokół nas, krzyknęłam cicho niczym żeglarz wśród fal.

Usłyszałam w odpowiedzi jego okrzyk i wiedziałam, że dobrze mu się przysłużyłam.

Szliśmy na górę, z wnętrza ziemi, na rozdygotanych nogach, rozgrzani winem i ciepłem. Po kilkunastu stopniach upadłam na kolana, Jamie usiłował mi pomóc, lecz skończył jak ja, na czworakach. Chichocząc niczym dzieci, upojeni raczej miłością nie alkoholem, wracaliśmy do komnat. Bardziej sobie przeszkadzaliśmy, niż pomagaliśmy, w końcu jednak dotarliśmy do szczytu drugiej kondygnacji. Stare okienko ukazywało ciemną noc, rozjaśnioną bladym światłem księżyca. Leżeliśmy obok siebie, zimne powietrze chłodziło rozpalone ciała. Czekaliśmy, aż nasze serca odzyskają normalny rytm.

Księżyc już niemal całkiem wypełnił okienko. Wydało mi się oczywiste, że przyptywy oraz odpływy morza i kobiety ulegają jego obecności, tak silnej, tak bliskiej.

Moje ciało jednak nie słuchało już poleceń księżyca i świadomość tego przyprawiła mnie o szybsze bicie serca.

– Ja także mam dla ciebie prezent – powiedziałam nagle do Jamiego.

Popatrzył na mnie i położył dłoń na moim jeszcze płaskim brzuchu.

– Naprawdę? – zapytał.

Świat wokół nas zdawał się pełen nowych



możliwości.

KONIEC

∨∨  
(o o)  
+-----oOO-{}-OOo-----+

Zapraszam na TnTTorrent. Najlepsza darmowa strona !!!

Zarejestruj się poprzez ten link :

<http://tnttorrent.info/register.php?refferal=1036847>